

HISTORIA DWÓCH LAT

1861 — 1862

PRZEZ

Z.L.S.

CZEŚĆ I

HISTORIA DWÓCH LAT

1861 — 1862



PRZEZ

Z.L.S.

CZEŚĆ WSTĘPNA
1856-1860

Tom I

KRAKÓW

1892

PRZEDMOWA

Ich schreibe nicht euch zu gefallen,
Ihr sollt was lernen... (*Goethe*)

Przed kilku laty, autor niniejszej pracy wydał czterotomowe dzieło, opisujące ostatnie chwile powstania styczniowego. Powodem, że wziął się do przedmiotu nadzwyczaj bolesnego dla każdego Polaka, do opisania faktu, którego skutki dziś jeszcze w sposób straszliwy na nas się odbijają, była ta okoliczność, że wpadły mu w ręce liczne rękopiśmienne i jedyne w swoim rodzaju dokumenty, stanowiące niegdyś archiwum ostatniego Rządu Narodowego. Zużytkował więc ten materiał i napisał książkę obszerną, która stosunkowo dość względnego doznała przyjęcia u krytyki, zwłaszcza w Zaborze austrijackim.

Pisząc jednak wzmiankowane dzieło, autor musiał robić liczne, mozolne, i w warunkach, w jakich się znajdował, pełne przeszkód i trudów studia. Wiele faktów potrzebowało wyjaśnienia, musiał zatem sięgać w przeszłość, robić poszukiwania i badania wsteczne, tak że powoli w ręku jego nagromadził się bardzo poważny i ciekawy materiał, dotyczący tak zaczątków fatalnego dla Polski ruchu 1861 i 62 roku, jak i samego powstania zbrojnego w 1863/4 r.

Owoce tej pracy jest niniejsza książka. Autor przyznając w części słuszność tym wszystkim, którzy twierdzą, że powstanie styczniowe jest zanadto bliskim nas faktem, by o nim można należyty sąd wydać, mniema wszelako, że współczesny może do pewnego stopnia najlepiej, najżywiej opisać wypadki, na które patrzył lub w których brał udział. Tylko świadek naoczny, tylko ten, który widział rozgrywający się przed nim dramat, jest w stanie skreślić jego historią, tętniącą życiem, o tyle o ile wierny jej obraz. Traci może na tem perspektywa historyczna, traci bezstronność akademicka, ale śmiało rzec można, że bezstronność, jeżeli nie jest ideałem niezmiernie rzadko osiąganym w historii, to bardzo często zmienia się w bezbarwność, suchość i trupią martwość. Historia o tyle jest wierną, o ile czuć w niej krew żywą i namiętności chwili,

boć same te namiętności są także taktem historycznym i bez nich obraz byłby szarą fotografią, bez światła i kolorytu.

A przy tem, jeszcze inne względy, natury, że tak powiemy, społecznej, nakazywały autorowi przedsięwzięcie tej pracy. Dawno już powiedziano, że historia jest mistrzynią życia. Aforyzm ten, w zastosowaniu do nas, ma wielkie i bardzo doniosłe znaczenie. W narodzie, który nie żyje politycznie, który ma zatamowane nieomal wszystkie drogi swego rozwoju przyrodzonego, który głośno i publicznie nie może omawiać swych potrzeb i pragnień, w którym na koniec wolne i nie kontrolowane pole do działania mogą mieć stronnictwa wywrotu, sama tylko historia może się stać tym drogowskazem, który rozbitą nawę ojczystą doprowadzić jest zdolen do portu. Tam, gdzie najnowsze, a ztąd najbardziej pouczające dzieje, są owocem zakazanym, gdzie młodzież nie wie, co jej ojcowie robili, obowiązkiem niejako obywatelskim jest pisanie historii wczorajszej, choćby ta historia nie była zupełną, i choćby nosiła na sobie znamiona namiętności czasu.

Tem jest to potrzebniejsze, że u nas jak wszędzie zresztą, znaleźli się ludzie, stanowczo i bezwzględnie potępiający fakt historyczny, dla tego, że nie miał on powodzenia. Oplwano więc powstanie ostatnie, obrzucono je błotem, wywleczono wszystkich jego działaczy pod pręgierz opinii narodowej i napiętnowano mianem zdrajców, łotrów i sprzedawczyków. Jeżeli ci, którzy sądzą wypadki dziejowe ze stanowiska ich powodzenia lub niepowodzenia, mają do pewnego stopnia racją, to jednakże nie wypływa ztąd wcale wniosek, by powstania nasze były dla tego zbrodnią, że się nie udały. Zadanie historii jest wyższe i podniosłejsze; jej celem jest wskazanie złego, gdzie ono było, ale zarazem przedstawienie dobrej strony faktu; nie należy, nigdy mierzyć wypadków dziejowych miarą mieszczańskiego ideału, że ten jest dobry i rozumny, komu się udało, kto ma powodzenie. Potępienie ryczałtowe powstań, dlatego tylko, że one zostały pokonane, jest po prostu absurdem. Z tego bowiem stanowiska sądząc ludzi i rzeczy, należałoby, bez względu na powodzenie potępić Szwajcarów, powstających przeciw Habsburgom, Niderlandy porywające się do broni przeciw Filipowi II-mu, Serbów, Bułgarów i Greków, toczących walki uparte z Turkami. Nie w tam błąd leży, żeśmy w ogólności powstawali, nie w tem żeśmy byli słabsi, bo każdy naród powstający przeciw najeźdźcy jego ziemi zawsze jest słabszy, ale w tem, żeśmy po większej części w naszych powstaniach wybierali chwilę nieodpowiednią, żeśmy nie umieli zużytkować wszystkich sił naszych, żeśmy same powstania źle prowadzili. Wykazanie tych wszystkich stron ujemnych i błędów jest zadaniem historii; obrzucanie zaś błotem pokonanych, zostawmy „diejatielom” moskiewskim i junkrom pruskim.

Te to względy powodowały autorem, że zabrał się do pisania tej historii

smutnej i okropnej. W czasach, gdy pewne stronnictwa krótkowidzów, gdy wszelkiego rodzaju poziomi aferzyści i przemysłowcy, narzucili narodowi program wyparcia się czynnej opozycji przeciw najazdowi i uciskowi, gdy poddawanie karku pod jarzmo kaudyńskie, ustępowanie ze wszystkich nieomal placówek samoistności i odrębności narodowej, uchodzi za patriotyzm, za dobrą służbę ojczyźnie, gdy drobne aspiracje, małoduszne pragnienia, mieszczkańsko-kupieckie dążności stają się ideałem bytu narodowego, sądzimy, że książka malująca obraz innych czasów, innych pragnień, opisująca wysoki i jedyny w swoim rodzaju nastrój ducha polskiego, może być pożyteczną.

Z tych powodów autor nie wahał się zużytkować materiału, jaki zebrał przez kilka lat mozolnych, nieraz niebezpiecznych, a zawsze kosztownych studyów i poszukiwań. Czytelnik, w ciągu tej pracy, przekona się, że materiał ten był bardzo poważny i autentyczny. Składał on się w większej części z akt urzędowych, licznych korespondencji i raportów. Jak się do nich autor dostał, kiedyś może opowie. Nie potrzeba zdaje się, dodawać, że wszystko co w tym przedmiocie było drukowane w językach: polskim, francuzkim, niemieckim i rosyjskim, piszący, z małym bardzo wyjątkiem, może kilku broszur mniejszego znaczenia, których pomimo starań dostać nie mógł, czytał i odpowiednio zużytkował. Czytelnik zresztą łatwo się o tem może przekonać z wykazu źródeł drukowanych, na końcu tej przedmowy pomieszczonego, które autor miał pod ręką.

Niemniej starannie przejrzelśmy dzienniki współczesne, polskie, rosyjskie i francuzkie, które z wielu względów stanowią materiał nader ważny, choćby w zakresie ustalenia dat chronologicznych. Oprócz tego staraliśmy się zasięgnąć wiadomości ustnych od osób, które, albo w wypadkach ówczesnych brały udział bezpośredni, albo też zajmowały takie stanowiska, że mogły znać wiele i widzieć ukryte, zakulisowe sprężyny niektórych faktów. Jednym słowem robiliśmy wszystko co można było, by praca nasza nosiła na sobie wszędzie i zawsze charakter prawdy i autentyczności.

Źródła, z których czerpał, autor w tekście nie wymienia, a to dla dwóch powodów. Najprzód dla tego, że materiały rękopiśmienne, na których się w przeważnej części oparł, są dla ogółu nieprzystępne, więc wykazać ich nie może bez narażenia siebie i tych, którzy mu ich udzielili; potem dla tego, że dopiski na końcu tekstu zwiększają koszta nakładu, który w naszych stosunkach czytelniczych, jest znaczny i z trudnością się wraca. Trzeba było dzieło jak najoszczędniej wydać, by nie narazić się na straty. Te powody zmusiły autora do milczenia z kąd brał materiał do swych opisów, tu wszelako zapewnić może, iż nie ma ani jednego faktu, ani jednego twierdzenia w tej książce, które by nie było prawdziwe.

Tu i owdzie piszący zmuszony był polemizować z autorami dzieł, dotyczących wypadków, będących przedmiotem jego opowiadania. Polemikę tę jednak pomieścił w przypiskach, nie chcąc tekstu przerywać ustępami, mającymi zaledwie pośredni związek z treścią historyi. Autor wszelkimi siłami starał się unikać polemiki, i jeżeli ją rozpoczyna, to dla udowodnienia albo autentyczności podawanych przez siebie faktów, albo dla ich krytycznego wyjaśnienia.

Książka niniejsza obejmuje dzieje 1861 i 1862 roku. Dzieje te jednak musiały być poprzedzone długim wstępem, obejmującym czas od pokoju paryskiego. Było to koniecznem dla jasności i zrozumienia smutnych i bolesnych wypadków, którym dzieło to zostało poświęcone.

Czerwiec 1891 r.

SPIS BIBLIOGRAFICZNY

druków i niektórych rękopismów użytych przy pisaniu dzieła niniejszego

I. DRUKI

a) polskie

1. **Błoński Rafał** „*Stan sprawy narodowej w związku ze sprawą kościoła w latach 1860—61, z wyłożeniem przyczyn upadku powstania, przez Kraków, u Friedlcina, 1868 r.*”. Dziełko to notujemy tylko dla ścisłości bibliograficznej; jako materiał historyczny bowiem, nie przedstawia żadnej prawie wartości.
2. „*Bierni do czynnych, list z prowincyi. Paryż 1862*”, Broszura przygodna, skreślona przez członka stronnictwa białych i przeciwna powstaniu zbrojnemu.
3. „*Dodatek do projektu do prawa względem oczynszowania z urzędu*”.
4. „*Dodatkowe zmiany we wstępie do prawa o oczynszowaniu z urzędu*”.
Oba te numera, drukowane na arkuszach luźnych bez m. i r. są projektami urzędowymi.
5. **Dzwonkowski Władysław** „*Uwagi w kwestyi włościańskiej, ruskiej i żydowskiej. Paryż 1862*”. Mała broszurka, ze stanowiska stronnictwa ruchu napisana. Jako wyraz opinii chwili zasługuje na uwagę.
6. „*Galicja, czyli rok 1863 i 1864 przez autora „wspomnień kapitana wojsk polskich z r. 1863”. Lipsk, E.Ł. Kasprowicz 1865 r.*”. Wśród mnóstwa bredni poetyczno-dramatycznych, znajduje się parę szczegółów do naszego przedmiotu.
7. **Gawarecki Zygmunt** „*Dzień 8 kwietnia 1861 r. w Warszawie*”. Opis szczegółowy, ale bałamutny i nie malujący dobrze strasznych wypadków pomieszczony był w tygodniku lwowskim pt. „*Ruch literacki*” w r. 1878. Sądów i podań błędnych jest tu bardzo wiele, dlatego korzystać z tej pracy należy z wielką oględnością.
8. „*Głos powtórnny ze strony Bartłomieja Byczkowskiego na replikę w drodze restytucyi Aleksandra hr. Wielopolskiego i innych, b.m. i r.*” Arkusz luźny, odnosi się do procesu o ordynacyą pinczowską.

9. „*Głos szlachcica, Paryż 1859 r.*”. Broszura odnosząca się do sprawy włościańskiej na Litwie. Blizsze o niej szczegóły w tekście.
10. „*Głos w przedmiocie wyborów do rad powiatowych w Królestwie Polskiem r. 1861. Poznań, Żupański*”. Sam tytuł mówi o treści broszury przygodnej i niewielkiego znaczenia.
11. „*Głos z Paryża i Genui*”. Ultra czerwone przygodne pisemka. Znamy tylko dwa numera, jeden z Listopada, drugi z Grudnia 1861 r. Czy wyszło więcej, nie wiemy.
12. „*Głos kapłana Polskiego w drukarni tajemnej w Warszawie*”. Rodzaj czasopisma, które zaczęło się okazywać w nieregularnych odstępach czasu w Lipcu 1862 r. Blizsze szczegóły w tekście.
13. **Giller Agaton** „*Historia powstania narodu polskiego w 1861—1864 r. przez... wydanie drugie. Paryż, księgarnia luksemburska 1867*”. Tomów cztery. Właściwie do przedmiotu nas zajmującego potrzebne są tylko dwa pierwsze tomy, zawierające szereg sprawozdań krytycznych z różnych dzieł i broszur, jakie do r. 1867 ukazały się o powstaniu Styczniowem. W sprawozdaniach tych, tu i owdzie autor pomieścił luźne uwagi lub poprawki, mające dużą wartość, jako pochodzące od człowieka, który brał udział bezpośredni w ruchu. Na końcu obu tomów, pomieszczonych jest kilkadziesiąt dokumentów, dziś niezmiernie rzadkich, nadających wielką wagę pracy Gillera.
14. Tegoż „*Aleksander hr. Wielopolski, margrabia Gonzaga Myszkowski, przez A. G. Przedruk z Gazety Narodowej. Lwów 1878 r.*”. Jest to broszura niewielka, napisana z powodu śmierci Wielopolskiego. Autor, należący do stronnictwa rewolucyjnego, stanowczo potępia Wielopolskiego i widzi w nim jedną z przyczyn nieudania się ruchu. Dla tego powodu, jak również dla licznych niedokładności i błędnych informacji, broszury tej należy używać bardzo ostrożnie, choć stanowi ona ważny dokument, dając nam w formie jasnej i wyraźnej poglądy i opinie ówczesnego stronnictwa ruchu.
15. Tegoż „*Dzieje Delegacji warszawskiej w 1861 r. Ustęp z pracy niedrukowanej*”. Rzecz ta znajduje się w „*Wydawnictwie materiałów do historii powstania 1863/4. Tom wstępny. Lwów 1888 r.*”. Autor zaczyna od pierwszych manifestacji 1860 r. i kończy na rozwiązaniu Delegacji warszawskiej. Praca to nadzwyczaj mętna, bez ładu i składu pisana, zdradzająca w autorze brak głębszego zmysłu historycznego i jasnego zdania sobie sprawy z przedmiotem, który opisuje. Jako surowy jednak, choć nadzwyczaj stronny materiał, ma swoją wartość.
16. Tegoż „*Karol Ruprecht, szkic biograficzny. Lwów 18.. r.*”. W tonie panegirycznym trzymane, pozbawione jednak ścisłych dat i faktów, opisanie

- życia Ruprechta, jednego z czynniejszych i wybitniejszych członków ruchu. Jako materiał historyczny bardzo małej wartości.
17. **Górski Ludwik** „*Andrzej Zamoyski*”, praca pomieszczona w czasopiśmie warszawskim „*Niwa*” z r. 1879. Autor, jeden z wybitniejszych członków stronnictwa Klemensowczyków, podaje mnóstwo interesujących i autentycznych szczegółów, jakkolwiek jest bezwzględny wielbicielem tak samego Zamoyskiego, jak i jego programu. Bądź co bądź, rozprawkę tę, niewielką co do objętości, ale nader treściwą i wysokiej wartości literackiej, uważać należy za jedno z najlepszych źródeł, tak co do charakterystyki Zamoyskiego, jak i komitetu Towarzystwa rolniczego.
 18. **Epsilon** „*Żywot i czyny Wielopolskiego podług najnowszych badań, opisał... Poznań 1879*”. Nieznany autor na 62 stronicach nie podaje wprawdzie nic nowego, ale kreśli za to treściwą i wyborną charakterystykę Wielopolskiego.
 19. **Haller Cezary** „*A.Z. Helvel w Warszawie*”. (Przegląd polski z r. 1883). Kilka ciekawych szczegółów do wypadków przed i po 8 Kwietnia 1861 r.
 20. „*Historia powstania narodu polskiego 1863 i 1864 r. Tom I i II. Lwów 1882*”. Dzieło bezimienne, powstałe z odczytów, jakie autor miał o powstaniu, ale pobieżne i w wielu razach powierzchowne. Rzecz jest traktowana ze stanowiska rewolucyjnego. Autor widocznie brał w ruchu udział czynny, gdyż tu i owdzie podaje szczegóły, zdradzające, że są z własnej obserwacji zaczerpnięte. Jakkolwiek dzieło to ma charakter fejetonowy, dziennikarski, przecież jako materiał, w badaniach nad historią ruchu 1861/5, pominięciem być nie może. Do naszego przedmiotu potrzebnym jest tylko tom pierwszy.
 21. **Jastrzębczyk Juliusz** „*Krzyżowy charakter ruchu polskiego i trzy charakterystyki, przez... Nakład autora. Lwów 1864*”. Niewielka broszurka, zawierająca życiorysy ks. Fijałkowskiego, Białobrzzeskiego i Felińskiego. Autor doskonale wtajemniczony w przebieg ówczesnych spraw kościelnych, daje kilka interesujących i ważnych szczegółów. Ton broszury jest rewolucyjno-mistyczny.
 22. **Jeziorański Antoni** (generał) „*Pamiętniki... powstanie 1863. Lwów 1880*”. Tomów trzy. Jest to opis przygód dość głośnego dowódcy w powstaniu 1863 r. Autor rozpoczyna swą rzecz od chwili powrotu do kraju z mocy amnestyi 1856 r. i w formie zaniedbanej i nieudolnej opowiada w pierwszych siedmiu rozdziałach, czasy manifestacji politycznych. Opowiadanie jest nader pobieżne i poplątane. Autorowi nie zawsze dopisywała pamięć i nie zawsze umiał sobie zdać sprawę z rzeczy widzianych, ztąd podania jego należy brać z wielką ostrożnością.

23. **Kaczkowski Zygmunt** „*Rewolucyjne sądy i wyroki, rzecz osobista przedstawiona przez... Paryż i Wiedeń 1866*”. Znakomity powieściopisarz broni się tu przeciw niesłusznym oskarżeniom, jakie nań rzuciło w r. 1863 stronnictwo ruchu. Dla naszego przedmiotu ważną jest tylko wiadomość o założeniu i upadku dziennika „*Głos*” we Lwowie w r. 1861.
24. „*Kilka rysów z żywota Katarzyny jenerałowej Sowińskiej. Kraków 1883*”. Mała broszurka zawierająca biografią i opis manifestacji na pogrzebie Sowińskiej.
25. „*Kilka słów w sprawie modlińskiej. Poznań 1861 r.*”. Jest to opis procesu 86 osób, uwięzionych d. 8 Kwietnia 1861 r. na placu Zamkowym i obrona sędziów, którzy osoby te uwolnili. Materiał ważny.
26. **Klaczko Juliusz** „*Katechizm nierycerski, ojcom i matkom młodego pokolenia. Paryż 1859*”. Ognisty pamflet przeciw Mierosławskiemu, skreślony ze stanowiska partyi arystokratyczno-szlacheckiej. Rzuca dużo światła na ówczesne prądy umysłowe w emigracji polskiej. Wartość literacka wysoka.
27. **Kolumna Zygmunt** „*Pamiętka dla rodzin polskich. Krótkie wiadomości o straconych na rusztowaniach, rozstrzelonych, poległych i zmarłych na wygnaniu syberyjskim i tułactwie, ofiar z 1861—1866 r. ze źródeł urzędowych, dzienników, jak niemniej z ustnych podań osób wiarogodnych i towarzyszków broni, zebrał i ułożył... z wstępem skreślonym przez Bolesławitę. Kraków 1867 r.*”
Gruby tom, wraz z dodatkiem wyszłym w r. 1868. Jest to spis alfabetyczny różnych osób, padłych ofiarą wypadków, ale pełen błędów. Należy użytkować z niego z wielką ostrożnością.
28. **Lelewel Joachim** „*Sprawa żydowska w r. 1859, w liście do Ludwika Merzbache przez... rozważona. Poznań 1860*”. Są to uwagi znakomitego historyka nad zatargami redaktora „*Gazety Warszawskiej*” z żydami. W broszurze tej wypowiedziana jest, bodaj czy nie po raz pierwszy myśl uznawania żydów za „*Polaków mojżeszowego wyznania*”. Okoliczność ta nadaje małej tej książeczce znaczenie bardzo duże.
29. **Lisicki Henryk** „*Aleksander Wielopolski, przez... Kraków 1879*”. Tomów cztery. W pierwszym tomie jest życiorys margrabiego, w drugim i trzecim dokumenty. Tom czwarty całkiem do naszego przedmiotu nie należy. Praca skreślona dzielnie acz namiętne piórem, oparta na dokumentach nieznanymi, ofiarowanymi autorowi przez rodzinę po śmierci margrabiego, wartości wysokiej jako dzieło sztuki, jako biografia, ale jako historia nadzwyczaj stronna i zakrawająca na panegiryk. Autor uległ wadzie, wspólnej wszystkim biografom, że bohatera swego zrobił człowiekiem idealnym, ale tak idealnym, że

nie widać w nim krwi i kości istoty żywej. Z tego też powodu wszystką winę za nieszczęścia narodowe, autor zwała wyłącznie na stronnictwo ruchu, kiedy niestety! historia bezstronna przyznać jest zmuszona, że lwia część tej winy spada także na Wielopolskiego. W tekście, na miejscach właściwych, wykazujemy usterki autora, tu nadmienimy tylko, że pomimo wszystkiego, dzieło Lisickiego ma wysoką wartość historyczną, której znaczenie podnoszą dwa tomy dokumentów, w większej części nieznanych lub przedrukowanych z rzadkich pism.

30. „*Literacki i polityczny spadek po A. Wielopolskim, Poznań 1880*”. Broszura niepospolitej wartości literackiej, zdradzająca pióro wytrawne, umysł głęboki i krytyczny, wykształcony na najlepszych wzorach politycznych, ale zabarwiona pewnym bezwzględnym uwielbieniem dla margrabiego. Rzecz zresztą okolicznościowa, napisana zaraz po zgonie Wielopolskiego, bez której jednak przy studiach nad wypadkami 1861/2 r. żaden historyk obejść się nie może.
31. Litwa przed r. 1863 — rozprawa pomieszczona w dziele „*Wydawnictwo materiałów do historii powstania 1863/4. Tom wstępny*”. Autor opisuje położenie Litwy w 1861/2 r. oraz sprawę usamowolnienia włościan. Praca pobieżna, mętna, sucho traktowana i ze stanowiska wyłączności szlacheckiej.
32. **Lubliner O. Ludwik** „*Obrona żydów zamieszkałych w krajach polskich od niestusznych zarzutów i fałszywych oskarżeń. Bruksella, Grudzień 1858*”. Do historii podnoszącej się w tej dobie kwestyi żydowskiej, rzecz ważna. Autor broni żydów przeciw napaściom niektórych pism polskich i gorąco swych współwyznawców zachęca do zlania się z narodem polskim.
33. Tenże „*Napaść pana Lesznowskiego na Polaków wyznania mojżeszowego. Bruksella 1859 r.*”
34. Tenże „*Zatargi pana Kosmowskiego, redaktora „Gazety Warszawskiej” z żydami polskimi. Bruksella 15. Marca 1859*”. Obie wymienione broszury zdradzają przez tytuł swą treść i mają znaczenie jako wyraz prądów i opinii chwili.
35. „*Margrabia Wielopolski i reformy rządu rosyjskiego w Królestwie Polskiem. Poznań 1863*”. Broszura przygodna, napisana z wielkim talentem publicystycznym, ale jako materiał historyczny małej wartości.
36. **Mazurkiewicz W.** „*Emigracja polska w r. 1862. Paryż 1862*”. Jest to jedna z broszur, których takie mnóstwo w tej epoce gorącej się ukazywało. Materiał historyczny bardzo mały i wątpliwej autentyczności.
37. **Montalembert hr.** „*Naród w żałobie. Tłumaczył ks. Prusinowski. Grodzisk 1861*”. Broszura pełna wykrzykników patetycznych, napisana przez znane-

- go autora francuzkiego, który w lecie 1861 r. zwiedzał niektóre części Polski i unosił się nad żałobą powszechną w kraju. Notujemy ją tutaj tylko dla ścisłości bibliograficznej.
38. **Niegolewski** „*Dwie interpelacje posła pleszewskiego na posiedzeniu izby poselskiej sejmu pruskiego dnia 11 Kwietnia 1859 i 12 Maja 1860 r. wedle sprawozdań stenograficznych. Poznań 1860 r.*” Są to znane interpelacje w parlamencie Berlińskim w sprawie Baerensprungu. Ważne jako dokument historyczny.
 39. „*Narada prawników względem restytucji na integram w sprawie o ordynacyą Myszkowską*”.
 40. „*Odpowiedź ze strony Bartłomieja Byczkowskiego na otwory (sic) do restytucji w sprawie Aleksandra Wielopolskiego oraz innych członków jego familii przeciwko Józefowi margr. Myszkowskiemu*”.
 41. „*Odpowiedź ze strony Bartłomieja Byczkowskiego na skargę restytucyjną Aleksandra, Wincentego, Jana Kantego, Adama i Pawła hr. Wielopolskich*”. Trzy powyższe druki dotyczące procesu o Ordynacyą Myszkowskich mają tylko pośrednie znaczenie dla naszego przedmiotu.
 42. „*Ostatnie chwile Joachima Lelewela. Wydanie trzecie. Poznań 1863 r.*” Opis choroby, śmierci i pogrzebu znakomitego historyka z dołączeniem mów, wygłoszonych nad grobem. Broszurka bezpretensjonalna, ale cenna jako materiał.
 43. „*Polska w r. 1859. Paryż 1860*”. Sprawozdanie roczne, skreślone dzielnym piórem, jak się zdaje Juliana Klaczki.
 44. **Prawdzicki Stefan** (pseudonim). „*Wspomnienie o Zygmuncie Szczęsnym Felińskim, arcybiskupie metropolicie warszawskim, napisał... Kraków 1866 r.*”. Rzecz trzymana w tonie kaznodziejskim jako jednak dzieło księdza, który miał sposobność znać i widzieć wiele spraw zakulisowych, rozgrywających się około arcybiskupa, niezmiernie dla naszego przedmiotu ważne. Nie pozbawione jest ono atoli licznych błędów, jak np. pobyt arcybiskupa w Gączynie jest całkiem fałszywie przedstawiony. W tekście we właściwym miejscu fałsze te i niedokładności wytykamy.
 45. „*Protokół ogólny, dotyczący projektu o żydach w Królestwie Polskiem*”.
 46. „*Protokół ogólny, dotyczący projektu do prawa względem oczynszowania*”. Dwa urzędowe druki, na arkuszach osobnych, bez daty i miejsca.
 47. „*Protokoły posiedzeń Delegacji warszawskiej od d. 6 Marca do 23 Marca 1861 r.*”. Pięć arkuszy in folio protokołów litografowanych. Jako materiał ma znaczenie pierwszorzędne dla naszej pracy.
 48. **Radomiński Józef**. „*Kronika wypadków miasta Warszawy od 1861 do 1863 r.*”, wydrukowana w „*Kalendarzu polskim na r. 1866*” w Bendlikowie. Ważny choć suchy i często błędny spis kronikarski wypadków.

49. „*Replika w sprawie Szanieckiego przeciwko hr. Wielopolskiemu*” odnosi się do procesu o ordynacyą Myszkowską.
50. „*Ruch polski w r. 1861, Lipsk 1862*”. Jest to broszura, napisana z natchnienia Wielopolskiego, jak wieść niesie przez Miniszewskiego z tendencją antyrewolucyjną. Ma tylko wagę jako wyraz pragnień i aspiracji stronnictwa margrabiego.
51. „*Rzut oka na rozwój polityczny i społeczny w Królestwie Polskiem od 1861 do naszych czasów. Sprawa polska w r. 1862. Lipsk 1862*”. Broszura przygodnie, podobnie jak poprzednia, pochodząca z natchnienia Wielopolskiego i z tego względu zasługująca na uwagę.
52. **Skarbek Fryderyk hr.** „*Dzieje Polski — Poznań 1879 r.*”. Do naszego przedmiotu potrzebny jest tom trzeci. Opis jest pobieżny i nic nowego w sobie nie zawiera, choć autor ze swego stanowiska mógł o wielu rzeczach wiedzieć.
53. **Skrzyński St.** „*Andrzej Zamoyski i jego program polityczny. Kraków 1883*”. Mała broszurka w tonie panegirycznym skreślona, bez żadnej prawie wartości.
54. „*Skarpa Maryanny z hr. Wielopolskich, przeciwko: 1) Aleksandrowi hr. Wielopolskiemu, 2) Józefowi hr. Wielopolskiemu, 3) spadkobiercom Elżbiety z hr. Wielopolskich, Warszawa 1862 r.*”. Brzydki proces rodzinny, toczący się gdy margrabia był już Naczelnikiem rządu cywilnego, rzucający jaskrawe światło na jego charakter.
55. „*Sprawa Polski w parlamencie angielskim*” b.m. i r. sprawozdanie z posiedzeń izby wyższej w Maju 1861 r. Jest to odbitka z „*Gazety Narodowej*” lwowskiej.
56. „*Sprawa Polski w r. 1861. List z kraju. Wydanie drugie. Paryż 1862*”. Bardzo czytana w swoim czasie broszura, zastanawiająca się z punktu widzenia rewolucyjnego nad położeniem kraju.
57. „*Suum cuique. Kiku słów z powodu niektórych ustępów dzieła pt. „Aleksander Wielopolski*”. Drezno 1878. Mała broszura, która się wcale w handlu księgarskim nie ukazała, pióra Karnickiego. Dla historii reform materiał pierwszorzędno znaczenia. Autor, jak wszyscy zresztą ludzie, odgrywający jaką rolę historyczną, przypisuje sobie głównie wyjednanie reform marcowych. We właściwym miejscu rzecz tę szczegółowo rozbiegamy.
58. **Szaniecki Jan Olrych.** „*Rekurs ze strony... przeciwko hr. Wielopolskiemu*”. Druk odnoszący się do procesu o ordynacyą Myszkowską.
59. Tenże „*Historia, praca i dowody własności dziedzicznej tej części dóbr, która z fideikomism margrabiów Myszkowskich rozsprzedaną została. Z oryginalnych dokumentów, ustaw krajowych i wszelkich innych źródeł zebrana*

- przez... radcę województwa krakowskiego, nabywcę najznaczniejszej części dóbr rzeczonych i ekspronitenta wszystkich długów w ogóle, tak hipotecznych całego fideikomisu, jako i osobistych JW. J. N. hr. Wielopolskiego, margrabiego z Gonzanów Myszkowskiego. Warszawa 1820 r.*”. Rzadka bardzo książka, do sprawy o ordynację Myszkowską znaczenia pierwszorzędnej.
60. Tenże „*Odpowiedź na rozbiór. Warszawa 1825 r.*”. Zjadliwa i cięta polemika z Aleksandrem Wielopolskim z powodu procesu o rzeczoną ordynację.
61. **Tarnowski Stanisław hr.** „*Waleryan Kalinka*”, życiorys pomieszczony w „Przeglądzie Polskim” z r. 1888, zawiera nieco szczegółów, mających związek pośredni z zajmującym nas przedmiotem.
62. „*Wiadomości z kraju z lat 1861/2. Lipsk 1863*”. Jest to zbiór różnych dokumentów z r. 1861, ogłoszeń, wyciągów z gazet, dość niesystematycznie zebrany i nie kompletny. Największą wartość mają wyciągi z ówczesnych pism rewolucyjnych rosyjskich, które są bardzo rzadkie.
63. **Wielopolski hr. Aleksander.** „*Replika ze strony... w sprawie o uznanie za nieważne umów zmniejszających ordynację Myszkowskich z 12 kluczków na 3 klucze*”. Druk in folio bez miejsca i roku. Znaczenie jego dla naszej pracy sam tytuł określa.
64. Tenże „*Wywód ze strony... w sprawie o uznanie za nieważne umów, zmniejszających ordynację Myszkowską z 12 kluczków na 3 klucze*”.
65. Tenże „*Rozbiór pisma mającego tytuł Historia, prawa i dowody własności dziedzicznej tej części dóbr itd. Kraków 1824*”. Jest to zjadliwa polemika z dziełem Szanieckiego, zaznaczonem w naszym spisie pod Nr 59.
66. Tenże „*Mysli i uwagi*”, „*Kronika rodzinna*” Nr 10 z r. 1878. Jest to zbiór aforyzmów, drukowanych pierwotnie w „Kwartalniku naukowym”, wydawanym w Krakowie przez Helcla w r. 1835/6. Do charakterystyki margrabiego dokument ważny, jakkolwiek znaczenie jego i doniosłość zbyt przesadzono.
67. Tenże „*Biblioteka ordynacji Myszkowskiej. Kraków 1859 r.*”. Zawiera polemikę margrabiego o zapis Świdzińskiego.
68. Tenże „*Zapis Świdzińskiego. Warszawa 1859 r.*”. Są tu mowy margrabiego, wygłoszone w sądzie apelacyjnym i senacie z powodu procesu o zapis Świdzińskiego oraz polemika z przeciwnikami.
69. **Wielopolski hr. Zygmunt.** „*List otwarty... do Stanisława hr. Tarnowskiego. Kraków 188*”. Jest to odpowiedź na uwagi krytyczne, jakie hr. Tarnowski napisał o dziele Lisickiego. Poza tem znajduje się tu kilka interesujących szczegółów, odnoszących się do naszego przedmiotu.
70. „*Wydawnictwo materyatów do historii powstania 1863–1864. Lwów 1888*”. Dotąd (do r. 1890) wyszło dwa tomy. Do naszego przedmiotu potrzebny

jest tylko tom wstępny. Zawiera on „słowo wstępne”, czyli ogólny rzut oka na ruch przedpowstańczy i samo powstanie. Jest tu parę szczegółów wątpliwej autentyczności; dalej „Litwa przed r. 1863” i „Dzieje delegacji warszawskiej w 1861 r. przez A. Gillera”, o których to pracach we właściwym miejscu mówimy. W dziale dokumentów, pomieszczonych w tym tomie, nie ma ani jednego, który by nie był kilkakrotnie przedrukowany i znany powszechnie.

71. „Wyrok sądu apelacyjnego w sprawie o margrabstwo Myszkowskie w d. 2, 3, 4, 9, 10, 11, 14, 15, 16, 17 i 21 Grudnia 1829 r. zapadły”.
72. „Wyrok sadu najwyższej instancji r. 1836 o sprawie ordynacji Myszkowskich zapadły”. *Oba druki mówią o swej treści¹*).

b) rosyjskie

73. **Andrejewskij J.E.** „*Kniaź Aleksander Arkadiewicz Suworow*” (czasowisko „Russkaja Starina” z r. 1882). W rozdziale V, znajdują się interesujące szczegóły o zaburzeniach studentów uniwersytetu petersburskiego w r. 1861.
74. **Arseniew J.A.** „*Warszawa w 1861 roku – iz pamiatnoj kniżki*”. Autor wezwany był w maju 1861 r. przez Gorczakowa do Warszawy dla pisania korespondencji o wypadkach do gazet rosyjskich i zagranicznych. Jakkolwiek jednak patrzył na wiele rzeczy własnymi oczami i miał dostęp do źródeł urzędowych, nie umiał jednak lub nie chciał może z nich należycie korzystać. Rzecz jest pobieżna, szczegółów nowych niewiele, zaprawionych stronniczością niskiego pokroju „diejatiela”. Pamiętnik ten drukowany był w miesięczniku „Istoriczeskij Wiestnik” z r. 1886.
75. Tenże „*Iz proszłago. Warszawskij archiepiskop Felińskij otrywok iz pamiatnoj kniżki*”. Krótka i parcyalna charakterystyka Felińskiego, drukowana w „Istoriczeskim Wiestniku” z r. 1886.
76. Tenże: „Wospominania” („Istoriczeskij Wiestnik” z r. 1887). W rozdziale XIV znajduje się charakterystyka Chrulewa i Lamberta.
77. **Berg Nikołaj W.** „*Zapiski... o polskich zagovorach i wozstaniach 1831—1862 izdanie „Russkago Archiwa*” Moskwa 1873. Bardzo cenne dzieło,

1 W spisie powyższym nie pomieściliśmy kilkunastu małego znaczenia broszur, oraz mogliśmy to i owo pominąć przez przeoczenie, w tekście jednak, tam gdzie należy, o dziele takim, jeżeli ono co ważnego zawiera, wspominamy. Prócz tego nie wymieniamy tu, nie chcąc zbyt rozszerzać ram rzeczzonego spisu, licznych odezw, proklamacji i druków ulotnych rewolucyjnych, zwłaszcza, że o nich w tekście mówimy, lub je nawet in extenso przytaczamy. Nie podajemy tu także ukazów, rozporządzeń rządowych i ustaw, które znaleźć można w gazetach ówczesnych lub w „Dzienniku praw Królestwa Polskiego”.

pisane z możliwą u Rosyanina bezstronnością, obejmuje czas od upadku powstania 1831 r. aż do wyjazdu z Warszawy Lamberta. W przeważnej części oparte na źródłach archiwalnych, do których Berg, jako lektor uniwersytetu warszawskiego i urzędowy niejako historyk ostatniego powstania, miał jeszcze przez namiestnika Berga i Jenerał-gubernatora Kotzebuego, udzielony przystęp. Mimo to nie wolne od usterek i błędów, a częstokroć zupełnie fałszywych podań. Dalszy ciąg tej pracy znajduje się w „*Russkim Archiwie*” z r. 1874; wyszła ona także w całości w niewielkiej liczbie egzemplarzy w czterech tomach, które obejmują i samo powstanie zbrojne, ale wydania tego nie znamy. Przekład polski wyszedł w Krakowie.

78. Tenże „*Kniaź Michaił Dmitriewicz Gorczakow*”. Dosadna, choć karykaturalna charakterystyka namiestnika Królestwa, drukowana w „*Russkiej Starinie*” z r. 1880. Wywołała ona liczne odpowiedzi i sprostowania, które zaznaczamy we właściwym miejscu. Na sprostowania te dał swą odpowiedź Berg w teźże „*Russkiej Starinie*” z r. 1880, bardzo ciekawą i ważną.
79. Tenże „*Imperator Aleksander II i graf Zamojski*” („*Istoriczeskij Wiestnik*” z r. 1888), zawiera opis wywiezienia Zamojskiego we wrześniu 1862 r. do Carskiego Sioła, skreślony na podstawie opowiadania rotmistrza żandarma Sierzputowskiego, który towarzyszył panu Andrzejowi.
80. **Biłyk J.** „*Trewoga nad świeżoj mogiłoj T.G. Szewczenka*” (czasopismo „*Kijewskaja Starina*” z r. 1886). Jest to bezpretensjonalna choć nieprzyjazna nam relacja o wzburzeniu, wynikiem w czerwcu 1861 r. śród ludu ukraińskiego przeciw szlachcie polskiej. Rzeczą oparta na dokumentach urzędowych.
81. **Borszczow S.M.** „*Samoubijstwo generała Gersztencwejga*” („*Istoriczeskij Wiestnik*” z r. 1887). Borszczow był przyjacielem namiestnika Lamberta i był świadkiem naocznych dramatycznych wypadków, które spowodowały śmierć Gerstenzweiga.
82. **Bułhakow T.** „*Russkij gosudarstwiennyj czetańnik*” („*Istor. Wiestnik*” z r. 1882). Jest to życiorys ambasadora rosyjskiego w Paryżu, Kisielewa, oparty na jego dzienniku własnoręcznym. Do naszego przedmiotu potrzebny jest rozdział V, który zawiera kilka interesujących szczegółów.
83. **Chrulew S.** „*Dniewnik*” (w miesięczniku „*Kołosia*” z r. 1884), ważny i ciekawy z tego powodu, że pisany pod wrażeniem chwili i wielokrotnie oparty na tajnych doniesieniach policyj, które żywcem Chrulew wcielał do swego dziennika. Obejmuje mniej więcej czasy Suchozaneta, tj. Czerwiec, Lipiec, Sierpień 1861 r.
84. **Chruszczów A.P.** „*Otrywok iz dniewnika*” („*Istor. Wiestnik*” z r. 1881). Kilka bardzo interesujących szczegółów z ruchów w Lublinie w 1861 r.,

- gdzie Chruszczow był naczelnikiem wojen.
85. **Cyłow N.** „*Sigizmund Sierakowski i jego kaźń spredszestwowawszimi polskimi manifestacjami w Wilnie w 1861–63 godach. Iz diel wilenskoj sledstwiennoj kommissii po političeskim dielam, sostawił... Wilno 1867*”. Broszura na urzędowych dokumentach oparta, z wielu względów ciekawa, jakkolwiek w wysokim stopniu nam nieprzyjazna.
 86. „*Dniewnik zakliuczennoego*”. („*Istor. Wiestnik*” z r. 1882). Jest to dziennik oficera batalionu strzeleckiego, nazwiskiem O... W, który zamówił wraz z kilku kolegami nabożeństwo żałobne za rozstrzelanych w Modlinie: Arnholda Śliwickiego i Szczura. O... W uwięziony w cytadeli, siedział następnie w Modlinie. Bezpretensjonalny opis jego cierpień, zawiera wiele szczegółów interesujących, tak co do pobytu w samej cytadeli, jak i niektórych wypadków ówczesnych.
 87. „*Dokumenty k polskomu zagoworu. Wilna 1866*”. Mała broszurka, obejmująca cztery tzw. dokumenta, a mianowicie 1) „nastawienie kniazia Czartoryskiego”, 2) „polski katechizis”, 3) „stanieniem uczitsia”, 4) „konspirationna organizacia dla polskich wospitannikow”. W ogólności jest to niegodny pamflet, a jego dokumenta sfalszowane. Dla naszych badań ma tylko znaczenie pośrednie.
 88. **Gogel N.W.** „*Josafat Ogryzko i peterburgskij rewołucionnyj rżond w diele posledniago miatieża. Sostawił... Izdanie wtoroje znacžitidno dopołniennoje. Wilna 1867*”. Autor był członkiem komisji śledczej w Wilnie i oparł swą pracę na dokumentach urzędowych. Rzecz napisana stronnie i bez żadnego talentu pisarskiego. Mnóstwo tu szczegółów do organizacji i składu kółek rewolucyjnych w stolicy Rosyi, szczegółów rozrzuconych bezładnie po całej książce, mającej zresztą charakter pamfletu, jednego z tych, jakie w dobie murawiewowskiej tak obficie się ukazywały, stanowiąc zakałą prawdziwą literatury rosyjskiej.
 89. **Karcow P.P.** „*Warszaewa w 1860–1861 g.*”. („*Russkaja Starina*” z r. 1882). Bardzo pobieżny i pełen błędów opis wypadków zaszłych w wymienionych latach. Ważnym jest tylko z tego względu, że redakcja dołączyła do niego, otrzymany od Pawła Muchanowa szereg depesz telegraficznych, jakie z Warszawy namiestnicy wysyłali do Petersburga lub zamtąd otrzymywali. Depesze te, pierwszorzędny materiał historyczny, pochodzą od 14 Lutego (v.s.) 1861 r. a kończą 16 Czerwca 1862, to jest nieomal w chwili przyjazdu W. Ks. Konstantego. Powtarzamy, jest to materiał wartości nieocenionej.
 90. **Majewskij J.** (*Ksiądz Katolicki*) „*Grodnienskaja procesia 14 Augusta 1861 g.*”. („*Russkaja Starina*” z r. 1891). Opis szczegółowy wypadków, za-

- szyłych podczas procesji do Różanego Stoku w dzień Wniebowzięcia N. Maryi Panny. Dla nas ma znaczenie tylko rozdział pierwszy, gdyż w następnym są szczegóły osobiste.
91. **Markgrafskijn A.** „*Istoria Iejbgwardii litowskago polka. Warszawa 1887 g.*”. Z powodu, że pułk ten przybył do Warszawy w r. 1862, jest tu nieco szczegółów o ówczesnem położeniu.
 92. **Ługanin** „*Opyt istorii Iejbgwardii wołyńskiego polka. Peterburg 1889*”. Do naszego przedmiotu potrzebny tom II, w którym jest wiele ciekawych szczegółów o wypadkach 1862 roku.
 93. **Oczewidiec** „*Posledniaja polskaja smuta — ruskazy oczewidca 1861–1864*”. („*Russkaja Starina*” z r. 1874). Nader interesujące, pełne humoru wytworzonego i mnóstwa faktów, jakkolwiek nie pozbawione błędów opowiadanie o rządach Suchozaneta, Lamberta Lüdersa i W. Ks. Konstantego. Wywołało ono kilka sprostowań, rzucających pewne światło na wypadki.
 94. **Pawliszczew N.J.** „*Sielnicy polskoga miaticza 1861–1864. Peterburg 1887*”. Dwa tomy; ogólnego zbioru dzieł Pawliszczewa tomy: czwarty i piąty. Pawliszczew był niegdyś prezesem komitetu cenzury w Warszawie, a następnie redaktorem osławionego „*Dniewnika Warszawskiego*”. Na książkę tę złożyły się raporta tygodniowe, jakie przysyłał poza plecami władz warszawskich, cesarzowi. Jest to więc materiał pierwszorzędnej wagi, kreślony dość spokojnie i bezstronnie, jakkolwiek tu i owdzie pełen błędów, bardzo zresztą wytłumaczonych. Raporta te obejmują peryod czasu od 13 Listopada 1861 r. aż do 15 Maja 1864. Dla naszego przedmiotu potrzebny jest tylko tom pierwszy.
 95. **Podwysockij A.** „*Zapiski oczewidca o sobytjah w Warszawie w 1861 i 62 godach. Sostawił po dokumentom... Peterburg 1869*”. Autor był naczelnikiem policji tajnej w Warszawie w peryodzie manifestacyjnym, z kąd uciekł zagrożony śmiercią. (Podobno znaleziono go powieszonym we własnem mieszkaniu i ocalono). Mógł zatem wiele rzeczy wiedzieć. Książka z tego względu jest ciekawą i jako materiał ważną, choć należy ostrożnie z niej korzystać. Podwysockij jest zdeklarowanym naszym wrogiem, ztąd dzieło jego tchnie duchem nienawiści i poziomym poglądem policyjnym na wypadki.
 96. „*Polskaja rewolucionnaja obiednia — izwleczenie iz diet kijewskoj sledstwiennoj kommissii porewod. Wilna 1866*”. Jest to odbitka z „*Wiestnika zapadnoj Rossii*” i ma być mszą polską rewolucyjną. Broszura ta należy do tych wstrętnych pamfletów, jakimi diejaciele murawiewoscy zarzucali przed trzydziestu niespełna laty literaturę rosyjską. Jako materiał nie ma żadnego znaczenia.

97. **Przeclawskij O.** (Polak) „*Josufal Ogryzko i jeno polskaja gazieta „Słowo” („Russkij Archiw” z r. 1872).* Przeclawski, niegdyś wydawca „*Tygodnika Petersburskiego*”, wysoki urzędnik zarządu prasy w Petersburgu opowiada tu w formie pamiętnikowej dzieje założenia i upadku „*Słowa*”. Jest tu dużo szczegółów nieznanymi i charakterystycznymi.
98. **Rotkirch** „*Epizody iz sobytij 1861–64 godow*” („*Russkij Archiw*” z r. 1885). Nieco szczegółów do wypadków 15 Października 1861 r. choć dość mętnie i z nienawiścią do nas podanych.
99. **Rajkowskij S.** „*Polskaja molodież zapadnago kraja w miatieże 1861–1863 g.*” („*Russkij Wiestnik*” z r. 1869) zawiera dużo faktów ze źródeł urzędowych czerpanych, tak do peryodu manifestacyjnego, jak i samego powstania. Wszystko to jednak jest nadzwyczaj beładnie i niesystematycznie napisane. Autor jest naszym wrogiem zaciętym.
100. **Ratcz Wasilij** „*Swiedienia o polskom miatieże 1863 g. w siewiero-zapadnoj Rossii, sobrat. Tom I, Wilna 1867. Tom II, 1808 g.*”. Ratcz był historykiem urzędowym naznaczonym przez Murawiewa do opisania powstania na Litwie. Dzieło złe, bałamutne, skreślone nieudolnie, bez żadnej wartości literackiej, przesiąknięte serwifizmem, duchem policyjnym i nienawiścią do wszystkiego co polskie. Do naszego przedmiotu tu i owdzie znaleźć można nieco szczegółów, rozrzuconych bez ładu i składu w różnych miejscach. Korzystać jednak z nich należy z wielką ostrożnością.
101. Tenże „*Polskaja emigracja do i wowremnia posledniago miatieża. 1831–1863. Wilna 1866 g.*”. Posiada wszystkie wady pracy poprzedniej. Nieco szczegółów rozrzuconych beładnie wśród frazeologii niesmacznej po całej książce.
102. **Sierno-Sołowiewicz M.** „*Biskup Muszewskij w Łenczicz epizod iz posledniej polskoj smuty*” („*Istoriczeskij Wiestnik*” z r. 1886). Opis kociej muzyki, wyprawionej Marszewskiemu w Łęczycy w Sierpniu 1861 r.
103. **Sławutinskij S.** „*Gorod Grodno i grodnienskaja gubernia wowremnia posledniago polskago miatieża*” („*Istoriczeskij Wiestnik*” z r. 1889). Dużo szczegółów i faktów, ale że rozprawka ta pisana była z pamięci po znacznym przeciągu czasu, więc pełna błędów i opuszczeń.
104. **Sołowiew J.A.** „*Zapiski senatora...*” („*Russkaja Starina*” z r. 1886), zawierają nieco szczegółów do pobytu cesarza Aleksandra II w Wilnie w r. 1858.
105. **Spasowicz W.D.** „*Żizń i politika markiza Wielepolskago epizod iz istorii russko-polskago konfliktu i woprosu. Soczinił... Peterburg 1882*”. Dzieło wytworne i literackiego pióra, ztąd wysokiej wartości jako utwór artystyczny. Za przykładem Lisickiego, Spasowicz zbyt idealizuje Wielopol-

- skiego. Jest to kompilacja, ale znaczenia pierwszorzędne. Materiału nowego bardzo niewiele.
106. **Szczebalskij P.** „*Nikołaj Aiehiqjeicicz Miludin i reformy w carstwie polskom*” („*Russkij Wiestnik*” z r. 1882). Dla naszego przedmiotu potrzebne są tylko dwa pierwsze rozdziały, jakkolwiek praca ta przesiąknięta nienawiścią dla Polaków, nadzwyczaj stronna, nie daje żadnego nowego materiału. Przeważnie jest to kompilacja znanej rozprawy p. Leroy-Beanlien pt. „*Un homme d'état russe*”.
 107. **Tatiszczew S.** „*Russkaja diptomatia w polskom woprosie (1853–1863 g.)*” („*Russkij Wiestnik*” z r. 1888). Artykuł ten jest bardzo dobrze wykonaną kompilacją z różnych, rozprószonych po książkach i gazetach, materiałów. Nowego w nim nie wiele, ale badacz tej epoki nie może go w żadnym razie pominąć. Ton tej pracy jest spokojny, choć nam nieprzyjazny.
 108. **Ustimowicz M.P.** „*Zagowory i pokuszeniu na ziżń namiestnika J.J.W. w Carstwie polskom i gławnokomandajuszczago wojskami warszawskiego wojennego okruga, generał-feldmarszala Grafa Berga, 7/19, Sentiabra 1863 g. sostawił po dokumentam... Warszawa 1870*”. Broszura ta ma dla naszego przedmiotu o tyle tylko znaczenie, że zawiera na końcu spis wszystkich kół, komitetów i rządów rewolucyjnych, oparty na dokumentach urzędowych, mieszczących się w archiwach cytadeli warszawskiej.
 109. „*Wsiepoddamniejszjy otczet o diejstwiach uprawlenia generał-policmejstera w Carstwie Polskom za 1864 god. Warszawa 1865*”. Sprawozdanie sporządzone przez biuro jenerała policmajstra dla cesarza. Dla nas ma tylko znaczenie pośrednie z tego samego powodu co i broszura Ustimowicza. Dzieło nader rzadkie, gdyż odbite zostało w niewielkiej ilości egzemplarzy. Drugi tom, obejmujący rok 1865, do zakresu naszych badań nie należy.

c) francuzkie

110. **Angeberg** (comte d') „*Receuil des traités, concentions et archives diplomatiques, concernant la Polognc, 1762-1862, par le comte... Paris et, Leipzig 1862*”. Znany zbiór dokumentów; dla poszukiwań historycznych niezbędny.
111. **Blanc Victor** „*Aperçu sur les événements de Varsovie en 1861 et 1862, par un témoin oculaire, par... Paris 1866*”. Nieco szczegółów o wypadkach 1861 r. okraszonych bujną frazeologią.
112. **Klaczko Julien** „*Etudes de diplomatique contemporaine. Les cabinets de l'Europe en 1863-1864 par... Paris 1866*”. Mistrzowsko skreślone studium o przebiegu sprawy polskiej od czasu kongresu paryzkiego aż do upadku powstania 1863 roku, wśród dyplomacji europejskiej. Jako materiał pierwszorzędnej wagi i znaczenia.

113. **Lescoeur Louis** (Ksiądz) „*L' église eutoligue en Pologne sous le gouvernement russe par... Paris 1860*”. Bardzo ważna historia kościoła w Polsce od czasów rozbioru, oparta na dokumentach, po większej części pierwszy raz przez autora opublikowanych.
114. **Leroy-Beaulien Anatole** „*Un homme d'état russe*” („*Revue des deux mondes*” z r. 1880). Życiorys Milutyna oparty na jego korespondencji. Wyszedł także w osobnej książce, ale wydania tego nie znamy. Do naszego przedmiotu potrzebny rozdział III.
115. **Lisicki M. Henry** „*Le marquis Wielopolski, sa vie et son temps. 1803-1877, par... Vienne 1880*”. Dwa tomy. Życiorys margrabiego napisany przez to samo pióro, które skreśliło panegiryk Wielopolskiego po polsku. Dzieło francuzkie o wiele jest obszerniejsze i kompletniejsze. Autor pomieścił tu wiele szczegółów takich, których dla różnych względów nie chciał podawać czytelnikom polskim. Książka bardzo ważna dla historyka tej epoki.
116. **Loubliner Louis**. „*De la condition politique et civile des Juifs dans le Royaume de Pologne. examon critique d' un rapport par... Bruxelles 1860*”. Jest to surowa krytyka raportu Muchanowa o żydach. Wiele ustępów i szczegółów interesujących.
117. **Regnault M. Elias** „*La Pologne devant le parlement anglais, avec une introduction de... Paris 1862*”. Broszura ta zawiera rozprawy nad kwestią polską w parlamencie angielskim w d. 4 Kwietnia 1862 r. Na końcu pomieszczona jest interesująca, jakkolwiek nie dotycząca naszego przedmiotu, korespondencya dyplomatyczna w sprawie polskiej w r. 1831 i 1832 po raz pierwszy przedłożona parlamentowi w r. 1861.
118. **Schedo-Ferotti** „*Etudes sur l'acénir de lu Russie. lluitieme étude. Que fera-ton de la Pologne? Berlin 1865*”. Użytkowaliśmy z edycji drugiej. Dziełko to zawiera kilka nieznanych szczegółów. W tekście, we właściwym miejscu mówimy o nim i o jego autorze.

d) niemieckie

119. **Knorr Emil** „*Die polnischen Aufstände scit 1830 J. in ibrem Zusammenhange mit den internationalen Umsturzbestrebungen, Berlin 1880*”. Autor, major wojsk pruskich, miał przez namiestnika Berga w Warszawie udzielony sobie przystęp do archiwów rządowych. W jego książce ważnym jest tylko zbiór dokumentów wydrukowanych na końcu dzieła.
120. **Sybel H.** (von) „*Die Begründung des deutschen Reiches durch Wilhelm I. München und Leipzig 1889*”. Do naszego przedmiotu potrzebny jest tom drugi, w którym jeden rozdział poświęcony jest sprawom polskim i zawiera kilka nowych szczegółów.

121. *„Vorläufer (die) des polnischen Aufstandes. Reitrüge zur Geschichte des Königreichs Polen, von 1855 bis 1863. Leipzig 1864”*. Szereg felietonów kreślonych pod wrażeniem chwili przez jednego z rabinów żydowskich warszawskich do *„National Ztng”*. Rzeczą pisana z werwą dziennikarską, ale materiału nowego prawie nie zawiera.

II. CZASOPISMA

1. *„Baczność”*, czasopismo, wychodziło od Lipca 1862 r. w Paryżu; wydawca Ludwik Brzozowski. Znany tylko pierwszy numer, który ma charakter ultraczerwony.
2. *„Czas”*, dziennik wychodzący w Krakowie; osiem roczników od 1855 do 1862 r.
3. *„Dziennik Powszechny”*, organ Wielopolskiego, wychodził w Warszawie od 1 Października 1861 r. Dwa roczniki: 1861 i 1862 r.
4. *„Demokrata Polski”*, wychodził w Londynie pod redakcją A. Żabickiego. Dwa roczniki 1858 i 1859.
5. *„Dziennik Poznański”*, roczniki z lat 1861 i 1862.
6. *„Gazeta Codzienna”*, wychodząca w Warszawie, roczniki z lat 1855 do 1861. Od Kwietnia 1861 zmieniła tytuł na *Gazetę polską*. Rocznik z 1862 r.
7. *„Gazeta Narodowa”*(lwowska), roczniki z lat 1861 i 1862.
8. *„Gazeta Warszawska”*, roczniki od 1855 do 1862.
9. *„Głos”*, dziennik wychodzący we Lwowie pod redakcją Zygmunta Kaczkowskiego przez kilka miesięcy w 1861 r.
10. *„Kołokoł”*, czasopismo rosyjskie, wydawane w Londynie przez A. Hercena. Rocznik z 1861 i 1862 r.
11. *„Kommunaly”*, pismo humorystyczne warszawskie, redagowane przez Miniszewskiego, ilustrowane. Wychodziło w r. 1862. Znamy tylko trzy numera.
12. *„Kosynier”*, czasopismo tajne, warszawskie, przeznaczone dla sfer Iudowych i rzemieślniczych. Numer pierwszy ukazał się d. 21 Sierpnia 1862. Motto „hej, czas zacząć już chłopcy, z serca zrzucić trwogę, a Bóg rzeknie waszej pracy, toć i ja pomogę”. Pod nagłówkiem rysunek, przedstawiający Kosyniera. Pół arkusza we dwoje złożone, litografowane. Znamy tylko dwa numera (drugi z d. 26 Sierpnia t.r.), zdaje się, że więcej ich nie było.
13. *„Kuryer Wileński”*, pod redakcją Kirkora, dwa roczniki z lat 1861 i 1862.
14. *„Kuryer Warszawski”*, roczniki z lat 1860, 61 i 62.
15. *„Pobudka”*, organ potajemny, począł wychodzić w Warszawie w Listopadzie 1861 r., po większej części litografowany na ćwiartce dużej. Z r.

- 1861 znamy tylko dwa, z r. 1862 trzy numera, z których drugi i trzeci są drukowane szczotką.
16. „*Prawdziwy Patryota*”, czasopismo tajne, warszawskie. Numer pierwszy odbity w „Drukarni Niezależnej”, ukazał się d. 27 Marca 1862 r. Mała kartka ir. 16-ce. Zdaje się, że wyszedł tylko jeden numer.
 17. „*Przegląd Rzeczy Polskich*”, czasopismo zeszytowe, wychodziło w Paryżu pod redakcją Seweryna Elżanowskiego. Roczniki z lat 1859, 60, 61 i 62.
 18. „*Ruch*”, pismo tajne, organ urzędowy Komitetu centralnego. Począł wychodzić w Sierpniu 1862 r. W roku tym wyszło numerów jedenaście. Niektóre egzemplarze są bardzo rzadkie i w poszukiwaniach naszych nie zdarzyło nam się widzieć kompletu tego pisma. Drukowane było szczotką na dużych półarkuszach, zwykle na jednej stronie.
 19. „*Sternik*”, pismo tajne, ukazywało się w Warszawie, ale jest tak rzadkie, że widzieliśmy zaledwie jeden, mocno zniszczony numer.
 20. „*Strażnica*”, organ tajny stronnictwa ruchu, wychodził dość nieregularnie w Warszawie od Lipca 1861 r. Numerów w tym roku było 15 (tylko ich znamy), w r. 1862 zaś 24. Nie wszystkie widzieliśmy, gdyż niektóre są rzadkością bibliograficzną. Strażnica przeważnie była drukowana na ćwiartkach i redagowana zwłaszcza z początku bardzo nieudolnie.
 21. „*Szczerbiec*”, pismo tajne, wychodziło w Warszawie od Lipca 1862 r. Znamy zaledwie dwa numera. Niezmiernie jest rzadkie.
 22. „*Wiadomości Polskie*”, czasopismo, wychodziło w Paryżu pod egidą Czarotoryskich, redagowane przez Klaczkę, Kalinkę, Wyzińskiego i innych. Znane nam są tylko dwa roczniki z r. 1858 i 1859.

III. RĘKOPISMA

Wymieniamy tu tylko te z pomiędzy rękopismów, będących w naszym posiadaniu, których opublikowanie, naszym przyjaciółom i życzliwym w Warszawie, Wilnie, Kijowie i Petersburgu, w niczem zaszkodzić nie może.

1. „*Dielo z cirkularami ministra inostronnych diet k rossijskim misiam o dozwoleńii wozwratitsia w otieczestwo polskim wychodcam kromne gławnych uczastniwow wozmuszczeniu bywszago w 1830 g.*”. Jest to kopia wszelkich urzędowych akt, odnoszących się do amnestyi dla emigrantów polskich.
2. „*Dielo o rozporiażeniach po wojskam 1-oj armii po stuczuju bezporiadkowe woznilszich w Polsce 1861 godu*”. Kopia sporządzona w Warszawie. Oryginały mają się dziś znajdować w archiwum sztabu głównego w Petersburgu.

3. „*Dwa memoriały Michała Łempickiego*”, o których obszernie w tekście mówimy. Posiadaliśmy w ręku autografy łaskawie nam do użytku udzielone.
4. „*Chłop podolski w stosunkach z obywatelem w zaczęciu drugiej połowy XIX wieku*”. Rozprawa, której oryginał znajduje się w zbiorach po ś.p. J. I. Kraszewskim w Krakowie.
5. „*Kronika wypadków warszawskich*” przez „*Mieszkańca Warszawy*”, obszerny rękopism in folio. Opowiada manifestacje 1860 i 1861 r. aż do dni Kwietniowych. Kopia znajduje się w naszych zbiorach.
6. „*Memoryał Aleksandra Jackowskiego*”, członka Rady stanu, podany hr. Lambertowi w Październiku 1861 r. Mieliliśmy pod ręką autograf.
7. „*Notaty do lat 1860 1861, wspomnienia z pamięci*”. Rodzaj pamiętnika o wypadkach w Lublinie i okolicy. Użytkowaliśmy przy pracy naszej z kopii, którą posiadamy w naszych zbiorach. Mnóstwo tu szczegółów bardzo ciekawe rzucających światło na zdarzenia ówczesne.
8. „*Opowiadanie o ukradzeniu papierów ministrowi austrijackiemu Rechbergowi*”. Króciutki, ale treściwy opis tego wypadku. Znajduje się w naszych zbiorach.
9. „*Odezwa duchowieństwa do rad powiatowych i miejskich*” z d. 29 Października 1862 r. nigdzie nie drukowana i wzywająca też rady do rozwiązania się.
10. „*Protokół duchowieństwa polskiego*” z d. 29 Października 1862 r., spisany w województwie sandomierskim, o poddaniu się tegoż duchowieństwa pod władzę Komitetu Centralnego. Rękopism współczesny.
11. „*Rozmowy z Ignatiewem*”, rękopism, którego dosłowny przekład z oryginału włoskiego posiadamy, zawiera nieco szczegółów nieznanych o tem, jak się po kongresie paryzkim i w czasie manifestacji, niektóre państwa zapatrywały na sprawę polską. Autor, Włoch rodem (jak się zdaje kapitan Marchesii), był w stosunkach przyjaźni z Ignatiewem, późniejszym ambasadorem rosyjskim w Stambule i miał zwyczaj notować sobie rozmowy, jakie z nim prowadził, jeżeli te wydawały mu się godnymi pamięci.
12. „*Słowo narodu polskiego do Jks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego arcybiskupa metropolity archidiecezyi warszawskiej*”. Rękopism współczesny, zawierający nigdzie, o ile wiemy niedrukowaną odezwę do arcybiskupa. Ustępy z niej przytaczamy w tekście.
13. Rękopism bez tytułu, znajdujący się w naszych zbiorach, zawierający luźne notatki o niektórych wypadkach w Lubelskim w 1861-1863 r.
14. Trzy grube zeszyty, zawierające najrozmaitsze notatki o wypadkach i osobach, mnóstwo drobnych, po większej części nieznanych szczegółów, z lat 1861-1863.

15. Trzy zeszyty pieśni, wierszy ulotnych, odez w itd. spis ywane w r. 1861 i 1862. Zbiór bardzo cenny i stosunkowo nader dokładny.
16. „*Święcone w Piotrkowie*”. Opis wydarzeń, zaszłych podczas świąt wielkanocnych w 1861 r. w Piotrkowie. W naszych zbiorach posiadamy kopią. Na końcu zeszytu, znajduj ą się luźne wiadomości o wyborach do Rady miejskiej piotrkowskiej i o samej radzie.
17. „*Szkoła wojskowa w Cuneo*”, obszerna monografia tego zakładu, napisana przez jednego z uczniów. Dużo szczegółów o organizacyi wewnętrznej, o wykładach i nauczycielach. Na końcu znajduje się lista uczniów szkoły, niestety! nie skończona. Rękopism w naszych zbiorach.
18. „*W sprawie memoriału Eaocha*”, rękopism z podpisem W. D. dotyczący historii tego memoriału i w ogóle sprawy wyjednania reform w Marcu 1861 r. Rzecz pisana przez osobę doskonale obznajmion ą z przebiegiem tej sprawy i bior ąc ą w niej udział bezpośredni. Oryginał znajduje się w zbiorach Artura Wołyńskiego w Rzymie, my korzystaliśmy z kopii dla nas sporządzonej.
19. „*Wypadki w Suwałkach w r. 1861*”. Rękopism w naszych zbiorach, sporządzony znacznie później. Opis zdarzeń zaszłych w Czerwcu 1861 r.
20. „*Wypadki w Turku w r. 1857*”. Opis zaburzeń antyżydowskich, skreślony przez naocznego świadka. Rękopism oryginalny w naszych zbiorach.
21. „*Zaburzenia chłopskie w Międzyrzeczkim*”, dwie relacye, przez świadków naocznych spisane, o zaburzeniach w czasie świąt wielkanocnych w Marcu 1861 r. Oryginał w naszych zbiorach.
22. Zbiór dokumentów sądowych do sprawy Lesznowskiego, redaktora „*Gazety Warszawskiej*” z Żydami w r. 1859 i do sprawy Wielopolskiego o sztachety w ogrodzie pałacu Kazimirowskiego.
23. „*Sprawa żydowska w r. 1859*”. Duża teka, zawieraj ąca wszelkie druki oraz rękopisma, korespondencye, artykuły niepuszczone przez cenzurę, itp. dotyczące zatargów „*Gazety Warszawskiej*” z Żydami. Zbiór bardzo ciekawy, możliwie kompletny.

ROZDZIAŁ I

Majowe dni

Śmierć cesarza Mikołaja. Wieści o jego następcy. Rząd francuski podnosi kwestyą polską. Jego korespondencya z lordem Clarendonem. Kongres paryzki i przyrzeczenia Orłowa. Śmierć Paskiewicza. Stan kraju i umysłów. Sprawa Wikińskiego. Nominacya księcia Gorczakowa, jego podróż do Warszawy i charakterystyka. Jego mowa w Warszawie. Nominacya Muchanowa na dyrektora Komisji spraw wewnętrznych. Jego przeszłość, charakter i znaczenie. Pragnienia polityczne polskie. Przyjazd cesarza do Warszawy. Myśl o memoryale. Baron Firksgo pisze. Cztery punkta. Cesarz w Brześciu Litewskim i jego rozmowa z Nazimowem. Cesarz w Międzyrzeczu. Projekt Wielopolskiego. Bal szlachecki. Mowa do szlachty. Bal w ratuszu. Amnestya dla wychodźców. Protest przeciw niej Towarzystwa demokratycznego. Zajęcia dla powracających wychodźców. Ukaz rozciąga się i do Litwy. Pomoc dla emigrantów. Sprawa włościańska i postępowanie Nazimowa. Obchód koronacyi w Warszawie. Ukaz o zesłanych na Sybir Polakach. Ich powrót i wpływ na kraj. Podróż i agitacya Nazimowa na Litwie. Komitety szlacheckie do sprawy włościańskiej. Zakończenie.

Dnia 2 Marca 1855 r. nad ranem, nie stało samowładnego cara Mikołaja I-go. Despota na wielką skalę, tyran, jakich historia nie wie-
lu na szczęście ludzkości liczy, umysł twardy, zuchwały i nieugięty, postać jednolita, przejęta swą wielkością i swą opatrnościową misją, skonał jak każdy śmiertelnik, jak tysiące i krocie tych, których on deptał i uciskał swą potężną stopą. Umarł w bolesnem uczuciu swej niemocy, w boleśniejszym jeszcze upokorzeniu swej dumy. „Ukoronowany feldwebel” widział jak przy huku dział Sewastopolskich rozpadają się nie tylko szańce i mury tej twierdzy, ale sypią się gruzy z całego państwowego budynku, który on przez trzydzieści lat wznosił, naprawiał i podpierał.

Wieść o śmierci Mikołaja, którego posępna postać jak widmo czarne, jak bajeczna zmora, cień ponury rzuca na cały jeden peryod naszej historii, przyszła do Warszawy tego samego dnia telegrafem. Paskiewicz, namiestnik królewski, otrzymał ją podczas posiedzenia Rady Administracyjnej, i wiadomość ta nie oddziaływała na niego zbyt silnie, prawdopodobnie dlatego, że przewidywał od dawna śmierć swego największego dobroczyńcy. Za to na ogół polski wywarła ona piorunujące wrażenie. Nagle każdy uczył, jakby

mu kamień spadł z piersi, jakby jaki tłoczący je ciężar zniknął i dał możność szerszego, głębszego, śmielszego oddechu. Dawna atmosfera rządów mikołajewskich, powietrze duszne i zbite, zdawało się, że się rozszerza, że powiał po nim jakiś świeższy prąd, że czarne chmury zalegające niebo polskie, powoli rozplywają się i pozwalają jasnemu słońcu znowu rzucić kilka zbawczych promieni na tę biedną polską ziemię, deptaną bez litości i bez sumienia. Ludzie spotykając się na ulicach wieszowali sobie radosnej nowiny; po winiarniach i kupcach zbiegali się zamożniejsi i pili z uciechy, że śmierć na koniec zabrała dręczyciela Polski, że noc, posępna mikołajewska noc się skończyła i zacząć się wkrótce dni jaśniejsze i weselsze.

Powszechna bowiem wieść niosła, wieść, której wszyscy chętnie wierzyli, tak kraj był spragniony swobody, że przyszedł cesarz, który wstępował na tron ogromnego caratu, jest ożywiony jak najlepszymi chęciami, że ma umysł liberalny, serce dobre i ludzkie, uczucia podniosłe, i na koniec to przekonanie, że system mikołajewski się przeżył, że jest stanowczo zgubnym dla państwa i dynastji, że chcąc przywrócić dawną świetność Rosji i jej znaczenie w Europie, należy się innego, wręcz odrębnego chwycić sposobu rządzenia. „Sewastopolskie słońce”, pokryte jeszcze dymem prochowym i zaczerwienione krwią najdzielniejszych synów Rosji, już ukazywało się na horyzoncie i niosło nadzieje weselszych dni.

Co się tyczy Polski, wieść ogólna przypisywała młodemu cesarzowi niemniej przyjazne usposobienie. Przypominano sobie jego, rzadkie zresztą, odwiedziny Warszawy, jego pojawienia się jako młodego chłopca na Saskim placu, przed powstaniem Listopadowem, przed szeregami wojsk polskich; jego piękne, sympatyczne i jakby załzawione oczy; wrażenie miłe, jakie wywierał na wszystkich swą osobą, swem zachowaniem się i wzięciem. Nosił to samo imię, które bądź co bądź pokoleniu wychowanemu w twardej szkole Mikołaja, przypominało dni konstytucyjnego królestwa, dni swobody, dni własnego rządu, sejmu, wojska polskiego. Wiedzano, że mówi po polsku, powtarzano sobie, że kiedyś miał czytać z zapałem poezye Mickiewicza, że kochał się gorąco w pięknej Polce, pannie Kalinowskiej, córce zamożnego szlachcica ukraińskiego. Powtarzano sobie tysiące wieści, tysiące historyi, którym, choćby najnieprawdopodobniejszym chętnie dawano ucha, jeszcze chętniej wierzono. Pogłoski te przynosiły ulgę sercom i umysłom zmęczonym i złamanym surowymi rządami wojskowymi, strasznym uciskiem, tysiącnymi gwałtami władzy samowładnej, okrutnej i bezwzględnej. A choć na Zamku warszawskim królował jeszcze Paskiewicz, wiedzano jednak, że był chory, że umrzeć wkrótce musi, że jeżeli nie umrze, to w każdym razie jego stanowisko samowładnego pana i kata Polski, stanowisko nie odpowiednie teraz przy ciepłych, świeżych prądach, zdających się unosić nad całą Rosyą i nad Polską, musi uleść pewnym zmianom a nadewszystko

pewnej kontroli. Były zresztą niejaki dane, które czyniły to przypuszczenie prawdopodobnym. Tego samego bowiem dnia, w którym depesza telegraficzna, donosząca o śmierci Mikołaja, przybyła do Warszawy, w parę godzin potem nadszedł drugi telegram, powołujący generała Büdigera, zwycięzcę Dwernickiego i Węgrów, na dowódcę gwardii cesarskich, co zapowiadało przewagę partii niemieckiej, stanowczo przeciwnej Paskiewiczowi. Rüdiger przytem znany był jako nieprzyjaciel namiestnika, i nominacja powyższa tak go ucieszyła, że nie mógł zataić swej radości, zbyt widocznej dla wszystkich i zbyt rażącej stanowiącej kontrast ze smutkiem obowiązkowym.

W parę dni potem nadszedł do Warszawy manifest młodego cesarza, który odczytał uroczystie w katedrze św. Jana dnia 27 Marca, po nabożeństwie z powodu zgonu cesarza, celebrowanem przez administratora archidiecezyi Fijałkowskiego, prałat Białobrzegi. Manifest przespełniony był zwykłemi, banalnemi frazesami i właściwie nic nie mówił. Zapewniał tylko wstępujący na tron wielkiego państwa monarcha, że jedynym jego celem będzie zapewnienie pomyślności cesarstwa rosyjskiego i „nierozdzielnych z niem Królestwa Polskiego i W. Ks. Finlandzkiego”. Nakazano zaraz składanie przysięgi homagialnej. W cerkwi prawosławnej na ulicy Długiej, wojskowi i cywilni dygnitarze rosyjscy przysięgali d. 6 marca o godz. 11 rano, a w katedrze św. Jana urzędnicy polscy d. 9 marca o godz. 12 w południe. Obrządek ten zresztą dla wszystkich innych poddanych polskich Aleksandra II, trwał w Warszawie przez cały tydzień po różnych kościołach², w kraju oczywiście znacznie dłużej.

2 Mieszkańcy miasta składali przysięgę od dwunastego roku życia d. 12 marca, w kościele św. Jana, Panny Maryi, Karola Boromeusza, św. Krzyża i św. Aleksandra w różnych godzinach. Unicy a Bazylianów przysięgali d. 13 marca; w tymże dniu lutrzy i kalwini w swych kirchach; Żydzi d. 14 marca. Inne wyznania, które nie miały swej świątyni, składały przysięgę w magistracie d. 15 marca. Osobni urzędnicy byli delegowani z księgą do odbierania podpisów. Przysięga odbywała się zawsze w obecności generał-gubernatora, generała Tuczkę. Rota przysięgi brzmiała jak następuje: „Ja niżej wymieniony, przyrzekam i przysięgam Bogu Wszechmogącemu na Świętą Jego Ewangelię, że chcę i powinienem Jego cesarskiej mości, mojemu prawdziwemu i przyrodzonemu Najmiłościwyszemu wielkiemu panu cesarzowi Aleksandrowi Mikołajewiczowi, samowładcy Wszech Rosyi, Królowi Polskiemu i Jego cesarskiej mości Następcy tronu wszechrosyjskiego, Jego cesarskiej wysokości cesarzewiczowi i wielkiemu księciu Mikołajowi Aleksandrowiczowi, wiernie i nieco błędnie służyć i we wszystkim być posłusznym, nie szcędząc życia niego do ostatniej kropli krwi, i wszystkie do wysokiego Jego cesarskiej mości samo władztwa, potęgi i władzy należące prawa i prerogatywy, postanowione i w przyszłości postanowić się mające, podług najściślejzego pojęcia, mocy i możności przestrzegać i bronić, a nadto wszelką miarą starać się popierać wszystko co tylko Jego cesarskiej mości wiernej służby i dobra państwa we wszelkich wypadkach dotyczyć może; o uszczerbku zaś dobra Jego cesarskiej mości, szkodzi i stracie, skoro się o tem dowiem, nie tylko wcześniej oznajmiać, lecz oraz wszelkiemi środkami odwracać i niedopuszczać starać się, i każdą powierzoną tajemnicę ściśle zachować

Wszędzie jednak czy to w Warszawie, czy w kraju, ogromna większość mieszkańców, oprócz garści nieprzejednanych, oprócz starych mistrzów spisku, niepoprawnych radykałów i rewolucjonistów, demagogów, wicherzycieli i głupców na koniec, składało tę przysięgę z pewną wewnętrzną radością, z nadzieją stokroć lepszej, a kto wie nawet, może świetnej przyszłości. Jakoż, oznaki zbliżających się dni lepszych, dni słonecznych po długiej mikołajewsko-paskiewiczowskiej nocy, poczęły się pojawiać. Zdawało się, że wszędzie, we wszystkich gałęziach surowych rządów, które pętały Polskę i dusiły w niej oddech, nastąpiło pewne rozluźnienie, powiał świeży, swobodę niosący w swem łonie wiatr, na ludzi i na rzeczy. A choć nowe panowanie dopiero co się zaczęło, choć nie mogło ono, ani czasu nie miało na to, by czemkolwiek dać poznać swe aspiracje, dążności i zamiary, przecież już sama śmierć groźnej, żołnierskiej postawy cara Mikołaja, zdawała się zapowiadać różnym ludom caratu przyszłość lepszą, większą swobodę i instytucje bardziej ludzkie, bardziej cywilizowane.

Tymczasem pod Sewastopolem grzmiały dalej działa, lała się obficie krew rosyjska i polska. Liczni Polacy służący w armii rosyjskiej, zamknięci w murach Sewastopola, przechodzili ciąglą gorączkę wielkich nadziei i większych jeszcze smutków. Ilekroć zdawało się, że wojna rozognia się coraz więcej, grozi przybraniem szerszych rozmiarów, tylekroć na twarzach wojowników polskich jaśniała widoczna radość; w przeciwnymi zaś razie powlekał je smutek. Zamykali się wówczas w swych namiotach i oddawali się głuchej rozpacz. Przyszło do tego, że dla Rosyan, twarze polskich ich kolegów były barometrem stanu strony politycznej wojny. Jednakże z wstąpieniem na tron Aleksandra w świecie wojskowym i dyplomatycznym przewidywano bliski upadek Sewastopola i stawiano sobie pytanie: co potem robić? We Francji odpowiadano na to, że trzeba wyszukać nowy plac boju i na nim ciągnąć dalej walkę tak szczęśliwie rozpoczętą i ukończyć ją ostatecznym pognębieniem Rosyi. Mówiono, że w logicznym rozwoju tej wojny leży nie tylko obrona interesów Wschodu, usunięcie Turcyi z pod wpływu i nacisku rosyjskiego, ale trzeba wznieść na nowo odwieczny mur, broniący Europę od Rosji, trzeba odbu-

wywać będę, a poruczony i włożony na mnie urząd, tak według niniejszej (ogólnej jako i szczególnej) przepisanej i od czasu do czasu w Jego Ces. M. imieniu przez przełożonych nade mną zwierzchników, postanawianych instrukcyi, regulaminów i ukazów, należycie podług sumienia mego sprawować, a dla własnej korzyści, pokrewieństwa, przyjaźni i nienawiści, przeciw obowiązkowi swemu i przysiędze nie postępować, a tak się zachowywać i postępować jak wiernemu J. C. M. poddanemu przystoi i należy; a jako przed Bogiem i strasznym jego sądem z tego zawsze zdać sprawę mogę, tak mi Panie Boże na duszy i na ciele dopomóż. Na dokończenie tej mojej przysięgi całuję słowa i krzyż Zbawiciela mego. Amen”.

dować Polskę, której upadek w przeszłym stuleciu nadał państwu carów taką przewagę i takie znaczenie. Tak więc ze śmiercią Mikołaja, ze zbliżającą się wiosną, z pośrodku dymów bojowych krymskich, podnosiło się blade widmo Polski.

Rząd francuzki, kierowany przez Ludwika Napoleona, stanowczo powziął zamiar pomieszczenia Polski w programie związkowych. Chciał on całej tej walce, tak krwawej i tak kosztownej, nadać cel sympatyczny, który byłby zdolny rozentuzymować narody, chciał jak mówiono wtedy „roznamiętnić wojnę”. A cóż mogło ją bardziej roznamiętnić, co mogło być sympatyczniejszego dla wszystkich ludzi uczciwych, wszystkich serc prawych, jak sprawa polska? Co wreszcie mogło zadać najdotkliwszy cios Rosyi, zranić ją najciężej, najwięcej osłabić i na długi czas pozbawić wszelkiego wpływu i znaczenia w Europie, jak podniesienie kwestyi polskiej, odbudowanie Polski?

Bądź co bądź, z wiosną 1835 r. gdy car Mikołaj konał szarpany zgryzotami upokorzonej pychy, z wiosną zdającą się dźwigać w swem łonie tyle nadziei dla Polski, rząd francuzki zdecydował się na podniesienie jej sprawy i nadanie wojnie całkiem innego charakteru. Jeszcze w Petersburgu nie ucichły odgłosy uroczystości pogrzebowych i huku dział z twierdzy Petropawłowskiej, żegnających śmiertelne szczątki potężnego przed chwilą imperatora, gdy w urzędowym „Monitorze” ukazały się rozmaite adresy emigracyi polskiej, wystosowane do Napoleona IIIgo, z powodu nieudanego zamachu na jego życie. Między innymi wydrukowane zostały listy jenerała Rybińskiego i księcia Adama Czartoryskiego, z tem wyjaśnieniem dla nieświadomych historii polskiej Francuzów, że Rybiński był „ostatnim wodzem siły zbrojnej polskiej w r. 1831”, Czartoryski zaś piastował godność „prezesa rządu narodowego w powstaniu”. W adresie Rybińskiego, zwracał na siebie uwagę powszechną następujący ustęp: „cała Polska potwierdziłaby moje słowa, gdyby jej wolno było wypowiedzieć swe myśli. Tak, Najjaśniejszy Panie, ona cierpi i oczy swe ma zwrócone na Zachód, gdzie widzi i kocha tylko ciebie!”.

Te oznaki przychylności dla naszej sprawy, miały wkrótce przybrać bardziej realną i zdecydowaną formę. Dnia 26 Marca 1855 r. minister francuzki spraw zagranicznych, pan Drouyn de Lhuys polecił ambasadorowi swego rządu w Londynie, zbadać usposobienie gabinetu Saint-James, co do kwestyi polskiej. W depeszy swej Drouyn de Lhuys pisał, że „warunki, pod któremi Europa zgodziła się, by cesarz Aleksander I-szy przyłączył do państwa swego większą część ks. Warszawskiego, pod imieniem Królestwa polskiego, miały cechę ściśle obowiązującą. Stanowiły one dla innych państw konieczną kompensatę za nabytek, który dawał Rosyi stanowisko groźne w sercu Europy środkowej”, że car zwolnił się z tych warunków, że Europa kilkakrotnie prze-

ciw temu protestowała na próżno, nie chcąc wywoływać wojny, lecz „ponieważ Rosya sama zerwała pokój, dla utrzymania którego Francya liczne czyniła ofiary, ponieważ zmusiła tę ostatnią do pochwylenia za broń dla przeszkodzenia nowemu z jej strony pogwałceniu prawa, wydaje nam się, że nadszedł czas do przypomnienia zobowiązań, jakie zaciągnęła ona wobec Europy, odnośnie do Królestwa polskiego, i z których się sama uwolniła”. Jednym słowem, domagał się, by „przywrócenie Polski w granicach traktatów 1815 r.” weszło w stypulacye przyszłego pokoju.

Słowa te przejęte szczerą chęcią dopomożenia Polsce, nie znalazły, nie mogły znaleźć oddźwięku w ministryum angielskiem. Anglików, jeżeli prowadzili wojnę z Rosyą, więcej obchodziło położenie tamy nieustannemu jej posuwaniu się ku Carogrodowi, osłabienie jej potęgi w Azji. Polska nic ich nie interesowała, to też na depeszę p. Drouyn de L’huy’sa odrzekł lord Clarendon, że „inicjatywa w sprawie polskiej byłaby w obecnych okolicznościach nie tylko niepolityczną, ale nawet wprost niemożliwą”.

Tak kategoryczna odpowiedź przerwała dalsze w tej sprawie negocjacye. Zresztą wzięcie połowy prawie Sewastopola, śmierć Mikołaja, zdawały się zapowiadać możność zawarcia pokoju i ukończenia nużącej, kosztownej i wycieńczającej wojny. Francya przytem musiała oszczędzać drażliwość angielską, i w tej chwili przynajmniej odłożyć do lepszych czasów swe zamiary względem Polski. Mimo to jednak cesarz Napoleon i jego rząd nigdy nie stracił jej z oczów.

W jesieni bowiem tegoż 1855 roku, gabinet tujleryjski nowy na tej drodze krok zrobił. W depeszy swej z d. 15 Września, francuzki minister spraw zagranicznych hr. Walewski, następca Drouyn de L’huy’sa, jeszcze raz zaproponował rządowi angielskiemu pod d. 15 Września 1855 r. podniesienie kwestyi polskiej „w granicach możliwie praktycznych”. Chciał on, by „odbudowanie Królestwa polskiego, na warunkach usankcyonowanych przez kongres wiedeński, stało się jednym z zasadniczych przedmiotów negocjacyi pokojowych, jeżeli te przyjdą do skutku, a współcześnie główną podstawą tego pokoju”. „Rząd cesarski spodziewa się, pisał dalej w swej depeszy hr. Walewski, że rząd Jej królewskiej mości Brytańskiej patrzy z tego samego stanowiska na tę ważną kwestyę, że uzna konieczność włączenia jej do przyszłych negocjacyi pokojowych i bez wahania połączy swe usiłowania z naszymi, by zniszczyć akt, przeciw któremu sumienie rządów i ludów nie przestało protestować, gdyż czas nie zdołał osłabić ani jego nieprawości, ani jego fatalnych następstw”. Minister angielski jednak, lord Clarendon, odrzekł, że chwila nie jest odpowiednią, że obawia się, by opinia publiczna nie zwróciła się przeciw związkowym, przekonawszy się, że odbudowanie Polski było sine qua non warunkiem

pokoju. „Zresztą, mówił minister, wielkie złudzenie się rozwiało; wiadomo teraz, że Rosya może być zaatakowaną z powodzeniem na swem własnem terytoryum, że jej urok militarny jest zniszczony”. W końcu obawiał się, by domaganie się nowych ustępstw od Rosyi, nie oburzyło Europy i nie zwróciło jej przeciw związkowym; że Europa zaczyna się przerażać imponującymi siłami Anglii i Francyi, i że nie poskąpi żadnych usiłowań, nie cofnie się przed żadnym środkiem, by rozerwać ich sojusz wzajemny.

Wobec takiej postawy ministrów angielskich, rząd francuzki porzucił swe zamiary, i zdecydował się zostawić rozwiązanie kwestyi polskiej „ogólnemu biegowi wypadków”, tem więcej, że z mgły przyszłości ukazywała się już na horyzoncie historycznym Europy inna kwestya niemniej ważna i niemniej pierwszorzędnego znaczenia, kwestya włoska. Otóż słusznie sądził cesarz Francuzów, że wobec tej nowej komplikacyi, wobec niepewności dalszego przymierza angielskiego, należy sobie na przyszłość zachować przyjaźń Rosyi, i nie drażnić jej teraz podnoszeniem sprawy, która w tej chwili nie miała żadnych szans powodzenia³.

W tym stanie rzeczy przyszło do pertraktacyi pokojowych, zwłaszcza, że młody car rosyjski pragnął ukończenia wojny, przynoszącej mu same klęski i grożącej stokroć większemi, w razie gdyby ostatecznie przyszło do podniesienia kwestyi polskiej. Kongres reprezentantów mocarstw zainteresowanych i wojujących, jaki się zebrał w początkach 1856 r. w Paryżu, przedstawiał istotnie bardzo pouczające widowisko. Z pomiędzy wszystkich państw, Francya okazywała najwięcej skłonności do zgody, najwięcej przyjaznego usposobienia dla Rosyi, ta sama Francya, która przed chwilą zamierzała uderzyć carat w samo jego serce, zagrzmieć swemi działami nad Wisłą. Anglia okazywała przedstawicielowi rosyjskiemu pewną wyższość, pewną ostrość i niechęć; Austria, która podczas wojny nic nie robiła i nic nie ryzykowała, objawiała najwięcej wymagań i najwięcej obaw. Teraz to dopiero Wielka Brytania przypomniła sobie Polskę, tego „stracha na Moskwę”, jak ją nazywano w dyplomacyi angielskiej, Polskę, o której w przeszłym roku nie chciała nawet słyszeć i usiłowała jej sprawę wnieść na posiedzenia kongresu. W tydzień niespełna po rozpoczęciu się narad, lord Palmerston, w liście z d. 5 Marca 1856 r. do

3 W liście z d. 22 Listopada 1855 r. do królowej Wiktoryi, pisał Napoleon: rozumiałbym jeszcze potrzebę dalszego przelewania krwi, gdyby rząd W. K. Mości oświadczył mi był, że honor i interesa nasze wymagają przerobienia na Wschodzie mapy Europy. Takiej polityce nie odmówiłbym pewnej wielkości; stawiałaby ona nadto otrzymać się mające rezultaty na jednym poziomie z poniesionymi ofiarami”. Ponieważ jednak, dodawał cesarz, nie widać wcale, żeby Anglia zgodziła się na odbudowanie Polski, przyłączenie Krymu do Turcyi i Finlandyi do Szwecyi, lepiej zatem będzie, gdy sprawa pokoju od razu przybierze charakter wspaniałomyślności wobec Rosyi.

pełnomocnika wielkobrańskiego, lorda Clarendona, najsolenniej mu polecał, ażeby o Polsce „nie zapomniał”, ażeby sprawę tę podniósł, albowiem takie zadośćuczynienie sprawiedliwości dziejowej koniecznie dać należy „parlamentowi, prasie, opinii publicznej, stowarzyszeniu polskiemu w Londynie i staremu Czartoryskiemu...”.

Spełniając zlecenie pierwszego ministra, lord Clarendon udał się niezwłocznie do hr. Walewskiego i oznajmił, że jeśli Napoleon III-ci niema nic przeciwko temu, Anglia gotowa jest na kongresie żądać odbudowania Polski, choćby tylko na teraz w granicach traktatu wiedeńskiego. Gdy to oświadczenie Walewski przyjął chłodno i nie nastąpiła na nie żadna odpowiedź, Palmerston w liście z d. 1 Kwietnia ponowił powyższe propozycje i przesłał swemu pełnomocnikowi memoriał stowarzyszenia polskiego w Londynie. Clarendon w skutek tego, w rozmowie z Napoleonem, wspominał o „gwarancjach” dla Polski, przyczem nie wielkie stawiał wymagania. „Dość będzie, mówił, gdy hrabia Orłów uczyni odpowiednie oświadczenie na jednym z zebrań kongresu”. Na zapytanie Napoleona, jaką mogłaby być osnowa podobnego oświadczenia, Clarendon rzekł: „wystarczy przyrzeczenie zaprowadzenia w Królestwie polskim zarządu narodowego, języka polskiego w szkołach, przyznanie kościołowi katolickiemu praw mu należnych. Zresztą, dodał, dość by może było przyrzec, że w Polsce inny odtąd system polityczny stosowany będzie”. Napoleon własnego zdania nie objawił, obiecał tylko przy sposobności pomówić z Orłowem.

W ogóle rząd francuzki zachował się wobec tych usiłowań obojętnie, z czego można by mu słuszny zarzut zrobić, gdyby nie to, że widział w napomknieniach angielskich prosty manewr polityczny. W rzeczy samej tak było, czego dowodem pośpiech, z jakim wkrótce potem minister angielski cofnął swe propozycje. Jedno tylko mocarstwo mogło i miało obowiązek podniesienia tych propozycji, gdyby posiadało rozum polityczny, szerszy pogląd na rzeczy i zdolność przewidywania wypadków. Mówimy tu o Austrii. Gdyby ona była za ministrem angielskim poparła sprawę polską, sprawę zgodną z jej interesami i traktatami, nie ulega wątpliwości, że byłaby znalazła gorliwego i szczerego sprzymierzeńca we Francji; i kto wie, czy kwestya polska nie byłaby wtedy zajęła tego stanowiska, jakie w parę lat później zdobyła sobie kwestya włoska.

Jakiegokolwiek się jednak przyczyny złożyły na to, dość że nikt nie podniósł wniosku angielskiego. Przysłowiowe „szczęście polskie”, znalazło tu, jak wszędzie i zawsze znajdowało, swe urzeczywistnienie fatalne. Orłów, uprzedzony o zabiegach angielskich, uciekł się do bardzo zręcznego kroku i poszedł sam naprzeciw niebezpieczeństwa, nie czekając aż ono na niego uderzy. Udał się więc do cesarza Napoleona i wysłuchawszy w milczeniu wyrazów współczucia dla Polski, oznajmił że „cesarz Aleksander Nikołajewicz zarówno trosz-

czy się o dobro i szczęście Polaków, jak i innych swoich poddanych; że żywi względem nich jak najwspaniałomyślniejsze zamiary, ale że godność Rosyi nie pozwala, by ten przedmiot był rozpatrywany na kongresie”. Napoleon okazał zupełne zadowolenie z tego wyjaśnienia, poradził jednak Orłowskiemu, żeby to samo powiedział lordowi Clarendonowi.

Jakoż pełnomocnik rosyjski widział się z angielskim posłem, powtórzył to samo, co mówił Napoleonowi, i dodał, że w razie gdyby kwestya polska była rozpatrywana na kongresie, cesarz rosyjski musiałby odpowiedzieć: „Polacy są buntownikami i rewolucjonistami; oni pierwsi zgwałcili konstytucyą, jaką im nadał kongres wiedeński. Mamy prawo traktować ich jak kraj podbity, i z prawa tego korzystamy”. W przeciwnym zaś razie, jeżeli rządowi Aleksandra IIgo zostawioną będzie inicjatywa i swoboda działania, on, Orłowski, przyrzeka, że skargi legalne Polaków otrzymają zupełną satysfakcyą i Polska osiągnie wszystko o czem tu mówiono. Zaręczał, że Polakom udzielona będzie ogólna amnestya, że przywrócona zostanie swoboda religii i kościoła katolickiego, że język polski w dawnych ziemiach Rzeczypospolitej wprowadzony będzie jako urzędowy do administracyi, sądownictwa i szkół, że na koniec uniwersytet polski w Warszawie zostanie założony.

Na to Clarendon zauważył, że cesarz Aleksander może ogłosić zaraz te ustępstwa, albo przez deklaracyą złożoną kongresowi, albo po jego zamknięciu, przez manifest do Polaków; że co do niego (Clarendona), to wolałby pierwszy sposób postępowania, który, według jego zdania, w niczem nie może ubliżać godności Rosyi, a natomiast wywrze jak najlepsze wrażenie i uchyli wszelkie nieporozumienia. Orłowski obiecał donieść o tem depeszą telegraficzną do Petersburga.

Ze swej strony Clarendon pisząc o tem do lorda Palmerstona, wyraził opinią, że jakiegokolwiek by były zamiary cesarza Aleksandra odnośnie do Polaków, to w każdym razie lepiej pójść za radą Orłowskiego i wyrzec się podniesienia na kongresie kwestyi polskiej. „Oczywiście, dodawał, stary Czartoryski nie pozwala nawet przypuszczać, żeby Rosya inaczej jak tylko pod przymusem mogła co dobrego zrobić dla Polaków. Nalega on, ażebym ja działał sam, ale z nadto jestem mądry, żeby to robić”.

W kilka dni potem Orłowski zakomunikował Clarendonowi otrzymaną z Petersburga odpowiedź, zupełnie potwierdzającą poprzednie jego oznajmienia. Gabinet rosyjski stanowczo odrzucił propozycyą uwiadomienia w jakiegokolwiek bądź sposób kongresu o łaskach, jakie zostaną udzielone Polakom z powodu zbliżających się uroczystości koronacyjnych nowego cesarza. W liście do Palmerstona, Clarendon jeszcze raz położył nacisk na to, że należy tem się zadowolnić i nie poświęcać interesów „prawdziwych Polaków, tj. mieszkań-

ców Królestwa polskiego, wymaganiom emigracji”, którą nic nie obchodzi los pierwszych, a która dba tylko o to, by nie nastąpiło przedawnienie praw, jakoby zagwarantowanych Polsce przez traktaty, w tym celu, żeby w razie wojny można się było do nich odwołać.

Wobec tego rezultat był łatwy do przewidzenia. Przyrzeczenia Orłowa nieokreślone, niewprowadzone w stypulacye kongresu, zadowolniły lorda Clarendona i reprezentantów mocarstw. Kwestya polska poszła w zapomnienie, wpadła znowu w to morze ciemności i cierpień, w których naród był pogrążony ód lat trzydziestu blisko.

Taki miała przebieg sprawa polska na kongresie paryzkim. Wieści o tem doszły do kraju, do ogółu jego mieszkańców w formie niejasnej, w kształtach niepewnych, niemniej przeto fałszywych i przesadzonych. Zrazu ludzono się wielkimi nadziejami, potem gdy sam traktat stał się powszechnie wiadomy, szeptano sobie, że są artykuły tajemne i te właśnie mówią o Polsce. Złudzenie zgubne, jak tyle złudzeń naszych, dla których poświęciliśmy najlepszą krew naszą, naszą przyszłość i byt sam narodowy nieomal; złudzenie, niestety! poparte do pewnego stopnia przez interpelacyą, jaką w parlamencie angielskim podniósł w kilka miesięcy później, dnia 11 Lipca 1856 r. lord Lyndhurst. Interpelant z powodu ogłoszonej w tym czasie amnestyi dla wychodźców polskich, podał, nie bez pośredniego zapewne przyczynienia się partyi monarchicznej emigracyi mocnej i surowej krytyce rzeczoną amnestyą i w ogóle postępowanie rządu rosyjskiego w Polsce. „Amnestyą, mówił Lyndhurst, pięknie brzmi, ale odbiera wszelką nadzieję... Jeżeli mój przyjaciel lord Clarendon, zajmował się Polską na kongresie paryzkim, to rezultaty tego musiały być tak dla niego, jak i dla rządu angielskiego, upokarzające i obraźliwe. Obowiązkiem człowieka, którego głos może być wysłuchanym, jest napiętnować publicznie tyle okrucieństw, tyle gwałtów i tyle ucisku! Pokrywanie milczeniem wszystkich tych okropności, byłoby współnictwem”. Na interpelacyą tę, lord Clarendon wygłosił odpowiedź bardzo zręczną, bardzo dyplomatyczną, pełną napomknień i mglistych orzeczeń. Tłumacząc się koniecznością ostrożności, jaką mu nakazuje jego stanowisko jako członka gabinetu, minister przeslizgnął się szybko nad sprawą amnestyi i począł mówić o samym kongresie paryskim i o podniesionej na nim sprawie polskiej. Zaznaczył więc najprzód silne, zdecydowane postanowienie pełnomocników angielskich i francuzkich „podniesienia kwestyi polskiej, podobnie jak i innych wielkich kwestyi, pozawarcia pokoju”. Na koniec wyjaśnił powody, które zmusiły rzeczonych pełnomocników do porzucenia tego zamiaru.

„Mieliśmy (tj. pełnomocnicy) poważne przyczyny do wiary, że zamysły cesarza rosyjskiego były wspaniałomyślne i dobroczyenne; że cesarz nie tyl-

ko zamierzał ogłosić amnestią ogólną, ale nawet udzielić niektóre instytucje narodowe Polakom; że ci otrzymają zapewnienie swobody religijnej, że wychowanie w Polsce zostanie oparte na podstawach liberalnych i jak najbardziej narodowych. Mieliśmy prawo spodziewać się, że Rosya raz na zawsze porzuci system surowości, jakiego dotąd się trzymała. Uspokojeni wskutek tego przekonania, porzuciliśmy zamiar podniesienia tej kwestyi na kongresie... Zdawało nam się jednak, że polityka rosyjska mogła być dać poznać Europie swe zamiary pod tym względem. Lecz gdy nas przekonano, że takie żądanie z naszej strony, byłoby przez Rosyą w sposób obraźliwy tłumaczone... gdy dano nam do zrozumienia, że jeśli będziemy koniecznie domagali się dyskusyi nad sprawami Polski, możemy zaszkodzić kwestyi, której służyć pragniemy, wówczas pełnomocnicy Francyi i Anglii zaniechali swych zamiarów. Powtarzam jednak, że nie należy sądzić, by nasze milczenie było obojętnością; że sam tylko względ na prawdziwy interes Polski i wychodźców, skrepeował naszą akcyą”...

Dla ówczesnego pokolenia, dla emigracja polskiej, która pragnęła się dowiedzieć, co właściwie mówiono na kongresie paryzkim o Polsce, i dlatego wywołała interpelacyą Lyndhursta, odpowiedź Clarendona była ostrożnem uchyleciem rogu zasłony. Była ona prócz tego pewną groźbą, wysłaną pod adresem Rosyi i Francyi, których dobre i przyjazne stosunki w tej porze, poczęły niepokoić Anglików. Dziś wiemy, że lord Clarendon i dyplomacya angielska, nie działała uczciwie i z dobrą wiarą w sprawie polskiej.

To były ostatnie słowa, które w tej dobie na scenie publicznego życia politycznego Europy, zabrzmiały o Polsce. Odtąd zapanowało o niej głucho milczenie; nie zapanowało ono jednak w samej Polsce, w której wciąż żywiono to przekonanie, że kongres paryzki zamieścił w swych stypulacyach tajne artykuły o Polsce, i że Rosya winna je wykonać, a jeżeli ich nie wykona, to trzeba ją zmusić do tego przez przypomnienie się w jakikolwiek sposób Europie. Powtarzamy, było to fatalne złudzenie, które w szeregu innych przyczyn, jakie z kolei opowiemy, spowodowało ruch 1861 r. tak krwawo, tak tragicznie zakończony.

Bądź co bądź jednak były czy nie było żadnych tajnych artykułów dotyczących Polski, kongres paryzki, na pewną grupę ludzi wrażliwszych, na ogół wreszcie kraju i emigracyi wywarł przygnębiające wrażenie. Cokolwiek by bowiem mówiono, to fakt pozostał faktem, że wśród stypulacyi międzynarodowych jeszcze raz zapomniano o Polsce i to w chwili, gdy największy wróg tej Polski leżał pokonany, gdy z tego położenia można było znaczne wyciągnąć korzyści. Nawet Francya, ta Francya, ku której ciągle zwracały się oczy i serca, nie podniosła głośno i publicznie, jak jej przystało, kwestyi polskiej. Któż nas teraz poratuje, wołano, kto nam poda rękę, lub obroni przed wro-

giem? Zniechęcenie, rozpacz nawet w pewnych kołach emigracyi była ogromna. Leon Kapliński, znany w tej dobie poeta, jeden z epigonów romantyki, napisał wiersz pełen jak najczarniejszych, jak najrozpaczliwszych poglądów na przyszłość Polski, zaczynający się od słów: „zgasły dla nas nadziei promienie”. Autor nie widząc dla Polaków żadnej już nadziei, radził chwycić za noże i mordować swych wrogów. Wiersz ten odpowiadał tak dalece nastrowi pewnych umysłów w tej dobie, że rozpowszechnił się bardzo i śpiewany był na nutę pełną melancholii w szarych godzinach smutku i żalu nad dolą polskiej ojczyzny...

Paskiewicz nie doczeka! się zawarcia pokoju. Trapiiony od dawna ciężką i bolesną chorobą, na którą szukając pomocy udawał się także do głośnego wówczas owczarza Króla, zamieszkałego pod Szydłowcem, umarł na zamku warszawskim d. 1 Lutego 1856 r. o godzinie 9-ej rano. Schodził ze sceny dziejowej przez nikogo nieżałowany, przeklinany przez cały naród polski, którego był krwawym i bezlitosnym katem; schodził w sarną porę, bo jego usposobienie umysłowe i jego nawyknięcia, w żadnym razie nie odpowiadały prądom i potrzebom chwili. Konał ciężko, dręczony według wieści przez widma i duchy. U łóża umierającego feldmarszałka rosyjskiego miał się pojawić duch matki powieszzonego w r. 1834 Zawiszy, i jeszcze raz przeklinać tyrana tak samo, jak wtedy, gdy włóczyła się na próżno u nóg jego, błagając o życie syna. Umierał na chorobę męczącą i bolesną⁴, która w oczach publiczności polskiej przybierając kształty potworne, uważana była jako ciężka kara boża, za dwudziestopięcioletnie męczarnie, jakie zadawał Polsce Paskiewicz.

Pogrzeb odbył się d. 8 Lutego wspaniale i z niezwykłym przepychem. Zmarły był feldmarszałkiem trzech armii: rosyjskiej, austriackiej i pruskiej i oba te państwa przysłały swych reprezentantów dla oddania ostatniej posługi nieboszczykowi. Feldzeugmeister austriacki von Parrot przybył do Warszawy w towarzystwie sześciu wyższych i niższych wojskowych⁵. Z oszczędnych zawsze Prus przyjechało tylko trzech oficerów.

Trumnę niesiono z Zamku przez Krakowskie Przedmieście, plac Saski, ulicę: Wierzbową, Bielańską, Długą do cerkwi prawosławnej. Nazajutrz d. 9 Lutego przewieziono zwłoki na statek i Wisłą odesłano do twierdzy Iwangrodz-

4 Umarł właściwie na raka w żołądku; leczył go między innymi doktor Chałubiński, używający w tej porze nie małej wziętości i uchodzący za znakomitość lekarską. Wieść powszechna, utrzymująca że Paskiewicz za życia jedzony był przez robactwo, nie ma żadnej podstawy.

5 Przyjechał mianowicie pułkownik Karol Verancmann van Wateryliet, komendant 12go pułku piechoty arcyksięcia Wilhelma; kapitan Karol Bellmond, porucznik Szilhavsky, jeden podoficer i dwóch szeregowców.

kiej (Demblina), gdzie w miejscowości, zwanej Sioło Iwanowskie, stanowiącej część majątku Pankiewicza, pochowano w osobnej kaplicy.

Wojska rosyjskie z powodu tej śmierci przywdziały żałobę na dziewięć dni; na tyleż dni widowiska w teatrach warszawskich z rozkazu cesarskiego wstrzymano i wszystkim urzędnikom w Królestwie przez takiż czas kazano nosić żałobę.

Śmierć Paskiewicza zdawała się być jednym więcej dowodem, że los uśmiecha się Polsce, że kończy się kres jej cierpień i męczarni. Wszystko to zapowiadało. Od czasu choroby tyrana, sprawami cywilnymi zarządzał w Królestwie generał-adjutant Wincenty hr. Krasiński, Polak, jeden z tych szczątków napoleońskich żołnierzy, którzy sławę oręża polskiego zanieśli aż nad brzegi Tagu. Jakkolwiek przez swoją służalczość względem rządu rosyjskiego nie cieszył się on dobrą opinią, był powszechnie nielubiany, przecież postawienie Polaka, choćby tylko tymczasowe, na czele rządu w Królestwie, zdawało się zapowiadać, jeżeli już nie zmianę systemu, to przynajmniej dni lepsze.

Atmosfera swobody, rozluźnienia wszystkich kajdan, ukutych przez Mikołaja, panowała wszędzie, na całym obszarze imperium rosyjskiego. Poczęły się pojawiać po dziennikach rosyjskich korespondencje z Polski, rzecz dotąd niesłychana; poczęto w salonach petersburskich mówić o Polsce, i ogólna opinia przeważała, że w dobie olbrzymich reform, jakie wkrótce mają nastąpić i których mglista zorza już się na horyzoncie ukazywała, należałoby coś także zrobić dla Polski, skończyć w niej z rządem wojskowym, który ani rządzone ani rządzącym pożytku nie przynosi. Wprawdzie z wyjątkiem bardzo niewielkiej grupy ludzi, dla których to było obowiązkiem służbowym, ogromna większość urzędników rosyjskich oraz cały naród nie znał wcale Polski. Książek o niej po rosyjsku pisanych w tej porze całkiem nie było, korespondencje z Warszawy za rządów Paskiewicza zupełnie się nie ukazywały po czasopiśmie, bo on na to nie pozwalał, a jeżeli drżano przed nim w stolicy Polski, niemniej lękano się go w Petersburgu. A przytem, pod despotyczną władzą Mikołaja, wszystkie lepsze umysły i serca rosyjskie ogarnięte były apatyą i obojętnością nawet na sprawy własnej ojczyzny, a cóż dopiero na sprawy Polski, kraiku gdzieś na krańcach olbrzymiego caratu zawieszzonego, obcego językiem, religią, rządem i obyczajem. Zresztą, powtarzamy, nie było z kądziołkami tych wiadomości. Wojskowi, oficerowie, pułkownicy i generałowie, stojący nieraz po kilka lub kilkanaście lat w Polsce, jeżeli wrócili potem do swej ojczyzny, to umieli tyle tylko powiedzieć o kraju, w którym tak długo bawili, że są tam ładne kobiety i dobre rękawiczki. Z pomiędzy zaś cywilnych, którzy za Paskiewicza, w nader zresztą ograniczonej liczbie pojawiali się w naszym kraju, byli to po większej części ludzie bardzo niskiej wartości moralnej i ciasnego, ograniczo-

nego niezmiernie horyzontu, ludzie wykolejeni we własnej ojczyźnie, którzy szli do Polski szukać chleba i pieniędzy; inne zadania były dla nich obojętne. Wreszcie Paskiewicz nie bardzo lubiał, żeby jego współrodacy zjeżdżali się do Warszawy; krzywo patrzył na różnych awanturników, którzy tu od czasu do czasu pojawiali się szukając kariery i przy lada sposobności, pod eskortą żandarmerii odsyłał ich napowrót do ojczyzny. Jenerałów i dygnitarzy rosyjskich traktował brutalnie, wymyślał im, tupał nogami i pięściami im wygrażał: to też ochotników na służbę w Królestwie było nie wielu. Tyran ten, despota, źle wychowany żołnierz, miał przytem umysł dość ograniczony i wcale nie widział potrzeby rusyfikowania Polski. Licznie rozdawane majoraty rozmaitym jenerałom i dygnitarzom rosyjskim, mające być niby środkiem do wytworzenia wśród ziemiaństwa polskiego, zamożnej szlachty rosyjskiej, nie przyniosły tych korzyści, jakie miano na celu⁶.

Donataryusze nie mieszkali wcale w kraju, a mieszkając nie chcieli zakopywać się na wsiach, lecz majątki swoje wypuszczali w dzierżawę Polakom, dbając tylko o to, by jak najwięcej wyciągnąć z donacji pieniędzy. Jak wszędzie w dygnitarzach rosyjskich i w ogóle w Rosyanach, tak i tu uderza zupełny z ich strony brak patriotyzmu rosyjskiego i odczucia interesu państwowego, jeżeli patriotyzmem jest rusyfikowanie Polski i jeżeli ono leży w interesie państwa.

Inni znowu, garść rosyjskich urzędników, głównie zamieszkała w Warszawie, nie miała nic innego na celu, tylko przypodobać się swemu groźnemu panu, Paskiewiczowi, i żyć wygodnie. Nie przyjmowani nigdzie przez towarzystwo polskie, które umiało od nich odgrodzić się nieprzebytym murem, żyjąc samotnie wśród polskiego otoczenia, powoli polonizowali się sami, przejmowali obyczajami polskimi, zgrywali się w karty, pili i bardzo często żenili z jaką Polką, wyrwaną albo z domu publicznego, albo z kawiarni.

Było jeszcze kilkudziesięciu kupców rosyjskich, rozrzuconych po Warszawie i znaczniejszych miastach prowincjonalnych, zwanych powszechnie „kapami”, ale ci mając na celu jedynie swe interesa handlowe, żyli cicho, nie mieli żadnych pretensji do panowania nad Polską i powoli, w ciągu lat ulegali także wyższości i urokowi życia i otoczenia polskiego. Wielu bardzo z nich osiadło tu na zawsze, a dzieci ich już były Polakami pod względem wyobrażeń,

6 W samej guberni Warszawskiej, według źródeł urzędowych, było 42 majoraty, z dochodem rocznym 441,000 rubli. Najwyższe dochody bo 30 tysięcy rubli rocznie mieli: Bystrom, właściciel donacji Chełmno w powiecie Łęczyckim; Fuhrmann, właściciel donacji Brwilno w pow. Gostyńskim; Toll, właściciel donacji Uniejów w pow. Kaliskim; i Kreütz, właściciel donacji Kościelec w pow. Komińskim. Takich co mieli dochód roczny oznaczony na 5000 rubli było ogółem 21. Największa ilość majoratów, bo dziewięć, przypadała na powiat Piotrkowski; najmniej, bo dwa na powiaty: Stanisławowski, Rawski i Koniński.

pojęć i języka, i z Rosyą łączyła ich tylko religia. W ogóle ta sfera ludzi była najuczciwsza i z małym wyjątkiem lubiana.

Wszystkie te klasy Moskali, jeżeli niekiedy wracały do ojczyzny, to nie przynosiły tam żadnych wiadomości o Polsce, i Polaka dla ogółu rosyjskiego była równie obojętną, równie mało znaną jak Kochinchina lub Abissynia. Rzadkich za czasów Mikołaja podróżników rosyjskich, przejeżdżających przez Polskę, uderzała zupełnie różna i obu jej fazyognomia względnie do własnego kraju. Napotykali oni tu liczne i dobrze utrzymane drogi, gęste wsie, pola starannie uprawne, ludność ruchliwą i czynną. Znać było na każdym kroku wyższą cywilizację; nie było tych wielkich, pustych, bezludnych przestrzeni, zarosłych lasami, przez które podróż wlokła się monotonicznie nieraz całymi dniami, jak w Rosyi. Tu nigdzie ziemia nie leżała odłogiem, wszędzie gdzie okiem było rzucić widniały wsie, błyszcząły wieże kościołów, dwory szlacheckie, chaty chłopskie i miasteczka pełne żydostwa. Kraj był inny i dla Rosyana wjeżdżającego tu po raz pierwszy, była to już obczyzna, zagranica. Komory celne, znajdujące się na kordonie między Królestwem i Cesarstwem, nadawały temu pogładowi na rzeczy, pewien stempel rzeczywistości widocznej, niezaprzeczanej.

Rosya więc nie znała nas, ale i my Rosyi nie znaleźliśmy. Podróżnicy nasi ówczesni, pomimo wysokiej ceny pasportów, tak licznie reprezentujący polską rozrzutność i polskie chore żołądki po różnych b a d a c h niemieckich, nigdy nie puszczali się do Rosyi. Był to świat dla nas zupełnie obcy i nieznan. Książek o Rosyi nie było żadnych, a jeśli były, to pisane przez emigrację, przez zbiegłych z Syberyi skazańców, pełne zatem nienawiści i fałszywych sądów. Książki te zresztą były zakazane, ztąd mało czytane i w ogóle dające nieprawdziwy, skażony przez nienawiść pogląd na Rosyą i Rosyan. Fantastyczne sądy zabarwione grozą i okropnością, zastępowały prawdziwą znajomość kraju i narodu, z którym los nas związał i który przeważny wpływ wywierał i wywierać musiał na nasze przeznaczenia. Rosya dzięki tej nieznajomości w wyobrażeniu naszym była zawsze „kraina pusta, biała i otwarta, jak przeznaczona do pisania karta”, że użyjemy słów poety; lud dziki i okrutny, urzędnicy straszni i krwawi. Liczne krzywdy, jakie nam zrobił rząd rosyjski, szły na karb całego narodu. Uważano go w ogóle za piekielne jakieś zbiorowisko katów, morderców i złodziei. Tego fałszywego i szkodliwego dla obu stron sądu, nikt nie prostował. Niemożność pisania o Rosyi czegokolwiek pod cenzurą, brak wszelkich korespondencji ztamtąd w gazetach naszych, zachowanie się na koniec tej garści Rosyan, którzy do nas przybyli i rządili, usprawiedliwiały zupełnie i nadawały tym sądom cechę autentyczności. Jeżeli każdy prawie Moskal, przybyły do Warszawy na wysoką jaką posadę, dopuszczał się wszelkiego rodzaju nadużyć

i gwałtów, jeżeli kradł i rozbijał, jeżeli był brutalem, źle wychowanym i okrutnym, to rzecz prosta, że z jego postępowania sądzono o całości narodu rosyjskiego. A na nieszczęście z małym bardzo wyjątkiem, wszyscy rosyjscy dygnitarze do nas przybyli, takimi byli, począwszy od Paskiewicza, a skończywszy na ostatnim ważnym. Wszystkie to byli ludzie najgorszych instynktów i żadnej moralności i uczciwości; wszyscy kradli, brali łapówki, obdzierali gdzie mogli i jak mogli, nieprzyzwoicie i grubijańsko obchodzili się z podwładnymi i publicznością, wszyscy byli karciarze, pijacy, rozpustnicy. Iluż to z pomiędzy nich pożeniło się z ładacznicami, wywleczonemi z zamtuzów publicznych!

Te to śmieci, te odpadki narodu rosyjskiego, awanturnicy i łajdacy, jak z jednej strony powodowali najgorszą i z gruntu fałszywą opinią o całym narodzie rosyjskim, tak z drugiej wpływali niezmiernie niekorzystnie na kraj, którym rządzą. Za przykładem dygnitarzy rosyjskich okradających skarb bezczelnie i biorących łapówki od każdego, rozpowszechniło się w szeregach czystej dotąd pod tym względem administracyi krajowej łapownictwo na wielką skalę. Za śniadanie, za kubana wszystko można było zrobić, i jakkolwiek środek taki osłabiał nieraz siłę zgubnych ciosów, wymierzanych przez rząd na kraj, wszelako poniżał godność osobistą i poczucie obowiązków w bardzo licznej klasie urzędniczej polskiej. Do pewnego stopnia jednak tych ostatnich usprawiedliwia to, że pensye, jakie ze skarbu pobierali, były w ogóle bardzo małe, nieodpowiednie i niewystarczające na utrzymanie nawet siebie i rodziny. Przytem wymagania znacznie wzrosły. Warszawa za rządów Paskiewicza miała niezwykle blask i pozory oddanego zabawie i zbytkowi miasta. Chroniczna choroba polska życia nad stan, dorównania bogatszym, pokazania się, jak to mówiono, zmuszała tych urzędników do pomagania sobie wszelkimi godziwymi i niegodziwymi środkami. Wszystko hulało, grało w karty, zbytkowało i urzędnik więc hulał, grał i zbytkował.

Ten charakter hulaszkości i nie oglądania się na jutro, jak z jednej strony leżał i leży w usposobieniu narodu, tak z drugiej był sztucznie podtrzymywany przez rząd. Paskiewicz, podobnie jak Cezar, nie lubiał białych twarzy, umysłów ześrodkowanych w sobie, charakterów poważnych i skromnych. Jemu podobała się szalejąca za końmi, psami i kobietami młodzież; tracąca majątki przy zielonych stolikach lub w buduarach modnych lafirynd, bo życie takie odbierało jej energią, nie pozwalało myśleć o zadaniach ogólnych, o sprawach krajowych. Rozpustę i utracyuszostwo podtrzymywali swym przykładem dygnitarze rosyjscy, podtrzymywało rozpaczliwe usposobienie wszystkich lepszych umysłów w kraju. Bezowocność usiłowań narodowych w r. 1831, 1846 i 48, straszny ucisk, tysiące ofiar bezużytecznie padłych, tyle krwi najlepszej marnie wylanej, brak życia politycznego i w ogóle jakiego-

kolwiek życia społecznego i umysłowego, emigracja z kraju wszystkich ludzi najdzielniejszych, najenergiczniejszych i najzdolniejszych, lub wygnanie ich na Sybir, sprowadziła na Polskę drzemkę nieprzespaną, apatię i zniechęcenie. Stracono nadzieję w możliwość wszelkich usiłowań i prób polepszenia swego i kraju losu, bo rząd wszędzie i zawsze stawiał nieprzełamane zapory. Umysły mierne i małe, tworzące ogromną większość w każdym narodzie, popadły w zupełne ogłupienie, próżniactwo i rozpustę; serca lepsze i gorętsze, dusze podnioslejsze i zdolniejsze, wobec tego stanu, zaraziły się jadem zniechęcenia, trawiły rdzą pesymizmu i ostatecznie oddały się używaniu życia tak zawsze krótkiego i raz jeden tylko posiadanego, lub niezdrowym, nieopartym na podstawach rzeczywistości marzeniom, temu słusznie nazwanemu „onanizmowi ducha”, który niemniej od fizycznego wyczerpywał i obezsilniał. Literatura w kraju miała na usta nałożony kaganiec i w niczem nie mogła oddziaływać na zmianę tego usposobienia ogólnego; literatura emigracyjna za to, zrodzona w ponurej nocy wygnania, nerwowo rozdrażniona i chora odezwana od kraju i karmiona bałwochwalczą czcią nieziemskiej jakiejś ojczyzny, podtrzymywała ten stan marzeń, chorobliwych iluzji, rozpaczliwych skarg i elegii. Pod jej wpływem zapanowało przekonanie, że w kraju nic robić nie było można i nie należy; że Polska niepodległa i wolna powstać kiedyś musi przy pomocy zagranicznej, przy pomocy kataklizmu jakiegoś, pułków archaniołów z nieba zesłanych, które nie zjawiały się wprawdzie, ale zjawić kiedyś muszą. Wiele umysłów wrażliwszych opanował denerwujący mistycyzm, płód ucisku, nieprawie dziecię bólu i cierpień. Wszystkiego spodziewano się od kogoś, niczego od siebie. Pojawiali się fałszywi prorocy, którym wierzono i czczono ich jak bogów; rymotwórcy którzy stawali się kierownikami nawy narodowej. Lada wiersz zrodzony na emigracji, uważano za ewangelię narodową. Bujanie w chmurach, w mistycznych ekstazach, płacz gdzieś nad Tybrem lub Lemanem nad Polską, uchodził za wysoki patryotyzm, za pracę na warsztacie narodowym, podczas gdy w kraju szlachcic uciskał chłopą, chłop mordował szlachcica, a ojciec rodziny patrzeć musiał na to, jak mu dzieci ogłupiają i wynaradawiają w szkołach. Przyszło do tego, że gdy powszechne zapanowało przekonanie, iż w kraju nic robić nie można i nie należy, za emigracją przymusową szła emigracja dobrowolna zdolniejszych i energiczniejszych ludzi, których bezczynność męczyła, a którym się zdawało, że tylko na bruku paryzkim można coś dla Polski robić. Jednym słowem, dwoma żyłami najdroższa krew narodu ubiegała: wychodźstwem i konspiracją.

Pozostali zato w kraju, młodzież o dobrej, gorącej krwi polskiej, chcąc czemś zapełnić czczość i pustkę życia, oddała się namiętnościom poniżającym i hulaszczości bez granic. Warszawa szumiała od balów, od uczt, wydawa-

nych dla ladacznic, od czwórek w lejc po krakowsku zaprzężonych, pędzących z trzaskiem i fantazją po Alejach Ujazdowskich, od gier hazardowych, w których pękały setki tysięcy złotych, ciężko, krwawo zapracowanych przez chłopą polskiego. Wytworzyła się cała klasa tzw. „złotej młodzieży”, która słyneła na bruku warszawskim ze swej hulaszczosci, znaną była przez wszystkie modne i drogie traktyernie, handle win, dorożkarzy i kobiety publiczne. Niektórzy z pomiędzy tych złotych młodzieńców upamiętnili się w tradycji ludu warszawskiego, jak Mniewski z Kutna i wielu innych, którzy ogromne fortuny zmarnowali na bruku warszawskim. Rząd tej hulaszczosci sprzyjał, bo ona niszczyła młodzież moralnie, fizycznie i materyalnie, wypędzała z głowy myśli poważniejsze. Do Warszawy bardzo często zjeżdżał stary Ignacy Turkuł, minister sekretarz stanu Królestwa, wielki kobieciarz, i wówczas grupowała się koło niego cała gromada, takich samych jak on rozpustników. Do gromady tej należeli Teodor Paskiewicz, syn namiestnika, Michał książę Radziwiłł, bracia Podczasy, Edmund Chojecki, późniejszy głośny pisarz francuzki, i inni. Nadawali oni, że tak powiemy, tor rozpuście warszawskiej, wyrzucali za okna pieniądze, że użyjemy przysłowia ludowego, przepędzali całe noce przy kartach, po modnych restauracjach, po zamtuzach publicznych. Na przejażdżki zamiejskie wywozili nieraz cały balet warszawski i głośne orgie wyprawiali, które zwracały na siebie uwagę powszechną. Obok nich, nazwiska ladacznic, umięających wysysać tę młodzież z pieniędzy i zdrowia, mających swe stosunki wszędzie, jak osławiona żydówka Manasowa, wpływająca nieraz na sprawy najważniejsze, w historii nawet zaznaczone być muszą.

Urodzaje panujące prawie przez dziesięć lat z rządu, zniesienie ceł zbożowych w Anglii, a ztąd popyt na pszenicę polską i żyto, wzmagający się dobrobyt w kraju, przyczyniał się także bardzo wiele do tej hulaszczosci, która nieraz miała charakter oszołomienia się pomyślnego i szukania zapomnienia w kieliszku wina, przy zielonymi stoliku, lub na łonie pięknych kobiet. Na prowincyi smutną sławę zjednały sobie jarmarki w Jędrzejowie, Skaryszewie, Łowiczu, Łęczny, gdzie zjeżdżano się tłumnie i hulano na zabój, krocie tracąc i marnując. Zapanowała apatya powszechna, obojętność na wszystko, ból jakiś głuchy, o którym starano się zapomnieć w hulankach i bachanaliach. Śmierć Mikołaja i jego sługi wiernego Paskiewicza, pokój paryzki, na którym wiadziano, że była mowa o Polsce, jeżeli dla jednych, dla dusz melancholijnych, był „zgaśnięciem nadziei promieni”, to dla ogółu, sądzącego rzeczy z pozoru, wszystkie te wypadki inaczej się przedstawiały, ożywiły nieco zapadającą w senną, chorobliwą apatyę kraj. Dało się uczuć powszechne zwolnienie więzów, a choć dotąd żadne nie zaszły zmiany w systemacie rządzenia krajem, przecież ogólny charakter tych rządów był łagodniejszy, miększy, bardziej

ludzki. Wicher liberalizmu, który się zerwał z pośrodką gradu kul sewastopolskich, szumiał po całym olbrzymim imperium i słychać było trzask łamanych przez niego dawnych, zmurszałych już wiązań. Powtarzamy, dawało się to czuć i u nas, w Warszawie i w całym kraju.

Po krótkich, zastępczych rządach generała Wincentego Krasińskiego⁷, namiestnikiem w Królestwie został Michał ks. Gorczakow.

Nominacja jego na tę godność nastąpiła w dniu śmierci Paskiewicza, tj. d. 1 Lutego 1856 r. i nie miała ona żadnego charakteru politycznego, nie mówiła wcale o programie, jakiego rząd zamierza trzymać się w Polsce. Była raczej nagrodą, rodzajem wysokiej, dobrze płatnej i pełnej zewnętrznego blasku synekury dla starego, zasłużonego generała, ostatniego wodza sewastopolskiego, z którym nie wiadano co zrobić i gdzie go pomieścić. Jeżeli co przemawiało za schorowanym, wątłym księciem Gorczakowem, to jego długoletni pobyt w Polsce, na stanowisku naczelnika sztabu, jego umysł łagodny, miękki, liberalny. W czasach modnego liberalizmu, gdy po salonach petersburskich

7 Właśnie w tej porze, za rządów generała Krasińskiego, stał się fakt, który z jednej strony okazywał wyraźnie co walczyli wszyscy dygnitarze rosyjscy, rządzący w Królestwie, z drugiej, wykazujący jasno, że gdyby Polacy zajmowali te stanowiska, takich nadużyć by nie było. Dyrektorem Komisji spraw wewnętrznych i duchownych był wtedy generał Wikiński, sławny łapownik, starający się o to tylko, by na wysokim swym urzędzie zrobić majątek. Spekulował on na wszystkim, na wszystkim starał się coś zarobić. Musiano mu się opłacać przy nominacjach na urzędy, probostwa, prelatury; zysk z dostaw skarbowych zawsze, co najmniej w połowie, tonął w jego kieszeni. Głośną w swoim czasie była restauracja pałacu Mostowskich, w którym mieściła się Komisja spraw wewnętrznych. Restauracją tę puścił Wikiński w antreprzyż niejakemu Dobronokiemu, weterynarzowi i ujeżdźczycowi koni z powołania. Paskiewicz lubił Wikińskiego, i według wieści, dzielił się z nim kubanami, więc wszystkie złodziejstwa i nadużycia nie wychodziły na wierzch, a nawet skarga generała Rüdigerera, zaniesiona do Petersburga na Wikińskiego o przeniewierstwo, nie miała żadnego skutku. Ze śmiercią Paskiewicza atoli zmieniło się położenie. Wikiński działając po dawnemu, razem z Czetyrkinem, naczelnikiem służby zdrowia w Królestwie, wziął łapówki kilka tysięcy rubli od pewnego doktora, i przedstawił go na posiedzeniu Rady Administracyjnej do nominacji na fizyka miasta Warszawy. Ktoś jednak doniósł o wszystkim Krasińskiemu, wskutek czego ten nominacją powstrzymał i wzięwszy Wikińskiego na bok, we framugę okna, rzekł do niego: „doniesiono mi, że ktoś w Komisji spraw wewnętrznych wziął od tego doktora pieniądze za nominacją, nie wypada więc go nominować”. Zakłopotany Wikiński stracił przytomność i jękając się odpowiedział: „Ję Bohu, nie ja to Czetyrkin wziął”. Ze swej strony Czetyrkin dowiedziawszy się o zdradzie współnika, pojechał do Krasińskiego z tłumaczeniem się i zapewniał, że to nie on, Czetyrkin, ale Dyrektor główny Komisji wziął od doktora trzy tysiące rubli. Krasiński wzruszył na to ramionami i zawołał: „a dajcież mi pokój, kto dojdzie który z was wziął łapowe!” Fakt powyższy nie ukrył się jednak przed publicznością, wszyscy o nim mówili, a choć skandal był wyraźny i głośny, Wikiński jednak nie utracił swej posady, aż dopiero w parę miesięcy później, już za namiestnictwa księcia Gorczakowa.

brzmiały tylko słowa: wolność, swoboda opinii, idee europejskie, reformy w takich czasach, nie podobna było posyłać, nawet do Warszawy, człowieka surowych, skostniałych, mikołajewskich przekonani. Zresztą, Polska zdawała się być tak cichą, tak spokojną, tak pozbawioną nawet snów i marzeń, że mógł nią rządzić pierwszy lepszy generał, mający za sobą pięćdziesiąt lat służby i formy przyzwoite w obejściu.

Gorczakow więc z wielu względów nadawał się na tę posadę. Był księciem, pochodzącym z bardzo starożytnej, kniaziowskiej rodziny. Jeden z jego przodków, Piotr Iwanowicz Gorczakow, bronił w r. 1609 przeciw Zygmuntovi II-mu Smoleńska. W ogóle mówiąc, Gorczakowie należeli do arystokracji rosyjskiej, dumnie się nosili i górnje patrzyli, choć ta gałąź, z której pochodził namiestnik, była stosunkowo dość ubogą i posiadała niewielkie dobra w guberni Kostromskiej. Po surowym więc plebejuszu, jakim był Paskiewicz, który z czasem wyrósł na księcia, ale który nigdy nie mógł się pozbyć swych nawyknień żołnierskich, posyłano do Polski księcia, prawdziwego księcia z krwi i rodu, do tej Polski, którą zawsze uważano w Petersburgu za kraj arystokracji i szlachty. Otaczała go przytem aureola dawnej chwały wojennej, błyszczały na nim promienie napoleońskiego słońca z pod Borodina, Budziszyna, Drezna i Lipska! Okrywał go jeszcze kurz i dym bojowy sewastopolski, uparta choć nieszczęśliwa obrona tej twierdzy. Na czole nie świeciły mu wawrzyny wielkiego wodza, ale był generałem, który zachował godność w nieszczęściu, honor w niedoli i w ogólnem rozbiciu cześć swej armii podniósł wysoko. Przez parę lat żył w obozie, wśród gradu kul, wśród łoskotu walących się murów i pękania granatów, więc słusznie należał mu się spoczynek na cichym, drzeмиącym, jak się zdawało, tronie namiestnikowskim w Zamku warszawskim.

A przytem Gorczakow znał Polskę. Od chwili gdy jego artylerya, której był naczelnikiem przy szturmie do Warszawy w r. 1831, zasypała deszczem ognia i żelaza biedny szaniec Wolski, od tej chwili aż do dni Sylistryi i Sewastopola nie opuszczał Polski a raczej Warszawy. Pełnił tu obowiązki szefa sztabu Paskiewicza a później generał-gubernatora. I ten to długi pobyt przy tym brutalnym tyranie, plebejuszu, do którego słusznie można zastosować ruskie przysłowie „ne daj Boh z Iwana pana”, ten długi, powtarzamy, pobyt w Warszawie, zrobił z Gorczakowa to, czem się w końcu okazał na nieszczęście Polski. Pod żelazną ręką zdobywcy Erywanu i Warszawy, Gorczakow utracił i tę odrobinę własnej woli, energii i inicjatywy, jaką miał. Teraz gdy siadał na stolec wielkorządcy cesarskiego w Warszawie, był to już zgrzybiały starzec tak pod względem fizycznym jak i moralnym. Sam się do tego przyznawał głośno, mówiąc że „nie ma żadnej ufności i wiary w swe zdanie”. Złamało go życie, ugięło zupełnie ten miękki charakter, a raczej ten zupełny brak charakteru.

Urodził się w r. 1792, w chwili więc gdy przybywał do Warszawy, liczył 64 lata, z których trzecią część przepędził pod żelazną, niwelującą ręką Paskiewicza. Ten chwalił się głośno, że „złamał” Gorczakowa, że zrobił zeń zero, i niestety! pod tym względem się nie mylił. Gorczakow był zupełnym zerem, bez zdania, bez decyzji, ulegający wpływom dziś, by nazajutrz znów odrzucić te wpływy i samemu pozostać bez zdania, bez decyzji. Paskiewicz, który w uniesieniu kopał generałów, pięściami im wygrażał, a zawsze obrzucał szeregiem najobelżliwszych, najtrywialniejszych wymysłów, z Gorczakowem nie inaczej się obchodził. Zdarzyło się raz, podczas wojny węgierskiej, że go ręką po nosie uderzał i gadał mu, że jest zerem, niczem innym tylko zerem. Zero to jednak wypromował na wodza naczelnego w kampanii krymskiej, a choć wyrzucał sobie to później, jednakże fakt się stał, fakt który Rosya ciężko odpokutowała. Krwawe hekatombry z ciał żołnierzy polskich i rosyjskich nad rzeką Czarną, będą zawsze dowodem nieuctwa, niedołęstwa i nicości Gorczakowa.

Nie był to nawet średniej wartości wódz, nie miał w sobie, ani pociągu do wojskowości, ani zapału, ani nauki. „Studkowałem wszystko, mówił o sobie, i taktykę i strategię i inżynierię wojenną, ale wodzem naczelnym być nie mogę, bom nie dowodził nigdy samoistnie nawet batalionem”. A jednak takiego człowieka zrobiono generalissimusem w wojnie ciężkiej, trudnej, z największymi podówczas potęgami militarnymi w Europie. Wojna nie unosiła go, nie rozgrzewała, nie budziła w nim żadnych pomysłów. Kiedy postanowił wziąć Sylistryę i kiedy wojska zajęły wyznaczone im miejsca, gotowe na sygnał rakiety rzucić się do szturm, i kiedy do wydania tego sygnału brakowało tylko pół godziny, nagle zjawił się kurier cesarski, Protasow z rozkazem, że „jeżeli w chwili otrzymania tego pisma, Sylistrya nie jest wzięta, to się cofać natychmiast”. Pismo to Gorczakow odczytał przy świetle latarni, w pośród stu tysięcy gotowych do szturm żołnierzy, i zamiast rakiety sygnałowej, nakazał odwrót za Dunaj! Zaiste, nie tak by postąpił Kromwell, Maurycy Saski, Fryderyk Wielki, Napoleon, lub choćby nasz Henryk Dembiński i Chrzanowski. Oni by wprzód Sylistryę wzięli, zburzyli, wysadzili w powietrze, krwią jej mury napoiли, a potem dopiero wyższy rozkaz spełnili.

Żeby jednak coś podobnego zrobić, trzeba mieć w sobie ducha wojskowego, trzeba mieć charakter, którego Gorczakow był całkiem pozbawiony. Jego wysoka, szczupła, zawędła postać, jego chód podobny do chodu żurawia, jego zgarbienie się, twarz mała, płaska z wyraźnym typem mongolskim, nos siodłowy, pod którym sterczały krótkie, szczecinowate wąsy, nie budziły w wojsku i w nikim zapału ani sympatii. Był głuchy i ślepy. Za młodu, jego małe, czarne, ukośne, tatarskie oczki, pokryte były zawsze do połowy powiekami, znamieną cechą rasy, do której należał, co go zmuszało do podnoszenia gło-

wy i przechylania jej nieco w tył; później ten wzrok zły i brzydki, starał się poprawić przez okulary, ale i to mu niewiele pomagały. Widział zaledwie na parę kroków przed sobą.

Wszystko to, wszystkie te wady fizyczne i moralne, niemożliwym go oczywiście czyniły jako wodza, jako żołnierza, nawet jako naczelnika władzy. Poza tem atoli, jako człowiek, miał dużo zalet i cnót, które w innych warunkach i na innem stanowisku, robiłyby zeń prawdziwą ozdobę towarzyskich i państwowych sfer. Był on wysoce prawym człowiekiem i nigdy nie okradał kas skarbowych, jak to jest we zwyczaju u wszystkich dygnitarzy rosyjskich. Każdy grosz rządowy był dla niego rzeczą świętą. Jako wódz naczelny miał prawo pobierania pieniędzy na utrzymanie sześćdziesięciu koni; trzymał ich tylko osiem, resztę pieniędzy zwracał skarbowi. Gdy jechał do Warszawy dla objęcia namiestnikowskiego berła, cesarz dawał mu znaczną bardzo sumę (podobno milion rubli) na zagospodarowanie się w stolicy Polski. Gorczakow podarku tego nie przyjął. Fakt rzeczony nabiera tem większego znaczenia, że Gorczaków był człowiekiem bardzo ubogim, utrzymywał się tylko ze swej pensyi i że w ogóle czuł bardzo często dotkliwy brak pieniędzy. Ojciec jego, właściciel ziemski w guberni Kostromskiej, nie posiadał dużego majątku, którym syn rządził nieumiejętnie, bo do wszelkich rządów był niezdatny. Ojciec ten do pewnego stopnia był literatem, pisał wiersze, powieści, opery; był członkiem akademii petersburskiej nauk i w syna wlał zamiłowanie do literatury, nie wlawszy weń talentu pisarskiego, którego przyszyły wielkorządca polski nie miał wcale. To zamiłowanie jednak, to usposobienie literackie nosiło na sobie pewne znamię arystokratyczne. Gorczakow nie znał literatury ojczystej i nie czuł do niej żadnego pociągu; za to francuzką znał dobrze i czytał książki tylko w tym języku. Raz jedyny napisał słaby wiersz rosyjski na przejście armii przez Dunaj, który to wiersz Mikołaj kazał wydrukować.

Ojciec zrobił zeń zresztą jeżeli nie kosmopolitę, to Francuza. Mówił zawsze po francuzku i cenił tylko tych, którzy odzywali się doń dobrą francuzczyzną. Dla tych, którzy udawali się do niego z jaką prośbą, jeżeli tę prośbę wygłaszali po rosyjsku, był szorstki i niechętny; jeżeli zaś prośba wypowiedziana była w języku Gallów, chętnie jej dawał ucha. Po wałach obleganego Sewastopola, włóczył się bardzo często, nucąc pod nosem: „je suis soldat, français!” Zabawny wódz naczelny, bijący się z Francuzami i śpiewający ich pieśni żołnierskie. Ale Gorczakow to kosmopolita, arystokrata z przekonania, z wychowania i pragnień. Był nadzwyczajnie roztargniony, nieprzytomny, niezdecydowany i leniwy. Najważniejsze sprawy gotów był odkładać na później dla przeczytania jakiego nowego romansu francuzkiego. Usposobienia był cichego, spokojnego, ambicyi i pragnień nie miał wysokich. Nie lubił ostentacyi,

przepychu, publicznych wystąpień w majestacie władzy. Jadąc do Warszawy na stanowisko namiestnika, odezwał się do jednego ze swych adjutantów „nigdy nie marzyłem nawet o tem, że mogę wrócić do Warszawy, i przynaję się, że wcale niezadowolony. Jedynem mojem, największem pragnieniem jest posiadanie małego domku w Szwajcaryi, z pensją, jaką sobie wysłużyłem”. Pragnienie poetyczne, o Cyncynatowym zakroju ale bez zasług i przeszłości rzymskiego wodza.

Władza więc ciążyła mu, przyjmował ją z niechęcią, nie lubiał jej, jako rzeczy, którą kierować nie mógł, nie potrafił. Był zresztą chory, stary, ślepy i głuchy. Nigdy nie mówił wyraźnie czego chce, mrucał coś pod nosem niejasno, że go trudno było zrozumieć. Pisał tak nieczytelnie, że tylko trzy osoby w Warszawie mogły go czytać. Był z natury miękki, dobry, łagodny i w ogóle nie zostawił po sobie złego wspomnienia w Warszawie, choć umarł o obficie krwią polską zlany. Stworzony był na wielkiego, bogatego pana, który by nie potrzebował nic robić, niczem się zajmować, chyba bując w sferach fantastycznych marzeń i czytać romanse francuzkie. Los, który umie ludziom i państwowi płodzić niespodzianki, zrobił go wodzem naczelnym i wielkorządcą Polski, to jest oddał mu w ręce dwa stanowiska niezmiernie śliskie i trudne, zadania nader skomplikowane, które pomyślnie mógł rozwiązać tylko człowiek żelaznego charakteru, silnej woli, talentu i umiejący stworzyć program i program ten wykonać w zupełności. Niestety! Na nieszczęście Polski, a powiedzmy i Rosyi, Gorczakow takim człowiekiem nie był. Miękki, wrażliwy, jadąc z Baczysaraju, gdzie w starej chanów krymskich siedzibie odpoczywał po krwawych dniach Sewastopola, do Petersburga i Moskwy, wezwany tam przez cesarza dla otrzymania instrukcyi, musiał przebyć niemal całą Rosyą. Jakież zmiany tu zastał, jak różny obraz od tego, gdy niedawno, przed laty biegł, by stawić czoło związkowym! Wszystko dyszało swobodą, wiosną życia, nadziejami. Mimo woli ten wrażliwy starzec, to siwowłose dziecko zaczerpnęło w zeszlą swą pierś tego powietrza świeżego, tego powiewu liberalnego, który wiał wówczas po całym caracie. Gdy się jeszcze znalazł w Petersburgu, gdzie zabawił parę tygodni, gdy ze wszystkich stron o stępały słuch przyszłego namiestnika odbijały się wyrazy: reforma, postęp, swoboda; gdy po wszystkich salonach słyszał jeno wolnomyślne zdania, tysiączne projektu, gdy na koniec sam cesarz zdawał się pragnąć tylko pozbycia się części swej władzy na korzyść narodu, nie dziw, że puścił się do Warszawy, do stolicy „nieustającego spisku”, z zamiarami jak najlepszemi, z chęcią rozluźnienia kajdan, skończenia raz na zawsze z dyktaturą wojenną, która przez dwadzieścia pięć lat łamała Polsce kości i połamać ich nie mogła.

Na koniec dnia 13 Lutego 1856 r. przybył do Warszawy, między dobrze sobie znane mury, które nie budziły w nim żadnych przyjemnych wspomnień,

między starych swych znajomych. Ci, którzy znali Gorczakowa dawniej, jego charakter miękki, dobroduszny i łagodny, uważali nominacją tę za objaw bardzo znaczący, za oznakę, że rządy tyrańskie się skończyły a rozpoczną się rządy łagodne i gotowe do ustępstw. Nazajutrz, gdy w Zamku warszawskim, gdzie dotąd królował groźny i brutalny Paskiewicz, zebrali się wojskowi, urzędnicy, duchowieństwo, szlachta i wybitniejsi mieszczanie dla powitania nowego namiestnika, ten przemówił do nich w sposób przyzwoity, tonem od jakiego od dawna wszyscy byli odzwyczajeni. Swym głosem suchym, bezdźwięcznym, niewyraźnym, połykając połowę wyrazów, patrząc przez okulary i nikogo nie widząc, Gorczakow mówił: że cieszy się, że go cesarz mianował na takie stanowisko, że się znajduje znowu w Polsce, w której tyle lat przepędził. Zaznaczył, że „ci z kraju tutejszego, którzy służą w armii południowej i krymskiej, walecznie się bili pod marami Sewastopola”; przytoczył nazwiska kilku, „którzy stanęli w rzędzie najznamienitszych, i najświetniejszych oficerów”. Cała ta mowa tętniła pewną sympatyczną struną, nie miała w sobie nic groźnego, żadnych obelg, oskarżeń i gróźb, które zwykle rozlegały się w takich razach z ust przedstawicieli rządu i w ogóle wywarła dobre wrażenie.

Wrażenie to zatarło się nieco przez nominacją Pawła Muchanowa na dyrektora Komisji spraw wewnętrznych i duchownych, po usuniętych na koniec łapowniku Wikińskim. Był to nieomal pierwszy urzędowy krok nowego namiestnika, który przykro się odbił w kraju. Muchanow był powszechnie nie lubiany; należał do rzędu tych szkodliwych „diejatieli” rosyjskich, których później, po powstaniu Styczniowem takie mnóstwo do Polski się zleciało. Pierwotnie służył w wojsku i odbył w r. 1829 kampanię turecką, oraz polską w r. 1831. Przy szturmie do Warszawy miał się odznaczyć i „wypełnić kilka ważnych poleceń co do uspokojenia, wodzów powstania i wcielenia do służby rosyjskiej żołnierzy armii polskiej”. Zaraz po wojnie polskiej ożenił się w Warszawie z wdową, baronową Morenheim, Polką, z domu Mostowską, córką Tadeusza, która jednak w niczem nie wpłynęła na jego nienawiść do Polski i Polaków, jaką czuł całe życie. Do służby rządowej w Królestwie wstąpił w r. 1842. Jako pisarz nie bez talentu zajmujący się specjalnie dziejami polskimi⁸ mianowany został pomocnikiem Kuratora okręgu naukowego, generała Okuniewa. Okuniew go nie lubił, nie lubił także Paskiewicz. Muchanow bowiem był osobą wysoce niesympatyczną, pozbawiony taktu, surowy w obejściu, z twarzą tatarską i ordynaryjną. Mimo jednak niechęci Paskiewi-

8 Wydał: 1) Dokumenta oryginalne o wzajemnych stosunkach między Rosją a Polską, głównie w czasach Samozwańców (Moskwa 1833 r.) 2) Szturm Pragi d. 24 Października (v. s.) r. 1794 r. (Moskwa 1835 r.) 3) Rękopism Żółkiewskiego o wojnie moskiewskiej za panowania Zygmunta III. Przedkład z polskiego (Moskwa 1835 r.).

cza, Muchanow był tak zręczny, tak potrafił intrygować, zrobić się koniecznym, że po Okuniewie otrzymał kuratorstwo okręgu naukowego.

Na tem stanowisku trzymał się uparcie i stale mikołajowskiego systemu tępienia oświaty i rusyfikacji szkół polskich. Z właściwością wszystkich umysłów ciasnych, tępych, ograniczonych, do jakich bez zaprzeczenia należał Muchanow, nie lubiał wszelkich nowości i zmian. Raz wprowadzonego systemu i porządku nie chciał naruszać, choćby ten porządek najgorsze wydawał owoce. Postawił sobie przytem zasadę, nie robić przytem żadnych reform w Królestwie, nie wprowadzać doń nic takiego, czego jeszcze w cesarstwie nie było. „Nie mogę na to pozwolić, odzywał się, gdy mu podsuwano projekta reform, ażeby Królestwo uprzedało w czemkolwiek cesarstwo”. Lecz nie tylko nie pozwalał na zmiany, ale psuł to co zastał w kraju. Poziom oświaty obniżył niesłychanie. W szkołach za jego rozkazem uczono dzieci fałszywej historii z osławionej książki Kajdanowa. Gdzie mógł wprowadzał wykład rosyjski, ograniczał liczbę uczniów, polecał rygor wojskowy, surowe kary za kołnierzyki wyglądające z poza sztywnych halsztuków mundurowych, za niezapięte na wszystkie guziki mundurki, za włosy długie lub wąsiki, za niesalutowanie oficerów po ulicach, za cywilny ubiór ucznia, za poezye Mickiewicza ukradkowo pod ławkami czytowane, za wszystko to ćwiczano różgami młodzież, wypędzano ze szkoły. Ciało nauczycielskie usiłował zgangrenować; mianował wygnanych z pułku poruczników dyrektorami szkół, wprowadził system szpiegostwa i denuncjacji wzajemnych; szkołę poświęconą nauce, obcą polityce, zrobił areną dążności politycznych i miejscem zepsucia. W instytucie szlacheckim, zakładzie służącym wyłączności rodowej, zaprowadził zwyczaj, że podczas karnawału dawano bale. Rozkoszna muzyka, panny postrojone i mocno wygorsowane, obfitość jadła i napoju rozgrzewały krew, techały wyobraźnię młodych chłopców; w każdym razie z nauką nie miały nic wspólnego. W ogóle system edukacyjny był jak najgorszy, co kraj oburzało, drażniło i Muchanowa nie cierpiano powszechnie.

Nominacja więc jego w d. 20 Marca 1856 r. na dyrektora najważniejszego i najbardziej wpływowego na losy kraju ministerjum, nie mogła być przyjaźnie widziana przez ogół i nie zapowiadała wcale, by rząd zamierzał zmienić zasadnicze podstawy swego systemu dotychczasowego. W rzeczy zaś samej tak nie było. Gorczakow zrobił to nie dlatego, by chciał dalej kraj gnębić i wstrzymywać w nim rozwój, ale dlatego, że czuł osobistą wdzięczność dla Muchanowa. Jeszcze kiedy był w Warszawie szefem sztabu, a później generał-gubernatorem, żył w przyjaźni z Muchanowem, który już wtedy miał przewidywać, że nie kto inny po chorym Paskiewiczu zajmie namiestnikowski tron w Królestwie, tylko Gorczakow. Stosunki więc przyjazne z tym ostatnim

starannie utrzymywał i gdy Gorczakow jechał na wojnę turecką, zaproponował mu, że zajmie się zarządem jego majątków w Rosyi, mocno zniszczonych, i w istocie stan ich bardzo poprawił. Przysługa taka dla człowieka, który nigdy nie wiedział co ma, który czuł nieustanną potrzebę pieniędzy i nie był pewny jutra, miała bardzo doniosłe i poważne znaczenie. Gorczakow więc chciał się wywdzięczyć, a przytem Muchanow nie był pozbawiony pewnych zalet. Podobnie jak jego zwierzchnik, nie był łapownikiem i grosz publiczny szanował, co po Wikińskim stanowiło zaletę niepospolitą. Imponował przytem wiecznie fantazyom oddanemu Gorczakowowi pozytywnością swego umysłu, tym realizmem wszystkich mierności, który niekiedy uchodzi za rozum oraz stałym programem, którego się trzymał ściśle i od którego nie odstępował ani na krok. Wszystko to stanowiło pewną wyższość Muchanowa nad Gorczakowem, i ten ostatni urobiony przez Paskiewicza na to, by zawsze kogoś słuchał i komuś ulegał, nie wiedząc sam o tem, znalazł sobie pana w osobie Muchanowa.

Podczas kiedy Gorczakow był ślepy i głuchy i zdawał się drzemać na swym tronie namiestnikowskim, Muchanow wszystko widział i słyszał. Nie tajny mu był ruch umysłów, jaki obudził się w Polsce ze śmiercią Mikołaja, i nadzieje, jakie ożywiały wszystkich, że młody monarcha zmieni zgubny i niszczący systemat rządów krajem. Zauważył on, że dwa prądy zbiegają się w Polsce, jeden idący ze wschodu, z olbrzymiego caratu, gdzie wszystko zapowiadało nową erę reform i swobody, drugi z zachodu, z kąd emigracja donosiła o obietnicach Orłowa, o mniemanych stypulacjach kongresu paryzkiego, nawoływała do czynu, do obudzenia się z drzemki. Widział on, że w Polsce wszyscy pełni są jak najlepszych nadziei, że te nadzieje ogarniają nawet inne ziemie polskie, zabrane przez Prusaków i Austryjaków. W tym czasie właśnie, Tytus hr. Działyński, dziedzic Kórnika i bogatej tamże biblioteki, wydał swój „Dyaryusz sejmui” i zamierzał na wstępie umieścić rodzaj odezwy do cesarza Aleksandra II-go, „najpotężniejszego władcy ludów słowiańskich”, wzywając go niejako do krucyaty przeciw Niemcom, do tego, by „odbudowanie a nie zagłada były celem wspaniałych jego usiłowań”, i dając mu przykład, że unia Litwy z Polską, zrobiła tę ostatnią potężną, a zatem unia Polski z Rosyą, oparta na poszanowaniu praw wzajemnych, nie mniej potężną przyszłość dla obu narodów stworzy. Dedykacją tę napisał Działyński pod wpływem posła rosyjskiego w Berlinie, Brunnowa, który mówił o przyjaznem dla Polaków usposobieniu cesarza Aleksandra, o zamiarach reform i ulg, i kładł nacisk na to, że należałoby, aby Polacy jakimś aktem uroczystym, jakąś odezwą, jakimś objawem wreszcie publicznym, chcieli zaznaczyć swą sympatyą i ufność do młodego monarchy i tym sposobem ułatwili mu zadanie. Pod wpływem tych słów Dzia-

łyński przygotował swą dedykacją i pojechawszy do Paryża, przedstawił ją ks. Adamowi Czartoryskiemu i emigracyi, otaczającej osiwiatego przedstawiciela polskości. Ale tu napotkał stanowcze potępienie swego kroku. Czartoryski, Zamoyski Władysław i inni, oburzali się na słowa czci dla tyrana, jak mówili, Polski. Gdy do tych zarzutów, wygłaszanych przez emigracyą, dołączyli swoje i inni ludzie w kraju, należący do rozmaitych stronnictw i stanowczo potępiający zamiar Działyńskiego, oraz obawa, by rząd pruski nie wytoczył mu procesu o zdradę stanu, zachwiały nim tak dalece, że wydrukowaną już odezwę zniszczył, a egzemplarze z nią, znajdujące się w obiegu wycofywał, zaznaczając tylko w przedmowie do swego wydawnictwa, że odezwy tej nie pomieścił dlatego, że była „niezgodna z wypadkami zaszłemi w Polsce, a nawet z zasadami wielu najszanowniejszych rodaków”. Bądź co bądź dedykacja ta była bardzo charakterystyczną cechą tych czasów, tej wiosny brzemiennej tyłu nadziejami, tych prądów na koniec, jakie po umysłach i sercach polskich przebiegały. Uwagi Muchanowa nic nie uszło, co się działo w kraju. Znał on dobrze Polskę i wiedział jakie są pragnienia i aspiracye ogólne. Naród wtedy jeszcze nie zrzekł się ani jednego mniemanego prawa, nie chciał żadnej unii z Rosyą chciał niezawisłości politycznej i historycznych swych granic. „Wszystko albo nic, a spotkania plac... powietrze”, że użyjemy słów poety, wołali już wtedy zacietrzewieni politycy nerwów, głupcy, którzy dla marzeń gotowi byli poświęcić życie narodowe, sam byt jego przyrodzony, Czerwieńcy, emigranci chorzy na tęsknotę i w tej chwili ziemską, historyczną ojczyznę wyobrażający sobie jako niebo, jako cudowny ideał, jako alfę i omegę bytu, dla którego wszystko, ostatnią kroplę krwi poświęcić należy. Gdyby im, tym biednym, oszalałym marzycielom powiedziano: będziecie mieli Polskę pod rządem carów rosyjskich, Polskę z zupełną autonomią ale w granicach jej etnograficznych, po Bug, San z jednej, po Bałtyk i Karpaty z drugiej, po Wartę i Odrę z trzeciej strony, to taką Polskę odrzuciliby i nazwaliby to zdradą ojczyzny. Im w długich nocach wygnania, przy połykaniu gorzkiego chleba tułactwa, podobnie jak i ich wychowańcom w kraju, pokoleniu wyrosłemu pod różgą Muchanowa, kontrabandą zdobywającemu wiadomości o własnym kraju, jeżeli się śniła jaka Polska, to z królem własnym, z husarskimi skrzydły, z granicami Dniepru i Dźwiny! I wierzyli w to, że taką Polskę kiedyś wywalczą, zdobędą lub otrzymają. Fatalne złudzenie, które opłaciliśmy potokami najlepszej naszej krwi, i długą, długą nocą niewoli...

Oczywiście wobec takich przekonań, takiego usposobienia umysłów, nie mogło być nawet mowy o jakimkolwiek kompromisie, o tem, by kraj choćby najszerszemi reformami mógł być zadowolony. To też te nadzieje, które pokładano w młodym cesarzu, nie były wcale ostatnią, że tak powiemy, stawką

polską, ale wprost żądaniem uczynienia życia znośniejszem, możliwością robienia czegoś, odbiorem części należności bez pokwitowania z niej. A potem co Bóg da i przyszłość przyniesie... Ponieważ w rządzie rosyjskim wiedzano dobrze o tem wszystkim, żywiono dawną nieufność do Polaków, nieufność, która stała się już niejako systematem, nieufność ciągle podsycaną przez kierunek umysłów polskich, musiał więc nastąpić konflikt tych dwóch prądów, zgubny dla obu stron. Z jednej strony niechęć do ustępstw choćby najmniejszych, z drugiej niemożliwe wymagania, wywołać musiały i wywołały w istocie starcie, tem ostrzejszy przybierające charakter, im obopólnie usiłowano go uniknąć i zadawano sobie przymus przez rozum, przez widzianą ale nieodczuwaną należycie potrzebą załatwienia sporu na drodze polubownej. Ta potrzeba, zwłaszcza dla Rosyi, była w tej chwili nieodzowną i konieczną. Długa, krwawa wojna, w której ostatecznie carat został pobity lubo nie pokonany zupełnie, osłabiła go mocno, nadewszystko przeświadczyła, że żyć na sposób mikołajowski dalej niepodobna. Zainaugurowane przez cesarza Aleksandra I-go reformy, których pierwsze forpoczą, że tak powiemy, poczęły się już ukazywać, wymagały zupełnego wewnętrznego i zewnętrznego spokoju. Wszelkie więc zaburzenia w Polsce, w tej Polsce, o której, jak się to przekonano na kongresie paryskim, Europa nie zapomniała i w razie potrzeby z pewnością skorzystałaby z ropiącej się rany polskiej, by przez nią zadać dotkliwy cios caratowi, były w najwyższym stopniu nie na rękę Rosyi. Rozum więc, polityka, jakkolwiek niezupełnie uczciwa, bo na dzień mająca restrykcyje i gotowość do odebrania jutro tego, co się dziś dało, nakazywała uczynienie pewnych ustępstw Polsce, choćby części tego co Orłow przyrzekał na kongresie paryskim; z drugiej strony powstrzymanie surowe i bezwzględne wszelkich objawów niełojalnych i rewolucyjnych. Przez koncesye dla Królestwa czyniło się więc zadość dwom potrzebom, piekło się według przysłowia dwie pieczenie przy jednym ogniu, zyskiwało się spokój Polaków i stawało się przed Europą w postawie wysokiej i bezinteresownej uczciwości, że się dotrzymało swego słowa, choć nikt o to nie należał i nikt tego nie pilnował. Przytem w rządzie rosyjskim panowało to przekonanie, że Polska zdeptana i zmordowana przez Paskiewicza, zadowolni się lada czem, lada okruciami ustępstw, lada zwolnieniem więzów. Choć więc wiedzano o tych pragnieniach i aspiracyach, jakie wyżej nakreśliliśmy, uważano je jednak za marzenia niezbyt w gruncie rzeczy szkodliwe, a nadewszystko łatwe do powściągnięcia w każdej chwili. Zresztą miano niejake racye i o tem, że znajduje się w kraju pewna grupa ludzi wybitnych przez swój rozum, wpływy, bogactwa materyalne lub imiona historyczne, którzy skłonni są do kompromisu, którzy zadowolnią się lada czem, i w skutek czego rząd na nich w razie potrzeby będzie się mógł oprzeć. Było to ze strony rządu takie samo

złudzenie, jak ze strony polskiej mrzonka o możliwości odzyskania historycznych granic Dniepru i Dźwiny. Zapominano o tem, że w kraju rządzonym przez dwadzieścia pięć lat w ten sposób, jak było rządzone Królestwo; w kraju rozbitym, gdzie największa, najliczniejsza część narodu jęczała w anormalnych więzach pańszczyźnianych i stanowiła tylko ciężki balast skołatanej nawy, gdzie nie było żadnego organu, przez który by głośno można było przemówić, gdzie chłop nienawidził szlachcica, szlachcic chłopą, mieszczanin obu, gdzie wszystko trzymało się kupy tylko przez spójnię długiego żywota historycznego, przez nie pewnych pojęć, obyczaj i zwyczaj, że w kraju takim nie mogą się znajdować osobistości na tyle wpływowe i na tyle znaczące, by porywały wszystko za sobą. Mogły być tylko pewne koła, pewne koterye, pewne grupy na koniec ludzi, zwykle bardzo małe, przez ogół nieznanne i nieuznane, które w żadnym razie na ten ogół oddziaływać na wielką, szeroką skalę nie mogły. Był to konieczny owoc długich, Paskiewiczowskich rządów, i Rosya wkrótce przekonać się miała jak gorzkim i zatrutym jest ten owoc.

Wśród takich to warunków i takiego stanu umysłów rządzących i rządzonych, na wiosnę spodziewano się przybycia cesarza do Warszawy i na bytność tę liczono bardzo wiele, przywiązywano do niej ogromne nadzieje. Myśl o konieczności odezwania się, upomnienia o swe prawa, przypomnienia się, lub objawienia swych uczuć i swych pragnień, była nieomal powszechną. Wiele mówiono o tem, ale nikt inicjatywy wziąć nie śmiał; na wszystkich leżała jeszcze straszna, ciężka groza rządów Paskiewiczowskich. Na trzy tygodnie dopiero przed przyjazdem monarchy, dnia 2 Maja, trzech znakomitych obywateli, a między nimi hrabia Jan Jezierski, marszałek szlachty lubelskiej, wielki zwolennik Statutu organicznego, przyrzeczonego niegdyś przez Mikołaja i nigdy niewprowadzonego w życie, człowiek, który w r. 1830 wysłany został przez rząd tymczasowy do Petersburga, i potrafił wtedy z niepospolitą śmiałością zaznaczyć swą lojalność względem cesarza i króla, a przytem rozumny, obdarzony niezwykłą odwagą w obronie interesów kraju, udało się do barona Firksa, publicyście znanego pod pseudonimem Schedo-Ferotti, Kurlandczyka rodem, a urzędującego w Warszawie od dość dawna, zdać się w kancelaryi dyplomatycznej namiestnika, z prośbą o zredagowanie memoriału. W memoriale tym, który zamierzono podać cesarzowi, miały znaleźć wyraz wszystkie życzenia i potrzeby kraju, a właściwie tej grupy ludzi rozumnych, umiarkowanych, do których należał Jezierski. Chciano prosić o amnestyą dla emigrantów, o powrót zesłańców z Syberyi, o ustanowienie Rady stanu, uniwersytetu, o język polski jako urzędowy, o Stany prowincjonalne, Rady gubernialne i miejskie, i inne prawa i instytucye, objęte Statutem organicznym. Firks w trzy dni przygotował żądany memoriał i d. 5 Maja złożył go rzeczonym obywatelom,

którzy ze swej strony prosili o zwłokę kilkudniową, by mogli pismo przedstawić swym przyjaciołom politycznym. Debaty musiały być nader ożywione; prawdopodobnie memoriał czytało bardzo wiele osób, gdyż Firks otrzymał go z powrotem dopiero w dwanaście dni, tj. d. 17 Maja. Rezultatem tych narad było to, że żądania pierwotne znacznie zredukowano. Z sześciu punktów memoriału, stanowiących najpilniejsze potrzeby krajowe, wykreślono zupełnie dwa, a trzeci znacznie zmodyfikowano. Wyrzucono więc żądanie przywrócenia Rady stanu, jako przedwczesne i mogące w rządzie rosyjskim wzbudzić podejrzenia; takież wzgląd nakazał wykreślić czwarty punkt, w którym proszono o uznanie języka polskiego jako urzędowego w całej administracji Królestwa. Piąty na koniec punkt, obejmujący Rady miejskie i gubernialne, oraz Stany prowincjonalne, zawsze z powodu wyżej przytoczonych względów znacznie zmodyfikowano. W ten sposób obcięty memoriał o jedną trzecią swej pierwotnej rozciągłości, przedstawiał tylko cztery następujące żądania: 1) amnestya dla wychodźców; 2) powrót zesłanych na Sybir; 3) udział obywateli ziemskich w administracji kraju, przez wybieralność sędziów pokoju; 4) przywrócenie uniwersytetu polskiego. W tej formie zredegutowany memoriał, baron Firks podjął się dostawić, za pośrednictwem osób trzecich do rąk monarchy.

Tymczasem cesarz jechał do stolicy polskiej, którą pierwszy raz miał odwiedzić jako monarcha panujący, jako samowładny pan potężnego imperyum. W Brześciu Litewskim, gdzie się zatrzymał dla obejrzenia twierdzy, zabiegł mu drogę niedawno mianowany (d. 22 Grudnia 1855 r.) generał-gubernator litewski, Nazimow, były kurator okręgu naukowego moskiewskiego. Nazimow człowiek niezły, miękki, jeden z tych wrażliwych ludzi epoki, na których oddziaływał silnie ożywiający prąd zapowiadanych reform i przeobrażeń, ale należący do wzrastającej w znaczenie partii panslawistów, partii mającej swe siedlisko w Moskwie, był w stosunkach pewnej poufałości z cesarzem, jako niegdyś jego instruktor wojskowy, jako towarzysz jego podróży po Rosyi w r. 1837 i po Europie w r. 1838. Zwykle dawniej, co rano zachodził do gabinetu swego wychowawca i tam gawędzono o rozmaitych przedmiotach. Tak samo było i w Brześciu. Wszedłszy do cesarza nazajutrz po jego przybyciu, zauważył, że jest smutny i zgryziony, co w owe czasy, w dni pełne nadziei i marzeń o świetnej przyszłości, dni, przez które nie przeszły jeszcze tragiczne próby późniejsze, było rzeczą niezmiernie rzadką. Cesarz był zwykle bardzo wesoły, rozmowny, promieniający młodością, życiem, władzą, która zdawała się go unosić, urokiem otaczać, w którym znajdował przyjemność i pewną rozkosz. Nazimow więc był przykro dotknięty tym smutkiem młodego władcy, który według pojęć powszechnych, nie miał do tego żadnych powodów,

i zauważył, że smutek ten zwiększył się, gdy na żądanie cesarza opisał mu opłakane położenie miejscowych włościan i krzyczące nadużycia stosunku pańszczyźnianego. Wówczas cesarz opowiedział mu, że pierwsze jego kroki w sprawie usamowolnienia chłopu rosyjskiego wcale się nie udały. Gdy bowiem w Marcu bawił w Moskwie, tamtejszy generał-gubernator lir. Zakrewskij z powodu pogłosek o mającej nastąpić emancypacji chłopów, prosił cesarza, żeby przyjął deputacją od szlachty moskiewskiej i starał się ją uspokoić. Czyniąc zadość tej prośbie cesarz przyjął marszałka gubernialnego szlachty, kniazia Szczerbatowa oraz marszałków powiatowych, i między innymi powiedział im te rozumne słowa, że „lepiej, żeby reforma poddaństwa chłopskiego wyszła z góry, niż żeby ona sama przez się poczęła się z dołu”. Słowa te, których nie spodziewano się wcale, sprawiły niezmiernie przykre wrażenie na szlachtę moskiewską, wychowaną w tradycjach wschodniego despotyzmu, niechętną reformom, które by ich pozbawiły części władzy. Niemniejsze zdziwienie było wśród publiczności rosyjskiej, nienawykłej do słyszenia czegoś podobnego z ust samowładnego monarchy. Zaciekli przeciwnicy reformy włościańskiej, jak generał-gubernator moskiewski, wspomniany hr. Zakrewskij, książę Orłów, hr. Adlerberg, oraz ówczesny minister dóbr skarbowych, późniejszy krwawy Murawiew Wieszatiel, agitowali przeciw reformie, a Murawiew, objeżdżając gubernie, głośno mówił szlachcie, że „żadnego usamowolnienia nie będzie”. Wszystko to zgryzło cesarza, który chciał, żeby początek reformy wyszedł od szlachty i to od szlachty moskiewskiej, tej odwiecznej dziedziny carów rosyjskich, tej kolebki potężnego imperium.

Nazimow broniąc szlachtę moskiewską, jednocześnie przeniósł kwestyą na grunt litewski. Mówił, że Rosya nigdy nie da sobie rady z kwestyą polską w tak zwanych guberniach Zachodnich (Wileńska, Grodzieńska, Kowieńska i Mińska), dopóki chłop litewski i ruski będzie poddanym szlachcica polskiego; że na Litwie właściwie niema takiego poddaństwa chłopu jak w Rosyi; że szlachta tutejsza rozumie doniosłość takiej reformy, gdyż jeszcze w r. 1818 z własnej woli i inicjatywy starała się o usamowolnienie chłopu, słała w tym celu deputacje do Petersburga, że zatem podniosła myśl cesarza dobrze się na ziemi litewskiej przyjmie⁹.

9 Inicjatywa tego projektu w r. 1818 wyszła od szlachty wileńskiej, poruszanej uroczystymi obchodami żałobnymi, jakie się właśnie wtedy odbywały na całej Litwie z powodu śmierci Kościuszki. Trzy powiaty guberni wileńskiej wysyłając swych delegatów do Wilna na sejmik gubernialny, zaleciły im, aby sprawę uwolnienia chłopów od poddaństwa popierali. Obstawali za tem najsilniej Zawisza i kniaziowie Mirscy, opierali się: Pusłowski, Lubecki (późniejszy minister skarbu Królestwa) i Umiastowski, najbogatsi ludzie i liczący się do arystokracji. Mimo tego oporu jednak, wyznaczono komitet, który miał się zająć ułożeniem przedstawienia do cesarza Aleksandra o uwolnienie chłopów. Sejmik grodzieński

W końcu wyraził żal, że jeżeli jego projekt będzie przyjęty, to szkoda, że tak ważna reforma nie będzie się rozwijała od środka ku kresom państwowym, ale przeciwnie od kresów ku środkowi. Na to cesarz odrzekł, że istoty rzeczy w niczem to nie zmieni i gorąco wezwał Nazimowa, by zabrał się natychmiast do przeprowadzenia swego projektu.

Załatwiwszy w sposób tak szczęśliwy kwestyą, która mu w tej porze najbardziej na sercu leżała, cesarz puścił się w dalszą drogę ku Warszawie. Przejechawszy granice Królestwa, zaraz na wstępie prawie, nadarzyła mu się sposobność zyskania serca ludności. Przybywszy w dniu 22 Maja na stacyą pocztową w Międzyrzeczu, zastał tam żonę pocztmistrza Brzechfy w położu i na prośbę ojca trzymał nowonarodzone dziecię do chrztu, obdarzywszy przytem matkę kolczykami brylantowymi.

W Warszawie tymczasem gotującej się do przyjęcia młodego monarchy, na którym opierano tyle nadziei, ruch i ożywienie było wielkie. Zjazd był ogromny. Zjawiło się mnóstwo ziemian ze wszystkich stron Królestwa, przybyli marszałkowie szlachty: Niemojewski radomskiej; Ostrowski płockiej; Uruski warszawskiej; inicjator w sprawie memoriału Jezierski, koniuszy dworu, lubelskiej; Starzeński augustowskiej; zjechał ks. Pieńkowski, biskup dyecezyi lubelskiej; ks. Tadeusz hr. Łubieński, sufragan dyecezyi kujawsko-kaliskiej; zjechało się mnóstwo innych wybitniejszych osobistości i dygnitarzy. Wszystkie hotele były przepełnione; szewcy, krawcy, modniarki nie mogły nastarczyć z robotą. Stara polska stolica zajaśniała niewidzianym dawno blaskiem i życiem.

Zjawił się tu także nielubiany powszechnie, nie cieszący się dobrą opinią, uchodzący za człowieka twardego, nieużytego, zapamiętałego procesowicza i żywiącego przewrotne, jak mówiono wtedy, i niepatriotyczne tendencje, hrabia Aleksander Wielopolski, margrabia Gonzaga Myszkowski, właściciel ordynacyi Pińczowskiej. W kraju pozbawionym silnych charakterów, chorym na marzenia romantyki politycznej i na niemoc Hamletowską, nie lubiano człowieka, który miał żelazną wolę i odwagę wypowiedziania otwarcie swych opinii politycznych. Pamiętano mu dobrze i nie zapomniano podobno nigdy jego broszury politycznej pt. „List szlachcica polskiego do ks. Metternicha”, wydanej w r. 1846, zaraz po rzezi galicyjskiej. W broszurze tej piętnuje pełnemi energii i podniosłości majestatycznej słowy, zrodzonymi w bólu obrażonego do głębi sumienia ludzkiego i narodowego, nieczne postępowanie rządu

podniósł także tę sprawę za inicjatywą delegata nowogródzkiego Wawrzeńca Puttkamera, męża słynnej w poezyi naszej Maryli, ukochanej Mickiewicza. Zdaje się jednak, że twierdzenie Nazimowa o wysłaniu przez szlachtę deputacyi w tej sprawie do Petersburga, nie ma autentycznej podstawy.

austriackiego, który w swej niemocy uzbroił rękę chłopca polskiego na szlachcica polskiego. W rozszaleniu, łatwo zrozumiałem wobec takiego faktu, Wielopolski oddaje się na łaskę i niełaskę cesarzowi Rosji i żąda odeń w zamian tylko pomsty, pomsty za krew polską tak niegodnie, tak nikczemnie rozlaną. Dla pokolenia rozmiękczonego na romantycznych twórcach chorej z grantu poezji polskiej, dla pokolenia płaczącego nad dolą „matki sześćkroć przebitej”, i marzącego o odbudowaniu dawnej Rzeczypospolitej, taki jęk Jowiszowy był zanadto potężnym, taka polityka zanadto obcą. Car Mikołaj nie wysłuchał głosu szlachcica polskiego, owszem zrobił drugie za Sobieskim „głupstwo”, i zdradziecką Austrią w parę lat potem wyratował od rozbicia, a Wielopolski i tak już nieprzyjazną ku sobie opinią, jeszcze bardziej oburzył. Nie chciano żadnych paktów z Rosją, nic od niej nie chciano, chyba tylko tego, by się wyniosła za Dniepr i Dźwinę. Wszelki głos inaczej brzmiący uważano za zdradę kraju, za proste odstępstwo od sprawy narodowej.

Tymczasem Wielopolski nie należał do ludzi, którzy rozplýwali się nad losami Polski w denerwującym płaczu na lazurów głębinie jezior włoskich, lub „gdzie Aar wody błękitnymi spada”, którzy konali na niemoc na palącym bruku paryskim i śnili Polskę seraficzną, ale myślał trzeźwo o Polsce realnej, prawdziwej, ziemskiej, i gotował się do działania dla jej dobra przy pierwszej przyjaznej okoliczności na gruncie, jaki wypadki dały jej w tej chwili za podstawę. Przybywszy w d. 20 Maja do Warszawy, pozostawiając na boku memoriał Jezierskiego, podjął myśl adresu do cesarza, adresu nieokreślonego wyraźnie teraz przynajmniej, ale wychodzącego z punktu, jaki zapewne się znajdzie czy to w sposobie zachowania się cesarza w czasie jego pobytu w stolicy polskiej, czy też w słowach, jakie zapewne wypowie do tych lub owych.

Gdy w kołach polskich, a właściwie tylko w grupach Jezierskiego i Wielopolskiego agitowały się powyżej wyłożone projekta, w sferach rosyjskich niepokój nie był mniejszy ani mniej znaczący. Gorczakow wiedział już o tem, że cesarz ma zamiar porobić pewne ulgi, że mianowicie ma obdarzyć amnystią wychodźstwo polskie. Pod wpływem Muchanowa, który przewidywał w tym kroku, jak na nieszczęście do pewnego stopnia nie bez słuszności, cały szereg niepokojów w kraju, począł się lękać powrotu do Polski „niepoprawnych agitatorów”, a nadewszystko ks. Adama Czartoryskiego. W swej bujnej wyobraźni, wpadając z jednej w drugą ostateczność, mówił, że jeżeli Czartoryski będzie amnystyowany, to należy zwiększyć armię rosyjską w Królestwie. Na próżno jeden z dyplomatów rosyjskich zrobił mu uwagę, że „gdyby był namiestnikiem, to włożyłby na siebie wstęgę św. Andrzeja i pojechał przyjmować wracającego księcia Adama, który niebezpieczny na emigracyi, w kraju stawał się najlepszym nabytkiem dla Rosji”. Rozumna ta uwaga nie uspokoiła

Gorczakowa i Muchanowa, i przestrach ten, te obawy miały wydać fatalne skutki.

Na koniec, d. 22 Maja, o godzinie 10 wieczorem, wśród pełnej poezyi nocy majowej, cesarz Aleksander wjechał do stolicy polskiej, świetnie uiluminowanej. W otwartym powozie, mając u boku siostrę swą Olę Mikołajównę, żonę księcia Wirtemberskiego, cesarz przejechał od rogatek moskiewskich na Pradze aż do Belwederu, wśród ulic zalanych potokami światła, przepelnionych tłumami, grzmiących jednogłośnym okrzykiem ludu, witającego w osobie cara Aleksandra swego monarchę, swego króla polskiego!

To entuzjastyczne przyjęcie zdziwiło sfery rosyjskie warszawskie, tych jenerałów i różnych dygnitarzy, którzy wiedzieli, ile to trudów trzeba było, by na powitanie Mikołaja wjeżdżającego do Warszawy, spędzić garść ostatniego motłochu, żydów i kobiet publicznych i zmusić je do krzyczenia: hura!" Teraz nikt się tem nie zajmował, nikt o to się nie starał, a przecież ulice pełne były najwykwintniejszych kobiet, balkony błyszczały urokiem ślicznych twarzyczek i grzmiało takie hura, jakie nigdy jeszcze nie witało carów rosyjskich w starej polskiej stolicy. Poczęli więc między sobą mówić, że urządzili to wszystko magnaci, że będzie jakaś demonstracya z charakterem politycznym. Te pogłoski doszły do uszów Gorczakowa i gdy wieczorem zdawał sprawę cesarzowi z położenia kraju, wspomniął mu o nich, mówił o zamierzonym memoryale Jezierskiego, o adresie Wielopolskiego; wyraził swe obawy co do amnestyi; zaznaczył niepoprawność i ciągłość marzeń polskich, nadzieje kraju; i nalegał, by cesarz starał się przez surowe napomnienie, wystosowane do marszałków szlachty, którzy jutro mają mu się przedstawić, przywołać wszystkich do porządku, wylać trochę zimnej wody na rozgorączkowane głowy polskie. Gorczakow był tu echem natchnień Muchanowa.

Słowa te nie padły na grunt nieurodzajny. Cesarz wskutek wypadków historycznych, wpływu ojca, na koniec usposobienia właściwego despotom i tym wszystkim, którzy krzywdę komuś wyrządzili, czuł pewną nieufność do pokrzywdzonych, przyjął uwagi Gorczakowa dobrze, zwłaszcza, że nie przedstawano mu ze strony Austrii przypominać ciągle konieczności trzymania Polaków pod rządem ostrym i surowym. Dla polityków wiedeńskich bowiem z wielu względów wydało się być pożytecznem i korzystnem rozdrażnienie i wzajemna nieufność między Aleksandrem II-gim i jego polskimi poddanymi w Królestwie. Podnosząca się powoli kwestya włoska, ku której Francya okazywała już w tej chwili pewną przychylność, stawiała Austryą w położeniu nieprzyjaznem względem Napoleona III-go i zmuszała ją do robienia właśnie tego, czego Francya nie chce. Ponieważ zaś Francya pragnęła ułożenia się przyjaznych stosunków między Polską i Rosyą, Austria więc tego pragnąć nie

mogła. Poseł austriacki hrabia Lichtenstein, który zjechał z cesarzem rosyjskim do Warszawy, działał w tym kierunku i przy każdej sposobności wspominając o rewolucyjnych dążnościach Polaków, starał się chłodzić i psuć dobre zamiary Aleksandra względem Polski. Gdy więc jego wpływy zbiegły się z przedstawieniami Gorczakowa, wywołać musiały skutek całkiem przeciwny temu, jakie pierwotnie zamierzał wyrzucić w Warszawie Aleksander. Z uwag, czynionych mu z obu stron, zrobił zaraz nazajutrz fatalny, niestety! użytek.

Gdy bowiem d. 23 Maja, przyjąwszy wprzód dygnitarzy wojskowych, zwrócił się do duchowieństwa, urzędników i marszałków szlachty, powitał ich mową, która wywołała ogromne zdziwienie; przez swój ton miała cechę surowego napomnienia za winy niepopelnione, napomnienia, na które niczem dotąd nie zasłużono, nie dano do niego żadnego powodu. Mówił po francuzku, że przybywa tutaj z zapomnieniem przeszłości, ożywiony jak najlepszymi dla kraju chęciami, że oni, tj. marszałkowie, powinni mu dopomóc w jego zamiarach, że jednak przedewszystkiem wzajemny ich stosunek winien się wyjaśnić; że chce, by porządek przez ojca ustanowiony, był nadal utrzymany, „a więc panowie żadnych marzeń, żadnych marzeń!”; że tych, którzy by je mieli, potrafi powstrzymać i czuwać będzie, by marzenia te nie przekroczyły granic ich imaginacji. Zmieniając nagle ton surowy na łagodniejszy, mówił, że w ostatniej wojnie „wasi” bili się na równi z innymi, odwołał się do Gorczakowa, „który był świadkiem, że walecznie przelewali krew w obronie ojczyzny”. Jeszcze raz powtórzył, że jest ożywiony najlepszymi chęciami, że Polska i Finlandya są mu równie drogie jak i inne części cesarstwa, lecz trzeba, żeby wiadano, że dla dobra Polski i samych Polaków, muszą oni być złączeni na zawsze „z wielką rodziną cesarzy rosyjskich”. Skończył uwagą, że od Polaków zależy ułatwienie mu zadania i powtórzył z naciskiem: „żadnych marzeń, żadnych marzeń”. Poczem wyrzekłszy parę słów do urzędników, zakończył, zwróciwszy się do duchowieństwa, przypominając mu, że „jego obowiązkiem jest nauczać ciągle Polaków, że ich szczęście zamyka się tylko w zupełnem zlaniu się z Rosją”¹⁰.

Wrażenie, jakie ta mowa wywarła na tych, co jej słuchali, a przez nich na kraj cały, było olbrzymie, i sam cesarz wygłaszając ją, nie przywiązywał do niej zapewne tej wagi, jaką ona w istocie miała. Było to w rzeczy samej wylanie zimnej wody na rozgorączkowane głowy polskie. Jakkolwiek dziś, gdy znamy powody

10 Z trudnością przychodzi ustanowić autentyczny tekst tej mowy. Mieliśmy przed sobą kilka relacji: francuzkich, polskich i rosyjskich, i w każdej są pewne warianty. Nie zmienia to jednak w niczem zasadniczej myśli samej mowy. W naszym sprawozdaniu poszliśmy za tekstem umieszczonym w zbiorze d' Angerberga (Paryż i Lipsk 1862, p. 1117).

tego wystąpienia, gdy wreszcie po bliższej rozwadze mowa ta nie zawiera nic takiego, co by istotnie mogło oburzać i ma tylko znamię ostrzeżenia, usprawiedliwionego późniejszymi, niestety! wypadkami, przecież w owych czasach wywołała ona gwałtowny wybuch powszechnego niezadowolenia. Wszystkie stronnictwa w kraju czuły się nią dotknięte. Jeżeli dla grupy Jezierskiego i Wielopolskiego, dla partyi, którą nazwalibyśmy umiarkowaną, wzmianka o potrzebie „pełnego zlania się z Rosyą” była szkopułem, o który rozbić się mógł całkowicie ich program pełnej autonomii pod berłem carów rosyjskich, to dla stronnictwa ruchu, dla nieustających spiskowców, dla marzycieli o cherubowej Polsce historycznej, dla ogromnej na koniec większości narodu, słowa cesarskie wyrzeczone w pałacu Belwederskim, stanowiły istotny kamień obrazy. To, co oni mianowali swemi świętymi, nieprzedawnionemi prawami, nazwano tu marzeniem i zagrożono karą za marzenia. Słowa te rozbiegły się po całej Polsce, nabrały niezmiernego rozgłosu, zmieniły się nieomal w przysłowie, brzmiały nieraz ironicznie i miały przywilej wywoływania gniewu nawet w ludziach zkądinąd najspokojniejszych, nie myślących o spisku i powstaniu, ale kołyszących w głębi serca ideał Polski niepodległej, opartej o dwa morza, o dziesięć gór i dziesięć rzek.

Nazywano to obrazą narodową, policzkiem wymierzonym przez autokratę Polakom, podeptaniem wszelkich praw; i wszystkich na koniec, umiarkowanych i zapaleńców, konserwatystów i rewolucjonistów może nie oburzała, ale irytowała wzmianka o żołnierzach polskich, „walecznie przelewających krew w obronie ojczyzny” Rosyi. podczas wojny wschodniej. Słowa te, wraz z propozycją pełnego zlania się z Rosyą, zdawały się ukrywać jakąś głębszą myśl, która wypadkiem na wierzch wypłynęła, jakiś zarys programu, jakies zamiary bezwzględnej rusyfikacji, tępienia narodowości polskiej, dla której teraz jedyną ojczyzną miała być Rosya. Wprawdzie parokrotne napomknienie, że Polacy muszą być na zawsze złączeni z „wielką rodziną cesarzy rosyjskich”, przypominało warunki kongresu wiedeńskiego, na zasadzie których Rosya otrzymała Polskę, mówiły rzekomo, że tę ostatnią łączyć będzie z caratem tylko osoba monarchy. Ale jak zwykle, gdy umysły są czemś podrażnione, gdy nerwy są chore i rozstrojone, widzimy wszystko w czarnych kolorach i same złe tylko strony przedmiotów, tak i tutaj, nie zauważono tych sprzeczności w słowach cesarskich, które najwyraźniej wskazywały, że nie żywi on względem Polski złych zamiarów, że nie ma dla niej programu zniszczenia i wytępienia, że mowa jego po większej części była improwizacją. Bądź co bądź jednak mowa ta surowa przez swój charakter, wypowiedziana tak niespodziewanie, wywarła przykre i przygnębiające wrażenie.

Teraz jednak znało ją i bolało nad nią nieliczne grono tych, którzy się znajdowali na przedstawieniu w Belwederze; do ogółu jeszcze treść słów cesarskich nie doszła, i mógł on oddawać się złudnym nadziejom, urokowi przepychu,

blasku i zabaw, jakie zapanowały w Warszawie. Stronnictwo umiarkowanych, grupa Jezierskiego mianowicie, bodaj czy nie najwięcej bolała nad tem, co się stało, zwłaszcza, że do pewnego stopnia była ona jedną z przyczyn surowych cesarskich napomnień. Wywoławszy je przez sam zamiar tylko przypomnienia o sobie, widziała swój projekt w samym zaczątku unicestwiony. Memoriał napisany przez Schedo-Ferottiego, utkwiał w tece jakiegoś dygnitarza, który go miał cesarzowi podać, i więcej nie ujrzał światła dziennego¹¹.

Za to Wielopolski nie rozstał się z myślą adresu. Mowa cesarska dała mu punkt wyjścia, którego dotąd nie miał. Już w dwa dni po niej, bo 25 Maja, adres był gotowy i przedstawiony kilku obywatelom, między nimi Tomaszowi hr. Potockiemu, szwagrowi margrabiego, człowiekowi wysoce rozumnemu, gorliwemu patryocie i posiadającemu znaczne w kraju wpływy — i został przez nich zaaprobowany. Ułożono się, że po balu, który szlachta dnia 26 Maja miała dać dla cesarza, gdy ten przyjmować ją będzie, Wielopolski stanie na miejscu marszałka szlachty radomskiej, odczyta i złoży monarsze adres. Dokument ten pełen jest wiernopoddańczych uczuć i dziękuje cesarzowi, że przybył do kraju „z zapomnieniem przeszłości”; odpierał zarzut marzeń, gdyż „nie oddając się żadnym marzeniom i zamykając nasze pragnienia w granicach udoskonalenia organizacji wewnętrznej”, ostrożnie upomina się o poprawę wychowania publicznego, i kończy przypomnieniem „dawnej naszej chwały i naszych nieszczęść, dowodów rozsądku i dojrzałości, jakie kraj złożył przez ćwierć wieku, w czasach pełnych zaburzeń i wstrząśnień”.

Adres ten, jakkolwiek tak mało mówiący i stawiający właściwie jedno tylko żądanie, przedstawiony ministrowi spraw zagranicznych, księciu Michałowi Gorczakowowi, nie został przyjęty¹².

11 Oto jak o tem opowiada sam Schedo-Ferotti w broszurze: „Etudes sur l'avenir de la Russie. Huitième étude. Que fera-t-on de la Pologne?” (edycja druga, Berlin 1805) p. 5: „Przerobiwszy memoriał według udzielonych mi wskazówek, postarałem się o przepisanie go przez pewnego młodego kaligrafa, którego mi zarekomendowali moi pierwsi interlokutorowie; poczem gdy cesarz przybył, udałem się do pałacu Łazienkowskiego, do osoby mającej największe znaczenie w orszaku cesarskim (le plus important de la suite imperiale), której wręczyłem mą pracę, prosząc, by się z nią obznajmił, i jeśli to uzna za stosowne, by ją przedstawił cesarzowi. Nazajutrz stawilem się o godz. 9-ej rano. Zostałem natychmiast przyjęty przez wzmiankowaną osobę, która mi powinszowała mego memoriału, chwalać treść i formę, i który przyrzekł mi złożyć cesarzowi, jak tylko sposobność po temu się nadarzy. Wiedząc, że nie braknie okazji rozmawiania z cesarzem dla człowieka, który widział monarchę trzy lub cztery razy na dzień, odjechałem, przekonany zupełnie, że moje pismo dojdzie gdzie należy; tymczasem omyliłem się, gdyż dowiedziałem się później, że mój memoriał został w tece generała, i że cesarz wcale o nim nie wiedział”.

12 H. Lisicki w swem dziele: „Aleksander Wielopolski” powiada, że jednym z powodów odrzucenia adresu, było wspomnienie o reprezentacji kraju, co dążnościom szlachty ro-

Tymczasem Warszawa, wśród cudownej majowej pogody, oddawała się uciechom i zabawom, wywołanym przez przyjazd cesarza. Nazajutrz po mo- wie w Belwederze, dnia 24 Maja był bal w Zamku, wydany przez namiestnika. Dnia 25 dopiero, gdy Łazienki miały być wspaniale uiluminowane, a w teatrze tamtejszym „na wyspie”, miało być dane przedstawienie teatralne, niebo za- ciągnęło się chmurami i lunął deszcz rzęsimy. Nie popsuło to jednak w niczem przygotowań jakie robiono do balu, wydanego dla cesarza przez marszałków w imieniu szlachty Królestwa, w pałacu Namiestnikowskim w d. 26 Maja. Cesarz przybył z Olgą i jej mężem, księciem Wirtemberskim, o godzinie wpół do jedenastej wieczorem. Przed bogato i ozdobnie przybraną wysta- wą przyjmowali monarchę namiestnik, księżę Gorczakow i generał Wincenty hr. Krasiński, oraz członkowie komitetu, zajmującego się urządzeniem balu tj. Muchanow, gubernator warszawski Łaszczyński, August hr. Potocki, dzie- dzic Wilanowa, i marszałkowie: Uruski, Jezierski, Niemojewski i Ostrowski. Na schodach od wejścia aż do sali, przeznaczonej na wypoczynek dla dostoj- nego gościa, stanęła szlachta w podwójnym szpalerze, krzycząc polskie: niech żyje! przy odgłosie muzyki grającej hymn urzędowy.

U szczytu wschodów witały Aleksandra gospodynie balu, panie Augusto- wa Potocka, Jezierska, Ostrowska, Starzeńska Kazimierzowa, Uruska i Nie- mojewska, biało ubrane, z wieńcami i girlandami kwiatów w rękach. Cesarz miał na sobie mundur granatowy ułanów gwardyi z amarantowymi rabatami i srebrnymi szlifami, przypominający narodowe wojskowe kolory. Bal rozpo- czął Aleksander polonezem z Augustową hrabiną Potocką i Olga z Wincen- tym kr. Krasińskim. Bawiono się wybornie. Niewielkie, choć pełne smaku, w poważnym stylu cesarstwa sale Namiestnikowskiego pałacu, nadawały za- bawie charakter prywatnego wieczorku, urządzonego przez poddanych dla swego króla. Cesarz był bardzo wesoły i swobodny; rozmawiał z kobietami, prawił im dusery, obrzucał ich piękne twarze, wspaniale biusty, wytworne po- stawy, swemi dużemi, błękitnymi, rozmarzonymi oczyma. Życie, ruch, weso- łość i ten odrębny, swojski, jakby domowy charakter balu, pozbawiony przy- musu, etykiety, pełen jakichś prądów ciepłych i serdecznych, tak mu się podobał, że wymknął się cichaczem i pojechał do Łazienek, z kąd przywiózł księcia Sasko-Wejmarskiego dla pokazania mu jak to Polacy siebie i swego króla bawią. Wyborna wieczerza, lody i poncz rzymski od sławnego Contiego, cukry i ciasta od niemniej głośnego Loursa, doskonałe wina podniósł jeszcze wyżej

syjskiej do systemu konstytucyjnego nową by dało podniecie. Ponieważ jednak w adresie niema ani słówka o reprezentacji, powód więc ten nie mógł istnieć i sam przez się upada. Główną przyczyną nieprzyjęcia adresu była obawa rządu przed każdą, choćby najlojalniej- szą manifestacją polską.

temperaturę wesołości i kordyalności. Opowiadają, że jakiś szlachcic biały jak gołąbek, zbliżył się do Aleksandra z kielichem w rękę i zawołał: kochajmy się cesarzu! I łyzy, serdeczne łyzy uczucia popłynęły ze spłowiałych oczów starca!

Po wieczerzy cesarz odjechał żegnany polskiem: niech żyje! witany okrzykami na ulicy tłumów ludu, który przypatrywał się wspaniałej dekoracji byłego Radziwiłłowskiego pałacu. Cały dziedziniec, na którym później, w dniach niedoli miał stanąć na znak pogromu, spiżowy posąg Paskiewicza, wybrukowano na nowo kosztem szlachty i oświetlono bardzo wspaniale. Kraty oddzielające go od ulicy ubrane były kolorowymi lampionami i gdy cesarz wjeżdżał zajaśniały ognie bengalskie. Przed pałacem urządzono pyszny portyk gotycki. W jednej z sali pomieszczono tarcze z herbami pięciu guberni Królestwa i flagi w kolorach tychże guberni. Bufet był w stylu maurytańskim. Wieczereż dano na dole, w galerii umyślnie zbudowanej od strony ogrodu i w czterech przytykających do niej salach. Świec paliło się przeszło sześćset; służba miała niebieskie fraki, umyślnie sprawione; jednym słowem bal pochłonął znaczne sumy. Szczęśliwa chwila, w której szlachta polska nie żałowała trudu i pieniędzy na to, by zyskać sobie nowego monarchę; jedyna, która niestety! nie miała się już nigdy powtórzyć i podobną była do tych niezdecydowanych, jasno przez słońce oświetlonych obłoczków, które jednak w swem łonie kryją burze i pioruny.

Nazajutrz w pałacu Łazienkowskim zebrała się cała szlachta, która wczoraj bal dawała i gościła u siebie cesarza, by przedstawić się swemu monarsze. Murchanow stał na jej czele i wymieniał nazwiska wybitniejszych. Tu cesarz znów przemówił, że jest zadowolony z wczorajszego balu, że ten był piękny i że on nigdy o nim nie zapomni, że dziękuje za niego. Przechodząc następnie do przedmiotów poważniejszych, rzekł: że zapewne powtórzono im słowa wypowiedziane przed kilku dniami do marszałków szlachty, że powinni trzymać się rzeczywistego stanu rzeczy, tworząc jedną całość z cesarstwem i porzucić wszelkie marzenia o niepodległości, jako nie mogące się nigdy urzeczywistnić. Powtarza jeszcze raz, takie jest jego przekonanie, że szczęście Polski a nawet jej ratunek wymaga, żeby ona na zawsze złączona była ze sławną dynastją cesarzy rosyjskich, żeby była nieodłącznym członkiem wielkiej rodziny cesarstwa wszechrosyjskiego. Zachowując prawa i instytucje nadane Polsce przez jego ojca, jego wolą niewzruszoną będzie przyczynić się do wzrostu i pomyślności Polski, że gotów jest dać jej wszystko co może być dla niej korzystne, wszystko co ojciec jej przyrzekł darować i istotnie darował (octroyè), że nic pod tym względem nie zmieni, że wszystko co jego ojciec zrobił, dobrze zrobił; że jego, Aleksandra, panowanie będzie dalszym ciągiem panowania ojcowskiego. Od Polaków zależy ułatwienie mu tego zadania, że na nich spadnie odpowiedzial-

ność, jeżeli jego zamiary spotkają na drodze jakiegokolwiek chimeryczne przeszkody. Dla pokazania im swej gotowości do ulżenia losu winnym, oznajmia, że dopiero co podpisał amnestyą, że pozwala na powrót do kraju wszystkim wychodźcom, którzy tego zażądataj. Mogą oni być przekonani, że nie będą niepokojeni, że będą im wrócone prawa obywatelskie i nie będą pociągani do komisji śledczych. Zrobił jeden tylko wyjątek: nie może przebaczyć zartwardziałym w swych błędach i tym, którzy w ostatnich latach nie przestali przeciw niemu spiskować i walczyć. Wszyscy, którzy powrócą będą mogli po trzech latach żalu za błędy, i dobrego sprawowania się, stać się pożytecznymi przez wstąpienie do służby publicznej. Lecz przedewszystkiem postarać się winni Polacy, by urzeczywistnienie dobrych jego zamiarów było możliwe, i żeby on nie był zmuszony do powściągnięcia ich i karania; gdyby bowiem to na nieszczęście okazało się koniecznym, on znajdzie w sobie siłę i wolę po temu. Powinni więc starać się, by nigdy nie był do tego zmuszony.

W tem miejscu mowy, z pośrodku grupy milczących słuchaczy, wysunął się trochę naprzód marszałek Jezierski i chciał coś powiedzieć, wygłosiwszy nawet wyraz „Sire”. Ale cesarz nie dał mu przyjść do słowa. Zwróciwszy się ku niemu, pytał: czy go rozumiano? że on woli nagradzać jak karać, że mu jest przyjemniej wypowiadać swe zadowolenie, jak to teraz czyni, budzić nadzieje i wywoływać sympatyę, lecz powinni także wiedzieć i pamiętać o tem ciągle, że gdy będzie potrzeba, on potrafi być surowym i karać, nawet surowo karać.

Tę mowę swoją, będącą niczem innym tylko parafrazą poprzedniej, zakończył cesarz słowami: żegnam was panowie! lekko głową skłonił i znikł w wewnętrznych pokojach. Ale jakkolwiek nie zawierała ona w sobie nic nowego, jednakże silniej i bardzo stanowczo akcentowała konieczność zlania się Polski z Rosyą, wiekuiustą nierozłączność tych dwóch krajów, piętnowała nazwą marzeń wszelką myśl o niepodległości i restauracji dawnej Rzeczypospolitej i groziła za nią surowemi karami. Wobec ogromnej większości narodu polskiego, nie rozumiejącego innej Polski jak właśnie taką, za którą cesarz chciał karać, umysły bystrzejsze, dalej widzące, przenikliwsze i przezorniejsze, już wtedy spostrzegły, że na tym punkcie niema i nie może być kompromisu z Rosyą, że w ogóle wszelki kompromis jest niemożliwy i ze względu na pragnienia niczem nieukojone z jednej strony a dążnością przeszkodzenia tym pragnieniom do urzeczywistnienia się z drugiej strony, konflikt jest nieunikniony, starcie konieczne w niezbyt dalekiej przyszłości. Oba kraje zdawały się biedz z przyśpieszoną prędkością po przepaścistej pochyłości, na dnie której leżało albo zwycięztwo, albo śmierć. Fatalne położenie, straszna logika faktów, która jak starożytny fenicki Moloch czekała z rozżarzonem łonem na pochłonięcie kraju, jego losów i przyszłości. Nic

tej logiki zmienić nie mogło, ani ludzie, ani fakta. Była ona nieuniknioną jak przeznaczenie, nosiła w sobie tragiczność tego przeznaczenia. Wprawdzie rozumne i rozważne postępowanie, ustępstwa dawane we właściwej chwili przez rząd rosyjski, zdolność stanowczego i zdecydowanego powściągnięcia w potrzebie wszelkich przekroczeń, mogły rozwiązanie tego ponurego dramatu odwlec, z trzech aktów rozłożyć go na pięć, ale nie mogły nigdy przerwać jego akcji, wstrzymać końcowej katastrofy. Była ona tak fatalnie konieczną, tak naturalną wobec obustronnych aspiracji i dążeń, jak to, że słońce wstaje co dzień, rano i co dzień wieczór zachodzi. A jak słońcu nawet Bóg biblijny, z brodą rozwianą przez wichry nieskończoności, nie może powiedzieć Jozuowego: stań! tak nikt niestety! nie mógł wtedy fatalnego biegu wypadków nie tylko powstrzymać, ale nawet ich ruchu zmienić w innym kierunku, fali powiedzieć, by się do snu ułożyła...

Mimo to wszystko, Warszawa nie odczuwając wcale tragiczności chwili, bawiła się dobrze wśród ciągłych festynów, wyprawianych na cześć cesarza. Tego samego dnia, 27 Maja, w którym została wygłoszona mowa w Łazienkowskim pałacu do szlachty, miasto naśladowując tę ostatnią wyprawę w ratuszu bał dla monarchy, niemniej świetny i piękny. Wieczór majowy był prześliczny, gdyż samo niebo, jak gdyby chciało uświetnić pogodą te dni, płodzące w ciszy hydrę tragedii, błyszczało z małym wyjątkiem, niezamąconym niczem lazurem i jasnym, wesołym słońcem polskiej wiosny. To też ulice przepelnione były tłumami ludności, rojem strojnych i pięknych kobiet, które jak barwne kwiaty świeciły na tle wspaniałej iluminacji z lamp kolorowych, jakimi udekorowano poważną, klasyczną fasadę teatru. Na placu, gdy cesarz nań wjeżdżał, zapalono ognie bengalskie, wśród których brzmiały radosne ludu okrzyki. Przyjmowali Aleksandra u bram ratusza książę Gorczakow namiestnik. Andrault prezydent miasta, generał Tomasz hr. Łubiński, noszący na swem czole wspomnienia minionej niepowrotnie sławy wojennej polskiej, August hr. Potocki, Roztworowski i notable mieszczaństwa. Więc stał tam ze swą dużą, brzydką ale charakterystyczną głową Szlenker, starszy zgromadzenia kupieckiego, osobistość bardzo wpływowa w mieście; Leopold Kronenberg mały, niski, nerwowy, z twarzą rozumną, bogaty bankier warszawski; stał drugi bankier Józef Epstein, obaj przechrzczeni żydzi; stali i inni. Na wstępie do sali witały młodego monarchę, ubranego w ten sam co i na balu szlacheckim, granatowy mundur ułański z amarantowymi rabatami, które zdawały się przypominać świetne dni Aleksandra I-go i wojska polskiego, gospodynie balu; rozumna niepospolicie i dowcipna prezydentowa Andrault; świecąca majestatyczną powagą wielkiej damy Augustowa Potocka, hrabina Kosakowska, Branicka i na koniec mieszczańki bez głośnych imion historycznych, ale błyszczące pięknnością i wdziękiem markiz z czasów Ludwika

XIV. Była tu pani Kwiatkowska, żona czynnego i bogatego kupca; Fukierowa, żona znanego całej Warszawie kupca win, nosząca stare, historyczne imię patrycyuszów miejskich; Skwarcowa, żona rosyjskiego kacapa i bogacza wielkiego, na koniec żydówki olśniewające swemi brylantami: Szymonowa Rozen i Frankłowa, żony bankierów. Bał, jak zwykle, rozpoczął się polonezem, w którym cesarz tańczył z prezydentową, a siostra jego Olga z księciem Gorczakowem. Bawiono się dobrze. Cesarz kręcił się wśród kobiet, wśród słynnych ze swej piękności Warszawianek, mówił dużo, i po mazurze, któremu z przyjemnością się przypatrywał, około północy opuścił salę. Nazajutrz w południe wyjechał z Warszawy, udając się do Berlina.

Tak się skończyły „majowe dni” warszawskie. Zaszczepiły one w umysłach, w sercach wszystkich stronnictw pewien zaczyn niezadowolenia i niewiary do rządu, który w osobie swego najwyższego zwierzchnika zapowiedział, że obecne panowanie będzie dalszym ciągiem poprzedniego. Przyniosły one prócz tego amnystią dla wychodźców i zesłańców na Sybir. Była to więc pierwsza „łaska” i jak na teraz jedyna z pomiędzy tych, jakich się spodziewano i oczekiwano. Pomijając umysły romantyczne, chorych polityków serca, których żadne ustępstwa i żadne reformy by nie zadowolniły, chyba ogłoszenie niepodległości Polski w granicach przedrozbiorowych, to nawet dla ludzi umiarkowanych, trzeźwych, rozumnych, liczących się z rzeczywistością, zawód był ogromny i bolesny. Wszak mieli oni prawo się spodziewać jeżeli już nie przywrócenia karty konstytucyjnej z 1815 r., jeżeli już nie wprowadzenia Statutu organicznego, to przynajmniej jakichś zmian i reform w administracji kraju, w wychowaniu, w sprawach duchownych, w licznych zresztą ścieśnieniach, które czyniły życie w Królestwie nieznośnem, wypaczały je i podgryzały, krępując w każdym ruchu, w każdej uczciwej chęci działania dla dobra kraju. Nic z tego nie dano prócz surowych napomnień i gróźb, prócz pewnego zwolnienia w nacisku administracyjnym, ogładzenia ostrości rządów wojskowych¹³, łagodności w formach, prócz na koniec amnystyi dla wychodźców i Sybiraków. Amnystya ta zapewne była bardzo pięknym czynem, mówiła o dobroci serca młodego cesarza, który zapomniał o dawnych urazach, nie jemu zresztą wyrządzonych, ale dla kraju nie stanowiła żadnej korzyści, nie znosiła i nie leczyła tych licznych ran i wrzodów, jakimi ciało społeczne było okryte dzięki wtłoczeniu go w ciasne kajdany, w kaftan skórzany, jaki nakładają niekiedy na szaleńców. Rozpatrując nawet rzeczy ściślej, sądząc po faktach późniejszych, w ówczesnym stanie umysłów, pojawienie się w kraju kilku tysięcy ludzi wykarmionych goryczą

13 Ukaz z d. 10 kwietnia 1856 r. zniósł stan wojenny, istniejący nieprzerwanie od 1831 r. w Królestwie i na Litwie.

wygnania, zdenerwowanych tęsknotą, rozmarzonych snami o tej dalekiej ojczyźnie, której nie spodziewali się już nigdy ujrzeć, zaprawionych w spiskach, było raczej szkodą niż korzyścią dla kraju. Było to niejako wrzucenie nowego fermentu w kadź już poczynającą „robić”, było to przyłożenie iskry do miny prochowej, do gazów nagromadzających się ciągle w znacznej ilości i nie mających żadnego ujścia.

Sam zresztą ukaz o amnestyi miał w sobie pewien ton obrażający dumę tej czystej, górną się noszącej, niezłamanej niczem emigracyi, jaką było wychodźstwo 1831 r. Nieszczęśliwi ci wygnańcy doprowadzili patryotyzm swój do niesłychanie wysokiego stopnia napięcia, do chorobliwej nieomal ekstazy, i ten stan ich umysłów nadał im cechę pewnej niezłomności, wysokiej cnoty, jaką żadna wcześniejsza ani późniejsza emigracya polska się nie odznaczała. W poczuciu swych świętych praw, w nieustającym proteście przeciw pogwałceniu tychże praw na nich i ich ojczyźnie, nie chcieli oni żadnych paktów z „najazdem”, jak mówili, nie ustępowali w niczem i nie żądali ustępstw. Było to czemś wspaniałem jako zasada, jako idea, ale w najwyższym stopniu niepraktycznym i szkodliwym dla tej Polski, której oni uważali się za reprezentantów, za najwierniejszych synów.

Strojąc się dumnie w purpurowe łachmany dawnego majestatu polskiego, gotowi byli na Termopilach „bez złotego pasa i bez czerwonego umierać kontusza”, zapominając w dziwnym, niepojętym zaślepieniu, że tą drogą mogą sam naród doprowadzić do śmierci.

Dla takich ludzi, noszących w ten sposób swe, jak mówili, posłannictwo, uważających męki długiego wygnania za służbę ojczyźnie, słowa amnestyi i sama zresztą amnestya była po prostu obelgą. Ukaz o niej twierdził bowiem, że emigracya polska podawała do rządu rosyjskiego „liczne prośby o dozwolenie powrotu do kraju z wynurzeniem żalu za chwilowe obłąkanie”, co najprzód było nieprawdą, a potem obrazą, rodzajem policzka danego całemu wychodźstwu. Że tu i owdzie, od czasu do czasu znaleźć się mogli i zapewne znaleźli się ludzie słabszego charakteru, zmęczeni niedolą wygnania, strawieni tęsknotą za krajem, którzy podawali prośby do rządu rosyjskiego, by im pozwolił wrócić do ojczyzny, o tem nikt nie wątpi i nikt temu zaprzeczać nie będzie; ale żeby te prośby miały być liczne i żeby z nikczemną małodusznością nazywały powody swej emigracyi „chwilowem obłąkaniem”, to już było krzyżującym fałszem. Ukaz więc popełnił w swej osnowie grubo błąd i zdradzał przez to ten ciasny, policyjny na wskroś horyzont, który szpecił kłamstwem akt zkądinąd bardzo piękny i ludzki, kłał obelgą tych, których ułaskawiał. Twierdząc dalej, jakoby proszący oświadczaali, że „wielu z pomiędzy wychodźców, a szczególnie ci, którzy opuścili kraj po rokoshu (1831 r.), wstrzymują się z podaniem po-

dobnych próśb, jedynie z niepewności o przyszły ich los w kraju”, ukaz popełniał drugie kłamstwo i poniżał powody, dla których emigracja wstrzymywała się od powrotu do ojczyzny. Wszystko to, powtarzamy, nosiło na sobie cechę biurokratycznego poglądu na ludzi i rzeczy, i policyjnej ograniczoności; świadczyło, że w istocie nic się nie zmieniło w tym rządzie i ciężka sewastopolska szkoła niczego Rosyi nie nauczyła. Wobec tego byłoby dziwnem, gdyby emigracja nie zaprotestowała przeciw amnestyi, jakkolwiek ze stanowiska interesu kraju, lepiej by stokroć postąpiła, gdyby milczała i nie drażniła autokraty, w którego rękach leżały losy Polski. Sądząc amnestyą z emigracyjnego punktu widzenia, protestacya taka była konieczną, ze względu na honor obrażonych ciężko, ale służba ojczyźnie wymaga niekiedy takich poświęceń i poświęcenie to trzeba było zrobić. Stronnictwo Czartoryskich, które przez akt publiczny, wydrukowany w trzech językach, w d. 9 Czerwca 1856 r. odrzuciło z pogardą amnestyą, i tych, którzy by ją przyjęli, nazwało wprost zdrajcami kraju, zadość uczyniło interesom obrażonego honoru wychodźstwa, ale nie interesom swej polskiej ojczyzny. Protest, motywując odrzucenie, powiada, że powrót do kraju ulegać musi przede wszystkim względom osobistego bezpieczeństwa; że amnestya, która pozwala wrócić do rodzinnego kąta, ale go właścicielowi nie oddaje, która, jako warunek przebaczenia, zapowiada nieufność i trzechletnią próbę, jest w ogólności ubliżającą i nic nie warta. „Znane są w naszej historii amnestye zupełne i wspaniałomyślnością nacechowane — woła protest — te nie nakładały na ulaskawionych innego warunku, jak obowiązek uznania istniejącego rządu”. Akt ten kończą protestujący nader charakterystycznymi słowami, które rząd rosyjski, gdyby był inny, gdyby miał w sobie poczucie sprawiedliwości, winien był bacznie rozważyć. „Chcieliśmy, brzmiały te słowa, oswobodzenia naszej ojczyzny, i nie możemy mieć tego za błąd, co uważamy za obowiązek święcie wypełniony Doznaliśmy klęsk, ale nigdy nie doznamy wyrzutów. Do Rosyi nie mamy ani nienawiści, ani gniewu. W naszym położeniu spokój i rezygnacya chrześcijańska jedynie nam przystają. Ale dopóki sprawiedliwość nie będzie wymierzona naszej ojczyźnie, nie wolno nam zrzekać się celu, jaki otrzymaliśmy w spadku po naszych ojcach, i dopóki pozostanie, na świecie jeden głos wolny wygnańca, wołać on będzie do rządów i ludów: w imię Ewangelii i historii, Polska ma prawo żyć życiem narodowym i niepodległym”. Oprócz partyi monarchicznej protestowały przeciw amnestyi i inne stronnictwa emigracyi¹⁴,

¹⁴ Ukazał się mianowicie wcześniej od aktu partyi monarchicznej, bo pod d. 6 Czerwca, gwałtowny i gorący protest, który między innymi powiada: „wychodźcy polscy oznajmiają w obliczu swej ojczyzny i świata cywilizowanego, że odrzucają amnestyą cara Aleksandra II-go, jak również wszelką inną, jaką by im ofiarował którykolwiek z trzech zaborców

nawet Towiańczycy wracać nie chcieli, bo chociaż „mają pozwolenie od rządu, nie mają pozwolenia od Boga”.

Jakkolwiek ludzie umiarkowani uważali protestacją za błąd, wywarła ona jednak silne wrażenie tak na ogół w kraju, jak i na samą emigrację. Liczba takich, którzy podawali do ambasad rosyjskich prośby o pozwolenie powrotu, była wcale nie wielka. Ani jedna wybitniejsza osobistość emigracji, żaden generał, poseł na sejm, członek rządu rewolucyjnego, żaden pisarz znakomitszy nie korzystał z amnestyi. Wrócili tylko ludzie bez znaczenia, bez wpływu, żołnierze lub niżsi oficerowie, robotnicy, biedacy, i nawet między tymi emigracja z 1831 r. stosunkowo bardzo mały stanowiła procent. Przeważnie przyjęło amnestyą wychodźstwo z r. 1846 i 1848 i późniejszych, ludzie wychowani już w szkole rosyjskiej, mniej hartowni, mniej zapaleni i mniej nieprzejednani. Stara gwardya jednak umierała, ale się nie poddawała, umierała z rozdartem sercem, z gorącym pragnieniem ujrzenia choć na chwilę niw ojczystych, jak błądzący Ulises „błękitnego dymu Itaki”, tych pól „wyzłaczanych przenicą, wysrebrzanych żytem”, strawiona tęsknotą, całując grudkę polskiej ziemi, którą każdy z nich nosił na piersi. Wielkie charaktery, wielkie poświęcenia i wielkie serca, niestety! kopiące grób samowolnie tej umiłowanej tak gorąco przez siebie ojczyźnie.

W ogóle, jeżeli wierzyć można urzędowym danym, wrócić miało do kraju od r. 1857 do 1860 około dziewięciu tysięcy emigrantów; cyfra znaczna i która konieczny musiała wpływ wywrzeć na sprawy krajowe. Większość emigrantów byli to ludzie mimo wieku, mimo nieszczęść i niedoli zahartowani, wyćwiczeni w spiskach, politykujący ciągle i jedynie polityką zajęci. Pomiedzy nimi znalazło się wielu takich, którzy wcale nie podchodzili pod dobrodziejstwa amnestyi, a którzy czy to przez prostą nieświadomość, czy przez rozpaczliwą potrzebę serca odetchnięcia ojczystym powietrzem, wrócili. Względem nich rząd zachowywał się nader łaskawie. „Dziś panuje nam cesarz Aleksander, minęły już czasy mikołajewskie”, mówił komisarz cyrkułowy do jednego z takich wychodźców, Antoniego Jeziorańskiego, późniejszego generała powstania 1863 r., który jako biorący udział w kampanii węgierskiej i krymskiej wyjęty był z pod amnestyi, a mimo to do kraju wrócił. Potrzymano go parę dni na odwachu, i w końcu za poręczeniem dwóch właścicieli domów w Warszawie wypuszczono na wolność. Do tej kategorii emigrantów należał Abicht Henryk, współpracownik „Kołokoła” Hercenowskiego. Powróciwszy do kraju, dostał posadę na poczcie w Warszawie i sprowadzał mnóstwo broszur, odezwo-

ich ojczyzny, i nie stąpią na ziemię rodzinną dopóty, dopóki Polska nie będzie wolną i niepodległą, oświadczając, że mają niezachwianą wiarę w odbudowanie ich ojczyzny i choćby mieli umrzeć na ziemi wygnania, oczekiwać będą ostatniej godziny jak ofiary, z których kości powstanie kiedyś całe pokolenie mścicieli”.

i świstków rewolucyjnych; wróciło bardzo wielu innych, którzy w późniejszych wypadkach mieli odegrać ważne, niekiedy pierwszorzędne role. Korzystać więc z amnestyi każdy mógł, i istotnie ci tylko nie korzystali, którzy nie chcieli, którzy wołali, że wrócą ale tylko do ojczyzny wolnej i niepodległej, a tymczasem postanowili wytrwać aż do końca na stanowisku żyjącego protestu.

W kraju przyjmowano emigrantów bardzo życzliwie. Ponieważ termin trzechletni „dobrego sprawowania się” i potem dopiero wstąpienia do służby rządowej, dla większości był niemożliwy do przetrzymania z powodu braku funduszków, więc dawano im zajęcia prywatne po fabrykach, bankach, kantorach itp., w czym szlachetną inicjatywę brał Andrzej hr. Zamoyski, postać bardzo wybitna w tej dobie, bardzo zacna i idealna nieomal, ale bez głowy.

Gdy mu wspomniany wyżej Jeziorański dziękował za to, że za niego poręczył, odrzekł, że „to było jego obowiązkiem”. Posiadając żeglugę parową na Wiśle, której był głównym akcyonariuszem i administratorem, oraz zakłady mechaniczne i fabrykę narzędzi rolniczych na Solcu do wspólni z Rudzkiem, był w stanie ofiarować w nich liczne posady emigrantom; a jeżeli nie mógł ich pomieszczać u siebie, to przez rozgałęzione stosunki i wpływy, jakie posiadał w Warszawie i w kraju, zawsze wynalazł dla powracającego z obczyzny biedaka, jakies zajęcie. Oprócz Zamoyskiego, i inni dopomagali jak mogli emigrantom, których znaczny stosunkowo procent, pomieścił się przy zarządzie kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.

Rozkaz o dozwoleniu powrotu wychodźcom do kraju, rozciągnięty został przez decyzją z d. 3 Lipca i do emigracji litewskiej i innych prowincyi, noszących urzędową nazwę Guberni Zachodnich Cesarstwa. I w tej decyzyi brzmiała nuta obelżywa. Mogli wracać tylko ci, „którzy okażą żal za popełniony błąd”. Litwini upartsi i wytrwali wracali w bardzo niewielkiej liczbie. Do d. 13 Marca 1857 r. wróciły zaledwie czterdzieści trzy osoby (z Francyi 40, z Belgii 1, z Rzymu 1, z Algieru 1); w kilka miesięcy potem cyfra ta dosięgła liczby 75¹⁵. I tu także nie wróciła prawie ani jedna wybitniejsza w jakimkolwiek kierunku osobistość, chyba że zaliczymy do ich rzędu Napoleona Orde, muzyka i rysownika starych zamków, kościołów i miejsc historycznych w Polsce, Litwie i Rusi. Litwini zresztą, jakkolwiek szlachta tamtejsza przeważnie posiadała ogromne fortuny, nie wiele dbali o los emigrantów, między którymi też po powrocie do kraju zapanowała wielka bieda. W parę lat dopiero później, w r. 1859 szlachta zebrana w Kownie, na wniosek marszałka powiatowego Bystrama, złożyła na emigrantów 8000 rs. Za tym przykładem poszło

15 W ogóle do Sierpnia 1860 r. wróciły na Litwę zaledwie 353 osoby.

i Wileńskie, które na korzyść powracających wychodźców, nałożyło na siebie podatek po pięć kopiejek z duszy, tj. z posiadanych chłopów, który składany przez trzy lata przyniósł 30,000 rs., a potem cała Litwa podniosła ten podatek, a raczej zmniejszyła do 10 kopiejek z dymu. W Grudniu 1858 r. szlachta kijowska naznaczyła na siebie na tenże cel składkę 12 kopiejek z duszy. Te drobne, doraźne zasiłki, oczywiście nie mogły zapobiedz ubóstwu a nawet nędzy, panującej pomiędzy powracającą z długiego wygnania emigracją. Wywołało to wśród niej niezadowolenie. Wielu żałowało, że powróciło do kraju, rzucając nieraz zyskowne za granicą zajęcia, i winiło o swe położenie rząd. Tym sposobem żywioł niezadowolonych wzrastał w siłę, zwiększał się z każdą nieomal chwilą, doprowadzał stan gorączki na Litwie, stan wywołany przez zbliżającą się reformę stosunków włościańskich, do stopnia arcyniebezpiecznego.

Nazimow, generał-gubemator wileński, który poradził cesarzowi w Brześciu litewskim, by reformę włościańską rozpocząć od Litwy, miał w tem cel wyraźnie polityczny. Należał on bowiem, jakśmy to wyżej napomknęli, do stronnictwa tzw. słowianofilów, którzy mieli siedlisko w Moskwie i przez charakter specyficznie moskiewskiego patriotyzmu, byli w opozycji z kosmopolitycznym, jak mówili, Petersburgiem. Na czele tego stronnictwa stali bardzo zdolni publicyści i pisarze, jak: Aksakow, Samaryn, Chomiakow, Słowiew. Z ich to szkoły wyszli późniejsi organizatorowie Polski i Bulgaryi: Milutyn, Czerkaski i inni. Nazimow będąc kuratorem okręgu naukowego w Moskwie, żył z nimi w przyjaźni i powoli nasiąkł ich przekonaniami i teoryjami, które dotąd kołacząc się po głowach tych ludzi, występując w ich pismach, miały wkrótce na gruncie emancypacji chłopskiej znaleźć szerokie pole wcielenia swego. Przekonani o opatrnościowej misji Rosyi, której celem będzie kiedyś zreformowanie świata przy pomocy jakoby młodej, rześkiej, odrębnej cywilizacji rosyjskiej w porównaniu z wyrodniałą cywilizacją zachodnią, nosili także nazwę „samobytników”. W zakresie politycznym przepowiadali oni, że Rosya kiedyś odegra wielką, pierwszorzędną rolę w świecie słowiańskim, że go wydobędzie z niewoli niemieckiej i tureckiej, ale że świat ten winien się stać rosyjskim, jeżeli chce żyć i mieć przyszłość przed sobą. Twierdzili dalej, zgodnie zresztą z przekonaniami rządu, że Ruś litewska i ukraińska jest to samo co Rosya, dlatego wszelkie pretensje Polaków do tych ziem, lub dążności separacyjne samychże Rusinów, uważali z jednej strony za zbrodnię przeciw Rosyi, z drugiej za zbrodnię przeciw światu słowiańskiemu. To ich przekonanie wyraźnie wypowiedział Nazimow cesarzowi w Brześciu mówiąc, że Rosya dopóty sobie nie da rady z Litwą, dopóki chłop tamtejszego nie wydobędzie z pod supremacji polskiej; to przekonanie wreszcie zmanifestował zaraz po swem przybyciu do Wil-

na, dając dymisyą naczelnikowi kancelaryi jenerał-gubernatorskiej, Polakowi Bialeckiemu, a mianując na jego miejsce niejakiego de Roberti, usuwając zresztą z urzędów wszędzie gdzie mógł Polaków. Kwestya więc emancypacyi włościan wydawała się wybornem narzędziem dla Nazimowa w celu pogńębienia żywiołu polskiego; poczęcie reformy od Litwy próbą, której można dowolnie dokonać na skórze szlachty polskiej i potem dopiero, gdy już sprawa przejdzie przez chrzest ognia, zastosować jej wyniki do Rosyi. Rzecz była tym łatwiejsza do wykonania, że od dawna na Litwie, na Białorusi, Wołyniu, Podolu i Ukrainie, między żywiołem polskim istniał silny prąd, domagający się usamowolnienia włościan, popierany przez wszystkich ludzi oświeconych i szczerze pragnących dobra kraju, przez pisarzy i poetów. Zrzeczenie się przez szlachtę władzy patrymonialnej nad chłopem, opinia uważała za czyn patryotyczny, i z tego stanu rzeczy Nazimow postanowił skorzystać i wyzyskać go na pożytek Rosyi i słowianofilskich przekonań. W razie oporu szlachty, wiedział dobrze, iż znajdzie gorące poparcie w opinii samychże Polaków, i czy tak czy owak zmusi obywatelstwo litewskie nie do ustępstw dla chłopca, bo o to Nazimowowi wcale nie szło, ale do tego, że dobrowolnie pozwoli na dokonywanie na sobie rozmaitych eksperymentów ze spokojem i pokorą owcy na rzeź prowadzonej. Takim jest położenie pokonanych i słabych. Miecz Brennusowy rzucony na szalę ich przeznaczeń, wечно wołać będzie: biada zwyciężonym! ich najlepsze chęci i najszlachetniejsze zamiary obracać się będą zawsze przeciw nim samym.

Otrzymałszy, a raczej wyjednałszy od cesarza w Brześciu pozwolenie do działania, Nazimow powrócił do Wilna i zaraz zaczął pertraktować w tej kwestyi z wybitniejszymi osobistościami z pomiędzy szlachty litewskiej, z ludźmi, których znał dobrze i wiedział, że nie są bez wpływu na swych współrodaków. Do rzędu takich osobistości należał Orzeszko, marszałek gubernialny grodzieński, Lubański, marszałek powiatowy oszmiański, Chomiński, marszałek Świenciański, książę Ireneusz Ogiński, właściciel wielkich majątków na Żmudzi i hr. Adolf Czapski, także ze Żmudzi. Oczywiście w ludziach tych znalazł jak najgorętsze, jak najuczciwsze poparcie urzędowych zamiarów. Uradowany tak łatwym zwycięstwem, Nazimow zawiadomił o tem konfidencyjnie ministra spraw wewnętrznych Łanskoja, wielkiego zwolennika reformy włościańskiej, który zachwycony został działalnością Nazimowa, prosił tylko, by całą sprawę wstrzymał do czasu koronacyi, która się miała odbyć we Wrześniu, i na którą wezwał jenerał-gubernatora, żeby zaprosił marszałków i inną szlachtę litewską.

Na tem w tej chwili cała sprawa się zatrzymała, gdyż wszystkie zresztą sprawy rosyjskie stanęły, wobec zbliżających się uroczystości koronacyjnych,

jakeśmy rzekli, na jesień odłożonych. I w Warszawie przygotowywano się do obchodzenia tego ważnego aktu. Dla ludu wyprawiono w dniu koronacji, 7 Września, obfitą ucztę na placu Ujazdowskim¹⁶, w czasie której motłoch warszawski zachowywał się nieprzyzwoicie i dziko.

Uroczystość miała się rozpocząć z przybyciem gubernatora warszawskiego Łaszczyńskiego. Nim on się jednak zjawił, tłum wszystko w jednej chwili rozerwał, ławy i stoły poprzewracał i połamał. Rozeszła się pogłoska, że w dniu tym nikogo aresztować nie wolno, więc też sobie pozwalano. Policja dość nieliczna w Warszawie i źle uorganizowana, oczywiście nie mogła sobie dać rady z kilkunastotysięcznym tłumem, pijanym i rozochocionym nadzwyczajnie. Uczta miała też charakter rozpasanej bachanalii. W całym kraju, po wszystkich miastach obchodzono dni koronacyjne uroczystości przy huku dział i gwarze zabaw ludowych. Bawiono się ochoczo i szczerze, bo nie przestano jeszcze wierzyć w to, że cesarz Aleksander reformując całe państwo, zreformuje i zarząd Królestwa i porobi niejaki ustępstwa dla kraju. Oczekiwano z pewnemi nadziejami na manifest koronacyjny, który dawał cesarzowi sposobność do zaznaczenia swego usposobienia dla Polski i do udzielenia jej „łask”, jak to wtedy mówiono.

Niestety! zawiedziono się znowu, jak się tylkrotnie zawadzono odnośnie do rządu rosyjskiego, pełnego nieufności, podejrzliwego i w gruncie rzeczy nieuczciwego. Manifest ukazał się d. 7 Września i... obdarzał szlachtę polską „W osobie głowy rodziny”, podobnie jak szlachtę cesarstwa, medalem za kampanię krymską!... oraz darowywał niektóre zaległe podatki i należności skarbowe. Jedyną ważną ulgą dla kraju było wstrzymanie poboru rekruta na lat cztery. Manifest przyszedł wówczas, gdy już jesienny pobór prawie w całym kraju był ukończony, i biedacy z głowami pogolonemi, w szarych żołnierskich płaszczach, gotowali się do pochodu w głąb Rosji lub na Kaukaz. Gdy ich rozpuszczono, radość była niezmierna, wdzięczność dla cesarza jeszcze większa, choć znalazło się wielu takich, którzy twierdzili, że Aleksander zro-

16 Były 192 stoły, a na każdym z nich znajdowało się 10 karafek wódki słodkiej, 10 dzbanów miodu i po rogach beczki z piwem. Na czterech głównych stołach ustawiono cztery pieczone daniele z pysznie złożonymi rogami, a na każdym stole łeb wołowy lub wieprzowy jaskrawo różnokolorowymi papierami ubrany. Zabito w ogóle 65 wołów, trzydzieści wieprzy, cztery daniele, baranów 80, cieląt dwadzieścia. Łbów wołowych i wieprzowych było 104. Bochenków jednofuntowych chleba wyszło trzydzieści tysięcy, bułek dziesięć tysięcy funtów, wódki 1.300 garncy, miodu dwa tysiące garncy, piwa dwieście pięćdziesiąt beczek, każda po 28 garncy. Przeważną część tego ogromnego wydatku poniosło miasto. W ogólności ta nielukullusowa uczta miała kosztować 20.000 rs. a że kuchnie w Łazienkach na kilka dni przedtem spaliły się, więc musiano większość przedmiotów kupować i płacić w dwójnasób.

bić to musiał, bo traktat paryzki go do tego zobowiązywał. Cokolwiek bądź, jakiegokolwiek były powody tego aktu, mówiono sobie, dla kraju niezbyt ludnego, dającego swój podatek krwi nie za własne interesa, dobrodziejstwo jest to wielkie. Rekruci płakali z radości, rzucali się sobie w ramiona, pili na uciechę. Po miastach i miasteczkach włóczyły się tłumy włościan, złożone ze świeżo wypuszczonych rekrutów, ich matek, ojców i żon, pijane, błogosławiące tego nieznanego, dalekiego „cysorza”, który im tak wielką, tak niespodziewaną łaskę wyświadczył.

Prócz tego pojawił się jeszcze jeden ukaz z d. 16 Września, pozwalający na powrót do ojczyzny zesłańców na Sybir z Królestwa i z tak zwanych guberni zachodnich cesarstwa. Miała się więc zjawić w kraju nowa, znaczna grupa ludzi, zaprawionych w spiskach, ludzi, których długie, sybirskie noce wygnania, zrobiły jeszcze bardziej nieprzejezdanymi, bardziej, że tak powiemy, utrwalonymi w swej nienawiści do Rosyi i w nadziejach dla Polski. Wracali zesłańcy z 1831 r. i z wszystkich późniejszych lat; wracali z niesłychanie rozegzaltowanymi umysłami, z mistyczną wiarą w przyszłość Polski, w konieczne jej zbawienie. Podobnie jak na emigracyi, wychodźstwo ówczesne odznaczało się z małym wyjątkiem niezmierną czystością i podniosłością swych uczuć, tak i zesłańcy sybirscy umieli zachować między sobą silną solidarność, wspierali się, trzymali razem i zacnością swych serc, powagą i godnością wysoką swych charakterów, nie tylko utrzymali między sobą żywą nadzieję i gorącą miłość ojczyzny, ale nawet rzeźkość i energią. Długie wygnanie, męka niewoli, straszne sybirskie pustynie i głucha cisza, jaka ich otaczała, wyrobiła w nich, podobnie jak w emigracyi zachodniej, jakieś mistyczne pojęcie swej ziemskiej ojczyzny, jakąś osobliwszą wiarę w jej przeznaczenia, jakąś chorobliwą egzaltacją co do obowiązków dla tej ojczyzny. Mówili oni i głosili, że dla ojczyzny, która stała się w ich oczach jakimś nieziemskim, boskim ideałem, i to ojczyzny, której kształty rzeczywiste nie obejmowały tych przestrzeni, gdzie brzmi język polski ale te, gdzie historyczne wypadki wytworzyły granice, otóż twierdzili oni, że dla takiej nieprawdziwej polskiej ojczyzny należy wszystko poświęcić i siebie i rodzinę, i widzenia swoje i nadzieje... Ojczyzna taka był to bóg pogański, pragnący krwawych ofiar, było to przeznaczenie, wóz iudyjskiego Brahmy, pod którego koła rzucać się każdy powinien...

Te mistyczne brednie, podsycane wygnaniem, niewolą, tęsknotą za brzegami Wisły lub Pilicy „gdzie gaj tak piękny, dolina tak miła”, stały się u tych nieszczęśliwych wygnańców artykułem wiary, za który ukrzyżować by się dali. Zkądinąd ludzie bardzo zacni, bardzo poetyczni i podniośli, ale doktrynerzy, fanatycy idealnie pojętej ojczyzny, mistycy, chorzy, nieszczęśliwi politycy serca i nerwów. Wierząc gorąco w to co głosili, mieli w sobie zapal fanatyków

danej idei i nietolerancją tychże fanatyków. Ogniem swych słów, siłą swych przekonań porywali, unosili za sobą serca i głowy rozplakane nad niedolą polską, rozmarzone jej dawną chwałą, pragnące jej wolności i swobody. Kogo nie przekonali, gotowi byli jak hiszpańscy inkwizytorowie palić na stosach, zabijać, piętnować mianem zdrajców. Do Polski chorej od dawna, okrytej wrzodami, trawiącej się wewnętrznym ogniem, któremu wszystkie ujścia na zewnątrz zamknięto, dorzucali oni nowego zarzewia, podsypywali, że tak powiemy, prochu. Nieszczęsny kraj, gdzie najwznioślejsze z uczuć, ale mające czysto realne znaczenie, jakim jest miłość swego kraju, staje się jakimś mistycznym snem, jakimś łóżem tortur, na którym obywatele sami rozkładać się winni i pozwalać na łamanie sobie kości.

Wracali powoli, w ciągu paru lat, wszyscy, którzy tylko żyli i zwlec się mogli z Sybiru, z nad Angary zza Bajkału, z nad Amuru i Kamczatki, do Polski, do tej Polski ukochanej, która w ich snach posępnych, w długich, czarnych nocach wygnania sybirskiego, świeciła im jak Elsinoe złotowłosa konającemu na śniegu Anhellemu. Wrócił więc stary, złamany, poszarpany knutem Piotr Wysocki, podchorąży, który odegrał pierwszorzędną rolę w nocy 29 Listopada; wrócił sławny ze swej ucieczki i losów tragicznych Migórski; wrócił Karol Ruprecht, skazany na śmierć i pod szubienicą ułaskawiony; wrócił Agaton Giller, prawdziwy mistrz spisku; wróciło innych bardzo wielu o nazwiskach mniej głośniejszych i mniej znanych, ale wszyscy ożywieni jednym duchem, zastygli w swych wyobrażeniach niby lody sybirskie mrozem ścięte, wszyscy gotowi do dalszej, nieustannej, świętej, jak mówili, pracy dla ojczyzny. Żyli oni ze sobą w ścisłym związku, komunikowali się ciągle, a wkrótce ich zebrania tygodniowe co Sobota, zwane „Szabasami”, nabyły w kołach rewolucyjnych pewnego rozgłosu. Na zebraniach tych mówili oni o położeniu kraju, o konieczności jakiejś akcji, o potrzebie ożywienia ducha ogólnego, o spisku na koniec. Niepoprawni marzyciele i okrutni kaci Polski!

Takimi były łaski dla kraju we wspnianie, błyszczące przepychem nadzwyczajnym i świetnością, dni koronacyjne cara Aleksandra II-go. Wśród niezwykle wielkiego zjazdu szlachty i dygnitarzy ze wszystkich kończyn ogromnego państwa, znalazł się i generał-gubernator Wileński, Nazimow, z marszałkami szlachty litewskiej, którzy objawili chęć popierania rządu w sprawie usamowolnienia włościan. Sprawa ta podniesiona została nazajutrz po koronacji, na obiedzie u ministra spraw wewnętrznych Łanskoja, gdzie zeszli się wszyscy marszałkowie szlachty, tak litewscy jak i rosyjscy. Ale tu wyraźnie pokazała się niechęć tych ostatnich do wszelkich reform w sprawie włościańskiej¹⁷.

17 Gdy podczas obiadu, minister Łanskoj wniósł zwykły toast za zdrowie marszałków szlachty, z różnych końców stołu biesiadniczego, podniosło się z pełnymi puhami, w za-

Wówczas postanowiono mówić o tej kwestyi wyłącznie tylko z marszałkami litewskimi. Tak zwany „towarzysz” ministra spraw wewnętrznych, Troiekij, za pośrednictwem Chomińskiego, gubernatora Kowieńskiego, Polaka, wyraził chęć bliższego poznania rzeczonych marszałków, i zaprosił ich do siebie na herbatę. Tutaj to gospodarz w płynnej, nader spokojnej formie skreślił widoki rządu, powiadając, że władza wyższa pracuje obecnie nad obmyśleniem środków rozwiązania kwestyi włościańskiej, że należy ją rozstrzygnąć przy udziale szlachty, i że rząd nie myśli zgoła o pozbawieniu posiadaczy obecnych praw własności. Na to A. hr. Czapski, marszałek gub. Kowieński, po zauważonym przez wszystkich namyśle odrzekł: że szlachta guberni zachodnich nigdy praw swoich nie rozciągała do osób ze stanu włościańskiego; że wymagała tylko wypełnienia prawa obowiązującego w formie określonej pracy; że lud wiejski będąc względnie zamożny i oświecony, należy uważać raczej za fermerów, za obywateli używających praktycznie praw tych samych co i inne stany, nie zaś za właściwych poddanych. Dodał nareszcie, że jeżeli szlachta nie badała dotąd kwestyi reformy, to dlatego jedynie, iż nie była upoważnioną przez władzę, która poprzednio badania takie uważała za podejrzane¹⁸.

miarze odpowiedzi, sześciu przedstawicieli dworzaństwa, a z tych książ Koczubej wniósł toast, wyrażony w tych słowach: „marszałkowie szlachty, będąc przekonani, że dopóki wasze wysokoprewoschoditelstwo będzie zajmować to stanowisko, prawa szlachty pod każdym względem zostaną nietknięte, piją za zdrowie waszego wysokoprewoschoditelstwa. Większość zgromadzonych jednogłośnie poparła ten toast charakterystyczny, ku zdumieniu mniejszości, nie wtajemniczanej w tę, zawczasu, jak się okazało, przygotowaną demonstracją. Minister był widocznie zmieszany takim obrotem swych wynurzeń, a uczta zakończyła się wśród milczenia ogólnego. Odtąd unikano wszelkich urzędowych zgromadzeń marszałków szlachty.

- 18 Jak dalece marszałkowie rosyjscy oburzeni byli postawą, jaką ich koledzy litewscy zajęli w sprawie włościańskiej, świadczy następujące zdarzenie. Po uroczystościach koronacyjnych marszałkowie rosyjscy wyprawili ucztę pożegnalną, na którą jej gospodarz, marszałek gub. włodziński p. Bogdanow, zaprosił litewskich przez pośrednictwo gubernatora kowieńskiego, Chomińskiego. Zaproszeni zadość uczynili wezwaniu. Zgromadzenie było liczne. Gospodarz wskazał miejsce po prawej ręce obok siebie gościom z guberni zachodnich. Pomimo wysokiego taktu i uprzejmości ze strony gospodarza, zauważono jednak nie bez pewnego podziwu, że w zgromadzeniu nie ma harmonii żadnej, że mianowicie marszałkowie wielko i małorosyjscy okazują nie tajoną wcale chęć stronienia od gości litewskich. „Gdy podszedł (pisze jeden z uczestników tej uczty) do dobrze mi znanej osobistości marszałka guberni orenburskiej, ten ostatni wynurzył mi niedwuznacznie uczucia, ożywiające większość wobec nas wszystkich: „Wybacz bracie, rzekł, że się trzymam z daleka od ciebie, my patrzymy na was jak na niebezpiecznych podburzycieli w kwestyi włościańskiej, w której rządźcie się fantazyą”. Pod wpływem usposobień większości biesiada wspólna przybrała charakter wyjątkowo ostrego napięcia, które nie dawało się złagodzić nadzwyczajnymi nawet wysileniami uprzejmości samego gospodarza. Mów i toastów nie było. Reprezentacja nadbałtyckich prowincyj nie była obecną. Ku końcowi

W rezultacie więc szlachta litewska gotową była do przyjęcia reformy. To też naradziwszy się z ministrem Łanskojem, co i jak robić należy, Nazimow wrócił we Wrześniu do Wilna i zajął się energicznie tą kwestią.

Przedewszystkiem więc puścił się w objazd po kraju, odwiedzał miasta, dwory szlachty wybitniejszej i wszędzie wygłaszał mowy dziwne, osobliwie brzmiące w ustach tak wysokiego reprezentanta rządu, mowy charakteryzujące i perfidyą tego rządu i te czasy, jedyne w swoim rodzaju. Nazimow, gdy się zjawił w jakim gubernialnym lub powiatowym mieście, zwoływał szlachtę okoliczną i prawił szeroko o jej godnym zazdrości stanowisku wobec dworzaniaństwa rosyjskiego, że inicjatywa w sprawie usamowolnienia włościan wychodzi z Litwy, że przyniesie jej to zaszczyt, zasługę w historii i pochwałę świata ucywilizowanego.

Słowa te, którym trudno było zaprzeczyć słuszności, znajdowały w ogóle chętny poduch między szlachtą, od dawna ulegającą naciskowi opinii publicznej, domagającej się natarczywie usamowolnienia chłopów jak najszybszego i jakim bądź kosztem. W innych miejscach, w Brzeskiem np. przypomniał szlachcie ich „kompatriotę” Tadeusza Kościuszkę, który jeszcze w r. 1794 chciał chłopów uwolnić z pod supremacji szlacheckiej; gdzieindziej odwoływał się do patriotyzmu polskiego, do uczuć narodowych, do wspomnień historycznych, do twierdzeń, że Polska przez to upadła, że chłopów gnębiła, że zatem wnukowie winni wypłacić stary dług, zaciągnięty przez praojców; używał wszystkich słów i wszystkich zaklęć, wszystkich strun dotykał, które grać mogły w duszy polskiej, z chytrą zaiste dziwną w tym jenerale rosyjskim, w tym moskiewskim słowianofilu, niecierpiącym Polaków, jako zwolenników zachodu i latynizmu. Tym sposobem powoli grunt przygotował i w ogóle znaczna większość szlachty przyrzekła chętnie poparcie widoków rządowych. Zaraz też potworzyły się w miastach gubernialnych, w Wilnie, Grodnie i Kownie, komitety szlacheckie, które miały się zająć zdecydowaniem czy ma być lub nie przeprowadzona reforma włościańska.

Takie w powszechności było położenie całego zaboru rosyjskiego w pierwszych dniach wstąpienia na tron carów Aleksandra II-go, takie żywiły na tych obszarach występowały do walki, która powoli zaogniając się, miała przybrać charakter szalonej, wszystko druzgoczącej burzy. Organizm narodowy chory już sam przez się, przez to, że wtłoczony był w formy krępujące gwałtownie wszelkie

uczty przyczyna niezadowolenia wybuchła od razu. Wzniesiony przez księcia Koczubeja toast, brzmiał jak następuje: „Proponuję toast za zdrowie szlachty nie niemieckiej, nie polskiej, ale za zdrowie i na cześć szlachty wielkorosyjskiej!”. (Predługaju tost za zdrowie nie niemieckiego, nie polskiego, a za zdrowie i w czest wielikoruskago dworiantstwa). Goście litewscy natychmiast powstali i w milczeniu opuścili salę.

jego ruchy i wszelki jego rozrost naturalny, podlegał jeszcze ciągle przypadłościom podnoszącym gorączkę. Do kwestyi narodowej, kwestyi swobody i niepodległości, kwestyi czysto politycznej, przyłączyć się wkrótce miała sprawa chłopska, sprawa natury socyalnej, której żaden naród bez wstrząśnień ekonomicznych i społecznych, nawet w stanie zupełnego zdrowia i spokoju, nie rozstrzygnął. W Polsce chorej, stan zapalny, stan zaognienia zwiększyć się jeszcze bardziej musiał przez wzmiankowaną sprawę, której pierwsze oznaki ukazują się już w tej dobie na horyzoncie polskim, by wkrótce stać się nieomal główną osią wszystkich wypadków.

Wskazaliśmy żywioły, które w tej chwili drzemały jeszcze w ciszy, łudząc się zwodniczymi nadziejami, że inicjatywa reform społecznych i politycznych wyjdzie z łona rządu rosyjskiego; w następnych rozdziałach zobaczymy, że gdy te nadzieje i złudzenia rozwiały się jak miraż w pustyni, rzeczony żywioły budzą się i poczynają na nieszczęście Polski występować jako aktorzy na scenie wielkiej tragedyi dziejowej, będącej głównym przedmiotem niniejszego opowiadania.

ROZDZIAŁ II

Zapis Świdzińskiego; Towarzystwo rolnicze

Nieufność do rządu. Komitet do spraw kościelnych. Nominacja trzech biskupów i ich charakterystyka. Sprawa Dernowicka i Pawłowska. Muchanow i Gorczakow. Projekt założenia uniwersytetu w Warszawie. Opór Muchanowa i jego projekt. Klasa ósma przy gimnazyjach filologicznych. Akademia medyko-chirurgiczna i jej uroczyste otwarcie. Konstanty Świdziński i jego zbiory. Zapis ich Wielopolskiemu. Treść testamentu. Mniemany kodycył. Postępowanie Wielopolskiego. Proces ze Świdzińskimi o nieważność testamentu. Mowa Wielopolskiego w Sądzie apelacyjnym i Senacie. Umieszczenie biblioteki w Chrobrzu. Ogólne potępienie tego kroku. Zjadliwa polemika Wielopolskiego z przeciwnikami. Zrzeka się zapisu i los dalszy zbiorów Świdzińskiego. Andrzej hr. Zamoycki, jego przeszłość, działalność, charakterystyka i program polityczny. Kwestya chłopska. Oczynszowanie i uwłaszczenie. Przedsiębiorstwa przemysłowe Zamoyckiego. Zjazdy Klemensowskie. Towarzystwo rolnicze. Pozwolenie wydania dzieł Mickiewicza. Merzbach i wystąpienie przeciw niemu. Drugi przyjazd cesarza do Warszawy. Jego pobyt w Puławach. Zjazd w Stuttgardzie. Powrót do Warszawy, hale, zabawy. Ukaz o Towarzystwie rolniczym i uroczyste tegoż zawiązanie. Znaczenie Towarzystwa w kraju i działalność. Litwa i jej usposobienie. Raport Siemaszki i jego następstwa. Sprawa włościańska. Komitety szlacheckie i ich decyzje. Reskrypt cesarski z d. 20 Listopada 1857 r. Zachowanie się ludu i rozporządzenie Nazimowa. Działalność komitetów włościańskich. Zakończenie.

Pierwszy rok panowania Aleksandra II-go miał się ku końcowi i rząd kraju w niczem nie zmienił swego charakteru, nic nie zapowiadało, by nadzieje, jakie pokładano powszechnie w młodym cesarzu, mogły się kiedykolwiek urzeczywistnić. Ulgi, jakie poczyniono, ograniczały się, jakeśmy to poprzednio zaznaczyli, na zniesieniu stanu wojennego, na amnestyi dla emigrantów i zesłańców na Sybir, na wstrzymaniu na koniec poboru rekruta. We wszystkim tem rząd kierował się względami wcale nie mającymi związku z ustępstwami dla Polski o których zresztą wcale nie myślał. Zasadniczych zmian nie porobiono żadnych, nie dotrzymywano nawet dawniejszych swoich zobowiązań. Gdy bowiem rok temu zmarł marszałek szlachty guberni Lubelskiej, znany nam już ze swego zamiaru podania memoriału, Jan Jezierski, rząd nie dotrzymał swego przyrzeczenia, że marszałkowie będą odtąd wybieralni, ale mianował wprost od siebie księcia Woronieckiego, niegdyś generała wojsk rosyjskich. Była to wpraw-

dzie drobna rzecz, marszałkowie szlachty w ogóle nie mieli żadnego znaczenia i tylko niepotrzebnie obciążali skarb Królestwa poważnym wydatkiem parukroć sto tysięcy złotych (złp. 166,666 gr. 20) rocznie, ale dowodziła, że rządowi w niczem wierzyć i w niczem ufać nie można, że samowola i gwałt będą głównymi motywami i główną dźwignią tej władzy złej, zepsutej, despotycznej. Rząd nie robił nic takiego, co albo nie leżało w jego interesie, albo do czego nie byłby zmuszony okolicznościami. Zrobiwszy jednak cokolwiek, przez liczną rzeszę służalczej biurokracji, przez znikczemniałe w swych narodzinach dziennikarstwo rosyjskie, przez pismaków polujących na urzędy i ordery, był wychwalany na wszystkie cztery strony świata, rozgłaszano jego dobroć, wspaniałomyślność, łagodność i skłonność do ustępstw.

Do rzędu takich postępów, wychwalanych nad miarę i uważanych jako cecha wspaniałomyślności cesarskiej, była nominacja biskupów w końcu 1856 r. na nieobsadzone trzy katedry biskupie w Królestwie¹⁹.

Od śmierci Mikołaja stosunki kościelne w Polsce tak opłakane, dotąd nie uległy żadnej zmianie. Pod straszną przewagą państwowej cerkwi prawosławnej, religia katolicka, a raczej jej duchowieństwo, zniżone zostało do znaczenia drugorzędnego; zarząd jego wcielono do Komisji spraw wewnętrznych, na czele której z krzyżącym nietaktem, stał człowiek zwykle wyznania schyzmatyckiego, a jak teraz Muchanow. Jeżeli już gdzie nadużycie było wołające o pomstę do Boga, jeżeli gdzie reformy były konieczne i niezbędne, to w tej gałęzi instytucyj państwowych. Spodziewano się też powszechnie zmian i ulg urzędowych na tej drodze i omylono się, jak ciągle przez te kilka lat mylono się i łudzono co do istotnych usposobień rządu rosyjskiego.

W końcu roku 1855 zdecydowano się na koniec w Petersburgu na rozpatrzenie skarg, zanoszonych w różnych czasach przez Rzym, co do spraw Kościoła katolickiego w Polsce. W tym celu w Listopadzie rzeczono roku utworzono komitet specjalny, złożony z kanclerza państwa hr. Nesselrode, ministra spraw wewnętrznych Łanskoja, hr. Błudowa i Romualda Hubę, którzy obaj w r. 1847 brali czynny udział w negocjacyach konkordatowych, na koniec z generała Kisielewa, z ministra sekretarza stanu Królestwa Polskiego Ignacego Turkułła, z dawnych posłów rosyjskich w Rzymie: Buteniewa i Kisielewa, wogóle z ośmiu osób, między którymi było tylko dwóch katolików i Polaków, tj. Hubę i Turkułł. Podstawą obrad tego komitetu był memoriał, rodzaj streszczenia wszelkich skarg i zarzutów stolicy apostolskiej, jaki przedstawiło ministerium spraw zagranicznych. Skargi te odnosiły się głównie do

¹⁹ Głównym powodem przedstawienia kandydatów na te katedry było to, że Rzym chciał wnieść na kongres paryżki sprawę tolerancyi religii katolickiej w Rosyi. Dla uniknięcia tego, co prędzej przedstawiono kandydatów na katedry biskupie.

tego, że konkordat z r. 1847 pozostał dokumentem martwym, który nigdy nie tylko nie został wykonany, ale nawet ogłoszony. Ministerium w swym memoriale proponowało dla położenia końca nieustannym narzekaniom Rzymu, ażeby konkordat w rzeczy samej wszedł w wykonanie. Jakoż komitet przyznał to i starał się zadość uczynić niektórym drugorzędnym skargom Papieża, mianowicie co do nominacji biskupów na wakujące katedry.

Wskutek tego już w d. 1 Maja 1856 r. Turkułł uwiadomił namiestnika o rezultacie prac komitetu, „który winien czuwać głównie nad wykonaniem traktatu, zawartego z Rzymem w d. 3 Sierpnia 1847 r.,” i wzywał rząd Królestwa, ażeby starał się jak najspieszniej o przedstawienie kandydatów na wakujące katedry biskupie w Polsce; zakomunikował wreszcie namiestnikowi dwie decyzje komitetu, w jaki sposób ma być dokonany wybór kandydatów na rzezzone katedry, oraz co do małżeństw mieszanych. „Wolą jest Najjaśniejszego Pana, pisał Turkułł, ażeby jak najskrupulatniej trzymano się przepisów prawa kanonicznego co do wyboru kandydatów. Wybór ten winien być pozostawiony swobodnemu zgromadzeniu kapituł dyecezyalnych, wybór zaś sufraganów samym biskupom... Co się zaś tyczy małżeństw mieszanych, uznano możność zastosowania do Królestwa Polskiego przepisów, jakich trzyma się Stolica apostolska w Prusach, Węgrzech i Bawaryi”.

Przeciw tym uchwałom komitetu, które gdyby były istotnie wprowadzone w życie, mogły z jednej strony położyć koniec dokuczliwym i zenującym skargom rzymskim, z drugiej w Polsce wytworzyć znośne położenie kościelne, zaprotestował Muchanow. Uparty ten, ograniczony zły człowiek nie chciał postradać wyłącznego swego prawa przedstawiania, od siebie kandydatów, jak gdyby kapituły, nauczone ciężkiem doświadczeniem nie były skłonne do podawania takich kandydatów, jacy podobali się panu dyrektorowi spraw wewnętrznych. Rezultat tego oporu był taki, że rząd rosyjski musiał się wystawiać na przykre i upokarzające odrzucanie przez Rzym kandydatów muchanowskich, nim na koniec się ułożono. Co się zaś tyczy zapowiadanych przez komitet petersburski ulg w sprawie małżeństw mieszanych, to te, dzięki Muchanowowi, nigdy nie weszły w wykonanie. Całym rezultatem prac komitetu było opublikowanie w Listopadzie 1856 r. w Gazecie Rządowej warszawskiej konkordatu mocno obciętego i nominacie trzech biskupów²⁰. Nominacje te nastąpiły przez ukaz z d. 11 Listopada 1856 r. z Carskiego Sioła. Na arcybiskupstwo warszawskie powołany został ks. Antoni Melchior Fijałkowski, biskup Hennopolitański, sufragan i proboszcz katedry płockiej, administrator dyecezyi warszawskiej. W chwili gdy otrzymał purpurę arcybiskupią, był to już blisko 80-letni starzec, złamany życiem. W młodości był kapelanem

20 Innym gazetom warszawskim zabroniono przedrukowania konkordatu z Gazety Rządowej oraz dopilnowano, by ani jeden egzemplarz tej ostatniej nie wyszedł za granicę.

w wojsku polskim w r. 1831 i zachował gorącą, choć nieopatrzną miłość ojczyzny i jeszcze gorętszy fanatyzm religijny. Gdy w d. 11 Stycznia 1857 r. ks. Łubiński, sufragan kujawski, wkładał nań w katedrze św. Jana palusz, Fijałkowski osiwiwały i pochylony nazwał się „sługą nieużytecznym, niedołącznym starcem, niegodnym piastować tak wysoki urząd”. Jakkolwiek w słowach tych przebiła się skromność, przynosząca zaszczyt nowemu metropolicie, wszelako zdanie to nie było pozbawione pewnej prawdy. Chociaż bowiem na zewnątrz Fijałkowski wyglądał dość czerstwo, to przecież pod wielu względami był to już istotnie starzec niedołączny. Zawsze słabego, miękkiego charakteru, z wiekiem oczywiście stał się jeszcze słabszym i ulegającym grupie młodych, energicznych i umiejącym wyzyskać swe wpływy księży, którzy go otoczyli zaraz. W tragicznych wypadkach, które z kolei rzeczy opowiemy później, Fijałkowski odegrał nieomal pierwszorzędną i niestety! wysoce zgubną dla kraju rolę.

Katedrę podlaską powierzono ks. Beniaminowi Szymańskiemu, prowincjałowi zakonu Kapucynów, osobistości czynnej i energicznej, mającej obszerne, wpływowe stosunki we wszystkich sferach, tak polskich jak i rosyjskich. Był to człowiek zręczny, ostrożny, fanatyk zapalony, nadzwyczaj wpływowy na ludność Warszawy przez swój zakon i przez kobiety.

Prowadził on gwałtowną propagandę nabożeństw, procesyj, uroczystości kościelnych wszelkiego rodzaju, tak że bardzo wiele przyczynił się do tego charakteru religijnego, jaki miały późniejsze wypadki²¹.

Trzecim biskupem Kujawsko-kaliskim został ks. Michał Marczewski, prałat i scholastyk katedralny, człowiek dobry i spokojny, umysł zimny i rozważny, Kaszuba rodem, wychowany przez Niemców, należał do rzędu tych ludzi, których sprawy polskie niewiele obchodziły. Rewolucja go oplwała i ogłosiła zdrajcą, którymi nie był, jakkolwiek okazywał karygodną uległość rządowi.

Takimi były nominacje biskupów, które dawały tylko pozory, że rząd zamierza zakończyć raz ze sprawami kościelnymi w sposób odpowiedni i godny.

21 Do takich niepotrzebnych całkiem uroczystości kościelnych, które przez jakiś czas absorbowwały uwagę jeżeli nie trzech czwartych kraju, to przynajmniej wszystkich w nim kobiet, należało sprowadzenie w r. 1859 przez Szymańskiego z Rzymu relikwii św. Wiktora, które miano umieścić w Janowie Podlaskim, stolicy biskupstwa. W tym celu d. 5 Czerwca procesya wyruszyła od Kapucynów z Warszawy wśród niezliczonych tłumów ludu, przeważnie kobiet. Kazanie miał przed kościołem sławny w tej dobie mówca i fanatyk, ojciec Bronisław, Kapucyn. Procesya wyruszyła w samo południe, poprzedzana przez cechy z chorągwiami, mnóstwo duchowieństwa, czterech biskupów (Dekert, Benjamin, Twarowski i Plater), oraz arcybiskupa pod baldachimem. Relikwie złożone w trumience, w kształcie szafki oszklonej, nieśli przez miasto Kapucyni, a za rogatkami czekał wspinały wóz, zaprzężony w sześć białych koni. Taki uroczysty pochód szedł przez znaczną przestrzeń kraju, budząc próżny pietyzm.

W istocie jednak, rzeczy pozostały na dawnej stopie i nominacje biskupie w niczem opłakanego stanu Kościoła polskiego nie zmieniły, jak amnestye, zniesienie rządów wojennych i poboru rekruta, nie zmieniły sposobu władania Polską. Że w rzeczach religijnych rząd żadnej zmiany nie myślał zrobić, świadczy najprzód to, że nie obsadzono katedry augustowskiej i unickiej chełmskiej, dzięki upartej opozycji Muchanowa²²; że na koniec nie zamierzano osłabić przewagi wyznania prawosławnego w Polsce, że w tym zakresie rząd szedł drogą wytkniętą przez Mikołaja, dowodem jest szkaradna, krzycząca, oburzająca swym gwałtem sprawa Dernowicka oraz Pawłowska.

Miasteczko Dernowice, własność podówczas niejakiego Korsaka, szlachcica polskiego, leży w guberni Witebskiej, za Dźwiną, w pobliżu miasta Dryssy. Ludność od dawien dawna była tam unicka. W r. 1842, z rozkazu Mikołaja zabrano w Dernowiczach kościół unicki i zamieniono go na cerkiew prawosławną, przy której osadzono popa schizmatyckiego, chłopów zaś zapisano, nie pytając ich o to wcale, do ksiąg prawosławnych. Lud nie chodził do cerkwi, nie chrzczył się tam, ani żenił i grzebał, na co zresztą pop miejscowy patrzył przez palce, gdyż miał posadę dobrze płatną i bez kłopotów. Taki stan rzeczy trwał aż do roku 1857. Z wstąpieniem atoli na tron rosyjski Aleksandra II, wieść o jego usposobieniu ludzkim i łagodnym, o reformach, jakie zamierzał zrobić w państwie, doszła aż do biednych chłopów Dernowickich. Podali więc prośbę do nowego cesarza błagając, by im pozwolił otwarcie wyznawać wiarę dawną ich ojców. Odpowiedziano im za pośrednictwem władz miejscowych, że prośba ich została odrzucona, jako nie zasługująca nawet na uwagę. Nie zraziło to jednak Dernowiczów. W roku następnym podali nową prośbę do cesarza i ministra spraw wewnętrznych. Ten krok oburzył władze, które postanowiły energicznie stłumić buntownicze domaganie się chłopskie.

Z rozkazu gubernatora Witebskiego Kołokołcowa wysłano do Dernowicz sprawnika Spordacowa z wojskiem. Ten rozwinął zwykłe w takich razach w Rosyi postępowanie. Bijąc różgami chłopów, domagał się przedewszystkiem wyjaśnienia, kto ich namówił do podania prośby do cesarza i kto tę prośbę pisał. Z heroicznem poświęceniem wziął na siebie winę felczer Wincenty, który istotnie w Dernowiczach miał wielkie i przeważne wpływy na swych współobywateli. Zbity bezlitośnie, pozbawiony wszystkich zębów, chory, wysłany został do Witebska i skazany tam

22 Muchanow pomieścił w liczbie kandydatów na biskupstwa głośnego później Myślińskiego, księdza złego, ale Stolica apostolska stanowczo go odrzuciła. Opowiadano sobie, że gdy ktoś z Polaków pytał kardynała sekretarza stanu w Rzymie, dlaczego ks. Myśliński został odrzucony, kardynał odpowiedział: „a pani Orzeszko?” Pani Orzeszko była to powszechnie znana duszka Myślińskiego, z którą żył nieomal publicznie.

do ciężkich robót. Żonę, będącą w stanie brzemiennym, przy tej sposobności nowocześni apostołowie prawosławia tak zbili, że poroniła. Cesarz ze swej strony, na skutek drugiej prośby chłopów Dernowickich, wysłał tam dla przekonania się o położeniu rzeczy senatora Szczerbinina. Gdy ten przybył do Witebska, stawił się przed nim marszałek powiatowy szlachty Łopaciński i odmalował opłakaną sytuacją chłopów. Na to senator Szczerbinin kazał mu jechać do Dernowicz i oznajmić mieszkańcom wolę cesarza, to jest, że muszą być prawosławnymi. Łopaciński miał na tyle odwagi, że rozkazu tego nie przyjął. Szczerbinin w Lipcu udał się sam do Dernowicz i przez rozmaite podstępne środki, których obfity zapas posiadają urzędnicy rosyjscy, pozornie przynajmniej zmusił chłopów do przyjęcia schizmy. Wróciwszy do Petersburga, Szczerbinin wygotował raport do cesarza, z uwagi, że sprawa Dernowicka z tego względu jest niebezpieczna, że może wpłynąć na całą Białoruś, nie dość jeszcze ugruntowaną w wierze prawosławnej, przy czem zaproponował mnóstwo środków, które według jego przekonania mogły się przyczynić do tego ugruntowania ludności w schizmie. Między innymi chciał, by ojców rodzin chłopskich posłano na jakiś czas do monasterów w głąb Rosyi, by tam mogli się wyuczyć i ugruntować w wierze państwowej. Projekt ten został zatwierdzony przez cesarza.

Sprawa Dernowicka nie była zresztą jedyną i w ogólnych swoich rysach, nie różni się ona w niczem od innych tego rodzaju spraw, które teraz dość często się pojawiają, w skutek tego zapewne, że wieść o usposobieniu łagodnym i ludzkim młodego cesarza, dochodziła aż do ludu. W r. 1858 we wsi Pawłowie, leżącej w okolicach Wilna, chłopci postanowili powrócić do unii, od której byli oderwani przed kilkunastu laty gwałtem i przemocą. Próba ta ukaraną została oćwiczeniem bezlitośnem całej męskiej ludności Pawłowa. W rok potem podobny los spotkał kilka wsi w powiecie Wołkowyskim, w guberni Grodzieńskiej, przyczem trzech chłopów ze wsi Porowcewo, umarło pod różgami. Denuncyacyi dopuścił się pop miejscowy i generał-gubernator wileński Nazimow, wysłał do Porowcewa adjutanta swego Popowa i urzędnika cywilnego Nowickiego z oddziałem wojska. Bito chłopów póty, póki nie zgodzili się na przyjęcie komunii z rąk popa.

Fakta te nabyły niemałego rozgłosu i opublikowane przez prasę emigracyjną polską, wywołały oburzenie powszechne. W czasie, gdy tyle mówiono o łagodnych rządach Aleksandra, gdy liczone na pewną swobodę, jeżeli już nie w zakresie politycznym, to przynajmniej religijnym, wypadki te świadczyły niestety! wyraźnie, że rząd w niczem się nie zmienił, że był jak przedtem tak i teraz samowolny, niszczący, wrogi narodowości, krępujący ją na każdym kroku. W Królestwie Polskiem pozbył się tylko jednej rzeczy, tj. surowości

w swych formach i grozy w swych postępkach, jaką umiał wytwarzać w około siebie Paskiewicz. Ponieważ jednak rząd samowładny nie może prawie istnieć bez tych dwóch atrybutów, rychło więc stracił powagę. Znikła powoli obawa, a rząd despotyczny, którego się nikt nie obawia, przestaje być rządem. Oczywiście to położenie wytworzyło się nie od razu, ale zaczątki jego teraz się już pokazują, by w końcu stać się nieomal dominującą cechą rządów niedołęznego Górczakowa. Wszystko się jednym słowem składało na to, i łagodność władzy, i brak u niej powagi, i pragnienia narodowe, nie mogące być nigdy przez Rosyą zadowolone, i powolna utrata wiary w nowego cesarza, wszystko, powtarzamy, składało się na to, by nieszczęśliwy naród pchnąć w przepaść niedoli.

Muchanow, który właściwie był namiestnikiem i wielkorządcą Polski, twierdził, że Polakom nie należy dawać żadnych ustępstw, nie popuszczać cugli, ale dzierżyć ich ciągle żelazną ręką (*w jeżowych rękawicach*). Te słowa nowożytnego Machiawela moskiewskiego, znajdowały w sferach rządzących ucho podatne, i robiono też ustępstwa niechętnie, powoli, małemi dozami, czyniąc zadość naciskowi opinii publicznej, ulegając prądowi liberalnemu, który ogarnął całe cielsko olbrzymiego caratu. Współcześnie jednak, Muchanow stając sztorcem temu prądowi, nie potrafił, nie był zdolny do tego, by utrzymać dawną powagę i dawną grozę Paskiewiczowską. Był on niekiedy śmieszny, a przewaga jego nad Górczakowem wytwarzała od czasu do czasu zabawne kolizye, które dochodząc do uszów ogółu, ośmieszały rząd jeszcze bardziej. Obiegało na ten temat mnóstwo anegdotek, mniej lub więcej prawdziwych, ale zawsze w świetle komicznem wystawiających i samego wielkorządcę Górczakowa i jego wezyra Muchanowa, który mieszał się do wszystkiego i nawet domowe, rodzinne sprawy namiestnika załatwiał²³. Muchanow podobnie jak rządził starym namiestnikiem, tak rządził i całym krajem. Zajmując wbrew przepisom dwa urzędy, dyrektora Komisji spraw wewnętrznych i kuratora Okręgu naukowego, i pobierając za oba urzędowania pensyą, zasiadał także i w Radzie administracyjnej Królestwa, i tym sposobem skupiał w swym ręku całą nieomal władzę. Wydawał samowolne rozporządzenia, mieszał się do wszystkiego, do zarządu skarbu, sprawiedliwości, a gdy mu robiono uwagę, że gwałci takie lub inne prawo zatwierdzone przez cesarza, odpowiadał z pychą i dumą wschodniego satrapy: „tutaj ja jestem cesarzem”. Człowiek to był z gruntu zły i przewrotny i nadzwyczaj dla kraju szkodliwy.

Gdy w myśl paryzkich przyrzeczeń Orłowa, w chęci wreszcie uczynienia jakichś poważniejszych reform w Królestwie, w celu na koniec zaradze-

23 Opowiadano np., że w tym czasie o rękę córki Górczakowa, Barbary, począł się starać niejaki Pankratiew, należący do starego bojarów moskiewskich rodu. Gdy więc ten ostatni pewnego dnia oświadczył się ojcu, ten miał zawołać ze zwykłą sobie opryskliwością, gdy mu przerywano jego bezcelowe marzenia: „idź pan do Muchanowa, on to panu załatwi”.

nia krzyczącemu brakowi ludzi fachowych w kraju, zdecydowano się wreszcie na założenie uniwersytetu w Warszawie, Muchanow jak najusilniej się temu opierał.

Myśl o uniwersytecie polskim przerażała go: „trzeba będzie wtedy wybudować drugą cytadelę”, wołał. Widząc jednak, że w sferach petersburskich zamiar ten jest stanowczym, starał się o ile mógł skrzywić go przynajmniej i doprowadzić do małych, drobnych rozmiarów. Proponował więc, żeby nie tworzyć w jednym miejscu, tj. w Warszawie, uniwersytetu, ale rozrzucić po różnych miastach Królestwa jego fakultety i tak: w Warszawie utworzyć wydział lekarski, w Kielcach lub Radomiu matematyczny, w Lublinie prawny, w Kaliszu literacki itp. Pominąwszy już to, że w takim razie cała wartość wyższej szkoły naukowej obniżyłaby się niesłychanie, bo uniwersytet o tyle ma znaczenie, o ile wszystkie nauki mają w nim reprezentantów, i młodzież widząc cały obszar wiedzy ludzkiej nabywa rozległości poglądów i nie zasklepia się w pewnych wyłączeniach, które gotowa jest uważać za alfę i omegę wiedzy, to z drugiej strony projekt ten upadał wobec znacznych kosztów, jakie za sobą pociągał. Trzeba było bowiem wszędzie, w Warszawie i Lublinie, Kielcach i Kaliszu, wznosić odpowiednie gmachy, zgromadzać pomoce naukowe, zakładać biblioteki, opłacać rektorów, służbę osobną itp. Projekt więc Muchanowa, jakkolwiek pod względem politycznym może odpowiadał intencjom rządowym, niepragnącym znowu bardzo tego, by Polska była oświecona, wreszcie zapobiegający zbyt gwałtownemu w jednym miejscu nagromadzeniu się młodzieży, czego rząd zawsze się obawiał, to jednakże wobec niemożności urzeczywistnienia upadł. Natomiast opór Muchanowa spowodował to, że porzucono zamiar założenia uniwersytetu, ale z uwagi, że w kraju czuć się dawał brak lekarzy i prawników, postanowiono więc utworzyć tylko szkołę lekarską i prawną. Tę ostatnią w rezultacie zmodyfikowano jeszcze bardzo znacznie.

Muchanow bowiem nie chcąc osobnej szkoły prawa, ustanowił w Lutym 1857 r. specjalny komitet, w którym zasiadali najgłośniejsi w kraju znawcy prawa: Franciszek Maciejowski, Kobyłański, Jan Rogoziński, Karol Thieme i inni, któremu polecił przedstawienie projektu nowego urządzenia wykładów prawa przy gimnazyach filologicznych, przy których zamierzono utworzyć osobną, ósmą klasę, poświęconą wyłącznie studiom prawnym. Komitet ten ułożył odpowiedni projekt, według którego klasy piąta, szósta i siódma miały stanowić wstęp do specjalnego kursu klasy ósmej. Projekt ten uzyskał zatwierdzenie ministerstwa oświecenia, i takie obcięte szkoły prawa utworzono przy gimnazyach w Warszawie, Radomiu, Piotrkowie, Lublinie, Płocku i Suwałkach. Ale i tu wykłady szły kulawo. Nie wszystkie katedry obsadzono, a w tych, które obsadzono, nie zawsze wybór był szczęśliwy. Bądź co bądź jed-

nak zaradzono choć w części nadzwyczajnemu brakowi jako tako wykształconych prawników, który się dał uczuć w kraju.

Ze szkołą lekarską nie można było w ten sposób postąpić i Muchanow musiał się zgodzić na założenie jej w Warszawie. Ustawa została zatwierdzona w Carskiem Siole dnia 4 Czerwca 1857 r. i szkoła otrzymała tytuł „Cesarско-królewskiej warszawskiej medyko-chirurgicznej akademii”. Oddano na jej pomieszczenie wspaniałe gmach b. Towarzystwa przyjaciół nauk na Krakowskim Przedmieściu, i hojnie zaopatrzone we wszelkie potrzeby naukowe. Katedry powierzono znakomitościom lekarskim w kraju.

Uroczyste otwarcie tej nowej, najwyższej szkoły w Królestwie, nastąpiło d. 1 Października 1857 r. Zaczęto od nabożeństwa w kościele P.P. Wizytek, i mszę pontyfikalną odprawił sam arcybiskup Fijałkowski, otoczony licznym duchowieństwem. Kościół był przepełniony publicznością. Po nabożeństwie, udano się do gmachu szkolnego, do wielkiej sali posiedzeń, gdzie przed kilkudziesięciu laty rozlegał się obywatelski głos Staszica, Lelewela, Niemcewicz; gdzie zdawał się unosić jeszcze zdrowy, poważny duch umiejętności. W samo południe przyjechał namiestnik, a z nim Muchanow. Gdy zasiedli na swych miejscach, pierwszy ze zwykłą sobie fizygnomią obojętną, smutną, ospałą i nieprzytomną, drugi z twarzą brzydką, tatarską, niesympatyczną, wystąpił z mową Kochański, inspektor główny służby zdrowia w Królestwie; po nim mówił arcybiskup, a w końcu namiestnik. Wszystkie mowy obracały się koło jednego tematu, tj. dobrodziejstwa, jakie monarcha krajowi wyświadczył. Odśpiewano hymn urzędowy i uroczystość się skończyła.

Kraj cały bardzo życzliwie i bardzo wdzięcznie witał akademią. Dziennikarstwo rozpisało się o niej obszernie, a najważniejsza, najbardziej wpływowa Gazeta warszawska, odezwała się o nowej instytucji temi słowy... „witając ją sercem całym na tej szlachetnej drodze, dobrodziejstwem monarchy najłaskawszego otwartej, powiemy do tej uczciwej młodzieży, że nie tylko władze, ale kraj cały patrzy na nią i liczy na nią”. Młodzieży tej jednak w początkach zapisało się bardzo niewiele, bo 178 na wydział lekarski, a 55 na farmaceutyczny. Później dopiero napływ uczących stał się ogromny, tak że obawiać się należało, iż więcej będziemy mieli lekarzy, niż ich kraj może potrzebować, co jednak z drugiej strony świadczyło o chęci do nauki, w jakiegokolwiek formie i w jakimkolwiek kierunku ona będzie podawana. Zresztą przyjmowano z początku bardzo łatwo, byle nowowstępujący miał patent z ukończenia gimnazjum, a wielu zapisano nawet bez patentu. Starano się robić wszelkie możliwe ułatwienia, rozumiejąc bardzo dobrze, iż w kraju, pozbawionym przez tyle lat wyższej szkoły, nie można przebierać wśród młodzieży, ale przyjmować każdego, kto posiada choćby elementarne wykształcenie. Dzięki temu napływ

zapisujących się do akademii wzrastał; ludzie najrozmaitszych sfer i zajęć biegli do pałacu Staszica, by czerpać wiedzę, której kraj tak długo łaknął i łaknął na próżno. Znaleźli się też wkrótce wśród studentów ci wszyscy młodzi ludzie, których pragnienie wiedzy lub działalności politycznej, ciągnęło do licznego zbiorowiska młodzieży, jakim się stała akademia; wszyscy ci, których później, w ciągu opowieści o wypadkach politycznych, napotkamy jako najczynniejszych i najwybitniejszych aktorów na polu agitacji rewolucyjnej.

Opinia publiczna bardzo żywo zajmowała się akademią i baczna na nią miała zwróconą uwagę. Zresztą nastroj umysłów a raczej nerwów narodowych był taki, że zwracano uwagę na wszystko, co choćby daleki tylko miało związek ze sprawami ogólnymi i z pewną namiętnością i drażliwością, właściwą wszystkim narodom chorym i słabym, sądzono ludzi i rzeczy. Biada temu, kto by się ośmielił wystąpić przeciw tej rzekomej i prawie zawsze niesprawiedliwej i niesłusznej opinii, kto by chciał inaczej działać niż ona tego żądała. Miano zdrajcy kraju, tak powszechnie u nas stosowane, tak szybko zrywające się z ust wszystkich uciśnionych, piętnowało na zawsze takiego człowieka. Doświadczył tego na sobie margrabia Wielopolski w sprawie zbiorów po Konstantym Świdzińskim. Sprawa ta z natury swej przeważnie prywatnego charakteru, nabrała nagle wskutek rozdrażnienia umysłów, znaczenia sprawy ogólnej, narodowej, i opinia zmanifestowała w niej najwyraźniej swe chorobliwe usposobienie, symptom dla wszystkich ludzi przezorniejszych i głębiej patrzących bardzo niebezpieczny i bardzo groźny na przyszłość dla losów kraju. Już wtedy widzieć można było, po jak fatalnej pochyłości toczył się wóz przeznaczeń polskich i jak silne namiętności polityczne występować począły na arenę publiczną.

Konstanty Świdziński, zamożny bardzo potomek jednego z wybitniejszych rodów szlacheckich polskich, poseł na sejm w r. 1831, należący wówczas do t. z. partii dyplomatycznej, był najszlachetniejszą, najczystsza postacią tego jedyne go w naszych dziejach pokolenia, które ojczyznę postawiło jako wyłączny cel życia, a uczucie miłości do niej jako najwyższy, wszystko pochłaniający atrybut tego życia. Podczas gdy wielu z jego kolegów sejmowych wyemigrowało z kraju i na obczyźnie, w chorobliwym rozdrażnieniu wygnania tworzyło tysiączne projektu zbawienia, a właściwie pograżenia ojczyzny w większą przepaść niedoli, Świdziński wrócił do ziemi rodzinnej i w ciszy rozpoczął inną, o wiele skromniejszą, niegłośną, ale stokroć pożyteczniejszą pracę dla tej umiłowanej tak gorąco przez siebie Polski. Poświęcił on całe swe życie i swój dość znaczny majątek na zbieranie ksiąg polskich, rękopismów, monet, obrazów, wszelkiego rodzaju zabytków starożytności, mogących rozjaśnić dzieje kraju i mówiących o jego dawnej chwale. Nie ożenił się, chodził

w starych, wytartych sukniach, żył lada czem, by wszystkie swe, stosunkowo poważne dochody obracać na zakupno jakiego rękopismu, jakiego obrazu lub książki. Tak przez ciąg trzydziestu kilku lat zajmując się gorąco zbieraniem, stworzył istotnie bardzo imponującą ogromem i wartością kolekcją, około 30.000 tomów, zwłaszcza bogatą w książki i rękopisy, odnoszące się do historii polskiej. Samych manuskryptów było przeszło 20.000. Wszystko to jednak nie było uporządkowane i rozrzucone po różnych miejscach. Część mieściła się w Sulgostowie, majątku Świdzińskiego w Opoczyńskim, pod nadzorem bibliotekarza Karola Nowakowskiego; część w Poznaniu, Krakowie, gdzie strzegł ich Paweł Popiel i na koniec w Kijowie, gdzie Świdziński od r. 1833 prawie stale przemieszkiwał i gdzie w pobliżu, w Skwirczynie, miał także znaczne dobra ziemskie, odziedziczone po matce. Zawiązał tu stosunki literackie i naukowe z tą grupą pisarzy polskich tej doby, którzy mieszkali na Ukrainie i byli nie bez wpływu na swe społeczeństwo, jak Michał Grabowski, Rulikowski, ks. Hołowiński i inni. Interesował się żywo postępami nauki, ruchem historycznym i literackim w kraju, żył w przyjaźni z garścią Rusinów, jak Kulisz, Kostomarow, którzy marzyli wówczas o samoistnym byciu Rusi, dopóki ich kary i nagrody carskie nie zrobiły Moskalami. Grzebiąc się w starych księgach, doszedł drogą dedukcji historycznej do tych samych wniosków, do których Wielopolski doszedł, obliczając surowo i ściśle szanse rzeczywistości, tj. że Polska żyć może tylko pod tarczą idei słowiańskiej, w związku z Rosją i pod jej osłoną. Oczywiście nie bez wpływu był tu na miękki i wrażliwy umysł Świdzińskiego, sam Wielopolski, z którym znał się jeszcze z doby powstania Listopadowego, do którego przyłgnął sam odgadnąwszy w nim potężną inteligencją i potężniejszą jeszcze wolę, którego bronił przed napaściami warchołów w sejmie, gdy wrócił ze swej misji londyńskiej i gdy mu przeczono prawa zasiadania w sejmie jako urzędnikowi koronnemu. Później, po upadku powstania, po ostatecznym pogromie wszelkich jak się zdawało nadziei, spotkali się znowu w Krakowie, poznali bliżej i w długich, poufnych rozmowach opłakiwali dolę ojczyzny i mężkie przedsiębrali zamiary jej ratunku. „Są w życiu wypadki i położenia, pisze o tem sam Wielopolski, gdzie w porównaniu z rozwlekłymi biegiem zwyczajnego życia, wszystko jak gdyby pod innem niebem dojrzewając, krótszemi drogami kresu swego domierza; dnie pojedyncze równają się latom, a lata znaczenia nieomal wieków nabierają. Pod takimi to wpływami przyjaźń nasza zawiązała się prawie niespodzianie, ale głęboko, ale na całe już życie. Świdziński pierwszy, bez niczyjego pośrednictwa, z właściwym mu popędem, zbliżył się do mnie, by mi podać rękę. Od tej chwili w codziennych rozmowach, pracach i zajęciach, jedność sposobu myślenia, zasad i dążeń coraz ściślej się stawała”.

W takich warunkach powstała przyjaźń, oparta na wzajemnym szacunku i ocenieniu wzajemnej wartości, w miarę lat nie słabła, ale owszem wzmagiała się choć przyjaciele się rozstali i jeden osiadł cicho w Chrobrzu, by zrujnowaną ordynacją do porządku przyprowadzić, a drugi zagrzebał się na wsi pod Kijowem zajęty swymi zbiorami i myślą, że to, co robi, robi dla swej nie-szczęśliwej polskiej ojczyzny. Owszem, gdy zbiory wzrastały, już w r. 1842 Świdziński powziął zamiar najprzód dopomożenia Wielopolskiemu w odkupieniu jego margrabstwa, a następnie przyłączenia swych kolekcji do tegoż. „Mając myśl, pisał do Wielopolskiego, kupienia w okręgu (krakowskim) majątku ziemskiego, z którego intrata przeznaczona by była na utrzymanie i powiększenie biblioteki, mógłbym na ten cel wykupić jakie wsie z margrabstwa, jeżeliby to było dogodnem”. Myśl ta nie opuszczała go nigdy i miała swe źródło w słusznej i usprawiedliwionej obawie o losy zbiorów po jego śmierci pod rządem rosyjskim. Przyszłość ich i całość mogła być o tyle tylko pewną, o ile by były własnością prywatną wyłącznie, z tą jednakże gwarancją, że ten właściciel nie stanie nigdy w kolizyi z rządem rosyjskim i nie narazi zbiorów na konfiskatę. Że jednak takiej gwarancji nikt dać nie mógł, oraz że Świdziński chciał i na to życie swe poświęcił, by z jego zbiorów ogół polski korzystał, by jednym słowem były one własnością publiczną, słusznie więc lękał się o ich przyszłość. Jeżeli bowiem własność prywatna pod rządem rosyjskim była niepewna, tem niepewniejszą była własność publiczna, zwłaszcza tak łakoma dla Rosyi, jak biblioteka. Los wielkich i znakomitych księgozbiorów Załuskich, Nieświezkiego, Towarzystwa przyjaciół nauk, uniwersyteckiego warszawskiego i wileńskiego, stał ciągle w pamięci Świdzińskiego i za nic nie chciał, by owocem jego pracy, zabiegów i pieniędzy szczycił się kiedyś Petersburg. Słowem, szło mu o to, by jego biblioteka łączyła w sobie dwa charaktery: własności prywatnej i publicznej, by włączona była do jakiejś instytucji, mającej wszelkie warunki trwałości i nienaruszalności, instytucji prywatnej, niemniej przeto takiej, która by dozwalała otwarcia zbiorów do użytku publicznego.

Taką instytucją wydawała mu się ordynacja, której nikt uszczuplać ani alienować, a nawet sam rząd zabierać nie mógł, jako majątku nie będącego własnością jednej osoby, ale rodu; w której przez to, wszystko ruchome czy nieruchome nosiło na sobie charakter wieczystej trwałości i nienaruszalności. Podówczas w Królestwie Polskiem były trzy ordynacje: Zamoyskich, Krasieńskich i Wielopolskich. Zamoyszczyzna przez miękkość charakteru swych ordynatów, przez ich niedołęztwo nawet, nie zdawała się być Świdzińskiemu odpowiednią, jakkolwiek gdyby był bibliotekę do ordynacji Zamoyskich włączył, byłby podobno najlepiej osiągnął swój cel, gdyż Zamoyscy byli szanowa-

ni w kraju, dość bogaci, by uchodzić w tej sprawie za bezinteresownych, i na koniec mając obszerny pałac w Warszawie, mogli w nim dogodnie pomieścić zbiory Świdzińskiego i tym sposobem zadość uczynić wszelkim wymaganiom. Krasieńscy za to, w osobie ordynata generała Wincentego, mieli jak najgorszą w kraju opinią i ci stanowczo wykluczeni być musieli. Wielopolski był także nielubiany, uchodził za procesowicza, za człowieka niedobrego, za stronnika Rosyi; zresztą wskutek rozdrapania dwóch trzecich margrabstwa jeszcze za Księstwa Warszawskiego przez Olrycha Szanieckiego, nie był miany za dość bogatego, by taki przyrost majątku i znaczenia mógł być uważany przez ogół za czyn zrobiony bez jego wpływu i starań.

Dlaczego jednak Świdziński nie wahał się ani chwili w wyborze i zamiast Zamoyskim, o których wszakże przez jakiś czas myślał, powierzył swe zbiory Wielopolskiemu? Najprzód dlatego, że był z nim w przyjaźni, że znał i cenił wysoko jego niepospolity rozum, potężną inteligencją, nieugięty charakter, jego patriotyzm nieposzlakowany, trzeźwy, niemniej przeto gorący, gorętszy może od tych wszystkich, którzy głośno o tem mówili, wreszcie dlatego, że Wielopolski posiadał niepospolite wykształcenie prawne i znanstwo obowiązującego w Królestwie kodeksu. Był to wzgląd bardzo ważny, nieomal pierwszorzędno znaczenia Świdziński bowiem przewidywał i słusznie, że tego rodzaju darowizna, jaką on chciał uczynić, z cechą na pół prywatną i na pół publiczną, była czemś całkiem nowem, czemś, co wymagało nie lada obrony w razie ataku. A tego ataku się spodziewał, jeżeli już nie ze strony rządu, to ze strony swych przyrodnych braci z innej matki, którzy podług prawa byli jego spadkobiercami, którzy sobie rościli zresztą do tego pretensye, a z którymi on nie żył wcale i którym na koniec nie miał żadnej racji darowywania tego, co uważał za własność publiczną, czemu życie poświęcił jedynie w celu przysłużenia się krajowi.

Do decyzji tej wreszcie, oddania zbiorów Wielopolskiemu, przyczyniły się także pewne starania samych Wielopolskich, jakkolwiek później zapierali się tego uroczyscie. „Wiedział także Konstanty, mówił publicznie przed sądem margrabia, że posiadanie rodowego majątku, pomimo zmiennych kolei sprawiedliwości ludzkiej, pracą moją uporządkowanego, pomnożonego i ustalonego, zapewnia rodzinie naszej dostatek, uwalniający nas od potrzeby i pokusy odwracania puścizny po Świdzińskim od celów przez niego wytkniętych”. W gruncie rzeczy jednak tak nie było; fakta co innego mówią. Pominąwszy już to, że majątek, jaki Świdziński ofiarował na utrzymanie swych zbiorów, dosięgł bądź co bądź paru milionów złotych polskich i dla stosunkowo niezamożnych Wielopolskich nie mógł taki dar być obojętnym, to z drugiej strony bogate zbiory, stanowiące jedną z najpoważniejszych kolekcij w kraju,

nadawały całkiem ubogiemu pod tym względem margrabstwu pewien urok, równał je z Ossolińskimi, Raczyńskimi i Zamoyskimi, czynił stolicę ordynacyi Chroberz, jednym z ognisk oświaty narodowej, przywracał nimbus dawnej chwały Myszkowskich. To dla dumy Wielopolskiego, dla jego gorącej chęci odgrywania w kraju pierwszorzędnej roli jeżeli nie na polu politycznym, to na każdym innym, do czego zresztą przez swój rozum i charakter był zupełnie uprawniony, było sposobnością jedyną, której należało się uchwycić oburącz.

To też gdy Świdziński w jesieni 1855 r. zjechał chory mocno do Kijowa, odwiedził go bawiący tamże, jako adjutant armii środkowej, mającej leże w tem mieście, syn Wielopolskiego, Zygmunt. Ośmdziesięcioletni blisko starzec rozrzewnił się widokiem syna swego przyjaciela, dawnymi wspomnieniami, które mu ten niejako ze sobą przynosił, i wydał dla niego wieczór, na który zaprosił to grono przyjaciół, z którymi żył w Kijowie. Zresztą Świdziński nie myślał wcale o śmierci i ze spisaniem testamentu ociągał się nieomal do ostatniej chwili. Na osnovę tego testamentu, na to, że zbiory i majątek swój zapisał margrabiemu, wpłynął bardzo wiele syn Wielopolskiego. Podał on najprzód Świdzińskiemu projekt, w którym zapewniał go, że ojciec jego ustali przyszłość i los biblioteki, że będzie ona pomieszczona w Warszawie, że ojciec nawet gotów dołożyć ze swego majątku, jeśli to potrzebne będzie czy dla kupna domu, czy też uposażenia. Ze swej strony margrabia, otrzymawszy o tem wszystkim wiadomość, jak również projekt samego zapisu, nie tylko potwierdził obietnice syna, ale w testamencie zaprojektował zmianę trzeciego, najważniejszego paragrafu, na którą to zmianę Świdziński się zgodził i testament odpowiednio ułożony podpisał. Dokonawszy tego umarł w Kijowie d. 11 Grudnia 1855 r. Testament datowany d. 14 Listopada 1855 r. oznaczał wysokość całego majątku oraz zbiorów na 124,000 rs. Z tego poczyniwszy drobne zapisy bratu Ludwikowi i służbie, „resztę kapitału, brzmi ostatnia wola zmarłego, oraz bibliotekę, numizmaty, malowidła, ryciny, rzeźby, dokumenta, rękopisma itd. bez najmniejszego z nich wyłączenia, jako też dobra moje w Królestwie Polakiem, klucz Sulgostowski, zapisuję i wieczyście daruję Aleksandrowi hr. Wielopolskiemu i potomkom jego, a to z prawem zupełnej i nieograniczonej własności”. Czyniąc taki bezwzględny zapis Wielopolskiemu, prosił wszelako usilnie Świdziński legataryusza, ażeby bądź w Sulgostowie, bądź w Warszawie, czy też gdzie to za odpowiednie uzna, zakupił lub wybudował dom stosowny potrzebie biblioteki, aby w tym gmachu umieścić zbiory, utrzymywał przy nich stałego bibliotekarza z dochodów klucza Sulgostowskiego; z tychże łożył koszt na utrzymanie w całości i powiększenie biblioteki, starając się o wydawanie rękopismów na widok publiczny za poprzedniem ich poddaniem pod cenzurę rządową. Upraszał również legataryusza, ażeby zgod-

nie z prawami krajowymi użył wszelkich środków, iżby biblioteka podziela-
jąc naturę ordynacji Myszkowskiej, nie mogła być alienowana i na zawsze
własnością rodu Wielopolskich, „ku pamięci szczególniejszego mojego dla tej
familii uważania”, zostawała. W dalszym ciągu zostawiał zapisodawca zupeł-
ne prawo i pełną władzę obdarowanemu sprzedać klucz Sulgostowski lub na
inny zamienić dla rozwinięcia środków utrzymania i powiększenia biblioteki,
„gdyby ta w innym, dostępnem dla świata uczonego miejscu, a nie w Sulgo-
stowie urządzoną została”.

Taka była treść testamentu, skreślona według projektu Wielopolskiego,
czyniąca go istotnym i wyłącznym właścicielem zbiorów i majątków po Świ-
dzińskim. W końcu swego ostatniego rozporządzenia, zapisodawca prosi lega-
taryusza, by utrzymał na posadzie bibliotekarza pana Erazma Nowakowskie-
go do śmierci, oraz, żeby w urzędzeniu biblioteki mogli mieć wpływ znani ze
swych prac historycznych Aleksander hr. Przeździecki i Julian Bartoszewicz,
żeby wydawcą i redaktorem mających się drukować rękopismów był krew-
ny Świdzińskiego, Edward Rolikowski. Egzekutorami testamentu mianował
w Królestwie: „Władysława hr. Małachowskiego i Aleksandra hr. Przeździe-
ckiego; w cesarstwie Erazma Michałowskiego i Edwarda Rulikowskiego.

Oczywiście tym wszystkim, którzy w ostatnich chwilach życia otaczali
Świdzińskiego, taki testament, czyniący Wielopolskiego samowładnym pa-
nem zbiorów, nie podobał się zupełnie. Wiedząc o zasadniczej myśli zapi-
sodawcy, że pragnie zbiory swoje oddać na użytek publiczny, lękali się, by
Wielopolski nie brał dosłownie testamentu, i zbiorów tych nie użył na swoją
wyłącznie własność. W tym celu sporządzili oni rodzaj listu do Wielopolskie-
go oraz projekt „Muzeum polskiego imienia Świdzińskich”, w którym zarząd
zbiorami oddawali bardzo licznemu, bo aż z czterdziestu dwóch osób zło-
żonemu ciału²⁴, a Wielopolskiemu naznaczali rolę drugorzędną dostarczania
środków na to wszystko, co to ciało zadecyduje. Świdziński jednak tego pro-
jektu nie podpisał a naciskany odwrócił się do ściany i rzekł: „Wielopolski ma
więcej rozumu, niż wy wszyscy razem”.

W liście zaś owym, który ochrzczono mianem kodycyłu, Świdziński wy-
raźnie wypowiada swą myśl: „przekonany jestem, mówi, że owoc życia mojego
na ziemi, Muzeum moje, które twej straży poruczam, nie zmarnieje pod twoją
opieką, bo mocno ufam, że poszanujesz tę moją pracę, urządzisz ją i zawar-
ujesz tak, żeby przy imieniu rodu twojego przetrwała nietykalna i nierozpra-

24 W skład tego ciała pod mianem „opiekunów” wchodziłi najrozmaitszych sfer i zajęć lu-
dzie, jak np. Tytus hr. Działyński, Bartoszewicz, Lelewel, Kraszewski, Helcel, Romuald
Hube, Malewski, Malinowski, Przeździecki, Michałowski, Henryk hr. Rzewuski i wielu
innych.

szalna w potomne wieki dla dobra ziomków”. Ta myśl, że zbiory mają służyć ogółowi polskiemu, kilkakrotnie pod różnymi formami w liście się powtarza, i w końcu list wyraźnie powiada, że gdyby wcieleniu kapitałów i zbiorów do ordynacyi prawa się sprzeciwiały, żeby kapitały i majątek hipoteką na margrabstwie opartą, osłonił.

List ten kreślony obcą ręką, ale podpisany przez Świdzińskiego bez świadków, nie miał wobec prawa żadnego znaczenia; wszelako nie można było zaprzeczyć jego autentyczności, a zarazem temu, że jasno wypowiadał myśl Świdzińskiego zagubioną w urzędowym tekście testamentu, i wszyscy sądzili, że Wielopolski ściśle się trzymał będzie nie samego testamentu, ale wskazówek zawartych w owym liście.

Wiść o osnowie testamentu Świdzińskiego, gdy się rozeszła po kraju, wywołała nieklamany entuzjazm i uwielbienie dla zmarłego. W Warszawie zwłaszcza, między uczonymi i literatami, którzy ani na chwilę nie wątpili, że zbiory mieścić się będą w stolicy kraju, rojenia, tak właściwe polskiemu charakterowi, przybrały szerokie rozmiary. Bartoszewicz wystąpił z pełnym superlatywów artykułem, obliczał majątek na miliony, śnił o instytucyi, która co miesiąc będzie wydawała jakieś nieznanne dokumenta i materiały historyczne, marzył o kupnie gmachu po dawnej bibliotece Załuskich przy ulicy Daniłowiczowskiej. Kazimierz Władysław Wójcicki wydał gorącą odezwę do wszystkich polskich autorów, nakładców i księgarzy, ażeby wydawane przez siebie dzieła dla dobra nauki polskiej, dla podniesienia instytucyi narodowej, nadsyłali do Muzeum, jak poczęto zwać bibliotekę Świdzińskiego, na ręce Bartoszewicza i Przeździeckiego. Marzono Bóg wie o czem, a nikt nie pomyślał o tem, jak się na całą tę sprawę zapatrywać będzie najprzód rząd a potem Wielopolski.

Co do rządu, nie ulegało wątpliwości, że gdyby zapis Świdzińskiego istotnie przybrał taką formę, jaką ogół mu chciał nadać, to wcześniej czy później Muzeum by zamknął, a ze zbiorami zapewne tak samo postąpił, jak z biblioteką Załuskich lub Towarzystwa przyjaciół nauk, jak później postąpił z powstałym właśnie w tej dobie Muzeum wileńskim. Choćby wreszcie na razie tak nie zrobił, to w każdym wypadku było rzeczą bardzo nierozsądną wobec władzy tak podejrzliwej i nieufnej, nadawać całej tej sprawie rozgłos, rozwijać patriotyczne projekta i marzenia. Wielopolski, który to doskonale pojmował, który, jak go słusznie ocenił Świdziński, więcej miał rozumu, niż ci wszyscy, którzy mu chcieli przepisywać warunki, zdecydował się od razu inaczej postąpić, trzymać się ściśle osnowy testamentu, nie uznawać żadnych mniemanych kodycyłów, nie tworzyć muzeum publicznego, ale zbiory wprost wcielić do ordynacyi. Pod tym względem przezorność polityczna zgadzała się w zupełności

z jego prywatnym, osobistym interesem. Nieszczęście chciało, że duma, brak taktu i upór Wielopolskiego z jednej strony, z drugiej warcholstwo i chęć dokuczenia nielubianemu powszechnie człowiekowi, znaczenie polityczne kroku margrabiego usunęło zupełnie z widowni, a natomiast podniosło jego prywatny interes i w ten uderzyło namiętnie i bezwzględnie. Odwieczna, historyczna wada polska: prywata, jak wszędzie tak i tu wystąpiła na scenę i zepsuła najszlachetniejsze zamiary Świdzińskiego. Gdy się to wszystko działo, Wielopolski był w Rzymie. Powróciwszy do kraju i obeznawszy się z całą sprawą, zaakceptował urzędownie w księgach Trybunału cywilnego w Radomiu darowiznę Świdzińskiego, zawiadamiając egzekutorów testamentu, że ostatnia wola jego przyjaciela będzie dlań świętą i niezmienną działań jego podstawą. Nim jednak mógł jakie kroki w tym celu przedsięwziąć, bracia przyrodni Świdzińskiego: Tytus i Ludwik oraz Izabella Kochanowska, córka ich siostry, wytoczyli proces przed Trybunał w Radomiu o unieważnienie testamentu, sporządzonego jakoby z pokrzywdzeniem prawych spadkobierców. Chcąc jednak zyskać na swoją stronę opinią publiczną, słusznie zaniepokojoną tym ich krokiem, zagrażającym samej instytucji, złożyli w d. 30 Czerwca 1857 r. przed rejentem Bryndzą w Radomiu deklaracją urzędową, w której zapewniali, że wszystkie zbiory ich brata oddadzą na pożytek ogólny i obowiązują się z funduszków spadkowych nabyć na pomieszczenie tychże zbiorów dom w Warszawie za sumę 240.000 złp. Prócz tego przyrzekali na utrzymanie biblioteki płacić po 5% rocznie od 300.00 złp. na Sulgostowie zahipotekowanych.

To zapewnienie opinia publiczna, niechętna Wielopolskiemu przyjęła jak najlepiej. „Gazeta warszawska”, najbardziej w tej porze czytana, oświadczyła, że „postanowienia powyższe wskazują ostatecznie, że jakikolwiek bądź weźmie obrót proces dziś prowadzony, interes ogółu zabezpieczono, i że panowie Świdzińscy zwalając testament w jego postanowieniach, prywatne stosunki obchodzących, z własnej woli zawczasu mu czynić zadość chcą w postanowieniach publiczne dobro na celu mających, prawnie się do tego zobowiązując”. Powszechnie też uważano akt Świdzińskich za korzystniejszy, bardziej zgodny z myślą zapisodawcy, niż sam testament na rzecz Wielopolskiego zdziałany.

Proces przed Trybunałem cywilnym w Radomiu, Świdzińscy wygrali. Trybunał uznał testament ich brata w całej osnowie za nieważny i zarząd spadku Tytusowi Świdzińskiemu poruczył. Przeciw temu niesprawiedliwemu i nieuzasadnionemu wyrokowi Wielopolski odwołał się do sądu apelacyjnego. Sprawa tak interesowała ogół, że sala sądowa była przepełniona publicznością. Powodów bronili mecenas Kojasiewicz, Majewski i Thieme. Ten ostatni wystąpił ze zjadliwą mową przeciw Wielopolskiemu, rozbił jego życie i czyny,

tak że margrabia obecny temu bladł i czerwieniał i cały oblany był potem, a nie mogąc widocznie znieść spokojnie robionych mu zarzutów, wychodził bardzo często na korytarz z sali, w której dla jego potężnych piersi zdawało się brakować powietrza. Bronił go mecenas Grabowski i na koniec sam Wielopolski wystąpił z mową, przypominającą najpiękniejsze dni krasomówstwa sądowego polskiego, ale pełną buty i szyderstwa.

Stanąwszy przed kratkami sądowemi ze swą olbrzymią, niedźwiedzią postacią, na której osadzona była na krótkim karku pyszna głowa, jakby z antyku zdjęta, o Jowiszowem czole i Jowiszowem brwi zmarszczeniu, rozpoczął od wspaniałego przypomnienia, gdyby ono mogło być odczuciem przez to pokolenie rozmarzone, mazgajowate, zatopione w snach fantastycznych: „Na innym miejscu, zaczął, przed wielą laty, podnosiłem głos obok Konstantego Świdzińskiego, jako towarzysz w wspólnym zawodzie, jako uczestnik prac jego; od tamtych czasów przedziela nas długie milczenie, które dzisiaj w obronie zgasłego przyjaciela, przerwać mi przychodzi. W obronie mówię jego, albowiem w przekazanej mi do wypełnienia woli swojej, żyje on dla mnie; najzacniejszą, niespożytą ducha swego istotą jest on niejako w tym przybytku obecny, w postaci swej szlachetnej i poważnej, zasępionej zamachem przez własnych braci przeciwko niemu knowanym. To rzeczy położenie, obudzone oraz oczekiwanie powszechne, śmiałości mojej w zabrananiu głosu posłużą może za wymówkę: *si ego tacuerim, lapides clamabunt*.

Opisawszy następnie historią ordynacyi Myszkowskich, tonem zdradzającym przekonanie o niezmiernej społecznej doniosłości tej instytucyi, schłostawszy surowo i bez ogródki braci Świdzińskich, powiada na koniec z niesłychaną dumą i pychą „głos Świdzińskiego w testamencie brzmi dla mnie owem rzymskiem wyrażeniem niebezpieczeństwa, jak gdyby wołał: *vide ne res mea aliquid detrimenti capiat*. Tą dyktaturą przyjaźni i zaufania z nikim się nie podzielę. Strażę innej nad sobą, okrom ducha Świdzińskiego i mojego sumienia nie uznaję. Niektórych nade mną przewodzeniu po dziennikach ani się poddam, ani się w mozolnem przedsięwzięciu zniechęcę. Sąd ten wyrokiem w sprawie o posiadanie spadku, dodał mi już otuchy, w której następne orzeczenia zapewne mnie utwierdzą. Wtedy przeprowadzę zamiary Konstantego Świdzińskiego z poparciem opinii, jeżeli będzie oględną i wyrozumiałą; przeprowadzę je bez niej, jeżeli jak dotąd miotana baśniami, będzie w swych wymaganiach przesadzona, w swych sądach niesłuszna. W tym razie i nie pierwszy raz w życiu, od opinii rozmarzonej odwołam się do późniejszej, trzeźwej opinii. *Non me civium ardor stulta jubentium mente quatiet solida*”. Mowa ta, wspaniała bez zaprzeczenia, nosi jednak na sobie charakter niepospolitej buty i pychy. Zygmunt Krasiński przeczytawszy ją, miał zawołać:

„czyż ona nie przypomina Nabuchodonozora na trzy dni przedtem nim poszedł na paszę...?”

W przypiskach do tej mowy ogłoszonej następnie drukiem, niemniej surowo chłoszcze Wielopolski wszystkich, którzy przeciw niemu występowali. Karci ostro dziennikarstwo i twierdzi, że „piśmiennictwo dzisiejsze jest odwrotne epoki Sasów; podłość imiennych panegiryków zastąpiona jest teraz nikiemnością zbiorowych obwinień”. Oczywiście taki sąd o ludziach i rzeczach, nie mógł zyskiwać Wielopolskiemu przyjaciół; tysiące drobnych ambicyjek zostało obrażonych do głębi: stary polski demokratyzm szlachecki rad był, że magnatowi może przypiąć łatkę i dokuczyć mu, zwłaszcza, że ten magnat płacił pięknem za nadobne. Choć więc Wielopolski w Sądzie apelacyjnym sprawę wygrał, wyroki Trybunału radomskiego zostały uchylone i margrabia uznany jako jedyny legataryusz, opinia czyhała tylko na to, by przy sposobności gwałtownie przeciw niemu wystąpić.

Świdzińscy odwołali się do Senatu, lecz i tam przegrali. Wielopolski nie mogąc z powodu przepisów, zabraniających mu wygłoszenia przed tą najwyższą magistraturą sądową, mowy, jaką przygotował, opublikował ją drukiem. „Słyszeliśmy Świdzińskich, powiada, użalających się na to, że od czasu rozpraw w Sądzie apelacyjnym, opinia w ich sprawie umilkła. Taka cisza, jak na morzu tak w życiu zmianę prądu poprzedza i zapowiada. Lekkiej, powierzchownej, w swoich okrzykach nieustającej a zmiennej opinii, umysł rozważny i niepodległy nie zwykł cenić zbyt; lecz odmienny od takiego gwaru jest ów duch publiczny, który z głębi społeczeństwa się dobywając, nie zawsze się odzywa, niekiedy przemówić ociąga się; ale nawet w zawieszeniu swoich sądów, w otchłaniach swego milczenia dumać nie przestaje, aby prędzej czy później, nie już jak nagła, przemijająca błyskawica, lecz wspaniale i wolno, jak słońce wschodzące każdą sprawę ludzką, każdą opinią przelotną, nieubłaganem promieni swoich światłem wyjaśnić. Chwila ta uroczysta nastąpiła już dla naszej sprawy. Nieprawie braci Świdzińskich roszczenia, własnych sprzeczności i błędów ciężarem, jako mgła niezdrowa, w przekonaniu powszechnym upadają niżej i coraz niżej, a czysta prawda i prawo, w wyroku tego dostojnego sądu, wznosi się na wysokościach”.

Niestety! miał się wkrótce przekonać bardzo boleśnie Wielopolski, jak przedwczesny był jego tryumf i jak błędny był jego sąd o ówczesnym społeczeństwie polskim. Świdzińscy przegrawszy ostatecznie sprawę o ważność testamentu swego brata, wystąpili z nowym procesem o zniesienie działów rodzinnych, przed czterdziestu laty spisanych, i innymi grozili jeszcze procesami; opinia zaś ciągle i stale podejrzewała margrabiego i była mu nieprzyjazną.

Wygrawszy proces w senacie, Wielopolski postanowił zająć się ostatecznym uregulowaniem i urzeczywistnieniem zapisu. Powodowany z jednej stro-

ny względami politycznej natury, lękając się nie bez słuszności, że pomieszczenie biblioteki w Warszawie może zwrócić na nią uwagę rządu; z drugiej względami materialnymi i osobistej natury podniesienia sławy i powagi swego majoratu, zdecydował się na pomieszczenie biblioteki w Chrobrzu, stolicy ordynacji. Myśl niekoniecznie była szczęśliwa, i w tych wszystkich, którzy marzyli o Muzeum polskiem w Warszawie, wywołać musiała niezadowolenie. Chrobrz leżał w głębi kraju, pod owe czasy pozbawionego dróg, z dala od wszelkich komunikacyj, od wielkich miast, od życia nie tylko społecznego ale i naukowego. Biblioteka umieszczona tam, stanowczo małą korzyść mogła przynieść krajowi, a tem samem ku Wielopolskiego był w sprzeczności z zasadniczą myślą Świdzińskiego. Gdy więc dowiedziano się, że margrabia przewozi wszystko do Chrobrza, rozległy się zewsząd krzyki oburzenia. W Sierpniu 1858 r. „Gazeta Warszawska” donosząc, że pomarańczarnia z Sulgostowa przeniesiona została do Chrobrza, i że ten sam los czeka bibliotekę, dodała, że „pomiędzy prawem i obowiązkiem mogą nieraz zachodzić różnice, i na co pierwsze pozwala, drugi zabrania tego”. Te dotkliwe strzały kończy gazeta temi słowy: „wolimy zawsze przypuszczać, że głos obowiązku jeszcze u nas silniej przemawia od głosu prawnej korzyści”. Wkrótce potem nowe się znalazły powody dla opinii do wypowiedzenia swego oburzenia przeciw Wielopolskiemu.

We Wrześniu 1858 r. urządzono w Krakowie wystawę archeologiczną, na którą margrabia wysłał hełm ze zbiorów Świdzińskiego, i w katalogu przedmiotów wystawowych, nazwał go częścią zbioru ordynacji Myszkowskich. Zaraz we wzmiankowanej gazecie, pojawiły się słowa: „jest to nowym dowodem, że spadkobiercy do niczego się nie czują już obowiązani i ten święty fideikomis publiczny za prywatną własność uważają”. Do tych wszystkich, drobnych zapewne, ale w ówczesnym stanie umysłów drażniących niesłuchanie faktów, przełączyły się wkrótce inne. Naznaczony przez testament Świdzińskiego dożywotnim bibliotekarzem Nowakowski, usunął się z tej posady, dla tego, że ordynacyi w ogólności nie uznaje, a właściwie podburzony przez Świdzińskich i opinią. „Uczyniona mu uwaga, pisze ze zjadliwym szyderstwem Wielopolski, że ordynacja Myszkowskich dotąd, przez lat przeszło 250, bez uznania jego i jego doradców jakoś się obchodziła, nie zdołała zachwiać sumiennego jego przekonania, że ordynacye są prawom boskim i ludzkim przeciwnie”.

Uzupełniło ten stan zapalny sprawy przeniesienie wszystkich zbiorów i biblioteki z Sulgostowa do Chrobrza. Przewiezienie to odbywało się w jesieni 1858 r. i w gazecie zatytułowanej „Kronika Warszawska”, ukazała się korespondencya z Kielc, z której, jako wybornie charakteryzującej czasy i ludzi, przyto-

czy my tu niektóre ustępy. „Od kilku tygodni, pisze korespondent, w okolicach Jędrzejowa i Wodzisławia, na polach spostrzegać się dawał ogromny ruch, wyraźna emigracja szczurów i myszy, dążących widocznie ku Książu Wielkiemu. Zwierzęta te powodowane widać nieomylnym instynktem, przeczuły, że ogromny żer znajdzie się dla nich w tem mieście. Instynkt nie omylił ich, gdyż właśnie w d. 23 Października 1858 r. kilkanaście czterokonnych furmanek przewoziło przez nasze miasto (Kielce) bibliotekę Sulgostowską. Tak więc zamiast Warszawy i naszych literatów, kto wie czy myszy Książa, a następnie Chrobrza, biblioteki tej wertować nie będą”. Poważny „Czas” krakowski wyraził swe ubolewanie, swe „przykre i bolesne wrażenie”, z powodu tego kroku Wielopolskiego, bo biblioteka będzie dostępną tylko dla uprzywilejowanych, którzy mają dość czasu i pieniędzy na podróż do Chrobrza. Bartoszewicz, jako jeden z kuratorów księgozbioru, wołał, że „zapis biblioteki Wielopolskiemu jest tylko formą. Tytuł własności i nadzór nad nią, jaki płynie z tego tytułu, należą do Wielopolskich, własność sama zaś jest publiczna”.

Wielopolski na to wszystko nie zważał. Bibliotekę przeniósł i począł dla niej budować odpowiednie pomieszczenie w Chrobrzu, według planów architekta Markoniego. W roku 1859 zaś wydał pierwszy tom „Biblioteki ordynacji Myszkowskich”, w którym pomieścił nieznane dotąd listy króla Jana III do królowej Maryi Kazimiry. Redakcyi dokonał, wbrew woli testatora, nie Rulikowski, ale Zygmunt Helcel. Prócz tego, w wydawnictwie tem sam Wielopolski, pod imieniem swego syna Zygmunta, wydrukował „o zapisie Świdzińskiego oznajmienie”, pełne przypieków i wycieczek przeciw tym wszystkim, którzy wyrazili swe niezadowolenie z jego postępowania. Tak w wycieczkach tych, jak i w swych mowach sądowych, Wielopolski dał dowód, że w charakterze swoim miał coś z adwokata, coś z szermierza publicznego i coś z dziennikarza. Był to przede wszystkim człowiek stworzony do walki, roznamietniający się w tej walce i nie zważający kogo i w jaki sposób rażą jego ciosy. „Nie zaczepiamy nikogo, pisze o sobie, lecz gdy kto zastąpi nam drogę, lubimy dawać się we znaki... używamy i nadal używać będziemy wszelkiej broni... Nie mając ani czasu, ani miejsca w żadnym dzienniku do codziennej polemiki. długi nasze pod tym względem raz tylko do roku, lecz z lichwą płaćć będziemy”.

Jakoż płacił z lichwą wszystkim, całkiem niepotrzebnie robiąc sobie nieprzyjaciół, puszczając się na ryzykowne nieraz koncepta²⁵, dla których wy-

25 Do rzędu takich konceptów należała wycieczka przeciw Bartoszewiczowi, którego przedtem za wynagrodzeniem stu rubli, zaprosił był do Sulgostowa dla oszacowania biblioteki. Oskarżał rzeczonoego historyka, że pokradł niektóre rękopisy, i o zdaniu Bartoszewicza: „otóż raz przecie zawadziłem o ten Sulgostów, do którego dzięki stosunkom naukowym,

powiedzenia poświęcał, niestety! niezmiernej doniosłości rzecz, bo znaczenie i wpływ swój na kraj. W drobnej podjazdowej walce dziennikarskiej zetrzeć musiał i starł istotnie ze swego czoła nimbus powagi.

Bądź co bądź biblioteka umieszczona została w Chrobrzu. Na zarzuty, że z powodu oddalenia tego miejsca, zbiory całkiem będą dla ogółu bezużyteczne, w czym zresztą było bardzo wiele słuszności, odpowiadał, że Książ, Chroberz i Pińczów są blizkie Krakowa, Lwowa i Poznania, są przystępne dla uczonego świata polskiego, „który nie w samej tylko Warszawie się zamyka”.

Połączył z biblioteką własny zbiór książek, który, jako obejmujący literaturę obcą starożytną i nowoczesną, rodzajem swym zbiory Świdzińskiego pożytecznie uzupełniał. Utrzymał, że wedle myśli i słów testatora, zbiory po Świdzińskim nie mogą być biblioteką publiczną, ani czytelną dla wszystkich, ale jako własność prywatna przeznaczone są dla badaczy i pracowników. Zaprasza więc do zwiedzenia księgozbioru członków towarzystw uczonych, znanych autorów, członków Towarzystwa Rolniczego, redaktorów pism itp. „Uczeni do udziału w pracy naszej powyższym sposobem wezwani, pisze, gościnnie u nas przy bibliotece i zbiorach tych niechaj przyjąć zechcą, jako otwórzoną im nie tylko przez dzisiejszego właściciela, ale także przez Konstantego Świdzińskiego do korzystania z niej dla dobra i postępu nauk, od siebie oraz imieniem zgasłego przyjaciela uprzejmie ich zapraszamy”.

Zaproszenie to swoje w innym miejscu wypowiedział wyraźniej, tonem nieco patetycznym, z pewną domieszką strofowali dla tych, którzy niekoniecznie chcieli wierzyć w to wszystko, co wychodziło z ust margrabiego. „Stolica kraju, woła Wielopolski, zwykła być stolicą wielu rzeczy, stolicą także dziennikarstwa, lecz nie jest ona stolicą ani wszystkiego, ani dla wszystkich, ani też w każdym czasie. Od dawna już stolice nasze są po powiatach, po wsiach naszych; dla Świdzińskiego bywał nią Sulgostów, dla dziedzica jego i zgodnie z jego myślami i przykazem, jest nią Mirów, Pińczów, Chroberz. Gdzie serca nasze, tam i skarby nasze; i serca i skarby chętnie otwieramy młodszym panom braciom. Niechaj oni do nas zawitać zechcą, a nie żądają koniecznie, abyśmy z naszego środka ciężkości wychylając się, w ich zakres się przenosili, ich koniecznie widokom byli powolni. Niechaj zechcą opuścić niekiedy jednostajne równiny Mazowsza i zgiełk stolicy: *Omitte miruri beatae Funrum et opes strepulumque Romue.*

jakie zawiązałem z p. Nowakowskim, wybierałem się tak długo”— robi niesmaczny i zjadliwy koncept, każąc w wyrazie „dzięki” zamienić literę k na g, z czego powstanie wyraz rosyjski dzięgi, znaczący pieniądze. Dawał tem poznać, że nie dla stosunków naukowych ale za pieniądze pojechał był Bartoszewicz do Sulgostowa. Koncept miał w sobie wiele prawdy, tem więc był dotkliwszy, a nadewszystko niesmaczny i ciężki.

Niechaj przybywają nawiedzać ziemią naszą krakowską, na której się niegdyś wielkość dziejów naszych osnuła. Tu na spokojnych wzgórzach, nad piękną doliną Nidy, między górą Chrobrego, przypominającą czas wojennej naszej wielkości, a wznoszącą się zdala świątynią w Wislicy, prawodawczymi wspomnieniami Kazimirza Wielkiego otoczoną, i górami, na których opodał bieli się Pińczów, z kąd zdają się brzmieć jeszcze glosy wieku Zygmuntońskiego, pod cieniem lip starodawnych oczekują przybywających zbioru Świdzińskiego, i jak dawna akademia pińczowska o starożytny Kraków się opierając, do swobodnych prac, do pokrzepiających i użytecznych dla nauk rozpamiętywać, ich zapraszają”.

Niestety! na to wezwanie wygłoszone stylem klasycznego patosu, nikt nie zjechał do Chrobrza i zjechać nie mógł, raz z tego powodu, że opinia ze zwykłą sobie bezwzględnością była przeciwną tego rodzaju zużytkowaniu zapisu Świdzińskiego, a potem, że podróż nad Nidę była za męczącą i za kosztowną dla chudych kieszeni uczonych i literatów. Już ten fakt winien był przekonać i przekonał Wielopolskiego, że pomieszczenie zbiorów w Chrobrzu minęło się z zasadniczą myślą zapisodawcy; prócz tego gdy Świdzińscy nie ustając w zabiegach, wystąpili z mnóstwem nowych procesów, w liczbie aż dwudziestu czterech, margrabia znużony walką, której końca nie widział i której korzyści materialne nie mogły pokryć strat moralnych, jakie ponosił; gdy na koniec egzekutorowie testamentu Władysław hr. Małachowski i Konstanty hr. Przeździecki ogłosili oświadczenie przeciw takiemu urządzeniu zapisu. w d. 18 Kwietnia 1860 r. zrzekł się na rzecz rodziny Świdzińskich przed rejentem Przychodzkim w Radomiu całego spadku po Konstantym. Tytus Świdziński ogłaszając o tem w gazetach, wołał: „de facto więc niema testamentu, ale jest w sercu i sumieniu rodziny, która o ile będzie mogła wykonać zamiary Konstantego Świdzińskiego, przekona publiczność akt dzisiejszy”. Pokazało się teraz, że przez czteroletnie procesy, majątek Świdzińskiego zmniejszył się blisko o trzykroć sto tysięcy złotych (Wielopolski sprzedał las w Sulgostowie nie zapłacił trzech rat Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, trzech rat podatku z gorzelnii i podatku ofiary, nie popłacił zastług oficyalistom, służbie itp.). Opinia z oburzeniem dowiedziała się o tem wszystkim, a Świdzińscy zrzeczeniem, choć nie bardzo uczciwym postępowaniem, podsycali to oburzenie jeszcze bardziej. Na próżno Wielopolski w „oznajmieniu poźegnalnem”, ogłoszonym w „Czasie”, starał się usprawiedliwić i przedstawić istotny stan rzeczy. Słowa jego nacechowane powagą i bólem przebrzmiały bez echa. Jego język spiżowy nie mógł odezwać się w sercach i głowach pokolenia rozmarzonego, chorego na nerwy, miękkiego jak historyczne kobiety. „Na koniec z dziełem przyjaciela, wołał, które przez tyloletnie trudy naszym także własnem się stało, rozłączyć się; z sa-

mym Konstantym Świdzińskim, nie tak jak przed jego zgonem z otuchą przyszłej pracy około przekazanego nam dzieła, lecz na zawsze już teraz pożegnać nam się przychodzi. Konstanty Świdziński dzieło swe z ufnością zupełną w ręce moje i syna mojego złożył; z tego też zaufania i z przyrzeczeń naszych obadwaj wierną pracą wywiązaliśmy się. W wieku domierzającym już szóstego dziesięciolecia, ziszczeniu zamiarów przyjaciela poświęciłem cztery mozolne lata, oddając się jego sprawie z uszczerbkiem własnej, z ujmą sił i czasu tem droższego na schyłku. Syn mój Zygmunt, przerywając rozpoczęty z prawdziwego powołania zawód wojskowy, oddał zapisowi Świdzińskiego najlepsze lat kilka wschodzącego życia, w których pracami i troską wątłe już zdrowie nadwerżył. Nie były też płonne te nasze usiłowania; pozostanie wiekowym ich pomnikiem sprawa o testament Świdzińskiego, w której szlachetny duch jego pośmiertne a pełne chwały odniósł przez nas zwycięstwo nad spiknionymi nikczemnościami czasu. Że po takim przekonaniu, a poniekąd przekonaniu nieprzyjaciół, przed przyjaciółmi teraz z pola ustąpić musimy, sąd o tem na sumienie kraju całego zdajemy”.

Z nieszczęśliwej tej sprawy Wielopolski nie wyniósł żadnej materialnej korzyści. Pozostały mu owoce, drzewa, rośliny, kwiaty i sprzęty ogrodowe, pszczoły, mały olejny portret Konstantego Świdzińskiego, malowany przez Rajmę, i agenda jego kalendarza z r. 1855. Za to wydał około stu tysięcy złotych z własnej kieszeni na budowę gmachu pod bibliotekę w Chrobrzu. Świdzińscy zabrali książnicę i zbiory najprzód do Sulgostowa, a widząc niemożność utrzymania ich, wcielili je do ordynacyi Krasieńskich, przeznaczając 3000 złp. rocznie na wydawanie roczników. Do tej śmiesznie małej sumy Ludwik Krasieński dodał od siebie 6000 złp. rocznie, a Karol hr. Krasieński zapewnił 2000 złp. Biblioteka ordynacka połączona została ze zbiorami, które pomieszczone w Warszawie nie wywierały i nie wywierają żadnego wpływu na ruch umysłowy i naukowy w kraju.

Taki miał koniec świetny, tyle nadziei rokujący zapis Świdzińskiego. Wola jego ostatecznie nie została spełnioną, owoc trudów całego życia zmarnowany i zbrudzony w poziomych walkach prywaty. Nieszczęsny kraj, w którym usiłowania najlepszych jego synów idą na marne lub w niwecz się obracają!

Wielopolski z tej długiej, czteroletniej walki wyniósł gorzki owoc zniechęcenia, pogardy dla ludzi. Oburzył przeciw sobie i tak już niechętną opinią, a jakkolwiek nisko ją cenił, nazywając „krzykaczami ulicznymi”, przecież nie mógł tego nie widzieć, że gawiedź uliczna w tej i w innych sprawach milczała, bo ją biblioteka nic nie obchodziła; że jeżeli kogo oburzył przeciw sobie, to t. z. inteligencją kraju, to jest stan średni, adwokatów, lekarzy, literatów, szlachtę zamożniejszą, przemysłowców, fabrykantów itp., którzy nadawali ton i kierunek opinii, i którzy właśnie z gorącym zapalem brali się do sterowania

skołatana nawą krajową. Nigdyby Świdzińscy nie śmieli uderzać na Wielopolskiego i testament swego brata, gdyby nie znajdowali moralnego i materialnego poparcia we wzmiankowanych sferach. Sfery te zawsze niechętnie Wielopolskiemu i zawsze go mające w podejrzeniu, obruszył teraz jeszcze więcej przeciw sobie, i w pierwszym z nimi starciu został pokonany i musiał ustąpić. Wielka nauka, poważne doświadczenie, gdyby umiał być z niego korzystać, dla swego i kraju dobra!

Podczas gdy najrozumnijszy, najtrzeźwiejszy mąż w kraju, wielki charakter i większy jeszcze umysł, pracował z zaślepieniem fatalnym i zdumiewającym w takim człowieku, na to, by wszystkich przeciw sobie obruszyć, wszystkich obrazić, zadrasnąć miłość własną każdego i każdemu „dać się we znaki”, jak mówił — inny człowiek, niemniej szczerzy i gorący patriota jak Wielopolski, podnosił się wysoko w opinii publicznej i stawał się moralnym kierownikiem kraju, nie mając do tego prawa ani przez swój rozum, ani przez swą inteligencją, ani przez trzeźwość swych poglądów społecznych i politycznych. Mówimy tu o Andrzeju hr. Zamoyskim. Potomek historycznego rodu, niesplamionego niczem w dniach nieszczęść narodowych, ale też prócz Andrzeja, kanclerza koronnego, nie błyszczącego żadnym świetniejszym umysłem w ciągu paru ostatnich wieków, syn ordynata, magnat na wielką dawną skalę, w porze tej, gdy występować począł na szerszą widownię historyczną, liczył 57 lat, skłaniał się już ku starości. Za młodu pobierał nauki w Genewie i Edyburgu, i urzędzenia społeczne i polityczne, oraz cały charakter narodo- wy angielski, wywarł na niego silne, niezatarte wrażenie. Jak swoją postacią wysoką chłodną, sztywną twarzą starannie wygoloną prócz faworytów po bokach, przypominał lorda angielskiego, tak w zakresie swej działalności, wszędzie gdzie mógł stosował wzory zaczerpnięte z Anglii. Za czasów Królestwa kongresowego, przez dziwny zbieg okoliczności, przez szczególną ironią losu, mianowany został szambelanem dworu królewskiego razem z Aleksandrem hr. Wielopolskim. Tak to zdawało się, że od młodości przyszło się tym dwom ludziom spotykać ciągle i na wszystkich drogach, choć drogi te, w skutek ich usposobień, całkiem były różne. W powstaniu listopadowym wziął czynny udział. Bił się pod Grochowem, jako adjutant Chłopickiego, a potem wysłany został przez Rząd Narodowy do Wiednia, w celu skłonienia Metternicha do interwencji w sprawie polskiej. Misja ta nie udała się Zamoyskiemu, jak nie udała się misja londyńska Wielopolskiemu, jak wszystkie inne nie powiodły się i powieść się nie mogły²⁶¹). Po upadku Warszawy, podobnie

26 Mikołaj Berg w swych „Zapiskach o polskich rozstaniach”, oraz w życiorysie Zamoyskiego w „Istoriczeskim Wiestniku” z r. 1880 powiada, że poseł polski spotkał się w Wiedniu z jakąś piękną Polką, i nie badając jej przeszłości i położenia, w miłosnych sam na sam,

jak Wielopolski, nie poszedł na emigracją przeżuwać zakwas powstania i truć się jadem próżnych oskarżeń, nie poszedł wylewać swych żalów na bruku paryżkim lub londyńskim, nosić „wśród rzymskich cmentarzy, na twarzy swojej smutek polskich twarzy”, ale cicho, spokojnie wrócił do kraju. Przedstawił się nazajutrz po wzięciu Warszawy Paskiewiczowi, który wiedział od posła rosyjskiego w Wiedniu, Tatiszczewa, o zabiegach Zamoyskiego, w skutek czego przyjął go surowo, groził rozstrzelaniem, i w końcu kazał jechać na wieś. Zamoyski miał serce zanadto wielkie, umysł zanadto ruchliwy i czynny, by wśród czarnej nocy ucisku, jaki zapanował teraz nad krajem, nie myśleć o jego losach. Powstanie wywarło nań bardzo silny i bardzo stanowczy wpływ. Entuzjazm, jakiego żadne nasze powstanie ani przedtem ani potem nie wytworzyło, po upadku przemienił się we wszystkich tych ludziach w chorobliwą, mistyczną miłość ku ojczyźnie, w to szczególne i jedyne w historii uczucie, które kazało wszystkie swe siły moralne i materialne skierować ku dobru kraju, ku jego oswobodzeniu. Dobro to widziano wyłącznie w uwolnieniu Polski od obcego najazdu, w przywróceniu granic przedrozbiorowych, w samoistnym bycie politycznym i programem narodowym nic innego nie mogło być i nie było. Drogi atoli prowadzące do tego celu musiały i mogły być różne.

Po rozbiciu wszystkich nadziei, po nadzwyczajnym i niestety! bezpłodnym wysileniu ciała narodowego, gdy jedni poszli na emigracją, by tam rozwozić żale, zanosić protesta przed Europą, palić się w samych sobie, knuć nieskończone i zawsze zgubne dla Polski spiski, Zamoyski osiadłszy w ciszy wiejskiej, w dniach ciężkiego bólu gorącego patrioty, stworzył całkiem inny i odrębny program, który z konsekwencją i niezłomną rzec można wolą, przeprowadzał przez całe życie.

Widząc bezowocność wszelkich powstań i spisków, które tylko narażały kraj na liczne ofiary i cięższy jeszcze upadek, Zamoyski jako zasadniczą podstawę swego programu postawił: legalność względem rządu. Nie robić zatem nic takiego, co by nie było przez prawo dozwolonem; a że niema takiego prawa na świecie, z którego by jakichś korzyści i pożytków nie dało się wyciągnąć, czynić zatem należy to wszystko, co w zakresie praw, nadanych krajowi, czynić wolno. Potępiał więc stanowczo tę ogromną większość ludzi, którzy w rozpaczliwym zniechęceniu i apatyi twierdzili, że w kraju nic zrobić nie można, bo nic nie wolno, bo na nic rząd nie zezwoli. „Ten bluźni przeciw sprawiedliwości Boskiej, wołał, kto sądzi, iż żyje w epoce zbyt trudnej, zmuszającej go do nieczynności, do oczekiwania na lepsze czasy. *Prisca juvent alios, ego me nunc dungue natum gratulor*. Człowiek raz tylko żyje; w ciągu więc życia

opowiedział jej wszystko z czem przyjechał. Mogło to być, ale że nie wpłynęło niczem na stan sprawy, nie potrzebujemy zdaje się mówić.

swego w chwili i miejscu, gdzie go Opatrzność postawiła, usilnie winien się starać, aby poznał swe obowiązki i zasługi położył. Marnemi tylko przeciw temu zasłaniają się wymówkami ludzie słabego ducha. Ztąd wymysły zdrożne, teorie płocze a czasem zbrodnicze, które lenistwo barwą jakąś niby szlachetną powlekają”.

Ale głos ten rozumny i zdrową miłością ojczyzny natchniony, nie znalazł posłuchu u ówczesnego społeczeństwa. Emigracja nie przestawała prowadzić wielkiej polityki, żebrać o Polskę, knuć spisków, a kraj zdeptany i uciśniony miał tylko oczy obrócone na to co czyni wychodźstwo, ztamtąd czekał programów, haseł i drzemał pełnym zmor i widziadeł snem. Ciężkimi, Syzyfowem zaprawdę zadaniem było obudzenie kraju z tej śmiertelnej drzemki, zachęcenie go do czynu, do obejrzenia się w swem położeniu. Zamoyski nie uląkł się tego zadania, i rozstrzygnąwszy w swej głowie kwestyą, że działać należy, postawił sobie drugie pytanie: co i jak działać trzeba i można? Pod tym względem trzy nasuwały mu się zadania: podniesienie kraju z ruiny ekonomicznej, w jaką go wepchnęło ostatnie powstanie; załatwienie sprawy włościańskiej, tego szkaradnego wrzodu, ropiącego się na ciele narodowem; umoralnienie i oświecenie ciemnych mas polskich. Tym sposobem powstał program tzw. pracy organicznej, program, który miał Polskę doprowadzić do wzmocnienia wewnętrznego, do skondensowania jej sił, do takiego stanu, by z czasem, według obrazowego wyrażenia Zamoyskiego, jak owoc dojrzały samym swym ciężarem odpadła od drzewa rosyjskiego.

Bo ostatecznie niepodległość i samoistność państwowa Polski była tak dobrze celem tego programu, jak była celem spisków, działań emigracyjnych i zbrojnych powstań. Zamoyski był synem swego czasu, niepoprawnym jak i tam ci marzycielem, mistycznym czcicielem nieziemskiej jakiejś ojczyzny. Różnił się tylko z nimi wyborem drogi, która miała doprowadzić do tego upragnionego celu. Niczego on się nie zrzekał i o niczem nie zapomniał. Granice 1772 r. były dlań artykułem wiary i innej Polski nie uznawał i uznać nie mógł. Z drugiej strony, w poczuciu obrażonej dumy narodowej, potępiał żebranię u dworów zachodnich, potępiał stanowczo nadzieje i złudzenia, jakie miała pod tym względem emigracja. Na nic i na nikogo nie liczył, tylko na samych siebie; o nic nie chciał prosić i niczego żądać. Było w tem wszystkim dużo podniosłości i dużo dumy słusznej i usprawiedliwionej, mimo to program ten nigdy nie został przyjęty i uznany przez kraj. Ci wszyscy, którzy twierdzili, że chęć robienia czegoś w kraju jest marzeniem, którzy dla tego oglądali się na pomoc zewnętrzną, na rewolucyą, na jakąś powszechną europejską zawieruchę, z której Polska, jak Minerwa z głowy Jowisza, wyskoczyć miała zbrojna i żywa, stanowczo potępiali ten program cichej, mrówczej pracy, pewnego ro-

dzaju snucia przędzy Penelopy, którą lada chwila mogła porwać na szczątki brutalna ręka Paskiewicza, lub innego satrapy. A przytem dla umysłów bystrzejszych, głębiej sięgających, program ten miał swe ważne, bardzo nawet ważne niedogodności, ciemne strony i szkopyły, o które rozbić się mogła mozolnie sterowana nawa narodowa. Obawiać się należało i słusznie, by pod pokrywką podniesienia bytu ekonomicznego kraju, nie wzięły góry poziome instynktu bogacenia się dla samego bogacenia, by chęć robienia pieniędzy nie odsunęła na daleki, bardzo nawet daleki plan ostatecznego celu. Mówiono, nie bez racji, że aferzyści rozmaici, których nigdzie nie brak, zwolennicy łowienia ryb w mętnej wodzie, będą pokrywali swe działania nie zawsze może zgodne z moralnością, pozorami pracy dla kraju; bankierzy będą grali rolę dobrych obywateli, pracowników w myśl idei ojczystej. Wołano, będziemy się tuczyli, obrastali w sadło i w sadle tem zatopimy wszelkie pragnienia i wszelkie podniosłe cele.

Stronnictwo ruchu jednak potępiając program pracy organicznej, domagało się natomiast stanowczego załatwienia sprawy włościańskiej, popierane pod tym względem przez opinią publiczną, przez wszystkich ludzi rozumnych i szczerych patryotów. W tej kwestyi nie było i nie mogło być dwóch zdań, jakkolwiek różne były poglądy na sposób jej załatwienia. Zamoyski wykształcony na wzorach angielskich, uważający tamtejszy ustrój socyalny za najlepszy, miał w tej sprawie swe zdecydowane przekonania. Podczas gdy jego brat, ordynat, w dobrach ordynackich zamienił pańszczyznę na opłatę pieniężną, on w swych majątkach włościan oczynszował, na podstawie dłuгоletniej, nieomal wieczystej dzierżawy. Tego poglądu bronił uparcie i stanowczo do końca swej działalności polityczno-społecznej w kraju. Oczywiście stawał tu w kolizyi ze stronnictwem ruchu, z pewną częścią zamożniejszej szlachty, jak Tomasz hr. Potocki, szwagier Wielopolskiego, jak Gołuchowski słynny filozof, Feliks Zieliński ekonomista, gubernator warszawski Łaszczyński i inni, których popierał głos ogółu i głos prasy, a którzy żądali nie oczynszowania w takiej lub innej formie, ale uwłaszczenia chłopów. Z tego powodu zawiązała się bardzo żwawa i bardzo interesująca polemika, w której Zamoyski żywy brał udział, bronił swych opinii gorąco, utrzymując, że kodeks cywilny, obowiązujący w Królestwie, nie zna pańszczyzny tylko dzierżawę, że chcąc szarmonizować ustrój społeczny z wymaganiami prawa cywilnego, należy pańszczyznę opłatą czynszu dzierżawnego zastąpić. Twierdził, przekonany o potrzebie prowadzenia zawsze chłopu na pasku szlacheckim, że nadanie własności nie obdarzy równocześnie tego chłopu potrzebnem do korzystania z niej usposobieniem; że chłop obdłuży swą osadę, stanie się pastwą lichwy, ziemię wreszcie odda w ręce żydowskie, że własność swą dzielić będzie na potomstwo, że ją rozdrobni niesłychanie itp.

W uniesieniu polemicznym na koniec nazwał uwłaszczenie „potwornym płodem w boleściach i mękach społeczeństwa na jaw się wynurzającym”.

Łatwo było zbić te twierdzenia, jakkolwiek i one nie były bez pewnej racji. Przeciwnicy zwali system Zamoyskiego „angielszczyzną”, nieodpowiednią dla stosunków polskich, nie czyniącą zadość najważniejszej stronie tej sprawy, to jest stronie politycznej. Nieszczęściem bowiem Polski było to, że kwestya chłopska, czysto społecznej i ekonomicznej natury, była połączona u nas ściśle z kwestyą polityczną. Zdawało się bowiem wszystkim naszym stronnictwom, jak również i rządowi rosyjskiemu, że kto do chłopą przyjdzie pierwszy i z większymi darami, ten go będzie miał za sobą, a kto będzie miał chłopą za sobą, będzie miał i Polskę całą w ręku. Czas i późniejsze wypadki przekonały, że teoria ta była mylną, że nikt, ani biali, ani czerwoni, ani arystokraci i demokraci, ani inteligencya polska i rząd rosyjski nie znał chłopą polskiego. Ten bowiem brał od wszystkich i wszystko, ale w zamian nic za to nie dawał i pozostał na uboczu wszelkich prądów i wszelkich walk, zimny, spokojny, poważny.

Wtedy jednak nie miano tego doświadczenia; ludzie ówczesni nie przeszli jeszcze przez różgi strasznej, Milutynowskiej egzekucji. Wszyscy się łudzili i wszyscy wierzyli w możność zyskania chłopą przy pomocy darów materialnych. Dla tego też przeciwnicy teorii Zamoyskiego zarzucali mu, że dla dobra kraju, dla odbudowania Polski nic nie robi i nic nie zrobi przez swą, z angielskich wzorów wziętą dzierżawę. Chłopu, wołali, trzeba dać własność, trzeba go zrobić obywatelem, stworzyć mu ojczyznę i zmusić przez to do obrony tej ojczyzny. Cóż to znaczy, że szlachta ucierpi przez to materialnie? Dla tak wielkiego celu należy wszystko poświęcić; a szlachta powinna tym większą ponieść ofiarę, że ona zgubiła Polskę, że chłopą gnębiła przez długie wieki, że za saturnalia pańszczyźniane pokutować musi.

Zdania te przemagały w opinii publicznej, w ruchliwej, czynnej rzeszy tzw. inteligencji miejskiej, w prasie i literaturze; ale miały jeden szkopał bardzo niebezpieczny, bardzo zgubny dla kraju i niestety! aż nadto usprawiedliwiony przez późniejsze wypadki. Uwłaszczenie bowiem mogło nastąpić tylko na drodze prawodawczej, na drodze dekretu, wydanego przez rząd, a zatem całą kwestyą chłopską oddawało w ręce tego rządu, co żadną miarą nie leżało w interesie polskim. Któż bowiem mógł przewidzieć co rząd zrobi z tak silną bronią w ręku, dokąd pójdzie i gdzie się zatrzyma, rząd nieprzyjazny, podejrzliwy i niechętny Polsce? Pominąwszy już inne względy, jak naruszenie prawa własności, tak silnie obwarowanej przez kodeks Napoleona, uwłaszczenie w rękach rosyjskich mogło wykopać nigdy nie zapełnioną przepaść między chatą i dworem, poruszyć „martwe morze chłopskie” całkiem w innym kierunku niż

tego wymagają interesa polskie. Sami zwolennicy uwłaszczenia przyznawali, że w tem leży wielkie niebezpieczeństwo, i program Zamoyskiego był bardziej polityczny, że tak powiemy, bardziej konsekwentny. Wyrwał on sprawę chłopską ze steru rządu, usuwał go na drugi plan, interesa krajowe oddawał w ręce polskie, zgadzał się na koniec z programem pracy organicznej, który chciał, byśmy tylko na sobie polegali i sprawy domowe nasze sami załatwiali. Wprawdzie projekt zamiany pańszczyzny na czynsz dzierżawny, miał liczne słabe strony, nie był wolny od illuzji, które często uwodziły Zamoyskiego. Wykonanie bowiem tego systematu wymagało od szlachty nie tylko dobrej woli, którą ona nie zawsze pod tym względem posiadała, ale nadto zamożności dostatecznej, która by dozwoliła czynić nakłady na urządzenie folwarków po oczynszowaniu. A przytem system ten miał racjonalną podstawę tylko do r. 1846, to jest do wydania ukazu z d. 9 Czerwca tegoż roku. Ukaz bowiem powyższy zabraniając dziedzicowi rugowania chłopu z osady, skoro ten obowiązki do niej przywiązane, tj. pańszczyznę, wykonywuje, odebrał systematowi temu główną siłę. Chłop stał się nieufny i przyjął politykę wyczekującą; nie chciał się niczem zobowiązywać, licząc na to, że kiedyś dostanie więcej. Szlachcic groźbą wyrugowania chłopu z gruntu nie mógł już teraz zmusić go do przejścia z pańszczyzny na czynsz, a zatem gdy chłop tego nie chciał, gdy go zmusić nie można było, gdy na koniec większość szlachty, w obawie przed ruiną ekonomiczną, leniwie i z odrazą brała się do reform, rzeczy musiały pozostać na dawnej stopie i wrzód pańszczyzniany trwał ciągle i ropił się szkaradnie.

Najważniejsza więc, najkardynalniejsza część programu pracy organicznej nie wchodziła w życie, nie mogła być wykonana. I inne działania w myśl tego programu nie wiodły się Zamoyskiemu, a nie wiodły dla tego, że albo brał się do rzeczy niewłaściwie, z teorią przy biurku wytworzoną albo bez znajomości fachowej. Rzucił się na wszystkie strony, wszystko chciał poruszyć, ożywić, bo jego celem nie były osobiste jakieś korzyści, ale ojczyzna, ta ukochana, ubóstwiona ojczyzna, w snach długich nocy niewoli i ucisku wymarzona. Dla podniesienia bytu ekonomicznego kraju, Zamoyski szukał sposobu ożywienia handlu zbożowego, w owe czasy w niektórych stronach Królestwa, z powodu braku dróg, niezmiernie utrudnionego. Niejaki Guibert, inżynier francuzki, otrzymał był koło roku 1848 przywilej od rządu na zaprowadzenie żeglugi parowej na rzekach naszych, ale nie posiadając dostatecznego kapitału, nie mógł jak należy przedsiębiorstwa tego rozwinąć. Zamoyski skorzystał ze sposobności i wszedł do spółki z Guibertem, który z czasem wyszedł ze spółki zupełnie, sprzedawszy swój udział Zamoyskiemu. Ten zaangażował w to przedsiębiorstwo znaczne kapitały, roił sobie świetne nadzieje, udzielał szlachcie zalicze-

nia na zboże, utworzył osobne biuro komisowe w tym celu, a chcąc jeszcze bardziej rozwinąć interes, założył w Warszawie warsztaty mechaniczne dla budowy parowców i gabarów, a potem fabrykę narzędzi rolniczych na Solcu. Wszystkie te przedsiębiorstwa jednak przynosiły tylko straty, które Zamoyski z własnej kieszeni pokrywał, ale nie były bez pewnych korzyści moralnych. Zetknąwszy się bowiem przez nie ze światem przemysłowym i rzemieślniczym w Warszawie, Zamoyski od razu zyskał ogromne wpływy i znaczenie. Umiejętnością obejścia, wysoką cnotą, podniosłością swych myśli i celów, gorącym patriotyzmem, który przeglądał z każdego jego czynu i kroku, popularność jego rosła niesłychanie, aż urosła do bałwochwalczej nieomal czci. Po wszechnie teraz w Warszawie, a za nią i w kraju całym, czy to w salonach arystokracji, czy w warsztacie rzemieślnika zwano Zamoyskiego tylko „panem Andrzejem”, a nawet w sferach rosyjskich, między rozlicznymi dygnitarzami, na Zamku warszawskim, nosił popularne, poufałe miano „Andriuchy”. Powoli stał się ogniskiem życia narodowego, moralnym jego przewodnikiem; wszyscy oglądali się na niego i przy każdym kroku i czynie pytano się wprzód: co powie na to pan Andrzej, jak on o tam sądzi? Ktoś nazwał go teraz „słowem posiłkowym społeczeństwa”, dając tem poznać, że nic bez niego i bez jego pomocy zrobić się w kraju nie da i nie można, nie należy robić.

Popularność ta sięgała do wszystkich sfer społecznych. Na Zamku warszawskim, w salonach arystokratycznie usposobionego Gorczakowa, Zamoyski mile był widziany, i przyjmowano go tam z wyraźnym odznaczeniem. Gorczakow postępował przy tem tak, że częstokroć dotkliwie obrażał swych współrodaków, którzy bądź co bądź zajmowali tu wysokie posady, uważali się za panów kraju i mieli pretensye wszędzie i zawsze do pierwszeństwa²⁷. Powoli koło pana Andrzeja grupować się poczęli ludzie wybitniejsi w kraju, umysły gotowe do czynu, do przerwania strasznej drzemki społecznej. Przyczyniły się do tego tak zwane „zjazdy Klemensowskie”, które rozpoczęły się jeszcze koło r. 1843. Zamoyski chcąc pokazać gospodarstwo, jakie prowadził w swych majątkach, zapraszaj co rok w Lipcu, do swego pysznie urządzonego pałacu w Klemensowie (w Lubelskiem) ziemian, którzy też bardzo licznie się tam zjeżdżali. Nie raz zbierało się tu do dwustu osób zamożniejszej i wykształcześniejszej szlachty.

27 Mikołaj Berg z tego powodu opowiada taką anegdotę: „zdarzyło się raz (a może nie jeden raz), że księżna Gorczakowowa do tego stopnia się zapomniała, iż rzekła do jednej damy rosyjskiej (której mąż był znaczną figurą i także arystokratycznego pochodzenia), która siedziała na kanapie, gdy nagle weszła do salonu hrabina Zamoyska: „veuillez bien, madame, céder votre place à la comtesse”. Obrażona dama odrzekła: „je puis, madame, si vous le desirez, vous céder meme le salon”. I z temi słowy opuściła pokój”. Fakt ten opowiadał autorowi ówczesny dyrektor kancelaryi namiestnika.

Paskiewicz patrzył na to przez palce, gdyż ostatecznie nie mógł nic zarzucić Zamoyskiemu pod względem politycznym. Zjazd taki trwał zwykle dwa dni, w ciągu których gospodarz obwoził gości po polach i folwarkach, tłumacząc uprawę i próby dokonane, pokazywał inwentarz, maszyny rolnicze, budynki. Po wystawnym obiedzie, wieczorem zaczynały się rozprawy rolnicze i ekonomiczne. Kwestya włościańska była zwykle głównym przedmiotem dyskusji, a niekiedy gospodarz czynił wycieczki w dziedzinę obyczajów, moralności i społecznych obowiązków.

Wszystko to jednak miało pewien ton, pewien charakter podniosły, na dnie którego leżała zawsze myśl o ojczyźnie, tej biednej, nieszczęśliwej, zdeptanej ojczyźnie. Polityki unikano zupełnie, ale ostatecznie takie zjazdy, takie zebrania nieomal całej inteligencji kraju, miały swój ogromny wpływ, skupiały ludzi, łączyły cementem wspólnej myśli rozbite jednostki społeczne. W r. 1844 zajął do Klemensowa i margrabia Wielopolski, a bawiąc tam cały tydzień wyniósł wdzięczne wspomnienie swego pobytu w Klemensowskim pałacu, o czym później publicznie wspominał.

Rezultatem tych zjazdów, które zresztą podejrzywane przez rząd, w kilka lat potem zakazane zostały, było to, że koło Zamoyskiego zebrała się pewna grupa zamożniejszej i inteligentniejszej szlachty. Byli tam Tomasz hr. Potocki, Adam Goltz, Edmund Stawiski, Stanisław Aleksandrowicz, dwaj Górcy i kilku innych, którzy też od r. 1849 redagowali i wydawali „Roczniki gospodarstwa krajowego”, czasopismo wyłącznie zajęte sprawami rolniczymi i ekonomicznymi. Gdy Mikołaj umarł, gdy Paskiewiczowskie rządy wraz z jego śmiercią ustały, gdy zdawało się, że nastały lepsze, liberalniejsze czasy, gdy świetne „dni majowe” 1856 r. pomimo groźnych i karcących mów cesarza, zapowiadały bądź co bądź jakieś ulgi, zwolnienie pewnych więzów, rozluźnienie kajdan, gdy Jeziński i Wielopolski krzżeli się, by drogą petycji, drogą adresu dać poznać młodemu monarsze pragnienia i życzenia kraju, w grupie „Klemensowczyków” powstała także myśl jakiegoś zbiorowego działania. Nie łącząc się wcale z Jezińskim i Wielopolskim, nie zgadzając się na adresa i petycyę, gdyż program Zamoyskiego pracy organicznej nie dozwalał o nic prosić, zwłaszcza, że trzymając się gruntu legalnego, kraj do tego prawa nie miał, postanowili oni co innego zrobić, coś takiego, co nie było domaganiem się o przywrócenie praw należnych Polsce, ale co mogło nieobliczone przynieść krajowi korzyści, co pod skromną formą, nie mającą związku z ustępstwami i koncesjami politycznymi, mogło jednak zbawienny wpływ wyrzucić na losy polskie. Myśl założenia Towarzystwa rolniczego zgadzała się z programem Zamoyskiego i Klemensowczyków, odpowiadała wszystkim warunkom tego programu. Pozwolenie na takie Towarzystwo nie miało charakteru koncesyi

politycznej, nie zamykało drogi do upominania się przy zdarzonej sposobności o nieprzedawnione prawa Polski, nie dawało rządowi pretekstu, że robi wszystko co może; podczas gdy żądania Jezierskiego i Wielopolskiego, gdyby się urzeczywistniły, upoważniałyby rząd rosyjski do twierdzenia przed Europą, że dał Polsce wszystko co mógł i że Polacy nie mają już żadnego powodu do skargi i rekryminacji. Towarzystwo rolnicze, które miało się zajmować wyłącznie sprawami gospodarskimi, w żadnym razie w oczach świata nie mogło uchodzić za ustępstwo natury politycznej.

Mysł ta znalazła powszechną aprobatę Klemensowczyków, zwłaszcza, że chwila zdawała się sposobną do jej urzeczywistnienia. Już po wyjeździe cesarza z Warszawy, w Czerwcu 1856 r. na dorocznym ogólnym posiedzeniu członków redakcji „Roczników gospodarstwa krajowego”, pod prezydencją gubernatora warszawskiego Łaszczyńskiego, projekt został przyjętym i poruczono dwom członkom: Ludwikowi Górskiemu i Adamowi Goltzowi, zając się ułożeniem ustawy przyszłego Towarzystwa. Zamoyskiego wtedy w Warszawie nie było, gdyż bawił w Wiedniu, wezwany tam do łoża konającego ojca. Wróciwszy w jesieni z zagranicy, projekt pochwalił, statut gotowy przeczytał i zajął się gorliwie przeprowadzeniem onego do skutku. Ułożono odpowiednie podanie do rządu, które opatrzone podpisami wszystkich członków redakcji „Roczników” i kilkunastu znakomitszych obywateli, pan Andrzej złożył wraz z projektem ustawy Muchanowowi. Ten zrazu opierał się temu. Wychowaniec szkoły mikołajowskiej, drżał, usłyszawszy wyraz „towarzystwo”; lękał się zjazdów, skupień szlachty i nie chciał się na projekt zgodzić. Ale Zamoyski potrafił go na koniec przekonać, do czego zapewne bardzo wiele się przyczyniły ciepłe, liberalne prądy, jakie szły z Petersburga i jakie wlewały nowe życie w zamarłe, skostniałe ciało państwowe. Bądź co bądź podanie i projekt Towarzystwa przyjął i przedstawił Gorczakowowi. Ten oczywiście nie sprzeciwiał się wcale; szło już tylko teraz o formę, jaką nadać należy temu stowarzyszeniu. Statut ułożony przez Klemensowczyków, chciał, by zebrania Towarzystwa odbywały się w Warszawie raz do roku, na które mieli się zjeżdżać wszyscy członkowie. Przeciw temu wystąpił z opozycją generał Kotzebue, syn sławnego niemieckiego pisarza, szef sztabu Gorczakowa, Niemiec zły, zgryźliwy, chytry, intrygant, nie bez wpływów w otoczeniu namiestnika, walczący o te wpływy uparcie z Muchanowem, nie lubiący Polaków i należący do tych, którzy twierdzili, że Polakom nie trzeba robić żadnych ustępstw i rządzić nimi należy po wojskowemu, po Paskiewiczowsku. Małego wzrostu, głęboko zapadłych, drobnych i złych oczów, zjadliwy w mowie, opierał się temu punktowi statutu Towarzystwa zacięcie. Twierdził, że Towarzystwo rolnicze może się stać z czasem bardzo licznem, że zatem takie zjazdy ogólne

w Warszawie mogą być niebezpieczne dla rządu, mogą przybrać charakter dawnych sejmików polskich. Jeżeli już koniecznie ma istnieć takie stowarzyszenie, to należy mu nadać formy jak najciaśniejsze, działalność jego, o ile się tylko da, utrudnić i skrępować. W tym celu wymyślił tak skomplikowaną maszynę, przypominającą francuzki projekt konstytucji Syesa, tak ciężką i wolno idącą, że Towarzystwo nie miałoby żadnego niemal znaczenia, a przez swój brak ruchu pozbawione by było wszelkiego wpływu na kraj. Radził mianowicie, żeby zamiast ogólnego dorocznego zebrania wszystkich członków Towarzystwa w Warszawie, były zjazdy powiatowe, aby tam radzono o potrzebach gospodarstwa i żeby wybierano deputatów, którzy zebrani ze wszystkich powiatów całej guberni, mieli stanowić zjazdy gubernialne. Ponad tem wszystkim miał stać centralny komitet rolniczy w Warszawie, złożony z wybranych przez zjazd gubernialny deputowanych.

Pominąwszy już ciężką i zbyt wielką komplikacją takiej maszyny, projekt Kotzebuego uderza wprost swoją bezsensownością. Można pojąć i usprawiedliwić zupełnie zjazdy powiatowe członków Towarzystwa, ale jakie znaczenie miały mieć zebrania deputatów od tych zjazdów w mieście gubernialnem? Czy to miała być jakaś wyższa instancja? ale czego i na co? co ona miała decydować i czem się zajmować? Czyż kwestya takiej lub innej uprawy buraków i kartofli, drenowania lub nawozu, rozbiegana na zjeździe powiatowym, miała jeszcze raz pójść pod ostateczną decyzją i zatwierdzenie w gubernium?

Śmieszny ten projekt, urodzony w głowie żołnierza, który pojęcia nie miał o tem, o czem wygłaszał zdanie, a który jako generał moskiewski czuł się uprawnionym do sądzenia i decydowania o wszystkim, jakkolwiek znalazł aprobatę u niektórych dygnitarzy rosyjskich, a między nimi i u marszałka szlachty warszawskiej Uruskiego, nie podobał się Muchanowowi, nie dlatego, że nosił cechę niepojętej naiwności, ale dlatego, że wyszedł od Kotzebuego. Dla Muchanowa przedewszystkiem Towarzystwo miało zwrócić umysły szlachty, żadne działalności politycznej, na pole ciasne i ograniczone; miało być klapą bezpieczeństwa, przez którą zbyt nagromadzona para pragnień społecznych mogła uchodzić swobodnie i rozplýwać się wśród dyskusyi o inwentarzu lub orce; dlatego też zgadzając się na założenie samego Towarzystwa, nie widział potrzeby ścieśniania go zbyt. Zresztą wołał on jeden zjazd, choćby najliczniejszy w Warszawie, pod swoim bokiem, niż kilkadziesiąt mniejszych, rozrzuconych po całym kraju, w miasteczkach małych i oddalonych, gdzie niepodobna była kontrola i dozór, zwłaszcza przy pomocy ówczesnych, mało sprzężystych, a nadewszystko ograniczonych umysłowo władz. Mimo to jednak, jeżeli uparcie odrzucał projekt Kotze-

buego, to nie dlatego, że on był dość głupi, ale dlatego, że wyszedł od jego nieprzyjaciela. Uparł się więc przy swoim, i statut, z ogólnym zjazdem stowarzyszonych w Warszawie, został przyjęty. Na próżno Uruski ostrzegał, że takie towarzystwo koniecznie musi się zmienić w ciało polityczne, na próżno Kotzebue się gniewał i sypał zjadliwymi argumentami, Muchanow stał przy swoim i zwyciężył.

Teraz, gdy statut przeszedł przez ogień władz warszawskich, pozostawało tylko uzyskać jego zatwierdzenie przez cesarza. Poczekano z tem do jego przyjazdu do Warszawy, który zapowiedziany był na jesień. Klemensowczycy nie wątpili o tem, że zatwierdzenie to nastąpi. Chwila była odpowiednią; liberalizm, skłonność do małych ustępstw ciągle jeszcze trwała w rządzie, czego dowodem były dwa nowe objawy, jakie z inicjatywy samego cesarza przysły do skutku. Mianowicie zwiększono teraz w uniwersytetach rosyjskich liczbę stypendyów na wydziałach prawnych w Moskwie i Petersburgu, dla Polaków, w celu dostarczania Królestwu większej liczby urzędników sądowych z wyższem ukształceniem uniwersyteckiem. Dotąd takich stypendyów było 20, teraz zrobiono ich 40. Dowodziło to, że bądź co bądź myślano o Polsce, chciano coś dla niej zrobić, że nastąpił jakiś ruch po martwych, skostniałych czasach mikołajowskich...

Ale jeżeli zwiększanie stypendyów polskich w uniwersytetach rosyjskich dowodziło, że myślano w Petersburgu o Polsce, to drugi fakt, którego doniosłość na razie, w społeczeństwie odwykłym od tego, przeceniono, świadczył wymownie o dobrem usposobieniu dla kraju młodego cesarza. W Sierpniu 1857 r. wskutek starań Samuela Merzbacha, księgarza warszawskiego, minister oświecenia uwiadomił Muchanowa, jako kuratora okręgu naukowego warszawskiego, że cesarz zezwolił na zapewnienie dzieciom Adama Mickiewicza, „wychodźcy i poety”, prawa własności dzieł ojca, tak w cesarstwie jak i Królestwie, do czasu pełnoletności tychże, z przedłużeniem na czas dalszy dla tego z dzieci, które przysięgę wierności wykona. Jednem słowem, pozwolono na wydanie poezyi Mickiewicza w Warszawie. Fakt ten wywarł bardzo silne i bardzo dodatnie w kraju wrażenie, tłómaczące się tem, że pisma największego poety nie tylko w Polsce, ale w całym świecie słowiańskim były w Królestwie jak najsurowiej wzbronione. Cenzura nie pozwalała nawet na drukowanie nazwiska poety, i jeżeli o nim pisano, to pod kryptonimem „M.". Ze szkół wypędzano uczniów, jeżeli wśród nich znalazł się jaki wiersz Mickiewicza, karano za to surowo. Nie dziw więc, że zniesienie tego zakazu, zapewnienie dzieciom poety praw własności do jego dzieł, wyrzucić musiało i wywarło wrażenie, było jedną z tych „łask”, o jakich ciągle mówiono, że spadną na Polskę z ręki młodego monarchy.

Prawo wydania jednorazowego pism poety w dziesięciu tysiącach egzemplarzy kupił od Ludwika Wołowskiego, opiekuna nieletnich dzieci Adama, za 65.000 złp.²⁸, żyd Merzbach, księgarz, co mu się zresztą należało, bo właściwie on w całej tej sprawie dał inicjatywę i przez półtora roku robił w tym celu starania. Odnośna umowa zawartą, została d. 27 Września 1857 r. przed Marcelem Zielińskim, rejentem kancelaryi ziemiańskiej w Warszawie. W imieniu opieki nieletnich po Mickiewiczu dzieci, stawał Leon hr. Łubieński. Merzbach ogłosił zaraz prenumeratę na pięć tomów kompletnych, jak mówił, pism twórcy „Dziadów”, w cenie 10 rubli, a ze stalorytami 15 rs. Tym więc sposobem, gdyby sprzedał całe owe 10.000 egzemplarzy, miałby poważny dochód stu tysięcy rubli, a zatem zyski niesłychane²⁹.

Wszystko to nie podobało się powszechnie. Zrazu opinia publiczna narzekała, że wydawnictwo dostało się w ręce zwyczajnemu księgarzowi i do tego żydowi, który jedynie zyski będzie miał na widoku. „Możebyśmy woleli, pisała „Gazeta warszawska”, by inne ręce podjęły się tego wydawnictwa, ręce jakie dość zasobne, któreby nie szukały zarobku w tem wydaniu, gdy to w dziejach mieć będzie swe znaczenie. O spełnienie tego obowiązku dobijać się należało niejednemu, a najzaciejsze historyczne nazwisko jeszcze nabrałoby blasku, gdyby stanęło pod imieniem Mickiewicza, wydanego w Warszawie w r. 1857”. Była to lekka, choć przejrzyta przymówka do pana Andrzeja, że on powinien był się tem zająć, że tylko pod jego firmą doko-

28 Właściwie Merzbach zapłacił 35.600 franków, co czyniło nominalnie 8900 rs. czyli złp. 59.333 gr. 10. Ponieważ jednak franki dobrze były płacone, więc dzieci poety dostały około 65.000 złp. Suma ta miała być uiszczoną w dziewięciu ratach w ciągu czterech lat, na co Merzbach dał weksle.

29 Zyski te jednak nie mogły być znaczne. W § 3 umowy opieka zastrzegła sobie, że ustąpiłone Merzbachowi prawo „rozciąga się tylko do Królestwa Polskiego i cesarstwa rosyjskiego i dotyczy tylko dzieł ś.p. Adama Mickiewicza dotąd (tj. do 1857 r.) drukiem ogłoszonych”. Mając tedy na mocy tego paragrafu zupełną wolność zrobienia innego wydania, za granicą, zawarła opieka w dwa lata później umowę z Maurycym Bolesławem Wolfem z Petersburga, wskutek której ten ostatni zrobił nowe, kompletne pism poety wydanie. Wprawdzie przez te dwa lata mógł Merzbach sprzedać swój nakład i znaczne z niego zyski osiągnąć, jednakże z uwagi, że koszt nakładu był duży, bo wypadł wydawcy po rs. 5 kop. 40 za egzemplarz, zyski te ograniczały się do rs. 4 kop. 60. Byłoby i to dostatecznym, gdyby nie inne jeszcze wydatki, jako to: procent ustępowany księgarzom (25%), kredyty z rachunkiem rocznym, prezenta, jakie dał dzieciom poety (serwis srebrny na 12 osób), opłacanie się cenzorom, by nie bardzo kreślili utwory poety. Zysk więc mała, a i tego pozbawiła Merzbacha prywatnie tak dalece, że odbiwszy pierwszego tomu 10.000 egzemplarzy, przekonał się, że na sprzedaż takiej ilości liczyć nie może i drugi tom bił już tylko w 2000 egzemplarzy, których sprzedać także nie mógł. Pod pokrywką obrony interesów dzieci poety, inni księgarze warszawscy intrygowali przeciw Merzbachowi i podburzali przeciw niemu opinią publiczną.

nane wydanie, dawałoby gwarancją narodowi, że dzieci poety nie zostały wyzyskane.

O to bowiem teraz szło. Gdy się spostrzeżono, gdy się dowiedziano, za ile kupił Merzbach prawo wydawnictwa, gdy obliczono zyski, jakie ztąd mieć mógł, powszechnie poczęto się oburzać na lekkomyślność, jak mówiono, opiekuna nieletnich, Wołowskiego, który za tak marną stosunkowo cenę sprzedał ich ojcowiznę. Wołano, że w takich warunkach ofiarność narodowa nie szła na korzyść dzieci poety, ale żyda księgarza. Znany pisarz Padalica, zaprotestował przeciwko temu publicznie w „Czasie” krakowskim, za nim Ludwik Pieńkowski, marszałek szlachty powiatu winnickiego, rozwinął agitacją przeciw Merzbaeliowi i ogłosił protest z licznymi podpisami szlachty podolskiej, która, „powodowana głosem obrażonego sumienia”, oświadczała, że dzieł Mickiewicza, wydanych przez Merzbacha, prenumerować nie będzie, i wzywała wszystkich tych, którym „oburzająca owa spekulacja” nie jest wiadoma, by to samo zrobili. Wskutek tego szlachta tak zwanych prowincyj zabranych, pieniądze przeznaczone na kupno dzieł Mickiewicza, składała swym marszałkom z tem, żeby wyjednali pozwolenie u rządu, dla przesłania ich dzieciom poety. Na próżno przez usta literata Dziekońskiego, Merzbach zapewniał, że po rozprzedaniu nakładu wypłaci nieletnim drugie tyle, że protestacye mogą je pozbawić tej drugiej połowy, że wobec nich nie odbierze nawet swego; wydawnictwa jego nie kupowano, tak że został przez nie zupełnie zrujnowany. Charakterystycznym jeszcze jest to, że w całej tej sprawie dzienniki warszawskie zachowywały zupełne milczenie.

Wśród tych sporów, d. 6 Września cesarz przybył po raz drugi do Warszawy i stanął w Belwederze, witany przez tłumnie zebraną publiczność na ulicach, przez wesołe, entuzjastyczne nawet okrzyki. Przedstawiony sobie przez namiestnika projekt Towarzystwa rolniczego w zasadzie zatwierdził, zastrzegając tylko przedyskutowanie jego statutu w Komitecie ministrów w Petersburgu. Szło oczywiście o to teraz, by statut ten przeszedł przez tę nową próbę. Ministrem sekretarzem stanu Królestwa po zmarłym w roku zeszłym Turkulle był Tymowski, od którego zachowania się w tej sprawie bardzo wiele zależało. Zyskany przez Klemensowczyków Tymowski przyrzekł poparcie, i nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że projekt całkowicie zostanie zatwierdzony.

Tymczasem cesarz zabawiwszy parę dni w stolicy Polski, udał się d. 9 Września do Puław, gdzie mieścił się instytut panien. Pozbył się tutaj, wśród grona młodych dziewcząt, całego swego majestatu imperatorskiego, bawił się wybornie, biegał z pannami po ogrodzie i parku, ścigał się i kazał się gonić, jadł z niemi kotlety cielęce, rozmawiał, obdarzał cukierkami. Jakkolwiek polskie

dziewczyny zachwycone były tą dobrocią młodego i przystojnego monarchy, opinia przecież w kraju krzywo na to patrzała i w ogóle instytut panien w Puławach nie cieszył się dobrą renomą, dzięki tym odwiedzinom cesarskim.

Powróciwszy z Puław do Warszawy, w trzy dni potem wyruszył zagranicę do Stutgardu, gdzie zjechać się miał z cesarzem Francuzów, Napoleonem, i następcą tronu pruskiego, późniejszym cesarzem Wilhelmem Zdobywcą. Tutaj, wśród zabaw, uczt, balów i uroczystości wszelkiego rodzaju, cesarz Napoleon, zawsze myślący o Polsce, korzystając z przyjaźni, jaka od traktatu paryskiego zdawała się łączyć oba państwa, między innymi sprawami europejskimi, podniósł przed Aleksandrem II sprawę polską. Mówił, że czyni to w interesie porządku i pokoju, że trzeba, by monarcha rosyjski uważał to przypomnienie za najszczerzy wyraz poważania i przyjaźni, jaką do niego czuje cesarz Francuzów. „Kwestya polska, powiedział Napoleon, o ile może kiedyś powstać i zainteresować dyplomacją europejską, jest jedyną, która stosunek Francyi do Rosyi może uczynić drażliwym. Mam zobowiązania, od których odstąpić nie mogę, muszę się także liczyć z opinią publiczną, która we Francyi wielce jest Polsce przychylną. O tej okoliczności zniewolony jestem otwarcie uprzedzić waszą cesarską mość, ażeby nie nastąpiło zerwanie dobrej naszej zażyłości, którą tak cenię”. Niestety! Aleksander nie chciał zrozumieć tych słów, nie chciał wysłuchać tej rady, któraby była ocaliła może Polskę od strasznej katastrofy, a rozwoju Rosyi nie powstrzymała na długie lata. Car uczuł to przypomnienie jako obrazę, ale zapanował na razie nad oburzeniem i odrzekł chmurnie i oziębłe, że nikt więcej od niego samego nie życzy Polsce spokoju i pomyślności, ale że wszelka interwencya obca może tylko zaszkodzić jego dobrym zamiarom, a to przez obudzenie w Polakach nadziei, niepodobnych do urzeczywistnienia. Wychodząc z tej konferencyi, wyrzekł w petersburskiej francuzczyźnie dość głośno, by go wszyscy mogli słyszeć, te słowa znaczące i fatalne: „ośmielono się mówić mi o Polsce” (*on a osé me parler Pologne*). Znaczyło to, że po za ulgami drobnymi, po za nic nie znaczącymi łaskami, w gruncie rzeczy nie zamierza on zrobić żadnych ustępstw, żadnych reform stanowczych, i że Polska pod jego berłem niczego się spodziewać i na nic liczyć nie może. Postanowienie zgubne, zaślepienie złowieszcze, które, gdybyśmy mogli wierzyć w przeznaczenie, w jakiś bajeczny urok ludowy, los rzuca niekiedy na królów i narody, jakby je chciał pokarać...

Wyjechawszy ze Stutgardu, z kądem zabrał bawiącą tam swoją żonę, cesarz powrócił do Warszawy d. 8 Października. Z dworca kolei oboje małżonkowie wprost pojechali do kościoła św. Aleksandra, gdzie ich powitał arcybiskup Fijałkowski w szatach pontyfikalnych, otoczony klerem i błogosławił. Ludność tłumnie zaległa ulice i radośnie witała dostojną parę, nie wiedząc, że przed

kilku dniami ten car potężny, na cześć którego teraz pod bladym, jesiennym niebem polskim, grzmiały okrzyki wesołe, skazał Polskę na zatracenie i zagładę wiekiustą. Cesarzowa, sentymentalna, niebieskooka, jasnowłosa Niemka, zapragnęła poznać towarzystwo warszawskie, a zwłaszcza damy, i dlatego nazajutrz zaraz, dnia 9 Października, panie, sama wyborowa krema warszawska, Zamoyskie, Kosakowskie, Potockie, Branickie, Wielopolskie i wiele innych, zebrały się w Łazienkach, ubrane w rosyjski, dworski strój, to jest: suknie z ogonami i kokoszniki (rodzaj czółek, jakie widzieć można jeszcze dziś u starych żydówek po małych miasteczkach) na głowie. Tak bowiem kazano się ubrać. Na kokoszniki te krzywiły się mocno panie polskie, i większość ich potrafiła dyademami i wieńcami kwiatów tak przykryć głowę, że tego brzydkiego ubioru urzędowego nie było widać. Cesarzowa z każdą z nich rozmawiała.

Wieczorem tegoż dnia odbył się bal w zamku u namiestnika, bardzo świetny ale krótki, bo cesarstwo odjechali o północy. Cesarz rozmawiał z wielu osobami i w ogóle objawiał żywe zadowolenie z przyjęcia, jakiego doznał w Warszawie. Odzywał się głośno, że w sercu Rosyi, w starej Moskwie, nie był lepiej witany. Jakoż tak było. Gdzie się ukazał powóz monarchy, lud się tłoczył, wydając okrzyki, potrząsając czapkami. Szczęśliwe dni, w których nie zostały jeszcze rozerwane związki między monarchą i ludem; w których obie strony jeszcze się szanowały i pokładały w sobie zaufanie w lepszą, słodsza przyszłość!

W Wielkim Teatrze na przedstawieniu baletu pt. „Korsarz”, na którym znajdowali się oboje cesarstwo, publiczność z obawy uchybienia etykiety, zachowywała się bardzo cicho. Cesarz zdziwiony tem, wyrzekł „czy publiczność jest martwa?” (*la public est-elle morte?*) i kazał swemu otoczeniu bić oklaski. Na przedstawieniu tem wszyscy mężczyźni w krzesłach i łóżach byli we frakach i białych krawatach, damy, przeważnie żydówki, w strojach balowych, ale nie odznaczały się pięknnością, świeciły tylko kolekcją wspaniałych brylantów.

Na koniec dnia 11 Października oboje cesarstwo zostawiwszy 20.000 rubli na ubogich, opuścili Warszawę udając się najprzód do Puław. Tym razem jednak młody monarcha w obecności swej żony, zachował się bardzo poważnie, bawił krótko, zwiedzał tylko niższe klasy, nie biegał i nie rozmawiał z pannami. Ztąd udał się do Kijowa. Bezpośrednim skutkiem pobytu cesarskiego w Warszawie, było zatwierdzenie Towarzystwa rolniczego. Tymowski w Komitecie ministrów przeprowadził statut, o czym już w Grudniu 1857 r. wiedziano w kraju. Sprawilo to powszechną radość. „Kuryer warszawski”, nader rozpowszechnione piśmiennictwo brukowe, wołał: „Kreślimy te kilka słów, aby nie spóźnić słusznej radości, jakiej kraj cały wdzięcznością przejęty, dozna na wiadomość o tym nowym dowodzie szczodroblivej łaski Najjaśniejszego

Pana i dobroczynnych zamiarów Wysokiego Rządu, pod którego światłym sterem, pożyteczne, dobro kraju na celu mające usiłowania zacnych obywateli, tak pożądaną odnoszą skutek”. Ten język niewymuszony, te wyrazy szczerej wdzięczności dla monarchy, nie nakazane przez władzę, jakże dziwnie brzmią dzisiaj w naszych uszach! Później o rządzie i cesarzu już tak nie pisano, a jeżeli pisano to tylko z rozkazu policyi i satrapów rosyjskich.

Z zatwierdzenia Towarzystwa cieszą się więc powszechnie, a Klemensowczycy tryumfowali. Nie bawili się w adresa, w prośby, w petycje, w żebranię o nieprzedawnione prawa Polski, ale idąc po drodze legalnej zdołali wyjednać pod skromnym mianem Towarzystwa rolniczego, prawdziwą reprezentacją kraju, bo za taką w swych rozmowach, w głębi swych serc, stowarzyszenie owe uważali. Nie wątpili bowiem, że przy wpływie i znaczeniu, jakie mieli w kraju przez swe stanowiska, swój rozum, i gotowość do inicjatywy, zdołają przez zręcznie pokierowaną agitacją, zgromadzić w Towarzystwie wszystko co jest pod jakimkolwiek bądź względem wybitniejszego w kraju, że wreszcie przez sam ogrom liczby swych członków Towarzystwo stanie się faktycznym reprezentantem Polski, jej sejmem, jej parlamentem. Jakoż przy dorocznych zjazdach wszystkich stowarzyszonych w Warszawie, Towarzystwo koniecznie musiało mieć charakter ciała, przedstawiającego w sobie całą nieomal Polskę. Przy braku zatem wszelkich innych organów, przez które by głos pragnień narodowych mógł być dać się słyszeć, tego rodzaju liczne zebrania, w których brali udział wszyscy ludzie wykształceńsi, czynniejsi, zastanawiający się nad położeniem kraju, musiały koniecznie, mimo woli nabrać charakteru politycznego, choćby nawet na tych zebraniach mówiono o uprawie pszenicy lub jęczmienia. Wreszcie, jak to później obaczymy, sam rząd przez dziwny brak logiki, dziwniejszy jeszcze nierozum, przyznał tę cechę Towarzystwu rolniczemu, wzywając je do rozstrzygnięcia kwestyi włościańskiej. Nareszcie ogłoszono w dziennikach ukaz o Towarzystwie, podpisany w Carskim Siole, dnia 24 Listopada 1857 r. Zatwierdzona przez tenże ukaz, ustawa, powiada: że Towarzystwo rolnicze ma na celu zjednoczenie pojedynczych usiłowań dla nadania, zgodnie z dobroczynnymi zamiarami rządu, silniejszego popędu przemysłowi rolniczemu w kraju. Towarzystwo zatem wyłącznie się ma zajmować przedmiotami, dotyczącymi gospodarstwa wiejskiego, we wszystkich jego gałęziach. Ogólne zebranie Towarzystwa ma się odbywać raz na rok w Lutym.

Pierwsze zawiązki nowego Towarzystwa utworzyli członkowie redakcyi „Roczników gospodarstwa krajowego”, w liczbie 53, zaprosiwszy jeszcze do swego grona dwudziestu obywateli ziemskich, majątniejszych, znanych ze swych wpływów i z dobrego gospodarowania. Między nimi zaproszony był

i margrabia Wielopolski. Nie przybył jednak, ale przysłał w miejsce siebie syna swego Zygmunta. Jakie były przyczyny tego postąpienia margrabiego, niewiadomo; prawdopodobnie czuł on, że wskutek oburzonej przeciw sobie opinii z powodu procesu o zapis Świdzińskiego, znalazłby się wśród zgromadzonych obywateli osamotnionym, i nie mógłby zająć w Towarzystwie tego stanowiska, jakie mu się ze względu na jego wysoki rozum należało³⁰.

30 Biograf Wielopolskiego, Henryk Lisicki (*Le marquis Wielopolski II*, 44) powiada, że margrabia zajęty był wówczas sprawami prywatnymi, a mianowicie urządzaniem zbiorów po Świdzińskim, że podróż do Warszawy w porze roku nieprzyjaznej i konieczność długiego tamże pobytu, wstrzymywały go od przyjęcia zaprosin Zamoyskiego, że na koniec przewidywał, iż Towarzystwo wcześniej czy później zmieni się w ciało polityczne, i dlatego nie chciał do niego należeć. Tłumaczenie to jest zbyt naciągnięte i wcale nieprawdopodobne. Wielopolskiego program nakazywał przyjmować wszelkie ustępstwa, ze strony rządu i przyjmować je z otwartymi rękami, nie mógł być zatem obojętny na tak ważną instytucją, jaką było Towarzystwo, zwłaszcza, że ono dopiero znacznie później, z inicjatywy samego rządu, zajęło się kwestią społeczno-polityczną, jaką była sprawa włościańska. Właściwie przebieg tej sprawy był inny. Już w czasie druku niniejszego tomu, dostał się do rąk naszych manuskrypt, pisany ręką jednego z wybitniejszych członków Komitetu Towarzystwa rolniczego, zatytułowany „Urywkowe zapisy”, gdzie odrzucenie Wielopolskiego, autor przypisuje głównie zabiegom Leona hr. Łubieńskiego. Łubieński bowiem nienawidził Wielopolskiego, jeszcze z czasów swego ojca Feliksa Łubieńskiego, ministra sprawiedliwości za Księstwa Warszawskiego, którego krewny Bontani należał czynnie do rozszarpania Ordynacji Myszkowskich, sam zaś Feliks Łubieński dlatego właśnie popierał jej zniesienie. Już wtedy Aleksander Wielopolski w jednym ze swych pism, w tej sprawie opublikowanych, surowo skarcił ministra. „Ostre wystąpienie margrabiego — pisze wzmiankowany manuskrypt — wywołało dla niego wielką niechęć całej rodziny Łubieńskich. Głównym przedstawicielem tej złej woli dla margrabiego był Leon Łubieński. Kiedy p. Andrzej Zamoyski w imieniu członków redakcji „Roczników gospodarstwa krajowego” otrzymał pozwolenie na założenie Tow. rolniczego, zaprosił 60 obywateli, w kraju wybitniejsze stanowiska zajmujących, ażeby przybyli do Warszawy w celu założenia tegoż Towarzystwa. Oczywiście w tem zaproszeniu nie pominął margrabiego Wielopolskiego, jako męża wielkich zdolności, nauki i znaczenia w kraju. Margrabia miał zamiar przybyć na zaproszenie Zamoyskiego. Powóz był wypakowany, konie pocztowe zamówione. Ale margrabia w nocy zachorował na grypę i silną gorączkę, wstać z łóżka nie mógł. Wysłał zaraz sztafetę do syna Zygmunta do Warszawy i posłał mu list do p. Zamoyskiego, w którym oświadcza, że boleje nad tem, że dla choroby przybyć nie może, ale prosi, żeby w jego zastępstwie syn Zygmunt do obrad nad przyszłym Towarzystwem rolniczem przyjętym został. Zygmunt Wielopolski list ojca w czasie obrad przesłał p. Zamoyskiemu i prosił o odpowiedź. Leon Łubieński, który z każdej okoliczności korzystał, ażeby szkodzić Wielopolskiemu, wystawił p. Zamoyskiemu, że Zygmunta do obrad przyjąć nie można, i jako jedyny motyw, bo innych nie było, podał, że Zygmunt przez lat kilka służył w wojsku rosyjskiem. Jednocześnie Stanisław hr. Kossakowski, wezwany na obrady, leżał obłożnie chory na pedagrę i z listem, w zastępstwie swoim, przysłał syna, młodzieńca osiemnastoletniego. Również jakiś obywatel z Augustowskiego, nie mogąc na zaprosiny p. Zamoyskiego przybyć, w zastępstwie swoim przysłał swego sąsiada. Młode-

Zamoyski, wybrany prezesem Towarzystwa z mocy swej władzy, nie przyjął Zygmunta Wielopolskiego, jako zastępcy ojca, do grona założycieli, co było krokiem niesłusznym i niesprawiedliwym, wobec tego, że wiele osób tak samo jak margrabia zrobiło. Zamoyski, który zawsze był niezmiernie drażliwy na głos opinii publicznej, który chciał, by członkowie jeżeli już nie całego Towarzystwa, to przynajmniej jego założyciele nie mieli na sobie żadnych zarzutów, byli szanowani przez opinią, nie chciał Wielopolskiego wprost dlatego, że był przez kraj nielubiany i nie cieszył się mianem dobrego Polaka. Poza tem, leżała w tem wszystkim jeszcze zapewne fatalna osobista niechęć ku margrabiemu, owoc odrębności poglądów na sprawę ojczystą, owoc zresztą ambicyi niepopartej wielkim rozumem i zazdrość wobec potęgi umysłowej, jaką był Wielopolski. Zapytywany Zamoyski, dlaczego odrzucił Zygmunta Wielopolskiego, miał wyrzec, że dlatego, iż podczas wojny sewastopolskiej, ten ostatni nosił mundur rosyjski. Ale czyż on jeden tylko go nosił? czyż nie było tam innych z niemniej głośniami historycznymi imionami? Wśród takich okoliczności członkowie redakcyi „Roczników gospodarstwa krajowego”, i zaproszeni przez nich obywatele, zbrali się w d. 16 Stycznia 1858 r. w Warszawie, i uroczyście, o godzinie 12tej w południe zawiązali Towarzystwo w sali posiedzeń Okręgu naukowego warszawskiego, której na ten cel udzielił im Muchanow, gorliwie całą tą sprawą się zajmujący. Namiestnik Gorczakow na zebraniu nie był z powodu słabości. Po solennem nabożeństwie w kościele P. P. Wizytek, posiedzenie zagał Muchanow mową witającą nowe Towarzystwo. Ukaz odczytał Gudowski, Dyrektor kancelaryi Komisji spraw wewnętrznych. Potem przemówił arcybiskup Fijałkowski.

Najważniejszą jednak była mowa Andrzeja hr. Zamoyskiego, jako redaktora „Roczników”. Streszczała ona w sobie cały program partyi Klemensowczyków. „Kształćmy się, mówił, pracujmy pilnie, bo obszar obowiązków rolnika, u nas zwłaszcza, jest niezmierny. Nauka daje środki i poręcza skutki pracy. Człowiek bez zdrowych zasad, bez jędrnych pojęć, nie może mieć zdania; człowiek bez

go Kossakowskiego i owego pana z Augustowskiego, pan Zamoyski przyjął do obrad jako zastępców. Odczytał list margrabiego i oświadczył, że syna jego Zygmunta, jako zastępcę na miejsce ojca nie przyjmuje. Wykluczenie to Zygmunta Wielopolskiego było równie niesłuszne jak nieprzyzwoite. Wiktor hr. Ossoliński ostro wystąpił przeciwko temu postanowieniu p. Andrzeja, ale na próżno. P. Zamoyski kazał odpisać Zygmunutowi, że nie został przyjęty. Nazajutrz Zygmunt rozjątrzony tem nieprzyzwoitem wykluczeniem, chciał p. Zamoyskiego wyzwać na pojedynek. Ledwośmy go od tego kroku wstrzymali, wystawiając mu nierówność wieku. Zajście to skończyło się na tem, że p. Zygmunt napisał do p. Zamoyskiego list przyzwoity, ale z ostremi wymówkami. Margrabia słusznie rozgniewany zniewagą bez żadnej przyczyny uczynioną synowi, nie chciał się podać na kandydata i nie był nigdy członkiem Towarzystwa rolniczego, do końca jego istnienia”.

nauki kołowacieje, i zrażony upadkiem nie może pojąć przyczyn jego. Ziarno my rzucamy, ono tylko od nas zależy; Opatrzność jedynie daje żniwo, ale Bóg błogosławi służącemu z ufnością. Dziś dla każdego obywatela otwiera się nowe a obszerne jeszcze pole pracy, zasługi, na którym ku dobru powszechnemu obracać będzie mógł skuteczniej jak dotąd, doświadczenie i wykształcenie indywidualne przez siebie zdobyte”. „Pamiętajmy, mówił dalej, że nie instytucja rzecz stanowi; martwą by ona była, jeślibyśmy nie mieli przekonania, że nam trzeba być dojrzałymi, abyśmy wynikającym z instytucji obowiązkom, pracom i ciężarom sprostać potrafili i byli gotowymi. Nie ten bowiem jest wielkim, co to czyni, co sam chce, ale ten, co umie to czynić, co może... Obywatel każdy na swoim stanowisku, nie tylko jako ojciec rodziny i kolator parafii, jako pan włości, jako sąsiad i członek towarzyskiego koła, winien dawać z siebie przykład cnót chrześcijańskich obywatelskich, ale i jako część ogółu składowa, za postępowanie przed Bogiem i krajem odpowiedzialna, winien oprócz tego za święty uważać obowiązek czynne przykładanie się do dobra okolicy i kraju”. Zakończył jak następuje „...ocknijmy się, weźmy się do pracy, a poznamy, że walka z trudnościami ma swoją ponęę, dodam oraz zaletę; że choć te trudności nas najokropniej czasem zmogą, uchodzimy bez sromoty, a do najdrobniejszego postępu wielką przydają wartość i znaczenie. Ale niedość trudności pokonać, zwyciężyć, postąpić; postęp trzeba zabezpieczyć; postęp zaś i zwycięstwo tych tylko trwałym bywa udziałem, których czujna żarliwość, odwaga i gospodarna zabiegłość, zawsze stają na równi z wymaganiami obowiązków.

„Błyśnij swą łaską, o Panie!
Zwilż oschłość ducha swą rosą,
A serce z więzów powstanie,
Myśli się z mętów podniosą”.

Po mowach tych zajęto się pierwszymi wyborami. Prezesem Towarzystwa jednomyślnie wybrano Zamoyskiego, wiceprezesem Aleksandra hr. Ostrowskiego. Jednocześnie wybrano szesnastu członków komitetu, który pod przewodnictwem prezesa sprawami Towarzystwa miał kierować. Nazajutrz, o godzinie 5-tej po południu, w hotelu Angielskim, nowi członkowie Towarzystwa dali wystawny obiad dla Zamoyskiego, na który zaprosili Muchanowa. Osób było około sześćdziesięciu. Przy końcu tego obiadu rozegrała się charakterystyczna scena, wybornie malująca tak Zamoyskiego, jak i jego program. Muchanow, w przystępie szczególnego ożywienia, powstał i wznosił staropolski toast „kochajmy się”, wygłoszony po francusku (aimons-nous). Toast ten przyjęto grobowem milczeniem i oczy wszystkich zwróciły

się na Zamoyskiego, który ze swą nerwową, niemniej przeto nieruchomą twarzą angielską, podniósł się i rzekł spokojnie z lekkim uśmiechem: „tak, każdy u siebie” (oui, chacun chez soi). Brzmiało to wyraźnie nie chcemy was kochać, nie chcemy żadnego związku z wami, żadnego kompromisu, żadnej zgody, nic nie chcemy, tylko byćcie sobie poszli na złamanie karku.

Od chwili zawiązania Towarzystwa rolniczego, potrafiiono tak zręczną i tak silną rozwinać agitacją, że w ciągu miesiąca liczyło ono już 1200 członków, między którymi znaleźli się wszyscy nieomal znakomitsi i wybitniejsi mężowie kraju. W rok potem Towarzystwo miało 2.538 członków, a że każdy stowarzyszony obowiązany był wносить sto złotych rocznej opłaty, posiadało więc Towarzystwo znaczne fundusze. Zdołano tak wysoko w opinii postawić Towarzystwo, że nienależenie do niego, uważano za wstyd, budziło podejrzenie co do moralnej i politycznej wartości człowieka. Kto nie został członkiem tej instytucji, ten skazywał się sam na pewien rodzaj ostracyzmu, w wątpliwość podawał swój polski charakter polityczny. Wskutek tego każdy, kto tylko jakiegokolwiek miał prawa po temu, zapisywał się na członka nowego stowarzyszenia, które od razu, nieomal w dzień swego powstania, zajęło stanowisko moralnego przewodnika i reprezentanta kraju i jego interesów. Dla Zamoyskiego, dla Klemensowczyków, było teraz obszerne, a nade wszystko legalne pole, do wprowadzenia w życie swego programu, obmyślonego ściśle, wśród długich, smutnych dni Paskiewiczowskiej dyktatury. Na ogólnym zebraniu, które zaraz w Lutym się rozpoczęło, Zamoyski miał sposobność od czasu do czasu rzucić jakieś słówko, które z pośrodka rozpraw o nawozach i drenowaniu łąk, wystrzelało jak świetlista raca, oblewająca swym blaskiem szerokie horyzonty, i wskazująca pozbawionej steru nawie narodowej, bezpieczną drogę do portu zbawienia. „Szlachetna odwaga cywilna, wołał, nie zależy na wyzywaniu, na kuszeniu niewłaściwym, ale na pełnieniu obowiązku”. Słowa takie w społeczeństwie, które od dawna przestało pełnić swe obowiązki, które wśród ogólnego rozbicia nie wiedziało naprawdę co jest jego obowiązkiem, które spiskując, wyzywając i kusząc przemożnego nieprzyjaciela sądziło, że spełnia dobrą służbę ojczyźnie, słowa takie musiały wywierać i wywierały potężne wrażenie. Wrażenie to było tem silniejsze, że człowiek, który tak mówił, całym życiem swem świadczył o prawdzie tych słów; wierzone mu, czczono go i powoli zbliżała się chwila, w której miał zostać bożkiem narodowych marzeń i aspiracji. Zresztą popierali go Klemensowczycy gorąco. Pozbawieni przez długie lata wszelkiego szerszego publicznego zajęcia, zabrali się do pracy z niezwykłym w Polsce zapalem i wytrwałością, która od razu dała się uczuć w kraju całym. Działalność ich ogarnęła wszelkie zawody i gałęzie przemysłu, mające

jakikolwiek związek z rolnictwem. Urządzano wystawy rolnicze, konkursy i nagrody za najlepsze gospodarstwa nietylko folwarczne ale i włościańskie oraz za instytucje dobro ludu mające na celu; zakładano tzw. ochrony dla dziatwy chłopskiej, kształcono ochroniarki; tworzone dalej szkoły dla rzemieślników, wyznaczano stypendya, urządzano folwarki doświadczalne i laboratoria chemiczne, klasyfikowano grunta, wydawano dzieła specjalne i ludowe. Ustanowiono na ten cel wydział wydawniczy, który elementarne książki drukował w 15.000 egzemplarzy. Nie pominięto żadnego pola, choćby najdalszy i najluźniejszy miało ono związek z zadaniami Towarzystwa, byle tylko pole to mogło być korzystnie zużytkowane dla dobra kraju. Całe Królestwo podzielono na 77 okręgów rolniczych, i w każdym z nich znajdowało się trzech członków korespondentów, za pośrednictwem których, komitet znajdował się w ciągłych stosunkach z krajem, wiedział co się gdzie dzieje i jaki kierunek przybierają umysły. Od razu dało się uczuć w Królestwie, że ktoś myśli o losach ojczyzny, że jest jakieś ciało, które powoli spaja rozbite na części społeczeństwo, usiłuje nadać pewien jednolity kierunek jego działalności. Śmiało rzec można, że Towarzystwo rolnicze od samego swego początku poczęło wywierać na kraj wpływ przeważny i dominujący. Do tego wpływu przyczyniła się bardzo wiele niezamącona niczem harmonia i jednomyślność członków komitetu. Składał on się prawie wyłącznie z Klemensowczyków, ze zwolenników programu pracy organicznej, z ludzi stosunkowo dość zamożnych, którzy przebywali stale w Warszawie i posiedzenia swe prawie ciągle odbywali. Od razu między nimi wytworzył się ton koleżeńskiej poufałości, wzajemnej pomocy, wolnej od miłości własnej i wszelkiej próżności; przymioty, których nigdy żadne zbiorowe ciała polskie nie posiadały, a które wyrobiła dopiero ciężka szkoła paskiewiczowska, i to podniosłe, na wskroś idealne uczucie miłości kraju, jakie cechuje całe to pokolenie ofiarne niesłuchanie, ale też i niesłuchanie niepraktyczne w zakresie politycznym i marzycielskie.

Podczas kiedy w ten sposób Towarzystwo rolnicze w Królestwie brało powoli w swe ręce ster losów krajowych, nie mogąc jednak, w tej chwili przynajmniej, pracować nad rozwiązaniem najważniejszej kwestyi, bo kwestyi włościańskiej, która nie leżała w jego kompetencyi, na Litwie przez dziwny i jedyny w swoim rodzaju zbieg okoliczności, kwestya ta oddaną została, jakeśmy to już powiedzieli, w ręce szlachty polskiej. Fakt ten wywołał w umysłach ludzi znających charakter narodowy, głębiej myślących i pojmujących położenie, poważną obawę, czy w ogóle szlachta polska na Litwie, Podolu, Wołyniu i Ukrainie odpowie godnie temu zadaniu, czy zdoła czynem ofiarnym okupić winy swych ojców?

Jakoż, obawy te niestety! nie były płonne. Szlachta tamtejsza, przeważnie złożona z ludzi bardzo zamożnych, pielęgnowała nader starannie charakter wyłączości rodowej, do czego z jednej strony przyczyniały się wielkie, lesiste, na pół jeszcze dziewicze przestrzenie, a ztąd trudność przenikania idei postępowych; z drugiej ta okoliczność, że narodowość polska, z małym bardzo wyjątkiem, reprezentowała tam tylko też szlachta. Dwie te przyczyny spowodowały, że szlachta uważała się za kastę odrębną, wyższą, ściśle konserwatywną, zastygłą i zaśnieżoną w swych przesądach rodowych. Chłop ruski albo litewski, zgnębiony długą i ciężką niewolą, różniący się od szlachcica narodowością i religią, nie miał żadnych prawie pragnień i żadnych aspiracji, włócił życie nędzne, ciężkie i z pokorą uginał karku pod jarzmo szlacheckiej niewoli. Żywiol mieszczański bardzo nieliczny, przeważnie z żydów złożony, żyjący z tej szlachty, w niczem wpłynąć nie mógł na zmianę tych pojęć i tego położenia rzeczy. Stan urzędniczy, rekrutujący się w większej części z drobnej, zagonowej szlachty, był pokornym sługą panów polskich, i miał wszystkie wady złe płatnych i sprzedających urzędników rosyjskich.

Wszystko zatem, wszystkie warstwy ludności litewskiej przejęte były duchem szlacheckim. Samo Wilno nawet nosiło na sobie ten charakter. Na zimę zjeżdżały się tam zwykle zamożne domy obywatelskie i nadawały ton całemu życiu miejskiemu. Nazimow pozwolił na założenie klubu szlacheckiego, w którym bawiono się szumnie i przegrywano w karty ogromne sumy, krwawo zapracowane przez chłopą litewskiego i ruskiego. Sam zresztą bawić się lubiał. Co środę przyjmował u siebie, i na wieczorkach tych szlachta litewska tłumnie bywała. W karnawale 1857 r. odbywał się w Wilnie bal za balem, u Lubańskich, Umiastowskich, hrabiów Łopaczewskich, Platerów, u książąt Puzynów. W ostatnią niedzielę zapustną, Domeyko, marszałek gubernialny wileński, wydał bal na cześć Nazimowa. Bal ten, według słów miejscowego organu „Kuryera Wileńskiego”, był „jakby wyrazem podziękowania i wdzięczności publicznej ku temu, który nam powrócił wesołość”. W czasie postu, w salonach pałacu, niedys Masalskich, a dziś generał-gubernatorskim, przedstawiano na cel dobroczynny żywe obrazy, wyobrażające zaręczyny pana Chryzostoma Paska z panną Teresą Krosnowską. Błyszczały więc tam, w salach dygnitarza rosyjskiego, karmazynowe kontusze, lite pasy, dzwoniły karabele polskie. Dziwne czasy, pełne marzeń o jasnej przyszłości, która wkrótce, niestety! Zmienić się miała w czarną, długą, murawiewowską niewolę. Ta cecha polskości na Litwie, wszędzie, na każdym kroku dawała się teraz spostrzegać. Przebijała się ona mianowicie w sferach urzędniczych, których skład w znacznej większości był polski. Już ku końcowi panowania Mikołaja, Polacy prawie wyłącznie ogarnęli wszystkie urzędy na Litwie i Białorusi,

tak w wydziale skarbowym, jak i w administracji, sądownictwie i szkole³¹, stanowiąc siedm dziesiątych ogólnej cyfry, nadając tym sposobem całej maszynie urzędowej charakter przeważnie polski.

Ten stan rzeczy zwrócił na siebie uwagę metropolity litewskiego prawosławnego, osławionego renegata Józefa Siemaszki. W ostatnich dniach panowania Mikołaja, mianowicie w d. 5 Stycznia 1855 r. Siemaszko wystosował do prokuratora synodu w Petersburgu, hrabiego Protasowa, obszerny raport, w którym jaskrawymi kolorami odmalował położenie i starał się przekonać władzę, że takie przepelnienie urzędów Polakami, grozi poważnem niebezpieczeństwem interesom państwowym z jednej, a prawosławiu z drugiej strony.

„Któż może wątpić, pisał, że stronnictwo polskie, tworząc tak silną przewagę w tym kraju, nie ma na widoku terażniejszych wypadków? Nie sądzę, by stronnictwo to miało dość środków dla zaniepokojenia rządu, ale wobec przypuszczalnej koalicji państw zachodnich przeciw Rosyi, czyż nieprzyjaciel nie znajdzie w tym kraju gruntu zupełnie przygotowanego? Czyż rząd posiada broń, którą mógłby działać skutecznie tutaj i stawić czoło wszelkim kolejom wojny? Kwestya ta zasługuje, by się nad nią zastanowiono”.

„Nie idzie tu o los metropolity, pisał dalej, ani o los ludności prawosławnej, siedm kroć sto tysięcy dusz liczącej, tem mniej nie zastanawiam się nad tem, że może byłoby przyjemniej i łatwiej dla tych, którzy stoją tu na czele rządu, połączyć się ze stroną bogatą, potężną i wpływową; nie w tem wszystkim leży rdzeń kwestyi; ja pragnę tylko otrzymać od rządu to, by ludność ruska i litewska, dziesięć milionów dusz licząca, osiadła w guberniach zachodnich, nie zesła z drogi obowiązku wobec wypadków, jakie mogą nadejść i była zabezpieczona od zaraźliwych wpływów cudzoziemczyzny”.

Raport ten, pełen przesadnej gorliwości renegata, który chce być bardziej katolickim niż sam papież, pełen dotkliwych przycinków dla Nazimowa, oskarżający wprost o zdradę państwową całą ludność katolicko-polską na Litwie, nie miałby zapewne żadnych dalszych następstw wobec zaszłej wkrótce śmierci Mikołaja i zmiany panującego, gdyby nie to, że kopią jego przesłał Siemaszko metropolicie moskiewskiemu Filaretowi. Ten w odpisie zakomunikował raport Nazimowowi z jednej strony, a z drugiej przypomniał o nim komu należy w Petersburgu³².

31 Podajemy tu niektóre cyfry, wyjęte z raportu Siemaszki, o którym niżej będziemy mówili. W izbach skarbowych wileńskiej i grodzieńskiej na 14 urzędników, 12 było Polaków: na 37 asesorów, 32 było Polaków; na 12 naczelników wydziałów. 10 Polaków; na 41 nadleśnych, 33 Polaków. W administracji gubernialnej na 95 urzędników, było 84 Polaków. W sądownictwie na 105 urzędników, było 118 Polaków.

32 Nazimow wyczytawszy w raporcie takie zdanie „że może byłoby przyjemniej i łatwiej dla tych, którzy stoją tu na czele rządu, połączyć się ze stroną bogatą, potężną i wpływową”, co znaczyło, że nowy generał-gubemator sprzyja Polakom, odrazu stanął z Siemaszką na sto-

Wskutek tego w d. 2 Lutego 1855 r. wyszedł rozkaz do władz trzech gubernij litewskich, ażeby odtąd wszystkie stanowiska urzędowe były powierzane „wyłącznie osobom pochodzenia rosyjskiego”, a gdyby to nie było możliwem, to przynajmniej ludziom znanym ze swej lojalności względem rządu. Polecono, by natychmiast zamianowani byli na stanowiska gubernatorów, wicegubernatorów, prokuratorów, członków sądów powiatowych, komisarzy policji (sprawników) i poczmistrzów, tylko Rosyanie. Nakazano, by Polacy chcący dalej służyć tranzlokowani byli na takżeż urzęda do Rosyi. Ustanowiono na koniec zasadę, że Polacy urodzeni w trzech guberniach litewskich, nie mogą tam otrzymać żadnego urzędu, dopóki nie przesłużą dziesięciu lat w Rosyi lub nie mają stopnia oficerskiego, i jeżeli nie odznaczają się przytem wszystkiem jak najlojalniuszem usposobieniem (błagonadzieżność). Przepisy te, pełne ducha nienawiści, szkodziły najbardziej samemu rządowi, gdyż administracya litewska, złożona z Polaków, bądź co bądź była bardzo lojalna w zakresie swych obowiązków urzędowych i w niczem interesom państwowym szkody nie przynosiła. Podobnie jak w Królestwie Polskiem, tak i na Litwie, ciało urzędnicze, złożone w większej części z drobnej, ubogiej szlachty, szukającej na drodze służby rządowej utrzymania i karyery, bardzo dbało o swe miejsca, a pozbawione wyższego wykształcenia, widziało w machinie rządowej najwyższy wyraz rozumu ludzkiego. Dobrzy Polacy, gorący nawet patrioci w domu, w czterech ścianach swego pokoju — w biurze byli jak najgorliwsi, jak najlojalniuszymi urzędnikami, pilnującymi ściśle przepisów, praw i korzyści rządowych. Byli to ludzie w ogromnej swej większości uczciwi, ale ciasne głowy; znali przytem swój kraj, a długoletnia służba zrobiła z nich rutynowanych, wybornych urzędników. Pozbawienie więc chleba takich ludzi, którzy nic innego robić nie umieli, tworzyło najprzód liczną klasę malkontentów, a następnie wprowadzało zamęt w administracyą kraju, co w każdym razie szkodę tylko samemu rządowi przynieść mogło. Sprowadzanie na miejsce urzędników polskich, rozmaitej zbieraniny z głębi Rosyi, ludzi nie mogących we własnej ojczyźnie znaleźć zajęcia, nie znających kraju, jego charakteru, praw i zwyczajów, zamęt ten jeszcze bardziej zwiększyć mogło.

pie zbrojnego, że tak powiemy pokoju i nieustannej podziemnej wojny. Zabawna przytem zdarzyła się okoliczność, która tej nieprzyjaźni nadała osobliwszy charakter. Nazimow otrzymawszy od Filareta kopią raportu, schował ją do biurka w swoim gabinecie. Wkrótce potem cały raport ukazał się w „Kołokole” Londyńskim, ze zjadliwymi dopiskami Hercena, dotyczącymi boleśnie Siemaszkę. Pokazało się, że raport zniknął z biurka Nazimowa, a Siemaszko był jak najmocniej przekonany, że nie kto inny tylko sam generał-gubernator przesłał Hercenowi to pismo.

Na szczęście poglądy Siemaszki na tę sprawę, nie znalazły odgłosu w Nazimowie, do czego zapewne przyczyniła się osobista niechęć, jaką czuł generał-gubernator wileński do metropolity litewskiego. Pod tym względem poparł go generał-gubernator kijowski, popierała ogólna opinia w Rosyi, głośno się odzywająca, że czas już skończyć z polityką nienawiści względem Polaków; że taka polityka rodzi tylko gorzkie i zatrute owoce, że raczej należy się chwycić innej drogi, drogi łask, miłości, ustępstw, gojenia ran, drogi liberalnych ustaw, praw dla wszystkich jednakowych. W tym duchu wysłano z Kijowa do rządu przedstawienie, mówiące, że przenoszenie urzędników z jednych miejsc na drugie, połączone jest z mnóstwem trudności; że można w zasadzie oddawać urzęda przeważnie ale nie wyłącznie Rosyanom; że tylko w takim razie należy usuwać Polaków, jeżeli „okażą się nielojalnymi lub też niedbałymi na swych stanowiskach urzędowych”. Nazimow ze swej strony twierdził, że rozporządzenie o usuwaniu Polaków z urzędów może być „bardzo szkodliwym”. Rezultatem tych przedstawień było to, że ukaz cesarski, wydany w dzień koronacji d. 7 Września 1856 r. zniósł zakaz z d. 2 Lutego 1855 r. „Przy obsadzaniu posad służby cywilnej osobami urodzonymi w guberniach zachodnich, mówi ukaz, i przy translokacji ich z jednego miejsca na drugie, lub z jednej do drugiej dykasteryi, należy zachowywać te tylko ogólne przepisy, które zostały wydane dla wstępujących do służby wszystkich poddanych innych gubernii”. Tym sposobem ukaz znosił ów bezsensowny warunek, że Polacy mogą być przyjmowani do urzędów na Litwie dopiero po odbyciu dziesięcioletniego, że tak powiemy, nowicyatu w Rosyi. Ograniczenie co do Polaków utrzymało się tylko w szkołach, a mianowicie, że nauczycielami historii mogli być wyłącznie Rosyanie, ale i ten przepis wkrótce został zniesiony przez rozporządzenie z d. 2 Marca 1857 r., przyczem rząd przyznał się z naiwną otwartością, że czyni to dlatego, iż „nie może znaleźć zdolnych kandydatów między Rosyanami na te posady”, że zatem można je powierzać mieszkańcom guberni zachodnich. Wszystko to usposabiało ogół litewski, podobnie jak w Królestwie, jak najlepiej dla młodego cesarza, od którego wyglądało lada chwila potopu łask, ustępstw, uznania Litwy i Białorusi za ziemię polską. Eustachy hr. Tyszkiewicz, posiadający znaczne dobra w wileńskim, niegdyś oficer armii rosyjskiej, dał w tym czasie 25.000 rs. na rzecz ranionych żołnierzy w kampanii krymskiej. Czasy były tak miękkie, tak skłonne do zgody, do różowego poglądu na wzajemny stosunek Rosyi do Polski, że opinia publiczna ofiarę tę uważała za stosowną i nie ochrzciła Tyszkiewicza mianem zdrajcy i zaprzańca, jakby to kiedy indziej i w innych warunkach bez wątpienia była uczyniła³³. Cesarz

33 „Wiadomości polskie” czasopismo wychodzące w Paryżu pod redakcją Wrotnowskiego, Kalinki i Klaczki, same jedne potępiły Tyszkiewicza za tę ofiarę.

kazał Tyszkiewiczowi za to podziękować, a on korzystając z tego wyjednał pozwolenie na założenie Muzeum archeologicznego w Wilnie, którego początkiem stały się znaczne i kosztowne zbiory, jakie sam posiadał, a które, gdy się w r. 1858 odwołano do publiczności, urosły do trzech tysięcy numerów, oprócz monet, medali i dzieł sztuki. Cesarz ze swej strony przyrzekł dawać rocznie tysiąc rubli na koszt administracji.

Muzeum to miało charakter wyłącznie polski, i wyraźnie, naocznie mówiło o tem, że Litwa i Białoruś to Polska. Mowa, jaką miał Tyszkiewicz przy uroczystem zagajeniu posiedzenia członków Muzeum w d. 11 Lutego 1857 r. była możliwą tylko w tych czasach osobliwszych, w czasach brzemiennych płodem niedoli, w czasach, w których wszystko się uśmiechało, wszystko zapowiadało dni pogodnej ciszy i zgody dwóch narodów, dwóch plemion słowiańskich. Jakże dziwnie dziś w ustach polskich, jak nieprawdopodobnie brzmiałyby takie słowa, jakie wypowiedział wtedy Tyszkiewicz... „Oto są, panowie moi, wołał, przekonywujące dowody, że w nasze czasy, pod berłem potężnego Aleksandra II-go, przy dobroci jego serca i miłości oświaty, i w naszej prowincyi osoby prywatne mogą skutecznie pracować na korzyść ojczyzny, dawać rozwój naukom i sztukom i ułatwiać zbadanie tak ważnej dla wszystkich narodów, a tem ważniejszej dla nas księgi krajowych losów. Błogosławioną niech będzie godzina, w której ukochanemu naszemu monarsze spodobało się ziścić nasze dawne nadzieje”. Gdyby wśród ówczesnych słuchaczy tej mowy, znalazł się był jaki jasnowidzący i w ową „błogosławioną chwilę” Tyszkiewiczowską zajrzał w przyszłość, w dni krwawych saturnalii Murawiewa, w dni jego ukazów, zabraniających nawet mówienia po polsku na ulicach Wilna, jakżeby został zdziwiony tragicznym kontrastem dziejowym!

Takie mniej więcej było usposobienie szlachty polskiej na Litwie, gdy została powołaną do dania przykładu całej Rosyi w sprawie usamowolnienia chłopów. Jakaśmy już powiedzieli, potworzyły się zaraz komitety szlacheckie w Wilnie, Grodnie, Kownie, Mińsku, Mochilewie i Witebsku i zajęły się debatami w tej kwestyi. Obawy powzięte przez ludzi znających szlachtę litewską, czy zdoła ona stanąć na wysokości swego zadania, nie były, powtarzamy, nieuzasadnionem. Komitet wileński, zwany Lipcowym, dlatego, że się w Lipcu 1857 r. zawiązał, dał pierwszy powód do pewnych wątpliwości, czy szlachta litewska zdoła spłacić ciężki dług zaciągnięty na weksel przyszłości krajowej. Komitet ten, pod prezydencją marszałka gubernialnego Domeyki, składał się z siedmiu marszałków powiatowych i dwudziestu trzech deputatów od szlachty, razem z trzydziestu jeden osób, samych luminarzy szlacheckich wileńskich, samej kremy obywatelskiej. Tak nieliczna grupa ludzi, zdawać by się mogło najrozumniejszych w danej guberni i pojmujących położenie kraju

i całą ważność tego momentu dziejowego, nie zgodziła się jednak od razu na stanowcze rozwiązanie sprawy chłopskiej. Większość, złożona z szesnastu osób, żądała zupełnego usamowolnienia włościan; mniejszość razem z prezesem Domeyką w liczbie ośmiu osób, między którymi był marszałek lidzki Butkiewicz, uparcie się temu sprzeciwiała, milcząco popierana przez sześciu członków, którzy naprawdę nie wiedzieli czego chcieli, którzy stanowili coś w rodzaju „bagna”, słynnego w posiedzeniach Konwencji francuskiej. Hrabia Rajnold Tysenhaus znowu, stał na uboczu, nic nie mówił, nie głosował i czekał, na czyją stronę przeważą się szala. Szala ta jednak, pod lekkim ale decydującym naciskiem Nazimowa, który baczność miał zwrócić uwagę na to, co się działo w komitecie i któremu szło o to, by reforma przeszła, przeważała się na stronę zwolenników usamowolnienia, ale bądź co bądź opór, jaki stawiała prawie połowa członków, świadczy, że szlachta ówczesna wileńska nie rozumiała swego i kraju położenia i żywiła najgorsze instynkta, że w pojęciach swoich nie wyszła jeszcze poza średniowieczną miedzę.

W komitecie włościańskim mochilewskim nie obyło się także bez upartej walki między stronnikami i przeciwnikami reformy. Wprawdzie na pierwszych zaraz posiedzeniach większość członków oświadczyła się za wyzwoleniem chłopów, ale mniejszość wystąpiła z silną opozycją, która do tego stopnia się posunęła, że zarzuciła większości, jakoby nie była wyrazem opinii publicznej, co by dawało bardzo smutne świadectwo całej prowincji. Na to, niejaki Karol Dunin, człowiek młody i gorący, odrzekł, że został wybrany przez swych współobywateli, że wprawdzie ma obowiązek zdać przed nimi rachunek z tego co tu mówi i czyni, ale pamięta także, iż i tysiące ludu mają prawo upomnieć się o to u niego. W rezultacie atoli, po długiej i gorącej walce, liczba stronników reformy malała, aż w końcu przeciwnicy jej zwyciężyli i komitet oświadczył się stanowczo przeciw oswobodzeniu chłopów z pod supremacji szlacheckiej. Później dopiero pod naciskiem opinii, prądów gorących liberalizmu, ożywiających najbardziej skostniałe ciała, Mochilewszczyzna starała się pierwotne swoje postanowienie zmienić. Wpadając z jednej ostateczności w drugą, chciano włościan nie tylko usamowolnić, ale od razu uwłaszczyć. Większość jednak oparła się temu. Oświadczone się za usamowolnieniem chłopów, co zaś do obdarzenia ich ziemią, uznano za konieczne odłożyć rzeczy na lat cztery jeszcze. Uchwała ta, odnośnie do emancypacji ludu, wzbudziła w zacofanych przed chwilą członkach komitetu tak wielki entuzjazm, że chowali troskliwie pióra, które podpisali rzeczoną decyzją „by jako najdroższą pamiątkę przekazać swym następcom”.

Komitety: Grodzieński (marszałek Orzeszko) i Kowieński (marszałek Alfred Czapski) uchwałyły jednomyślnie „że nie widzą innego sposobu ulepsze-

nia bytu włościan, jak przez nadanie im wolności, to jest od oswobodzenia ich od poddaństwa i pańszczyzny, przy pomocy oczynszowania wieczystego³⁴.

Oświadczenia te komitetów litewskich, odpowiadały w zupełności pragnieniom rządowym. Nazimow zadowolony z tego, dumny, że przeprowadził na Litwie to, czego wola carska nie mogła przeprowadzić w Rosyi, kazał spisać decyzje komitetów w formie adresu do cesarza i we Wrześniu 1857 r. udał się z tymi dokumentami do Petersburga i wręczył je monarsze osobiście, który na nie niecierpliwie oczekiwał.

Wskutek tego, w dwa miesiące później, bo d. 20 Listopada 1857 r. (n.s.) ukazał się reskrypt cesarski, datowany z Carskiego Sioła, do generał-gubernatora kowieńskiego, grodzieńskiego i wileńskiego, rozpoczynający erę najpoważniejszej i najdonioślejszej reformy społecznej, jaka w Rosyi od czasu Piotra Wielkiego się odbyła. Jakikolwiek przyczyny na to się składały, jakie czynniki przez rząd użyte zostały, przyznać wszelako należy, że początek tej reformy wyszedł z łona szlachty polsko-litewskiej; że szlachta rzeczona w ogromnej swej większości chętnie i z dobrą wolą uchwyciła projekt reformy i przeprowadziła ją gorąco i sumiennie. Jeszcze podczas koronacji w Moskwie, Stefan książę Lubomirski, posiadający dobra na Litwie, przedstawiał cesarzowi gwałtowną potrzebę uregulowania w tej prowincyi stosunków włościańskich, na podstawie zupełnej emancypacji chłopca. Rosya i jej rząd prędko o tem zapomnieli, i wśród nienawiści politycznych, które niestety! tak szybko po tych dniach wybuchnąć miały, czynił ten rząd z cynizmem godnym ze wszech miar potępienia, zarzut szlachcie, że uciskała chłopca i nie chciała go nigdy usamowolnić. Że stosunki między szlachtą i chłopem na Litwie były złe i krzyczące, temu zaprzeczać nie można, ale fakt zawsze pozostanie faktem, że szlachta z chwilą gdy rząd na to pozwolił, chętnie wzięła się do reformy, nie tyle może z poczucia potrzeby cywilizacyjnej i społecznej, ile z poczucia patryotycznego, że przez ten krok dobrze zasłuży się swej polskiej ojczyźnie. Takie bowiem były pobudki tych wszystkich, którzy w komitetach litewskich żarliwie popierali i bronili sprawę usamowolnienia chłopca, pobudki nader podniosłej natury, by zasługiwać mogli, nawet ze strony Rosyan, na jakiekolwiek zarzuty.

Reskrypt cesarski zaznaczywszy, że w guberniach litewskich ustanowione były osobne komitety, złożone z marszałków szlachty i innych obywateli ziemskich, mające na celu przejrzenie przepisów o powinnościach inwentarzowych, powiada „Obecnie minister spraw wewnętrznych zawiadomił mnie o błogich zamiarach, wynurzonych przez też komitety, względem włościan dóbr pry-

34 Projekt ten podał delegowany kowieński Jakób Giejsztor; popierali go Klety Burba, Walenty Janczewski, Jan i Zygmunt Grużewscy, Szymon Syruć, Franciszek Ledóchowski, Franciszek Gedgowd i Tytus Gacher.

watnych pomienionych trzech guberni. Pochwalając w zupełności zamiary tych reprezentantów szlachty guberni Kowieńskiej, Wileńskiej i Grodzieńskiej, jako zgodne z mymi widokami i chęciami, upoważniam ich do ułożenia odpowiednich projektów, z zastrzeżeniem jednakowoż, aby ich urzeczywistnienie stopniowo spełnianem było, a przez to nie wprawiało w zamieszanie urzędzeń ekonomicznych, obecnie obowiązujących w dobrach szlacheckich”. Po tym wstępie reskrypt poleca, ażeby w każdej z rzeczonych guberni ustanowiony został jeden komitet przygotowawczy, w Wilnie zaś komisya ogólna, w skład której wejść mają dwaj członkowie każdego komitetu gubernialnego i jeden doświadczony obywatel z każdej guberni oraz członek ministerium spraw wewnętrznych w charakterze komisarza rządowego. Prezydującym ma być jeden z członków ze szlachty miejscowej. Komitety gubernialne składać się zaś mają, najprzód z marszałka gubernialnego szlachty, który ma prezydować i deputatów, wybranych przez szlachtę z każdego powiatu oraz dwóch doświadczonych obywateli ziemskich teje guberni, wyznaczonych przez gubernatora.

Zadaniem komitetów gubernialnych będzie ułożenie projektu polepszenia bytu i urzędzenia włościan w danej guberni, na podstawach następujących: 1) Obywatele mają zachować prawo własności do całego gruntu, chłop zaś ma otrzymać zagrodę, w której mieszka, i wartość jej spłacić przy pomocy wykupu na lata rozłożonego. Prócz tego chłop ma otrzymać należyty obszar roli, z której mógłby się utrzymać, pełnić obowiązki względem państwa i z której winien płacić czynsz lub odrabiać pańszczyznę; 2) Chłopi mają być podzieleni na gminy wiejskie, przy obywatelach zaś pozostaje prawo politycy dominialnej; 3) Przy urządzaniu włościan, komitety mają baczną zwrócić uwagę na to, by opłata podatków skarbowych była należycie zapewniona. W zakończeniu reskrypt cesarski powiada „stawiając w ten sposób szlachtę guberni Kowieńskiej, Wileńskiej i Grodzieńskiej w możności urzeczywistnienia jej błogich zamiarów na wskazanych przeze mnie zasadach, mam nadzieję, że szlachta odpowie zupełnie zaufaniu, jakiego daję temu stanowi dowód, przez powołanie go do udziału w tej ważnej czynności, i że przy pomocy Boskiej i przy światłem współdziałaniu szlachty, czynność ta dokonaną zostanie z należytem powodzeniem. Wy (tj. generał-gubernator) i naczelnicy powierzonych wam guberni, powinniście ściśle przestrzegać, ażeby włościanie, okazując obywatelom zupełne posłuszeństwo, nie dawali względu (sic) na żadne przewrotne podszepty lub rozumowania”.

Takie były podstawy usamowolnienia chłopca na Litwie. Nie otrzymywał on roli na własność, ale stawał się czynszownikiem lub pańszczyźnianym, to jest wchodził w ten stan, w jakim od lat kilkudziesięciu z małemi różnicami

znajdował się chłop w Królestwie Polskiem. Był to jednak niezmiernie ważny krok naprzód. Z niewolnika, jakim był chłop na Litwie, z którym pan mógł wszystko zrobić, zabić różgami, zesłać na Sybir, oddać w rekruty, posłać, jak w Pińszczyźnie, w olbrzymie puszcze leśne, by tam smołę palił i nigdy już poza granicę borów nie wyjrzał, chłop ten stawał się teraz człowiekiem osobicie wolnym, trzymającym tylko od pana rolę w dzierżawie, z której czynsz płacił lub pańszczyznę odrabiał. Jakkolwiek policja dominialna oddana była w ręce szlachty i dawała tej ostatniej znaczną władzę nad chłopem, wszelako powtarzamy, był to już znaczny postęp, znaczna reforma tych okropnych, oplakanych stosunków, w jakich się znajdowała wieś litewska.

Podczas gdy z mocy reskryptu cesarskiego organizowały się w zimie z 1857 na 58 rok komitety szlacheckie, do ludu, do tego chłopu uciśnionego, drzemiącego niezdrowym snem w swej długiej, wiekowej niedoli, poczęły dochodzić różne wieści, oczywiście bardzo przesadzone, nieprawdopodobne, oparte na tem przypuszczeniu, że rząd, a właściwie cesarz chce chłopów usamowolnić, obdarzyć ziemią, ale szlachta się temu opiera. Tu i owdzie dawały się słyszeć pogrożki, były objawy sporadycznego nieposłuszeństwa lub nawet oporu. Jakkolwiek fakta te nie przybrały nigdzie szerszych rozmiarów, były odosobnione i w ogóle nie miały żadnego donioślejszego znaczenia, jednakże zdradzając pewne początki wzburzenia umysłów między chłopami, przeraziły z jednej strony szlachtę, z drugiej rząd. Temu ostatniemu wiele na tem zależało, by reforma przeszła spokojnie i bez wstrząśnień, najprzód dla tego, że państwo po ostatnim sewastopolskim upuście krwi, było bardzo słabe, a zaczynając się reorganizować, resztki swych sił obracało na tę reorganizację, a potem, że wszelkie zaburzenia chłopskie dawały broń do ręki licznym przeciwnikom usamowolnienia włościan. Ztąd to w reskrypcie z d. 20 Listopada do Nazimowa, cesarz polecał mu baczność, by chłopci nie dawali ucha „przewrotnym podszeptom lub rozumowaniom”, by czuwał nad porządkiem i posłuszeństwem chłopów względem szlachty.

Gdy więc doszła do Nazimowa wiadomość o „buntowniczym” usposobieniu chłopów w niektórych stronach kraju, przeraził się tem mocno i natychmiast wydał w d. 20 Grudnia 1857 r. „rozkaz dzienny” do podległych sobie władz, ażeby chłopów nie chcących robić na roli pańskiej, oddających się próżniactwu i pijaństwu, karano cielesnie. Polecał, by uwiadomiono włościan, że szlachta zajęta jest obecnie polepszeniem ich losu, że o wszelkich rozporządzeniach rządu będą zawiadomieni przez policję miejską i ziemską, że zatem nie powinni słuchać żadnych przewrotnych podszeptów, zostawać w zupełnym posłuszeństwie swoim panom; groził, że najmniejsze naruszenie porządku i spokojności ściągnie na występnych surową odpowiedzialność.

Oczywiście chłopci umilkli, choć bądź co bądź nie przestały między nimi krążyć różne, mniej lub więcej prawdopodobne wieści, mające może źródło w tych przeczeniach, jakie niekiedy pojawiają się w masach. W powietrzu, że tak powiemy, czuć było zbliżające się wielkie wypadki, a ognista, przez długi czas widzialna w lecie tego roku kometa na zachodzie, zdawała się zwiastować w zabobonnej wyobraźni ludu, jeżeli nie koniec świata, o którym mówiono i naznaczano nawet termin (13 Czerwca 1857 r.), to przynajmniej zapowiedź niezwykłych wypadków i klęsk. „Rozkaz dzienny” Nazimowa, głoszący, że rząd i szlachta zajęta jest polepszeniem losu chłopskiego, potwierdzając niejako powszechne pogłoski, tłumiąc groźbą kar zewnętrzne objawy, nie przyczynił się jednak do uspokojenia umysłów chłopskich, które z dręczącym niepokojem oczekiwały przyszłych zdarzeń.

Wśród takiego stanu umysłów, komitety włościańskie szlacheckie, stosownie do reskryptu cesarskiego poczęły się organizować. Komitet gubernialny wileński został otwarty uroczyście przez samego Nazimowa w d. 2 Marca 1858 r. w rocznicę objęcia berła przez cesarza Aleksandra II-go. Nazimow wystąpił z wysoce charakterystyczną mową, w której między innymi powiedział: „z godnością i światłą wiedzą odgadując potrzeby rodzinnego kraju i stosując się do ducha czasu, wy panowie, pierwsi w całym państwie rosyjskim, oświadczyliście się ze szlachetną dążnością ku polepszeniu bytu, zostających pod waszą opieką włościan”; mówił, że nie wątpi, iż są przejęci ważnością tego zadania, że wierni swemu powołaniu „żeby pozostać najoświecenijszym, najszlachetniejszym i przewodniczącym stanem w państwie”, z miłością i bezstronnością rozstrzygną poddaną pod ich sąd kwestyą. Mowa była bardzo pochlebna dla szlachty polsko-litewskiej, ale jakże prędko Rosya o tem zapomniała, że też szlachta, „pierwsza w całym państwie rosyjskim”, oświadczyła się za usamowolnieniem włościan!

W Grodnie i Kownie także sam Nazimow zagajał posiedzenia komitetów, które wszystkie rozpoczęły swe czynności przed 15 Marca. O ile z początku w komitetach tych, przed wydaniem reskryptu cesarskiego, znajdowało się dość silne stronnictwo, przeciwne wszelkim reformom, o tyle teraz, wszyscy bez wyjątku byli za przeprowadzeniem sprawy w rozmiarach szerokich i stanowczych. Jeżeli byli jacy przeciwnicy, to ucichli i nie odzywali się wcale. W komitecie wileńskim marszałek powiatowy Tukałło wraz z deputatem Giecewiczem, odrzucając projekt reformy, tak jak go reskrypt cesarski z d. 20 Listopada określił, podali wniosek, ażeby chłopów wprost uwłaszczyć drogą dłuгоletniego wykupu nadanych im gruntów. Marszałek gubernialny Domeyko wniosek ten poparł i określił go bliżej. Chciał on, by chłop z nadanej mu roli płacił rocznie 23 ruble, tak żeby w przeciągu 33 lat został właścicielem.

Wnioski te zdradzały chęć stanowczego rozstrzygnięcia kwestyi włościańskiej, świadczyły o ogromnym przewrocie, jaki się dokonał odnośnie do tej sprawy w umysłach szlacheckich. Ten sam Domeyko, który jeszcze przed kilku miesiącami, nie chciał nawet myśleć o możliwości jakiegokolwiek reformy stosunków agrarnych, obecnie poszedł dalej niż tego żądał reskrypt cesarski, i odrzucając oczynszowanie, domagał się uwłaszczenia. Że na taki radykalny zwrot w umysłach wpłynęła bardzo wiele opinia publiczna i jej nacisk, zawsze bezwzględny, o tem wątpić nie można. Opinia ta objawiała się na wszystkich drogach, jakie tylko pozostawił narodowi rząd rosyjski do głośnego wypowiedania swych myśli. W większych miastach, jak Wilno, Grodno, Mińsk itd. ruchliwa klasa mieszczańska oświadczała się stanowczo i bez ogródki za tem, by raz skończono sprawę włościańską, a skończono ją tak, by już nigdy do niej nie potrzeba było wracać. Jak w Królestwie domagano się powszechnie niemal nie oczynszowania ale uwłaszczenia, tak samo i na Litwie, głos ogółu nie chciał obdarzenia chłopca tylko wolnością osobistą, ale obdarzenia go ziemią, zrobienia z niego właściciela ziemskiego, równego wszystkim obywatela. To przekonanie propagowane było nie tylko przez usta inteligencji krajowej, ale znajdowało swój wyraz w prasie, w literaturze³⁵, w teatrze, wszędzie jednym słowem, gdzie tylko głos ogółu mógł się otwarcie zmanifestować.

Bardzo czytane w sferach zamożniejszej szlachty pismo peryodyczne, wychodzące w Paryżu pod redakcją Elżanowskiego „Przegląd rzeczy polskich” wołało... „pamiętajmy o tem, że droga postępowania, jaką sobie szlachta obie-rze, jest ostatecznie obojętną dla włościan. Ich przeznaczeniem jest własność, która im się należy, i którą raz rozbudzeni, zdobędą sobie w jakibądź sposób: za dobrowolnem przyznaniem szlachty lub bez tego przyzwolenia, przez cara lub pomimo nawet cara. Jest to najważniejsza potrzeba chwili. Ale jeżeli ostateczny skutek jest w ręku włościan, to sposób osiągnięcia go z pożytkiem dla Polski, spoczywa w ręku szlachty i za to ona jest odpowiedzialną. Dwie są tylko drogi wytknięte w tej sprawie: jedna patryotyczna i zgodna z dobrze

35 W tym czasie napisana, choć wydana dopiero w r. 1859 broszura p. t. „Głos szlachcica”, daje wierny obraz szerzących się na Litwie przekonac. Autor domaga się nie tylko usamowolnienia lecz i uwłaszczenia chłopca i urzadzania gmin wspólnych, w skład których wchodziliby wszyscy mieszkańcy wiejscy, bez różnicy stanów. Przytem kreśli program pracy organicznej, osnuty na wzorach wziętych z Królestwa; pragnie więc założenia Towarzystwa rolniczego, szkółek ludowych itp. Autor przesiąknięty sentymentalnoidealnym duchem czasu, wierzy święcie w tryumf prawdy, tj. w oswobodzenie się polityczne dawnej Polski, choć z drugiej strony ostrzega przed nierozważnemi ofiarami, że obowiązek a nie uczucie winno nami rządzić. Wierzy on w reformy cesarza Aleksandra i nie widzi niepodobieństwa zgładzenia win przeszłości i wspólnego rozwoju dwóch szczepów słowiańskich. Chce jednak by Polska połączyła się z Rosją na zasadzie „równi z równymi”.

pojętym interesem terazniejszych właścicieli: druga nie polska, a więc szkodliwa nie tylko ojczyściej, ale i osobistej fortunie. Pierwszą drogą idąc, trzeba z całą szczerością szlacheckiej rezygnacji przyjąć za czyn dokonany to, co dziś lub jutro spełnić się musi, i podać braterską dłoń ludowi, odgadnąć jego głębokie życzenia bez zwłoki i targu, tak, aby uwierzył, że carskie ukazy są tylko słabem, wymuszonym echem społecznych reform, jakie odrodzona Polska przynieść może swojemu obywatelstwu. Na drugiej drodze jest opór, pozorna obojętność, lub bierne zachowanie się wobec rozporządzeń carskich i postanowień komitetów. Cóżby w takim razie nastąpiło, gdyby szlachta tę drugą drogę obrała? Rząd w myśl ogłoszonych ukazów zapewne nie będzie chciał zmuszać nikogo do odstąpienia więcej jak zapowiedział, a że to dla ludu jest niewystarczającym, przeto całą winę złoży na szlachtę, zastawiając się uporem i swojemi najlepszemi chęciami. Rząd stanie się w oczach ludu postępowym, a szlachta wsteczną. Role się zupełnie zmienią”.

Obok tych głosów, pozostających nie bez wpływu, zwłaszcza że dochodziły z zagranicy i wyrażały opinią pewnego odłamu emigracji, w kraju liczne i bardzo czytane powieści J.I. Kraszewskiego, malowały w jaskrawych barwach opłakane położenie chłopów ruskiego i litewskiego, ucisk straszny ciążyący nad nim, i wołały o rozcięcie raz tego wrzodu, zbierającego się na ciele polskiem i osłabiającego cały organizm narodowy. Syrokomla w swych nader popularnych i chciwie czytanych poezjach, niemniej silnie walczył za potrzebą rozwiązania kwestyi włościańskiej. Gdy tu i owdzie między szlachtą okazywali się ludzie zacofani i oporni idei wolności chłopów, „lirnik litewski”, jak nazywano poetę, napisał wiersz, piętnujący szlachecką hańbę. „Wstyd mi żem szlachcic, że mam herb w pieczęci”. Na punkcie emancypacji ludu, jakkolwiek byłyby przekonania polityczne różnych stronnictw krajowych, nie było dwóch zdań w ogromnej większości narodu. Jeżeli jedni na stosunki włościańskie uderzali ze stanowiska postępu, ze stanowiska niesprawiedliwości społecznej, w imię idei liberalnych, będących wówczas w modzie, to inni domagali się tego w imię przyszłego oswobodzenia kraju, w imię dobra ojczyzny, którą przekonani byli, dźwignąć może z niedoli tylko potężna dłoń chłopska, stara raclawicka kosa.

W ogóle, czy to kwestya włościańska, czy inne sprawy czysto politycznej natury, żywo zajmowały cały ogół polski, we wszystkich dzielnicach dawnej Rzeczypospolitej. Po długiej, sennej, śmiertelnej martwocie, odmalowanej tak charakterystycznie przez organ rosyjski „Nord”, „że kongres paryzki rzucił ostatnią garść ziemi na trupa Polski”, nastąpiło niezmiernie ożywienie w umysłach, zapowiadające szereg nadzwyczajnych wypadków i zdarzeń. Jakkolwiek w tej chwili niebo nad Polską było jeszcze czyste i spokojne, jednakże na skra-

jach horyzontu zbierały się posępne mgły, które groziły burzą, ulewnym deszczem, wichrem i piorunami. Czas już wielki, byśmy z kolei rzeczy zapuścili się w łono tych ołowianych, ciężkich chmur, które gdzieś, daleko jeszcze, w głębi obrazu przez nas malowanego, podnoszą się z otchłani przeznaczenia dziejowego i poczynają rzucać ponury cień na jasne i pogodne dotychczas oblicze Polski.

ROZDZIAŁ III

Stronictwo ruchu; Cesarz w Wilnie

Stronictwo ruchu i żywioły w skład jego wchodzące. Jego program. Zarzuty przeciw programowi pracy organicznej. Sprawa włościańska i czerwieńcy. Koła młodzieży na uniwersytetach rosyjskich. Trójki kijowskie. Koło Sierakowskiego i Dombrowskiego. Koło Jurgensa w Warszawie. Projekt Kronenberga przywrócenia uniwersytetu w Wilnie. Bractwa wstrzeźliwości w Królestwie i na Litwie. Zakaz Muchanowa i kary na duchowieństwo. Jenerał Ixkull i komitet włościański. Postanowienie Rady Administracyjnej o dobrowolnem oczynszowaniu. Zniesienie naczelników wojennych i reforma poczty. Wprowadzenie języka polskiego do szkół na Litwie. Cesarz w Mińsku i prośba szlachty witebskiej. Przygotowania do przyjęcia cesarza w Wilnie. Jego pobyt w Muzeum i wiersz Odyńca. Artykuł Chodźki. Mowa cesarza do szlachty wileńskiej. Bal szlachecki. Przyjazd cesarza do Warszawy. Książę Napoleon i ludność warszawska. Przyjęcie monarchów w Wilanowie. Memoryał Łempickiego. Zmiana w usposobieniu umyśłów. Sprawa żydowska. Wypadki w Turku. Polacy petersburscy i ich program. „Słowo” i jego zamknięcie. Gazeta Warszawska i żydzi. Kronenberg kupuje „Gazetę codzienną” i sprowadza J. I. Kraszewskiego. Opinia oburza się na niego. Kółko Akademików i Jan Kurzyna. Jego starcie z Jurgensem i „Millenerami”. Koło Narcyza Jankowskiego. Nabożeństwo za trzech poetów i jego skutki. Przyspieszenie egzaminów podlaskich. Młodzież podaje się o uwolnie z Akademii. Wygnanie Kurzyny i Jaśniewskiego. Zakończenie.

Podczas gdy Wielopolski, Jezierski, już teraz nieżyjący, i w ogóle ludzie trzeźwo patrzący na rzeczy, marzyli o odbudowaniu Królestwa konstytucyjnego pod opieką rządu rosyjskiego, po pierwszej jednak nieudanej próbie umilkli, czekając na lepsze czasy; — gdy Klemensowczycy z Zamoyskim na czele, śnili o szeroko zastosowanej pracy organicznej, która by wzmocnionej wewnętrznie Polsce pozwoliła odzyskać byt polityczny i granice dwóch mórz, i w tym celu rozkładając swą pracę na długie tempa, teraz znajdowali wyraz swych życzeń w Towarzystwie rolniczym; poza nimi stało jeszcze inne, nieokreślone, nie mające widocznych przewodników, niemniej przeto poważne swą liczbą i energią, stronictwo. Należeli do niego wszyscy młodzi ludzie, wychowani w niewoli mikołajowskiej, wykarmieni niezdrową literaturą emigracyjną i niezdrowszą jeszcze poezją romantyczną, przekonani, że „zgodnemi ramionymi” potrafią pchnąć na „nowe tory ziemskie kulisko”, urosli wśród spisków, nie ufający w niczem Rosyi i nie rozumiejący żadnej dłuższej pracy w celu oswobodzenia ojczyzny. Jak niegdyś, za

czasów Rzeczypospolitej, każdy szlachcic czuł się uprawnionym przez swe *liberum veto* zrywać sejmy, niszczyć najbawienniejsze uchwały, owoc długich prac i kłopotów, tak teraz każdy student, każdy młodzik z ławy szkolnej wypuszczony, świeżo wyszły z pod różgi ojcowskiej, czuł się w prawie psuć najpożądańsze prace narodowe, narażać na szwank los kraju przez swe *liberum conspiro*. Zawiażywano więc nieustanne spiski, których skutki mściły się najprzód na tych szalonych głowach, a potem na całym narodzie. Czasy były takie, że nikt tego zrozumieć nie chciał, że spiskowanie bez najmniejszej nadziei powodzenia, jest po prostu zbrodnią przeciw ojczyźnie, jest jej najoczywistszą zdradą. Przeciwnie, w opinii ogółu, w tej chorobliwej, rozdrażnionej, histerycznej opinii, spiskowcy uchodzili za dobrych Polaków, za bohaterów, za męczenników sprawy narodowej, których nazwiska niepowołani historycy emigracyjni, wpisywali do martyrologium narodowego.

Wprawdzie teraz, po śmierci Mikołaja, po kongresie paryzkim, nie spiskowano wcale, i rzecz szczególna, jedyna w naszych dziejach porozbiorowych, że przez parę pierwszych lat rządów Gorczakowa, nikt nie siedział w cytadeli warszawskiej w charakterze więźnia politycznego. Kraj zdawał się być tak cichy, że Gorczakow uznał za stosowne znieść nawet komisją śledczą, która, w tej porze absolutnie nic nie miała do roboty i tylko za darmo pochłaniała znaczne fundusze.

Istotnie w początkach panowania nowego cesarza, Polska zdawała się być nadzwyczajnie znużoną po ostatnich swych wysiłkach w 1846 r., po kampanii krymskiej, i po strasznej paskiewiczowskiej dyktaturze. A przytem liczono wiele na to, że Aleksander II, o którego dobroci serca, szlachetności duszy tyle mówiono, zadość uczyni jeżeli nie wszystkim żądaniom Polaków, to przynajmniej znacznej ich części. Powoli jednak, gdy się przekonano, że to było takie samo złudzenie, jak tysiące złudzeń, któremi karmił się naród od chwili swego politycznego upadku, tu i owdzie, w obozach rozmaitych stronnictw polskich, poczęła się budzić myśl działania. Widzieliśmy już, jak te działania rozumiały dwa odcienia stronnictwa arystokratycznego, reprezentowanego przez Wielopolskiego i Zamoyskiego; pozostawała jeszcze partya demokratyczna, partya czerwieńców, radykałów, rewolucjonistów, nieustających spiskowców nie mająca dotąd nad sobą widomej głowy, ale nadzwyczajnie niezadowolona i z kierunku działań Klemensowczyków i z „moskiewskich tendencji” Wielopolskiego. Partya ta, do której z natury rzeczy należała wszystka nieomal młodzież w kraju, uczniowie gimnazyów, studenci szkoły agronomicznej w Marymoncie, studenci szkoły sztuk pięknych, studenci niedawno założonej akademii medycznej, kanceliści i dependenci, drobniejsi urzędnicy, rzemieślnicy, ludzie wykołajeni, adwokaci bez klientów, lekarze bez pacjentów, dzien-

nikarze i literaci jeść co nie mający, słowem wszystkie żywioły bez określonych zajęć, niedouczeni, niespokojni, źle wychowani i przesyleni miazmatami ze-psutej atmosfery muchanowowskich szkół. W kraju, który właśnie pod koniec 1857 r. przechodził swój peryodyczny kryzys ekonomiczny i bankructwa pojawiały się jedne za drugimi, któremu groziło w niedalekiej przyszłości jeszcze cięższe przejście ze sprawą włościańską, w którym zresztą życie społeczne toczyło się po kolejach niezwykłych, skrzywionych, anormalnych, znajdowało się mnóstwo ludzi niepewnych swego jutra, prawdziwie katylinarnych egzystencji, gotowych rzucić się na wszystko, wziąć we wszystkim udział, by życiu robaczywemu, nędznemu, szaremu nadać jakiś cel, jakiś kierunek. A skoro jeszcze ten cel błyszczał urokiem oswobodzenia ojczyzny, spełnieniem najtajniejszych i najserdeczniejszych życzeń, jakie każdy z tych ludzi żywił w duszy i w lepszych chwilach swego smutnego istnienia sobie przypominał, nie dziw, że rzucano się z zamkniętymi oczami naprzód, nie czując, nie zważając na przepaść, która pod ich własnymi i pod kraju nogami się otwierała. Większość ogromna tych morderców własnej ojczyzny, składała się z ludzi zacnych, z podniosłymi sercami, ożywionych jak najlepszymi chęciami, stawiających ojczyznę i jej dobro na najwyższych ołtarzach, a kult miłości tej ojczyzny doprowadzających do bałwochwaltwa, tylko że miłość tę i to dobro uważali po swojemu i mieli pod tym względem pewien fanatyzm przekonań i zaciekłość średniowiecznych religijnych ascetów, nie dopuszczających, by ktoś inną niż oni wyznawał wiarę. Znajdowali oni poparcie w kobietach, w tej większości wreszcie ogółu, który pozbawiony wykształcenia, łącznie da się uwodzić szumnymi frazesami i celami, które odpowiadały jego najgorętszym pragnieniom. Stronnictwo to, jeżeli można je w tej dobie nazwać stronnictwem, znalazło silną pomoc i podporę w powracających z obczyzny emigrantach i wygnańcach sybirskich, noszących teraz popularną nazwę „Sybiraków”. Po większej części byli to już ludzie niemłodzi, skostniałi w swych przekonaniach, za które cierpieli, zgorzkniali przez wygnanie, otoczeni urokiem męczeństwa za ojczyznę, zatruci jadem nieprzejednanej nienawiści do Rosyi, niepoprawni marzyciele i politycy serca, a przy tem wszystkim doświadczeni w spiskach, w podziemnych robotach, w knuciu intryg przeciw rządowi. Oni, że tak powiemy, wnosili pewien ład w chaotycznie rozrzucone żywioły stronnictwa ruchu; jego rozproszone cząstki łączyli kitem, i z mgławicy powoli wytwarzali ciało, które puszczane w wirowaty ruch po nieskończonych przestrzeniach dziejowych, miało porwać w swój bieg szalony wszystko, i ludzi i wypadki, przeznaczenie i dolę krajową.

Możliwość wycieczek za granicę, dotąd, za Mikołaja, niezmiernie utrudnionych, dozwalała młodzieży komunikować się z rozbitkami dawnego Towarzy-

stwa demokratycznego na emigracji, z Mierosławskim wreszcie, który powoli, w tym czasie, zaczyna się stawać widomą głową stronnictwa ruchu. Weszło w zwyczaj niejako, że młodzież polska uważała sobie za obowiązek odbycie pielgrzymki do Mierosławskiego, do „zmartwychwstałego wodza”, podobnie jak prawowierni Mahometanie do Mekki dla pokłonienia się grobowcowi proroka. Nadęty ten retor, świetny mówca, tumaniący fantazyą polskich głów młodych błyskotliwymi frazesami, bombastycznymi zwrotami i łamańcami językowymi, przygotowywał umysły do spisku, do powstania, do stworzenia nowego Hamleta polskiego, który miał pchnąć mieczem nie króla ale Poloniusza, nie Moskala lecz własną ojczyznę.

Pod wpływem tego warchoła na wielką skalę, program stronnictwa ruchu począł powoli przybierać wybitniejsze, stalsze, pozytywniejsze formy. I czegoż ono właściwie chciało? jaki był jego program polityczny odnośnie do kraju? Podobnie jak Klemensowczycy, jak nawet mała partya Wielopolskiego, która w głębi, w najtajniejszych skrytkach swego serca śniła o niepodległej zupełnie Polsce, tak i stronnictwo ruchu wyraźnie i jasno mówiło, że chce kraj wydobyć z pod jarzma niemieckiej i rosyjskiej niewoli, chce wskrzesić dawną Polskę w granicach 1772 roku. Droga jednak, która miała czerwieńców doprowadzić do tego upragnionego celu, była całkiem różną od tej, którą szli Klemensowczycy. Nie przy pomocy jakiejś pracy organicznej, którą uważali za zamaskowane episterstwo, ale drogą spisków i powstania, drogą sojuszu z rewolucją europejską, mówili czerwieńcy, można odbudować Polskę i wygnać z jej granic Niemca i Moskala. W skutek tak radykalnej różnicy poglądów na najżywotniejsze zagadnienie bytu krajowego, poczyna się już w tej dobie zawiązywać uparta, głucha, niemniej przeto pełna dramatyczności walka, między Klemensowczykami i czerwieńcami. Walka ta objawia się na wszystkich polach i w najrozmaitszych formach, i niestety! powiedzieć to trzeba, że kraj ciągle stawał ze swemi sympatjami i ze swem poparciem po stronie partyi ruchu. Nawet w łonie samej szlachty, która, zdawałoby się z natury swego położenia społecznego, powinna była silnie i stanowczo trzymać się programu Klemensowczyków, która ubiegała się o to, by należeć do Towarzystwa rolniczego i podejrzeniami obrzucała tych, którzy nie byli jego członkami, nawet w łonie tej szlachty przez dziwną sprzeczność, sympatye przeważały na stronę czerwieńców. Taki stan rzeczy kazał przewidywać, że walka, choćby nie wiem jak była długa i uparta, wcześniej czy później przechylić się musi na stronę czerwieńców i nowy grób wykopie Polsce. Nienawiść do robót wolnych, długich, mających za podstawę materialne polepszenie bytu kraju, i ostatecznie rezultat których był równie problematyczny jak wszelkich innych prac koło przyszłości kraju, była naturalną w czerwień-

cach, w głowach zapalonych, uważających możliwość odbudowania Polski tylko przez krwawą rewolucją, przez widmo socjalnego zamętu. Przedewszystkiem więc uderzali oni na zmateryalizowanie społeczeństwa, na wyłączenie się jego zajęcie troską o chleb powszedni, na owe obrzydliwe, jak mówili, episiejstwo, którego ideałem jest dobry obiad, ładna żona i wygodne łóżko. Program pracy organicznej, twierdzili oni, w pościgu za groszem, za chlebem, za karierą, zatracić musi w każdym poczucie miłości do ojczyzny i pracy dla dobra tej ojczyzny. Wołali, że taki program jest zgubą kraju. Zdarzyło się w tym czasie, że znany pisarz i poeta Wacław Szymanowski, użył w jakimś artykule dziennikarskim wyrażenia „demagogia uliczna”. Wywołało to powszechne oburzenie wśród młodzieży i zapaleńców. Ukazała się odpowiedź wierszowana, w której nieznany poeta twierdził z silną wiarą w prawdę swych słów, że „handel nie zbawi i nie wznieci ducha miłości, ducha ofiary”, że „niech raczej zgłuchnie ten gwar giełdowy i te rozprawy ekonomiczne, niżeli pacierz nasz Chrystusowy i nasze swojskie głosy uliczne”.

Wytworzyło się wśród tego wszystkiego przekonanie, że materyalizowanie się społeczeństwa polskiego jest naśladowaniem Zachodu, i kierownicy czerwieńców ostrzegali kraj przed Francją, przed Zachodem, przed całą zachodnią, cywilizacją. Wołali oni, że we Francji „policyjna tylko latarka przeźrażliwie migocze”, a szukający tajemnic w umarłym, łatwo się zarazić może śmiertelnymi wrzodami trupa. Zachód, według nich, znikczemiał, umarł i gnije, świecąc jedynie „blaskiem fosforycznego próchna i szpitalnych kantaryd”. Takimi to na pół poetycznymi, na pół bombastycznymi słowami wołano na Polskę, by się zrzekła wszelkiego współnictwa z Zachodem, i na wzór powstających właśnie w tej dobie „samobytników” moskiewskich, szukała mocy swego odrodzenia w samej sobie. Wszelkie usiłowania podniesienia dobrobytu krajowego, twierdzili w dalszym rozwoju swego programu czerwieńcy, są „cudzołóznymi płodami Zachodu”. Powoli, prasa warszawska nastroiła się na ten sam ton, i przez kilka lat z rzędu uchodziło w niej za dowód rozumu, za dowód gorącego polskiego patriotyzmu wymyślanie na zepsucie, gangrenę, zesterzenie się Zachodu, a natomiast podnoszenie mniemanych, młodzieńczych cnót polskich. Francja i Paryż był nowoczesnym Babilonem, stkiem zepsucia i rozkładu społecznego; jej literatura jadem trującym najzdrowsze organizmy, i wobec takich talentów jak Flaubert, Balzac, Sand podnoszono na niedościgłe wyżyny genialności panie: Pruszkowe, Śmigielskie, panów Niewiarowskich lub Wolskich. Założone w tym czasie przez zamożnego drukarza warszawskiego, Józefa Ungra, pierwsze pismo obrazkowe polskie pt. „Tygodnik ilustrowany”, z religijną, że tak powiemy, czcią, rysowało wszelkie kupy kamieni, wszelkie walące się chałupy, dla tego, że one miały być pamięt-

kami przeszłości narodowej, stokroć droższymi i wspanialszymi niż najszczytniejsze dzieła architektoniczne na Zachodzie. Było to bardzo śmiesznem, ale miało w sobie to niebezpieczeństwo, że budziło w społeczeństwie przekonanie, iż jest najlepszem, doskonałem, wzorowem, że wszystko ma i niczego od innych pożyczać nie potrzebuje. Głośno się odzywano, że byłoby zbrodnią zaszczebiać ze zgniłego Zachodu jad w zdrowe ciało Polski. Jednym słowem to, co w działalności czerwieńców było prostym manewrem politycznym, stało się wkrótce powszechnem społecznym wyznaniem wiary.

Dla czerwieńców bowiem zohydzenie w oczach polskich Zachodu, było tylko manewrem, podjętym w tym celu, by pracą organiczną oplwać, nazwać zgubą jako naśladownictwo Zachodu i zachwiać na koniec Towarzystwem rolniczem, które przez swą organizacją i liczbę, stanowiło bardzo niebezpieczną dla warcholskich zamysłów przeszkodę. Ponieważ Towarzystwo propagowało pracę około dobrobytu krajowego, a tym sposobem według czerwieńców, hołdowało zgniłym, episerskim ideom Zachodu, zatracalo w sobie i narodzie myśl o oswobodzeniu ojczyzny, więc należy uderzyć szeregiem insynuacji w Towarzystwo, jako zatruty owoc „latyńsko-germańskiej cywilizacji”. Zaprawdę, czytając to wszystko, zdaje się, jakbyś miał przed sobą jakiś dziennikarski artykuł późniejszych „samobytników” moskiewskich. „Głupie pszczoły, wołał Mierosławski, mówiąc o Towarzystwie rolniczem, zamieniamy nasze płuca w retortę, by w nich pędzić miody dla cara bartnika!”. Z tej zasady wychodząc, że wszystko, co w kraju zbudujemy, co zbierzemy, nagromadzimy, stać się musi łupem rosyjskim, czerwieńcy potępiali stanowczo i bezwzględnie wszelką w tym kierunku pracę. Jeżeli zdanie takie mieściło w sobie dużo niestety! prawdy, jeżeli przypominało starą jak świat i tylokrotnie powtarzającą się w dziejach Brennusową historią, to niemniej wszelako byłoby zbrodnią nie do przebaczenia, by każdy Polak dla tego, że z użytków swoich płaci wrogom czynsz, miał swe niwy zapuścić odłogiem lub zasiać kąkolem i zaorać solą; dla tego, że pobór dziesiątkował ludność krajową, starać się o jej umniejszenie i ubytek. Oczywiście były to wszystko stronicze manewra, które nie mogły znaleźć odgłosu w kraju, ale tumaniały głowy niedoświadczonej młodzieży, która widziała w nich tą myśl, niepozabawioną pewnej podniosłości, że w obecnem położeniu nic innego robić nie należy, tylko skierować swe usiłowania ku wyswobodzeniu kraju z niewoli za pośrednictwem rewolucyi i powstania zbrojnego. Na czemże jednak opierano możność wywalczenia tej niepodległości, na jakie siły liczono, by mogły zmierzyć się zwycięsko z potężnym caratem rosyjskim? Pod tym względem przyszłe powstanie polskie, jak wszystkie powstania u nas wybuchły po rewolucyi listopadowej, miało się oprzeć na chłopie, „spadkobiercy wielkiej ojczyzny” i z niego wydobyć tę straszną siłę, która

by zachwiała potęgą państwową Rosyi. Zgodnie z mylnem przekonaniem wszystkich prawie ludzi tej chwili i wszystkich stronnictw, czerwieńcy sądzili, że chłop da się porwać do powstania obietnicą darowizny gruntów, swobody osobistej, uwłaszczenia. Dla tego też nie mieli słów oburzenia na te wszelkie zacne działania i projekta, które teraz już zajmowały się i obmyślały uregulowanie stosunków włościańskich, gdyż tym sposobem chłop dziś uwłaszczony i zaspokojony w swych pragnieniach, jutro nie będzie chciał pójść do powstania, bo to powstanie niczem go już obdarować nie będzie mogło. Pod tym względem przyznać należy, że czerwieńcy trzymali się pewnej logiki, ale jakże strasznej logiki! Dla dobra tej ubóstwionej, tej mistycznej, tej niezemskiej ojczyzny, jaką wyroili sobie w posepnych nocach wygnania lub ciężkich snach niewoli, trzeba żeby chłop robił dalej pańszczyznę na niwach szlacheckich, pędził smołę w borach Pińskich, szedł z Litwy w rekruty, konał pod razami batożników wołyńskich, trzeba żeby dźwigał swój ciężki krzyż dalej, aż wybije godzina powstania. W tem okropnem, rzecz można, przekonaniu, Mierosławski i jego zwolennicy stanowczo potępiali ten ruch, jaki objawiać się począł w kraju w kwestyi włościańskiej; gniewali się, że panowie polscy „odczepną jałmużną chlewa i sadu kartoflanego, myślą kupić sobie spokój jednopokoleny od dzisiejszych gospodarzy”. Oburzali się, że Jakób za miskę soczewicy chce, „aby lemieszowe Ezawa pazury wygrzebały mu zdroje miodu, mleka i talarów; za to karbowi dostaną medal od komitetu rolniczego, a dzieci jego po obrazku od księdza proboszcza”. Bo kiedy ojczyzna cierpi, trzeba żeby i chłop cierpiał, jakkolwiek w dniach słonecznej pomyślności tej ojczyzny, dla chłopca nie znalazło się w niej ani jednego promyka światła, swobody i uciechy. „Oszukany przez Jakóba, pod błogosławieństwem ślepego Izaaka, Ezaw, a przyszły spadkobierca wielkiej ojczyzny, niechaj jeszcze cierpi, cierpi, póki ojczyzna cierpi”; niech nie dozwala „ruszać kołka w płocie i miedzy na niwach, aż stanie między jego chmury mierniczy ze szczerbcem i żelaznymi słupami. Ten ci Polskę twoją powtórnie a niezatrątnie skadastruje, i takie ci włóki wymierzy, że niemi obdzielą się bez końca wszyscy bracia, bratańcy i wnukowie twoi; ten ci wysnuje szatę dla całej a trwałej ojczyzny, a na wyrost, bo wielka jest przezorność nieograniczonej miłości jego dla dalszych polskich pokoleń, taką, co by jak płaszcz niebios szyty gwiazdami, wszystkie syny, wnuki i prawnuki odział wspólną opatrnością i wspólnym majestatem stworzenia”.

Jakież zaś miało być samo powstanie? gdzie miało najprzód pchnąć olbrzymie siły potężnego „chamskiego Erebu?” Przedewszystkiem miały one uderzyć na szlachtę, na tych „krokodyłów, smoków, amfibicznych nietoperzy”, na Zofijówki, Wilanowy i Sieniawy. Naród polski chcąc dosłużyć się ojczyzny, „wypławić się najprzód musi w krwi własnej potokach”.

Taki w głównych zarysach był program czerwieńców, program wypowiedziany przez Mierosławskiego w jego „Rzeczach listopadowych”, tj. mowach, jakie wygłaszał w każdą rocznicę powstania 1830 r. Kto tych mów nie słyszał, to czytał je w tysiącach odbitek i broszur, rozrzuconych obficie drogą kontrabandy po kraju, zwłaszcza po szkołach, uniwersytetach, słowem miejscach, gdzie młodzież polska liczniej była skupiona. Ten język dziwaczny, te frazesa szumne, ta pełna orientalnej fantazyi obrazowość i patetyczność stylu, działały na młode umysły jak narkotyk, jak haszysz je upajały i porywały. Cała też ówczesna inteligentniejsza młodzież polska była z gruntu czerwona, ślepa wielbicielka Mierosławskiego, tego „Boga z rozczochraną brodą”, tego symbolu, jak mówiono, przyszłej, odrodzonej Polski. Kto nie mógł jechać do Paryża, by ujrzeć „jenerała Ludwika”, ten przynajmniej wczytywał się w jego pisma dziwaczne.

Pod takim to wpływem, nie bez insynuacyi może z łona wychodźstwa, które otaczało Mierosławskiego, poczęły się w tej dobie, w parę lat po kampanii krymskiej, tworzyć rozmaite koła i kółka wśród młodzieży polskiej w uniwersytetach: petersburskim, moskiewskim i kijowskim; między oficerami Polakami, dość licznymi w tej porze w Akademii sztabu jenerałnego w Petersburgu. Do tych kół, nie mających jeszcze teraz charakteru politycznego, wchodzili i cywilni Polacy, urzędnicy różnych dykasteryi, lekarze, budowniczowie itp. W Kijowie zwłaszcza, gdzie w roku 1857 zapisanych było na uniwersytet, na ogólną liczbę tysiąca studentów, ośmiuset Polaków, stanowiących tem samem ogromną przewagę i nadających szkole czysto polski charakter, koła te i kółka wyrobiły w sobie pewną, wielce pomysłową organizacją, która wobec bardzo czujnego nadzoru władz nad młodzieżą, pozostałego niejako w tradycyi po Bibikowie, pozwalała tej młodzieży nie narażać się na prześladowanie. Organizacja ta, zwana systemem trójek, polegała na tem, że każdy należący do związku przybierał sobie dwóch towarzyszy, którzy jego tylko znali i przezeń wchodzili w stosunki z resztą stowarzyszenia, całkiem im co do osób nieznanego. Każdy znowu należący do danej trójki, mógł przybierać dwóch nowych towarzyszy, tak, że tym sposobem związek się rozszerzał i naczelnicy jego nigdy, a przynajmniej z wielką trudnością mogli być odkryci. System ten wydoskonalił się podczas kampanii krymskiej i ówczesne stowarzyszenia studenckie miały charakter spisku politycznego, mającego na celu podanie pomocy Francuzom, w razie gdyby wkroczyli na Ukrainę i wywołanie powstania.

Obecnie jednak towarzystwa studenckie kijowskie zmieniły swą cechę. Wojna ustała, umilkły głuchoe odgłosy dział sewastopolskich, unoszące się nad stepami ukraińskimi, Francuzi wrócili do siebie, i spisek taki nie miał już celu. Organizacja jednak pozostała, jakkolwiek młodzież rozbiła się na kilka kół

oddzielnych, stykających się ze sobą tylko zewnętrznie, swarzących się nieraz zajadle i różniących się między sobą bardzo stanowczo, było tam i koło z charakterem czysto polskim, było koło ruskie, rozbite zresztą na oddziały: podolski, wołyński i ukraiński, domagające się w przyszłej Rzeczypospolitej zupełnej autonomii Rusi, i mające swe związki z Rusinami: Antonowiczem, Kostomarowem i Kuliszem; było koło tak zwanych chłopomanów, noszące się w sukmanach chłopskich, w wysokich butach, wrogie szlachcie i chętnie żyjące z ludem; było koło litewskie, podzielone na dwie koterye: właściwie litewską i drugą noszącą nazwę: unitis viribus: było na koniec mnóstwo kół i kółek, od r. 1859 zwanych gminami, nadających uniwersytetowi kijowskiemu w tej dobie nader ożywiony i ruchliwy charakter. W ogólności jednak wszystkie te stowarzyszenia, prawie bez wyjątku, były gorąco, rewolucyjnie, a nade wszystko nieprzyjaźnie usposobione ku rządowi rosyjskiemu. Zbierano się wieczorami, czytano broszury emigracyjne i mowy listopadowe Mierosławskiego, śpiewano pieśni patryotyczne, zajmowano się gorąco sprawą włościańską, literaturą polską, kwestyami dnia. Z końcem 1859 roku poczęło nawet wychodzić tajne pisemko polskie pt. „Ulicznik”, demokratyczne, po trochu już rewolucyjne, zajęte zresztą wyłącznie życiem uniwersyteckim. Karciało ono ze zjadliwym nieraz sarkazmem wszelkie usterki i wykroczenia przeciw ideom demokratycznym, zachęcało do skromności w życiu i obyczajach, brzmiało tym tonem idealnym i podniosłym, jaki w parę lat potem stał się powszechną właściwością chwili, i tak szczególny, tak wyjątkowy nadal charakter ówczesnemu społeczeństwu polskiemu. Jednym z rysów tego uniwersyteckiego życia młodzieży polskiej w Kijowie, było to, że obchodziła ona uroczyste rocznicę 29 Listopada. Zwykle zbierano się gminami, śpiewano pieśni patryotyczne, wspomniano uroczyste, niestety! minione niepowrotnie chwile sejmu, wojska polskiego, zwycięstw i chwały polskiej. Obchody te miały cechę poważną i skromną; raz tylko, mianowicie w r. 1859, prawie wszystkie te zebrania zakończyły się pijatyką i hulanką. Jedna tylko gmina tzw. „Koroniarzy” tj. pochodzących z Królestwa Polskiego, zachowała dawny, uroczysty nastrój. „Ulicznik” chłostał też potem w satyrycznym wierszu „próżniaków i pijaków”³⁶. W r. 1860, gdy już w Warszawie zrywały się pierwsze poddmuchy przy-

36 Przytaczamy ustęp z tego wiersza:

„W nocy szalone słyszę pienie.
W pośród okrzyków, kielicha brzęków,
Dolała do mnie głos miłych dźwięków,
Jakieś mi znanej piosenki.
Ale to inne jakieś dziwacze (sic)
Jakby wśród uczy usłyszeć płacze,
Wpośród wesela gdzieś jęki.

szłej burzy, gdy na skrajach horyzontu polskiego podnosiły się groźne chmury, w uniwersytecie kijowskim dotychczasowa organizacja zmieniała się i przybrała inne formy. Z pośrodku różnych gmin, wyłoniła się partya pod nazwą „Purytanów”, która była niejako zwierzchniem ciałem ponad wszystkimi kołami. Partya ta zmieniając często nazwy, znana raz pod imieniem „Mnichów”, to znów „Żyrodystów”, nazwała się na koniec „Ogólnem zebraniem” i poczęła wyraźnie działać w kierunku politycznym polskim.

Zawładnęła ona kasą, biblioteką gminną, a nawet „Ulicznikiem” i poczęła w nim głosić swe teorie, zapowiadała odrodzenie Polski za pomocą powstania zbrojnego, jednym słowem była echem palących i bombastycznych odezw Mierosławskiego. Na szczęście w tej dobie, w ciągu 1860 r. na tem się wszystko kończyło. Nikt jeszcze w tej chwili o spisku nie myślał, ale była już organizacja, były żywioły i formy gotowe do tego spisku. Był to niejako nabój włożony w lufę strzelby, i pierwsza lepsza iskra mogła wywołać strzał i głośny wybuch.

Daleko poważniejszą, niebezpieczniejszą cechą dla rządu, miały koła petersburskie, zwłaszcza koło wojskowych. W końcu 1857 lub na początku 1858 r., gdyż narodziny takich stowarzyszeń, pokryte są dla historii, jak początek ciał kosmicznych, tajemnicą, pierwsze takie koło zawiązał Zygmunt Sierakowski, kapitan sztabu jeneralnego, osobistość, której koleje wypadków kazały w ostatnim ruchu polskim odegrać bardzo wybitną rolę. Urodzony na Wołyniu, uczył się w uniwersytecie petersburskim, i tutaj za udział w stowarzyszeniu politycznem 1848 r. został zesłany do Orenburga, do tamtejszych batalionów karnych jako szeregowiec. W r. 1857 za amnestyą uwolniony z prawem dosługiwania się, wstąpił do sztabu jeneralnego i wkrótce został kapitanem. Był to człowiek bardzo inteligentny, odcytany, wpływowy, gorący patriota polski, otoczony urokiem męczeństwa za sprawę ojczyzny, zaciekle rewolucjonista i spiskowiec. Wkrótce, wśród oficerów sztabu jeneralnego,

To nie pieśń nasza, pieśń narodowa,
Którą powtarza kraju połowa,
To pijanej uczyty piosenki.
Lecz czyż to nowe? było tak było,
Tak się za Piastów, za Sasów żyło,
Piosnka i puhar, to życie!
Dalej do życia, dalej do pracy,
Dalej próżniacy, dalej pijacy!
A jeśli piosnkę wiatr będzie głużył,
Jeślim serc waszych nic nie poruszył,
To będę krzyczał co pierś tchu zmieści.
Że w was jest forma, ale nic treści!”

zwłaszcza Polaków, nabył przeważnego znaczenia i niepospolitego wpływu. Szukając z nimi bliższych stosunków, gromił ich, że nie mówią lub też źle mówią swym ojczystym językiem, że nie znają literatury krajowej, że nie wiedzą co się myśli i robi w kraju, że nie czytają dziejów ojczystych, a ztąd nie mają pojęcia o tym duchu anarchiczności i nieporządku, który zgubił Polskę. Zwykle nowo poznanego młodego człowieka odsyłał do Wiktora Kalinowskiego, Litwina, urzędnika w bibliotece publicznej cesarskiej, posiadającej nader obfitą kolekcją wszelkiego rodzaju utworów emigracyjnych. Kalinowski przybyłemu dawał do czytania potrzebne książki, zaznajamiał go z tym duchem niesłyszanie podniosłego, idealnego patriotyzmu, jaki przenika literaturę naszą tej epoki, i wtajemniczał niejako w drugą jej cechę rewolucyjną i czerwoną.

Tym sposobem oficerowie Polacy w sztabie jeneralnym, w akademii wojskowej, w gwardyi, powoli, pod wpływem przeważnego umysłu Sierakowskiego, nabierali zatraconego w sobie, wśród otoczenia obcego, poczucia polskiego i pewnej jednolitości pojęć. Materiał był gotowy, ale rozproszony; należało go więc skupić i uorganizować. Tę część działania wziął na siebie Jarosław Dombrowski, także kapitan sztabu jeneralnego, młody, zapalony, gorący i niezwykłą obdarzony ruchliwością i energią. Mały, szczupły, jasny blondynek, z dużymi żółtymi jak konopie wąsami i takąż hiszpanką, był bardzo czynny, ze wszystkimi się znał, ze wszystkimi żył, wszystkich przenikał swą żywością i ruchliwością. U niego to, w r. 1858, w pięciu obszernych pokojach, na oddalonej ulicy Petersburga, noszącej miano Oficerskiej, poczęli się zbierać raz na tydzień oficerowie Polacy na wieczory, noszące miano literackich. Czytano tu zakazane książki polskie, dyskutowano gorąco. Zebrania bywały bardzo liczne; nieraz po trzydziestu młodych ludzi się schodziło. Dobroduszna ówczesna policja petersburska, drzemiąca pod wawrzynami krymskiego słońca, nic o tem nie wiedziała, zwłaszcza, że na zgromadzeniach bywali oficerowie, stan niezmiernie uprzywilejowany w Rosyi. Niekiedy na te wieczory przybywał i sam Sierakowski, ale w ogóle zjawiał się tam bardzo rzadko.

Powoli w tem chaotycznym ciele, idącym już jednak w pewnym stale oznaczonym kierunku, poczęła się tworzyć organizacja, według kijowskiego schematu, trójek. Sam Sierakowski do żadnej trójki nie należał, i gdy go niektórzy, nie wiedzący, że to wszystko wyszło z jego inicjatywy, namawiali do wpisania się do stowarzyszenia, odmawiał pod rozmaitymi pozorami. Z czasem organizacja ta rozszerzała się coraz więcej, rosła w liczbę i związki. Weszła w nią szkoła artyleryi, instytut inżynierski, szkoła wojskowa konstantynowska, weszło wielu cywilnych Polaków, jak Józafat Ohryzko, dość wysoki urzędnik, Wacław Przybylski, znany w literaturze polskiej pisarz, historyk Kostomarow, jeszcze wówczas nieprzyjaciel Rosyi; mnóstwo młodzieży uniwersyteckiej,

wielu nawet Rosyan, na których potrafił wywierać znaczny wpływ Tabęcki, Polak, oficer gwardyacki. Już wtedy bardziej wtajemniczeni wiedzieli o tem, że ostatecznym celem związku jest zbrojne powstanie, że będą musieli, według wyrażenia Mierosławskiego, „dosiąść lada chwila owdowiałego siodła”. Zasady zresztą i przekonania „anioła rewolucyjnego”, jak go zwano między młodzieżą, były w zupełności uznawane i przyjęte przez organizację petersburską.

Na młodzież rosyjską oddziaływał znowu niezmiernie silnie Hercen, emigrant rosyjski, przez swe pisma, mowy i odezwy. Założywszy w Londynie (w r. 1857) dziennik rosyjski pt. „Dzwon” (Kołokoł), posiadając licznych i wybornie poinformowanych korespondentów w całej Rosyi, był tam chciwie czytany (rozchodził się w 2500 egzemplarzy), choć gazeta jego była jak najsurowiej zakazana. Nie było złego czynu, nie było nadużycia w rządzie, gwałtu i niesprawiedliwości, o której by Hercen nie wiedział i nie schłostał jej surowo. Sam cesarz Aleksander II pilnie czytywał „Kołokoła” i dowiadywał się z niego o wielu rzeczach, o których inaczej słuch nawet nie byłby do niego doszedł. Wszystko to robiło z Hercena potęgę polityczną, z którą się liczone i której się obawiano. Na młodzież miał on ogromny wpływ przez swój liberalizm, tak modny w tej epoce, swe idee radykalne, wypowiedane w tym języku barwnym, obrazowym, pełnym przesady, który zdawał się być właściwym wszystkim rewolucyonistom czy to polskim, czy rosyjskim. W kwestyi polskiej Hercen zajmował stanowisko takie, że zyskiwał polski aplauz polskich czerwieńców. „Wyzwolenie Polski, wołał on, jest połową wyzwolenia Rosyi; wolna Warszawa jest śmiercią dla cesarskiego Petersburga”. Twierdził, że carat rosyjski nie jest w stanie oprzeć się propagandzie, prowadzonej od Bałtyku do morza Czarnego. „I dla tego właśnie, pisał dalej, pracujemy z całego serca nad wzmocnieniem najbardziej braterskiego przywiązania między demokracją polską, a rewolucyjną mniejszością Rosyi. Ci z pomiędzy Rosyan, którzy nie pojmują, że niepodległość Polski jest wyzwoleniem Rosyi, nie są rewolucyonistami, nie są wolnomyślnymi, nie są z nami”. Podczas kiedy nad Nową tworzone jeździły jeszcze nie spisek, to formy tego spisku, w Warszawie, w stolicy i sercu Polski, cicho i głucho było pod tym względem. Tu, jeśli powstawały jakie kółka, to były to efemerydy, niedożrełe płody, mające w swym zalążku śmierć i umierające po kilku dniach życia. O jakiegokolwiek organizacyi, o jakimś wytkniętym celu działania, mowy jeszcze nie było. Kraj zdawał się oddychać świeższym powietrzem, jakie nagle prysnęło strugą odmłodzenia w duszną, paskiewiczowską atmosferę, i nabierać sił do nowej walki, której mgliste, niezdecydowane zwiastuny ukazywały się już w oddaleniu. Stronnictwo arystokratyczno-szlacheckie, tak zwani Klemensowczy, znaleźli organ swych opinij polityczno-społecznych w Towa-

rzystwie rolniczem, które nadzwyczaj szybko się organizowało i siecią tej organizacji, mistrzowsko przeprowadzonej, ogarnęło cały kraj, i zdawało się, że oładnęło wszystkim w tym kraju. Już teraz odzywały się głosy, iż odtąd nic bez Towarzystwa i poza Towarzystwem zrobić się nie może. Klemensowczycy byli pewni, że tym sposobem program pracy organicznej stanowczo wejdzie w wykonanie, a przy nim wszelkie spiski, wszelkie niewczesne powstania i wybuchy, wszelkie rewolucyjne zachcianki, jak płomień, do którego niema dostępu powietrze, zgasnąć i strawić się sam w sobie musi. Przekonanie to tem więcej było uzasadnione, że poza Towarzystwem w tej porze utworzyło się koło, nie w znaczeniu spisku lub jakiegokolwiek organizacji, ale po prostu jako skupienie się ludzi pewnych pojęć, siłą atrakcyi ciał jednolitych, ciężących do siebie, koło złożone z inteligencyi miejskiej warszawskiej, z przemysłowców, bankierów, fabrykantów, urzędników, które wyznawało i propagowało te same mniej więcej co i Klemensowczycy z Zamoyskim na czele, przekonania i tym sposobem w sferach nieszlacheckich popierało Towarzystwo. Mówimy mniej więcej, gdyż w przekonaniach tych zachodziły pewne różnice, pewne odcienia, które jednak z czasem dopiero, przy urzeczywistnianiu programu mogły wyjść na wierzch; teraz atoli w niczem nie psuły harmonii wzajemnej.

Środkiem tego koła, jego słońcem, ku któremu wszyscy ciężyli, które nadało ton i barwę całemu temu skupieniu się ludzi, był Edward Jurgens, człowiek z wielu względów niepospolity tak co do inteligencyi, jak i charakteru. Stosunkowo dość podrzędny urzędnik Komisji spraw wewnętrznych, zdołał jednak przez swój rozum, przez swe wysokie wykształcenie, przez umysł obszerny i systematyczny, przez czystość swego życia i charakteru, zająć wśród społeczeństwa niezmiernie wpływowe i pełne konneksyi wszelkiego rodzaju, stanowisko. Znał on wszystkich i wszyscy go znali. Miał stosunki i między arystokracją rodu i pieniędzy, między rzemieślnikami i uczącą się młodzieżą. Średniego wzrostu, o herkulesowym rozroście bark, głowie dużej, czole wysokiem, włosach czarnych, krótko strzyżonych, twarzy starannie wygolonej, nieco ospowatej, śniadej, przypominał swą postawą, swą fizyognomią sławnego mówcę rewolucyi francuskiej, margrabiego Mirabeau. W twarzy tej zresztą znać było pochodzenie niemieckie Jurgensa, który z rodu należał do tej licznej rzeszy spolonizowanych Niemców, jacy od lat kilkudziesięciu rozmnożyli się w Polsce i silnie wpływali na jej losy, zajmując przeważne stanowiska, skupiając w swym ręku kapitały. Urodził się w Płocku z ojca zamożnego, majstra ciesielskiego, który prawie nie umiał mówić po polsku, uczył się na uniwersytecie dorpackim nauk kameralnych i żywił gorącą, idealną miłość ku polskiej swej ojczyźnie, przejętą tym mistycyzmem, jaki stanowi charakterystyczną cechą patryotyzmu tej epoki. Jak całe to pokolenie spłodzone wśród

nerwowego rozstroju, spowodowanego uciskiem i niewolą, w krótkich chwilach ciszy między jednym a drugim spiskiem, między krwawo ukończonym a gotującym się nowym powstaniem, gotów był życie swe poświęcić ojczyźnie i umrzeć za tę ojczyznę. Był odważny i śmiały; współcześnie bardzo chłodny, skoncentrowany w sobie, uparty. Mówił nie wiele, głosem cichym, spokojnym, bez uniesienia i zapału, ale z potężną, niepokonaną argumentacją, przez co owładał nader szybko i nader stanowczo ludźmi tej epoki, źle wykształconymi i nieprzywykłymi do dysput. Jako człowiek posiadający nadzwyczaj obszerne we wszystkich sferach stosunki, otoczony był mnóstwem karyerowiczów, którym dopomagał z gotowością zawsze chętną do usług.

Czegóż właściwie chciała partya (jeżeli ją można tak nazwać) Jurgensa? o czym mówiła w długich, cichych wieczorach w mieszkaniu swego przewodnika, na Krakowskim Przedmieściu, w tak zwanym domu Świętokrzyskim? Chciała ona, tak jak i wszystkie stronnictwa polskie, oswobodzenia kraju z niewoli i przywrócenia mu niezależności państwowej. Ale kiedy Klemensowczycy zamierzali osiągnąć ten cel upragniony, drogą wewnętrznego rozwoju wszystkich sił narodowych, czekali dojrzewania owocu, żeby własnym ciężarem spadł z drzewa; Jurgens nauczał, że Polska może być oswobodzona tylko przy pomocy rewolucji, powstania zbrojnego, wojny krwawej i upartej. Pod tym względem zgadzał się z czerwieńcami, z Mierosławczykami, ze stronnictwem ruchu. Kiedy jednak ci ostatni uważali każdą chwilę za odpowiednią do powstania, byle kraj do tego przygotować przez spisek i stosowną organizacją, gdy już teraz nawet zapowiadali, że „lada chwila dosiędą owdowiałego siodła”, Jurgens utrzymywał, że powstanie może być owocem tylko długiej, bardzo długiej pracy, prowadzonej systematycznie, rozumnie i ostrożnie. Porywanie się na potężnego wroga bez tych prac przygotowawczych, porywanie się z motyką na słońce, nazywał po prostu zdradą kraju, zbrodnią nieprzebaczoną. Chcąc atoli osiągnąć tę, że tak powiemy, zdolność do powstania, należy korzystać ze wszelkich dróg legalnych, ze wszystkich ulg i ustępstw, jakie tylko uda się wyjednać od rządu. I program pracy organicznej wymagał korzystania ze wszystkich ulg i koncesyj, ale podczas gdy Jurgens chciał, by Polacy sami się przyczyniali do ich wyjednania, Klemensowczycy o nic i nigdy nie chcieli prosić rządu, choć gotowi byli zawsze brać wszystko co im dają. Jurgens zaś wiedział, że Rosya sama z siebie żadnego ustępstwa Polsce nie zrobi, jeżeli do tego nie będzie zmuszona takimi lub innymi okolicznościami; zalecał więc, by używano wszelkich dróg do uzyskania lepszych warunków życia i możliwości przygotowywania się do powstania. Dlatego też uważał, że wszelkie kłótnie z rządem, nie są rzeczą rozumną, a głównie polityczną; owszem Polacy winni się starać o zachowanie jak najlepszych stosun-

ków z władzą, patrzeć na nią jako na siłę, od której zależą losy narodu, z którą otwarcie walczyć nie można, ale wyzyskiwać zawsze i wszędzie należy. Twierdził, że w narodzie trzeba obudzać wszelkimi sposobami niechęć i nienawiść do rządu; wszystko złe, wszelkie nieszczęścia i wypadki jemu przypisywać, „gdy nawet cegła z dachu spadnie, mówił, należy wołać, że rząd temu winien”. Wbrew postępowaniu Klemensowczyków, którzy nie chcieli przyjmować z rąk rosyjskich żadnych, choćby tylko honorowych urzędów, Jurgens zalecał usilne staranie się o nie, chwywanie ich oburącz; radził dopomagać rządowi we wszystkich jego pożytecznych przedsięwzięciach, pracować wszędzie i zawsze z myślą o powstaniu, jako o ostatnim, finalnym akcie tego długiego, nużącego dramatu; gromadzić środki materyalne, pilnie uważać na wypadki europejskie.

Takim był program Jurgensa i jego stronników, których żywioły gorętsze, czerwieńsze, zwały z francuzka milenerami, że odbudowanie Polski odkładają na tysiące lat. Oczywiście wszystko to, cośmy tu powiedzieli w tej porze jeszcze nie miało formy ściśle określonego programu, ani też zbierający się u Jurgensa nie mogli być nazwani partią lub kołem politycznym. Były to raczej długie przyjacielskie pogawędki ludzi, którzy się znali dobrze, i którzy w wieczornych godzinach, po całodzienniej pracy zeszli się, by porozmawiać ze sobą o tem i owem, a zatem o kraju i jego losie. Niemniej przeto, pod wpływem przeważnego umysłu Jurgensa, jego spokojnej i niezwalczonej argumentacji, program ten zyskiwał coraz więcej zwolenników, przechodził w krew nieomal inteligentniejszej części mieszczaństwa warszawskiego. W takich warunkach trzeba było tylko jakiegokolwiek zewnętrznego dotknięcia, jakiegokolwiek siły rzutu, a rozproszone dotąd atomy skupią się i tworzyć poczną nowe słońce, nową gwiazdę, nowe ciało kosmiczne na horyzoncie polskim.

Takiej siły jednak w tej chwili nie było i nie dawała się jeszcze czuć jej potrzeba. Rząd wprawdzie wolno i w dozach nadzwyczaj małych, ale ostatecznie robił pewne koncesje i ulgi. Wobec tego dość było przyjmować te koncesje chętnie i starać się o ich rozwój, i o wydobywanie z nich wszelkich możliwych korzyści. Zresztą zgodnie z programem Jurgensa, nie przeszkadzało to wcale, żeby ludzie, którym położenie na to pozwala, postarali się jeszcze o to lub owo. „Spróbować nie zawadzi”, mówił Jurgens okoliczności są takie, że próba może się udać, jak udały się usiłowania Zamojskiego w sprawie Towarzystwa rolniczego. Człowiekiem, który mógłby coś zrobić w Petersburgu, był Leopold Kronenberg, bogaty bankier warszawski, przechrzta, ale gorący patriota, nadzwyczaj bystry, zręczny, rozumny znawca ludzi, posiadający rozległe i wpływowe stosunki w stolicy nad Newą i należący do rzędu tych, którzy komunikowali się z Jurgensem i mimowoli stawali się satelitami tego słońca. Pod wpływem to zapewne skromnego urzędnika, który zgodnie z teoryjami swego

czasu, był zwolennikiem szeroko stosowanej oświaty i w wykształceniu szkolnym widział paladium na wszystkie cierpienia ludzkości i Polski, Kronenberg powziął myśl w r. 1858, starania się o przywrócenie uniwersytetu w Wilnie. Myśl była śmiała, i w mieście, w którym tradycje dawnej wszechnicy żyły jeszcze, której dobroczynne działanie, pomimo tylu klęsk, ciągle jeszcze czuć się dawało, mogła przynieść ze wszech miar zbawienne dla kraju owoce. Szło tu nie tyle może o samą oświatę, o wykształcenie uniwersyteckie, ile o ożywienie znowu polskości i ducha polskiego na Litwie i Białorusi. Wątpliwą atoli było rzeczą, czy rząd rosyjski po doświadczeniu niezbyt dawnym, który wszyscy nieomal mieli w pamięci, zgodzi się na tego rodzaju ustępstwo.

Jakoż w rzeczy samej nie zgodził się. Kronenberg na spółkę z ks. Łubieńskim, proboszczem w Rewlu, późniejszym biskupem augustowskim, zredagowali statut przyszłego uniwersytetu, elaborat ten przetłumaczył na język rosyjski znany wówczas w Petersburgu dziennikarz Arseniew, ale rzecz cała utonęła w biurach ministerium i więcej na świat nie wyrzała.

Niepowodzenie to jednak nie odstręczało Milenerów. Byli oni z góry na to przygotowani, że nie powiedzie im się jedna, druga, dziesiąta nawet próba, ale właśnie jedenasta może natrafić na przyjazne okoliczności i wynagrodzi za wszystkie poprzednie zawody. Pod tym względem nie mieli oni żadnych złudzeń i wiedzieli, że droga ich będzie cierniową, Syzyfowem podnoszeniem skały, która co chwila staczać się będzie na dół, że mają do czynienia z rządem podejrzliwym, niechętnym Polsce i Polakom, tłumiącym wszelkie próby podniesienia się kraju, czy to pod względem materialnym, czy duchowym. Najlepszym, bijącym w oczy dowodem tego usposobienia rządu, była sprawa bractw wstrzemięźliwości, jaka się właśnie w tej porze rozegrała.

Wobec bardzo wielkiego rozpowszechnienia się pijaństwa między chłopami po wsiach i drobnym mieszczaństwem, nałogu, który rujnował materialnie i moralnie lud polski, powstała, niewiadomo zresztą u kogo naprzód myśl, zdaje się, że zapożyczona od Poznańczyków, zakładania pod patronatem kościoła, bractw wstrzemięźliwości od gorących napojów. Myśl była bardzo dobra, nader zbawienna pod wielu względami, ale miała jedną wadę, że nosiła cechę religijnego przymusu. Proboszcze wiejscy, w ogóle niższe duchowieństwo fanatycznie usposobione, przejęte bezwzględnością swej nauki, używało wszelkich środków, jakie posiadało, czy to kazalnicy, czy konfesyonału, czy wpływu osobistego, by propagować wstrzemięźliwość. Opornych straszło piekłem, odmawiało im posług religijnych, nadało sprawie, czysto moralne i ekonomiczne mającej znaczenie, charakter krucyaty przeciw djabłu, w postaci wódki, z całym, w takich razach używanym, średniowiecznym aparatem kościelnym. W propagandzie swej dochodzili do tego, że zabraniali pić wódki

zupełnie, co w naszymi klimacie, przy ciężkiej, fizycznej pracy chłopca, przy niedostatecznym jego odżywianiu się, było nieuzasadnionem. Każdy inny rząd, dbający szczerze o dobro kraju, byłby odebrał sprawę z rąk duchowieństwa, które przez zbytek gorliwości prowadziło ją na manowce, byłby jej odjął cechę ascetyzmu kościelnego, a przez to wzmocnił ją i istotny pożytek przyniósł ludności. Od rządu rosyjskiego jednak oczekiwać tego nie można było, i jeżeli przez jakiś czas patrzył na propagandę wstrzemięźliwości przez palce, to dlatego, że wobec zupełnie nowego dla siebie objawu, nie wiedział jakie zająć stanowisko. Przewidywać atoli należało, że wcześniej czy później odniesie się do tej kwesty i nieprzyjaźnie, raz dla tego, że propaganda w rękach niższego duchowieństwa przybierała znamiona zbyt gwałtowne, że częstokroć pod pokrywką wstrzemięźliwości, księża rozszerzali niezdrowy fanatyzm religijny, że na koniec interesowani, żydzi trzymający szynki, właściciele ziemscy, opierający swe gospodarstwo na gorzelniach, poczęli sarkać, dotknięci w najdrażliwsze swe miejsca, bo w kieszeń.

Jakkolwiekby, w tej chwili bractw wstrzemięźliwości rozwijały się potężnie. Na Podlasiu propagował je biskup Benjamin Szymański, ale tam nie bardzo dobrze się przyjmowały; w Płockiem, administrator tamtejszej diecezji, ks. Myśliński, ksiądz zły, człowiek dwulicowy, dziś lojalny poddany carski, by jutro zostać gorącym patriotą z podkładką czerwoną, który w tem widział środek polityczny, przez uzyskanie wpływu i przewagi nad chłopem na Litwie, w Wilnie zwłaszcza, gorliwie się niemi zajmował ks. Tupalski. Później dodał bodźca tej sprawie biskup wileński, ks. Stanisław Krasieński, mianowany na tę godność w początkach 1859 r., tak że liczba członków bractwa wstrzemięźliwości w następnym roku dosięgła cyfry 500.000 głów, przeważnie samych chłopów. W Maju 1860 r. biskup Krasieński wydał nawet list pasterski, zachęcający lud do trzeźwości. Bractwa rozszerzały się promieniami od Wilna ku Wiłkomierzowi, Świecianom; w powiecie Trockim wzdłuż Niemna; w Lidzkiem w parafii Ejszyszki, wogóle w całe południowej części tego powiatu, osiadłego wyłącznie przez Litwinów. W powiecie Oszmiańskim, gdzie gęsto mieszkała t. z. szlachta okoliczna, bractwa rozwijały się tylko na granicy z powiatem Wileńskim i Lidzkim; w Wilejskiem i Dzieśnieńskim propaganda szła opornie. Znany nam już z uczestnictwa w komitecie włościańskim, Rajnold hr. Tyzenhaus, w dobrach swych, liczących około 9.000 ludności w samej tylko gubernii wileńskiej, zamknął wszystkie gorzelnie, a z 47 karczem pozostawił tylko trzy.

Skutek tej propagandy od razu dał się uczuć na Litwie. Gdy przedtem w samej gubernii wileńskiej wypijano od 700 do 800 tysięcy wiader, gdy nawet w r. 1859 wypito jej około 900 tysięcy wiader, w r. 1860 cyfra ta zniżyła się

do 550 tysięcy. Duchowieństwo w tym celu nie gardziło żadnymi środkami. W powiecie Wileńskim, w parafii Rudomińskiej, proboszcz miejscowy wprowadził zwyczaj, że członkowie bractwa wstrzemięźliwości podczas na bożeństwa w kościele, trzymali świece zapalone, co nie należących do stowarzyszenia mocno wstydziło i na pośmiewisko wystawiało. W innych miejscowościach proboszcze ustanawiali t. z. marszałków, rodzaj dozorców policyjnych, którzy pilnowali, by chłopci nie wchodzili do szynków, a takich, którzy się tego dopuścili, ksiądz karał nieraz surowo aresztem, chłostą, lub też kazał im podczas nabożeństw niedzielnych stać przed kościołem na widoku publicznym, z deską zawieszoną na piersi i napisem: „pijak”. Powoli, pierwotne dobrowolne zapisywanie się do bractwa stało się z czasem obowiązkiem dla katolików, i sprawa przybrała cechę przymusu i gwałtu³⁷.

Jednym słowem szybki rozwój tej propagandy, która dostała się w ręce niższego duchowieństwa wiejskiego, głów ciemnych, fanatycznych, zardzewiałych w głębi swych puszczy litewskich, jej charakter przymusowy, nadały całej sprawie barwę akcji politycznej, jaką w rzeczy samej była. Prasa popierała ją usilnie; Syrokomla pisał wiersze, które obiegały po całej Litwie:

*„Dosyć bracia lać szampana.
Dziś od chłopka aż do pana
Trzeźwym być się godzi
Niech toastem będzie zgoda,
Trunkiem naszym czysta woda.
Ludzkość się odrodzi”.*

Rezultatem tego wszystkiego było to, że gubernator cywilny wileński Pochwisniew, rozesłał do władz w r. 1859 okólnik, zabraniający zakładania nowych bractw wstrzemięźliwości i nakazujący znoszenie dawnych przy pierwszej lepszej sposobności. Władze zatem rozpoczęły szkodzić bractwom gdzie mogły i jak mogły. Starano się propagować pijaństwo. W Bielsku, w dzień uroczystości dworskiej, po nabożeństwie wojsko wystąpiło przy odgłosie mu-

³⁷ Niemniej zabobonne wrażenie na lud wywarł wypadek, jaki się przydarzył w początkach 1859 r. w Nowogródku, i który nabył ogromnego rozgłosu. Była to niedziela; proboszcz miejscowy mówił w kazaniu o pijaństwie. Mówił tak rzewnie, że cały kościół płakał. Obecni temu ajenci akcyzy, chcąc zatrzeć wrażenie kazania, po Mszy wytoczyli beczkę wódki na rynek, i oddawali ją za pół ceny, a nawet darmo. Dzień był targowy, ludu mnóstwo. Znaleźli się więc amatorowie i wkrótce beczkę wypróżniono. Lud się spał i jedną z kobiet spaliła wódka. Gdy trup leżał na ziemi, buchający wódką i dymem, opadły psy i świnię i głowę pogryzły. Okropność tej sceny wytrzeźwiła pijanych i głośno i uroczysto wyrzekali się wódki.

zyki na rynek miejski, gdzie dzierżawca propinacyi miejscowej wystawił kufy z wódką, którą żołnierze pili i zachęcali lud do picia.

Oczywiście nie odmawiano im tego i pijatyka rozpoczęła się na dobre. Sam generał-gubernator Nazimow, skarżącym się na to postępowanie władz, usiłował je usprawiedliwić potrzebą picia wódki w naszym klimacie i tekstem z Pisma Ś-go o Kanie Galilejskiej.

W Królestwie istnienie bractw wstrzemięźliwości było także dość krótkie. Sama gwałtowność propagandy, poczęła na nią zwracać uwagę rządu, który zawsze i wszędzie, nie bez pewnej słuszności zresztą, w każdej działalności polskiej podejrzewał politykę i chęć szkodenia interesom państwowym. Z tem widzeniem rzeczy zeszyły się prywatne interesa żydowskie i właściciele gorzelni, którym bractwa trzeźwości znaczne straty przynosiły. Znaleźli się i tacy, którzy wprost pisali do Gorczakowa denuncyacye, że bractwa mają cele polityczne, że przez wymaganie ślepego posłuszeństwa względem przełożonych, stać się mogą potężną i arcyniebezpieczną bronią w rękach duchowieństwa katolickiego. Wskutek tego, Gorczakow polecił dyrektorowi Komisji spraw wewnętrznych, Muchanowowi, ażeby zabronił administratorowi dyecezyi płockiej, gdzie główny był rozrost bractw, ich zakładania. Muchanow istotnie w dniu 30 Lipca 1857 r. wysłał do Myślińskiego reskrypt, w którym zawiadomił go o decyzji namiestnika. „Jaśnie oświecony książę namiestnik Królestwa, pisał, zalecając duchowieństwu, ażeby lud przy pomocy napomnień religijnych, wygłaszanych roztropnie, od pijaństwa, zabronił zakładania bractw trzeźwości, jako niedozwolonych przez prawa obowiązujące”.

Myśliński jednak, zaprotestował przeciw temu rozporządzeniu w imię moralności chrześcijańskiej, której on, jako zwierzchnik dyecezyalny winien bronić i pilnować, a duchowieństwu podwładnemu polecił nie ustępować, tylko dalej propagować bractwa, oczywiście w rozmiarach szczyplejszych i z cechą mniej gwałtowną. Ten stan rzeczy, to niewykonanie rozkazów rządowych, nie mogło się ukryć przed okiem policyi i żandarmów, zwłaszcza, że byli ludzie, którzy mieli w tem osobisty interes, by rząd wiedział o nieposłuszeństwie duchowieństwa płockiego.

Wskutek tego Muchanow ustanowił komisją śledczą, pod prezydencją urzędnika Komisji spraw wewnętrznych, radcy stanu Remiszewskiego, Polaka, która po czteromiesięcznem śledztwie złożyła raport, potwierdzający istnienie bractw trzeźwości w gubernii Płockiej i ich szkodliwości pod względem politycznym. Przy powtórzeniu rozkazu, zabraniającego jeszcze raz jak najsurowiej zakładania bractw, Muchanow przez reskrypt z d. 16 Marca 1858 r. polecił ukarać kilku księży, jak następuje: księdza Nikodema Składowskiego, kaznodzieję klasztoru Reformatów w Żurominie, który bardzo gorliwie zajmo-

wał się propagandą wzmiankowanych bractw, kazał Muchanow przenieść do klasztoru w Białej Podlaskiej z zaleceniem, by oddany został pod ścisły dozór miejscowego gwardyana i by do czasu poprawy nie był dopuszczany do żadnych wyższych obowiązków. Ksiądz Olszewskiego, proboszcza w Ostrowie, skazano na 200 złp. sztrafu; ks. Giergielewicza, beneficjanta w Zarembach na 266 złp. sztrafu i kazano go przenieść na wikaryat; ks. Ojrzanowskiego, wikaryusza w Obrytach, wysłano na dwa lata do seminaryum; ks. Ropelewski, proboszcz tejże parafii Obryty, zapłacić musiał 400 złp. Sztrafu i utrzymywać własnym kosztem przez wymienione dwa lata swego wikaryusza w seminaryum; ksiądz Wielogłowski proboszcz i dziekan Mławski zapłacił także 400 złp. kary i stracił dekanat; ks. Uściński, proboszcz parafii Zambsko, zapłacił 200 złp. i poddany został karze, jaką miała mu wyznaczyć jego zwierzchność kościelna. Ksiądz Kulpiński, beneficjant w Przewodowie i proboszcz parafii Zielona, musiał tyleż zapłacić sztrafu i stracił swe beneficjum. Ksiądz Lubowidzki, proboszcz w Zegrzu, zapłacił 200 złp. groszy 17 (sic). Ksiądz Nawrocki, wikariusz w Szreńsku, został wysłany do seminaryum na dwa lata, gdzie musiał się sam starać o swe utrzymanie. Wikaryusze Januszkowski z Nasielska, Tarnułowski z Wyszkowa i Żelazowski z Kadzidła, zostali translokowani na inne, mniej przynoszące dochodu wikaryaty. Gwardyani Reformatorów w Żurominie i Pułtusku, jak również wikaryusze kościoła kolegiального w temże mieście, otrzymali surową naganą. W całym Królestwie naczelnicy powiatów zawiadomili proboszczów, że zakładanie bractw trzeźwości, karane będzie sztrafem 66 złp.

Tym więc sposobem chłop polski mógł pić i zapijać się na śmierć, gdyż rząd rosyjski pod wpływem szynkarzy, propinatorów i gorzelanyeh, nietylko na to pozwalał, ale pewien charakter niewygodny dla rządu, temu zaprzeczyć nie można; że nawet i dla kraju nie była dobrą ze względu na jej cechę kościelną i fanatyczną, to było widoczne, ale na wszystkie te jej niedostatki przy dobrej woli łatwo było zaradzić. Rząd rosyjski, jak to zawsze bywa w zwyczaju tej władzy leniwej, samowolnej i zepsutej, nie myślał o ulepszeniu zasadniczych podstaw bractw wstrzeźliwości, ale wołał je wprost zakazać. Najwięcej szło mu o to, że duchowieństwo za zbyt silny, za zbyt stanowczy wpływ może zyskać na chłopą, którego on, na wzór rewolucjonistów i Mierosławczyków chciał trzymać w rezerwie, i nie dozwalając teraz ruszyć „ani kolka w płocie i miedzy na niwach”, czekał zapewne aż przyjdą takie okoliczności, w których ze stosownie rozstrzygniętej sprawy włościańskiej, uda mu się wyciągnąć jak najwięcej dla siebie korzyści.

Jednakże w tej chwili, gdy na Litwie i w Rosji poczęły się organizować komitety włościańskie, gdy w ogóle sprawa ta interesowała wszystkie umy-

sły; gdy przebiegał po całym państwie jakiś dreszcz tajemniczy, przypominający dreszcze niektórych zwierząt zrzucających ze siebie starą skórę, niepodobna było nie zająć się i polskim chłopem; należało i jemu coś dać, a przynajmniej okazać ogółowi, że i los ludu polskiego leży na sercu rządowi rosyjskiemu. W tym celu przysłano do Królestwa, z tytułem członka Rady Administracyjnej, generała Ixkulla, Szweda rodem, dla ułożenia projektu w sprawie włościańskiej. Był to człowiek rozważny, wykształcony, uczciwy i miał pewne doświadczenie w tego rodzaju robotach, gdyż zajmował się poprzednio kwestyą chłopską w Estonii. Nie przynosił ze sobą żadnych uprzedzeń, żadnych teorii z góry powziętych, ale zjawiwszy się w Warszawie badał sumiennie miejscowe stosunki, zbierał skrzętnie wszelkie wiadomości, czytał dużo, radził się ludzi, znających rzecz dobrze. Zresztą nie on sam miał stanowić o losie chłopskim w Polsce, albowiem w skutek rozkazu cesarskiego utworzono w Maju 1858 r. komitet, pod prezydencją namiestnika. Do komitetu tego, oprócz rzeczonoego Ixkulla, weszli dyrektorowie główni komisji rządowych: Muchanow, spraw wewnętrznych; Drzewiecki, sprawiedliwości; Gumiński, wydziału dóbr i lasów w Komisji Skarbu, oraz gubernatorowie: Łaszczyński warszawski i Tykiel augustowski. Ten ostatni opracował projekt, nie bez wpływu Zamoyskiego i Klemensowczyków, oparty na oczynszowaniu. Nad projektem tym rozpoczęły się długie i nużące debaty w komitecie.

Opinia ogólna w kraju wiadomość o utworzeniu się komitetu, mającego się zająć sprawą włościańską, przyjęła bardzo dobrze. W gorącym poczuciu potrzeby rozstrzygnięcia raz tej kwestyi, wszelkie kroki na tej drodze zrobione witano z uznaniem, nieomal z radością. W tym jednak razie, gdy dowiedziano się, że komitet Ixkulla stanowczo poza oczynszowanie wyjść nie zamierza, poczęto sarkać i nie przywiązywano już żadnej prawie wagi do prac tego komitetu. Ogół żądał uwłaszczenia, ostatecznego raz na zawsze ukończenia sprawy chłopskiej; oczynszowanie zaś uważał za środek paliatywny, za stan tymczasowy, który nie lecząc wrzodu radykalnie, kładł tylko na niego plastry, ból łagodzące. Przytem oczynszowanie w oczach opinii było krzyżącą niesprawiedliwością, krzywdą wyrządzoną chłopu, dalszym ciągiem nadużyć, jakich przez długie wieki, rządy i szlachta dopuszczała się względem tegoż chłopu. Chłop, mówiono, krwawym potem i ciężką pracą na roli ojczystej, pracą trwającą kilkaset lat, nabył prawa do własności tej roli, a tymczasem teraz każą mu jeszcze za nią płacić i uważać się tylko za dzierżawcę, wprawdzie wieczystego, ale bądź co bądź dzierżawcę.

Tak się patrzano na projekta komitetu Ixkulla, i przez dziwne przecucia, objawiające się niekiedy w masach, nie wierzono w urzeczywistnienie, w trwa-

łość jego robót. Dlatego też, gdy komitet nie zamierzał radykalnie zająć się losem chłopskim, zapomniano prędko o jego istnieniu i przyjmowano z obojętnością wszelkie o nim wieści.

Tymczasem komitet, pracował dalej i d. 28 Grudnia 1858 r. wydane zostało z upoważnienia cesarskiego, postanowienie Rady Administracyjnej Królestwa, obejmujące przepisy, na mocy których mogły być zawierane dobrowolne umowy czynszowe między właścicielami dóbr i włościanami. Komitet więc nawet tego nie zrobił, co sądzono, że zrobi, tj. nie oczynszował stanowczo chłopów, ale pozwolił na oczynszowanie każdemu, kto sobie tego życzył, zostawił to, inaczej mówiąc, dobrej woli szlachty, i wydał tylko przepisy, według których taka czynność miała być dokonywana. Rozczarowanie więc było zupełne, niezadowolnienie jeszcze większe, nawet w stronnictwie Klemensowczyków. Podczas bowiem gdy ci ostatni chcieli, by umowy dzierżawne czynszowe były tylko czasowe, co jakieś kilkanaście lub kilkadziesiąt lat odnawiane, komitet zrobił je wieczystymi i tym sposobem chłopu uczynił do pewnego stopnia właścicielem roli, na której siedział. Oto główne zasady postanowienia Rady Administracyjnej:

- a) umowy miały być wieczyste;
- b) czynsz mógł być stały lub co lat dwadzieścia, stosownie do ceny żyta, odnawiany;
- c) budowle gospodarskie przechodziły na własność chłopów;
- d) pożyczki i zasiewy dane przez właściciela, miały być przez chłopów zwrócone w naturze lub spłacone;
- e) prawa dominii directi, jako to: propinacyi, polowania, rybołówstwa itd. zostawały przy dziedzicu.

Jakkolwiek postanowienie to posuwało sprawę włościańską znacznie naprzód wobec projektu Zamoyskiego i Klemensowczyków, było bądź co bądź jakimś wyjściem z martwej ciszy, jaka od ukazania 1846 r. zaległa na polu tej kwestyi, wszelako w praktyce, w rzeczywistości w niczem prawie chłopu nie przyniosło ulgi i krzyczącego stosunku pańszczyźnianego nie zmieniło. Przez pozostawienie bowiem właścicielom ziemskim i chłopom zupełnej swobody w zawieraniu lub nie umów czynszowych, rezultat okazał się taki, że procent przystępujących do oczynszowania był niezmiernie mały. I dziwić się temu nie należy. Szlachta nie dlatego niechętnie brała się do oczynszowania, żeby wogóle nie widziała jego potrzeby, żeby miała stawać wrogo względem zmian w stosunkach agrarnych, zwłaszcza, że nie było w kraju człowieka ani tak ograniczonego, ani tak zaślepionego, by nie spostrzegł, że stosunki te weszły w takie stadyum, iż wcześniej czy później muszą uleść reformie, ale dlatego, że przy powszechnym złym stanie ekonomicznym średniej własności ziemskiej,

zmiana gospodarstwa pańszczyźnianego na folwarczne wymagała znacznych nakładów, na które szlachtę w ogromnej większości nie stać było. Rzecz ta wtedy tylko mogłaby się była zrobić i szybko ukończyć, gdyby rząd przyszedł szlachcie z pomocą, gdyby był obmyślił jakąś instytucją finansową, jakiś bank czynszowy, któryby przystępującym do czynszowania dawał tanie pożyczki, spłacane przez dłuższy przeciąg czasu ratami. Ponieważ jednak rząd tego nie uczynił, zostawiając szlachtę własnym jej siłom, czynszowanie więc dobrowolne nie postępowało zupełnie i cały ten projekt okazał się w rzeczywistości chybionym, nie zadowalniając współcześnie w niczem opinii ogólnej.

Opinia ta zresztą coraz bardziej była teraz ze wszystkiego niezadowolona. Rząd, od którego spodziewano się koncesyj szeroko i dobrze obmyślanych, koncesyj, które w tej chwili z wdzięcznością byłyby przyjęte, utrzymywał ciągle dawny, mikołajowski stan rzeczy i jeżeli robił w nim jakie zmiany, to bardzo niewielkiego znaczenia i bardzo wolno. W dniu 19 Kwietnia 1858 r. zniesiono posady naczelników wojennych, znosząc tym sposobem nieprzerwany stan wojenny, w jakim kraj się znajdował, i rządy wojskowe. Jakkolwiek pozornie tak to wyglądało, w gruncie jednak zmiany żadne nie zaszły. Na miejsce bowiem zniesionych naczelników mianowano w każdym mieście gubernialnem tzw. komendantów, których atrybucye, z bardzo niewielką różnicą, były takie same jak dawnych naczelników wojennych. Ustępstwa więc nie było żadnego i ogół polski na tę zmianę nie zwrócił nawet uwagi.

Daleko ważniejszą atoli koncesją i istotnie korzystną dla kraju była reforma zarządu pocztowego. Dotąd poczta w Królestwie podlegała głównemu zarządowi poczt w Petersburgu i językiem urzędowym w niej był rosyjski. Obecnie, na skutek ukazu z d. 19 Maja. 1858 r., pocztę w Królestwie oddano pod bezpośrednie zwierzchnictwo i zależność namiestnika i Rady Administracyjnej, a językiem urzędowym został polski.

Najdonioślejsze wszelako znaczenie miało ustanowienie w szkołach na Litwie katedr języka polskiego, który w r. 1854 całkiem został usunięty ze szkół i nie był wykładany, chociaż dziewięć dziesiątych młodzieży uczącej się stanowili katolicy i Polacy. Była to krzyżująca niesprawiedliwość, która drażniła i oburzała nadzwyczajnie, i oburzenie to znajdowało wyraz przy każdej zdarzonej sposobności. Jeszcze w r. 1855 szlachta żmudzka, zebrana na wybory w Kownie, na wniosek Edwarda Römpera podała adres do cesarza o przywrócenie języka polskiego w szkołach. Na adres ten nie otrzymano odpowiedzi, ale w roku następnym ministerium oświecenia w Petersburgu wysłało jednego ze swych dygnitarzy na rewizję szkół i zakładów naukowych w tak zwanych urzędownie „guberniach zachodnich”. Szlachta miejscowa skorzystała z tej sposobności, by wypowiedzieć swe gorzkie i bardzo uzasadnione skargi

na usunięcie języka polskiego ze szkoły, oparła je na tak poważnych argumentach, łatwych zresztą do znalezienia, że wobec idei liberalnych, będących wówczas w modzie, wobec dążności łagodzenia wszelkich ostrych kantów, dygnitarz ów uznał powyższe zażalenia za słuszne i sprawiedliwe. Wskutek tego w sprawozdaniu swem o stanie szkół w „kraju zachodnim” twierdził on, że wykład języka polskiego w zakładach naukowych okręgu Wileńskiego nie przedstawia żadnych trudności, a nawet jest pożądanym, ze względu, że nauka dwóch pobratymczych języków: polskiego i rosyjskiego, wpłynąć może na większe postępy młodzieży w obu; że z uwagi, iż w wykładach religii w szkołach litewskich używany jest język polski, że zatem uczniowie winni znać i znać ten język, a więc niesłusznym jest ze strony rządu takie postępowanie, które dozwalać na wykład jednego przedmiotu w języku polskim, pozbawia dzieci uczenia się prawideł tego języka, który jest ich mową rodowitą, zwłaszcza, że uczą się obcych, jak: francuzki, niemiecki i łaciński. „W konkluzji raport utrzymywał, że wprowadzenie wykładu języka polskiego zadośćby uczyniło pragnieniom mieszkańców, wypowiedzianym z wszelką pokorą itd.

Ministerium oświecenia wobec tego ustąpiło i dozwoliło w r. 1858 na utworzenie katedr języka polskiego w guberniach litewskich: wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej. W tym celu ustanowiono w Wilnie komitet, w którym zasiadał także znany poeta polski, towarzysz niegdyś Mickiewicza, Antoni Edward Odyniec. Komitet ten zajął się zaraz rozpatrywaniem kwalifikacji kandydatów na nowe katedry. Co się tyczy białoruskich gubernij: Witebskiej, Mohilewskiej i Mińskiej, jak również południowych: Wołyńskiej i Podolskiej, ministerium stanowczo nie zgodziło się na to, by tam język polski był w szkołach wykładany. Taka decyzja ministerium nie podobala się w najwyższym stopniu szlachcie polskiej na Białorusi. Istotnie, w postanowieniu ministra była niekonsekwencja. Jeżeli już bowiem zgadzał się na to ustępstwo dla żądań szlachty litewskiej, nie było żadnej racji odmawiać zadośćuczynienia pod tym względem szlachcie białoruskiej. Jak tam tak i tu ona jedna przedstawiała żywioł polski, gdyż lud na Litwie był litewski, na Białorusi ruski i w nauce szkolnej nie brał on udziału. Szkoły zapełnione były przeważnie dziećmi szlachty polskiej i pozwalając im na Litwie uczyć się języka ojczystego, nie było żadnego uzasadnionego powodu odmawiania tego samego dzieciom szlachty polskiej na Rusi.

Właśnie pod jesień zapowiadano, że cesarz jadąc do Warszawy, zatrzyma się w Mińsku i w Wilnie, i z okoliczności tej szlachta białoruska postanowiła skorzystać i wypowiedzieć swe żądania za pośrednictwem marszałków. Jakoż gotowano się powszechnie na przyjęcie młodego monarchy. Zwiedziwszy Twer, Jarosław, Kostromę, Niższy Nowogród, cesarz jechał na Moskwę, Smoleńsk, do Mińska, gdzie zebrała się cała szlachta białoruska i dnia 17 Września

wyprawiła mu świetny bal. Wówczas to Witebszczanie wystąpili z adresem, w którym żądali: pomnożenia kościołów katolickich, a raczej pozwolenia na wznoszenie nowych; wykładu języka polskiego w szkołach i założenia uniwersytetu w Połocku. Odrazu zażądano zbyt wiele i w umyśle podejrzliwym, ciasnym i upartym w raz powziętych, a raczej narzuconych sobie mniemaniach nowego cesarza prośba taka musiała wywołać niechęć. Gdyby szlachta witebska, opierając się na tym fakcie, że język polski został wprowadzony do szkół litewskich, domagała się tego samego dla swej gubernii, gdyby była nie mówiąca o kościołach i uniwersytecie, bardzo jest prawdopodobnym, że Aleksander znajdujący się ciągle w egzaltowanym nieco nastroju reform i ulg, byłby się na to zgodził. Tak zaś zażądano naraz zbyt wiele i nic nie otrzymano. Na prośbę szlachty cesarz odrzekł surowym i karcącym tonem, że „w prośbie jej przebija się niejaka dążność do utrzymania mniemanej narodowości polskiej, dążność tem bardziej bezzasadna i lekkomyślna, że nie ma ona żadnego, nawet historycznego znaczenia. Kraj ten bowiem nigdy nie był niepodległym i nigdy nie uważał się za zdobyty, ale tylko odebrany od Polski, jako odwieczna własność Rosji”.

Napomnienie to ochłodziło wiele głów polskich na Białorusi, które licząc na liberalny umysł Aleksandra, sądziły, że kwestya przyłączenia ich ziemi do Królestwa jest tylko kwestyą czasu. Obecnie przekonano się, że pod tym względem nic się w rządzie rosyjskim nie zmieniło, że nawet nie uznają ich za Polaków, zowiąc „mniemaną narodowością polską”. Oburzenie było wielkie, niesmak jeszcze większy, gdy cesarz odwiedziwszy w Mińsku cerkiew prawosławną i kościół katolicki, zakłady dobroczynne i naukowe, opuszczał Mińsk, żegnany bez entuzjazmu i zimno, by udać się do stolicy Litwy, do Gedyminowego grodu nad Wilią.

Tu przygotowywano się na jego przyjęcie tak, jakby w mury starego Wilna wstępować miał jeżeli już nie Jagiellończyk, to przynajmniej Waza, ubrany w purpurę królewsko-polskiej i w odwieczną czapkę książęcą litewską. Szlachta zjeżdżała się bardzo licznie ze wszystkich kątów kraju, zpod Kowna, ze żmudzkich niw, z puszcz grodzieńskich, z Pińszczyzny, zewsząd, kto tylko mógł się ruszyć. Spodziewano się bardzo wiele łask, koncesyi, ustępstw; żywiono świetne nadzieje, słodkie marzenia opierano na tym pierwszym pobycie młodego cara w stolicy Litwy. „Czas” krakowski pisał, że „szlachta litewska pragnie z całą okazałością przyjąć monarchę w starodawnych murach Gedymina”.

Jakoż robiono ogromne i kosztowne przygotowania Gmach muzeum wileńskiego odnowiono sumptem szlachty, która na ten cel dała 1500 rs. Przez Nazimowa proszono cesarza, by raczył przyjąć bal, na co Aleksander odrzekł

„bal przyjmuję od zacnej szlachty”. Postanowiono zatem wystąpić wspaniale, z przepychem i zbytkiem. Umyślnie wysłano deputata do Warszawy, aby ugodził i sprowadził z tamtąd sławnego kuchmistrza Conti, który z odpowiednią służbą miał przyjechać do Wilna i zgotować dla cesarza obiad. Conti zażądał za to 3000 rubli, za wyjazd, służbę, wety; wszystkie inne przybory, jak: mięso, warzywa, jarzyny, owoce i t. p. miał mieć dostawione. Zgodzono się na to, nie żałowano grosza, świetne rojono nadzieje. Noszono się z myślą podania prośby o przywrócenie akademii wileńskiej.

Na koniec dnia 18 Września Aleksander przybył do Wilna. Jechał przez ulice przybrane flagami i dywanami; obok domów wspaniale udekorowanych, między którymi odznaczały się domy Tyszkiewicza i Ogińskich; pod łukiem tryumfalnym, wzniesionym przez żydów na ulicy Niemieckiej; obok Muzeum starożytności, gdzie umieszczono obraz, przedstawiający śpiącego geniusza, budzonego przez Minerwę, wskazującą na wschodzące słońce, na którym była cyfra cesarska; wśród tłumów ludu, witającego radosnymi okrzykami młodego monarchę. Wieczorem miasto było przepysznie uiluminowane, pełne transparentów i blasku; nawet na starej górze zamkowej, gdzie tylokrotnie pogon litewska ścierała się z czarnym orłem krzyżackim, gorzał ogień bengalski. Wilno przybrało świąteczną, uroczystą szatę, obchodziło gody zaślubin swoich z dynastją rosyjską. Zdawało się, że w każdej piersi drży nadzieja świetnej, jasnej, na podstawach narodowych opartej przyszłości, na której w oddali niestety! czerniały już krwawe Murawiewowskie chmury. Ten ogólny, entuzjastyczny nastrój umysłów znalazł swój wyraz w haniebnym, brzydkim wystąpieniu pewnej grupy ludzi, których słusznie potem napiętnowano mianem odstępców i zdrajców.

Cesarz zwiedziwszy sobór prawosławny i kościół katedralny katolicki, uklęknąwszy i pomodliwszy się przed cudownym obrazem Matki Boskiej w Ostrejbramie, udał się do Muzeum starożytności. Tu na samym wstępie ofiarowano mu przepysznie opracione album, w którym na atlasie, złotymi literami wydrukowany znajdował się wiersz polskiego poety, Mickiewiczowskiego towarzysza, Antoniego Edwarda Odyńca, pt. „Przyjdź królestwo Boże!” Wśród pochlebstw, przypominających najsmutniejsze czasy panegiryzmu naszej literatury, wśród niesmacznych zachwyty i uniesień, mianujących panowanie Aleksandra II go królestwem Bożem, wiersz tak się kończył:

*„A wy duchy Jagiellonów,
Pojrzyjcie ku nam z wysokości!
Oto dziedzic waszych tronów,
Waszych myśli i miłości;*

*Ojciec ludu, pan narodów,
Wchodzi w progi waszych grodów,
Przyjąć dzięki milionów,
Którym wraca godność ludzi,
Przyjąć hołd nie czcznych pokłonów,
Lecz serc, których wdzięczność budzi,
Których miłość i swoboda,
Aureolą nad Nim świeci;
On nie wzgardzi, co Mu poda
 Jako ojcu grono dzieci.
A wy tam, w niebiosach, ust naszych wołanie
 Poprzyjcie modłami waszemi:
Pod berłem niech Jego początek nastanie
 Królestwa Bożego na ziemi!"*

I wszystko to, o tym „dziedzicu tronu Jagiellonów, ich myśli i miłości” pisało się po sławnym i nigdy niezapomnianym ostrzeżeniu w Warszawie: „żadnych marzeń”, po zdaniu w Stutgardzie, że „ośmielono się mówić mu o Polsce”, po mowie o „mniemanej narodowości polskiej” w Mińsku! Trzeba było istotnie albo zupełnego zaślepienia, albo braku poczucia wszelkiej godności narodowej, albo też nikczemności duszy i serca, by wystąpić z takim panegirycznym, z tukiem krzyczącym uwielbieniem ręki chłuszczącej, z nazwaniem carów rosyjskich dziedzicami Jagiellońskiego tronu! Nie tłumaczy się to ani nadziejami, jakie żywiono co do łagodnego, ludzkiego, liberalnego usposobienia młodego monarchy, ani polityką. Nadzieje mogły nakazywać dobre przyjęcie cesarza w Wilnie, ale nie płaszczenie się przed nim, a niema takiej polityki, która by kazała zapominać o godności narodowej. To też niegodne wystąpienie Odyńca, i jego popleczników Kirkora, Malinowskiego, Chodźki, wywołało oburzenie i potępienie w kilku sercach szczerych i szczerze polskich. Oburzenie to znalazło wyraz w płomienistym pamflocie znakomitego pisarza emigracyjnego, Juliana Klaczki, który palącymi słowami i nazwą „odstępców” napiętnował literatów wileńskich. Że na to miano zasłużyli, nikt przeczyć nie może, zwłaszcza, że po Odyńcu wystąpił Chodźko z artykułem i wydrukował go w miejscowym „Kuryerze wileńskim”. W tonie rażącego, sztucznego patosu, pisze Chodźko, że „są w życiu narodów chwile tak ważne, tak głębokiego na los i odległą ich przyszłość wpływu, tak potężne w skutkach, a tak w porę objawiające się światu, że je nie inaczej, jak za kartę z księgi przeznaczeń wyjętą i w trud-

nych zadaniach społeczeństwa słabemu rozumowi ludzkiemu ku wspomnieniu daną, uważać należy. Taką chwilą, od Boga dla Litwy zesłaną, jest bezwątpienia obecna! Przybycie Najłaskawszego Monarchy ją zwiastuje, a czas i stan kraju tego wyraźne znamię przeznaczenia dla niej objawia”. Artykuł swój Chodźko temi słowy kończy „...tak więc jednym wielkim, jednomyślnym chórem brzmi dziś Litwa cała, uznając historycznym, z przeznaczenia danym i uroczystym dzień ten, w którym stopa Monarchy dotykając jej ziemi, ustala jej losy; dzień, który jest powtórzeniem owego dnia wiekopomnego w dziejach Litwy i ludzkości, gdy uwielbiony między narodami Aleksander I-szy, niosąc ku pomocy Europie miecz swój zwycięzki, gałęzią oliwną obwity, wszedł w te mury za wypartym z państwa Jego nieprzyjacielem, i ustępując głosowi serca swego, modły dziękczynne Bogu za zwycięstwo, a ludom święte słowa pokoju i miłości, najpierwsze tu w Wilnie wyrzec raczył (amnestya powszechna). Tenże sam znowu głos serca wprowadzając tu Aleksandra IIgo, błogosławi dziś tej ziemi na wszelkie dla niej dobro i ośmiela w nadziejach, że swobodniejszą odtąd uprawiana ręką, w tem obfitsze obrodzi się plony; że uszlachetniona praca rolnicza, uszlachetni zarazem pojęcia i uczucia ludzi; że jak promienie w słońcu, od którego pochodzą, tak myśli wszystkich zjednoczą się w wielkiej myśli monarchy, czuwającego nad gwichtem (sic) szali przeznaczeń naszych; że na koniec szalę tę, potężną jego prawicą trzymaną, miłość dlań nasza, wierność i zaufanie, ku szczęściu Litwy, stale przechylać będą”.

Takie to rzeczy drukowały się wtedy, i w ogólności mówiąc, z wyjątkiem kilku serc i umysłów podnioślejszych, opinia publiczna nie potępiła wcale literatów wileńskich za te brzydkie pochlebstwa. Jeden tylko Klaczko, w wychodzących w Paryżu „Wiadomościach polskich”, nie przestał chłostać „odstępców”, jakkolwiek tak Chodźko, jak i jego koledzy byli wpływem powszechnego usposobienia umysłów, jeżeli już nie w kraju całym, to przynajmniej na Litwie. Dlatego też wiersz Odyńca i artykuł Chodźki czytano bez oburzenia i bez pogardy, na jaką oba te nędzne elaboraty zasłużyły. Usposobienie było takie, że nawet znakomity tej doby poeta litewski Władysław Syrokomla, szczerzy i dobry patriota, z domieszką demokratyczności rewolucyjnej, nie sromął się dokonać przekładu na język polski mizernego wiersza, napisanego po rosyjsku przez Pawła Kukulnika, cenzora wileńskiego, na cześć pobytu cesarza w Wilnie, i wydrukować go ze swoim podpisem w „Kuryerze wileńskim”. Oprócz Syrokomli, napisał zacny zkądinąd Akielewicz, wiersz litewski, a młody poeta Wincenty Korotyński, wiersz ruski na przyjazd Aleksandra do Wilna. Jednym słowem, nieomal wszyscy ówcześni literaci litewscy, składali ofiary ze swego talentu na ołtarzu caratu.

Cesarz tymczasem otrzymawszy album, zwiedził Muzeum bardzo starannie i na pamiętce polskie zwracał uwagę. Wychodząc obiecał, co uważano za dowód nadzwyczajnej łaskawości, że syna swego, następcę tronu, zrobi opiekunem Muzeum i Towarzystwa archeologicznego wileńskiego³⁸.

Były to jednak drobne, że tak powiemy, rzeczy. Z natężonym niepokojem, pełnym zresztą nadziei, oczekiwano na to, co cesarz powie do szlachty, która mu się miała przedstawić.

Mowa ta wszelako, jakkolwiek brzmiała tonem bardzo przyjaznym, nawet serdecznym, to znać w niej było staranne unikanie wszelkich napomknień, mających charakter polityczny. Mówił, że cieszy się, iż może osobiście podziękować szlachcie wileńskiej za udział, jaki brała podczas wojny ostatniej, oraz za gościnność okazaną gwardyi, choć to nie pierwszy raz się przytrafiło. Sam bowiem był świadkiem w r. 1849 jak przyjmowali gwardye. Dziękował następnie za udział, jaki szlachta litewska wzięła w polepszeniu bytu włościan; że ona dała przykład, a cała Rosya poszła za nią. Skończył słowami, bezwątpienia nader pochlebniemi, ale nie mającemi znaczenia, że „bardzo mu miło być otoczonym” przez też szlachtę³⁹.

Wszyscy ci, którzy liczyli na to, że mowa cesarza zawierać będzie jakiegokolwiek wskazówki polityczne, jakiegokolwiek napomknienia o obecnym stanie rzeczy na Litwie i o zamiarach rządu na przyszłość, zawiedli się zupełnie. Cesarz nic nie powiedział; ograniczył się na frazesach, podziękowaniach i lekkich pochlebstwach dla szlachty. Ludzie poważniej na położenie patrzący,

38 W parę miesięcy później, d. 9 Grudnia na nadzwyczajnem posiedzeniu Komisyi archeologicznej, kurator okręgu naukowego wileńskiego, generał-lejtnant baron Wrangel wręczył prezesowi tejże Komisyi Eustachemu hr. Tyszkiewiczowi reskrypt następcy tronu tej treści: „cesarz jegomość, najjaśniejszy rodzic mój, raczył dozwolić mnie przyjąć godność opiekuna wileńskiej komisji archeologicznej, będącej pod Waszą prezydencją i Muzeum przy niej, któremu wy pierwsi daliście początek. Dziękuję wam i wszystkim członkom Komisyi za ofiarowaną mnie godność, którą przyjmuję z zadowoleniem, życząc z duszy, aby ta nowa instytucja naukowa pomyślnie działała w szlachetnym zawodzie oświaty, przyczyniając się do ściślejszego wzmocnienia węzłów, łączących gubernie litewskie z Rosją” itd. Reskrypt wydany z Carskiego Sioła d. 15 Października 1858 r.

39 Oto tekst dosłowny tej mowy, według źródeł urzędowych rosyjskich: „Panowie, bardzo się cieszę (oczeń rad), że mogę wam osobiście podziękować za żywy udział, jakiście brali podczas ostatniej wojny, oraz za gościnność (radusie), okazaną mojej gwardyi. Ale to dla was nie jest nowem. Sam byłem świadkiem w r. 1849, jakieście przyjmowali gwardyę. Dziękuję wam za serdeczne, gościnne przyjęcie. Cieszę się bardzo, że widzę was tu zebranych i że się między wami znajduję. Dziękuję wam za udział, jaki bierzecie w sprawie polepszenia bytu włościan. Pierwsi daliście przykład i całe cesarstwo poszło za wami. Przekonany jestem, że odpowiecie oczekiwaniom rządu i zawsze we wszystkim pomagać mi będziecie. Jeszcze raz dziękuję wam za przyjęcie, i powtarzam, że miło mi być otoczonym przez was. Liczę (nadziejus) na was”.

usprawiedliwiający nawet przez politykę, przez chęć zyskania sobie cesarza, te owacy gorące, jakie mu robiono, te wiersze i panegiryki literackie, zostali zupełnie rozczarowani.

Aleksander mówił w tonie przyjaznym, ale nic nie obiecywał, nic nie przyrzekał, a zatem obecny stan rzeczy miał trwać dalej, żadne zmiany w nim zajść nie miały. W rezultacie więc, bytność cesarza w Wilnie dodała tylko nową ilość kwasu do fermentujących już mocno namiętności politycznych, kwasu, który wkrótce buchnąć miał gorzkim wylewem, krwawą rzeką, dzielącą kraj i rząd na dwie wrogie i nieprzejednane strony. W owych jednak dniach wrześnieowych, wśród malowniczych murów wileńskich, otoczonych wzgórzami czerwieniacemi się całą krasą cichej i cieplej jesieni polskiej, nikt jeszcze nie przewidywał, że groźna, ponura postać Murawiewa Wieszatiela już poczyna rzucać cień na jasne blaski carskich odwiedzin.

Na ogół jednak, na tę zawsze liczną i zawsze bezmyślną rzeszę, jaka stanowi większość każdego narodu, słowa Aleksandra łagodnością swego tonu, oddziaływały bardzo dobrze. Robiono zatem ogromne, niesłychanie kosztowne przygotowania do balu, który w ogólności pochłonął sumę bajeczną 70,000 rs. to jest blisko pół miliona złotych polskich! pół miliona złożone przez samą szlachtę, a zatem zapracowane krwawym potem chłopu litewskiego i ruskiego, rzucono na marne! Pieniądze te powstały ze składki po pięć kopiejek z dymu, jaką szlachta na przyjęcie cesarza na siebie nałożyła. Ale zato bal był świetny; zebrano na nim przeszło tysiąc osób, samych dam dwieście, błyszczących przepychem strojów i wdziękami szlachcianek litewskich. Bal rozpoczął się polonezem Kurpińskiego. Cesarz bawił się wybornie, a wychodząc uściśkał marszałka gubernialnego Domeykę i rzekł mu: „nigdy, nigdy nie zapomnę waszego przyjęcia i gościnności, i wy nigdy nie zapomnicie mojej wdzięczności”. Entuzjazm między szlachtą był tak wielki, że wielu chowało na pamiątkę kieliszki, którymi pili zdrowie cesarza. Niestety! już wtedy zapewne wśród egzotycznych kwiatów, w cieniu cytryn i pomarańcz, zdobiących salę balową, podnosiło się blade widmo Nemezy historycznej i szydersko się uśmiechało z tych zaklęć i przysiąg, z tej wdzięczności, która w pięć lat potem spłacona była szubienicami i Dżengishanowem zniszczeniem Litwy⁴⁰.

40 Kończąc z tym balem, opowiedzieć tu musimy zabawną anegdotę, obiegającą wówczas po całej Litwie. W czasie urządzania sali balowej, gdy ktoś powiedział, że dla wynalezienia środka w suficie, w celu powieszenia żyrandola, trzeba poprowadzić przekątnią (dyagonalę), obecny temu generał-gubernator Nazimow, zawołał: „czy pan myślisz że w Wilnie dostaniesz dyagonalę? Potrzeba ją sprowadzić aż z Petersburga, a na to mało mamy czasu!” Zdanie to Nazimowa nabiera tem większej niejako ceny i wartości, gdy przypomniemy sobie, że ten człowiek był przez długi czas kuratorem Okręgu naukowego w Moskwie.

Na koniec dnia 20 Września opuścił Wilno, i w okolicy pierwszej stacji kolejowej, Kierzanki, zatrzymał się i pojechał na polowanie, urządzone przez hr. Tyszkiewicza, kosztem 25,000 rubli⁴¹. Zabawiwszy tam parę godzin i uszczęśliwiony swą obecnością potomka polskich hetmanów i wojewodów, ruszył do Kowna, gdzie jeszcze tego samego dnia stanął. Tu do gubernatora cywilnego Chomińskiego, Polaka, osobistości bardzo zacnej, odezwał się, że radby więcej widzieć krajowców na wyższych urzędach i ostatecznie opuścił Litwę, kierując się ku Warszawie.

Zostawił on po sobie w ogóle w ojczyźnie Witolda, przyjemne wrażenie przez swą osobistość sympatyczną, łagodną, przez swój sposób obejścia, tak różny od żołnierskiej surowości i nieprzystępności Mikołaja, słowem, przez te przymioty, które w oczach bezmyślnych mas, czynią z monarchy ulubieńca tłumów. To też na Litwie zachwycone były pobytom Aleksandra jedynie kobiety, którym prawił komplementa i „dusery”, jak to się wtedy mówiło, do których cichaczem, niepostrzeżenie się umizgał; zachwycona dalej była nim szara rzesza umysłów małych, ciasnych, krótkowidzących, które cieszyły się, że w teatrze słuchał polskiej sztuki (Okrężne Korzeniowskiego), arystokratyczni panowie litewscy, których ścisła, zapewniał o swej wdzięczności, przyrzekał dać na opiekuna Muzeum własnego syna, polował w ich dobrach.

Ale ludzie trzeźwi, których nie upajały błyszczące pozory, którzy upatrywali pilnie, czy wśród zabaw, uczt, odwiedzin i polowań, nie błysnie jakaś iskra nadziei lepszej dla kraju doli, wszyscy ci ludzie rozumni, przewidujący, zostali carskim pobytom w Wilnie zupełnie rozczarowani. Nic on nie przyniósł, nic nie ulepszył, niczego spodziewać się nie dozwolił. To rozczarowanie zmienić się z czasem musiało w zniechęcenie, w nieufność między rządzonymi i rządzącym, w nieprzyjaźń wreszcie, której straszne skutki wkrótce obu stronom uczuć się dały. Historia jednak przyznać musi, że wina tym razem wyłącznie na rząd rosyjski spada. On wyhodował ten owoc zatruty i spożywać go musiał i spożywa dotąd.

Dnie 23 Września 1858 r. zjechał Aleksander IIgi do Warszawy, witany zawsze jeszcze radośnie przez ludność, zwiedził sobór prawosławny i po raz pierwszy od swego wstąpienia na tron, katedrę św. Jana, gdzie przyjmował go arcybiskup Fijałkowski, otoczony licznym klerem, i nabożeństwo odprawił. Cesarz stanął w pałacu Belwederskim. Pobyt ten w Warszawie przypomniawszy Aleksandrowi świetne dni mikołajowskie, gdy ojciec jego zjawiał się w Europie, otoczony tłumem książąt i królów, jako pan ich zwierzchni, jako rozjemca. Przybyli bowiem książę Karol bawarski, książę Fryderyk Wilhelm pruski,

41 Widoki i sceny z tych, sławnych w swoim czasie na całą Litwę, łowów, utrwaliło „Album wileńskie” wydane przez I.K. Wilczyńskiego. Ryciny odbijano u Lemerciera w Paryżu.

Wielki książę Sasko-Wejmarski Karol, przybył na koniec brat cesarza Francuzów, książę Napoleon. Wśród tego królewskiego, błyszczącego otoczenia, car niedawno pokonany, jeszcze okryty pyłem ruin Sewastopolskich, zdawał się odzyskiwać dawny nimb mikołajowski, znaczenie i przewagę w Europie. Zjazd sam nie miał znaczenia politycznego, nie ułożono na nim żadnego aktu dotyczącego polityki międzynarodowej; była to tylko świetna ekspozycja znaczenia i potęgi rosyjskiej, jaką carat odzyskiwał po kampanii krymskiej.

Za to ludność warszawska z pewnem zadowoleniem przypatrywała się królom i książętom, którzy zjechali do jej dawnej stolicy. Piękna, cicha, ciepła jesień, dawała sposobność do tłumnych wystąpień na ulice, wrzące niezmiernem życiem, pełne pojazdów dworskich, kapiących złotem oficerów, rozmaitych strojów i uniformów. To też gdy się wieść rozeszła, że dnia 28 Września ma przybyć do Warszawy brat cesarza francuzkiego, ogromne tłumy pociągnęły na dworzec kolei warszawsko-wiedeńskiej i przyległe ulice. Ze sfer urzędowych wysłano tylko na przyjęcie Bonapartego, jenerała Wincentego hr. Krasieńskiego, jako przedstawiciela dawnej chwały wojennej napoleońskiej, a może jako Polaka, milej zapewne widzianego przez Napoleonidę w stolicy polskiej, niż gdyby to był jaki dygnitarz rosyjski. Gdy się z wagonu ukazała śniada, pyszna, o rzymskim profilu twarz Napoleona, przypominająca aż do złudzenia rysy wielkiego stryja, w tłumach rozległy się okrzyki „niech żyje Napoleon!” a czasem „niech żyje Francya!” i okrzyki te brzmiały już ciągle, przez całą drogę aż do Łazienek. Policja nieliczna i dość nierozzgarnięta w tę porę, zresztą mająca rozkaz nie występowania zbyt widocznie, mocno była zakłopotana tymi okrzykami i tem przyjęciem. Trudnoż było wprost zakazać, lub aresztować kogoś za to, że okrzykami przyjmuje gościa cesarskiego. Wiadomość o tych entuzyastycznych okrzykach nie mile uderzyła sfery rządowe rosyjskie. Lękając się z tego powodu jakiej nieprzyjemnej manifestacji, postanowiono dla królewskich gości dawać przedstawienia teatralne w Pomarańczarni, nie zaś w Teatrze Wielkim. Nie przeszkadzało to jednak, że dni przepędzono wśród ciągłych uczt, balów, przeglądów wojskowych, świetnych illuminacji w Łazienkach. Na koniec wszystkie te festyny zbladły wobec polowania, jakie wyprawił dla cesarza i jego gości w Wilanowie August hr. Potocki, który podobnie jak Tyszkiewicz, z magnacką hojnością i przepychem wystąpił dla uczczenia swego króla.

Przyjęcie to, które przez jakiś czas było przedmiotem wszystkich rozmów w Warszawie, które zresztą przez ogół polski było dość krzywo widziane, krocie pochłonęło. Dnia 29 Września Aleksander ze swymi gośćmi udał się najprzód do Natolina, gdzie powitany przez gospodarzy chlebem i solą, jadł śniadanie, a potem polował na bażanty w parku natolińskim. Ztąd wieczorem

ruszono do Wilanowa na obiad, który się miał odbyć w prześlicznym Jana III-go pałacu. Wśród cichego wrześnieowego wieczoru, pod niebem zasianem tysiącem gwiazd, oczy wjeżdżających uderzyła najprzód brama tryumfalna, ustrojona w trójkolorowe chorągwie i cyfry cesarskie, a potem sam pałac i park przepysznie uilluminowany. Po wystawnym obiedzie puszczone fajerwerki, które sto tysięcy złotych kosztowały! Augustowa Potocka, typ wielkiej damy, już wówczas bardzo rzadki, robiła honory domu. Jakżeby się była zdziwiła ta pani, przyjmująca w swym pałacu królów i książąt, gdyby wtedy, w ten wieczór wrześnieowy, był jej jaki prorok powiedział, że za kilka lat, na rozkaz prostego porucznika, płacić będzie musiała krociowe kontrybucye! Los sprawia niekiedy takie niespodzianki i ludziom i rzeczom.

Gdy ten świetny, błyszczący orszak cesarski wracał do Warszawy, cała szosa obstawiona była kagańcami i służbą, w żółto-granatowej herbowej liberyi Potockich, z pochodniami jarząco oświecającymi drogę cara moskiewskiego. Nazajutrz, na manewrach za Powązkami, znalazły się licznie damy polskie, w bogatych strojach i ekwipażach. Była tam Augustowa hr. Potocka, hr. Brannicka, Zygmuntowa Krasińska, Adamowa Potocka, było mnóstwo innych, dodających niezwykłego uroku i blasku orszakowi cesarskiemu, świadczących niejako przed reprezentantem Francyi, że Polacy kochają swego króla, że pogodzili się z położeniem rzeczy, że przyjmują go u siebie, otaczają swemi żonami i córkami, bawią się z nim i biorą udział w jego zabawach. Dnia 30 Września Aleksander opuścił Warszawę, a z nim cały ten tłum królów i książąt wyruszył do swoich państw, nie zostawiając po sobie żadnego wspomnienia i żadnego śladu swego pobytu w stolicy polskiej. Jeden tylko książę Napoleon dał tysiąc franków na budujący się właśnie wtedy kościół i klasztor panien Maryawitek w Częstochowie. Sam Aleksander niczem nie zaznaczył swego pobytu; zakupił tylko bogatą bibliotekę po zmarłym w roku zaprzyszłym ministrze sekretarzu stanu Turkulle i darował ją Akademii medyko-chirurgicznej. Ogół wreszcie przyzwyczał się już do tego, że żadne poważniejsze zmiany w kraju nie zachodziły i większość przestała się czegokolwiek spodziewać po cesarzu i Rosyi.

Byli jednak ludzie, którzy widząc ożywczy prąd reform, przebiegający skostniałe ciało caratu, nie tracili nadziei, że cesarz Aleksander zrobi coś dla Polski, byle mu to przypomnieć, byle okazać, że stan obecny jest zgubny tak dla Polski, jak i dla Rosyi i świata całego. Niejaki Michał Łempicki, emigrant z r. 1846, szlachcic z Płockiego, osiadły we wsi Nawrze pod Nowem Miastem (Löbau) na Mazurach pruskich, w r. 1857 napisał do ówczesnego ministra sekretarza stanu Tymowskiego, że chciałby przesłać cesarzowi memoriał o sprawach słowiańskich. Tymowski odpowiedział mu, że może to

uskutecznić za pośrednictwem ambasady rosyjskiej w Berlinie. Jakoż Łempicki w Maju t.r. przesłał wskazaną mu drogą obszerny memoriał do cesarza. W piśmie tem, w tonie mistycznego nieco prorocstwa, zapowiada on, że świat dąży do rewolucji socyalnej, która obali wszystkie trony i zburzy cały układ społeczny dotychczasowy; że Rosya w tym kataklizmie upaść musi, bo w Polakach ma wrogów. Wobec tego autor memoriału radzi cesarzowi, żeby ogłosił niepodległość całej dawnej Polski, wszelkie traktaty rozbiorowe uznał za nieważne i połączył Rosyą z Polską unią taką samą, jaką niegdyś ta ostatnia połączyła się z Rusią i Litwą. „Zaiste, woła autor, niewolnik z panem nigdy złączeni nie są, ale mąż z żoną, ale brat z bratem, ale syn z ojcem, ci są złączeni; niechże więc Polska z niewolnicy stanie się siostrą Rosyi, niechże cesarz rosyjski z samowładnego pana Polski stanie się jej ojcem, królem, Jagiellonów spadkobiercą, a wtedy unia Polski z Rosyą spełniona na wzór owej starej unii Korony z Litwą, będzie tak świętą i tak wieczną jak tamta. Najjaśniejszy Panie! dotąd jesteś W.C. Mość panem części Polski z prawa mocniejszego; jest to tytuł niesumienny, więc spokojnego i trwałego posiadania nie zapowiadający: ja śmiem podać W.C. Mości myśl zostania królem całej Polski, rzeczywiście z woli Bożej, objawionej wolnymi, z głębi duszy pochodzącymi głosami narodu. Ta myśl nie jest niepodobną do urzeczywistnienia. Niechaj W.C. Mość wszystkie traktaty, rozbioru Polski dotyczące, uzna za nieważne, a więc wszystkie ziemie, skutkiem tych traktatów do Rosyi zabrane, wróci Rzeczypospolitej; konstytucję 3go Maja, jako ostatni objaw wolnej woli niepodległego narodu, ze zmianami duchowi czasu odpowiedniami i z postawieniem dynastyi swojej w miejsce saskiej za prawo obowiązujące ogłosi; wszystkich, którzy dotąd w jakikolwiek sposób dla sprawy narodowej cierpieli, za zasłużonych ojczyźnie uzna; w końcu niech W. C. Mość zażąda aktu wieczystej pomiędzy Rzeczpospolitą a cesarstwem rosyjskiem unii; a wtedy czy znajdzie się na całej polskiej ziemi aby jeden człowiek, któryby całą siłą tej unii nie pragnął? czyż znajdzie się wtedy choć jeden Polak, któryby w sprawie W.C. Mości życia nie łożył? czyż znajdzie się wtedy i potem choć jeden Polak, któryby unii takiej do ostatniej kropli krwi nie bronił? Zdobycze oręża oręż odbić może, zdobycze prawdy są wieczne”.

Następstwa takiego kroku, według Łempickiego, będą bardzo doniosłe, a przede wszystkim wywołają wojnę z Austryą i Prusami, którym cesarz Aleksander winien odebrać ziemie polskie, oswobodzić ujarzmione przez nich ludy słowiańskie, pójść do Carogrodu, postawę świata zmienić... Autor zagłębia się w fantastyczne, niepozbawione pewnej śmiałości marzenia i kończy memoriał taką, pełną patosu apostrofą „Najjaśniejszy Panie! te słowa moje, słowa nie moje, ale ducha dzisiejszej epoki, przyjmij nietylko czystym, ludzkim ro-

zumem, ale sercem i sumieniem monarchy, któremu Opatrzność powierzyła ludy mnogie; pocuj w nich głos błagalny cierpiącej ludzkości, abys stał się dopełnieniem Chrystusa, ostatecznym zbawcą świata”.

Memoryał ten, przesłany przez ambasadę berlińską cesarzowi, wywarł na niego pewno wrażenie. Czy to, że odczuwał ducha czasu i sam wierzył w urojenia mistyczne, w opatrnościową swoją rolę, w „dopełnienie Chrystusa i ostateczne zbawienie świata”, czy uśmiechała mu się myśl, a może też trafiała w jego głęboko ukryte pragnienia zdobycia całej Polski, stratowania „niewdzięcznej” Austrii, zawieszenia na kopule św. Zofii dwugłowego orła czarnego, dość, że memoriał odczytał i polecił za pośrednictwem ambasady, aby Łempicki, dla bliższego rozjaśnienia zawartych w rzeczonym piśmie idei, stawiał się w Warszawie, gdzie cesarz w jesieni zjedzie. Łempicki w rzeczy samej stawiał się na to wezwanie, ale spóźnił się i cesarza już nie zastał. Polecono mu więc porozumieć się z Gorczakowem, ale polski szlachcic nie zgodził się na to, pisał jeszcze parę innych w tymże duchu memoriałów, które już przebrzmiały bez echa i rzecz cała na tem się skończyła⁴².

Fakt ten jednakże świadczy wymownie o tych prądach, jakie przebiegały ówczesne lepsze głowy, o tej chęci załatwienia stuletniego sporu między dwoma narodami na drodze pokojowego kompromisu. Jeżeli w Wilnie witano w Aleksandrze następcę Jagiellonów, to i w Królestwie byli ludzie, którzy gotowi byli to samo uczynić, byle mieli pewność, że prawa ich do narodowego i niezależnego bytu będą szanowane.

Po ostatnim wszelako pobycie cesarza w Warszawie ludzi takich niestety! coraz mniej było. Powoli tracono wszelkie złudzenia, wszelkie nadzieje i w powszechnem usposobieniu umysłów zachodziły poważne zmiany. Kraj począł się zapatrywać na swe położenie surowo, sądzić się jeszcze surowiej. Jakkolwiek pod wpływem nauk rewolucyjnych i bredni poetycznych uważał się za coś moralnie wyższego od innych narodów; nazywał cywilizacją zachodnią w stosunku do swej, polskiej cywilizacji, zgnilizną; porównywał się do Chrystusa, rozpiętego przez łotrów na krzyżu, cierpiącego mękę na Golgocie za winy ludzkości, która miała być przez Polskę odkupioną i zbawioną, jednakże fantasmagorie te nie przeszkadzały, że się zastanawiano nad sobą i usiłowano wyleczyć się z wielu błędów i grzechów. Dotychczasowa hulaszczność młodzieży, gorliwie popierana przez rządy Paskiewiczowskie, trawienie majątków na bruku warszawskim na konie, karty, kobiety i doróżkarzy, mar-

42 Memoriał pierwszy, w r. 1863, wydrukowała „Gazeta Augsburska”, przypisując jego autorstwo Wielopolskiemu. Czy skutek tego, czy z innych powodów, dość, że w czasie zbrojnego powstania i wynikłej ztąd reakcji rządowej, zesłano Łempickiego drogą administracyjną do Samary na osiedlenie.

nowanie ojcowizn, które wpadały w ręce lichwiarzy żydowskich lub Niemców, poczęło być surowo karconem przez opinią publiczną. Wszelkie tego rodzaju wybryki Warszawa przyjmowała głośnie i powszechnym oburzeniem, które oczywiście powstrzymywało mamotrawników przynajmniej od tego, że już swego rzemiosła rozpustnego nie prowadzili głośno, z tą ostentacją i wrzawą, jaka dotąd towarzyszyła hulankom młodzieży. Owszem, rozpoczął się teraz ruch, objawiający się nawet w prasie, zachęcający do oszczędności, do liczenia się z wydatkami, do unikania zbytków w strojach i mieszkaniach. Karol hr. Jezierski, syn zmarłego marszałka Jana, wystąpił nawet w „Gazecie warszawskiej” z pewnym rodzajem proklamacyi, w której w imię miłości ojczyzny wzywał kobiety polskie do zarzucenia strojów kosztownych i zbytków w życiu. Powszechnie powstawano przeciw hucznym zabawom, przeciw życiu nieogładającemu się na jutro, nieumiejącemu związać końca z końcem, przeciw przysłowiowemu „gospodarstwu polskiemu”, rozrzutności i lekkomyślności. Dziennikarstwo polskie zagraniczne surowo karci teraz zajęcie się gorączkowe „Warszawy i jej prasy teatrem i sztuką, podnoszenie do godności chwał narodowych aktorek, śpiewaków i baletnic, staranne notowanie dnia i godziny nieomal, w której do stolicy polskiej raczyła zjechać lub z niej wyjechać jaka gwiazda teatralna. Nazywano to bizantynizmem, chorobą społeczną, bardzo złym objawem, obniżeniem się poziomu myśli polskiej. Obchód w r. 1859 z inicjatywy głośnego w tej porze pisarza i krytyka literackiego, żyda Lewestama, jubileuszu Szyllera w kirsze luterskiej, stał się przedmiotem dotkliwych szyderstw i nagan, zupełnie zresztą zasłużonych.

Z drugiej strony, wbrew dotychczasowym tradycjom, począł się wyrabiać całkiem nowy i oryginalny pogląd na kwestyą żydowską w kraju. Pod wpływem zapewne tego bogatego żydostwa, które w Warszawie coraz wybitniejsze zajmowało stanowiska, które przez swój rozum i pieniądze silny wpływ wywierało na ogół, któremu szło o to, by uzyskać prawa obywatelstwa, zaczęło się wytwarzać przekonanie, że najlepszym, najkorzystniejszym dla kraju będzie zasymilowanie żydów, wessanie w ciało polskie tej krwi czynnej, ruchliwej, zdolnej bez zaprzeczenia, ale też i zepsutej mocno. W Warszawie wówczas było mnóstwo żydów, którzy ten program propagowali i którego bronili. Na ich czele stał znany nam już bankier Leopold Kronenberg, dalej Matyas Rosen, żyd pełen powagi i znaczenia; rodzina Epsteinów, przedmiot nieustannych żartów wszystkich dowcipnisiów miejskich, niemniej przeto nader bogata i wpływowa przez to, że posiadała w swym ręku jedyną w kraju kolej żelazną warszawsko-wiedeńską; Natansonowie, żydzi uczeni i majątni, i mnóstwo innych mniej głośnych i mniej znanych, ale trzymających się solidarnie i popierających wszelkimi środkami i sposobami program asymilacyi. Do nich

przymykali Frankiści, żydzi chrzczeni jeszcze za Stanisława Augusta, składający się z rodzin niepospolicie zdolnych, zajmujących w naszym sądownictwie stanowiska poważne, jak Krysińscy, Brzezińscy, Wołowscy i wielu innych. Program ten zresztą popierało całe grono entuzjastów wszelkiego rodzaju, jak sławny w tę porę lekarz Chałubiński, popierał i Jurgens, który marzył o stworzeniu jednolitego narodu polskiego: popierał, jakkolwiek ostrożnie i nie bez pewnej wewnętrznej odrazy, Andrzej Zamojski i Klemensowscy; popierali na koniec wszyscy ludzie, ulegający ideom liberalnym tej epoki, którzy widzieli w ograniczeniach prawnych i państwowych co do żydów, gwałt zadawany prawom naturalnym człowieka. Ogół, który zawsze zapatrywał się na wszelkie kwestye ze stanowiska polskiego, widział w programie asymilacji, jeżeli już nie wzmocnienie organizmu narodowego, to przynajmniej zyskanie na swą stronę żydów, żywiołu licznego i zręcznego, który dotąd, we wszystkich powstaniach zachowywał się nieprzyjaźnie i szkodliwie. Z tego też punktu zapatrywali się na tę kwestyą czerwieńcy i spiskowcy, tak że pod tym względem zgoda była ogólną i powszechną, jakkolwiek we wszystkich tych ludziach w gruncie rzeczy pozostał dawny wstręt i niechęć do żydów; zresztą program asymilacji znajdował chętne ucho tylko w Warszawie, i to między tak zwaną inteligencją; wśród mas, po miasteczkach i wsiach, nienawiść odwieczna trwała w swej mocy pierwotnej i przy lada sposobności wybuchała z siłą wszystko niszczącą. Właśnie w tym czasie mniejwięcej, kiedy w Warszawie serca i głowy uczciwe ale płytkie, marzyły o wessaniu w ciało polskie krwi żydowskiej, rozegrała się jedna z takich strasznych scen nienawiści w miasteczku Turku w Kaliskiem, scena średniowiecznego rozpasania, będąca z jednej strony niejako ostrzeżeniem dla tych, którzy wierzyli w możliwość zupełnej asymilacji, z drugiej świadcząca, jak wogóle rząd rosyjski zapatruje się u nas na kwestyą żydowską.

Powód do wzmiankowanych wypadków, jak zwykle w takich razach, był błahy i mało znaczący. W Turku od r. 1833 istniała przy pryncypalnej ulicy Kolskiej niewielka bożnica żydowska murowana, którą właśnie w tej porze miejscowy zarząd bożniczy postanowił odnowić. Lecz ludność chrześcijańska, która oddawna niechętnem okiem patrzyła na to, że przy najpiękniejszej ulicy miasteczka wznosi się świątynia żydowska, poczęła robić starania, by nietylko jej nie odnawiano, ale owszem zupełnie zamknięto. Starania te nie miały skutku i żydzi przystąpili do restaurowania budynku. Oburzone tem drobne mieszczaństwo tureckie, owe „łyki i kulony”, jak ich chłop nazywał, na kilku schadzkach uradzili zupełne zburzenie bożnicy. W tym celu d. 27 Września 1857 r. wieczorem, gdy żydzi z powodu przypadającego nazajutrz sądnego dnia zebrani byli w bożnicy, zgromadzony na umówione hasło tłum robot-

ników, rzemieślników, czeladzi i mieszczan zmusił żydów przez bombardowanie kamieniami do opuszczenia świątyni, wdarł się potem do jej wnętrza, zniszczył ławki i stoły, a rodały podarł i poszarpał. Nie poprzestano jednak na tem. Nazajutrz także sceny miały się powtórzyć, tylko w formie groźniejszej i lepiej uorganizowanej. Wieczorem zebrał się tłum, przeszło dwa tysiące osób liczący, uzbrojony w oskardy, siekiery, młoty i drągi i doszczętnie zburzył cały budynek, pozostawiając tylko gruzy. Tym razem żydzi stawili opór, ale oczywiście pobito ich z kretesem, kilkunastu ciężko poraniono i w dodatku splądrowano zupełnie dom jakiegoś żyda, mieszkającego obok bożnicy. Na trzeci dzień miasto wzburzone do głębi, nie mogło się uspokoić i zanosilo się wieczorem na nowe awantury, ale na szczęście z Kalisza przybył książę Golicyn z setnią kozaków i żandarmami, i aresztowawszy kilku przywódców, porządek przywrócił.

Wypadki te stały się bardzo głośnymi i zwróciły na siebie uwagę kraju całego. Zwolennicy asymilacji wypowiadali gorąco swe oburzenie, popierani pod tym względem przez żydowstwo warszawskie; wszyscy zaś ludzie chłodniejsi i dalej patrzący, z łatwo zrozumiałym niepokojem oczekiwali na to, jakie stanowisko wobec tego faktu, zajmie rząd rosyjski. Nie długo na to czekali. Wichrzyciele oddani pod jurysdykcję Sądu kryminalnego w Kaliszu, zostali uniewinnieni i z więzienia wypuszczeni⁴³.

Świadczyło to wymownie, że rząd krzywo patrzeć będzie na wszelkie próby zlania się i zjednoczenia z żydami, że owszem do wzrostu nienawiści rasowej gotów zawsze i wszędzie dopomóc pośrednio i bezpośrednio.

Że rząd Królestwa z tego punktu widzenia zapatrywał się na żydów, dowodzi postawa, jaką przyjął wobec poruszenia tej sprawy przez władze petersburskie. W tymże samym 1857 r., nieomal w tymże czasie, w którym mieszczanie w Turku rozbijali bożnicę żydowską, minister sekretarz stanu Tymowski, zawiadomił rząd Królestwa, że „wołą najjaśniejszego Pana jest, by prawodawstwo, dotyczące żydów w Królestwie Polskiem, było ujednostajnione z prawodawstwem w Cesarstwie”, oraz prosił władze warszawskie, by zechciały w tej kwestyi wypowiedzieć swe zdanie. Górczakow w tym celu ustanowił komitet specjalny, złożony z wyższych urzędników wszystkich Komisji rządowych (Wosiński od Komisji sprawiedliwości, Biernacki Spraw wewnętrznych, Moszyński Skarbu). Komitet rzeczony, po dość długo i ospale

43 Żydzi domagali się ukarania wichrzycieli z mocy artykułu kodeksu o świętokradztwie; mówili, że napaść na bożnicę, podarcie rodałów, podlega temu artykułowi. Skargę tę sąd odrzucił z zasady, że kodeks kar głównych i poprawczych, nie mówi nic o świętościach żydowskich. Sądzone więc mieszczan tureckich, jako zwyczajnych zakłócieli spokoju publicznego.

prowadzonych debatach, wypracował projekt reformy przepisów, dotyczących żydów, reformy opartej na zupełnym ich zrównaniu z ludnością chrześcijańską i zniesieniu wszelkich ograniczeń. Pod tym względem zresztą, przedstawiciele Komisji kierowali się przekonaniem, że takie są intencje cesarza Aleksandra. W ten sposób przygotowany projekt, poszedł pod rozpatrzenie Komisji spraw wewnętrznych, a raczej Muchanowa. Ten, jak zwykle przeciwny wszelkim reformom w Królestwie Polskiem, projekt odrzucił, komitet rozwiązał, i zajął się sam spisaniem odnośnego memoriału. Memoriał ten tchnie głęboką nienawiścią do żydów, i w zasadzie utrzymuje, że żadna reforma nie jest potrzebna w prawodawstwie dotyczącem tej ludności; że oba prawodawstwa, tak rosyjskie jak i polskie, są w gruncie rzeczy jednakowe, że zatem zmiany wszelkie są zbyteczne i przedwczesne. Memoriał ten, pod przemożnym wpływem Muchanowa, został zatwierdzony przez Radę Administracyjną i namiestnika, i przesłany do Petersburga, utrzymał na dawnej stopie stan wyłączności i odosobnienie, w jakim znajdowali się żydzi w Polsce.

Podczas gdy się to odbywało w sferach rządowych, gdy w Turku rozbijano bożnicę żydowską, wśród ludności krajowej kwestya asymilacyi nie wypłynęła jeszcze na wierzch; jeszcze ona, jak płód w łonie matki tajemniczymi drganiem dający znać o swem istnieniu, żyła we wnętrzu narodu; ale najmniejsza okoliczność mogła ją wyprowadzić na jasność dzienną, spowodować narodziny nowego embryona społecznego. W tej chwili, w zakresie tych aspiracyi, żydzi, zwłaszcza ich arystokracja pieniężna, byli niesłychanie drażliwi i przez tę drażliwość dawali znać w jakim kierunku idą ich pragnienia. Drażliwość ta dochodziła już do tego, że „Gazeta warszawska”, organ konserwatywny, czytany głównie przez szlachtę, musiała się w tym czasie bardzo solennie tłumaczyć, że nie szydzi z żydów, a tym sposobem zamiast popierać zgodę i jedność, jątrzy zadawnione rany i obudzą nienawiść. Gazeta powiada, że taki zarzut jej czyniony, jest niesprawiedliwy, że gdyby coś podobnego robiła, popełniłaby ciężki grzech wobec kraju i Boga. Wszelako utrzymuje, że plemię żydowskie w Polsce przedstawia obraz upadku, że gazeta radaby całą duszą je podnieść, i w rezultacie, nim nastąpi zjednoczenie się Polaków z żydami, trzeba, żeby ci ostatni się poprawili⁴⁴.

44 Niemniej ciekawa z powodu żydów, zawiązała się nieco później, polemika w prasie emigracyjnej polskiej. Polemika ta, jakkolwiek bardzo mało znaną była w kraju, jest jednak tak charakterystyczną, tak dosadnie malującą prądy przebiegające ówczesne umysły polskie, że ciekawsze z niej ustępy przytaczamy tu w całości. W „Przeglądzie rzeczy polskich”, dwutygodniku wychodzącym w Paryżu pod redakcją Seweryna Elżanowskiego, w zeszytu lipcowym z r. 1858, ukazała się korespondeneya z Warszawy, obrzucająca żydów wszelkiego rodzaju obelgami i insynuacyami. W obronie ich stanął „Demokrata polski”, czasopismo wychodzące w Londynie, pod redakcją Antoniego Żabickiego. „Dla nas, woła „De-

Te zastrzeżenia, te słowa prawdy, nie mogły się podobać najprzód żydom i przechrztom, a potem tej grupie entuzjastów, którzy śnili o idealnej zgodzie dwóch plemion i o zlaniu się ich ze sobą. Poczęto zatem na gazetę krzywo patrzeć, narzekano na nią, posądzano ją o zdradę, i w ogóle cała kwestya żydowska weszła w takie stadyum, że trzeba było najmniejszej rzeczy, by ją rozognić, z mglistych marzeń, z cienia gabinetów pojedynczych ludzi wyprowadzić na

mokrata”, dwumilionowe żydowstwo w Polsce jest faktem, z którym pogodzić się musimy; warstwą społeczeństwa polskiego, którą jako wchodzącą w dziesiątej części do utworzenia sumy własnych sił, potrzeba skłonić do przyłożenia ręki do wspólnego dzieła narodowego wyzwolenia“. „Zapewne Opatrzność zesłała ich umyślnie na ziemię Polski, abyśmy w naszych klęskach narodowych mogli się uczyć z żyjącej księgi dwudziestowiekowej wytrwałości, jak przechować tradycje narodowe, nie upaść na duchu i przetrwać długie i srogie niedole niewoli i uciemiężenia”. — „Nie odpychajmy ich zatem wyrzutami wad, za które nielitościwa, barbarzyńska, fanatyczna przeszłość jest jedynie odpowiedzialną, i narzekaniami, które tylko złośliwość, głupota lub niska zazdrość poddmuchiwać mogą”. „Demokracja polska, która nie widzi zbawienia Polski jeno we własnych usiłowaniach, i ma przed sobą wielką, nieuchronną i konieczną walkę do stoczenia z trzema potężnymi, najezdniczymi mocarstwami, nie może być obojętną na postawę, jaką dwa miliony żydów, wewnątrz polskiego obozu, względem walczących przybrać mogą, i czuje się w obowiązku dziś, podczas prac przygotowawczych, wszelkich dołożyć starań, aby, jeżeli nie uda jej się zrobić z nich sprzymierzeńców przynajmniej nie zamienić ich na szkodliwych nieprzyjaciół”. „Przegląd” odpowiadając na to we Wrześniu t.r. utrzymuje, że „wzbogaceni żydzi warszawscy, nieprzyjaźni narodowości polskiej, a jej wrogom przychylni, jak pijawki wysysają z krajowców mienie. Twierdzenie to faktami tylko, dowodzącymi patriotyzmu wzbogaconych, odeprzeć można; a fakta stanowcze, to praca narodowa, więzienie, Sybir, wygnanie, ruina majątków za sprawę polską, a nie sława muzyczna, lub nędzne srebrniki przez bogacza dane na utrzymanie pisma (jest tu mowa o „Bibliotece Warszawskiej”, na wydawnictwo której dawali fundusze Epstejnowie a głównie bankier Matyas Rosen). Nędza i poniżenie polskich Izraelitów, to gorzki owoc czasów ubiegłych, który nie uwalnia od obowiązków uważania się za Polaków i pracowania, nie dla osobistego podniesienia się majątkiem, sławą lub dostojnością, ale dla tej świętej sprawy, którą obywatel Lubliner tak ukochał, że jej wszystkie chwile i siły życia poświęca”. Wzmiankowany „obywatel” Ludwik Lubliner, żyd emigrant z r. 1831, wziął także udział w tej niezmiernie interesującej polemice. Wydał on w miejscu swego zamieszkania, Brukselli, osobną broszurę pt. „Obrona żydów zamieszkałych w krajach polskich od niesłusznych zarzutów”, którą tak kończy: „... wzywam żydów, braci moich w religii, aby przestali uważać ogół narodu polskiego, jako prześladowców swoich. Charakter Polaka jest w ogóle wspaniały, serce jego jest ludzkie i tkiwe; język serca zdoła go wzruszyć do największej czułości. Nie zapominajmy nigdy, że nasi przodkowie jedynie w krainach Polski otrzymali przytułek, schronienie, protekcją królów i szlachty polskiej przeciw motłochowi ciemnemu, podbudzanemu przez fanatyków, bigotów, lub Jezuitów. Jest to prawda historyczna, tak niezaprzeczalna, jak dogmat zasadniczy naszej religii: jedność Boga — Adonai Echod. Co się tyczy Polski. przeszłość obfita w wypadki różnego rodzaju, służyć będzie za przewodniczkę przyszłości, nie przez obietnice lub nadzieje, lecz przez czyny, przez rzeczywiste działania; przyszłości, której dążnością powinna być równość praw obywatelskich w różności wyznań religijnych”.

scenę publiczną i postawić jeśli nie jako program narodowy, to przynajmniej jako niezmiernie ważną część tego programu. Bądź co bądź, w każdym razie, w obecnym usposobieniu umysłów, przyczyniała się ona do zaognienia położenia ogólnego w kraju, stawała się jednym z motorów agitacji, która powoli przybierała szersze, bardziej zdecydowane rozmiary.

Pierwszy symptomat tej działalności pojawia się w Petersburgu. Polacy tamtejsi, może nie bardzo chętni gorączkowej i mającej wyraźnie rewolucyjny charakter agitacji Sierakowskiego i Dąbrowskiego⁴⁵, poczęli myśleć o innym, spokojniejszym, legalnym, a zatem pewniejszym działaniu. Do tej grupy należeli wszyscy poważniejsi, starsi i powiedzmy, rozumniejsi ludzie. Podczas kiedy Sierakowski i jego satelici, marzyli o wywołaniu rewolucji w Rosji, i w tym celu łączyli się z Rosyanami, niezadowolonymi z obecnego porządku rzeczy i w razie wybuchu tej rewolucji śnili o oswobodzeniu Polski, inna grupa miała przed sobą całkiem inne cele.

Oni nie chcieli rewolucji i powstań, nie wierząc stanowczo w ich powodzenie, ale pragnęli tylko polepszenia losu kraju, gnębnionego przez rządy wojskowe i ucisk narodowościowy. Zrzekając się, przynajmniej na teraz, wszelkiej niezawisłości politycznej, widząc gwałtowne parcie Niemczyzny na ziemię polską, pragnęli pozostać pod potężną opieką Rosji, żyć z nią w zgodzie, chętnie dawać jej swą inteligencją, swą krew i swe złoto, byle ona w zamian szanowała narodowość polską, nie krępowała jej niczem, dozwalała na jej rozwój naturalny wszędzie tam gdzie ona istnieje, czy to nad Wisłą, czy nad Dźwiną lub Dnieprem. Potępiając więc wszelkie powstania i rewolucje, które miały zawsze tylko przywilej pogrążania ojczyzny w większą niedolę, pragnęli wypowiedzieć swe przekonania, odwołać się do braterstwa krwi, do wspólności szczepu, do misji dziejowej świata słowiańskiego, którego bądź co bądź jedną z najszlachetniejszych z najcenniejszych części stanowią Polacy. Program ten bardzo rozumny, bardzo chłodny, pozbawiony wszelkiej wielkości, wszelkiego entuzjazmu i poezji, skazujący Polaków na rolę drugorzędną, na cichą, skromną pracę w zakresie czterech swoich kątów, nie był nowym i obcym dla tych wszystkich, którzy zajmowali się badaniem rozwoju rozmaitych poglądów na sprawę polską. Znało go dobrze i gardzono nim powszechnie w kraju, a wyznawców jego nazywano szyderskim mianem „petersburskich patryotów”.

Ci jednak, osiadli oddawna nad Newą, zajmujący tam po większej części poważne stanowiska urzędowe, patrzący z bliska na potęgę Rosji, znający ją doskonale, w gruncie rzeczy dobrzy ale chłodni patryoci polscy, nie zważali na szyderstwa, i teraz, gdy kraj cały zdawał się ożywiać, gdy pod tchnieniem no-

45 Pisał się właściwie Dombrowski.

wych prądów, zdawał się drgać, gdy podniosło w nim głowę mnóstwo kwestyi i mnóstwo stronnictw, gdy nawet tu w stolicy caratu, tworzyły się koła rewolucyjne, polskie, wchodzące w cudzołóżne związki z nieliczną i niemającą żadnej przyszłości partją rewolucyjną rosyjską, postanowili i oni wystąpić i przez swą działalność spokojną, jeżeli już nie położyć tamy zgubnym, jak mówili, dążnościom, to przynajmniej paraliżować je, a nadewszystko dla swego programu zyskiwać wyznawców. W tym celu najodpowiedniejszym wydało im się założenie w Petersburgu dziennika polskiego; organu, któryby z jednej strony lał zimną wodę na rozgorączkowane głowy polskie, z drugiej wskazywał, o ile się to da, drogę Rosyi, po której idąc mogłaby szukać stałego i pewnego kompromisu z Polską. Że taka działalność, znając ówczesny stan umysłów w kraju, nie mogła mieć skutku, wiemy dziś dobrze; że na rolę pobitych i myślących jedynie o utrzymaniu swej narodowości, żadne stronnictwo polskie tej doby zgodzić by się nie chciało i nie mogło; że kiedy czerwieńcy marzyli przy pomocy powstania i rewolucyi odzyskać niepodległość polityczną w granicach przedrozbiorowych; kiedy stronnicy pracy organicznej do tego samego dążyli celu drogą wewnętrznego wzmocnienia się i dojrzałości; kiedy nawet Wielopolski i Jezierski chcieli być z Rosją w związku jedynie przez unią personalną, chcieli mieć tylko wspólnego z nią panującego; to na program zrzeczenia się wszystkiego pod warunkiem ocalenia samej narodowości, nikt stanowczo zgodzićby się nie chciał. Wierzano wtedy w swoje siły i trudno było wymagać, by mając taką wiarę naród nie wyzwiał jeszcze raz Rosyi do krwawego pojedynku, a przytem nie zdawało się nikomu, byśmy w naszej ostatniej reducie, w narodowości byli zagrożeni. Tu nie szło o narodowość, ale o byt polityczny. Zrzeczenie się więc tego ostatniego za nic, gorzej niż za miskę soczewicy, bo za przyrzeczenie, że narodowość będzie szanowaną, kiedy tej narodowości nic dotąd nie grozi, wszystkie stronnictwa uważały wprost za złożenie broni, za oddanie swych atutów, za politykę samobójstwa, i dlatego szydzono i pogardzano programem „patriotów petersburskich” i nie wchodził on wcale w rachubę w ówczesnych kombinacjach polskich. Stronnictwo to zresztą, znajdując się zdaleka od kraju, bardzo nieliczne, już z natury swojej mało na zewnątrz oddziaływające, nie mogło mieć i nie miało żadnego wpływu. Teraz jednak, Polacy petersburscy bacznie śledząc co się w kraju dzieje, przestraszeni ruchem, jaki się tam objawiać począł, zachęceni może reformami, jakie w Rosyi nowy cesarz zaprowadzał, postanowili wystąpić i działać. W tym celu Józefat Ohryzko, Białorusin z rodu, wyższy i bardzo zdolny urzędnik w ministerjum skarbu, osobistość nader wpływowa między Polakami w Petersburgu, mający zresztą swe związki z kołem rewolucyjnym Sierakowskiego, wystąpił z podaniem w połowie 1858 r. do głównego zarządu cenzury o pozwolenie

wydawania w języku polskim gazety pt. „Słowo”. W programie dziennika było najwyraźniej powiedziane, że zadaniem jego będzie zbliżenie Polaków z Rosyanami. Zarząd prasy dał wymagane pozwolenie, Ohryzko wyjechał do Paryża, zwiedził po drodze Warszawę, Kraków, Wrocław, Poznań, Berlin i Bruksellę, pozawiazywał stosunki z emigracją, wyszukał współpracowników i korespondentów, jednym słowem, chciał swój organ postawić od razu na stopie europejskiej. Pieniądze na założenie pisma i drukarni dostał od Rosyanki, wdowy Karamzinowej, córki słynnego bogacza Demidowa, której majątkiem dawniej zarządzał, i w jesieni 1858 r. ogłosił prospekt na „Słowo”. W prospekcie tym powiada, że „wybrany został Petersburg na miejsce wydawnictwa z następujących pobudek: tu się skupiają wszystkie administracyjne interesa, tak zwanych zachodnich prowincji; tu w bogatych księgozbiorach spoczywają drogie zabytki, rzadkie dzieła i rękopisma, których opracowanie nie mały może przynieść dla historii narodowej pożytek; tu łatwiej niż na całej kraju przestrzeni posiadać arcydzieła europejskie i śledzić ruch europejskiej oświaty pod wszelkimi względami: nauk, sztuk i przemysłu; ztąd na koniec łatwiej badać stan społeczny Rosji i dojrzeć wszelkich objawów umysłowego jej życia, którego poznanie jest niezbędnie potrzebne”. Pojawienie się pisma w stolicy Rosji z programem, mającym na celu zbliżenie dwóch wrogich sobie i nie znających się wzajemnie narodowości, nie mogło pozostać bez wrażenia nie tylko na sfery literackie, ale i na tych, którzy myśleli o losie kraju. Nowe pismo, jakkolwiek zaledwie dwa razy na tydzień miało wychodzić, zyskało znaczną ilość prenumeratorów, zwłaszcza z Litwy, Podola i Ukrainy, tak, że Ohryzko w początkach 1859 r. mógł zwrócić Karanizinowej pożyczone pieniądze. Krótkie jednak było istnienie „Słowa”. Już w drugim miesiącu, za wydrukowanie listu Lelewela do profesora uniwersytetu petersburskiego Antoniego Czajkowskiego, wzbudziło we władzach rosyjskich do siebie niechęć i podejrzliwość. List był wyłącznie treści naukowej; prostował pomyłki, jakie w tekście Statutu Wiślickiego, wydanym przez Zygmunta Helcla, dostrzegł był uczony historyk polski. Nie szło też o sam list, ale o to, że w piśmie polskim, wychodzącym w granicach państwa rosyjskiego, ba! w jego stolicy, pod boki władzy najwyższej, znalazł się ktoś, co się ośmielił wydrukować nazwisko Lelewela, nieprzejednanego wroga Rosji, spiskowca, członka niegdyś rządu rewolucyjnego. Świadczyło to zarazem, że Ohryzko jest w stosunkach z przestępcami politycznymi. Numer „Słowa”, zawierający ten list, skonfiskowano, a egzemplarze wysłane na pocztę polecono pozabierać i zniszczyć, Ohryzko zaś dostał surowe napomnienie (strogij wygovor). Sprawa ta jednak w rezultacie została zapomniana, gdyby „Słowo” nie wmieszało się w zaognioną mocno w Warszawie kwestię żydowską.

Powód tego zaognienia, jak zwykle gdy jaka idea leży w łonie czasu, był bardzo drobny, i w innych okolicznościach nie zwróciłby na siebie wcale uwagi. „Gazeta warszawska”, jakkolwiek niedawno uroczyście się wypierała, że nie chce „jątrzyć zadawnionych ran”, jakkolwiek takie postępowanie nazywała „grzechem wobec Boga i kraju”, przecież nie przestawała przy lada sposobności szydzić z żydów, dawać im przycinki, zjadliwie z nich dowcipkować, do czego lud ten, zwłaszcza jego zubożone sfery, pełne niesmacznej pychy i pogardy dla tych, którzy są ubodzy, tysiącnie dawał okazje. Zdarzyło się właśnie, że do Warszawy w Styczniu 1859 r. zjechała, europejską ciesząca się sławą, Czeszka, Wilhelmina Neruda, wraz z siostrą, obie grające na skrzypcach, i dały koncert. Sala koncertowa świeciła pustkami, co spowodowało „Gazetę warszawską” do wystąpienia ze zjadliwym artykułem, w którym między innymi powiedziano, że „panna Neruda widać nie posiada łask u pewnej, licznej koteryi, uchodzącej i uchodzić pragnącej za muzykalną. Brak jej (Nerudzie nie koteryi) orlego nosa, cery śniadej, czarnych włosów i innych cech azyjskiego pochodzenia; nie wymawia r gardłowo, nazwisko jej nie kończy się na: berg, blat, kranz, stern lub podobnie, brak jej więc tytułów do poparcia ze strony tego tajemniczego związku, który na siadł całą Europę a zwłaszcza nas, i trzymając się ściśle, popycha każdego ze swoich, czy to on bankierem, czy tenorem, czy spekulantem, czy skrzypkiem”. Związek ten, według gazety, korzystać umie ze wszystkiego, z reklamy, okłasków, wrzasku, nawet pieniędzy. Pomiędzy brodaczem rzucającym się na paradyzie⁴⁶, a strojną lożą, przebiega tajemniczo myśl jedna: wyniesienie swoich, wyniesienie bezwarunkowe. Wszelki tryumf jednego z nich, czy to on się objawia w rotszyldowskiej kasie, czy w meyerberowskiej orkiestrze, czy w Racheli laurach, jest tryumfem całego plemienia. Ten, który przyszedł po procent, o którym sądzisz, że nic nad swe weksle nie zna, będzie ci mówił o tem z równą chętnością, jak światowy jego kolega. „Tej to potęgi, w naszym mieście potęga to prawdziwa, pisze dalej gazeta, nie umiała sobie zjednać panna Neruda; głównego tytułu jej brak”.

Szyderski ten, zjadliwy w najwyższym stopniu artykuł, gazeta kończy anegdotą o jakimś Angliku, który w Roterdamie chciał zakupić mnóstwo akcji na budowę kanału Suezkiego, bo wyczytał w prorocztwie Jeremiasza, że gdy między morze Suez będzie przekopane, to tym kanałem żydzi wrócą do Egiptu.

„Zaczęliśmy szukać w Jeremiaszu, powiada gazeta, ale dotąd nie napotkaliśmy upragnionego wersetu; gdy go znajdziemy, przepiszemy tekst. W każdym razie kanał suezki dziś mniej ma widoków jak kiedyś; pewno żaden potomek tych, co wyszli z Egiptu, nie zechce wrócić do krainy, którą przed 3.000 laty

46 Tak nazywają w teatrach warszawskich miejsca najwyższe i najtańsze.

tak niechętnie opuszczali; za naszych miejscowych przynajmniej ręczyć można”.

Artykuł ten wywołał niesłychane oburzenie w sferach bogatego żydostwa warszawskiego i w partyi Jurgensa. Mówiono, że jest to umyślne jąttrze- nie dwóch narodów, żyjących na jednej ziemi od wieków, że jest to woda na młyn rosyjski, zdrada kraju, a „Gazeta warszawska” wzięła pieniądze od rządu, w którego interesie leży podszczuwanie Polaków na żydów i odwrotnie, by tym sposobem łatwiej jednych i drugich mógł pokonać i ubezwładnić. Redak- tor gazety, Antoni Lesznowski, zarzucony został anonimami, pełnymi wymy- słów, inwektyw, obelg i gróźb, przechodzących nie tylko granice przyzwoito- ści towarzyskiej, ale nawet uwłaczających ogółowi polskiemu. W niektórych grożono Lesznowskiemu kijami, w innych wprost wypowiadano wtedy nowe, ale później tak pospolite wśród inteligencji żydowskiej zdanie, że gdyby nie żydzi, z Polski dawnoby już śladu nie było, że oni są jedyną jej inteligencją, jej rozumem i mocą jedyną⁴⁷.

47 Właściwie Lesznowski otrzymał jeden list bezimienny, ale za to Kenig, współpracownik gazety i autor artykułu przeciw żydom, aż dwa. List do Lesznowskiego był rodzajem ostrzeżenia i pochodził od żyda, który uważał, że artykuł inkryminowany w niczem nie ubliża żydom, owszem, uznając owładnięcie przez nich Polski, daje im przez to niejako świadectwo ich wysokiej inteligencji; że wreszcie oburzenie objawia się tylko w pewnych grupach żydów warszawskich i że ci niewłaściwie uważają się za reprezentantów całego plemienia. „Dla tego przestrzegam pana — pisał nieznany korespondent — abyś się miał na baczności, gdyż żydzi niemieccy (sic), autorowie listów bezimiennych i podpisanych, na walnej znowie uradzili pobić pana i pana Keniga i losem wybrać tego, który tak wielkiego czynu ma dokonać. Lecz niejaki Izydor Brüner nie chcąc ludzi żonatych i obarczonych rodziną, narażać na odpowiedzialność, sam się ofiarował i zaprzysiągł wszystkim, należą- cymi do spisku, iż publicznie pana Lesznowskiego po pysku (sic) wybije, a Keniga kijem wywali. Ostrzegam was, miejcie się na baczności”. Kenig otrzymał listy zaraz nazajutrz po artykule w gazecie. Niektóre ustępy w listach tych są wysoce charakterystyczne ze względu na pretensje, jakie pojawiały się już wtedy między żydami warszawskimi. Dla tego, powia- da ten dokument, że żydzi nie zebrałi się na koncert Nerudy, już wrzawa, gburowata, or- dynarna i śmieszna reklama (!?), robiąca żydom zarzut z cnoty, którą Polak w ustach ciągle nosi, ale której w czyn obrócić nie potrafi, że odznaczających się swoich zbyt usilnie prote- gują. Gałganie, durniu, korz się przed zaletami żydowskiemi, które, gdyby żydzi mieli wol- ność kształcenia się bez ucisku, jak ją mają Chrześcijanie, wszelką narodowość blaskiem swym by otoczyły. Padaj na kolana błażnie! przed wytrwalością plemienia uciemionego, które z odwagą nadludzką zwycięzko wyszło z tak licznych i okrutnych prześladowań, wsparte tylko wielkością swej religii i znakomitością swej odwiecznej inteligencji, która wam dała prawa a nawet Boga, w którego imieniu kłamiecie i któregoście jeszcze poj- mować nie zaczęli. Wiedz ty błażnie, i podobni tobie reprezentanci spodłonej i jezuickiej prasy, że plemię Izraela zniosło inne prześladowania i wytrwało, i że dziś jest prawie je- dynym reprezentantem zdrowego rozsądku i miłości Bożej w tym nieszczęśliwym kraju. Wiedziecie zatem upadli tak nisko, że można by rozpaczć o przyszłości narodu, gdyby nie

Rozwinięto przytem nadzwyczajną agitacją przeciw gazecie, agitacją, której rezultat nosił cechę zмовы formalnej. W połowie Stycznia 1859 r. zebrało się 23 młodych żydów, należących do najwybitniejszych rodzin izraelskich warszawskich, w mieszkaniu Ignacego Natansona, współwłaściciela fabryki cukru i agronoma, na walną naradę jak sobie postąpić z Lesznowskim i „Gazetą warszawską”. Uchwalono przesłać mu pismo zbiorowe, opatrzone podpisami wszystkich obecnych, i domagające się w formie kategorycznej stanowczego odwołania zarzutów, czynionych żydom w artykule Keniga. Jakoż list taki wystosowano. Między innymi podpisał go: Dr. Ludwik Natanson, redaktor „Tygodnika lekarskiego”, Jakób Natanson, magister uniwersytetu dorpackiego, Henryk Natanson, księgarz i nakładca, Aleksander Lesser malarz, Henryk Toeplitz i Stanisław Kronenberg, naczelnicy domów handlowych, Jan Berson, wspomniany już Ignacy Natanson; Zygmunt Ostrowski, naczelnik zakładu rolniczo-przemysłowego, Maksymilian Fajans artysta litograf, i inni⁴⁸.

W liście tym twierdzili oni, że artykuł gazety nacechowany jest nienawiścią do żydów i lekceważeniem szyderczem „wszystkich krajowców tego wyznania”.

pewność prawie, że z łona nieszczęśliwego plemienia żydowskiego powstaną ludzie, którzy będą was uczyć, jak pocziwa prasa na opinią publiczną działa, którzy jako uczeni się odznaczają, rolnictwo upadłe podniosą, przemysł rozkrzewią i literaturę oczyszczą z głogów i cierni ją szpecących. Upadliście tak dalece, że gnębione plemię, które między wami mocą Biblii św., pomimo prześladowania, siłę inteligencji i serca utrzymało, jedynym zdrowym jest zarodkiem do podniesienia na nowo upadłego kraju. Nic wam głupie nie pomogą drwinki; tam jest działalność i bogobożność; u was zgnilizna, słabość, brak czynności i obłuda. Kłamstwo przed ludźmi i Bogiem. Wasze masy bydlęcą wódką i brakiem oświaty: pojedynczo objawiające się chęci marnieją przed siecią głupoty i słabizny, któremiście kraj usidlali. Ani jednego zdrowego organu prasy: wszystko przekupne, czy to czystem łapowem, czy pochlebstwem dla przesądów łapiąc biednych abonentów, którzy swoje pragnienia zaspakajając muszą trucizną nędznych pojęć i niekonsekwencji. Przekleństwo wam, którzy znacie bieg cywilizacji a kłamiecie! A tobie chłystku, bodajby ci ręka upadła nim wymówisz słowo prześladowania przeciw żydom, którzy mają powołanie odrodzić imię Polski i Chrześcijaństwa w myśli Chrystusa, którąście zdradzali i co dzień zdradzacie faryzeusze” itd. Na koniec trzeci list, także pisany do Keniga, ma charakter zwykłej beziemiennej napaści ulicznej. Powtarzać go więc nie będziemy.

48 W ogóle na liście były 23 nazwiska, jak następuje: Stanisław Kronenberg kupiec; Seweryn Lewenstein komisant handlowy, Zygmunt Ostrowski kupiec, Henryk Toeplitz kupiec, Henryk Nelkenbaum i Aleksander Rosenstein buchalterzy, Mikołaj Epstein agent bankowy; Dawid Rosenblum korespondent handlowy; Henryk Natansou kupiec, Henryk Lange agent handlowy, Aleksander Lesser malarz historyczny; Bernard Kohn bankier; Zygmunt Berens wekslarz; Ignacy, Jakób, Józef, Adam, Szymon, Ludwik Natansonowie; Izidor Brüner kupiec; Jan Berson obywatel; Szymon Dawidson agent handlowy i Maksymilian Fajans kupiec. W spisie tym znajdowały się niemal wszystkie wybitniejsze nazwiska żydów warszawskich.

Jeżeli zatem gazeta nie przez lekkomyślność ten artykuł pomieściła, i jeżeli nie będzie chciała przez odwołanie go w formie określonej w ciągu dni ośmiu, donieść, że nie uczyniła tego z namysłem, to da przez to dowód, że rozmyślnie wzbudziła nienawiść przeciw całemu płomieniowi pod płaszczkiem przywiązania do kraju, że postąpiła niegodnie, że złą wiarą, że miała jedynie na celu zyski materyalne, że zatem działając tak, redaktor jej ma wszystkie cechy człowieka podłego. Do listu tego dołączono było odwołanie, które miała gazeta pomieścić⁴⁹.

Lesznowski listu tego ani odwołania umieścić nie myślał, a tymczasem pisma z pogroźkami ciągle przychodziły. Żydzi umieli sprawie nadać taki rozgłos, że nawet wśród sfer najniższych, wśród żydostwa chałatowego, wśród sprzedających śledzie za Żelazną Bramą, wieść o wystąpieniu Lesznowskiego się rozniosła, budząc przeciw gazecie i jej redaktorowi oburzenie i wywołując groźby⁵⁰. Mikołaj Epstein, agent handlowy, jeden z tych co się podpisali na liście wyżej wzmiankowanym, głośno się odgrażał w jednej z restauracji, wobec świadków (Karola Kucza, redaktora „Kuryera warszawskiego”; Franciszka Salezego Dmochowskiego, literata; Alojzego Żółkowskiego aktora oraz niejakiego Juliana Trzczińskiego), że spoliczkuje publicznie Lesznowskiego. Opowiadano po całym mieście, że podpisani na liście ciągnęli między sobą losy, kto ma dokonać zobelżenia czynnego redaktora gazety, i że los taki wyciągnął Izydor Brüner.

Wieści te, prawdziwe czy nie, świadczące jaką potęgą są już w Warszawie żydzi, przestraszyły Lesznowskiego. Według jednoznacznych relacji udał

49 Odwołanie to brzmi jak następuje: „w gazecie naszej z d. 4 b. m. sprawozdawca tygodniowy, uniesiony zachwyceniem dla talentu panien Neruda, pobratymczych nam Morawianek, upatrywał w nielicznym zebraniu się publiczności na ich pierwszym koncercie, jakiś symptomat zmowy między zamożniejszą klasą żydów, w Warszawie zamieszkałych. Szyderczy ton tego artykułu, odznaczający się nieomal zapomnieniem przyzwoitości publicznej, wywołał między znaczną liczbą szanownych mieszkańców tego wyznania gwałtowne oburzenie, które się w listach, pisanych do mnie objawiło. Zmuszony jestem oświadczyć, że jakkolwiek zawsze wady żydów naszych, równie jak i innych mieszkańców kraju wytykać będę, nie miałem wszakże myśli ubliżyć, ani lekceważyć tej części ludności krajowej i nie przestanę przestrzegać, aby szpalty gazety w granicach poważnej krytyki pozostawiały. Warszawa d. 16 Stycznia 1859 r.”.

50 Między innymi ktoś doniósł Lesznowskiemu pocztą ze stacyi kolei Warsz.-Wiedeń. Rokiciny, że „żyd z pod Skierniewic, będący u kupca żyda, handel win za Żelazną Bramą utrzymującego, pytany był przez ostatniego co do obrazu czyli szykany żydów w gazecie z d. 4 b. m. umieszczonej; odpowiedział ostatni pierwszemu: „nasi złożą 500 tysięcy, będzie mało, milion, i to mało: półtora, i to mało, o dwa miliony i dokażą swego a za pieniądze to wszystko zrobią”.

on się do władzy policyjnej i wszystkie otrzymane listy jej złożył⁵¹, jakkolwiek przy rozdrażnieniu obustronnem, przy ogólnem zainteresowaniu się tą sprawą, policja i bez doniesienia Lesznowskiego, musiała się sama przez się o wszystkim dowiedzieć i złożyć raport Gorczakowowi.

Rezultat tego był jak najgorszy; z jednej strony policja zakazała surowo żydom dopuszczania się jakichkolwiek względem Lesznowskiego gwałtów, z drugiej cenzura warszawska otrzymała polecenie nie przepuszczania więcej ani jednego słowa, odnoszącego się do tej kwestyi.

To oczywiście pozornie stłumiło rozdrażnienie, ale nie usunęło go wcale, owszem wzmoгло jeszcze bardziej. Lesznowski pierwotnie miał zamiar całą sprawę wytoczyć przed forum publiczne w swej gazecie i w tym celu przygotował artykuł, który został, zgodnie z rozkazem namiestnika, przez cenzurę wstrzymany. Wobec tego redaktor gazety uciekł się do innego środka. Artykuł zabroniony przez cenzurę, rozrzucił w mnóstwie egzemplarzy w odbitkach korekcyjnych po mieście. „...świętym obowiązkiem naszym, woła w tym artykule, jest przestrzegać, by plemię nasze z czasem przez nieogłędność swą, a więcej jeszcze przez zabiegi i zręczność waszą, nie wyszło na służgi tych,

51 Utrzymują to wszystkie źródła drukowane i niedrukowane. W zbiorze pt. „Sprawa żydowska w r. 1859”, jaki mieliśmy pod ręką, jest jeden list do Lesznowskiego, w którym znajdujemy te słowa: „lepiej być żydem, jak szpiegiem i denuncyantem”. W cyrkularzu nigdy nie drukowanym, który żydzi rozrzucili po mieście, a który poniżej podajemy, wyraźnie czytamy: „redaktor po otrzymaniu listu, unikał honorowych jego konsekwencji, a w kilka dni później list powyższy znalazł się w rękach policji. Władza policyjna nader uprzejmie, ale stanowczo kazała oświadczyć podpisanym, że wszelkie zobelżenie osoby p. Lesznowskiego, nadal będzie uważane za czyn uchybiający rozkazom władzy”. W ówczesnych gazetach zagranicznych polskich, rosyjskich, francuzkich i niemieckich, oskarżenie to stale się powtarza. W korespondencji z Warszawy do „Peterburskich Wiedomosti” w Lutym 1859 r., napisanej z natchnienia obrażonych żydów, spotykamy taki ustęp: „redaktor, który miał dość odwagi, żeby obrażać ludzi bezbronnych w najświętszych ich uczuciach, nie miał jej wobec męskiego i otwartego wyzwania. Policja została o tem uwiadomiona; oczekują na śledztwo; wtedy żydzi będą mieli sposobność przedstawić swe położenie bezbronne wobec takich napaści”. Podobne oskarżenia znajdują się w „Nordzie” i innych pismach peryodycznych. W broszurze J. Lelewela p. t. „Sprawa żydowska w 1859 r. w liście do Ludwika Merzbacha przez... rozważona (Poznań 1860 r.)” stoi wyraźnie, że „list żydów Lesznowski poniósł oberpolicmajstrowi, który prosił żydów, ażeby się wstrzymali od dalszej na Lesznowskiego napaści”. W broszurze O. Ludwika Lublinera, znanego nam już emigranta, pt. „Zatargi p. Lesznowskiego, redaktora Gazety warsz. z żydami polskimi” (Bruksella 1859 r.) także samo oskarżenie na str. 2 napotykaemy „...jeżeli wiadomości mnie doszło, są prawdziwe, miał on (Lesznowski) nikczemność denuncyować przed dyrektorem policji rosyjskiej Izraelitę Izydora Brünera, jednego z podpisanych na reklamacyi, że w r. 1849 służył we Włoszech w szeregach powstańców rzymskich, walcząc za wolność i niepodległość Włoch!”

którzy kiedyś przychodzili tu jako jego słudzy. Nie my to stworzyliśmy istniejący rozdział, nie my go utrzymujemy, ale wy sami. Nie zazdrościm bogactw skupionych w ręku kilkuset lub kilku tysięcy żydów; nie cieszym się wcale z nędzy materialnej i moralnej, w której gnije niesłychana większość tego plemienia u nas. Ale widząc jak coraz bardziej, skutkiem owej jedności w działaniu, owej potęgi zbiorowej, wszystko z każdym dniem więcej monopolizuje się w żydowskich rękach, wnosimy głos nasz. Pamiętamy o tem, że żydzi, stanowiący dziś ósmą blisko część ludności naszej, za lat sto stanowiąc będą jej połowę; nie spoglądalibyśmy nawet na nich, gdyby stosunek ten nie był tak zatrwajający. Nie o poniżenie żydów, ale o ochronę naszego ogółu nam chodzi, nie o terażniejszość już, ale o przyszłość. Zakazy, ograniczenia, bronią jeszcze tu i owdzie, ale ten mur z czasem runąć może, runąć musi, a wówczas co nastąpi? Handel prawie cały, a przynajmniej najgłówniejsze jego części, największa część zyskowych przedsięwzięć, oddawna już nie do nas należy; cały prawie kapitał ruchomy jest żydów własnością; korca zboża, pnia drzewa nie mniemy sprzedać bez żyda, i śmiemy marzyć, że w takim stanie rzeczy zdołamy się utrzymać przy ziemi. Dla tego wołamy o wyswobodzenie się z rąk żydowskich, o wyswobodzenie przez oszczędność od lichwy, przez pracę od faktorów, przez zabiegłość od monopolu. Tak mówiąc, tak działając, nie nasze tylko plemię mamy na widoku, ale i samych żydów. Oburzać to może kilku, kilkunastu lub kilkuset bogaczy, którzy wyssawszy swój pieniądz z pracy innych, monopolizując w swem ręku ruch cały, nie dbają o stan tej niesłychanej większości swego plemienia, nędznej, odartej, wygłodniałej, ciemnej i przesądnej z ich winy, którą, posługując się nią, zostawiają losowi. Bo nie sądzim stanu żydów u nas z Warszawy tylko. Kto wie, czy ta ludność, która przy wszystkich wadach zachowała jednak silnie wiarę swoją, uznaje za swych naczelników tych, którzy nie opuszczając jej, formami życia wyrzekają się tej wiary. W ten tylko sposób oddziałać można na samychże żydów, zmusić do umoralnienia, do pracy więcej produkcyjnej, podnieść ów handel, który, jak tego mamy dowody nawet w postanowieniach, ciągle wydawanych, w ich ręku kontrabandą a szachrajstwem coraz bardziej upada i przestaje być źródłem narodowego bogactwa”.

Żydzi nie pozostali dłużnymi w odpowiedzi. Zaraz po artykule Lesznowskiego, poczęła obiegać po mieście w licznych, rękopiśmiennych egzemplarzach odezwa, tak się kończąca: „rysując nasze oblicza, przedrzeźniając nasze nazwiska, wytykając nas nieomal palcem, robiąc z nas igraszkę dla złej swawoli, wyrządza nam (Lesznowski) publiczną obelgę, zmusza spokojnych ludzi do gwałtownego upominania się za sobą, a porzucając właściwą zacnym ludziom drogę, nazywa te szyderstwa otwieraniem oczu krajowi, i stara się, fałsz z fał-

szu wyprowadzając, zrobić z tej sprawy osobistej, sprawę kraju całego. Opinia publiczna długo uwodzić się nie da i pozna się na czczych i napuszonych frazesach. Próżno się będzie stawał jako męczennik ten, kto nie ma odwagi osobiście swego zdania zastąpić, prędzej czy później śmiesznością okrytym zostanie⁵².

Żydzi jednak nie poprzestali na tem. W osobliwszem rozdrażnieniu, trudnem dziś dla nas do pojęcia, ze zręcznością, właściwą swej rasie, uciekli się do pomocy prasy zagranicznej dla zohydzenia i napiętnowania hańbą śmiałka, który z nich szydzić się ośmielił. W jednej z gazet rosyjskich, wychodzących w Petersburgu, nazwano Lesznowskiego wprost niegodziwcem (niegodiajem)⁵³; w czasopiśmie „Nord”, wychodzącym w Brukselli, oskarżono „Gazetę warszawską”, że służy ideom wstecznym, że jej redaktor, wyzwany na pojedynek, zamiast stanąć po rycersku na placu, uciekł się do pomocy policji, która „dystygowanych” żydów aresztowała.

W „Breslauer Ztng.” jakiś Fritz napadł w sposób brutalny na Lesznowskiego, a w piśmie „L'observateur belge” (z d. 22 Marca 1859 r.) ukazał się osobny artykuł pod sensacyjnym tytułem: „Prześladowanie żydów w Polsce przez

52 W odezwie tej, znajduje się jeszcze następujący, niepozabawiony interesu szerszego, ustęp: „...dowiadujemy się, że p. Lesznowski napisał artykuł w odpowiedzi na list nasz, a nie mogąc uzyskać pozwolenia na umieszczenie go w swej gazecie, puścił go w obieg. Nie tykając wcale kwestyi osobistej, która drogą właściwą, ogół nieobchodzącą, załatwioną być winna, podajemy artykuł p. Lesznowskiego jedynie dla tego, aby wykazać drogi, jakimi idzie ten pan w sprawach prywatnych; jak z drobnej kwestyi, tylko osobistego honoru jego dotyczącej, starał się, nie zaniedbując żadnego środka, poruszyć wszystkie sprężyny efektów, zrobić ogólną sprawę, kraj cały oburzyć mogącą. Nadzwyczaj nam zależy na zupełnem odłączeniu sprawy pana Lesznowskiego od kwestyi żydów w Polsce, bo o ile opinia ogólna co do tej kwestyi jest dla nas największej wagi, o tyle sprawa z panem Lesznowskim jest małą i przypadkową. Nie zaczepialiśmy p. Lesznowskiego o istotę kwestyi żydów w Polsce, ani nawet o jego osobiste zdanie w tym względzie, ale o nieprzyzwoitą formę, w jakiej się o nas odzywa”.

53 Oto ten artykuł. „Gazeta warszawska”, dziennik codziennie tu wychodzący i bardzo czytany, oddawna systematycznie obrzuca obelgami (klewieszczet) żydów. Obrażeni żydzi nie mają żadnego organu, w którymby mogli odpiierać obelgi dziennikarza; dlatego zmuszeni byli dotąd milczeć, lub ograniczać się na udzielaniu nieskutecznych rad redakcji. Artykuł przepełniony zwykłymi złośliwymi dogryzkami i wymyślaniami w jednym z ostatnich numerów tego dziennika, dał powód niektórym znanym żydom do postępku, który najlepiej objaśnia smutne położenie, w jakim dotąd znajdują się żydzi w Polsce. Ludzie z najlepszych rodzin, odznaczający się wykształceniem i stanowiskiem społecznym, uczeni, doktorzy, fabrykanci, przemysłowcy itd. oświadczyli na piśmie redaktorowi „Gazety warszawskiej”, że systematyczne obrzucanie obelgami i nieustanne drażnienie fanatyzmu przeciw żydom w gazecie, przezeń wydawanej, uważają oni za czyn niemoralny, i gotowi są wobec takiego postępowania uciec się do środków, których używają ludzie ucywilizowani przeciw obelgom i oszczerstwom”.

stronnictwo Jezuitów”. „...Prasa codzienna warszawska, brzmi ten niegodny paszkwil — nie wstydy się cofać ku barbarzyństwu i fanatyzmowi wieków średnich, obarczając wściekłą nienawiścią (haine furibonde) i gwałtownymi obelgami liczną ludność żydowską, mieszkającą w Polsce od ośmiu wieków. „Gazeta warszawska”, redagowana przez p. Lesznowskiego, jest głównym organem prasy warszawskiej, która nie przestaje głosić prawdziwej krucjaty nienawiści i wytępienia przeciw żydom, których liczba stanowi $\frac{1}{8}$ całej ludności polskiej, i co jest potworniejszym, to że uczniowie Ignacego Loyoli okrywają się płaszczem patriotyzmu polskiego, zapalają pochodnię niezgody między mieszkańcami jednego kraju”. Opowiedziawszy następnie historią sporu, dziennik brukselski tak kończy: „Redaktor Lesznowski w swej nienawiści przeciw żydom podsycany jest nie tylko przez partycję jezuitów, ale nawet przez obywateli ziemskich, chciwych na podatki wyjątkowe, jakie rząd nakłada na żydów w Polsce; którzy to obywatele, z bogactwem się zdzierstwem, podają rękę redaktorowi Lesznowskiemu dla obrzucania żydów obelgami i pogardą, dla osłonięcia sromoty łupu na tych ostatnich zdobytego. Takimi są straszne fakta, które się odbywają w Warszawie, w połowie XIX wieku! Żydzi polscy, nie mając w kraju żadnego organu prasy, któryby chciał ich bronić, zmuszeni są uciec się do prasy innych krajów, dla pokazania światu ucywilizowanemu haniebnego postępowania p. Lesznowskiego i jego adherentów, panów Jezuitów. Życzyłoby należało, żeby Polacy chrześcijanie oświeceni napiętnowali czyny p. Lesznowskiego odnośnie do żydów, gdyż prześladowanie religijne, jakie partycja Jezuitów roznieca między mieszkańcami jednego kraju, może osłabić sympatyą innych narodów do Polski...”

W tej osobliwej walce, w której żydzi pociągali przed trybunał opinii europejskiej nie tylko Lesznowski, ale całą niemal Polskę, wzięła także udział prasa zakordonowa i emigracyjna polska, jakkolwiek zachowała się z wielkim taktem i spokojem i sądziła rzeczy i ludzi ze stanowiska interesu patriotycznego. „Nieobeznany z polskimi smutnymi stosunkami wewnętrznymi, pisał „Dziennik poznański”, dziwną zaiste zdawać się może, iż następstwa gazeciarskiego artykułu o koncercie panny Nerudy podnosim do znaczenia zajścia politycznej wagi. Niestety! Nie podnosim z własnej ochoty, ale raczej ze smutkiem przyznać sobie musimy, że w istocie tak bizantyjskie zagnieżdzać się już poczęło w Warszawie usposobienie umysłów, że stronnictwa koncertowe, baletnicze, artystyczne i poruszone w ich następstwie namiętności, politycznej nabierają wagi, bo polityczne ciągną za sobą skutki. Jakoż skutek dopiero co opowiedzianego zajścia, nie tylko że Towarzystwo rolnicze, zebrane w Warszawie, biorąc stronę „Gazety warszawskiej”, odrzuciło przystąpić do Towarzystwa pragnących, majątniejszych żydów, ale redakcja „Gazety warszawskiej” z jednej, a żydzi z drugiej

strony starają się temu sporowi ogólne, zasadnicze nadać znaczenie. Że autor recenzji koncertowej czynić to usiłuje, pchany bardzo łatwo wytlómaczonym ludzkim uczuciem, które mu każe bronić słów w recenzji koncertowej powiedzianych przez wynoszenie ich na stanowisko zasady narodowej, wybornie to rozumiemy, lubo pochwalić nie możemy; że ma po sobie większość, a nawet prawie całość dobrodusznego obywatelstwa wiejskiego i masę narodu chwilowem uczuciem osobistem tylko się kierującą, i to rozumiemy. Czego wszelako nie rozumiemy, to jest, żeby „Gazeta warszawska”, ten najgruntowniejszy, najbardziej czytany, najlepszemu chęćmi ożywiony dziennik Królestwa Polskiego, w tym jednym punkcie dawał dowód takiego braku rozumu politycznego”. Po tem lekkim napomnieniu, udzielonem gazecie, „Dziennik poznański” nakreśla pewien rodzaj programu odnośnie do żydów, programu, który rychło urzeczywistnić się miał. „Być może, powiada, że niezupełnie uspokajającą, ale z pewnością z wszystkich, jakie się nadarzają, solucyi najprostszą, najmniej dla narodu szkodliwą tak moralnie jak materyalnie, jest wsiąknięcie stopniowe plemienia żydowskiego w masę narodu. Że organizm każdy nerwowo odpycha obcy sobie pierwiastek, to naturalna; cóż wszelako powiedzieć, kiedy domniemani piastuni rozumu publicznego odpychają tych, co solucyą tę ułatwiają, sami pragną złączyć się z narodem tuziemców, obyczaj jego, język, a nawet religią przyjmując?”

I „Wiadomości polskie” zabrały głos w tej sprawie. Potępiwszy stanowczo postępowanie Lesznowskiego, dochodzą mniej więcej do takich samych, jak „Dziennik poznański” konkluzyi, „Utworzyła się w Warszawie, piszą, klasa Izraelitów z kultury, majątku, sposobu życia należących do towarzystwa ukształconego; nie dziw, że pragnęliby oni mieć w niem zupełny udział, kosztować wszystkich jego korzyści. Przez to samo, że przyjęli polski język, zasmakowali w polskiej literaturze, nawykli do polskich obyczajów, są już bliżej połączeni z krajem, a można wierzyć, że znajdują się między nimi głębiej przywiązani do przybranej ojczyzny, gotowi w danym razie ofiarami okupić imię prawych jej synów. Tymczasem ogólne ich położenie zawsze jest nieswobodne i ztąd drażliwe, jako ludzi nowych. Tu mianowicie trzeba delikatnego taktu, wzniesłego poglądu, czystego pojęcia godności narodowej, żeby poskramiając niesłuszne lub zbyt wysokie pretensye, nie deptać razem kielkujących uczuć życzliwych i szczerych. Nie mamy dziś do rozdawania praw politycznych, indygenatów obywatelstwa; obcy i nieprzyjaciele mogą szafunkiem tych darów uprzedzać nas albo i poniżać, ale mamy w skarbcu narodowego ducha, czem niegdyś przewyższaliśmy i obcych i nieprzyjaciół: mamy tam drogie klejnoty ewangelicznego braterstwa dla ludów i ludzi; umiemy użyć tego bogactwa”.

Nawet stary, osiwiwały Lelewel odezwał się w tej sprawie i karcił surowo Lesznowskiego. „Bolesna to rzecz, pisał historyk, rozważać, co się tam dzieje;

wstydna przed cudzoziemcami, którzy o tem wiedzą”. „Zamiast uciszać i koić wzruszenia, gazeta drażni i jątrzy, wytacza towarzyskie i religijne namiętności, rozbudza złośliwy w mieszkańcach jednej ziemi fanatyzm”. „... Dajcie się poznać mowie polskiej, jak jesteście w sobie. Wstydem się zapłoną najprzesądniejsi. Umilkną. Otworzy się księga obywatelska. Siła wieku, światło wieku przełamie zawziętości i przesady”. „Przybyszem będzie od wczora przybyły, a jakiegokolwiek wyznania krajowiec, wedle woli swej zapisze się w obywatelską księgę, aby użył pełnych praw cywilnych i politycznych, jakich dziś obywatel polski pozbawiony”.

Wobec tego powszechnego potępienia, Lesznowski broniąc się, przedewszystkiem wytoczył 23 podpisanym na liście żydom proces karny o obelgi i pogroźki. Sprawa poszła przed Sąd policyjny poprawczej, który wyrokiem, zapadłym d. 28 Kwietnia 1859 r. skazał wszystkich żydów „za rozmyślne obelgi i zagrożenie względem Antoniego Lesznowskiego” na trzy lub cztery miesiące więzienia w domu poprawy, na uroczyste przeproszenie obrażonego przed sądem w wyrazach: „przepraszam za rozmyślne listowne znieważenie pana”, oraz na kosztą sądowe w wysokości 106 złp.⁵⁴

Przeciw napaściom gazet Lesznowski pierwotnie zamierzał bronić się w „Czasie” krakowskim, ale gdy ten odmówił wszelkiego mieszania się do tej sprawy⁵⁵, redaktor posłał do Petersburga, do „Słowa” obszerny i nadzwyczaj złośliwy artykuł przeciw żydom, prosząc Ohryzki, by go wydrukował w swem piśmie. W artykule tym opowiedziawszy całą historią koncertu Nerudy i jego następstw, tak kończy: „hola, moi panowie, grubo pomyliliście się w swojej rachubie. Chcieliście nas znieważać, a zapomnieliście, że zniewaga, poniesiona w obronie sprawy publicznej, stanie się zaszczytem i dobrego a zacnego obywatela znamieniem; śmieliście żądać odwołań, a utwierdziliście nas tylko

54 Treść wyroku jest taka: „Mikołaj Epstein za rozmyślne obelgi i zagrożenie względem Antoniego Lesznowskiego, redaktora „Gaz. warsz.”, z mocy art. 1016, 1039, 157, 141 wstępu 2 i 5 art. 142 K. K. G. i P. na zamknięcie w domu poprawy przez miesiące cztery; zaś Stanisława Kronenberga i t. d. na miesiące trzy zamknięcia skazuje”.

55 Redaktor ówczesny „Czasu”, Leon Chrzanowski, tak motywował swą odmowę: „umięściwszy odezwę waszą, bylibyśmy mocą ustawy drukowej zmuszeni do zamieszczenia odpowiedzi, którym odpórby dawać należało, a nie byłoby wolno. Wyzwalibyśmy do walki całe dziennikarstwo niemieckie, szczególnie wiedeńskie, będące wyłącznie w ręku żydów. Bo jeżeli żydzi są silni w Warszawie, iż swym wpływem na cenzurę wzbronili wam odezwać się, to daleko większą przewagę mają w Wiedniu. Oto niedawno z powodu uderzenia naszego na nadużycie, popełnione przez żydów w Starym Sączu, stanęły przeciwko nam żydowskie potentaty z połowy Europy, Fuld, Rotszyld, Pereira itd. Jeżeli zaś toczy się bój przeciw polskości i Polakom, lub wogóle Słowianom, to Niemcy liczą się za żydów, a żydzi za Niemców; mieliśmy tego przykłady u nas i w Poznańskim”. Zapewniał, że dla wszelkich odezw ze strony żydów szpalty dziennika będą zamknięte.

w naszych i tak najbardziej stanowczych przekonaniach. Żadne groźby, żadne nieczyste szamotanie się ciemnoty, przesądu i fanatycznej kastowości nie zwróci nas z raz obranej drogi”.

Ohryzko zadość uczynił prośbie Lesznowskiego, list jego wydrukował, zapatrzwszy go od siebie w dopisek tej treści: „jakkolwiek ironiczne wyrazy „Gazety warszawskiej” mogły być dotkliwie, broń atoli, której się jęli obrażeni, broń obelg i potwarzy, rzucanych nietylko na redakcją „Gazety warszawskiej”, lecz nawet na ogół, nigdy nie może być usprawiedliwioną, nawet wobec najbardziej stronniczego sądu”. Ohryzko całkiem niepotrzebnie wmięszął się w sprawę obcą sobie, a nadewszystko postąpił nietaktownie wobec zakazu cenzury warszawskiej. To też rezultat tej burzy spadł wyłącznie na jego głowę.

W tym czasie bowiem, gdy ukazał się ów artykuł w „Słowie”, bawił w Petersburgu i mieszkał w Pałacu Zimowym namiestnik Królestwa, książę Górczakow, który co rok w Lutym zjeżdżał wraz z innymi wielkoryządcami do stolicy państwa, dla otrzymania nowych instrukcyi lub robienia przedstawień co do takich albo innych zmian w zarządziu podwładnej sobie prowincyi. Przy nim znajdował się naczelny prokurator ogólnego zebrania departamentów rządzącego senatu w Warszawie, Juliusz Enoch, żyd z pochodzenia, człowiek bardzo zdolny, bystry i umiejący wpływać na słaby, miękki charakter namiestnika. Wpływ ten nawet charakteryzowano temi słowy, że w Polsce nikt nie może żyć bez faktora, więc i namiestnik ma swego faktora w osobie Enocha. Znajdował się także wtedy w Petersburgu znany nam już bankier warszawski, Leopold Kronenberg, gorący zwolennik asymilacyi żydów, ztąd niesłychanie oburzony i rozgniewany na wystąpienie „Gazety warszawskiej”.

Gdy się więc ukazał artykuł antiżydowski i w „Słowie” petersburskiem, oburzenie Enocha i Kronenberga nie miało granic. Ten ostatni płakał ze złości gorzkimi łzami. Enoch ze swej strony przedstawił całą sprawę Górczakowowi w ten sposób, że żaden rząd nie jest możliwy w Królestwie, jeśli rozporządzenia namiestnika mają być lekceważone i nieuznawane w Petersburgu przez pierwszego lepszego asesora kolegijskiego (taką rangę miał Ohryzko); że należy raz dać przykład i pokazać władzom petersburskim, że namiestnik w Królestwie coś znaczy. Jak każdy charakter miękki i słaby, tak i Górczakow był niezmiernie drażliwy o swą powagę i władzę. Uległ jezuicko-żydowskim wykrętom Enocha i okazał w tej sprawie niezwykłą stałość i energią. Nie zastanawiając się nad tem, że Ohryzko jest najmniej winnym w tem wszystkim, że mógł nie wiedzieć o zakazie, wydanym w Warszawie, że na koniec istotnym winowajcą jest komitet warszawski cenzury, który polecenia, otrzymanego od namiestnika, nie zakomunikował innym komitetom, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie wychodziły dzienniki polskie, Górczakow nadzwyczajnie

rozdrażniony pobiegł do cesarza ze skargą. Ze zwykłą sobie wrażliwością na rzeczy drobne i małe, zrobił z tej sprawy kwestyą gabinetową, mówiąc, że albo „Słowo” musi być ukarane, albo on poda się do dymisji z namiestnictwa. Oczywiście tak postawiona kwestya musiała się obrócić na niekorzyść biednego dziennika polskiego. Zaraz na drugi dzień minister oświecenia, Kowalewski, został zawiadomiony osobiście przez Gorczakowa o rozkazie cesarskim zamknięcia gazety „Słowo” i osadzenia jej redaktora w twierdzy Petropawłowskiej na jeden miesiąc. Na próżno Kowalewski, człowiek zimny i rozważny, opierał się temu; napróżno na radzie ministrów za Kowalewskim poszedł Rostowcow i książę Dołgoruki; obaj Gorczakowowie, namiestnik i kanclerz, uparcie się domagali, by gazetę zawieszono, a jej redaktora wsadzono do więzienia. Nie dozwolili nawet Kowalewskiemu odczytania memoriału, który on w tej sprawie przygotował. Dość, że „Słowo” zostało zamknięte, a Ohryzko poszedł do kozy.

Fakt powyższy, przypominający swą samowolą najgorsze mikołajowskie czasy i sławne burbońskie *lettres de cachet*, wywołały w sferach inteligencji petersburskiej i moskiewskiej, a nawet w całym państwie, oburzenie ogólne. Opinia publiczna, poczynająca teraz w caracie nabierać ogromnego znaczenia, stanowczo i bezwzględnie potępiła to zamknięcie pisma i uwięzienie jego redaktora bez sądu, bez rozpatrzenia winy. Hercen w „Kołokole” wystąpił z ostrym artykułem przeciw temu gwałtowi, dokonanemu przez rząd na osobie dziennikarza, człowieka zasługującego ze wszech miar na szacunek i w dodatku zupełnie niewinnego⁵⁶. Mówiono głośno, że żadne reformy w Rosyi nie są możliwe i na zawsze pozostaną bezskuteczne, jeżeli wolność obywateli zależeć ma od kaprysu pierwszego lepszego generała. Nacisk był tak silny, że cesarz rozkazał w tydzień po zamknięciu uwolnić z twierdzy Ohryzkę, a Gorczakowowi polecił wytlómaczyć się przed komitetem ministrów. Gorczakow sam przestraszony burzą, jaką wywołał, chętnie to uczynił, ale przytem miał wyrzec te prorocze, rychło niestety! sprawdzić się mające słowa: „jeżeli tutaj w ten sposób postępować będziecie panowie, to ja wkrótce będę musiał strzelać w Warszawie kartaczami!”

Pierwsza więc próba stronnictwa polsko-petersburskiego stanowczo się nie udała i była też ona ostatnią. Odtąd stronnictwo to nie występuje wcale na scenę historyczną polską, aż wtedy dopiero, gdy wszystkie usiłowania innych stronnictw rozbiły się i utonęły w ruinie i w morzu krwi polskiej⁵⁷.

56 Mikołaj Berg (Zapiski o polskich wozstaniach, 155) powiada, że znany autor rosyjski Turgieniew, z powodu uwięzienia Ohryzki napisał list otwarty. Listu tego jednak w zbiorze dzieł Turgieniewa, wydanym w Petersburgu, nie znaleźliśmy.

57 Ohryzko robił przez jakiś czas starania o wskrzeszenie „Słowa”, ale na próżno, tak że

Kronenberg przerażony skutkami, jakie co do „Słowa” wywołały jego starania, w gruncie rzeczy dobry patriota polski widząc, że kwestya żydowska wchodzi na manowce, postanowił walczyć o nią tą samą bronią, jakiej używali przeciwnicy, tj. za pośrednictwem dziennikarstwa, którego wpływ w owej epoce zbyt często przeceniano.

Wróciwszy z Petersburga, przedewszystkiem mocno zganił młodzieży żydowskiej, że całą sprawę z Lesznowskim przez swój list postawili niemal na ostrzu noża i pchnęli ją przez to na tory tak niebezpieczne, na jakie wkońcu zesła; następnie kupił od literata Aleksandra Niewiarowskiego „Gazetę codzienną”, włokącą nędzny swój żywot z dnia na dzień.

Więść o kupnie przez bogatego bankiera gazety w tym właśnie czasie, gdy kwestya żydowska weszła w stadium mocno zapalne, została niechętnie przyjęta przez ogół, który radby był zrobić z żydów Polaków, ale żeby się to bez jego pomocy stało i żeby nie wymagano od niego miłości do rasy całkiem z nim różnej i wstrętnej mu nadzwyczajnie. Nie podobało mu się zatem, że bogaty, jakkolwiek powszechnie uważany za dobrego Polaka, żyd będzie miał w swym ręku organ, w którym znając żydów, podejrzewano, że idea asymilacji, idea polityczna będzie zajmowała drugorzędne miejsce, a natomiast obrona interesów własnych bankiera i w ogóle spekulacji żydowskich stanowić będzie zadanie główne gazety. Niechęć ta ku faktowi kupna dziennika przybrała większe rozmiary, gdy się dowiedziano, że na redaktora zaproszony został znany powszechnie pisarz, Józef Ignacy Kraszewski.

Jakoż w rzeczy samej tak było. Kraszewski mieszkał naówczas w Żytomierzu, gdzie pełnił honorowe obowiązki kuratora szkół miejscowych, pędząc zresztą życie ciche, oddane pracy, pisaniu mnóstwa bardzo poczytnych powieści, szkiców i rozpraw. Przez swe dzieła wywierał on znaczny wpływ na ogół i u szlachty, zwłaszcza wołyńskiej, nie cieszył się zbyt miłością, za to, że w książce pt. „Wieczory wołyńskie” postawił pod pręgierzem opinii publicznej jej próżniactwo, nieuctwo, hulaszczność i znęcanie się nad chłopem. W ogóle propagował on idee usamowolnienia chłopca, i w tej porze napisał w tym kierunku kilka powieści, malujących jaskrawymi barwami ucisk, jakiego ze strony szlachty doznawał lud. Wprzód jeszcze, nim Kronenberg wezwał go na redaktora „Gazety codziennej”, Kraszewski nosił się z myślą

w Maju musiał zawiadomić swych prenumeratorów o zamknięciu pisma. Pieniądze abonentom albo zwracał w gotówce, albo też, kto tego chciał, ofiarował za nie nową edycją dawnych praw i konstytucji polskich, zwanych Volvanina legum, które w swej drukarni bardzo ładnie i starannie przedrukował. Późniejsi oskarżyciele Polaków z tego przedruku zrobili fakt doniosłości politycznej, mówiąc, że Ohryzko dlatego to uczynił, żeby przyszła Polska miała gotowe prawa.

założenia dziennika, robił propozycje hr. Branickim i Leonowi hr. Łubieńskiemu, i dlatego też zaproszenie bankiera warszawskiego było mu bardzo na rękę. Przyjął je bez wahania i program przyszłego dziennika miał być „katolickim bez ultramontanizmu, narodowym i postępowym zarazem, szlacheckim, o ile szlachta jest przewodniczącą do postępu i czynną, ale lud i jego dobro, oraz wszystkich klas społecznych zgodę, porozumienie, miłość i zjednoczenie mającym na celu”.

Mimo programu, który pod wielu względami odpowiadał zamiarom Klemensowczyków i Millenerów, podniósł się krzyk na Kronenberga i Kraszewskiego, krzyk, który „Gazeta warszawska”, lękając się niebezpiecznego współzawodnika, a więc w interesie swej kieszeni, różnemi intrygami podniecała, pokrywając swe zachody płaszczykiem patryotyzmu i dobra ogólnego. Wołano, że Kronenberg chce mieć organ, broniący jego spekulacji; że Kraszewski, pierwszorzędny pisarz polski, nie uszanował swego dostojęstwa i sprzedał niegodnie swe pióro żydom. obrońcy, których ludzie bogaci z jednej, a głośni i wpływowi z drugiej strony, zawsze znajdują, twierdzili w odpowiedzi na to, że Kronenbergowi wcale nie idzie o interesa żydowskie, a tem mniej osobiste; że chce tylko, by w kraju była choć jedna dobra gazeta; że nie ma zamiaru, jak niektórzy utrzymywali, zrobienia przy pomocy głośnego imienia redaktora doskonałej spekulacji na dzienniku, gdyż zaraz z początku wyłożył nań znaczne koszta, które mu ledwie pokryje 5000 prenumeratorów; że zapraszając Kraszewskiego, autora znanego ze swych tendencji uczciwych i niepodległego majątkowo, chciał dać krajowi rękojmię, że nie szło mu wcale o interesa żydowskie.

Gdy Kraszewski przyjechał do Warszawy i objął redakcją gazety, zarzucony został listami bezimiennymi, tą bronią dusz małych i niczemnych. Pisano mu, że opinia publiczna stanowczo go potępia za to, że się sprzedał żydom, że stał się sługą żydowskim, że wstępuje w ślady dziennikarzy wiedeńskich, którzy są na żoździe różnych bankierów i banków. Jakkolwiek te zarzuty w gruncie rzeczy były niesłuszne i niesprawiedliwe, bolały one przecież bardzo wrażliwą duszę powieściopisarza. Mimo to zabrał się do pracy i w Sierpniu 1859 r. zawiadomił czytelników, że obejmuje redakcją, że godłem jego będzie „powoli a stale”, że walczyć będzie za prawdę przeciwko fałszowi, nigdy przeciwko indywiduum, że chce, by zadaniem gazety było jasne postawienie kraju przed własnym jego sądem. Pisał, że czem dawniej w społeczeństwie zbudowanym na sile pięści, była arystokracja rycerska, dziś w wieku pracy i przemysłu, jest arystokracja mienia; że jakie dawniej było powołanie kasty zdobywców, dziś jest wszelakiego pochodzenia możnych; te same ciężary i obowiązki przewodnictwa, kierunku, wodzów i naczelników. Słowa te były wyraźnem wypowie-

dzeniem, że za urodzonych przodowników narodu uznaje tylko ludzi bogatych; że zatem Kronenberg, który należał do najbogatszych w kraju, powinien być jego kierownikiem i rządcą.

Takie zdania oczywiście nie mogły zjednywać sympatyj gazecie i Kraszewskiemu. Zarzucano mu, że stawianie przemysłowców i przemysłu, handlarzy i handlu na świeczniku życia narodowego, jest sprzeczne z tem co dawniej głosił, np. w książce pt. „Choroby wieku”. Bronił się przeciw temu w gazecie dość niezręcznie, że tam mówił o zmaterializowaniu się społeczeństwa, co jest całkiem różne od programu, jaki stawia.

Bądź co bądź, gazeta sama bardzo zyskała na nowej redakcyi i liczba prenumeratorów rosła. Zwiększywszy w Listopadzie 1859 r. format, już w Lutym 1860 r. liczyła 4000 abonentów; koszta wydawnictwa jednak były tak znaczne, że Kronenberg ciągle dokładał. Główny kontyngens prenumeratorów stanowili atoli żydzi i inteligentne mieszczaństwo; szlachta była ciągle przeciwna gazecie i Kraszewskiemu i ten antagonizm objawił się przy sposobności z wielką siłą i stanowczością.

Gdy bowiem w Lutym 1860 r. odbywało się zebranie ogólne Towarzystwa rolniczego, na które zjechało do Warszawy około 2000 członków, Kraszewski podał się także na członka. Mówiliśmy już jaką moralną doniosłość miało należenie do Towarzystwa rolniczego; dawało ono niejako patent na dobrego obywatela i dobrego Polaka. Bardzo więc jest naturalnem, że i Kraszewski chciał należeć do zgromadzenia, które tem samem niejako broniłoby go przeciw zarzutom i wątpliwościom, jakie czyniono co do jego obywatelstwa. Niestety! zawiódł się pod tym względem bardzo boleśnie i przekonał się na sobie, jak ciężko jest walczyć w kraju chorym i nieszczęśliwym z tem, co się nazywa opinią publiczną.

Podług ustawy każdy kandydat na członka Towarzystwa rolniczego powinien być przedstawionym przez dwóch członków i balotowanym najprzód na okręgowem, a potem na ogólnem zebraniu. Otóż zebranie okręgowe warszawskie jednomyślnie przyjęło Kraszewskiego na członka; i zdawało się, że to samo zrobi ogólne. Ale tu niezyczliwi powieściopisarzowi rozpoczęli przeciw niemu bardzo żywą i bardzo czynną agitacyą. Józef Kenig, redaktor „Gazety warszawskiej” po zmarłym w Październiku 1859 r. Lesznowskim, rozwinął pod tym względem nadzwyczajną działalność. Przyniósł on na posiedzenie Towarzystwa kilkadziesiąt egzemplarzy „Wieczorów wołyńskich”, w których ważniejsze, jaskrawsze ustępy pozakreślone były czerwonym ołówkiem i rozdawał je obecnym, wyrzekając przytem przeciw owczemu pędowi Towarzystwa, które takiego człowieka jak Kraszewski chce zrobić swoim członkiem; że należy przez jednomyślne odrzucenie jego kandydatury dać mu uczuć, że

jest pod strażą opinii publicznej, że źle zrobił łącząc się z żydami itp. Rezultatem tej brzydkiej, pokątnej agitacji było to, że Kraszewski na ogólnym zebraniu dostał aż 140 gałek czarnych, a zatem nie mógł być członkiem Towarzystwa. Rezultat to dla Kraszewskiego był bardzo bolesny i bardzo dotkliwy bez zaprzeczenia, jakkolwiek wiadano komu i czemu zawdzięczać go należy. Z drugiej jednak strony, samo Towarzystwo, w czym zresztą nie różniło się ono od wszystkich zebrań wielogłowych, dało przez odrzucenie kandydatury dowód braku konsekwencji i logiki. Przed dwoma bowiem laty, na pierwszym swym posiedzeniu, jednomyślnie wybrało ono na swego członka Kronenberga. Wobec tego, z jakiej racji odrzucono Kraszewskiego? Ale nie trzeba szukać logiki w zebraniach, złożonych z mnóstwa osób i w czasach, gdy poczynają się budzić namiętności społeczne i polityczne. Taki miała przebieg i takie wywołała fakta, w epoce przez nas opisywanej, sprawa żydowska. Epilog jej należy już do innych czasów. Teraz przyczyniła się ona bardzo wiele do rozgorączkowania i tak już rozgorączkowanych umysłów; w sporach i walkach, jakie co do tej sprawy ze sobą toczono, nie szczędzono się wzajemnie; z zaciekłością rewolucjonistów lub fanatyków religijnych obrzucano się obelgami i insynuacjami. W sporach tych wzięła udział i emigracja. Lelewel potępił stanowczo chęć waśmienia mieszkańców jednego kraju; Lubliner wołał: „przestańcie na koniec poniżać żydów; bądźcie pierwszymi do podania im dłoni bratniej, rozpocznijcie z żydami nowe życie socyalne, oparte na uprzejmości i braterstwie, bo to są jedyne godne środki, aby natchnąć żydów uczuciami i obowiązkami obywatelskimi”. Były to piękne słowa, w gruncie jednak rzeczy, sprawa żydowska w tym czasie była jednym z objawów tego niezdrowego, sztucznego, gorączkowego życia, jakie obejmowało naród cały po dniach długiego, niespokojnego snu; zdawało się, że ciało Polski leżące przez tyle lat na Prokustowym łożu Paskiewiczowskim wstaje, wstrząsa się i wyciąga wszystkie swe mięśnie zastygłe w nieruchomej i niewygodnej pozycji. Jeżeli dotąd, tu i owdzie, czy to w Petersburgu czy Moskwie, Kijowie czy Warszawie nareszcie, tworzą się jakie koła, to mają one charakter jeszcze niezdecydowany, brak im cechy wyłączenie politycznej, celu jasno zdeterminowanego, i są raczej koteryami ludzi znających się ze sobą, którzy od czasu do czasu schodzą się na pogawędkę przy szklance herbaty i cygarze — to teraz koła te i kółka zaczynają się konsolidować, tworzyć organizację, myślą o spiskach politycznych.

Mówiliśmy już poprzednio, że w Warszawie do tej pory, prócz bardzo luźnego koła Jurgensa, Millenerów, błądzących dotąd ciągle w zakresie pogawędek i programów, a odkładających akcją rzeczywistą na czasy oddalone i nieoznaczone bliżej, innych związków politycznych nie było. Ale w ciągu 1858 r. ten stan ulega zmianom. Otwarcie akademii medycznej, nagromadze-

nie w jej murach młodzieży dorosłej i inteligentnej, zebranej z różnych okolic kraju, musiało koniecznie wywołać utworzenie się jakiegoś ciała, które z jednej strony nadawałoby ton życiu towarzyskiemu młodzieży, z drugiej powoli przemieniało na stowarzyszenie polityczne, jak to zwykle w takich razach się dzieje. Pośród studentów akademii znalazło się kilku ludzi o niepospolitych zdolnościach i charakterach zdecydowanych, zapalonych i gorących patryotów, młodych a więc rewolucjonistów, którzy od razu wśród swych kolegów zajęli stanowiska dominujące i wpływowe. Do rzędu takich ludzi należał Jan Kurzyna, z przydomkiem Pelszewski⁵⁸, syn ubogiego policyanta w Warszawie i matki akuszerki. Pierwotnie swoje wychowanie odebrał w seminarium pijarskim w Opolu, gdzie go rodzice umieścili przeznaczając na księdza. Zamiar ten jednak Kurzyna porzucił i przeniósł się do Warszawy, gdzie osiadł samotnie na ulicy Niecałej i oddał się namiętnie nauce i pochłanianiu niezdrowej literatury emigracyjnej i rewolucyjnej. Gdy akademia medyczna została otwarta, zapisał się do niej, zawsze jednak łączyły go z Pijarami jakieś stosunki, gdyż mieszkał wtedy w kolegium pijarskim na ulicy Jezuickiej.

Młody, liczył bowiem wówczas zaledwie 23 lata, średniego wzrostu, bardzo przystojny, ztąd ulubieniec kobiet, jasny blondyn z dużymi, białymi wąsami i niebieskimi, mglistymi, rozmarzonymi oczami, posiadał charakter silny, stanowczy, niepospolitą odwagę i rzutkość. Oczytany, wymowny, wierzący w to co głosił, imponował młodzieży znajomością rewolucyjnego piśmiennictwa polskiego, porywał ją swym zapałem, ogniem, jakim przenikał wszystko, czego się dotknął. Był to jeden z tych charakterów stworzonych na przewodnika stronnictwa, na trybuna ludu, na Sawonarolę jeżeli nie na Katylinę, zmarnowanych niestety! u nas, jak mnóstwo innych zdolności i talentów⁵⁹.

Obok niego znaleźli się inni, mniej zdolni i mniej wpływowi, ale odznaczający się energią i stanowczością, jak: Władysław Jaśniewski, Edward Lisikiewicz i Laurysiewicz. Wszystko to była młodzież dzielna i pełna życia, gotowa do spisków, do męczeństwa za ojczyznę, jak to wtedy mówiono. Pod ich wpływem, a głównie pod wpływem Kurzyny, zawiązało się w akademii,

58 Kurzynowie — Pelszewscy należeli do drobnej, zagonowej szlachty, osiadłej w okolicach Tykocina, we wsi Garbowo stare.

59 Wiadomość podana przez Berga w jego „Zapiskach o polskich wozstaniach”, jakoby Kurzyna był synem emigranta i wychowywał się we Francji, jest całkiem fałszywa. Zdaje się również, że twierdzenie, jakoby był agentem Mierosławskiego, wysłanym do Warszawy dla podburzania młodzieży, jest bezpodstawne. Wprawdzie twierdzenie takie wypowiada w swej książce „Zapiski oczewidca”, A. Podwysockij, naczelnik tajnej policji w Warszawie i ze swego stanowiska mogący mieć niejaki wiadomości. Za Podwysockim powtarza to samo Mikołaj Berg. Polskie źródła i relacje, jakie posiadamy, nie mówią o tem wcale, by już w akademii Kurzyna był agentem Mierosławskiego.

na wzór uniwersytetów rosyjskich „Towarzystwo bratniej pomocy”, które na zewnątrz, wobecinnych związków, nosiło wprost nazwę: Kółko akademickiego. Towarzystwo miało swój statut, swą kasę, swą bibliotekę, w której główne miejsce zajmowała literatura emigracyjna i rewolucyjna w językach polskim i francuskim, znajdował się nawet rosyjski „Kołokoł” Hercena. Główny jednak i najpotężniejszy wpływ, wywierały na młodzież pisma Mierosławskiego, między nimi broszury, ukazujące się co jakiś czas pt. „Narodzie, przebudź się!”

W broszurach tych „wódz zmartwychwstały” zastanawiał się nad możliwością i koniecznością powstania i wzywał młodzież do chwycenia „za oręż Bolesławów i Batorych... za pikę i kosę raclawicką... za bagnet grochowski... za działa Bema i Sowińskiego”. Wszystko to czytane było chciwie i oddziaływało niezmiernie silnie na umysły młode, wychowane w ucisku mikołajowskim, kiedy to wyraz ojczyzna, był wymawiany pocichu i z trwogą. Owoc zakazany smakował bardzo dobrze i porywał za sobą młodzież urokiem swobody słowa, malowaniem w jaskrawych barwach niedoli kraju i ucisku wroga. Ta młodzież, która dotąd nie słyszała nic o Polsce i o jej bohaterach, pochłaniała teraz o nich prawdę i nieprawdę, z chciwością człowieka spragnionego pokarmu lub napoju. Dlatego też śmiało rzec można, że spiski u nas przygotowywał zawsze sam rząd rosyjski, przez nierozsądne ukrywanie przed młodzieżą wszystkiego, co się tyczyło jej ojczyzny. Tym sposobem i Kółko akademików powoli, samo nie wiedząc jak i kiedy, stawało się na wskroś rewolucyjnym, gotowem do spisków, ufnem w swe siły, które mogą, jak im się zdawało „pchnąć bryłę świata na nowe tory”, a cóż dopiero wygnąć z Polski Moskali i Niemców!

Ten kierunek rewolucyjny i konspiracyjny młodzieży akademickiej nie podobał się i przestraszał Jurgensa i Millenerów. Mieli oni swe wpływy i swe stosunki wśród studentów, Jurgens znał Kurzynę i starał go się uspokoić, ale na próżno. Zapaleniec wprost powiadał, że trzeba dążyć jak najprędzej do powstania, trzeba „dosiąść owdowiałego siodła” nieomal że zaraz. Jego gwałtowność, jego szalone zdania o natychmiastowym powstaniu, gdy nic do niego nie było przygotowanem, w grupie akademików chłodniejszych, rozsądniejszych, ulegających wpływom Jurgensa i należących przez to do Millenerów, wzbudziły podejrzenie, czy czasem Kurzyną nie jest agentem rządowym, czyli po prostu szpiegiem. Nikt go przecie nie znał, nikt nie wiedział z kąd się wziął. Młodzież bowiem mniej więcej żyła koteryjami, złożonemi albo z wychowanców jednej szkoły, albo pochodzących z jednej okolicy, dość że się znali wzajem dobrze, a Kurzyną dla wszystkich był obcym, nie należał do żadnej koteryi. Poczęto więc go śledzić, badać jego przeszłość, i wygrzebano, że ma stosunki z jakimś mułłą mahometańskim, który dla muzułmanów i Tatarów, służących w wojsku rosyjskiem w Warszawie, w tzw. pułku czerkiesów, pełnił obrządki

religijne ich wyznania. Jakkolwiek Kurzyna łatwo bardzo przed sądem swych kolegów, umyślnie w tym celu zebranych, usprawiedliwił swe stosunki z mułką tem, że się uczył od niego dawniej języka tureckiego, jednakże podejrzenie to zabolalo go bardzo i wyrobiło w nim pewną zgryźliwość i ironią, która mu odtąd jednała mnóstwo nieprzyjaciół. Co jednak najważniejsza, to, że Kółko akademików, kierowane przez Kurzynę, stanowczo zerwało z partją Millerów i niehamowane już niczem, dążyło śmiało i otwarcie do wywołania w kraju ruchu.

Znalazło ono podporę w innym związku, złożonym z żywiołów najrozmaitszych, z kancelistów, aplikantów, dependentów, niższych urzędników różnych dykasterii młodzieży kupieckiej, szkolnej, mieszczan, nawet księży, który mniej więcej w tej porze się utworzył pod naczelnictwem, że tak powiemy, niejakiego Narcyza Jankowskiego, byłego oficera pułku olwiopolskiego ułanów rosyjskich, rodem z Wołynia, człowieka stosunkowo dość zamożnego, bez wybitnych zdolności, ale gorącego patrioty w znaczeniu rewolucyjnym i gotowego do wszelkich poświęceń.

Przybył on do Warszawy w początkach Maja 1858 r. wprost z Kijowa, z zamiarem zawiązania stosunków między kołami studenckimi w tem mieście, a temi, jakie istnieją lub powstać mogą w Warszawie. W Kijowie zresztą sądzono, że Warszawa śpi jeszcze, że nic się tam nie robi; głównem więc zadaniem Jankowskiego miało być obudzenie stolicy polskiej i utworzenie w niej koła rewolucyjnego. Sam Jankowski był Mierosławczykiem, jak to wtedy mówiono, i w uniwersytecie kijowskim należał do grupy studentów wielbiących tego warchoła (należeli tu: Bobrowski, Trąbczyński, Milewicz, Sabiński i inni). Przybywszy do Warszawy, Jankowski dla zapoznania się z młodzieżą, pilnie uczęszczał na prelekcye w akademii medycznej, w szkole sztuk pięknych i w Marymoncie. Wkrótce w jego mieszkaniu, w parterowej, na pół zrujnowanej oficynie, leżącej w głębi dużego podwórza, na rogu ulicy Królewskiej i Mazowieckiej, gdzie wkrótce potem wznosił się wspaniały pałac Kronenberga, zbierały się co tydzień, na tzw. „herbatę przyjacielską”, tłumy rozmaitych ludzi, i wiodły ze sobą rozmowy ożywione, głośne, zawsze nacechowane skrajnym rewolucjonizmem. Zjawiał się tam niekiedy Jurgens, siadał gdzieś w kącie, słuchał, milczał swoim zwyczajem i od czasu do czasu usiłował chłodzić rozpalone głowy; bywali i akademicy, bywali i studenci Instytutu agronomicznego w Marymoncie, szkoły sztuk pięknych, młodzież gimnazjalna, bywał i Kurzyna. W kołach atoli ściślejszych swych przyjaciół, Jankowski otwarcie mówił o potrzebie blizkiego powstania, zbierał składki, najął mieszkanie osobne, gdzie uczył młodzież strzelania do celu, fechtunku i służby frontowej żołnierskiej. Miał stosunki nader obszerne we wszystkich sferach, i począł je

nawet nawiązywać z Poznaniem i Krakowem. Oba te związki: Akademików i Jankowskiego wspierając się wzajem, dodając sobie otuchy, rozgrzewając i współubiegając się ze sobą o jak najszybsze prowadzenie roboty, zdecydowane byty na wystąpienie czynne przy pierwszej lepszej sposobności. Wprzód jednak Kurzyna, Jaśniewski, Laurysiewicz i kilku jeszcze akademików, wybrało się pieszo do Warki, do bohatera nocy listopadowej Piotra Wysockiego, który powróciwszy niedawno za amnestią z Syberii, osiadł we wzmiankowanym miasteczku. Szli do niego w pielgrzymce, z podniosłym pragnieniem otrzymania błogosławieństwa z rąk męczennika polskiego, na ciężką, krwawą drogę, z której on już zeszedł, a na którą z kolei rzeczy oni zapuścić się mieli. Ale Wysocki, człowiek stary, znużony życiem, wygnaniem i istnem męczeństwem, jakie wycierpiał na Syberii, pragnący jedynie spokoju i ciszy, należnej mu zresztą po tylu przygodach, przyjął ich zimno i z wyraźną obawą przed odpowiedzialnością, jakąby takie odwiedziny mogły ściągnąć na jego głowę biedną i zmęczoną. Do niczego mięszać się, o niczem wiedzieć nie chciał. Wrażenie, jakie wywarł na młodych zapaleńców, streścił później Kurzyna w słowach: „to ruina!”

Nie ochłodziło to jednak młodzieży, która zdecydowaną była do chwycenia się, jakżeśmy rzekli, pierwszej lepszej sposobności. Sposobność taką łatwo było znaleźć, zresztą sama się ona niejako wkrótce nadarzyła. Szło o to, żeby się przekonać, jakie też jest ogólne usposobienie umysłów w Warszawie? czy długie i męczące rządy Paskiewicza nie wytepiły całkowicie poczucia patriotyzmu polskiego? Trzeba więc było zrobić próbę i przeświadczyć się naocznie jaki jest, jak to wtedy mówiono, duch w kraju. W dniu 23 Lutego 1859 r. zmarł za granicą, w Paryżu, jeden z największych poetów polskich, najbardziej melancholijna dusza swego czasu, Zygmunt hr. Krasiński, syn generała Wincentego, przeżywszy swego ojca zaledwie o trzy miesiące⁶⁰. Mało znany przez współczesnych, gdyż dzieła swoje wydawał bezimiennie, zgasł cicho i bez echa w kraju. Rodzina w dniu 28 Lutego wyprawiła mu w kościele Kapucynów w Warszawie sute nabożeństwo żałobne, które celebrował mianowany w roku zeszłym biskupem sufraganiem diecezji warszawskiej, ks. Dekert. Cały kościół obito kirem; u katafalka, na szczycie zbiegających się ośmiu kolumn, wznosił się anioł z trąbą, jako symbol sławy, której zmarły, niestety! wcale za życia nie posiadał. Na nabożeństwo zgromadziło się bardzo wiele osób i mnóstwo młodzieży, między którą świeciły głównie kołnierze niebieskie akademików.

60 Pogrzeb generała Krasińskiego, świetnego niegdyś wodza szwoleżerów gwardii Napoleona Igo, odbył się dnia 28 Listopada 1858 r. Pogrzeb był pełen przepychu, towarzyszył mu namiestnik, jazda rosyjska i sześć dział.

Śmierć ta, ostatniego ze świetnej trójgwiazdy konstelacji poetycznej na niebie romantyki polskiej, oraz to nabożeństwo, natchnęło zapewne akademików, czyhających, że tak powiemy na sposobność zrobienia próby, myślą odprawienia nabożeństwa żałobnego za duszę Adama Juliusza i Zygmunta, tj. Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Te trzy imiona, łączące ze sobą tyle drogich i patriotycznych wspomnień dla ówczesnego pokolenia, będą, mówiono sobie, najlepszą sondą dla przekonania się o usposobieniu ogółu. Nabożeństwo zamówili w kościele ks. Pijarów, gdzie Kurzyna miał swe stosunki, „krewni, bliźsi i dalsi znajomi”, jak powiedziano księdzu, na dzień 18 Marca 1859 r. Nie robiono żadnych ogłoszeń, rozpowszechniono tylko drogą ustną i piśmienną wieść o tem po mieście całem.

Oczywiście gdy wszyscy o tem mówili, wybierając się na ów obchód, dowiedziała się o nim i policya także i doniosła Muchanowowi, jako kuratorowi okręgu naukowego, że studenci akademii urządzają jakieś mocno podejrzone nabożeństwo. Muchanow natychmiast odniósł się do rektora akademii, Cytucyryna, żeby zbadał co to takiego i kto z pomiędzy studentów najwięcej się tem zajmuje. Cytucyrin zarządził śledztwo i doniósł, że studenci nazywają to nabożeństwem za spokój duszy Adama, Juliusza i Zygmunta, głównymi zaś kierownikami i inicjatorami całej tej sprawy są: Jan Kurzyna i Władysław Jaśniewski.

Tymczasem nadszedł dzień 18 Marca i do kościoła Pijarów na ulicy Świętojańskiej zeszły się tłumy młodzieży i wszelkiego rodzaju osób. Ołtarz pokryto kirem, na środku świątyni wystawiono skromny katafalk czarny. Ledwie atoli zapalono świece przed ołtarzem, gdy nagle służba kościelna zabrała się do sprzątania katafalka i kiru z ołtarza. Między zebraną publicznością zdziwienie było niezmierne, niezadowolenie jeszcze większe gdy się dowiedziano, że policya zabroniła odprawienia nabożeństwa. Przeszło godzinę jeszcze pozostali wszyscy w kościele, jakby w oczekiwaniu czegoś; w końcu poczęto się rozchodzić z oznakami wyraźnego oburzenia na rząd i policją. Oburzenie to wypowiedział zaraz potem „Czas” krakowski w korespondencji z Warszawy. „Opisaliśmy fakt, odzywa się korespondent, aby wiedziała o nim cała Polska, aby wieść o nim doszła do uszu potężnego Monarchy, pod którego rządem odradza się Rosya, aby dowiedział się, jak służy jego u nas nie pojmując myśli jego rządu, jakich dopuszczają się nadużyć. Albowiem pewni jesteśmy, że potężny i szlachetny monarcha, Aleksander II-gi, który pozwolił zabronione poprzednio pisma Mickiewicza drukować, którego poezye sam przed laty z zapałem odczytywał, skarci jak należy takie postępowanie swych urzędników” itd.

Bądź co bądź, jakkolwiek, zamierzona przez czerwieńców akademickich manifestaeya nie udała się w tej formie, w jakiej chciano, żeby się odbyła, to

wszelako przekonano się, że społeczeństwo warszawskie nie jest martwym, że żywi gorące uczucia patriotyczne, że gotowe jest podać rękę i wziąć czynny i tłumny udział we wszelkich objawach ruchu. O to głównie szło czerwieńcom, i z próby swej byli najzupełniej zadowoleni. Jankowski wołał, że policja może sobie przeszkadzać manifestacyom jak jej się żywnie podoba, kraj jest gotów do wzięcia w nich udziału, a co za tem idzie i do powstania. Głupstwem zatem, zbrodnią przeciw ojczyźnie, jej zdradą jest wszelka temporyzacja, odkładanie do dalszych czasów powstania. Trzeba teraz żywo wziąć się do roboty i rozpocząć przygotowania na wszystkich polach do walki zbrojnej o niepodległość. Słowa te nie padały na grunt opoczysty. W młodych fantazyach, źle wychowanych politycznie na utworach poezji romantycznej i chorobliwej literaturze emigracyjnej, śniły się już trójbarwiste chorągiewki, czerwone krakuski i orły białe zawieszane na wieżycach Kremla...

Z drugiej strony nabożeństwo to przekonało Muchanowa, że w łonie młodzieży akademickiej, coś się tworzy niebezpiecznego dla rządu. Zawsze podejrzliwy, niechętny akademii, jako znacznemu zbiorowisku młodzieży, znajdował teraz niejako potwierdzenie swych słów, że „jeżeli uniwersytet zostanie założony w Warszawie, trzeba zbudować drugą cytadelę”, i postanowił energicznie wziąć się do wytępienia w akademii żywiołów rewolucyjnych. Nie chcąc jednak w tym celu używać środków gwałtownych, wpadł na pomysł pełen istotnie greckiej perfidy. Nakazał mianowicie władzom akademickim, ażeby przyspieszyły egzamina podlekarskie, tj. żeby je zarządziły przy przejściu z kursu drugiego na trzeci oraz żeby je utrudniły dla wszystkich studentów podejrzanych, którzy tym sposobem będą musieli sami przez się opuścić akademią i „oczyścić” ją z żywiołów niepotrzebnych.

Nadzwyczajny ten środek dał poznać Kurzynie i jego kółku całemu, że tu nie idzie o egzamina, ale wprost o to, by z akademii usunąć umysły gorętsze. Widząc niebezpieczeństwo grożące nie tyle im samym, ile sprawie, którą reprezentowali, zebrali się akademicy bardzo licznie w Czerwcu 1859 r. w mieszkaniu Kurzyny na ulicy Jezuickiej, i uchwalili po długich i żwawych rozprawach wysłać najprzód deputacją do rektora Cycuryna z żądaniem odwołania rozporządzenia co do egzaminów, w razie zaś odmowy podać się gremialnie o uwolnienie z akademii. Uchwała ta a raczej postanowienie wkrótce stało się głośnem w mieście, zwłaszcza, że Kurzyna działał tu w porozumieniu ze związkiem Jankowskiego, dla którego tego rodzaju tłumne wystąpienie akademików przedstawiało się jako bardzo poważna manifestacja polityczna. Opinia przytem całego miasta, kobiet i młodzieży stanowczo pochwałała zamiar akademików. Zato Jurgens i stronnictwo Millenerów przerażono się tym krokiem, narażającym w ogólności sprawę krajową a nie przynoszącym żadnej

widocznej korzyści. Dlatego też starał się wszelkimi siłami zapobiedz postanowieniu młodzieży, zapraszał do siebie studentów, tłumaczył im, że to do niczego nie doprowadzi, że opuszczeniem akademii nie zbawią ojczyzny a przerwą swe studia wtedy, kiedy kraj choruje na brak ludzi wykształceńszych; że rezultatem ostatecznym ich wystąpienia będzie zamknięcie przez rząd akademii i zatamowanie jedyne go źródła naukowego w kraju. Jakkolwiek argumentami swymi każdego potrafił Jurgens przekonać, że zamiar jest niedojrzały i nosi charakter swawoli dziecinnej, przecież oprócz bardzo małej grupy, jakichś kilku akademików, którzy odmówili udziału w zamysłanej manifestacji, reszta tj. prawie cała szkoła nie chciała go słuchać, nie dlatego, by nie miał racji, ale dlatego, że związali się słowem, że się bali jeden drugiego, że Kurzyna i jego poplecznicy wywierali na ogół studentów pewien terroryzm moralny. Jakoż, pomimo zabiegów Jurgensa i Millenerów, postanowienie swoje wykonali. Gdy deputacya wysłana do Cycuryna, jak przewidywać należało, nie nie wskórała, Kurzyna zwołał ogólne zgromadzenie kolegów na pola Grochowskie, niejako na miejsce uświęcone, po którym ślaniały się jeszcze cienie poległych bohaterów polskich. Chciał przez to może nadać więcej uroczystości, więcej wagi decyzji, jaką by tu powzięto. Dlatego, by policya nie przeszkodziła tak licznemu zebraniu, akademicy udawali się do Grochowa po dwóch lub trzech, różnemi drogami, niosąc ze sobą puszki do herboryzacji, by tym pretekstem pokryć tłumną wycieczkę. W puszkach tych atoli niesiono papier i pióra i tam, w pobliżu nieśmiertelnej Olszynki, zredagowano podanie o uwolnienie z akademii, które zaraz większość na miejscu podpisała. Nazajutrz podania te, w liczbie przeszło dwustu, złożono władzom akademickim. Mała tylko grupa, jakichś kilku studentów, nie wzięła udziału w tym kroku, to też później, choć rzecz cała się załagodziła, koledzy uważali ich za „parszywe owce”, nie żyli z nimi, nie znali ich i nie podawali im ręki. Wrażenie tego postąpienia młodzieży akademickiej w mieście było ogromne. Większość, usposobiona czerwono, chwaliła akademików, kobiety zachwyciły się ich śmiałością, nazwisko Kurzyny było na wszystkich ustach. Gazety zagraniczne, zwłaszcza niemieckie, rozgłosiły ten fakt, traktując go jako zaburzenie polityczne o bardzo poważnej doniosłości. Rzecz tymczasem, w skutek zabiegów władz akademickich i profesorów, skończyła się na tem, że młodzież cofnęła swe podania, oprócz kilkunastu zawziętych czy wytrwalszych. którzy akademią porzucili i udali się na uniwersytety do Moskwy. Kijowa lub Petersburga, niosąc ze sobą wszędzie zarzewia rewolucyi i przyrzekając zachowywanie stosunków z Warszawą.

Przeprowadzone jednak śledztwo urzędowe wykryło, że głównym promotorem całej sprawy był Kurzyna. Jaśniewski i siedmiu jeszcze innych.

Tych wydalono z akademii, a prócz tego Kurzyna i Jaśniewski, z rozkazu namiestnika, zostali wysłani z Warszawy, pierwszy do Opola, a drugi do Płocka, i zabroniono im przyjazdu do stolicy. Kurzyna atoli z Opola się wymknął, ukrył się w Warszawie, w mieszkaniu Asnyka, głośnego później poety, na Solcu, z kąd codzień przebrany, w niebieskich okularach, zjawiał się w mieście i uczestniczył w rozmaitych naradach u Jankowskiego i agitował dalej. Gdy jednak policja wpadła na jogo trop, koledzy zaopatrzyli go w fundusze i uciekł do Lwowa, a ztąd do Paryża, gdzie miał, według polecenia koła, zapoznać się z Mierosławskim i starać się wciągnąć go w bezpośredni stosunek z agitacją warszawską. Kurzyna zadość temu uczynił i został nawet sekretarzem Mierosławskiego, znikając tym sposobem na jakiś czas z widowni krajowej.

Sprawa akademicka skończyła się, rzec można, na niczem, ale mogła być ona ostrzeżeniem dla rządu, gdyby ten rząd miał oczy i dobrą wolę oszczędzenia krajowi niepotrzebnych i zgubnych klęsk. Załatwiwszy się z akademikami, złożono całą rzecz do akt, nie wejrzano w przyczyny tego kroku młodzieży, nie wyszukano jego źródeł. Gorczakowowi i jego urzędnikom zdawało się, że z uwolnieniem z akademii kilku studentów, z wysłaniem z miasta Kurzyna i Jaśniewskiego, przecięli raz na zawsze korzenie ruchu i poczęli po dawnemu drzemać na swych krzesłach kurulnych w starym, Zygmuntowskim Zamku warszawskim. Tymczasem kraj stał już, że użyjemy spowszedniałego wyrażenia, na wulkanie. Pod ziemią, w głębi ciała narodowego, zbierały się już siły, rozżarzały ogień, które wkrótce miały wywołać szalony, wszystko niszczący ruch. Ludzie rozumni, trzeźwi, szczerze a głównie mądrze miłujący kraj, widzieli już wtedy na co się zanoszą, ale czy to przez słabość charakteru, czy przez obawę niezaskodzenia interesom kraju, o których nikt wtedy nie miał jasnego pojęcia, milczeli i usuwali się na bok i pozwalali młodzieży działać. Młodzież ta, przez właściwą wiekowi swemu energią i zuchwałstwo, nie zważała na uwagi lękliwe starszych, właśnie dla tego nie wpływające na nią, że lękliwe i szła dalej, spiskowała i kopała grób ojczyźnie. Pod tym względem znajdowała poparcie w kobietach, zawsze niezmiernie wpływowych w Polsce, a teraz może więcej niż kiedykolwiek. Patryotyzm gorący, czerwony, spiskujący i manifestujący się, stał się modnym po tych licznych salonach i salonikach, w jakie obfitowała ówczesna Warszawa i w jakich królowały słynne ze swych wdzięków i swej inteligencji Warszawianki. Pod ich wpływem młodzież zawsze gorąca i nieopatrna, stawiała się jeszcze gorętszą i nieopatrniejszą i nieraz, przez chęć uchodzenia w oczach kobiet za bohaterów, dla zyskania ich pochwały, uśmiechu lub słodkiej obietnicy, rzucała się na oślep w wir, który nie tylko ich samych miał porwać i pogrążyć w przepaść ale i cały, niestety! kraj.

Z drugiej strony rząd rosyjski w Królestwie, ze swym naczelnikiem starym, chorym, chwiejnym, roztargnionym i leniwym Górczakowem, choć widział niebezpieczeństwo, choć sam namiestnik miał jakby przeczucie strasznych późniejszych scen i mówił o strzelaniu kartaczami w Warszawie, jednakże nic nie robił, by temu zapobiedz, by złe w zawiązkach zniszczyć, by na koniec zainicywowaniem dobrze obmyślanych reform, odjąć powód do zaburzeń.

Na nieszczęście Polski w tym właśnie czasie, gdy umysły w niej wrzały, gdy kwestya chłopska, sprawa żydowska, nieureczywistniające się nadzieje, jakie pokładano na młodym cesarzu rosyjskim, zaogniały rany i stan choroby chronicznej zamieniały w zapalny, na zewnątrz kraju, wypadki w Europie zaczęły przybierać taką postać, że najszaleńsze nadzieje polskie zdawały się być nietylko usprawiedliwionemi, ale blizkiemi ureczywistnienia. Wszystko więc złożyło się na to, i rzeczy i ludzie, by nieszczęśliwą Polskę pchnąć na drogę Dantejską, na piekielny gościniec zatracenia.

Przypatrzmyż się teraz poszczegóło tym wypadkom i rozwojowi tej gorączki okropnej, jaka od kilku lat owładała powoli Polską, by wkrótce zamienić się w nieustający paroksyzm, niszczący żywotność kraju i jego przyszłość. Zobaczymy jak z małej chmury, kryjącej się dotąd gdzieś w głębi przestrzeni, poczyną się zrywać burza pełna gromów i błyskawic. Tak w Alpejskich górach, drobna bryłka śniegu staczając się po pochyłości, rośnie coraz bardziej, by w końcu runąć potężną lawiną i zdruzgotać wszystko i ludzi i zwierzęta i pola i lasy.

ROZDZIAŁ IV

Pierwsze manifestacje

Towarzystwo rolnicze i domy zleceń. Rząd dozwala Towarzystwu zastanawiać się nad oczynszowaniem włościan. Projekt Wielopolskiego odrzucony przez Komitet Towarzystwa. Mowa Zamoyckiego przy otwarciu posiedzeń Towarzystwa. Agitacja przeciw Towarzystwu i reskrypt Muchanowa. Interpelacja Niegolewskiego w sejmie pruskim. Wojna włoska i jej wpływ na umysły. Podróż cesarza na Ukrainę i Podole. Stan kwestyi włościańskiej tamże. Adres szlachty podolskiej i jego los. Cesarz w Warszawie. Karol Majewski. Usiłowania Jankowskiego zlać wszystkie koła w jedno. Pierwszy Komitet p.w. „Kapituły warszawskiej”. Aresztowanie Jankowskiego. Ruch młodzieży w Krakowie, Pogrzeb jenerałowej Sowińskiej. Manifestacja, z tego powodu. Śledztwo i rezultaty tej manifestacji. Agitacja rewolucyjna. Zjazd w Warszawie trzech monarchów. Odezwa Komitetu. Cesarz w Wilnie. Przyjazd do Warszawy i asafedyta w teatrze. Wykradzenie Austryjacom papierów na kolei. Polewanie sukien kwasem siarczanym. Afisze teatralne. Rozpadnięcie się komitetu. Przybycie Godlewskiego do Warszawy. Nominacja Trępowa na oberpolicmajstra. Manifestacja d. 29 Listopada przed kościołem Karmelitów na Lesznie. Nabożeństwo u Bernardynów. Stan umysłów w mieście. Hr. Kossakowski w teatrze. Żądania Czerwonnych. Ogólny rzut oka na przebieg pięcioletnich wypadków. Zakończenie.

Wśród tej agitacji podziemnej, której obraz co chwila zmieniający się, opisaliśmy powyżej, Towarzystwo rolnicze, kierowane zręczną i wytrawną dłońią Klemensowczyków, coraz poważniejsze zajmowało stanowisko w kraju, ogarniało wszystkie jego organa i powoli na zewnątrz przedstawiało się jako istotna reprezentacja krajowa i jako siła, z którą liczyć się należy. Pominąwszy już zakres czysto rolniczych zajęć, Towarzystwo, jakśmy to wspomnieli, zakładało szkoły wiejskie, po miastach ochronki, przez co liczyło na to, że uda mu się zyskać znaczny wpływ na chłopów i mieszczaństwo uboższe, i starało się wszelkimi siłami podnieść kredyt rolniczy i w ogóle stan materialny kraju. Z jego to inicjatywy w r. 1859 powstał pierwszy tak zwany „Dom zleceń rolników płockich”, założony na akcyach przez szlachtę płocką, który, chcąc wydobyć handel zbożem i produktami rolniczymi z rąk drobnych przekupniów i pośredników żydowskich, brał od ziemian zboże, dawał na nie zaliczki i sam trudnił się jego sprzedażą. W tej porze właśnie liczono bardzo wiele na takie domy zleceń, złożone ze samej szlachty i najświetniejsze na

nich budowano nadzieje. Marzono, że z czasem staną się bankami rolniczymi. Wkrótce za przykładem Płocczan poszły inne prowincje kraju, i w ciągu 1860 r. powstały takie stowarzyszenia w Lubelskiem, w Kieleckiem, Kaliskiem, Augustowskiem, Siedleckiem i na Kujawach (we Włocławku). W ogólności jednak domy te, kierowane przez ludzi niefachowych, ciężkie w swych operacjach, mało rzutne, nie przyniosły stowarzyszonym tych korzyści, na jakie rachowali, a gdy potem przyszły smutne wypadki krajowe, domy te po kilkuletniej kulawej egzystencji musiały się zlikwidować. Wszelako teraz stanowią one jeden z motorów ożywienia powszechnego, świadczą o tym ogromnym ruchu umysłów, jaki się objawiał we wszystkich gałęziach życia narodowego. Po szkółkach wiejskich, które zakładano wszędzie i które rosły w liczbę, uczyła dzieci chłopskie młodzież dworska, córki i synowe dziedziców, zakładano wspólne biblioteki, czytano wiele, rozprawiano jeszcze więcej. Zachęcano się, współubiegano w działalności, mającej na celu dobro kraju; modą się stało żyć skromnie i oszczędnie. Podczas Lutowego zebrania Towarzystwa rolniczego w r. 1859, szlachta przybyła do Warszawy, mieściła się po dwóch, po trzech w jednym numerze hotelowym, unikała wydatków, tak, że to zwróciło uwagę „Gazety warszawskiej”, która w słowach pełnych entuzjazmu mówiła o tym całym w Polsce nowym objawie. Reporter gazety ujrzał w bufecie Towarzystwa tylko jedną butelkę portera i dwie butelki wina czerwonego, i o tym fakcie uznał za stosowne ogłosić światu dla wiadomości wszystkich, jak szlachta polska stała się oszczędna i skromna. Na uroczystym obiedzie w hotelu Europejskim, jaki sobie członkowie Towarzystwa co rok wyprawiali, wypito tylko dwie butelki szampana, kiedy dawniej, choćby przed rokiem jeszcze, kosztowne to wino lało się strumieniami. Ten nagły zwrot w usposobieniach ogółu, zbyt nagły, by miał być trwałym, świadczył w każdym razie o podniosłości uczuć ożywiających wszystkich, o szczerzej, gorącej chęci pracowania dla dobra kraju. Literat Agaton Giller, który niedawno za amnestyą wrócił był z Syberji, założył przy pomocy bogatej właścicielki majoratu w Sandomierskiem, pani Petrow, Polki, tanie piśmko ludowe pt. „Czytelnia niedzielna”, które kosztowało tylko jeden złoty polski na miesiąc i stało się wkrótce bardzo popularnem i bardzo wpływowem, zwłaszcza między rzemieślnikami warszawskimi⁶¹.

Działalność Towarzystwa rolniczego, jakkolwiek nie zbyt ściśle kontrolowana przez rząd leniwy, obojętny i lękający się obrażenia w czemkolwiek modnego liberalizmu, nie podobąca się jednak tej grupie generałów, otaczających namiestnika, którzy niechętni byli w ogóle tej instytucji, między którymi

61 Przy „Czytelnii niedzielnej” utworzono kasę pożyczkową dla rzemieślników. Fundusze, powstałe wyłącznie z ofiar dobrowolnych, były bardzo szczupłe, mimo to kasa spełniała jak mogła swe zadanie, wywierając przez to niemały wpływ na sfery rzemieślnicze.

pierwsze miejsce zajmował zły i zgryźliwy Niemiec, Kotzebue. Zwracał on uwagę Górczakowa na tę okoliczność, ale ten znudzony wszystkim, puścił to na teraz mimo uszów. Jakkolwiek Towarzystwo w tym roku uniknęło ze strony władzy napomnień, rzeczy zawsze w rządzie rosyjskim niebezpiecznej, przecież było to już niejako wskazówką, że działalność jego nie podoba się, i że wcześniej czy później przyjdzie do konfliktu, tem groźniejszego, że z jednej strony stała instytucja bezbronna, z drugiej rząd, posiadający władzę absolutną w ręku.

Narzekania i denuncjacje Kotzebuego i jego kliki, że Towarzystwo rolnicze przybiera ton i charakter władzy samoistnej, o tyle były niesłuszne, że sam rząd wkrótce potem nadał Towarzystwu cechę polityczną. W miesiącu Październiku 1859 r. namiestnik Królestwa zawiadomił Andrzeja hr. Zamoyskiego, jako prezesa Towarzystwa, „iż najjaśniejszy pan dozwolił Towarzystwu rolniczemu roztrząsać na swoich posiedzeniach i ogłaszać w wydawanym przez siebie dzienniku, uwagi swoje względem środków, mogących posłużyć do postępu czynszowania włościan na postawionych przez rząd zasadach”.

Był to oczywiście gruby głąb. Ze stowarzyszenia, którego zadaniem było tylko rolnictwo, taka lub inna uprawa zboża, taki lub inny skład nawozu, Towarzystwo z woli rządu zmienia się nagle w rodzaj wielogłowego agrarnego parlamentu, który ma debatować nad kwestyą pierwszorzędną doniosłości politycznej i społecznej, przyjmuje na siebie rolę prawodawcy, a tem samem nabiera cechy ciała politycznego. Radość w łonie komitetu Towarzystwa, w tej sfornej, jednolitej grupie Klemensowczyków, była z tego powodu niezmierna. Wszak było to ich i Zamoyskiego gorąco upragnione marzenie, by Towarzystwo mogło wziąć w swe ręce kwestyą włościańską, by zgromadzenie ich istotnie, faktycznie, przez rozwiązanie najpoważniejszego zagadnienia chwili, stać się mogło przewodnikiem i reprezentacją krajową i by na koniec z nużącego koła rozpraw o jęczmieniu lub poprawie rasy bydła, wejść na szeroką arenę interesów krajowych, do kierowania którymi czuli się Klemensowczy cy uprawnionymi i uzdolnionymi. To, o czem mówili w pogawędkach przyjacielskich, co zresztą uważali za nigdy nie mogące się ziszczyć marzenie, stawało się teraz, nagle, bez ich przyczynienia się, rzeczywistością; sam rząd robi z nich rodzaj sejmu, parlamentu polskiego. W swej słusznej i usprawiedliwionej radości, nie dostrzegali, a jeżeli dostrzegali, to nie zważali na okoliczność, która z czasem mogła i istotnie doprowadziła Towarzystwo do starcia z rządem. Okolicznością tą były rażące sprzeczności w roli, jaką miało odegrać teraz Towarzystwo. Rząd bowiem z właściwą sobie niekonsekwencyą, nie uznawał w Towarzystwie organu, mającego wyrażać potrzeby i pragnienia kraju, a mimo to oddawał mu w ręce rozpatrywanie najżywoźniejszej kwestyi

tego kraju. A przytem w oczach rządu rozpatrywanie to miało mieć charakter pewnego rodzaju ekspertyzy, a zatem, że uchwały i wnioski Towarzystwa w sprawie włościańskiej mogą być przyjęte lub odrzucone, bez wyjaśnienia nawet, dlaczego to się przyjmuje, a tamto odrzuca. Towarzystwo jednym słowem miało się tylko przydać na to, by w swych rozprawach przyczyniło się do rozświetlenia kwestyi, ale nie do jej zdecydowania. Taka, że tak powiemy, krytyka kwestyi, była dla rządu bardzo potrzebną, i mściła się teraz na nim własna jego polityka w Polsce. Gdyby był nie obezwładnił kraju, nie okuł w kajdany, nie zamknął mu ust, gdyby mu był zostawił takie lub inne organa reprezentacyjne, to nie potrzebowałyby się teraz uciekać do Towarzystwa rolniczego, nic wspólnego niemającego z zadaniami natury politycznej, nie musiałyby wchodzić na śliską i niebezpieczną drogę oddawania w ręce licznego zgromadzenia, tak ważnych zagadnień społecznych i politycznych. Ale wobec braku wszelkich, choćby najmniejszych, najciaśniejszych organów, które by mogły rządowi jako tako rozwidnić zawile węzły sprawy włościańskiej, musiał on, chcąc nie chcąc, uciec się do Towarzystwa rolniczego. W Rosyi, na Litwie, miał gotowe ku temu celowi instytucje w korporacjach powiatowych i gubernialnych szlachty; w Królestwie nic podobnego nie było. Sam więc ranił się własną bronią i Towarzystwu rolniczemu nadawał charakter reprezentacji krajowych pragnień, to jest obdarzał je atrybutem, którego mu dać nie powinien i którego się obawiał. Obdarzając jednak tym atrybutem i zastrzegając sobie współcześnie, że wnioski Towarzystwa mają mieć cechę tylko doradczą, mogą być przyjęte lub odrzucone, rozdrażniał przez to ciało liczne, a ztąd czujące się w prawie decydowania w najważniejszej sprawie krajowej. W innych czasach, w czasach paskiewiczowskiej nocy i ucisku, taki warunek byłby wywołał zniechęcenie, obojętność i Towarzystwo byłoby się zajmowało podaną mu kwestyą raczej tylko dla formy, dla zadośćuczynienia woli rządu; ale teraz w chwili powszechnego ożywienia umysłów, gorączki opanowującej kraj, budzącego się poczucia siły, koniecznie urodzić się musiała chęć, by debaty nie zostawały płodem poronionym, by wydały swój owoc, choćby rodzenie tego owocu nie wiem co kosztować miało. W dozwoleniu więc rządowem leżały ziarna poważnego niebezpieczeństwa, które też prędzej, niż przypuszczano, wydać miały plon gorzki i zatruty, tak dla kraju, jak i dla rządu rosyjskiego w Polsce.

Niebezpieczeństwo to nie uszło uwagi Klemensowczyków, pomimo radości, jaka ich ogarnęła, że bez starań, bez zabiegów, bez próśb, samą przewagą moralną otrzymali to, czego pragnęli serdecznie; nie uszło ono uwagi i takiego bystrego, przenikliwego umysłu jak Wielopolski, który teraz, po ostatniej swej przegranej walce z opinią publiczną o zapis Świdzińskiego, siedział

samotny w Chrobrzu i bacznie patrzył na wszystko, co się w kraju dzieje. Widział on, jak stronnictwo czerwonych rozwija energiczną agitację, że z pierwotnego działania podziemnego przystępuje do otwartej walki, której oznaki spostrzegał czy to w nabożeństwie za trzech poetów, czy w sprawie akademickiej; widział, że stronnictwo to stanowczo dąży do powstania zbrojnego; że ogół kraju, zniechęcony, zawiedziony w swych nadziejach, chętnie daje posłuch podszeptom czerwieńców, które Bóg wie, gdzie go mogą zaprowadzić; że na koniec charakter polityczny, jaki rząd przez dziwną niekonsekwencją nadał Towarzystwu, musi popchnąć to ostatnie do działalności na pół rewolucyjnej, sądził, że czas już wielki położyć tamę tej zgubnej akcji przez wystąpienie lojalne do cesarza, przez wyjednanie od rządu ustępstw, które by zadowolili większość krajową, a tem samem obezwładniły działalność rewolucyjną. Jeżeli z drugiej strony dotąd nie było żadnej drogi, żadnego legalnego organu, którym by dostać się mogły do tronu pragnienia lub żądania kraju, to teraz zdawało się Wielopolskiemu, taki organ znalazł się w Towarzystwie już przez to samo, że rząd, wzywając je do działania w sprawie włościańskiej, uznał je niejako za reprezentacją krajową. Towarzystwo więc, korzystając z tej szczęśliwej okoliczności, o tyle rozumie się szczęśliwej, o ile by ją umiejętnie wyzyskać potrafiło, powinno było wystąpić z domaganiem się koniecznych i niezbędnych reform. Reformy te, według Wielopolskiego, na teraz przynajmniej, miały się ograniczyć na wprowadzenie w życie Statutu organicznego z r. 1832; żądając zresztą tego, nie wychodziło się wcale z granic możliwości, z granic lojalności; nie zaczepiało się strony politycznej kwestyi polskiej, załatwiała się całą sprawę w domu, między swoimi. Myśl bez zaprzeczenia była rozumna, chwila dobrze wybrana, możność urzeczywistnienia pomysłu bardzo prawdopodobna, gdyby los był Polsce dał głowy rozumne, umysły trzeźwe i chłodne, serca przepelnione poczuciem istotnego dobra kraju. Ale mówić wtedy o rozumnym, logicznem działaniu, było to według przypowieści biblijnej, wołać na puszczy. W powietrzu czuć było oddech gorący rewolucyi i wszystkie głowy pijane były od tego oddechu i przeznaczeniem fatalnem Polski było wysączenie kielicha goryczy do dna, do mętów samych...

W myśl swego projektu, Wielopolski za pośrednictwem młodszego syna Józefa, i w jego imieniu, wniósł w Lutym 1860 r. na pierwsze Towarzystwa posiedzenie, na którym miała być roztrząsana sprawa czynszowa, propozycją, aby wychodząc ze słów monarchy, wypowiedzianych w r. 1856 w Warszawie, o zachowaniu instytucji nadanych przez cesarza Mikołaja, Towarzystwo wydało rezolucyą następującą: „ogólne zebranie Towarzystwa rolniczego, uznając się niekompetentnem do rozstrzygnięcia kwestyi włościańskiej, zobowiązuje wybraną z łona swego komisją specjalną do zredagowania projektu ad-

resu o tem do cesarza. Adres ten winien wyrażać wdzięczność za zaufanie, jakie Towarzystwu okazaniem zostało i prośbę o powierzenie reformy włościańskiej stanom prowincjonalnym, ustanowionym przez Statut organiczny 1832 roku”.

Według ustawy wszelkie wnioski, mające być przedstawionymi ogólnemu zebraniu Towarzystwa, winny być wprzód rozpatrzone przez komitet, złożony, jak wiadomo, z Klemensowczyków, ze stronników pracy organicznej. Gdy więc przyszedł pod ich obrady projekt Wielopolskiego, został ogromną większością odrzucony i wskutek tego nie był nawet wniesiony na posiedzenie ogólne i przepadł stanowczo. Na ten smutny wynik składały się rozmaite przyczyny. Pierwszą z nich była ta, że Klemensowczycy, zgodnie z zasadą swoją, nie chcieli o nic prosić i niczego żądać, a projekt Wielopolskiego był prośbą i żądaniem, i to żądaniem niezmiernie małym, cząstką nic nie znaczącą tego, do czego Polacy mieli prawo; był na koniec zrzeczeniem się niejako tego prawa za miskę soczewicy. Rząd mógł w danej chwili powiedzieć, że wszystko już dał Polakom, co mógł dać i tym sposobem zamknąć usta Europie, która wcześniej czy później, takie przekonanie żywili wszyscy, upomni się o pogwałcone na Polsce traktaty. Otóż, twierdzili Klemensowczycy, byłoby błędem, nie rozumem, dawanie rządowi możliwości do zamknięcia ust Europie. A przytem czasy już były inne, gorące, i nikt już dziś nie zadowoliliby się Statutem organicznym, jeżeliby ten statut nie ogarnął Litwy, Podola, Wołynia i Ukrainy. W takim tylko razie kompromis byłby możebny; a że przypuszczać nawet nie należy, by rząd rosyjski zgodził się na takie ustępstwo, więc lepiej niech rzeczy pozostaną tak jak są, niech rany się ropią, rozdrażnienie wzrasta, przepaść między rządzonymi i rządzącymi się rozszerza. Kraj cały poczyna się burzyć, wichry coraz większe po nim się unoszą, jak na morzu, gdy po długiej sennej ciszy huragan zawieje i spiętrzy drzemiące dotąd fale. Jakkolwiek Klemensowczycy nie chcieli powstania, nie chcieli otwartej walki, w której wiedzieli, że Polska zostałaby bezwarunkowo pokonaną, jednakże przeciwni byli powstrzymaniu i tamowaniu objawiającego się ruchu rewolucyjnego, który według nich mógł z jednej strony zwrócić uwagę Europy na Polskę, z drugiej zmusić rząd do ustępstw. Przekonani zresztą byli, że każdej chwili, gdy to uznają za potrzebne, ruch ten zdołają powstrzymać, wypuszczonego z łańcuchów tygrysa na nowo zakuć w kajdany. Fatalne i zgubne złudzenie, które kraj miał okupić potokami krwi i długą niewolą!

Wprawdzie w komitecie byli i tacy, którzy popierali wniosek Wielopolskiego, jak jego szwagier Tomasz hr. Potocki, człowiek bardzo rozumny, trzeźwy i wpływowy, otoczony urokiem, jaki nosili na sobie wszyscy ci, którzy w 1831 r. walczyli, adjutant naczelnego wodza, ciężko raniony pod

Długosiodłem, postać marsowa, typ polskiego szlachcica, żywo zajmujący się kwestią włościańską, piszący nawet bardzo poważne w tej materii dzieła pod pseudonimem Krzyżtopora. Popierali ten wniosek i inni, ale że byli w znacznej mniejszości, upadli. Do upadku tego bez wątpienia dużo przyczyniła się niechęć do Wielopolskiego, zła jego opinia, podejrzliwość, że jest „duchem moskiewskim”, jak to wtedy mówiono. Przytem komitet nie wierząc stanowczo w powodzenie tego projektu, lękał się, by podanie adresu nie wywołało jakiego niebezpieczeństwa, jeżeli już nie dla istnienia samego Towarzystwa, to przynajmniej pod tym względem, że rząd może cofnąć dane mu pozwolenie do roztrząsania kwestyi włościańskiej. A tego przywileju Towarzystwo za nie nie chciało utracić, gdyż taka utrata cofała je do nic nie znaczącej i nudnej roli zgromadzenia, mającego jedynie prawo myśleć o drenowaniu łąk lub uprawie roślin pastewnych.

Podczas gdy Wielopolski po nowem swem niepowodzeniu umilkł, zagrzebał się w swym Chrobrzu, czekając z utęsknieniem na wypadki, które przeczuwał, że niedługo nadejdą i jego wywiodą na wielką widownię historyczną, Towarzystwo rozpoczęło swe zwykłe doroczne, Lutowe posiedzenie. Zjazd był bardzo liczny i w dniu 3 Lutego 1860 roku, w dniu otwarcia posiedzeń, Andrzej hr. Zamoyski powitał zgromadzonych mową, w której przedstawił całą ważność zadania, jakie rząd włożył na Towarzystwo. „Główne zasady oczynszowania, mówił, prawo postanowiło; umowy wszakże na dobrowolnej ugodzie wzajemnej chce mieć oparte. A że w tej stanowczej chwili obowiązkiem jest dać włościanom dowód naszej o ich byt przyszły troskliwości, boć to dzieci tej ziemi, które na świat szeroki wyprowadzić mamy, sumienie nakazuje nie tylko dobrą i doświadczoną wspierać ich zawsze radą, ale przy zawieraniu z nimi układów naprowadzić ich na taką drogę, po której postępując bezpiecznie z czasem dojdą do zapewnienia sobie moralnych i materyalnych nowego położenia korzyści”. Rozwinąwszy następnie myśl swoją o sposobie prowadzenia rozpraw i wspomniawszy, że stosunek czynszowy nie był u nas nowością, bo jeszcze w końcu przeszłego wieku znakomici właściciele ziemscy zaczęli go w dobrach swoich wprowadzać, a obecnie już $\frac{1}{3}$ część włościan w dobrach prywatnych z układów czynszowych korzysta, zakończył temi słowy: „Nie mamy więc, panowie, przed sobą kwestyi nowej i mało znanej; jestem przekonany, że dojrzałość sądu i spokojna rozwaga cechować będą nasze w tym przedmiocie rozprawy, bo przymioty te były od początku zawiązania Towarzystwa rolniczego naszą zasługą i chlubą. W tych obradach nad przedmiotem osobiście każdego z nas obchodzącym, damy nowy dowód, że dalecy od jednostronnego nań zapatrywania się, a przejęci miłością kraju, poszanowaniem dla naszych tradycyi i uczuciem wrodzonej nam prawości, jesteśmy

zawsze ludźmi dobrej woli, którzy ważne społeczne zadania ze stanowiska ogólnego dobra i ścisłej słuszności oceniać umieją”.

Na tem posiedzeniu jednak nie przyszło do zasadniczej, że tak powiemy, uchwały w sprawie oczynszowania. Mówiono bardzo wiele i bardzo dobrze; wniosek komitetu, że Towarzystwo przemianę czynszowników na właścicieli uznało za ostateczne, jedynie pożądane rozwiązanie kwestyi włościańskiej, został przez ogólne zgromadzenie jednomyślnie przyjęty, ale ponieważ Muchanow nie pozwolił tej uchwały wydrukować, więc odłożono całą sprawę do sesyi w następnym, 1861 roku, na której miało się okazać, jak ogół szlachty polskiej zapatruje się na kwestyą włościańską. Rozszerzenie atrybucyi Towarzystwa, przemienienie go w pewien rodzaj konwentu narodowego, nie podobało się nadzwyczajnie tej klicy jenerałów rosyjskich, o której już mówiliśmy, i na której czele stał Kotzebue. Zawsze nieprzyjaźni Towarzystwu i wróżący jak najgorsze skutki z tych zjazdów peryodycznych i tej potężnej organizacji, jaką komitet rozwinął, nie mogąc nic przeciw woli cesarskiej, pozwalającej Towarzystwu wziąć w krąg swej działalności i sprawę włościańską, starali mu się szkodzić na innem polu. Po temu znaleźli mnóstwo sposobności. Ponieważ ustawa nie mówiła o tych licznych komitetach, delegacyach, tłumnych zebraniach na rozmaite konkursy i próby rolne, jakie odbywały się z inicjatywy Towarzystwa, przeciwnicy potrafili podburzyć drzemiącego Gorczakowa, który polecił Muchanowowi wydać odpowiednie rozporządzenie do prezesa Towarzystwa. Jakoż Muchanow dnia 24 Maja 1860 r. wygotował takie rozporządzenie, które czyniąc Towarzystwu zarzut, że od ustawy swej odstąpiło, zabraniało wszelkiego podziału w zarządzie, delegacyi okręgowych lub wydziałowych i wszelkich komitetów; zaznaczało, że członkowie Towarzystwa tylko na zebraniach ogólnych mogą działać wspólnie; polecało, by nagrody, które Towarzystwo ze swych funduszów wyznacza, jeżeli nie są rozdane na posiedzeniu walnem, były doręczane komu należy tylko przez gubernatorów; zabraniało na koniec konkursów, wystaw okręgowych, prób orki itp., na które zwykle szlachta tłumnie się zjeżdżała i na których zbierała także włościan. Zjazdy te po części miały zły skutek, gdyż szlachta tłumaczyła na nich chłopom, że panowie już się ich losem zajęli, że „będzie lepiej”. To „lepiej”, chłopci uważali za zniesienie pańszczyzny oraz że dostaną większe działki ziemi, a co najważniejsza, że gorączkowało umysły ludu i tym sposobem podnosiło jeszcze bardziej i tak już wysoką temperaturę ciała narodowego.

Bądź co bądź reskrypt Muchanowa był dla Towarzystwa ciosem bardzo poważnym już przez to samo, że pozbawiał je tej szerszej, praktycznej, widocznej dla wszystkich działalności, która nie mając w sobie cechy politycz-

nej, wywoływała jednak wzajemny wpływ moralny między stowarzyszonymi, i ożywienie, jakie różne zjazdy i delegacje budzić koniecznie musiały. To też gdy reskrypt doszedł do wiadomości wszystkich członków, spowodował on głębokie oburzenie i zniechęcenie. W pierwszej chwili w doraźnym i tak łatwo wzbierającym u nas uczuciu, że już wszystko przepadło, że nie warto nic robić, że nie można robić, bo rząd na każdym kroku stawia przeszkody nieprzełamane, że jedna tylko broń protestacyi pozostaje, kilkuset członków zamierzało wystąpić z Towarzystwa, i pole tak ważne, z takim mozołem zdobyte, gromadnie opuścić. Ale Zamoyski, donosząc o reskrypcie Muchanowa, w kilku gorących słowach starał się zachęcić swych współkolegów do wytrwania na stanowisku. „Komitet ufa, pisał, że pojęcie dobra publicznego tak głęboko w umyśle i sercach obywateli kraju naszego zakorzenione, od szkodliwego zobojętnienia ich uchroni i do wytrwania na drodze, w imię Boga i dobra publicznego obranej, zachęci”.

Słowa te uznanego swego przewodnika i kierownika powstrzymały tłumne szeregi opuszczenie, którego rezultat dla samego Towarzystwa byłby opłakany, bo zachwiałyby jego bytem i spowodował upadek, to jest to, czego pragnął Kotzebue i jego klika, a czego w żadnym razie dopuścić nie mogli i nie powinni byli Klemensowczycy. Jakkolwiek więc pod osobistym wpływem Zamoyskiego, Towarzystwo zachowało swą spójność i całość, niemniej przeto cios odczuło ono boleśnie, i w umysłach, dotąd dość życzliwie dla rządu usposobionych, obudził on dawną niechęć, nieufność i niewiarę, nasiona złych i trujących owoców, które niedaleka przyszłość zbierać miała. Wprawdzie wielu, nie przypuszczając, by rząd rosyjski istotnie działał ze złą wolą, szukało przyczyn i źródeł reskryptu majowego gdzieindziej. Dość rozpowszechniona w tym czasie wieść, której chętnie słuchano i chętniej jeszcze wierzone, przypisywała wydanie tego rozporządzenia naleganiom władz pruskich, oskarżających jakoby ciągle Polaków przed Rosyą, że knują spiski i dążą do powstania zbrojnego.

Wieść ta, prawdziwa czy nie, znajdowała potwierdzenie niejako w osobliwszej sprawie, jaka się w tej porze, na rok przeszło przed reskrypcie Muchanowa rozpoczęła w sejmie pruskim w Berlinie i której akt końcowy rozgrywał się właśnie teraz (w Maju 1860 r.). Sprawa ta przedstawiła światu ciekawe i jedyne w swoim rodzaju widowisko, a w Polakach wszystkich zaborów wywołała głębokie oburzenie na „perfidyą krzyżacką” i na wroga naturalnego, za jakiego uważano Prusy.

W dniu 2 Kwietnia 1859 r., członek izby deputowanych w Berlinie, poseł pleszewski, Niegolewski, wystąpił do rządu z interpelacją tej treści: że w końcu Lipca i na początku Sierpnia zeszłego, 1858 roku, rozrzucono w Poznaniu

między niższą, przeważnie rzemieślniczą warstwą ludności, mnóstwo proklamacy, datowanych z Londynu d. 23 Maja 1858 r., wzywających Polaków do powstania przeciw Rosyi i malujących w jaskrawych barwach ucisk, jakiego naród polski w Królestwie kongresowem doznaje od rządu rosyjskiego. Otóż Niegolewski utrzymywał, że proklamacye te nic wspólnego nie miały z Londynem, z kąd jakoby miały pochodzić, ale że drukowane były w Poznaniu, w drukarni niejakiego Deckera i spółki. Zebrał nawet szczegółowe dane, że we wzmiankowanej drukarni poczęto proklamacye owe składać d. 18 Lipca⁶², a na drugi dzień je skończono, że w ogóle odbito ich trzysta egzemplarzy, że drukowano je podług formularza, istotnie w Londynie wydanego. Rozsyłano je potem pocztą do różnych osób, nieraz po pięć lub sześć egzemplarzy.

Charakter pisma na kopertach miał, według Niegolewskiego, wielkie podobieństwo do pisma pewnego urzędnika policyjnego w Poznaniu. Gdy się wieść o tych proklamacyach rozeszła, mówił dalej interpelant, gazety niemieckie podchwyciły ją, ogłosiły, zdobiąc w różne dodatki i nie szczędząc narzekań na niespokojne i ideami rewolucyjnymi przesiąknięte umysły polskie. Zaraz też prezydent policyi w Poznaniu. Bärensprung, rozesał do władz cztery okólniki drukowane, datowane 23 Lipca, mówiące o wzburzeniu umysłów w sąsiednim Królestwie Polskiem, o możebności nagłego tam powstania i polecając wielką bacność i ostrożność. Okólniki te miały charakter poufny⁶³.

62 „Po odejściu wszystkich robotników — opowiada Niegolewski — Zoern (zarządzający drukarnią) wręczył zecerowi Lehmannowi drukowany papier (był to egzemplarz proklamacyi londyńskiej) z wezwaniem, aby wedle niego czcionki tym samym charakterem i w tej samej formie ustawił. Lehmann pracował nad tem aż do godz. 11 wieczorem i ukończył za pozwoleniem Zoerna stawianie czcionek następnego dnia rano, w niedzielę d. 19 Lipca około godz. 7. Za pracę tę otrzymał Lehmann dwa razy tak wielką jak zwykle zapłatę. W poniedziałek rano między 6 a 7 wzięto zecera Gustawa Paszyńskiego do pomocy, aby tenże wspólnie z Lehmannem zajął się korektą. Przytem powiedziano im, że nowy oddruk musi mieć toż samo pismo, też samą ilość wierszy z nie mniejszą i nie większą ilością zgłosek, te same odstępy pomiędzy pojedynczymi wierszami, i że nawet wszystkie błędy w formie i przecinkowaniu zachować należy, ażeby przedruk nawet w najdrobniejszych szczegółach do oryginału był podobnym. Zarazem nie tylko ich do jak najściślejszego milczenia zobowiązano, lecz zamknięto ich także podczas pracy w pokoju, leżącym za tak zwaną salą niemieckich gazet, mającym okna na podwórze wychodzące, oddaliwszy poprzednio robotnika, który tam suszeniem wilgotnego papieru był zajęty. Tego samego dnia powierzono druk preserowi Oskarowi Fischer, który jeszcze w tym samym dniu, również przy drzwiach na klucz zamkniętych, w tymże pokoju 150 egzemplarzy, w ogóle w czterech przestankach około 300 egzemplarzy odcisnął. Wszystkich robotników, których tak do składania jak i do drukowania użyto, zobowiązano powtórnie do milczenia”.

63 W okólnikach rzeczonych Bärensprung między innymi pisał: „zmiany w systemie administracyi sąsiedniego państwa, wywołały tamże we wszystkich warstwach nader żywe

Owóż, w konkluzji Niegolewski żądał od ministra spraw wewnętrznych objaśnienia, co to wszystko znaczy i czy z jego wiedzą zostało zrobione? Interpelacja ta, zawiadamiająca ogół, że policja poznańska ze swym naczelnikiem Bärensprungiem drukuje u siebie rewolucyjne proklamacje polskie, rozrzucuje między ludnością, „zapowiada bliskość powstania wtedy, kiedy Polacy o tem nie myślą nawet, zrobiła nie tylko na sejmujących, ale na cały kraj wrażenie bardzo silne. Sprawa ta wyglądała tak, jakby policja pruska umyślnie, w celach jej tylko wiadomych, prowokowała powstanie, co tem osobliwszy przybierało charakter, że minister pruski Flotwell, na interpelację Niegolewskiego, na razie nie umiał nic odpowiedzieć, tłumacząc się, że musi wprzód zasięgnąć wiadomości. Z tego oczywisty wniosek, że Bärensprung działał bez rozkazu ministeryalnego, na własny, że tak powiemy, rachunek. Dla tego też powszechnie z natężoną ciekawością oczekiwano na odpowiedź ministra.

Ten nie dał na siebie długo czekać. Pokazało się, mówił, że były odezwy londyńskie z datą 23 Maja 1858 r., zatytułowane: „lud polski, związek rewolucyjny w Londynie, do Polaków”, i podpisane: „pozdrowienie i braterstwo. Przełożony związku Popowski, sekretarz H. Abicht”; że Bärensprung istotnie kazał te proklamacje przedrukować w Poznaniu i rozesłał je różnym władzom i podległym sobie urzędnikom, żeby wiedzieli, co się święci i mieli się na baczności; że na koniec osobom prywatnym, a tem mniej klasom rzemieślniczym odezw rzeczonych nie rozdawano. Na te słowa ministra, malujące policją pruską jako niewinnego baranka, ściśle tylko pełniącego swe obowiązki. Niegolewski odrzekł, że proklamacja londyńska jeżeli istnieje, to nie może mieć żadnego znaczenia, bo ogłosiły ją „ladajakie osoby”, nikomu w kraju nieznanie oraz że „zupełnie jest nie do pojęcia, dlaczego proklamacja owa w tym właśnie czasie przeciw cesarzowi rosyjskiemu wystosowaną została, kiedy się tego najmniej spodziewać było można” — „że nie było celem rozpowszechnić ją wszechstronnie, ale tyle tylko, ażeby się o niej cesarz rosyjski dowiedział”. Przedrukowanie jej i rozesłanie do osób prywatnych przez Bärensprunga uważać należy wprost za prowokację. Odbito ją tajemnie, ściśle nakazano naśladować oryginał; u dołu, według obowiązujących przepisów prawnych, nie pomieszczono firmy drukarza, co świadczy, że chciano ukryć jej pochodzenie poznańskie, co wreszcie potwier-

poruszenie umysłów. Mianowicie w dawniejszych prowincjach polskich, nie tylko tam, gdzie ogół ludności jest pochodzenia polskiego, ale i w guberniach odleglejszych, gdzie tylko szlachta ziemię posiadająca do tej należy narodowości, okazuje się widoczne rozdrażnienie, które się we wszystkich kwestjach życia obywatelskiego, mianowicie zaś w tych, które się tyczą kierunku narodowego i polityczno-liberalnego, objawia. Też same dążności objawiają się na polu literackim i dziennikarskim.

dzają okólniki prezydenta policyi. Że rozsyłano ją osobom prywatnym, to nie ulega wątpliwości; otrzymywali ją ludzie różnych sfer, szlachta, księża, urzędnicy, nauczyciele, rzemieślnicy, nawet parobcy i stróże⁶⁴.

Na szczęście wiele osób składało je, zaraz po otrzymaniu, policyi: byli i tacy, co przesyłali je ambasadorowi rosyjskiemu w Berlinie. Policyca ze swej strony po rozesłaniu proklamacyi, ściągała tych, którzy je

64 „Między innymi, mówił Niegolewski, otrzymał nie jedną, lecz kilka takowych, powtarzani kilka, kolega nasz Seweryn hr. Mielżyński. Znany izbie Włodzimierz Wolniewicz otrzymał ich sześć. Z tych pięć zniszczył, a pozostałą mnie wręczył i jest gotów przysięgą stwierdzić, że ich sześć otrzymał, jako też, że egzemplarz, który mam w ręku, jest jednym z sześciu otrzymanych. Dalej otrzymał jedną brat mój, właściciel Włościejewek, Kazimierz Niegolewski. Mam też kopertę, w której mu ją przesłano, jak i sam egzemplarz w mem ręku i gotów jestem każdemu je pokazać. I ja otrzymałem jedną, a to w Dobrojewie, gdzie razem ze mną p. Wolniewicz był w odwiedzinach u matki mej żony, a swej kuzynki, hr. Tekli Kwileckiej. Podczas kiedy byłem zajęty otwieraniem listów odebranych, wskazał p. Wolniewicz na jeden z nich, jeszcze nierozpieczętowany, mówiąc: „z adresu i kształtu zgaduję, jakiej list ten jest treści, zawiera on proklamacyą”. Otworzywszy go, znalazłem w nim tę oto proklamacyą. Kilku księży także podobno ją otrzymało, jak np. ks. Badurski w Opalenicy. Dalej dr. med. Matecki, który po odebraniu zapytał pewnego urzędnika, co by to znaczyć mogło; ten mu zaś dał radę, iż najlepiej zrobi, jeżeli list ten odeśle. Napisawszy wskutek tego na kopercie te słowa: „takich głupstw nie przyjmuję”, zwrócił list ów pocztie. Kalkulator Wilden także odebraną proklamacyą zwrócił przez woźnego Taranczewskiego, radcy policyjnemu Niederstetterowi z uwagą, że takich rzeczy nie przyjmuje, że radca policyjny może ją sobie zatrzymać. Dalej kancelista Słupecki, który pierwotnie miał zamiar z odpowiednim dopiskiem swój egzemplarz odesłać na powrót, lecz potem tego nie uczynił. Z pomiędzy kupców, którzy takowe odebrali, wymieniam z zamiejscowych Kollata z Miłosławia, a z miejscowych Remusa w Poznaniu, który dla słabego wzroku subjektowi swemu dał ją do przeczytania i zaraz potem ją w ogień wrzucił. Szytcharz Dmochowski oddał swój egzemplarz p. Niederstetterowi, czyniąc mu uwagę, iż dziwną jest rzeczą, że proklamacya ta z Poznania wysłaną została. Nawet, panowie, przysłano ją nauczycielowi Przyborowskiemu (Józefowi) człowiekowi, który najwyższego używając szacunku, tylko dla nauki żyje, i któremu najmniej można zrobić zarzut, ażeby hołdował wyobrażeniom niesfornym, zwłaszcza, że wcale a wcale w sprawy polityczne się nie miesza. Nie żywi on nienawiści przeciw Niemcom, jak to okólnik p. Bärensprunga o Polakach utrzymuje, z Niemką się ożenił, która słowa nie umie po polsku i w szczęśliwym żyje z nią małżeństwie; żona jego łązy tylko łać by mogła, ubolewając nie nad rodakami męża, lecz nad swoimi. Takiemu to człowiekowi, także przesłano proklamacyą. Czyż tu nie ciśnie się gwałtem przypuszczenie, że to dlatego tylko nastąpiło, aby w jakikolwiek sposób dokuczyć człowiekowi, który wydaniem autora polskiego z XVI wieku zdobył sobie imię uczonego, a to wszystko dla tego, że człowiek spokojny, pracowity i naukowo wykształcony władzom poznańskim nie jest miłym? Dalej otrzymali proklamacye: komisyonerzy Skrzycki, Andrzejewski i Kutzner; bonitor (sic) Mędrzecki, cieśla Gabryelski, restaurator Adamski, piekarze Czapiński i Walenty Jankowski, mosiężnik Plewkiewicz, złotnik Czarnecki, szewc Włościborski, siodlarz Jakubowski, młynarz Essmann, szynkarz Broniewski i na koniec stróż domu Antoni Sieradzki”.

otrzymali i badała, z kąd je wzięli. Znaczną ich ilość posłano także do Królestwa Polskiego; 20 egzemplarzy otrzymał naczelnik policji w Warszawie, margrabia Paulucci. „Szczęściem, mówił Niegolewski, policja warszawska znajduje się chwilowo w pewniejszym ręku. Jak wiadomo, margrabia Paulucci nie wierzy pierwszej lepszej denuncyacji”. Bądź co bądź okólniki Bärensprunga wychodziły z niezwykle pośpiechem, właśnie w chwili, gdy cesarz Aleksander bawił w Warszawie. Z całej tej mętnej sprawy ogół polski nabył przekonania, że policja pruska starała się wywołać jakiś ruch w kraju, w celach jej tylko wiadomych. Przypuszczać należy, że nie podobały jej się stosunki przyjazne, jakie w tej porze zawiązywały się między Królestwem Polskiem i rządem rosyjskim; nie chciała dopuścić do możliwości kompromisu między dwoma wrogimi dotąd sobie narodami, który by jak jednej, tak i drugiej stronie dał wielką siłę i spójność na zewnątrz. Że taka spójność nie leżała i nie leży do dziś dnia w interesie sąsiednich nam państw, to nie ulega kwestyi i ztąd to te mętne, brzydkie, podziemne działania policji poznańskiej, które niejako miały być ostrzeżeniem dla rządu rosyjskiego, by nie popuszczał cugli Polakom, by im nie wierzył, bo oni zawsze i wszędzie dążą do rewolucyi, do wyswobodzenia się z pod władzy rosyjskiej. Słusznie też wołał Niegolewski: „...poczytuję sobie za obowiązek stanąć w obronie dobra mych rodaków i pod rosyjskiem zostających berłem. Czyżby podobna prowokacja nie mogła być wywołać najdotkliwszych dla nich skutków? Powszechnem jest mniemaniem, które niech mi się godzi tutaj objawić, że jak cesarz Aleksander I-szy przez rozmaite pisma i wywoływane przez nie postrachy od kongresu Akwizgrańskiego z drogi cywilizacyjnej i prawnej miał być zepchnięty, podobnież i ta sprawka takież sam cel miała, cel powtórzenia tej samej gry, powstrzymania cesarza Aleksandra II-go na obranej drodze i skłonienia go do odwrotu”. Z drugiej strony nierozumne postępowanie garści warchołów polskich, dawało nader podatną i pożądaną broń w ręce naszych nieprzyjaciół. Ów Abicht Henryk, syn profesora uniwersytetu wileńskiego, wyemigrowawszy w r. 1857 za granicę, znalazł się w Londynie w redakcyi rosyjskiego „Kołokoła”, wstąpił do towarzystwa rewolucyjnego polskiego oraz do towarzystwa międzynarodowego, mającego na celu wywołanie rewolucyi powszechnej. W charakterze tym dał się podejść policji pruskiej, mianowicie urzędnikowi tejże Postowi, „apostacie duchownemu”, jak go nazywa Niegolewski, i wysyłał do kraju wzmiankowane proklamacye, których Bärensprung użył za narzędzie do wzbudzenia niewiary, nieufności i obawy w rządzie rosyjskim i którą istotnie wzbudził, tak że odtąd każdy krok, jaki robiono w Królestwie na drodze reform, czyniony był wolno, z restrykcyami, z gotowością cofnięcia się i położenia na powrót żelaznej ręki despotyzmu wojennego na piersi kraju. Do takich

następstw prowadziła i prowadzić będzie zawsze zasada *liberum conspiro*, owoc niedoli krajowej i niepoprawnego warcholstwa⁶⁵.

Jakkolwiek Niegolewski zrobił istotną przysługę krajowi przez rozgłosną swą interpelacją, wykazującą, że mniemane działania rewolucyjne polskie mają źródło w polityce pruskiej, wszelako rząd rosyjski wiedział, czego się ma pod tym względem trzymać. Jeżeli bowiem Bärensprung przedrukowywał i rozrzucał proklamacje, to ostatecznie faktem było, że pierwotnie proklamacje te wyszły z lekkiej ręki rewolucjonistów polskich, osiadłych w Londynie.

Jeżeli z drugiej strony polityca poznańska mówiła, że w Królestwie Polskim gotuje się powstanie, to i pod tym względem nie myliła się zupełnie, wobec rozpoczynającej się w kraju agitacji z wyraźnym i nieukrywanym wcale celem zbrojnego kiedyś ruchu. Rząd rosyjski mógł nie wiedzieć o tworzących się rozmaitych kołach i kółkach rewolucyjnych, ale nie uszło jego uwagi i ujść nie mogło nadzwyczajne ożywienie społeczeństwa polskiego, ta atmosfera przepełniona elektrycznością i piorunami, jaka zdawała się unosić nad krajem; miał zresztą oznaki tego, że się coś tworzy i coś robi, coś w każdym razie dla niego niebezpiecznego, czy to w nabożeństwie za trzech poetów, czy w sprawie akademickiej, czy w domaganiach się szlachty witebskiej, czy na koniec w działalności emigracji polskiej. Wszystko to były oznaki zbliżającej się burzy, a niestety! na nieszczęście Polski, nikogo nie było w Petersburgu, co by umiał zażegnać tę burzę szeregiem reform szeroko pojętych i rozumnie a energicznie przeprowadzonych. Rząd nie był od tego, by porobić ustępstwa, ale chciał je czynić wolno, z tą zawsze myślą, że lepiej ich nie czynić, z nadzieją wreszcie, że w razie czego potrafi surowym rządem wojskowym, choćby „kartaczami” Gorczakowa, stłumić wszelki ruch, gdyby przybierał zanadto jaskrawe lub groźne formy.

Tymczasem w kraju umysły coraz bardziej się rozgorączkowały, coraz śmielsze budowały nadzieje. Wybuch w Maju 1859 r. wojny włosko-austriackiej, do której Francja się wmieszała, podniesienie przez tę ostatnią zasady narodowości, tj. że o tyle każde państwo ma racją bytu, o ile opiera się na jednolitym narodzie, którego jest reprezentantem, zapowiadać się zdawały rychłą i stanowczą zmianę w karcie Europy. Po sprawie włoskiej, mówiono sobie, pocieszano się tem, przyjdzie na stół sprawa polska, musi przyjść, bo jest najważniejszą; niewola Polski jest gwałtem krzyczącym o pomstę do Boga, gwałtem,

65 Gdy cała ta sprawa z Bärensprungiem została ujawniona przez Niegolewskiego, Abicht przed tym ostatnim usiłował się wytłumaczyć ze swego postępowania, i w przejeździe przez Kraków w r. 1862, gdzie wówczas bawił wspomniany poseł, starał się z nim widzieć, lecz ten odmówił wszelkich dyskusji, i zagnął go do wyjazdu z Krakowa. Abicht został powieszony na stoku cytadeli warszawskiej, d. 12 Czerwca 1862 r.

od czasu popełnienia którego Europa znajduje się w stanie nienormalnym, w stanie ciągłej gorączki i niepokoju. Takimi zdaniem, nie opartymi na niczym, złudzeniem o chorobie Europy, która od pół wieku przeszło doskonale się bez państwa polskiego obchodziła, starano się wzbudzić wiarę, że rozstrzygnięcie kwestyi polskiej jest tylko kwestyą czasu. I wierzono temu powszechnie w kraju. Z niesłychanem, nerwowem rzec można zajęciem chwymano wszelkie wieści o wojnie włoskiej, a gdy ta znaczyła się szeregiem zwycięstw francuskich, cieszą się nadzwyczajnie, wołano, że oto jeden z wrogów Polski leży już pokonany i rozbity, że przyjdzie czas, kiedy z dwoma drugimi to samo się stanie. Wierzono w to, jak, że po nocy złote słońce wschodzi, po długiej, mroźnej zimie wiosna śmiejąca się urokami życia, bo zwykle wierzy się w to, czego się pragnie, a tu zdawało się wszystko zapowiadać dni lepsze, jaśniejsze, dni swobody i niepodległości politycznej.

W gruncie jednak rzeczy, w posępnym pasmie przedży historycznej, dla Polski snuła się ciągle nie szara, mająca się wkrótce zamienić na czarną. Jeżeli ludzie nawet najtrzeźwiesi i najmniej ulegający złudzeniom fantazyi, w kombinacjach polityki europejskiej, w wypadkach zewnętrznych widzieli zapowiedź zmiany na lepsze dla nieszczęśliwego i zasługującego istotnie na inną dolę narodu, to fakta wewnętrzne nie potwierdzały w niczem tych nadziei. Właśnie pod jesień 1859 r. cesarz przedsięwziął zwiedzenie swych południowo-zachodnich prowincyi, ukraińskich niegdyś ziem polskich, Podola i Wołyń. Jak przed trzema laty w Warszawie, jak przed rokiem w Wilnie, tak teraz w Kijowie, Kamieńcu i Żytomierzu przywiązywano wielkie znaczenie do tej podróży, liczą na jakieś ulgi i łaski, i gotowano się między szlachtą polską do serdecznego, entuzjastycznego przyjęcia monarchy. Niestety! miano się tak samo zawieść, złudzenia wobec surowej rzeczywistości miały się rozwiać, słodkie marzenia zmienić w gorycz codziennego, ciężkiego, bezbarwnego życia.

Przyjazd cesarza poprzedził ukaz, który zdawał się zapowiadać, że przynajmniej teraz nadzieje szlachty ukraińskiej polskiej nie będą płonkami. W dniu 20 września, dniu dojścia do pełnoletności młodego następcy tronu Mikołaja Aleksandrowicza, cesarz nakazał, ażeby odtąd ustały wszelkie poszukiwania majątków, mających ulegać konfiskacie z powodu, że ich właściciele należeli do powstania w 1831 r. Ukaz ten obejmował wszystkie ziemie dawnej Polski, należące obecnie do Rosyi i jakkolwiek nie przynosił żadnej korzyści, bo co miano skonfiskować, to już dawno skonfiskowano, wszelako był dowodem, że cesarz pragnie zapomnieć o przeszłości o dawnych rozterkach i nienawiściach. To też sprawił on w ogóle dobre wrażenie i Aleksander, jadąc do guberni południowo-zachodnich swego olbrzymiego państwa, miał tu natrafić na to samo ożywienie, na tę pełność nadziei rozkwitających, na ufność w lepszą,

pogodniejszą przyszłość, jaka wszędzie, na całym obszarze zaboru rosyjskiego spostrzegać się dawała.

Do tego ożywienia przyczyniała się bardzo wiele i sprawa włościańska. Jeżeli w Królestwie posuwała się ona bardzo wolno i utknęła na oczynszowaniu dobrowolnem, wbrew opinii kraju, domagającej się uwłaszczenia; jeżeli na Litwie, szlachta w komitetach włościańskich bardzo pięknie mówiła za uwłaszczeniem, a u siebie w domu nadużywała w sposób krzyczący swej umierającej władzy, to na Ukrainie, a zwłaszcza na Wołyniu, sprawa ta przybrała szkaradny charakter rozdrażnienia dwóch warstw społecznych. Tu, szczytujący się po wsze czasy smutną sławą, hańbą napiętnowani w „Wieczorach wołyńskich” Kraszewskiego, batożnicy wołyńscy, katowali po dawnemu włościan, zdzierali z nich ostatnią niemal koszulę, a sami marnowali, krwawą pracą chłopą zarobiony grosz, na hulanki, na życie pańskie, na podróże za granicę, na karty, konie, psy i kobiety, i stanowczymi byli przeciwnikami, w ogromnej swej większości, usamowolnienia włościan. Przez niepojęty dziś dla nas zastój umysłowy, głowy najotwartzsze, serca najlepsze były przeciwne temu usamowolnieniu. Kiedy w początkach Stycznia 1858 r., komitet włościański wołyński zebrał się w Żytomierzu, pod przewodnictwem marszałka łuckiego Wincentego Korwina Piotrowskiego, wspomniany już przez nas Józef Ignacy Kraszewski przesłał na ręce rzeczonoego marszałka rodzaj memoriału w sprawie chłopskiej, w którym domagał się, ażeby działano powoli i ostrożnie, żeby reforma stopniowo przenosiła chłopą ze stanu zależności patryarchalnej do swobody osobistej. Bezwarunkowo nie zgadzał się na emancypacją natychmiastową, i żądał z argumentacją, godną zaiste lepszej sprawy, ażeby chłop nie był wypuszczony z pod opieki szlacheckiej, żeby policja wiejska do dworu należała, to jest, żeby po dawnemu pan batożył chłopą za lada co, dawał mu uczuwać swą supremacją społeczną i urzędową⁶⁶; przeciwny był uwłaszczeniu, bo „ziemia jest własnością dziedzica”, bo „dziś nagle dała chłopu własność, aniby

66 „Swoboda osobista człowieka w społeczności dobrze urządzonej, pisał Kraszewski, wymierza się stopniem jego ukształcenia moralnego i umysłowego. Jest tu to samo, co z dziećciem; maluczkiemu daje się mniej wolności, dorastającemu coraz szersze swobody. Dać się nieograniczenie rządzić małoletniemu, byłoby szaleństwem; toż z włościaninem małoletnim. Dając mu więc swobodę, koniecznie ją do czasu dojrzałości ograniczyć i uregulować potrzeba, emancypować go stopniowo. Dla własnego jego dobra włościanin z opieki wypuszczonym być nie może, a opieka ta najwłaściwiej powierzoną być musi tym, którzy wyżej odeń stoją oświatą, a starego, patryarchalnego z nim związku nie zerwali. Zależy bardzo na tem w przyszłości, aby stosunek przyjazny dworu z wioską nie został nadwężony, aby opieka, jakiej dotąd doznawała, nie uchyliła się od niej; ztąd zda mi się, że lepiej jest przyjąć na siebie ciężar i odpowiedzialność wiejskiej policji, niżeli dla małych niedogodności w cudze oddawać ją ręce”.

zrozumianą, ani ocenioną (przez chłopą) była”; utrzymuje nawet, że w ciągu pierwszych lat dobry by był „najem przymusowy, ograniczony co do liczby dni, i sposób wybierania go oceniony najsprawiedliwiej”. Własność, podług Kraszewskiego, chłop powinien dostać dopiero po kilku, lub kilkunastu latach⁶⁷.

Projekt ten, cuchnący z daleka szlachecką fanaberyą i samolubstwem, w gruncie rzeczy prawie żadnych niewprowadzający zmian do sprawy włościańskiej, nie podobał się większości szlachty wołyńskiej, która go uważała za zbyt liberalny i zbyt demagogiczny⁶⁸.

67 „Nie sądzę, pisał dalej, by w stanie naszym majątkowym, który w ogóle bardzo jest wątyły, można było bez niebezpieczeństwa zdobyć się na wielkie ofiary. Więcej niż pół kraju zagrożone majątkową ruiną, na wszystkich prawie długi banku, *prykazu* i prywatne, kapitałów brak zupełny. Jeżeli ziemi zabraknie rąk do jej obrobienia, upadek rolnictwa i z nim szlachty jest niezawodny. Z drugiej strony szlachta jest żywiołem cywilizacji i postępu: zabić ją, byłoby kraj na sto lat cofnąć w tył i posunąć ku barbarzyństwu. Pomimo to jednak, szlachta we własnym interesie, dlatego, by nie stracić serca ludu, na którym wiele jej zależy, ufności włościanina i dobrych z nim stosunków, musi dlań jakąś uczynić ofiarę...”. „...Ale naprzód uczynim tu spostrzeżenie, że lud, o którym mowa, nie ma dotąd nawet, pojęcia osobistej własności. Stara gmina słowiańska i późniejszy byt zależny od pana, nauczyły go tylko, że wszystko między ludźmi jest wspólnem. Dlatego włościanin nasz często się niewinnie prawie dopuszcza kradzieży, i tłumaczy, że on pański i rzecz pańska, a zatem winnym się nie czuje. Z tych i podobnych faktów widzimy, że pojęcie indywidualnej własności dopiero w włościaninie wyrobić potrzeba na drodze powolnej pracy i doświadczenia, a dziś nagle dana mu własność, aniby zrozumiana, ani ocenioną była. Tak w Galicyi, w pierwszej po nadaniu chwili, chłopci lekkomyślnie pozbywali się gruntów swoich w przekonaniu, że później znowu do nowego podziału dopuszczeni zostaną”. „...Jakikolwiek środek obrany będzie dla ułatwienia nabycia włościaninowi sadyby lub części gruntu, powtarzam, że względ na to, aby przez pozbawienie rąk krajowe gospodarstwo nie upadło, potrzeba mieć na oku. Ztąd w pierwszych latach nowego stanu, najem przymusowy, ograniczony co do liczby dni, sposobu wybierania go i oceniony najsprawiedliwiej — miejsce mieć musi, inaczej stanie się to, co w Galicyi, gdzie najżyźniejsze części Podola wyżywić się nie mogą”. Memoryał ten Kraszewski tak kończy: „stanowcza to chwila dla ludu i wielkie ma w niej obowiązki szlachta, która tu przedstawia żywioł ofiary i postępu” ... „nie sądzę, by to, co przedstawiam, samem marzeniem być miało, a wierzę, że ogół obywateli znajdzie środki, by spełnić powinności, ocalić przyszłość, uspokoić sumienie i nie splamić się niedarowanym egoizmem wobec dzieła, na które patrzy świat cały”.

68 Jak dalece szlachta wołyńska nie umiała stanąć na wysokości chwili, jak dalece żywiła w sobie zacofane pojęcia, świadczy fakt następujący: w r. 1859, J.I. Kraszewski napisał komedią pt. „Stare dzieje”, w której podniósł, mniej więcej na tych samych, co i w memoryale podstawach, kwestyą chłopską. Sztuka ta została wystawioną w teatrze polskim w Żytomierzu. Autor, ukryty w łoży, śledził wrażenie na publiczności, przeważnie z ziemian złożonej, i widział niezadowolenie powszechne, niecierpliwość i oburzenie na to, że śmiał pana, szlachcica, ekonomia i chłopą razem powołać na deski teatralne. Pod tym względem mieli godnych siebie współzawodników w magnatach na Białorusi, zwłaszcza w Minszczyźnie, dziedzicach ogromnych obszarów ziemi ornej i lasów. Ci

Mimo to, do uwłaszczenia nigdzie nie przyszło. Komitet kijowski w początkach 1859 r. uchwalił, co następuje: „szlachta guberni kijowskiej wyrzeka się na wieczne czasy należnego jej, z mocy ustaw krajowych, prawa do poddaństwa włościan, osiedlonych na ziemi obywatelskiej, oraz ludzi d w o r o w y c h, przypisanych (sic) do ziemi, domów i fabryk. Na mocy tej uchwały, włościanie ci, jako i ludzie dworowi uwalniają się niepowrotnie i bez żadnej nagrody od poddańczej osobistej zależności, a wszystkie obowiązki z tym stanem połączone i z niego wynikające, na zawsze ustają; sam zaś wyraz: „poddany” (kriepostnoj) ze wszystkich aktów publicznych i prywatnych wykreślonym ma być na zawsze. Ludzie dworowi uwalniają się bez żadnej opłaty, nawet i w takim razie, gdyby kosztem właściciela przysposobieni byli do rzemiosł”. Sadyby mieli włościanie wykupić, budowy zaś na nich stojące, darowano. „Mając zaś na uwadze, brzmi dalej ten dokument, iż w tutejszym kraju zarząd gminny nigdy nie istniał, że wspólne przez gminę nabycie ziemi sadybnej, byłoby trudne dla włościan, wcale do wspólności gminnych nie przywykłych, i że włościanie drogą

w stosunkach z chłopami sztychli z ich blizkiej wolności, odmawiali im wszelkich zapomóg, eksploatowali ich pracę, zaprzęдали ich setkami całymi przedsiębiorcom robót na kolejach żelaznych, oburzali się na bractwa wstrzemięźliwości, szkodzili im i denuncywali je do władz rosyjskich. Na Ukrainie i Podolu było za to znacznie lepiej. Wprawdzie i tu większość szlachty była przeciwna zupełnemu usamowolnieniu chłopów, wyjęciu go z pod supremacji dworskiej. Liczba tych wsteczników była tak znaczną, że stanowili, do pewnego stopnia, poważne stronnictwo w prowincyi, zwane przez przeciwników szydlerczy „Moszrodziejami”. Jednakże pod wpływem młodzieży, zwłaszcza akademickiej kijowskiej, która na święta i wakacje zjeżdżała do domów rodzinnych i przynosiła ze sobą świeże, postępowe, gorąco-liberalne idee, wygłaszane zwykle z zapałem i bezwzględnością, właściwą młodym umysłom; pod wpływem na koniec bardzo szanowanego na Ukrainie pisarza Michała Grabowskiego, stronnictwo Moszrodziejów słabło, nie miało odwagi wypowiedziania otwarcie swych przekonań, i wstydliwie kryło się z niemi w cztery ściany swych pysznych, pańskich dworów. Za to Grabowski i postępowcy, chłopomani i niechłopomani, domagali się nie tylko usamowolnienia, ale i uwłaszczenia. Tym, którzy byli za oczynszowaniem, mówiono, że takie rozwiązanie kwestyi chłopskiej, jeżeli je można nazwać rozwiązaniem, może być dobrem dla Królestwa Polskiego, gdzie ludność jest jednolita, gdzie władze są polskie i urzędnicy Polacy, ale inna jest rzecz z Rusią. Tu dwór i chata stanowią dwie odrębne narodowości; w skutek różnych powodów krzywo i spod oka na siebie patrzące, a władze są rosyjskie, zawsze nieprzyjaźnie usposobione dla szlachty. W razie oczynszowania, urzędnicy ci, jak klin falangi macedońskiej, wbijają się między chłopów i szlachcica w charakterze pośrednika i wyzyskując obie strony, będą je drażnili, podszczywali i kłócili. Otóż, sądząc rzeczy ze stanowiska polskiego, takie pośrednictwo wcale nie jest pożądanem, będzie ono zgubnem i fatalnem dla przyszłości kraju. Sprawa włościańska, mówiono dalej, jest sprawą naszą wewnętrzną, domową, i trzeba ją między sobą, własnymi rękami załatwić i własnymi rękami wyprać zabrudzoną przez wieki bielinę. Należy chłopów nie oczynszować, nie tylko usamowolnić, ale uwłaszczyć i raz tego raka wypalić z ciała narodowego.

osobistych nabytków (licznych priobretenij), które są przystępne ich pojęciu, prędzej i łatwiej mogą się stać ich właścicielami, Komitet zdecydował, aby włościanom wolno było nabywać sadyby rodzinami, osobno. Włościanie mają prawo wykupić sadyby w przeciągu lat dziewięciu za oznaczoną sumę; lecz dopóki jej nie wypłacą, należy się obywatelowi procentu pięć od sto rocznie. Prawo kupienia sadyby służy członkom gromady, samemu obywatelowi i postronnym, lecz zapisującym się do gromady. Zabrania się sprzedawać sadyby żydom, cyganom i ludziom rozmaitych powołań (roznoczyńcam), jako też wszystkim niechodzącym koło roli”.

Ziemie orną, co do rodzajów jej, podzielono na cztery klasy; na każdą chatę przeznaczono cztery dziesięciny (około 8 morgów). Czynsz roczny z chaty ma wynosić gotówką 18 rs., albo też robocizną 82 dni. W razie, gdyby włościanie chcieli nabyć ziemię orną, komitet oznaczył jej cenę szacunkową, stosownie do rodzaju, od 29 do 90 rs. za dziesięcinę.

Takimi były uchwały komitetu kijowskiego. O uwłaszczeniu nie ma w nich mowy, i później, gdy przydujący w komitecie, Oktawian Jaroszyński, zaproponował, by komitet wyraził swą opinią stanowczą, jakiej zasady pragnie się trzymać co do uwłaszczenia włościan, większość szlacheckiego tego zebrania sądziła, że pytanie to jest niewłaściwym i przedwczesnym. Wywołało to oczywiście oburzenie w sferach młodzieży liberalnej, która nie przestała członków komitetu piętnować mianem zacofańców.

Tego rodzaju rozprawy i spory, bronione przez postępowców silnie, popierane poważnymi argumentami, z wiarą w ich prawdę i zbawienne dla kraju skutki, nadawały społeczeństwu polskiemu tej epoki w kresowych ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, niezwykły, dawno tu już zapomniany charakter ożywienia. Ruch był znaczny na każdym polu i nosił na sobie cechę polską. W Żytomierzu szlachta wołyńska postanowiła założyć teatr polski i utrzymywać go kosztem własnym. Mikulicz, marszałek gubernialny wołyński, oddał ten teatr w administrację doświadczonemu kierownikowi scen polskich Adamowi Miłaszewskiemu, honorowy kierunek częścią estetyczną powierzono Kraszewskiemu, dopóki mieszkał w Żytomierzu. Zobowiązano się dawać teatrowi rocznego subsydyum 3000 rubli. Świadczyło to o dobrych, a nade wszystko polskich chęciach tej samej szlachty, która współcześnie w tak ważnej i doniosłej kwestyi, jak kwestya chłopska, zajmowała stanowisko zacofane i odznaczała się pojęciami średniowiecznymi.

Taki był stan prowincyi południowo-zachodnich, jak je zwano w języku urzędowym, gdy w jesieni, w pierwszych dniach Października 1859 r. cesarz Aleksander II-gi tu zjechał. Najprzód odwiedził Kijowszczyznę, starą Ukrainę polską. W Kijowie marszałkowie szlachty wyprawili mu bal, a dziedzice Bia-

łocerkwi, hrabiowie Branicy świetne polowanie w swych dobrach, zaćmiewające przepychem zeszłoroczne polowania Tyszkiewicza na Litwie i Potockiego w Wilanowie. Cesarz był grzeczny, wesoły, łaskawy, ale z granic zwykłych, towarzyskich, nic nie znaczących rozmów, ani na chwilę nie wyszedł. Dopiero zmusiła go niejako do aktu politycznej doniosłości szlachta podolska i przekonała się tak samo jak szlachta w Koronie, jak nazywano przez tradycją Królestwo, że oprócz złagodzenia form, miękkości w dzierżeniu steru rządowego, niczego się więcej spodziewać nie może i nie powinna.

Na powitanie monarchy szlachta podolska zjechała się do Kamieńca tłumnie i za inicjatywą kilku ludzi czynniejszych i energiczniejszych, postanowiła podać adres do cesarza. Na dwa dni przed przybyciem Aleksandra, adres ten był gotowy. Dziękując w nim monarsze za pozwolenie oswoobodzenia włościan z poddaństwa, oraz wychodząc z przekonania, że cesarz dla tego objeżdża prowincje, żeby poznać dokładnie i naocznie ich potrzeby, szlachta podolska ośmiela się przedstawić najjaśniejszemu panu, że religia rzymsko-katolicka nie używa przynależnych jej praw, że język polski wykluczony z sądu i szkoły i „pozbawiony praw żywego języka”, że urzędy, które według przepisów winny być sprawowane przez ludzi, wybieranych na ten cel przez szlachtę, są obsadzone od korony — domagała się w wyrazach pełnych pokory i powągi zarazem, by te „niedostatki” były usunięte.

Zredagowawszy ten dokument, uchwalono, by marszałek gubernialny i wszyscy powiatowi udali się do generał-gubernatora kijowskiego Wasilczykowa i uprzedzili go, że adres ma być podany. Wasilczykow, człowiek nie zły, lubiący szlachtę polską, obojętny na wszystko z wyjątkiem dobrej kuchni i ładnej kobiety, przeczytawszy adres, zmieszał się mocno i począł przedstawiać marszałkom, że to, czego domagają się, jest po większej części niczem nieusprawiedliwionem i na fałszywych zasadach opartem żądaniem. Twierdził więc, że religia rzymsko-katolicka nie jest prześladowaną, że mogło to być dawniej, za cesarza Mikołaja, ale nie dziś; że o język polski w szkole i sądzie niesłusznie się szlachta upomina, boć przecie Podole jest krajem rosyjskim, a nie polskim. W jednym tylko przyznał racją adresowi, to jest co się tyczy urzędników wybieranych nie przez szlachtę, ale mianowanych od korony i pod tym względem przyrzekał zrobić do cesarza przedstawienie. W końcu prosił, nalegał i groził nawet, by adresu nie podawano.

W trzy godziny po tej rozmowie, dnia 13 Października, wśród tłumów ludu witającego monarchę okrzykami, Aleksander II-gi wjechał do starego, pełnego pamiątek dawnej chwały polskiej, Kamieńca Podolskiego. Na ganku, pod perystylem domu gubernatorskiego, stała zebrana szlachta, urzędnicy cywilni i wojskowi. Przy odgłosach grzmiącego „hura!”, odbijającego się o odwiecz-

ne mury Kamieńca, konającego u stóp Matki Bożej depczącej na minarecie półksiężyc turecki, cesarz otoczony błyszczącą świtą jenerałów i adjutantów, pojechał najprzód do cerkwi prawosławnej, z kąd wróciwszy przyjmował zebranych w sali audyencyonalnej domu gubernatorskiego. Tu szlachta, wbrew zwyczajowi, umieszczona przez Wasilczykowa na samym końcu, po urzędni-kach wojskowych i cywilnych, nie uznała za stosowne podawać adresu na posłuchaniu do pewnego stopnia publicznem, postanawiając prosić o szczegółową dla siebie nazajutrz audyencyą. Cesarz, powitawszy urzędników, zbliżył się do szlachty i dziękował jej w wyrazach, przejętych szczerością, za pomoc w sprawie włościańskiej i objawił nadzieję, że szlachta nie zatrzyma się na pół drogi, ale zrobi to wszystko, czego wymaga interes ludzkości i państwa.

Wieczorem tego samego dnia Aleksander był na balu, wydanym dla niego przez szlachtę. Gdy zabawiwszy parę godzin, odjechał, jenerał-gubernator Wasilczykow zebrał w jednym z salonów marszałka gubernialnego i wszystkich powiatowych oraz kilkunastu wybitniejszych spomiędzy szlachty obywateli, i tonem suchym, ostrym, z odcieniem lekkiej groźby, zawiadomił zgromadzonych, że adres, jaki postanowili podać, jest aktem nielegalnym, że szlachta ma prawo podawać adresy tylko od koła wyborczego, a wybory jeszcze nie zostały rozpoczęte, że wreszcie adresu podać nie mogą i zapewne nie podadzą. Gdy na te słowa nie otrzymał od zebranych żadnej odpowiedzi, zawiadomił ich, że na skutek prośby o audyencyą, cesarz przyjmie ich jutro o godzinie 10tej rano, a przyjmie dlatego, by mu mogli podziękować za to, że był na balu przez nich wydanym. „Podziękujecie mu panowie i nic więcej”, rzekł w końcu. Odchodząc dodał: „dziś już nie będziecie mieli panowie sposobności podać adresu, a jutro będzie za późno. Najjaśniejszego pana uprzedzę o treści adresu i nie przyjmie go”.

Słowa te świadczyły, że sprawa adresu jest stanowczo przegraną i większość szlachty poczęła się wahać, byli nawet tacy, którzy radzili dać wszystkiemu pokój. Zresztą, czyby chciano spełnić pierwotne życzenie, czy nie, rzecz już teraz bezwarunkowo przyjść nie mogła do skutku. Gdy bowiem nazajutrz marszałkowie o naznaczonej godzinie przybyli na posłuchanie, cesarz wyszedł do nich z twarzą surową, i obrzuciwszy zebranych badawczym wzrokiem, spytał po rosyjsku głosem, któremu chciał nadać ton groźny, a który lekko drżał: „kiedy u was wybory?” Gdy mu odpowiedziano, że jutro, rzekł: „wiem, że macie zamiar podać mi adres, ale narady wasze są nielegalne. To knowania! (zamaszki). Nie zapominajcie, że to kraj rosyjski a nie polski, i pamiętajcie, że mi stokroć przyjemniej chwalić i dziękować, niż dawać napomnienia”.

Tegoż dnia po południu opuścił Kamieniec, zostawiając w sercu szlachty polskiej bolesny zawód i boleśniejsze rozczarowanie. „To kraj rosyjski”, po-

wtarzano sobie z goryczą i z tem samem uczuciem, z jakim przed kilku laty powtarzała Warszawa sławne „precz z marzeniami”, a przed rokiem Białoruś o „mniemanej narodowości polskiej”. Wobec znanych nam już przekonań, stanowiących artykuł wiary większości ówczesnego społeczeństwa, że Polskę tworzy wszystko, co niegdyś do r. 1772 do niej należało, słowa, że „Podole jest krajem rosyjskim”, wywołały silne rozdrażnienie i poczucie potrzeby przekonania tak Aleksandra jak i Rosyi, że jest inaczej. Niestety! to pragnienie, przez fatalność ścigającą losy i przeznaczenia polskie, miało się rychlej niż przypuszczano zaspokoić, ugasić potokami krwi polskiej!

Pobyt cesarza w Warszawie, dokąd przybył d. 17 Października⁶⁹, rozchwiały także tę resztę złudzeń, jakie jeszcze miano, że powoli, jeżeli nie stan z przed 1831 r., to przynajmniej jakieś ważniejsze nastąpią zmiany. Tym razem oprócz zabaw, przeglądów, przejażdżek, cesarz wcale nie zajmował się sprawami kraju. Otaczali go znowu liczni książęta niemieccy, stanowiący jakby wspaniały, gwiazdzisty orszak słońca rosyjskiego, podnoszącego się spoza tumanów mgły sewastopolskiej, w nowym, stokroć świetniejszym blasku.

Był tu Wilhelm ks. Oranii, następca tronu niderlandzkiego; był tu ks. August Wirtemberski, był wielki ks. Karol sasko-wejmarski, był arcyksiążę austryjcki Albrecht, był na koniec, mało jeszcze wówczas znany, w ciszy czasu kujący pioruny, najzaciętszy wróg polski, pełnomocny minister pruski hr. Bismarck-Schönhausen. Że to i owo mówiono o Polsce, że zwłaszcza Bismarck

69 Ponieważ podówczas nie było jeszcze kolei, jechał więc Aleksander końmi na Żytomierz i Lublin. Na stacji pocztowej Stepankowice, z tej strony Bugu, będącej pierwszą w granicach Królestwa Polskiego, przyjmował przybywającego monarchę, marszałek szlachty lubelskiej, książę Woroniecki, w mundurze wojskowym, jako były generał wojsk rosyjskich. Przez parę dni poprzednich padały deszcze jesienne, i drogi znacznie się popsuły. Cesarz był zmęczony, a nadewszystko głodny gdyż wyjechał z Żytomierza po lekkim śniadaniu, i tłukąc się po błotach i wertepach wołyńskich, nie miał nic przez cały dzień w ustach. Spodziewano się, że w Stepankowicach Woroniecki przygotuje jakie przyjęcie; tymczasem nie zastano nic, tylko marszałka wyprostowanego jak struna. Opowiadano sobie później, że któryś z Adlerbergów, towarzyszący cesarzowi, miał rzec do Woronieckiego: „poco u dyabła było się stroić w mundur jeneralski, kiedy jeść ani pić nie ma!” Ruszono więc co prędzej do Lublina i cesarz miał mówić: „stary Mackiewicz nas nakarmi, to mój stary druh, znam go dobrze i od dawna”. Mackiewicz był gubernatorem cywilnym lubelskim, i istotnie przygotował kolacją, na której pierwsze miejsce zajmowała starka litewska. Rozweseliła ona humory przybyłych; wódkę chwalono bardzo, co Mackiewicza, jako Litwina z rodu, mocno cieszyło. Złośliwi plotkarze miejscy mówili wprawdzie, że starka ta nie pochodziła wcale z piwnicy gubernatorskiej, ale od kupca Zaszczyńskiego. Mniejsza zresztą o to, dość, że wódka cesarzowi bardzo smakowała i Mackiewicz ostatnie dwie butelki włożył na drogę do powozu. Aleksander odjeżdżając był bardzo dla Mackiewicza uprzejmym i po kilkakroć nazwał go „dobrym swoim starym znajomym”, co jednak później, w r. 1801, nie obroniło gubernatora od dymisyi.

wskazywał na niebezpieczeństwo blizkiego w niej powstania, to zdaje się nie ulegać kwestyi, ale głównie zajmowano się zabawami i przeglądami wojsk. Warszawianie patrzyli na przepych, jaki przed nimi roztaczano, i w braku czego innego, pocieszali się choć tem, że na zabawach i balach publicznych cesarz dużo mówił po polsku, że z Drzewieckim, dyrektorem Kom. sprawied. przez parę godzin rozprawił o zamierzonej w przyszłości reformie sądowej w Królestwie. Dla cesarza i jego gości wydali świetne bale: hr. Kossakowski, prezes Heroldyi i namiestnik; u tego ostatniego złota młodzież warszawska i damy świata arystokratycznego przedstawiały żywe obrazy. Na koniec po dziesięciodniowym pobycie, obdarzywszy teatru warszawskie 20,000 rs. w celu postawienia ich na świetniejszej stopie, Aleksander II-gi opuścił Warszawę, zegnany z mniejszym, niż dotąd bywało, entuzjazmem.

Niezadowolone bowiem wzrastało i wzrastać musiało, gdy z jednej strony były żądania, których żaden car rosyjski, chyba siłą do tego zmuszony, urzęczywistnieć nie może; z drugiej niechęć do wszelkich ustępstw, do wszelkiej zamiany rządów wojskowych na rząd spokojny, oparty na prawie i zadość czyniący istotnym potrzebom narodu. Z tego stanu rzeczy nie omieszkali skorzystać domorośli rewolucyoniści i zagraniczni czerwieńcy polscy i międzynarodowi wichrzyciele. W Warszawie tworzyło się teraz mnóstwo kół i kółek, których efemeryczna egzystencya, jeżeli nie zasługuje na zaznaczenie w historii, to w każdym razie była oznaką coraz silniejszej gorączki, ogarniającej naród a nadewszystko młodzież. Najważniejsze koła: akademików i Jankowskiego wzrastały z każdym dniem w siłę, konsolidowały się i organizowały coraz lepiej i ściślej. W kole akademików po ucieczce za granicę Kurzyny, pojawiła się na jego miejsce nowa osobistość, której zbiegły powierzył przewodnictwo. Osobistością tą był Karol Majewski, człowiek młody, pochodzący ze znanej w Warszawie rodziny, która wydała kilku znakomitych prawników. Uczył on się wtedy w Berlinie i na wieść o otworzeniu w kraju Akademii medycznej wrócił do Warszawy, gdzie wśród młodzieży od razu zajął bardzo wybitne stanowisko przez swój rozum, energią niepospolitą, zdolności niezwykle i charakter przyjacielski, pozornie miękkie, łagodny, niemniej przeto wpływowy i stanowczy. Jasny blondyn, nieładny, nieco ospowaty, ale nader sympatyczny w obejściu, gdy począł mówić swym głosem łagodnym, spokojnym, ovladał młodzieżą i kierował nią jak chciał. Gromący patryota, w tem znaczeniu, w jakim wówczas uważano patryotyzm, nie miał jednak zdecydowanych przekonań co do tego, jaką drogą Polska może i winna być zbawioną. Ogrom tego zadania i ogrom odpowiedzialności olśniewał go i wprawiał w stan ciągłego wahania się między stronnictwem skrajnie rewolucyjnym Mierosławczyków i Jankowskiego, między Millenerami Jurgensa i partją Klemensowczyków,

partyą pracy organicznej. Zdawało mu się, że wszędzie leży cząstka prawdy, i dlatego wszędzie miał stosunki, wszędzie należał do narad i wychodząc z dymanej, ciasnej izdebki Jankowskiego był mocno czerwony, by nazajutrz poszedłszy do Jurgensa, stać się Millenerem, lub w parę dni potem wyznawcą pracy organicznej, która miała Polskę strącić z drzewa rosyjskiego, jak owoc dojrzały, bez wysiłków i bez walki. Wskutek tych wahań nie dowierzano mu nigdzie zbytecznie, choć liczono się z nim, jako z człowiekiem wpływowym, ale Majewski nie zajął w ruchu nigdy tego pierwszorzędnego stanowiska, jakie winien był zająć przez swe zdolności, niezwykłą inteligencją i charakter osobisty.

Bądź co bądź, w tej chwili, w połowie 1859 r., stał on niejako na czele koła akademików po ucieczce Kurzyny. Przedewszystkiem dość luźne części stowarzyszenia uorganizował on w jedną całość spójną. Na wzór trójek kijowskich i petersburskich, wprowadził piątki i dziesiątki i nad każdą ustanowił osobnego naczelnika. Do biblioteki sprowadził z zagranicy nowe broszury, pamflety i świstki emigracyjne z odcieniem najczerwieńszego rewolucjonizmu. Między obu kołami: akademików i Jankowskiego, nieróżniąciami się zresztą prawie wcale co do swych przekonań, były ciągłe stosunki, ale że koła te stały oddzielnie, szły osobno, stanowiło to ich wadę i słabość.

Jankowski więc, człowiek wytrawny w tego rodzaju podziemnych robotach, zamierzył wszystkie koła złączyć ze sobą, stworzyć z nich jedną całość, już przez to samo dużo znaczącą, że liczną. Robił to zresztą nie bez wpływu Mierosławskiego, który chciał mieć w Warszawie jakieś ciało, do którego mógłby się udawać w razie potrzeby i rozkazywać mu, bo chciał on zawsze rozkazywać z bezpiecznego kąta w Paryżu, jako urodzony dyktator Polski. Jankowskiemu znowu uśmiechała się myśl kierowania całym ruchem rewolucyjnym w Polsce, do czego nieodbycie potrzebnem było zjednoczenie wszystkich związków, samopas dotąd idących. Najpoważniejszym było koło Jurgensa, koło Millenerów, tak ze względu na samego ich przewodnika, jak i na osoby, wchodzące w skład tego stronnictwa. Zbliżył się więc do niego, rozpoczął rozprawy i spory, ale ostatecznie przekonali się obaj przodownicy, że zlanie się tych dwóch stronnictw równie jest niemożliwe, jak połączenie ognia z wodą. Jankowski chciał działać, spiskować, tworzyć w całym kraju organizacją, rozesłać agentów, przygotowywać jednym słowem powstanie; Jurgens uważał, że wszelka akcja dążąca do powstania jest na teraz przedwczesną i zgubną, i chciał czekać na sprzyjające okoliczności, które według niego wcześniej czy później nastąpić niezawodnie miały.

Rezultat był taki, że po kilku naradach deputowanych obu stron, Jankowski widząc, że nie przekona Jurgensa i nie pociągnie go ku sobie, przerwał per-

traktacye i zwrócił się ku akademikom. Robił to w ostateczności, gdyż koło akademickie nie wiele cenił, uważał je za złożone z dzieci, ze „smarkaczów”, którym Bóg wie, co po głowach się troi, którzy na koniec oczekują na jakąś pomoc z Zachodu, kiedy powstanie może tylko w sobie samem znaleźć siłę, zdolną do wyrzucenia najazdu obcego. Nie było jednak innej rady. Dla dobra sprawy, dlatego, by siły rozstrzelone nie marniały w szamotaniu się bezowocnem, odrzucony przez Millenerów, musiał Jankowski, acz niechętnie, zwrócić się do „smarkaczy”.

Rozpoczęto więc pertraktacye; wybrano z obu stron delegatów, którzy mieli się schodzić w mieszkaniu Majewskiego na ulicy Chmielnej. Ze strony akademików stawili się trzej bracia Frankowscy, Stanisław, Jan i Leon, z Podlasia rodem, zacięci, niezmqczeni spiskowcy; Karol Nowakowski, młody zapaleniec, uczeń szkoły sztuk pięknych, brat znanego nam już bibliotekarza Świdzińskich, Erazma; Rafał Krajewski, budowniczy, jako przedstawiciel miasta; Jan Banzemer i Lewenhardt, jako literaci. Ci wszyscy, reprezentując niejako wszelkie słoje społeczne Warszawy, stanowili delegatów od koła akademików.

Od koła Jankowskiego wydelegowano Bolesława Dehnela, Poznańczyka rodem, urzędnika kolegium kościelnego luterskiego w Warszawie i współpracownika „Gazety codziennej”, człowieka charakteru łagodnego, ujmującego, pełnego szlachetności i gotowości do wszelkich ofiar; był to typ nader sympatyczny tego pokolenia marzycieli i czcicieli nieziemskiej polskiej ojczyzny. Prócz niego w skład deputacyi wchodziłi dwaj synowie obywatelscy: Stanisław Krzemiński i Julian Wereszczyński, pod wielu względami podobni do Dehnela. Po długich, nieraz krzykliwych i nieładem swoim przypominających sejmy dawne polskie, debatach, większością głosów zdecydowano zlanie się obu kół i utworzenie komitetu pod dziwaczną nazwą „Kapituły warszawskiej”. Do Kapituły tej wybrano: Jankowskiego, Doknela, Krzemińskiego, Wereszczyńskiego i Majewskiego, który miał pełnić obowiązki kasyera. Wybór ten świadczył, że Jankowski opanowawszy koło akademików, prawie całkiem usunął jego przedstawicieli od wszelkiego udziału w tym pierwszym z porządku komitecie rewolucyjnym.

Członkowie Kapituły odbywali swe posiedzenia w mieszkaniu Jankowskiego, który teraz przeniósł się na ulicę Marszałkowską, lub u Dehnela, w domu gminy luterskiej na ulicy Królewskiej i podzielili pomiędzy siebie zajęcia. Dehnel, który niegdyś brał udział w powstaniu poznańskim i był wielbicielem Mierosławskiego, wziął na siebie korespondencyą z „wodzem zmartwychwstałym”; Wereszczyński, który uczęszczał był na uniwersytet kijowski i miał tam swoje stosunki, postanowił je odświeżyć i przez to działać na

Ruś; Lewenhardt, jako wychowaniec uniwersytetu Jagiellońskiego, z Krakowem i Galicyą; Banzemer, ponieważ uczył się we wszechnicy berlińskiej, miał prowadzić korespondencją z młodzieżą polską, bawiącą tam na wykładach. Krzeмиński został bibliotekarzem, Majewski, jak wiemy, kasyerem.

Czasu, w którym się to stało, trudno określić. Dość, że już w późnej jesieni 1859 r., mniej więcej w chwili, gdy Aleksander syty zabaw, blasku przeglądów wojskowych, widoku żywych obrazów paziów i dam warszawskich, opuszczał starą Polskę stolicę, Mierosławski nasłał zaraz do kraju mnóstwo broszur, świstków ulotnych, pieśni patryotycznych, portretów swoich, Kościuszki i Kilińskiego, które akademicy rozrzucali wszędzie dla „podniesienia ducha w narodzie”. Kapituła zawiązała z Mierosławskim stosunki, za pośrednictwem Kurzyny sprowadzała czasopisma zagraniczne polski i gorliwie pracowała nad podniesieniem owego ducha, którego wcale już podnosić nie trzeba było, tak rwał się i szamotał w ciasnych kajdanach rosyjskich. Jakikolwiek jednak krąg działalności, która na teraz nie mogła być wielką i zbyt znaczącą, obrali sobie pojedynczy członkowie Kapituły, to wszelako z chaotycznego zamętu rozmaitych kół i kółek, rosnących i umierających na anemię na bruku warszawskim, wytworzyło się już ciało osobne, skonsolidowane, uorganizowane, kwintumwirat, który miał rządzić wszystkim i wieść naród polski ku strasznej przyszłości powstania. To, co miało dotąd nieokreślone formy, stało się teraz spiskiem, konspiracją, przyobiekło się w ciało, chwyciło rodzaj władzy w swe ręce. Cezarowa kość była rzucona i Rubikon przekroczony. Któż jednak kiedy powstrzymać jest zdolny wodze spisku i rewolucji? Kapituła spostrzegła wkrótce, że na posiedzenia jej zjawia się i Adam Asnyk, najgorętszy z gorących, zjawiają się i Frankowski i Nowakowski, i zresztą kto chciał i nie chciał, boć przecie szło o ojczyznę, a do decydowania o jej losach, każdy się czuł upoważnionym. To, co Jankowski, Dehnel i Majewski zamierzali uczynić przez zorganizowanie zwierzchniego jakiegoś ciała, to jest powstrzymać młodzież od natychmiastowego wybuchu i rozpocząć poważne przygotowania, stawało się prawie niemożliwym wobec nacisku różnych samorodnych czerwieńców, którzy domagali się powstania, wyrznięcia Moskali, Bóg wie wreszcie czego. Z początku Kapituła stawiała tym nierozsądnym żądaniom śmiało i zwycięskie czoło, ale widziała, że i ją porywa szalony wir wypadków. Znalazła wprawdzie poparcie w całej młodzieży akademickiej, ale któż mógł zaręczyć, że gdzieś, na uboczu, nie utworzy się jakie inne ciało, które będzie robiło głupstwa? Kapituła nie miała mocy do powstrzymywania wszystkich szaleńców, i chorowała na to, na co chorują wszelkie spiski, na bezsilność wobec innego spisku. A przytem w tych umysłach rozgorączkowanych, rozbolanych cierpieniami i niedolą kraju, co chwila podnosiła się wątpliwość, czy mają prawo

kłaść tamy jakiegokolwiek działalności? a nuż ta działalność będzie dobrą i zbawienną dla kraju? czy stawiając jej zapory, nie popełni się przez to zabójstwa na własnej ojczyźnie? Któż może zapewnić, że droga, wybrana przez inny spisek, nie jest lepszą, bardziej odpowiadającą celowi?

Z drugiej strony Kapituła toczyła uparty spór z emigracją, a właściwie z Mierosławskim. Majewski wchodząc do związku, postawił za pierwszy warunek, by Kapituła nie zależała od emigracji, oddalonej od kraju, nieznającej obecnego położenia i pragnącej rządzić Polską z Paryża; twierdził, że nie Kapituła ma otrzymywać rozkazy od Mierosławskiego, ale raczej ten ostatni od niej. Oczywiście urodzony dyktator polski, nie chciał o tem nawet słyszeć, nazywał to „buntem” przeciw swej prawowitej władzy. Ztąd wywiązała się walka, spory, wyrzuty wzajemne. Majewski, zgodnie ze swym charakterem, usiłował tę burzę, nurtującą Kapitułę, uspokoić; jeździł nawet do Poznania, gdzie się spotkał z Kurzyną, przedstawiał mu niestosowność, by kraj był kierowany z Paryża, ale to wszystko nie na wiele się zdało. Mierosławskiego najoczywistsze, najlogiczniejsze wywody przekonać nie mogły.

Wobec takich sporów i wątpliwości, nikt nie śmiał poważnych stawiać przeszkód naciskowi szaleńców, których przecież pchała do tego gorąca, najczystsza miłość ojczyzny. A zresztą czasy były takie, że wszystko wrzało, wszystko здавало się płynąć ku jakiejś świetnej, swobodnej, jasnej przyszłości. Na niebie ludów ukazywały się rozliczne znaki niedalekiej wolności i braterstwa. Po wojnie włoskiej, która w tak cudowny, rzec można sposób oswoodziła słoneczną Italię od jarzma austriackiego, Garibaldi z garścią straceńców wylądował w Marsali i na skrzydłach zwycięstwa szedł do Neapolu i rozbijał na szczątki tyrański rząd Burbonów. Zamierzał stworzyć legion zagraniczny, którego dowództwo ofiarował Mierosławskiemu. Na wieść o tem, w kraju entuzjazm między młodzieżą był wielki; marzono, że po zniesieniu monarchii Burbonów w Neapolu, „zmarłychwstały wódz” pójdzie na czele swych szyków „z ziemi włoskiej do Polski”. A gdy Garibaldi zadawał cios po ciosie staremu porządkowi rzeczy w państwie Obojga Sycylii, gdy szedł jak wichler, i w końcu został dyktatorem Neapolu, здавало się, że nic mu już nie może przeszkodzić, że poczyna się „wielka jutrznia odrodzenia świata”. W kraju z chciwością czytano gazety, powtarzano każdą wieść, zachwycono się zwycięstwami, ubierano się w czerwone, garibaldijskie koszule i pasy, i buty wysokie, noszono w spinkach portrety wodza włoskiego, ozdabiano niemi ściany salonów obok Kościuszki i księcia Józefa, przeklinano Burbonów i zapowiadano rychły zgon tyranii i upadek despotów. Po ulicach Warszawy i wszystkich nieomal miast i miasteczek, włóczyło się mnóstwo Włochów w bandyckich, kalabryjskich kapeluszach, z katarynkami, które wygrywały nieustannie marsz Garibaldiiego i prawdziwy kult tego wodza, rozpowszechniały po Polsce.

Wszystko to, jak z jednej strony rozpalało jeszcze bardziej i tak już rozgorączkowane umysły młodzieży, dolewało oliwy do ognia, tak z drugiej utwierdzało ją w tem przekonaniu, iż zdanie Jurgensa i Majewskiego, że nie nadszedł jeszcze czas do działania, nie ma żadnej podstawy, jest zdaniem tchórzów lub niedołęgów; że teraz właśnie, gdy daleko, na południu, pod lazurowym niebom włoskiem unosi się purpurowy sztandar rewolucji, i po uciśnionych ludach przebiega tajemniczy dreszcz odrodzenia, że teraz właśnie działać trzeba szybko i stanowczo. Byli tacy, co układali już plan powstania. Chcieli oni skorzystać z jakiego wielkiego odpustu w Częstochowie, zgromadzić tam z pół miliona pielgrzymów, broń przynieść pod płaszcami, gorącymi mowami zachęcić lud do powstania i na czele tej rozentuzjazmowanej masy, rzucić się na Moskali. Takie szalone, wylęte w chorych głowach projekta, snuli ci ludzie, i bronili ich zacięcie i namiętnie, z wiarą w ich powodzenie. Nacisk tych ultraczerwieńców, tych pijanych złudzeniem serc, był tak silny, narady były tak głośne i burzliwe, że nawet ówczesna policja warszawska, złożona z Polaków, a przytem zdeorganizowana trochę przez miękkie, liberalne prądy czasu, zwróciła na to uwagę. Ostrzeżono Jankowskiego, który z tego powodu oraz dla porozumienia się z Mierosławskim w sprawie legionu zagranicznego i w sprawie interesów rewolucyjnych, a głównie dla urzędzenia stałej i pewnej komunikacji między Warszawą i Francją, wyjechał z kraju. Był w Paryżu u Mierosławskiego i wróciwszy, jeździł jakiś czas z Poznania do Krakowa i odwrotnie, zawiązywał tam stowarzyszenia, tworzył koła i kółka. Jego częste podróże zwróciły uwagę władz austriackich; poczęto go śledzić i w końcu przyaresztowano go na komorze granicznej w Szczakowy, gdy wracał z Poznania do Krakowa. Znalezione przy nim różne kompromitujące go papiery, choć starał się niektóre podrzeć, a nawet kilka połknął, lecz i z tych, jakie ocalono, policja austriacka przekonała się, że tworzą się w granicach dawnej Polski związki w celu zbrojnego powstania. Kilkanaście osób w Krakowie, przeważnie młodzieży szkolnej, aresztowano i wysłano do domu, a Jankowskiego po śledztwie, po długiej korespondencji między naczelnikiem policji krakowskiej, Wukachowiczem, a konsulem austriackim w Warszawie Ledererem i prezesem komisji śledczej w cytadeli, margrabią Pauluccim, wydano w ręce rosyjskie i w końcu 1860 r. przywieziono do cytadeli warszawskiej. Tym sposobem zeszedł na zawsze ze sceny jeden z najpierwszych i najenergiczniejszych przewodców rewolucyjnego ruchu w kraju, szczęśliwy, że nie brał udziału w strasznych późniejszych scenach, że nie patrzył własnymi oczami na krwawe owoce swego ślepego, nie kierowanego rozumem patryotyzmu⁷⁰.

⁷⁰ Jankowski po długim siedzeniu w cytadeli, zesłany został na Sybir, gdzie dostał pomieszenia zmysłów i koło r. 1867 umarł.

W Krakowie istotnie objawiał się między młodzieżą ten sam ruch z charakterem rewolucyjnym, jaki panował i w Warszawie.

Wojna włoska zmusiła Austrię do ustępstw, do pogodzenia się z tak zwaną ideą narodowości, którą przed wojną nazywała w publicznych swych odezwach „najniebezpieczniejszą utopią”. Namiestnikiem Galicji został Agenor Gołuchowski, który jadąc do Lwowa, dawał się głośno słyszeć, że rząd nie chce tępić podwładnych sobie narodowości, że język polski przywrócony zostanie w szkołach i urzędach. Wszystko to oczywiście wpływało na ożywienie, na niezwykły w tej nieszczęsnej krainie, stoczony do szpiku przez robactwo rakuskie, ruch umysłów. Młodzież uniwersytecka w Krakowie, zjechawszy się po wakacjach 1859 r. uchwaliła upomnieć się o wykład polski na uniwersytecie i w tym celu wysłała do Wiednia dwóch delegatów: Wołka i Szczepańskiego. Obu delegatów tych aresztowano, ale ruchu tem bynajmniej nie wstrzymano, a rezultat śledztwa w sprawie Jankowskiego, pokazał rządowi austriackiemu, że na całym obszarze dawnej Polski panuje wielkie wzburzenie umysłów i silne pragnienie wydobycia się z dotychczasowego smutnego politycznego położenia.

Kapituła warszawska, pozbawiona swego przewodnika, nie miała już siły do stawienia czoła burzliwym falom, uderzającym w nią z coraz większą wściekłością. Młodzież, tacy Nowakowscy, Frankowscy, Asnyki, cała ta grupa głów zdolnych, gorących, szalonych, domagała się nieustannie czynu, zamianifestowania publicznego przed rządem rosyjskim swych uczuć, podniesienia w narodzie ducha, który wydawał im się być nie dość jeszcze wysoko napiętym. Jak zwykle, gdy umysły są nastrojone w jakim kierunku, gdy pragną czegoś, pożądana rzecz się zjawia; tak samo i tutaj, dla tych, co chcieli się manifestować i wyczekiwali tylko na szczęśliwą sposobność, na jakiś przyjazny zbieg okoliczności, okoliczność się taka przytrafiła.

Zdarzyło się mianowicie, że dnia 9 Czerwca 1860 r. wśród rewolucyjnych wichrów, szalejących po umysłach, wśród odgłosu działań, dobiegających aż tutaj z nad zatoki Neapolitańskiej, zmarła w Warszawie Katarzyna Sowińska, wdowa po jenerale, który bohaterską śmiercią poległ na ołtarzu kościółka wolskiego we Wrześniu 1831 r. Trzeba było tych czasów gorących, tej palącej atmosfery, przesiąkniętej burzą, by śmierć kobiety starej, ośmdziesięcioletniej przeszło, którą dotąd nikt się nie zajmował, nikt prawie nie wiedział o jej egzystencji, stała się niejako punktem wyjścia dla wielkiej, historycznej tragedii. Córka niegdyś dyrektora mennicy za Stanisława Augusta, Szrederówna z domu, a z pierwszego małżeństwa Jonas, kalwinka, od śmierci męża pędziła życie ciche, spokojne, poświęcone czynkom miłosiernym. W dobrach swoich od dawna chłopów oczynszowała. Jako wdowa jednak po jenerale polskim,

który umiał umrzeć heroicznie za ojczyznę, miała na siebie zwrócone bacne oko policyi. W r. 1835 ktoś z emigracyi napisał do niej list, który na poczcie przejęto i Paskiewicz osadził Sowińską na dożywotnie więzienie w klasztorze Benedyktynek w Łomży, z kąd ją jednak w dwa lata później uwolnił. Odtąd żyła cicho, zajęta wyłącznie swymi ubogimi. Umarła na apopleksyą na ulicy Świętokrzyskiej, w chwili właśnie, gdy szła z pomocą do jakiejś biednej wdowy.

Prawdopodobnie uwagę czerwieńców zwróciły ogłoszenie w „Kuryerze” i plakaty, zwane w Warszawie klapsydrami, donoszące o śmierci Sowińskiej⁷¹. Niejaki Mateusz Gralewski, syn chłopca z Łęczyckiego, który niedawno powrócił z Kaukazu oraz drugi jeszcze wygnaniec, Sybirak zdaje się, Agaton Giller, który dzięki amnestyi, znalazł się w kraju, zaproponowali młodzieży szkoły sztuk pięknych, ażeby skorzystali z tej okoliczności, uczcili za służbę generała Sowińskiego, a w granicze rzeczy żeby zapuścili sondę w głąbie ludowe.

Myśl ta podobała się powszechnie i Karol Nowakowski wziął się do urzeczywistnienia projektu Gralewskiego. Zaraz też na klapsydrach pojawiły się dopiski ołówkiem porobione: „niech żyje Polska! cześć bohaterowi Sowińskiemu”; na innych znajdowały się ustępy ze znanej pieśni o Sowińskim, pojedyncze wiersze, jak np. „krzycz pardon! Moskał go wzywa, on mu kulą pierś przeszywa, oto masz pardon Polaka” itp. Policya spostrzegła, że się coś gotuje. Plakaty z dopiskami pozrywano i dla położenia tamy gotującej się manifestacji chwycono się środka dość niezręcznego. Ajenci policyjni poczęli mianowicie rozpuszczać pogłoskę, że pogrzeb się już odbył, albo że dopiero o 8-ej wieczorem się odbędzie, kiedy ogłoszenia zapraszały na szóstą; że zmarła nie była wcale żoną generała, ale tylko jego imiennika; twierdzono nawet, że dobrym katolikiem nie wypada być na pogrzebie heretyckim. Półśrodki te jednak na nic się nie zdały, nie oszukano nimi czujności młodych czerwieńców, którzy doskonale o wszystkim wiedzieli, mieli swe stosunki i wpływy w mieście i zdecydowani byli na doprowadzenie manifestacji do skutku.

Jakoż wśród drobnego, ale rzesistego deszczu zebrały się w oznaczonym dniu i godzinie tłumy publiczności na ulicy Królewskiej, gdzie mieszkała Sowińska. Cała ulica została zajęta przez karety i dorożki, a studenci szkoły rolniczej w Marymoncie pod Warszawą najęli kilka ekwipaży pocztowych dla odwiezienia z cmentarza młodzieży z powrotem do miasta. Gdy wyniesiono

71 „Kuryer Warszawski” z d. 10 Czerwca 1860 r. zawiadomił, że „w dniu wczorajszym o godz. 1-ej z południa zakończyła życie wdowa po b. pułkowniku b. wojsk polskich, Katarzyna Sowińska, lat 85. Zwłoki jej odprowadzone będą na cmentarz Ewangelicko-Reformowany d. 11 bm. o godz. 6-ej wieczorem”. Na klapsydrach zmarłą nazwano wdową po b. komendancie szkoły aplikacyjnej b. wojsk polskich.



„Chłop i szlachta” – okazywana publiczna solidarność wszystkich klas społecznych stała się jedną z form demonstracji politycznej w przedpowstaniowej Warszawie. Moda na polskość w ubiorze ogarnęła ludność Warszawy, szlachta przywdziewała kontusze, młodzież czamary i rogatywki. Magnat, szlachcic i chłop kroczący pod wspólnym sztandarem, symbolizują równość klas społecznych. Rys. Artur Grottger

zwłoki zmarłej i służba pogrzebowa chciała trumnę wstawić na karawan, młodzież przeważnie w niebieskich i czerwonych kołnierzach, nie pozwoliła na to i na swych ramionach poniosła ciało ulicami Żabią, Elektoralną, Chłodną za rogatki Wolskie na cmentarz kalwiński. Orszak, wynoszący w przybliżeniu około kilkunastu tysięcy głów, składał się prawie wyłącznie z samych mężczyzn, z młodzieży szkolnej, akademickiej i cywilnej wszelkich stanów, z emigrantów, wielu byłych wojskowych polskich, kilku oficerów rosyjskich i znacznej ilości szlachty wiejskiej, która właśnie zjechała się do Warszawy na czerwcowe posiedzenie Towarzystwa rolniczego. Kobiet było niewiele, a z arystokracji dominował swą olbrzymią postacią młody Zygmunt hr. Wielopolski, syn margrabiego Aleksandra. Żydów, zwłaszcza ze sfer inteligentniejszych, znalazło się także kilkunastu. Co chwila zbliżały się do trumny nowe grupy, domagając się, by i oni mogli ponieść na miejsce wiecznego spoczynku „zonę bohatera”⁷². Pogrzeb swą ciszą i powagą robił wielkie, imponujące wrażenie.

Przy rogatkach Wolskich czekał na zbliżający się kondukt pogrzebowy bardzo liczny tłum osób wszelkiego stanu i wieku. Na cmentarzu koło grobu ścisk był tak wielki, że się duszono. Pastor kalwiński, Spleszyński, śmiertelnie blady, obłany kroplistym potem, drżący cały i przerażony widocznie tą manifestacją, której znaczenie rozumiał, wśród wypogadzającego się nieba, zwyczajem swego wyznania miał mowę po polsku nad mogiłą. Gdy rzekł „oto leżą przed nami zwłoki ś. p. Katarzyny Sowińskiej, wdowy po pułkowniku”, przerwano mu, krzycząc głośno „po jenerale! po jenerale polskim! wdowa po śp. polskim jenerale z pod Woli!” Gdy miano na koniec trumnę chować do grobu, rzucono się na nią, odarto z ozdób, dzielono się niemi jako drogą pamiątką. Samą trumnę w tymże celu chciano na drzazgi połupać, ale przecie ktoś powstrzymał ten zbytek zapału. Za to suknię jedwabną, ciemno-popielatą, wystającą z trumny, porozrywano na drobne strzępki. Mogiłę zasypano literalnie liśćmi, które zrywano z drzew. Gdy na koniec pogrzeb się skończył, wśród tłumu poczęły się rozlegać okrzyki „teraz chodźmy na Wolę! trzeba iść pod wolski kościółek, trzeba tam westchnąć za duszę obojga!”

Gromadkami po kilku i kilkunastu, sama przeważnie młodzież szkolna, akademicka i rzemieślnicza, ruszyła ku Woli; inni poszli dalej, szukać sławnej, Mickiewiczowskiej reduty Ordon. Na cmentarzu wolskim, zacienionym gęstymi drzewami, bujnie rosnącymi na ziemi, obficie krwią polską zlanej, otoczonym starymi okopami, których niestety! Sowiński obronić od przemocy nie mógł, zebrało się około tysiąca osób. Pop miejscowy, zdziwiony

72 Urzędnik policyjny, którego raport o pogrzebie złożony władzy wyższej, mamy przed sobą, powiada, że nie mógł spisać nazwisk tych, którzy trumnę nieśli, z powodu tego, że zmieniano się co chwila, że wiele osób po raz pierwszy widział i nazwisk ich nie zna.

tym nagłym, niezwykłym napływem publiczności polskiej na cmentarz prawosławny, wyszedł na ścieżkę i stał na pół skamieniały. Gdy atoli tłum począł zrywać rosnące na grobach gałęzie jaśminu i przypinać je do piersi na pamiątkę tego dnia, a gdy jaśminu nie stało, to gałęzie z drzew, wmieszali się w to dwaj stróże cmentarni. Zakrzyczano ich, zwymyślano i w końcu wzięto pod rękę i wyrzucono za wrota cmentarne. Poczem wszyscy, umajeni jaśminem i gałązkami zielonemi, tłumnie, wśród okrzyków entuzjastycznych, wrócili, do miasta.

Manifestacja ta, jak z jednej strony zadowolili w zupełności gorących czerwieńców i przekonała, że poruszyć ludność warszawską w celu jakiejś awantury ulicznej o charakterze politycznym, nie jest rzeczą zbyt trudną, tak z drugiej strony władze rosyjskie nie mogły pominąć milczeniem tej sprawy zbyt rozgłoszonej, zwłaszcza przez dziennikarstwo francuzkie, zbyt krzyczącej i zbyt wielu świadków mającej. Koterya Kotzebuego widziała w tem oznakę blizkiej rewolucyi i domagała się surowego śledztwa i surowej kary na inicjatorów tej „zuchwałej”, jak ją nazywali, manifestacyi. Żądanie to nabierało tem większego znaczenia, że od władz pruskich nie przestawały nadchodzić ostrzeżenia, iż w „Warszawie istnieje szeroko rozgałęziony spisek polityczny, dążący do powstania. Ostrzeżenia te, dawane jakoby przez uczucie szczerej przyjaźni, popierane były przez ciągłe i uparte twierdzenia prasy niemieckiej, utrzymującej jednogłośnie, że w całym Królestwie, na Litwie i Rusi rozwija się bardzo silna agitacja polityczna. Jakkolwiek koterya Kotzebuego od dawna już to samo utrzymywała i domagała się od Gorczakowa przykrócenia rozluźnionych nieco cugli, jednakże wszelkie jej namowy nie przynosiły rezultatu, nie dlatego, żeby namiestnik nie ulegał wpływom Kotzebuego, tak samo jak ulegał wszelkim innym, ale dlatego, że był za leniwy, że mu się nie chciało wprowadzać zmian, nad którymi potrzeba było rozmyślać, zajmować się sprawami rządowemi, których on nie cierpiał, które go odrywały od lektury modnych romansów francuzkich, dlatego na koniec, że spowodowałyby to pewne sarkania, których odgłos doszedłby bez wątpienia do liberalnych salonów petersburskich i wywołał w nich oburzenie na starca, drzemiącego na stolcu namiestnikowskim w Warszawie. Teraz jednak, gdy z ostrzeżeniami zagranicznymi zbiegła się krzycząca manifestacja polityczna na pogrzebie Sowińskiej, naleganiom Kotzebuego trzeba było uleść, jeżeli nie chciano wyraźnie okazać swego niedołęstwa i ospałości. Śledztwo wszakże, prowadzone niedbale przez nieliczną i źle zorganizowaną policją, która nawet dziesięciu nazwisk nie mogła zebrać z pomiędzy kilkunastu tysięcy uczestników pogrzebu, nie doprowadziło do niczego. Wkońcu Gorczakow znudzony tem, jak wszyskiem, co go odrywało od jego bezcelowych marzeń, kazał śledztwo

przerwać i całą sprawę uważać za zwykłą awanturę uliczną i swawolę młodzieży szkolnej.

Na tem by się zapewne skończyło i na Zamku warszawskim wrócono by do dawnej beczynności, drzemki i obojętności na wszystko, gdyby nie wieść, jaka właśnie w tej porze poczęła obiegać między kolonią rosyjską w Warszawie, której źródło zapewne leżało w koteryi Kotzebuego, w intrydze osnutej dlatego, by pobudzić leniwego Gorczakowa do działalności energicznej, do przywrócenia rządów despotyzmu wojskowego, do czego koterya ta stale dążyła, nie przebierając w środkach. Mówiono mianowicie, że d. 26 i 27 Czerwca ma wybuchnąć w Warszawie powstanie zbrojne, że będzie rzeź Moskali, powtórzą się sławne i niezapomniane nigdy przez Rosyą dni kwietniowe, Wielki tydzień Polski 1794 r. Wieści te przybrały tak szerokie rozmiary, z taką pewnością mówiono o nich na Zamku, że w końcu Gorczakow, nie wierząc w ich prawdziwość, uznał jednak za stosowne przedsięwziąć niektóre środki ostrożności. Zdwojono więc i zwiększono patrole policyjne na ulicach, w nocy przebiegały miasto gęste oddziały kozackie, wojskom w koszarach nakazano czujność i gotowość wojenną, ogród Saski polecono zamykać o godz. 9-ej wieczorem tj. zaraz po zachodzie słońca; na prezesa komisji śledczej mianowano cieszącego się później smutną sławą dręczyciela więźniów, generała Jołszyna, w miejsce miękkiego Włocha i katolika, generała Paulucci.

Wszystko to były środki, które w żadnym razie nie mogły wpłynąć na uspokojenie czerwieńców, zwłaszcza że przeprowadzono je tak cicho i tak niezauważalnie, iż ogół Warszawy nie wiedział o tem wcale. Co się tyczy młodzieży, to ta choćby nawet wiedziała, że rząd przedsięwziął pewne środki ostrożności w obawie przed pogłoskami o powstaniu, o którym w tej chwili nikt na seryo nie myślał, to byłaby się nie cofnęła wobec ogarniającej ją stopniowo coraz większej gorączki, wobec pogardy, jaką żywiono dla rządu i jego słabości. Już tych serc i głów szalonych, upitych haszyszem ślepej miłości ojczyzny, żadna siła powstrzymać nie była zdolną, a cóż dopiero jakieś patrole kozackie na ulicach, lub Jołszyn w cytadeli. Po manifestacyi na pogrzebie Sowińskiej rozpoczął się teraz szereg drobnych czynów i faktów, dowodzących, jak dalece agitacya rewolucyjna przeniknęła nieomal wszystkie słoje społeczne.

W jesieni tegoż roku, przed przyjazdem cesarza, którego się spodziewano i który miał się zjawić w stokroć wspanialszem otoczeniu niż to dotąd bywało, wszyscy kupcy, przemysłowcy i w ogóle ludzie trudniący się jakimkolwiek procederem, otrzymali przez pocztę miejską bezimienne wezwania, ażeby na znakach, wiszących na ulicy, poznosili napisy rosyjskie i cudzoziemskie, gdyż w przeciwnym razie będą mieli wybite szyby w oknach i sklepach. Wielu kupców, którzy jak zwykle kupcy poza swoim interesem nic więcej godnego swej

uwagi nie widzą, nie widzieli więc także agitacyi, trawiącej miasto i kraj od paru lat i powszechnego wzburzenia umysłów, uważając te groźby za jakiś niesmaczny i niewłaściwy żart kilku, jak mówili w swym ordynaryjnym, kupieckim języku, „łobuzów”, udało się z tymi listami do policyi. Policya zbywała ich ni tem, ni owem, a gdy niewidoma władza czerwieńców groźby swe względem nieposłusznych wykonywała. Tłukła szyby w oknach i sklepach, wówczas wszyscy zadość uczynili tajemnemu rozkazowi i wszystkie szyldy w Warszawie miały jeden tylko napis polski.

Prócz tego w prasie, jakeśmy to już poprzednio wspomnieli, w mnóstwie ulotnych świstków, zalecana była oszczędność, zwłaszcza w strojach kobiecych: surowo napominano nie wypełniające tej „woli narodowej” panie w bezimiennych listach, polecając im wydatki zaoszczędzone na strojach obracać na pożytek ojczyzny. Zdarzało się nieraz, że postępująca ulicą strojnisia usłyszała za sobą groźne słowa: „zachowaj pani swe pieniądze na lepsze niż stroje cele”. Gdy się obróciła, ujrzała zwykle młodego człowieka, spokojnie idącego dalej. Bardzo często i obficie pokazywały się teraz plakaty, poprzylepiane zwykle w nocy na rogach domów i ulic, zabraniające w tonie modnego w tej porze, sentymentalnego patosu, wszelkich zabaw, przyjęć, balów; tym, którzy tego nie słuchali, groźono w listach, zawsze bezimiennych, karą wybicia okien, jako ludziom nie umiejącym godnie i odpowiednio się zachować wobec nieszczęść narodowych, wobec ojczyzny uciśnionej. Pan Andrzej Zamoyski wznosił swym kosztem przed kościołem św. Krzyża kolosalną statwę kamienną Chrystusa dźwigającego krzyż i wołającego do tłumów, snujących się u Jego stóp: *sursum corda*, w górę serca! jak gdyby te serca, palone gorączką czynu, trzeba było jeszcze podnosić i napawać nadzieją.

Taki był stan umysłów, taki terroryzm, jaki poczęła garść czerwieńców, młodzieży szkolnej, „smarkaczy”, jak ich słusznie nazywał Jankowski, wywierać na mieszkańców Warszawy, gdy w jesieni, w zwykłych swych corocznych odwiedzinach, miał przybyć do stolicy Polski cesarz rosyjski. Tym razem zjazd, który się opóźnił nieco z powodu połogu cesarzowej, miał być daleko świetniejszy, niż to dotąd bywało. Zapowiadano bowiem przybycie także reagenta pruskiego, późniejszego cesarza Niemiec, Wilhelma, słusznie przez historią ozdobionego przydomkiem „Zdobywcy” oraz cesarza austriackiego Franciszka Józefa. Oczywiście takie spotkanie się trzech najpotężniejszych monarchów północnych musiało na siebie zwrócić uwagę Europy i w świecie dyplomatycznym wywołać niezwykle zainteresowanie. Wprawdzie cesarz Aleksander zapewniał najbardziej zaniepokojoną tym zjazdem Francją, że tu nie idzie o koalicję, ale o pokój, mimo to jednak świat przez chwilę z obawą spoglądał ku Warszawie, gdzie, jak sądzono, miały się decydować najważniej-

sze sprawy ucywilizowanych narodów. Przekonano się później, że w gruncie rzeczy nic podobnego nie było; że cesarz Aleksander miał może jedynie na celu okazanie Europie swej potęgi, tej potęgi, która, zdawało się, na zawsze zdruzgotaną została pod murami Sewastopola.

Jeżeli atoli świat polityczny europejski z takim niepokojem spoglądał na zjazd warszawski, o ileż bardziej interesował on Polaków i uderzać musiał rozgorączkowany ich umysł tym szczególnym zbiegiem okoliczności, że w chwili właśnie ożywienia się ich nadziei i serc, trzej rozbiornicy ich ojczyzny zjechali się do stolicy kraju jakby na urągowisko, jakby na przypieczętowanie wieka do trumny, w którą gwałtem wtłoczyli żywą i żyjącą Polskę. Okoliczność ta wpadała w oczy wszystkim i w każdym, najzimniejszym nawet umyśle rodziła bolesne uczucie i kazała zachować się wobec świetnych uroczystości zjazdu z godnością i powagą. Takie uczucie budziły we wszystkich ludziach rozważniejszych zapowiedziane odwiedziny monarsze, a w głowach czerwieńców, młodzieży, która zasmakowała w manifestacjach, którą to bawiło, dla której taka walka z rządem stanowiła pewien rodzaj aportu, zjawiała się jedyna, która się już nigdy nie powtórzy, sposobność zrobienia wspaniałej jakiejś demonstracji. Dla rozważniejszych, dla Dehnela i Majewskiego, była to sposobność także jedyna, z której należało bądź co bądź skorzystać. Należy, mówili, pokazać z jednej strony światu, że Polska nie przestaje protestować przeciw gwałtowi na niej dokonanemu, że taki zjazd jest po prostu dla niej obelgą, której ona bezkarnie znieść nie może; z drugiej objawienia swoim zaborcom, którzy się zjeżdżają do stolicy zabitej ojczyzny jakby na urągowisko, że naród nie śpi, ale budzi się z długiego i ciężkiego snu. Najtrzeźwiejsi nawet ludzie, najspokojniejsi, nawet Klemensowczycy, których teraz czerwieńcy poczęli zwać stronnictwem „białych”, sądzili, że dobrze by było okazać trzem monarchom swe niezadowolenie, swe niezapomniane urazy i nieprzyjaźń nieprzejednaną. Tak więc wszystkie prawie stronnictwa z porozumieniem i bez porozumienia zgodziły się na jedno. Jakże wszelako miały być te manifestacje, nikt nie wiedział i nikt się tem nie zajmował i tym sposobem ich inicjatywa dostała się w ręce „smarkaczy”, którzy też prawdziwie po szkolnemu, z charakterem wyraźnej, młodzieńczej swawoli je urządzili. Kapituła Dehnela, Majewskiego i Krajewskiego chciała wprawdzie nadać temu cechę surowej powagi i w tym celu wydała odezwę, którą w licznych egzemplarzach rozrzucono po mieście i poprzylepiano po rogach ulic.

W odezwie tej, pełnej niesmacznego patosu, pisano do „braci”, że zjazd „trzech kruków, którzy rozerwali naszą ojczyznę”, jest niezmiernie ważną chwilą w historii naszych nieszczęść, bo nie pozostanie prawdopodobnie bez wpływu na naszą gorzką dolę, że zapewne ujrzymy nowy program działań

ności, która pod maską reform dążyć będzie do zupełnego wytępienia naszej narodowości. Prócz tego odezwa utrzymywała, że zjazd ma niewątpliwie jeszcze inny cel, że te „smoki” postanowiły stanąć oporem wszelkiej sprawiedliwości i słuszności, że nadeszła chwila, w której stolica wielkiej Rzeczypospolitej winna okazać swą pogardę i nienawiść, jaką przepełnione jest serce każdego Polaka ku tym „świętokradcom”, którzy targnęli się na prawa Boże, na wolność i niepodległość naszej ojczyzny. W końcu proklamacja wzywała, żeby Warszawa w czasie pobytu monarchów podobną była do czarnej trumny, obitej suknem czarnem; żeby im przypominała na każdym kroku ich zbrodnię; żeby wszelka radość ubrała się w całun śmierci, że nakazuje nam to duch przeszłej wielkości naszej i tysiące braci poległych w obronie ojczyzny.

Te słowa bombastyczne, pełne sztucznej afektacji i romantycznego sentymentalizmu, miały przywilej wyciskania łez czyhającym. Tak dawno w kraju nic podobnego nie widziano i nie słyszano, tak dawno słowo „ojczyzna” wykreślone było ze słownika polskiego, że wyrazy te rozrzewniały biedne, nieszczęśliwe serca polskie, przypominały im wszystkie boleści, wszystkie nieszczęścia i wszystkie niedole nasze. Odezwę tę czytano gorączkowo, rozrywano ją sobie, płakano nad nią i wśród łkań przyrzekano zachować się z powagą, surową obojętnością i pogardą wobec uroczystości i wspaniałych uczt, jakie sobie zaborcy wyprawiać będą na trupie Polski. Jeżeli atoli w kraju stronnictwo czerwieńców chciało zająć stanowisko nieprzejednanej opozycji względem zjazdu monarchów, to za granicą, w emigracji polskiej, zwłaszcza w stronnictwie Czartoryskiego i generała Władysława hr. Zamoyskiego, tego „widma Polski” (*spectre of Poland*), jak go Anglicy nazywali, inaczej się na te rzeczy patrzano. Przy tym ostatnim od paru lat istniało tzw. „biuro”, złożone z najdzielniejszych pisarzy emigracji, z tych samych, którzy wydawali w Paryżu pismo „Wiadomości polskie”, jak: Julian Klaczko, Waleryan Kalinka, Wyziński, były profesor historii w uniwersytecie moskiewskim, Zygmunt Jordan, Plichta oraz kilku Francuzów, którzy wówczas młodzi, później mieli się wślawić w literaturze ojczystej. Zadaniem pierwotnym tego biura było informowanie prasy francuskiej co do spraw polskich; bardzo często redagowały się tu artykuły dotyczące Polski, które potem ukazywały się w gazetach francuskich. Instytucją tą kierował bezpośrednio generał Zamoyski, brat rodzony Andrzeja, niegdyś świetny W. ks. Konstantego adjutant, który w posępnej nocy listopadowej 1830 r. tak przeważną a zarazem tak zgubną dla kraju odegrał rolę, zdobywca sztandarów na szosie Kałuszyńskiej, dziś człowiek już stary, ale zapalony i nieprzejednany wróg Rosyi: pośrednio zaś biuro stało pod zarządem starego ks. Adama Czartoryskiego i od niego brało natchnienia. Ale jak zwykle bywa, gdy człowiek podeszłych lat otoczony jest przez młodych, powoli ulega ich wpływowi i gdy mu się zdaje, że kieruje jaką sprawą, sam jest

kierowany, tak i tu było. Biurem w rzeczy samej rządził Klaczko, Kalinka, Wyziński i inni. Otóż z powodu zjazdu monarchów w Warszawie biuro postanowiło wystąpić z jakimś uroczystym aktem, który by przypomniiał spotykającym się w stolicy Polski jej zaborcom, ich zobowiązania względem tej Polski, oraz Europie, zapatrzonej teraz na Warszawę, że Polska żyje i żyjąc, upomina się, jeżeli już nie o wszystkie swe prawa przyrodzone, to przynajmniej o te, które jej uroczystymi zobowiązaniami i traktatami były zaprzysiężone i zapewnione. W tym celu pragnęło biuro, żeby najważniejsze części rozbiorowej Polski, a mianowicie: Królestwo, Wielkopolska i Galicya, wystąpiły z jednobrzmiącym memoriałem do zjeżdżających się w Warszawie monarchów. Memoryał taki wygotowano. Opierał on się na warunkach i przyrzeczeniach kongresu wiedeńskiego i domagał się, by zobowiązania, jakie trzej zaborcy na rzeczonych kongresie wzięli na siebie, a których albo wcale nie wykonali, albo je później pogwałcili, zostały przywrócone w całości. Rzeczą była rozumnie pomyślana i jeżeli kiedykolwiek mogła mieć jakieś szanse powodzenia, przynajmniej odnośnie do Królestwa, to właśnie teraz, gdy na tronie rosyjskim siedział cesarz liberalny, gdy rozpoczął szereg reform, mających z gruntu przeobrazić olbrzymi carat. Nie ulega jednak wątpliwości, pominąwszy już kwestyą, czy znalazłyby takie żądania odgłos w osobach monarchów, że w kraju, który żadnego innego rozwiązania sprawy polskiej nie widział, jak tylko przez przywrócenie niepodległości politycznej w granicach przedrozbiorowych, memoryał ten musiałby być przyjęty niechętnie i z oburzeniem. Nazywano by to zdradą ojczyzny, zdradą tradycji polskiej i jej posłannictwa historycznego, zaprzęciem się wrogom; jednym słowem, obrzucano by memoryał i jego twórców tymi frazesami, które tak modne były w tej epoce i które tak łatwo zrywają się z ust polskich, gdy kto ma inne przekonania w sprawach ojczyistych, niż tłum bezmyślny.

Autorowie memoryału wiedzieli o tem wszystkim i mimo to nie ulękli się, co bardzo dobrze świadczy o ich odwadze cywilnej i ich patriotyzmie. Memoryał, jakieśmy rzekli, został przygotowany i szło tylko teraz o rzecz najważniejszą tj. ażeby znaleźć takiego człowieka, który by go podał, człowieka z pewnem imieniem znanem krajowi, ze stanowiskiem towarzyskiem i społecznym. Takiego człowieka nie łatwo było znaleźć wówczas w Polsce, obezwładnionej przez Paskiewicza i napojonej zabobonnym strachem przed rządem. Ci zaś, którzy by nie wahali się podać memoryału, cała gorąca grupa czerwieńców, nie chciałaby tego zrobić nie przez obawę, ale dla tego że memoriał nie odpowiadał ich przekonaniom; zresztą w stronnictwie tem nie było ani jednej osobistości, której wystąpienie mogłoby mieć jakiekolwiek znaczenie polityczne. Tutaj więc nie udawali się nawet ze swą propozycją autorowie memoryału; tam zaś gdzie się udali, napotkali stanowczą odmowę.

Zdarzyło się, że właśnie w tej porze bawił w Paryżu margrabia Aleksander Wielopolski, który pomimo swej niepopularności i różnicy poglądów na sprawę polską, umiał zawsze zachować pewne stosunki z Czartoryskimi, a zwłaszcza z generałem Zamoyskim i tą częścią emigracji, która czy to przez swe położenie majątkowe, czy ze względu na swe nazwiska lub zasady, grupowała się koło pałacu Lambert. Jeszcze przed dziesięciu laty, w r. 1850, obaj Wielopolscy, ojciec i syn przebywali przez jakiś czas w Paryżu i rozmawiali dużo i często ze stronnictwem Czartoryskich o sprawach polskich. Wrażenie z tych rozmów obaj Wielopolscy wynieśli bardzo smutne. Element emigracyjny wydał im się starym, zużytym, skostniałym w swych pojęciach, nie znającymi Rosyi i położenia kraju, a nadewszystko nabyli przekonania, że jest wrogi ich poglądom⁷³.

W emigracji, w grupie redagującej memoriał, wiedziano zapewne o tem, mimo to postanowiono udać się do Wielopolskiego z propozycją, by memoriał podał komu należy w Warszawie. Mówiono sobie, że margrabia jest bardzo wybitną osobistością, znaną całemu krajowi, człowiekiem z wielkim imieniem historycznym, głową stronnictwa, które wprawdzie nic nie ma więcej prócz głowy, wszelako reprezentuje pewną ideę, mężem na koniec, któremu z pewnością nie zabraknie odwagi do podania trzem zaborcom w Warszawie memoriału. Osobistość więc margrabiego odpowiadała wszelkim wymaganiom, a w dodatku miała i tę zaletę, że opinia kraju zwali swe oburzenie za występny, jak go nazwie, memoriał, nie na emigrację, ale na margrabiego; stanie się on kozłem ofiarnym, na którego wszystkie obelgi i klątwy zacietrzewionych patriotów spadną. Jemu samemu pocieszano się w głębi obrażonego tą kazuistyką sumienia, nic przez to złego się nie stanie; opinią i tak ma przeciw sobie, i jedno ziarnko mniej lub więcej na szali popularności krajowej nic nie zaważy. Nie wątpiono zresztą, że margrabia, który wyznawał takie same przekonania, jakie głosił memoriał, który kilkakrotnie już próbował a zawsze na próżno, wystąpić z adresem do cesarza, chętnie się podejmie tej misyi. Miał po temu sposobność, jaka się drugi raz nie przytrafi; nie sam przychodził, jak to dotąd bywało, ale do niego przychodzono.

Bądź co bądź, generał Zamoyski rozpoczął pertraktacje z Wielopolskim i memoriał mu wręczył. Margrabia w zasadzie pomysł pochwalił i memoriał

73 „Zraził tych panów nie pomału, pisał w trzydzieści kilka lat potem Zygmunt Wielopolski w broszurze okolicznościowej „List otwarty do hr. Stanisława Tarnowskiego”, zamiar mój wstąpienia do wojska rosyjskiego; zdumiewali się, zdawali się nie rozumieć, poczytywać sobie za ujmę, ojczyźnie za krzywdę, za wyłamywanie się z pod patryotycznej subordynacji, każde dążenie do poprawy losów kraju na innej drodze, aniżeli podług układanej przez nich politycznej kolejki. Pojąć nie mogli, że kraj bez nich obchodzić się może, obchodzić się musi”.

wziął do przeczytania, ale w parę dni potem zwrócił go i współudziału odmówił. Jakie powody go do tego skłoniły, trudno wiedzieć; może, co jest najprawdopodobniejszym, nie chciał być wyrazem przekonań innych, może chwilę uważał za nieodpowiednią, może w przeczuciu bliskiej swej roli historycznej nie chciał jej kompromitować lub brać na siebie jakiegokolwiek zobowiązania względem emigracji, może wreszcie i w nim obudziła się obawa. Dość, że projekt ten skończył przy swym narodzeniu⁷⁴ a „Wiadomości polskie” poczęły wlewać do mocno zaognionej rany, nowy jad trujący. „Jeszcze, pisały one, związkowi nie zjechali do miejsca swego zebrania a już zauważono zdwojenie się surowości w niektórych naszych prowincjach.

Władze i policja zwiększyły czujność; mówią o licznych aresztowaniach (co nie było prawdą). Serce się ściska na myśl cierpienia, jakie się gotują, niemniej przeto mamy racją a nawet odwagę wyznać, że wolimy cierpienie niż kłamliwą przychylność. „Wolimy je niż te okrzyki radości, radości nakazanej i podejrzananej, jakie się słyszeć dają w Polsce podczas przejazdu cesarza rosyjskiego i które każą wierzyć Europie, że umiemy zapominać o naszych prawach i naszej godności. Dziś więzienia są pełne, to prawda, ale za to sale balowe puste, i wybierając z dwojga złego, wolimy dla naszych braci męczeństwo jak nikczemność”. Kiedy więc na nieszczęście stronnictwo umiarkowane, z wolą czy mimo woli, usunęło się od podniesienia głosu w chwili zjazdu trzech monarchów, kiedy nawet przez usta swego organu, zachęcało do biernego oporu,

74 Stanisław hr. Tarnowski w biografii Waleryana Kalinki („Przegląd Polski” z r. 1887) opowiada, że Wielopolski wzięwszy memoriał do przeczytania, obiecał w parę dni dać stanowczą odpowiedź. Jakoż przyszedł do Zamoyskiego i miała się tam odbyć dyskusja w obecności Klaczki i Kalinki. Nieszczęściem, a „może przez nieostrożność Zamoyskiego, znalazło się u niego wtedy parę innych osób, których wyprosić nie śmiano. Wielopolski wyobraził sobie, że byli umyślnie wezwani i uwiadomieni o wszystkim. Zraził się tem i mówić nie chciał”. Anegdota ta jednak, może zresztą autentyczna, nie tłumaczy wcale postąpienia takiego człowieka, jakim był Wielopolski. Lisicki („Le marquis Wielopolski” II, 114) inaczej to opowiada. Nie mówi on nic o memoriale Zamoyskiego, i twierdzi, że inicjatywa porozumienia się ze stronnictwem Czartoryskich na emigracji, wyszła od Wielopolskiego. „Przywiązywał on, pisze rzeczony autor, wielką wagę do moralnego poparcia najpoważniejszego stronnictwa w emigracji polskiej. Znając bardzo dobrze źródło napaści, świeżo skierowanych przeciw niemu w „Wiadomościach Polskich”, udał się do generała Zamoyskiego i miał z nim, jak również z niektórymi redaktorami „Wiadomości” dwukrotną konferencję. Pierwsza przerwana została przez przybycie kogoś obcego; mówiono więc o polityce dopiero na drugiej. Margrabia żądał od tych panów zgody na akcję legalną, mającą na celu uzyskanie dla Królestwa Polskiego autonomii administracyjnej i narodowej. „Bardzo dobrze, odrzekł jeden z obecnych, lecz racz nam pan wprzód wyjaśnić powody, dla których zmusiłeś swego syna do służenia w wojsku rosyjskiem?” „Tak nam się podobało” (cela nous a paru convenable) odrzekł sucho margrabia i rozmowa przerwana nie zawiązała się już więcej”.

kiedy stawiało cierpienie bezwładne, jako jedynie godne honoru polskiego, jako program wreszcie polityczny, pole zostało swobodne dla czerwieńców.

Ogół kierowany przez nich i przez nich natchniony, postanowił być poważnym, obojętnym i pogardliwym dla trzech zaborców polskiej ojczyzny, którzy zjeżdżali się do Warszawy i którzy zapewne między innymi przedmiotami, będą także radzili o losach nieszczęśliwej Polski.

Uczucie to przytłumiło wszelkie inne; zimno przyjęto wieść, jaka poprzedziła przyjazd cesarza, i która, w innych okolicznościach, zapewne byłaby niezmiernie zainteresowała wszystkich, którzy myśleli o kraju i jego doli. W ostatnich dniach Sierpnia, zjechał do Żytomierza generał-gubernator kijowski, Wasilczykow i oznajmił zebranym tam wołyńskim marszałkom szlachty, że cesarz zezwolił na wprowadzenie w szkołach generał-gubernatorstwa kijowskiego, wykładu języka polskiego. Twierdził przytem Wasilczykow, że rząd dawno byłby to już zrobił, gdyby nie stanęło na przeszkodzie nielegalne żądanie w roku przeszłym szlachty podolskiej. Krok tej szlachty skłonił rząd do wstrzymania się z tą łaską, gdyż inaczej miałoby to pozór, jak gdyby rząd ulegał nieprawym domaganiom. Radził zatem generał-gubernator, ażeby szlachta o nic nigdy nie prosiła, bo sam rząd wie najlepiej co jest potrzebnem. W nagrodę za to, że szlachta wołyńska dotąd żadnych petycji nielegalnych do rządu nie zносиła, wiadomość ta jej naprzód udzieloną zostaje.

Śmieszna ta mowa, z widocznem zakłopotaniem wypowiedziana przez Wasilczykowa, nie osłabiła jednak w niczem doniosłości samego ustępstwa, jakie rząd zrobił dla południowych, polskich niegdyś prowincyi. W kraju, gdzie od lat trzydziestu prawie nie uczono młodzieży polskiej jej ojczyztego języka, gdzie przy każdej sposobności oświadczano, że to ziemia rosyjska, reforma ogłoszona przez Wasilczykowa, zapowiadała lepsze dni dla tamtejszego żywiołu polskiego, i w innych czasach i innych okolicznościach, przyjęta by była w wdzięcznością. Teraz jednak, gdy kraj cały wrzał, gdy nie myślał o takich lub innych ustępstwach, ale o odzyskaniu zupełnej niepodległości politycznej w granicach przedrozbiorowych, gdy trzeba było zjeżdżającym się monarchom pokazać, że Polska jest jak „czarna trumna kirem obita”, któż by tam zajmował się takimi sprawami, jak wprowadzenie do szkół wykładu języka polskiego na Ukrainie, Podolu i Wołyniu? Niestety! przez dziwne zaślepienie, które niekiedy jak bielmo na oczy, pada na mózgi całych narodów, lekko ceniono to, co stanowiło istotną zdobycz, a ścigano chimery, widma poetyczne, jak ten młodzieniec w niemieckiej balladzie, co gonił urojone szczęście na złamanie karku póty, aż kark w końcu złamał. Tymczasem cesarz późną jesienią, niemniej przeto zawsze prawie piękną w Polsce, jechał do Warszawy świeżo ukończoną koleją warszawsko-petersburską i miał przez parę dni zatrzymać się w Wilnie,

w tem samym Wilnie, które w roku zaprzestłym przez usta poetów polskich, nazywało go spadkobiercą Jagiellonów i dziedzicem ich tronów. Tu już od dawna rozprawiano i zastanawiano się, czy i tym razem ma być wydany bal dla cesarza, czy nie. Gdy jednak pod wpływem zapewne obudzającego się patriotyzmu polskiego, większość szlachty zachowała się względem proponowanego balu albo wprost niechętnie, albo też zimno, gdy pieniądze nań nie chciano dać lub wcale nie dawano, bal oczywiście nie mógł przyjść do skutku i nie przyszedł. To też gdy z powodu odwiedzin cesarskich stolicy litewskiej, szlachta zamierzała się zjechać, generał-gubernator zawiadomił marszałków, że wcale nie są potrzebni w Wilnie. Powodem tego zakazu, bo tak go nazwać należy, była wiadomość, że na koniec i szlachta litewska, za przykładem swej braci witebskiej i podolskiej, zamierza podać adres, upomnieć się o Towarzystwo rolnicze prowincjonalne, którego projekt złożony generał-gubernatorowi Nazimowowi, utonął w jego kancelaryi, prawdopodobnie na zawsze i to właśnie w chwili, gdy na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, dzięki poparciu Wasilczykowa rząd zezwolił na zawiązanie „zgromadzenia do ulepszenia gospodarstwa wiejskiego”. Pod tym bowiem tytułem ukryło się prawdziwe towarzystwo rolnicze, uorganizowane na wzór warszawskiego i niemniej bogate, gdyż szlachta miejscowa na sam fundusz organizacyjny przyszłego zgromadzenia, złożyła przeszło 20.000 rs. Na Litwie tymczasem Nazimow o niczem podobnem myśleć nawet nie chciał.

Kwestya jednak Towarzystwa rolniczego była drugorzędno znaczenia wobec innych spraw, jakie niektórzy czynniejsi członkowie rzeszy szlacheckiej na Litwie, zamierzali w adresie podnieść. Poczucie potrzeby zrobienia jakiegoś kroku stanowczego, tak było głębokie, że pomimo zakazu Nazimowa, zjechali się marszałkowie guberni kowieńskiej i wileńskiej oraz kilku szlachty, do Wilna, i rozpoczęli narady u marszałka Domeyki, nad podaniem adresu do cesarza. Projekt adresu był już gotowy, ułożony przez jednego z obywateli żmudzkich; domagano się w nim przywrócenia uniwersytetu w Wilnie, języka polskiego w szkołach (dotąd było po jednej lekcyi na tydzień) w administracyi i sądownictwie, sądów jawnych i tolerancyi religijnej, a właściwie zniesienia krzyczącego przepisu prawnego co do małżeństw mieszanych. Marszałkowie powiatowi: wileński i wilejski zimno i niechętnie zachowywali się wobec zamierzonego adresu, a marszałek gubernialny Aleksander Domeyko sprzeciwiał mu się dość uparcie, ale gdy marszałek trocki, Ludwik Jeleński, przyłączył się do zdania marszałków kowieńskich, żądających podania adresu, Domeyko w końcu uległ naciskowi swych współobywateli i zdawało się, że adres będzie podany. Tymczasem gdy go nazajutrz zapytał o to Nazimow, który wiedział dobrze co się dzieje, Domeyko wyparł się wszystkiego i zapewniał generał-



„Błogosławieństwo” - Od roku 1860 miejscem demonstrowania nastrojów patriotycznych stały się kościoły, procesje i pogrzeby. Uczucia narodowe manifestowane wobec prawosławnego wroga służyły rosnącym aspiracjom niepodległościowym Polaków. Obraz *„Błogosławieństwo”* Artura Grottgera pokazuje ogromną rolę Kościoła i wiary w wypadkach warszawskich 1861 r.

-gubernatora, że żadnego adresu nie będzie. Nazimow zawiadomił go, że wie o wszystkim, że przed tygodniem, na zebraniu u marszałka powiatowego Tyszkiewicza, marszałek kowieński Żyliński mówił: „że nie tyle idzie o skutek adresu, jak o to, aby fakt był spełniony i wiadano, że tu nie Moskale mieszkają”. Słowa te oburzały Nazimowa, który wołał, że adres jest nielegalny, że tylko na ogólnych wyborach szlachta ma prawo proszenia o to lub owo cesarza. Domeyko się zgadzał na to widzenie rzeczy i ostatecznie adres przepadł.

Obok stłumienia sprawy adresowej Nazimow i inne jeszcze przedsięwzięł środki, by jakakolwiek demonstracja nie pojawiła się w Wilnie podczas pobytu cesarza. Obawy generał-gubernatora były do pewnego stopnia słuszne. I w odwiecznej bowiem stolicy litewskiej wzburzenie umysłów było bardzo znaczne, tworzyły się związki, będące z jednej strony odnogą komitetu warszawskiego, z drugiej kółek wojskowych i cywilnych petersburskich. Pod wpływem znacznej liczby tej młodzieży, która w lecie 1860 r. przybyła do Wilna na wakacje, organizowały się koła, których głównym zadaniem było oddziaływanie na sfery rzemieślnicze. Powodzenie tej akcji było różne; najlepiej udało się ona wśród cechu białoskórników. Najęto osobne mieszkanie, gdzie co niedziela schodzili się rzemieślnicy i młodzież, śpiewano pieśni patriotyczne, czytano te liczne świstki, jakim emigracya i Mierosławski zarzucali w tej porze kraj, później nawet, zdaje się, że odbierano jakąś przysięgę. Dość czujna w Wilnie policya wcześniej spostrzegła tę agitacyą i teraz wobec zbliżającego się przyjazdu cesarza, należało chwycić się stanowczych środków. Generał Nazimow rozkazał młodzieży akademickiej, przybyłej do Wilna na wakacje, wyjechać z miasta, a uczniom szkół miejscowych zabronił wychodzić na ulicę bez rodziców lub opiekunów. Cechy rzemieślnicze musiały się zobowiązać, że terminatorów swoich nie będą wypuszczały na miasto. Policya nakazała domy ozdabiać orłami i flagami, które sama sprzedawała po siedm do dziesięciu rubli za sztukę. Żydów, bardzo licznych w Wilnie, zdołali niżsi ajenci policyjni namówić do tłumnego wystąpienia podczas wjazdu cesarza; niejaki Opatow, żyd rosyjski i policya rozdawała nawet uboższym żydom drobne pieniądze.

Na koniec cesarz zjawił się w Wilnie, otoczony gronem książąt niemieckich, którzy teraz stale koło niego krążyli, jak planety koło słońca, odzyskującego swe blaski po chwilowem przyćmieniu. Byli więc tu dwaj książęta pruscy Karol i Albert, był ks. August wirtemberski, Fryderyk książę hesen-kaselski, był i następca tronu Mikołaj, młodzieniec bladej, szczupły, o anemicznym wyglądzie, zniszczony moralnie i fizycznie przez zgubny nałóg, któremu się oddawał. Z takim to świetnym orszakiem wjechał car rosyjski do Gedyminowego grodu, witany okrzykami „hura!” przez najniższy motłoch żydowski, wśród którego z rzadka tylko, gdzieniegdzie, jakby wstydząc się, ukrywał się

ktoś z wyższych sfer ludności polskiej. Cesarz widokiem tym, tem przyjęciem był rozdrażniony i rozjaśnić mu chmurnego czoła nie mogła powitalna mowa, wygłoszona po rosyjsku przez arcybiskupa, metropolitę mohylewskiego, Żylińskiego, pod kolumnami katedry wileńskiej. Przez cały czas swego pobytu Aleksander nie spotykał nikogo z publiczności polskiej; kobiety wcale nie ukazywały się na ulicach, tylko żydzi za pieniądze Opatowa krzyczeli swe gardłowe: hura! To też cesarz kilkakrotnie, jakby mu przyjemność sprawiały te żydowskie okrzyki wśród poważnie milczącego Wilna, przejeżdżał przez ulicę Niemiecką, ghetto wileńskie, a unikał ulic: Zamkowej i Wielkiej, gdzie mieszkali Polacy. Rozdrażnienie wzmacniać się musiało wobec otoczenia cudzoziemskiego, tych różnych ksiąząt i ksiązątek niemieckich, którzy swą postawą poważną i zimną, zdawali się ubolewać nad niepoprawnością Polaków z jednej strony, a z drugiej nad kłopotliwym położeniem monarchy i pana świata połowicy. Zły humor cesarski odbił się na szlachcie, która mu się przedstawiła w osobach swych marszałków. Nie mówił z nimi prawie nic; jednego zapytał, jak daleko mieszka od kolei? drugiego, czy służył w wojsku? Uprzejmym był tylko dla księcia Ireneusza Ogińskiego, który znaczną był dał sumę na bal niedoszły do skutku, i pytał go o zdrowie żony; w końcu wyjechał z Wilna, nie rozjaśniwszy czoła, i udał się na polowanie do puszczy Białowieskiej, na żubry litewskie, polowanie, o jakim jego goście niemieccy pojęcia nawet nie mieli⁷⁵. Za to Nazimow po wyjeździe cesarza wpadł w wielki gniew i postanowił wziąć się ostro do uspokojenia umysłów. Ustanowiono natychmiast komisją śledczą pod pozorem, że w Wilnie utworzył się spisek między rzemieślnikami, i kilka osób aresztowano, między nimi księgarza Assa za to, że znaleziono u niego nieco druków zakazanych; Władysława Jankowskiego, kierującego pensjonatem chłopców, gdyż był w stosunkach z niejakim Wiszniewskim, który miał u siebie tak zwane wiersze patryotyczne. Uwięziono również kilku uczniów szkół publicznych, między nimi Wincentego Witkowskiego, który zamierzał ze swymi kolegami okazać cesarzowi, w czasie jego pobytu w Wilnie, niezadowolone za to, że nie przywracano w stolicy Litwy uniwersytetu, pisał wiersze patryotyczne, z których jeden, noszący tytuł: „Toasty”, był nawet głośny.

Uwięziono go i oddano w ręce komisji śledczej, a ucznia instytutu szlacheckiego Romera, o to, że w dzień przybycia cesarza pogasił w oknach świece, oćwiczono w szkole różgami tak nielitościwie, że nazajutrz ciężko zachorował. Wśród takich to złych i smutnych okoliczności, Aleksander pokazawszy

75 Autor rozprawki „Litwa przed rokiem 1863”, pomieszczonej w „Wydawnictwie materiałów do historii powstania 1863/4”, twierdzi, że cesarz miał się odezwać do marszałków „powiedźcie szlachcie, żem z niej niezadowolony, niech wie ona i Europa, że tu nie Polska”.

swym gościom żubry i drzewa Białowieży, ruszył dalej koleją żelazną do Warszawy. Na stacyi Targówek, bo kolej jeszcze do samej Pragi nie była wykończona, siadł do powozu i pojechał do Łazienek. Wieczorem tego samego dnia (20 Października 1860) cesarz ze swymi niemieckimi gośćmi, miał się udać do teatru na przedstawienie nowego baletu pt „Modniarki”. Przed przybyciem jednak monarchów, trzej zapaleni agitatorowie, a mianowicie: Henryk Filipowicz, student szkoły sztuk pięknych i dwaj uczniowie gimnazjum: Adam Trąbczyński i Józef Kleczyński, zdołali popalić kwasem siarczanym aksamit w łoży cesarskiej i przy pomocy wylanej z paradyżu płynnej asafetydy napełnili teatr taką zabójczą wonią, że nikt wytrzymać nie mógł i publiczność, schodząca się już na paradyz, galerye i nawet krzesła, musiała uciekać. Nadzwyczajna i wyteżona czynność służby teatralnej ledwie zdołała do godziny ósmej wieczorem, o której cesarz miał przybyć, usunąć tę woń smrodliwą. Na łoży aksamit poplamiony musiano zerwać i nowy przykleić. Wszystkich trzech sprawców tej osobliwszej manifestacji, noszącej cechę niezaprzeczoną swawoli szkolnej, aresztowano, ale po jakimś czasie wypuszczono na wolność.

O całej tej awanturze namiestnik dowiedział się zaraz, co mogło go przekonać, że agitatorzy są czynni i że zapewne na asafetydzie nie skończą. Mimo to nie przedsięwzięto żadnych szczególnych ostrożności, pozwalając tym sposobem rozswawolonej do najwyższego stopnia młodzieży szkolnej i rzemieślniczej dopuszczać się różnych wybryków ulicznych, noszących miano manifestacji patryotycznych. Nazajutrz przybył do Warszawy rejent pruski oraz książę Meklemburg-Szweryński. Na ich powitanie, a zwłaszcza króla przyszłego pruskiego, mnóstwo Niemców, zamieszkałych w mieście, zebrało się na kolei, krzycząc Wilhelmowi *hoch!* Ulice za to były puste i jeżeli tu i owdzie znajdowały się tłumy, to złożone z żydów, z najniższego motłochu i z kobiet publicznych. Tegoż samego dnia, o godzinie trzeciej po południu, cesarz Aleksander miał uroczystie położyć kamień węgielny pod mający się wzniesić wspaniały most żelazny na Wiśle, według planu inżyniera Stanisława Kierbedzia. Wybudowano tu bramę tryumfalną, ozdobioną w herb Królestwa i herby wszystkich guberni, obwieszono ją flagami, przystrojono bogato całe miejsce, w którym się miała odbyć uroczystość. Dzień, choć chłodny, był piękny tem jasnym, jesiennym, złotawem słońcem polskim; to też mnóstwo osób, zwłaszcza kobiet żydówek, żon niższych urzędników, oficyalistów, kupców, drobnych przemysłowców, słowem tego motłochu inteligencyi, sfer bezmyślnych, ale lubiących błyszczeć strojami, zebrało się nad Wisłą, pomimo ciągle pojawiających się plakat z najsurowszem wezwaniem, by jak najmniej pokazywano się na ulicach. Uroczystość więc miała świetny, błyszczący przepychem i wspaniałością charakter. Metropolita Fijałkowski w asystencyi biskupów

Dekerta i Platera odprawił nabożeństwo, a cesarz własnoręcznie granitową cegłę położył pod budować się mający most. Za to wśród kobiet uwijała się licznie młodzież, przeważnie rzemieślnicza, cięła suknie nożami lub paliła je za przykładem rewolucjonistów włoskich kwasem siarczanym, karząc tym sposobem za niepatryotyczną i niewłaściwą ciekawość.

Dnia 22 Października zjawił się w Warszawie cesarz austriacki, Franciszek Józef. W czasie jego podróży do stolicy polskiej, zdarzył się wypadek, który najrozmaitsze wywołał pogłoski. Ministrowi austriackiemu Rechbergowi skradziono na kolei portfel z papierami i pieniędzmi tak zręcznie, że najmniejszego śladu nie było. Wieść o tem przeniknęła do miasta i nie wiadomo na jakiej podstawie twierdzono powszechnie, że kradzieży dopuścił się tajny agent francuzki, wysłany z rozkazu swego rządu dla dowiedzenia się, o czem radzić będą trzej monarchowie, zjeżdżający się do Warszawy. Z tego powodu między publicznością polską, i tak już skłoną do bezwzględного uwielbienia Francyi i Francuzów, zadowolenie było wielkie i ufność w zręczność rządu francuzkiego niezmierna. Cieszono się, że Francuzi takiego figla wypłatali Austryakom. W istocie zaś rzeczy miały się nieco inaczej.

Cesarz Napoleon III, zaniepokojony zjazdem warszawskim, trafił przez pośrednictwo księcia Napoleona do Mierosławskiego z zapytaniem, czyby nie podjęto się w Warszawie wykradzenia papierów ministrowi austriackiemu. Mierosławski zgodził się na to i posłał rozkaz (bo zawsze rozkazywał) Kapitułę, by żądaniu francuzkiemu zadość uczyniła. Kapituła widząc w tem korzyść dla kraju i sposobność zyskania przyjaźni potężnego cesarza Francuzów, wykonała polecenie przy pomocy konduktora kolejowego, Szajewskiego, prowadzącego pociąg, w którym jechał Rechberg. Szajewski wykradł z wagonu całą tekę, w której oprócz papierów były pieniądze, чеки i przekazy bankowe, i po przybyciu do Warszawy, złożył to natychmiast konsulowi francuzkiemu. Papiery oczywiście konsul zatrzymał, a pieniądze i klejnoty zwrócono komu należy, za pośrednictwem kapucyna warszawskiego ks. Honorata, któremu oddał je ktoś przy spowiedzi, zapewniając sobie tym sposobem bezkarność⁷⁶. Śledztwo, z tego powodu rozpoczęte, ciągnęło się bardzo długo i w rok potem, w Grudniu 1861 r., wezwany do sądu dla objaśnień konduktor Szajewski, nie stawiał się wcale, lecz zbiegł za granicę, zabierając ze sobą tajemnicę całej tej historii⁷⁷.

Co wieczór gromady młodzieży rzemieślniczej i tak zwanych w żargonie warszawskim „łobuzów”, przebiegało ulice i gasiło iluminacją, paliło suknie

76 Według innej wersji miano je podrzucić w klasztorze kapucynów warszawskich.

77 W jakiś czas potem Szajewski wrócił do kraju i służył na jednej z kolei, z kąd później przeniósł się do Rosyi.

kobietom. Zjawiła się i wśród wszystkich sfer miasta znalazła ogromne powodzenie śpiewka, szydząca ze zjazdu i zapowiadająca, że pomimo wszelkich konszachtów trzech monarchów i spisków przeciw Polsce, ona „co chce to i zrobi”.

Co noc ukazywały się nowe plakaty, zabraniające udziału w uroczystościach. To też miasto, które dotąd, podczas wszystkich przyjazdów cesarza, błyszczało tłumem pojawianiem się klas wyższych, kobiet najświetniejszych towarzystw, teraz czerniało ostatnim motłochem, żydami, którzy, jak wezbrany strumień, wylewali się ze swych dzielnic i krzycząc „hura!” mieli przedstawiać Polaków i Polskę. Na iluminacji w Łazienkach, gdzie zwykle, za poprzednich lat, zbiegała się cała Warszawa, mnóstwo pięknych dam snuło się wśród malowniczo oświetlonego parku, teraz nikogo nie było prócz żydów i kobiet publicznych. Na balu u Gorczakowa, w Zamku królewskim, na 300 do 400 mężczyzn, znalazło się zaledwie 25 tańczących kobiet, głównie Rosyjanek i Niemek, a za to „Polki świeciły nieobecnością”, jak się ktoś wyraził.

Takie przyjęcie cesarza, tak różne od dawniejszych, brzmiających szczerym entuzjazmem, było bardzo przykrem dla Aleksandra, tem przykrzejszem, że patrzeli na to obcy monarchowie i mnóstwo korespondentów gazet zagranicznych, którzy zjechali się tutaj, by być świadkami choć zewnętrznych objawów spotkania się tyłu monarchów. Przed ich bystrym wzrokiem nic się nie ukryło, a chociaż korespondencye ich poddawano w Warszawie najściślej i najsurowszej cenzurze, to jednakże należało się spodziewać, że gdy powrócą do swej ojczyzny, gdzie im już nikt ust zamykać nie będzie, nie omieszkają sobie powetować przymusowego milczenia. Wszystko to gniewało cesarza, a choć otaczający go tłumaczyli mu, że powodem chłodnego przyjęcia jest obecność reagenta pruskiego i cesarza austriackiego, prawdopodobnie nie wierzył temu, choć udawał, że wierzy.

Zjazd i jego uroczystości przerwała wiadomość o ciężkiej chorobie, na jaką zapadła cesarzowa matka, wdowa po Mikołaju. Aleksander wskutek tego wyjechał z powrotem do Petersburga, dnia 26 Października, a jego dostojni goście tegoż dnia po południu. Wyjeżdżając Aleksander, jakby chciał udać, że nie widział nieprzyjaznego dla siebie usposobienia ludności polskiej, zostawił hojne dary. Na budowę kościoła na Grzybowie dał 10,000 rs.; pozwolił na założenie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych; dla biednych dał 10,000 rs. a syn jego 5,000 rs. Prócz tego ten ostatni przeznaczył jednorazowe wsparcie dla weteranów b. wojsk polskich; po 200 rs. dla oficerów sztabowych, a 150 rs. dla innych. Odtąd Warszawa przez długi czas nie oglądała w swych murach cesarza rosyjskiego. W kilka lat dopiero potem, po wielkiej i niszczącej burzy, która przeszła ponad krajem, zasiała go ruinami, zalała krwią, zjawił się tu

Aleksander II-gi, ale w postawie zwycięzcy i nieubłaganego niczem Boga, grożącego pomstą. Świetne dni nadziei, słodkich marzeń, snów o zagojeniu ran wspólnych i zgodnym pożyciu dwóch narodów, rozwiały się na długo...

Wszystkie te manifestacje były zanadto widoczne, by nawet ówczesnej politycy warszawskiej nie miały wpaść w oczy. Dzienniki francuzkie wołały: zjazd warszawski dowiódł, „że Polska nie umarła”. Hercen w „Kołokole” pisał, że „carski despotyzm napotkał nareszcie swą granicę i wywołał tę rozbolełą reakcją milczenia i tłumionej pogardy, przed którą bledną królowie”. Nie trzeba było jednak tych słów dziennikarskich, by się przekonać, że w Warszawie na każdym kroku nieomal szydzono z rządu i jego pomysłów. W teatrze, artyści grając na scenie korzystali z każdej sposobności, by wtrącać do roli rozmaite dodatki, skierowane przeciw rządowi, które publiczność zawsze przyjmowała grzmiącymi oklaskami. „Smarkacze” po prostu szaleli i teroryzowali miasto, dopuszczali się nieraz gwałtów, i zawsze im to uchodziło na sucho. Wprawdzie aresztowano kilku, ale ostatecznie nie wstrzymało to innych od grania roli ulicznych patryotów.

Nie podobało się to chłodniejszym i rozważniejszym członkom Kapituły. Widzieli, że władzy nie mają, że inicjatywa ruchu wymyka im się z rąk i przechodzi do młodzieży szkolnej, podczas gdy w oczach wszystkich za każdy krok tej młodzieży oni odpowiadali i musieli znosić nieraz słuszne wyrzuty Millenerów i Klemensowczyków, przezwananych teraz stronnictwem „białych”. Zarzuty te wywołały konieczne rozdrażnienie i spory w Kapitułę, których rezultatem było to, że Majewski wycofał się i przeszedł do Millenerów Jurgensa, Krzeziński wyjechał do Heidelbergu, Wereszczyński do Kijowa, a Banzemer wrócił na studia uniwersyteckie do Berlina, i Kapituła faktycznie rozpadła się zupełnie. Dehnel zaś, mając już zwrócone na siebie oczy politycy, uwolnił się ze swej posady w Kolegium kościelnym luterańskim w Czerwcem 1860 r. gdyż, jak sam pisze, „nie odpowiadała ona ani jego usposobieniu, ani charakterowi”, opuścił Warszawę i udał się na prowincję, gdzie w Listopadzie t.r. został przyaresztowany i odstawiony do cytadeli warszawskiej⁷⁸.

Tym sposobem, gdy od kierownictwa sprawami ruchu, którymi szczerze mówiąc, wcale nie kierowali, usunęli się ludzie, obdarzeni jakim takim rozsądkiem, wodze przeszły w ręce „smarkaczy”, którzy przy kole akademickiem się wieszali, i którzy zbawienie ojczyzny widzieli tylko w ciąglem manifesto-

78 Właściwie Dehnel udał się z Warszawy do swego brata, mieszkającego na samej granicy pruskiej. Oficer straży granicznej, Kalinin, żył z nim w dobrych stosunkach, i wiedząc, że Dehnel jest przez policję poszukiwany, zaprosił obu braci do siebie na wieczór, i przybyłego Bolesława aresztował, okułał w kajdany i odesłał do Warszawy. Dehnel poległ w r. 1863 w jednej z utarczek w Augustowskim.

waniu się i dokuczaniu władzy. Zjawił się teraz wśród nich niejaki Franciszek Godlewski, młody, dwudziestokilkuletni człowiek, Mazur rodem, żywy, ognisty patriota, należący do tej grupy ówczesnej młodzieży, która opuszczała kraj jedynie dlatego, by pójść do Paryża i pokłonić się „aniołowi rewolucji”, Mierosławskiemu. Godlewski, zgodnie z teoryami swego mistrza, „jenerała Ludwika”, jak go poufnie zwano w kołach zbliżonych do niego, widział zbawienie tylko w powstaniu, w rewolucji, w krwawym wybuchu, który miał Polskę społecznie odrodzić, a zarazem uwolnić ją na zawsze od Niemca i Moskala.

Kiedy powyżej opowiedziane wypadki się rozgrywały, gdy Kapituła się rozpadła, gdy wskutek tego w kołach spiskowych zapanowała anarchia, Mierosławski mając baczną zwróconą uwagę na to, co się dzieje w Warszawie, postanowił chwycić walające się na bruku ulicznym wodze ruchu i pokierować nim według swego widzenia rzeczy. Chwila była bardzo ważna i stanowcza. Rozbici członkowie Komitetu Jankowskiego, mianowicie ci, którzy pozostali w Warszawie, jak np. Majewski, przymknęli do partii Millenerów i domagali się przerwania manifestacji, które według nich do niczego nie prowadziły, które już zrobiły to, co miały zrobić, i jak na teraz, nie przynosząc pożytku sprawie, mogły tylko rozdrażnić władzę i zmusić ją do chwycenia się środków radykalnych i surowych. Mówili oni, że czerwona rewolucja, której ponura, krwawa twarz ukazywała się już z pośrodku mglistych marzeń o niepodległej Polsce, może tylko zgubić tę Polskę; że trzeba poprzeć białych, Klemensowczyków, Towarzystwo rolnicze, pracować cicho i wolno, pracować może długo ale pewnie, by dojść w końcu do tego, że Polska, jak owoc dojrzały, sama odpadnie od rosyjskiego drzewa.

Te zdania, jak z jednej strony nie podobały się akademikom i „smarkaczom”, którzy zasmakowali w manifestacjach, których to bawiło, którzy je robili nieraz dlatego tylko, że im to przyjemność sprawiało, jaką sprawia kosztowanie każdego owocu zakazanego, tak z drugiej nie mogły się podobać Mierosławskiemu. Zniknięcie ruchu rewolucyjnego w Warszawie, zatamowanie go przez działalność cichą i spokojną białych, groziło zarazem usunięciem jenerała Ludwika na drugi plan, wyrwaniem mu władzy z ręki, do której pyszny ten i samolubny warchoł czuł się stworzonym niejako, widział się jedynym uprawnionym dyktatorem Polski. Gdy więc Dehnel uciekając z Warszawy, dał znać Mierosławskiemu o tem, co się tu stało, „wódz zmartwychwstały” wysłał natychmiast tam Godlewskiego, żeby rozwinął agitację, przywrócił porządek w obozie czerwonych, uorganizował „smarkaczy”, robił ciągle manifestacje i pchał losy narodu ku zgubnej, fatalnej przepaści, która wszystko niestety! miała pochłonąć i naród i jego rozwój i jego byt materyalny i instytucje autonomiczne.

Godlewski wziął się do tego energicznie. Z całym zapałem, do jakiego zdolni byli ludzie tej epoki, z całym zaślepieniem na skutki, jakie ich czyny wywołać muszą w losach ojczyzny, którą zdawało im się, że oni tylko prawdziwie i rozumnie kochać umieją, zawiązywał stosunki, organizował dziesiątki i setki, pchał ku manifestacyom „smarkaczy” i rzemieślników, wśród których swą wymową, ognistym entuzjazmem swych uczuć patriotycznych potrafił uzyskać licznych zwolenników i wielbicieli. Ludność Warszawy przez tyle lat trzymana pod strasznym uciskiem, z radością witała wszelkie drobne uliczne awantury, które „dokuczały Moskałom”, dopomagała jak mogła i gdzie mogła; a choć wielu ludzi rozumniejszych i trzeźwiejszych ganiło tę swawolę polityczną, przewidywało straszne następstwa, nikt przecież nie śmiał się oprzeć szalonemu prądowi, naciskowi swych żon, córek i synów, którzy w tem widzieli jedyną drogę zbawienia Polski.

Rozpoczął się więc szereg drobnych manifestacji z cechą awantur ulicznych lub swawoli szkolnej. Zrywano lub zamazywano smolą szyldy z napisami rosyjskimi, tłuczono szyby w oknach tym, którzy wyprawiali jakie zabawy, przesyłano bezimienne listy miejską pocztą, pełne grubijańskich wymyślań lub gróźb tym, którzy w czemkolwiek zawinili opinii publicznej. Powoli zapanował istny terrorizm garści szkolnej młodzieży, rozmaitych Kozubskich, Jaczewskich, Śniegockich itp. Co chwila pojawiały się różne odezwy do „braci”, do „sióstr Polek”, podpisane „młodzież”, wzywające do zaprzestania zabaw, do skromności, oszczędności, do przywdziewania żałoby po „żywcem pogrzebionej ojczyźnie”. Policja nieliczna, złożona z samych zresztą Polaków, patrzyła na to wszystko przez palce i „smarkacze” robili, co chcieli. Duch rewolucyjny przenikać począł wszystkie słoje społeczne miejskie i objawiał się co chwila, przy lada sposobności.

Jest zwyczaj u rzemieślników warszawskich, a zwłaszcza u szewców, że przy nastaniu długich wieczorów zimowych, a zatem używaniu w czasie pracy światła sztucznego, majstrowie zbierają się do swojej gospody i wyprawiają sobie bankiet, którego główną potrawę stanowi gęś pieczona, z kąd uroczystość ta nosi niemiecką nazwę lichtgansu. Zdarzyło się, że w dobie tej podniecenia wszystkich umysłów, szewcy zgromadziwszy się na lichtgans do gospody na Podwału, poczęli rozprawiać o polityce, przyczem zawiązały się spory, a za sporami przyszło do bójki. Oczywiście policja wtrąciła się w to, chcąc pijanych szewców uspokoić. Oburzeni tem majstrowie zapomnieli o swych sporach wzajemnych i jednozgodnie zwrócili się przeciw przedstawicielom władzy. Przy okrzykach: „Garibaldi! bij, zabij salcesonów”⁷⁹, pokaleczono policyantów i wyrzucono ich za drzwi.

79 Uliczna nazwa policyantów.

Awantura ta miała pewien rozgłos i świadczyła w ogólności o nastroju umysłów, o tej pogardzie i nieuszanowaniu dla władzy, jakie powoli, z gwałtownością długo tłumionej siły, wybuchało przy pierwszej lepszej sposobności. Ze swej strony rząd zamiast surowo i przykładowo ukarać pijanych szewców za ich zuchwalstwo i nieposłuszeństwo, przyaresztowawszy zrazu kilku, uwolnił ich w parę dni potem, zachęcając wszelkiego rodzaju ulicznych patriotów do spróbowania jeszcze raz takiej awantury i odgrywania roli bohaterów i męczenników, dręczonych przez Moskali, jak to wtedy mówiono.

Wszystkie te wypadki, te awantury uliczne, te manifestacje wszelkiego rodzaju, listy bezimienne, plakaty, obrażanie oficerów i żołnierzy rosyjskich w miejscach publicznych, jeżeli bezkarnie „smarkaczom” uchodziły, to jednak nie mogły pozostać bez wpływu na tę sferę rządową rosyjską w Warszawie, która już od dawna z generałem Kotzebuem na czele domagała się surowych środków i przywrócenia rządów wojskowych, nowej paskiewiczowskiej dyktatury.

Do partyi tej należał i generał-gubernator warszawski Paniutyn, który nalegał na Gorczakowa, żeby raz przecie położono koniec tym nieporządkom, jakie się pojawiają w Warszawie i powoli zaczynają przechodzić w stan chroniczny. Gorczakow niechętnie słuchał takich nalegań, gniewał się po prostu, gdy mu kto przerywał jego drzemkę i jego marzenia o bohaterach świeżo przeczytanego romansu francuzkiego. Gdy jednak Paniutyn kładł główny nacisk na bezczynność policji, na jej niedołęstwo, na nieumiejętność nie tylko zapobieżenia którejkolwiek manifestacji, ale że dotąd nawet nie zdołała schwytać ani jednego z tych, którzy okna wybijają, szyldy malują, obrażają oficerów, Gorczakow ustąpił. Usunięto więc ze stanowiska oberpolicmajstra warszawskiego, generała Aniczkowa, człowieka grzecznego, przystępnego, liberalnego, wielkiego pana zresztą, a na to miejsce sprowadzono w drugiej połowie Listopada 1860 r. z Kijowa generała Trepowa, dowódcę pułku żandarmerii, karyerowicza, nieprawego syna, jak wieść skandaliczna niosła, według jednych cesarza Mikołaja i jakiejś pięknej baronówny inflanckiej⁸⁰. Uchodził on za energicznego urzędnika i liczono na to, że potrafi lepiej uorganizować policję warszawską i natchnąć ją duchem porządku, karności i zrozumienia swych obowiązków. W małym powoziku, zaprzężonym po rosyjsku w jednego konia, z konwojem paru kazaków za sobą, przelatywał on po ulicach miasta w postawie groźnej i surowej, budząc ku sobie powszechną niechęć i wywołując szydercze uśmiechy. Czy jednak w owych czasach, w owych chwilach powszechnej gorączki, mógł Trepow co zrobić, było od razu dla ludzi, dobrze znających położenie kraju, bardzo wątpliwem.

⁸⁰ Trepow zwał się właściwie Trepoff i był lutrem. Nominacja jego nastąpiła d. 21 Listopada 1860 r.

Przedewszystkiem pomimo jego energii, niezwyklej ruchliwości i pewnej nerwowości, nie znał on ani Warszawy, ani jej ludności, ani ówczesnego jej usposobienia. Przychodził tu jako człowiek nowy, któremu się zdawało, że szeregiem nakazów policyjnych zdoła powstrzymać ruch, który rwał już naprzód, jak wezbrany strumień, gniotąc tych, co mu stali na przeszkodzie. Na ludność Warszawy, dla której szyderstwo z władzy i jej przedstawiciele stało się, że tak powiemy, chlebem powszednim, Trepow wywierał wrażenie śmieszności i jego postawa groźna, nastroszone wąsy nie mogły przerażać nikogo i nie powstrzymały czerwonych od urzędzenia nowej, już teraz na wielką skalę manifestacji. Zbliżała się właśnie rocznica rewolucji, dzień 29 Listopada, który uroczyste, przy wygłaszaniu rozmaitych mów programowych, emigracya wszelkich stronnictw i odcieni od trzydziestu lat obchodziła. Za tym przykładem postanowili iść i czerwieńcy warszawscy. Była to zresztą sposobność jedyna do urzędzenia wielkiej, prawdziwej manifestacji i przekonania się, jak też rząd będzie się na to zapatrywał, co pocnie? Boć inną rzeczą były awantury uliczne dotychczasowe, wybijanie szyb, bójki szewców pijanych, a inną ten poważny, uroczysty objaw swych uczuć, jaki teraz zamierzono okazać. Szło więc o wysondowanie, że tak powiemy, rządu; o zbadanie jego postawy w razie, gdy już jeżeli nie cała ludność Warszawy, to przynajmniej jej część wyraźnie i widocznie zademonstruje swe przekonania polityczne i swe pragnienia. Nie będą to już figle szkolne, swawola uczniów, jak dotąd policya nazywała wszelkie manifestacje uliczne, słusznie więc zapytać się można, jak się wobec tego rząd zachowa? Rozstrzygnięcie tego pytania było rzeczą pierwszorzędną doniosłości tak dla samych czerwieńców, jak i dla sprawy, której kierownictwo chwycili w swe ręce.

Obchód listopadowej rocznicy postanowiono odbyć w kościele Karmeliotów na Lesznie, w miejscu, gdzie przed 1831 r. tyłu patryotów było dręczonych, tyłu więźniów jęczało za to, że chcieli wolności swej ojczyzny. A przytem ulica to oddalona od środka miasta i od jego ruchu, nadzór więc policyjny jest tam słabszy niż gdzieindziej. Z tych wszystkich względów wybrano cichy, mały, skromny kościółek na Lesznie, jako miejsce pierwszej wielkiej manifestacji politycznej. Zamówiono nabożeństwo żałobne, nie tłumacząc zresztą proboszczowi miejscowemu istotnych powodów tego zamówienia, i przy pomocy licznych Kozubowskich, Śniegockich i innej młodzieży szkolnej, zdołano nie bez trudności, zgromadzić w kościele o godz. 19-tej w południe dość liczny tłum ludzi, złożony z rzemieślników, garści kobiet, uczniów szkół i akademików. Temu tłumowi, który nie mogąc się pomieścić w samym kościele, wylewał się na zewnątrz, który w większej części przybył tu przez ciekawość, poczęto rozdawać litografowane portrety Kilińskiego, Kościuszki

i innych bohaterów rewolucyjnych polskich z napisem: „na pamiątkę obchodzonej razem z rzemieślnikami rewolucji d. 29 Listopada”. Nabożeństwo się odbyło; odśpiewano tzw. suplikacje: „od powietrza, głodu i niewoli wybaw nas Panie”, a choć ksiądz podmawiany do wygłoszenia kazania patryotycznego stanowczo odmówił, jednakże wszystko się odbyło jak należy i policja się nie pokazała. Podniosła się więc kwestya, że albo rząd nie wie o niczem, co się na Lesznie stało, albo też wie i zachowuje dotychczasową swoją obojętną postawę. W pierwszym i drugim razie należy manifestacją powtórzyć; trzeba się przekonać o istotnem znaczeniu postępowania władz. Tak mówił Karol Nowakowski, znany nam już uczeń szkoły sztuk pięknych, gorący, zapalony patriota; wołał, że trzeba koniecznie zaśpiewać na ulicy „Jeszcze Polska nie zginęła”, zobaczyć jakie to wrażenie zrobi, i potrafił przekonać innych, że jego zdanie jest słusznem i rozumnem. W tym celu przy wyjściu z kościoła mówiono wszystkim, że należy się tu jeszcze raz zebrać dziś wieczorem, o godz. 6-tej po południu. Jakoż o godz. 6-tej, przy zapadającym już zmroku zbliżającej się nocy listopadowej, prawie w tym samym czasie, gdy przed trzydziestu laty podchorążowie w Łazienkach gotowali się do wybuchu, na Lesznie zgromadził się znaczny, daleko większy niż rano tłum, złożony już nie tylko z rzemieślników i akademików, ale z ludzi wszystkich stanów i wszystkich sfer. Kobiet pojawiło się mnóstwo; widziano nawet najwybitniejsze w mieście osobistości. Kościół był zamknięty, zajęto więc całą ulicę tak, że wszelka komunikacja była na niej przerwana. Wznoszącą się przed kościołem kamienną figurę Matki Boskiej oświecono lampami, i na znak dany, pomimo błota na bruku, wszyscy padli na kolana i Nowakowski głosem grzmiącym i donośnym zaintonował stary, zapomniany, nieznany wcale większości hymn: „Boże, coś Polskę...”. Poważne słowa tej pieśni, uroczyste jej tony, wywarły na otaczających ogromne, niesłychane wrażenie. Wszyscy mieli łzy w oczach, a kobiety płakały głośno lub szlochały spazmatycznie. Wezbrane uczucie patryotyczne, serdeczny ból nad losami tej Polski, którą Bóg „przez tak długie wieki otaczał blaskiem potęgi i chwały”, rozrywał piersi. Rozrzewnienie było powszechne, a pieśń brzmiała dalej pod szarem, mętnem niebem listopadowem, ku któremu szło błaganie „ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie!”⁸¹.

81 Pierwszy to raz odśpiewano w Warszawie i w Królestwie, w tej dobie, hymn „Boże coś Polskę”. Kiedyś, po kongresie wiedeńskim, hymn ten napisał Alojzy Feliński a muzykę do niego dorobił Jan Kaszewski (ojciec Kazimierza), oficer wojsk polskich. Hymn ten śpiewano po wszystkich kościołach w Królestwie, ale później oczywiście wykreślono go z listy pieśni nabożnych. Przypomniano go sobie dopiero w Paryżu, gdy w d. 22 Maja 1858 r. odprawiono w kościele w Montmorency nabożeństwo żałobne za dusze zmarłych na obczyźnie Polaków. Już wtedy, między zebraną w kościele emigracją, rozrzewnienie było ogromne i powszechne. W rok potem, hymn pojawia się w Poznańskim: śpiewają go

Wśród tłumów, klęczących w kornej postawie na ulicy i śpiewających głośno, kręcili się akademicy i młodzież szkolna, i rozdawała oprócz portretów Kilińskiego i Kościuszki, drukowane broszurki pt. „Od młodzieży polskiej”. W broszurze tej, dziś bardzo rzadkiej, pomieszczony był opis wypadków od czasu rewolucji listopadowej oraz na końcu znajdowały się pieśni narodowe. Tłum powoli rozchodzić się począł, tylko pojedyncze grupy młodzieży, ciągnąc ulicą, śpiewały: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Policja wcale się nie ukazywała i manifestacja ta udała się zupełnie. Groźny Trepow się nie pojawił, i ta obojętność władz, jak z jednej strony zachęcała agitatorów do dalszego działania, tak z drugiej dodawała im odwagi do wystąpienia śmielszego, do urzędzenia manifestacji nie na bocznej, cichej ulicy, ale w środku miasta, choćby pod samym Zamkiem.

Tymczasem generał-gubernator Paniutyn nalegał na Gorczakowa, żeby przedsięwziął jakie środki, celem położenia końca tym wszystkim nieporządkom. Jakoż Trepow otrzymał odpowiednie rozkazy i gdy na trzeci dzień po manifestacji przed Karmelitami na Lesznie, rozeszła się pogłoska, umyślnie rozpuszczona przez agitatorów, że nastąpi przed tymże kościołem powtórzenie tego, co się stało d. 29 Listopada, nowy oberpolicmajster polecał tam zaraz w swym powoziku, skoncentrował na Lesznie i w okolicznych ulicach prawie całą policję, mnóstwo żandarmów i tajnych agentów. Policja z żandarmami otrzymała rozkaz rozpedzenia zbiegowiska siłą. Całe to rozwinięcie znacznego stosunkowo aparatu wojskowego, na nic się jednak nie przydało. Nikt na Lesznie się nie pokazał i nikt nie śpiewał, i podczas gdy Trepow tutaj groźną przybierał postawę, na placu Trzech Krzyży, w innej zupełnie części miasta, zebrała się garść agitatorów i odśpiewała „Boże, coś Polskę”, ciesząc się, że policji takiego figla wypłatała. W kilka dni potem urządzono nową manifestacją i tym razem, nieomal pod boki samego namiestnika. Uczniowie szkoły realnej zamówili nabożeństwo żałobne w kościele OO. Bernardynów na Krakowskim Przedmieściu, za dusze Polaków poległych w r. 1831. Wieść o tem przebiegła całą Warszawę i liczne tłumy napełniły kościół. Kobiety były po większej części żałobnie, czarno ubrane. Po ukończeniu nabożeństwa, agitatorzy rozpoczęli konieczne już teraz „Boże coś Polskę”, a choć duchowieństwo przed ołtarzem śpiewało

w starej katedrze gnieźnieńskiej. Władze pruskie jednakże od razu go zakazały. W książce p.t. „Wydawnictwo materyałów do historii powstania”, znajdujemy na str. 18 wiadomość, że pierwsze „Boże, coś Polskę” zaśpiewano „w malutkim, ubożuchnym kościółku w Zabużańskich okolicach. Działo się to d. 20 Maja 1850 r.”. Autor tej notatki, bliżej samego faktu, ani miejsca, gdzie się to stać miało, nie określa, oraz powodów. Wiadomość ta jest bardzo wątpliwą.

„requiem”, musiało jednak ustąpić przed potężnymi głosami Nowakowskiego i innych. Zakończono całą tę manifestacją odśpiewaniem suplikacji, w których błagano Boga o wybawienie z „niewoli moskiewskiej”.

Nowy ten krok ze strony agitatorów, ich zuchwalstwo, spowodowało generał-gubernatora Paniutyna, że począł jeszcze raz nalegać na namiestnika. Domagał się, by szkoła realna została zamknięta, by policja otrzymała najsurowsze rozkazy wyśledzenia głównych spiskowców. Żądania jego nie odniosły skutku. Drzemiący Gorczakow lękał się wszelkich ostrych, stanowczych środków; szkoła nie została zamknięta, tylko Muchanow wysłał do uczniów pomocnika swego Sumińskiego, który w długiej przemowie zalecał młodzieży powstrzymanie się od manifestacji; wystawił ich złe następstwa i radził, „aby każdy pozostał dobrym Polakiem, ale w duszy”. Policja zaś raczej z inicjatywy Paniutyna niż Gorczakowa, otrzymała polecenie, by położyła koniec śpiewom i nabożeństwom. Skoro więc Asnyk ze swą grupą chciał odprawić modły rewolucyjne u św. Krzyża, został aresztowany i wraz z kilku innymi osadzony w cytadeli. Nie uspokoiło to jednak ani miasta, ani czerwieńców, a raczej całej młodzieży warszawskiej wszystkich stanów, która wciągnięta została w agitację i w niej smakowała. W całym mieście mówiono tylko o manifestacjach, o proteście uroczystym przeciw rządowi rosyjskim. Kobiety entuzjazmowały się tą nową drogą objawiania swych uczuć i przekonań patryotycznych, zachęcały mężów, braci i kochanków do brania udziału jeżeli już nie w samym spisku (którego, ściśle mówiąc, dotąd nie było) i w samej agitacji, to przynajmniej w tych nabożeństwach i śpiewach, które poczęły się pojawiać tak licznie i miały służyć do podniesienia ducha narodowego. Ukazało się mnóstwo świstków, odezw, śpiewów, które drukowane i litografowane, a bardzo często tylko pisane, rozchodziły się w tysiącach egzemplarzy po mieście. Z władzy, z rządu sztychowano gdzie tylko można było. W Grudniu, w gmachu Towarzystwa dobroczynności w Warszawie, grano teatr amatorski na rzecz ubogich tegoż Towarzystwa. W jednej ze sztuk występował młody Stanisław hr. Kossakowski, syn prezesa Heroldyi Królestwa. Z roli wypadło mu coś czytać z gazety. Korzystając z tego, wziął on dziennik zagraniczny i obrócił do widzów tą stroną, która była mocno pomazana przez cenzurę. Publiczność grzmiącymi oklaskami przyjęła ten żart, cieszyła się, że można było wystawić rząd na śmieszność, na pogardę ogólną⁸².

Agitacja, zwłaszcza wśród sfer rzemieślniczych i ludu warszawskiego z każdą chwilą wzrastała i wobec braku wszelkich przeszkód ze strony władzy, powoli przybierała ogromne rozmiary. Zbliżające się ferye na święta Bożego Narodzenia dawały możliwość przeniesienia tej agitacji na prowincję, dotąd po

82 Według pogłoski, Gorczakow miał nazajutrz wezwać do siebie Kossakowskiego i zagroził mu wysłaniem do dóbr matki, znajdujących się w głębi Rosyi.

większej części cichą, spokojną, nieco zaspaną i nad słuchującą tylko ciekawie, co się dzieje w Warszawie. Czerwieńcy doskonale to rozumieli, że zrewolucjonizowana stolica nie stanowi jeszcze kraju i chcąc zapewnić swemu dziełu powodzenie, należy przeniknąć do tego kraju, do ludu, jeżeli się da.

Już Dehnel to pojmował, i opuszczając Warszawę w obawie przed poszukiwaniami policji, udał się na prowincję, jak to wtedy mówiono w stolicy, by i tam siać ziarna przyszłych burz i wichrów. Teraz już nie jeden Dehnel, ale całe setki młodzieży, istnych agentów rewolucji, namiętnych czerwieńców, zagorzałych głów i serc, rozbiegło się po kraju, niosąc niejako na swych ramionach pył tego patriotyzmu, który rodził się na bruku warszawskim, tego szału, który wszystkich ogarniał i miał zdolność zapładniania wszystkiego. Ferye Bożego Narodzenia wyrzuciły na kraj, jak niedole z puszek Pandory, jak plagi egipskie, całe setki młodzieży akademickiej, szkoły sztuk pięknych, instytutu w Marymoncie, uczniów gimnazjalnych i na koniec tej licznej rzeszy młodych ludzi, którzy pod imieniem aplikantów, kancelistów, dependentów itp. wieszali się przy różnych władzach centralnych w stolicy. Ta klasa młodzieży, po większej części synowie urzędników, drobnej szlachty, mieszczan, byli to ludzie źle wykształceni, źle wychowani, biedni, gorzej jeszcze płatni; wiedli oni w Warszawie życie pełne prywatności, prawdziwie katylinarne egzystencje, które stanowiły wyborny, jedyny w swoim rodzaju materiał na spiskowców i na agitatorów, tym cenniejszych, że głupich, ztąd łatwo zapalających się szumnym frazesem, bombastycznym zdaniem, tym patosem tak modnym w tej porze a tak niesmacznym. Rozbiegli się oni po kraju jak szarańcza: ciche, senne nieco życie miast i miasteczek zakłócili swemi rozprawami, swemi zdaniem, warem tej atmosfery, jaką zdaje się, przynieśli ze sobą ze stolicy, mnóstwem wreszcie odezwo do „braci Polaków”, do „siostr Polek”, śpiewów i pieśni. Zabraniali zabaw, tańców, prawili o uroczystej żałobie, w jaką cały naród ma się przybrać po utracie swej ojczyzny. Wielu pojawiało się na ulicach swych rodzinnych miasteczek w konfederatkach kolorowych, w czamarkach i butach z cholewami, naśladowując niby strój polski, budząc uśpione w sercach a zawsze drogie wspomnienia tej przeszłości tak świetnej, a tak niestety! marnie zagasłej. Tu i owdzie po kościołach, w oddalonych, zapadłych kątkach kraju, dawała się słyszeć poważna, majestatyczna nuta „Boże coś Polskę”, sprawiając wszędzie potężne, rzewne, chwytające za serce wrażenie. W wielu miejscach kobiety głośno płakały, gdzieindziej mdlały z krzykiem bólu serdecznego, jaki im wydzieraała ta pieśń, stworzona zdaje się na to, by z ludzi najspokojniejszych i najzimniejszych zrobić czerwonych patriotów.

Wszystko to, ta agitacja gwałtowna, jeżeli z jednej strony nie uchodziła uwagi rządu, to z drugiej przerażała ludzi rozumnych, trzeźwych, szczerých

patryotów, którzy widzieli, że kraj pod wpływem garści szaleńców i warcholów dąży olbrzymimi krokami ku powstaniu, a co zatem idzie, ku nieuchronnej swojej zgubie. Cóż wy chcecie? pytano się czerwieńców, czy powstania? czy tego, by w ciągu dwudziestu czterech godzin rząd stłumił w potokach krwi polskiej wszelki ruch i miał sposobność przywrócenia despotyzmu wojskowego, odebrania może i tej resztki autonomii, jaka cudem jeszcze ocalała po rewolucyi listopadowej? Do czego prowadzi cała ta wasza agitacya, te pieśni, śpiewy, odezwy? Wszystko to gniewa rząd, może wywołać represyę, gwałty tak zwykłe u Moskali, gdy są podrażnieni, bezprawia i nadużycia, których tyle już widzieliśmy, a co najważniejsza może przerwać, zniszczyć na długo, oby nie na zawsze! te wątle jeszcze nici, jakie dzięki trzydziestoletniej ciężkiej pracy zdołaliśmy zasnuć na przędzy bytu narodowego; może zniszczyć dobrobyt kraju i dojrzałość tego owocu, który tak starannie pielęgnujemy, by z czasem sam odpadł od drzewa rosyjskiego. Jeżeli więc kochacie naprawdę, a nadewszystko rozumnie tę biedną, nieszczęśliwą Polskę, to uspokójcie się, starajcie się położyć koniec wszelkim manifestacyom, które zrobiły już to, co miały zrobić, obudziły ducha polskiego w narodzie, ale które trwając dalej mogą na koniec podrażnić rząd i zmusić go do użycia siły, a która raz puszczona w ruch, Bóg wie gdzie i na czym się zatrzyma.

Słowa te, tak rozumne i tak patryotyczne nie znalazły odgłosu w sercach czerwieńców, w głowach tej młodzieży oszalałej od gorączki rewolucyjnej. Widząc, że stronnictwo Klemensowczyków, a raczej białych, samo do nich przychodzi, to stronnictwo, które dotąd z pogardą patrzyło na „smarkaczy” i ich roboty, czerwienicy spostrzegli, że są pewną siłą, że zatem mogą wymagać i żądać tego, co będą uważali za najlepsze i najstosowniejsze. „Dobrze, odpowiadali oni, wstrzymamy manifestacye, ale pod jednym warunkiem; że Towarzystwo rolnicze zdecyduje się na podanie adresu do cesarza, nie pytając namiestnika o pozwolenie. Adres ten ma najprzód zawierać wyraźną skargę na sposób rządzenia Polską, upomnienie się o reformy, jeżeli już nie wszystkie, to przynajmniej najkonieczniejsze i najodpowiedniejsze tak duchowi czasu, jak i tym przekształceniom, jakie mają być zaprowadzone w cesarstwie rosyjskiem. Gdyby zaś Towarzystwo rolnicze z jakichkolwiekbyż względów wstrzymało się od tego kroku, to manifestacye pójdą jedna za drugą i nikt nie odgadnie do czego doprowadzą. My od następstw umywamy ręce i wina spadnie nie na nasze głowy”.

Żądania te podobały się pewnej części stronnictwa białych, tej części, która nie chciała co prawda powstania, bo przeczuwała, wiedziała dobrze, iż Rosya, wyzwana przez nas do orężnego pojedynku, wcześniej czy później wyjdzie z niego zwyciężką, ale partya ta sądziła, że korzystając z rządów liberalnych Aleksandra II-go, z ducha reform ogarniającego olbrzymi carat, należy położyć

nacisk pewien na rząd, by i o Polsce pomyślał i porobił jej ustępstwa. Nie zgadzając się z Klemensowczykami, którzy odpowiednio do postawy swego moralnego naczelnika, Zamoyskiego, nie chcieli mieć żadnych stosunków z rządem, żądać niczego nie mieli prawa, prosić zaś nie chcieli, stronnictwo to owszem pragnęło użyć wszelkich sposobów, by w przyjaznej chwili, która, zdawało im się, że właśnie teraz nadeszła, położyć silny nacisk na rząd i wyjednać od niego wszystko, co się tylko da wyjednać. Dlatego też myśl o adresie wydała im się godną uwagi. Czemu, mówili, nie mamy się zgodzić na to i poprosić choćby o wprowadzenie do Królestwa przyobiecane jeszcze w r. 1832 i nigdy nie urzeczywistnionego Statutu organicznego? Kto wie, może nam się uda tą drogą uzyskać wprowadzenie tego prawa, wprawdzie z wielu względów niedostatecznego, ale bądź co bądź pozwalającego na jaki taki rozwój narodowy. A przytem postępowanie to nałoży kaganiec na dzikiego zwierza rewolucyi, który szarpie się i kęsać poczyna i może nieobliczone nieszczęścia na kraj sprowadzić. Można żądać nie tylko wprowadzenia Statutu organicznego, ale i reformy wychowania publicznego, przemiany Akademii medycznej na uniwersytet.

Zrazu Klemensowczycy stanowczo odrzucali wszystkie te żądania i grozili, że jeśli czerwoni nie przestaną swych działań, to oni, Klemensowczycy, gotowi są dla dobra kraju i przyszłości, wydać ich w ręce rządu. Myśl ta, cokolwiek by o niej można powiedzieć ze stanowiska moralności ludzkiej, bez wątpienia zbawienna dla kraju, powzięta w pierwszej chwili oburzenia, po bliższej rozwadze obudziła prawie we wszystkich wstręt ku sobie, pewną obawę przed odpowiedzialnością wobec narodu. Któżby w Polsce kiedykolwiek mógł się na taki krok odważyć? Komu by serce nie zabiło, sumienie nie zachwiało się przy wydawaniu w ręce rosyjskie swych braci, może nierozumnych, szalonych, ale bądź co bądź swych braci, którzy przecież nic innego nie chcieli, tylko zbawienia wspólnej ojczyzny, Polski ukochanej? Cóżby zresztą powiedziała na to opinia publiczna, ta straszna, rozdrażniona, chora opinia publiczna polska? Krok taki od razu podkopałby stanowisko Klemensowczyków i uniemożliwiłby wszelką ich działalność społeczną i polityczną.

Z drugiej strony czerwienicy wołali, że gotowi są urządzić taką manifestacją, o jakiej jeszcze nikt nie słyszał; że policya nie będzie w stanie jej stawić oporu; że jeżeli przyjdzie do starcia się z wojskiem, jeżeli krew się poleje, to tem będzie lepiej. W Petersburgu tym sposobem bez adresów dowiedzą się, że coś trzeba dla Polski zrobić.

Wobec tego Klemensowczycy ustąpili. Zadecydowano poczekać do walnego lutowego zebrania Towarzystwa rolniczego, na którym wszystkie te kwestye będą rozbrane bliżej. Ostatecznie jednak myśl stronnictwa białych zatrzymywała się na Statucie organicznym, jako na jedynym legalnym punkcie wyjścia w umowach z rządem. Myśl ta przenikała powoli i w społeczeństwo.

Poczęły obiegać w końcu 1860 r. pogłoski, że do Królestwa ma być wprowadzony Statut organiczny: że cesarz wkrótce zjedzie do Warszawy i prawdopodobnie jakiś ważny krok polityczny uczyni, bo w starym Zaniku warszawskim odnawiają salę tronową. Wszystko to były pogłoski nieuzasadnione, ale zdradzały one to nerwowe usposobienie społeczeństwa, które w przededniu strasznych wypadków przeczuwało niejako swą przyszłość pełną burz i wicherów. Tak wśród dręczącego niepokoju dla jednych, wśród uśmiechającej się nadziei świetnej, jasnej, purpurą majestatu polskiego okrytej przyszłości dla drugich, kończył się rok 1860 a rozpoczynał 1861. Nim zapuścimy się w dramatyczną, pełną tragicznych epizodów opowieść o wypadkach tego strasznego i burzliwego roku, rzućmy na chwilę okiem za siebie wstecz i w krótkich rysach przypomnijmy sobie to wszystko, cośmy dotąd powiedzieli.

Widzieliśmy jak ze śmiercią Mikołaja społeczeństwo polskie nagle odżyło, uczuło pewne zwolnienie więzów, budzić się zaczęło z niezdrowej drzemki, wywołanej bezprzykładnym uciskiem rządów mikołajowskich. Jakkolwiek wojna krymska i kongres paryżki zawiódł jeszcze raz wszystkie nadzieje Polaków, że kwestya polska stanie się przedmiotem umów i pertraktacyi międzynarodowych, wszelako nadzieje, budzące się z wiosną 1856 r. nie opuszczały nieszczęśliwego i na tak ciężkie próby wystawionego narodu. Wieści o młodym cesarzu, o jego liberalnym, ludzkim usposobieniu, o szerokich reformach, jakie zamierza on uczynić w swem państwie olbrzymiem, przyczyniały się do utrzymania tych nadziei. Owocem ich były świetne, jedyne niestety! „dni majowe”, w których naród jeszcze raz doznał ciężkiego zawodu. Żywiąc w sobie niestłumione niczem pragnienie niepodległości, a jeżeli nie niepodległości to autonomii w granicach przedrozbiorowych, miał się wkrótce boleśnie przekonać, że na tym punkcie nie może być nigdy zgody między Rosją i Polską, nie może nastąpić żaden kompromis, który by pierwszą spychał na stanowisko drugorzędnego państwa, a drugą podnosił z nicości do stopnia wielkiego mocarstwa. Starcie się tych dwóch prądów wywołać musiało z obu stron niezadowolenie i dla ludzi przenikliwych widoczną była fatalna pochyłość, na którą weszły obie strony, pochyłość, na dnie której leżało widmo krwawego, śmiertelnego pojedynku. Rząd ze swej strony, reprezentowany w Polsce albo przez ludzi niedołącznych, albo złych i karierowiczów, sądził, że Polską będzie można dalej władać na tych samych podstawach, na jakich władał nią Paskiewicz. Nie robiąc żadnych ustępstw, albo robiąc je rzadko i w dozach małych, mających charakter tylko pozornych ulg, lecz nie sięgających do głębi, mniemał, że potrafi zażegnać podnoszące się aspiracye i ducha czasu, który wiał prądami ożywczych nadziei. We właściwym miejscu wskazaliśmy, że gdyby rząd był rozumny, gdyby patrzył na rzeczy ze stanowiska wyższego, to zdołałby położyć koniec niezadowoleniu przez szereg reform, nie

naruszających w niczym stosunku państwowego obu ludów a zadość czyniącego tym pragnieniom polskim, które na razie chciały tylko żyć życiem narodowym. Nie uczyniono tego, niestety! owszem drażniono niepotrzebnie ogół nieraz i dawano mu uczuć swą ciężką władzę. Powoli w umysłach ludności poczęło się budzić przekonanie, że z Rosyą kwestye sporne może tylko miecz rozstrzygnąć. Nie było w kraju ani jednego stronnictwa, jakiegokolwiek by one nazwy nosiły, które by się zrzec chciały tak zwanych świętych i nieprzedawnionych praw polskich. Każde z nich chciało Polski niepodległej państwowo i zamkniętej w granicach 1772 r. Tak dobrze dążył do tego Zamoyski z Klemensowczykami, tak Jurgens z Millenerami, jak i Jankowski i akademicy z czerwieńcami. Jeżeli na chwilę mogła nastąpić jakaś ugoda z Rosyą, jakieś ułożenie się pokojowe wzajemnego stosunku przez nadanie Królestwu szeroko i rozumnie pomysłanych reform, to uważane to byłoby przez wszystkie stronnictwa polskie, jako czasowe tylko załatwienie kwestyi polskiej. Kwestya ta bowiem w pojęciu wszystkich Polaków, mogła być stanowczo i raz na zawsze rozstrzygniętą jedynie przez nadanie jej zupełnej niepodległości politycznej i przywrócenie dawnych, przed-rozbiorowych granic.

Wobec takiego położenia rzeczy w sprawie tej nie było wyjścia, i powiedzmy szczerze, cokolwiek by zrobił rząd rosyjski, jakiegokolwiek by przeprowadził reformy, nie zadowolnił by nigdy Polaków i nie pozyskał ich dla siebie. Ustępstwa mogły ostateczny rezultat odwlec, burzę na chwilę zażegnać, chmury spędzić na skraj horyzontu, ale wcześniej czy później, chmury te pokryłyby znowu niebo Polski i burza zerwałaby się z większym jeszcze trzaskiem piorunów i świstem wichru. Rząd rosyjski widział to dobrze, ale sądził, że rządząc po dawnemu, zdoła burzę jeżeli nie powstrzymać zupełnie, to odwlec ją na długi czas. Omylił się i patrzeć musiał, jak w Polsce gromadziły się powoli żywioły zapalne, jak uśpiony żelazną paskiewiczowską ręką wulkan budzić się i dymić poczyna, grożąc strasznym wybuchem i zniszczeniem. Drżała już ziemia w Polsce i w łonie jej słychać było posępne pomruki lwa skutego łańcuchami, który wstrząsał nimi i gotował się do potężnego skoku, mającego zdruzgotać klatkę, w jakiej go zamknęto.

Straszna ta chwila dziejowa, to rozkuwanie ostatniego łańcucha, zbliżało się szybkimi krokami. W zmroku niedoli narodowej, podnosiło się już blade widmo nieszczęść, które spaść miały na Polskę, zalać ją krwią, zasiać ruinami, napełnić łzami.

Opis tych okropnych, bolesnych dla serca polskiego wypadków, będzie przedmiotem następnej części tej pracy.

KONIEC CZĘŚCI WSTĘPNEJ I TOMU PIERWSZEGO

SPIS ROZDZIAŁÓW TOMU I

Przedmowa

Spis bibliograficzny druków i niektórych rękopismów ukrytych przy pisaniu dzieła niniejszego

Rozdział I. Majowe dni. Śmierć cesarza Mikołaja. Wieści o jego następcy. Rząd francuski podnosi kwestyą polską. Jego korespondencya z lordem Clarendonem. Kongres paryzki i przyrzeczenia Orłowa. Śmierć Paskiewicza. Stan kraju i umysłów. Sprawa Wikińskiego. Nominacya księcia Gorczakowa, jego podróż do Warszawy i charakterystyka. Jego mowa w Warszawie. Nominacya Muchanowa na dyrektora Komisji spraw wewnętrznych. Jego przeszłość, charakter i znaczenie. Pragnienia polityczne polskie. Przyjazd cesarza do Warszawy. Myśl o memoriale. Baron Firks go pisze. Cztery punkta. Cesarz w Brześciu Litewskim i jego rozmowa, z Nazimowem. Cesarz w Międzyrzeczu. Projekt Wielopolskiego. Bal szlachecki. Mowa do szlachty. Bal w ratuszu. Amnestya dla wychodźców. Protest przeciw niej Towarzystwa demokratycznego. Zajęcia dla powracających wychodźców. Ukaz rozciąga się i do Litwy. Pomoc dla emigrantów. Sprawa włościańska i postępowanie Nazimowa. Obchód koronacyi w Warszawie. Ukaz o zesłanych na Sybir Polakach. Ich powrót i wpływ na kraj. Podróż i agitacya Nazimowa na Litwie. Komitety szlacheckie do sprawy włościańskiej. Zakończenie.

Rozdział II. Zapis Świdzińskiego. Towarzystwo rolnicze. Nieufność do rządu. Komitet do spraw kościelnych. Nominacya trzech biskupów i ich charakterystyka. Sprawa Dernowicka i Pawłowska. Muchanow i Gorczakow. Projekt założenia uniwersytetu w Warszawie. Opór Muchanowa i jego projekt. Klasa ósma przy gimnazyach filologicznych. Akademia medyko-chirurgiczna i jej uroczyste otwarcie. Konstancy Świdziński i jego zbiory. Zapis ich Wielopolskiemu. Treść testamentu. Mniemany kodycył. Postępowanie Wielopolskiego. Proces ze Świdzińskimi o nieważność testamentu. Mowa Wielopolskiego w Sądzie apelacyjnym i Senacie. Umieszczenie

biblioteki w Chrobrzu. Ogólne potępienie tego kroku. Zjadliwa polemika Wielopolskiego z przeciwnikami. Zrzeka się zapisu i los dalszy zbiorów Świdzińskiego. Andrzej hr. Zamoyski, jego przeszłość, działalność, charakterystyka i program polityczny. Kwestya chłopska. Oczynszowanie i uwłaszczenie. Przedsiębiorstwa przemysłowe Zamoyskiego. Zjazdy Klemensowskie. Towarzystwo rolnicze. Pozwolenie wydania dzieł Mickiewicza. Merzbach i wystąpienie przeciw niemu. Drugi przyjazd cesarza do Warszawy. Jego pobyt w Puławach. Zjazd w Stuttgardzie. Powrót do Warszawy, bale, zabawy. Ukaz o Towarzystwie rolniczym i uroczyste tegoż zawiązanie. Znaczenie Towarzystwa w kraju i działalność. Litwa i jej usposobienie. Raport Siemaszki i jego następstwa. Sprawa włościańska. Komitety szlacheckie i ich decyzje. Reskrypt cesarski z d. 20 Listopada 1857 r. Zachowanie się ludu i rozporządzenie Nazimowa. Działalność komitetów włościańskich. Zakończenie.

Rozdział III. Stronictwo ruchu. Cesarz w Wilnie. Stronictwo ruchu i żywioły w skład jego wchodzące. Jego program. Zarzuty przeciw programowi pracy organicznej. Sprawa włościańska i czerwieńcy. Koła młodzieży na uniwersytetach rosyjskich. Trójki kijowskie. Koło Sierakowskiego i Dombrowskiego. Koło Jurgensa w Warszawie. Projekt Kronenberga przywrócenia uniwersytetu w Wilnie. Bractwa wstrzemięźliwości w Królestwie i na Litwie. Zakaz Muchanowa i kary na duchowieństwo. Jenerał Ixkull i komitet włościański. Postanowienie Rady Administracyjnej o dobrowolnem oczynszowaniu. Zniesienie naczelników wojennych i reforma poczty. Wprowadzenie języka polskiego do szkół na Litwie. Cesarz w Mińsku i prośba szlachty witebskiej. Przygotowania do przyjęcia cesarza w Wilnie. Jego pobyt w Muzeum i wiersz Odyńca. Artykuł Chodźki. Mowa cesarza do szlachty wileńskiej. Bal szlachecki. Przyjazd cesarza do Warszawy. Księżę Napoleon i ludność warszawska. Przyjęcie monarchów w Wilanowie. Memoryał Łempickiego. Zmiana w usposobieniu umysłów. Sprawa żydowska. Wypadki w Turku. Polacy petersburscy i ich program. „Słowo” i jego zamknięcie. „Gazeta Warszawska” i żydzi. Kronenberg kupuje „Gazetę Codzienną” i sprowadza J.I. Kraszewskiego. Opinia oburza się na niego. Kółko akademików i Jan Kurzyna. Jego starcie z Jurgensem i „Millenerami”. Koło Narcyza Jankowskiego. Nabożeństwo za trzech poetów i jego skutki. Przyspieszenie egzaminów podlekarskich. Młodzież podaje się o uwolnienie z Akademii. Wygnanie Kurzyny i Jaśniewskiego. Zakończenie.

Rozdział IV. Pierwsze manifestacje. Towarzystwo rolnicze i domy zleceń. Rząd dozwala Towarzystwu zastanawiać się nad oczynszowaniem wło-

ścian. Projekt Wielopolskiego odrzucony przez Komitet Towarzystwa. Mowa Zamoyskiego przy otwarciu posiedzeń Towarzystwa. Agitacja przeciw Towarzystwu i reskrypt Muchanowa. Interpelacja Niegolewskiego w sejmie pruskim. Wojna włoska i jej wpływ na umysły. Podróż cesarza na Ukrainę i Podole. Stan kwestyi włościańskiej tamże. Adres szlachty podolskiej i jego los. Cesarz w Warszawie. Karol Majewski. Usiłowania Jankowskiego złać wszystkie koła w jedno. Pierwszy Komitet pn. „Kapituły Warszawskiej”. Aresztowanie Jankowskiego. Ruch młodzieży w Krakowie. Pogrzeb jenerałowej Sowińskiej. Manifestacja z tego powodu. Śledztwo i rezultaty tej manifestacyi. Agitacja rewolucyjna. Zjazd w Warszawie trzech monarchów. Odezwa Komitetu. Cesarz w Wilnie. Przyjazd do Warszawy i asafedyta w teatrze. Wykradzenie Austryjakom papierów na kolei. Polewanie sukien kwasem siarczanym. Afisze teatralne. Rozpadnięcie się Kapituły. Przybycie Godlewskiego do Warszawy. Nominacya Trepowa na oberpolicmajstra. Manifestacja d. 29 Listopada przed kościołem Karmelitów na Lesznie. Nabożeństwo u Bernardynów. Stan umysłów w mieście. Hr. Kossakowski w teatrze. Żądania czerwonych. Ogólny rzut oka na przebieg pięcioletnich wypadków. Zakończenie.

HISTORIA DWÓCH LAT

1861 — 1862

PRZEZ

Z.L.S.

CZEŚĆ PIERWSZA Rok 1861

Tom II

Styczeń - Maj

KRAKÓW

1893

„U nas stronnictwa postępowego, stonnictwa ruchu nigdy nie zbrakło i nigdy go nie zbraknie, lecz brakowało zawsze tej siły, która by umiała zorganizować stronnictwo porządku i umiarkowania”.

(Z. Kaczkowski „Rewolucyjne sądy i wyroki”)

ROZDZIAŁ V

Pięć ofiar

Stan miasta. Raport urzędowy do cesarza. Aresztowanie Majewskiego. Zjazd delegatów uniwersyteckich. Powstanie tryumwiratu. Antoni Załuskowski w salach reutowych. Komitet Towarzystwa rolniczego. Pierwsze posiedzenie. Mowa Zamoyskiego. Konkluzja komitetu. Towarzystwo pod wpływem Tomasza Potockiego uchwała uwłaszczenie. Wieści o manifestacji. Jelszyn i Paulucci. Balcer i środki ostrożności. Zebranie się ludu na polach grochowskich. Manifestacja na rynku starego Miasta. Rada w Zamku i pobicie Trepowa. Wyruszenie procesy z kościoła OO. Paulinów. Starcie z żandarmami. Pogłoski i rozwinięcie siły wojskowej. Żałoba. Telegram Gorczakowa do cesarza i ogłoszenie Trepowa. Postanowienie tryumwiratu. Inicjatywa mieszczaństwa warszawskiego w sprawie adresu. Wybory w cukierni Kontiego. Dzień 27 lutego. Nabożeństwo na Lesznie. Instrukcja namiestnika. Pochód procesy. Zjawienie się jej na placu Zamkowym. Ataki Czernobrowa na tłum pod Bernardynami. Pogrzeb Łempickiego. Złamany krzyż. Wystąpienie piechoty Hartonga. Pojawienie się Zabołockiego. Towarzystwo rolnicze i Narzyski. Zabołocki rusza na wążkie Krakowskie Przedmieście. Strzały. Pięć ofiar i ich nazwiska. Zbieranie trupów przez lud i poszukiwanie dla nich pomieszczenia. Wzburzenie umysłów. Gorczakow wysłał Wiesielickiego i Semekę. Raport Zabołockiego. Deputacja u namiestnika. Wybór i wysłanie delegacji. Delegaci i Gorczakow. Sześć punktów i usunięcie Trepowa. Redakcja adresu. Usiłowania Wielopolskiego. Podpisywanie adresu. Konstabile narodowi. Korespondencja Gorczakowa z Petersburgiem. Oględziny sądowe ciał poległych. Patrole nocne i prowokatorzy. Wręczenie adresu. Popłoch w Zamku. Uroczysty pogrzeb poległych. Odezwy i wiersze. Okólnik o żałobie. Odezwa żydowska. Zakończenie.

Rok 1861 rozpoczynał się smutno. Karnawał, podczas którego niedawno jeszcze, w chwilach paskiewiczowskich podniet, szaleli nieomal wszyscy, teraz był cichy. Pod wpływem agitatorów, ich gróźb, listów bezimiennych, wybijania szyb, pańskie pałace i wykwintne salony warszawskie stały ciemne, opustoszałe i milczące. Maskarady, które co niedziela administracja teatrów urządzała w tzw. salach reutowych, sprowadzały zaledwie po kilkanaście osób; bale publiczne w resursie nie mogły zwabić nawet dziesięciu par tancerzy. W instytucie szlacheckim, gdzie co rok w karnawale, odbywały się bale, teraz na wyraźne oświadczenie młodzieży, że w zabawie udziału nie wezmą, musiano zwyczaj tego zaniechać. W atmosferze miasta unosiły się

niezdrowe miazmaty, zapowiadające burzę blizką i straszną; powietrze było naelektryzowane i zdawało się, że tylko iskry trzeba, by pioruny zagrzmiały.

Władze rosyjskie w Warszawie, stronnictwo Kotzebuego i Paniutyna, widziało, że położenie poczyna być groźne, że materiały palne się gromadzą i że ze strony rządu nic takiego się nie robi, coby jakąkolwiek poważną kładło tamę wzbierającemu potokowi rewolucji. Książę Gorczakow okazywał na każdym kroku brak stanowczości i brak programu w rządzeniu krajem. Gdy mu donoszono o jakiej nowej manifestacji, o jakiej awanturze ulicznej z charakterem politycznym, unosił się gniewem, surowe wydawał polecenia, nakazywał śledztwa, aresztowania, by nazajutrz wpaść znowu w swą zwykłą niepewność i brak wszelkiej działalności. Nalegającym na niego dygnitarzom rosyjskim, by nie przerywał surowego postępowania, tłumaczył, że to jest niemożliwe, że duch czasu temu się sprzeciwia, że inna jest teraz niż dawniej epoka, epoka postępu i liberalizmu, że nie należy stawać sztorcem prądowi nowych idei, bo to nie tylko państwu korzyści nie przyniesie, ale owszem narazić je może na poważne zawikłania. A przytem w głębi serca był on przekonany, że tak źle nie jest jak mu powiadają, jak stronnictwo despotyzmu wojskowego usiłuje rzeczy przedstawić. W sprawozdaniu, rok rocznie składanem cesarzowi o stanie kraju, za ubiegły 1860 r., wystylizowanem przez Muchanowa, Gorczakow zapewniał, że „kraj z biegu rzeczy jest najzupełniej zadowolony, oprócz drobnej frakcyi szlachty podrzędnej, podbudzanej z zagranicy przez emigracją”; przeciwny był stanowczo nadaniu Królestwu instytucji reprezentacyjnych, gdyż „kraj sobie tego nie życzy i potrzeby nie czuje”; że z czasem będzie to można zrobić, ale dopiero wtedy, „kiedy stan włościan w Królestwie i Cesarstwie zrównoważony będzie, kiedy utworzenie w Cesarstwie hipotek, towarzystw kredytowych ziemskich i innych instytucji publicznych, na wzór tych, jakie w Królestwie istnieją, całe państwo do przyjęcia i korzystania z jednostajnych instytucji liberalnych prowincjonalnych zdolnem uczyni”.

Raport ten świadczy o głębokiej nieznajomości położenia, o umyślnem niejako oszukiwaniu siebie i rządu, oraz o tej zgubnej zasadzie, stale przez Muchanowa wyznawanej, że reformy w Polsce wtedy mogą być przeprowadzone, gdy je Rosya posiędzie. Gorczakow więc, choć widział niebezpieczeństwo, choć niekiedy ogarniała go trwoga przed widmem Polski, które zdawało się poruszać w swym grobowcu, sądził jednak, że niebezpieczeństwo to da się zażegnać przez użycie od czasu do czasu surowych środków i łudził się nadzieją, że sprawy pójdą dobrze i że kraj się uspokoi powoli.

Taka postawa naczelnika rządu miała jak najgorsze następstwa. Podwładna mu administracya i policya uważała za stosowne patrzeć na wszystko przez palce i jeśli kogo aresztowano, to chyba tylko wtedy, gdy już inaczej, bez wy-

rażnego okazania słabości władzy, postąpić nie można było. Jednakże Górczakow od czasu do czasu zrywał się i w gniewne nakazywał, żeby raz położono koniec wszystkiemu, żeby wysłedzono kierowników spisku, który jak wulkan nowożytny kuł pociski i słycać było odgłos tego kucia w około.

Gdy takie rozkazy do policyi przychodziły, ta mimo całego swego niedołęztwa wiedząc nieomal o wszystkim, co się działo w kołach agitatorów, rozpoczynała aresztowania, których, ofiarą zwykle padali ludzie zajmujący drugorzędne stanowiska w agitacyi.

Ale nakoniec gdy się tych przebrało, gdy Górczakow znowu wpadł w swój peryodyczny paroksyzm gniewu i energii, przyaresztowano w końcu Stycznia 1861 r. Karola Majewskiego i osadzono w cytadeli. Głównie przyczynił się do tego list Mierosławskiego, pisany do Majewskiego i znaleziony przy Narcyzie Jankowskim, w czasie przyaresztowania go w Szczakowy przez władze austriackie. Uwzięzenie Majewskiego wstrząsnęło stronnictwem Czerwonych i resztkami Kapituły, która faktycznie nie istniała, ale mimo to, pozostali w Warszawie jej członkowie, wywierali pewien wpływ na bieg rzeczy. Zwłaszcza Majewski przez swoją zręczność i wymowę, zawsze zajmował wybitne, kierownicze stanowisko i przez swój spokój miał przewagę nad rozgorączkowanemi głowami Nowakowskich, Frankowskich i innych. Aresztowanie takiego człowieka, który był pewnym rodzajem cementu, spajającego rozmaite odcienia agitacyi, groziło ostatecznem rozpadnięciem i tak już słabo grawitujących ku sobie różnych żywiołów. Poczęto więc wśród Czerwonych narzekać na bezczynność, dzięki której rząd wszystkich, jak owce może wyłapać i ubezwładnić. Oto, mówiono, do czego nas doprowadziły konszachty ze szlachcicami, „biała zaraza”, jaka się do nas wkradła. Na co my czekamy i czego się doczekamy? Gdyby nie Biali, nie ich zachcianki, olbrzymia manifestacya, „koncert nad koncertami” dawno już by był zagrzmiął na ulicach Warszawy; rząd byłby ustąpił, dał co należy i Majewski nie jęczałby w cytadeli.

Słowa te znajdowały chętne ucho wśród rozgorączkowanej młodzieży. Wszyscy domagali się dalszego ciągu manifestacyi, tego „głośnego protestu przeciw najazdowi”. Żądania te wydawały się tem słuszniejsze, tem szerszy i ostrzejszy przybierały charakter, że właśnie w tę porę, w końcu Stycznia, wobec zbliżających się posiedzeń Towarzystwa rolniczego, a zatem konieczności powzięcia jakiejś stanowczej decyzji co do programu dalszych działań, zjechali do Warszawy, z inicjatywy studentów kijowskich, dość liczni delegaci różnych kół polskich i nie polskich po uniwersytetach rosyjskich. Przybyli wysłańcy nawet z Rygi, Charkowa i Kazania. Zwłaszcza delegaci uniwersytetu kijowskiego stawili się pod przewodnictwem Gustawa Wasilewskiego. Włodzimierza Lempke i Leonarda Sowińskiego, głośnego później poety, w znacznej

liczbie, i odznaczali się ognistą, że tak powiemy, czerwonością swych przekonań. Chcieli oni, żeby Towarzystwo rolnicze podało adres do cesarza z prośbą o przywrócenie uniwersytetu polskiego w Wilnie i Kijowie, o zaprowadzenie szkół polskich na Litwie i Rusi, oraz różnych liberalnych instytucji, których jednak bliżej nie określali. W tym celu delegaci porozumieli się najprzód z komitetem Towarzystwa rolniczego; odbyto nawet parę posiedzeń w hotelu Europejskim. Ale Komitet odrzekł chłodno, że podobny adres przechodzi jego atrybucyę, radził młodzieży nie gorączkować się, gdyż potrzebne instytucye kraj może otrzymać na innej, spokojniejszej, a nadewszystko pewniejszej, niż manifestacye i adresa, drodze. Delegaci złani w ten sposób zimną wodą przez Klemensowczyków, postanowili porozumieć się z kołami rewolucyjnymi warszawskimi, ażeby działanie nabyło pewnej jedności i spójności, by jedni drugim pomagali. Tymczasem, właśnie gdy oni, przybyli, nie było naprawdę z kim się porozumiewać w Warszawie. Tu, po rozbiciu Kapituły i po aresztowaniu Majewskiego, panował istotny chaos kół i kółek, żyjących osobno, działających na własną rękę i podejrzewających się wzajemnie. Jurgens ze swoimi Millenerami, z koteryą literacko-mieszczą, która się zbierała u sławnej poetki Narczyży Żmichowskiej, wywierającej niepospolity wpływ w tej epoce na umysły tych, którzy byli do niej zbliżeni, trawił się w beczynności, czuł potrzebę działania i lękał się go, chciał zaprowadzić jakiś porządek, a nie miał sił i środków na wystąpienie stanowcze, na okiełznanie akademików, Marymontczyków, szkoły sztuk pięknych i mnóstwa innych stowarzyszeń, które roiły się na bruku warszawskim, wyprawiały awantury uliczne, manifestacye, wybijały szyby i t. p. Wszyscy ludzie rozumniejsi widzieli potrzebę zjednoczenia tych licznych ciał, ujęcia ich w karby wspólnego i obmyślanego z góry działania, przerwania, już teraz całkiem niepotrzebnych, drobnych demonstracyi i rozpoczęcia akcji na wielką skalę, z wyraźnym celem zrobienia czegoś dla kraju. Zebranie walne Towarzystwa rolniczego było właśnie takim momentem, który można było i należało spożytkować.

Wśród tego wszystkiego Majewski po ośmiodniowym więzieniu w cytadeli, został z niej w początkach Lutego uwolniony. Czas już był wielki, bo policya poczyniała się niepokoić zjazdem młodzieży uniwersyteckiej do Warszawy i Trepów wydawał rozkazy, by wyjeżdżali jak najprędzej, a nawet niektórych żandarmami wywoził ze stolicy. Przy pomocy osób trzecich, głównie Antoniego Porębskiego, późniejszego założyciela „Tygodnia” w Piotrkowie, zdołano zetknąć ze sobą Jurgensa i Majewskiego, którzy dotąd mało się znali i dość krzywo na siebie patrzyli z powodu różnicy swych przekonań politycznych. Porozumienie między tymi dwoma ludźmi nastąpiło dość szybko. Postanowili oni połączyć się wzajem i przybrawszy jeszcze

trzeciego, utworzyć komitet, tryumwirat, któryby opanował cały ruch i pokierował nim jak należy. Jurgens stojący, że tak powiemy, na czele koła inteligencji warszawskiej, Majewski przodujący akademikom, Marymontczykom i szkole sztuk pięknych, przedstawiali w swych osobach działalność tych odłamów agitacji. Szło jeszcze o owdnięcie młodzieżą szkolną, która stanowiła główny kontyngens, główne źródło drobnych manifestacji ulicznych. W tym celu przybrali Władysława Gołemberskiego, nauczyciela gimnazjum, za pośrednictwem którego spodziewali się uzyskać wpływ na młodzież szkolną.

Tak ukonstituowany tryumwirat postawił sobie przedewszystkiem pytanie: co robić należy? Jurgens domagał się zupełnego przerwania manifestacji, których cel został już osiągnięty, duch w narodzie obudzony, i które teraz całkiem są niepotrzebne. Majewski zgadzał się na to, ale utrzymywał pod wpływem delegatów uniwersyteckich, że wobec walnego zebrania Towarzystwa rolniczego należy urządzić jeszcze jedną wielką manifestacją, któraby wciągnęła toż Towarzystwo do ruchu i zmusiła je do czynnej, politycznej działalności. Zresztą szło mu przedewszystkiem o to, by manifestacje dalej trwały i ruch rewolucyjny nie ustawał. Jurgens był temu stanowczo przeciwny. Uznając w zasadzie konieczność zmuszenia Towarzystwa rolniczego do akcji politycznej, sądził jednak, że się to da uskutecznić bez manifestacji ulicznych. Program swój teraz, obmyślany i wypracowany w długich rozprawach koteryi mieszczańskiej, stawiał on wyraźnie i jasno. Chciał on, by zgromadzona szlachta z jednej strony rozstrzygnęła kwestyą włościańską, z drugiej żeby podała petycją do cesarza z żądaniem reform. Reformy te według niego zamykać się winny w ulepszeniu edukacji publicznej na podstawach narodowych, w równouprawnieniu żydów, w organizacyi miast, w przekształtowaniu cechów rzemieślniczych, w nadaniu wolności stowarzyszania się w interesach ekonomicznych. Przeciw temu programowi Majewski właściwie nic nie miał, ale uparcie utrzymywał, że się to nie da zrobić bez wielkiej manifestacji. Marzył on już o wtargnięciu ludu na miejsce posiedzeń Towarzystwa, o powtórzeniu się wspaniałej sceny z rewolucyi francuskiej, gdy motłoch paryski tłumnie wdzierał się do sali Konwencji. Jurgens starszy, doświadczeńszy, rozumniejszy, opierał się temu stanowczo i wskutek tego rozstano się z niezadowoleniem wzajemnem i powstający tryumwirat w samym swoim zarodku rozpadł się prawie zupełnie.

Manifestacje więc trwały dalej i ani na chwilę nie ustawały. W instytucie szlacheckim młodzież, przyniesionymi pączkami obrzuciła portret cesarza, wiszący na ścianie w głównej sali. Podejrzanych o szpiegostwo dwóch kolegów: Drozdowicza, syna komisarza policji i Zuczkowskiego, syna osławionego dozorczy więźniów politycznych w cytadeli, zbili niemiłosiernie i zmusili do

opuszczenia szkoły¹. Nie było dnia, żeby która ze znaczniejszych osób w mieście nie odebrała listu bezimiennego, napełnionego przestrogią, pisanymi w stylu bombastycznym i groźnym, z dołączeniem niekiedy wyobrażenia szubienicy; żeby gdzieś na ulicy nie naklejono jakiej plakaty pełnej patryotycznych uniesień, słów pustych ale nadętych czułościowym patosem, tak ulubionym przez ludzi tej epoki. Na Zamku przybito kartę z napisem: „Zamek od św. Jana do wynajęcia”, co nie było ani dowcipne, ani nowe. Innym razem po rogach ulic ukazało się ogłoszenie tej treści: „rewolucya z powodu ślizgawicy odłożona do Maja”. Na gmachu komisji spraw wewnętrznych, gdzie mieszkał Muchanow, ktoś przylepił papier z napisem: „Muchanow złodziej na szubienicę”. Oficerów rosyjskich obrażano na ulicach, tłuczono szyby, śpiewano „Boże, coś Polskę”, odprawiano nabożeństwa z celem patryotycznym. W Styczniu odbyło się np. takie nabożeństwo z inicjatywy uczniów szkoły realnej w kościele OO. Bernardynów na Krakowskim Przedmieściu, za dusze trzech poetów: Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, na którym odśpiewano hymny patryotyczne. Hymnów takich mnoży się teraz mnóstwo; przypominają sobie dawne, tworzą nowe, które w licznych odpisach ręcznych, lub odbitkach litografowanych kursują po mieście i kraju. Wszystko to było już, że tak powiemy, chlebem powszednim, przestawało być nowością i nie zwracało na siebie uwagi.

Głośniejszym się stał fakt, którego bohaterem był niejaki Antoni Załuskowski, syn obywatela ziemskiego. Zjawił on się w dniu 7 Lutego na maskaradzie, w salach reductowych, w gmachu teatru, przebrany za niewolnika z łańcuchami na rękach i nogach, przedstawiając niby Polskę, okutą przez wrogów. Widok takiej maski wywołał między zgromadzonymi powszechnie poruszenie. Załuskowski zdołał jednak raz tylko przejść przez salę, został przyaresztowany przez policję i odesłany do cytadeli.

Gdy się to wszystko działo, gdy bruk Warszawy i jej atmosfera coraz bardziej się rozpalala, szlachta powoli, po jednemu, po dwóch, poczęła się zjeżdżać do stolicy na walne posiedzenia Towarzystwa rolniczego. Wszyscy przybywali tu z poczuciem, że rozegrają się jakieś wielkie i ważne wypadki, że dla szlachty, dla Towarzystwa przypadnie w nich rola pierwszorzędna. Kwestya włościańska, która miała stanowić główny i jedyny niemal przedmiot debatów walnego zebrania, która atoli w umysłach ogromnej większości szlachty poza oczynszowanie nie wychodziła, wobec opinii publicznej kraju, domagającej się uwłaszcze-

1 Podejrzewali ich, że ulubionego przez uczniów guwernera instytutu, Andrzeja Sikorskiego, denuncjowali do władzy. Sikorski aresztowany dnia 16 Stycznia 1861 r. za to, że posiadał druki zakazane i korespondował z Miosławskim. Spotkamy się z nim jeszcze później.

nia, czyniła pozycją Towarzystwa bardzo drażliwą i śliską. Gdy jednak zwolennicy oczynszowania znaleźli się w Warszawie, w jej atmosferze gorącej, wobec rozdrażnionej opinii powszechnej, poczuli wahać się w swych przekonaniach i ustępować; gdy wszystko w około nich drżało febrą rewolucyjną, i oni tej febrze doznawać zaczęli. Komitet jednak Towarzystwa, który przygotowywał przedmioty, mające wejść pod obrady walnego zjazdu, złożony z szesnastu osób, samych Klemensowczyków, starał się zachować zimną krew i spokój. Zbierał on się na posiedzenia w mieszkaniu swego prezesa Andrzeja hr. Zamoyskiego i zgodnie ze swą dotychczasową działalnością starał się być nieprzystępnym dla wszelkich robót nielegalnych i zachcianek „ulicy”, jak się pogardliwie wyrażano o Czerwieńcach. Uważając się ciągle za „moralną reprezentację kraju”, Klemensowczycy z jednej strony stanowczo byli przeciwni uwłaszczeniu i zdecydowali na swych naradach nie wychodzić poza oczynszowanie; z drugiej nie brać żadnego ani pośredniego, ani bezpośredniego udziału w ruchu. Pozycja była niezmiernie ciężka i trudna do utrzymania, zwłaszcza z Towarzystwem tak licznym i z tak rozmaitych żywiołów złożonym, jakim było rolnicze. Dla Komitetu pozycja ta jeszcze trudniejszą się stawała, że był narażony na nieustanne ataki ze wszystkich stron. Tak dobrze zjeżdżający się do Warszawy członkowie Towarzystwa, na pół upojeni warem atmosfery stołecznej, jak i Czerwieńcy, Millenerzy, mieszczaństwo zresztą warszawskie, domagało się natarczywie, by Komitet wziął w akcyi inicjatywę, która mu, jak mickiewiczowskiemu podkomorzemu, „z wieku i urzędu się należy”. „Wasza postawa, wasze uparte zachowywanie się w granicach legalności, mówiono im, do niczego nie doprowadzi; nie powstrzymacie tem ruchu i gotujących się manifestacyi, które doprowadzić mogą do strasznych, nieobliczonych następstw, następstw może zgubnych dla kraju, bo ruchem kierują ludzie młodzi, niedoświadczeni. Czyż kierownictwo nie do was należy? czyż nie jesteście starszą bracią? moralną, jak sami się nazywacie, reprezentacją kraju? Ogłóście uroczyście uwłaszczenie włościan, zredagujcie petycją do cesarza, chwycicie w swe ręce ster spraw krajowych, który może paść na ulicy wśród krwi i błota i dostać się w dłonie pierwszego lepszego Nowakowskiego, Frankowskiego, a przez nich w krwawe objęcia rewolucyjnej, w objęcia „zmartwychwstałego wodza Mierosławskiego”.

„Nie! odpowiadano; tą drogą z rządem rosyjskim do niczego się nie dojdzie, z rządem, który ma siłę w ręku i który nic prócz siły nie rozumie”. „Czuję Polskę w powietrzu”, wołał Zamoyski, ale do Polski tej nie dojdzie się przez manifestacje i przez awantury uliczne; one mogą tylko wszystko popsuć, zniszczyć tak mozolnie nawiązane nici odbudowania, zachwiać bytem Towarzystwa i kraju. Komitet i Zamoyski zaklinali, prosili, błagali członków zjeź-

dążących się do Warszawy, by nic nie robić, nie mięszać się do spisku, zachowywać się legalnie. W końcu, gdy to wszystko nie wiele pomagało, gdy wodze nieomal wyrwały się z rąk Klemensowczyków, ci postanowili przyspieszyć otwarcie ogólnego zebrania, rozpocząć narady dnia 21, zamiast 25 Lutego, jak było poprzednio postanowione i tym sposobem mieć do czynienia z mniejszą liczbą członków, wszelkie śmielsze projekty odkładać na jutro i nawet w razie niebezpieczeństwa potajemnie się rozjechać. Zamiar przyspieszenia posiedzeń znalazł poparcie u tryumwiratu czerwonego, wprawdzie z całkiem innych względów. Wiedziano, że w Rosyi ukaz cesarski o usamowolnieniu włościan ma być wkrótce ogłoszony. Szło więc o to, by decyzją o uwłaszczeniu chłopów w Królestwie przyspieszyć i tym sposobem uprzedzić akt rosyjski, pokazać światu, że Polska nie poszła za przykładem Rosyi, nie była przez tę ostatnią zmuszona do wielkiej reformy społecznej, ale wykonała ją sama, z własnej woli, z poczucia potrzeby zagojenia ostatecznego rany socyalnej. Dla tego więc tryumwirat popierał gorąco projekt Komitetu Towarzystwa i domagał się jego wykonania.

Wśród takich to warunków, istotnie d. 21 Lutego, a więc wcześniej o cztery dni niż ogłoszono poprzednio, rozpoczęło się zebranie walne Towarzystwa rolniczego, we wspaniałej sali pałacu niegdyś Radziwiłłowskiego, powszechnie zwanego namiestnikowskim. Osób zebrało się tylko 789, a więc zaledwie trzecia część członków Towarzystwa. Wielu zjawiało się, zwłaszcza młodzi, w czamarkach, konfederatkach i butach wysokich, manifestując tym sposobem swe czerwone, patryotyczne uczucia i sympatyą ku ruchowi. Wśród szlachty, dumnych i okazałych postaci, zasiadło także kilku chłopów, wybranych niedawno na członków Towarzystwa, starców o wyglądzie patryarchalnym, którzy jednak w tern zgromadzeniu licznem i pańskiem, nie czuli się na miejscu. Między nimi zwracał na siebie uwagę, niejaki Długoszek z Suchowoli (w powiecie Radzyńskim, dobra jenerałowej Kickiej), który w kilka tygodni potem miał się stać głośnym w całym kraju przez swoje „Pismo do chłopów”. Zjawił się i Muchanow, który ze swą wiekuiłą nieufnością do Towarzystwa, nie opuścił ani jednego posiedzenia i baczną zwracał uwagę na wszystko co tu mówiono. Zasiadł w fotelu wśród członków niedaleko mównicy, i twarz jego blada, jakby nalana, wejrzenie zimne i ponure dziwnie odbijało od otwartych, wąsatych twarzy szlacheckich. Znalazło się tu także wielu członków kółek rewolucyjnych, którzy pod rozmaitymi pozorami brali udział w posiedzeniach dla tego, by kontrolować czynności Towarzystwa, popychać je w razie potrzeby ku pożądaney decyzji, grozić lub przeszkadzać tym, którzyby śmieli oponować.

Komitet wiedział o tem, jak również i o tem, że wśród zebranych znajdują się głowy zapalone, zwolennicy czerwieńców i radykalnych przewrotów

społecznych; ponieważ oni jednak byli w mniejszości, sądził, że potrafi sobie z nimi dać radę i w razie potrzeby okiełznać; liczył na to, że inna jest rzecz prawić szumno brzmiące słowa wobec mieszczuchów, a inna wotować za uwłaszczeniem, gdy to trzeba przypłacić własną kieszenią. Komitetowi było wiadomem, że oczynszowanie szło nader opornie, że w ciągu zeszłego roku mało zawarto odnośnych układów. Sytuacja więc nie wydawała mu się zbyt groźną; powaga, spokój, atmosfera legalności przenikająca salę zebrania, mówiono sobie, ochłodzi najgorętsze nawet głowy. Ważność jednak chwili, przyspieszone tętno pulsu narodowego, odbiło się i na mowie prezesa Andrzeja hr. Zamoyskiego, jaką powitał zebranych. „Nikt więcej od nas, mówił, nie czuje ważności naszego posłannictwa, zwłaszcza przy obecnej sprawie oczynszowania włościan; obojętne z naszej strony postąpienie, lekceważenie obowiązków, byłoby nie pojęciem stanowiska obywatelskiego w naszym kraju”. Odwołał się do odwagi i wytrwałości zgromadzonych, „bo powątpiewanie, wahanie się, zrażenie, biorą czasem niektórzy za niepodobieństwo wykonania, za niemoc”. Utrzymawał, że dla dusz podniosłych heroizm jest istotnym szczęściem, jest obowiązkiem; nazywał potrzebę załatwienia kwestyi włościańskiej heroizmem dla tego, że bez ofiar się nie obejdzie i że pomimo tych ofiar sama kwestya powinna być jednomyślnie rozstrzygniętą. Chciał, by stosunki między dworem i chatą były przyjazne, że należy wyjaśniać chłopu istotne jego korzyści, chronić go przez to od zgubnego wpływu „rozbudzonych w nim zachceń”; że jednomyślność doda nowego blasku Towarzystwu, że „dzisiaj przedstawia ono kraj”, że na niem leży ciężka odpowiedzialność, że mimo to „ono dojrzało do tego”.

Mowa ta świadczyła wyraźnie, że w zakresie najważniejszej kwestyi tej chwili, w kwestyi włościańskiej, Komitet Towarzystwa ze swym prezesem na czele, chce utrzymać obrady wyłącznie na polu oczynszowania, w ten lub inny sposób przeprowadzonego, i że w ogóle nie przypuszcza możliwości innego załatwienia tej sprawy. Jakoż nie inaczej było. Zaraz na pierwszym posiedzeniu, Komitet głosował za oczynszowaniem, a następnie skupem czynszów, i w konkluzjach swoich zaproponował przez usta Franciszka Węglińskiego: „aby przez właściwie obmyślaną operacją kredytową skup czynszu na celu mającą, włościanie, po ich oczynszowaniu, doprowadzeni byli do własności posiadanych gruntów”. Że takie rozstrzygnięcie kwestyi włościańskiej z wielu względów było rozumnym choć chłodnym, to nie ulega wątpliwości. Wprawdzie odkładało ono na długie lata ostateczne i stanowcze jej uregulowanie, gdyż przedewszystkiem trzeba było chłopów oczynszować, co przy złym stanie ekonomicznym szlachty szło bardzo wolno i musiałoby iść powoli, a następnie dopiero czynsze skupywać. Mogło to trwać kilka lat a mo-

gło i kilkanaście, dając rządowi sposobność w razie potrzeby wmięszania się w tę sprawę i załatwienia jej po swojemu i na swoją wyłączną korzyść, do czego byłby niejako uprawnionym już przez to samo, że u siebie, w Rosyi chłopów usamowolnił, dokonał olbrzymiej i stanowczej reformy. Klemensowczycy jednak sądzili, że przez swoje zachowanie się spokojne i postawę legalną, nie dadzą nigdy rządowi takiej sposobności, a tymczasem kraju, stojącego źle pod względem materyalnym, nie zrujnują ekonomicznie i chłopów zyskają na swoją stronę. Był to błąd. W czasach tak gorących, wśród zrywającej się już burzy, której o władnąć nie mogli i nie chcieli, mniemając, że ona nie ma zarodków trwałości, którą gardzili wreszcie, przez takie rozstrzygnięcie najważniejszej kwestyi społecznej, oburzali przeciw sobie opinią kraju, a tym sposobem pozbawiali się możności oddziaływania na nią, sami wytrącali sobie z ręki jedyną broń, którą mogli odeprzeć ataki rewolucyi, wysuwali z pod nóg podstawę do akcji. Towarzystwo, te, według Mierosławskiego „głupie pszczoły, zbierające miód dla cara bartnika”, od niejakiego czasu, dzięki podszeptom Czerwieńców, nie cieszyło się u młodzieży, u sfer rzemieślniczych, mieszczańskich i urzędniczych w kraju, zbyt wielką sympatją; teraz mogło ją postradać zupełnie.

Na szczęście dobrą opinią Towarzystwa i w ogólności szlachty polskiej, ocalił Tomasz hr. Potocki, Dyonizy Skarżyński i kilku innych (Barski, Mittelszted, Kurtz, Gruszecki, Kłobukowski), którzy czuli potrzebę załatwienia kwestyi włościańskiej odrazu, za jednym zamachem, tak, żeby już nikt później, ani Czerwoni ani Moskale, nie potrzebowali do niej wracać, kuć z niej miecza na kark całego narodu i przyszłości polskiej; którzy zresztą rozumieli znaczenie i doniosłość chwili obecnej. U Potockiego, co wieczór prawie, zgromadzali się ci z pomiędzy członków Towarzystwa, którzy chcieli uwłaszczenia, oraz wybitniejsi przedstawiciele mieszczaństwa warszawskiego. Naradzano się wspólnie, co czynić, jak występować na sesjach, jak się wzajemnie popierać.

Gdy więc Komitet wystąpił ze swym projektem oczynszowania a potem skupu czynszów, niektórzy członkowie pod wpływem wyżej wymienionych osób, wystąpili przeciw temu, uznając projekt Komitetu za niedostateczny i z wielu względów nieodpowiedni położeniu. Z początku domagano się przystąpienia odrazu do skupu nie czekając na oczynszowanie, następnie pominięto oczynszowanie i okup, a żądano przyznania chłopom własności posiadanych gruntów za odpowiednim wynagrodzeniem, czyli chciano wprost uwłaszczenia. Jaką drogą miało to być przeprowadzonym, mówcy nie powiadali; sposobu, w jaki miano oznaczyć to wynagrodzenie, nikt jasno i wyraźnie nie sformułował, ale myśl uwłaszczenia ze wszystkich przemówień występowała wyraźnie

i stanowczo. Dopiero Tomasz Potocki na czwartym posiedzeniu sekcji ogólnej, dnia 24 Lutego, określił tę kwestyą bliżej. Uznając postanowienie uwłaszczenia jako fakt wielkiej doniosłości, uczynił wniosek: „dla uświetnienia tak radykalnego przeistoczenia warunków ekonomiczno-społecznych kraju”, ażeby zebranie uchwaliło, by czynszów już istniejących, oraz tych, które powstać mają, nie kapitalizować na 5, tylko na 6 procent, t. j. ażeby mnożyć nie przez 20, lecz przez 16 ²/₃. Tym sposobem właściciel ziemski czynił ofiarę ze swego mienia, jeżeli to ofiarą nazwać się godzi, bo odstępował na rzecz uwłaszczonych ¹/₆ części wartości szacunkowej, oddanego im na własność gruntu. Wniosek ten jednomyślnie przyjęto, i musiano go przyjąć pod presyą, jaką wywierali na zgromadzonych rozrzuceni po sali agitatorzy i opinia publiczna. Tej opinii ogół szlachty tak się począł lękać, że nikt nie śmiał protestować głośno przeciw powyższym wnioskom, choć w duszy ogromna większość przeciwną była uwłaszczeniu. Znalazł się tylko jeden człowiek z rzadką odwagą cywilną, niejaki Walewski, dziedzic Iwanowic w Krakowskim, który gdy przyszło do głosowania, sam jeden podniósł rękę, w charakterystyczny kułak ściśniętą, dając tem poznać, że wnioskowi stanowczo jest przeciwny. Ale już takich protestów dziś niesłuchano i słusznie zresztą.

Komitety z Zamoyskim, naprawdę przerażeni byli tym ruchem, jak mówili, rewolucyjnym, objawiającym się wśród stowarzyszonych. Widzieli oni w tem wpływ tej gorączki szalonej, która drżała w atmosferze miasta; lękali się, aby ona nie zawładnęła Towarzystwem i nie zepchnęła go z drogi ściśle legalnej, po jakiej szło dotąd; aby nie odstąpiło od ściśłego zakresu obrad, do których w przeszłym roku upoważnionem przez rząd zostało i nie wkroczyło w sferę prawodawczą, nie zmieniło się w parlament, w sejm. Zamoyski wołał: „że wielkie zadania ludzkości sam Bóg stawia”; z tonem wzruszającego smutku zaklinał w swym nieco francuzczyznę zaprawionym języku: „pamiętajmy, abyśmy nic takiego nie popełnili, przez co byśmy zasłużyli, aby być nieszczęśliwymi”. Komitet gorliwie popierał swego prezesa, starał się hamować „zbyt śmiałość, jak mówiono, zapędy”; doradzał nie przesądzać stanowczo kwestyi, w jaki sposób skup czynszów ma być urządzony, zostawiając rozstrzygnięcie tej sprawy spokojniejszej rozwadze. Po długich i gorących, choć nigdy z granic umiarkowania nie wychodzących debatach, dnia 27 Lutego, t. j. w chwili, gdy na ulicach Warszawy rozgrywały się pierwsze sceny krwawego dramatu, konkluzya Komitetu została przyjęta, z tym dodatkiem przez Tomasza Potockiego zaproponowanym: „aby wybraną została delegacya, z dziesięciu członków złożona, któraby na podstawie skapitalizowania czynszów w stosunku stu do sześciu, bezzwłocznie zajęła się ułożeniem stosownego

projektu i dalszem jego poparciem”. Słowo: „uwłaszczenie”, nie zostało wymówione, ale projekt dzielnego obrońcy interesów chłopskich, Potockiego, faktycznie niczem innym nie był jak uwłaszczeniem. Usunąwszy na bok długą, leniwie wlokącą się procedurę dobrowolnego oczynszowania a następnie skupu czynszów, żądał on natychmiastowego skapitalizowania czynszów i oddania chłopom roli. Jakkolwiek postanowienie to nie było po myśli Zamoyckiego, jednakże uległ większości opinii Towarzystwa, jak to zawsze zwykł był czynić, ilekroć jego zdanie nie zgadzało się ze zdaniem ogółu lub większości. Wybrano więc delegacyą, która miała się zająć obmyśleniem środków i ułożeniem projektu instytucji kredytowej, mającej na celu uwłaszczenie. Projekt ten miał być przedstawiony rządowi².

Muchanow, który ani jednego posiedzenia nie opuścił i pilną na wszystko zwracał uwagę, przestraszył się tą decyzją, nie ze względu, by uważał ją w ogólności za szkodliwą dla interesów państwa, ale dla tego, że ona uprzedzała zamierzoną reformę włościańską w Rosyi, a jak wiemy, i według jego zasady Królestwo w niczem nie powinno uprzedzać cesarstwa.

Dlatego też, gdy d. 27 Lutego Towarzystwo przyjęło wniosek Potockiego, w nocy trzykrotnie i nagląco telegrafował do Petersburga, by tam przyspieszono ogłoszenie gotowego już ukazu o usamowolnieniu chłopów. Tym to naleganiom i tym powodom przypisać, zdaje się, należy tę okoliczność, że ukaz rzeczony opublikowany został dnia 2 Marca, to jest znacznie wcześniej, niż pierwotnie zamierzano. Polska, jak to ciągle odtąd miało się powtarzać w tych czasach nieszczęsnych, robiła wielką przysługę Rosyi i oddziaływała na nią i jej losy w sposób niezmiernej doniosłości.

Obok kwestyi włościańskiej, członkowie Towarzystwa rolniczego bardzo żywo rozbiegali między sobą sprawę adresu, którego jak wiemy wszyscy od nich się domagali tak dobrze Czerwieńcy, jak i Millenerzy. Celem przeprowadzenia w tym względzie należytej dyskusyi, rozdzielili się rzeczeni członkowie Towarzystwa na osiem kół wojewódzkich, po większej części obradujących w hotelu Europejskim. Rozprawy były gorące i większość oświadczała się za podaniem adresu, do czego zapewne przyczyniał się nacisk ze strony miasta. Zastrzegano się jednak powszechnie, że w dokumencie tym nie można i nie należy odwoływać się do kongresu wiedeńskiego i do konstytucyi 1815 r., gdyż jak mówiono w ten sposób dawano by niejako sankcyą rozbiorowi Polski, kłamanoby wobec pragnień polskich, które nie chcą kompromisu z Rosyą,

2 Do delegacyi tej, która zresztą pozostała płodem poronionym, weszli: Tomasz Potocki, Aleksander Jackowski, Tytus Wojciechowski, August Cieszkowski, Wojciech Węgliński, Aleksander Bryndza, Klemens Krzyżtoporski, Antoni Wrotnowski i Leopold Kronenberg.

ale niepodległości zupełnej i granic historycznych. Co do tego jednomyślność zdań była uderzająca i świadcząca wyraźnie, że wszelkie odwoływanie się do rządu, miało tylko znaczenie chwilowego załatwienia sporu.

Z drugiej strony jednak powiadając, czego adres ma nie poruszać, nie mówiono wcale, co w sobie zawierać winien i czego żądać. Wobec tego we wszystkich kołach wojewódzkich zapadła uchwała, ażeby odnieść się do Komitetu Towarzystwa z wnioskiem, iżby tenże Komitet przyzwawszy osobistości wybitniejsze w kraju, wspólnie z nimi zdecydował co adres ma wyrażać; żeby pod tak przygotowany adres zajął się zbieraniem podpisów i żeby sam adres podał Andrzej Zamoyski, jako prezes Towarzystwa. Z powyższymi wnioskami delegowani kół wojewódzkich udali się dnia 24 Lutego zrana wprost do pana Andrzeja.

Pan Andrzej przyjął tę propozycję dość kwaśno. Nie wdając się w żadne rozmowy z delegatami, oświadczył im, że tego rodzaju akt, mogący mieć następstwa niezmiernej doniosłości dla kraju, musi być wprzód poddany dyskusji wyczerpującej; że w tym celu zwoła dziś wieczór Komitet na posiedzenie nadzwyczajne, na które zaprosi także obywatele wybitniejszych z każdego województwa i o rezultacie tych narad jutro rano delegatów uwiadomi. W gruncie rzeczy Zamoyski, jak już wiemy, był przeciwnikiem podawania adresu, głośno się w dniu tym do swych bliskich odzywał, że adres będzie miał następstwa jak najgorsze, że w razie gdyby na dzisiejszem posiedzeniu wieczornem większość głosów wypadła za podaniem adresu, to on, Zamoyski, bez względu na treść żądań, jakieby w tym akcie zawarto, od wszelkiego działania się usunie, a do adresu ręki swej nie przyłoży.

Skoro więc wieczorem, wezwani panowie na naradę się zebrali w liczbie przeszło 30 osób, stanowiących samo czoło szlachty, zawiązała się żwawa i pod wielu względami wyczerpująca dyskusja. Nie bez przeważnego wpływu Zamoyskiego, zdecydowano ostatecznie, by adresu nie podawać. Decyzją tę, udzieloną przez pana Andrzeja nazajutrz rano członkom Towarzystwa, ciż, dzięki karności i solidarności, jaką zgromadzenie to umiało w sobie wytworzyć, przyjęli w milczeniu, jako rzecz raz na zawsze rozstrzygniętą.

Gdy tak szlachta odrzucała myśl adresu, gdy z pewnem wahaniem i lęklivością uchwalała uwłaszczenie, gdy wśród dyskusji gorących, nieraz gorzkich, z wyraźnym bólem płacić zamierzała ciężki dług, zaciągnięty przez przodków na hipotekę sumienia narodowego, Warszawa tymczasem kipiała, ziemia pod nią drżała. Czerwieńcy gotowali się do nowej, wielkiej, majestaticznej, jak mówili, manifestacji, do „koncertu nad koncertami”. Od kilku dni o tem tylko mówiono w całym mieście. Napróżno Millenerzy zabiegali,

prosil, tłumaczyli; na nic się to wszystko nie zdało wobec gorączki szalonej, owładającej młodzieżą. Gdy już wszelkie perswazyje nic nie pomogły, postanowiono wystąpić z odezwą publiczną, odwołującą się do zdrowego rozsądku narodu. Redakcją tej odezwy powierzono Jurgensowi. Ale ten, jak wszystkie umysły refleksyjne, jak większość ludzi tej epoki, wyrosłych pod uciskiem Paśkiewicza, chorował na niemoc czynu, wahał się wobec tysiąca wątpliwości, które w jego głowie powstawały. Pomimo nalegań, pomimo tego, że przyrzekł, odezwy tej nie napisał i zostawił swobodne pole agitatorom, którzy przygotowywali się do manifestacyi z energią niepowstrzymaną.

Zbliżał się właśnie dzień 25 Lutego, rocznica bitwy Grochowskiej, z której to sposobności Czerwieńcy postanowili skorzystać i lud warszawski jeszcze raz wprowadzić w ruch rewolucyjny. Dla niewtajemniczonych miał to być tylko obchód uroczysty bolesnego choć heroicznego wspomnienia, w gruncie jednak rzeczy, zamierzali Czerwoni zgromadzić się na Starem Mieście i tłumnie wyruszyć ku pałacowi namiestnikowskiemu, gdzie Towarzystwo rolnicze odbywało swe posiedzenia, wciągając je w manifestacyą, porwać ze sobą niejako i pójść na pola grochowskie i tym sposobem nadać ruchowi cechę wszechnarodową. Towarzystwo raz wciągnięte w ruch, musiałyby robić coby ten ruch chciał; protestowałyby przeciw uciskowi i pisałyby petycje do cesarza z żądaniem praw politycznych i zupełnej autonomii dla Polski. Manifestacye „smarkaczy”, uliczne awantury, zmieniałyby się od razu w poważny protest narodowy. O tem wszystkim zresztą rozprawiano nieraz szeroko i długo na wieczornych posiedzeniach u Tomasza hr. Potockiego, a Majewski usilnie starał się przekonać obecnych tam członków Towarzystwa, że krok ten Czerwieńców jest dobry i zbawienny.

O gotującej się więc manifestacyi wiedzieli wszyscy, wszędzie o niej mówiono. Zamiary agitatorów wciągnięcia Towarzystwa rolniczego w ruch rewolucyjny, zaniepokoiły mocno Zamoyskiego, Klemensowczyków i w ogóle całe Towarzystwo, które lękać się mogło i słusznie, by przez to byt jego zachwiany nie został, i w cichości rozmyślano i naradzano się, coby uczynić należało. Było to tem trudniejsze, że rząd zachowywał swą zwykłą, obojętną postawę i na razie nie przedsiębrał żadnych środków zapobieżenia manifestacyi. Dziwiło to wszystkich, gdyż nie można było przypuszczać, by policya nie wiedziała o tem. o czem całe miasto mówiło. Jakoż, Jęlszyn, naczelnik trzeciego okręgu żandarmskiego, doniósł namiestnikowi, że Polacy coś zamierzają zrobić w dniu 25 Lutego; ale co? dokładnie nie wiedział. Górczakow oczywiście wezwał do siebie naczelnika tajnej policyi, którym był margrabia Paulucci, Włoch rodem, wychowaniec uniwersytetu modeńskiego, przejęty na wskroś ideami liberalnemi czasu, wielki zwolennik Garibaldiiego, uważający domagania polskie za zupeł-

nie słuszne i sprawiedliwe, i w cichości życzący Polakom powodzenia. Artysta w duszy, zamiłowany zbieracz starych mebli, bronzów, obrazów i kwiatów, na wszystko co się w mieście działo patrzył udając, że nie widzi, i niczemu właściwie nie przeszkadzał i nie chciał przeszkadzać; jeden z tych drobnych czynników, których tak wiele było w tej tragicznej epoce, a które przy najlepszych chęciach dla kraju, popychały go w przepaść zatracenia. Gdy więc namiestnik zapytał Paulucciego, czy to prawda co Jełszyn donosi, naczelnik policyi tajnej zaprzeczył temu jak najuroczyściej i twierdził, że wszystko jest dobrze i że dnia 25 Lutego nic nie będzie. Górczakow zły, jak zwykle gdy go niepokojono, skrzyczał mocno Jełszyna, tak że ten o mało nie podał się do dymisy³.

Mimo to jednak, uparcie powtarzające się pogłoski o manifestacją, mającej się odbyć w d. 2B Lutego na polach grochowskich, zmusiły wreszcie Górczakowa do obmyślenia i przedsięwzięcia jakichkolwiek środków zapobiegawczych⁴.

Na szczęście, na trzy dni przedtem Wisła puściła, poszła kra gęsta i korzystając z tego, namiestnik kazał zdjąć most, łączący Warszawę z Pragą. Przerwanie komunikacyi prawie zupełne musiało oczywiście zapobiedz i samej manifestacyi, przynajmniej w takich rozmiarach, w jakich zamierzano ją wykonać. Most bowiem tymczasowy na Zjeździe, wzniesiony jedynie do pomocy przy budowie żelaznego, nie mógł w żadnym razie służyć do uroczystego i tłumnego pochodu.

Spostrzegli to kierownicy manifestacyi: Nowakowski, Frankowscy, Cielecki, Szachowski, a nadewszystko Majewski, Gołemberski i inni, i postawili sobie pytanie: co robić? Nie można iść na pola grochowskie, to prawda, ale można zawsze wyruszyć tłumnie ze Starego Miasta ku namiestnikowskiemu pałacowi, a ztąd przejść przez całe miasto, już z Towarzystwem rolniczym, ku placowi Trzech krzyży. Manifestacja zawsze będzie, a nawet lepsza, głośniejsza niż gdzieś tam za rogatkami, na grochowskiem polu bitwy. Z drugiej strony trudno było odwoływać zamiar pierwotny, należy tylko uwiadomić o nowym. W tym celu przygotowano liczne plakaty, w których wzywano „braci”, by zebrali się jak można najtłumniej dnia 25 Lutego, o godz. 5 1/2 po południu, na rynku Starego Miasta „dla uroczystego obchodu trzydziestoletniej roczni-

3 Relacją tę powtarzamy za Bergiem (Zapiski, 180) i na jego odpowiedzialność.

4 Mikołaj Berg w swoich „Zapiskach o polskich powstaniach” opowiada, że Górczakow miał się zapytać w Petersburgu, co by mu należało robić wobec zamierzonej manifestacyi? Odpowiedziano mu: „niech się modlą za swoich, a my pomódlmy się za swoich”. W Warszawie, w kolonii rosyjskiej zastanawiać się miano, jak się mają odbyć te dwa nabożeństwa. Fakt ten z wielu względów wydaje nam się nieprawdopodobnym.

cy zwycięstwa, odniesionego przez Polaków pod Grochowem”. Z plakatami temi rozpuszczono po mieście różnych „smarkaczy”, którzy je rozdawali przechodniom, wrzucali do sklepów, przylepiali na rogach ulic.

Jednego z takich roznosicieli, Ludwika Balcera, ucznia szkoły sztuk pięknych, schwytał d. 23 Lutego na rogu ulicy Chmielnej i Nowego Świata, komisarz policji Brodzki. Prowadzony do biura policji Balcer, rzucił w bramę jednego z domów naczynie z kłajstrem, pędzel i cały stos odezw. Stróż znalazł to i zaniósł do cyrkułu. Tym sposobem, gdyby już zkądinąd władza nie wiedziała o tem co się przygotowuje w mieście, obecnie miała wyraźny i autentyczny dowód w ręku. Nic jednak nie zrobiono; pocieszano się tem, że most zniszony, że zatem manifestacya nie może się odbyć; na wszelki jednak wypadek wysłano na pola grochowskie dwa bataliony piechoty i nieco kozaków.

Nadszedł na koniec dzień 25 Lutego, który przypadł w poniedziałek, zwykle przez czeladź rzemieślniczą przeznaczony na świętowanie i pijatykę po szynkach. Pogoda była prześliczna, niebo czyste; słońce oświecało wspaniale ziemię, lekkim przymrozkiem ściętą. Od samego rana ci, którzy nie wiedzieli o zmianie zaszelej w programie rewolucyjnym, przeważnie rzemieślnicy, gromadkami poczęli ciągnąć ku Pradze. Koło godziny 3 po południu coraz większe, gęściejsze tłumy dążyły przez most, przez ulice Pragi ku rogatkom grochowskim. Te były spuszczone, a na szosie, w pobliżu kolumny, wzniesionej przez Mikołaja na pamiątkę bitwy, stała rozwiniętym frontem piechota i kozacy. Tłum niewstrzymany przez rogatkę spuszczoną, wśród żartów i śmiechu przechodził przez nią, pospacerował po szosie, popatrzał na żołnierzy, napełnił sąsiednie szynki i powoli wracał do miasta. Wielu się popiło i awanturowało się po cichych zwykle ulicach Pragi.

Tymczasem w Warszawie, zwłaszcza na ulicach, sąsiadujących z rynkiem Starego Miasta, już od południa dawał się spostrzegać jakiś ruch gorączkowy, znamionujący, że się zanosi na coś niezwykłego. Wszyscy czegoś oczekiwali, ale nikt dokładnie nie wiedział co to będzie, jak właściwie obchodzoną będzie zapowiedziana przez plakaty rocznica bitwy grochowskiej. Obiegały niejasne pogłoski o jakiejś procesyi. Tłumy się gromadziły, zwykle we wszystkich wielkich miastach tłumy gawiedzi i próżniaków, których tu ciągnęła prosta ciekawość a nie żadne uczucie patryotyczne. Około godziny 3-ciej po południu zjawilo się na rynku, wysłanych tu przez Majewskiego, kilkunastu uczniów gimnazyum, szkoły sztuk pięknych, akademików, kancelistów i dependentów, którzy kazali licznym przekupniom, mieszczącym się tam ze swemi straganami i stołami, sprzętać je; właścicielom domów usunąć całe góry lodu i śniegu, wznoszące się nad rynsztokami, a kupcom i handlarzom zamykać sklepy. Częścią przez posłuszeństwo, dziś dla nas niepojęte, częścią z obawy przed

groźbami wysłańców, wykonano natychmiast to polecenie. Plac opustoszał zupełnie. Policja, dość gęsto rozstawiona na rynku i sąsiednich ulicach, parzyła obojętnie na rozporządzenia tajemniczej władzy, wkraczającej w jej atrybucje⁵.

Nad wieczorem, koło godziny 5, tłumy ludności zajęły zbitą masą cały rynek Starego Miasta i ulice: Świętojańską, Plac zamkowy, aż do kolumny Zygmunta. Po chodnikach przejść nie można było, gdyż zagradzali je ludzie wszelkiej płci i wieku, spieszący na rynek staromiejski. Nie upłynęło i pół godziny, gdy wszystkie ulice, sąsiadujące z tą częścią miasta, roić się poczęły od głów ludzkich. Z jednej strony tłumy zajęły ulicę Freta, Podwale, Gołębią, Dunaj, Zapiecek, Świętojańską, z drugiej sięgały aż na Krakowskie Przedmieście i Senatorską. Obliczano pobieżnie tę masę na dwadzieścia tysięcy osób.

Teraz dopiero zjawiła się policja, w liczbie jakich stu ludzi, liczbie zbyt drobnej, by mogła cokolwiek zdziałać. Policjanci ginąc w ogromnej masie ludności, poczęli prosić, by się rozchodzono. Oczywiście nikt ich nie słuchał, owszem posypało się mnóstwo szyderstw, dotkliwych i grubiańskich żartów, narażających powagę władzy na szwank. Na zapytanie policyjanta, zadane jakiemu chłopakowi od szewca lub krawca: „czego tu stoisz?”, ten ostatni odpowiadał zuchwałym pytaniem: „a ty czego stoisz?” - „Idź dalej, nie wolno!” — „Co nie wolno? stać na ulicy? gdzież to jest zabronione?” Powoli policjanci przestali próżnych usiłowań, ginęli w tłumie i śmiali się z dowcipów.

Wobec rosnącego coraz bardziej zbiegowiska, wysunięto z Zamku batalion piechoty, stu kozaków, zwanych w Warszawie czerkiesami, i pół szwadronu żandarmeryi. Wojska te ustawiły się w szyku bojowym, piechota we środku, jazda po skrzydłach, od wylotu Świętojańskiej ulicy aż do Zjazdu, osłaniając tym sposobem Zamek całkowicie, w którym właśnie teraz odbywała się u namiestnika narada, pełna gorączkowych pomysłów, co czynić należy? Oberpolicmajster, pułkownik Trepów radził, żeby posłano wojska, stojące beczynn timer na placu Zamkowym, i żeby te siłą rozpędziły zbiegowisko. Ale poczciwy i łagodny Gorczakow miał pewien wstręt tajemniczy ku takim środkom, które mogły wywołać krwawe starcie; on by wołał, żeby się rzecz dała załagodzić

5 Na początku 1861 r. Rada Administracyjna Królestwa zatwierdziła projekt generał-gubernatora Paniutyna, dotyczący reorganizacji i zwiększenia policji, którą nazwano „warszawską komendą policyjną”. Odtąd miała się ona składać z 467 żołnierzy t. z. „stójkowych”, 27 podoficerów, 6 feldweblów, 120 rewirowych, 11 komisarzów policji i 2 oficerów, ogółem 666 ludzi. Było to na te czasy i na tak rozległe miasto bardzo mało, choć rząd pocieszał się tem, że tak zreorganizowana policja „niewątpliwie odpowie oczekiwaniom władzy i zapewni spokojność, porządek i bezpieczeństwo miasta”. Koszt utrzymania zwiększonej w ten sposób policji wynosił rocznie rs. 57.639 kp. 68. Z tego połowę dawał skarb Królestwa, a drugą kasa miejska (po 28.819 kp. 84).

spokojnie, drogą perswazyi. Odrzucił więc radę Trepowa i po krótkim wahaniu się, rozkazał mu jechać na rynek Starego Miasta i przekonać się osobiście, co tam właściwie się robi i czy koniecznym jest użycie siły zbrojnej. Trepow wykonał ten rozkaz; siadł do swego powoziku i ruszył na Stare Miasto, z trudnością przedostając się przez ulicę Świętojańską, witany gwizdaniem, brutalnymi żartami, tu i owdzie oklaskami. Tak dojechał do środka rynku, do wodotrysku z syreną. Tu zatrzymał się, wysiadł z powozu i zwracając się do tłumu zawołał: „panowie rozejdźcie się! sami gubicie ojczyznę, sami prowadzicie ją do zguby!” Na to z tłumu odezwał się silny, męski głos: „Niech Bóg to osądzi!” Poczęto znów szydzić z przedstawiciela władzy, posypały się żarty i dowcipy, a gdy Trepow spostrzegłszy przed sobą grupę akademików, kazał jej się rozejść, i Władysława Krajewskiego chwycił za kołnierz, ten rozgniewany uderzył naczelnika policji prętem w twarz. Nie było co robić. Pobity oberpolicmajster siadł do swego powoziku, i żegnany kamieniami i błotem ruszył w odwrocie do Zamku, wołając po drodze: „Panowie rozchodźcie się, bo wojsko idzie!”⁶. Przybywszy do namiestnika, przedstawił mu istotny stan rzeczy i otrzymał rozkaz, ażeby wziął pół szwadronu żandarmów i rozpedził, przy pomocy białej broni, zbiegowisko.

Był to dopiero wstęp do właściwej akcji, do owego zamierzonego przez tryumwirat uroczystego procesyonalnego pochodu ku miejscu posiedzeń Towarzystwa rolniczego. Na ten cel wybrano kościół OO. Paulinów, wznoszący się na rogu ulicy Długiej i Freta, gdzie w tę..., jak zwykle w poście, odbywało się nabożeństwo pasyjne. Podczas gdy lud na rynku Starego Miasta i sąsiednich ulicach zgromadzał się tłumnie, oczekiwał co to z tego będzie, kłócił się z policją i obrażał Trepowa, tutaj w kościele paulińskim przygotowywano się do istotnej manifestacji. Znajdowali się tam wszyscy wybitniejsi agitatorzy tej chwili, Godlewski, bracia Frankowscy, Cielecki, Szachowski, Wasilewski i inni, mając do swego rozporządzenia znaczną ilość rzemieślników i młodzieży szkolnej. Rozdawano zgromadzonym małe chorągiewki w kolorach narodowych z orłami polskimi. Policja, jak wszędzie tak i tutaj nieliczna, w milczeniu przypatrywała się przygotowaniom do procesyi. Komisarz cyrkułu, w którego obrębie leżał kościół, stał spokojnie przed nim i patrzył w poczuciu swej bezsilności na rosnące coraz bardziej tłumy.

6 Trepow nazajutrz chodził z owiązaną twarzą, kazał się tak nawet odfotografować w pierwszorzędnym ówczesnym zakładzie Bayera. Po mieście obiegał dwuwiersz:

„Przy wodotrysku

Dostał Trepow po pysku”.

Laski giętkie i grube, na wzór tej, jakiej użył Krajewski do ukarania oberpolicmajstra, nazywano „trepówkami”.

Okolo godziny szostej, przy zapadajacym juz zmroku dnia zimowego, wyruszyła nakoniec procesya z kościoła. Garść żandarmów, dowiedziona przez pułkownika Rozpopowa, przepuściła posuwający się orszak bez zaczepki. Śpiewając pieśń: „Święty Boże, święty mocny”, procesya skierowała się ku ulicy Gołębiej. Na placu, jaki tworzy zetknięcie się tej ostatniej z Podwalem, naprzeciw jatek rzeźniczych, stał zwyczajny wóz woziwody, pokryty płótnem, na którym leżała rzucona niedbale mocno zeszarzana burka. Gdy się czoło procesyi zbliżyło do tego wozu, nagle zerwał ktoś burkę i płótno, i szewc Paradowski podniósł ku górze chorągiew z orłem i pogonią... Gdy wiatr z szelestem rozwinął ten wspianiały, tak dawno niestety nie widziany w Warszawie sztandar, ogólny okrzyk uniesienia wyrwał się z tysiąca piersi obecnych. Współcześnie z owego niepozornego wozu wydobyto mnóstwo chorągiewek trójkolorowych i mały transparent, na którym był orzeł biały, a z domu, zwanego „Gdańską piwnicą”, wybiegł ktoś z gorejącą pochodnią, od której, idąca na czele procesyi, młodzież akademicka, uczniowie instytutu w Marymoncie, szkoły sztuk pięknych i t. p. pozapalali przygotowane już pochodnie i transparent z orłem. Czerwony, migotliwy blask tych świateł, padając na sztandary, na tłumy ludu, nadawał całości nader malowniczy i efektowny charakter. Procesya przy ogłuszającym śpiewie „Święty Boże”, który wkrótce zastąpiło „Boże coś Polskę”, powoli posuwała się przez ulicę Gołębią na rynek Starego Miasta, gdzie widok sztandaru z herbami dawnej Rzeczypospolitej, wywołał radosne, wstrząsające okrzyki. Ledwie atoli procesya doszła do połowy rynku, gdy wprost domu Żbikowskiego, oznaczonego No 43, natknęła się na żandarmów, sprowadzonych przez Trepowa z placu Zamkowego, zgodnie z rozkazem namiestnika. Żandarmi pod komendą majora Żydikowa biegli kłusem z trzaskiem i brzękiem, dzwoniąc podkowami po bruku i błyszcząc szablami nagiemi. Piersiami koni rozparli tłum, zabiegli drogę procesyi i obskoczyli ją łukiem. Trepów rozkazuje się rozejść, własną ręką chwytając jednego z młodych ludzi, stojących na czele pochodu i oddaje policji. Robi się zamieszanie. Agitatorzy, gęste masy ludu z tyłu prą naprzód, żandarmi zaczynają płażować, wszczyna się zażarta i uparta bójka. Z jednej strony błyskają szable, z drugiej kije, pochodnie, drzewca od chorągiewek. Wielki sztandar z orłem z rąk Paradowskiego dostaje się żandarmom, akademik Przesmycki go odbiera. Po krótkiej, ale mocno zaognionej bójce, lud na koniec ustępuje, poczynając się cofać, uciekać i wreszcie rozpryskuje się w różne strony. Na pobojuwisku, po którym żandarmi przebiegają wyciągniętym kłusem, ścigając pojedynczych maruderów, zostało się nieco kapeluszy i czapek, trochę kijów, chorągiewek i pochodni. Wyloty ulic, prowadzące na rynek, zagroził Trepow posterunkami, złożonymi z ośmiu ludzi. Z innych ulic poczęto się z zapadającą nocą rozchodzić i w parę godzin potem miasto przybrało swą zwykłą, cichą postać.

Aresztowano w ogólności zaledwie trzydzieści osób. Między nimi z wybitniejszych agitatorów schwytano: Karola Nowakowskiego, Leopolda Cieleckiego, Józefa Turowskiego i Stanisława Szachowskiego, wszystkich czterech uczniów szkoły sztuk pięknych. Przyaresztowany został także Władysław Krajewski, student Akademii medycznej, który uderzył Trepowa. Nowakowski oskarżony był, że pobił policyanta Tadeuszka. U schwytanych znaleziono w kieszeni drukowane proklamacje Mierosławskiego i portrety Kilińskiego z podpisem: „Jan Kiliński, szewc i pułkownik z czasów Kościuszki. Braciom rzemieślnikom i braciom chłopkom na pamiątkę uroczystego obchodu trzydziestoletniej rocznicy otrzymanego przez ich ojców zwycięstwa nad Moskalami”.

W mieście oburzenie było powszechne; narzekano na „barbarzyństwo Moskali, napadających na lud bezbronny”.

Opowiadano sobie cuda o waleczności młodych chłopców, którzy „zacięcie się z żandarmami ścierali”, że konnica trzy razy na nich uderzała, a oni „łokiec o łokiec się kupiąc, z całej siły pochodniami w konie i jeźdźców walili”. Mówiono, że żandarmi nie szczędząc kobiet i dzieci rąbali szablami głowy, że ranionych i zabitych było do sześćdziesięciu osób, że po rozpędzeniu tłumów na rynku i zamknięciu go przez posterunki, policja i żandarmi zbierali trupy i gdzieś je chowali; że między ranionymi znajduje się „dziewica” Jenike, która tego jeszcze dnia wieczorem miała umrzeć. Wszystko to były pogłoski nieprawdziwe. Nie ulega wątpliwości, że było kilkanaście osób poranionych i potłuczonych, ale nikt z tego nie umarł i nie został zabity.

Pogłoski takie jednak, bardzo zresztą naturalne wobec powszechnego wzburzenia umysłów, znajdowały wszędzie chętne ucho. Trepów rozwinął zaraz, wieczorem d. 25 Lutego, całkiem już teraz niepotrzebnie, znaczną siłę wojskową. Zostawiwszy żandarmów na Starem Mieście, piechotę i kozaków przed Zamkiem, przed gmachem pocztowym na Krakowskim Przedmieściu ustawił szwadron żandarmeryi; przed pałacem namiestnikowskim, miejscem posiedzeń Towarzystwa rolniczego, batalion piechoty; na placu Saskim rozłożyli się biwakiem żandarmi, ułani i piechota; przed Akademią medyczną mieniły się chorągiewki ułanów; całą uliczkę Kozią, wiodącą od Miodowej do Krakowskiego Przedmieścia, zajęła piechota. Gęste patrole przebiegały ulice. Do późnej nocy wojska stały, paląc tu i owdzie ognie, nadając miastu wygląd osobliwszy. Liczna publiczność przechadzała się po ulicach, przypatrując się ciekawie niezwykłemu temu widowisku. Dopiero koło godziny 11-tej wieczorem, gdy miasto prawie zupełnie opustoszało, ściągnięto wojska do koszar.

Nazajutrz umysły nie uspokoiły się, wzburzenie wzrastało. Ciągłe mówiono o „krwi niewinnie wczoraj rozlanej”, o barbarzyństwie Moskali, o napaści

na bezbronnych. Po mniemanych ofiarach, przysłała myśl agitatorom nałożenia powszechnej żałoby. Poczęli więc w tym kierunku zaraz działać i na wzór Węgrów nakazali burzyć włos na kapeluszach, zwanych cylindrami, co miało oznaczać żałobę. Każdemu idącemu przez ulicę mówiono o tem, a w razie oporu surowo napominano. Na schodach Towarzystwa rolniczego stał młody człowiek ze szczotką w jednej a giętym prętem w drugiej ręce i zapraszał każdego wchodzącego do oznaczenia na kapeluszu żałoby; niekiedy sam ją przy pomocy szczotki robił. Powiadają, że Zamoyski zapytany przez swych przyjaciół miał doradzić przyjęcie tej oznaki po fikcyjnych ofiarach, których liczba z każdą godziną nieomal rosła. Po mieście najrozmaitsze, najdziwniejsze obiegały pogłoski. Mówiono, że lud zamierza w nocy uderzyć na ratusz i odbić aresztowanych wczoraj. Pogłoska ta przybrała tak wielkie rozmiary, powtarzała się tak uparcie, że policya uznała za stosowne przedsięwzięć niektóre środki ostrożności. W tym celu zajęto wojskiem o zmroku całą ulicę Daniłowiczowską i przerwano na niej wszelką komunikacją, tak że tamtejsi mieszkańcy chcąc dostać się lub wydostać z domu musieli się prosić o to, i odprowadzano ich pod konwojem policji i żandarmów. Mówiono dalej, że Gorczakow telegrafował do Petersburga o tem, jakoby w Warszawie wybuchło powstanie, że jednak pułkownik Trepow stoczywszy żwawą walkę na rynku Starego Miasta, przy pomocy samych tylko żandarmów zdołał stłumić bunt w zarodku. Na to miano odpowiedzieć z Petersburga nominacją Trepowa na generała, oraz polecono żandarmom wypłacić tysiąc rubli. W końcu cesarz miał się zapytywać ilu poległo żołnierzy i ile broni odebrano buntownikom i ilu ich wzięto do niewoli. Gdy mu odpowiedziano z Warszawy, że w wojsku nikt nie poległ i że broni nie zdobyto, bo jej Polacy nie mieli, cesarz był bardzo zdziwiony i cofnął nagrodę tak dla Trepowa jak i żandarmów.

Pogłoski te, noszące na sobie wyraźny stempel ludowych ulicznych plotek, nie były jednak pozbawione prawdy. W rzeczy samej, nazajutrz po manifestacji na rynku Starego Miasta, dnia 26 Lutego Gorczakow wysłał telegram do cesarza, donosząc mu, że „banda źle myślących” chciała zrobić na ulicy demonstrację, połączoną z nabożeństwem za poległych pod Grochowem, że w tym celu zebrało się na Starym Mieście około 5.000 ludzi, że jednak policja bez rozlewu krwi zdołała przywrócić porządek, i że teraz jest spokojnie⁷. Nie

7 Dosłownie, według tekstu pomieszczonego w „Ruskiej Starinie” z r. 1882, telegram ten brzmi, jak następuje: „13 (25) Lutego, banda źle myślących, chciała na ulicach zrobić demonstracją z nabożeństwem za poległych w Grochowie, i dlatego wezwała lud, żeby się zebrał na Starem Mieście. O godz. 6-tej wieczorem zebrało się do 5.000 ludzi na tym placu. Policja, uwiadomiona o tem wcześniej, przywróciła porządek bez rozlewu krwi, rozpędziwszy przez żandarmów konnych procesją z kościoła Paulinów idącą z pochodniami,

zawierało więc to doniesienie żadnego z tych ustępów, o których opowiadano sobie w Warszawie z wyraźną chęcią wystawienia na śmieszność, przez nadanie mu cechy prostactwa i barbarzyńskiego okłamywania najwyższych sfer rządzących. Jeżeli atoli nie znając dokładnie doniesienia Gorczakowa snuto na ten temat śmieszne historie, to dokument, który się ukazał d. 26 Lutego, nazajutrz po wypadkach na Starym Mieście, ogłoszony i podpisany przez Trepowa, tonem swoim, treścią i stylem pobudzał rozgorączkowane umysły mas do szczerego śmiechu. Opisawszy bardzo treściwie zaszło w d. 25 Lutego nieporządku, oberpolicmajster z rozkazu władzy wyższej „uprzedza mieszkańców miasta, że podobne obchody i śpiewy, jako naruszające porządek publiczny, nie mogą być cierpiane; jeżeliby zaś w przyszłości nadspodziewanie cokolwiek podobnego ponowionem zostało, to spokojni mieszkańcy winni starannie takich zebrań unikać, ażeby nie zostać współnikami winnych zrządzzonego zamieszania”.

Tymczasem gdy tak miasto wrzało po wczorajszych wypadkach, resztki tryumwiratu konspiracyjnego: Majewski, Gołemberski i całe tłumy agitatorów, miotane były różnorodnymi uczuciami.

Jakkolwiek bowiem cieszyli się z tego, że lud warszawski okazał takie żywe, gorące współczucie dla manifestacyi, że kiedy jeszcze przed trzema miesiącami trzeba było umyślnej propagandy, mnogich starań i zabiegów; by zgromadzić przed kościołem Karmelitów na Lesznie półtora tysiąca ludzi, teraz zdołano zebrać bez wielkich zachodów kilkanaście tysięcy, co świadczyło o ogromnym postępie ducha patryotycznego wśród mas; to wszelako przyznać sobie musieli, że cel główny nie został wczoraj osiągnięty. Zamierzano iść w uroczystej procesyi do Towarzystwa rolniczego, wkroczyć na salę jak lud paryzki na Konwencyę, zmusić je do czynnego wystąpienia politycznego, i tego nie spełniono; żandarmi i Trepow przeszkodzili wielkiemu, jak mówiono, aktowi. Cóż więc pozostawało do roboty? Co czynić należało? Czy zezwolić na to, by Towarzystwo uchwalwszy co najwyżej, z wyraźnym odcieniem lęklivosti, uwłaszczenie włościan, rozeszło się, i zrobiwszy coś dla jednej klasy, naród cały pozostawiło w dawnym, nieznośnym położeniu? Czyż godzi się plan tak pięknie i tak zręcznie pomysłany porzucić dlatego, że temu Trepow się opiera? Na to, na taki rezultat, nikt z agitatorów zgodzić się nie mógł. Trzeba bądź co bądź, mówili sobie, choćby to nie wiem ile kosztować miało, raz powzięty plan wykonać i doprowadzić do skutku. Rzecz była tem pilniejsza, że najprzód, zaraz nazajutrz Towarzystwo rolnicze kończyło swe walne posiedzenia i członkowie jego mieli się rozjechać; a potem, że wczoraj, w czasie manife-

chorągwiemi i śpiewem. Kilka osób aresztowano. Teraz wszystko spokojnie. Jenerał-adjutant ks. Gorczakow”.

stacy na Starem Mieście Towarzystwo zachowało się dziwnie chłodno. Gdy tam, na rynku staromiejskim żandarmi szarżowali i lud bili, Mikołaj Epstein, należący do znanej rodziny bankierskiej, doniósł o tem zebranych członkom Towarzystwa: „Panowie! — zawołał, wbiegając na salę, — my tutaj spokojnie siedzimy i obradujemy, kiedy na Starym Mieście krew braci się leje!” Słowa te wstrząsnęły wszystkimi; poczęto się zrywać i wołać: „Chodźmy! gińmy razem!” Prezes, Andrzej Zamoyski wstrzymał cisnących się do wyjścia zimnymi słowami: „Obowiązkiem naszym tutaj pozostać”. I pozostano i radzono do godziny ósmej wieczorem.

Zachowanie się takie oburzało agitatorów, świadczyło w ich mniemaniu o egoizmie szlacheckim. Obiegająca po mieście pogłoska, że cesarz telegramem kazał podziękować Towarzystwu za jego wczorajszą postawę, dolewała oliwy do ognia. Bądź co bądź pewnem było, że Towarzystwo stanowczo nie chce wziąć udziału w ruchu, i że podaniu adresu jest przeciwne, że zatem koniecznie należy je do tego zmusić.

Postanowiono więc, żeby nazajutrz, d. 27 Lutego powtórzyć manifestację, nadać jej charakter uroczystej procesji kościelnej, ze zwykłymi chorągwiami kościelnymi. Ponieważ jednak Stare Miasto, ze względu, że ciągle było obsadzone silnymi posterunkami policyjnymi, nie nadawało się na ten cel bez narażenia manifestacyi na nowe niepowodzenie, zdecydowano więc zmienić punkt wyjścia dla procesji, przenieść go na ciche, oddalone Leszno, do tego samego kościoła Karmelitów, gdzie tak szczęśliwie udał się obchód rocznicy powstania d. 29 listopada. Widząc powszechne rozgorączkowanie umysłów, uradzono odezw nowych nie drukować i nie przylepiać ich na ulicach, ale rozpuścić po mieście całe tłumy młodych „smarkaczy”, niezmużonych agitatorów, którzyby uwiadomili kogo tylko mogą o tem, co się jutro dzieć będzie. Do wykonania tego planu wzięto się gorliwie i z zapalem, godnym zaiste lepszej sprawy.

Podczas gdy w kołach Czerwonych powzięto takie postanowienie, które miało krwią splukać bruk warszawski, pośród zamożniejszego, wykształcenijszego i wybitniejszego mieszczaństwa warszawskiego urodziła się pod wpływem Jurgensa nowa myśl. Widząc, że Towarzystwo rolnicze wśród ciężkich bólów rodzi akt sprawiedliwości wiekowej względem chłopów; że nie chce nawet roztrząsać projektu szerszej akcyi politycznej; że wogóle ciało to ciężkie, lęckliwe o swą własną skórę, stanowczo odrzuciło myśl podania adresu do cesarza, petycyi o zadośćuczynienie najbardziej nagłym potrzebom kraju; widząc wreszcie, że manifestacya Czerwieńców, która miała zmusić Towarzystwo do inicjatywy, nie udała się; wzmiankowana grupa mieszczaństwa warszawskiego powzięła projekt napisania adresu do cesarza od mieszkańców

Warszawy, z żądaniem reform, reorganizacji szkół, przywrócenia uniwersytetu, równouprawnienia żydów, wprowadzenia wreszcie z małymi zmianami, stosownie do wymagań czasu, Statutu organicznego. Trzeba, mówiono sobie, wybrać delegację złożoną z notablów miasta, z najwybitniejszych osobistości, i jej powierzyć zredagowanie adresu. Należy to robić szybko, bo czas leci, ziemia drży pod nogami, pałaca atmosfera dusi wszystkich.

Jakoż nazajutrz po wypadkach na Starem Mieście, dnia 26 Lutego, prawie w tej samej chwili, gdy Czerwieńcy przygotowywali nową manifestację, zebrało się popołudniu w cukierni Kontiego, w hotelu Europejskim na Krakowskim Przedmieściu, w niewielkiej salce za bilardami, kilkadziesiąt osób znanych w mieście czy to ze swego majątku, czy rozumu, czy stanowiska, czy wpływów wreszcie. Po krótkich debatach, wybrano prawie jednogłośnie do delegacji, mającej zredagować adres, najpopularniejszych ludzi w Warszawie, jak: doktora Chałubińskiego, entuzyastę, znakomitego lekarza, osobistość nerwowych uniesień i młodzieńczego zapału; bogatego kupca Ksawerego Szlenkera, którego brzydka, czarna, wysoce charakterystyczna twarz, znaną była całej Warszawie, lutra, Niemca z pochodzenia, ale mimo to gorącego patriotę polskiego; redaktora „Gazety codziennej” J. I. Kraszewskiego, a z nim Józefa Keniga, redaktora „Gazety warszawskiej”, który śmiało gotował się do przyjęcia udziału w redakcji adresu, mającego między innymi upomnieć się o równouprawnienie żydów, tych żydów, których przed dwoma laty gazeta tak surowo karciała; jenerała Lewińskiego, czcigodną resztkę tych bohaterskich zaślępów, które zbierały laury od Grochowa aż do Woli, człowieka, który pewną, historyczną rolę odegrał w ostatnich dniach powstania Listopadowego; szanowanych powszechnie w Warszawie, wielce wpływowych, zwłaszcza w klasach rzemieślniczych księży: Steckiego i Wyszyńskiego. Do delegacji więc weszły wszystkie niemal sfery burżuazji warszawskiej, i jakby dla zaznaczenia swych postępowych i demokratycznych usposobień, swych zamysłów co do żądania w adresie równouprawnienia żydów i zniesienia cechów rzemieślniczych, zamierzono powołać jeszcze starszego zgromadzenia szewców, Hiszpańskiego, i rabina Mayzelsa. Od obecnego na tym sejmiku bankiera Leopolda Kronenberga zażądano, żeby pozwolił jako prezes Resursy kupieckiej, by nazajutrz mogli się tam zebrać delegaci i adres ułożyć. Kronenberg wymagane pozwolenie natychmiast dał.

Tak więc wszystkie najważniejsze zagadnienia chwili miały się rozstrzygnąć w dniu następnym, w dniu na zawsze pamiętnym w historii naszych nieszczęść. Towarzystwo rolnicze gotowało się do zakończenia swych walnych posiedzeń i do wydania na koniec uchwały o uwłaszczeniu; Czerwieńcy do wielkiej manifestacji, a burżuazja warszawska do zredagowania adresu. To też

wszyscy ludzie, umiejący trzymać rękę na pulsie społecznym, wszyscy aktorzy scen, jakie się miały nazajutrz rozgrywać, z pewnym, łatwym do pojęcia niepokojem i drzeniem oczekiwali tego dnia, który miał stanowić zwrot w bycie i przyszłości narodowej, miał być albo jutrzeńką odrodzenia, albo zwiastunem głębszej niedoli i zatracenia.

Nadszedł na koniec ten dzień, chmurny ale niezwykle ciepły i cichy. Zdało się, że sama natura sprzyja zamiarom Czerwieńców. Zamówiono nabożeństwo za duszę owej „dziewicy Jenike”, zmarłej jakoby z ran otrzymanych na Starym Mieście, w kościele ks. Karmelitów na Lesznie. Gdy jednak księża miejscowi mieli pewne, uzasadnione zresztą wątpliwości co do śmierci owej dziewczyny, postanowiono odprawić nabożeństwo za duszę, straconego przed laty trzydziestu, emisariusza Artura Zawiszy, a jak inni głosili za Szymona Konarskiego. Szczerze mówiąc, to nikt na pewno nie wiedział, na czyją intencję ma się msza żałobna odprawić. Zebrało się stosunkowo niewiele osób, przeważnie jednak członków Towarzystwa rolniczego, wszyscy z ową osobliwą oznaką żałoby na kapeluszach. Policja poprzednio już otrzymała pewne wiadomości o zamiarach agitatorów, i w skutek tego miała zwrócone baczne oko na kościół Karmelitów. Gdy się więc poczęto tam schodzić, zjawił się zaraz Trepow, przywożąc ze sobą na trzech dorożkach pewną liczbę policjantów. Lud powitał oberpolicmajstra okrzykiem: „Wiwat zwycięzca!” Trepow popatrzał na gromadzący się coraz liczniej lud⁸, zawrócił i pojechał do Zamku dla otrzymania instrukcji, co mu czynić należy.

Namiestnik polecił mu wziąć pluton piechoty i niewielki oddział policjantów i postawić ich przed kościołem. Jeżeli się okaże, iż odbywa się zwyczajne nabożeństwo żałobne, chociażby nawet śpiewano hymny rewolucyjne, nie przeszkadzać i nikogo nie aresztować. W czasie gdy Trepow słuchał tej osobliwszej instrukcji, przyszła do Namiestnika prośba od Towarzystwa rolniczego, a właściwie od jego komitetu, żeby przed pałac namiestnikowski, Gorczakow raczył posłać oddział wojska, dla obrony zasiadających od możliwego najścia manifestatorów. Zgodnie z tą prośbą, zdradzającą poważną obawę w komitecie przed gotującą się demonstracją, namiestnik rozkazał oberpolicmajstrowi wysłać tyle, ile może na razie wojska. Trepow posłał przed pałac cały batalion piechoty i kilkunastu żandarmów z komendantury placu, znajdującej się w pobliżu pałacu namiestnikowskiego, sam zaś z oddziałem swoim ruszył na Leszno.

8 Agaton Giller w swych dosyć mętnych „Dziejach delegacji Warszawskiej” (w zbiorze p. t. „Materiały do historii powstania”, Lwów, 1888 r.), powiada, że „żandarma, który wydobyl pałasz i groził publiczności”, Trepów kazał na miejscu wypłazować. Potwierdzenia tej wiadomości nie znajdujemy w żadnej relacji drukowanej lub piśmiennej, jakie posiadamy.

Tutaj tymczasem, wobec wzrastających ciągle tłumów, odbywało się nabożeństwo. Śród ludności kręciło się mnóstwo akademików, młodzieży szkolnej i rzemieślniczej, którzy rozdawali zebranych portrety Kilińskiego i Kościuszki.

Zachowywano się zresztą bardzo spokojnie, a po skończonej mszy odśpiewano suplikacje i jakiś nowo utworzony hymn do Matki Boskiej, którego ogromna większość zebranych nie znając, słuchała w milczeniu. Po ukończeniu, jakiś głos zawołał w kościele: „Niech żyją Polacy! wiwat! dziękujemy wam, obywatele miejscy i wiejscy!” Ale zaraz poczęto sykać i wołać: „Cicho! tu kościół!”.

Była godzina jedenaście rano, gdy się ukończyło nabożeństwo, i z kościoła wystąpiła procesya. Młodzież rzemieślnicza i szkolna, niosła na czele chorągwie kościelne i obrazki Matki Boskiej. Ruszono przez Leszno, Przejazd na ulicę Długą. Spotykanych przechodniów zatrzymywano i wołając: „Na środek, panowie, na środek!”, kazano im iść za procesją. Jadących w dorożkach lub powozach zmuszano do wysiadania i łączenia się z pochodem. Tym sposobem tłum wzrastał ciągle i już na Długiej ulicy liczone go w przybliżeniu na kilka tysięcy. Za procesją, zgodnie z rozkazem namiestnika, postępował pluton żołnierzy i policja pod wodzą miejscowego komisarza Jachimowskiego. Szli oni w kaskach na głowach, ale gdy z tłumy poczęto wołać: „Zdjąć kaski!” — w milczeniu je zdjęli i szli już z odkrytymi głowami. Ta masa narodu, posuwająca się wolno, robiła wrażenie imponujące.

Ten kilkutyśięczny tłum jednak, z wyjątkiem garści agitatorów, nie wiedział nic o powodach tej procesji. Pod tym względem obiegały wśród postępujących ulicą Długą pogłoski najrozmaitsze. Jedni mówili, że procesja ma na celu dokonanie tego, co było zaczętem onegdaj na Starem Mieście a czemu się oparł Trepow z żandarmeryą, i ci byli najbliżsi prawdy, jakkolwiek także nie wiedzieli, czego ostatecznie chciano onegdaj. Inni utrzymywali, że zamiarem procesji jest odzyskanie ciał poległych dnia 25 Lutego i pochowanie ich uroczyste na miejscu poświęconem; jeszcze inni, że procesja ma się udać przed Zamek i zażądać natychmiastowego uwolnienia wszystkich aresztowanych przed paru dniami. Cała ta masa ludzi, między którymi przecież było wielu rozumnych, rozważnych, spokojnych, zdających sobie sprawę ze swych czynności, nie wiedziała dobrze dokąd i po co idzie, dając się powodować jak owce kilkunastu agitatorom, świadcząc przez to o tej starej prawdzie, że tłum nie ma nigdy ani woli ani rozumu.

Procesja przeszędszy całą ulicę Długą, zatrzymała się przed kościołem Paulinów, tym samym, z którego onegdaj wyruszono na Stare Miasto. Odkryto głowy, poklękano na bruku i tysiące piersi zanuciło wspianiały hymn: „Święty Boże”. Żołnierze idący za tłumem, zdjęli także czapki i wielu żegnać

się poczęło... Ztąd ruszono przez ulicę Gołębią na Stare Miasto przy ciągłym wzroście liczebności tłumów⁹. Na ulicy Świętojańskiej, z okien jednego z domów, posypało się mnóstwo obrazków z Matką Boską i portretów Kilińskiego, które młodzież idąca na czele, przyczepiała do lasek i niosła tak przed sobą. Dotąd cały ten pochód olbrzymi nie napotkał żadnej przeszkody, ale teraz wysuwając się na plac Zamkowy, miał się zetknąć z wojskiem.

W Zamku bowiem wiedziano o zbliżającej się procesyi i prawdopodobnie o tem, dokąd ona dąży, zwłaszcza, że żądanie Towarzystwa rolniczego jasne na ten cel rzucało światło. Prócz tego na ulicach wychodzących na plac, jak Krakowskie Przedmieście, Senatorska i Podwale, poczęły się także na chodnikach gromadzić znaczne i gęste tłumy, oczekując na pojawienie się procesyi. Wobec tego, z polecenia namiestnika, rozkazano wystąpić batalionowi piechoty, w tym samym porządku jak dnia 25 Lutego, i stu koniom kozaków kubańskich pod wodzą esaulu Zawarowa. Piechota stanęła przed główną bramą pod wieżą, kozacy po skrzydłach aż do Zjazdu. Batalion miał, zdaje się, jedynie rozkaz osłaniania Zamku, gdyż przez cały czas wypadków, jakie się wkrótce rozegrać miały, nie ruszył się ze swego miejsca.

Jak tylko procesya wysunęła się z ulicy Świętojańskiej i doszła placem do wylotu ulicy Pivnej, esaula Zawarow otrzymał rozkaz, ażeby z plutonem kozaków zabiegł drogę tłumowi od czoła, prosił o rozejście się, w razie zaś oporu uderzył na niego batami. Jakoż tak się stało. Zawarow wezwawszy łamaną polszczyzną zbite masy ludu do rozejścia, gdy spostrzegł, że te nie słuchają go wcale, lecz owszem usiłują dalej się posuwać, zwrócił się do swoich kozaków i wydał rozkaz: „Udarit w nahajki!” (uderzyć batami). Kozacy rzucili się z batami w rękach, bili każdego, kogo dostać mogli, bez względu na płeć i wiek, ale ostatecznie nic zrobić nie mogli. Tłum był zbyt wielki, zbyt naciskany z tyłu, zbyt zdeterminowany, by mógł się rozprószyć. Cofnięto się tylko i cała ta masa ludzi stanęła nieruchomo. Zawarow zobaczywszy, że na czele tłumy, nieco wysuniętych naprzód stało trzech czy czterech ludzi, niosących obraz Matki Boskiej, kazał kozakom go odebrać. W starciu, jakie ztąd wynikło, obraz ów upadł na bruk i rozbił się na szczątki. Na ten widok wszystkie oznaki procesyi kościelnej znikły, a został się tylko sam tłum, który stał nieruchomie, nie posuwając się naprzód, ale i nie ustępując w tył, patrząc w milczeniu na kozaków, a kozacy na niego. Cały plac Zamkowy zaległa cisza, z wielu względów złowroga, bo kryjąca w swem łonie straszną i blizką burzę. Trwało to dość długo takie wzajemne przypatrywanie się i sytuacja poczyniała być nie do wytrzymania, gdy nagłe z pośrodku tłumy wysunęła się niewielka grupa młodych ludzi,

9 A. Podwysockij, znany nam członek tajnej policji, w swych „Zapiskach” powiada, że podchodząc ku placowi Zamkowemu, tłum liczył koło 50 tysięcy ludzi.

którzy śmiało zbliżyli się do Zawarowa i poczęli go prosić, by ich przepuścił na Krakowskie Przedmieście, gdyż oni jako członkowie Towarzystwa rolniczego muszą znajdować się na posiedzeniu, teraz właśnie odbywającym się. Młodzi ludzie mieli istotnie wygląd szlachciców wiejskich i Zawarow kazał ich przepuścić. W chwili atoli, gdy prawdziwi czy nieprawdziwi członkowie Towarzystwa, korzystając z tego pozwolenia, posunęli się naprzód, przyłączyło się do nich kilkunastu innych, którzy gromadkami i pojedynczo poczęli się przemykać przez łańcuch kozaków, lub korzystając z odwrócenia ich uwagi chodnikiem koło ścian domów, ku Krakowskiemu Przedmieściu, łącząc się z tłumem, stojącym na tej ulicy, głównie koło kościoła Bernardynów.

Podczas gdy tutaj na placu Zamkowym wciąż trwała względna cisza i spokojne przypatrywanie się wzajemne tłumowi i kozaków, nagle tam, pod kościołem Bernardyńskim, rozległo się w tej ciszy „Boże coś Polskę”. Wobec tego Zawarow naradził się z Trepowem, obecnym na placu i posłał ku kościołowi pluton kozaków ze swej setki pod wodzą „uryadnika” Czernobrowa. Gdy się kozacy ukazali tam z batami w rękach, tłum, a głównie baby zebrzące pod kościołem, powitały ich kamieniami, błotem i krzykiem: „hura!”. Budowano właśnie wtedy gmach resursy obywatelskiej i na ulicy, zaraz za kościołem leżały całe stosy kamieni, cegieł i gruzu, który ludność chwytając, zarzuciła pojawiającego się Czernobrowa istnym gradem pocisków. Kozacy atakowali aż siedem razy, zmuszali tłum do odstąpienia nieco, do skupienia się na chodnikach, ale ostatecznie zarzuceni pociskami, obryzgni błotem, wielu krwią, spostrzegli, że nie dadzą rady wzmagającemu się zbiegowisku. Mnóstwo osób przybywało z głębi miasta przez Krakowskie Przedmieście, przez ulicę Senatorską, przez przechodni dom Rezlera, a nawet koło kolumny Zygmunta, z tłumem, który szedł niedawno w procesyi, przemykanie się ku Krakowskiemu Przedmieściu stało się coraz częstsze i liczniejsze.

Zdarzyło się, że właśnie w tę porę, koło godziny 2 po południu, miał się z kaplicy przy kościele Bernardyńskim odbyć pogrzeb niejakiego Józefa Łempickiego, urzędnika z dyrekcji ubezpieczeń od ognia, osobistości mało znanej, która stała się historyczną po swej śmierci przez szczególny i jedyne w swoim rodzaju zbieg okoliczności. Karawan stał przed kościołem, i jakkolwiek pogrzeb sam nie miał żadnego związku z procesyą i z całą manifestacją, w chwili, gdy tak zwany dziad kościelny stanął przed karawanem z dużym krzyżem drewnianym, oraz ksiądz, agitatorzy postanowili skorzystać z tego, przyłączyć się do orszaku pogrzebowego i pod jego zasłoną przełamać łańcuch kozaków, dzielący tłumy na Krakowskim Przedmieściu od procesyi, wciąż nieruchomie stojącej na placu Zygmunta. Wśród wołania: „to pogrzeb ofiary poległej onegdaj”, lud tłoczył się począł za karawanem.

Kozacy Czernobrowa, któremu na pomoc pospieszył nowy pluton uryadnika Reutowa, mając rozkaz nie przepuszczania procesyi, widząc posuwający się orszak pogrzebowy w kierunku ulicy Senatorskiej, zabiegli drogę karawanowi i poczęli bić batami każdego kto się nawinał. Dziad, niosący krzyż, starzec siedemdziesięcioletni, niegdyś żołnierz polski, Franciszek Rosiński powiadał potem przy śledztwie, że go kozak „skropił parę razy przez plecy nahajką”; idącego za nim braciszka bernardyńskiego Rogiera Zawitkowskiego ten sam los spotkał. Zasłonił on się krzyżem, który niósł, przy czym zostały złamane dwa kolce z korony cierniowej, tudzież wielki palec u prawej ręki Pana Jezusa¹⁰. Na ten widok w tłumie rozległ się jeden okrzyk zgrozy: „krzyż łamiał! bezczeszczył świętości nasze!” wołano ze wszystkich stron. Z faktu tego, bardzo zresztą drobnego i będącego następstwem prostego wypadku, umieli później skorzystać agitatorzy i „krzyż złamany”, jako symbol niedoli polskiej, pojawił się na medalach, spinkach, hymnach, broszurach, plakatach; kobiety nosiły go na piersiach.

Kamienie nie przestawały świszczeć koło głów kozackich i chociaż z rozkazu namiestnika, posłano jeszcze jeden pluton na pomoc dwóm ucierającym się już od godziny, wszelako nic to nie pomogło.

Pogrzeb zatrzymał się, tłum zbitą masą stał, krzyczał, wymyślał na kozaków. Wobec tego namiestnik, który z Enochem i kilku generałami patrzył z okien Zamku na rozgrywający się przed jego oknami dramat, widząc bezowocność usiłowań kozackich, postanowił na koniec użyć piechoty do rozpręczenia tłumów. Do tego postanowienia przyczynił się może widok kozaka ciężko ranionego w głowę, zlanego krwią, który, ledwie trzymając się na koniu, był właśnie w tej chwili przez towarzyszków prowadzony do Zamku. Wskutek rozkazu namiestnika wystąpił pułkownik Hartong z batalionem piechoty pułku muromskiego, do którego zaraz potem przyłączyła się jeszcze jedna kompania pod dowództwem pułkownika Fenshaw. Hartong podzielił swe siły tak, że jedna połowa posuwała się wzdłuż prawej, a druga lewej strony ulicy. Zaledwie atoli zbliżyli się do kościoła Bernardynów, gdy posypał się na nich grad pocisków, najprzód z poza krat żelaznych, znajdujących się między kościołem a dzwonnica, a potem z owych gór kamieni, gruzu i cegieł, leżących wprost budującej się resursy. Głównie ucierpiała od tego lewa kolumna wojska. Mimo to żołnierze żwawo posuwali się naprzód, bili kolbami nawijających się po drodze i ostatecznie oczyścili ulicę aż do figury Matki Boskiej, która stała wtedy wprost domu Orgelbranda, niegdyś należącego do Dra Malcza, i zna-

10 Giller w cytowanym dziele powiada, że za uciekającym księdzem wpadł kozak do kruchty kościelnej; to samo twierdzi parę relacji drukowanych polskich. W rękopiśmiennych urzędowych i nieurzędowych sprawozdaniach, wiadomość ta się nie potwierdza.

nego powszechnie pod tem imieniem. W owe czasy, na miejscu, gdzie dziś znajduje się piękny skwer z wodotryskiem, wznosił się szereg ścięzionych domów tworząc t. z. wązkie Krakowskie Przedmieście. W tem miejscu miała się rozegrać najtragiczniejsza scena tej całej tragedyi.

Kiedy batalion Hartonga dotarł do tego miejsca, a za nim środkiem ulicy posuwał się karawan ze zwłokami Łempiekiego¹¹, zjawiła się nowa osobistość i z nowymi siłami wojskowymi.

Osobistością tą był generał-lejtnant, dyżurny generał 1-szej armii Zabołockij, którego imię miało od tej chwili stać się historycznym, powtarzanem ciągle, przeklinanem przez wszystkich, przez Rosyan i Polaków. Przyjechał on niedawno do Warszawy, przed kilku zaledwie tygodniami, z wycieczki zagranicę i prawdopodobnie nie bardzo pojmował, co się tu koło niego dzieje. Wyszedłszy z Zamku w chwili, gdy kozacy Zawarowa ucierali się z procesyą, widząc zamęt dookoła panujący, przebiegających kozaków, strwożone twarze, jednym słowem burzę, która mogła najspokojniejszego człowieka wstrząsnąć, ruszył do pałacu Prymasowskiego z zamiarem wzięcia czynnego udziału w przywróceniu porządku. Zabrawszy z rzezonego pałacu kompanię piechoty pułku nizowskiego, wyszedł z nią przez tylne wrota na ulicę Kozią, a potem na Krakowskie Przedmieście w pobliżu poczty. Tu stosunkowo było dość spokojnie; lud stał gromadkami, od czasu do czasu pojawiali się kozacy, lecz nic groźnego ani niebezpiecznego dla władzy nie było. Zabołockij chcąc dać jakieś zajęcie kompanii, przypomniał sobie, że w Zamku mówiono, iż procesya chce się dostać do sali posiedzeń Towarzystwa rolniczego. Spojrzał w tym kierunku i zdawało mu się, że przed pałacem namiestnikowskim jest jakiś ruch niezwykły. Postanowił tam pójść.

Cóż jednak przez ten czas, gdy na ulicach rozgrywały się takie sceny bolesne, działo się w Towarzystwie rolniczem? Tam właśnie na wniosek Tomasza hr. Potockiego uchwalono uwłaszczenie; do zgromadzonych dochodził ponury, głuchy szum burzy wrzącej na ulicy, przebiegał po nich dreszcz niepokoju. Ten i ów wychodził, żeby zobaczyć co się dzieje i wracając przynosił coraz groźniejsze, dziwniejsze wieści. Muchanow zjawił się na posiedzeniu mówiąc do Zamoyskiego, że przyszedł dzielić z Towarzystwem groźące mu od agitatorów niebezpieczeństwo. Szeptano sobie, że kozacy lud biją, tratuja po ulicach, że sceny odbywają się straszne, barbarzyńskie, najazd Mongołów przypominające. Coraz większy niepokój ogarniał zebranych; siedzieli jak na rozżarzonych węglach. Poczęły się nakoniec odzywać głosy, że niepodobna, by

11 Zawrócony przez kozaków nie poszedł ulicą Senatorską, ale postępując za batalionem Hartonga dostał się do Trembackiej i tędy się przemknął. Księża zaś poszli ulicą Senatorską.

Towarzystwo obojętnie się zachowywało wobec okropnych wypadków, dziejących się pod jego bokiem; że trzeba wybrać deputację i posłać do Zamku, do namiestnika, żądać cofnięcia wojsk, ustępstw dla kraju. Zrazu lękliwe, pojedyncze te głosy, powoli zwiększały się, stawały się liczniejsze, żądania wyraźniejsze i bardziej stanowcze. Zamoyski słuchał tego, słuchał, na koniec powstał i począł mówić... Lecz nie wypowiedział jeszcze nawet kilku słów, gdy nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi i do sali wszedł, a raczej wniesiony został przez przyjaciół, członek Towarzystwa Józef Narzymski, zamożny obywatel z Płockiego, znany w tej dobie całej Warszawie hulaka i utracyusz, który z czasem miał zająć bardzo wybitne stanowisko w literaturze ojczyznej. Brał on czynny udział we wszystkich manifestacjach, znalazł się i w ostatniej i został zbity przez kozaków batami pod kolumną Zygmunta. Przyjaciele przywieźli go dorożką i stękającego, zbroczonego krwią wniesli na salę posiedzeń, usadzili w krzesła i zaczęli opowiadać zebranym i zdziwionym niezmiernie tem zjawiskiem, całą historią Narzymskiego. Scena była niesmaczna i miała charakter teatralny, więc Zamoyski wysłuchawszy dość długiego, szczegółowego i gorącego opowiadania, zapytał się tonem chłodnym i posępnym: „czegoż więc panowie chcecie?” Na to otaczający Narzymskiego odrzekli, że chcą, żeby do Zamku była wysłana deputacja, któraby przedstawiła namiestnikowi istotny stan rzeczy, napaść wojska na bezbronnych, zbeszczeszczenie świętości, poranienie wielu osób, przechodniów nic niewinnych, i żądała obrony przed taką napaścią. Na to hrabia Zamoyski, zawsze zachowując swój ton chłodny i posępny, odparł, że Towarzystwo nie ma prawa mieszać się do zarządu miasta; że dla tego rodzaju spraw są specjalne instytucje, np. ratusz, gdzie właściwie trzeba było odprowadzić ranionego, a nie tutaj, na salę posiedzeń Towarzystwa.

Słowa te nacechowane delikatną i pańską ironią, mówiącą wyraźnie, że sędzią awantur ulicznych jest policja, niepodobały się większości zgromadzonych. „Przecież on obywatel, wołano, nasz kolega, a nawet członek naszego Towarzystwa. Czyż godzi się nie ująć się za niego?” — „Jeżeli pan Narzymski jest obywatelem i naszego Towarzystwa członkiem, zauważył lodowatym tonem Zamoyski, to powinien się tu znajdować, na posiedzeniu, a nie mieszać się między uliczników i awanturować z wojskiem. Gdyby tu był, byłby cały”. Wyrazy te wywołały powszechne nieomal oburzenie. Podniosło się mnóstwo głosów, że przyjaźń i związki z rządem moskiewskim winny mieć dla każdego dobrego Polaka pewne granice; że są obowiązki wyższe od obawy skompromitowania się wobec władzy; że są chwile, w których wszyscy, do jakiegokolwiek należeli stronnictwa i obozu, powinni ponosić ofiary. Zamoyski spokojnie wysłuchał tej burzy i zniósł te dotkliwe pociski, a gdy się nieco uciszyło,

odrzekł, że nie obawa kompromitacji przed władzą, ale prosta przyzwoitość nakazuje mu danie odmownej odpowiedzi tym panom; że gotów jest jechać do Zamku sam jeden, gdyby tego wymagały okoliczności, ale deputacyi nie wyśle; że co się tyczy jego uczuć patryotycznych, to te dobrze są znane ogółowi. W końcu gorąca, angielskim pokostem lodu pokryta, dobra jego polska krew rozgrzała się nieco, i zawołał: „chcecie, żebym ja przewodniczył burdzie? Nigdy!”

Podniosła się jeszcze większa wrzawa. Jedni popierali zdanie swego prezesa, inni domagali się wysłania natychmiast deputacyi, gdyż inaczej wszystko skończy się jakąś katastrofą, a wtedy nie czas będzie na pertraktacje. Zamoyski jeszcze raz chciał mówić, wzywał do porządku, dzwonił, ale na próżno. Żądano, żeby już nie deputacyą wysłać, ale żeby całe Towarzystwo gremialnie wyruszyło do Zamku. Nacisk był tak silny, że Zamoyski zawsze poddający się żądaniu większości, z widocznym jednak wstrętem zgodził się na to i ogłosił zamknięcie posiedzenia. Wszyscy zebrani wyruszyli z sali sesyjnej. Na dziedzińcu jednak, już koło czterech lwów zamykających wejście do pałacu, Zamoyski rozmyślił się, przedstawił otaczającym go, że lepiej będzie rozejść się i zawrócić na lewo do swego mieszkania. Część zebranych poszła za nim, a część pod wodzą Marcelego Karczewskiego, obywatela z okolic Sieradza, człowieka już niemłodego, mimo to zapalanej, gorącej głowy, udała się na prawo, ku miejscu manifestacyi.

Ten to ruch, wychodzących tłumnie członków Towarzystwa, zauważył zapewne stojący ze swą kompanią przed gmachem pocztowym, generał Zabołockij. Wskutek tego skierował się ku pałacowi namiestnikowskiemu, ale widząc, że tu spokojnie, że na dziedzińcu stoi batalion piechoty, zawrócił i zatrzymał swój oddział na rogu ulicy Czystej, gdzie stał jakiś czas przypatrując się i przysłuchując wrzawie, dochodzącej aż tutaj z pod Bernardynów. Zbliżyło się doń kilku oficerów i opowiadało mu o bójce ludu z kozakami przed odwachem, który znajdował się wówczas tuż przy kościele rzeczonym, w miejscu gdzie do dziś dnia rośnie kilka samotnych kasztanów. Zabołockij wysłuchał tego i ruszył ze swą kompanią z powrotem, jak się zdaje w zamiarze zaprowadzenia jej do koszar, do pałacu Prymasowskiego. Ale w miarę zbliżania się do poczty wrzawa wzrastała; tłumy snujące się dokoła, wygrażały i wymyślały żołnierzom; do generała podjechał jakiś kozak i doniósł, że „Polacy rozbijają odwach”, co potwierdził nieznanym ordynans w mundurze. Wobec tego Zabołockij nie wiele myśląc, porzucił swój pierwotny zamiar odprowadzenia kompanii do jej koszar, i ruszył na wązkie Krakowskie Przedmieście. Ale tutaj tłum był tak gęsty, że niepodobna się było zwykłym frontem przedostać. Prócz tego z ulicy Bednarskiej podjechał wóz z cegłą, wywrócił się umyślnie, czy

przypadkiem i zagroził drogę. Za tym wozem nagromadziło się kilka dorożek, o których powiadano, że je ustawił Marcełi Karczewski, który po wyjściu z Towarzystwa zjawił się tutaj, otoczony liczną grupą swych kolegów. Na dorożkach tych stało kilku mężczyzn i ciekawie przypatrywało się niezwykłemu widowisku.

Zabołockij kazał żołnierzom przesuwac się pojedynczo chodnikiem lewym (idąc ku Zamkowi), ale za ledwie kompania ruch ten rozpoczęła, gdy powitana została gradem kamieni, błota i słów obelżywych. Tłum zwracał się do generała i wołał: „krzyże nam rąbią, wiarę hańbią!” Mimo to żołnierze przedostali się na szerokie Krakowskie Przedmieście i spostrzegli posuwający się naprzód batalion Hartonga, a za nim karawan z ciałem Łempickiego. Zabołockij kazał kompanii stanąć i rozwinąć się wzdłuż trotoaru lewego, tyłem do niego a frontem do ulicy; zajął tym sposobem przestrzeń od apteki Hakebajla do istniejącego podówczas zaułka, łączącego ulicę Kozią z Krakowskim Przedmieściem. Kamienie wciąż padały, zwłaszcza, według podejrzonej relacji oficerów z oddziału Zabołockiego, z drugiego piętra domu Malcza, gdzie w jednym z okien siedziały dwie damy, a za nimi stali jakoby mężczyźni i ci mieli ciskać kamienie. Niemniej tłum, stojący gęstą masą obok wzmiankowanego domu, nie przestawał kamienować i wymyślać „kapuśniakom”. Sam generał został porażony ciężką cegłą w plecy.

W tej chwili właśnie oddziały Hartonga i Fenshawa zbliżyły się do wylotu wąskiego Krakowskiego Przedmieścia, które, jak wyżej powiedziano, zabarykadowane było dorożkami. Potrzeba było raz temu koniec położyć i ulicę oczyścić dla rzeczonoego batalionu i dla orszaku pogrzebowego. W tym celu Zabołockij, zupełnie niepotrzebnie mieszając się do rzeczy, której wykonanie poleconem było oddziałowi Hartonga, rozkazał dwom kozakom, którzy się przy nim znajdowali, rozpędzić dorożki. Ale wszelkie usiłowania na nic się nie zdały. Tłum odpierał, straszył, bił konie. Wówczas Zabołockij nakazał swej kompanii bagnietami oczyścić ulicę, ale i to do niczego nie doprowadziło. Tłum krzyczał, wymyślał, rzucał kamieniami, szydził, śmiał się, wrzeszczał. Rozgniewany do żywego Zabołockij oświadczył, że będzie strzelał. „Nie wolno, odpowiadano mu, Napoleon zabronił!”

Trzeba było istotnie wielkiej, niezwykłej woli, by znieść spokojnie, mając siłę w ręku, takie naigrwanie i takie obelgi. Postawa rozszalałych mas była wyzywająca i Zabołockij rozkazał broń nabić, ale kapiszonów na brandki nie nakładać. Żołnierze dobyli nabojów, odgryzli je zębami, wpuścili w lufy, a wśród tłumu ciągle rozlegały się żarty brutalne, zjadliwe szyderstwa, dotkliwe obelgi. „Nie bójcie się, ktoś wołał z jednej z dorożek, ślepymi ładunkami będą strzelali”. Nikt nie wierzył, by naprawdę dano ognia do bezbronnego,

jak mówiono, ludu. Zabołockij jeszcze raz zwrócił się do tłumu i groził, że jeżeli się nie rozejdą, będzie strzelał. Wyrazy te powitano śmiechem i słowami o Napoleonie. Kamienie nie przestawały ani na chwilę latać koło głów żołnierzy.

Zabołockij nakazał jednemu plutonowi zejść lewym ramieniem naprzód, frontem do domu Malcza i do wąskiego Krakowskiego Przedmieścia. W chwili gdy ten obrót wykonywano, żołnierze poczęli wołać: „strzelają! Strzelają!”. Oczywiście nikt nie strzelał, ale te słowa zdecydowały Zabołockiego. Rozległa się komenda: ognia! W mgnieniu oka kapiszony znalazły się na brandkach i zagrziała palba, nieco przeciągła, niesforna, rozrzucona, świadcząca o silnym wzburzeniu żołnierzy. Kule w Ogólnej liczbie 55, padły w dom Malcza, i w zbite, gęste masy ludu na Krakowskim Przedmieściu. Ściany domu zostały poorane pociskami, pięć okien wybito, w magazynie mód panien Kuhnke cztery kule uwięzły w suficie, stłukły lustro, podziurawiły franki¹². Przed samą bramą domu padł zabity na miejscu, niejaki Michał Arcichiewicz, uczeń klasy czwartej gimnazjum realnego. Kula uderzyła go w głowę, tak że mózg rozprysł się dokoła. Na rogu ulicy Bednarskiej, tuż przy gmachu Towarzystwa dobroczynności, chroniąc się w bramę domu poległ Marceli Karczewski, znany nam już obywatel z Sieradzkiego, właściciel dóbr Przeczni i członek Towarzystwa rolniczego.

Tutaj więc padły wszystkiego dwie ofiary, ale w wąskim Krakowskim Przedmieściu, gdzie stały zbite masy ludu, pomimo nadzwyczaj nieporządných strzałów wojska, było trzech zabitych i kilkanaście osób ranionych.

Na jednej z dorożek, stojąc, padł Zdzisław Rutkowski, także obywatel ziemski, dziedzic dóbr Jaszowic w Radomskim, młody człowiek, zaledwie dwadzieścia kilka lat mający; na samej ulicy, na chodniku polegli: Karol Brendel, czeladnik ślusarski, pracujący w jakiejś fabryce żelaznej, i Filip Adamkiewicz, pierwotnie uważany za wyrobnika, zajętego przy budowie mostu na Wiśle, a jak później się przekonano, czeladnik krawiecki, wdowiec, lat 46 liczący, rodem z Warszawy¹³.

12 Lustro to i franki przez długi czas zachowywały u siebie panny Kuhnke na pamiątkę.

13 Różne relacje, jakie posiadamy pod ręką, różnią się między sobą co do miejsca, w którym padło pięć ofiar. Według raportów urzędowych, Arcichiewicz zginął w bramie domu Malcza; według pewnej relacji rękopiśmiennej „mieszkańca Warszawy”, którą w naszych zbiorach mamy, poległ w oknie domu Malcza. Zdzisław Rutkowski, według tejże relacji, miał paść przeszyty kulą na progu sklepu kupca Bogdańskiego; inne, bardzo wiarygodne opowiadanie, naocznego świadka, za którym w tekście poszliśmy, twierdzi, że poległ stojąc razem z Karolem Majewskim w dorożce, przyczem zaniepokojonego nieco widokiem nabijania broni, Majewski upewniał, że będą strzelali ślepymi ładunkami. Mamy jeszcze jedną relację, także rękopiśmienną, która utrzymuje, że Rutkowski nie mając wcale za-

Skutek strzałów był taki, jakiego spodziewać się należało. W jednym mgnieniu oka ulica została pusta, dorożki pędem uciekały. Tłum rozprysł się jak stado spłoszonych owiec, z czego korzystając batalion Hartonga i Fenshawe, którego kompania, widząc strzały, bez rozkazu poczęła nabijać broń, przeszły spokojnie, zawsze z karawanem za sobą, aż do ulicy Czystej, i tu zawróciły z powrotem do Zamku¹⁴.

Tymczasem po cofnięciu się wojska, które przez niepojęte nierozgarnięcie dowódców, zostawiło zabitych na ulicy, lud poczuł się znowu kupić koło poczty i na innych punktach. Z jękiem, płaczem, klątwami i odgrózkami rzucono się do zbierania ranionych i poległych. Karczewskiego, jeszcze żywego, gdyż dostał kulą w bok poniżej serca, podniesiono na rogu ulicy Bednarskiej, wsadzono do dorożki i zawieziono do hotelu Smoelńskiego, w którym mieszkał i który się znajdował na tejże ulicy. Tam jednak z powodu przerażenia ogólnego, ranionego nie chciano przyjmując; wówczas przyszło komuś do głowy zanieść go do domu Malcza. Tu Karczewski w sieni wkrótce skonał, pomimo szybko podanej pomocy z apteki Hakebajla.

Z trupem Rutkowskiego postanowiono pojechać do Zamku, pokazać zabitego namiestnikowi i żądać surowego ukarania sprawców tej zbrodni. Ale na

miaru brania udziału w manifestacji, wyszedł z hotelu Saskiego, gdzie mieszkał, po lekarstwo dla chorej żony do apteki Hakebajla, i na jej schodach padł przeszyty kulą w samo serce; Lisicki (*Le Marquis Wielopolski II*, 137) utrzymuje, że zginął idąc na pocztę po konie. Co do Brendla i Adamkiewicza wieści są jeszcze niepewniejsze. Okazał się bowiem miało, jak utrzymują źródła rosyjskie, że Brendel żył w r. 1864. Być to mogło, wszelako nie ulega żadnej kwestyi, że pięć trupów zebrano i pięć pogrzebano. Wszyscy je przecie oglądali, dziesiątki tysięcy osób modliło się u stóp zwłok; mimo to, mogło być prawdopodobnym, że ten, którego uroczyste pochowano d. 2 Marca pod nazwiskiem Brendla, inne nosił miano. Gdyby tak było, to dziwić się temu nie można. Przy zamęcie, jaki powstał po wypadkach d. 27 Lutego, trudnem w istocie było skonstatowanie osobistości jakiegoś prostego, nikomu nieznanego robotnika. Wszelako staranne z naszej strony poszukiwania przekonały nas, że podejrzenia rosyjskie nie mają żadnej podstawy. Istotnie d. 27 Lutego 1861 r. poległ na Krakowskim Przedmieściu Karol Brendel, czeladnik ślusarski. Akt jego zejścia spisany został zaraz nazajutrz w parafii Śgo Jana, gdzie oznaczony jest w księgach stanu cywilnego numerem 212. Jako świadkowie do aktu tego stanęli: ulian Rzczkowski, rządca domu i Marcin Falkowski, litograf, i zeznali, że d. 27 Lutego, w domu pod Nr 372 zmarł Karol Brendel, lat 24 liczący, rodem ze wsi Chlewisk w gubernii Radomskiej, syn Józefa i Antoniny z Góreckich. Akt zejścia Adamkiewicza Filipa znajduje się w księgach parafii św. Krzyża, i powiada, że denat zmarł pod Nr 419, czyli przed jednym z domów w pobliżu ówczesnej poczty.

14 Karawan ze zwłokami Łempickiego zawrócił na ulicę Trembacką i „lejąc nadzwyczajnym pędem”, jak się wyraził przy śledztwie dziad Rosiński, połączył się z księżmi na ulicy Bielańskiej. Ponieważ w zamieszaniu nikt nie zauważył, co się stało z karawanem, więc późniejsi pseudo – historycy rosyjscy twierdzili, że cały ten pogrzeb urządzony był przez agitatorów, chowających niby rząd rosyjski.

placu Zygmunta, kozacy, snujący się jeszcze tu i owdzie i rozpędzający zbiegowisko, napadli na jadących, zbili ich batami i zmusili do odwrotu¹⁵. Pojechano więc do domu Malcza, i tam złożono w sieni zwłoki, obok Karczewskiego i Adamkiewicza, o którym nie wiadano jeszcze jak się nazywa. Ciała Brendla i Arcichiewicza zaraz z początku wniesiono do magazynu mód panien Kuhnke, gdzie pierwszy wkrótce skończył życie¹⁶. Co do Rutkowskiego, to po krótkiej naradzie, ruszono z jego trupem do hotelu Europejskiego. Współcześnie z mieszkania panien Kuhnke, uczniowie i studenci wynieśli ciało Arcichiewicza, i posuwano się naprzód z Rutkowskim w dorożce, wśród rosnącego tłumu, wśród płaczu i przekleństw na Zabołockiego i Moskali. Niosący, idąc z gołą głową, wołali: „zdjąć czapki, cześć dla ofiar!”

Wszyscy odkrywali głowy, kobiety płakały, rzemieślnicy klękali na ulicach i głośno przysięgali zemstę.

Arcichiewicza zaniesiono do pałacu Zamoyskiego na Nowym Świecie i tu domagano się, by pan Andrzej się ukazał. Pan Andrzej się ukazał w towarzystwie Węglińskiego i wobec pokrwawionego trupa Arcichiewicza zachował swą zwykłą flegmę angielską, a choć domagano się, by przemówił, choć wołano: „panie hrabio, ujmij się za nieszczęśliwym narodem, męczonym i zabijanym”, milczał jednak uparcie. Zato Węgliński, szlachcic wysoki i tęgi, słynny ze swej wymowy, wśród gestów gwałtownych, potrząsając pięścią, wygłosił mowę ognistą, pełną tych pseudo-patryotycznych słów szumnych a pustych „o ofiarach krwawych, składanych na ołtarzu ojczyzny”. Tłum zadowolony tą mową, poniósł ztąd zwłoki Arcichiewicza do mieszkania rodziców, którzy, jako oficjaliści Zamoyskiego, mieszkali w zabudowaniach pałacowych. Z Rutkowskim zatrzymano się przed hotelem Europejskim, wyjęto z dorożki i wśród wygrażań i wymysłów, przeniesiono obok batalionu piechoty, która

15 I pod tym względem znajdujemy różne sprzeczności w relacjach. Berg w „Zapiskach”, oraz rękopism „mieszkańca Warszawy” twierdzą, że Rutkowskiego wprost z ulicy zawieziono do domu Malcza. Poszliśmy w tekście za bardzo wiarogodną relacją świadka naczynego, który jechał z ciałem Rutkowskiego do Zamku. Berg utrzymuje, że do Zamku powieziono zwłoki Adamkiewicza; „mieszkaniec Warszawy” i raport policyjny, którego dosłowną kopią posiadamy, twierdzi, że nie Rutkowskiego, nie Adamkiewicza, ale Brendla chciano pokazać namiestnikowi.

16 Niemniej rozmaite są relacje i co do tego, w którym miejscu składano najprzód zwłoki zabitych. Berg utrzymuje, że Karczewskiego zaniesiono do magazynu panien Kuhnke, gdzie już miały się znajdować ciała Brendla i Adamkiewicza; że gdy jeszcze wniesiono tam Rutkowskiego, przerażone kobiety nie chciały go przyjąć, mówiąc, że „nie mają go gdzie pomieścić, że już trzech jest dosyć”. W rzeczy zaś samej, jak nas przekonały nasze poszukiwania, u panien Kuhnke złożone były tylko zwłoki Brendla i Arcichiewicza, przyczem ci, którzy je nieśli, zastawszy drzwi do magazynu zamknięte, wyłamali je siłą. Wszystkie zaś inne ciała, złożono w sieni domu Malcza.

stała między hotelem i komendanturą placu (t. z. Ordonanshaus). Zarządzający hotelem, Niemiec Knoll, zrazu opierał się przyjęciu takiego niebezpiecznego depozytu; nie chciano go nawet słuchać i wniesiono trupa na korytarze. Jeden z właścicieli hotelu, Wambach, niegdyś oficer wojsk polskich, który przypadkiem znalazł się tam wtedy, kazał otworzyć dla przyjęcia zwłok Nr 64, na drugim piętrze, duży, pół okrągły salon, znajdujący się nad cukiernią Kontiego. Tu ułożono zwłoki nieszczęśliwej ofiary na materacu i czystej poduszce.

Koło godziny 5-tej po południu, wśród tłumów snujących się olbrzymimi masami po ulicach, wśród nieopisanego wzburzenia umysłów, postanowiono przenieść i resztę zwłok do hotelu Europejskiego z domu Malcza i magazynu panien Kuhnke. O Adamkiewiczu dotąd nie wiadomo, kto jest i jak się nazywa. Zrazu rozeszła się pogłoska, że miano jego jest Witte, że jest Francuzem i dla tego postanowiono zanieść go do konsulatu francuzkiego i tam złożyć. Wśród krzyków: do konsula! do konsula! wyruszono z trupem. Ale konsul p. Segur-Dupeyron, zwłok nie przyjął, mówiąc chłodno, że nie ma miejsca na pomieszczenie trupa i że jutro rozpatrzy tę sprawę. Zawrócono więc do hotelu Europejskiego, gdzie już wszystkie inne zwłoki były złożone, oprócz Arcichiewicza.

Tymczasem miasto wrzało; cała ludność nieomal wyległa na ulice, odgrazano się, krzyczano, płakano. „Co się mamy dać mordować bezkarnie, wołali rzemieślnicy, weźmy się bracia do zbójów, zduśmy, stłuczmy, kości na mak pogruhoczmy”. Najzimniejsze, najspokojniejsze umysły nie mogły się oprzeć gorączce, ogarniającej wszystkich. Znajomi spotykając się, witali słowami: „a więc jeszcze żyjesz?” jakby nie pięć osób poległo, ale tysiące; jakby nie jeden pluton strzelał, ale całe pułki i rzeź w mieście była. Obiegały różne, po większej części nieprawdziwe pogłoski. Mówiono, że nie pięć osób poległo, ale osiem; wymieniano nazwiska jakiegoś Czerniewicza, rzeźnika Kabatkina i nieznanego z imienia kowala. Rannych miało być mnóstwo; przytaczano nazwisko panny Matyldy Malta, którą ciężko poranioną zanieśli do domu; niejakiego Henryka Karskiego, któremu kula rękę strzaskała¹⁷, nazwiska Błęszyńskiego, Wiśniewskiego, Stanisława Wołowskiego, Kolasieńskiego i w końcu kilku żydów. Kupcy przerażeni rosnącym wzburzeniem i zbiegowiskiem pozamykali sklepy. Na ulicach nie widać było wojska ani policji i wszystkich uderzała ta okoliczność. Mówiono sobie, że namiestnik cofnął wojsko, bo mu nie dowierzał, że w czasie strzelania Zabołockiego, jakiś junkier wyszedł z szeregu, złamał szablę i ukrył się w tłumie. Bądź co bądź, jakkolwiek wszystkie te wieści nie miały w sobie ani odrobiny prawdy, wszelako cofnięcie wojsk

17 Karski dostał kulę w rękę, stojąc z kilku znajomymi, na schodkach przed księgarnią Gebethnera na Krakowskim Przedmieściu.

i policji z ulic było faktem widocznym, uderzającym każdego i świadczącym, że władza straciła głowę i przeraziła się sama tego, co zrobiła.

Cóż więc przez ten czas działo się w Zamku?

Gdy pierwsze echo grzmiących na Krakowskim Przedmieściu strzałów doszło do Zamku, namiestnik wyszedł do sali przyjęć, gdzie od rana pełno było pełno różnych wyższych oficerów i zapytał: „kto to strzela i gdzie?” Gdy na razie nie mógł nikt na to odpowiedzieć, Gorczakow kazał generałowi Wiesielickiemu siąść na koń i przekonać się o stanie rzeczy i powodach strzelania. Wiesielicki przypadł do Zabołockiego właśnie w chwili, gdy ten, dokonawszy swego, ściągał kompanię w zamiarze odwrotu. Zapytany dla czego strzela bez niczyjego rozkazu Zabołockij miał odrzec tonem szorstkim i wzburzonym, że nie jemu (Wiesielickiemu) zda z tego sprawę. Tymczasem do Zamku zdołała już dobieść wieść niejasna i nieprawdziwą, że „powstańcy strzelają z domu Malcza do wojska”. Na skutek tego namiestnik rozkazał generałowi Semece arestować wszystkich w domu Malcza. jeśli wieść o strzelaniu z tego domu okaże się prawdziwą. Semeka wyruszył i spotkał Zabołockiego postępującego na czele kompanii, bladego, drżącego, z gołą szablą na dół spuszczoną, koło kościoła Bernardynów. Dowiedziawszy się, z jakim rozkazem Semeka został wysłany, Zabołockij rzekł: „uspokój się Pan, to nie z domu Malcza, to ja strzelałem”. Wrócili więc obadwaj do Zamku, a kompania Zabołockiego zatrzymała się przy kolumnie Zygmunta, i w jakiś czas potem poszła ulicą Senatorską do pałacu Prymasowskiego, gdzie zaraz przeliczono wystrzelone ładunki, których było 55. Zabołockij z Semeką wszedłszy do sali przyjęć, zastali tu mnóstwo oficerów wszelkiego stopnia, którzy dość głośno narzekali na nieczynność władzy, na brak wszelkich rozporządzeń. Dyrektor kancelaryi namiestnika, rzeczywisty radca stanu Kazaczkowski wołał, że oddawna należało zająć przez wojsko wszystkie główne punkta miasta i ogłosić stan wojenny; że takie postąpienie od razu by położyło koniec nieporządkom. W drugiej, mniejszej sali Gorczakow przyjął Zabołockiego, wysłuchał jego opowiadania i mruknąwszy: „parfaitement fait” (wyborne zrobione) odszedł do swego gabinetu¹⁸. Zabołockij wrócił do zgromadzonych oficerów, tu jeszcze raz opowiedział całą historią swego strzelania, uskarżał się na ból w plecach i na skutek rady obecnych, by sobie kazał co na ten ból zrobić, poszedł do domu zupełnie spokojny, przekonany, że spełnił swój obowiązek jak należy i że Gorczakow nie inaczej na tę sprawę się zapatruje.

Ale jeszcze tego samego dnia namiestnik miał zmienić pod tym względem zdanie. Wzburzenie umysłów, ogarniające całe miasto, przesadzone wieści

¹⁸ Wszystkie powyższe szczegóły zaczerpnięte są z Berga (Zapiski, 200 i nast.). Autentyczności ich sprawdzić nie mogliśmy.

obiegające wszędzie, gorączka powszechna udzieliła się najspokojniejszym nawet osobom, których stanowisko i wiek, zdawałoby się mogło, powinien był od tego ustrzedz. Do zamku dochodził ponury odgłos, głuche mruczenie wielkiego, wzburzonego do głębi miasta. Co chwila ktoś wbiegał i donosił najnierozsądniejsze wieści, że Warszawa gotuje się do powstania powszechnego, że tylko patrzeć, jak ono wybuchnie i potokami krwi zaleje ulice. Powoli, pod wpływem tych wieści, poczęły się zmieniać pojęcia dotychczasowe o stanie rzeczy u Gorczakowa. Chory, wrażliwy, przyjmował wszystkie te wieści, jako mające w sobie cząstkę prawdy i nabierał przekonania, że postępek Zabołockiego był błędem, zbrodnią nawet, za którą przyjdzie rządowi rosyjskiemu ciężko odpokutować w Polsce. Wobec modnych w owe czasy idei liberalnych, wobec budzącej się w Rosji opinii publicznej, lękać się zaczął, że ta opinia go potępi za czyn całkiem niepotrzebny, czyn brutalnej siły wojskowej, krwawej napaści na bezbronnych. W umyśle jego prostym i szczerym, w sercu dobrem w gruncie rzeczy, budził się pewien wstręt przeciw krokom gwałtu, zwłaszcza, że ostatecznie Polacy są nieszczęśliwi, żądania ich bądź co bądź są słuszne, i mają prawo do ustępstw w czasach, gdy wszystkie rządy ustępują. Cóż wobec tego powie Rosya, co powie Europa, gdy wieść do niej dojdzie o krwawych scenach, warszawskich?

Trzebaż było jemu, bohaterowi Sewastopola, ściągnąć przy końcu życia na swą siwą głowę krew niewinnie przelaną! A przytem w grupie dygnitarzy wojskowych, otaczających starego namiestnika, znajdowało się wielu intrygantów, wielu wrogów Zabołockiego, którzy korzystając ze sposobności, nie omieszkali podburzać Gorczakowa przeciw jenerałowi, który wmieszał się w rzeczy niepotrzebnie, działał samowolnie, bez rozkazu, i narobił piwa, które rząd musi wypić. Twierdzono, że chwila jest straszna i bardzo niebezpieczna, bo, jeżeli powstanie istotnie wybuchnie, władza z trudnością będzie mu mogła stawić czoło. Mówiono, że w całym Królestwie jest zaledwie 25.000 wojska, że garnizon warszawski dochodzi ledwie pięciu tysięcy. Czyż z taką siłą możliwe jest pokonanie powstania w mieście, liczącym przeszło dwakroć sto tysięcy ludności? Gorczakow wiedział o tem dobrze, iż istotnie Królestwo ogołocone jest z wojska. Wskutek zbliżającego się ogłoszenia ukazu o usamowolnieniu włościan i obawy mogących z tego powodu wybuchnąć rozruchów, ściągnięto do cesarstwa wszystkie rozporządzalne siły, zwłaszcza, że Królestwo zdawało się być ciche i zadowolone ze stanu rzeczy, jak zapewniał raport z r. 1860. Gdyby więc powstano w Warszawie, a za nią rozumie się w kraju całym, czymże zdołanoby się ruchowi oprzeć? Nimby można ściągnąć pomoc z Litwy, pomoc spóźnioną dla złych dróg i roztopów, Bóg wie, co przez ten czas może się stać w Polsce, do czego dojdzie. Znana osobiście Gorczakowowi

waleczność Polaków, wspomnienia 1831 r. i kampanii krymskiej, nadawały w umyśle starego wodza cechę prawdopodobieństwa klęsce, jaka czekała Rosyą. Wszyscy otaczający go, jak zwykle dworacy, widząc gwałtowną zmianę w usposobieniu namiestnika, malowali stan rzeczy w kolorach jak najczarniejszych, wygadywali na Zabołockiego, nazywali go słusznie zresztą zbrodniarzem, godnym surowej kary, burzycielem porządku publicznego, zuchwałcem, który nadużył swej władzy, który zgrzeszył przeciw karnośći wojskowej. Ci, którzy przed chwilą oburzali się w Zamku na brak zdecydowanego programu w postępowaniu, wszyscy Kazackowscy i inni, pochowali się gdzieś, chodzili mroczni i chmurni, milczeli, wzdychali i ruszali ramionami.

Tymczasem wzrastająca gorączka, powszechne szemranie przeciw Zabołockiemu, wzbudziły w niektórych wybitniejszych osobistościach w mieście zamiar udania się do Zamku i przedstawienia namiestnikowi stanu rzeczy, żądania przerwania gwałtów ulicznych i ukarania winnych. W tym celu, jak się zdaje z własnej inicjatywy i bez porozumienia się z kimkolwiek innym, udał się wieczorem do namiestnika arcybiskup Fijałkowski. Gorczakow przyjął arcybiskupa szorstko, nie dał mu mówić i zagroził, że, w razie powtórzenia się podobnych manifestacyj ludowych, wyda rozkaz strzelania ze wszystkich dział fortecznych. Na to Fijałkowski, człowiek pomimo wieku łatwo się unoszący, odrzekł: „a ja każę uderzyć we wszystkie dzwony!” Rozstano się z gniewem i niezadowoleniem¹⁹.

Gdy się takie sceny rozgrywały w Zamku, u hrabiego Andrzeja Zamoyckiego, w jego pałacu na Nowym Świecie, zbiegło się tymczasem mnóstwo szlachty, członków Towarzystwa rolniczego, cały Komitet, złożony wyłącznie prawie z Klemensowczyków, i burzliwie poczęli się naradzać, coby wobec tak poważnych okoliczności czynić należało. Myśl o adresie, któryby wypowiadał wszystkie żądania i wszystkie bóle polskie, znowu się obudziła wbrew postanowieniu, zapadłemu przed trzema dniami, zapewne pod wpływem wiadomości, że mieszczaństwo warszawskie już wczoraj krzątało się koło napisania adresu. Gdyby to przyszło do skutku, mówiono sobie, pominąwszy już tę okoliczność, że taki rozdział ludzi dobrej woli, nie może być korzystnym dla interesów krajowych, to napisanie i posłanie adresu przez samo mieszczaństwo, usuwało Towarzystwo na drugi plan, odbierało mu inicjatywę w sprawach publicznych.

Bądź co bądź, wołano, trzeba coś postanowić, trzeba wysłać deputacją do Zamku, żądać ukrócenia nadużyć siły wojskowej, reform dla kraju, pozwolenia na podanie adresu do cesarza; trzeba jednym słowem, żeby pan Andrzej jechał

19 Berg, 205.

do namiestnika i to zaraz²⁰. Pan Andrzej, jak zwykle ulegający woli większości, z wyraźną jednak niechęcią, zebrał się i pojechał koło godziny 10-tej wieczorem, wraz z wiceprezesem Towarzystwa, Ostrowskim, do Zamku. Wszelako ulegając pod tym względem woli większości, w najważniejszej sprawie, w sprawie adresu, jak zapewniają ci, co go bliżej znali, powziął postanowienie odjęcia temu aktowi wszelkiej cechy ugody między najazdem i krajem; miała to być tylko skarga. Gdyby jednak zdanie jego nie było wysłuchane, zdecydowany był do tego aktu nie przykładać swej ręki. Z takimi myślami wyruszył do Zamku.

Wchodzącym deputatom szlacheckim zabiegł drogę oberpolicmajster Trepów, oczekujący zapewne na rozkazy namiestnika w pierwszej sali. Zamoyski, wzburzony wypadkami tego dnia, które najzimniejszych nawet ludzi podrażniły, pierwszy odezwał się do Trepowa tonem dość szorstkim: „co wyrabiacie? strzelacie do ludzi jak do kaczek!” Na to Trepow głosem spokojnym i grzecznym począł upraszać p. Andrzeja, by dał radę, jak zapobiedz manifestacyom. Ale pan Andrzej odrzucił tę prośbę; dawanie rad, mówił, nie do niego należy; kto ma wojsko i policję, zawsze może zbiegowisku zapobiedz; zbiegowiska wszędzie się przytrafiają, ale żaden rząd nie zabija ludzi i nie dozwala strzelać, jak do zwierząt.

Słowa te świadczyły o mocnym podrażnieniu pana Andrzeja.

Gorczakow przyjął obu posłów ze wzruszeniem widocznym i silnym załopotaniem. Ubolewał nad tym, co się stało, usprawiedliwiał się, że nie dał rozkazu do strzelania, że generał, który to zrobił, będzie surowo ukarany; że, będąc sam przekonany o niewinności zabitych, dozwala na urządzenie ich pogrzebu, zastrzegając tylko, by to nie dało powodu do nowych rozruchów, że za nie uczyniłby odpowiedzialnym p. Andrzeja. Przeskakując z przedmiotu na przedmiot, znów zapewniał, że nie on kazał strzelać. „Ja panom powiem, mówił, jakie wydałem rozkazy. Oto poleciłem komendantowi cytadeli, aby jej nie wydawał nawet wtedy, gdybym mu na to wyraźny rozkaz przesłał”²¹. Wygłosivszy to osobliwsze w okolicznościach ówczesnych wyznanie, znowu się

20 W książce „Porozbiorowe aspiracje polityczne narodu polskiego” (str. 229) znajdujemy wiadomość, że sam namiestnik wezwał do siebie przez wysłanego umyślnie kozaka pp. Zamoyskiego i Ostrowskiego. Sprawdziliśmy tę wiadomość i przekonaliśmy się, że jest fałszywą. Gorczakow wcale w ów wieczór nie wzywał do siebie tych panów, ale oni do niego poszli jako przedstawiciele Towarzystwa rolniczego.

21 Według innej relacji współczesnej, Gorczakow miał powiedzieć: „czy mię bierzecie panowie za Austryjaka? Dałem tylko jeden rozkaz, niewydawania cytadeli, nawet wskutek polecenia przeze mnie podpisanego”. (Me prenez-vous pour un Autrichien? Je n'ai donné qu'un seul ordre, celui de ne pas vous livrer la citadelle, même sur une injonction signée de ma main”.

począł uniewinniać, obiecywał zarządzić śledztwo, ale o adresie mówić sobie nawet nie dał. Zamoyski przez cały czas tych pertraktacji był chłodny, sztywny, i gdy Gorczakow w jednym z paroksyzmów przestrawu, w gorącej chęci załatwienia wszystkiego na drodze spokojnej, radził go się, co by miał czynić, hrabia polski odrzekł z lodowatą flegmą angielską: „opuścić kraj” (*allez-vous en*)²². W rezultacie nie uzyskawszy nic, prócz obietnic nieokreślonych i ubolewań, Zamoyski wrócił zmęczony i zniechęcony misją, której nie aprobował, do oczekujących go niecierpliwie w jego pałacu, członków Towarzystwa.

Wśród tego wszystkiego, gdy pierwsze usiłowanie Klemensowczyków chwycenia inicjatywy w ręce, rozbiło się o niechęć z jednej strony Zamoyskiego, o odmowę Gorczakowa z drugiej, w resursie kupieckiej na ulicy Senatorskiej odbywało się inne zgromadzenie, daleko liczniejsze i burzliwsze. Zeszli się tam przede wszystkim wybrani wczoraj w cukierni Kontiego, delegaci do napisania adresu, zeszli się członkowie resursy, bogata burżuazja warszawska, zeszło się mnóstwo innych osób, czujących potrzebę naradzenia się i nakreślenia jakiegoś programu postępowania w tym chaosie wypadków okropnych i nieprzewidywanych. Biegł tam zresztą kto chciał i kto tylko mógł. Zebrało się przeszło pięćset osób, między innymi Karol Ruprecht, skazany w r. 1846 na śmierć i z pod szubienicy ułaskawiony, męczennik w kopalniach nerczyńskich, wrócony do kraju za amnestią; znalazł się Jurgens, Majewski, Agaton Giller i mnóstwo innych²³. Zrazu w tem zebraniu panował nieład ogromny, wszyscy chcieli mówić, umysły się gorączkowały, serca paliły, namiętności wrzały. Powoli jednak, po długich sporach, na wniosek Kronenberga stanęło na tem, żeby wybrać kilkunastu ludzi, jako mandataryuszów miasta i im powierzyć obmyślenie i wykonanie środków, jakie uznają za stosowne i odpowiednie w obecnych okolicznościach. Propozycję tę przyjęto i po godzinie 8-ej wieczorem, w dolnej sali resursy przez aklamację wybrano tak zwaną: delegację miasta. Do delegacji tej Weszły najprzód osoby, które zaproponowano wczoro-

22 Tak opowiada Lisicki (*Le marquis Wielopolski*, II, 139); w liście jednak, jaki w d. 12 Listopada 1861 r. opublikował w dziennikach francuzkich generał Władysław hr. Zamoyski, a który to list podał także „*Demokrata polski*” z d. 23 t. m. i r. słowa pana Andrzeja i cała rozmowa jego z ks. Gorczakowem inaczej nieco brzmi. Namiestnik miał powiedzieć: „bijmy się, dostarczę wam broni” — na co Zamoyski odrzekł: „nie gości księżę, nie będziemy się bili. Możecie nas zabijać, jak to już zrobiliście; lecz jeżeli kraj opuścicie, jako nie będący Polakami, wówczas mieć będziecie pokój. Wówczas my zapomnimy naszych krzywd, i cesarz, jako król, będzie mógł przybyć dla odebrania hołdu naszego”. Relacja ta, jakkolwiek pochodzi ze źródła dobrego, jest wątpliwą.

23 Berg (*Zapiski*, 204) powiada, że Leopold Kronenberg kazał przynieść wszelkiego rodzaju napojów i cygar i ugaszczał zgromadzonych. Wiadomość ta, jakkolwiek małego znaczenia, jest jednak fałszywą.

raj w cukierni Kontiego, i dodano im kilku innych, wybitniejszych notablów miejskich z tym celem, żeby każdy stan był w delegacji reprezentowany.

Na reprezentanta rzemieślników wzięto starszego cechu szewców, Hiszpańskiego²⁴. Wybrani więc zostali od stanu duchownego księża: Józef Wyszynski i Józef Stecki; od właścicieli domów: Jakub Piotrowski; od dziennikarzy i literatów: Józef Ignacy Kraszewski i Józef Kenig; od stanu wojskowego: generał Józef Lewiński; od przemysłowców i kupców: bankier Leopold Kronenberg, Matyas Rosen, Ksawery Szlenkier, fotograf Karol Beyer; od lekarzy: doktor Tytus Chałubiński; od prawników: adwokat August Trzetrzewiński; od rzemieślników: szewc Stanisław Hiszpański; od żydów: rabin Mayzels, ogółem czternaście osób.

W tem ściślejsem kole trzynastu osób, bo Kronenberg pojechał do Zamoyskiego, gdzie wiedziano, że odbywało się posiedzenie szlachty, rozpoczęły się narady już nieco porządniejsze i sforniejsze, choć ciągle nie wiedziano, czego się chwycić i jak postąpić. W rezultacie stanęło na tem, że trzeba wysłać do namiestnika deputację, któraby przedstawiła wielkorządcy całą grozę napaści wojska na bezbronnych, żądała śledztwa w celu rozpatrzenia postępków generała Zabołockiego i w końcu prosiła o pozwolenie podania adresu do cesarza. Ponieważ już było późno, rozmyślano nad tem, kiedy wysłać tę deputację. Jeden z obecnych zrobił uwagę, że należy korzystać ze świeżego wrażenia, że we wstrząśnieniach politycznych kilkanaście godzin wiele znaczy i odmienić może zupełnie położenie, że jeżeli deputacji Gorczakow dziś nie przyjmie, to zostanie jej zawsze możliwość udania się nazajutrz do Zamku.

Przyznano słusność tym uwagom i z pomiędzy trzynastu delegatów wybrano ośmiu deputowanych, mianowicie: Szlenkiera, Chałubińskiego, ks. Steckiego, Jakuba Piotrowskiego, Beyera, Trzetrzewińskiego, Mayzelsa i Hiszpańskiego²⁵.

24 Hiszpański był dobrze znany w kołach Millenerów, w których program wchodziło podniesienie rzemieślników i obudzenie w nich uczuć polskich. Na wybór szewca wpłynęła może także tradycja Kilińskiego. W r. 1858, lub w początkach 1859, z inicjatywy Narcyzy Żmichowskiej i Jurgensa, utworzyło się w Warszawie stowarzyszenie, mające na celu rozszerzanie w masach oświaty. Zbierało ono składki, udzielało funduszy młodzieży ubogiej i pragnącej się kształcić, wysyłało nawet niektórych zagranicę, dopomagało przy zakładaniu szkółek wiejskich i t. p. Do stowarzyszenia tego należał także Hiszpański, który tym sposobem samo przez się niejako, został teraz w delegacji reprezentantem klasy rzemieślniczej.

25 Kto należał do deputacji zachodzą najrozmaitsze sprzeczności w relacjach. Większość pisarzy pomieszała delegacją z czternastu osób, wybraną z chaotycznego zgromadzenia w resursie, w celu spokojniejszego zastanowienia się nad tem, co czynić należy, z deputacją do namiestnika, wybraną z pośrodku tych 14 osób. Co do liczby delegatów (ośmiu) nie ma wątpliwości, ale zachodzą wątpliwości co do ich nazwisk. Giller w swych „Dziejach

Była godzina jedenaście w nocy, gdy delegaci ruszyli do księcia namiestnika, ubrani tak jak chodzili po ulicy, w surdutach, w kurtkach, w czym kto był. Jechali nie bez pewnej obawy, gdyż powszechne było przekonanie, że więcej nie wrócą do resursy, tylko od razu z Zamku przewiozą ich na mieszkanie do cytadeli. Przed Zamkiem jadących w dwóch dorożkach deputatów, zatrzymali kozacy, a wkrótce zjawił się oficer dyżurny Fenshawe, ten sam, co dziś rano dowodził kompanią, rozpędzając lud na Krakowskim Przedmieściu, i zapytał po francusku. „kto są i po co przybyli? Posłowie oświadczyli, że są deputacją od obywateli miasta i chcą się widzieć z namiestnikiem. Fenshawe przez chwilę wahał się, w końcu jednak poszedł z doniesieniem o tem do księcia. Ten kazał deputatów przyjąć.

Wprowadzono ich do małej sali przed gabinetem Gorczakowa, sali źle oświetlonej przez dwie lampy i pełnej posępnych, mrocznych cieni, tłukących się po kątach. Do niespokojnych ciągle deputatów, wyszedł generał Kotzebue, porozmawiał trochę na osobności ze Szlenkierem i cofnął się do gabinetu namiestnika. Ten zjawił się nakoniec chmurny, widocznie wzruszony i stanął opierając się o poręcz krzesła, mając po swej prawej niskiego generała Kotzebue, po lewej opasłego, brzydkiego jak noc Muchanowa.

Deputaci ustawili się rzędem; u okna stał Szlenkier, potem Chałubiński i ks. Stecki. Z tyłu za nimi pomieścili się inni, a szewc Hiszpański został we drzwiach. Nikt z tych mieszczuchów, zajętych pracą na chleb, nie mówił dobrze po francuzku, więc odzywali się jak mogli, po polsku, po niemiecku i nakoniec kiepską, łataną francuzczyzną. Gorczakow wszedłszy rzekł tonem ostrym: „malheur est arrive!” (nieszczęście się stało). Na to pierwszy Szlenkier głosem podniesionym i energicznym zawołał: „grand malheur!” (wielkie nieszczęście!). Słowa te zmieszły namiestnika, zmienił zaraz ton i zapytał, czegoby deputacja od niego chciała? Wówczas Szlenkier tym samym podniesionym głosem, w którym czuć było nutę silnego, namiętnego rozdrażnienia, zawołał, że przychodzą tutaj pełni boleści, żeby wyrazić zgrozę nad wypadkami dnia dzisiejszego, że popłynęła krew niewinnych i spokojnych obywateli, że religia jest obrażona, znieważony krzyż i kapłani zelżeni, że lud nie ma wiary w rząd, że policya, bagnety i żandarmi dzisiaj Warszawy nie zastraszą. Zakończył słowami: „waszej książęcej mości złe dają rady”²⁶.

delegacyi” (p.86) twierdzi, że wybrano: Szlenkiera, Piotrowskiego, Rosena, Chałubińskiego, Keniga, Bayera i Steckiego, czyli 7 osób, choć sam zaraz mówi, że „delegaci w liczbie ośmiu siedli do dwóch dorożek”. Nasze poszukiwania przekonały nas, że Kenig nie brał udziału w deputacji, a natomiast byli tam rabin Mayzels i szewc Hiszpański.

26 Obiegała wówczas po Warszawie w licznych odpisach mowa Szlenkiera. Z jej formy i tonu łatwo poznać, że był to utwór późniejszy, zredagowany w tym stylu napuszonego patosu, tak ulubionego przez czytelników tej epoki. „Mości książę, miał mówić Szlenkier, ze skrwawionem i boleścią przepelnionem sercem, stawa deputacja obywatelska miasta

Za nim odezwał się Chałubiński, potem inni w tym samym tonie rozdrażnionym, co, jak opowiada jeden z deputatów, „największy efekt zrobiło”. Gorczakow odpowiadał tonem miękkim, czuć było w jego słowach chęć zatarcia, załagodzenia sprawy. Rozpoczęła się formalna pogawędka. Muchanow się w nią wmięszał, usiłował stanąć na stopie przyjacielskiej z delegatami, rozmawiał z każdym po kolei jak najgrzeczniej i najuprzejmiej. Powoli do sali, w której toczyły się te rozprawy, wsunęli się na palcach: generał Paniutyn, Bebutow, prezydent miasta Andrault, Karnicki sekretarz stanu, Enoch i inni. W milczeniu przysłuchiwali się oni rozmowie, z wielu względów nader interesującej. Namiestnik utrzymywał, iż wszystko stało się przez pomyłkę, przez źle zrozumiane rozkazy, że komisya specjalna rozpatrzy, kto winien, a kto nie winien. Hiszpański, który także wysunął się ze swego stanowiska przy drzwiach, dorzucił od siebie parę słów po polsku. Obiegała wówczas po mieście pogłoska, że w chwili, gdy procesya z ulicy Świętojańskiej wysunęła się na plac Zygmunta, i kozacy stali w niepewności, co mają robić, Gorczakow patrzący na to z okien Zamku, dał znak chustką i wówczas czerkiesi rzucili się na ludność z batami. Otóż Hiszpański, zaznaczając za innymi wielkie wzburzenie umysłów, panujące w mieście, wspomniał o tej chustce i o biciu ludności „jak bydła”. Gorczakow popatrzał na niego i nic nie odrzekł, ale po jego twarzy znać było, że uwagę tę przyjął dość niechętnie²⁷.

przed Waszą księżęcą Mością, aby jej wyrazić zgrozę i boleść nad wypadkami dnia dzisiejszego. Krew popłynęła niewinnych i spokojnych obywateli. Religia obrażona w znieważeniu Krzyża Ś-go i zelzeniu kapłanów, lud zraniony w najświętszych swych prawach, nie ma wiary w rząd, bo widzi się zdradzonym, ma bowiem to przekonanie, że rozkazy Waszej księżęcej Mości, w wypadkach poniedziałkowych i dzisiejszych przekroczone zostały. W takich okolicznościach, jesteśmy upoważnieni żądać od W. ks. Mości natychmiastowego śledztwa winnych, ukarania wedle prawa generała Zabołockoj (sic), który wydał rozkaz strzelania na lud bezbronny bez uprzedzenia go; natychmiastowego oddalenia z urzędu policmajstra pułkownika Trepow, który stracił u ludu wszelką popularność i stał się niemożliwym. On, jako naczelnik policji, powinien był zapobiedz wypadkom d. 25 Lutego; gdy tego nie uczynił, dowiódł nieudolności, a co gorzej złej woli i niecnych zamiarów. W. ks. Mości źle radzą; prezydent miasta powinien znać usposobienie mieszkańców i odradzać księciu użycie tak gwałtownych środków, które tyle nieszczęść i ofiar sprowadziły. Nie sądz W. ks. M., że policya, żandarmi i bagnety dziś lud zastraszą. Lud przedewszystkiem wiarę w rząd mieć powinien. Dziś, kiedy w krwi niewinnych ofiar maczał białe chustki, jako symbol niewinności i zemsty, z radością męczeńską nadstawi swe obnażone piersi na kule i bagnety, bo widział kapłanów swych w czasie obchodu świętego bitych knutem, a krzyż Ś-ty, symbol jego wiary porąbany i znieważony. Tak, księżę! i my mamy Boga w niebie, który nas sądzi, a ludy ucywilizowane patrzą z boleścią na naród nieszczęśliwy i jego rząd, który do niewinnych i bezbronnych strzela”.

27 Opowiadają, co i Berg w swych „Zapiskach” powtarza, że Hiszpański na słowa Gorczakowa, że to, co się stało, stało się przez pomyłkę, miał rzec: „ja, mości księżę, jestem szew-

Słowa te i inne jeszcze, które kładziono na karb Hiszpańskiego, rozeszły się po Warszawie i zjednały mu popularność ogromną. Widziano w nim drugiego Kilińskiego. Fotografie jego, na których był przedstawiony siedzącym przy warsztacie, w fartuchu, z rękami obnażonymi, z głową energiczną, kędzierzawą, krótko strzyżonym wąsem, rozchodziły się tysiącami i fotograf Bayer nie mógł ich nastarczyć. Sam Gorczakow miał go nazywać „maleńkim Cavourem”.

Rezultat tych rozmów i pobytu deputacy w Zamku, właściwie do niczego nie doprowadził, chyba tylko do tego, że w umyśle namiestnika obudził większą jeszcze obawę i niepewność.

Delegaci, rozplływając się w skargach i żalach nad wypadkami, które zalały krwią bruk warszawski, sami właściwie nie wiedzieli, czego chcą. W rozdrażnieniu namiętnem przeciw Trepowowi, który, szczerze mówiąc, nic tu nie był winien, i przeciw Zabołockiemu, który, działając bez rozkazu, popełnił występki godzien kary surowej, domagali się, by pierwszy został oddalony z urzędu oberpolicmajstra, drugi zaś był pod sąd oddany. Namiestnik odrzucił te żądania, a lęklivych napomknien niektórych delegatów o adresie do cesarza, słuhać nawet nie chciał.

Skończyło się po całogodzinnych sporach, wśród których Gorczakow był raz surowy, groźny, chmurny i gniewny, to znów łaskawy, grzeczny, uprzedzający, na tem, że się wyżalono do syta i że żalów tych przedstawiciel władzy rosyjskiej wysłuchał, owszem, żegnając się z delegacją, wyrzekł: „przy pierwszym zbiegowisku na ulicy, on ukaże się osobiście i skarg wysłucha”²⁸.

cem i mam warsztat z czeladzią; jeżeli z mego warsztatu wyjdą złe buty, nikt nie będzie mówił, że to czeladnik winien, ale majster Hiszpański”. „Więc według ciebie, odezwał się na to Gorczakow z uśmiechem, ja jestem winien?” — „Tak, mości książę”. Anegdota ta jednak nie ma w sobie ani krzty prawdy. Jest ona jedną z tych, jakich dziesiątki obiegały po mieście na rachunek Hiszpańskiego, z którego chciano koniecznie stworzyć nowego Kilińskiego.

28 Twierdzenie Berga (Zapiski, 209), jakoby delegaci przedstawili namiestnikowi sześć punktów swoich wymagań i otrzymali na nie przyzwolenie, nie jest prawdziwym. Owe punkta miały być tak sformułowane: 1) pogrzeb uroczysty ofiar poległych; 2) usunięcie wojska i policyi podczas pogrzebu; 3) zatwierdzenie wybranej przez miasto delegacyi, aż do ukończenia pogrzebu; 4) naznaczenie w miejsce Trepowa na oberpolicmajstra generała Paulucci; 5) uwolnienie wszystkich aresztowanych; 6) pozwolenie, by osobna deputacya udała się do Petersburga dla wręczenia cesarzowi adresu. Twierdzeniu temu Berga sprzeciwia się najprzód ta okoliczność, że na sformułowanie tego rodzaju żądań, wyglądających na owoc długich rozmyślań, wprost nie było czasu. Zebrani w resursie koło godz. 9-tej już o 11-tej byli u namiestnika i w chaosie wrażeń, ogarniających wszystkich, nie było po prostu kiedy zastanawiać się i układać żądania. Delegaci pojechali, by się skarżyć, domagać się przerwania gwałtów wojskowych, usunięcia Trepowa, ukarania Zabołockiego i pozwo-

Bytność wszelako delegacyi, jej ton rozdrażniony, słowa bolesnej skargi, wywarły silne wrażenie na miękkie i dobre serce Gorczakowa. W swej prawości charakteru, we wstręcie słowiańskim do rozlewu krwi, zdawało mu się, że ta krew spada na jego głowę. Do tego przyłączyły się jeszcze inne względy. Rozruchy w Polsce były nie na rękę dla Rosyi, tak z powodu spraw wewnętrznych jak i zewnętrznych. Wielka reforma włościańska wymagała spokoju, a prowadzące się właśnie rokowania z Napoleonem III w przedmiocie przymerza z Francją, mogły być rozerwane przez niepokoje nad Wisłą, podnieść kwestyą polską.

Wszystko to wpłynęło tak na Gorczakowa, że chwiał się i stracił głowę. Po odejściu delegacyi biegął wzburzony po komnatach zamkowych, chwycił się za głowę i do otaczających go doradców swoich wołał: „donnez moi refléchir” (pozwólcie mi się zastanowić). Wreszcie po długiej rozterce wewnętrznej, mówiąc o Trepowie i Zabołockim, wyraził się: „il faut les sacrifier” (trzeba ich poświęcić), to znaczy ustąpić żądaniom delegatów.

Powziąwszy to postanowienie, wykonał je natychmiast w gorącej żądzy uspokojenia miasta. Około godziny 1-ej po północy przez adjutanta swego, barona Meyendorfa, zawiadomił prezydenta miasta Andraulta, że Trepow zostanie usunięty, a na jego miejsce mianowany będzie pułkownik Demoncal, naczelnik straży ogniowej. Andrault posłał po kilku deputatów i objawił im wolę namiestnika. Ale deputaci, zdaje się, przez tę parę godzin urosli w moc i znaczenie; widząc, że władza ustępuje, że się waha, cofa, postanowili ze swej strony nie robić żadnych ustępstw, stać przy swoim, domagać się spełnienia swych żądań coraz natarczywiej. Odrzekli więc prezydentowi, że oni koniecznie proszą o nominowanie na oberpolicmajstra generała Paulucci; Demoncal jest dla Warszawy osobistością nową, nieznaną, obcą, nie mogącą jeszcze wzbudzać zaufania. Niech więc pan prezydent raczy jechać do księcia i przedstawić mu te żądania delegacyi. Prezydent pojechał i Gorczakow ustąpił. Ale że rozkaz co do Demoncala już został wydany i nie wypadało go zmieniać, więc wymyślono dla Paulucciego nowy tytuł „zawiadującego naczelnie policją warszawską” i postawiono go wyżej ponad oberpolicmajstrem²⁹.

lenia przesłania adresu, który był na ustach wszystkich i który agitował się od kilku dni. Namiestnik jednak na to wszystko się nie zgodził, jak zresztą świadczy najlepsze źródło, list Bayera cytowany u Lisickiego, gdzie wyraźnie czytamy: „nie otrzymaliśmy nic, dopiero później poświęcono nam pułkownika Trepowa i innych dygnitarzy”. Uwagi te odnoszą się także do A. Gillera, który w swej rozprawie „Dzieje delegacyi warszawskiej” utrzymuje, że namiestnik od razu ustąpił.

²⁹ Co do deputacyi i co do sposobu uzyskania przez nią wymienionego w tekście ustępstwa zachodzą także różne sprzeczności w relacjach, jakie posiadamy. Berg utrzymuje, że oprócz Fijałkowskiego, Zamoyskiego i deputacyi miejskiej, był jeszcze w Zamku Tomasz

Powrót deputatów miejskich powitany był przez oczekujących w resursie okrzykami łatwo dającej się pojąć radości. Wysyłając deputacyą, większość była przekonana, że ich nie ujrzy więcej, nikt się nie spodziewał, by namiestnik skarg ich chciał wysłuchać; znano przecież rząd rosyjski i wiedziano, co o nim trzymać należy. Tymczasem stało się to, czego nawet w marzeniach nie przypuszczano; rozlana krew na bruku warszawskim, zdawało się, że zamroczyła władze rosyjskie. „Krew jest dziwny sok” — powiada poeta, - i istotnie, w zastosowaniu do wypadków warszawskich, orzeczenie to jest najzupełniej prawdziwem. Wróciła więc deputacya wśród okrzyków radości do resursy, wśród niesłychanie wysoko podniesionej temperatury entuzjazmu.

Podczas gdy tak cieszący się w resursie, Szlenkier, Kronenberg i Chałubiński udali się do pałacu Zamoyskiego i uwiadomili zebraną tam szlachtę o rezultacie swej bytności w Zamku. Jakkolwiek atoli deputaci miejscy mogli się słusznie szczycić swem śmiałym wystąpieniem, przecież najważniejsza kwestya, kwestya adresu nie była załatwiona. A adres bądź co bądź postanowiono podać. W celu więc wyjednania pozwolenia na to u Gorczakowa Komitet Towarzystwa rolniczego postanowił jeszcze raz wysłać od siebie delegacyą do Zamku. Mówiono, że to, co uzyskała deputacya miejska świadczy, iż namiestnik gotów jest do ustępstw, że jest w widocznej obawie, że należy żelazo kuć póki gorące. Zamoyski, jak zwykle, zgodził się na zdanie większości, i choć była już godzina 12 w nocy, wysłano wiceprezesa Towarzystwa, Ostrowskiego, i dwóch członków: Ludwika Górskiego i Henryka Potockiego, właściciela Chrzastowa pod Koniecznem. Gorczakow jeszcze czuwał i nie odmówił posłuchania tej nowej deputacyi. Rozmowa była bardzo żywa i gorąca. Deputowani starali się przekonać namiestnika, że tylko pewność, iż adres zostanie przyjęty, że głos kraju dojdzie do tronu, może umysły uspokoić. Zaklinali Gorczakowa, by nie stawał między tronem i narodem. Henryk Potocki, człowiek wrażliwy i mocno rozgorączkowany wypadkami tego dnia, uniósł się wobec oporu namiestnika. Mówił wiele, tonem podniesionym i nie obwijał niczego w bawełnę. Między innymi rzekł, że herb Gorczakowów dotąd był

Potocki i nagadać miał namiestnikowi niesłychanych rzeczy, zachowywał się szorstko i wyniosłe. Jest to oczywista pomyłka. Pomięszał historyk rosyjski Tomasza z Henrykiem Potockim, który, jak to zaraz zobaczymy, jeździł do Zamku w trzeciej z kolei tacyi. Potem, opowiada dalej Berg, miały być różne deputacye miejskie, ale jakie? nie wymienia. W jednej z nich jakiś wysokiego wzrostu delegat miał powiedzieć do namiestnika: „że cech rzeźniczy gotów jest uderzyć zaraz na wasze działa, i jutro, jeżeli ciała świętych ofiar nie zostaną miastu oddane, dla ich uroczystego pochowania, będziecie brodzili w naszej krwi po kolana”. Cała ta tyrada, ze stylizacyi podobna do apokryficznej mowy Szlenkiera, wydaje nam się podejrzaną choćby dlatego, że nie potrzeba było żądać wydania ciał poległych, kiedy te ciała były w ręku miasta.

czysty, nie było na nim plam od krwi kobiet i dzieci, że dopiero od dnia dzisiejszego taką krwią się zalał. Słowa te wywarły na namiestnika wrażenie bardzo silne, miękkł widocznie, przyznał słuszność uwagom deputatów, jednakże obawa przed tem, co powie na przyjęcie adresu Petersburg, przemogła, i nie dał przyrzeczenia stanowczego. Deputaci jednak z rozmowy tej wynieśli takie przekonanie, że Gorczakow przy nowym nacisku adres w końcu przyjmie.

Na skutek tego, gdy wrócili do swych mandataryuszów, zajęto się zaraz, tej samej nocy, sprawą adresu. Rzecz była pierwszorzędnego znaczenia i doniosłości i wymagała zastanowienia głębokiego. Pomimo tego, że szlachta ostatecznie wyjednała pozwolenie złożenia adresu, gdy przysłała wiadomość o zebraniu mieszczańskim w resursie i o tem, jakie deputacja jego zdobyła ustępstwa na Gorczakowie, postanowiono też mieszczaństwo zaprosić do redakcyi adresu. Zamoyski z pomiędzy zgromadzonej u siebie szlachty wybrał czterech członków Komitetu Towarzystwa i tyluż znakomitszych obywateli ziemskich do komisji redakcyjnej, a uwiadomiona o tem resursa przysłała od siebie do tejsze komisji generała Lewińskiego, Szlenkiera, Dla Chałubińskiego i Kronenberga. Projektów do adresu było mnóstwo, ale najważniejszy z pomiędzy nich był przyniesiony przez Tomasza hr. Potockiego, członka rzeczowej komisji, adres margrabiego Wielopolskiego.

O istnieniu tego adresu większość członków komisji redakcyjnej wiedziała dobrze. Wielopolski bowiem, pomimo niepowodzenia, jakiego doznał u Komitetu Towarzystwa rolniczego w roku zeszłym jego projekt podania adresu do cesarza³⁰, nie przestał myśleć o losach kraju, o wyzyskaniu szczęśliwego i mogącego się już nigdy nie powtórzyć zbiegu okoliczności. Zniechęcony był jednakże mocno, widząc, jak jego usiłowania rozbijają się o upór i zacietrzewienie marzycieli, nie rachujących się wcale z położeniem rzeczy. Gdy więc

30 W dziele niemieckiem p. t. „Die polnischen Aufstände seit 1830 in ihrem Zusammenhange mit den internationalen Umsturzbestrebungen”, napisanem na podstawie materiałów archiwalnych przez majora pruskiego, Emila Knorra (Berlin 1880), w dodatkach napotyamy pod No 38 akt, zatytułowany: „Memoryał margrabiego Wielopolskiego do księcia Gorczakowa (zima 1860 r.)”. Akt ten nie jest wcale dziełem Wielopolskiego, ale znanego nam już Michała Łempickiego, o którego memoryale, przesłanym cesarzowi, pisaliśmy już we właściwym miejscu (patrz Tom I, str. 229). Memoryał niniejszy, drugi z rządu i podobnie jak pierwszy nie posiadający wybitnego znaczenia historycznego, gdyż jest do pewnego stopnia osobistym poglądem osoby prywatnej na stan polityczny Europy, pisany był do kanclerza państwa, ks. Gorczakowa i podany na ręce namiestnika. Na jakiej podstawie Knorr przypisuje go Wielopolskiemu, nie wiemy. Prawdopodobnie dokument ten nie został przesłany gdzie należy i utonął w kancelaryi namiestnikowskiej, z której potem, między innymi papierami, dostał się, z rozkazu namiestnika Teodora Berga, Knorowi. Memoryał ten, według autentycznego, oryginalnego rękopismu, pomieszczamy poniżej w zbiorze dokumentów pod No II-gim.

na parę tygodni przed ogólnym zebraniem Towarzystwa rolniczego, w połowie Lutego 1861 r., gdy Czerwoni i tryumwirat gotował się do urządzenia olbrzymiej manifestacji, zjechał do Chrobrza najstarszy syn Wielopolskiego, Zygmunt, i przedstawił ojcu sytuacją kraju, a nadewszystko Warszawy, zrazu ten nie chciał się do niczego mieszać. Na próżno syn mówił mu o wrzeniu umysłów, o podziemnem, tajemniczem parciu rewolucjonistów wszelkiego pokroju, o potrzebie ujęcia w pewne karby ruchu, który ostatecznie zagraża powstaniem, margrabia znużony odrzucił wszelkie projekta.

Zygmunt Wielopolski chciał, aby ojciec jechał do Warszawy i wziął czynny udział w rozwijających się sprawach krajowych. Margrabia, jakkolwiek oddawna przygotowany na chwilę wystąpienia publicznego, jakkolwiek cały plan tego wystąpienia obmyślił w najdrobniejszych szczegółach przez długie, samotne godziny swego pobytu na wsi, lecz zrażony w życiu niejednokrotnie, składał czynność polityczną na innych, zwłaszcza na Andrzeja Zamoyskiego, którego niezmiernie wpływowe stanowisko widział dobrze i oceniał jak należy, którego, pomimo pewnej niechęci osobistej, może nawet zazdrości, szanował wysoko i uważał za człowieka zdolnego i obdarzonego wyższą inteligencją. Wiedział o swej niepopularności w kraju, którą proces Świdzińskich, umiejętnie wyzyskany przez nieprzyjaciół, doprowadził do wysokiego stopnia, i rozumiał to dobrze, że w tym stanie umysłów, wystąpienie jego zagrożonem jest bezwarunkowo niepowodzeniem, a niepowodzenie w tej chwili jego ulubiony, wypiastrzony w potężnej tej inteligencji plan działania zrujnowałoby na długo, może na zawsze.

Wobec tego syn przedstawił mu taki projekt. Zamiast od razu jechać do Warszawy i narażać się tam na fiasco, on, Zygmunt, uda się do Krakowa i porozumie się z pewną grupą osób, o których wpływie na Zamoyskiego i Klemensowczyków wiadano dobrze. Po lekkim wahaniu margrabia zgodził się na ten pomysł. Zygmunt więc pojedzie do Krakowa i jeżeli przywiezie zgodzenie się na program ojca kilku osób, które mu wskazał, a z którymi łączyły go dawne węzły przyjaźni czy stosunków, to on, margrabia, natychmiast puści się do Warszawy i rozpocznie działanie polityczne już na wielką skalę. Zygmunt więc wyjechał, porozumiał się z Adamem hr. Potockim z Krzeszowic, z księciem Jerzym Lubomirskim, człowiekiem bardzo rozumnym i bardzo trzeźwym w swych poglądach na sprawy kraju; z Maurycym Mannem, redaktorem „Czasu”, jako kierownikiem pisma nader stosunkowo rozpowszechnionego w całej dawnej Polsce; z Pawłem Popielem, pochodzącym z Kurozwęk, sąsiadujących z Chrobrzem, człowiekiem nader wpływowym i inteligentnym, mającym swe znaczenie we wzmiankowanej redakcyi; nakoniec z dziennikarzami: Lucyanem Siemieńskim i Szukiewiczem. Wszyscy oni podzielili po-

głądy Wielopolskiego na położenie kraju, na potrzebę okiełznania budzącej się hydry rewolucyjnej, i obiecali jak najsolennie, że na oznaczony czas, t. j. z chwilą rozpoczęcia się posiedzeń Towarzystwa rolniczego zjadą do Warszawy i margrabiemu użyczą całego swego poparcia. Mając takie zapewnienie i nie czując się już osamotnionym, Wielopolski wyruszył dnia 17 Lutego do Warszawy.

Jakiż był w tej chwili program działania ordynata chroberskiego? Jedyń sposob ujęcia w karby ruchu rewolucyjnego, który, dążąc do powstania, mógł narazić kraj na straszną klęskę, na nieobliczone a zawsze zgubne następstwa, było wyjednanie na drodze legalnej koniecznych reform, przywrócenie, jeżeli już nie konstytucji 1815 roku, to przynajmniej Statutu organicznego, nadanego przez Mikołaja i nigdy nie wprowadzonego w życie. W braku jednak wszelkiego organu, za pośrednictwem którego mogły dojść do tronu życzenia kraju, trzeba było wystąpić z adresem podpisanym przez wszystkich, najwybitniejszych obywateli. Adresu tego podać nie mógł ani Wielopolski, ani Zamoyski, ani nikt, gdyż wobec przepisów obowiązujących, byłoby to wystąpieniem nielegalnym; nie mogło również podać Towarzystwo rolnicze, bo do tego nie miało żadnego prawa, nie skorzystawszy w przeszłym roku z jedynej szczęśliwej sposobności, gdy mu pozwolono zajmować się sprawą włościańską i gdy to pozwolenie dawało mu podstawę do wystąpienia z adresem. Takim było położenie kraju, tak rządy Mikołaja i Paskiewicza starły w nim wszelką reprezentacją, że chcąc zachować konieczny warunek powodzenia, legalność wobec rządu, trzeba było uciekać się do wybiegów, do subtelności dyplomatycznych, by móżd odezwać się do tronu. Taki wybieg, taki punkt wyjścia, zdawało się Wielopolskiemu, że znalazł w tym fakcie, że w r. 1856 cesarz, będąc po raz pierwszy po swem na tron wstąpieniu w Warszawie, przyjmował w Łazienkach szlachtę jako korporację. Jeżeli więc cesarz uznaje szlachtę polską jako pewne ciało, reprezentujące kraj, ciało, do którego mówił i przed którym rozwijał swój program rządzenia Polską, to trzeba, żeby teraz adres był podany nie od Towarzystwa rolniczego, ale od tej szlachty jako korporacji. Ten punkt wyjścia, przyznać należy, był bardzo subtelny, głęboko obmyślany i miał pewne pozory legalności, ale tylko pozory. Pominąwszy już to, że w oczach rządu rosyjskiego szlachta polska nie przedstawiała żadnej uorganizowanej korporacji, to z drugiej strony nie było w Królestwie ani jednego ciała społecznego, które by miało prawo bezpośrednio i kollektywnie odzywać się do tego rządu. Bądź co bądź jednak, punkt wyjścia był wynaleziony, a wynaleziony z wielką bystrością umysłu i nadawał on wystąpieniu z adresem pewne formy legalne, nie mógł uchodzić za bunt przeciw istnjącemu porządkowi rzeczy; dla margrabiego zaś przedstawiał tem większą wartość, że pomijał nienawistne mu

Towarzystwo rolnicze, strącał je z wyżyn kierownika nawy narodowej, bez którego nic dotąd zrobić się w kraju nie mogło.

Sam adres, Wielopolski jadąc do Warszawy, miał już gotowy. Treść jego w zasadzie nie różniła się od projektu, z jakim się nosił w r. 1856, redakcja tylko była nieco rozciąglejsza, zupełniejsza, bardziej dobitna. Zaczynając od tego, że panowanie cesarza Aleksandra II „wszyscy Polacy powitali z uczuciem nadziei, jako zwiastujące epokę łaski, ufności i pojednania”, przypomina słowa monarsze, wyrzeczone do szlachty w d. 27 Maja 1856 r. „o zachowaniu nadanych nam instytucyi”. „Wszakże, mówi dalej, od lat czterech władze Królestwa nie ziściły jeszcze uroczystych słów Waszej Cesarskiej Mości o instytucjach krajowych, a przewłoka ta zdawałaby się nieograniczenie przedłużać stan rzeczy tymczasowy, w jakim kraj pod względem swego prawa publicznego od lat trzydziestu zostaje”; zaznacza, że czuć się daje jak największy niedostatek „jakiego uprawnionego organu, za pomocą którego kraj byłby mocen wykonywać prawo nieocenione, z istoty rządów monarchicznych płynące, prawo niepożyte poddanych zbliżania się do swego władcy”; że niedostatkowi temu nie zaradza zaprowadzenie marszałków szlachty, „którzy samą już nazwą swego urzędu pozbawieni są mocy wyobrażania wszystkich klas społecznych”; prosi, by z uwagi na to, cesarz raczył wybaczyć nielegalność i niezwykłość tego kroku.

W dalszym ciągu napotykaemy w adresie znamiona wielkiej odwagi cywilnej i większego jeszcze rozumu politycznego. Mówi więc w tonie pełnym powagi, że jedyną spójnią między monarchą i narodem jest wobec tego konstytucja z 1815 r., przypomina wypadki 1831r. i woła, że „w prawości uczuć naszych, oraz w przekonaniu, że odpowiemy tem samem wzniosłym Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości widokom, rzucamy zasłonę na powody tego poruszenia; nastąpiła po nim trzydziestoletnia spokojna i cierpliwa uległość, w czasach gdzieindziej głębokimi wstrząśnieniami naznaczonych”; utrzymuje, że konstytucja 1815 r. Nie jest zniesiona, że manifest i Statut organiczny z r. 1832, „nie obejmują żadnego wyraźnego, ją uchylającego rozporządzenia”; rozbiera Senat i twierdzi, że „niewykonanie prawa zasadniczego z r. 1815 wszelkiej rękojmi nas pozbawia, niepokoi kraj, w prawach, dążeniach, uczuciach swoich dotknięty”.

Tak nakreśliwszy położenie kraju, przechodzi następnie kolejne potrzeby, jakim rząd winien zadośćuczynić. Potrzeby te zamknął: w spiesznem uregulowaniu za pomocą oczynszowania sprawy włościańskiej; w założeniu polskiej szkoły prawa a raczej uniwersytetu; w zniesieniu a przynajmniej ograniczeniu cenzury; w równouprawnieniu żydów. Kończy wspaniałą prośbą, by cesarz pamiętać raczył „na naszą dawną chwałę i nasze nieszczęścia”.

Adres ten w desideratach swoich bardzo niewiele się różnił od tego, jakiego domagali się od Towarzystwa rolniczego Czerwieńcy, a zwłaszcza Millenerzy, czyli mieszczaństwo warszawskie. Ono tak samo jak Wielopolski chciało ukończenia kwestyi włościańskiej, reformy wychowania publicznego, równouprawnienia żydów, i tam, gdzie margrabia chciał ograniczenia cenzury, żądało prawa wolnego stowarzyszania się w zakresie przedsiębiorstw ekonomicznych. Podstawy więc były te same i jest to jedno z bardzo ciekawych zaiste widowisk, że dwa stronnictwa (bo Wielopolski starczył sam jeden za całe stronnictwo), stojące tak daleko od siebie, na dwóch przeciwległych sobie krańcach, jak owe dwa bogi u Słowackiego, stojące na dwóch słońcach, w chwilowych pragnieniach swoich zeszyły się na jednym punkcie. Różnica głównie polegała na tem tylko, że margrabia poza temi żądaniami, których urzeczywistnienie uważał za rzecz nadzwyczaj pilną, w dalszych swoich aspiracjach nie sięgał poza Statut organiczny, w najlepszym razie poza konstytucyą 1815 r. Nie krył się z tem wcale, że jego pragnieniem, jego ideałem politycznym jest Polska taka, jaką utworzył kongres wiedeński; i otwarcie mówił, że gdyby to osiągnął, niczegoby więcej dla swej ojczyzny nie pragnął. W swoim pozytywnym, trzeźwym, realnym umyśle wszystko określał, przedstawiał ściśle i nie zostawiał nic niedomówionego, nie snuł żadnych marzeń.

Inaczej się rzecz miała z projektem Millenerów i z programem Czerwieńców. Ci, postawiwszy te same mniej więcej co Wielopolski żądania, jako potrzebę, która musi być najprzód załatwioną, dalsze swe pragnienia i aspiracje pokrywali milczeniem, każąc przez to przypuszczać, że niczego się nie wyrzekli, tak dobrze zupełnej niepodległości politycznej, jak i granicach 1772 r. Dlatego też adres Wielopolskiego nosił na sobie znamię wyższego, ściślego rozumu, liczył się z rzeczywistością i z drażliwością rządu, do którego się odzywał, i w innych czasach, w czasach, gdy głowy są spokojne, mózgi nie odurzone haszyszem fałszywego patryotyzmu, taki tylko adres byłby przyjęty i bezwarunkowo najskuteczniejszy.

Przyjechawszy do Warszawy, Wielopolski usiłował obznajmić z treścią swego adresu wybitniejszych członków Komitetu i samego Towarzystwa rolniczego. W jego mieszkaniu, w hotelu Angielskim przy ulicy Wierzbowej, odbywały się częste, prawie nieustanne narady, w których nieomal wszyscy członkowie Komitetu nie gremialnie, ale pojedynczo brali udział. Wielopolski mówił im, jak należy podać adres; że ma tego dokonać nie Towarzystwo rolnicze, ale szlachta jako korporacja; że należy go zanieść do namiestnika z podpisami, „choćby przyszło za to przespąć się w cytadeli”. Większość aprobowała myśl i sam adres, zgadzała się na niego, przyrzekała nawet poparcie, byli jednak i tacy, którzy, trzymając się ściśle taktyki przyjętej przez Komitet, że wszelki udział czynny

w sprawach publicznych był zależny od gremialnej decyzji Komitetu, wstrzymywali się z wygłaszaniem swego zdania przed „obcym”, jak mówili. Zamoyski wiedział o tych posiedzeniach w hotelu Angielskim, ale trzymał się od nich z daleka. On nie chciał adresu, nie chciał Polski wymodlonej lub wyproszonej, ale powstającej siłą własnej tęgości i dojrzałości.

Do mieszczaństwa, do Kronenberga, J. I. Kraszewskiego i innych udawał się z adresem syn margrabiego Zygmunt, czytał go i oświadczał, że jeżeli trzeba będzie, to on sam pojedzie z nim do Petersburga i wręczy go cesarzowi. Słuchano, chwalono, żądano zmian tu i owdzie, ale jak między Klemensowczykami, tak i u mieszczaństwa sprawę tę chłodno i z wyraźną powściągliwością traktowano.

Wielopolski był zanadto bystrym człowiekiem, by nie widział, że ostatecznie adres jego nie bardzo się podoba; że jeżeli wielu zgadza się na niego, to dlatego tylko, że nie widzą nic lepszego. Ci, którzy synowi jego w Krakowie przyrzekli, że przyjadą do Warszawy i poprą myśl ojca, nie zjawili się wcale, a wypadki szalonym pędem naprzód, i nakoniec wybuchła krwawa katastrofa dnia 27 Lutego, deputacye do Zamku, pozorne zgodzenie się namiestnika na podanie adresu, i wreszcie, późno w noc, debaty nad tym adresem u Zamoyskiego.

Wówczas to Tomasz hr. Potocki, wielki adorator Wielopolskiego i zwolennik jego adresu, osobistość nie bez wpływu na Komitet i samo Towarzystwo, kuzyn wreszcie margrabiego (którego żona Paulina była rodzoną siostrą Tomasza), posłał do hotelu Angielskiego z prośbą, by Wielopolski dał adres, a on, Potocki, odczyta go na zebraniu u Zamoyskiego i będzie się starał wyjednać jego przyjęcie. Wielopolski zrazu miał zamiar sam pojechać na rzeczne zebranie i dlatego też odrzekł posłowi, że „ja i mój adres jesteśmy nierozdzielni”, ale po pewnym namyśle, wiedząc o swej olbrzymiej niepopularności, dzięki której osobiste jego pojawienie się mogło stanowczo zaszkodzić adresowi, zgodził się na projekt Potockiego i pojechał do niego z adresem w kieszeni. Potocki, który miał u siebie kilku szlachty, przyjął margrabiego w innym pokoju, rozmówił się z nim krótko i ruszył na zebranie do Zamoyskiego, zostawiając u siebie margrabiego, który postanowił czekać na rezultat.

Adres Wielopolskiego w Komisji redakcyjnej nie był nawet czytany i pomimo gorącej obrony Potockiego, po długiej, nużącej i upartej dyskusji został przez większość odrzucony. Przedewszystkiem deputowani mieszczaństwa oznajmili, że gdyby obywatele ziemscy zdecydowali się podać adres na pogładach margrabiego oparty, w takim razie pisać ten akt będą sami, gdyż Warszawa udziału w nim nie weźmie. To oświadczenie poparli także członkowie szlacheccy Komisji redakcyjnej (Kurtz, Ludwik Górski, Edmund Stawiski). Śród zebranej szlachty u Zamoyskiego wiadomość, że Potocki proponuje przyjęcie

projektu Wielopolskiego, wywołała odrazę powszechną. Umysły były tak rozgorączkowane, że niejaki Teleżyński, szlachcic z Hrubieszowskiego, zawołał: „niech temu ręka uschnie, kto podpisze ten adres!”. Przyczyny, które się złożyły na ten zewszecz miar smutny wynik, były bardzo rozmaite i różnej natury. Znaczna większość zebranych nie rozumiała, nie pojmowała jeszcze, co się w około dzieje; wypadki spadły tak nagle, tak niespodzianie, ustępstwa ze strony władzy, tej strasznej władzy, w której zdawało się, że kołata się jeszcze duch Paskiewicza i Mikołaja, były tak wielkie, że ci wszyscy, którzy nie śledzili bacznie wypadków, tajnej agitacji rozwijającej się od lat kilku w kraju, byli zdumieni tym nagłym zwrotem, tą wielkością faktów, które się przed nimi rozgrywały. Dlatego też większość oszołomiona jeszcze zdarzeniami tego dnia, nie miała nic przeciw samemu adresowi, który stawał przed nią gotowy, wykończony od stóp do głów, zbrojny w argumentacją, logikę i śmiałość. Mówiono nawet sobie w głębi sumienia, po cichu, że adres jest za śmiało, za zuchwale napisany. Ten głos poważny Polaka, upominającego się o prawa swej ojczyzny, wielu bardzo się podobał, ale nie podobał się jego autor, sam margrabia. Bezprzykładna niepopularność tego człowieka wybuchła odrazu jednomyślnym prawie protestem przeciw przyjmowaniu czegokolwiek z jego ręki. Wielu nie znało go wcale, byli tacy, co go nigdy nie widzieli, a przecież na myśl o Wielopolskim trzęśli się z oburzenia.

Jeszcze inna, stosunkowo bardzo niewielka grupa zapalonych Czerwieńców, nieprzekonanych niczem marzycieli, polityków serca lub nerwów, odrzucała adres Wielopolskiego z zacieklą bezwzględnością dlatego, że, jak mówili, zdradza sprawę narodową. Jak można, twierdzili oni, powoływać się na traktat wiedeński, uznawać go za alfę i omegę pragnień polskich, kiedy ten traktat był niczem innym, tylko międzynarodowem usankcjonowaniem rozbioru Polski? Taki punkt wyjścia dla upomnienia się o zgwałcone prawa narodowe jest po prostu zdradą kraju. Zresztą kongres wiedeński nadał autonomią i konstytucją tylko Królestwu Polskiemu, i adres Wielopolskiego zgodnie z tem myśli wyłącznie o tej części ziemi naszej, która nosi miano Królestwa. Ale cóż się stanie z Litwą, Wołyniem, Podolem, Ukrainą? Czyż to nie zbrodnia przeciw ojczyźnie wyrzekanie się tych ziem, zdobytych naszym mieczem, zroszonych naszą krwią, uznojoną naszym potem i pługiem naszym zaoranych, ziem na wskroś polskich? Przytem czegóż on żąda? Uregulowania kwestyi włościańskiej, reformy szkół, równouprawnienia żydów. Toż na to krwią zlałiśmy dziś bruk warszawski, by takie tylko otrzymać koncesye? Żądania te są niedostateczne, a wyparcie się ruchu 1831 r. jest ubliżeniem godności narodowej.

Tak mówili Czerwieńcy i marzyciele polityczni. Ale poza nimi była jeszcze jedna grupa, najbliższa Zamoyskiego, która także stanowczo oponowa-

ła przeciw projektowi margrabiego, już dla tego samego, że oponowali oni w ogóle przeciw podawaniu adresu jakiegokolwiek bądź. Sceptycy z doświadczenia i przekonania, nie wierzyli oni, by rząd rosyjski zadośćuczynił choćby najdrobniejszym żądaniom polskim. Po co więc pisać adresy, kiedy one na nic się nie przydadzą, nie wzruszą rządu, nienawidzącego Polaków i nieufającego im nigdy? A przytem, wołali oni, wszelkie sformułowanie żądań polskich jest zdradą sprawy ojczyznej; adres jest niczem innym jak tylko prośbą, a prośba jest pewnym rodzajem umowy z wrogiem, pewnemi kajdanami nałożonemi na sumienie, kompromisem z istniejącym stanem rzeczy. Niczego nie żądać, o nic nie prosić jest najgodniejszym i najuczciwszem postępowaniem dla Polaka.

Ta grupa, stojąca najbliżej Zamoyskiego, gdy ten, jak to zawsze czynił, ustąpił żądaniom większości i zgodził się na podanie adresu, nie chciała oczywiście ani słyszeć o projekcie Wielopolskiego. Jeżeli już mamy podawać adres, mówili, to trzeba, żeby on miał formę możliwie luźną, żeby niczego w nim nie żądać, a za to wszystkiego się domagać. Błędem byłoby stawianie jakichś desideratów, kiedy nie wiemy, jak się w Petersburgu zapatrywać będą na wypadki warszawskie. Może też tam więcej nam dadzą, niż my żądać będziemy. Trzeba swobodę zostawić rządowi; dość będzie, gdy mu powiemy, że źle jesteśmy rządzeni i że taki stan jak obecny dłużej trwać nie może.

Te zdania, pozornie bardzo rozumne, ale błędne, wzięły górę w zgromadzeniu i w komisji redakcyjnej, bo trafiły w przekonania większości, w jej ideały najserdeczniejsze. Adres Wielopolskiego został stanowczo odrzucony, a natomiast powierzono redakcją Edmundowi Stawiskiemu, ziemianinowi ze wsi Podłęzyc pod Sieradzem, pisarzowi znanemu w literaturze ojczyznej z prac, dotyczących historii rolnictwa w Polsce i studyów ekonomicznych, członkowi nakoniec Komitetu Towarzystwa rolniczego. Stawiski wziął się zaraz do pisania adresu, w którym porobiono małe zmiany, całość nieco skrócono i o godzinie 5-tej rano Zamoyski wszedł na salę zapełnioną obywatelami ziemskimi i odczytał tekst polski adresu.

Za punkt wyjścia wybrano w nim dzień 27 Lutego i strzelanie na Krakowskim Przedmieściu. „Wypadki obecnie zaszły w Warszawie, brzmi ten dokument, stan wzburzenia umysłów, jaki je wywołał i po nich nastąpił, głębokie uczucie boleści przejmujące wszystkich, powodują nas w imieniu kraju zanieść do tronu Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości prośbę, w nadziei, że szlachetne serce Jego wysłucha głosu nieszczęśliwego narodu.

„Wypadki te, od opisu których wstrzymujemy się, nie są wybuchem społecznych namiętności jakiejś pojedynczej warstwy narodu; są one jednomyślnym, gorącym objawem tłumionych uczuć i niezaspokojonych potrzeb.

Długoletnie cierpienia narodu, od wielu wieków wolnymi instytucjami rządzącego się, pozbawienie go nawet wszelkiego organu legalnego, za pomocą którego mógłby bezpośrednio przemawiać do tronu i objawiać swoje życzenia i potrzeby, postawiły kraj w tem położeniu, że ofiarami tylko może głos podnieść, dlatego też poświęca ofiary”.

„W duszy każdego mieszkańca tego kraju bije silne poczucie odrębnej wśród ludów europejskich narodowości. Poczucia tego ani czas, ani wpływ rozlicznych wypadków zniszczyć, ani nawet osłabić nie zdołał. Wszystko, co je obraża i nadweręża, do głębi wstrząsa i niepokoi umysły”.

„Widzi kraj z boleścią, że gdy potrzeba ta nie została zaspokojoną, powstał ztąd brak zaufania, nieodzownego w stosunkach pomiędzy rządzącymi a rządzonymi. Zaufanie to nie wróci, póki użycie gwałtownych a bezskutecznych środków represyjnych nie ustanie”.

„Kraj ten, równający się niegdyś stopniem cywilizacji z innymi krajami Europy, nie przyjdzie do rozwinięcia swych moralnych i materialnych zasobów tak długo, dopóki zasady, płynące z ducha narodu, jego tradycji i historii, nie będą przeprowadzone w kościele, w prawodawstwie, w wychowaniu publicznym, zgoła w całym społecznym organizmie.

„Życzenia tego kraju tem są gorętsze, że w rodzinie ludów europejskich on tylko jeden pozbawiony jest tych koniecznych warunków bytu, bez których żadna społeczność dojść nie może do poznania celów, dla których ją Opatrzność do życia powołała.

„Składając ten wyraz cierpień i gorących życzeń naszych u stóp tronu, ufni we wspaniałomyślność Monarchy, odwołujemy się z zupełną wiarą do głębokiego uczucia sprawiedliwości Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości”.

Takim był ten adres, który większość zebranych u Zamoyskiego uznała za najodpowiedniejszy położeniu chwili i aspiracyom polskim. Był on istotnie tak luźny, tak kontury jego rozplywały się we mgłę frazeologii, w sentymentalno-mistycznych zdaniach o celu, „dla którego Opatrzność Polskę do życia powołała”, że istotnie mogło się w niego wszystko zmieścić, tak dobrze równouprawnienie żydów, jak i Statut organiczny i konstytucja 1815 r., a nawet niepodległość zupełna i granice z 1772 roku. Krótkie, jakby mimochodem tylko wyrzeczone, napomknienie o potrzebie organu jakiegoś między rządzącymi i rządzonymi, o konieczności reform w kościele, prawodawstwie, w wychowaniu publicznym, nie ratowało adresu od tej frazeologicznej pustki, jaka z niego wieje. Nie zastanowiono się nad tem, że adres taki przesłany do Petersburga, musiał tam przedewszystkiem wzbudzić pytanie: ale nakoniec czegoż oni chcą? Co im dać mamy? Jakie reformy poczynić? Jeżeli jednak nic o tem nie mówią, to znaczy, że nic nie chcą, czyli, co na jedno wychodzi, chcą

wszystkiego, to jest, żebyśmy się od nich wynieśli, żeby dawna Rzeczpospolita była przywróconą. Skoro tak jest, to świadczy, że społeczeństwo polskie jeszcze nie otrzeźwiało, że jak dotąd, tak i ciągle rządzi niem stronnictwo ultranarodowe, marzycieli i szowinistów. Z takimi ludźmi, nietylko że wszelki kompromis jest niemożliwy, ale nawet mówić nie można i porozumieć się nie można.

Gdy się to działo w pałacu Andrzeja Zamoyskiego, gdy wśród długiej nocy lutowej opary krwi rozlanej na ulicy zdawały się oszołomiać głowy, Wielopolski oczekiwał w mieszkaniu Potockiego sam jeden i nie śpiąc wcale, aż do godziny 4-tej rano na rezultat sprawy co do adresu. „Robiłem co mogłem, mówił mu Potocki, powróciwszy z pałacu Zamoyskiego, broniłem twego projektu, ale odrzucono go znaczną większością”. Opowiedział mu, że ci wszyscy, którzy poprzednio pojedynczo zgadzali się na ten adres, którzy go przyrzekali bronić, teraz spoglądali na siebie tylko i milczeli. Wielopolski nie okazał żadnego gniewu, pożegnał się i poszedł do domu. Był przecie pewny, prawie przekonany, że jego adres nie przejdzie, że jest za chłodny dla ówczesnych serc, za rozumny dla ówczesnych głów. To też nazajutrz, gdy przeczytał adres Stawiskiego i gdy mu proponowano, by się podpisał na nim, stanowczo odmówił, wołając, że „adres większości dla mnie za ciasny, ja się w nim zmieścić nie mogę”. Niestety! Nie był on za ciasny, był on przeciwnie tak obszerny, że nie wiedziano naprawdę, gdzie się znajdują jego granice; że mogła się w nim pomieścić nietylko olbrzymia, ciężka postać margrabiego, ale cała nawet Polska, opłukiwana wodami dwóch mórz i dwóch rzek...

Z pewnym głębokim smutkiem i zniechęceniem, z poczuciem, że źle się zaczyna dzieć w kraju, że nie zdołano jak należy skorzystać z chwili jedynej, jaka się już nigdy nie przydarzy, margrabia Wielopolski opuścił Warszawę, udając się (d. 1 Marca t. j. w Piątek) do Chrobrza, głosząc, że się do niczego mięszać nie chce, w gruncie zaś rzeczy zamierzając rozpocząć akcją na własną rękę³¹.

Tak upłynęła owa noc na zawsze pamiętna w dziejach niedoli naszej, i zaśniał poranek dnia 28 Lutego, który zastał Warszawę i jej ludność w silnym, dawno tu już nie widzianym podbudzeniu umysłów. Tłumy publiczności wszelkich stanów, płci i wieku snuły się po ulicach, zwłaszcza po Krakowskim Przedmieściu, w tem miejscu, gdzie wczoraj padło pięć ofiar, jak począto nazywać poległych. Większością kierowała oczywiście ciekawość, jaki obrót przyjmą wypadki, co się też dziś stanie? Wszystkich uderzała ta okoliczność, że wojska i policyi nigdzie nie było, mundury się nie pokazywały, jak gdyby

31 Wiadomość o wyjeździe swoim Wielopolski opublikował w gazetach.

nagle ta straszna, despotyczna władza rosyjska gdzieś znikła i przepadła. Mnóstwo osób pojawiała się na ulicach w głębokiej żałobie. Kapelusze męskie pod włos zaczesane wczoraj, dziś nosiły białe taśmy; kołnierze ubrań, klapy surdutów, salopy i burnusy kobiece, wszystko błyszczało białą, żałobną obwódka. Do czapek przyczepiano kokardy krepowe. Powoli, w ciągu dnia poczęło to przybierać niesmaczne, przesadzone, niekiedy śmieszne formy teatralnej maskarady. Temperament Warszawiaków, lubujący się w zewnętrznych objawach uczuć, w pozorach, w sztucznych efektach, połączony z czułościowością, właściwą tej epoce, znalazł tu obszerne pole do popisu. Nietylko siebie strojono w żałobę nieraz krzyczącą, ale krepą pokryto nawet lalki woskowe w sklepach fryzjerów, butelki z wódką i winem w oknach kupców, głowy cukru, a nawet łby końskie w oknach siodlarzy i rymarzy. Włączono się po mieście, oglądano się wzajemnie, przyklaskiwano jakiej nowej, nieużywanej dotąd oznace żałoby. Miasto miało wygląd niezwykły i zdawało się, że wszystko w niem wyszło z karbów, choć spokój i cisza była zachowana.

W hotelu Europejskim, gdzie złożono wczoraj ciała czterech ofiar, obito pokój kirem; w biurze żeglugi parowej, w pałacu Zamoyskich na Nowym Świecie, gdzie leżał trup Arcichiewicza, tak samo cały pokój okryty był czarnym suknem, nawet bramę od wewnątrz przybrano w tę oznakę żałoby. Twarze były smutne, kobiety na widok tego wszystkiego płakały.

Tymczasem sprawa adresu posuwała się dalej. Referat Stawiskiego, sam Andrzej hr. Zamoyski przetłómaczył na język francuzki i poczęto zbierać podpisy. Przedewszystkiem podpisał się arcybiskup Fijałkowski „w imieniu duchowieństwa”, potem z pewną niechęcią i wyraźnym wahaniem Zamoyski. Wysłano zaraz delegatów na miasto, by adres ludności odczytywali i zbierali podpisy na osobnych arkuszach papieru. Czytano więc w cukierni Kontiego w hotelu Europejskim, w resursie kupieckiej, na Starem Mieście, gdzie można było, i po przeczytaniu zapraszano obecnych do podpisów. Podpisywali się więc wszyscy, szlachta, mieszczenie, rzemieślnicy, żydzi. Obok arcybiskupa Fijałkowskiego stało nazwisko rabina Mayzelsa, obok Mayzelsa pastora luterskiego Otto. Na oryginale było ogółem podpisów 127. Arkusze zapełniały się nieraz nader dziwacznymi wyglądającymi znakami, tu i owdzie pozamazywane, bardzo często z tak zwanym „żydem”, dużą plamą atramentu, spadłą z pióra nieumiejętnie umazanego w kałamarzu. W resursie kupieckiej, gdzie formowano straż bezpieczeństwa z młodzieży akademickiej i szkolnej i wysyłano ją na miasto dla utrzymania porządku, gdyż policja została usunięta, tłumy ludu się snuły, zebrania były niezmiernie burzliwe i hałaśliwe. Większość nie pojmowała, co to się stało; nagły przewrót oszołamiał wszystkich, tracili przytomność i zdrowy rozsądek. Po czasach surowości władzy, po tradycji

paskiewiczowskiego despotyzmu, nagle, w ciągu kilku godzin, taka zmiana olbrzymia, taka zupełna, dobrowolna abdykacja władzy, wydawała się niepojętą. Jedni uważali to za jakąś zasadzkę, za jakiś podstęp zdradziecki; inni widzieli w tem słabość rządu, budzące się w nim przekonanie, że nie zdoła się utrzymać w Polsce, wpływ Francji i Napoleona; śnili najdziwaczniejsze nadzieje. Gorąca polska fantazyja, której nie zdołało ochłodzić trzydziestoletnie „łamanie kości”, nie znajdowała już teraz granic, widziała w tych chwilach, istotnie dziwnych i bezprzykładnych, jutrznię odrodzenia Polski. Młodzież, wszystka czerwono usposobiona i ufna w siebie po tem, co dokazała, boć ostatecznie ona to, co się teraz dzieje, zrobiła wbrew twierdzeniom i opiniom innych stronnictw, wołała, że czas pomyśleć o Litwie, o „zabranym kraju”, o konstytucyi. Byli tacy, co rozprawiali o powstaniu i o jego konieczności. Mówcy wchodzili na krzesła i stoły, ze szczytu których dopóty mówili, dopóki ich kto inny nie ściągnął, lub krzyki nie zmusiły do milczenia. Od czasu do czasu tłum rozgorączkowany i rozochocony, wzywał donośnymi krzykami którego z delegatów, żeby wysłuchał „głosu narodu”. Zjawiał się zwykle Chałubiński, lub ktoś inny, odpowiadał na zadawane sobie pytania, tłumaczył lub przekonywał.

Zresztą nie sam tylko tłum trzeba było przekonywać, wyjaśniać położenie, przedstawiać istotny stan rzeczy. Bardzo niewielu takich było, którzy potrafili jako tako zorientować się w położeniu. Więc Chałubiński, Jurgens i inni, musieli mówić i mówić; pierwszy aż chrypki dostał. A przytem jakież ogrom zajęć leżał przed delegatami! Podczas gdy Czerwieńcy, nie zapominając o swych zadaniach rewolucyjnych, wysyłali na prowincyą agentów z wieścią o tem, co się w Warszawie stało i z poleceniem wiązania wszędzie ludności w organizacyą dziesiątek i setek, ogarnięcia tym sposobem wszystkich w ogóle miast konspiracyą, delegacya musiała myśleć o pogrzebie pięciu ofiar, o utworzeniu policji narodowej. Na szczęście młodzież szkolna tłumnie garnęła się do tego zajęcia, które uważała za służbę zaszczytną ojczyźnie i sprawie polskiej. Konstabile narodowi, bo tak ich nazywano, ubrani w mundurki akademickie lub szkolne, z przepaskami żałobnymi na lewem rękę, z numerem na czapce, poustawiali się gęsto na ulicach i strzegli porządku i spokoju. Każdy z największą uległością słuchoł ich upomnień, tłum na głos dzieciucha rozchodził się, i biada temu, kto by stawił opór żądaniu policji narodowej. Wielu starców na ten widok płakało, a jakiś sędziwy mieszczanin na Starem Mieście, widząc wzorowy porządek utrzymywany drobną ręką dzieciucha, zawołał w swym dosadnym, ulicznym języku: „jak Boga kocham, gdyby ten chłopczyzna kazał mi baty wyrpąć (sic), tobym się bez oporu natychmiast położył”. Jeden ze straży bezpieczeństwa, słysząc hałas w ubogim domku na Rybakach, otworzył drzwi i zastał męża i żonę kłócących się w największej pasyi. Słowa: „wstydz-

cie się, wszyscy w narodzie kochają się, a wy się kłóćcie”, wstrzymały spór i małżonkowie, spojrzawszy na siebie i rzucając się sobie w objęcia, zawołali: „prawda, ja Polak a ty Polka!” Serca i głowy ogarnęło jakieś podniosłe, rzewne uczucie, i dla tych, którzy na to wszystko własnymi patrzeli oczyma, te dni, niestety! tak krótkie, zostawiły jedno z najsilniejszych, najśodszych, niezapomnianych nigdy wspomnień.

Tymczasem w Zamku przepędzano te godziny w ciągłej obawie i trwodze. Ściągnięto tam wojsko i dla niego zmieniono na koszary trzy wielkie sale: tronową, dębową i malowaną al fresco. Z miasta dochodziły najrozmaitsze, coraz bardziej alarmujące wieści, a jakkolwiek sama jaskrawość kazała wątpić w ich autentyczność, były jednak fakta dowodzące, że wzburzenie jest wielkie i że rząd staje się coraz bardziej odosobnionym. Do rzędu takich faktów należało gremialne podanie się do dymisyi wszystkich marszałków szlachty, za których przykładem poszli: hrabia Kosakowski, prezes heroldyi; hr. Maurycy Potocki, szambelan dworu; Łuszczewski, ojciec znanej poetki Deotymy, dyrektor wydziału przemysłu w Komisji spraw wewnętrznych, hr. Aleksander Przeździecki i baron Edward Rastawiecki, jako członkowie heroldyi, nakoniec Piotr Kobyłański, pomocnik prokuratora ogólnego zebrania senatu. W podaniach swoich, jeżeli nie mówili otwarcie, to kazali się domyślać, że nie chcą służyć rządowi, który się splamił krwią bezbronnych.

Gorczakow wśród tego tracił głowę. Chory i rozstrojony, nie wiedział co robić, do kogo się zwrócić, gdzie poszukać rady i pomocy. Rano d. 28 Lutego doniósł cesarzowi telegramem o wypadkach zaszłych wczoraj, i tłómaczył, że powodem strzałów było obrzucenie wojska kamieniami. Miał tak niepewne wieści, albo może przez właściwą sobie nieuważę i roztargnienie, dość, że obliczył ilość zabitych na sześć osób i tyleż rannych. „Wzburzenie umysłów w mieście wielkie, kończył, i może być, że dziś znowu nastąpią nieporządki”. Przekonanie to utrzymywało się w nim z każdą chwilą; widział z okien Zamku snujące się tłumy żałobne, a gremialne podanie się do dymisyi marszałków i innych dygnitarzy, przekonywało go niejako, że i dziś, d. 28 Lutego, nie obejdzie się bez krwi rozlewu, kto wie, może wybuchnie ogólne powstanie. Telegrafował więc znowu do cesarza, donosząc o dymisyi marszałków, której powody tłómaczył tem, że „utracili wpływ na obywateli”. Skarżył się na Zabołockiego, że postąpił wbrew jego rozporządzeniom, gdyż wojsko miało rozkaz, by broń nie była nabita. Donosił, że zarządził śledztwo. „Trepowowi, kończył, kazałem, by się podał za chorego, nienawisć bowiem przeciw niemu wciąż się rozwijająca, grozi tem, że go zabiją na ulicy. W tej chwili wszystko spokojnie, mam jednak powody spodziewać się wkrótce wielkich zaburzeń. Proszę tedy o pozwolenie ogłoszenia w razie konieczności, stanu oblężenia w mieście”.

Wiadomości te były bardzo lakoniczne, bardzo niedokładne i nie objaśniały wcale cesarza o istotnem położeniu rzeczy, owszem, przebijająca się w nich wyraźna obawa, kazała mu sytuacją Warszawy widzieć w gorszym, niż w istocie świetle. Gorczakow nie donosił mu nic o delegacyi, o cofnięciu wojska i policyi, o pozwoleniu na adres i na pogrzeb zabitych, jak gdyby wstydził się swej słabości i lękał surowych napomnień ze strony cesarza. Ten oddalony od wypadków, źle lub niedostatecznie poinformowany, z właściwą sobie jednak bystrością i spokojem patrzył na rzeczy. Odpowiadał więc Gorczakowowi, że niecierpliwie oczekuje wiadomości, jak przejdzie dzień dzisiejszy (28 Lutego), że przekonany jest, iż Gorczakow użyje wszelkich potrzebnych środków dla przywrócenia porządku. Pytał: „czy są w wojsku ranieni i czy zauważono broń u ludu?” Dymisyą marszałków szlachty uważał za bardzo niewłaściwą, „bo dowodzącą ich małoduszności”; ganił rozporządzenie dotyczące Trepowa. „W terażniejszych okolicznościach każdy powinien być na swoim miejscu” pisał, i kończył, że ogłoszenie stanu oblężenia pozostawia decyzji namiestnika.

Więści o tej korespondencji, prawdopodobnie skutek złej woli niższej służby telegraficznej, przeniknęły do publiczności, jakkolwiek w znacznie zmienionej formie, i przyczyniły się tylko do większej pogardy i zohydzenia władzy. Opowiadano sobie, że cesarz zapytał się: „ilu powstańców ujęto, i ile zdobyto na nich broni”? Śmiano się z tego, sztydono, poniewierano tą władzą, która nie umiała w należytej chwili utrzymać swej powagi i majestatu. Wszystko nakoniec, i ludzie i rzeczy składały się na to, by urok władzy gasł coraz bardziej w oczach ludności warszawskiej, która, jak każda ludność wielkiego miasta, skłonną jest do szyderstwa i wyszukiwania we wszystkim śmiesznej strony. Rano tego samego dnia zjawił się w hotelu Europejskim, gdzie leżały ciała poległych, świeżo mianowany policmajster miasta, generał Paulucci, i odgrywając rolę nowego Lafayette'a w mundurze rosyjskim, miał się zapytać zebranych tamże obywateli: „czy pragną mieć go na stanowisku głównego naczelnika policyi”? Na to pytanie, po to chyba postawione, by do reszty osłabić w oczach Warszawy powagę władzy, rozległy się okrzyki: „vivat! hura! i Garibaldi jest Włochem i ten jest Włochem! Niech Żyją Włochy! niech żyje Garibaldi! niech żyje Paulucci!” Okrzyki te przeniosły się powoli na ulicę i w chwili, gdy nowy naczelnik policyi ukazał się w bramie hotelu, zagrzmiały znowu i towarzyszyły mu długo.

Margrabią Paulucci przybył tu właściwie po to, by być obecnym przy oględzinach sądowo-lekarskich ciał poległych wczoraj ofiar, jak tego wymagały obowiązujące w kraju przepisy. W tym celu do numeru 64, gdzie leżały te ciała, zeszedł drugi oddział Sądu policyi prostej w Warszawie, w nakazanym przez prawo komplecie, z rejentem i dwunastu obywatelami w charakterze świad-

ków. Ponieważ śmierć nastąpiła, jak się wyraża protokół sądowy „z ran zadanych przez żołnierzy”, więc zażądano obecności deputata wojskowego, który istotnie przybył i wówczas spisano szczegółowy protokół oględzin sądowo-lekarskich³². Potem fotograf Bayer zjął podobiznę zabitych, nieco w pozach teatralnych, z ranami widocznymi i odkrytymi. Fotografie te, brzydkie i źle wykonane, w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy rozbiegały się po całym kraju.

Ciągle tłumy snuły się koło hotelu Europejskiego, w którym poczęto zbierać składkę na pogrzeb pięciu poległych. Niejaki Leja, urzędnik drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, niegdyś emigrant, który powrócił do kraju za amnystią, i Piotrowski właściciel ziemski z Błońskiego, wystawiwszy z okien cukierni Kontiego kapelusze, zapraszali głośno do składania w nie ofiar. Jakoż składano je i składano obficie. Sypały się tam w owe kapelusze nie tylko miedziane i srebrne pieniądze, nie tylko złoto i papiery, ale kolczyki, pierścionki, bransoletki i t. p. kosztowności, które w entuzjastycznym rozżaleniu rzucono z przekonaniem, że to idzie na ołtarz ukochanej ojczyzny. Tłumy rosły koło hotelu Europejskiego, rosły i sumy zbierane przez Leję i Piotrowskiego. Prócz tego można było składać ofiary w sklepie Ksawerego Szlenkiera na ulicy Senatorskiej i u Matyasa Rozena na Miodowej, oraz w wielu innych sklepach. „Nikt ze swym groszem, wołała „Gazeta Warszawska”, chociażby to nawet był grosz wdowi zalegać nie może; jest to ofiara święta”.

Dla uniknięcia zbiegowiska, postanowiono ciała zabitych przewieść późno w nocy do kościoła św. Krzyża, z którego pogrzeb miał się odbyć. Koło go-

32 Mikołaj Berg w „Zapiskach o polskich wozstaniach” str. 120, szydzi z protokołu tych oględzin. „Protokół ten, powiada, jest bardzo ciekawy i wybornie maluje chwilę. Nie dość na tem, że w tonie najpoważniejszym opisano położenie ciał na materacach, w numerze hotelu, potem gdy ciała te objechały kilka ulic, były rzucone i przerzucane i nakoniec ułożone w pozach fotograficznych — w protokóle zamieszczono nawet opis śladu błota na policzku jednej z ofiar, niezupełnie strawiony kartofel w żołądku drugiego trupa i najskrupulatniejszy opis kuli, znaleziony w trzecim zabitym. Jednym słowem pisali nie akt, ale swawoliły w sposób nieprzyzwoity dzieci, uwolnionych nie we właściwym czasie z powijkaków, i tę swawolę, ten żart z władzy, musiał nie na żarty podpisać deputowany wojskowy rosyjski”.

Zdaniem naszym w tem wszystkim nie było ani odrobiny swawoli, o jaką Berg oskarża ówczesne władze sądowe polskie. Przepisy dotyczące oględzin sądowo-lekarskich osób zabitych, w epoce tej obowiązujące, nakazywały opis jak najbardziej drobiazgowy wszelkich szczegółów, dotyczących denata i samej sekcji. Opis więc śladu błota, kartofla w żołądku i kuli w ciele, jakkolwiek wydać nam się może śmiesznym wobec faktu wszystkim wiadomego o przyczynach śmierci pięciu poległych, był dokonany zgodnie z przepisami. Przepisy te zresztą w większej części wypadków okazały się dobrze i rozumnie obmyślanymi i spełniły to zadanie, dla którego wydane zostały. Ileż to razy takie drobiazgowo protokoły oględzin przyczyniły się do wykrycia najbardziej z pozoru tajemniczej zbrodni!

dziny 12-tej więc, o północy, włożono w trumny czarne, proste, bejcowane, na których białymi ćwiekami wypisane były nazwiska zmarłych, i przeniesiono do kościoła górnego, gdzie ustawiono je w ten sposób, że jedna stanęła w środku, a cztery po jej rogach. Cały kościół suknem czarnem, dostawionem za darmo przez fabrykantów i kupców, wybito, co w tej ogromnej, wysokiej świątyni, imponujące swą powagą i smutkiem robiło wrażenie. Same trumny ozdobiono palmami, niby godłami męczeństwa, i wieńcami z cierni. Mnóstwo kwiatów i świec otaczało dokoła ciała. W trumnie Zdzisława Rutkowskiego, oprócz jego zwłok, leżała także ręka strzaskana przez kulę i odjęta ranionemu w d. 27 Lutego Henrykowi Karskiemu. Między ranionymi w ów dzień, jakeśmy wspomnieli, było kilku żydów. Jeden z nich, wedle zdania lekarskiego żyć nie mógł, współwynawcy oczekiwali niecierpliwie na jego śmierć, aby nie pięć ale sześć ofiar pochowanych było wspólnie i żeby między nimi znajdował się koniecznie żyd. Spodziewano się jego śmierci właśnie w d. 28 Lutego, tymczasem on nie umierał i nie umarł aż w parę tygodni później.

Wieczorem, gdy się ukazały gazety, rozchwytywano je chciwie, bo znajdowało się w nich kilka ciekawych i interesujących ogół ogłoszeń. Przedewszystkiem więc sam namiestnik donosił w krótkich słowach o wczorajszych wypadkach i zawiadamiał, że „celem wykrycia winnych tego nieszczęśliwego starcia” zarządził ściśle śledztwo; zapewniał, że nie będzie „tolerował gwałtów z żadnej strony”, prosił, by „spokojni obywatele” unikali tłumnych zbiegowisk „obecnie częstokroć przez knowania niebezpiecznych podżegaczy wywoływanych”, i na wezwanie władz rozchodzili się dla zapobieżenia nieszczęśliwym wypadkom. W końcu, w tonie patetycznym wołał: „mieszkańcy miasta Warszawy! nie poddawajcie się zwodniczym zabiegom, usłuchajcie głosu człowieka, prawość którego, w ciągu trzydziestoletniego pobytu jego między wami, mogliście ocenić”.

Odezwa ta była w najwyższym stopniu niezręczna. Zapewniając Górczakow, że nie ścierpi gwałtów z żadnej strony, uznawał publicznie, że wczorajsze strzelanie było gwałtem, godnym nagany i kary, co wprawdzie świadczyło o jego najpocziwszych chęciach łagodzenia zbyt naciągniętej sytuacji, ale zarazem zdradzało przed ogółem, że władza nie wiedziała sama, czego się trzymać, że straciła głowę, że ogarnęła ją obawa przed następstwami krwi rozlewu. Wprawdzie wszystko to były rzeczy wiadome już pewnej części ludności warszawskiej, po tem, co wczoraj delegacja mieszczańska uzyskała, ale pocóż się było do tego przyznawać i zawiadamiać o tem cały kraj i cały świat? Odezwa namiestnika nie uspokoiła „niebezpiecznych podżegaczy”, nie zachęciła „spokojnych obywateli”, by w awanturach ulicznych nie brali udziału, ale zato pokazała jeszcze raz słabość rządu, jego brak decyzji i śmieszna obawę.

Odwoływanie się do znanej przez trzydziestoletni pobyt prawości człowieka, który rządził Polską, nie mogło znaleźć echa w sercach oszalałych, w głowach rozgorączkowanych i upojonych tryumfem tak łatwego a nadewszystko tak niespodziewanego zwycięstwa.

Obok odezwy namiestnika, generał gubernator warszawski Paniutyn ogłosił, że margrabia Paulucci został mianowany zawiadującym naczelnie policją warszawską³³.

Jeżeli obie te odezwy świadczyły o słabości rządu, to zato pewien rodzaj proklamacyi, jaką ogłosiła w pismach delegacja obywateli, wyraźnie mówiła tonem swoim o tem nagłym zwycięstwie i przewadze, jaką agitacja rewolucyjna osiągnęła w mieście. Doniósłszy, że pogrzeb pięciu ofiar odbędzie się w sobotę dnia 2 Marca o godz. 10-tej rano, delegacja wołała: „w imię miłości kraju, w imię najświętszych, najdroższych dla każdego z nas obowiązków, wzywamy wszystkich mieszkańców miasta, by cześć oddawana ofiarom tym w chwili pogrzebu ich ciał, odznaczała się najwyższą godnością, najwyższym spokojem. Mieszkańcy Warszawy, wysłuchajcie tych słów braci waszych”³⁴.

Te słowa tak gorące, tak patetyczne, mówiące głośno i publicznie o miłości tej ojczyzny, o której od lat trzydziestu nie wolno było nawet wspominać, wywarły silne, potężne wrażenie na ogół. Rozchwytywano je, czytano, płakano nad nimi i przyrzekano sobie, że święcie wypełnioną będzie wola delegatów, braci, moralnego rządu polskiego.

Pokażmy Moskałom, mówiono sobie, jak umiemy być karni i posłuszni władzy naszej, która choć nie opiera się na bagnietach i żandarmach, jest przecie silniejszą w Resursie, niż cały rząd rosyjski w Zamku; okażmy całemu światu przykład narodu kierowanego nie siłą fizyczną ale siłą moralną, narodu, który umie znosić z godnością swe nieszczęścia i ze spokojem swą niedolę; bądźmy poważni i cierpliwi w naszym męczeństwie; podnieśmy ducha do wyżyn, na jakie krwawa ofiara nasza podniosła cały naród. Nastrój ludności stał się jakiś rzewny, rozżalony, roztęskniony; zda się, że powiał po tym ludzie ów duch egzaltacyi mistycznej, jaki przebiegał oddawna w poezyi romantyków emigracyjnych. Ojczyzna znów stawała się jedynym ideałem, jedynym pragnieniem i jedynym celem życia. Takich, którzyby nie poświęcili dla niej, w owych chwilach dziwnej, niepojętej, rzadko już później widzianej egzaltacyi, wszystkiego, było z pewnością wtedy nie wielu w Warszawie.

33 Trepow wyjechał z Warszawy odfotografowawszy się wprzód u Bayera z twarzą owiniętą. Wieść niosła, że za swe zasługi otrzymał stopień jeneralski i 3.000 rs. gratyfikacyi.

34 Odezwę tę podpisali: ks. Wyszyński, ks. Stecki, J. Lewiński, K. Szlenkier, L. Kronenberg, K. Bayer, M. Rozen, J. Piotrowski, J. I. Kraszewski, St. Hiszpański, A. Trzetrzewiński, J. Kenig, Dr. Chałubiński, K. Kucz (redaktor „Kuryera warszawskiego”).

Spostrzegli to kierownicy ruchu, agitatorzy, owa nieokiełznana młodzież z akademii, ze szkoły sztuk pięknych, z Marymontu i różnych dykasteryi urzędniczych; sama ona wreszcie kipiała pod wpływem waru uczuć, unoszących się w powietrzu Warszawy. Teraz lub nigdy, powiadali, jest najsposobniejsza chwila do powstania. Miasto jest tak oburzone i tak rozgorączkowane ostatnimi wypadkami, że powstanie jak jeden człowiek. Wojska jest niewiele, władza przerażona, policji nie ma; zbierzmy się, uderzmy na cytadelę. W dwie godziny nie będzie ani jednego Moskala w mieście. Zgromadzimy cechy; z fabryk na Solcu trzystu robotników postawimy uzbrojonych w noże, topory, oskardy, sztaby żelaza, i pójdziemy jak wicher, jak Bóg wojny, jak huragan naprzód. Weźmiemy Zamek i cytadelę; oczyścimy miasto z najeźdźców.

Rozumnijsi, zimniejsi, ostrożniejsi delegaci i Millenerzy usiłowali wszelkimi sposobami uspakajać rozgorączkowaną młodzież. Nie weźmiecie, odpowiadali im, ani Zamku ani cytadeli, nie macie czem wziąć. Gołemi rękami fortec się nie zdobywa. Przelejecie tylko potoki najlepszej krwi, zburzycie miasto i zostawicie swobodne pole dla tyranii i despotyzmu militarnego. Słowa te i usiłowania umiarkowanych powiodły się w części. Rozsyłając delegaci patrole nocne, złożone z młodzieży, zalecali im mocno, by baczną zwracały uwagę na te okręgi miasta, w których, zamieszkuje klasa rzemieślnicza i robotnicza. Młodzież tę zaopatrzono w bileta i w hasło, którem na tę noc był wyraz „krzyż”, żeby się nawzajem poznawać mogli i starano się włąć w nią przekonanie, że rząd umyślnie rozpuścił mnóstwo szpiegów, którzy namawiają ludność do powstania, broń nawet rozdają. Mówiono, że rząd czuje, jaką przeciw sobie obudził pogardę za mordowanie bezbronnych, że potrzebuje usprawiedliwić się przed oczami Europy, a usprawiedliwić tem, iż lud istotnie się buntuje i napada z bronią w rękę na wojsko. Było to dość zręcznie pomyślane i miało ten rezultat, że część rozgorączkowanej młodzieży uwierzyła temu, zwłaszcza, że nazajutrz rozpuszczono pogłoskę, jakoby patrole, straż bezpieczeństwa jak ją zwano, schwytała kilku ludzi z bronią w rękę i wydała ich władzom policyjnym. Jakkolwiek jednak pogłoski takie umyślnie były rozgłaszane, by ludność utrzymać w spokoju, natchnąć ją przekonaniem, że rząd pragnie wywołać powstanie, aby przy pomocy wojska krwawo je odrazu stłumić, że zatem obowiązkiem polskim jest nie czynić tego właśnie, czego rząd chce, przecież nie ulega kwestyi, że pewna liczba prowokatorów znajdowała się w mieście i kraju. Po większej części byli to dymisyonowani oficerowie wojsk rosyjskich, Polacy, których znaczna liczba została po kampanii krymskiej uwolniona z szeregów, i pędzili oni życie biedne, niezdolni do żadnych zajęć; element burzliwy, niespokojny, i gotowy rzucić się do wszystkiego, siać wichry i pioruny, byle swej nędznej egzystencji nadać cel jakiś. Nie byli to ludzie, którychby rząd płacił

za to, że podniecali młodzież do powstania; nie mieli oni żadnych związków z policją, ale byli niezadowoleni, patryoci skwaszeni życiem mizernym, zgoryczeni nędzą i brakiem celu. Jednego z takich, niejakiego Józefa Cywińskiego, schwytali w kilka dni później, d. 5 Marca w Piotrkowie uczniowie gimnazjum tamtejszego w chwili, gdy podmawiał ich do powstania zbrojnego. Wydany władzom rosyjskim, osadzony został w cytadeli warszawskiej.

Innego znowu, Stanisława Krupskiego, podobno ajenta austriackiego, przyaresztowała sama policja, jeszcze w d. 25 Lutego w chwili, gdy przylepiał na ulicy ułożoną przez siebie proklamacyą, wzywającą do zbrojnego wybuchu³⁵.

Aresztowanie Krupskiego w Warszawie i innych prowokatorów, zdania, obiegające między młodzieżą szkoły sztuk pięknych o konieczności chwyceńia za oręż, świadczyły, że natychmiastowe powstanie w Warszawie jest możliwym, jest pożądanem dla niektórych państw, jest straszmem bezwarunkowo niebezpieczeństwem, wiszącym nad głową narodu. Delegacja więc musiała natężyć wszystkie siły, używać całego swego wpływu moralnego, by utrzymać miasto i kraj w spokoju.

Taki był stan umysłów w mieście, gdy przedpołudniem 28 Lutego, deputacja, złożona z arcybiskupa Fijałkowskiego, Andrzeja hr. Zamoyskiego, Władysława hr. Małachowskiego, Kronenberga i Szlenkiera, oddała w Zamku adres księciu Gorczakowowi, zaopatrzony w kilkanaście tysięcy podpisów, które miano jeszcze przez parę dni zbierać na osobnych arkuszach i w miarę kompletowania wręczać je namiestnikowi dla dołączenia do adresu. Sam adres odbito w tysiącu egzemplarzy w litografii Towarzystwa kredytowego ziemskiego dla rozesłania po kraju, ale dowiedziawszy się o tem prezes Towarzystwa, Białoskórski, cały ten nakład skonfiskował.

W gazetach wydrukować go nie pozwolono, co było błędem, wynikiem ciasnego, biurokratycznego poglądu na rzeczy, gdyż w braku możności opublikowania adresu drogą dziennikarską, zmuszono jego autorów do rozpowszechnienia go drogą tajną. Jakoż dziesiątki tysięcy egzemplarzy pisanych lub litografowanych rozbiegło się po całym kraju. Również błędem było rozesłanie przez Gorczakowa okólnika w parę dni później do różnych dykasteryi, w którym zabraniał urzędnikom podpisywania się na adresie; a gubernator

35 Podwysockij w swoich „Zapiskach oczewidca”, potwierdza to, że Krupski był ajentem austriackim. Władze austriackie jednak temu zaprzeczały. W raporcie konsula austriackiego w Warszawie, przesłanym do Wiednia, do ministeryum, nazywano Krupskiego „burzycielem, który się powoływał na upoważnienie rządu cesarsko-austriackiego” (ein Aufwiegler, der sich auf ein Mandat der Kaiserlich-österreichischen Regierung beruft). Krupski był studentem uniwersytetu Jagiellońskiego; zesłany na Sybir, pojawia się w r. 1863 w tak zwanej „sprawie kazańskiej”.

augustowski Ferzen głośno się odgrażał, że każdego, kto podpisze, każe aresztować. Nie zapobiegło to jednak, że liczba podpisów dosięgła blisko 20 tysięcy, i ustało ich zbieranie wtedy dopiero, gdy Gorczakow wyraźnie tego zakazał, co wszystko, nie zapobiegając samemu faktowi, drażniło mocno i tak już rozdrażnioną ludność.

Gorczakow, otrzymawszy adres z rąk Fijałkowskiego, okazał widoczne załopotanie. Długo, namyślając się, trzymał pismo w ręku, aż wreszcie rzekł: „adresu przyjąć nie powinienem, ale... zobaczymy”, i podniósłszy dokument do swych maleńkich oczów, począł go czytać. Przeczytał go raz, ale wzruszenie snadź nie pozwoliło mu go zrozumieć, bo czytać począł powtórnie, a ustęp, w którym jest mowa o braku zaufania do rządu, głośno powtórzył, poczem rzekł tonem urywanym, pełnym wahania: „adresu przyjąć nie powinienem, ale... go przyjmuję... biorę przez to na siebie wielką odpowiedzialność... i zapewniam panów, że go dzisiaj jeszcze do Petersburga odeślę i poprę o ile możliwości”. Nie odesłał jednak zaraz, ale natomiast doniósł o tem cesarzowi drogą telegraficzną. Adres ten nazwał on prośbą, mieszczącą w sobie „wyrażenia ogólne, bardzo liberalne, dążące do nadania Królestwu Polskiemu rozmaitych praw”. Twierdził, że petenci oświadczyli mu, iż przedłożenie tej prośby monarsze, dopomoże nie mało do uspokojenia umysłów, zaręczał nakoniec, że w mieście jest spokojnie. W odpowiedzi na to, tegoż jeszcze wieczoru (28 Lutego), cesarz telegrafował do namiestnika, że „jeżeli prośba rzeczywiście jest tej treści, o jakiej wspominał Gorczakow, to nie należało jej przyjmować. W każdym razie, kończył swą depezę Aleksander, teraz nie czas na ustępstwa i ja nie dopuszczę żadnych”.

Te słowa cesarskie, świadczące, że w Petersburgu nie myślano o żadnych ustępstwach dla Królestwa, że chciano dalej prowadzić politykę surowości, utrzymać despotyzm militarny, sprawiły, że Gorczakow wpadł w jeszcze większe pomieszenie. I tak już niezdecydowany, niepewny czego się chwycić, jaką drogą postępować, znalazł się nagle pod naciskiem dwóch prądów, jednego idącego z Petersburga, drugiego z miasta, które nim miotają, jak liściem zeschniętym miota wiatr jesienny. Tam polecano mu surowość, tu domagano się ustępstw, grożąc, że w przeciwnym razie może wybuchnąć powstanie, powstanie straszne, które krwią zaleje ulice Warszawy, tą krwią, o której mówił Potocki, że rdzawą plamą legnie na czystym dotąd herbie Gorczakowów. Dla każdego umysłu, dla każdego charakteru położenie było bardzo przykre i bardzo śliskie, a cóż dopiero dla tego chorego starca, dla tej duszy poczciwej, ale miękkiej. Chodził jak błędny po salach zamkowych, łamał ręce i nie wiedział, czego się chwycić, jak postąpić. Nazajutrz d. 1 Marca, ten brak decyzji szersze musiał koniecznie przybrać rozmiary, wobec ponownego telegraficznego roz-

kazu cesarza, ażeby namiestnik „prośbę” zatrzymał, jeżeli jeszcze nie wysłana. „Proszę działać ze spokojem i energią, pisał mu cesarz; żadnych zgoła ustępstw nie mam zamiaru czynić”. Wobec tego Gorczakow coraz bardziej się chwiał, coraz więcej tracił konieczny w tak ważnych chwilach spokój i przytomność ducha. Raz wpadał w gniew, postanawiał chwycić się surowych środków, polecał naczelnikowi swej kancelaryi Kozaczkowskiemu zreagować ogłoszenie o zaprowadzeniu w mieście i kraju stanu oblężenia, to znowu miękł i drżał w obawie przed grożącym jakoby powstaniem w Warszawie. Wieści o tem dnia 1 Marca przybierały coraz szersze rozmiary, coraz częściej dochodziły do Zamku. Mówiono, że jutrzejszy pogrzeb pięciu poległych będzie tylko pretekstem do zebrania znacznych mas ludności, że w czasie tego pogrzebu wybuchnie powstanie; że rzeźnicy przybędą z toporami pod ubraniem, robotnicy z Solca stawią się także z bronią, z siekierami, nożami, z czym kto będzie mógł; że ze Starego Miasta, z nadwiślańskich dzielnic, z okolic podrogatkowych, siedliska ubogiej ludności, wylegną posępne tłumy straceńców, które rzucą się na koszary, na Zamek, na cytadelę...

Wieści te wydawały się staremu namiestnikowi, który w swem życiu partrzał na tyle krwi, na tyle gromów i trupów, tak prawdopodobnemi, że wezwał do siebie jednego z zaufanych oficerów i wręczył mu dwie szkatułki z rozkazem zanieśienia ich do cytadeli i oddania komendantowi, któremu miał polecić staranne ich przechowanie aż do czasu, gdy ich namiestnik znów zażąda. Objął przytem oficera, co się w szkatułkach znajduje. Fakt ten, który nie mógł ujść argusowych oczów różnych jenerałów i świty, kręcącej się ciągle po Zamku, wywołał wśród nich formalny popłoch. Za przykładem swego zwierzchnika poszedł zaraz szef sztabu głównego, Kotzebue, i wręczył także temu samemu oficerowi jakieś paczki. Jenerał-gubernator Paniutyn wysłał do cytadeli dwa ogromne kufry; ogółem około dwudziestu najwyższych dygnitarzy na gwałt oddawało pod ochronę wałów i dział twierdzy swe majątki i kosztowności. Popłoch ten ciągle wzrastał do takich rozmiarów, że w końcu kazano kasy wojskowe i ważniejsze papiery przenosić do cytadeli. Na noc zamykano na głucho wszystkie bramy w Zamku i klucze od nich odnoszono do rąk samego namiestnika. Zarząd intendenty wojskowej odebrał z Banku polskiego złożone tam do depozytu 600,000 złp. Nawet szaniec fortecy poleciono obstarwić wojskiem i wszystkie działa nabić, a Gorczakow żonę i rodzinę swoją co prędzej wyprawił do Drezna.

Tymczasem, gdy w Zamku wahano się ciągle, przechodzono od zamiarów ustępstw do projektów surowości, gdy raz wpadano w niczem nie usprawiedliwioną odwagę, drugi raz w takiż sam popłoch, miasto powoli przybierało uroczyście, na pół świąteczny, poważny charakter. Od samego rana tłumy lud-

ności dążyły do kościoła św. Krzyża, żeby popatrzeć na pięć trumien, pokłonić się ofiarom, pomodlić się za ich dusze. Kobiety w głębokiej żałobie, z książkami do nabożeństwa w rękach, starcy, dzieci, wszystkie stany, bogaci i ubodzy, szlachta i rzemieślnicy, wszystko to płynęło jak fala czarna, poważna, posępna do kościoła, gdzie Chrystus w portyku dźwigał krzyż i zdawał się wołać kamiennymi usty: w górę serca! Kościół, ogromny, surowego stylu gmach, czarny i ciemny, napełniony był nieustannie tłumem, w którym słychać było tylko szept modlitwy i łkania spazmatyczne kobiet. Nieraz poważne, surowe, wąsate twarze starych wiarusów, którzy widzieli jeszcze hiszpańskie Sierry, lipski bój, krwawe niwy Grochowa i Ostrołęki, ukazywały się zalane łzami... Straż bezpieczeństwa, przeważnie z młodzieży szkolnej złożona, porostawiana była w kościele i zewnątrz niego dla zachowania porządku. Wpuszczano odwiedzających bocznymi od dziedzińca drzwiami, a wypuszczano przez główny portal na ganek kamienny z posągiem Chrystusa.

Wśród tego wszystkiego pewna część delegacji miejskiej, uorganizowawszy się w osobny Komitet, zajmowała się ułożeniem programu jutrzejszego pogrzebu. Chciano go mieć możliwie wspaniałym i uroczystym. Składki wciąż na ten cel płynęły na ręce kasyera Komitetu, Jakóba Piotrowskiego. Prócz tego po znaczniejszych sklepach powywieszano kartki z napisem; „tu przyjmują się ofiary na pogrzeb poległych d. 27 Lutego”. Pokup na oznaki żałoby, na czarne krzyżyki, na kolczyki i ozdoby kobiece z lawy, był ogromny. Jakaś nieznamoma dama złożyła u jednego z kupców na Krakowskim Przedmieściu znaczny stosunkowo fundusz na godła żałobne, które rozdawano darmo, kto ich tylko zażądał. Wszystkie szwalnie, wszystkie nieomal kobiety zajęte były przygotowaniem na dzień jutrzejszy żałoby. Smutek, wielki, rzewny smutek leżał na całym mieście. Mówiono sobie, że nie pięć, ale kilkanaście osób poległo, lecz że trupy policja zdołała usunąć. Rozpuszczono pogłoskę, której wszyscy dawali wiarę, że pod Bielanami wyrzuciła Wisła kilka trupów, pod Zakroczymiem wyłowiono kilka ciał w słomę owiniętych, ze śladami ran od kul. Wszystkie te pogłoski drażniły ludność, nie umiejacą rozróżnić prawdy od fałszu, płakano, obiecywano pomstę, obrzucano klątwami dziki, barbarzyński, „mongolski”, jak mówiono, rząd, który morduje bezbronnych.

Gdy się to dzieje, Czerwienny, a głównie Majewski, przemyślał nad tem, by skorzystać z przyjaznych, jedynych okoliczności, i dążności rewolucyjne utrwalić na takich podstawach, któremiby już żadna późniejsza represja rządu wstrząsnąć nie mogła. Szło mianowicie o zrewolucjonizowanie całego kraju, o „obudzenie w nim ducha”, jak mówili. Wysławszy w tym celu agentów na prowincję pod pozorem uwiadomienia kraju o wypadkach warszawskich i zaproszenia go na pogrzeb, wysyłali ich jeszcze ciągle w różne strony, pod

innymi, rozmaitymi pozorami, jak np. dla zbierania podpisów na adresie do cesarza. Ci ajenci, przeważnie młodzież ucząca się i zrewolucjonizowana do szpiku kości, wpadali jak zarzewia pożaru w ciche, senne, leniwy i ospały żywot pędzące nasze miasteczka. Tu i owdzie, zwłaszcza bliżej Warszawy, przy drogach bitych, po których szła codzienna, regularna komunikacja ze stolicą, ajenci zastawali już wieści o katastrofie 27 Lutego, które zdołały ich uprzedzić. Wieści te, przez jedno z tych osobliwszych zjawisk, jakie zawsze spostrzegać się daje, ilekroć gdzieś ważny, wszystkich interesujący zajdzie wypadek, piorunem, rzecz można, rozbiegły się po kraju, robiąc wszędzie potężne, wstrząsające wrażenie; a rozchodząc się coraz dalej promieniami, pantoflową pocztą, powtarzane z ust do ust, przybierały nieraz bajeczne, niepodobne do uwierzenia rozmiary. Prawie wszędzie po miastach mieszkańcy gromadami wychodzili na drogę o oznaczonej godzinie, w której miała przybyć poczta z Warszawy, oczekując w naprężonym niepokoju na wiadomości ze stolicy, po większej części kłamliwe, a zawsze przesadzone. Wywoływały one powszechne oburzenie; budziły patryotyzm uśpiony. To też, gdy zjawiali się tu ajenci Czerwieńców, znajdowali materiał gotowy, bogaty i niezmiernie podatny. Dziesiątki, setki, tysiące, cała, jednym słowem, organizacja, oddawna już w Warszawie i Kijowie, między młodzieżą akademicką wypróbowana, rosła jak na drożdżach i zapuszczała tak silne korzenie, że przetrwała wszystkie późniejsze burze i wstrząśnienia. Ajenci ustanawiali wszędzie rodzaj zwierzchnich komitetów, którym kazali się znosić z Warszawą, szepcząc tu i owdzie z tajemniczą miną, że na czele całej organizacji w stolicy, stoi jakaś poważna, wybitna i rozumna osobistość, której nazwiska jednak wymienić nie mogą, dla powodów łatwych do odgadnięcia. Wszystko to, ten spisek pełen tajemnicy, ten urok walki podziemnej z najazdem, ogarniał z niezmierną łatwością głowy mieszczanstwa, klasy urzędniczej, adwokatów, lekarzy, inżynierów, budowniczych, warstw, wędług starożytnego wyrażenia, ciekawych nowości, niezadowolonych z siebie i innych, demokratycznie i czerwono usposobionych. Jednym słowem, śmiało rzecz można, że w ciągu Marca 1861 r. organizacja ogarnęła prawie wszystkie miasta Królestwa, tu i owdzie nawet sięgnęła na wieś, do szlachty i ludu³⁶.

36 Są ślady, że w tym czasie, w Lutym lub Marcu 1861 r. pod wpływem, jak się zdaje, Mirosławskiego, uorganizował się we Lwowie pewien rodzaj Rządu narodowego, na czele którego stał Dobrzański, późniejszy redaktor „Gazety Narodowej”. Faktem jest, że jeden z oficerów wojsk austriackich, konsystujących w twierdzy związkowej niemieckiej, Rastadzie, otrzymał w imieniu Rządu narodowego rozkaz ze Lwowa, z poleceniem wręczenia go generałowi brygady i kolegom Polakom. W rozkazie tym samozwańczy i tajemniczy rząd rewolucyjny lwowski, domagał się, by Polacy opuścili natychmiast służbę austriacką, udali się do Lwowa lub miejsc urodzenia i tam oczekiwali rozkazów dalszych. Przytem uprzedzano ich, że we właściwym czasie wezwani będą do pełnienia służby w wojsku narodowym.

W samej Warszawie Majewski i jego pomocnicy niemniej gorliwie zabrali się do dzieła. W wigilią pogrzebu pięciu ofiar, a więc w parę dni po wypadkach 27 Lutego, zebrali posiedzenie gremialne Kółka akademików, uczniów szkoły sztuk pięknych i Marymontczyków, w teatrze anatomicznym przy szpitalu Dzieciątka Jezus, i tu najprzód zajęli się przywróceniem jedności w samym Kole, które od czasu sprawy akademickiej w 1859 r. rozpadło się było na dwie części, na mocno czerwonych i umiarkowanych, zwanych inaczej „białymi”. Pod wpływem wypadków, które tak głęboko wstrząsnęły umysłami, które wywołały powszechne poczucie potrzeby skupiania się i jedności, pogodzone się wśród łez, przysiąg, zakłęk, rzucania się sobie w ramiona. Gdy to nastąpiło, zajęto się debatami nad uorganizowaniem miasta. Podzielono całą Warszawę na sekcy, rozdano je między siebie i zalecono sobie wiązać w dziesiątki i setki rzemieślników, robotników, tę liczną, rojną klasę ludu warszawskiego, która okazywała tyle patryotyzmu i tyle gorączki. Wszelka łatwość była teraz potemu. Policja, cofnięta z ulic, nie mogła przeszkadzać, a konstable narodowi, złożeni z akademików lub przez nich kierowani, mieli tysiące sposobności zetknięcia się z ludem i chwytania go w sieć organizacji rewolucyjnej. Jakoż w Warszawie to samo zjawisko się okazało, co i na prowincyi. Organizacja tajna wznagała się z każdą chwilą i na silnych opierała się fundamentach. Te to dni, te „polskie czasy”, jak tradycyjnie długo potem lud warszawski nazywał epokę czterdziestodniowej, że tak powiemy, nieobecności rządu, dały podstawy, wytworzyły istotną organizacją rewolucyjną.

Niemniej ciekawe, choć nie dość jasne, znajdujemy napomknienie w książce Z. Miłkowskiego p. t. „W Galicyi i na Wschodzie — przyczynek do dziejów powstania 1863”. (Poznań, 1880). Na str. 1 tego dzieła czytamy: „w miesiącu Wrześniu 1859 r. wyjechałem z Paryża w zamiarze przygotowywania powstania. Wyjechałem w charakterze członka Komitetu, który, oprócz mnie, składał się z generała Wysockiego i z pp. Seweryna Elżanowskiego, Józefa Ordęgi i Wincentego Mazurkiewicza. Do Komitetu tego, zawiązanego pod naciskiem przebywającej podówczas tłumnie w Paryżu, a domagającej się działania powstańczego, młodzieży krajowej, odnieść należy początek myśli, która wywołała samodzielną w Polsce organizacją”. Odsyłając czytelnika po bliższe, jakkolwiek bardzo skąpe, szczegóły do wymionionej książki, zaznaczyć tu jednak musimy, że ze wzmianki tej wyprowadzić należałoby wniosek, iż o wybuchu zbrojnym emigracja już myślała w r. 1859 i robiła do niego przygotowania.

Wniosek ten do pewnego stopnia potwierdza obszerny list Narcyzy Żmichowskiej do Seweryna Elżanowskiego z d. 4 Października 1859 r. List ten (patrz „Listy Narcyzy Żmichowskiej do rodziny i przyjaciół. Kraków, 1885. II, 23—45”) jest odpowiedzią na żądanie Elżanowskiego, by Żmichowska przygotowywała kraj do powstania i zawiązała Komitet. Żmichowska, wygłaszając program powolnego rozwoju społecznego, który był programem Millenerów, stanowczo oparła się temu żądaniu. „Na spiskowe działania już nie czas, pisała, na sprzysiężenie powstańcze zawczasie”.

Wśród takich to działań, takiej agitacji i odgłosów dalekiej jeszcze, ale bądź co bądź zbliżającej się i widocznej burzy, Komitet zajmował się przygotowaniem do jutrzejszego pogrzebu pięciu ofiar, pogrzebu, który miał być nie czem innym, tylko także wielką, majestatyczną manifestacją polityczną, uorganizowaną spokojnie i obmyślaną dobrze.

Wieczorem tegoż dnia (1 Marca) ogłoszono po gazetach program uroczystości jutrzejszej³⁷, i z powodu wciąż powtarzających się pogłoski o gotującym się powstaniu, pogłoski, które tak przerażyły Gorczakowa i jego otoczenie, delegaci kazali wydrukować i rozlepić po rogach ulic odezwę, w której zapowiadali, że kto podczas pogrzebu ukaże się na ulicy z bronią w ręku, uważany będzie za zdrajcę kraju. Przez całą noc gęste patrole, złożone z konstablów narodowych, przebiegały ulice, aresztując wszelkie podejrzane osobistości

37 Program ten brzmi, jak następuje: „jutro o godz. 10-tej rano odbędzie się eksportacja zwłok ofiar poległych d. 27 b. m. z kościoła górnego św. Krzyża na cmentarz Powązkowski. Program tej eksportacji jest następujący: orszak żałobny wyruszy z kościoła po odprawionem nabożeństwie i postępować będzie ulicami: Krakowskim Przedmieściem, Saskim placem, Wierzbową, Bielańską, Nalewkami i t. d. Rozpoczną orszak: sieroty i starcy warszawskiego Towarzystwa dobroczynności, za nimi postępować będą uczniowie szkół tutejszych, z kolei cechy z chorągwiami żałobnymi i światłem jarzącem, dalej duchowieństwo. Poza duchowieństwem niesione będą ciała zmarłych, a za temi postępować będą przed karawanami duchowni wyznania Mojżeszowego, w właściwych ubiorach i stosownie do swego obrzędu z nakrytymi głowami. Jakkolwiek spodziewany jest spokój i porządek przy tak uroczystym i smutnym obrzędzie, wszelako dla tem większej rękojmi utrzymania tegoż porządku, Delegacja miasta i Komitet, zajmujący się pogrzebem, przy pomocy dobranych osób i młodzieży z Akademii medycyny, ze szkoły sztuk pięknych i Instytutu agronomicznego, czuwać będą nad pochodem całego tego orszaku. Wzywa się przeto wszystkich, dobra kraju pragnących, ażeby: 1) obywateli szarfą żałobną na lewym ramieniu odznaczonych; 2) akademików; 3) uczniów szkoły sztuk pięknych; 4) uczniów Instytutu agronomicznego, we wszelkich rozporządzeniach porządkowych, stanowczo słuchać zechcieli zarówno przy samym pogrzebie, jak i przy powrocie do domów. Obok tego uprasza się jak najusilniej publiczność, aby nie gromadziła się zbytecznie w jednych miejscach, lecz zechciała się zbierać już to na obszerniejszych a przyległych placach, już na chodnikach wzdłuż całej linii, którą orszak żałobny postępować będzie, tak dla nietańmowania pochodu, jako też dla tem większej własnej dogodności.

Ofiary poległe w d. 27 b. m., których pogrzeb odbędzie się jutro, są następujące: Marceli Karczewski obywatel ziemski, lat 56, z powiatu Sieradzkiego, Zdzisław Rutkowski, lat 23, obywatel ziemski z Jaszowic, z gubernii Radomskiej, Adamkiewicz, Karol Brendel, rzemieślnik przy warsztatach fabryk żelaznych i uczeń Arcichiewicz. Od dziś rana zwłoki tychże wystawione zostały w kościele św. Krzyża.

Delegacja obywateli uprasza, aby w dniu jutrzejszym uroczystego pogrzebu uprzątnięte i oczyszczone były wszystkie ulice, któremi orszak przechodzić będzie, mianowicie: od św. Krzyża placem Saskim, Wierzbową, Bielańską, Nalewkami ku cmentarzowi Powązkowskiemu. Właściciele wozów zechcą nawieść piasku za wynagrodzeniem, jakie kto zażąda.

Warszawa, d. 1 Marca 1861 r.”

i oddając je w ręce policji rządowej. Dla patroli tych urządzono w niektórych domach rodzaj bufetów, w których mogły podczas uciążliwych spacerów po mieście, wśród nocy długiej i chłodnej się posilić. W pałacu Krasieńskich, z rozporządzenia pani domu, przez całą noc w salonie stał samowar i przekąski. Młodzież w ogóle bardzo gorliwie i bardzo energicznie pełniła swą służbę czuwania nad bezpieczeństwem publicznym. Znowu miano schwytać kilku ludzi z bronią w ręku. Obawa przed możliwością powstania była tak silna, że jeden z najpopularniejszych członków Delegacji, zdaje się Dr Chałubiński, osobiście udał się na Solec, gdzie najliczniej mieszkała klasa robotnicza i rzemieślnicza, by ją uspokoić i wpłynąć na nią, żeby zaniechała wszelkich zamiarów rewolucyjnych.

Nakoniec zajaśniał poranek dnia 2 Marca. Dzień był słoneczny, ciepły, jasny, śmiejący się wszystkimi urokami młodej wiosny, „jak gdyby Bóg promień miłosierdzia rzucił na biedny nasz kraj, że użyjemy wyrażenia jednej ze współczesnych relacji. Od samego świtu, ledwie słońce weszło, tłumy zaległy ulice, któremi miał przechodzić orszak pogrzebowy, zwłaszcza Krakowskie Przedmieście w pobliżu kościoła św. Krzyża, gdzie znajdowały się trumny pięciu ofiar. Wszyscy byli w miarę swej możności w grubej żałobie; kobiety ubrane w długie, czarne zasłony, nadawały całości charakter smutny i melancholijny. Sklepy prawie wszędzie pozamykano, dorożki i wozy nie pokazywały się na ulicach, domy, balkony przystrojono w czarne flagi, w takież kobierce, zwykle z krzyżem białym na środku, z obwódkami białymi u brzegu. Miasto było ciche i robiło niewypowiedziane silne wrażenie przez swój wygląd smutny, żałobny, jakkolwiek tu i owdzie przeglądała pewna teatralność, pewna dążność do wywołania efektu, tak właściwa ludności warszawskiej. Ruch na mieście był ogromny. Tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi dążyło w głębokim milczeniu ku kościołowi św. Krzyża. Wszędzie panowała poważna, uroczysta cisza i porządek był wzorowy. Gęsto rozstawieni konstable narodowi z przepaskami żałobnymi na rękach, w liczbie tysiąca pod wodzą Leona Trzetrzevińskiego, zapobiegali wszelkiemu zamieszaniu. Cechy rzemieślnicze, skupione pod swe chorągwie owinięte krepą, licznymi gromadami śpieszyły ku kościołowi, by przyjąć udział w pogrzebie. Nastrój był taki, obawy tak wielkie, że rząd skorzysta z nagromadzenia się ludności i zrobi wśród niej rzeź, że wiele osób w tym dniu, idąc na pogrzeb, spowiadało się i komunikowało jak przed śmiercią. Mnóstwo pogłosek obiegało wśród tłumu. Nie wierzono w pozorną bezczynność władzy; mówiono, że rząd chce wywołać rewolucją, że konstable narodowi ciągle chwytają szpiegów z bronią w ręku i oddają ich policji za pokwitowaniem.

Tymczasem w kościele za dusze poległych biskup sufragan Dekert, „dziecię Warszawy”, trzymany niegdyś do chrztu przez cały naród w osobie marszałka

sejmu czteroletniego, odprawił uroczystą, pontyfikalną mszę, podczas której na chórze odśpiewano *requiem* Stefaniego, pod dyrekcją Apolinarego Kątskiego. Śpiewał instytut muzyczny, oraz najlepsi artyści opery, jak: Dobrski, Matuszyński, Troszel, Stolpe i Keller. Kościół był rzeźsicie oświecony, koło trumien gorzało mnóstwo światła, zieleniały wieńce i kwiaty. Cała, ogromna świątynia była przepelnioną, a koło samych trumien stały rodziny poległych, o ile oczywiście te się zgłosiły. Nastrój był niezmiernie uroczysty i rozrzewniający.

Po mszy stary, siwy, przygarbiony arcybiskup Fijałkowski, ubrany w purpurę i złoto i w infułę biskupią, otoczony tłumem duchowieństwa, pobłogosławił ciała poległych wśród głośnego płaczu w kościele i punktualnie o godzinie 10-tej rano rozwarły się drzwi główne na oścież i kondukt pogrzebowy ruszył. Sam arcybiskup szedł na czele, mając po bokach dwóch biskupów, Dekerta i Platera, za nimi długi szereg duchowieństwa. Szli tu w fioletach kanonicy archikatedralni, szli księża w białych komeżkach, cała młodzież akademii duchownej, zakony w swych charakterystycznych, średniowiecznych habitach, bernardyni, brodaci kapucyni, reformaci, karmelici i kameduli biało ubrani, dominikanie w swych płaszczach żałobnych. Gdy wyniesiono na barkach ubiegającej się o to młodzieży pięć trumien, cały orszak począł się odpowiednio szykować. Środek ulicy był zupełnie pusty, publiczność tłoczyła się na chodnikach, powstrzymywana przez łańcuch, jaki utworzyli, trzymając się za ręce, mężczyźni. Stosownie do programu, ułożonego przez Komitet pogrzebowy, orszak rozpoczynały długie rzędy sierot i starców, utrzymywanych przez Towarzystwo dobroczynności, w jednakowych, szarych strojach, pod nadzorem siostr miłosierdzia, których wielkie czepce białe widne były zdaleka. Przed nimi atoli ukazał się na samem czele, na koniu, w pełnym swoim mundurze, w hełmie na głowie, jenerał Paulucci, którego „zyczliwie witano”, jak pisze jedna z gazet współczesnych, a za nim posuwał się oddział straży ogniowej, t. z. strażaków, ulubieńców miasta, ubranych odświętnie, w błyszczących kaskach z herbem syreny, pod wodzą swego brandmajstra. Paulucciemu, dla uchronienia go od możliwych bardzo zniewag ze strony rozdrażnionej ludności, dano do boku Karola Ruprechta, który przez cały pogrzeb szedł obok naczelnika policyi. Za sierotami postępowali uczniowie wszystkich szkół, akademicy, szkoła sztuk pięknych, instytut agronomiczny z Marymon-tu, szeregami, przez całą szerokość ulicy, trzymając się za ręce. Po nich posuwały się czarno ubrane, z zapalonemi świecami w rękach, bractwa wszystkich kościołów, długi rząd mężczyzn i kobiet. Z ulicy Królewskiej, gdzie oczekiwały na orszak, wysunęły się teraz wszystkie cechy warszawskie ze swemi chorągwiami w krepę owiniętymi. Dobyto nawet, schowaną od r. 1831 w magistracie, chorągiew jubilerów, na której, na czerwonym tle, błyszczał

orzeł biały, teraz pokryty kirem. Po cechach szło duchowieństwo. Arcybiskup, odprowadziwszy orszak do rogu ulicy Królewskiej, siadł do karety, a kondukt pogrzebowy wiódł już Plater, sufragan łowicki. Zaraz po nim, oddzieleni tylko grupą członków Towarzystwa rolniczego, wśród których widziano chłodną postać Andrzeja hr. Zamoyskiego, posuwali się w swych togach i biretach na głowie superintendenci wyznań protestanckich, luterni: Ludwigo, i kalwiński: Spleszyński, otoczeni kilku pastorami. Trumny, pięć czarnych trumien, nieśli na swoich barkach, szlachta: rzemieślników, rzemieślnicy: szlachtę. Kobiety chciały także nieść trumny, ale dano im olbrzymi wieniec cierniowy, „godło zwycięstwa i niewinności”, który ostentacyjnie dźwigały. Do niesienia trumien przez całą drogę nacisk był ogromny ludzi wszelkich stanów i wyznań. Każdy się dobijał, by ofiarom narodowym, jak mówiono, cześć oddać.

Za trumnami jechało pięć próżnych karawanów, a za nimi, stosownie do swego obrzędu, nadrabini Beer Mayzels i Dr. Jastrow, w lisich czapkach na głowie, postępując z powagą uroczystą. Za nimi dopiero tłoczyły się gęste masy publiczności, z odkrytymi głowami, w głębokim skupieniu ducha. W tłumie spostrzegano grupę druciarzy, w ich charakterystycznych strojach góralskich. Cisza była i porządek zupełny. Słyszał się tylko melancholijny śpiew duchowieństwa i jęk dzwonów, bijących skargą ku niebu ze wszystkich dzwonnicy warszawskich. Liczbę ludzi znajdujących się na pogrzebie oceniano na 100 do 160 tysięcy, który to rachunek nie zdaje się być zbyt przesadzonym z tego względu, że, gdy na cmentarz wchodziło czoło orszaku, koniec jego zajmował jeszcze ulicę Bielańską.

Wojska i policji nigdzie nie było. Gorczakow przez rozkaz dzienny jak najsurowiej zabronił ukazywania się w ten dzień na ulicach żołnierzom i oficerom. Między tymi ostatnimi z tego powodu powstało silne oburzenie; mówili głośno, że „namiestnik poddał Warszawę Polakom”. Jednakże w czasie przejścia orszaku przez plac Saski, wojsko na odwachu będące wystąpiło, sprezentowało broń, a doboż bił w bęben, salutując pogrzeb. Na dachach ratusza i arsenału drobne gromadki policji i wojska ciekawie przypatrywały się tej olbrzymiej, niewidzianej dotąd manifestacji. Lud, spostrzegłszy ciekawych, pokazywał ich sobie palcami i śmiał się z nich dobrodusznie. Wszędzie balkony i okna pokryte były flagami żałobnymi, na których obok krzyża pojawiały się teraz wieńce cierniowe i palmy.

Orszak pogrzebowy posuwał się ulicami w programie oznaczonymi t. j. placem Saskim, Wierzbową, Bielańską, Nalewkami i t. d. na Powązki, wśród największego porządku i uroczystej, niczem nie zakłóconej ciszy. W chwili, gdy z pierwszą trumną wchodziło na cmentarz, słońce, które przez cały czas pochodu jasno świeciło, okryło się nagle chmurą i przyćmienie to trwało dopó-

ty, dopóki ostatniej trumny nie przeniesiono na miejsce wiecznego spoczynku. Bardzo naturalne to zjawisko obserwowane było przez wszystkich obecnych z natężoną bacznością; w mistycznym usposobieniu widziano w tym znak, palec Boży, płacz całej przyrody nad niedolą polską. Takie to brednie plątały się po głowach ówczesnych; powtarzane były przez pisma publiczne, które twierdziły, że wydarzenie to ze słońcem „niewysłowiony urok rzuciło”.

Na cmentarzu, nad pięciu wykopanymi grobami, artyści opery i uczniowie instytutu muzycznego, odśpiewali marsz Nideckiego, przy współudziale kilkuset osób³⁸, a uczniowie różnych zakładów naukowych rozdawali wśród tego fotografie poległych, cząstki wieńców cierniowych i kawałeczki płótna, zmazane w „niewinnej krwi” zabitych. Nad pięciu ciałami usypano pięć mogił, które stały się odtąd celem nieustannej pielgrzymki Warszawian, dopóki później, w czasach reakcji rządowej, mogił tych nie zrównano z ziemią. Wtedy jednak, zaraz po pogrzebie, zasypano je literalnie wieńcami i kwiatami, które utworzyły istne góry, drogiej jeszcze w tej porze i rzadkiej zieleni. Wśród płaczu, przeklinania, „barbarzyńców Moskali”, tłum począł wracać do miasta. Obawiano się, że w stanie podniecenia, w jakim znajdowała się ludność Warszawy, w powrocie tym mogą nastąpić jakieś nieporządki i ekscesa. W tym celu, za staraniem komitetu pogrzebowego, starsi zgromadzeń rzemieślniczych powołali pod cechowe chorągwie wszystkich swoich, zwłaszcza młodzież; nad resztą zaś bacznie czuwała policja narodowa tak, że ten liczny, stutysięczny, rozdrażniony mocno tłum rozchodził się spokojnie i cicho. Na ulicy Wierzbowej tylko zerwano afisze teatralne na znak, że teraz nie czas na rozrywki.

Jakoż zapowiedziane przedstawienie w obu teatrach odwołano, a nazajutrz, w niedzielę, sale teatralne świeciły przerażającymi pustkami, wśród których garść oficerów i urzędników rosyjskich spoglądała na siebie nieco zdziwiona i nieswoja. Poza tem zachowano się spokojnie i z godnością. Względem żydów, których zresztą współudział w pogrzebie był bardzo nieliczny, i w dzielnicy Nalewkowskiej, zamieszkałej prawie wyłącznie przez nich, masa chałatowego żydostwa ciekawie ale obojętnie przypatrywała się olbrzymiej manifestacji, przesuwałej się w pochodzie uroczystym przez ich ulice, starano się usilnie zachować uprzedzającą grzeczność, okazywać miłość i braterstwo. Zdarzyło się, że na ulicy Gęsiej, dziecko żydowskie, znalazłszy się wypadkiem w samym

³⁸ W niektórych relacjach współczesnych jest wzmianka, że nad grobem poległych miał mówić ks. Mikulski. W rzeczy zaś samej tak nie było. Ks. Mikulski istotnie zamierzał wygłosić mowę pogrzebową i przygotował ją nawet, ale policja stanowczo się temu oparła. Mowy tej w oryginale nie znamy. Podał ją w przekładzie rosyjskim Podwysockij w swych „Zapiskach”.

środku dążącej za pogrzebem masy ludności, przestraszyło się i poczęło płakać. Otoczono je, uspokojono łagodnymi słowy i odprowadzono do domu.

Takim był ten pogrzeb, ta wielka rozmiarami i majestatem demonstracja polityczna, stanowiąca punkt zwrotny w dziejach tej epoki, poczynająca te „polskie czasy”, o których tradycja długo potem krążyła wśród ludu warszawskiego. Jakkolwiek manifestacja ta nosiła z wielu względów sztuczny, teatralny charakter, wyraźne znamię wywołania efektu scenicznego przez zgromadzenie pastorów luterskich, rabinów żydowskich, druciarzy i t. p., przecież swą wielkością, swą ciszą, swym majestatem powagi, zrobiła ona nawet na najchłodniejszych umysłach potężne, niezatarte nigdy wrażenie. Naoczni świadkowie pogrzebu, pisząc lub mówiąc o nim, wyrażają się zawsze z entuzjazmem, z pewnym rzewnym uczuciem słodkiego, bolesnego i wspaniałego zarazem wspomnienia, z którym się nic porównać nie da, którego żaden opis nie odmaluje, które trzeba było widzieć, żeby mieć o niem wyobrażenie. Gazety ówczesne, które albo w ten dzień ukazały się w żałobnych obwódkach, albo, jak nader rozpowszechniony w mieście „Kuryer warszawski”, wcale nie wyszły dla uczczenia żałoby i wielkiej uroczystości narodowej, w opisach pogrzebu gubiły się w hiperbolach i patetycznych określeniach. Kraszewski w redagowanej przez siebie „Gazecie codziennej”, zaznaczając, że rabini odprowadzili ciała poległych aż na Powązki, pisze: „mieli do tego w tym dniu zupełne prawo, złożywszy razem z nami ofiarę na jednym ołtarzu kraju”. W innym miejscu, pisząc o pogrzebie, wołał, „że było to coś strasznego i pięknego jak sen, wielkiego jak Dantowskie obrazy, smutnego dziwnym smutkiem, do którego uczucie pewnej dumy sprawiedliwej się mieszało. Było to zwycięstwo potęgi ducha nad siłą namiętności i uczucia, tryumf woli niezłamanej i energii bezmiernej”. Gazeta warszawska pisała: „dziwnym dowodem dojrzałości ludu było to cudowne uorganizowanie się jego własne, jego zlanie się w ciało porządne i władające sobą, jego spokój i powaga. Ten dowód wielkich zasobów duchowych, nawet w chwili tak drażniącej ową świeżą jeszcze boleść, podnosi wysoko w oczach naszych stutysięczny tłum stolicy”. Te frazesy patetyczne, kończy pewnym rodzajem mistycznego programu na przyszłość: „nie siła dłoni naszych jest siłą naszą, ale siła dusz i umysłów, ale hart ducha i głęboka wiara w potęgę sprawiedliwości, w nieodzowne spełnienie się tego, co prawdą jest, gdy się nań zasłuży dojrzałością i wewnątrz nas wyrobioną mocą ducha. O nią przedewszystkiem starać się, dla pozyskania jej pracować należy. Z miłością i spokojem oczekujemy tego, co nam własne czyni i zasługi wyjednają”. W parę dni potem, d. 5 Marca, jeszcze raz powróciła do tego przedmiotu, i zapominając o niedawnych swoich walkach z żydami, pisze: „każdy, najdrobniejszy nawet szczegół w tym dniu, tak pamiętnym dla nas,

ma w sobie ukryte, głębokie znaczenie: męczeńska palma świadczyła, że się spełnił tu akt poświęcenia, będący węgielnym kamieniem chrystyanizmu; zespolenie wszystkich warstw społecznych okazywało jasno, że w obliczu Boga, wobec wzniosłej idei, wszyscy tu poczuli się równymi, podali sobie dłoń bratnią; наконец młodzież nasza, tak drobna jeszcze latami a tak dojrzała poczuć obowiązkowi, wezwana do pełnienia w tym dniu służby obywatelskiej, była w oczach naszych jasnym godłem nadziei. Powaga i niezachwiany na chwilę nawet spokój, z jakim lud postępował, miał coś starożytnego w sobie, bratnia zaś mogiła, która przyjęła w siebie popioły poległych, otoczona cziłą całego ludu, stanie się dla nas i dla potomków naszych godłem braterstwa i poświęcenia. Grób taki ma zaprawdę potężną wymowę”.

Więści o pogrzebie szybko rozbiegły się po kraju. Tysiące szumnobrzmiących, po większej części pisanych relacji, trzymanyh zawsze w tonie wysoce nastrojonego patosu, kładących nacisk na braterstwo wszystkich stanów, wszystkich warstw społecznych, obiegało po kraju. Posypały się wiersze, poezye przesiąknięte tym modnym, mistycznym duchem, który ze wszystkich pism i działań tej epoki wychyla swą mglistą, senną, marzycielską twarz³⁹. Rozrzucano wszędzie obrazki litografowane, przedstawiające pogrzeb, tłumy ludu, pięć trumien, a na pierwszym planie Andrzeja Zamoyskiego, idącego pod rękę z chłopem w kerezyi, obaj zajęci bardzo żywą rozmową. Na innych znowu narysowany był szlachcic wąsaty, w bekieszy i butach długich, jak ścisła się z żydem w jarmułce i pantoflach przydeptanych. Henryk Pilatti, malarz nie bez talentu, cieszący się w tej porze nie małą sławą, wymalował ogromny obraz olejny, na którym przedstawił pogrzeb poległych i wybitniejsze osobistości w mieście sportretował⁴⁰.

Komitet Towarzystwa rolniczego, widząc, że całe wodze rozbudzonego ruchu przeszły w ręce mieszczaństwa warszawskiego, wystąpił także z odezwą, wydaną imieniem wszystkich członków Towarzystwa, noszącą datę 2 Marca, a więc dnia pogrzebu, i podpisaną przez Zamoyskiego i sekretarza Włady-

39 Najpopularniejszym, najczęściej znajdującym się w zbiorach z tej epoki, jest wiersz, w którym taką zwrotkę czytamy:

„I spojrzal z niebios na ziemię Pan,
Na te pięć trumien z temi godłami,
Co, na wzór pięciu Chrystusa ran,
Poniosły Bogu skargę za nami”.

Zwrotkę tę przytaczamy dlatego, że porównanie Polski do ukrzyżowanego Chrystusa, a pięciu poległych do pięciu ran Jego, staje się bardzo powszechnem i ulubionem w tym czasie.

40 Obraz ten znajdował się przez jakiś czas w zbiorach skrzętnego miłośnika sztuki, Feliksa Gebethnera w Warszawie. Zamówił go u Pilattiego Bayer i dał mu za niego rubli sto!...

sława Garbińskiego. W odezwie tej Komitet dziękuje „szlachetnej młodzieży akademickiej i szkolnej” za dzielną jej pomoc, za utrzymanie porządku „w czasie dzisiejszego smutnego a tak uroczystego obrządku” pochowania ofiar poległych w d. 27 Lutego, „pomiędzy którymi było także kilku (właściwie tylko dwóch: Karczewski i Rutkowski) członków Towarzystwa rolniczego”. — „Daliście postępowaniem waszem, pisze w końcu odezwa, dowód tych wszystkich przymiotów, jakie w przyszłości zrobią z was godnych i pożytecznych obywateli kraju, który całą duszą wraz z wami kochamy, a któremu służyć świętym jest każdego obowiązkiem”.

Niezręczna ta odezwa, zdradzająca zanadto widoczną obawę, by Towarzystwo rolnicze, dotąd odgrywające pierwszorzędną rolę w kraju, nie zeszło na drugi plan, nie wywarła żadnego wrażenia i wśród powodzi innych tego rodzaju utworów przebrzmiała bez echa. Za to chętniej czytana była odezwa Delegacyi, rozlepiona nazajutrz po rogach ulic i rozrzucona po całym mieście. Było to także podziękowanie; ale już nie tylko samej młodzieży szkolnej, ale całej ludności za godne zachowanie się podczas pogrzebu. „Ludność ta, pisze odezwa, dowiodła, czym jest obowiązek względem kraju; każdy go spełnił, każdy bez różnicy. Jednem złączeni uczuciem, żegnaliśmy poległych. Bracia! to uczucie obowiązku niech w każdej chwili nadal nami kieruje”.

Najsilniejsze jednak wrażenie, a co ważniejsza ogólny posłuch znalazł okólnik, datowany także 3 Marca, i jak wieść powszechna niosła, wydany pod patronatem arcybiskupa Fijałkowskiego⁴¹, nakazujący „wszystkim częściom odwiecznej Polski” przywdzianie na czas nieograniczony żałoby.

Kobiety mogą brać suknię białą tylko w dzień ślubu. „Znośmy szlachetnie, woła w zwykłym patetycznym i sentymentalnym stylu okólnik, gorzkie i głębokie narodowe rany, strzeżmy się junactwa, samochwalstwa, a będziemy zawsze ludem jedności i poświęcenia. Dziś i od lat wielu godło nasze jest cierniowa korona, ta sama, którąśmy w dniu wczorajszym uwieńczyli trumny ofiar poległych. Czyż nie wiecie, że ta korona znaczy cierpliwość, cierpienie, poświęcenie, wyzwolenie, przebaczenie. Obowiązujemy Polaków wszelkich wyznań do udzielenia tych kilku wyrazów w najodleglejsze strony”.

Najważniejszą atoli, nie tyle pod względem politycznym ile społecznym, była odezwa wydana jakoby przez żydów do żydów, „w imię wiekuistego Boga i za zgodą najznakomitszych członków gminy naszej, do braci Izraelitów, dzieci Polski”, datowana także 2 Marca. Przebiega ona historycznie cały ucisk, jakiego doznawali żydzi od rządu rosyjskiego w Polsce; twierdzi, że w ciągu

41 Broszura wydrukowana we Lwowie w r. 1864 p. t. „Krzyżowy charakter ruchu polskiego i trzy charakterystyki przez Juliusza Jastrzębczyka”, wprost na str. 21 przypisuje wydanie tego okólnika arcybiskupowi Fijałkowskiemu. Źródła rosyjskie to samo utrzymują.

ostatnich trzydziestu lat wyszło przeszło sto rozporządzeń rządowych, dotyczących się Żydów, i żadne z tych rozporządzeń nie zawiera ulgi, lecz owszem do coraz większego uciemnienia dąży; że pomiędzy swymi współwyznawcami w całej Europie, oni sami tylko jęczą jeszcze pod jarzmem średniowiecznego barbarzyństwa; że za panowania Aleksandra I-go zapewnionem zostało Żydom równouprawnienie „z innymi naszymi ziomkami”, w razie, jeżeli należeć będą do spisu wojskowego; że wtedy ustaną wszelkie podatki, wyłącznie na nich ciężące, jak podatek koszerne i pogłównne, „tagcetem” zwane; jak niemniej wszelkie ograniczenia co do osiedlania i procederu zniesione zostaną. Mimo to od r. 1843 tysiące Żydów brano do wojska, a zapewnionych swobód im nie dano. Gdy przed piętnastu laty wyszedł rozkaz zmienienia ubioru Żydowskiego, to użyto do tego najbezpieczniejszych sposobów. „Wlekli starców jak psów po ulicach, a rozbewziewiona policja w swej bezczelności nie znała granic. Ci służalcy rządowi wyrosli wprawdzie na wspólnej ziemi, są to przecież tylko wyrodne jej dzieci; tylko podli ludzie są chętni do wykonywania barbarzyńskich rozkazów, gdy tymczasem ludzie sumienia i dobrej wiary z odrazą na to spoglądają. Czemuż nie znano takiego bezprawia przed rokiem 1831? Bo przed ową epoką urzędy były piastowane przez ludzi zacnych, miłujących ojczyznę i dbających o dobro mieszkańców; terazniejsi urzędnicy zaś z małym bardzo wyjątkiem są zdemoralizowani do najwyższego stopnia; miłości kraju i jego dzieci nie znają. Przed dziewięciu laty dopiero marszałkowie szlachty, baczni o dobro kraju, pomyślnie względem nas przedstawili projekta, o czym naocznie się przekonać mieliśmy sposobność; jednakże projekta te u władz bez skutku zostały”.

Przechodząc następnie do panowania Aleksandra II-go, zaznacza odezwa dobre chęci tego monarchy, ale nie wymieniony imiennie Muchanow, „szatańskim wrogiem” nazwany, temu się sprzeciwiał i nie przestawał rzucać na Żydów oszczerstw „tak czarnych, jakich nie znano od czasów Hamana”. „Nie dość na tem, brzmi dalej odezwa, posunięto złą wiarę tak daleko, iż chwytano się wszelkich możliwych środków, aby wytworzyć rozdwojenie w kraju w celu osłabienia jego sił żywotnych; usiłowano za pomocą dziennikarstwa obudzić namiętną nienawiść szlachty przeciw Żydom, wpływając na to, aby coraz bardziej ścieśniać nasze środki egzystencji. Dla osiągnięcia rozbratu nie wahano się nawet użyć fanatyzmu religijnego; otóż, gdy przed trzema laty w mieście Turku, w wigilię sądnego dnia, roznamiętniona ludność chrześcijańska, hańbiąc święty przybytek religijny, spustoszyła synagogę, rozdarła rodaję, gdy Żydzi w skutek podobnej zbrodni zanieśli skargę do władzy, przypominacie sobie, jaką dano odpowiedź? Że w nowym kodeksie kar nie masz wzmianki o Żydowskich świętościach. Jak Polska Polską podobnej zgrozy nigdy nie znano!”

W końcu tego wykładu historycznego odezwa powiada: „chcecież poznać prawdziwego ducha narodu? Oto, widzicie, zaledwie trochę wolniej oddycha, a już kapłani jego we wszystkich kościołach tutejszych ozwali się słowami miłości i braterstwa ku nam, przyznając nas za dzieci ojczyzny, którą od ośmiu wieków zamieszkujemy. Bracia Izraelici! odwaga i mężstwo! przyjmijmy z wszelką gotowością bratnią dłoń nam podaną. Widzieliśmy pierwszych mężów kraju, postępujących razem z duchowieństwem naszym, dla odprowadzenia na miejsce spoczynku pięciu ofiar, których niewinna krew po ulicach naszego miasta płynęła potokiem; postępował za nimi stotysięczny tłum wszelkich wyznań, dłoń w dłoń, przejęty duchem braterstwa i pojednania. A gdy przyszło wybierać ludzi zaufania, obrano także do tej zaszczytnej rady i naszego rabina i innych żydów. Któżby o tem marzył przed krótkim jeszcze czasem? W mniemanych nieprzyjaciołach ujrzeliśmy naszych przyjaciół: „stało się to nie siłą, nie przemocą, lecz duchem moim”, rzekł Bóg. Pan Bóg to zrządził, uzbrajając w odwagę ludzi szlachetnych, aby przemówili za naszą sprawą, a wrogów Polski, rozsiewających nienawiść pomiędzy jej dziećmi, skazał na milczenie.

„Błagamy was, bracia, abyście wspólnie, z wszelką gorliwością okazali całą wdzięczność naszą ziomkom, abyście ich wspierali w szlachetnych usiłowaniach, bo dobro ich jest i dobro nasze. Pośpieszajcie z podpisami waszymi pod adres do Najjaśniejszego pana podany. Monarcha pragnie się dowiedzieć o życzeniach ludu naszego kraju. Podnośmyż więc głos wspólnie z naszymi ziomkami. Ufni jesteśmy, że nas usłuchacie i szczerze się z nimi połączycie ku wspólnemu dobru; jest to jedyny prawy sposób poprawienia naszego położenia. Kto roztropny, ten pojmie, że tą tylko drogą a nie inną dobro kraju osiągniętem być może. Okażcie się więc mężnymi, a Bóg z wami będzie”.

Dokument ten, rozrzucony po kraju w dziesiątkach tysięcy litografowanych egzemplarzy, był wymownym dowodem zwrotu, jaki co do kwestyi żydowskiej wytwarzał się w Polsce powoli od lat paru. Czytano tę odezwę z zapalem, rozpowszechniano ją wszędzie, agitowano na korzyść tej nowej myśli, bratano się z żydami i stale zwać ich teraz poczęto w mowie i piśmie „Polakami mojżeszowego wyznania”.

Taki w głównych zarysach miały rezultat na zawsze pamiętne wypadki lutowe wśród społeczeństwa polskiego. Z kolei rzeczy wypada nam zobaczyć, jakie one wrażenie wywarły na sfery rządzące, i jakie to wrażenie w następstwie zrodziło owoce.

ROZDZIAŁ VI

Koncesye. Polskie czasy

Cesarz odrzuca adres. Gorczakow myśli o reformach. Juliusz Enoch. Karnicki jedzie do Petersburga. Proponowane reformy. Nadzwyczajna rada tajna. Przyznanie koncesyi. Stan miasta. Pertraktacye Delegacyi z Gorczakowem. Zebrania w resursie. Organizacya straży bezpieczeństwa. Posiedzenia Delegacyi. Dziennikarstwo, medale, krzyże i kopce pamiątkowe. Nabożeństwo żałobne d. 9 Marca. Składki. Nabożeństwa w kraju i zagranicą. Dwa stronnictwa w Delegacyi. Więźniowie polityczni. Odpowiedź cesarska na adres, i wrażenie, jakie ona wywarła. Zamoyski z podpisami u Gorczakowa. Dymisy Muchanowa z kuratorstwa. Mowa Łaszczyńskiego. Wielopolski w Warszawie i jego warunki. Program żądanych przezeń koncesyi. Wysyłka projektu do Petersburga. Raport ministra sekretarza stanu. Ośmiogodzinna narada ministrów. Ogłoszenie treści koncesyi. Ukaz cesarski. Odezwa namiestnika. Okólnik Gorczakowa do ambasad i misyi rosyjskich. Delegacya w Lublinie. Zamach Nowakowskiego na Delegacyą. Projekt Szlenkiera. Wzburzenie wśród ludu. Okólnik Muchanowa. Instrukcyja Towarzystwa rolniczego. Okólnik Myślińskiego. Dymisy Muchanowa i jego wyjazd z Warszawy. Rozwiązanie Delegacyi. Wydział obywatelski. Kocie muzyki. Narada w Zamku. Ogłoszenie koncesyi. Zakończenie.

Wpośród tej rozwijającej się coraz bardziej agitacyi, tego powszechnego wzburzenia umysłów, w Zamku rozmyślano nad tem, jakiej drogi chwycić się należy. Grupa generałów, otaczających namiestnika, po pogrzebie pięciu poległych domagała się, by rząd stał się rządem prawdziwym. Skończyło się już, mówili oni, dramat został odegrany, publiczność zadowolona, ciała ofiar, drażniące umysły, usunięte i zakopane na wieki w mogile. Czas już wielki, by rzeka namiętności polskich, wezbrawszy nagle i narobiwszy tyle szkód swoim wylewem, wróciła do zwykłego koryta i popłynęła w przyszłość spokojnym prądem. W tym celu śmiałym krokiem, ciosem energicznym trzeba rozciąć węzeł, któryśmy sami przez naszą dobrodusność, niezaradność, brak szybkiego oryentowania się w sytuacji, przez fałszywie nakończony pojęty liberalizm zadzierzgnęli. Należy natychmiast ogłosić stan wojenny, gotowy już na papierze, znieść Delegacyą miejską, zamknąć Resursę kupiecką i wprowadzić tam oddział wojska; usunąć konstabli narodowych, gęstymi patrolami przebiegać miasto, jednym słowem przyjąć postawę groźną

i zdecydowaną. Środki te z pewnością przywrócą spokojność w mieście, a gdy zapanuje zupełny porządek, można będzie dopiero pomyśleć nad tem, czy należy lub nie robić Polakom ustępstwa.

Rady te z wielu względów zbawienne dla Polski, gdyby rząd, tłumiąc surowo i bezwzględnie jedną ręką nieporządk i agitacją rewolucyjną, drugą dawał dobrze obmyślane ustępstwa, nie podobały się Gorczakowowi. Zawsze niezdecydowany, raz chciał pójść za temi radami, to znowu lękał się ich następstw, drżał przed powstaniem, które lada chwila mogło w mieście wybuchnąć. Telegramy, jakie otrzymywał z Petersburga od cesarza, nie mogły go także natchnąć odwagą i stanowczością. Właśnie w dniu 2 Marca, w chwili gdy uroczysty orszak pogrzebowy przesuwiał się przez ulice miasta, cesarz jeszcze raz rozkazywał swemu reprezentantowi, żeby „prośbę (t. j. adres) wstrzymał i nie odsyłał”, żeby działał z należnym spokojem i energią, że „żadnych zgoła ustępstw nie mam zamiaru czynić”.

Gorczakow, nie śmiejąc już teraz posłać wprost do cesarza adresu, a uważając, że względu na uspokojenie umysłów, za rzecz konieczną przedstawienie go cesarzowi, chwycił się drogi pośredniej i przesłał kopią adresu ministrowi wojny. Co większa, pod wpływem wrażenia, jakie wywarł na niego pogrzeb, telegrafował do cesarza te słowa, zdradzające silny niepokój i wzburzenie: „położenie w Królestwie jest tak poważne, że oprócz mnie konieczny tu jest człowiek, posiadający zupełne zaufanie cesarza. Proszę go przysłać”. Na to wszystko tegoż samego dnia otrzymał telegram, brzmiący surową naganą i zamiarem nie ustępowania ani na krok jeden. „Oświadczyć pan z mocy służącej panu władzy, że prośba podana na moje imię, z powodu nieprzyzwoitości i niewłaściwości zawartych w niej żądań, zwraca się bez skutku. Donieść mi telegrafem nazwiska pięciu osób, które wraz z Fijałkowskim podawały prośbę. Czy zaburzenia w Warszawie miały odgłos na prowincyi?” Na żądanie zaś Gorczakowa o przysłanie mu kogo do pomocy, cesarz nazajutrz, d. 3 Marca odpowiedział, że namiestnik posiada całe jego zaufanie i dlatego niema potrzeby posyłania kogokolwiek, chyba, że chce mieć pomocnika do zarządu cywilnego i w takim razie proponował mu generała Chrulewa, starego żołnierza z wojny krymskiej, przezuwającego w stolicy nad Newą swój „kwas sewastopolski”, jak określano niezadowolenie z nowego porządku rzeczy surowych, mikołajewskiego pokroju żołdaków.

Te słowa, te rozkazy groźne nie mogły natchnąć odwagą i energią namiestnika, którym miały teraz rozmaite wpływy. Najważniejszą jednak rzeczą w tej chwili, w dniu 2 Marca, gdy tłumy stutysięczne wracały z pogrzebu, było to, że sprawa adresu była stanowczo przegrana. Cesarz przyjął go nie chciał i tonem ostrym rozkazywał uwiadomić petentów, że prośba ich zwraca się bez skutku. Wobec tego Gorczakow stawiał sobie pytanie: co teraz robić? Ogłosić

stan wojenny, to znaczy wywołać powstanie, którego wybuch, jak mu zewsząd donoszono, na włosku tylko wisi. Powstanie wybuchnie, walka zażarta i nieubłagana zawiąże się na ulicach, rezultatem której będą potoki krwi, tysiące ofiar, ruina może Warszawy, do której on przez tyle lat pobytu przywykł, którą kochał po swojemu wprawdzie, ale zawsze kochał. A przytem on nie lubiał krwi, tej krwi, której kilka kropel wylanych przed paru dniami, zdawało się ciężać mu na starych barkach i na siwej głowie brzemieniem olbrzymiem. Cóż zresztą powie na to Europa, co powie Rosya, ta Rosya drżąca dreszczem odrodzenia, gdy dowie się, że w Warszawie rozegrały się straszne, okropne sceny rzezi ludności bezbronnej, upominającej się o swe prawa przyrodzone? Położenie jest opłakane; i jeżeli ogłoszenie stanu wojennego, jako zależne od samego namiestnika, może być wstrzymane, to odpowiedź cesarska na adres musi być udzielona Polakom, a udzielenie jej to wywołanie ogólnego oburzenia, to także powstanie. Bądź co bądź sprawa adresu stanowczo przypadła.

Jakoż, jeżeli przeważna część obaw Gorczakowa była prostem urojeniem, to adres, lojalne domagania się polskie, nadzieja uzyskania jakichś koncesyi została bezwarunkowo zawiedziona. To, na co liczyły wszystkie stronnictwa, nie powiodło się. Cesarz w słowach surowych i pogardliwych, nie odpowiadając nawet na adres, rozkazywał namiestnikowi zwrócić go bez skutku. Wobec tego, jeżeli rząd w Warszawie w osobie swego zwierzchnika, stawiał pytanie: co mu czynić należy? niemniej takie samo pytanie zadaćby sobie musieli i Klemensowczycy i Millenerzy i Czerwieńcy. Dla tych ostatnich nie pozostawało nic innego, jak iść dalej drogą rewolucyi, wywołać powstanie, zalać krwią bruk warszawski i patrzeć na konanie ruchu pod ciężką ręką despotyzmu wojskowego, na kraj ściśnięty dawnymi kleszczami paskiewiczowskimi.

Od tego straszego rozwiązania wybawiło Polskę nie stronnictwo Klemensowczyków, nie Czerwieńcy, nie młodzież warszawska, odgrywająca na ulicach rolę stróżów porządku publicznego, ale sam Gorczakow, który w tych dniach ciężkich prób, po namyśle, postanowił wziąć śmiałą i niezwykłą między generałami rosyjskimi, rządzącymi u nas, inicjatywę i wyjednać dla Polski pewne reformy. Zdawało mu się, że ustępstwa dane Polsce, położą koniec zgubnemu ruchowi.

Nie bez wpływu na Gorczakowa pod tym względem była pewna grupa ludzi, wyższych urzędników polskich, którzy go otaczali. W grupie tej znajdował się w tej chwili i zajmował wybitne, dygnitarskie stanowisko człowiek bardzo zdolny, bystry, posiadający niezwykłą odwagę cywilną i wielki wpływ na umysł namiestnika. Człowiekiem tym był, znany nam już ze swej decydującej roli w sprawie „Słowa” petersburskiego, naczelnny prokurator ogólnego zebrania departamentów rządzącego Senatu, Juliusz Enoch, żyd z pochodzenia. Syn

głośnego w swoim czasie lekarza, należał do tej licznej, zdolnej i wpływowej sfery żydów chrzczonych, którzy w ostatnich czasach poczęli tak wybitną rolę odgrywać w kraju, którzy w wypadkach 1861—1865 r. pierwszorzędnymi na wszystkich polach byli czynnikami. W ruchu wzięli oni żywy udział i nieraz nadawali mu tę nieprzewyciężoną energią i jej ciągłość, jakiej kiedyindziej nie spostrzegamy w charakterze polskim. Do tej sfery bardzo wpływowej przez swój rozum, bogactwa, stanowiska, należał i Enoch. Pierwotnie uczył się w szkole inżynierii wojskowej, służył nawet jakiś czas w marynarce, ale wkrótce ją porzucił i przeniósł się do sądownictwa w Królestwie Polskim⁴². Tu bardzo szybko wysunął się naprzód i uzyskał przez swój charakter gładki, wesołe usposobienie, dowcip nieraz zjadliwy i wyborną znajomość francuzczyzny taki wpływ na namiestnika, że powszechnie prokuratora senatorskiego nazywano faktorem Gorczakowa. Człowiek to był bardzo rozumny, bardzo zręczny i posiadał rzadką w tej dobie w Polsce zdolność szybkiego orientowania się w sytuacji i umiejętność jej zużytkowania.

Przed bystrym jego wzrokiem nie mógł się ukryć ruch rewolucyjny i patryotyczny w Polsce, i widział w nim możliwość zużytkowania go na korzyść kraju. Nie wątpił, że sposobność potemu się znajdzie; i w tym kierunku oddziaływał na Gorczakowa.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, pod tym względem Enoch był znowu echem poglądów Wielopolskiego. Zнали się oni od dawna dość dobrze, w ostatnich czasach nawet widywali się u bankiera Flataua i zapewne wiele ze sobą mówili o wypadkach bieżących, które, rzecz prosta, absorbowały prawie zupełnie wszystkie lepsze umysły ówczesne. Ponieważ nie można było nawet marzyć o przywróceniu konstytucji 1815 roku, więc z kolei rzeczy należało się oprzeć na Statucie organicznym, nadanym w r. 1832 i nigdy nie wprowadzonym w wykonanie, z niezbędnymi zmianami odpowiednio do ducha czasu. W tym kierunku oddziaływał na namiestnika Enoch i inni, bliżej nam zresztą nieznani⁴³.

42 Zawód swój sądowy rozpoczął Enoch jako sekretarz Tytza, pierwszego naczelnego prokuratora IX departamentu rządzącego Senatu i jednocześnie odbywał aplikacją sądową, po skończeniu której i złożeniu egzaminu sądowego, został mianowany asesorem Trybunału cywilnego w Warszawie, a wkrótce potem sędzią tegoż Trybunału. Z tego stanowiska przeniesiony został wprost na referenta ogólnego zebrania warszawskich departamentów Senatu, a kiedy w r. 1857 zaważowała posada naczelnego prokuratora tegoż zebrania, Enoch ją otrzymał.

43 W relacji rękopiśmiennej, jaką posiadamy w naszych zbiorach p. n. „W sprawie memoriału Enocha”, a pochodzącej od osoby, biorącej udział bezpośredni w przebiegu tej dość ciemnej jeszcze kwestyi, wyraźnie jest powiedziane: „namiestnikowi zdawało się, że wyjednanie reform, odpowiednich wyrażonym wówczas przez ludzi poważnych życzeniom,

Pod tym to wpływem Gorczakow, raz zdecydowawszy się na ustępstwa, postanowił je oprzeć na Statucie organicznym. Przedewszystkiem atoli trzeba było kogoś wysłać do Petersburga i namiestnik chciał, by Enoch natychmiast jechał do stolicy caratu dla zdania relacji cesarzowi o stanie rzeczy w Warszawie i w Królestwie i przedłożenia wniosków co do reform. Enoch jednak stanowczo odmówił dla powodów bliżej nam nieznanych.

Być może, iż nie wydawało mu się stosownem i przyzwoitem, by on, urzędnik, żyd z rodu, grał przed carem rosyjskim rolę przedstawiciela i rzecznika pragnień i życzeń polskich; jeżeli takie względy wstrzymały go od podróży nad Newę, to przyznać trzeba, że dał dowód rozumu, bystrości poglądu i taktu⁴⁴. Wobec tego wybór Gorczakowa padł na Jana Karnickiego, wówczas sekretarza stanu przy Radzie administracyjnej Królestwa. Wybór był z wielu względów bardzo trafny. Karnicki liczył w tej dobie zaledwie 48 lat, obyty był z ludźmi, salonowiec wykwintny, ślicznie mówiący po francuzku, bystry, zręczny, inteligentny, mający swe stosunki w Petersburgu, nadawał się w sam raz do tej misji śliskiej i pełnej szkopułów⁴⁵.

Wezwano go zaraz d. 2 Marca, w uroczysty dzień poległych, do Zamku. Tu Gorczakow oświadczył Karnickiemu, że przy niepodobieństwie dania cesarzowi na piśmie dokładnego pojęcia o tem wszystkim, co się dzieje w Warszawie, on, Gorczakow, pragnie, aby Karnicki jak najspieszniej udał się do Petersburga dla przedstawienia monarsze rzeczywistego położenia kraju i poglądów namiestnika na środki, jakie przedsięwziąć należy. „Gdybym chciał pisać całe tomy, mówił namiestnik, Najjaśniejszy Pan nie powzięłby jeszcze dokładnego pojęcia o tem, co się stało w Warszawie w ciągu ubiegłego tygodnia”. Karnicki, wysłuchawszy tego, odrzekł, że oceniając całą ważność tak zaszczytnej dla siebie misji, gotów jest tegoż dnia puścić się w drogę. Namiestnik, rozstając się z nim, zalecił mu, ażeby przed samym wyjazdem wstąpił do Zamku dla odebrania instrukcyi,

zapobiegnie rozwojowi ruchu i potrzebie krwawej walki ulicznej, której przedewszystkiem chciał uniknąć, a otaczający go Polacy umacniali go w tem przekonaniu”. (Patrz: dokument Nr. 1, na końcu dzieła).

44 Lisicki w zyciorysie polskim Wielopolskiego, mówiąc o tem, dlaczego Enoch nie pojechał do Petersburga, powiada: „różne okoliczności sprawiły, że misya ta przypadła Karnickiemu”. Jakże zaś były te okoliczności, nie wyjaśnia.

45 Karyera urzędnicza Karnickiego, była szybka. Urodzony w r. 1813, w dobrach dziedzicznych Eswormuje, w Inflantach polskich, ukończywszy uniwersytet wileński za dni jego świetności, wstąpił do służby rządowej w Królestwie Polskiem, i od razu tu zajął stanowisko sekretarza jeneralnego Komisji rządowej sprawiedliwości. Odtąd szedł szybko w górę. W r. 1856 z członka rządzącego Senatu powołany został na sekretarza stanu przy Radzie administracyjnej, na którym to stanowisku zastały go wypadki Lutowe 1861 roku.

Jakoż w nocy z d. 2 na 3 Marca, Karnicki wybrawszy się w podróż, zgodnie z wolą namiestnika, znalazł się w Zamku dla otrzymania zapowiedzianych instrukcji. Gorczakow wręczył mu list do cesarza i kazał notować główniejsze punkta swych zaleceń, mówił o potrzebie dania cesarzowi dokładnych wiadomości o wypadkach warszawskich, o pobudkach, jakie je wywołały, o tem, że według jego zdania, dla uspokojenia umysłów niezbędnem jest nadanie Królestwu odpowiednich instytucyi i przeprowadzenie reform, bez szczegółowego jednak określenia, na czem reformy te polegać miały⁴⁶. Przy wsiadaniu już do powozu, wśród pożegnań z rodziną, Karnicki miał chwilową rozmowę z Enochem, w której ten zapewne jaśniej, niż to uczynił namiestnik, przedstawił posłowi szkielet koniecznych reform⁴⁷.

Nazajutrz, d. 3 Marca, Gorczakow telegrafował do ministra wojny, żeby wyjednał u cesarza cofnięcie rozkazu co do adresu, oraz donosił o wysyłce Karnickiego. Szło teraz o to, żeby niepotrzebnie nie rozdrażniać ludności, dla której może się uda wyjednać jakie reformy i tym sposobem zupełnie się ją uspokoi.

Cesarz zgodził się na żądanie namiestnika i cofnął rozkaz swój pierwotny co do zwrócenia adresu, odkładając ostateczną w tej kwestyi decyzją do przybycia Karnickiego. Tymczasem polecał, żeby wydano rozkaz powszechnego rozbrowienia mieszkańców Królestwa; donosił, że wkrótce przyjdą tam znaczne posiłki wojenne, a mianowicie cała druga dywizya piechoty i brygada jazdy (huzary), oraz cztery pułki kozackie z nad Donu. Wojska te, zapewne pod wpływem obawy blizkiego powstania, miały wkrótce wyruszyć do miejsca swego przeznaczenia. Cesarz z naciskiem nakazywał, ażeby pod żadnym pozorem nie opuszczać Warszawy, w razie konieczności bombardować miasto z cytadeli.

Wśród tak groźnych rozkazów cesarskich, nie zapowiadających nic dobrego dla Polski, Karnicki przybył do Petersburga, dopiero dnia 7 Marca rano. Droga była zła, kolej żelazna, łącząca stolicę rosyjską z polską, nie była jeszcze

46 Tak utrzymuje sam Karnicki w broszurze „Suum cuique” (Drezno 1878 r.), w której sobie przypisuje lwią część wyjedanych reform.

47 Karnicki we wzmiankowanej broszurze tak o tem opowiada: „wróciwszy do domu, Karnicki, przy wsiadaniu już do powozu, wśród pożegnań z rodziną, miał chwilową z naczelnym prokuratorem Enochem rozmowę, w której ten udzielił mu pobieżnie wiadomości o życzeniach, powziętych jakoby przez siebie, jakie w gronie poważnego obywatelstwa co do spodziewanych reform objawić się miały. Karnicki nie miał powodu uważać Enocha za organ opinii kraju i nie przywiązywał też wielkiej wagi do osobistego zapatrywania się Enocha na wypadki. Nie przedstawiał więc jego myśli Ministrowi sekretarzowi stanu”. Ten ton słodko-kwaskowaty, z jakim Karnicki odzywa się o Enochu, pochodził ztąd, że obaj ci panowie nie lubili się wzajemnie. Zachowując względem siebie najwyszukańsze formy salonowe, Karnicki miał Enocha za parweniusza, któremu zazdrościł wpływu na Gorczakowa i uważał go za liżącego się dworaka. Bliższe szczegóły o tem w dokumencie Nr. 1.

ukończona i trzeba było końmi jechać i powoli odbywać tę podróż daleką i nużącą. Tegoż samego dnia wieczorem został przyjęty przez cesarza w obecności ministra sekretarza stanu Tymowskiego i jego pomocnika Płatonowa. Gdy Karnicki wszedł, cesarz żywo się zapytał: „powiedz mi, co się dzieje w Warszawie, czego tam chcą? spodziewam się, że nie konstytucji przecie?” (*Dites moi ce qui se passe, qu'est ce qu'on demande a Varsovie, ce n'est pas une constitution j'espere*)⁴⁸. Rozmowa toczyła się po francuzku.

Posel starał się jak najdokładniej i najrzetelniej opowiedzieć cesarzowi wypadki warszawskie, ich pobudki i stan rzeczy, jaki się ztąd wytworzył; w końcu przedstawił zdanie namiestnika: „że, chcąc bez znacznego krwi rozlewu, któryby pociągnął za sobą potrzebę zaprowadzenia rządów czysto militarynych, przywrócić w kraju spokojność, nieodzownem jest przedsięwziąć reformę zarządu krajowego, mogącą zadość uczynić słusznym życzeniom prawych i umiarkowanych w kraju mężów”. Ze swej strony Karnicki gorąco popierał konieczność tych reform tak, że cesarz, widząc, iż dotąd wszystko obraca się koło zdania, że zmiany są potrzebne, ale nikt ich bliżej nie określa, zapytał się: „jakie mianowicie reformy, możliwe w kraju, zdolne byłyby wpłynąć na uspokojenie umysłów?” Pytanie było ważne, i Karnicki, pragnący szczerze autonomii Królestwa, przekonany, że konstytucja 1815 r. nie może służyć za punkt wyjścia, co zresztą potwierdzały słowa cesarskie, jakimi powitał posła polskiego, postanowił oprzeć się na tych wskazówkach, jakie mu dał Gorczakow, t. j. na Statucie organicznym z r. 1832. W odpowiedzi więc na pytanie cesarskie wynurzył nadzieję, że wprowadzenie w życie przyobiecanych w Statucie instytucji, z pewnym rozszerzeniem zakresu ich działalności, i przy ścisłym zachowaniu zapewnionych krajowi rękojmi, odpowie życzeniom świątłych i umiarkowanych obywateli.

Wychodząc więc z tego założenia, proponował przywrócenie zniesionej w r. 1841 Rady stanu, która będąc organem potrzeb miejscowych, rozpoznawałaby wszelkie projekta nowych praw. Władza ta składać się miała z mężów zasłużonych krajowi; wszelako nie należy do niej powoływać tylko osobistości z hierarchii urzędniczej, lecz i takie, które posiadają zaufanie u ogółu, lub dzięki swemu rozumowi, majątkowi lub zaletom osobistym, zajmują wybitne stanowisko, jak np. prezesi władz Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Rada stanu, oprócz rozpoznawania projektów do nowych praw, winna po-

48 Zapytanie to świadczy, że cesarz nie miał pojęcia o tem, czego właściwie żądają Polacy, i że adres wcale go pod tym względem nie objaśnił. Opowiadają, że gdy adres przyszedł do Petersburga, Aleksander czytał go w obecności kilku osób swej rodziny. „Ależ oni nic nie żądają!” zawołał ktoś z obecnych. „To jest właśnie najgorszem” (*c'est justement ce qu'il y a de grève*), miał odrzec cesarz.

siadać ważne i obszerne atrybucye pod względem administracyjnym, jako to: a) roztrząsanie przedstawięń i prósb Rad obywatelskich względem potrzeb i dobra kraju; b) przeglądanie budżetu Królestwa oraz raportów kontrolera jeneralnego o stanie finansów każdego roku; c) rozpoznawanie corocznych sprawozdań głównych naczelników oddzielnych gałęzi rządu.

Taką być miała Rada stanu według projektu Karnickiego. Oczywiście wobec tego rodzaju instytucyi, istnienie znienawidzonej Komisji kodyfikacyjnej w Petersburgu, stawało się całkiem zbytecznem, więc Karnicki radził natychmiastowe jej zwinięcie.

Drugim projektem Karnickiego było utworzenie w miastach Rad muncypalnych, czyli miejskich, a po prowincyach obieralnych Rad gubernialnych i powiatowych. Tym sposobem obywatele mieliby udział w załatwianiu czynności, dotyczących ich interesów. Rady te winny posiadać obszerne atrybucye co do spraw miejscowych, jako to: rozwoju rolnictwa, przemysłu i handlu, uposażeń i utrzymania kościołów, zakładów dobroczynnych, szkół elementarnych, dróg, więzień, służby wojskowej, rozkładu podatków, wreszcie zanoszenia przedstawięń w zakresie potrzeb gubernii, powiatu lub miasta.

Następnie Karnicki mówił o potrzebie reformy wychowania publicznego, z zasady, że brak wyższego zakładu naukowego pozbawił młodzież polską możliwości nabywania wyższego wykształcenia, lub zmuszał do uczęszczania do obcych uniwersytetów. Również stan niższych i średnich zakładów naukowych nie odpowiadał potrzebom. Zastrzegł się przytem, że w ogólności przy stosowaniu paragrafów Statutu organicznego należy koniecznie zmienić niektóre jego przepisy, nieodpowiednie obecnemu ustrojowi społecznemu, jak np. odróżnianie zgromadzeń szlacheckich od nieszlacheckich, wybieralność sędziów dwóch instancji i t. p. Na tem kończyły się projekta Karnickiego, i jak widzimy, opierały się one z małym wyjątkiem na Statucie organicznym. Ustawa ta jednak, nigdy w życie niewprowadzona, zawierała jeszcze jedną ważną instytucją, o której przy powoływaniu się na Statut organiczny należało może nie zapominać. Mówimy tu o Stanach prowincjonalnych. Karnicki nie wspominał o nich, z pobudek prostej ostrożności, by, żądając wiele, nie zrazić rządu zawsze podejrzliwego i niechętnego Polakom, i przez to nic nie otrzymać. Zresztą wybieralna Rada stanu, posiadająca obszerne atrybucye, w związku z Radami obywatelskimi, miała do pewnego stopnia charakter reprezentacji krajowej, doskonale na teraz zastępującej Stany prowincjonalne, które nieznanne w Rosyi, niejasno w Statucie organicznym określone, przy wprowadzeniu mogłyby wywołać tysiące kwestyi i wątpliwości, a tu trzeba było szybkiego uzyskania dla Królestwa koncesyi i wyjścia z niepewności co do kierunku, jaki rząd obierze wobec ruchu w kraju.

Nie należy bowiem zapominać, że wobec tego ruchu rząd miał przed sobą dwie drogi postępowania: albo stłumić ruch siłą i ustanowić rząd militarny, przywrócić ucisk dawny, paskiewiczowski; albo zadość uczynić w pewnej mierze żądaniom kraju i rozszerzyć jego autonomią. Otóż, były pewne, zupełnie zresztą uzasadnione obawy, że rząd ma szczerą chęć chwycenia się pierwszej drogi. Nakazywała mu to tradycja jego władzy i ta podejrzliwość, jaką zawsze okazywał względem Polaków. Skłonność do surowych środków, do stłumienia siłą wszelkich objawów niepokoju, widną już była w rozkazach do Gorczakowa, w stanowczym poleceniu cesarskim odrzucenia adresu, w groźbie bombardowania Warszawy, w niezgodzeniu się, właśnie w czasie debatów z Karnickim nad koncesjami, by do Petersburga przybyła deputacja polska dla wręczenia adresu. Wobec takiego usposobienia sfer rządowych petersburskich, należało się lękać, by przez zbyt duże naciągnięcie struny, struna ta nie pękła. Trzeba było przytem działać szybko, gdyż z Warszawy mogły lada chwila przybyć wieści o nowych zaburzeniach, kto wie, może o powstaniu zbrojnym, i wszystkie nadzieje i usiłowania zwiać jak piasek, gdy wichur się zerwie. Dlatego to Karnicki był ostrożny i żądał niewiele; takim zresztą być musiał, gdyż instrukcja dana mu od Gorczakowa, o Stanach prowincjonalnych nic nie mówiła. Najrozumniejszym postępowaniem w tej chwili było uzyskanie czegośkolwiek, sprowadzenie rządu na drogę koncesji, na której już łatwiej było popchnąć go przy zdarzonej sposobności dalej.

Gdy Karnicki skończył swoje przedstawienie, cesarz począł się naradzać z Tymowskim i Płatonowem, coby czynić należało. Tymowski był już człowiekiem starym i bez zdania, ale na szczęście pomocnik jego Waleryan Płatonow gorąco poparł projekta Karnickiego. Wskutek tego cesarz zdecydował, że na dzień następny ma być zwołana nadzwyczajna narada tajna, złożona z głównych, jego zaufaniem zaszczyconych, ministrów, t. j. księcia Gorczakowa, ministra spraw zagranicznych; Suchozaneta, wojny; księcia Dołgorukowa, szefa żandarmów; Tymowskiego i Płatonowa, celem szczegółowego rozbiórki wniosków Karnickiego. Było to już ważne zwycięstwo, zdobycie, że tak powiemy, pierwszej reducy. Szło teraz o to, by członków rady tajnej jak najlepiej usposobić dla proponowanych reform i dlatego zaraz nazajutrz rano Karnicki objechał wszystkich tych panów i każdemu szczegółowo opowiedziawszy stan rzeczy, wyłożył konieczność żądanych reform.

Rada odbyła się dnia 8 Marca popołudniu. Dzięki temu, że cesarz, raz zdecydowawszy się na przekształcenie administracji w Królestwie, chciał doprowadzić do skutku swoje postanowienie; reformy na tej naradzie tajnej w zasadzie postanowione zostały. Uchwalono donieść o tem namiestnikowi, z zastrzeżeniem, aby rezultat narady nie był jeszcze ogłoszony, wszakże

żeby o nim poufnie wpływowo osobistości w kraju zawiadomił. Jednocześnie polecono Tymowskiemu, ażeby wspólnie z Karnickim i Płatonowem ułożył raport, mający służyć za podstawę do koncesyi przyznanych już w zasadzie. Romualdowi Hubemu, pracującemu dotąd w osławionej Komisji kodyfikacyjnej, kazano wygotować memoriał o urządzeniu w Warszawie wyższego zakładu naukowego i o reformie wychowania publicznego. Nakoniec zdecydowano, żeby przed ostatecznym wyrzeczeniem co do reform projektu do nich komunikować namiestnikowi, który, po zasięgnięciu zdania mężów zaufanie w kraju posiadających, mógłby uczynić wniosek o ich uzupełnienie, zmianę lub rozszerzenie.

Gdy się to wszystko działo w Petersburgu, gdy Tymowski, Płatonow, Karnicki i Hubę mozolnie pracowali nad wygotowaniem t. z. raportu o reformach, przyznanych Królestwu, w Warszawie wypadki toczyły się raz nabytym w dniu pogrzebu poległych pędem i wiodły naród ku zgubnej, niespostrzeżonej jeszcze w tej chwili przepaści zatracenia. Po z wielu względów podniosłem i nigdy niezapomnianem widowisku, jakie przedstawiał pogrzeb pięciu ofiar, zdawałoby się, że wyparte katastrofą fale życia społecznego winny wrócić do swego koryta i czekać w spokoju na to, co przyniosą starania Karnickiego, o którego wyjeździe, oraz o celu tego wyjazdu to i owo zdołało się do publiczności przedostać. Tymczasem wzburzenie umysłów wciąż trwało i obawa następstw tego wzburzenia nie opuszczała ani na chwilę tak Delegacyi miejskiej w Resursie, jak i Gorczakowa w Zamku. Ponieważ nazajutrz po pogrzebie, dnia 3 Marca, przypadała Niedziela i lękano się, by klasa rzemieślnicza, zwłaszcza jej młodzież, wolna od zajęcia, nie gromadziła się licznie na ulicach i przy ogólnym stanie podniecenia nie wywołała jakich zaburzeń, więc Delegacya miejska wydała odezwę, drukowaną i rozlepioną na rogach ulic, do starszych zgromadzeń rzemieślniczych, ażeby zabronili chłopcom i czeladzi swojej tłumnych zbiegowisk na ulicach. Ton tej odezwy ciepły, serdeczny, przejęty sentymentalizmem epoki, zrobił swoje i Niedziela przeszła spokojnie. Tłumy snuły się po ulicach miasta, jak zwykle w Warszawie w każde święto, tłumy czarne, żałobne, ciche, nadając całości zamięszanie szczególne, dziwnie smutne.

Tegoż dnia 3 Marca wezwany został do Zamku Andrzej hr. Zamoyski i Aleksander Ostrowski, którym Gorczakow dziękował za utrzymanie porządku podczas pogrzebu. Przyjęli to podziękowanie w milczeniu, jakkolwiek nie ich to było zasługą, ale Delegacyi miejskiej, która także w tym dniu w osobie Szlenkiera, Piotrowskiego i Lewińskiego stawiała się dla złożenia namiestnikowi sprawozdania z pogrzebu. Gorczakow dziękował im tak samo jak i szlachcie, nie mógł wyjść z podziwienia, że w przeszło stutysięcznym tłumie porządek był utrzymany bez policyi, bez wojska, bez reprezentantów władzy,

którą zastępowali studenci różnych zakładów naukowych, młodzież gimnazjalna lub rzemieślnicza⁴⁹. Mówił, że go to cieszy, że teraz jednak, kiedy Delegacja obywatelska dopełniła zaszczytnie swego zadania utrzymania porządku, może powrócić do swych prywatnych czynności, nadal bowiem już policja czuwać będzie nad bezpieczeństwem miasta. Słowa te mówiły do członków Delegacji, że korporacja ich zostaje rozwiązana, przypominały szyllerowskie zdanie o murzynie, który swoje zrobił i może już odejść. Ze stanowiska Gorczakowa, rozwiązanie Delegacji, która rozporządzała się w mieście jako władza, było rzeczą konieczną i nagłą, i domaganie się jego było zupełnie na miejscu, było czynem nawet zbawiennym nie tylko dla rządu, ale i dla losów Polski. Niestety! to żądanie tak konieczne, tak naturalne, tak zdaje się logiczne, znalazło szkopa, o który się rozbiło w tej przesądnej i naprawdę nieusprawiedliwionej obawie przed mogącym wybuchnąć powstaniem w mieście, jaka ciągle kołatała się po głowie namiestnika i jego otoczenia. Powodowany tą obawą, mówiąc o potrzebie rozwiązania Delegacji, dodał, że spodziewa się jednak, iż obywatele nie odmówią swej pomocy rządowi i wpływem swoim starać się będą ułatwić mu uspokojenie umysłów.

Z tych słów, zdradzających widoczny strach w Gorczakowie, z wielką zręcznością skorzystali delegaci, a mianowicie Szlenkier. Zauważył on tonem chłodnym, że jeżeli obywatele potrafili dotąd miasto w spokoju utrzymać, to dlatego, że posiadali zaufanie publiczne jako delegowani, jako członkowie ciała wybranego nieomal przez całe miasto, od którego otrzymali mandaty; z chwilą jednak, gdy te mandaty będą zmuszeni złożyć, pojedynczo żaden z nich wpływu nie ma i w duchu wspomnianym przez namiestnika działać nie może. Widząc, że słowa te robią wrażenie na Gorczakowie, Szlenkier w jaskrawych barwach odmalował swą obawę, iż usunięcie się Delegacji może być powodem do nowych zaburzeń. Napróżno namiestnik usiłował zbić te obawy, raczej przed sobą niż przed delegatami, napróżno opierał się na tem, że najlepsza przecie sposobność do zrobienia powstania podczas pogrzebu

49 Giller („Dzieje delegacji warszawskiej”) z tego powodu opowiada następującą anegdotę: Hiszpański przy jakiejś sposobności, której autor bliżej nie określa, miał ironicznie wyrazić się przed Muchanowem z przyczyny tego zachowania się młodzieży: „iż jego (Muchanowa) to zasługą, że tak patriotyczną młodzież dla Polski wychował”. Jest to bardzo dowcipne, tylko niestety! nieprawdziwe i należy do rzędu tych licznych w tej dobie bajeczek, mniej lub więcej zręcznych, które tworzone na rachunek Hiszpańskiego, człowieka Bogu duszę winnego, dobrego szewca, ale nic więcej. Niemniej wątpliwą wydaje nam się relacja, podana przez tegoż Gillera, jakoby „Paulucci przybywszy do Resursy padł na klęczki przed Delegacją i dziękował za zachowanie porządku podczas pogrzebu, w najgorętszych słowach wyrażając podziwienie swoje i obawy, jakie pomimo zapewnień kazały mu się spodziewać rozruchu”.

już minęła i wczoraj rozruchów żadnych nie było; delegaci odrzekli, że to jest prawdą, że jednak, jeżeli wczoraj nie przyszło do zaburzeń, to nie dlatego, żeby chęci lub żywiołów potemu w mieście brakowało, ale że oni, delegaci, wszystkich swych sił, całego wpływu użyli, by pogrzeb odbył się spokojnie i cicho; że wzburzenie umysłów ciągle trwa i najmniejszy krok niezręczny ze strony władzy może wywołać nowe, stokroć krwawsze i donioślejsze starcie, niż to było we Środę. Zdania te zdawały się przekonywać Gorczakowa, zwłaszcza, że pod tym względem w głębi duszy zgadzał się z delegatami i jeżeli stawiał opozycją, to tylko dla formy. Naradziwszy się z generałem Kotzebuem, w rezultacie zezwolił na dalszą egzystencją Delegacji obywatelskiej, a nawet zgodził się na to, by ona zwiększyła liczbę swych członków przez przybranie nowych. Prezydować w tej nowej Delegacji ma generał Paulucci. Wysłuchawszy tej rezolucji, zapewniającej mieszczaństwu nowe zwycięstwo nad władzą chwiejną i niezdecydowaną, delegaci skłonili się i przypomnieli namiestnikowi o więźniach zamkniętych w cytadeli. Na to Gorczakow udał się do swego gabinetu i, wyniósłszy ztamtąd jakiś papier, rzekł: „oto raport komendanta cytadeli; z niego przekonać się można, iż tylko 21 więźniów politycznych jest w dziesiątym pawilonie. Zakomunikujcie to panowie kolegom i ludności i powiedzcie jej, że więźniowie będą sądzeni w sądach cywilnych”.

Ucieszeni ze swego nowego, niezaprzeczenie znacznego zwycięstwa, zwłaszcza co do więźniów politycznych, których odtąd miały sądzić sądy zwyczajne, delegaci powrócili do resursy i uwiadomili zebranych o rezultacie swej misji i ustępstwach, jakie uzyskali. Przyjęto ich okrzykami radości licznie zebranych tłumów, które napełniały wszystkie sale, schody, korytarze i sienie. Nazajutrz, d. 4 Marca, Enoch zjawił się w resursie, wysłany tu przez namiestnika i potwierdził wczorajsze decyzje. Odtąd Delegacja miała się składać ogółem z 24 członków, którzy naprzemian po ośmiu mieli obradować w ratuszu pod prezydencją Paulucciego. Porządek w mieście ma utrzymać nie policja rządowa, ale straż obywatelska, dalszy ciąg owych konstabli narodowych, którzy w dzień pogrzebu pięciu poległych tak dzielnie czuwali nad porządkiem i spokojem publicznym. Straż ta jednak broni nie miała nosić. Co do więźniów politycznych, Gorczakow widocznie po namyśle i po zasięgnięciu zdania u swych doradców, przez usta Enocha oznajmił, że zniesie się najprzód z audytorem sądów wojennych i uwiadomi, czy więźniom może być dodana obrona cywilna. Było to cofnięcie się wsteczne wobec wczorajszych przyrzeczeń, ale pigułkę tę starał się namiestnik osłodzić obietnicą, że nikt bez poprzedniego zawiadomienia Delegacji aresztowanym nie będzie.

Wszystko to Enoch odczytał w resursie po francuzku, a słowom jego towarzyszyły huczne i radosne oklaski. Nie długo jednak miano się cieszyć pew-

nością swego zwycięstwa. Gorczakow ciągle niezdecydowany, co by mu czynić należało, w ciągłej obawie, czy nie zanadto popuścił cugli Polakom, w nieustannym wahaniu się, to, co rano dał, po południu chciał cofnąć. Zawiadomił mianowicie nazajutrz, d. 5 Marca, Delegacyą w odezwie po polsku zredagowanej, że chce, iżby straż obywatelska ograniczona była do dwóch obywateli na każdy cyrkuł, oraz co do więźniów politycznych cofnął zupełnie swe poprzednie zobowiązania. Delegacya tych zmian przyjęć nie chciała, więc znowu zawiązały się negocjacje i w rezultacie stanęło na ustępstwach z d. 4 Marca, pod warunkiem, że w gazetach nie będą ogłoszone przyrzeczenia co do straży, więźniów i aresztowań. Jakoż tego jeszcze dnia (5 Marca) ukazała się w gazetach odezwa Paulucciego, uwiadamiająca ogół o ustanowieniu Delegacyi obywatelskiej z 24 członków, mającej zasiadać w ratuszu, kolejno w komplecie po ośm osób pod prezydencją Paulucciego, „dla utrzymania porządku i bezpieczeństwa publicznego”⁵⁰.

Jakoż nazajutrz, d. 6 Marca rano, zebrano się w resursie i delegaci przybrali nowych członków, mianowicie: Teofila Piotrowskiego, obywatela ziemskiego; Jakóba Natansohna, uczonego chemika; Franciszka Szolce, właściciela domu; Kajetana Witkowskiego, zduna i właściciela domu; Henryka Krajewskiego, Sybiraka, który wrócił do kraju za amnestją; Konstantego Fiszera, byłego pułkownika b. wojsk polskich; Antoniego Trembickiego, obywatela ziemskiego i adwokata Antoniego Wrotnowskiego, obu członków Towarzystwa rolniczego; nakoniec Dominika Zielińskiego, adwokata, doradcę prawnego wielu panów bogatych i bankierów.

Prócz powyższych, na wniosek Dra Chałubińskiego, ażeby i Akademia medyczna była w Delegacyi reprezentowaną, pomimo słusznej i usprawiedliwionej opozycji J. I. Kraszewskiego, że Akademią reprezentują profesorowie a nie studenci, i że młodzież w Delegacyi jest niepotrzebną, przyjęto do niej studenta Henryka Kuskowskiego⁵¹. Tym sposobem powstał skład 24 członków nowej Delegacyi. Jak widzimy, Towarzystwo rolnicze miało w niej dwóch

50 Odezwa ta dosłownie brzmi jak następuje: „J. O. książę namiestnik, mając na względzie potrzebę zwiększenia obecnie środków zachowania porządku, jak niemniej chwalebna ku temu gotowość obywateli, ustanowić raczył czasową Delegacyą z wybranych w tym celu 24 delegowanych z miasta. Delegacya ta zasiadać będzie w ratuszu, kolejno w komplecie po ośm osób, pod prezydencją generała Paulucci, naczelnie zawiadującego policją, dla utrzymania porządku i bezpieczeństwa publicznego”.

Warszawa d. 5 Marca 1861 r. Naczelnie zawiadujący policją
Generał-Major, Markiz Paulucci”.

51 Kuskowski właściwie wszedł do Delegacyi w zastępstwie Karola Majewskiego, który, czem innem zajęty, nie miał czasu. Kuskowskiego w tym celu przez akt rejentalny zrobiono właścicielem fikcyjnym domu w Warszawie.

swoich reprezentantów, którzy mieli tam przedstawiać politykę tegoż Towarzystwa, a zarazem uwiadamić to ostatnie o wszystkim, co się w Delegacji dzieje.

Ukonstytuowawszy się ostatecznie w sposób powyższy, Delegacja obywatelska koło godziny 11-tej rano wyruszyła z resursy pieszo do ratusza. Pochód ten urządzono z pewną ostentacją i z teatralną efektownością, tak ulubioną przez ludność warszawską. Najprzód, na czele, jako najstarszy wiekiem, rozrzewniający szczątek dawnej chwały wojennej polskiej, posuwał się drżący i zgarbiony generał Jakób Lewiński. Zanim, na znak braterstwa wszystkich wyznań, ks. Wyszyński szedł pod rękę z nadrabinem Mayzelsem, a ks. Stecki z opasłym, czerwonym bankierem Rosenem. Wśród okrzyków ludu, zachwycającego się tem widowiskiem, Delegacja przeszła przez ulicę Senatorską na ratusz, gdzie ją powitał oczekujący na nią generał Paulucci. Przystąpiono zaraz do czynności, rozpoczynając tym sposobem te słodkie „polskie czasy” te „dni wolności”, które długo w tradycji ludu warszawskiego żyły, jak owa oaza zielona i świeża w głuszy i udręczającym warze pustyni, do której wędrowiec tęskni i o której z melancholijnem uczuciem szczęśliwości minionej wspomina.

Przedewszystkiem na tem pierwszym posiedzeniu prezes urzędowy Delegacji, Paulucci, odczytał jej dwie decyzje namiestnika, a mianowicie, że: mają jej być komunikowane odtąd imiona i nazwiska osób aresztowanych za przestępstwa polityczne z objaśnieniem powodów aresztowania; oraz że zostaną przedsięwzięte środki dla pogodzenia przepisów procedury sądowej wojennej z życzeniem księcia namiestnika, ażeby oskarżeni o przestępstwo stanu mogli być bronieni przez adwokatów. Decyzje te znane już były Delegacji; wysłuchawszy ich więc, członkowie zebrania zwrócili się do Paulucciego z prozbą, by raczył ich uwiadomić, co mianowicie zrobiono dotąd w kwestyi publicznej obrony oskarżonych, oraz, czy Delegacja nie mogłaby otrzymać w celu uspokojenia umysłów spisu osób uwięzionych za przestępstwa polityczne? Paulucci na oba te pytania odrzekł, że poprosi księcia namiestnika co do pierwszego o wiadomości, a co do drugiego o pozwolenie. Delegacja jednak na tem nie poprzestała; z uporem osobliwszym, gdyby go nie tłumaczyły ówczesne okoliczności, zajmowała się ciągle sprawą więźniów politycznych. Postawiwszy już dwa żądania, Delegacja wyraziła zdanie, że prędkie rozstrzygnięcie losu więźniów zgodnie z zasadami sprawiedliwości i ludzkości przyczyni się znacznie do uspokojenia umysłów. Generał Paulucci odrzekł, że zawiadomi o tem księcia namiestnika.

Skończywszy nakoniec z więźniami politycznymi, pomówiwszy trochę o straży bezpieczeństwa obywatelskiej, Delegacja przedstawiła następujące wnioski: ażeby policja wykonawcza, w razie przedsięwzięcia jakich środków nadzwyczajnych, uwiadomiła o tem poprzednio Delegacją, gdyż tym tylko

sposobem będzie można nieraz uniknąć potrzeby stosowania rzeczonych środków; że dobrzeby było, ażeby policji zakomunikowane były imiona i nazwiska członków Delegacyi. Na oba te żądania Paulucci się zgodził. Wreszcie zajęto się organizacją wewnętrzną; postanowiono mianowicie, ażeby Delegacya zbierała się codziennie dwa razy, o godz. 1-szej w południe i o 7-mej wieczorem i że mają być spisywane protokoły każdego posiedzenia w dwóch jednobrzmiących egzemplarzach, podpisanych przez wszystkich członków.

Tegoż samego dnia zebrała się Delegacya poraz drugi w ratuszu o godz. 6-tej wieczorem. Paulucci, który między jednym a drugim posiedzeniem zdołał porozumieć się z namiestnikiem i zanieść mu żądania obywateli, oznajmił: „Książę powtórzył mi, że zajmie się jak można najspieszniej zapewnieniem więźniom politycznym środków uniewinnienia się przez udzielenie im obrońców. Z mojej strony mam honor dodać, że środek ten, tak wielkiego znaczenia w interesie ludzkości, nie może być przedsięwziętym bez dojrzałej rozważki, tem więcej, że zmieni on całkiem sposób postępowania, istniejący w Królestwie. Listę uwięzionych za przestępstwa polityczne i przyczyna ich zatrzymania zakomunikowaną zostanie Delegacyi. Niemniej książę namiestnik zgodził się na życzenie panów przyspieszenia decyzji względem więźniów politycznych”. Zdawałoby się, że tak zupełne zadośćuczynienie żądanom Delegacyi powinno ją zadowolnić. Wysłuchawszy odpowiedzi Paulucciego, członkowie poczęli się uskarżać na zwłokę w działaniu, która według ich zdania może wyrzucić wpływ niekorzystny na umysły mieszkańców. Na wniosek Paulucciego, że w razie jego nieobecności należy kogoś wybrać na przewodniczącego, jednogłośnie wiceprezydenturę powierzono generałowi Lewińskiemu, na sekretarza zaś obrano Henryka Krajewskiego.

Po odbytem posiedzeniu na ratuszu członkowie Delegacyi udali się do reursy, gdzie ciągle zbiegały się tłumy, gdzie krzyczano, rozprawiano i radzono. Zbiegowiska te, jakkolwiek nie miały charakteru klubu, nie były dawną Honoratką rewolucyjną, przecież stanowiły pewien wyraz opinii ogólnej miasta, i przez swą liczebność i gwałtowność wywierały silny nacisk na Delegacyą. Ta wkrótce spostrzegła, jak jej stanowisko jest śliskie i niepewne. Z jednej strony rząd zawsze podejrzliwy i zawsze skłonny do środków despotyzmu wojennego, znoszący Delegacyą z niechęcią, uznający jej istnienie tylko pod warunkiem, że utrzyma miasto w spokoju; z drugiej te tłumy gorącej młodzieży, głów rozgrzanych przez wypadki, oszołomionych przez ustępstwa rządowe, gotowych do oskarżenia o zdradę ojczyzny tych, którzyby inaczej myśleli i postępowali, pragnących dalszego ciągu manifestacyi a nawet powstania. Położenie więc Delegacyi było niezmiernie trudne. Trzeba było trzymać na łańcuchu dzikie zwierzę rewolucyi i od czasu do czasu pokazywać rozwartą paszczę

tego zwierzęcia rządowi, gdy ten sztorcem chciał stawać. Jeżeli z tym ostatnim walka była ciężka i niebezpieczna, o ileż ona cięższą była z tymi tłumami, które gotowe były każdej chwili do wyłamania się z pod moralnej supremacji komitetu obywatelskiego. Tu trzeba było przemawiać, tłumaczyć, odwoływać się do miłości tej ojczyzny, którą wszyscy niby kochali gorąco, ale wszyscy prowadzili ku strasznej skale Tarpejskiej i bezdennej u jej stóp przepaści. Co wieczór więc, po sesji na ratuszu, członkowie Delegacji szli do resursy na drugą sesję, zawsze burzliwą i zawsze głośną i gorączkową. Tutaj Chałubiński albo Szlenkier zawiadamiał zebranych o tem, co robiono na posiedzeniu w ratuszu, słuchał zarzutów, bronił Delegacji, spierał się, walczył, tłumaczył.

Gdy tak Delegacja organizowała się i jak starożytny Janus dwa lica mieć musiała, jedno grożące wojną, drugie uśmiechnięte pokojem, jeszcze w dniu 5 Marca utworzyła ona komitet dla wystawienia pomnika poległym w d. 27 Lutego, oraz wsparcia pozostałych po nich rodzin, jakoteż i wsparcia osób w tym dniu ranionych. Prezydującym w tym komitecie, na który Gorczakow patrzył przez palce, został ks. Wyszyński, sekretarzem Jeziorański, późniejszy głośny dowódca w powstaniu. Składał on się z siedmiu osób, do których dodano jeszcze dwóch studentów Akademii medycznej, Fochta i Szaniawskiego⁵². Komitet ten zaraz po swem ostatecznem uorganizowaniu się, zawiadomił o tem kraj przez publiczne po gazetach ogłoszenie⁵³, w którym między innymi zaznacza, że składki pieniężne, jakie wpłynęły na pogrzeb, znacznie przewyższyły kosztą⁵⁴.

52 W skład komitetu wchodził: ks. Wyszyński prezes, Jeziorański sekretarz, Karol Beyer, fotograf; Wambach, jeden z właścicieli hotelu Europejskiego; Karol Kucz, redaktor „Kuryera Warszawskiego”; Karol Majewski, akademik i generał Lewiński.

53 Tekst ogłoszenia jest następujący: „Dobrowolne ofiary, jakie ze wszech stron posypały się tak od znajdujących się czasowo w Warszawie obywatele wiejskich, jako też całej niemal ludności warszawskiej, dla pochowania zwłok pięciu osób poległych w d. 27 z. m. bez względu nawet na zamożność rodzin, pozostałych po niektórych z tychże; spowodowały utworzenie się funduszu, którego ilość po obliczeniu wszystkich w ogóle wpływów podaną zostanie do wiadomości publicznej. Po dopełnieniu zatem z czcią należną pochowania zwłok, ogólna suma tych darów pomimo całej świetności pogrzebu, nie wiele zmniejszoną została, albowiem, począwszy od szanownego Duchowieństwa, aż do najmniejszej niemal posługi, wszyscy z całą gotowością i bezinteresownością pośpieszyli dla uczczenia pamięci poległych. Pragnąc zatem z całą sumiennością dopełnić życzeń ofiarodawców, t. j. aby z pozostałej składki od pogrzebu wystawić pomnik poległym w tem miejscu, gdzie zwłoki ich na cmentarzu Powązkowskim złożono; a następnie resztę użyć na cel dobroczynny, a przede wszystkim na wsparcie rodzin poległych i ranionych, które tego potrzebować będą, a znajdując się w stanie niezamożnym, zawiązany został Komitet z kilkunastu członków złożony a pod prezydencją J. X. kanonika Wyszyńskiego zostający itd.”

54 Ilość tych składek do dnia 5 Marca, według rachunku ogłoszonego przez kasyera komitetu pogrzebowego Jakóba Piotrowskiego, wynosiła złp. 74.421 gr. 17. W to wliczona jest

Drugą czynnością Delegacji obywatelskiej, po rozpuszczeniu konstabli narodowych, potworzonych z młodzieży akademickiej i szkolnej, było uorganizowanie straży bezpieczeństwa obywatelskiej. W tym celu utworzono Dyrekcyą straży bezpieczeństwa, pod prezydencyą bardzo czynnego i ruchliwego kupca Józefa Kwiatkowskiego⁵⁵. Ten zajął się tą sprawą nader gorliwie tak, że w stosunkowo krótkim czasie straż stanęła, jakby nagle z ziemi wyrosła. Każden cyrkuł policyjny podzielono na trzy okręgi (cyrkułów było 12, zatem okręgów 36) pod naczelnictwem tak zwanego okręgowego, który był z wyborów. Okręgowy, inaczej dziesiętnik lub setnik, miał pod sobą najmniej pięćdziesięciu, często więcej konstablów, jeżeli strzegł ruchliwszej lub ludniejszej strony miasta. Były codzień trzy zmiany służby i ogólna liczba konstablów dosięgała od 1800 do 2000 ludzi⁵⁶. Wpływ ich na miasto, zwłaszcza na ludność uboższą był ogromny, a działalność większej części konstablów na wskroś rewolucyjna. Przestrzegając porządku publicznego, stykając się bezpośrednio z ludem, zrewolucjonizowali go, przygotowywali w duchu powstańczym. Mięszali się oni do wszystkiego, załatwiali i sądzili wszelkie spory, na wzór owego konstabla, który pogodził w imię miłości ojczyzny kłócące się małżeństwo na Rybakach. Ponieważ improwizowani ci policyjanci tworzeni byli przeważnie z młodzieży, przejętej duchem agitatorskim, duch ten więc przenikał wszędzie. Tu i owdzie przy rozstrzyganiu drobnych zająć ulicznych, rozgrywały się wysoce komiczne sceny, w ogóle jednak szanowano i słuchano młodzieńczych strażników bezpieczeństwa publicznego. Zdarzało się nieraz, że lud swe nieporozumienia niósł pod sąd konstablów, którzy powoli potrafili wzbudzić ku sobie takie zaufanie i zyskać tyle powagi, iż na ulicach rozstrzygali spory kilku słowami⁵⁷.

wartość łyżeczki srebrnej przez kogoś zaofiarowanej, oraz zegarka damskiego, nadesłanego z Litwy, przez wnuczkę Tadeusza Rejtana, z portretem tego patrioty.

55 Do Dyrekcyi straży bezpieczeństwa należeli: Józef Kwiatkowski, kupiec, Karol Ruprecht, Sybirak; Edward Jurgens, urzędnik; Ignacy Natansohn; Leopold Otto, pastor luterski, Rafał Krajewski, i jeszcze jakiś ksiądz, którego nazwiska nie wiemy.

56 Każden z nich był zaopatrzony w numer i bilet z napisem „Straż obywatelska”. Na odwrotnej stronie tego biletu było nazwisko konstabla, a pod spodem wyciśnięte dwie ściskające się ręce. W zbiorach naszych posiadamy kilka takich biletów, włożonych w kopertę żółtą tekturową, na której wypisany jest numer konstabla.

57 Agaton Giller, który był okręgowym w okolicach Nowego Miasta, opowiada takie zdarzenie: „raz pod murami cytadeli przyprowadzili do mnie, jako okręgowego, policyjantów rosyjskich, którzy usiłowali swą władzę utrzymać i w szynku wymyślali. Dałem policyjantom naukę szanowania narodu i łagodnego obchodzenia się z ludźmi i zapytałem robotników: „a cóż z nimi chcielibyście teraz zrobić?” „Puścić ich wolno, odrzekli, ale niechaj pamiętają, że Polacy postępowali z nimi dobrze, nie tak jak oni, co nas jak bydłeta traktowali”. W innym miejscu w szynku chcieli żołnierze ugościć wódką wyrobników. Odsunęli kieliszki nalane mówiąc: „nic od was nie chcemy”. Giller przytacza te anegdoty, jako objaw pod-

Prowokatorzy rozruchów, agitatorzy zapaleni, zwolennicy niekończących się nigdy manifestacyi, konstable ci, odgrywając na pozór, dość zręcznie rolę stróżów pokoju i ciszy powszechnej, tem usilniej, tem goręcej pracowali w skrytości, w głębi ludowych warstw nad ich poruszeniem i popchnięciem ku agitacyi. Było to oddaniem miecza w ręce szalonego; i zezwolenie Gorczakowa na powierzenie miastu władzy policyjnej było największym z błędów, jakie popełnił.

Jeżeli jednak ustanowienie konstabli narodowych z jednej strony tak zły, tak zgubny dla przyszłości kraju wpływ wywierało, to z drugiej wytworzyło dziwne, niepojęte z wielu względów dla tych, którzy na to nie patrzeli własnymi oczami, podniesienie się poziomu moralnego całej społeczności miejskiej. Złodzieje, nocni rycerze, nierządnicę i pijacy jakby całkiem znikli z obrębu miasta. Niezmiernie rzadkie były wypadki, by straż obywatelska wystawiona była na smutną konieczność chwywania rzezimieszków, odprowadzania pijanych, usuwania kobiet publicznych. Zdawało się, że po wielkiem tem mieście powiał jakiś duch niezwykle podniosły, jakby znikły i zgasły w niem wszystkie poziome, ludzkie namiętności pod wpływem jednego wielkiego uczucia: miłości ku tej Polsce nieszczęśliwej i gnębionej! Ten stan umysłów wywierał na wszystko i wszystkich niesłychany urok, zdawał się być ziszczeniem najśodszych marzeń, Chrystusowych utopii o niezakłóconej ciszy i miłości społecznej; ale ludzie rozważniejsi, doświadczeni obawiali się i słusznie, by po tym chwilowym nastroju wysokim ducha nie nastąpił jeszcze większy upadek, jeszcze silniejsza reakcja.

Wśród takiego usposobienia, tak górnie i niezwykle nastrojonej opinii publicznej, Delegacya obywatelska odbywała regularnie swe posiedzenia w ratuszu. Na trzeciej z rzędu sesyi, d. 7 Marca, zajmowano się jak zwykle sprawą więźniów politycznych, których listę Paulucci przyniósł i wręczył delegatom; wreszcie domagano się, żeby protokoły posiedzeń mogły być ogłaszane drukiem. Paulucci odrzekł, że na to nigdy i pod żadnym pozorem zgodzić się nie może. Następnie delegaci oznajmili, że ponieważ nikt się niezajomością prawa tłumaczyć nie może, należy więc znać przepisy prawne, obowiązujące w kraju; tymczasem więźniowie polityczni od dawien dawna stawiani są przed sądy wojenne, które sądzą według ustaw nigdy w kraju nieogłoszonych i nikomu z mieszkańców nieznanym. W skutek tego Delegacya uznała za konieczne prosić o zakomunikowanie jej rozporządzeń, któremi kierują się sądy wojenne przy rozpatrywaniu przestępstw politycznych⁵⁸.

niosłości uczuć moralnych w ludzkie warszawskim, jakkolwiek relacye tego pisarza należy przyjmować z wielką ostrożnością.

58 Po zamknięciu tego posiedzenia generał Lewiński, ks. Stecki i Antoni Wrotnowski udali się wraz z generałem Pauluccim do aresztu policyjnego, znajdującego się w zabudowaniach

Kategoryczny zakaz publikowania przez pisma protokółów posiedzeń Delegacji miał ze wszech miar złe skutki, stokroć gorsze od tych, jakich rząd się lękał, gdyby sprawozdania te były ogłaszane publicznie. Delegaci, wobec wzburzonych umysłów i rozdrażnionej nadzwyczajnie opinii, znajdowali się w tem położeniu, że nie mogli ukrywać tego, co się działo na posiedzeniach. Ogół, oddając całe swoje zaufanie w ręce kilkunastu ludzi, oddając niejako losy swoje i kraju, miał prawo domagać się, by go uwiadamiano, co ci ludzie robią, jaki użytek czynią z tego zaufania i czy nie wchodzą na błędne ścieżki.

W takim stanie rzeczy delegaci, nie mogąc publikować sprawozdań ze swych posiedzeń, zmuszeni byli użyć innej drogi; co wieczór więc, po ukończeniu sesji w ratuszu, przychodzili do resursy, przynosili ze sobą kopią protokołu i odczytywali go zawsze tłumnie zgromadzonej tam publiczności, która tym sposobem dowiadywała się i kontrolowała postępowanie swych delegatów. Rząd, który niepodobna, by o tem nie wiedział, gdyby był rozumny i pewny siebie, wobec tego bezwarunkowo powinien był zgodzić się na ogłaszanie rzeczonych protokółów, na wyjawianie istotnej prawdy, która nieraz w ustnych podaniach wychodziła mocno skażona i rzucała na władzę bardzo niekorzystne światło. Niestety! sztuka rządzenia na długo jeszcze będzie niedoścignionym ideałem dla jenerałów rosyjskich, przemienionych nagle w wielkorządców Polski⁵⁹. Publikowanie protokółów z wielu względów przyczyniałoby się do uspokojenia umysłów, to jest do tego, czego tak gorąco pragnął Gorczakow; przeciwnie zaś ukrywanie tego, co robiono na sesjach Delegacji, nadawanie tym czynnościom cechy tajemnicy stanu, budziło w wielu głowach podejrzliwych i rozdrażnionych poważne wątpliwości, czy Delegacja spełnia jak należy swe zadanie.

Rozdrażnienie opinii było zresztą tak wielkie, że nie pozostawało bez wpływu nawet na urzędników, na przedstawicieli władzy. Cenzura, złożona

ratusza i przekonali się, że tam jest jeden tylko więzień, niejaki Feliks Maładziński, przytrzymany przez studentów Akademii medycznej, pełniących obowiązki konstabli narodowych, za awantury uliczne.

59 Mikołaj Berg w tylokrotnie tutaj cytowanych „Zapiskach o polskich wozstaniach”, powiada, że słyszał, jakoby delegaci wszystkie swoje protokoły posyłali do Poznania, do Władysława Niegolewskiego i pewnego dnia „razem z protokołem wysłali jakiś papier (bumagu), otrzymany od namiestnika. Ponieważ Gorczakow lubiał wszystkie swoje papiery przerabiać po kilka razy, zażądał więc zwrotu i tego dla przejrzenia i przeróbki. Odpowiedziano mu, że gdzieś się zapodział. On się nie zapodział, tylko leciał do Niegolewskiego”. W innem znowu miejscu tenże autor zapewnia, że delegaci, zeszedłszy się wieczorem w resursie kupieckiej, pisali nowy protokół i posyłali koleją żelazną do Niegolewskiego. Wiadomość o komunikowaniu wzmiankowanych protokółów Niegolewskiemu, oparta na pogłosce, nie potwierdzona przez żadne inne źródło, wydaje nam się fałszywą.

w większej części z Polaków, w obawie przed tą opinią niezmiernie złagodniała. Autorowie poczęli pisywać śmieiej, cenzorowie zaś nie mieli odwagi przekreślać artykułów, częstokroć stanowczo sprzecznych z paragrafami przepisów cenzuralnych.

Tym sposobem w dzień pogrzebu pięciu poległych pozwolono gazetom wyjść w czarnych obwódkach, mających oznaczać żałobę; pozwolono wspominać o wypadkach świeżo zaszłych, ogłaszać składki na pogrzeb i wsparcie rodzin po zabitych; publikować licytacje na przedmioty ofiarowane w naturze, jak np. na zegarek po Rejtanie; dozwolono nakoniec na przeprowadzenie ważnej reformy w dziennikarstwie, reformy nadającej mu charakter europejski. Dnia 7 Marca, J. I. Kraszewski, jako redaktor „Gazety codziennej” i Józef Kenig, jako redaktor „Gazety warszawskiej”, udali się razem do Muchanowa i wyjednali pozwolenie na pomieszczanie w swych pismach t. z. artykułów wstępnych. Muchanow, który bacznie przypatrywał się całemu ruchowi, widząc chwiejność Gorczakowa, niepewny o samego siebie, począł kokietować ulicę, przybywał na posiedzenia Towarzystwa rolniczego, żeby „dzielić z niem niebezpieczeństwo”, z deputatami do namiestnika d. 27 Lutego rozmawiał grzecznie i kłaniał im się nisko; w ogóle przybierał postawę człowieka szczerze miłującego Polskę i jej dobro, przyjął obu redaktorów bardzo łaskawie i zgodził się na ich żądanie. Zaraz też nazajutrz wzmiankowane gazety pomieściły takie artykuły. Za ich przykładem poszły niezwłocznie inne pisma warszawskie.

Ale nie ograniczono się na artykułach wstępnych. Jakkolwiek cenzura była łagodna, na wiele rzeczy patrzyła przez palce i udawała, że wielu innych nie rozumie, bądź co bądź jednak istniała i nie powinna była nigdy zezwolić na to, by gazety warszawskie stały się jednym z zarzewi, podsycających ducha rewolucyjnego w kraju. Pod przejrzystymi osłonami, ze zręcznością, jakiej nabyć tylko mogli dziennikarze w ciężkiej szkole Muchanowa, wyuczeni rozmaitych sztuczek pisarskich, niedomówień, określeń, napomknień dwuznacznych, rozwijali oni agitacją powstańczą tem niebezpieczniejszą, że publiczną, głośną i do tego ubraną w drukowane słowo, do którego wiara w społeczeństwie polskim nie została jeszcze zachwiana przez późniejsze smutne doświadczenia. Zwłaszcza „Gazeta warszawska”, której redaktor Kenig, wytrawny, zdolny i zręczny szermierz dziennikarski, w artykułach wstępnych starał się zawsze podnosić taką kwestyą zagraniczną, taką sprawę, z której można było przeprowadzić analogią ze sprawami Polski. To mówił o Irlandyi i jej nieszczęsnem położeniu i piorunował na jej ciemiężców i przepowiadał świetną jeszcze kartę w dziejach narodowi, który nie wątpi o przyszłości swojej; to przenosił się do Japonii lub Chin i ciskał gromy na despotyzm i tyranją rządową. Czytel-

nicy rozumieli to dobrze i częstokroć tam nawet szukali i znajdowali analogią, gdzie jej wcale nie było i gdzie autor zupełnie o niej nie myślał.

Wszystko to przyczyniało się do wzrostu agitacji, która wprawdzie nie manifestowała się wielkimi i uroczystemu procesyami, jak w dniach lutowych, ale niemniej istniała i ciągle dawała znać o sobie. Tysiące, setki tysięcy fotografii poległych w najrozmaitszych formatach rozbiegało się po kraju, kupowanych skwapliwie, rozbudzając wszędzie widokiem ran odkrytych żal, nienawiść i chęć pomsty na barbarzyńcy, który takiej zbrodni się dopuścił. Przyszło do tego, że wiele zakładów naukowych, szkół rządowych zakupywało od Bayera odpowiednią do liczby swych wychowalców ilość tych fotografii z ustępstwem 50%. Obok fotografii bayerowskich obiegały po kraju medale, wybite na pamiątkę krwawych dni lutowych. Na jednej stronie tych medali, dziś bardzo rzadkich, znajdowało się wyobrazenie Matki Boskiej Częstochowskiej, a na drugiej złamany krzyż i napis w otoku: „ratuj Ojczyznę!” oraz cyfry 25 i 27. Dаты te zresztą, tak pamiętne w dziejach tego nieszczęsnego ruchu, wszędzie się powtarzały. Cichy, ciepły niezwykle Marzec, zapowiadający blizkie pojawienie się wiosny, sprzyjał wszelkiego rodzaju spacerom, wycieczkom tak ulubionym przez ludność warszawską, do ogrodów publicznych, do parku Łazienkowskiego i Belwederu. Tam na ławkach, na drzewach, wszędzie, gdzie można było, wyrzynano te daty, jakby je chciano uwiecznić wszelkimi możliwymi sposobami. Komuś przyszła myśl, która wywołała ogólne naśladownictwo w całym kraju, stawiania na pamiątkę tych dni krzyżów przy drogach, z wypisanymi na nich datami lutowymi, sypania kopców starym obyczajem słowiańskim. Wszystko to znajdowało żywy odgłos w kraju, pobudzało ducha rewolucyjnego, rozszerzało agitację, która nakoniec znalazła jeszcze raz swój wyraz w wielkiej powszechnej w całej Polsce manifestacji, jaka w dniu 9 Marca się odbyła pod pozorem nabożeństw żałobnych za dusze pięciu poległych.

Ponieważ w dniu rzeczonym przypadła oktawa pogrzebu pięciu ofiar, postanowiono więc obchodzić ją uroczystem nabożeństwem żałobnym. Rząd o tem wiedział dobrze, gdyż w wigilię tego dnia Delegacja obywatelska przedstawiła Paulucciemu projekt ogłoszenia o mającym się odbyć jutro nabożeństwie. W ogłoszeniu tem, a raczej odezwie, Delegacja, określiwszy swe stanowisko jako strażnicy bezpieczeństwa publicznego, odwoływała się znowu do świętego uczucia miłości kraju i błagała mieszkańców i o dopomożenie jej w spełnieniu tak trudnego zadania i zachowanie tej samej, jak w d. 2 Marca, godności przy nabożeństwie jutrzejszem. Delegacja chciała, żeby Paulucci wyjednał u namiestnika pozwolenie na wydrukowanie jeszcze dzisiaj we wszystkich gazetach tego szumnego, pełnego bombastycznych frazesów ogłoszenia; utrzymywała, że w razie przeciwnym działalność Delegacji bę-

dzie bardzo utrudniona, a co zatem idzie, nie odpowiadająca celowi, dla którego ciało to zostało powołane do życia. Domagała się, żeby Paulucci natychmiast udał się z tym projektem do namiestnika i że Delegacya w całym swoim składzie oczekiwać będzie na rezultat misji swego prezesa. Paulucci zgodził się na to, pojechał do Zamku, z kądem wkrótce wrócił z odpowiedzią stanowczo odmowną. Delegaci obrażeni tem oznajmili protokółarnie, że, „mając sobie zatamowaną tym sposobem możność odezwania się do publiczności zapomocą druku, Delegacya pozbawioną jest normalnych środków działania na umysły. Z tego powodu uważa Delegacya swój wpływ zewnętrzny za najzupełniej nadwerżony i niepodobny”. Gorczałow, przerażony tą postawą Delegacyi, jak zwykle tak i teraz ustąpił. Pozwolił na wydrukowanie powyższej odezwy z małemi bardzo zmianami, zgodził się, by jutro w mieście wyłącznie służbę pełniła straż obywatelska, że policya i żandarmi wcale pokazywać się nie będą na ulicach i przy kościołach, co najwyżej strzedz będą porządku przy powozach, zajeżdżających przed kościoły.

Otrzymawszy to nowe ustępstwo, wzięto się z zapałem do urzędzenia nabożeństw żałobnych. Od rana d. 9 Marca sklepy wszystkie były pozamykane, nawet w najbardziej oddalonych zaułkach; cisza uroczysta zaległa miasto, ludność ubrana w grubą żałobę tłumnie ciągnęła do kościołów, w których poustawiano katafaliki ozdobione wieńcami cierniowymi, palmami, wyobrażeniem krzyża złamanego, tego „symbolicznego wyrażenia narodowego ruchu”. U św. Jana odprawił nabożeństwo prałat archidyakon Białobrzeski, w obecności arcybiskupa Fijałkowskiego i biskupa Dekerta, którzy w szatach pontyfikalnych zasiedli na swych tronach biskupich. U św. Krzyża, kościoła modnego w tej epoce, instytut muzyczny pod dyrekcją Kontskiego wykonał nowe *requiem* i *salve regina* Stefaniego. U Reformatów cała opera polska, pod dyrekcją Moniuszki, śpiewała. Pierwszy tenor tej opery, Dobrski, swym głosem prześlicznym wykonał wspaniały hymn Stradelli, a potem jeszcze jeden hymn, ułożony umyślnie na ten dzień, błagający Boga gorąco o męztwo dla młodzieży i o zwycięztwo dla sprawy ojczystej⁶⁰.

60 Autor tego hymnu jest nam nieznan. Tytuł brzmi: „Hymn Polaków, śpiewany przez Dobrskiego u Reformatów dnia 9 Marca w czasie nabożeństwa za poległych” — a tekst jest następujący:

„Wszchemocny Boże! ojców naszych Panie,
W Tobie nadzieja nasza i odwaga;
O Twoje wsparcie; — a swe zmartwychwstanie
Twój lud Cię błaga.
„Zbaw nas o Panie! przyjm zebrzące głosy,
Wzmóż siły nasze, daj nam zgody męztwo,
W Twem świętem ręku składamy swe losy
Daj nam zwycięztwo.

Wzruszenie powszechne było tak silne, że cały kościół jęczał, kobiety spazmatycznie łkały pod wpływem tego głosu cudownego, który zdawał się płakać wszystkimi łzami i wszystkimi bólami Polski. Wszędzie zbierały składki na ranionych damy wielkiego świata; u św. Krzyża Róża z hr. Zamoy-skich księżna Lubomirska i Stanisławowa z Potockich Zamoyaska; u św. Jana z Chodkiewiczów hr. Kosakowska; u Dominikanów znana poetka Deotyma; u Reformatów najpiękniejsze artystki teatralne. Pieniądze sypały się szczo-drze, w poczuciu serdecznej ofiary, na ołtarz ojczyzny. U Reformatów na stole przed aktorkami leżały całe stopy banknotów, góry miedziaków, widoczny grosz ubogich, nieco sztuk pamiątkowych złota, cygarnice, pierścionki, kol-czyki, naramienniki. Jakaś biedna dziewczyna, cała zalana łzami, zdjęła ze szyi i rzuciła na tacę maleńki krzyżyk srebrny na czarnej tasiemce, wart złotówkę zaledwie, pamiątka z Częstochowy, jedyne może bogactwo ofiarodawczyni. Jakieś uniesienie entuzyastyczne ogarniało wszystkich, serdeczne rozplakanie się nad dolą tej polskiej ojczyzny, ofiarność niewidziana nigdy przedtem.

Takież nabożeństwa odbyły się w kirchach luterskich i w bóżnicach ży-dowskich. W synagodze na Nalewkach rabin Izaak Kramsztyk, potomek sta-rej rodziny żydowskiej warszawskiej, kaznodzieja, który pierwszy w r. 1852 począł miewać kazania polskie, wystąpił z mową na tekst: „szukaliśmy braci naszych i nie znaleźliśmy, a oto są”. Mowa z wielu względów była wybit-na i odznaczająca się; nacisk główny kładła na potrzebę ścisłego braterstwa i zjednoczenia się żydów z Polakami. „Tam, wołał Kramsztyk, gdzie nam, jako nowonarodzonym dzieciom, pierwszy promień słońca przyświecał, gdzie nie-mowlęcej niewinności pierwsze dni naszego życia w czułych objęciach macie-rzyńskich upłynęły, tam, bracia, tam jest ten kraj, który my miłować winniśmy.

Dawno o Panie! jak nas przemoc ciśnie,
Dziedzinę naszą wrogi rozszarpały,
Niech po dniach skargi dzień łaski zabłyśnie,
Wiedź nas do chwały.

Krwi nie wołamy, zdobyczy nie chcemy,
Do mściwych mordów, do łupieztw niezdolni,
Tylko ojczyznę odzyskać pragniemy,
Tylko być wolni.

Ty, coś przed laty żył z ojcy naszemi(!)
O! powróć wnukom dziadów ich puściznę;
O Boże! polskiej pobłogosław ziemi,
Zbaw nam ojczyznę!

Niech przed Twym ludem wrogi się ustraszą,
W młodzieńców serca tchnij rycerzy męztwo,
Za chwałę Twoją i za wolność naszą
Daj nam zwycięztwo”.

Tam, gdzie młodzieńcze siły nasze się rozwinęły, gdzie nasze czynności i działania dojrzewają, gdzie nadzieja w młodzieńczym wieku się uśmiecha, gdzie nasz umysł pojmować, nasze serca czuć się nauczyły — tam, bracia, jest ten kraj, który miłować jesteście obowiązani”... „Łączmyż się więc w miłości dla kraju z resztą naszych współbraci innowierców, postępujemy za nimi na drodze oświaty i cywilizacji, na drodze nauki i tolerancji. Nieśmy cześć Bogu w świętej mowie praojców naszych, ale w życiu obywatelskim przywłaszczmy sobie mowę krajową. Starajmy się o usuwanie wszelkiej zapory, która rozdzielała przez tyle wieków mieszkańców jednego kraju, dzieci jednej ziemi”. „Starajmy się o dobro kraju, do którego nas Bóg zaprowadził, a przy jego szczęściu i my szczęśliwi będziemy”. Po mowie tej odczytano w języku polskim modlitwy za pięciu poległych, z wymienieniem nazwiska każdego z nich⁶¹.

Za przykładem Warszawy, a w wielu miejscach wcześniej od niej, wszędzie, w granicach całej Polski dawnej, oraz na obczyźnie, gdzie tylko znajdowali się Polacy, odbywały się także nabożeństwa, które przez swą wystawność i uroczystość nabierały cechy olbrzymiej manifestacji politycznej. W Krakowie jeszcze d. 2 Marca, w dzień pogrzebu poległych, odprawiono w samo południe w starym kościele Maryackim takie nabożeństwo. Ogromna ta świątynia tak była napełniona modlącymi się, że, kiedy zadzwoniono na podniesienie, od ołtarza wielkiego aż ku drzwiom głównym, lud jak fala cofał się, żeby uklęknąć. Sklepy w mieście były pozamykane, domy puste, bo każdy, kto żył i kto się ruszyć mógł, podążył do kościoła.

W twierdzy związkowej niemieckiej, Rastadzie, gdzie stały garnizonom wojska pruskie i austriackie, oficerowie Polacy, służący w tych ostatnich, wyprawili także nabożeństwo uroczyste za poległych w Warszawie. Sam generał Dobrzański, Polak, był na tem nabożeństwie obecny. W Paryżu odbyły się dwa nabożeństwa, pierwsze u Zmartwychwstańców w kościele Wniebowzięcia, gdzie sławny mówca, ks. Kajsiewicz, miał kazanie i drugie w kościele św. Magdaleny. Tu zbiegła się cała emigracja, cała szkoła Batiniolska w krakuskach czerwonych i wysłuchano mszy żałobnej klęcząc. Mężczyźni mieli krepę na kapeluszach, kobiety w grubej żałobie płakały rzewnymi łzami. Mowę miał ksiądz francuzki Duguerry. Oprócz Polaków, którzy stawili się wszyscy bez różnicy stronnictw, było także bardzo wielu Francuzów. Kościół był kirem obity; na całunach, na ścianach, bieleły litery początkowe nazwisk poległych, a pod każdą z cyfr wyszyty był wieniec cierniowy. Nabożeństwo zakończono zawsze wspaniałem „Boże coś Polskę”, po którym w egzaltacji patryotycznej

61 Mowę tę można czytać w całości w książce p. t. „Kazania Izaaka Kramsztyka. Kraków 1892”. Kramsztyk za Lüdersa wysłany do Bobrujska, z kąd zwrócony, znów w r. 1863 zesłany został do gubernii Saratowskiej.



„Żydzi warszawscy” - Grottger zilustrował piękny aspekt stosunków polsko-żydowskich, ukazując cadyka w otoczeniu rabinów na pogrzebie arcybiskupa Melchiora Fijałkowskiego. Żydzi warszawscy okazywali szczególną solidarność z mieszkańcami stolicy. Znaczący epizod zdarzył się 8 kwietnia 1861 roku, kiedy to młody Żyd podniósł z ziemi krzyż upuszczony przez ranionego manifestanta a następnie sam padł ugodzony kulą. Równie znaczącym gestem było zamknięcie synagog w październiku na znak protestu przeciw bezczeszczeniu świątyń katolickich.

rzucano się sobie w ramiona i przyrzekano wobec cierpiącej, „umęczonej” Polski zapomnienie wszelkich uraz i wszelkich sporów.

W Rzymie także nabożeństwo odbyło się d. 14 Marca w kościele Bazylijskim, Santa Maria del Pascolo. Wszyscy Polacy obecni wówczas w wiecznym mieście, nawet wędrowna arystokracja polska, znajdowała się na tej uroczystości smutnej. W dwa dni potem sam papież Pius IX odprawił w kaplicy swej prywatnej mszę za dusze pięciu ofiar. Nie miano wcale za złe tego, że głowa Kościoła katolickiego modliła się za kalwina, za heretyka, jakim w oczach katolików był Karczewski. Namiętności polityczne doprowadzają niekiedy do takich osobliwszych kompromisów.

Jeżeli atoli zagranicą nikt nie przeszkadzał urządzaniu takich nabożeństw, takich uroczystych kościelnych protestacji przeciw gwałtowi, dokonanemu w dniach lutowych na ludności warszawskiej, to inna rzecz była w Petersburgu, w stolicy Rosji, pod boki władz najwyższych. Tam d. 12 Marca (28 Lutego v. s.) odbywał się pogrzeb głośnego ukraińskiego poety, Tarasa Szewczenki, na który zebrał się ogromny tłum ludności wszelkich stanów, a nad grobem wygłoszono mowy w trzech językach: rosyjskim, ruskim i polskim. Po pogrzebie jakiś nieznaną student zapowiedział, że nazajutrz, d. 13 Marca, odbędzie się żałobne nabożeństwo w kościele katolickim za poległych w Warszawie. Jakoż, zdaje się, ten sam student zamówił u OO. Dominikanów, mających pod swym zarządem kościół parafialny św. Katarzyny, takie nabożeństwo za swego jakoby kolegę. Księża oczywiście przyjęli je, a tymczasem do kościoła zeszedł się tłum ogromny, mnóstwo kobiet w żałobie i bardzo wielu Moskali, między którymi zauważono słynnego historyka, Kostomarowa, zawziętego później wroga Polaków i Polski. To niezwykle, tłumne zebranie się w kościele, zwłaszcza młodzieży, przstraszyło Dominikanów, ale pomimo ich oporu odśpiewano pierwsze głośne i publiczne „Boże coś Polskę” w stolicy caratu⁶². Skoro władza policyjna dowiedziała się o tem wszystkim, przyaresztowano kilkunastu studentów Polaków i wyznaczono do śledztwa komisją specjalną.

Wówczas studenci Rosjanie zredagowali deklaracją, że i oni byli na nabożeństwie za poległych w Warszawie, śpiewali hymn narodowy, że zatem winni odpowiadać tak samo jak Polacy. Deklaracja ta leżała w bibliotece studenckiej i podpisało ją przeszło 300 młodzieży⁶³. W rezultacie, w tych czasach mięk-

62 Obiegała pogłoska, że zjawił się w kościele pułkownik R. inspektor konstantynowskiego korpusu kadetów, których mnóstwo było na nabożeństwie i począł ich spisywać. Miano go jednak bardzo zręcznie i nieznacznie wypchnąć za drzwi, a na ulicy wygwizdano.

63 Tekst tej deklaracji w dosłownym przekładzie brzmi jak następuje: „My, niżej podpisani, znajdowaliśmy się w d. 1/13 Marca, na nabożeństwie żałobnym za poległych w Warszawie, braliśmy udział w śpiewaniu hymnu narodowego polskiego i dla tego prosimy, by nas uważano za równie winnych, jak i studentów Polaków”.

kich i liberalnych stało się to, co stać się musiało. Studentów wypuszczono z więzienia i o całej tej historii zapomniano.

W Moskwie manifestacja ta, miała nieco inny charakter. Nabożeństwo zamówili studenci Polacy, uczący się w tamtejszym uniwersytecie. Znalazło się tu także wielu rosyjskich ich kolegów, z których jeden, po ukończeniu mszy śtej, stanął na schodach, prowadzących do kościoła, i miał mowę, w której twierdził, że Polacy i Rosyanie są braćmi, że powinni się trzymać za ręce i t. p. Młodzież polska jednak nie chciała tego słuchać i tłumnie mówcę opuściła.

Jeszcze bardziej polityczną cechę przybrała ta kościelna manifestacja w Kijowie. Tutaj od samego rana d. 18 Marca, księży czytali msze w żałobnych ornatach. Trumna, stojąca na środku kościoła, przybrana była w wieńce cierniowe, a w każdym cierniu tkwił liść zielony, „jako symbol nadziei, ożywiającej serca wszystkich”. Egzekwie i sumę celebrował ks. kanonik Brynk, do której akademicy służyli. Odśpiewano w starym, niegdyś polskim grodzie „Boże coś Polskę”, wśród tych samych łez i tego samego wzruszenia, jakie ten hymn majestatyczny wszędzie wywoływał. Po nabożeństwie, na które tłumnie zeszła się młodzież uniwersytecka polska, ruska i rosyjska nawet, zdjęto z trumny wieńce cierniowe i rozdzielono je między siebie na pamiątkę.

Przy wyjściu z kościoła studenci rosyjscy i ruscy, prawosławni, zaprosili swych katolickich kolegów na także nabożeństwo, jakie zamówili w cerkwi św. Michała. Zgodzono się na to chętnie i wszyscy tłumnie tam ruszyli, ale cerkiew zastano zamkniętą. Gdy pertraktacje z popem miejscowym nie doprowadziły do niczego, zaśpiewano: „Jeszcze Polska nie zginęła” i ruszono do w domów.

W Żytomierzu nabożeństwo za poległych było na wskroś manifestacyjne. Odbyło się ono d. 22 Marca. Ubrano w kiry, kwiaty i drzewa cały cmentarz kościoła katedralnego. Biskup Borowski jednak, dla przeszkodzenia nabożeństwu, kazał o godzinie 3-ciej rano kwiaty i drzewa z cmentarza powynosić, a katafalki rozebrać⁶⁴. Choć jednak katafalka nie było, nabożeństwo mimo to odprawiono, zastępując ten żałobny sprzęt całunem, który trzymało rozsunięty dwóch obywateli. Na całunie leżał wieniec laurowy. Podczas czytania Ewangelii wieniec ten, niewiadomo dlaczego, ktoś podniósł i trzymał tak w górze obiema rękami. Przy drzwiach kościoła urządzono stoliki, przy których siedziała żona marszałka gubernialnego Mikulicza, a obok niej, na znak demokratycznej równości stanów, krawcowa żytomierska Okienczykowa, oraz pani Niemrzycka, żona byłego marszałka gubernialnego, i zbierały składkę na rodziny poległych. W ciągu trzech godzin zebrano poważną sumę

64 „Przegląd rzeczy polskich” surowo za to zganiał biskupa.

2.240 rubli. Każdy wchodzący otrzymywał z rąk tych pań świecę z żałobną przepaską i kokardę czarną, którą przypinano sobie na piersiach lub prawem ramieniu. Kokardy te otrzymywali nawet lokaje, chłopci, żołnierze i policyanci. Wszystko to miało charakter teatralny, pozbawiony powagi, przynależnej miejscu i wspomnieniu tych, za których się modlono. Po odśpiewaniu „Boże coś Polskę”, gdy wszyscy wyszli z kościoła, wystąpił jakiś mężczyzna, ubrany po chłopsku w sukmanę białą, czerwonym sukniem podbitą, z czerwonymi i niebieskimi potrzebami, i podniesiony nieco w górę przez otaczających, zawołał: „proszę odkryć głowy, jeszcze nabożeństwo nieskończone”.

To rzekłszy, ukazał jakąś płachtę i kawał całunu i mówił, że to Warszawa przyszła Żytomierzowi skrwawioną szatę, że należy ją rozdzielić na pamiątkę. Rozdzielono ją więc, kończąc tę manifestacją, w najwyższym stopniu niesmaczną.

Na Litwie okazywały się także oznaki niemniej silnego wzburzenia umysłów, jakkolwiek wzburzenie to dotąd ani razu jeszcze na zewnątrz się nie objawiło. Spostrzedz się ono dopiero dało z powodu rzeczonych nabożeństw. Dnia 14 Marca w Wilnie odbyło się takie nabożeństwo za poległych w Warszawie, w kościele św. Jana (niegdyś uniwersyteckim), na które zjechała się cała wyższa szlachecka i urzędnicza sfera wileńska. Kobiety były w głębokiej żałobie. Władze miejscowe dowiedziały się o zamierzonej manifestacji na dzień przedtem i zażądały od biskupa Krasieńskiego, żeby zabronił podwładnemu sobie duchowieństwu wygłoszenia na tem nabożeństwie kazania i nazwisk pięciu poległych⁶⁵. Rozkaz ten w rzeczy samej został wykonany. Agitatorzy usilnie się starali, żeby w kościele była licznie reprezentowaną klasa rzemieślnicza i chłopci, ale to się nie powiodło. Rzemieślników było zaledwie kilku, chłopów zaś ani jednego.

W Grodzieńskim, zwłaszcza na pograniczu Królestwa, tego rodzaju nabożeństwa odbyły się nieco wcześniej; naprzód jednak, bo d. 9 Marca, to jest współcześnie z Warszawą, w Brześciu Litewskim, przyczem zaszło charakterystyczne starcie między władzami miejscowymi. Stronnictwo agitacyjne chciało nadać tej demonstracji charakter uroczysty i wspaniały; zamierzano ją urządzić na przedmieściu Kobryńskim z procesją, z chorągiewkami kościelnymi i cechowymi.

Na samo nabożeństwo poczęto nawet zbierać składki, a sprawą całą zajmował się bardzo energicznie miejscowy marszałek szlachty Garzycz⁶⁶. Ko-

65 Sam biskup nie był na nabożeństwie i tłumaczył się później dość niezręcznie, że nie był zawiadomiony. I jego spotkała nagana ze strony „Przeglądu”.

66 W artykułach pomieszczonych w „Russkim Wiestniku” w r. 1869, p. t. „Polskaja młodzież zapadnego kraja w miateże 1861—1863 godow”, pióra niejakiego S. Rajkowskiego, znajdujemy wiadomość, z wielu względów bardzo wątpliwą, że wzmiankowany w tekście

mendantem brzeskiej twierdzy był wówczas generał Bartolomey, który, dowiedziawszy się o tem wszystkim, odniósł się drogą urzędową do horodniczego, ażeby starał się nabożeństwu zapobiedz. Horodniczy, który nie podlegał rozkazom komendanta twierdzy, poskarżył się na niego u generał-gubernatora Nazimowa, przyczem pisał: „w ogóle nie należy zwracać jakiejś szczególnej uwagi na nabożeństwo, tem więcej, że, jak to może potwierdzić sam generał-lejtnant Bartolomey, odbyło się ono bez żadnych demonstracji publicznych. Co się zaś tyczy wzburzenia umysłów, to niewiadomo, na czem pan komendant swe twierdzenie opiera”. Wszystko więc, według opinii władz brzeskich, było jak najlepiej na tym najlepszym ze światów. Nabożeństwo się odbyło uroczyście, przyczem zauważono, że marszałek Garzycz przez cały czas mszy śtej klęczał nabożnie przed wielkim ołtarzem.

W Grodnie nabożeństwo odprawiono spokojnie i cicho. W Słoniem, d. 14 Marca, odprawiono je pod pozorem nabożeństwa za duszę pewnego miejscowego obywatela. Zjazd szlachty okolicznej był tutaj bardzo znaczny⁶⁷. W Białymstoku, w kościele znajdowali się prawie wszyscy urzędnicy miejscowi, oczywiście Polacy, rzemieślnicy, drobna szlachta mazurska, chłopci nawet, dzięki zabiegom marszałka szlachty.

Kobiety, jak wszędzie, tak i tu, zjawiły się w grubej żałobie. Starano się usilnie za pośrednictwem burmistrza (gorodskij gołowa), który był żydem, ażeby jego współwyznawcy licznie zjawili się w kościele. Zamiar ten wszelako się nie udał; na nabożeństwo przybyło tylko sześciu żydów; między nimi zauważono dwóch Rabinowiczów, miejscowych księgarzy, co zresztą rojnej i fanatycznej rzeszy żydowstwa się nie podobało.

W Kownie odprawiono d. 14 Marca, w kościele Augustyańskim, podobnie nabożeństwo pod pozorem modlitwy za dusze zmarłych niedawno obywateli⁶⁸. Składka, zbierana przytem przez damy i przesłana następnie pocztą do

marszałek Garzycz, na jakiś czas przed tą manifestacją, przeszedł wraz z córkami z prawosławia na katolicyzm.

67 Ciekawe bardzo są raporta ówczesnych władz o tych nabożeństwach na Litwie. Wspomnieliśmy już wyżej o starciu, jakie demonstracja ta wywołała między horodniczym i komendantem twierdzy w Brześciu Litewskim. Coś podobnego przytrafiło się i w Słoniem. Miejscowy horodniczy Bożanow zdał raport o tem do gubernatora grodzieńskiego, przyczem główny nacisk położył na „bardzo znaczny zjazd szlachty” i na wzburzenie powszechne umysłów. Raport ten z Grodna przesłano do Wilna, z taką jednak charakterystyczną uwagą: „nie należy zbyt wielkiej wagi przywiązywać do rzeczonoego nabożeństwa, gdyż odbyło się ono cicho i nie wywołało żadnych nieporządków. Co się zaś tyczy, zaznaczonego w raporcie horodniczego Bożanowa, jakiegoś naprężonego stanu umysłów mieszkańców Słoniema, to stan ten da się wytłomaczyć współczuciem, jakie w rzeczy samej istnieje wśród szlachty gubernii Grodzieńskiej dla ofiar nieporządków warszawskich”.

68 Biskup Wołonczewski umyślnie w tym dniu wyjechał z Kowna, żeby nie być na nabożeństwie.

„Gazety codziennej”, wyniosła 500 rs. W całej gubernii Kowieńskiej odbywały się tego rodzaju demonstracje kościelne z wyjątkiem dwóch tylko miasteczek: Szawel i Nowoaleksandryi. W Poniewieżu zjazd był ogromny; samo nabożeństwo, w którym wzięło udział dziesięciu księży, miało cechę bardzo uroczystą. Chłopów żmudzkich było mnóstwo, a składka dosięgła 2000 rs.

Nabożeństwa te na Litwie wywołały wśród władz rosyjskich, niespodziewających się niczego podobnego, pewien niepokój. Raporta liczne biegiły do Wilna, a ztąd do Petersburga, gdzie surowo zganiono bezczynność zwierzchności miejscowej. Wskutek tego marszałkowie szlachty, dziekani, sprawnicy i horodniczowie otrzymali cyrkularze, pełne surowych napomnień i poleceń. Było to jednak zapóźno. Nabożeństwa odbyły się prawie wszędzie i faktu spełnionego nikt już cofnąć nie mógł.

W Królestwie nabożeństwa te obchodzono daleko poważniej, nosiły tu one znamię raczej uroczystości kościelnej, niż manifestacji politycznej. Wprawdzie tu i owdzie widoczną była chęć nadania obchodowi charakteru politycznego, ale w ogromnej większości zachowano się poważnie i spokojnie. W Płocku, w czasie nabożeństwa, w wielu domach pozawieszano w oknach i na balkonach kiry; sklepy zamknięto. W Kaliszu, w którym odbyło się nabożeństwo d. 8 Marca, zebrało się w kościele św. Józefa około 12,000 osób. Uczniowie szkoły realnej, cechy rzemieślnicze, bractwa kościelne przybywały procesjonalnie w żałobie, ze światłem. Na trumnie umieszczono pięć koron cierniowych. Około godziny 1-ej wyruszyła procesja na cmentarz, w której brał udział i pastor luterski i rabin miejscowy. Młodzież niosła w wyprężonych ku niebu rękach olbrzymią koronę cierniową z palmą, którą przybito na najwyższym krzyżu cmentarza, „jako godło naszych tryumfów”. W Lublinie już poprzednio odbywały się takie nabożeństwa za poległych po wszystkich kościołach, a głównie u Kapucynów, na którym tak mężczyźni, jak i kobiety ukazały się ubrane w żałobę. Solenne jednak, uroczyste nabożeństwo odbyło się d. 9 Marca w katedrze. Celebrował biskup Pieńkowski; odśpiewano: „Boże, coś Polskę”. Natłok ludzi wszelkich stanów był ogromny; zjawił się nawet rabin żydowski z całym kahałem i w bardzo licznej otoczeniu żydów i nieżydów zasiadł w fotelu w kruchcie kościelnej. Tu wysłuchał całego nabożeństwa, nie wchodząc do środka świątyni. Takie uroczystości odbywały się wszędzie, w całym kraju, z mniejszą lub większą ostentacją, z widocznym lub zamaskowanym charakterem politycznym. W Poznaniu, z powodu oporu arcybiskupa Leona Przyłuskiego, nabożeństwa nie było, ale za to w całym księstwie nie było wsi i miasteczka, gdzieby nie modlono się za „pomordowanych w Warszawie braci”. Wszędzie wpływały składki, których suma z całego kraju, wraz z tem, co poprzednio zebrano do d. 19 Marca, miała wynosić złp. 138,248 gr. 22. Była ona jednak o wiele większą, i jako zebrana w cią-

gu paru zaledwie tygodni, stanowiła na owe czasy grosz poważny i wymownie świadczyła o tym entuzjazyzmie patriotycznym, jaki ogarnął cały naród⁶⁹.

Manifestacja d. 9 Marca odbyła się więc i odbyła na wielką, imponującą skalę w całym kraju, we wszystkich dzielnicach dawnej Polski, wszędzie, gdzie tylko Polacy się znajdowali. Inicjatywę tego nowego objawu rewolucyjnego, o ile Warszawy dotyczy, bezwarunkowo należy przypisać Delegacji obywatelskiej. Ona się nim zajmowała, ona go organizowała, ona wyjednała ogłoszenie o nabożeństwach, ona całą rzecz wykonała, i tym sposobem, sama nie wiedząc o tem, weszła na drogę rewolucyjną, na tę drogę, po której stąpali Czerwieńcy. Wprawdzie nie stało się to bez pewnego oporu, wynikłego w łonie samej Delegacji.

69 Trudnym jest niezmiernie dokładny wykaz składek. Kasyer komitetu pogrzebowego, Jakób Piotrowski, powiada, że do d. 5 Marca składki przyniosły złp. 74,421 gr. 17. Podczas nabożeństwa żałobnego w całym kraju, w d. 9 Marca, zebrano złp. 24,401 gr. 25; nakoniec po d. 19 Marca wpłynęło w gotówce i rozmaitych klejnotach złp. 39,425 gr. 10, czyli razem złp. 138,248 gr. 22. Do d. 6 Kwietnia złożono złp. 38,429 gr. 29; więc ogólna suma składek ówczesnych, podług rachunku Piotrowskiego, wynosiła złp. 176,678 gr. 21. Do gazet wpływały znaczne stosunkowo summy. „Gazeta Warszawska” w ogóle zebrała rs. 5,319 kp. 15; „Gazeta codzienna” rs. 4,340 kp. 51, czyli obie razem rs. 9,659 kop. 66, t. j. złp. 64,397 gr. 22. Reszta oczywiście wpłynęła na ręce kasyera Piotrowskiego. (Pochodzenie niektórych składek jest bardzo interesujące. Chłopi z Omlęcina w Stanisławowskim przysyłają rs. 4; chłopi z Ciekszyna aż rs. 114 kop. 51/2; studenci z Moskwy rs. 6. „Pewien Rosyanin” daje w Warszawie w redakcyi „Gazety Polskiej” rubla na ranionych; z Dynaburga nadchodzi rs. 30. Najznaczniesze jednak sumy pochodzą z prowincyi zabranych, zwłaszcza Podola, Wołynia, Mińszczyzny. Z Ukrainy bardzo mało wpłynęło; Galicya i Poznańskie, o ile wiemy, nie dały ani grosza). Z ogólnej sumy złp. 176,678 gr. 22, wykazanej przez Piotrowskiego, wydano po dzień 19 Marca na pogrzeb i wsparcie złp. złp. 24,768 gr. 16; pozostało zatem w kasie złp. 151,910 gr. 6, a według korespondencyi do „Czasu” znacznie więcej. (Pismo to utrzymuje, że ogólny wpływ ze składek miał wynosić złp. 259,583 gr. 12. Z tego wydać miano na wsparcie ranionych i pogrzeb poległych złp. 38,333 gr. 20). W Towarzystwie Dobroczynności w Warszawie miało się znajdować złp. 30,000. Było więc razem złp. 181,910 gr. 6. Pieniądze te z rozporządzenia margrabiego Wielopolskiego, jako dyrektora Komisji wyznań i oświecenia publicznego, przez reskrypt z d. 5 Maja do Piotrowskiego i ks. Wyszyńskiego, miały być złożone w Banku Polskim i oddane pod zarząd Towarzystwa Dobroczynności z przeznaczeniem na stypendya szkolne. Poszukiwania jednak nasze przekonały nas, że ani pod datą 6 Maja, ani później, takiej sumy nie złożono wcale w Banku; w kasie zaś Towarzystwa Dobroczynności złożono tylko 100,000 złp. z przeznaczeniem ich na stypendya. Suma ta do dziś dnia tam istnieje pod nazwą „kapitału 5,000 rs.”, ale odsetkami od niej zarządza Kurator Okręgu naukowego. Obiegająca w 1861 r. po gazetach angielskich pogłoska, jakoby pieniądze te z Towarzystwa Dobroczynności miał zabrać Andrzej hr. Zamoyski i przesłać papieżowi, jest oczywiście kłamliwą. To tylko pewna, że rachunki nie zgadzają się ze sobą. Wielopolski we wspomnianym reskrypcie mówi o 191,250 złp. a Towarzystwo otrzymało tylko 100,000 złp. Gdzie reszta?

Powoli, poczęły się tam wytwarzać dwa stronnictwa, nie tyle może polityczne, ile będące owocem charakteru osobistego członków tego ciała dziwnego, jedyne w swoim rodzaju, bez władzy, bez sił, a mimo to rządzącego wielkiem miastem tylko mocą wpływu moralnego. Stronnictwa te możnaby nazwać: jedno, radykalnem, drugie, konserwatywnem. Radykalizm pierwszego zasadzał się nie na przekonaniach, które tem mianem określamy, ale na osobistej śmiałości, na ustawicznym domaganiu się od rządu nowych ustępstw. Takim był Szlenkier, Trzetrzewiński, Bayer, Kuskowski, Krajewski, Wrotnowski. Oni to podnieśli sprawę więźniów politycznych, nieustannie popychali resztę członków starszych, spokojniejszych do nowych domagań się i czynów. Ci ostatni liczniejsi, gdyż do nich przymykali bezbarwni, to jest wszyscy żydzi i szewc Hiszpański, opierali się temu, ile mogli. Namiestnik, mówili oni, jest jak najlepiej usposobiony dla ludności warszawskiej; trzeba takie usposobienie wyzyskać, to prawda, ale nie należy zrażać, nie trzeba obrażać i nudzić starego wielkorządcy, w którego rękach losy nasze spoczywają. Czyż nie dość już uzyskaliśmy? Czyż nie oddano nam miasta? Czegóż wy więcej chcecie? Zresztą drogą powolną, ostrożną, rozumnie obmyślaną, daleko więcej da się uzyskać niż nieustannem nagabywaniem władzy, umyślnem jej drażnieniem ciągłemi żądaniem i prośbami o lada głupstwo.

Zdania te brały nieraz górę; zdradzały one ten episyerski egoizm, jaki był przymiotem większej części delegatów, zamożnych filistrów, lub starców, pędzących resztki swego życia w spokoju i nie chcących, by ten spokój im zakłócano. Ci bogaci kupcy, rzemieślnicy, przemysłowcy, właściciele domów, pysznili się z tego, że są naczelnikami niejako miasta, że mogą spierać się i układać z władzą. Dla nich to wystarczało. Przybrani w odrębną załobę, różniącą ich od grona zwykłych śmiertelników, zasadzającą się na trzech obszywkach białych na rękawie, kazali Bayerowi porobić setki swych fotografii, aby dać się poznać całemu narodowi, ba! całemu światu i potomności. To usposobienie przeważnej części członków Delegacyi, to ich słodkie rozkoszowanie się władzą, ta ich obawa, by przez jaki „krok waryacki”, jak mówili, nie narazić się rządowi i nie stracić swych godności, tak ciężko i tylko przypadkiem nabytych, nie było tajne Czerwieńcom warszawskim. Wśród nich wytwarzała się powoli niechęć do Delegacyi, budziła się potrzeba koniecznej zmiany tego ciała, rozpędzenia ciężkiej, ospałej i drobiazgami zajętej burżuazyi, a natomiast osadzenia na jej stanowisku żywiołów ruchliwych, czynnych, rewolucyjnie usposobionych. Była to zresztą dla Czerwieńców jedyna sposobność dostania się do władzy, wyzyskania na korzyść rewolucyi i powstania chwili, jaka może już nigdy się nie powtórzy. W ich bujnej, młodzieńczej wyobraźni słabość chwilo-wa i gotowość do ustępstw ze strony rządu zmieniała się w zupełną bezsilność

caratu, tego kolosu na glinianych, jak mówili, nogach, które dość trącić, by się rozleciały i sam kolos runął i rozpadł się na szczątki. Uważali więc za powinność, za święty obowiązek względem ojczyzny i narodu ogarnięcie Delegacyi. To przekonanie rozszerzało się, rosło i trzeba było tylko okoliczności, tylko śmielszego człowieka, by zamach na Delegacyą doszedł do skutku. Taka okoliczność i taki człowiek się znalazł, jak zwykle bywa, gdy w łonie czasu tkwi jaka myśl, jaka idea, a pomocną rękę ku temu podała sama Delegacya, jak to zaraz zobaczymy⁷⁰.

70 Jako wyraz niezadowolenia z czynności i zachowania się Delegacyi, może służyć, bardzo rozpowszechnione w swoim czasie, oczywiście apokryficzne pismo, czyli odezwa cechów: bronzowniczego, ślusarskiego, kotlarskiego i innych do tejże Delegacyi z datą 8 Marca. Mówimy, apokryficzne, gdyż jego ton, stylizacja, usiłująca wyrażać się z prostotą i językiem ludzi niewykształconych, zdradza to wyraźnie. Cechy rzemieślnicze warszawskie, posiadające już w tej porze w swem łonie ludzi obytych ze światem i mających pewne wykształcenie, nigdyby nie przemawiały do władzy tonem pełnym prostaczych pojęć i wyrażeń. Oto ten dokument:

„Zszedłszy się niekórzy, co do sprawy naszej zdawało się, a tymbardziej dla bezpieczeństwa i porządku, postanowili wysokiej Delegacyi do swojej rozwagi wystawić: że najprzód my sobie tak tłómaczymy, że kiedy po wojnie sewastopolskiej cesarz Napoleon powiedział do naszego cesarza, że powinienes Polakom dać wojsko narodowe, nasz powiedział do Napoleona: że ja dla Polaków więcej jeszcze zrobię, czego się sami nie spodziewają. Więc kiedy znowu Napoleon spytał się: cóżes dla Polaków uczynił? nasz posłał mu wszystkie gazety, gdzie opisano jak z radością cesarza przyjmują, i wszystkie iluminacje, mówiąc, że Polacy tak są kontenci, że niczego nie pragną. Więc to widząc, tudzież, że konsul francuzki jest przekupiony i prawdy nie napisze, więc choćby kto miał zginąć, wszystkim jedna śmierć, nie żałując osoby, swojej iść na stracenie i pokazać światu, czego chcemy. Dlatego my chodzili z procesyami i śpiewali za konstytucyą i znowu będziemy, jak będzie potrzeba. A że były ofiary, to tak, widać, trzeba było Boskiej Opatrzności, a nawet my gotowi, jeżeli więcej trzeba, losem wyciągać, kto ma iść na ofiarę, choćby prosto na zarżnięcie, albo zginąć pod batami, jak to trzech woda wyrzuciła zawiniętych w słomę pod Zakrocymem, co ich z Zamku do Wisły wrzucili, tylko jeżeli dla ojczyzny nie będzie zmiłowania, to będzie źle. Powtóre, że dlaczego nam nie dają podpisywać adresu za konstytucyą, kiedy inni podpisali, a do resursy nie puszczają, a zwłaszcza z twardego rzemiosła, to już trzeba w świątecznem ubraniu, a jeden chodził po to do komisarza cyrkułowego, to ten go ofuknął i jeszcze zagroził, mówiąc: to nie wasza rzecz. Więc powiadają niekórzy, że jak będzie konstytucya, to kto się za konstytucyą nie podpisał, tego nie przypuszczają do żadnego wybierania, czy to na sejmy, czy na inne starszeństwa, a co byłoby niesłuszne, gdyż my za konstytucyą gotowi życie położyć, dlatego wszyscy chcemy podpisywać, kto umie pisać, a kto nie umie, to znakiem krzyża świętego. O co wysoką Delegacyą usilnie upraszamy. Co jeszcze powiadają: czy wiecie, co jest konstytucya? to my deklarujemy, że wiemy, jak nas ojcowie nauczyli, jak było za królów polskich, żeby niesprawiedliwie nie wojować, tylko swojego bronić; a który kraj chce się przyłączyć, to dobrze, a nie, to wolna droga; jeszcze żeby była pobożność, uczciwość i dla każdego człowieka ludzkość, tudzież wojsko polskie konieczne. Jeszcze my tak myśleli: jak będzie konstytucya, żeby z respektem dla naszego

Ta bowiem ciągle zajmowała się więźniami politycznymi, z łona których miał właśnie wyjść zakłóciiciel słodkiej drzemki większości delegatów; domagała się, by wolno ich było odwiedzać, by im dawano książki do czytania i t. p.; skarżyła się przytem na wojsko; że szeregowcy swem zachowaniem się drażnią ludność i chciano, by został wydany odpowiedni rozkaz do wojska. W tym celu Delegacya poleciła swym członkom: Szlenkierowi i Jakóbowi Piotrowskiemu, by uchwałę tę przedstawili w jak najkrótszym czasie Paulucciemu.

Następne posiedzenie d. 11 Marca (d. 10 przypadała Niedziela) poświęcono wyłącznie sprawie więźniów. Rozpatrywaną była, dostarczona przed paru dniami przez Paulucciego, lista zamkniętych w cytadeli. Ogółem było ich dwudziestu pięciu⁷¹. Przy przeglądaniu tej listy członkowie Delegacyi oświadczyli, że otrzymali mnóstwo próśb ustnych i piśmiennych, błagających o wystaranie się u władzy, by ulżono losowi lub uwolniono więźniów. Prośby te postanowiono później rozpatrzyć, tymczasem, pod naciskiem radykałów, Delegacya oznajmiła: z uwagi, iż w zakres jej obowiązków wchodzi wszystko, co może wpłynąć na uspokojenie umysłów i że działalność jej wówczas tylko może być skuteczną, gdy Delegacya będzie organem pośredniczącym między ludnością i rządem, uznała za stosowne porobić niektóre uwagi co do osób uwięzionych, gdyż los tych ostatnich może mieć znaczny wpływ na obecny stan umysłów. Uwagi jej ze wszech miar są ciekawe i cechują one wybornie ówczesne usposobienie delegatów, oraz ich zręczną dyalektykę. Według nich bowiem ani jeden z uwięzionych nie był winnym, a jeżeli był winien, to tak nie wiele, że dotychczasowe zamknięcie go w cytadeli było dostateczną zupełną karą⁷². Żądali zakomunikowania tych uwag namiestnikowi, dodając, że w obecnych czasach łagodność ze strony rządu najlepiej wpłynie na uspokojenie umysłów. W końcu tego posiedzenia członkowie Delegacyi: Ksawery Szlenkier i Ignacy Piotrowski zdali sprawę ze swej misyi, jaką Delegacya na nich włożyła przed paru dniami. Z powodu choroby jenerała Paulucci udali się oni do Kotzebuego i prosili, by zechciał tegoż jeszcze dnia przedstawić

cesarza trzymać się w sprzymierzeństwie z Napoleonem, nie oglądając się na Austryaka i Prusaka, dla ich niecnoty, co nasze kraje niesprawiedliwie trzymają. Nie podpisujemy swych nazwisk dla niepewności, jak wysoka Delegacya naradza się, z sekretem czy bez sekretu; a jak będzie potrzeba, to Delegacya łatwo do nas trafi, a my na rozkaz możemy się stawić; przyjdzie jeden albo pięciu, a co powiedzą, tak jakby powiedziało pięciuset. Zatem deklarujemy dla miłości ojczyzny, widząc godne osoby, słuchać Delegacyi we wszystkim, co rozkaże”.

71 Spis ich znajduje się w protokółach delegacyi, które pomieszczamy w całości na końcu tego tomu w zbiorze dokumentów 11 pod No III.

72 Uwagi powyższe Delegacyi znajdują się w jej protokółach i tam odsyłamy czytelnika po szczegóły.

namiestnikowi potrzebę złagodzenia przepisów, obowiązujących w cytadeli odnośnie do więźniów politycznych. Na skutek tego pułkownik Demoncał zawiadomił, że namiestnik rozkazał generałowi Jermołowowi, ażeby pozwolił odwiedzać więźniów nie tylko krewnym ale i znajomym bez ukazywania świadectw policyjnych o tożsamości osób, pod warunkiem atoli, że odwiedzający nie będą przychodzili tłumnie. Co się zaś tyczy kwestyi zachowywania się nieprzyzwoitego żołnierzy względem publiczności, generał Kotzebue oświadczył, że jakkolwiek w tym przedmiocie parokrotnie już wydawano rozkazy, i niezależnie od tego on sam osobiście zalecał oficerom, by ściśle ich przestrzegali, niemniej przeto, na skutek prośby Delegacyi, jeszcze raz przyrzekł o tem wspomnieć w rozkazie dziennym.

Rezultatem tych wszystkich starań i zabiegów Delegacyi o ulżenie losu więźniom w cytadeli było to, że Gorczakow osobiście zajął się tą sprawą i zaraz nazajutrz kazał uwolnić Stanisława Szachowskiego, a w parę dni później jeszcze dziesięciu innych, między którymi znalazł się taki gorący i wytrawny agitator, jak Cielecki⁷³. Tym więc sposobem było jeszcze w cytadeli tylko trzech: Karol Nowakowski, Narcyz Jankowski i Ludwik Balcer, z których pierwszy, jak to zobaczymy, miał być także wkrótce uwolniony, z dwóch zaś pozostałych po odwiedzeniu ich osobistem przez namiestnika, pierwszego odesłano do Kijowa a drugiego do Kronsztadu⁷⁴.

Uwolnienie tak znacznej liczby agitatorów miało wzmocnić Czerwieńców, którzy ani na chwilę nie przestali działać; teraz agitacja miała przybrać szer-

73 Uwolniono d. 13 Marca 1861 r.: Józefa Turowskiego, Adama Trąbczyńskiego, Aleksandra Bącewicza, Andrzeja Sikorskiego, Antoniego Załuskowskiego, Leopolda Cieleckiego, Henryka Sikłowskiego, Adama Rzeszotarskiego, Ignacego Starzyńskiego i Konstantego Szyszkowskiego.

74 Prócz nich, pozostał także w cytadeli niejaki Władysław Krzyżanowski, aresztowany przez konstabli narodowych w d. 6 Marca. Bliższe jednak szczegóły powodów jego uwięzienia nie są nam znane. Według Jeziorańskiego (Pamiętnik I, 51), był to szpieg, „który wkraść się w zaufanie patryotów i gorętszej młodzieży i zaczął zawiązywać organizacją rewolucyjną pod nazwą „Karbonarów”. Nazwiska przystępujących do niej podawał do wiadomości władzom moskiewskim. Po kilku dniach aresztu w ratuszu puszczono go na wolność, a w kilkanaście dni potem ujęła go znowu władza bezpieczeństwa za namawianie rzemieślników do wybuchu, na który to cel obiecywał im dostarczyć potrzebnej broni. Delegacya wymogła, że go oddano do sądu kryminalnego, lecz rozpoczęte przeciw niemu śledztwo wstrzymane zostało rozkazem ks. Gorczakowa. A gdy d. 8 Kwietnia (!?) więźniowie z cytadeli i aresztu uwolnieni zostali za staraniem Delegacyi, niegodziwca tego do ich liczby zaliczono i wypuszczono na wolność. Używała go później policja moskiewska do szpiegowania i wybadywania więźniów, zamykając go wraz z nimi w kaźniach cytadeli, a gdy i tam został odkryty, wysłano go do Kijowa”. Relacyi tej, widocznie mętnej, nie mieliśmy możności sprawdzić, to tylko pewna, że Krzyżanowski siedział jeszcze w Lipcu 1862 r. w cytadeli warszawskiej.

sze rozmiary, gdyż partya rewolucyjna nie wierzyła w koncesye, które nazywała złudzeniem i chęcią oszukania narodu polskiego.

Zresztą wszystko się składało na to, by ogólne wzburzenie umysłów utrzymać, a nawet je podnieść. Właśnie w tej porze, d. 11 Marca, rozpoczęła swe posiedzenia w pałacu namiestnikowskim Komisya śledcza, ustanowiona zgodnie z danem miastu przyrzeczeniem przez Górczakowa, dla zbadania wypadków d. 27 Lutego i postępowania jenerała Zabołockiego. Prezydującym w tej Komisji był jenerał Liprandi, dowódca 2-go korpusu piechoty; członkami zaś: komendant placu Mielnikow, i dwaj Polacy: Wieczorkowski, prezes sądu kryminalnego i radca prawny Komisji skarbu, oraz Kojśiewicz, obrońca przy senacie. Z góry było do przewidzenia, że Komisya stanowczo potępi Zabołockiego, gdyż rosyjscy jej członkowie patrzyli na całą sprawę oczami namiestnika, polscy zaś, do pewnego stopnia słusznie, chcieli, by morderca pięciu ludzi został ukarany. Najważniejszą rzeczą w całej tej nieszczęśliwej sprawie był ten fakt, że Zabołockij wyprowadził wojsko z koszar bez żadnego rozkazu i że bez rozkazu strzelał. Nie zapierał on się tego; otwarcie mówił i pisał: „nie miałem rozkazu na to, by wyprowadzić kompanię siódmą pułku Nizowskiego piechoty z koszar pałacu Prymasowskiego”. Pierwszy więc punkt samowoli Zabołockiego nie ulegał żadnej wątpliwości; tłumaczenie się jego rozdrażnieniem, nerwowym rozstrojem, szeregiem strasznych pogłosek, które jakoby miały do jego uszów dochodzić, nie zostało przez fakta potwierdzone⁷⁵.

Utrzymywał on, co potwierdzali dwaj jego adjutanci: podpułkownik Griszyn i kapitan Rotkirch, że „około poczty podjechał do kompanii kozak kubański, który powiedział to i to”. Otóż wezwany do komisji Zawarow, który wówczas dowodził kozakami, zaprzeczył temu stanowczo. „Żadnego kozaka, mówił, jenerał nie mógł spotkać w pobliżu poczty, gdyż kozacy znajdowali się przed kościołem Bernardynów i na placu Zamkowym, w inne zaś miejsca

75 Mikołaj Berg stara się także z tego punktu, że tak powiemy, psychologicznego, usprawiedliwić Zabołockiego. „Komisya, mówi on, widziała literę wypadku, ale nie widziała jego prawdziwego znaczenia. O względności dla człowieka, który w tę fatalną chwilę stracił władzę nad sobą, jak zresztą wszyscy, który był raniony (?) a ztąd wzburzony a co najważniejsza, przekonany, że działa prawidłowo, nie mogło być nawet mowy. Dla komisji nie istniało ogólnoeuropejskie prawo, mówiące, że bywają niekiedy omamienia, które zmieniają wszystko, przedstawiają wypadki opacznie. Wystarczyło, że namiestnik i Warszawa była przekonana, że Zabołockij był winien, a zatem istotnie był on winien. Po cóż tu rozprawiać i powoływać się na mądre i tajemnicze procesy duszy ludzkiej!” W rzeczy samej, w tej sprawie wyraźnej samowoli, niema wcale potrzeby powoływać się na tajemnicze procesy duszy ludzkiej.

Dodać tu wypada, że powszechnie zwano teraz w Warszawie Zabołockiego *duc d'Orgelbrand*, bo strzelał przed domem księgarza Orgelbranda, ztąd tytuł, jaki dawano wielkim wodzom za ich zwycięstwa.

on (Zawarow) ich nie posyłał”. Fakt ten należało wyjaśnić. Komisya poleciła więc Zawarowowi, ażeby ustawił na placu Zamkowym wszystkich kozaków, pomiędzy którymi Zabołockij miał wyszukać tego, który przy poczcie zjawił się z doniesieniem. Oczywiście Zabołockij posła tego nie znalazł.

Wieść o tem, bo wtedy nic przed argusowem okiem agitatorów ukryć się nie mogło, rozeszła się po mieście i wystawiając władzę na śmieszność, w żadnym razie nie mogła się przyczynić do uspokojenia umysłów. Komisya wlokła śledztwo; posiedzenia swe potem przeniosła do prywatnego mieszkania prezesa, gdzie więcej gawędzono niż robiono, aż w końcu d. 26 Maja, na kilka dni przed śmiercią Gorczakowa, gdy ten już o niczem nie wiedział, niewiadomo z czyjzego rozkazu, została zniesioną, zapisawszy niepotrzebnie mnóstwo papieru (aż 329 arkuszy)⁷⁶.

Wśród takich to faktów ludzie rozumniejsi, spokojniejsi z dręczącą niepewnością oczekiwali odpowiedzi na adres, która już powinna była nadejść, a która wcale nie nadchodziła. Wprawdzie głuche wieści obiegały po mieście o mających nastąpić reformach i koncesyach, w dziennikach zagranicznych pojawiła się nawet wiadomość, że wielki książę Konstanty ma przybyć do Warszawy w charakterze wicekróla, ale poczęto się lękać i słusznie, by ludność w razie surowej odpowiedzi na adres, ludność, ciągle mianowana przez agitatorów, nie wywołała nowego zaburzenia, które teraz, przy rozgorączkowanym nastroju umysłów, Bóg wie, do jakich rezultatów mogło doprowadzić. W grupie Zamoyskiego, w gronie otaczających go Klemensowczyków, nie mniejsze były obawy. Zaglądali tam teraz często, do pałacyku na Nowym Świecie, liczni dygnitarze polscy ze świata sądowego i administracyjnego, którzy, wobec powszechnego wzburzenia umysłów, pragnęli wiedzieć, co też myśli pan Andrzej i jego stronnictwo i odpowiednio do tego samym się kierować. Zachodził tam dyrektor Komisji skarbu, Łęski, prokurator naczelny senatu, Wołowski, zachodził Enoch i wielu innych. Zamoyski w ogólności czarno patrzył się na wypadki i ich przyszłość, nie wierzył w dobre skutki tych zaburzeń, które, niszcząc spokój publiczny, niszczyły zarazem program Klemensowczyków, tak mozolnie od lat dwudziestu blisko przeprowadzany, kosztem tyłu wysień i tyłu ofiar. Nie wierzył w skuteczność rewolucji czerwonej, której krwawe widmo ukazywało mu się od czasu do czasu na chmurnem niebie polskiem, jak duch Hamletowego ojca na krużgankach starego zamku duńskiego i prze-

⁷⁶ Berg utrzymuje, że komisya nie była od tego, by zupełnie Zabołockiego od oskarżenia uwolnić, gdyby była znalazła jaki odpowiedni punkt oporu, n. p. jeżeliby było udowodnionem, że ludność strzelała do wojska. Żołnierze jednak, którzy zeznawali, że strzelano do nich, nie byli wzywani do przysięgi. Co do nas, mniemamy, że Zabołockij gorzej by na tem wyszedł, gdyż pogłoska o strzelaniu do wojska przez ludność jest zupełnie fałszywą.

rażało go swą żądzą zburzenia istniejącego porządku społecznego. Zresztą nie wierzył on, by Polskę mogła wywalczyć rewolucja; pograży ona tylko kraj w większą niedolę; nie wierzył nakoniec rządowi rosyjskiemu. Przekonany był, że rząd nie zrobi żadnych ustępstw, że przeciwnie w odpowiedzi na adres podwoi surowość, ucisk i gwałty. Jeżeli jednak tak się stanie, to cóż należy robić? Czy rzucić drogę opozycji i pozwolić się dalej gnębić? Czy to wreszcie jest możliwe, by rozbijałe fale narodowego patryotyzmu ułożyły się nagle i ścięły mrozem ciszy sennej? Oczywiście tego niepodobna było przypuszczać; cóż więc robić, gdy odpowiedzi na adres albo nie będzie wcale, albo też taka, która do głębi obrazi naród? Zamoyski i Klemensowczycy postanowili na taki wypadek nie porzucać drogi opozycji legalnej ale wytrwałej i niezachwianej niczem; naśladować w tym względzie Anglików XVII wieku, lub Wenecyan w czasach niedawnych; chcieli więc nie płacić podatków, chcieli, by wszyscy urzędnicy polscy jednocześnie podali się do dymisy i t. p. Jakoż postanowienie to przyjęte zostało przez całe stronnictwo; dygnitarze polscy, którzy odwiedzali Zamoyskiego, gotowi byli w razie istotnej potrzeby podać się do uwolnienia. Wszyscy więc w niepokoju serca i umysłu oczekiwali na odpowiedź z Petersburga, odpowiedź, która pod wielu względami miała stanowić o tem, jaką drogą potoczą się koleje narodu.

Nakoniec odpowiedź ta przyszła do Warszawy. Cesarz jeszcze d. 8 Marca, a więc w wilią nabożeństw żałobnych za pięciu poległych, telegrafował do Górczakowa, że jutro wieczorem wysła odpowiedź przez adjutanta swego, barona Meyendorfa. Jakoż nazajutrz, dnia 9, donosił Aleksander depeszą, że Meyorf został już wysłany z „urzędowym odpowiednim reskrytem” i nakazywał namiestnikowi, ażeby po zakomunikowaniu tego reskryptu komu należy, ogłosił go zaraz w gazetach warszawskich, gdyż adres został wydrukowany we wszystkich dziennikach zagranicznych⁷⁷.

Meyendorf przyjechał do Warszawy we Wtorek, d. 12 Marca, rano i w Petersburgu tak byli o niego niespokojni, że na rozkaz cesarza minister wojny Suchozanet telegrafował do Górczakowa z zapytaniem: czy poseł przybył i czemu o tem namiestnik nie donosi?

Tegoż dnia w samo południe Górczakow wezwał do Zamku arcybiskupa Fijałkowskiego, Andrzeja hr. Zamoyskiego, Władysława hr. Małachowskiego, Leopolda Kronenberga i Ksawerego Szlenkiera, to jest tych samych, którzy adres podali. Do przybyłych wyszedł namiestnik i uwiadomił ich, że otrzymał

⁷⁷ Dosłownie depesza ta brzmi: „25 Lutego (9 Marca) Meyendorf wysłany został z mym listem i urzędowym odpowiednim reskrytem na podany adres. Po zakomunikowaniu go, komu należy, możesz go pan ogłosić w gazetach, gdyż adres wydrukowany został we wszystkich gazetach zagranicznych. Aleksander”.

odpowiedź na adres i tę odpowiedź zaraz odczytał. Była ona wystosowana do namiestnika w formie reskryptu i brzmiała, jak następuje:

„Książę Michale Dmitryewiczu. Przeczytałem petycją, którą mi nadesłałeś. Powinienbym ją uważać za żadną i niebyłą; pewna bowiem liczba osób pod pozorem nieporządków, wywołanych na ulicy, przywłaszcza sobie samowolnie prawo potępienia wszelkich działań rządu. Chcę jednak widzieć w tem tylko uniesienie Poświęcam wszelkie starania moje ważnym reformom, jakich bieg czasu i rozwinięcie potrzeb w państwie mojem wymagają. Poddani moi Królestwa są przedmiotem równejże mojej troskliwości. Wszystko, co może zapewnić ich pomyślność, nie znajduje i nie znajdzie mnie obojętnym. Dałem już im dowody, że pragnę, aby brali udział w dobrodziejstwach z ulepszeń użytecznych, istotnych, postępowych. Pozostają przy tych samych zamiarach i uczuciach. Mam prawo liczyć na to, że uczucia te znajdą uznanie i nie będą zwichnięte przez żądania niewczesne lub przesadzone, których nie mógłbym pogodzić z dobrem moich poddanych. Dopełnię wszystkich moich obowiązków. W żadnym razie nieporządkom faktycznym pobłażać nie będę. Na takim gruncie nic się nie buduje. Pragnienia, któreby na nim szukały oparcia, już tem samem z góry sameby się potępiły. Zniweczyłyby one wszelkie zaufanie i spotkałyby z mojej strony surowe zganienie, bo cofnęłyby kraj na drodze regularnego postępu, na której utrzymać go niezmiennem jest mojem życzeniem”.

Reskrypt ten na obecnych wywarł bardzo przykre wrażenie, które widocznem było na ich twarzach. Stali w głuchem milczeniu, sprawiając tą swoją postawą nie mały ambaras namiestnikowi, który nie wiedział, co ze sobą i z gośćmi swoimi zrobić. Pokłonił się i cofnął do swego gabinetu, do którego zaprosił Zamoyskiego, Szlenkiera i Kronenberga i zakomunikował im poufnie wiadomość „o łaskach, jakie cesarz udzielić raczył”, t. j., że ma być utworzona Rada Stanu, Rady municypalne, że ma nastąpić reforma wychowania publicznego i że obywatele, posiadający zaufanie, wezwani będą do naradzania się nad potrzebami kraju. Mówił, że wiadomości tych udziela konfidencyjalnie, że same reformy nie będą wcześniej jak za dwanaście dni ogłoszone; że trzeba więc, by o zamierzonych łaskach cesarskich starali się wezwani zawiadomić swych współobywateli drogą prywatną, gdyż to wpłynie zapewne na uspokojenie umysłów. Rozmowa przybrała charakter pogawędki, jakkolwiek Zamoyski ani na chwilę nie stracił swego sztywnego chłodu. Twierdził on, że o uspokojeniu umysłów mowy nawet być nie może, wobec odpowiedzi cesarskiej. Jej ton pogardliwy, wyrażenie „quelques individus” (pewna liczba osób)⁷⁸, kiedy właściwie w podpisywaniu ad-

78 Przekład urzędowy, w ogóle dość niedokładny, francuzkie „quelques individus” złagodził mocno przez wyrażenie „pewna liczba osób”. Właściwie w oryginale ton jest mocniejszy, obraźliwszy i należałoby przetłumaczyć „kilka, lub garść indywiduów”.

resu wziął udział cały naród, wzburzy jeszcze bardziej wszystkich. Zakłopotany Górczakow starał się wytłómaczyć cesarza; twierdził, że słowa te były skutkiem konieczności zachowania powagi władzy, która jest nieprzyzwyczajona do krytyki swych rządów przez poddanych; zapewniał, że obietnice co do reform są z dobrą wiarą uczynione, że cesarz zamierza jak najszerzej przeprowadzić te reformy, ale wymaga, jako niezbędnego warunku, uspokojenia się ludności.

Zamoyski zauważył, że po ogłoszeniu odpowiedzi cesarskiej, uspokojenie ludności trudnem a może i niepodobnem będzie do osiągnięcia, radził więc, żeby namiestnik wstrzymał się z opublikowaniem reskryptu, a tymczasem żeby przesłał do Petersburga tysiące podpisów, pod adresem położonych, dla przekonania cesarza, że dokument ten nie jest wyrazem „kilku indywiduów”, ale całego narodu. Rady te zdawały się trafiać do przekonania Górczakowa; uznał niewłaściwość słów cesarskich i przyobiecał, że reskryptu nie ogłosi.

Obietnicy tej jednak dotrzymać nie mógł i przez to postawił się w położeniu bardzo przykrem. Nazajutrz doniósł cesarzowi o odczytaniu pięciu notabłom reskryptu, i prosił o pozwolenie wstrzymania się z drukiem jego choć na kilka dni. Żądanie to tłómaczył tem, że publiczność nie wie jeszcze o reformach zamierzonych, że zatem reskrypt sam mógłby wyrzucić wrażenie niekorzystne⁷⁹. W odpowiedzi na to cesarz rozkazał krótką i stanowczą depeszą, d. 14 Marca, ażeby reskrypt jego natychmiast został opublikowany w dziennikach⁸⁰. Nie było rady, trzeba było ustąpić wyraźnej woli cesarskiej i nie dotrzymać słowa, danego Zamoyskiemu i dwóm jego towarzyszom. Górczakow więc reskrypt posłał do gazet, a cesarzowi telegrafował: „reskrypt drukuje się we wszystkich gazetach. Jeszcze wczoraj, po mej depeszy, postanowiłem go dziś wydrukować”.

Cesarz, gdy otrzymał ten telegram, świadczący o słabości charakteru, usiłującej się wytłómaczyć i kłamującej wyraźnie, gdyż namiestnik takiej decyzji wczoraj po danem słowie deputatom polskim powziąć nie mógł, miał zawołać z gniewem: „te wykręty są opłakane”. (*Ces tergiversation sont deplorables*⁸¹).

79 Oto treść tej depeszy: „1 (13) Marca. Reskrypt został odczytany pięciu osobom, które podały petycją i przyjęty był przez nie bez żadnych uwag. Na tem skończyła się ta sprawa. Proszę o pozwolenie niedrukowania reskryptu choć przez kilka dni. Wobec tego, że publiczność nie zna jeszcze konfidencyjnego uwiadomienia o przyszłych reformach, mógłby on w pierwszej chwili wyrzucić wrażenie niekorzystne, które potem byłoby trudno zatrzeć.

Ks. Górczakow”.

80 „Żądam (trebuju), pisał cesarz, żeby reskrypt natychmiast był wydrukowany w gazetach”.

81 Bądź co bądź jednak, zarzut czyniony przez naszych pisarzy (zwłaszcza przez A. Gillera) Górczakowowi, że nie dotrzymał słowa danego deputatom, wobec faktów powyższych, nie jest słuszny. Wyraźny rozkaz cesarski zmusił go do złamania słowa; wina namiestnika

Wrażenie, wywołane przez reskrypt, było istotnie takie, jakiego spodziewał się Zamoyski. Oburzenie było powszechne, mianowicie na owe słowa „garść indywiduów”. Reskrypt wydrukowany w gazetach przemazywano, rozdzierano, wałano błotem i wyrzucano na ulicę. W Delegacji, na posiedzeniu jej (dziewiątym z kolei) d. 13 Marca, gdy Szlenkier uwiadomił ją, po co był wzywany do Zamku, niezadowolone, zwłaszcza wśród członków radykalnych, wybuchło głośno. Delegacya, wołali oni, nie ma teraz co robić, powinna się rozwiązać, bo mandat swój wpływania na uspokojenie umysłów przyjęła tylko do czasu otrzymania odpowiedzi od cesarza na adres. Mandat więc ten powinna teraz złożyć. Jakoż pod wpływem tych słów, spisano protokół swego rozwiązania i w protokóle tym dodano kilka życzeń, mających objaśniać „potrzeby narodu”. W życzeniach tych Delegacya twierdziła, że pierwszym istotnym warunkiem porządku jest powierzenie zarządu miastem i jego dochodami osobom wybranym z pośrodku obywateli bez różnicy wyznań i stanów; i że jak najprędze rozporządzenie o dopełnieniu wyborów do przyszłej Rady municypalnej jest koniecznością w obecnem położeniu.

Wieczorem, jak zwykle, zeszli się wszyscy członkowie Delegacji do resursy, do której w dniu tym napływ publiczności był większy niż kiedyindziej, i zadali sobie pytanie: co czynić należy wobec odpowiedzi cesarskiej? Jej ton pogardliwy, lekceważący najchłodniejszych nawet oburzał. Wyrażenie „garść indywiduów” było na ustach wszystkich i wszyscy czuli potrzebę zaprotestowania przeciw tej, jak mówiono, obeldze.

Zjawilo się także kilku członków Towarzystwa rolniczego, rozprawiano wiele, jeszcze więcej się spierano. Na rozwiązanie Delegacji nikt się zgodzić nie chciał. Postanowiono jednak wysłać nazajutrz deputacyą do namiestnika z Zamoyskim na czele, któraby zdecydowała ostatecznie, czy Delegacya ma dalej istnieć czy nie, oraz rozstrzygnęła kwestyą odpowiedzi cesarskiej.

Jakoż na drugi dzień, 14 Marca, Zamoyski (któremu właśnie deputacya rzemieślników w dowód uznania ofiarowała tabakierkę Kilińskiego i pierścien księcia Józefa), oraz kilku innych obywateli udało się znowu do Gorczakowa dla wyrażenia swego ubolewania, że reskrypt cesarski, wbrew przyrzeczeniu danemu wczoraj, został ogłoszony, i że wywarł jak najgorsza na miasto wrażenie. Gorczakow tłómaczył się i, jak wiemy, zgodnie z prawdą, że otrzymał polecenie z Petersburga i reskrypt ogłosić musiał. W rozmowie był mocno podrażniony, miotał się, wybuchał groźbami, odrzucał z uporem wszelkie przedstawienia i o protestacji przeciw wyrażeniu „garść indywiduów”, nawet wspomnieć sobie nie dał. Na uwagę Zamoyskiego, że adres podpisała nie garść indywiduów, ale kilkanaście tysięcy najwybitniejszych w kraju obywateli, któ-

leży w tem tylko, że lekkomyślnie dał przyrzeczenie, którego nie wiedział, czy będzie w stanie dotrzymać.

re to podpisy, oprócz tych jakie już oddał poprzednio namiestnikowi, gotów jest zaraz złożyć, Górczakow odrzekł, że na to nie pozwoli, że zbieranie nowych podpisów uważać będzie jako akt nieposłuszeństwa rządowi, jako bunt. Wobec takiej postawy namiestnika, przypominającej najgorsze paskiewiczowskie czasy, delegaci uciekli się do radykalnego, jak sądzili, środka, którego używali w razach ostatecznych i zawsze z powodzeniem, to jest do groźby, że w mieście mogą wybuchnąć wskutek tego wszystkiego nowe zaburzenia, których następstwa będą straszne i nieobliczone. Ale na wielkie zdziwienie delegatów, Górczakow słowa te przyjął obojętnie i odparł szorstko, że się tego nie lęka, że ma wojsko, które potrafi porządek przywrócić⁸².

82 Do tej nagłej zmiany w usposobieniu Górczakowa bezwątpienia przyczyniła się bardzo wiele znana nam już depesza cesarska z d. 14 Marca, nakazująca tonem surowym opublikowanie reskryptu; prócz tego jednak odbywała się w tych dniach jakaś akcja, której szczegóły i motywa są do tej chwili tajemnicą, a która mogła rozdrażnić namiestnika, albo zmusić go do groźnej postawy. Ślad tej akcji mamy w depeszy z d. 13 Marca (wydrukowanej w zbiorze korespondencji telegraficznej między Aleksandrem II-gim i Górczakowem w czasopiśmie „Ruskaja Starina” z r. 1882), od generała Giecewicza, który wówczas był w Warszawie i należał do wybitniejszych osobistości otaczających namiestnika, do hr. Adlerberga I-go, tej treści: „proszę natychmiast wysłać mi drogą telegraficzną rozkaz pojechania do Petersburga dla wyjaśnienia Najjaśniejszemu panu sprawy wielkiej dla państwa wagi (gosudarstwiennoj ważności)”. Działo się to zapewne bez wiedzy Górczakowa, gdyż inaczej byłby on sam od siebie posłał do Petersburga Giecewicza. Rozkaz, zgodny z domaganiem się tego ostatniego, nadszedł prawdopodobnie zaraz i wówczas dopiero namiestnik o wszystkim się dowiedział, gdyż d. 15 Marca, t. j. nazajutrz po ostrem przyjęciu Zamoyskiego i deputacyi, donosi ministrowi wojny, że „Giecewicz wyjechał wczoraj wieczorem”. Po co jednak pojechał i z czem, niewiadomo. Stanął on w Petersburgu d. 18 Marca rano. Cesarz o nim pisze do Górczakowa: „listy pańskie i osobiste objaśnienia Giecewicza utwierdzają mnie jeszcze bardziej w moich przekonaniach”. To i wszystko. Cesarz d. 20 Marca odesłał z powrotem Giecewicza do Warszawy, „z listem, którego treść jest mu nieznaną i na który zwracam pańską (t. j. namiestnika) uwagę”, pisze Aleksander. Giecewicz, którego Górczakow, jak się dowiadujemy z depeszy z d. 24 Marca, chciał nominować na jedną z posad po Muchanowie, przybył do Warszawy tegoż dnia wieczorem, zatrzymany przez 26 godzin przeprawą przez Bug pod Janowem Podlaskim. Taką jest tajemnicza historia Giecewicza. Zdaje się, że podróż jego przyczyniła się także do dymisji Muchanowa, jaka wkrótce potem nastąpiła, gdyż Giecewicz objął po upadłym wielkorządcy dyrektorstwo w Komisji spraw wewnętrznych. Prócz tego odbywała się jeszcze inna akcja, której ślad znajdujemy we wzmiankowanych wyżej depeszech, ale której bliższe szczegóły całkiem są nam nieznanymi i pozostaną takimi dopóty, dopóki archiwa kancelaryi namiestnika w Królestwie nie będą zbadane. W depeszy z d. 15 Marca cesarz między innymi pisze co następuje: „na przemarsz (peredwizenie) wojsk, zgadzam się”. Jaki to był przemarsz, nie wiemy. Do Królestwa szły znaczne posiłki, jakieśmy to we właściwym miejscu wspomnieli i czoła tych posiłków już się ukazywały w granicach kraju, wlokąc się z powodu roztopów i wezbrania rzek bardzo wolno. Ale to stało się nie z inicjatywy Górczakowa, lecz samego cesarza. Jakież więc przemarsze proponował namiestnik i dlaczego?

Tę groźną, Jowiszową postawę zmienił jednak wkrótce chwiejny i w gruncie serca bardzo dobry i miękki Gorczakow. Nazajutrz bowiem, dnia 15 Marca, zjawił się znowu w Zamku hr. Zamoyski i przyniósł ze sobą kilkanaście tysięcy podpisów, będących wymownym dowodem, że nie „garść indywiduów” podała adres i wymowniejszym jeszcze protestem przeciw obraźliwemu wyrażeniu cesarskiemu. Między tymi podpisami znajdowały się imiona wszystkich prawie Polaków, bawiących w tym czasie w Paryżu, imiona nawet wielu emigrantów, którzy nadesłali na ręce Zamoyskiego swe przystąpienie do adresu. Brakowało tam tylko jednego podpisu, Polaka, będącego także w Paryżu, hr. Uruskiego, b. marszałka szlachty gubernii warszawskiej, za co go też publicznie piętnowano mianem zdrajcy, jak gdyby zdradą było odmówienie swego podpisu na dokumencie tak nierozumnym, tak niejasnym, jakim był adres Stawiskiego.

Gorczakow z widocznym niepokojem i wahaniem się przyjął podpisy, przytknął je do swych małych oczu i przeglądał ciekawie z wyciągniętą jak u żórawia szyją. Zamoyski żądał pokwitowania, że podpisy namiestnikowi wręczył, ale ten zrazu stanowczo, jak się zdawało, odmówił. Jego słabość charakteru zapewne taki wynalazła punkt wyjścia z dość śliskiego i przykrego, według jego mniemania, położenia. Nie chciał bowiem odmawiać Zamoyskiemu przyjęcia podpisów, a z drugiej strony za nic w świecie nie byłby ich teraz posłał do Petersburga. Wręczony mu więc dokument przyjął z ukrytym zamiarem rzucenia go do kosza i dlatego pokwitowania dać nie chciał. Po długich nakoniec sporach, gdy już Zamoyski zamierzał wyjść i zażądał zwrotu podpisów, namiestnik uległ i żądane pokwitowanie udzielił. Podpisy te jednak nigdy do Petersburga nie poszły i cesarz o nich nie wiedział wcale.

Dzięki więc w części swej słabości charakteru, w części pragnieniu łagodzenia konfliktu między rządem i rządzonymi, nawet taki uczciwy człowiek, jak Gorczakow, zmuszony był kłamać i oszukiwać. Na tej drodze szedł coraz dalej, bałamucąc siebie, Polaków i rząd, choć bezwątpienia robił tak w najlepszej woli. Już nazajutrz po ogłoszeniu reskryptu cesarskiego, dnia 15 Marca, niczem do tego nie zmuszony, telegrafował do Petersburga, że reskrypt ten na ludzi umiarkowanych wywarł dobre wrażenie, że starają się oni rozszerzać o nim uspakajające zdania. D. 16 Marca powtarza to samo: „umiarkowani nie przestają oddziaływać na umysły i można mieć nadzieję powodzenia”. Cesarz oczywiście rad był temu i pisał: „cieszę się, że umiarkowani nie przestają oddziaływać na umysły”. Tymczasem wszystko to było kłamstwem, którym chciał Gorczakow może własne, a może Petersburga zatumanic oczy. Wiemy dobrze, jakie oburzenie w ogólności we wszystkich sferach społecznych wywarła odpowiedź cesarska i nie było może w Polsce człowieka, który się nią nie czuł obrażony. Wobec tego zapewniania cesarza, że reskrypt sprawił dobre wrażenie, było najoczywistszym kłamstwem, niczem nie dającym się wytłómaczyć, chyba jedną tylko słabością charak-

teru namiestnika. Oburzenie to, widzieliśmy, znalazło swój wyraz w chęci rozwiązania się Delegacyi obywatelskiej, która teraz nie mogła ręczyć za spokój w mieście, w ogólnem wreszcie wrzeniu umysłów, jakie się spostrzegać dało.

Delegacya jednak nie rozwiązała się, owszem po jednodniowej przerwie, d. 15 Marca, rozpoczęła znowu swoje posiedzenia, oznajmiając w protokóle, że czyni to na skutek „ogólnego objawu opinii publicznej”. Dlatego też „z powodu silnego wzburzenia umysłów, jakie obecnie na nowo się objawiło, Delegacya uważa za konieczne, aby zapowiedziane reformy jak najprędzej ogłoszonymi były i w wykonanie wprowadzone zostały. Delegacya uprasza generała Paulucci, aby to jej zdanie do wiadomości J. O. ks. namiestnika ponieść raczył”. Napróżno Paulucci zaręczał, że reformy w jak najkrótszym czasie będą wprowadzone, że zatem niema potrzeby przypominać o tem namiestnikowi; musiał ustąpić i pojechał do Zamku.

Tymczasem w rzeczy samej reformy te nie nadchodziły i nic nie zdawało się zapowiadać ich prędkiego urzeczywistnienia. W Petersburgu, przy ociężałym biegu maszyny rządowej, przy przyjętych sposobach prowadzenia wszelkich spraw państwowych, rzecz sama przewlekała się długo, rozkładano ją może na miesiące, a tymczasem w Warszawie agitacya się wzmagala, burza pełna gromów huczała już blisko. Przyczyniło się do tego bardzo wiele wystąpienie na widownię nowej osoby, która całą sprawę reform skomplikowała niezwykle i ogłoszenie ich przez to opóźniła.

Osobistością tą był margrabia Wielopolski. Zostawiliśmy go, gdy po nieudanych usiłowaniach przeprowadzenia swego projektu adresu do cesarza, wyjechał z Warszawy z zamiarem, głośno wypowiedanym, nie mieszania się do niczego⁸³. Zdaje się jednak, że byli tacy w Warszawie, którzy tu za niego i dla niego działali, a mianowicie wspomniany już tylokrotnie Enoch.

83 Są pewne, acz bardzo niedokładne ślady a raczej podejrzenia, że margrabia wcale nie wyjeżdżał z Warszawy. K. Gregorowicz w swym „Poglądzie krytycznym na wypadki 1861, 62 i 63 r.” napomyka o tem, wprawdzie nieco niejasno, ale daleko większe ma pod tym względem znaczenie zestawienie dat, które podaje w swem dziele Lisicki („Le marquis”. II, 141 i 157). Według niego margrabia wyjechał z Warszawy dnia 2 Marca („le surlendemain” — na trzeci dzień po podpisywaniu adresu, a ten podpisywano d. 28 Lutego), który to dzień przypadł w r. 1861 w Sobotę, udając się do Chrobrza. W owe czasy, przy braku kolei, podróż taka przy najlepszych warunkach musiała trwać najmniej 30 godzin. Rada u namiestnika, na której zdecydowano powołać do rządu Wielopolskiego i Enoch otrzymał upoważnienie wezwania go do Warszawy, odbyła się, zawsze według Lisickiego (II. 156), d. 3 Marca, t. j. w Niedzielę. Wezwanie to margrabia otrzymał d. 5 Marca, a d. 6, we Środę już był w Warszawie. Takie jest zestawienie dat. Przypuścićby tu należało niezmierną, prawie niepodobną fizycznie szybkość w działaniu i w ruchach, gwałtowne przebieganie drogi liczącej przeszło 30 mil, z których część wlokła się po słynnych piaskach pińczowskich, po roztopach i błotach wiosennych. Podejrzывать więc można, że albo Lisicki myli się co do dat, albo margrabia wcale nie wyjeżdżał z Warszawy.

Dnia 3 Marca bowiem Gorczakow zwołał do siebie do Zamku, radę, złożoną z kilku osób, między którymi znajdował się Muchanow i Enoch⁸⁴.

84 Lisicki („Le marquis”, II, 156) utrzymuje, że rada ta była zwołana na skutek t. z. memoriału Enocha. Historia tego memoriału, podana naprzód i jedynie przez Lisickiego, jest następująca: w chwili, gdy ciała poległych zwożono do hotelu Europejskiego, gdy z resursy kupieckiej rozgorączkowana deputacja mieszczańska wybierała się do Zamku, a w pałacu Zamoyskich debatowano nad adresem, t. j. d. 27 Lutego wieczorem, Enoch, nie radząc się nikogo, z nikim nie rozprawiając, postanowił rozpocząć akcją na własną rękę. W tym celu przygotował memoriał, w którym, odmalowawszy stan kraju, położył nacisk na potrzebę reform i reformy te zawarł: w przywróceniu Rady stanu, rad miejskich i prowincjonalnych, zniesieniu Komisji kodyfikacyjnej, reformie wychowania publicznego i usunięciu Muchanowa. Memoriał we Czwartek dnia 28 Lutego był gotów, następnego dnia przepisany i d. 2 Marca Gorczakowowi podany. Wskutek tego memoriału namiestnik miał uznać potrzebę reform i wysłał Karnickiego do Petersburga. Tak opowiada Lisicki i sam memoriał w całości, między dokumentami, dołączonymi do swego dzieła polskiego o Wielopolskim, wydrukował (II, 39). Pismo to, dotąd całkiem nieznanne i nie przeczuwane nawet przez nikogo, zrobiło na czytelnikach wielkie wrażenie swym rozumem, bystrością poglądów i świetnością formy. Jednym słowem Enoch urósł nagle do wyżyn niepospolitego polityka i pisarza, do czego zdaje się nigdy nie żywił pretensji, a nadewszystko począł uchodzić za jedyne i wyłączne inicjatora reform, które ostatecznie wyjednał Wielopolski.

Tymczasem tego samego roku, w którym ukazało się dzieło Lisickiego, wyszła mała broszurka, wydana w Dreźnie p. t. „Suum cuique. Kilka słów z powodu niektórych ustępów dzieła p. t. Aleksander Wielopolski”. W książce tej, pióra Karnickiego, nie mówiąc nic o samym memoriale, autor zaprzecza stanowczo, by inicjatywa reform wyszła od Enocha a ich wyjednanie dokonał Wielopolski. Przedstawivszy rzecz we właściwym świetle, może za mało mówi o namiestniku, od którego właściwie i jedynie wyszedł pomysł reform, a za wiele sobie przypisuje. Pominawszy tę niedokładność, którą włożyć należy na karb słabości ludzkiej, relacja ta jest ze wszech miar dokumentem wiarogodnym i ściśle historycznym. Zostawiając jednak na boku kwestyą memoriału Enocha, Karnicki nie podał go wcale w wątpliwość i Enoch był ciągle tem, czem go zrobił Lisicki, to jest człowiekiem wielkiego rozumu i śmiałej inicjatywy. Nawet W. Spasowicz w swym znakomitem zkładninad dziele p. t. „Żizń i polityka markiza Wielopolskiego” (Petersburg 1882), nie wątpiąc o autentyczności memoriału, stara się przekonać czytelnika, że autorem jego jest Wielopolski (p. 173). Sam Enoch, lubo żył jeszcze i mieszkał w Paryżu, na uwagi Karnickiego nic nie odpowiedział, choć, jak zapewnia relacja, umieszczona na końcu tego dzieła (Dokumentu Nr. 1), nosił się z myślą odpowiedzi; ale zamiary te przerwała śmierć Karnickiego, i „Enoch, uważając, że prowadzenie polemiki z przeciwnikiem, któremu śmierć dopiero co usta zamknęła, byłoby niewłaściwe, odłożył urzeczywistnienie zamiaru swego na później”.

Tak stały rzeczy do r. 1882, w którym ukazało się w Krakowie dzieło p. t. „Porozbiorowe aspiracje polityczne narodu polskiego”. W dziele tem (edycja druga, str. 245) autor, pan Stanisław Z., pierwszy podał memoriał w wątpliwość, nazywając go poprostu „mystyfikacją lub błagą”. „Kto bowiem, pisze dalej, w d. 2 Marca byłby umiał zaprojektować reformy, nie odbiegające ani na jotę, ani in plus ani in minus od tego, co 28 Marca w Petersburgu postanowiono, ten byłby musiał być prorokiem”. Twierdzi więc stanowczo, że „w d. 2 Marca Enoch żadnego memoriału nie był w stanie napisać, nie napisał i namiestnikowi nie podał. Żyjący do dziś Kretkowski (obecnie notaryusz w Warszawie) opowiada à qui veut

Jeden z wojskowych wysoko postawionych, zdaje się Kotzebue, który przypatrywał się wszystkiemu pilnie, któremu nie podobał się sposób postępowania

l'entendre, że gdy, wróciwszy z Petersburga w końcu marca, przywiózł wiadomość o tem, co na wzmiankowanej radzie ministrów w d. 25 zostało zdecydowanem, Enoch, któremu o zakresie udzielonych reform zdał sprawę, rzekł doń: „wypada, iżby w aktach został ślad, że inicjatywa tych reform wyszła od nas, urzędników polskich; zredaguj więc odpowiedni memoriał” — że wskutek tego zlecenia on (Kretkowski) przygotował redakcją tego właśnie pisma, które Lisicki wydrukował. Enoch, uznawszy je za odpowiednie, położył na niem datę 2 marca i swój podpis, poczem złożył je do akt”.

Przeciw tym twierdzeniom wystąpił w „Czasie” krakowskim niejaki W. Dołęga, pod którym to pseudonimem należy przypuszczać, że ukrywa się sam Kretkowski. „...Wymyślony frazes Enocha, pisze Dołęga, nigdy nie był i nie mógł być wyrzeczonym, gdyż Enoch, przystawszy po Kretkowskiego d. 27 Lutego wieczorem i rozmówiwszy się z nim co do zasad memoriału, polecił mu wygotować go; że redakcja była gotową nazajutrz wieczór, przez Enocha przyjętą bez żadnej zmiany, następnie oddaną do przepisania i d. 2 marca przez niego podpisaną oraz księciu namiestnikowi przedstawioną. A zatem... pozostaje jedynie fakt, że on (Kretkowski), a nie Enoch był redaktorem memoriału, z czego zresztą i sam Enoch żadnej tajemnicy nie robił” Nie poprzestając na tem, gdy się w r. 1883 ukazała druga edycja „Porozbiorowych aspiracji”, jeszcze raz tenże sam W. Dołęga jak najuroczyściej zaprotełował przeciw wnioskowi autora co do memoriału Enocha. „Z najlepszego źródła, pisał, i z zupełną świadomością rzeczy mogę zapewnić, że memoriał przez Kretkowskiego z polecenia Enocha napisany, był przez tego ostatniego namiestnikowi Królestwa w d. 2 marca 1861 rzeczywiście podany”.

Te uroczyste afirmacje, jakby na potwierdzenie starej prawdy, że nie wszystkiemu trzeba wierzyć, co jest wydrukowane, znajdują zaprzeczenie w relacji rękopiśmiennej, skreślonej ręką tegoż, jak się zdaje, W. Dołęgi, którą na końcu tego dzieła umieszczamy w całości. Według niej, memoriał nie powstał d. 2 Marca, jak poprzednio w „Czasie” autor utrzymywał, ale dopiero d. 15 Marca („jeżeli się nie mylę, w Piątek, na dziesięć dni przed rozpoczęciem Wielkiego Tygodnia”), że celem jego było rozszerzenie reform, jakie wyjednywał Karnicki. Twierdzenie to tak oczywiście jest fałszywem, że ktokolwiek zna choć trochę historią tych czasów, przyzna nam słuszność. Całem rozszerzeniem reform w memoriale było żądanie, by na czele wychowania publicznego stał Polak i katolik, ale w tej porze, d. 15 Marca, i to już nie było nowością, gdyż Wielopolski od tygodnia był w Warszawie i prowadził rokowania z namiestnikiem, a jego żądania o wiele przekraczały granice memoriału.

Wobec tego cała ta sprawa z memoriałem Enocha wygląda istotnie na „mystyfikację i blagę”. Skoro nie mógł powstać on dnia 2 Marca, to zupełnie niepodobna sobie wytlómaczyć, po co i na co pisano go d. 15 Marca? Jeżeli jednak memoriał w rzeczy samej był napisany nie dlatego tylko, „by ślad w aktach pozostał, że inicjatywa reform wyszła od urzędników polskich”, jeżeli był rzeczywiście podany namiestnikowi, to chyba tylko w tym celu, by agitującej się właśnie w tej porze intrydze przeciw Muchanowowi dodać siły. Zdanie o konieczności postawienia na czele wychowania publicznego Polaka jest wyraźnie wymierzone przeciw „znieawidzonemu Wezyrowi”. Szło więc o to, by dokumentem wyrozumowanym, napisanym przepyszną francuzczyzną, zachęcić Gorczakowa do zrzucenia jarzma Muchanowa. Tem da się tylko wytlómaczyć powstanie memoriału d. 15 Marca.

Takim jest przebieg tej do dziś dnia niejasnej i zagmatwanej historii. Sam memoriał, jakieśmy to już zaznaczyli, można czytać w dziele Lisickiego: „Aleksander Wielopolski”, II, 39 i nast., gdzie ciekawych odsyłamy.

nia, przyjęty przez namiestnika, który wprost chciał, ażeby ruch stłumiono siłą i przywrócono surowe rządy militarne, pierwszy przemówił: „mości księżę, rzekł, przedewszystkiem trzeba usunąć ztąd dwie osoby, mnie i pana Muchanowa” (mon prince, tout d’abord il faut renvoyer d’ici deux personnes: moi et mon-sieur Muchanow). Znaczyło to, że tam, gdzie ma być radzone o ustępstwach dla Polaków, oni, jako dobrzy Rosyanie, znajdować się nie powinni, gdyż ustępstwa te szkodzą Rosyi. Ale namiestnik inne miał poglądy, kazał tym gorliwym Rosyanom (Kotzebue był Niemiec) pozostać i wzięto pod obrady kwestyą reform. Zgodzono się na to, że koniecznie trzeba utworzyć osobną Komisją wyznań i oświecenia publicznego i że na jej czele winien stanąć Polak. Gorczałow jednakże wątpił w możność doprowadzenia tego projektu do skutku, nie dlatego, by on był temu przeciwny, lub żeby w Petersburgu się opierano, ale że w obecnych okolicznościach, przy rozdrażnieniu, jakie panuje przeciw władzy, trudno będzie wynaleść człowieka, któryby się chciał podjąć urzędu, ofiarowanego mu przez Rosyą i mającego na celu ostateczną pacyfikacją kraju. W odpowiedzi na to Enoch twierdził, że tacy ludzie się znajdują, i wymienił Tomasza hr. Potockiego i Aleksandra margrabiego Wielopolskiego. Przedstawivszy wartość pierwszego, zaznaczywszy jednak, że z powodu kalectwa i opłakanego swego zdrowia jest prawie niemożliwy, główny i silny nacisk położył na rozum wysoki, inteligencyą niezwykłą i odwagę osobistą ordynata pińczowskiego. Znał go dobrze, przepędził z nim parę sezonów u wód Maryenbadzkich, słyszał nieraz z jego ust słowa, że Polsce przedewszystkiem potrzeba innego wychowania publicznego. Bądź co bądź Enoch gorąco i w barwach jasnych i przyjaznych mówił o margrabi namiestnikowi. Opowiedział mu całą przeszłość tego magnata, poczynwszy od misyi londyńskiej aż po czasy ostatnie. Przesłał do Zamku egzemplarz „Listu szlachcica polskiego do ks. Metternicha” i tłómaczenie, przez siebie dokonane, ustępów odnoszących się do tej broszury z „Biblioteki ordynacyi Myszkowskich”. W umyśle Gorczałowa nagle postać margrabiego zarysowała się jako port zbawczy, jako dąb niewzruszony, o którego konary rozbić się muszą wszelkie burze i wszelkie zawieje. To, co dotąd wiedział o Wielopolskim, że jest bardzo uczony i bardzo ambitny, że nie cieszy się wielką popularnością i że go się wszyscy potrosze boją, przyczyniło się zapewne nie mało do tego, że ostatecznie zdecydował się na powołanie prostego szlachcica wiejskiego, który nie zajmował w hierarchii urzędniczej żadnego stanowiska, do objęcia wysokiej władzy. Upoważnił więc Enocha do wybadania margrabiego, czyby nie był skłonny przyjąć urzędu dyrektora głównego w mającej powstać Komisji wyznań i oświecenia publicznego⁸⁵.

85 A. Giller, w swej „Historji powstania narodu polskiego” (II, 25), powtarza pogłoskę, obiegającą wówczas po kraju, że do wyniesienia Wielopolskiego miał się przyczynić król

Jakoż Enoch wysłał uwiadomienie odpowiednie do Wielopolskiego, który je otrzymał d. 5 Marca, wraz z zaproszeniem przybycia do Warszawy, w którym korespondent mówił, że czyni to na skutek wyraźnej woli namiestnika. Margrabia natychmiast wyjechał do Warszawy, gdzie stanął nazajutrz, d. 6 Marca, i oczywiście najprzód zobaczył się z Enochem.

Tegoż samego jeszcze dnia Enoch zawiózł margrabiego do Zamku, do namiestnika, który się go zapytał, czyby nie przyjął stanowiska dyrektora mającej się utworzyć Komisji wyznań i oświecenia publicznego. Wielopolski objawił chęć służenia krajowi, ale pod pewnymi warunkami. W ogóle zachowanie się jego, jego postać olbrzymia, olimpijskiego Jowisza twarz, jego mowa pełna niewzruszonej logiki, barwna, niepozbawiona sarkazmu i ironii, a przytem pewnego rodzaju poezji, wygłaszanej zawsze w przepysnej francuzczyźnie, wywarła silne wrażenie na Gorczakowa. Nazywał go „mężem stanu w całym znaczeniu tego słowa” (*l’homme d’état par excellence*). Pertraktacje toczyły się dość długo, a dla wygodniejszego i szybszego ich prowadzenia margrabia zamieszkał stale w Zamku, i powiadają, że stosunek swój z namiestnikiem przywiódł do takiej zażyłości, że przyjmował go w szlafroku i pantoflach.

Bądź co bądź sytuacja Wielopolskiego była wyjątkowa i ze zwykłą sobie energią i rozumem postanowił on z niej wyciągnąć wszystkie możliwe korzyści. Wszak nie on przyszedł do rządu, ale sam rząd go wezwał; nie on prosił się o stanowisko, ale mu je ofiarowano z wyraźną obawą, czy przyjmie, i z gotowością zgodzenia się jeżeli nie na wszystkie, to przynajmniej na pewną część warunków, jakie kładł. Powtarzamy, sytuacja była bardzo korzystna, jedyna w swoim rodzaju; to też Wielopolski rozumiał to dobrze, zachowywał się chłodno i dumnie, nie narzucał się, nie kłaniał, ale brał się do rzeczy śmiało i stanowczo. Wszystko to musiało oddziaływać na miękki umysł chorego, ste-

pruski, z którym margrabia pozostawał podobno w korespondencji i któremu po wypadkach lutowych pisał o reformach, jakie były potrzebne. List ten miał być powodem wezwania Wielopolskiego do urzędowania. Prócz tego w zbiorach naszych posiadamy krótką relacją pewnego (nieznanego nam zresztą z imienia) Włocha, który był w ścisłych stosunkach z Ignatiewem, niegdyś posłem rosyjskim w Konstantynopolu. Włoch ów miał z tym ostatnim o sprawach politycznych częste rozmowy i po powrocie do domu skrętnie je zawsze notował. Otóż między innymi Ignatiew miał oświadczyć, że do wyniesienia Wielopolskiego przyczynił się głównie król pruski. Monarcha ten bowiem, przewidując prawdopodobieństwo koniecznych ustępstw dla Polski, z którą sympatyzowała Francja, podsunął miał Rosyi myśl, dotrzymania tylko w części zobowiązań, jakoby na kongresie paryskim zaciągniętych i na pertraktacje w tym kierunku radził użyć Wielopolskiego. Z tego wszystkiego da się tylko taki wyciągnąć wniosek, że ówczesny rząd pruski brał udział w nominacji Wielopolskiego; ponieważ jednak kwestya ta dotąd nie jest należycie wyjaśnioną i długo nią zapewne nie będzie, więc trzymamy się relacji Lisickiego, który o królu pruskim wcale nie wspomina („Le marquis”, II, 156).

ranego życiem starca, jakim był Gorczakow. Warunki, jakie stawiał margrabia, były dla rządu rosyjskiego dość ciężkie i wyraźnie mówiły nie już o Statucie organicznym, na którym się opierał Karnicki w Petersburgu, ale o konstytucji 1815 r. Domagał on się senatu dożywotniego z władzą prawodawczą i prawem inicjatywy; przywrócenia nazwy ministerium dla wydziału wyznań i oświecenia publicznego; założenia uniwersytetu z pięciu fakultetami; przywrócenia języka polskiego jako urzędowego w kraju, a używania francuzkiego w stosunkach z władzami w Petersburgu; sejmików prowincjonalnych z prawem petycji do senatu; sądu najwyższego w miejsce dziewiątego i dziesiątego departamentu senatu; zaprowadzenia rady stanu w miejsce ogólnego zebrania tychże departamentów senatu; oddzielenia zarządu komunikacji lądowych i wodnych od władzy centralnej w Petersburgu; zniesienia Komisji kodyfikacyjnej w Petersburgu; zniesienia urzędu marszałków szlachty; usunięcia sądów wyjątkowych; uzupełnienia kodeksu kryminalnego przepisami, zabezpieczającymi porządek publiczny; oczyszczowania włościan z urzędu; równouprawnienia żydów; rady municypalnej w Warszawie i nakoniec rozwiązania Towarzystwa rolniczego, a natomiast ustanowienia Komicyi rolniczych. Wszystkie te żądania były do pewnego stopnia powtórzeniem karty konstytucyjnej z r. 1815, prócz armii, króla koronującego się w Warszawie i sejmu.

Oczywiście na te warunki żaden namiestnik cesarski w Królestwie zgodziłyby się nie chciał i nie mógł w ówczesnem położeniu rzeczy. Rząd istotnie pragnął zrobić coś dla Polski, której skargi od tylu lat rozbrzmiewały po Europie, dochodziły do Rosyi i budziły nawet w Rosyanach współczucie dla tego kraju nieszczęśliwego, tak bezlitośnie gnębionego. O skargach tych rząd wiedział, a choć nie wątpił, że są przesadzone, przecież je odczuwał dotkliwie. Ich ciągłość, podobnie jak kropla wody, spadając nieustannie na kamień, wyżłabia go w końcu, tak i tu wywarła swój skutek. Z drugiej strony, dawna tradycja mikołajowska rządzenia Polską, nieufność do Polaków, stan zapalny umysłów, jaki teraz panował, wprawiał rząd w wahanie: czy zgnieść budzącą się hydrę rewolucyi siłą wojskową? czy położyć jej tamę za pomocą koncesyi? Widzieliśmy, że w końcu, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, dzięki uczciwej inicjatywie namiestnika, dzięki temu wreszcie, że rozpoczynająca się właśnie reforma stosunków włościańskich w Rosyi, wyczerpując w danej chwili wszystkie siły państwowe, kazała jej pod każdym innym względem zachować spokój - jednym słowem, dzięki powyższym okolicznościom, przeważyło drugie zdanie i postanowiono Polskę uspokoić szeregiem reform w administracyi krajowej. Ale od tego rodzaju reform do przywrócenia karty konstytucyjnej z r. 1815 jeszcze było daleko i Gorczakow zgodzić się na to nie mógł, Wielopolski znów ustąpić nie chciał i była chwila, że układy znajdowały

się w stadium zerwania. Namiestnik, przyznając potrzebę autonomii administracyjnej dla Królestwa, przeciwny był wszystkiemu, co tchnęło odrębnością polityczną. A taką odrębność nadawałby krajowi senat z władzą prawodawczą, sejmiki prowincjonalne, tytuł ministra. Ale ponieważ z obu stron była gorąca chęć doprowadzenia układów tych do końca, ze strony Gorczakowa dlatego, że widział w nich środek uspokojenia kraju, któremu szczerze życzył jak najlepiej; ze strony Wielopolskiego dlatego, że wyprowadzały one kraj z toni, z niewoli wojskowej, dawały mu podstawę do rozwoju narodowego, że wreszcie osobista jego duma i pycha była tem połączona, ambicya zadowolona — więc w końcu musiano się porozumieć. Mimo to walka była długa i uparta. Wielopolski ustępował, ale nie bez silnego oporu, nie bez użycia ostatnich rezerw swego umysłu, zawsze pełnego argumentów. Ilekroć na jakim punkcie przyszło nakoniec do porozumienia i ugody, tylekroć z otoczenia Gorczakowa generałowie rosyjscy, którzy teraz jak prawdziwi dworacy szli za zdaniem namiestnika, zacierali ręce z radości i mówili o Wielopolskim do niewtajemniczonych w bieg sprawy: „dzięki Bogu zgodził się, ale powiedział, że ani na włos nie odstąpi od swej zasady, t. j. że Polska powinna otrzymać zupełną autonomią”. Słowa te świadczyły wymownie, jak gorącym było pragnienie w Zamku doprowadzenia układów do skutku.

Nakoniec po całotygodniowych sporach, d. 14 Marca, Gorczakow i Wielopolski ostatecznie się porozumieli. Program, skreślony przez margrabiego, zawierał następujące koncesyje:

- 1) ustanowienie Komisji wyznań i oświecenia publicznego z powierzeniem jej dyrektorstwa Wielopolskiemu;
- 2) przywrócenie uniwersytetu Aleksandryjskiego;
- 3) zniesienie Komisji kodyfikacyjnej w Petersburgu;
- 4) zniesienie urzędu marszałków szlachty (urzędu niecierpianego przez demokratycznie usposobiony kraj);
- 5) utworzenie „jako organu potrzeb i życzeń kraju”, ciał następujących: a) rady senatorskiej, b) rady walnej, c) rad obywatelskich wojewódzkich, d) zgromadzeń okręgowych i gminnych, e) rady municypalnej w Warszawie. Wszystkie te ciała miały być zwołane w ciągu 1861 roku.
- 6) przywrócenie podziału kraju na osiem województw;
- 7) rozwiązanie Towarzystwa rolniczego i ustanowienie na jego miejsce Komicyów rolniczych po województwach;
- 8) zniesienie departamentów warszawskich senatu, i ustanowienie w ich miejsce dwóch izb: cywilnej i kryminalnej sądu najwyższego z prezesem, mającym tytuł podkanclerza;
- 9) ustanowienie, w miejsce ogólnego zebrania departamentów senatu,

Rady stanu, jako wyższej instancji administracyjnej, której podlegli by byli dyrektorowie Komisji;

- 10) nadanie nowym instytucjom pieczęci z herbem Królestwa i mundurów w kolorach narodowych.

W dalszym rozwoju tych reform, na drugim planie, przyobiecował Gorczakow zniesienie Komisji wojennych, sądzących przestępstwa polityczne i ułożenie nowego kodeksu karnego w miejsce drakońskich praw i przepisów, zawartych w kodeksie z r. 1847, ułożonym według rosyjskich wzorów przez Romualda Hubego.

Namiestnik bacznie przejrzał te projekta i porobił na nich własnoręczne przypiski. Przy paragrafie o wszechnicy, którą Wielopolski chciał nazwać uniwersytetem Cesarsko-Aleksandryjskim, napisał Gorczakow: „nie trzeba przyjmować dawnej nazwy” (*ne pas adopter l’ancien nom*); zjawiła się więc nazwa Szkoły Głównej, nazwa o wiele lepsza, pocziwa i staropolska⁸⁶.

Przy projekcie dwóch rad: senatorskiej i walnej namiestnik zrobił słuszną uwagę: „złać to w jedną radę, albo w zebranie ogólne senatu”; a przy żądaniu Wielopolskiego zniesienia Towarzystwa rolniczego, napisał: „nie mówić o tem teraz” (*ne pas parler de cela maintenant*). Zresztą na wszystko się zgodził, gdyż, powtarzamy, szło mu koniecznie o zatrzymanie w rządzie „męża stanu w całym znaczeniu tego wyrazu”. Zgodzenie się jednak namiestnika na ustępstwa nie było ostatecznym załatwieniem tej sprawy. Decyzja w tej mierze zależała od Petersburga i w tym celu trzeba było projekt tam wysłać. Wielopolski, w oczekiwaniu takiej decyzji, wyjechał d. 16 Marca do Krakowa, może dla ponownego porozumienia się z tamtejszymi znakomitościami i dla zyskania ich wpływu i poparcia, oraz dla powołania do przyszłego, zreformowanego rządu polskiego zdolniejszych z tamtąd mężów.

Tymczasem Gorczakow, odkładając, swoim zwyczajem, wszystko na jutro, w tydzień dopiero potem, d. 21 Marca, wysłał projekta margrabiego nad Newę. Powiózł je znany mu i lubiany przezeń, Włodzimierz Kretkowski, autor mniemanego memoriału Enocha.

Kretkowski wyjechał z Zamku w rzeczonym dniu, około godziny 5-tej wieczorem, z dwoma zapieczętowanymi pakietami, z których jeden był pod

86 Opinia w kraju przez dziwnie pojęty patryotyzm, a raczej przez niechęć ku Wielopolskiemu, wyrzucała mu tę nazwę. „Czas” krakowski nazwał przyszłą Szkołę Główną blichtrzem. „Nie będzie to (pisał jakiś uczony mąż w redakcyi tego dziennika) oddawna upragniony i potrzebny uniwersytet, lecz tylko jakiś wyższy zakład naukowy, zwany Szkołą Główną”. Pseudo-uczony dziennikarz nie wiedział, że tej nazwy bardzo często używała wszechnica Jagiellońska; że wreszcie źródło jej nie leżało w Wielopolskim, który chciał nowo powstającej instytucji dać tytuł z przed r. 1831, ale w nieusprawiedliwionym oporze Gorczakowa.

adresem księcia Gorczakowa, ministra spraw zagranicznych i brata stryjecznego namiestnika: drugi dla Tymowskiego, ministra sekretarza stanu Królestwa Polskiego. Do tego namiestnik dołączył instrukcją ustną, żeby: Kretkowski ile możliwości jak najprędzej starał się stanąć w Petersburgu, żeby czynił wszystko, co będzie mógł, celem uzyskania monarszej sankcji dla żądanych reform przed Wielką Środą, który to dzień, według doniesień policji, był wyznaczony na nową, wielką manifestacją; Gorczakow więc chciał przez ogłoszenie koncesyi sparaliżować ten zamiar agitatorów. Zalecał dalej namiestnik Kretkowskiemu, ażeby, z chwilą położenia podpisu cesarskiego na udzielonych koncesyach, doniósł o tem natychmiast do Warszawy drogą telegraficzną; i nakoniec, żeby we wszelkich objaśnieniach i rozmowach trzymał się urzędowych zasad projektu.

Drogę do Dynaburga odbył Kretkowski wózkiem pocztowym, na t. z. „perekładny”, bez chwili odpoczynku, przeprawiwszy się nocą przez Dźwinę, gęstą krą pokrytą, a ztąd kolejną do stolicy Rosyi, gdzie stanął d. 23 Marca.

Wprost z dworca kolei, na który przybył o rannej godzinie, Kretkowski udał się do ministryum spraw zagranicznych, a następnie do Sekretaryatu stanu, gdzie oddał ministrom przeznaczone dla nich pisma, przyczem starał się opisać jak najwierniej wzburzenie umysłów w Warszawie, przedstawił potrzebę jak najprędzej decyzji co do przedsięwziętych reform, aby nie przyszły poniewczasie. Kanclerz państwa, ks. Gorczakow, przeczytawszy zaadresowane do niego pismo, rzekł: „zdaje mi się, że mój kochany kuzyn stracił nieco głowę” (*je crois, que mon cher cousin a un peu perdu la tramontane*). Kretkowski usiłował usprawiedliwić dotychczasowe postępowanie namiestnika i postawione przezeń żądania, które, w przekonaniu władz warszawskich, miały uspokoić wzburzenie. Usiłowania te udały mu się w części, gdyż cesarz, dowiedziawszy się o wszystkim, żałował i ganił namiestnika, że tak długo trzymał projekt Wielopolskiego, z powodu, że czas był drogi, i że roboty w Sekretaryacie stanu przez to opóźniały się znacznie⁸⁷.

Tymczasem raport wygotowywany przez Tymowskiego, Płatonowa i Karnickiego, posuwał się naprzód, gdy przybycie Kretkowskiego z nowymi projektami groziło tej pracy gruntowną zmianą. Raport ministra sekretarza stanu, bo pod tą nazwą ukryło się dzieło Płatonowa i Karnickiego, był dość obszerny, ale w swej osnowie i formie nadzwyczaj lękliwy i skromny. Podczas gdy Wielopolski mówi o reformach, o autonomii kraju, raport domaga się pokornie tylko wprowadzenia w życie przyznanego w roku 1832 Statutu organicznego, tego „zasadniczego, jak się wyraża, prawa dla Królestwa, które powinnyby mieć dla mieszkańców tego kraju moc obowiązującą”. Wobec zmienionych Jednak

87 Cesarz telegrafował d. 21 Marca do Gorczakowa: „ubolewam (sożaleju), żeś pan projekt Wielopolskiego zatrzymał, gdyż przez to tylko drogi czas się traci”.

okoliczności, pragnie, by niektóre przepisy Statutu uległy zmianie, albo wcale nie były wprowadzone, „jako nie odpowiadające widokom rządu, ani istotnym potrzebom i życzeniom kraju”. Cóż więc zmienić, a co zatrzymać należało? Ponieważ przedewszystkiem szło o przypuszczenie mieszkańców do udziału w zarządzie spraw miejscowych i „otworzenia im tym sposobem drogi do działalności legalnej, któraby pociągnęła za sobą te ważne następstwa, że dałaby im sposobność do pożytecznych zajęć i zmniejszyłaby wpływ, jakiby na nich występne poduszczenia wywierać mogły”, raport więc proponuje, jakśmy już wspomnieli, utworzenie Rad miejskich, któreby się zajmowały interesami i gospodarstwem miast; Rad powiatowych, gubernialnych i Rady stanu. W Radach powiatowych, oprócz wybieranych do nich właścicieli ziemskich, zasiadać miał prezydent miasta powiatowego i prezydenci dwóch główniejszych miast w powiecie. Rady te miały się zajmować rozbiorem kontraktów czynszowych i pośredniczeniem między szlachtą i chłopami; interesami dotyczącymi ubezpieczeń od ognia i gradobicia, środkami zaradczymi przeciw zarazie na bydło; przeprowadzaniem dróg bocznych; nadzorem nad zakładami dobroczynnymi, udziałem w przepisach o poborze do wojska; nadzorem nad ścisłym wykonywaniem ustawy co do wyrobu i sprzedaży trunków; rozdziałem powinności w naturze, jak: szarwarki, dostawa podwód, podatek gruntowy w produktach na potrzeby wojska; rozdziałem podatków, jeżeli rząd to uzna za potrzebne. Nakoniec do atrybutów Rad powiatowych należeć miało prawo czynienia przedstawień za pośrednictwem Rad gubernialnych co do tak zwanych „dodatkových kopiejek” na potrzeby powiatu. Do Rady mogli być wybrani ci wszyscy, którzy posiadają pewną przestrzeń gruntu.

Rady gubernialne miały się składać z osób wybranych przez Rady powiatowe i prezydenta magistratu miasta gubernialnego. Zajmować się one miały: zatwierdzeniem kontraktów czynszowych pod prezydencją w tym wypadku gubernatora cywilnego i z przybraniem prezesów trybunałów i prokuratorów; nadzorem nad zakładami dobroczynnymi i więźniami; rozbiorem uwag Rad powiatowych co do „dodatkových kopiejek”. Miały przytem Rady gubernialne prawo czynienia przedstawień do rządu względem dobra gubernii. W obu Radach prezydować miały osoby wyznaczone przez namiestnika z pomiędzy członków tychże Rad.

Rada stanu nakoniec miałaby kontrolę wszystkich czynności administracyjnych, pieczę nad ścisłym wykonywaniem praw, oraz prawo petycji do tronu. Zasiadać w niej winni wszyscy dyrektorowie Komisji rządowych, wyżsi urzędnicy, odznaczający się zdolnościami, co najmniej po jednym z każdej Komisji, prezesi Dyrekcyi głównej i szczegółowych Towarzystwa Kredytowego ziemskiego, prezydent Warszawy i innych większych miast, prezesowie

Rad gubernialnych, szczególnie się odznaczający. W Radzie stanu przydywować miał namiestnik.

Takimi były koncesye, jakich się domagał raport Tymowskiego, jeżeli włączymy do tego jeszcze projekt wybieralności sędziów pokoju. Jak widzimy, było to bardzo wiele wobec dotychczasowego sposobu rządzenia krajem, i bardzo mało wobec żądań Wielopolskiego. Co do Stanów prowincjonalnych, zapewnionych Statutem organicznym, raport twierdzi, że zaprowadzenia ich „niema zdaje się potrzeby, przynajmniej w obecnym czasie. Jeden tylko przykład Austrii mógłby w tym kierunku pobudzić do pewnych nadziei, ale można z pewnością wyrzec, że nadziei tych nie żywi ogół, lecz tylko szczególne indywidua”. W tem błogiem przekonaniu, niestety! zupełnie błędnem, raport sądzi, że powyżej przytoczonymi koncesyami kraj się zadowolni i uspokoi, wszelako woła: „zwrócić jednak należy uwagę, że rezultaty takie zależą głównie od wykonania w dobrej wierze przedsięwziętych środków i że kraj przeniknięty jest głęboko uczuciem legalności i ma silne poczucie położonego w nim zaufania. Pod względem politycznym starać się należy energicznie o wykorzenienie wszelkich manifestacyi, mających charakter rewolucyjny, lecz zarazem starannie unikać należy wszystkiego, co pogwałca uczucie religii i narodowości”.

W słowach tych, oraz w zakresie proponowanych reform; w porównaniu z żądaniami Wielopolskiego, odbija się wyraźnie wpływ miejsca i otoczenia, w którym projekta te powstały. Na projekcie margrabiego znać, że położyła swą palącą dłoń nerwowa gorączka, obejmująca kraj cały; z raportu wieje chłód lodów petersburskich, wygląda lęklivość, obawa przed tą straszną władzą, jaką był carat moskiewski, a od której domagano się ustępstw i biurokratyczny, zimny charakter tych, którzy pisali ten dokument. Byli oni zapewne dobrymi Polakami, gorąco pragnęli polepszenia doli kraju, ale przesiąkli na wskroś poglądem biurokratycznym na rządy, tem ciasnem policyjno-wojskowym widzeniem rzeczy, jakie, pomimo reform Aleksandra, ciągle panowało i długo jeszcze panować miało w Petersburgu — lękali się zanadto popuścić cugli rządzonym. W projekcie margrabiego występuje obywatel kraju, chcący jego autonomii; tu, urzędnik, dopuszczający mieszkańców do udziału w rządzie, ale z obawą i chęcią ograniczenia tego udziału jak można najwięcej.

W ten chłód, wiejący z raportu ministra sekretarza stanu, przyjazd Kretkowskiego rzucił jakby zarzewie gorączki warszawskiej. Przywiózł on ze sobą doniesienie namiestnika, że, ponieważ wiadomość o koncesyach nie uspokoiła umysłów, bo źli ludzie rozsiewają wieści, że rzeczony koncesye nie będą nigdy wprowadzone, należy więc je przyspieszyć, a przynajmniej o nich ogłosić. Projekt Wielopolskiego zawarty był w liście namiestnika do cesarza. Wskutek

tego trzeba było na nowo nieomal wszystko rozpoczynać, przuć nić, która przy lada nieprzyjnym wietrze, a tych wiatrów nam nieprzyjnych zawsze tyle jest w Petersburgu, mogła być zerwana. Cesarz na dzień 25 Marca zwołał walną radę pod swoją osobistą prezydencją, radę ze wszystkich ministrów złożoną dla rozbioru i rozpatrzenia projektów Wielopolskiego. Dowiedziawszy się o tem Karnicki, wiedząc od Kretkowskiego, że projekta margrabiego o wiele są śmielsze i o wiele dalej sięgają od tych, jakie on wywalczył, z godnym zaznaczenia patryotyzmem poświęcił swą osobistą ambycją i zabrał się jeszcze raz do powtórzenia tej samej roli, jaką odegrał przed tajną radą d. 8 Marca. Objechał znowu większą część ministrów, przedstawiając im, że propozycje margrabiego, jako pochodzące od człowieka światłego, dobrze obeznanego z potrzebami kraju, zasługują na pierwszeństwo przed temi, jakie na skutek przedstawienia Karnickiego przyjęte zostały, i łatwiej zapewne posłużą do osiągnięcia zamierzonego celu, t. j. uspokojenia kraju bez środków gwałtownych. Ministrowie prawie wszyscy dobrze przyjęli te uwagi. Chwila była bardzo szczęśliwa. Stolica Rosyi i cała społeczność rosyjska, a przynajmniej jej inteligencja, była w upojeniu, nieco sztucznem, afektowanem, nieco mającym charakter przypodobania się rządowi, ale bądź co bądź nastrój był wysoki, liberalne idee owładnęły wszystkimi głowami wobec wielkiego faktu usamowolnienia włościan. Przez olbrzymie przestrzenie caratu gnał wicher odrodzenia i łamał wszystko stare, wszystkie dawne porządki i dawne wierzenia. Wszyscy wierzyli, a przynajmniej udawali, że wierzą w moc zapładniającą swobody i wolności, w odrodzenie świata za pomocą tych czynników. Powszechnie potępiano dawny system rządowy, kajdany mikołajowskie; potępiano więc i dotychczasowe zachowanie się względem Polski. Przy takim usposobieniu, przy takich prądach ożywczych, upajających serca i głowy jak stare wino, ustępstwa robiły się łatwo i szybko i nie szło już o same koncesye, ale tylko o ich rozciągłość.

Rada ministrów zebrała się dnia 25 Marca i trwała siedem godzin. Dyskusja była bardzo ożywiona, niekiedy burzliwa. Tu i owdzie, pomimo wszystkiego, jak przysłowiowe szydło z worka, ukazywała się dawna, zakorzeniona nieufność do Polaków, obawa przed ich nigdy niezaspokojonemi pretensjami, ciasnota poglądów biurokratycznych, oburzenie na śmiałka, jakim się wydawał Wielopolski. Ostatecznie prawie cały projekt margrabiego przepadł, a postanowiono przeprowadzić tylko te reformy, o jakich mówi raport Tymowskiego, z małemi zmianami, wziętemi z nowego projektu. Zmiany te dotyczyły mianowicie Rady stanu, do której zdecydowano się powołać także, jak to chciał Wielopolski, i biskupów, oraz nadano jej przywilej robienia wniosków do praw, oraz prawo rozbioru skarg i zanoszenia do tronu petycyi. Utrzymała się

Komisya wyznań i oświecenia publicznego, a na Dyrektora głównego tej Komisji postanowiono powołać margrabiego Wielopolskiego, jeżeli się zgodzi na przyjęcie reform w tym kształcie i zakresie, jak zadecydowano. Uradzono założyć uniwersytet w Warszawie z nazwą Szkoły Głównej, co świadczy, jak się patrzano na rzeczy. Lękano się wyrazów, przywiązywano do nich jakieś znaczenie mistyczne; nie chciano tytułu ministra i tytułu uniwersytetu.

Na tem kończyły się właściwe reformy i zmiany, jakie poczyniono w raporcie Tymowskiego. Rady gubernialne, powiatowe i miejskie postanowiono zaprowadzić zgodnie z rzeczonym raportem. Komisją kodyfikacyjną w Petersburgu zniesiono. Co się zaś tyczy innych projektów Wielopolskiego, jak: oczynszowanie włościan z urzędu, równouprawnienie żydów, uzupełnienie prawodawstwa kryminalnego, zniesienie Towarzystwa rolniczego, organizacją nowo powstającej Komisji wyznań i oświecenia publicznego, wydanie przepisów edukacyjnych — przyznano w zasadzie i powierzono władzom miejscowym Królestwa i Wielopolskiemu. Wobec wieści alarmujących, dochodzących z Warszawy, postanowiono wydać niezwłocznie i ogłosić ukaz cesarski o tych koncesjach, spodziewając się, że one dodatnio wpłyną na stan umysłów w Królestwie.

Nadzieje te jednak były zwodnicze. Już teraz umysłów w kraju tak łatwo, monetą zdawkową reform administracyjnych, ukoić nie można było. W Warszawie wrażenie odpowiedzi cesarskiej było jak najgorsze, i Gorczakow, życząc Polsce jak najlepiej, mocno się tem zaniepokoił. Właśnie w tym czasie, dnia 14 Marca, ogłoszono w Rosyi ukaz o usamowolnieniu włościan i przez kilka dni z rządu w Petersburgu w dręczącym niepokoju oczekiwano jego skutków, lękano się wprost zaburzeń, buntów, jak się to mówi w języku urzędowym rosyjskim. Dlatego też wieść o nowych niepokojach w Polsce, i to w chwili, gdy dla tej Polski przygotowywano szereg reform nader liberalnych, mogła jak najgorzej oddziaływać na cesarza i na sfery rządowe rosyjskie, zawsze nam nieprzyjazne i zawsze mające nas w podejrzeniu. Trzeba więc było dla dobra samych Polaków coś zrobić, coś takiego, coby uspakajająco, dodatnio wpłynęło na umysły, i Gorczakow widział aż nadto potrzebę takiego kroku. Położenie było takie, że ktoś zręczny i dobrze życzący krajowi mógł dużo dla tego kraju skorzystać, wyeksploatować sytuacją. Jakoż był taki człowiek, który widział wszystko i zdawał sobie sprawę z położenia i z chwili tej postanowił zrobić użytek może nie w takim zakresie, w jakim to można było uczynić, ale bądź co bądź bardzo zręcznie i umiejętnie. Znany nam prokurator przy senacie, Enoch, uzyskawszy sobie do pomocy zawsze intrygującego Kutzebuego, osobistego nieprzyjaciela Muchanowa, postanowił tego ostatniego obalić. Chwila potemu była bardzo dobra; jednakże Muchanow obu spiskowcom, że ich tak

nazwiemy, wydawał się taką siłą i takim kolosem, że zdecydowali brać się do niego bardzo wolno i ostrożnie. W poradzie więc danej Gorczakowowi mówili, że należy Muchanowa usunąć tylko od kuratorstwa Okręgu naukowego, że to zupełnie wystarczy dla zrobienia dobrego wrażenia i uspokojenia umysłów. Kwestya wychowania publicznego, mówił Enoch, jest jedną z najdrażliwszych kwestyi dla Polaków i nic dokuczliwsem im się nie wydaje, jak kiedy sprawami temi zarządza cudzoziemiec. Dymisyja więc z kuratorstwa dla Muchanowa, to zyskanie za sobą opinii kraju; dla rządu zaś, który przecież zamierza znieść kuratoryą a stworzyć osobne polskie ministerjum oświecenia, dymisyja ta będzie uproszczeniem zadania, usunięciem jednej więcej trudności. Krok ten nakoniec na umysły rozgorączkowane, rozdrażnione reskryptem cesarskim, musi wyrzucić dobre wrażenie; będzie niejako gwarancją, że zapowiedziane reformy przyjdą do skutku, że będą wprowadzone w wykonanie.

Gorczakow przedstawieniom tym uległ i postanowił usunąć Muchanowa z kuratorstwa Okręgu naukowego, a na to miejsce mianować Polaka, Łaszczyńskiego, gubernatora warszawskiego. W tym celu, tegoż samego dnia, 15 Marca, telegrafował do cesarza, żądając upoważnienia do takiego postąpienia⁸⁸. Cesarz natychmiast mu odpowiedział i żądane pozwolenie udzielił. Wieść o tem piorunem rozbiegła się po mieście, zwłaszcza, że rząd nie chciał jej trzymać pod korcem i w jego interesie leżało, by ona jak najprędzej doszła do wiadomości ogólnej. W resursie, na zwykłym posiedzeniu wieczornem, przyjęto ją z nieopisaną radością. Podrzucano kapelusze, bito oklaski i wydawano okrzyki, których echo rozchodziło się aż po ulicach sąsiednich. Wrzawa ta i to uniesienie trwało przeszło kwadrans, świadcząc o niesłychanej niepopularności Muchanowa, tego dokuczliwego tyрана Polski i młodzieży, tego człowieka złego, podejrzliwego, robiącego przez tyle lat próby wynarodowienia Polski i obchodzącego się po kozacku z literaturą polską.

Wielu zrazu sądziło, że Muchanow dostał dymisyją ze wszystkich swych urzędów, a zatem i z dyrektorstwa Komisji spraw wewnętrznych, gdy się jednak dowiedziano o pomyłce, wołano głośno: „szkoda! wielka szkoda!” Bądź co bądź jednak było to ustępstwo bardzo ważne, bo odbierało z rąk tyрана i rusyfikatora wychowanie publiczne, wyswobadzało biedną młodzież polską z pod nieznośnego, długiego ucisku i wynarodowienia, systematycznie przeprowadzanego. Dowodziło to wymownie, że poczną się lepsze, jaśniejsze, swobodniejsze czasy.

Jakoż nowomianowany kurator, Łaszczyński, nazajutrz, d. 16 Marca, wyraźnie zaznaczył tę cechę dymisyji Muchanowa i swej nominacji. Obejmując

⁸⁸ Telegram brzmi jak następuje: „3 (15) Marca. Koniecznie trzeba powierzyć czasowo Okrąg naukowy warszawski radcy tajnemu, Łaszczyńskiemu. Upraszam o decyzją co do tego. Ks. Gorczakow”.

kuratoryą, oświadczył przedstawiającym mu się urzędnikom w auli Akademii medycznej, że postawienie Polaka na czele edukacji krajowej, gdy od lat trzydziestu podobnego przykładu nie było, nie jest bez znaczenia; prosił, aby mu zaufano nadal i wyraził nadzieję śpiesznej pod względem naukowym poprawy. Do urzędników znienawidzonej powszechnie cenzury odezwał się, że nie może stanowczo wskazać kierunku, w jakim instytucja ta ma postępować, ale musi powiedzieć, że droga dotychczasowa była całkiem niewłaściwą.

Te słowa tak nowe, słowa, których niesłyszano od lat trzydziestu, wygłoszone przez wysokiego urzędnika, zapowiadające nową erę w życiu społecznym, przebrzmiały jednak bez echa. Miasto więcej się zajmowało postępem ruchu rewolucyjnego, niż najważniejszymi objawami, które mówiły, że rząd szczerze chce robić ustępstwa. Odezwanie się Łaszczyńskiego, zwłaszcza do cenzury, jakkolwiek do pewnego stopnia można je uważać za jego pogląd osobisty, było dowodem aż nadto wymownym tego usposobienia rządu, gdyż bądź co bądź przed kilku jeszcze dniami niktby się nie ośmielił powiedzieć, że dotychczasowa droga, którą ta wstrętna instytucja postępowała, jest niewłaściwą.

Mimo to wszystko jednak, jakkolwiek uwolnienie Muchanowa z kuratorstwa Okręgu naukowego było dobrze przyjęte, gasło ono wobec wrażenia, jakie wywarł reskrypt cesarski. Młodzież, wszyscy znani nam agitatorzy z akademii, szkoły sztuk pięknych, Marymontu, kanceliści i dependenci różnych dykasteryi, nie przestawali podburzać miasta i zachęcać do nowej, wielkiej manifestacji. Nikt już nie był w stanie oddziaływać na tworzące się rozmaite koła i kółka, agitujące na własną rękę i nikogo słuchać nie chcące. Zapanował prawdziwy chaos; w mieście wrzało, jak w garnku. Co dzień wieczorem zbierały się gromady ludu obojej płci przed posągami Matki Boskiej, stojącym na Krakowskim Przedmieściu i śpiewały „Boże coś Polskę”, lub inne pieśni nabożne, patriotyczne. Za tym przykładem takie zbiegowiska powtarzały się i po innych miejscach w mieście.

Oczywiście wszystko to wiadomem było policyi i Gorczakow postanowił jeszcze raz odwołać się do rozumu mieszkańców. W tym celu, w tym samym dniu, w którym Łaszczyński objął urząd kuratora, d. 16 Marca, ukazała się „odezwa namiestnika Królestwa do mieszkańców miasta Warszawy”. „W celu położenia tamy, pisał Gorczakow, poduszczaniom ludzi źle myślących do manifestacji ulicznych, jakiegokolwiek bądź rodzaju, niniejszem podaje się ponownie do wiadomości powszechnej, że wszelkie podobne manifestacje są niewłaściwe i dla ogólnego porządku niebezpieczne; dlatego więc zabrania się najmocniej zbierania się tłumnie na placach i ulicach w zamiarze jakich-bądź manifestacji lub procesyi, przez zwierzchność duchowną nie nakazanych. Mieszkańcy Warszawy! usłuchajcie mojej przestrogi, nie zmuszajcie

mnie do użycia środków bolesnych, w celu zniweczenia nieporządków siłą zbrojną. Jednocześnie władza policyjna otrzymuje polecenie w przedmiocie oznajmienia wszystkim właścicielom domów o powyższem mojem ostrzeżeniu, dla zakomunikowania takowego lokatorom, ażeby nikt niewiadomością nie mógł się tłumaczyć”.

Odezwa ta wywarła jak najgorsze wrażenie, które odbiło się wyraźnie i w sposób dosadny na jedenastem z kolei posiedzeniu Delegacji obywatelskiej, która się zebrała jak zwykle w ratuszu o godz. 7-mej wieczorem. Z początku nic nie zapowiadało burzy, jaka się gotowała. Jenerał Paulucci otworzył sesyą, dając objaśnienia co do postępowania sądów wojennych w sprawach o przestępstwa polityczne, poczem wyszła na stół sprawa odezwy Gorczakowa, którą Delegacya uważała za wprost skierowaną przeciw sobie, za pośredni cios wymierzony na jej egzystencyą. Wobec wzburzenia umysłów w mieście, mówiono, wobec rozmaitych wieści, wywołujących niepokój, dzisiejsze ogłoszenie, w którym jest mowa o środkach nadzwyczajnych, jakie ma przedsięwziąć policya, jest sprzeczne z przyrzeczeniem, jakie dał d. 6 Marca jenerał Paulucci, że Delegacya będzie zawsze uprzedzona o tego rodzaju krokach. Jeżeli więc przyrzeczenia tego nie dotrzymano, to znaczy, że rząd zamierza zastąpić moralne oddziaływanie Delegacji działalnością policji. Delegacya w skutek tego sądzi, że jej wpływ przez to byłby unicestwiony i dalsza jej egzystencya niema żadnego celu; prosi zatem jenerała, by raczył o tem uwiadomić księcia namiestnika. Paulucci, jak zwykle, przyrzekł to uczynić i, starając się ułagodzić wzburzoną Delegacyą, zwłaszcza jej radykalnych, najgłośniejszych manifestujących swe uczucia członków, zawiadomił ich, że przedstawił namiestnikowi prośbę o uwolnienie z cytadeli pozostałych więźniów politycznych i ma nadzieję, że prośba ta wysłuchaną zostanie, zwłaszcza, że ks. Gorczakow bardzo łaskawie przyjął dziś petycyą o wrócenie z Syberyi wygnańca, Stefana Dobrycza⁸⁹. Wiadomość ta jednak nie uspokoiła delegatów. Obiegała wówczas po mieście pogłoska o aresztowaniach nowych osób; pytano się więc, czy to prawda, na co Paulucci odrzekł, że nic o tem nie wie.

Podniesiono nakoniec sprawę wypadków lubelskich i aresztowania tam niejakiego Antoniego Mysłowskiego, aplikanta miejscowego sądu poprawczego. Oczywiście Paulucci oświadczył, że o tem nie wie, i w rzeczy samej wiedzieć nie mógł, gdyż naprzód to do niego nie należało, a potem wieść o tych wypadkach, przy ówczesnym stanie komunikacyi w kraju i roztopach

89 Zesłany był na Sybir za udział w spisku 1846 r. Skazany na śmierć, został ułaskawiony i posłany do ciężkich robót w kopalniach. Otrzymałszy pozwolenie do powrotu w Marcu 1861 r. znalazł się w końcu tegoż roku w Warszawie i w ciszy i odosobnieniu spędził resztę swego życia męczeńskiego.

wiosennych, rozchodziła się bardzo wolno. Przypatrzmy się z kolei rzeczy położeniu, jakie po dniach lutowych wytworzyło się na prowincyi.

Za przykładem Warszawy, w całym kraju zapanowało silne wzburzenie umysłów i, przybierając charakter propagandy rewolucyjnej, stroiło się zarazem w cechę mistycznych uniesień i objawów miłości braterskiej. W Mławskiem szlachta postanowiła zaniechać dochodzenia wszelkich spraw i sporów na drodze sądowej, ale oddawać je pod rozpoznanie sądów obywatelskich, co jednak wobec nieubłaganej praktyki życiowej niedługo trwało, bo trwać nie mogło; świadczy wszelako, jakie marzenia i jakie idealne aspiracje owładają ludźmi ówczesnymi. W Płońsku założono w tej dobie kasę pożyczkową dla biednych i w myśl braterstwa z żydami zdecydowano wydawać i im pożyczki. Naśladując stolicę, wszystkie znaczniejsze miasta Królestwa korzystały z pierwszej nadarżającej się sposobności, by tworzyć u siebie delegacye obywatelskie.

Jednym z najpierwszych pod tym względem był Lublin, miasto duże, najludniejsze w tej porze po Warszawie, ruchliwe i pełne żywiołów gorących, odznaczających się skrajnym patriotyzmem. Wypadki zaszłe w Warszawie odbiły się w starym grodzie trybunalskim bardzo żywo; pojawienie się wreszcie kilku wysłańców Delegacyi warszawskiej i rewolucyjnych kółek podniosło temperaturę miasta do wysokiego stopnia. Kilku młodych księży poczęło podsycać ten ogień, nie potrzebujący zresztą podsycania, przez głoszenie z ambon kazań, przesiąkniętych patriotyzmem mistycznym, tak pospolitym w tej epoce, wzywając naród, aby w tych straszliwych, jak mówili, próbach, zesłanych przez Opatrzność, okazał wytrwałość, wierność kościołowi i tradycyom narodowym. Odbywano więc nabożeństwa za „pomordowanych braci w Warszawie”, śpiewano „Boże coś Polskę”, strojono się w żałobę, zbierano składki i całe miasto z małymi bardzo wyjątkami, chyba ostatniego motłochu, przybrało tę cechę gorączki nieustającej, jaką widzieliśmy w Warszawie i jaka jest znamieniem tych czasów dziwnych i jedynych w swoim rodzaju. Podobnie jak w Warszawie, tak i w Lublinie pewien kierunek naczelny, pewien impuls, ton, że tak powiemy, nadawała temu ruchowi umysłów i serc resursa miejscowa. Przez sam swój skład stanowiła ona wyraz inteligencji lubelskiej, miejsce zbierania się wszystkiego, co było najlepszem w mieście i tym sposobem wywierała znaczny, większy daleko wpływ, niż resursa kupiecka w Warszawie, w której wielkość miasta, różnorodność żywiołów w niem mieszkających, nie pozwoliła nigdy rzeczonemu klubowi nabrać stanowiska wybitnego, i jeżeli je zajął w ostatnich wypadkach, to tylko dzięki szczególnemu i wyjątkowemu zbiegowi okoliczności. W Lublinie było inaczej. Do składu resursy należeli wszyscy wyżsi urzędnicy administracyjni i sądowi, patronowie trybunału, re-

jenci, nauczyciele, bogatsi kupcy, obywatele miejscy i wiejscy⁹⁰, sama śmietanka miasta, a że ta śmietanka była jedyną i na oczach wszystkich, wywierać więc musiała znaczny i z nikim nie dzielony wpływ. Ta, że ją tak nazwiemy, i za taką się uważająca arystokracja miejscowa dotychczas trzymała się bardzo zdaleka od warstw niższych, zwłaszcza rzemieślniczych i wszelkich z nimi stosunków unikała. Teraz jednak pod wpływem wypadków warszawskich i głoszonej powszechnie zasady braterstwa, równości wobec ogólnej niedoli, na wieczorne posiedzenia resursy poczęli się zjawiać rzemieślnicy, wyrobnicy, nawet żydzi, przyjmowani bardzo gościnnie i uprzejmie. Oczywiście głównym przedmiotem zajęcia tych zebrań były debaty nad ostatnimi wypadkami warszawskimi.

Znaczenie Delegacji stołecznej, jak zwykle bywa w takich razach, wzrastało w miarę odległości, uważano ją za ciało polityczne, bardzo mądrze i zręcznie utworzone, które, pod pozorem utrzymania porządku w mieście, miało cele i zamiary daleko sięgające. Mówiono sobie na owych zebraniach wieczornych resursy lubelskiej, że ludzie wchodzący w skład Delegacji warszawskiej, znani z prawego charakteru, nigdyby się nie ośmielili wydawać odezwy, w której na miłość ojczyzny zaklinają swych współrodaków, prosząc ich o uspokojenie, gdyby jednocześnie nie robili wszystkiego, co należy, by ojczyznę tę wyswobodzić z niewoli. Że jednak ojczyzna nie zamyka się tylko w murach Warszawy, należy więc, żeby kraj przyszedł z pomocą Delegacji, żeby wszędzie, gdzie można, potworzyły się także same ciała, wysłały do Warszawy posłów i otrzymały ztamtąd instrukcje, co i jak czynić należy. Zdanie to aprobowano powszechnie w Lublinie; przy takim usposobieniu umysłów pierwsza lepsza nadarzona okoliczność mogła wywołać utworzenie się takiego samego ciała obywatelskiego, jak w stolicy. Okoliczności takie zwykle na siebie czekać nie dają, zwłaszcza, że usposobienie ogólne było bardzo gorączkowe. Do resursy zbiegało się nieraz po tysiąc i więcej osób, na co władze miejscowe obojętnie patrzyły, tem więcej, że te zgromadzenia koło godziny 10-tej wieczorem spokojnie się rozchodziły. Nie obeszło się jednak bez pogłosek, jak to zwykle w takim stanie umysłów bywa, że Moskale tego długo nie ścierpią; powtarzano sobie ich pogroźki, że podczas zbliżającej się Wielkiejnocy, gdy lud zbierze się na nabożeństwo rezurekcyjne, rzeź zrobią; że zbiegowiska w resursie kulami i bagnietami rozpędzą. Wielu chłodniejszych nie wierzyło temu, ale byli tacy i to w przeważnej liczbie, którzy na zebrania wieczorne przychodzili z bronią, ukrytą pod sukniemi, z nożami i rewolwerami.

W takim stanie umysłów, pewnego wieczoru, rozeszła się w resursie śród zgromadzonych wieść, że jeden z oficerów garnizonu miejscowego, upiwszy

90 Resursa lubelska w tej porze liczyła 360 członków.

się groził, że za lada nieporządkiem miasto oddane zostanie wojsku na rzeź i rabunek⁹¹.

Nierozsądna ta wieść, oparta na słowach oficera pijanego, znalazła powszechną wiarę. Wrażenie było tem silniejsze, że właśnie w tej chwili ukazało się wojsko koło gmachu magistratu, w którym resursa się mieściła. Ktoś stojący przy oknie, wyjrzawszy, krzyknął: „wojsko nas otacza!” Na sali powstał straszny zamęt, kilka kobiet (bo i te na zebraniach bywały) zemdłało. Napróżno kilku ludzi chłodniejszych, którzy nie stracili głowy w powszechnej gorączce, uspokajało zebranych, że to tylko warta się zmienia; krzyczano, tłoczono się, wielu wybiegało na ulicę. Uspokojono się przecież i na wniosek niejakiego Miklaszewskiego, za przykładem Warszawy, wysyłającej deputacją do namiestnika w pamiętne dni Lutowe, postanowiono wysłać takąż deputacją do gubernatora, celem powiadomienia go o niebezpieczeństwie, jakoby grożącym miastu, i o koniecznej potrzebie ustanowienia Delegacji obywatelskiej, mogącej jedynie uspokoić wzburzone umysły przez rozciągnięcie opieki nad mieszkańcami. Do deputacyi tej wybrano sześć osób, między którymi znajdował się wzmiankowany Miklaszewski, asesor leśny i obywatel lubelski; Wieniawski, były pułkownik; Konstanty Jezierski, nauczyciel szkół miejscowych i t. d. Deputacya ta wyruszyła do gubernatora natychmiast.

Podczas jej nieobecności w sali resursy zaszedł epizod, świadczący, że władze lubelskie, podobnie jak w Warszawie, nie wiedziały dobrze, jakiej drogi należy się wobec rewolucyi trzymać. Wśród wrzawy i rozpraw jednych, a niespokojnego oczekiwania drugich na rezultat misyi do gubernatora zjawił się nagle w resursie pułkownik Kalikst Witkowski, Polak, szef sztabu generała Chruszczowa, komendanta wojsk, konsystujących w Lublinie. Witkowski, który właśnie rozpoczynał swą rolę historyczną w wypadkach polskich, przecisnął się przez tłum, skłonił grzecznie i oświadczył, że generał Chruszczow pozdrawia zebranych, że bardzo im dziękuje za spokojne zachowanie się, że przeciwko zgromadzeniom w resursie nic nie ma, że na nie zezwala i przeszkadzać im nie myśli, byleby się tylko zawsze w tym samym tonie zachowywały i t. p. Wygłosiwszy jeszcze kilka grzeczności, skłonił się i wyszedł,

91 Wiadomość tę przyniósł do resursy weterynarz Babicki, który wpadł ogromnie wzruszony i siadłszy na krześle opowiadał, że biegnie prosto z naprzeciw będącej cukierni Sema-deniego, że tam kilku oficerów, najadłszy się ciastek, zapłacić za nie nie chciało, a kiedy cukiernik natarczywie się o pieniądze upominał, jeden z rycerzy rosyjskich, dobrze pijany, miał wołać: „co ty sobie myślisz, *padlec*, to wszystko jutro będzie nasze, my ci tu jutro ani jednej flaszeczki, ani szkiełka nie zostawimy, my tu dziś zaraz z wami taniec rozpoczniemy! Widzisz go, on tu śmie dziś się upominać, a nie wie, że jutro już go nie będzie”. Do tej opowieści swojej dodał Babicki, że, biegnąc do resursy, aby dać znać o tem, co słyszał, zauważył na ulicy jakiś ruch wojska.

wprawiając obecnych w zdumienie, a gdy to minęło, w lekceważenie władzy, która wyraźnie umizga się do rewolucji, a zatem jej się boi.

Tymczasem w gmachu gubernii rozgrywała się inna scena. Gubernatorem lubelskim w owe czasy był znany nam już Mackiewicz, Litwin rodem, który miał nieosobliwszą opinią i uważany był za urzędnika gorliwego i wykonawcę systemu muchanowskiego ucisku. Gdy się więc deputacya z resursy zjawiała u niego, przyjął ją bardzo grzecznie i, na wzór greckiej Pityi, wygłosił taką dwuznaczną odpowiedź, że „obawa przed wojskiem jest niczem nieuzasadnioną, że miastu nie grozi najmniejsze niebezpieczeństwo, że gubernator nie może upoważniać mieszkańców do ustanowienia władz obywatelskich, wdzięczny jednak będzie mieszkańcom, jeżeli ci przyczynią się do utrzymania porządku w mieście”. Odpowiedź tę wytłumaczono sobie jako przychylną dla życzenia ogólnego, wrócono do resursy i zaraz wybrano Delegacyą, z 32 osób złożoną, która niby miała czuwać nad bezpieczeństwem mieszkańców i ich zachowaniem się spokojnym. W skład Delegacyi weszli adwokaci, kupcy, właściciele domów, rzemieślnicy, paru księży wpływowych i kilku żydów, oraz jeden czy dwóch urzędników, którzy zresztą, z obawy narażenia się władzy, unikali tego zaszczytu. Tak więc w Delegacyi znaleźli się i piekarz Dziewulski i szewc Czajkowski i kominiarz Szelański. Spokoju jednak w mieście nie było i jednym z najgłówniejszych prowokatorów różnych nabożeństw i śpiewów był wspomniany wyżej Antoni Mysłowski, aplikant sądu poprawczego. Ubrany teatralnie w czamarkę, konfederatkę amarantową i buty wysokie, wszędzie był, wszędzie kierował wszystkim. Aresztowany nakoniec, wywołał interpelacyą w Delegacyi warszawskiej, a później miał być powodem jedynych w swoim rodzaju rozpraw sądowych.

Najpierwszą czynnością nowej Delegacyi było wysłanie dwóch członków do Warszawy, w celu porozumienia się z Delegacyą tamtejszą⁹². Do porozumienia jednak tego nie przyszło. Delegacya warszawska wobec tego znalazła się w dość przykrem położeniu; z odwagą wszelako i szczerością, godną zaiste pochwały, odrzekła posłom, że ona jest władzą narodową, ale tylko na War-

92 W pamiętniku (manuskrypt) p. t. „Notaty do lat 1860—1861, wspomnienia z pamięci”, który, podczas pisania niniejszego dzieła, mieliśmy łaskawie nam do użytku udzieleny, powiedzianem jest, że Delegacya lubelska wysłała posłów do Warszawy dopiero po d. 8 Kwietnia. Wiadomość ta jest błędną, choćby dlatego, że po d. 8 Kwietnia Delegacya warszawska już nie istniała, a w kołach rewolucyjnych i nierewolucyjnych panował taki chaos, że naprawdę nie było z kim mówić i z kim się porozumiewać. Gregorowicz wreszcie, prezydujący w Delegacyi lubelskiej, a więc najlepiej świadom jej spraw, w swym „Poglądzie krytycznym na wypadki 1861—1863 r.” drukowanym w odcinku „Gazety narodowej” we Lwowie, powiada, że wysłanie deputatów do Warszawy było jedną z najpierwszych czynności Delegacyi lubelskiej.

szawę, że prowincya do niej nie należy, że nie chce wkraczać w zakres władzy komitetu Towarzystwa rolniczego, że właściwie posłowie powinni się udać do tego ostatniego, a tam otrzymają odpowiednie wskazówki postępowania.

Odpowiedź była rozumna, chłodna, ale zdradzała, że ludzie, którzy zasiadali w „komunie warszawskiej”, jak nazywano Delegacyą byli sobie zwykłymi filistrami, bez szerszych pragnień i ambitnych dążeń, wykrojeni na miarę krawca, nie Fidyasza. Była chwila, że na obradujących w ratuszu delegatów patrzano jako na symbol władzy narodowej, jako na twórców „polskich czasów”, jako na przedstawicieli kraju, którym ten kraj dobrowolnie i chętnie się poddawał. Delegacya jednak nie dorosła do tych wyżyn i do tych dyktatorskich aspiracyi; odtrącała ofiarowane jej berło królowania nad Polską, odtrącała z przestrachem, usiłując się utrzymać bądź co bądź na śliskim swoim stanowisku, naciskana z dwóch stron, z jednej przez rząd podejrzliwy i który rzekł się z niechęcią swej władzy z zamiarem odebrania jej przy lada sposobności, z drugiej przez rewolucyą, przez tę gorącą i nieopatrzną młodzież, która marzyła o wzięciu rękami cytadeli i wyrzuceniu Moskali za dziesiątą górę i dziesiątą rzekę. Dotąd wszelako rewolucyoniści warszawscy, choć sarkali na Delegacyą, oskarżali ją o paktowanie z wrogiem, nie śmieli jednak atakować ciała, które w pojęciu większości było wyrazem pragnień narodowych. Teraz atoli miarka się przebrała. Odpowiedź, dana posłom lubelskim, rozeszła się po mieście i uważana była przez zapaleńców za wyraźną zdradę i odstępstwo sprawy narodowej. Jakto? wołano, kraj się organizuje i przychodzi oddać się w ręce swej starszej braci, żąda, by nim kierowano, by go poprowadzono ku upragnionej niepodległości, a ci mieszcuchy, ci „zjadacze chleba” odpowiadają z episyerską ciasnotą pojęć: nam nic do was, dajcie nam pokój, róbcie sobie co chcecie! Kraj mówi: „będziesz królem Makbecie!”, a filisterski Makbet warszawski odtrąca ze strachem koronę, Jagiellońską koronę! Oburzenie śród kół rewolucyjnych młodzieży było tak wielkie, że jeżeli nie zaraz skończono z Delegacyą, to dla tego, że nie miano wodza, nie miano nikogo, coby to oburzenie słowne w czyn zamienił. Ale teraz znalazł się taki wódz, dzięki Delegacyi, która ze szczególnem zaślepieniem sama na siebie miecz ukuła.

W kilka dni po uwolnieniu z cytadeli dziesięciu agitatorów wypuszczono także Karola Nowakowskiego, znanego nam już ucznia szkoły sztuk pięknych, głowę słabą, ale pełną wrzącego, wszystko porywającego za sobą, entuzjazmu. Odpowiedź cesarska na adres, tak ubliżająca, jak mówiono, narodowi, odpowiedź Delegacyi posłom lubelskim, jej kunktatorstwo i „umizgi do Moskali” były tematem nieustannych rozpraw między tą młodzieżą gorącą, niewykształconą, szydzącą sobie teraz z cytadeli, z której tak łatwo i tak tanim kosztem się wydostano. Liczni agitatorzy zjawiali się na posiedzeniach

wieczornych w resursie i pytali głośno: kto wybrał Delegacją? z kąd ona śmie przybierać sobie tytuł władzy narodowej? kto jej dał do tego prawo? do czego ona dąży? czego chce? Jeżeli, powiadano, Delegacja ma ostatecznie na celu powstanie, to po co to dziwne targowanie się z rządem, to odpychanie delegacji prowincjonalnych, ci konstable narodowi, którzy niekiedy dopomagają Moskałom, chwytając agitatorów, „tych prawdziwych sług sprawy i ojczyzny”? Napróżno delegaci, dowiedziawszy się o tych krzykach, wysyłali jednego z pomiędzy siebie, żeby przed zgromadzoną i łatwo zapalającą się publicznością tłumaczył i usprawiedliwiał swych kolegów. Używano wszelkich środków dla uspokojenia krzykaczy. Raz mówiono, że część Delegacji znajduje się w tej chwili u namiestnika i naradza się z nim nad przedmiotami pierwszorzędnej wagi; innym razem starano się przekonać zgromadzenie, iż rzeczy idą jak najlepiej, że niema powodu do niepokoju, że Delegacja w cichości kuje Jowiszowe pioruny na wroga, zawiązuje stosunki z Europą, przygotowuje środki, zapasy, pieniądze, że konstytucja się pisze, że redakcją jej powierzono adwokatowi Augustowi Trzetrzewińskiemu...

Wszystko to jednak były półśrodki, wyzebrywanie, że, tak powiemy, porządku publicznego u ulicy. Ta szybko się przekonywała o nieprawdzie zapewnień Delegacji i jeszcze bardziej się oburzała. Młodzież czerwona, mając wśród siebie Nowakowskiego, znając jego odwagę straceńca, bez niewielkiego zachodu zdołała go przekonać, że Delegacja nic nie robi i jest przeszkodą do rewolucji, do powstania, które bez tych „mastodontów”, jak nazywano członków Delegacji, byłoby już dawno wybuchło i Moskali wyгнаło. Dla dobra kraju, wołano, dla zbawienia ojczyzny, trzeba Delegacją rozpędzić; poczem rewolucja sama się złoży, powstanie zerwie się na ulicach miasta, jak mickiewiczowski huragan na pustyniach Arabii, i zmiecie wszystko przed sobą.

Jakoż Nowakowski, nie wiele myśląc, w parę dni po swem uwolnieniu, d. 17 Marca, korzystając z Niedzieli, a ztąd z możności zgromadzenia większej liczby młodzieży szkolnej i rzemieślniczej, niezajętej niczem w tym dniu, przy pomocy kolegi swego Szachowskiego, zebrał znaczny tłum krzykaczy wszelkiego rodzaju, uzbrojonych w kije, i wyruszył do resursy w zamiarze rozpędzenia siłą Delegacji i ustanowienia na jej gruzach nowego ciała rewolucyjnego. Niesforna ta gromada, niewpuszczona zrazu, przez gwałt wtargnęła do sali resursy, krzycząc: „precz ze zdrajcami! bij zdrajców!” Delegacja przestraszyła się tem najściem; jej członkowie, dalecy od naśladowania rzymskich senatorów, gotowych umrzeć na swych krzesłach kurulnych, nie wiedzieli co czynić, i w milczeniu, z oznakami widocznej obawy, słuchali wrzaskliwych wymyślań, obelg i wyrzutów. Na szczęście w sąsiedniej sali obradowała t. z. dyrekcyja straży obywatelskiej przy dość znacznej liczbie konstabli narodowych.

Ci pospieszyli na pomoc zagrożonej Delegacji. Jakób Piotrowski, oburzony do najwyższego stopnia, pytał napastników: „kto jesteście? kto was upoważnił do targnięcia się na Delegację?” Znany całemu miastu adwokat Trzetrzewiński, domyślny autor przyszłej konstytucji polskiej, usiłował uspokoić napastników. Napróżno! głos jego przebrzmiał niesłuchany i zakrzyczany. Swoim stentorowym, olbrzymim głosem, wołał Nowakowski: „wy tu sejmikujecie, obradujecie, nic nie robicie, a tam w cytadeli dźwigają nasi bracia kajdany i napróżno oczekują oswobodzenia. Nie uwalniacie więźniów, więc niepotrzebni jesteście”. Jakkolwiek zarzut był niesłuszny, czego najlepszym dowodem był sam Nowakowski, który z pewnością byłby siedział dotąd w dziesiątym pawilonie, gdyby nie Delegacja, przecież ta ostatnia usiłowała się tłumaczyć dość niefortunnie przez usta Karola Ruprechta, który był członkiem dyrekcyi straży bezpieczeństwa i nadbiegł na pomoc zagrożonej Delegacji. „Czem więźniów oswobodzić, pytał, z czym pójdziemy na cytadelę, gdzie broń?” — „Z pięściami uderzymy na cytadelę!” rzekł na to Jeske, znany wśród kół młodzieży zwolennik Mierosławskiego i jeden z najgorliwszych promotorów zamachu na Delegację. Na taką odpowiedź nic nie pozostawało jak ruszyć ramionami i delegaci milczeli, słuchając z pokorą wymyślań i zarzutów zdrady. Hałas się wzmagał; scena stawała się niemożliwą do wytrzymania i trzeba jej było bądź co bądź położyć koniec. Za namową Szlenkiera podjął się tego Ruprecht. Wszedł na stół i pojawienie się tej postaci, źle oświeconej przez parę lamp wielkiej sali resursy, na pół ukrytej w mocnych, rembrantowskich cieniach, tej twarzy bladej, wysoce charakterystycznej, na której zdawały się odbijać wszystkie cierpienia i wszystkie męki polskie w kopalniach i tajgach sybirskich, zrobiło silne wrażenie. Uciszyło się nagle i wszyscy zwrócili oczy na szczupłą, w długi, czarny surdut ubraną postać Ruprechta, a Nowakowski wołał: „ciebie będziemy słuchali i tobie wierzę, boś ty był pod szubienicą i w kopalni na Sybirze!” Wśród ciszy, stanowiącej dziwny kontrast z wrzawą przed chwilą panującą, Ruprecht począł mówić głosem miękkim, łagodnym, sympatycznym, że wysoce niewłaściwą jest rzeczą stawianie całej sprawy na kartę dla oswobodzenia kilku więźniów, którzy i tak będą uwolnieni. „Nie uwolniliśmy kilku więźniów, wołał, ale pracujemy nad uwolnieniem milionów niewolników, którzy dotąd praw nie posiadali”. Twierdził, że zarzuty czynione Delegacji, jakoby nic nie robiła, są niesłuszne, gdyż zajęta jest ona tworzeniem projektu urządzenia miast na zasadzie równouprawnienia żydów; zbrataniem z tymi ostatnimi i z wyznawcami innych religii; społeczną reformą całego kraju. „Ale wam Moskale nie pozwolą tego wykonać”, przerwał Nowakowski. „Być może, odrzekł Ruprecht, ale przez nasze usiłowania pozyskamy dla kraju obcych nam dotąd żydów i inne wyznania i wzmocnimy przez to siły polskie”,

a zwracając się wprost do Nowakowskiego zapytał: „gdyby o uwolnienie twoje chodziło, czyż zgodziłbyś się, ażeby dla ciebie tak ważnych spraw zaniechano?” Łzy zajaśniały w oczach czerwonego rewolucjonisty, poczciwej w gruncie duszy polskiej, ale wypaczonej przez źle pojmowany patryotyzm. „O nie!” zawołał, i skruszony, nawrócony słowami Ruprechta, rzucił mu się w ramiona. Tą sceną rozrzewnienia, tym płaczem zakończył się zamach na „moralny rząd polski”. Podczas gdy wystraszona Delegacya i liczni żydzi ściskali i całowali Ruprechta, Nowakowski wśród okrzyków: „niech żyje Delegacya! niech żyją konstable!” opuścił resursę i Delegacya ocalała.

Więść o napadzie na resursę szybko rozbiegła się po Warszawie, wywołując rozmaite wrażenia. Ludzie spokojniejsi, zamożne mieszczaństwo warszawskie widziało w Delegacyi reprezentacją własną, ztąd oburzone było na ludzi, „nie mających nic do stracenia”, jak nazywało czerwieńców; młodzież zato, rewolucyoniści i agitatorzy ucieszeni byli, że napędzili trochę strachu „mastodontom”. Oczywiście fakt napadu doszedł do uszów władzy i Gorczakow zgorzszony nim, uważając go i słusznie za objaw rewolucyjny, wydał zaraz nazajutrz rozporządzenie, ażeby odtąd do resursy wpuszczani byli tylko jej członkowie i to za biletami, jak chciała ustawa tego klubu⁹³.

Oprócz tego zamach Nowakowskiego miał wydać jeszcze inny skutek, bezporównania większej doniosłości, świadczący wymownie o tym dziwnym nastroju umysłów, jaki panował w tych czasach gorących. Skutek ten dał znać o sobie zaraz na dwunastym z kolei posiedzeniu Delegacyi, które się odbyło dnia 18 Marca, nazajutrz po napadzie czerwieńców na resursę.

Przedewszystkiem na posiedzeniu tem generał Jakób Lewiński złożył swym kolegom list, jaki otrzymał w dniu wczorajszym od generała Paulucci, w sprawie odezwy namiestnika z d. 16 Marca. W liście tym naczelnik policyi warszawskiej donosił, że ks. Gorczakow dlatego opublikował rzeczoną odezwę, iż dowiedział się, że w mieście znajdują się ajenci i prowokatorzy, pragnący wywołać zaburzenia; a oprócz tego trzeba było taką odezwę ogłosić, bo wiele osób aresztowanych w d. 25 i 27 Lutego broniło się tem, że jakoby nie wiedzieli o prawie zabraniającem manifestacyi. Co się zaś tyczy rady municipalnej, to namiestnik projekt odnośny kazał już przygotować⁹⁴. Delegacya, wysłuchawszy tego listu, jeszcze raz zrobiła uwagę, że, z powodu wzmiankowanych w nim prowokatorów, konieczność utrzymania dalszego straży oby-

93 W telegramie z d. 19 Marca namiestnik donosi o tem cesarzowi: „wielkie zgromadzenia bywały w resursie warszawskiej. Dnia wczorajszego wydano rozporządzenie, ażeby wpuszczono tam tylko członków za biletami, według ustawy. Względem innych zbiegowisk użyję odpowiednich środków”.

94 Tekst listu znajduje się w protokołach Delegacyi.

watelskiej okazuje się widoczną i dlatego prosi o upoważnienie użycia straży rzeczowej w razie potrzeby. Jakkolwiek oznaki zewnętrzne, dla rozpoznawania osób należących do straży obywatelskiej, byłyby bardzo pożyteczne, wszelako Delegacya, w skutek żądania władzy, zrzeka się tego warunku i w zamian zaopatrzy każdego, do tej służby należącego obywatela, w bilet, dla okazania w razie potrzeby. Na to wszystko Paulucci się zgodził.

Gdy się ukończyła ta sprawa, wystąpił Ksawery Szlenkier i oświadczył, że: z uwagi, iż Delegacya powinna o wszystkim co się dotyczy dobra i spokoju miasta wiedzieć, oznajmił, że wczoraj na zebraniu kupieckim w resursie, na którym było przeszło dwieście osób, zapadła uchwała, ażeby istniejące od r. 1817 dwie oddzielne listy kupieckie, chrześcijańską i żydowską połączyć w jedną, „a to dla dania jawnego i głośnego objawu tolerancyi dla wyznawców religii mojżeszowej, którzy okazali żywe sympatye dla sprawy ogólnej w ostatnich wydarzeniach kraju⁹⁵. Domagał się więc Szlenkier, ażeby za staraniem Delegacyi protokół ten był ogłoszony w gazetach, gdyż może on posłużyć za przykład dla innych stanów w kraju. Wniosek ten Delegacya przyjęła z entuzjazmem, z widocznym akcentem. że czuje olbrzymią jego doniosłość, że wszystko zrobi, co będzie można. Dziękowano Szlenkierowi, mówiono mu, że dobrze zasłużył się ojczyźnie, że to, co dotąd było tylko w teoryach, w pragnieniach i aspiracjach narodowych, on urzeczywistnił i doprowadził do skutku. Gdy się wiadomość o tem ukazała w dziennikach, entuzjazm nie był mniejszy, admiracya dla Szlenkiera, który potrafił odczuć potrzebę chwili, powszechna. „Gazeta warszawska” wołała: „dziwne są koleje losów ludzkości i narodów! to, nad czem od Czackiego, Kołłątaja, Niemcewicza, tyłu najznakomitszych obywateli pracowało, w jednym dniu posunęło się dalej naprzód, niż w normalnych stosunkach posunąćby się mogło w lat pięćdziesiąt”.

Za przykładem kupców poszły wkrótce i cechy rzemieślnicze. Dnia 20 Marca, a więc w dwa dni po uchwale, łączącej dwie listy kupieckie w jedną, zebrali się w resursie przemysłowcy, fabrykanci i rzemieślnicy i postanowili przypuścić żydów do cechów i zgromadzeń na tych samych warunkach, co i chrześcian. Uchwała ta zapadła z gorącą, krzykliwą nieco jednomyślnością, możliwą tylko w takich czasach⁹⁶.

95 Uchwała ta pomieszczona jest w protokołach Delegacyi miejskiej.

96 Na tem zebraniu postanowiono także na wniosek ks. Steckiego założyć resursę rzemieślniczą. Myśl tę powziął ks. Stecki jeszcze w Sierpniu 1858 r.; w r. 1860 zrobił odpowiednie przedstawienie do Komisji spraw wewnętrznych. Komisya w zasadzie zgodziła się na to i odniosła się do prezydenta miasta, który d. 28 Lutego zwołał znakomitszych fabrykantów i starszych zgromadzeń cechowych na szereg sesyi, mających się zająć tą sprawą. Na sesyach tych uradzono: „ażeby w przedmiocie organizacyi nowej resursy i obmyślenia koniecznych na to funduszów porozumieć się jeszcze ze wszystkimi zgromadzeniami

Bratano się z żydami, nazywano ich dziećmi jednej ziemi, Polakami, wyznającymi religią mojżeszową. Weszło w modę chodzenie do synagog na nabożeństwa żydowskie, zapraszanie nawzajem żydów do kościołów katolickich, co miało być oznaką zlania się dwóch narodów. Po miastach i miasteczkach, na ogromne zdziwienie ludu prostego, oburzenie wielu chłodniejszych, pojawiali się po kościołach żydzi, nieraz obszarpani, brudni, należący do warstw najniższych, w czapkach na głowach, sami wystraszeni nieco i nie bardzo pojmujący, po co tu przyszli i czego od nich chcą. W ogólności przesada, tak właściwa tej epoce, wywoływała mnóstwo tego rodzaju scen niesmacznych⁹⁷.

Objawem tego zbratania się „wszystkich dzieci jednej matki-ojczyzny” był krzyż, jaki ofiarowali żydzi warszawscy do kościoła OO. Bernardynów w miejsce złamanego podczas demonstracji przed Zamkiem. W zamian za to, ktoś powziął

rzemieślniczemi i żądać od nich wiadomości, o ile by w tej mierze mogli i byli w pogotowiu przyjść z pomocą”. Na skutek tego zredagowany przez ks. Steckiego projekt przesłano rzemieślnikom i fabrykantom w Kwietniu 1860 r. wraz z listą, w której proszono o deklarację, ile kto dać może na założenie resursy. Projekt ten jednak nie znalazł wśród rzemieślników zbyt chętnego przyjęcia.

Sprawa ta poruszona jeszcze raz w r. 1861 do niczego nie doprowadziła. Ks. Stecki biegał za tem, zachęcał. Wystąpiono w d. 12 Lipca 1861 r. do Rady administracyjnej Królestwa o przyspieszenie zatwierdzenia resursy, ale na wniosek ówczesnego generała-gubernatora Gerstenzweiga projekt Rada odrzuciła i zatwierdzenia stanowczo odmówiła.

97 Żywo przeciw manifestacyom takim i innym, przeciw nadużywaniu nabożeństw i kościoła, powstał w d. 20 Marca „Kuryer warszawski”. „W ogólnem zespoleniu się w jedno kółko bratnie, pisze on, daliśmy już dowody i tej siły moralnej i tej dojrzałości, jaka za prawdę przynosi chlubę każdemu. Ale nie dosyć raz się zjednoczyć i na tem poprzestać; trzeba i nadal jedną zespolić się myślą, jedną oddychać dążnością. Odtrąciwszy od siebie podszepty mniejszości, usłuchać trzeba głosu rozumu i postępować w ślad za tą wskazówką, która miłość kraju nad wszelkie obowiązki przekłada. Spokój zatem i tylko spokój powinien być hasłem każdego uczciwego człowieka, każdego dobrze myślącego Polaka. Głuche ciągle wieści, które nakształt wody nurtują nieustannie, by brzegi i lądy poderwać, nie przestają dochodzić i do nas także, przejmując nas obawą najsmutniejszych następstw. Tymi zaś wichrami są to owe obchody, jakie pod maską religijnej procesyi, okrywają miano zgromadzeń, czyli tak zwanych manifestacyi. Zastanówmy się przeto z całą sumiennością, do czego nas doprowadzić mogą tego rodzaju objawy. Chwalmy Boga w świątyni, gdzie ku czci Jego wzniesione są ołtarze, chwalmy Go myślą i całym sercem. Ale nie nadużywajmy imienia Jego na ulicach miasta, nie zasłaniajmy się obrazami Jego jak tarczą przeciw takim pociskom, których uniknąć możemy, zwłaszcza gdy Kościół, ta matka nasza nie uznaje owych pochodów. Nie jest to, zacni czytelnicy a spółbracia nasi, głos z jakiegokolwiek bądź strony poddany, jest to głos serca, głos sumienia naszego, który gwałtownie wydziera się do was, ilekroć owe głuche wieści objają się o nas”.

„Wyrjmy sobie głęboko w duszy naszej, wyrjmy sobie na czołach naszych owe święte godło, że każdy nieprzyjaciel porządku, a przedewszystkiem spokoju, jest zarazem nieprzyjacielem i własnego kraju, a możecie być pewni, że żadna siła podszeptów i nienawiści nie zdoła nas strącić z tej drogi, na jakiej raz okupem ofiar stanęliśmy”.

myśl zakupienia drogą składki publicznej świecznika pamiątkowego do synagogi żydowskiej. Po mieście krążyła w tym celu lista, na której każdy się podpisywał ze swoją, choćby najskromniejszą ofiarą. Gdy sprawa ta jednak zbyt długo się wlokła i nie zdawała się budzić w społeczeństwie takiej ofiarności na jaką liczone, „Gazeta warszawska”, ta sama, która przed paru laty była zaciętą nieprzyjaciółką żydów, wołała: „pewni jesteśmy, że na lekko nie przedsięwzięto tej pięknej zamiany pamiątek; że raz ją postanowiwszy nie cofniemy się. Byłoby to nadto smutnym symptomatem, że nie umiemy wytrwać tam, gdzie powinniśmy”.

Przybierało to niekiedy cechę śmieszna dziś dla nas. Ktoś zaproponował w „Kuryerze warszawskim”, ażeby nazwiska żydowskie zakończone na „berg, feind, sohn” i t. p. zamienić na polskie, żeby zepsuty ich żargon zastąpić językiem krajowym, znieść różnicę ubiorów „boć, kończy projektodawca, jesteśmy dziećmi jednej matki”. Oczywiście były to pobożne życzenia, które w praktyce, zwłaszcza wobec ciemnych mas żydostwa, urzeczywistnić się nigdy nie miały.

To gwałtowne wciąganie żydów w ruch rewolucyjny, bratanie się z nimi, zbyt manifestacyjne, by mogło ująć czyjej uwagi, sprowadzanie ich na nabożeństwa do kościołów, silne wrażenie robiło na ludzi prostym, na licznej rzeszy chłopskiej, która nie rozumiejąc, co się koło niej robi, patrzyła na wszystko nieufnie i podejrzliwie. „Panowie znów coś knują”, mówili sobie chłopci, widząc żałobę, w jaką się dwory i miasta przybierały; nabożeństwa, krzyże, maskaradę w strojach; pieśni, jakich dotąd nie słyszano. Od tego wszystkiego chłop trzymał się zdaleka i widocznie przybierał postawę niechętną. Układy o czynsze wlokły się leniwie, gdyż obie strony brały się do nich z wahaniem. Wśród mas ludowych przebiegał jakiś tajemniczy prąd wielkich nadziei, dochodziły skażone i przesadzane odgłosy reformy włościańskiej w Rosyi, budząc żądze i nadzieje ogromne. Chłop polski z natury podejrzliwy, co było owocem długowiecznej niewoli i ucisku, nie chciał się wiązać układami czynszowymi, gdyż powszechnie sądził i, jak czas pokazał, nie mylił się, że ziemię otrzyma na własność. W Skalbmierskiem trzydzieści przeszło wsi wprost odmówiło układów o czynsze, a nawet w oczekiwaniu uwłaszczenia odmawiali pańszczyzny, a głuche wieści, obiegające po kraju, nastrój nerwowy całego społeczeństwa utwierdzał ich w tem postanowieniu. We wzmiankowanym Skalbmierskiem, na pograniczu z Galicyą, gdzie zdawała się żyć jeszcze krwawa tradycja „rabacy”, ta odmowa pańszczyzny wywołała wśród szlachty żywą i przesadzoną obawę⁹⁸.

Wielu z pomiędzy nich, zapominając o dobru sprawy ogólnej, o potrzebie zyskania na swą stronę ludu, mając jedynie na względzie całość swych głów i kieszeni, żądało od władz miejscowych pomocy do zmuszenia chłopów, by wypełniali,

98 Obawa ta sięgała tak daleko, że synowa Wielopolskiego, bawiąca w tym czasie w Chrobrzu, spieszenie go opuściła.

jak mówili, swe powinności względem dworu. Władze oczywiście, z mocy obowiązującego prawa, nie mogły odmawiać takim żądaniom i zwykle w nieposłuszny wsi zjawiali się kozacy i szeregiem surowych, bolesnych egzekucji zmuszali chłopów do uległości. Postępowanie takie nie mogło w żadnym razie przyczynić się do załagodzenia mocno naprężonych stosunków między dworem i chatą, a z drugiej strony nie kładło całkiem tamy owym wieściom, których źródła nikt nie znał, a które umysły ludu trzymały w stanie ciągłej gorączki. Liczna sfera oficyalistów dworskich, niechętna tym, którym służyli; podrzędni urzędnicy, pisarze w magistratach, kanceliści, pokątni doradcy, politycy małomiasteczkowi, cały ów proletaryat pseudointeligencji, który żył po miastach w nędzy i patrzył na dostatek szlachty, ztąd nienawidzący jej, usprawiedliwiający swą nienawiść teoryami z kilku źle przeczytanych książek zaczerpniętymi, podsycali ten niepokój, rzucając tu i owdzie niebaczne słówko do ucha chłopskiego. Wszyscy oni, cała ta klasa ludzi naprawdę nie wiedziała, jakie może być wyjście z zawilej kwestyi chłopskiej, a usłyszawszy coś o wykupie czynszów, sądziła, że to jest ze szkodą ludu. Zadość czyniąc nurtującej ich nienawiści i niezadowoleniu, przelewali to niezadowolenie przy każdej sposobności w chłopów. Prócz tego pojawiali się tu i owdzie ajenci, włóczący się po kraju z widocznymi zamiarami prowokowania ludu i rzucenia go na szlachtę. Trudno dziś dociec, czy rzeczeni ajenci wysyłani byli przez rząd, mianowicie przez Muchanowa, czy też działali na własną rękę. To pewna, że widziano takich agentów w Gostyńskim, w Krakowskim, Lubelskim, na Podlasiu i w Augustowskim. W tej ostatniej gubernii mówiono, że rolę agentów wzięło na siebie kilku junkrów wojskowych, poprzebieranych za studentów; być może wreszcie, iż to byli prawdziwi studenci, wysłańcy Czerwieńców, różnych komitetów warszawskich, które po wypadkach Lutowych rozpuściły agentów, by kraj organizowali. Młodzież ta, czerwoni demokraci, Mierosławczycy, zacierzewieni wrogowie szlachty, z pewnością nie szczędzili tej ostatniej w swych pogawędkach z chłopami, malując ją w kolorach jak najczarniejszych. Jeżeli atoli tutaj ajenci, podburzający lud, mieli dwuznaczny, niezdecydowany charakter, to gdzieindziej występują oni wyraźnie, jako działający z ciężkiej ręki Muchanowa. Obiegała pogłoska, że w Lubelskim włóczy się po wsiach mnóstwo kryminalistów, uwolnionych z Zamościa, którym polecono spełnianie niecej roli podburzycieli chłopów. Niejaki Smokowski, przebrany za żebraka, obiegał Radomskie i Kieleckie i siał ziarna wicherów i burzy ludowej. Złapany w okolicach Miechowa, odesłany został do gubernii, do Radomia, w drodze jednak zdołał zbiec z pod straży. Zjawił się w jakiś czas potem w Suchedniowie pod Kielcami i w karczmie, gdzie znajdowało się wielu górników i robotników z miejscowych fabryk, ludzi więcej oświeconych, gdy rozpoczął wygłaszać swe zdania, został schwyty, nielitościwie zbity i odstawiony do Radomia. Co się z nim stało, nie wiemy. W temże Miechowskim, ma-

zor żandarmeryi, noszący historyczne i arystokratyczne nazwisko Osten-Sacken, w towarzystwie kilku podejrzanych ludzi (niejakiego Wagnera, Krzyżanowskiego i Malinowskiego), jeździł po powiatach: miechowskim, olkuskim i stopnickim, i zachęcał chłopów do nieposłuszeństwa szlachcie⁹⁹. W Płońskiem, we wsi Sieklu-ki przytrzymano niejakiego Marcina Jabłońskiego, dymisyonowanego żołnierza z pułku Muromskiego piechoty, który, zaszedłszy do karczmy, zapewne po pijanemu, prawił, że „cesarz płaci za każdego szlachcica zabitego lub przebitego *sztukiem* (bagnetem), po 25 rs. chłopu, który to uczyni”.

Wszystkiemu temu włościanie chętnie wierzyli; w upowszechniającej się coraz bardziej pieśni „Boże, coś Polskę”, słyszeli nie słowa „ojczyznę”, ale „pańszczyznę racz nam wrócić, Panie”. Wzburzenie było widoczne i wyraźne, obawy ogromne, choć w gruncie rzeczy z ciężkim i nie łatwym do poruszenia chłopem polskim niebezpieczeństwo nie było ani zbyt groźne, ani blizkie. Niepokój jednak był powszechny i wzmógł się jeszcze bardziej i doszedł do wysokiego stopnia gorączki na skutek wieści o tajnym okólniku, wydanym przez Muchanowa. Dokument ten był najwymowniejszym dowodem, że wielki wazyr warszawski, jak nazywano Muchanowa, wyznawca starej, Meternichowskiej metody rządzenia narodem, gotów jest do wszystkiego i nie cofnie się przed niczem, że z jego ręki, która tyle już szkód i ciosów narodowi zadała, jak z puszek mitycznej Pandory, spaść mogą na kraj nowe klęski, nowe plagi i nowe nieszczęścia. Cyrkularz, o którym mowa, wysłany został przez Muchanowa, jako dyrektora Komisji spraw wewnętrznych, do wszystkich gubernatorów, a ci zaś mieli o nim uwiadomić naczelników powiatowych, burmistrzów i sołtysów wiejskich, z pominięciem atoli wójtów gmin, gdyż ci składali się po większej części ze szlachty¹⁰⁰. Nakazywał on rozwinięcie nadzwyczajnej baczności policyjnej i nadzoru nad wszelkiego rodzaju osobami, które władzom miejscowym mogą się wydać podejzranymi, jako to: nad podróżnymi, nad cudzoziemcami, nad przybywającymi z zagranicy i t. p.

Najważniejszym jednak był paragraf czwarty, w którym polecano władzom administracyjnym i policyjnym Królestwa, ażeby wpajały w chłopów, iż: „rząd,

99 Obiegała pogłoska, której sprawdzić nie mogliśmy, że Malinowskiego chłopci gdzieś w Stopnickiem zabili. Przy zabitym miano znaleźć bardzo kompromitujące rząd rosyjski papiery.

100 Autentycznego tekstu cyrkularza nie udało nam się odszukać, pomimo usilnych starań. Mieliśmy więc przed sobą tekst wydrukowany przez Lisickiego w dziele „Aleksander Wielopolski”, oraz ten, jaki rozprzestrzeniła w tysiącach litografowanych egzemplarzy Delegacja warszawska, i parę przekładów rosyjskich. Otóż oba teksty polskie różnią się między sobą. Uważamy cyrkularz, jaki miała w swym ręku Delegacja, za autentyczny, choćby dlatego tylko, że otrzymała go z pierwszej niejako ręki, bo od gubernatora warszawskiego, Łaszczyńskiego.

starając się szczególnie o ich dobro, oczekuje, że oni nie tylko nie będą słuchali poduszczeń do nieporządków, ale nawet, dla zachowania ogólnego porządku, każdego, któryby się pojawił między nimi, poduszczającego burzyciela, będą zatrzymywali i odstawiali do najbliższej władzy”. Było to wyraźne i jasne oddanie władzy w ręce zaniepokojonego mocno i niechętnie na dwory patrzącego chłopca, ale nie było wcale czemś nowem w rządzie rosyjskim. Sam cyrkularz był starym pomysłem. Powstał on pierwotnie w czasie ruchów rewolucyjnych w r. 1846, i teraz wydobyto go po raz piąty z pyłu archiwów kancelaryi przybocznej namiestnika i przesłano d. 17 Marca Komisji spraw wewnętrznych, bez wiedzy Rady Administracyjnej. Górczakow prawdopodobnie uwagi nań nie zwrócił, jako na akt dawny i co jakiś czas peryodycznie się powtarzający, nie zastanowił się zresztą nad tem, że bądź co bądź jest to krok zdrożny, a nadewszystko w obecnych okolicznościach nader niebezpieczny i niezręczny. Sam cyrkularz ukazał się d. 19 Marca i tegoż jeszcze dnia gubernator warszawski, Łaszczyński, dokument ten, jakkolwiek był tajny, zakomunikował Delegacji warszawskiej, sam zaś odmówił jego wykonania i zagroził, że w razie przeciwnym zażąda dymisji¹⁰¹.

W Warszawie wieść o pojawieniu się okólnika Muchanowa, rzec można, piorunem się rozeszła i wywołała niesłychane oburzenie, które Czerwieńcy starali się rozdmuchiwać i sztucznie podtrzymywać. Oto, mówili, macie przyrzeczenia i obietnice, jakimi was łudzą w Petersburgu i w Zamku; oto koncesye. Podczas kiedy zapowiadają wam reformy, najwierniejszy sługa carski pracuje nad planem wojny domowej, nad rzezią.

Czyż wobec tego można w czemkolwiek polegać na rządzie, ufać jego przyrzeczeniom i łaskom? Słowa te, jakkolwiek w gruncie rzeczy niesprawiedliwe, znajdowały jednak wszędzie chętne ucho, wszędzie oburzano się na Muchanowa. Członkowie Rady Administracyjnej, jak: Łęski, dyrektor Komisji skarbu, Drzewiecki, dyrektor Komisji sprawiedliwości, Funduklej, senator, i inni, oświadczyli namiestnikowi, iż postępowanie Muchanowa jest ubliżające innym członkom rządu, iż za akt, który był sporządzony bez ich wiadomości, nie biorą na siebie odpowiedzialności, że zmuszeni będą podać się do dymisji, jeżeli samowola Muchanowa nie będzie powstrzymana. Od gubernatorów też nadchodziły protestacje. Wspomnieliśmy już, że Łaszczyński wprost odmówił pu-

101 Wiadomość, podana przez Gillera w „Dziejach Delegacji warszawskiej”, a zaczerpnięta z plotkarskiej korespondencji do „Czasu” (którą podobno sam pisał), jakoby o cyrkularzu Muchanowa dowiedzieli się najpierw żydzi i swoją pantoflową pocztą uwiadomili wójtów i szlachtę, by się miała na baczności, nie wytrzymuje krytyki. Okólnik, po dostaniu się do rąk Delegacji, w tysiącnych odpisach poczał obiegać po kraju i pantoflowa poczta żydowska nic tu nie miała do czynienia.

blikacyi okólnika i zdradził nawet tajemnicę rządową, komunikując go Delegacyi. Opperman, gubernator radomski, i Mackiewicz, lubelski, zażądali objaśnień i bliższych instrukcyi, gdyż nie wiedzą, jak sobie cyrkularz tłómaczyć.

Delegacya warszawska, „ów moralny rząd polski”, nie zasypiała ze swej strony sprawy. Zrozumiała ona, że jest to jedyna chwila, w której będzie można uderzyć skutecznie w znienawidzonego „wezyra”, i obalić go pod brzemieniem oburzenia powszechnego. Przedewszystkiem więc dla zaprotestowania przeciw mniemaniom, jakoby ona nie szła ręką w rękę ze szlachtą, tegoż samego dnia jeszcze, 19 Marca, udała się deputacya z siedmiu członków Delegacyi złożona, z księdzem Wyszyńskim na czele, do Zamoyskiego, jako prezesa, i do Ostrowskiego, jako wiceprezesa Towarzystwa rolniczego, by w imieniu miast polskich i stanu mieszczańskiego w ogólności wyrazić im, jako reprezentantom obywateli wiejskich, wdzięczność i uznanie za inicjatywę w sprawie uwłaszczenia, tyle ważnej dla kraju i za uczucia pojednania i równości, jakie dla chłopów szlachta polska okazała. Przyjęto ich radośnie, Zamoyski z pewnem zakłopotaniem, że mu dziękowano za to, czego on nie zrobił, czemu był zawsze i stanowczo przeciwny. Trzeba było jednak oświadczenia burżuazji przyjmować za dobrą monetę i cieszyć się niemi na chłodno.

Do wzburzenia i niepokoju ogólnego przyczyniła się jeszcze jedna okoliczność. Od kilku dni poczęła obiegać po mieście lista osób „złej wiary”, to jest złych Polaków, Bóg wie przez kogo sporządzona i podająca częstokroć najszanowniejszych i najuczciwszych ludzi pogardzie publicznej. Mówiono, że pierwotnie lista rzeczona wydrukowana była w „Kołokole” Hercenowskim w Londynie. Bądź co bądź, znajdowała się ona we wszystkich rękach i rosła bardzo szybko, dzięki temu, że częstokroć prywatna zemsta lub nienawiść osobista pomieszczała nazwiska ludzi, którym nawet ze stanowiska czerwonego patryotyzmu nic zarzucić nie można było. Okoliczność ta wywołała powszechne zaniepokojenie. Każdy, choćby był niewinny jak nowonarodzone dziecię, mógł się znaleźć w tym spisie i uchodzić w oczach tłumów za zdrajcę kraju. Trzeba było temu koniecznie zapobiedz. Pod wpływem Delegacyi gazety miejscowe wystąpiły przeciw takiemu pomiataniu dobrem imieniem najszanowniejszych nieraz ludzi. W „Kuryerze warszawskim” ukazał się tak zwany „artykuł z krzyżem” dla tego, że na jego początku pomieszczony był znak krzyża, potępiający ową listę. Inne gazety to samo zrobiły; nakoniec Delegacya na swem trzynastem z kolei posiedzeniu, które przypadło d. 20 Marca, zaznaczyła w protokóle swój pogląd na tę sprawę. „Doszło do wiadomości Delegacyi, brzmi wzmiankowany ustęp w litografowanym protokóle, że cyrkulują po mieście listy, jakoby to z pism zagranicznych wypisane, szarpiące honor różnych, a nawet i nader poważnych osób. Nie mogąc być obojętną

w tak ważnej okoliczności, Delegacja przedsięwzięła wszelkie, od niej zawiste, środki dla sprawdzenia tej przynajmniej okoliczności, czyli była istotnie lista jaka w pismach zagranicznych ogłoszoną, ale przekonania tego bynajmniej nie nabrała. Gdy zatem wszelkie jest prawdopodobieństwo, że listy te, na których coraz to nowe wymienione są nazwiska, są poprostu dziełem nierozwagi i złośliwej swawoli, Delegacja czuje się w obowiązku przestrzedz publiczność i uprasza, aby mniemanym listom, żadnej cechy autentyczności nie mającym, wiara dawana nie była. Honoru cudzego szarpać i mieszkańców jednych przeciw drugim podburzać wcale nie wypada. Każdy przeto dobrze myślący obywatel powinien wpływem swoim dalszemu rozprzestrzenianiu nieuzasadnionych paszkwilów zapobiegać”.

Ukończywszy sprawę z listą „ludzi złej wiary”, brzydkim płodem powszechnej gorączki i nikczemności ludzkiej, Delegacja zajęła się zaraz inną, niemniej ciekawą i niemniej charakterystyczną sprawą studentów uniwersytetu petersburskiego. Znaczna bowiem ilość tej młodzieży, pomimo, że w początkach Lutego policja wielu zmusiła do wyjazdu, przebywała ciągle w Warszawie, brała udział we wszystkim i gorączkę ogólną podniecała. Wobec tego policja warszawska, właśnie w tym czasie, zawiadomiła pozostałych jeszcze w stolicy, że powinni z niej wyjechać, i termin tego wyjazdu naznaczyła najpóźniej na dzień 22 Marca. Delegacja, dowiedziawszy się o tem od samych studentów, którym nie chciało się w takich czasach opuszczać miasta, a z niem roli zbawców i sterników losami ojczyzny, postanowiła się w tę sprawę, która w żadnym razie do niej nie należała, całkiem niepotrzebnie wmięszać. Uderzyła więc ostro na Paulucciego, dlaczego nie uwiadomił ją wprzód o takim środku niezwykłym; że rozkaz ten powinien być niezwłocznie odwołany, bo nie ma on żadnych prawnych i usprawiedliwionych podstaw. „Moralny rząd polski”, osiwiali ojcowie rodzin, zasiadający w Delegacji, zapomnieli o tem, że zadaniem młodzieży uniwersyteckiej jest pilnowanie książki, oddanie się nauce, a nie mięszanie się do spraw politycznych. Paulucci, który nie przestawał kokietować z rewolucją, odrzekł, że policja nie będzie przynaglała studentów do wyjazdu. Rezultatem tej karygodnej słabości było to, że żaden z nich z Warszawy nie wyjechał, a ufni w obronę Delegacji, tem śmielej rzucili się we wszystko pochłaniający wir rewolucyi.

Na owej trzynastej sesyi swojej Delegacja zachowała najważniejszą, najdonioślejszą w tej chwili sprawę, sprawę okólnika Muchanowa na sam koniec. W tonie chłodnym niezwykle spokojnym i ostrożnym, z widoczną obawą przed strasznym „wezyrem”, który dotąd rządził samowładnie krajem, Delegacja wniosła do swego protokołu następujące słowa: „z powodu wydanego okólnika do gubernatorów cywilnych, rozporządzającego różne środki nadzwyczajne, mające być zaleconymi niższym władzom administracyjnym i po-

licyjnym, Delegacja uczyniła do J. O. ks. namiestnika przedstawienie, oparte na jednomyślnym wyrażeniu się opinii publicznej i prosiła Jego ks. Mość o przedsięwzięcie właściwych środków w celu uspokojenia i przywrócenia zaufania, powyższem rozporządzeniem wstrząśnionego”. Prócz tego delegaci zwrócili się do Paulucciego z gorącą i nieraz namiętnie wypowiedaną prośbą, ażeby im dopomógł w tym wypadku, by zapobiegł strasznym skutkom cyrkularza. Paulucci oczywiście, jak zawsze, chętnie się na to zgodził.

Tymczasem w mieście oburzenie wzrastało. W miarę, gdy wieść o okólniku i sam ten dokument rozpowszechniał się coraz bardziej, powszechna nienawiść do Muchanowa dochodziła do swego apogeum, do gorączki nieomal. W resursie kupieckiej, wieczorem tegoż dnia, gdzie zgromadziło się właśnie mnóstwo rzemieślników i przemysłowców i obradowało pod przewodnictwem Szlenkiera nad przypuszczeniem żydów do cechów, nienawiść ta wybuchła, jak długo powstrzymywany wulkan, obelgami i okrzykiem: „precz z Muchanowem! precz z Muchanowem!” To jednak było tylko dowodem szczerej i niczem nieukrywanej nienawiści ogólnej do „wezyra”, ale nie zapobiegało złym skutkom, jakie mógł wyrzucić na chłopów okólnik. Rzeczą pierwszorzędnej wagi było zapobiedz temu i osłabić wrażenie cyrkularza. Wydawało się wszystkim, że obowiązek ten leżał przedewszystkiem na Towarzystwie rolniczym, a raczej na jego Komitecie, który po ostatniem swem posiedzeniu, na którem uchwalono uwłaszczenie, zapadł w drzemkę, a raczej, zapominając o ludzkiej, zajął się wielką polityką: odsunawszy na drugi plan sprawę chłopską, jakoby mniejszego znaczenia, poświęcił się całej sprawie niepodległości, która w jego oczach była najważniejszą i najpierwszą. Gdy się więc w Komitecie dowiedziano o wysyłce Karnickiego do Petersburga, postanowiono także wyprowadzić tam kogoś od siebie, któryby przypatrywał się działalności rządowego posła i donosił zaraz o tem Komitetowi. Misya taka wydawała się członkom Komitetu tem potrzebniejszą, że Polacy w Petersburgu zamieszkali, a mający stosunki z Klemensowczykami, pragnęli mieć dla dobra sprawy polskiej, która weszła wtedy na porządek dzienny w stolicy caratu, dokładne nocne o znaczeniu i rozciągłości ruchu warszawskiego. Misji tej podjął się mecenas, Wincenty Majewski, brat Karola, człowiek rozumny, zręczny i niepospolitą obdarzony inteligencją. Pod pozorem jakiejś sprawy sądowej hrabiów Potockich, Majewski wyjechał do Petersburga, a w ślad za nim, Gorczakow, dowiedziawszy się o tem i przerażony tym wyjazdem, któremu przypisywał widocznie większe niż miał w istocie znaczenie, wysłał telegram do ministra wojny tej treści: „do ministra wojny, d. 28 Lutego (10 Marca). Doszło do mej wiadomości, że adwokat warszawski Majewski wyjechał do Petersburga. Jest on członkiem tutejszego Towarzystwa rolniczego i bardzo niebezpiecznym człowiekiem

(opasnyj człowiek). Należy baczna na niego zwrócić uwagę. (Nado za nim strogo nabliudat)”. Jakoż ówczesny szef żandarmów Dołgorukow kilkakrotnie wzywał do siebie Majewskiego, wypytywał go, co robi w Petersburgu, prosił, by mu objaśnił źródło wypadków warszawskich i ostateczne żądania Polaków. Majewski z rozmów tych z Dołgorukowem i innymi dygnitarzami nabył przekonania, że byle Polacy nie wspominali o t. z. prowincjach zabranych, byle się trzymali ściśle w granicach Królestwa kongresowego, to mogą się spodziewać bardzo szerokiej autonomii. Umiał on się nader zręcznie wszędzie dostać, była nawet chwila, że miał nadzieję być wezwanym do cesarza dla objaśnień. Bądź co bądź Komitet Towarzystwa rolniczego miał przez niego najdokładniejsze wiadomości o tem, co się robi i mówi w Petersburgu, i dlatego zapewne wołał uprawiać szeroką politykę, niż myśleć o małej, domowej, ale — podług nas — stokroć ważniejszej i zasadniczej.

Dzięki tym przyczynom, uchwała o uwłaszczeniu bardzo powoli dochodziła do wiadomości ogółu, a chłopci o niej mieli nocye bardzo słabe, mętne i niepewne. Wprawdzie wina tego stanu rzeczy leży po części na samym rządzie, na jego poglądach policyjnych i krótkowidztwie. Dzienniki bowiem, które najszybciej i najlepiej mogły poinformować kraj o tem, co się stało, zaraz po skończonych posiedzeniach Towarzystwa odebrały rozkaz cenzury, ażeby nie rozpisowały się o postanowieniu uwłaszczenia, które nie było na rękę Muchanowowi, który zgodnie ze swą polityką nie chciał, by Królestwo uprzedało w czemkolwiek cesarstwo, żeby chłop nakoniec nabierał przekonania, iż wszelka poprawa w jego losie pochodzi nie od rządu, ale od szlachty. To też dzienniki milczały, albo całą rzecz omawiały takimi frazesami, jak np., że „myśl uwłaszczenia włościan, przyjęta przez obywateli naszych, jest faktem potężnego historycznego znaczenia”, lub – jak się wyraziła „Gazeta warszawska” – myśl ta „jest zgodna z duchem naszego wieku”. Frazesa takie nic nie objaśniały i niczego nie uczyły, a Komitet, który mógł coś zrobić przy pomocy silnej i obszernej organizacyi Towarzystwa, brał się do rzeczy bardzo powoli. Dnia 3 Marca dopiero osobną odezwą zawiadomił wszystkich właścicieli o zapadłych uchwałach¹⁰², a d. 12 Marca zaledwie rozesłał instrukcją

102 Odezwa ta brzmi: „Komitet Towarzystwa rolniczego. W celu dokładnego powiadomienia kraju o uchwałach tegorocznego Ogólnego Zebrania, dotyczących urządzenia stosunków włościańskich, podaje uchwały te do wiadomości publicznej, zanim w Rocznikach Towarzystwa wraz z wywodami ogłoszone zostaną. 1) Zebranie Ogólne uznaje, że pośpiech w oczynszowaniu jest potrzebą kraju. 2) Uznaje, że w dobrowolności umów widzi Zebranie Ogólne najwłaściwszą podstawę działania w przemianie stosunków włościańskich, dopóki nie będą wyczerpane wszelkie środki w zakresie tej zasady będące, a obmyślanie i stosowanie tych środków za obowiązek obywatelski poczytuje. 3) Objawia życzenie, aby przez właściwie obmyślaną operacją kredytową, skup czynszu na celu

do członków korespondentów, w której wykazał „sposób postępowania i obowiązki, jakie z tych uchwał wobec terażniejszego położenia rzeczy dla nich, jako obywateli kraju, wynikały”.

Instrukcja ta wszakże, skreślona w chwili, gdy Komitet oswobodzony był od nacisku gorętszych swych członków, a zatem ulegał wpływowi Zamoyskiego i Klemensowczyków, zapominała zupełnie o uwłaszczeniu, a natomiast polecała szlachcie okazywać „postępowaniem swoim wydatną tylko dążność do oczynszowania”; przestrzegała przed zgubną agitacją, przed nierozważnymi słowami, „zbyt głośnemi obietnicami”; radziła „roztropność, spokojny umysł, wstrzeźliwość w zapędach, uległość dla przyjętego hasła”; zapewniała, że Komitet nie ma „myśli jednorazowego, albo nagłego załatwienia tak ważnej sprawy”; oświadczała, że Komitet chce, „ażeby wobec ludu wiejskiego zamierzone przekształcenie utrzymać w granicach ekonomicznej reformy, wszelkie inne szlachetne pobudki śpiesznego działania w łonie grona obywatelskiego zachować”; polecała ukrywanie przed chłopem decyzji o skupie czynszów. Jednym słowem sprawę uwłaszczenia odsunięto na drugi plan, wprost go nie chciano i wyraźnie zamierzano przewlec jak najdłużej.

Taki był stan rzeczy w Komitecie Towarzystwa, gdy ukazał się okólnik Muchanowa i wśród ogólnego oburzenia najbardziej oczywiście oburzył i zaniepokoił szlachtę, boć bezpośrednio był przeciw niej wymierzony. Komuś przyszła nieszczęśliwa myśl, żeby wobec agitacji rządowej postawić agitacją Towarzystwa rolniczego, a nie zastanowiono się nad tem, że ostateczny rezultat takiego postępowania będzie obalamucenie chłopca, wzbudzenie w nim większej niewiary i nieufności, a nadewszystko tego przekonania, że tak rząd, jak i szlachta ubiega się o jego względy, a on, podobny do pięknej kurtyzany, potrzebuje temu sprzedać swe wdzięki, kto da więcej. Zapomniano, że rząd, posiadając w ręku tysiączne środki, z łatwością tę agitacją może skierować na

mającą, włościanie doprowadzeni byli do własności posiadanych gruntów. 4) Objawia życzenie, aby utworzenie funduszu gromadzkiego było stałe i stanowczo z wykupem związane. 5) Uznaje nadto, że zanim w powyższy sposób fundusz gromadzki będzie mógł być sformowanym, powinnością jest każdego, dobro miłującego obywatela wytworzyć fundusz ten równocześnie z oczynszowaniem, chociażby własną ofiarą. 6) Aby zebranie ogólne Towarzystwa rolniczego wybrało z pomiędzy siebie Delegacją, z dziewięciu osób złożoną, któraby, na podstawie skapitalizowania czynszów w stosunku sta do sześciu, bezzwłocznie zajęła się ułożeniem stosownego projektu oraz dalszem jego poparciem. Skutkiem dopełnionego balotowania wybrane zostały do Delegacji, mającej się bezzwłocznie zająć ułożeniem projektu, o którym mówi konkluzya szósta, następujące osoby: Tomasz Potocki, Aleksander Jackowski, Tytus Wojciechowski, August Cieszkowski, Franciszek Węgleński, Aleksander Bryndza, Klemens Krzysztoporski, Antoni Wrotnowski, Leopold Kronenberg.

Warszawa, d. 3 Marca 1861 r.”

szkodę samej szlachty; że przez to zachwiany być może porządek społeczny i spokój kraju. Nie myślano o tem wszystkiem, ale w gorączce, ogarniającej każdego, w łatwo zapalnym polskim charakterze, postanowiono wystąpić z okólnikiem, który, jakkolwiek nieco spóźniony, miał uwiadomić lud o tem, co szlachta postanowiła na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa rolniczego.

Okólnik pisany jest językiem prostym, jasno i wyraźnie, z usilnem staraniem, żeby chłop mógł wszystko w nim zrozumieć i niczego się nie domyślać. Powiada on, że zgromadzeni na doroczne posiedzenie, w miesiącu Lutym r. b., członkowie Towarzystwa rolniczego, właściciele ziemscy, w liczbie półtora tysiąca, naradzali się głównie nad tem, „jakby sprawiedliwie i sumiennie porachować się z gospodarzami pańszczyźnianymi, na gruntach ich siedzącymi, żeby ich od pańszczyzny prędzej uwolnić, to jest czynszować i na czas przyszły jak najlepiej opatrzyć”. Uradzili więc, żeby sprawy tej na później nie odkładać, czyli zaraz czynszować; powtóre, że czynszowanie ma się opierać na dobrowolnych umowach między dziedzicem i chłopem; że nakoniec Towarzystwo chce, by przez właściwie obmyślaną operacyą kredytową chłopci mogli czynsze skupić i stać się właścicielami posiadanych gruntów. Odezwa ta kończy się takimi, ze wszech miar niebezpiecznemi, słowami: „Towarzystwo rolnicze ogłasza dla wiadomości wszystkich, że takie były rzetelnie tegoroczne narady obywatelskie i na to się obecni na tych naradach podpisali. Niech każdy człowiek dobrej woli, kraj swój miłujący, poczciwie i rozważnie to zrozumie; a ktoby inaczej mu opowiadał, niech temu wiary nie daje”.

Okólnik ten, odlitografowany w bardzo znacznej ilości egzemplarzy, z niezwykłym pośpiechem rozesłano po całym kraju do korespondentów okręgowych, którym polecono, aby zwrócili się do proboszczów z żądaniem odczytania tego dokumentu z ambon ludowi. Wszędzie się też tak stało; duchowieństwo, z małym bardzo wyjątkiem, ohotnie zadość uczyniło temu żądaniu; gdzie zaś proboszcz się zawahał, tam użyto nacisku opinii publicznej i groźby o zrywanie jedności narodowej. Chłopi wszędzie wysłuchali w milczeniu treści okólnika, ale w niczem to nie wpłynęło na ich uspokojenie lub na polepszenie stosunków między chatą i dworem. Chłop był zanadto rozumny i bystry, by nie wiedział, nie czuł wreszcie, że uchwały Towarzystwa rolniczego nie są aktem prawodawczym, że są to pobożne życzenia szlacheckie, które się mogą urzeczywistnić, ale mogą także, co jest prawdopodobniejszem, pozostać martwą literą. Jeżeli wreszcie w większości wypadków lud tak nie rozumował, to w każdym razie pojawienie się okólnika Towarzystwa nie mogło wpłynąć uspokajająco na chłopą, który widział, że toczy się obecnie gra o jego najżywotniejsze interesa i o jego przyszłość. Głuche, często niepodobne do prawdy, wieści wciąż obiegały senne, drzemiące wioski polskie i wprawiały je w stan

chorobliwych oczekiwań i nadziei, które wzmacniać się musiały w skutek pojawienia się, w ślad za okólnikiem Towarzystwa, nowych odezwo i pism.

W kilka dni bowiem po rzezonym okólniku poczęło obiegać po kraju „pismo od jednego chłopu natchnionego do wszystkich chłopów”, datowane w dzień św. Józefa, a właściwie rozesłane dopiero d. 26 Marca. Tym „chłopem natchnionym” był, znany nam już ze swego udziału w posiedzeniach lutowych Towarzystwa rolniczego, Jan Długoszek, kmieć z Suchowoli w powiecie Radzyńskim. Oczywiście podszyto się pod nazwisko Bogu duszę winnego chłopu i rozpowszechniono odezwę, nacechowaną na wskroś rewolucyjną dążnością. „Jakem teraz był w Warszawie (pisze chłopskim językiem Długoszek) i słyszałem na własne uszy, jak szlachta życzyła nam dobrze, i żeby pokazać wam, że nas miłują, za tanie pieniądze chcą skupu, to małom ich nie wydusił z uciechy. Cała gromada panów przystała na jedno, a siaki taki szlachcic, co się tam z tem nie śpieszył, podrapał się tylko w głowę i przystał; pismo poszło do cesarza, a panowie mówią, że cesarz powinien prędko odpisać do rządu, żeby kazać na gwałt skupować, bo go o to panowie prosili. Ale rząd, słucham teraz, że gada, że on to wszystko zrobił, a szlachta, że nic; nieprawda, bom słyszał sam, jak skup uradzili i że szlachta wszyscy klaskali w ręce. Tylko te niecnoty znowu wściubiają się między nas, żeby panów objeść, okpić, a nam kazać się składać na stemple przez kilka lat i zapisowe; zagada, zacygani i odjedzie; i wychodzi na taką ugodę, jak pan chciał oddawna, i żeby nie panowie, toby już z nas skóry pościągali”. „Oj! przed wieki było nam lepiej z panami, jak dziś z tymi obrońcami. O! niech ręka Boska każdego z was broni, żeby miał krzywo patrzeć na panów i nic podać im ręki zgody. Czy szlachcic, czy chłop, to zawsze Polak, to tak, jak brat starszy i młodszy, niech jeno młodszy słucha starszego”. W końcu Długoszek powiada: „teraz i mieszczanie trzymają z nimi (t. j. ze szlachtą) i żydzi przystali do katolików, bo panowie powiedzieli tak, że wszyscy, cośmy się na polskiej ziemi rodzili, żeśmy bracia i podali ręce żydom. Kiedy już braterstwo, to braterstwo! Czy w ogień, czy w wodę, niech jeden za drugiego leci. Oj, trzymajmy się, bracia chłopu, gromady z panami, bo jakbyśmy ten w jedną, a drugi w drugą stronę ciągnęli, to nas po jednym zjedzą. Pomyślcie przecież, że swój swego chociażby i skrzywdził, to nigdy tak, jak cudzy. W imię Boga Przenajświętszego to pismo do was wszystkich chłopów piszę i pieczętuję na świętym ołtarzu. Każdy, co umie pisać, niech go przepisz siedem razy i rozda”...

Odezwa ta, wyszła z kuźni szlacheckiej, rozbiegła się w niezliczonej ilości egzemplarzy po kraju, a niektórzy gorliwsi i zapaleńsi księża odczytywali ją, podobnie jak okólnik Towarzystwa, nawet z ambon zgromadzonemu w kościele na nabożeństwo ludowi. Największy jednak wpływ wywarł i najniebezpieczniejszy z wielu względów był okólnik Administratora dyecezyi płockiej, ks. Myśliń-

skiego, do wszystkich proboszczów, przełożonych klasztorów i w ogóle całego duchowieństwa świeckiego i zakonnego wzmiankowanej dyecezyi. Powód do tej odezwy, zdradzającej wyraźnie, jak nieprzyjazne rządowi stanowisko zamierza zająć duchowieństwo katolickie w Polsce, był taki: w d. 12 Marca, ks. Myśliński, bez wiedzy Komisji spraw wewnętrznych, czyli Muchanowa, wydał był odezwę do duchowieństwa, zalecając wpływać na uspokojenie umysłów ludu i wzbudzać zaufanie w sprawiedliwość władz krajowych. Odezwa ta, napisana tonem oficjalnym i z pokornym szacunkiem dla rzeczonych władz, w zasadzie nieprawdziwa, bo rząd rosyjski w stosunku do nas nigdy sprawiedliwym nie był, wywołała wielki krzyk na jej autora, którego wprost poczęto posądzać o „ducha moskiewskiego” i o zdradę kraju. Chcąc się oczyścić z tego zarzutu, który najzupełniej niepotrzebnie ściągnął na siebie ks. Myśliński, mieszając się do rzeczy, które do niego nie należały, postanowił jeszcze raz zabawić się w politykę i wpadając z deszczu pod rynną, wydał d. 26 Marca wzmiankowaną powyżej odezwę do duchowieństwa podległej sobie dyecezyi. Odezwę tę dziekani obowiązani byli bez straty czasu, umyślnym konnym posłańcem, od kościoła do kościoła przesłać. Wytłómaczywszy się najprzód z zarzutów sobie czynionych¹⁰³, przechodzi do sprawy interesującej teraz cały kraj, t. j. do kwestyi włościańskiej.

Ostrzega chłopów, by nie wierzyli podszeptom nieprzyjaciół kraju, starających się przez rozdwojenie rzucić kość niezgody”, zapewnia, że szlachta pragnie ich uwłaszczyć, że taki projekt powzięła na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa rolniczego.

103 Obrona ta, z uwagi na stan broniącego się, jest, tak pod względem formy, jak i tonu, bardzo niewłaściwa. „Stając w obronie mojego honoru, pisze ks. Myśliński, winienem przedewszystkiem najuroczyściej niniejszem zaprzeczyć, że przypisywane znaczenie słowom wzmiankowanego okólnika nie było moją myślą, a tem samem mam zasadę twierdzić, iż ono zostało wykrecone i naciągnięte, jak częstokroć i najobojętniejsze myśli mogą być opacznie tłómaczone, nicowane i o złą podejrzywane stronę. Lecz, wobec tak wielkich faktów, jakie się w ostatnich czasach dla naszej sprawy narodowej, jakoby niewidomą ręką Opatrzności dokonywają, milknąć powinna wszelka prywata, milknąć wszelki inny głos, chociażby tak ciężkiej boleści, jak moja; aby zespoleni jednym duchem i jednym sercem złączyć wspólnie braterskie dłonie przy odbudowaniu najświętszej sprawy i celu życia naszego. Bezwątpienia, zanim obraliśmy specjalny zawód w rodzinie społecznej, byliśmy wprzód Polakami, obowiązani kochać tę ziemię, na której dzienne ujrzeliśmy światło, a dla której z tego samego tytułu winniśmy bezustannie pracować, czuć i poświęcać się. Tego uczucia, stojącego się krwią życia, ogniskiem cnót chrześcijańskich, świętą wiarą naszą uświęconego, dziś i nigdy zapierać się nie mamy prawa; jak również lekkomyślnie toż uczucie o złą wiarę oskarżać lub dwójznacznie je sobie tłómaczyć jest to samo, co zadać ciężką ranę naszemu honorowi. W pierwszym razie byłoby podłością i zaparciem się własnej godności, w drugim jest nieprzyjaznym zamachem na starganie jedności narodowej, a przeto równą tamtej zbrodnią”. To ciągle wspomnianie o honorze swoim w ustach księdza jest nieprzystojnem. Samą odezwę można czytać w Liwickiego dziele „Aleksander Wielopolski”, w tomie drugim, gdzie ciekawych odsyłamy.

Do odezwy tej dołączony był drukowany wzór do nauki religijnej, jaką każdy proboszcz obowiązany był odczytać swym parafianom. W nauce tej główny nacisk jest położony na „złych ludzi, mających złe serce i zbrodnicze zamiary”, którzy starają się poróżnić między sobą „braci jednej ziemi”, rozsiewając wśród ludu kłamliwe wieści tak o wypadkach, zaszłych w Warszawie, jak i o „zamiarach panów względem włościan”. „I tak słyszałem— brzmi dalej nauka, — że powiadają wam, że panowie względem waszego dobra nie mają dobrych, czyli szczerych chęci, że się opierają dobrym zamiarom króla, jakie on ma względem was i że za to kazał do nich w Warszawie strzelać, skutkiem czego pięć osób zostało zabitych. Wierzcie mi, że to jest wierutne kłamstwo, a, co ja wam teraz mówię, jest prawdą, jak święta Ewangielia. Oto, widzicie, tak się rzecz ma. Rząd chciał was oczynszować, to jest, abyście z gruntów, jakie dziś uprawiacie i z nich odrabiacie pańszczyznę, opłacali czynsz, wasze dzieci i ich następcy. Panowie, tego roku zebrani w Warszawie na posiedzeniu rolniczem, o którym zapewne wiecie, postanowili jednozgodnie, w imieniu wszystkich obywateli z całego kraju, zamiast, co byście z gruntów wiecznie czynsz opłacali, gruntami tymi was uwłaszczyć, t. j. te same grunta sposobem skupu, rozdzielonego na pewną liczbę lat, np. na czterdzieści, na zawsze wam odprzedać”.

Wszystkie te okólniki, odezwy, nauki, dostając się do chłopca, bałamuciły go tylko i, zamiast uspokajać, niepokoiły jeszcze bardziej. W wielu miejscach kraju niepokój ten przybrał charakter wyraźnego rokoszu; przestano pańszczyznę odrabiać, a tu i owdzie, gdy ich chciano do tego zmusić, czynny opór stawiano. Był to konieczny i trujący owoc tej agitacji nierozważnej, zdrożnej i nieobmyślanej, jaką z jednej strony rząd, z drugiej szlachta i duchowieństwo rozpoczęło. W senne, martwe dotąd morze chłopskie rzucano kamień po kamieniu i od uderzeń tych tworzyły się zrazu małe, potem coraz większe fale, które, na szczęście dla Polski i jej historii, skonały u brzegu z głuchym pluskiem tylko.

Gdy się to wszystko działo w kraju, gdy nań, jak deszcz, spadały przeróżne okólniki i odezwy, w Warszawie tymczasem oburzenie na Muchanowa nie ukoilo się ani na chwilę. Jeżeli wśród ludności oburzenie to przybierało formę niczem nie ułagodzonej nienawiści, zupełnie zresztą usprawiedliwionej, to w sferach, otaczających Gorczakowa, wśród Enochów i Kotzebuów, nacisk na starego namiestnika był coraz silniejszy, by skończyć z nienawistnym „wezyrem”. Kotzebue twierdził, że Muchanow w Polsce całkiem nie jest potrzebny, ale raczej szkodliwy. Dwie bowiem, mówił, zająć mogą okoliczności: albo w Petersburgu zdecydują się na wystąpienie silne i stanowcze, na przywrócenie dyktatury wojennej i w takim razie rząd cywilny nie będzie miał znaczenia, o tyle oczywiście, o ile na jego czele nie będzie stał taki człowiek, jak Muchanow, który przez swą pychę, szorstkość i zuchwałstwo będzie tylko prze-

szkadzał władzy wojskowej; albo też rząd wejdzie na drogę ustępstw i w tym wypadku usunięcie Muchanowa stać się musi koniecznością nieuniknioną. Lepiej więc zaraz to zrobić, gdyż przez to, tę przynajmniej zyska się korzyść, iż zadość uczyni się uczuciu nienawiści powszechnej, jaką żywią Polacy do Muchanowa i tym sposobem może się umysły uspokoją. Gorczałow jednak wahał się, nie dlatego, żeby nie widział potrzeby usunięcia swego wezyra, ale dlatego, że był to krok stanowczy, krok zbyt śmiały, by niedołączny starzec mógł się nań odrazu zdecydować. Usiłował bronić Muchanowa i naturalnie bronił go bardzo słabo i nieudolnie. Przez Paulucciego przysłał zebranej w d. 21 Marca na sesję (czternastą z rzędu) Delegacyi odpowiedź, że ogół źle sobie tłómaczy okólnik, że wójtów gmin tylko przez pomyłkę w nim pominięto, że jednak zaraz to poprawiono i wójci zostali włączeni do cyrkularza, że „zresztą, oprócz zapowiedzianych reform, których ogłoszenie lada dzień może być spodziewanem, zajdą wkrótce zmiany, które zadowolnią opinią publiczną, okólnikiem niepokojoną”.

W słowach tych była niejako zapowiedź, że Muchanow prawdopodobnie zostanie poświęcony. Mimo to jednak Gorczałow wahał się jeszcze przez dwa dni, i bardzo być może, iż sprawa ta wlokłaby się dłużej przy znanym, niezdecydowanym charakterze namiestnika, gdyby w d. 22 Marca (w Piątek) nie nadszedł od cesarza telegram tej treści: „dymisią Muchanowa uważam za konieczną, nie w charakterze ustępstwa, ale dla własnego pańskiego pożytku”. Telegram ten prawdopodobnie wywołany był przez nacisk z Warszawy, może Kotzebuego, może innych, którzy, widząc wahanie się Gorczałowa, uciekli się do heroicznego środka i wprost całą sprawę przedstawili cesarzowi. Wystąpienie cesarskie rozstrzygnęło kwestyą odrazu. Aleksander, zostawiając namiestnikowi wolność nominowania kogo chce na miejsce Muchanowa, proponował tymczasowo Łaszczyńskiego, życzył jednak sobie, by stanowisko tak ważne zajmował Rosyanin. Na kuratorstwie Okręgu naukowego pragnął widzieć generała artylerji, Krzyżanowskiego¹⁰⁴. Wobec tak kategorycznego oświadczenia cesarskiego, wahać się już nie można było. Nazajutrz, dnia 23 Marca,

104 Przytaczamy w dosłownym przekładzie ten ważny telegram: „10 (22) Marca. Dymisią Muchanowa uważam za konieczną, nie w charakterze ustępstwa, ale dla własnego pańskiego pożytku. Zostawiam panu swobodę w obsadzeniu tego stanowiska. Proponuję tymczasowo Łaszczyńskiego, ale pożądanym jest Rosyanin, oddzieliwszy kuratorstwo naukowe, na które proponuję generała majora Krzyżanowskiego, człowieka wykształconego i zupełnie godnego zaufania (sowierszenno nadziejnago)”. Mylił się zatem Spasowicz, twierdząc, że jeszcze w Sobotę, d. 23 Marca, dymisią Muchanowa nie była postanowiona i że dopiero w południe tego dnia telegrafowano do Petersburga i około godziny drugiej otrzymano odpowiedź. Telegram cesarski, decydujący całą sprawę, nosi datę 10/22 Marca, a zatem w wigilią Soboty.

w Sobotę, o godzinie 3-iej po południu, Gorczakow wezwał do siebie nienawistnego „wezyra” i zakomunikował mu rezolucją cesarską. Wiadomość ta spadła na długoletniego tyрана Polski, na jej dokuczliwego kata, jak piorun. Nie spodziewał on jej się wcale; czuł się tak silnym, tak potrzebnym, tak koniecznym w tej Polsce, którą deptał, uciskał, okuwał w kajdany, że był przekonany, iż umrze spokojnie na swem krześle dyrektorskiem. Wprawdzie odjęto mu kuratorstwo szkolne, wiedział, że odbiorą mu zarząd spraw duchownych, ale ani na chwilę nie wątpił, że przy Komisji spraw wewnętrznych pozostanie i że po dawnemu będzie ciężką swą ręką rwał nici odrodzenia się kraju, minował go potajemnie i szkodził mu na każdym kroku.

Inaczej się jednak stało; upadł i upadł nagle, niespodziewanie i, jak to zaraz zobaczymy, haniebnie. W gabinecie namiestnika, w czasie rozmowy, zrobiło mu się niedobrze; wrócił do domu, nie myśląc jeszcze o wyjeździe z Warszawy, oddał tylko tymczasowo władzę nad Komisją w ręce Biernackiego, naczelnika jednego z wydziałów.

Gdy się to działo w Zamku, w mieście stronnictwo czerwonych, a raczej młodzież szkolna i rzemieślnicza, widząc, że Muchanow pomimo wszystkiego pozostaje zawsze na urzędzie, postanowili po swojemu zemścić się na nim za okólnik z 19 Marca. Tego samego dnia, w którym „wezyr” wrócił od namiestnika chory, zdenerwowany, z bólem głowy do swego mieszkania w pałacu Mostowskich, zebrał się nad wieczorem ogromny tłum, zbiegowisko wszelkiego rodzaju ludzi, przed tymże pałacem, i wśród krzyków i łajania ogłuszających rozpoczęło upadłemu tyranowi wygrywać t. z. kocią muzykę. Nadbiegła przeciw straż obywatelska zmusiła piszczących grajków i publiczność do rozejścia się, ocalając od wybicia okna w mieszkaniu dyrektorskiem. Fakt ten zdawał się dowodzić, że pobyt tego ostatniego w Warszawie nie jest bardzo bezpieczny, i wskutek tego w Zamku zdecydowano się zrobić mu prawdziwie niedźwiedzią przysługę. Wysłano niezwłocznie rozkaz do zarządu drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, żeby przygotowano dla upadłego ministra nadzwyczajny pociąg na godzinę 9-tą wieczorem, z Warszawy do granicy austryjackiej. Wieść o tem natychmiast rozbiegła się po mieście; zresztą w Zamku nieprzyjaciele Muchanowa, których ten szorstki, źle wychowany i nadzwyczaj nietaktowny człowiek miał bardzo wielu, nie ukrywali tego wcale, że dostał on dymisy; owszem teraz, ze zwykłą duszom małym i nikczemnym mściwością, nie szczędzili upadłej wielkości drobnych i dokuczliwych ukłóc. Rozgłosili więc jego dymisy, posłali dlań zamówić osobny pociąg w tym jedynie celu, by mu na dworcu kolei wyprawiono kocią muzykę; wytłómaczyli nakoniec namiestnikowi, że dłuższy pobyt w Warszawie Muchanowa, może być nietylko dla niego samego niebezpieczny, ale co ważniejsza, wywołać poważne w mieście

zaburzenia. Na skutek tego Gorczakow, jak zawsze ulegający wpływowi tych, którzy umieli się doń wziąć, wezwał jeszcze raz do siebie „wezyra”, posławszy po niego własną karetę, o godz. 7-ej wieczorem. Nastąpiło ostatnie widzenie się tych dwóch ludzi, którzy przez kilka lat z kolei rządili Polską. Co między sobą mówili, niewiadomo, dość, że Muchanow wrócił do siebie strasznie zirytowany, naprędce zaopatrzył się w pieniądze, zapakował nieco rzeczy, i ruszył w powozie najętym z żoną, młodą Polką¹⁰⁵, drżącą z obawy i przerażenia, przez nikogo nie żegnany, wymykając się potajemnie, wszechwładny przed chwilą pan Polski. Nie pojechał jednak na dworzec kolei w Warszawie, ale drogami bocznymi, wśród roztopów i błota, wśród ciemnej nocy marcowej, na pierwszą stacją od Warszawy, do Pruszkowa. Straszny i pouczający przykład dla wszystkich małych tyranów!

Ucieczka ta była konieczną. Wiadomość o dymisji Muchanowa rozposzechniła się z niezmierną szybkością po mieście. Do resursy kupieckiej przyniósł ją pierwszy Kraszewski. Tam przyjęto ją hucznie oznakami radości; na ulicach zaś młodzież gotowała się pożegnać upadłego wielkorządcę kocią muzyką. Na dworcu kolei, o godz. 9-tej, zebrał się bardzo liczny tłum¹⁰⁶ ludu wszelkich stanów, płci i wieku, przeważnie jednak uczniowie szkół i rzemieślnicy i powitano wyruszający pociąg kamieniami, świstem, przeraźliwą grą piszczałek i katarynek. Trwało to dość długo, aż dopiero wychylił się z jednego z wagonów konduktor i zawołał: „ależ na miłość Boską, panowie, tu niema Muchanowa, ja tylko jestem!” Oświadczenie to przyjęto ogólnym śmiechem i z odgłosem tego śmiechu, wśród brutalnych wymyślań i obelg na Muchanowa, tłum się rozszedł spokojnie. Ale nie miała ominąć tyrana gorzka dola wszystkich upadłych i znienawidzonych wielkości.

Wiadomość o jego podróży rozniosła się z nadzwyczajną szybkością na całej linii kolei warszawsko-wiedeńskiej, do czego zapewne przyczyniła się służba kolejowa i już w Pruszkowie powitano przybywającego eksdygnitarza kocią muzyką, co się powtarzało na każdej prawie stacji. W Skierniewicach obrzucono wagon, w którym jechał, takim gradem kamieni, że wybito w nim wszystkie okna. W Dąbrowie górniczej, gdzie pociąg zatrzymał się przeszło godzinę, musiał Muchanow przez cały ten, dla niego nieskończenie długi czas, wsłuchiwać się w przeraźliwy gwizd dwóch lokomotyw, umyślnie w tym celu sprowadzonych i patrzeć, jak ponuro i nieprzyjaźnie na niego spogląda i sztydzi tłum robotników, tłoczący się koło pociągu. Tak mścił się naród na tyranie, który przez sześć lat z rządu usiłował wydrzeć mu to, co stanowi naturalny

105 Była to druga jego żona, z domu Jarmundówna, wdowa po senatorze Łubieńskim.

106 P. P. Karcew, autor rosyjskich wspomnień p. t. „Warszawa w 1860—61 r.”, drukowanych w „Ruskiej Starinie” z r. 1882, oblicza tłum na dwa do trzech tysięcy.

i nieodłączny atrybut każdego życia społecznego, jego narodowość i religią. Zemsta może nieszlachetna, ale zupełnie zasłużona.

Namiestnik, dowiedziawszy się o tem wszystkim, nakazał śledztwo, które jak wszystkie śledztwa w tej porze, do niczego nie doprowadziło i winnych nie znalazło¹⁰⁷. Kogóż tu zresztą trzeba było karać? chyba wszystkich, cały z małym wyjątkiem naród, który w ten sposób mścił się na długoletnim swoim dręczycielu. Nakoniec w Zamku pocieszano się tem, że opinia przyjęła dymisyą Muchanowa z niesłuchaną radością, jak również szereg innych dymisji, które zaraz potem nastąpiły. Łaszczyński mianowicie, jako kurator Okręgu naukowego, uwolnił znieawidzonego powszechnie Adama Plewego, naczelnika wydziału oświecenia. Był to człowiek zły, płaszczący się, karyerowicz, Żmudzin rodem, który, przybywszy do Warszawy, jako nauczyciel języka rosyjskiego, stał się z czasem prawą ręką Muchanowa. Na jego miejsce powołał nowy kurator zaszczytnie znanego w naszej literaturze krytyka i tłumacza tragiców greckich, uczonego Kazimierza Kaszewskiego. Dostał również dymisyą, jako członek senatu, głośny Pawliszczew, autor fałszywej historii polskiej, nieprzejednany wróg Polaków i Polski. Wszystkie te dymisyje przyjęto bardzo dobrze i, gdyby na oczy ogółu polskiego nie padła była w tę porę straszna mgła fantasmagoryi, byłby w nich widział zadatek i zapowiedź lepszych czasów. Tegoż samego dnia nakoniec, w którym Muchanow wśród świstu, gwizdań i wrzawy kocich muzyk, ścigających jak furye tego nowego moskiewskiego Oresta, opuszczał kraj, z kancelaryi namiestnika rozesłano nowy okólnik do gubernatorów (za Nr. 212 z dnia 11/23 Marca 1861 r.), w którym zmienione zostały rozporządzenia muchanowowskie. Odsunięto mianowicie chłopów od pełnienia po wsiach służby policyjnej i polecano, „ażeby wszelkie środki, zmierzające ku zachowaniu publicznego porządku i bezpieczeństwa, były tylko przez zwykłe organa policyjne, t. j. burmistrzów, wójtów gmin i sołtysów wykonywane”; zabraniano zatrzymywania przejeżdżających i nakazywano, „aby władze policyjne w stosunkach swoich z włościanami nie przedsiębrały żadnych środków, któreby mogły tamować dobrowolne ich układy z właścicielami dóbr o oczynszowanie na zasadach postanowienia Rady administra-

107 Górczakow, doniósłszy cesarzowi w d. 23 Marca o dymisji Muchanowa, pisał w dwa dni potem, co następuje: „13 (25) Marca. Dnia 23 b. m. uwolniłem Muchanowa zagranicę. Pierwszą ztąd stacyą przejechał w karecie, a dalsze koleją żelazną, nadzwyczajnym pociągiem, o godzinie dziewiątej wieczorem. Na stacyi warszawskiej nagle zbiegło się bardzo dużo ludzi. Nie znalazłszy go, wiele krzyczeli, rozbili kilka okien w pociągu i zaraz potem się rozeszli. Prawie na wszystkich innych stacyach powitano go gwizdaniem. Z tego powodu zarządziłem śledztwo. Czy rozkaże W. C. Mość przyjechać teraz Muchanowowi do Petersburga? O nominacyi na stanowisko Dyrektora Komisji Spraw Wewnętrznych wkrótce doniosę. Będę działał w myśl listu z d. 8 (20) Marca”. Ks. Górczakow.

cyjnej z r. 1858". Tym więc sposobem zapobieżono stanowczo złym skutkom, jakie mógł wywołać cyrkularz Muchanowa¹⁰⁸.

Radość, jaką czuł każdy, kto dobrze krajowi życzył, z upadku znienawidzonego satrapy, zmniejszyła się znacznie wskutek wiadomości, że Delegacja obywatelska została przez rząd rozwiązana. Tego nieuniknionego końca „polskich czasów” wszyscy ludzie rozsądni, wszyscy, którzy znali rząd rosyjski, oddawna się już spodziewali. Widzieliśmy, z jaką niechęcią patrzył Gorczakow i otaczająca go klika wojskowa na istnienie Delegacji, i jeżeli pozwalali jej zbierać się w ratuszu, pisać protokoły, ganić postępowanie rządowe, wywierać na koniec pewien wpływ na miasto, być jego władzą moralną, to tylko dlatego, że widziano w niej hamulec, tarczę przeciw straszniemu powstaniu ludowemu i krwawej walce ulicznej. W każdym jednak razie rozwiązanie z wielu względów niewygodnej i kompromitującej Delegacji obywatelskiej leżało w najbliższym programie rządowym i czekano tylko, albo na sposobność jaką, albo wprost na chwilę, w której dałoby się to spokojnie i bez wstrząśnień uskutecznić. W Petersburgu zwłaszcza nie rozumiano, nie umiano sobie w ogólności wytłómaczyć stanowiska Delegacji i nalegano bardzo wcześnie, bo już w pierwszej połowie Marca, o jej rozwiązanie. Gorczakow wszelako, drżący przed widmem powstania i barykad, bronił jej jak mógł, pisał, że „Delegacja nie ma żadnej władzy urzędowej, że patroli na miasto nie wysyła, że tylko przyczynia się do uspokojenia miasta przez osobisty wpływ na obywateli” i t. p. Wycieczka atoli Giecewicza do Petersburga, zdaje się, bardzo źle wpłynęła na losy Delegacji. Zaraz po jego przybyciu nad Nową cesarz d. 18 Marca pytał się telegrafem: „czy Delegacja została rozwiązana? Uważam ten krok za konieczny, jak również zakazanie wszelkich klubów i tym podobnych zgromadzeń”. Na to Gorczakow odpowiedział prośbą utrzymania jeszcze na jakiś czas tego ciała, gdyż ono, pisał, „w obecnej chwili jest bardzo pożyteczne, niedopuszczając demonstracji”. Na nic się to jednak nie zdało; już w parę dni potem, 21 Marca, cesarz zażądał rozwiązania Delegacji. „Dalsze istnienie

108 A. Giller w kilkakrotnie już cytowanych „Dziejach Delegacji” utrzymuje, że Muchanowa obalili członkowie Komitetu Tow. rol., Delegacja i opinia publiczna. „Wspólnym kilkudniowym usiłowaniami ich (członków Tow. rol.) i członków Delegacji udało się wreszcie wysadzić z Warszawy Muchanowa”. W innym miejscu znowu powiada: „był to niemały tryumf opinii i sprawiedliwości”. Twierdzenie takie jednak niczem nie jest uzasadnione. Muchanowa nie Komitet Tow. rol., nie Delegacja, ani opinia publiczna obaliła, bo kto zna rząd rosyjski, ten wie dobrze, że nigdy on się nie liczył z opinią polską. Towarzystwo rolnicze i Delegacja były zanadto nic nie znaczące w oczach rządu instytucje, by im miał kłaść na ofiarę takiego sługę swego, jak Muchanow. Wielkiego wezyra warszawskiego obalili Enoch i Kotzebue i ze sprawą tą, zdaje się, jest w pewnym związku podróż Giecewicza do Petersburga.

Delegacyi, pisał, uważam stanowczo za szkodliwe i dlatego żądam, żeby ona niezwłocznie została rozwiązana”. Był to oczywiście wyrok nieodwołalny, któremu Gorczakow oprzeć się nie mógł bez narażenia siebie samego. Odrzekł więc cesarzowi, że nazajutrz rozwiąże Delegacyą.

Nazajutrz atoli, d. 22 Marca, w chwili, gdy się losy Muchanowa ważyły, namiestnik, swoim zwyczajem odkładania kroków decydujących na jutro, Delegacyi nie rozwiązał, ale oznaki blizkiego końca już się okazywać zaczęły. O godzinie 12-ej w południe, namiestnik wezwał do siebie prezesa Delegacyi Paulucciego, oraz członków Lewińskiego, Kronenberga, Rosena i Szlenkiera, i wyraził im podziękowanie i wdzięczność za utrzymanie spokojności publicznej, że jednak dalsza działalność Delegacyi odtąd ustać musi i jest całkiem niepotrzebną. Namiestnik wszelako nie wątpi, że członkowie, którzy to ciało składali, używać będą i nadal swego znaczenia i wpływu w duchu uspokojenia ludności. Oświadczenia tego delegaci wysłuchali kwaśno i chmurno i, trzymając się raz na zawsze przyjętej taktyki, odpowiedzieli, że wpływ każdego z nich, pojedynczo wzięty, niewiele znaczy, a prywatne zabiegi, z natury swojej mając bardzo ograniczone pole działania, rozbić się muszą o gwałtowność i energią ruchu. Gorczakow, czując aż nadto dobrze prawdę tych słów, w gruncie rzeczy przeciwny zniesieniu Delegacyi, pod której skrzydłami zdawało mu się, że spać przynajmniej spokojnie może, wszelako nie mogąc sprzeciwić się wyraźnemu rozkazowi cesarskiemu, wpadł na pomysł istotnie oryginalny. Chciał on utrzymać Delegacyą w zmienionej formie i nazwie i w tym celu przedstawił jej członkom kilka projektów, które ci jednak odrzucili, uważając je za niezgodne ze swą powagą i krępujące mocno ich samodzielność. Nakoniec zgodzono się na to, by Delegacya. w liczbie członków znacznie zmniejszonej, bo tylko ośmiu, zasiadała dalej w magistracie pod nazwą Wydziału tymczasowego obywatelskiego. Wydział ten miał zachować wszystkie dotychczasowe prawa Delegacyi, namiestnik zastrzegł sobie tylko, by protokoły posiedzeń nie były komunikowane publiczności w resursie. Ta forma wydała się Gorczakowowi najodpowiedniejszą; zdawało mu się, że i wilk będzie syty i koza cała. Przed cesarzem łatwo wytłómaczyć tę nową Delegacyą jako formę przejściową do przyszłej Rady municypalnej, dla miasta zaś zawsze to będzie ta sama Delegacya, tylko nieco szczuplejsza, co zresztą rzeczy nie zmienia.

Wiadomość o tem wszystkim zanieśli wezwani do namiestnika, swoim kolegom i wieczornemu zebraniu w resursie. Odczytano tu protokół rozwiązania i uchwalono, ażeby dołączyć do niego projekt ustawy municypalnej, jaki w głównych zarysach zaznaczony już był na jej dziewiątym posiedzeniu d. 13 Marca. Projekt ten, ułożony przez prawników: Henryka Krajewskiego, Dominika Zielińskiego, Leona Trzetrzewińskiego, oraz dwóch jeszcze osób

zaproszonych, a mianowicie: Norberta Jeski i Jana Kantego Wołowskiego, był wyłącznie na to obmyślany, by policja w mieście nie stanowiła osobnej instytucji, ale podlegała Radzie municypalnej i prezydentowi. Jakoż nazajutrz, na ostatniem swem posiedzeniu (piętnastem z rzędu), projekt ten dołączono do protokołu. Wejść on oczywiście w wykonanie nie mógł, gdyż rady municypalne, objęte szeregiem reform, wyjednanym w Petersburgu, na innych były oparte podstawach.

Na sesji tej (d. 23 Marca), Delegacja wybrała z pomiędzy siebie ośmiu członków, którzy zasiadać mieli w nowo utworzonym Wydziale obywatelskim, a mianowicie: Jakóba Lewińskiego, ks. Józefa Wyszyńskiego, Henryka hr. Potockiego, Ksawerego Szlenkiera, Dra Tytusa Chałubińskiego, Stanisława Hiszpańskiego, Henryka Krajewskiego i Bera Mayzelsa. W końcu rozwiązująca się Delegacja jeszcze raz uroczyście w protokóle prosić poczęła namiestnika, żeby zadecydował o losie tych wszystkich osób, które dotąd więzione są w cytadeli i dziękowała, że pozwolił jej przez parę z rzędu tygodni działać wśród tak ważnych dla kraju wypadków; zapewniała, że i dalej, o ile to w mocy będzie jej pojedynczych członków, nie przestanie ona oddziaływać na współobywateli, żeby zachowali zawsze tę samą godność i umiarkowanie, jakim dotąd się odznaczyli.

Współcześnie ze zniesieniem Delegacji, z Petersburga domagano się od Górczakowa, by władzę policyjną odebrał od Paulucciego, kokietującego z rewolucją, a powierzył ją nowo mającemu się zamianować oberpolicmajstrowi. Cesarz zostawiał namiestnikowi co do tego zupełną swobodę i proponował jego adjutanta Mezencowa. „Ja sam chciałem Mezencowa, pisał Górczakow, naznaczyć na miejsce Trepowa, ale przez wszystkie dni demonstracyi posyłałem go wszędzie tam, gdzie zachodziły nieporządki i odtąd nienawidzą go wszyscy, nazywając katem”. Chciał dozór nad policją powierzyć jakiemuś Kroińskiemu, którego bliżej nie znamy; wahał się jak zawsze, jak wszędzie. Cesarz tymczasem d. 20 Marca stanowczo zażądał, przy pomocy swego zwykłego „trebuj”, by oberpolicmajster został mianowany. Z właściwą sobie pogardą i lekceważeniem uczuć i opinii publicznej polskiej, pisał, że nazywanie Mezencowa katem, wcale nie powinno być przeszkodą do zrobienia go naczelnikiem policji warszawskiej. Domagał się także, by z posady generał-gubernatora został usunięty Paniutyn i na jego miejsce proponował niejakiego kniazia Urusowa, człowieka z energią i znanego namiestnikowi. W rezultacie, d. 21 Marca, Górczakow mianował oberpolicmajstrem pułkownika Rozwadowskiego, Polaka, wcale nieznanego miastu, dowódcę pułku sibirskiego piechoty. Starał on się o uzyskanie popularności i w parę dni po swej nominacyi opublikował przez gazety rozkaz do policji, ażeby grzecznie obchodziła się z publicznością i prosił tę ostatnią, by mu donosiła o każdym brutalstwie policji.

Wiadomość o zniesieniu Delegacyi w ogólności nie podobała się i jak najgorzej została przyjętą. Wzburzenie widocznie z każdą chwilą wzrastało. Rozpoczynające się ferye świąteczne wielkanocne pozwoliły młodzieży szkolnej oddać się całkowicie ruchowi rewolucyjnemu; przybywający studenci z Petersburga, Moskwy i Kijowa rzucili się z zapalem w wir awantur wszelkiego rodzaju, starali się ożywić usypiające, jak mówili, miasto. Jakoż zaraz dało się to poznać. Dnia 25 Marca, w Poniedziałek, t. j. w tym samym dniu, w którym w Petersburgu odbywała się u cesarza walna rada i decydowały się losy reform, staraniem „smarkaczy” i młodzieży uczącej się, udało się zebrać w Ogrodzie Saskim znaczny tłum, około tysiąca osób, które ruszyły przed gmach teatru, gdzie mieszkał osławiony generał Abramowicz, za czasów Paskiewicza oberpolicmajster miasta, a obecnie prezes teatrów rządowych. Niegdyś oficer wojsk polskich, ułan, który znalazł w r. 1812 bród na Berezynie i ocalił szczątki wielkiej armii Napoleona, niecny później donosiciel ks. Konstantemu, tyran, dziki zwierz, grubijanin w obejściu, policzkujący własnoręcznie więźniów, plujący w twarz kobietom, napastujący ludzi na ulicach, wymyślający brutalnie baletnicom i aktorkom, bijący je szpicrutą, dusza mała i nikczemna, był osobistością powszechnie znienawidzoną i powszechnie wzgardzoną. Teraz chciano mu za wszystko zapłacić, zemścić się za długoletni terrorizm policyjny, jakim gnębił ten zły i zdemoralizowany do gruntu człowiek przez kilkanaście lat miasto. Zagrano mu kocią muzykę, obrzucono okna kamieniami, wybito wszystkie szyby. Jak każdy człowiek okrutny i zły, Abramowicz był tchórzem. Słyszając krzyki, obelgi, świst kamieni, brzęk tłuczonych szyb, schował się trzęsąc ze strachu w najskrytszy kąt sypialni, gdy zaś tłum się oddalił, posłał po wojsko, napełnił niem sale teatralne dla swej obrony i pobiegł do Gorczakowa na skargę. Tłum tymczasem nacieszywszy się kocią muzyką u Abramowicza, pociągnął do mieszkania Enocha i także wyprawił mu taką samą serenadę, co już miało charakter wyraźnej swawoli i nadużycia. Jeżeli bowiem nikczemny z gruntu, zły, rozpustny drobny tyran, jakim był Abramowicz, zasłużył na wszelkiego rodzaju objawy pogardy publicznej, to nigdy Enoch, który zapewne nie był w znaczeniu rewolucyjnym dobrym Polakiem, ale był za to, co jest stokroć ważniejszem i niezmiernie u nas rzadkiem, rozumnym obywatelem kraju. I takiego człowieka garść smarkaczy, uliczników, studentów uciekających od książki, oddawała na wzgardę publiczną! Złe i smutne to czasy, w których się takie niesprawiedliwości dzieją, w których dzieci i ulica rządzi i kieruje nawą narodową.

Tymczasem gdy się to dzieje, w Zamku przerażony Abramowicz wytacza przed namiestnika swą skargę. Tam już oczywiście wiedziano o kocich muzykach i niepokoju w mieście, i Gorczakow zawsze widząc jedyny ratunek w Delegacyi, przekonany, że jej rozwiązanie wywołało to co się dziś dzieje, posłał co prędzej po Lewińskiego, Kronenberga i Zielińskiego, żeby radzili co czynić

należy. Nadmienić tu wypada, że poprzednio, tego samego dnia, Wydział obywatelski odbył w ratuszu o godz. 2-giej po południu pierwsze swe posiedzenie pod prezydencją generała Lewińskiego. Sesa ta była jednym długim protestem przeciw rozwiązaniu Delegacji. W protokóle wyraźnie zaznaczono, że Wydział zebrał się tylko w tem przekonaniu, iż będzie czuwał nad porządkiem i bezpieczeństwem w mieście, że nie później jak w 24 godziny uwiadomiony zostanie o aresztowaniu kogokolwiek w mieście, przyczem winny być wyjaśnione powody tego aresztowania; że policya uprzedzi Wydział zawsze, ilekroć przedsięweźmie jakie niezwykle środki, że straż obywatelska pełnić będzie dalej swe funkcje policyjne. Zaznaczono dalej, że zmiany zasze w składzie Delegacji i jej formie wywarły bardzo złe wrażenie w mieście, że chcąc temu zapobiedz, należy przywrócić Delegacją w całej jej rozciągłości. „Ze swej strony Wydział obywatelski, brzmi w końcu protokół, zgadzając się z opinią publiczną, mniema także, iż przywrócenie Delegacji w jej składzie poprzednim, najkorzystniejby oddziało teraz na uspokojenie się umysłów. Jeżeli zaś w widokach rządu jest koniecznem ograniczenie liczby członków Delegacji, to przynajmniej pożądanemby było, żeby ci ostatni zasiadali w Wydziale obywatelskim kolejno, w komplecie ośmiu osób, z zupełną jawnością swych czynów, gdyż w razie przeciwnym, moralny wpływ Wydziału obywatelskiego napotka nieprzełamane przeszkody”. Było to więc wyraźne domaganie się, by Delegacja została przywróconą i opinia ta stanowczo była przyjętą przez wszystkich członków tego ciała, których rola tak dotąd piękna, już się skończyła, i której, w swej ambicyi filisterskiej, szczerze żalowali. Przekonani oni zresztą byli, że wcześniej czy później, rząd znowu do nich będzie się musiał uciec, i kto wie czy dzisiejsze kocie muzyki nie były umyślnem niejako tej chwili przyspieszeniem.

Jakoż, wezwanie do Zamku trzech członków dawnej Delegacji przekonywało, że nadzieje delegatów ziściły się w zupełności, i daleko prędej, niż się tego spodziewać można było. Oprócz namiestnika, trzech wezwani zastali nieuniknionego generała Kotzebuego, oberpolicmajstra Rozwadowskiego, Abramowicza, a później Enocha, który wysłuchawszy kociej muzyki, przybył także do Zamku widocznie wzruszony i zgniewany. Dyskusya wywiązała się bardzo żywa, nieraz nawet gorzka i namiętna. Kotzebue i Abramowicz domagali się natychmiastowego zniesienia Delegacji, rozwinięcia sił wojskowych, ogłoszenia stanu oblężenia, jednym słowem represyi militarnej, która sama jedna, według nich, mogła utrzymać zachwiany mocno porządek w mieście i kraju. W ten sposób postawiona kwestya stawała się daleko ważniejszą i o wiele niebezpieczniejszą. Trzej członkowie mieli teraz do obrony nie tylko egzystencją samej Delegacji, a raczej Wydziału, ile całego kraju przed rządami wojskowymi, wszędzie straszonymi, a cóż dopiero wśród generałów rosyjskich, małych prokonsulów z tatarską

zaprawą, dzikich i okrutnych w gruncie rzeczy, pomimo pokostu cywilizacyjnego. Delegaci bronili się dzielnie. Na zarzut Gorczakowa, że nie powstrzymali ulicznych awantur w sobotę na dworcu kolei, a dziś przed teatrem, odpowiedzieli, że od dwóch dni już nie urzędują, że właśnie nie co innego, tylko rozwiązanie Delegacyi i ograniczenie liczby osób, mających składać wydział, jest jedną z przyczyn niepokojów. Gdyby Delegacya istniała w dawniejszej formie i składzie, Muchanow mógłby był spokojnie sięść do wagonu na stacji warszawskiej, generał Abramowicz spać słodko w gmachu teatralnym i marzyć o baletnicach. Argumentacya ta zdawała się przekonywać Gorczakowa i w rezultacie, po nader ożywionej dyskusyi, zgodził się na to, by Wydział obywatelski użył wszelkich środków, jakie uzna za stosowne, dla uspokojenia miasta¹⁰⁹.

Tryumfujących ze swego nowego zwycięstwa, które niestety! nie miało już być długotrwałem, delegatów, w chwili gdy opuszczali Gorczakowa, dogonił na schodach Abramowicz i nie mogąc pohamować uniesienia i złych przyzwyczajęń małego tyrana, począł im czynić gwałtowne wyrzuty i wprost oskarżał ich, że nie kto inny tylko oni są przyczyną despektu, jaki go spotkał. „Mam w teatrze, wołał, stu sześćdziesięciu żołnierzy i gdy kanalia przyjdzie znowu przed moje mieszkanie, każę strzelać pomimo zakazu namiestnika”.

Delegaci wysłuchali tego w milczeniu, z uczuciem pogardy dla tchórza, który pokrywał gniewem i uniesieniem strach, jakim go przejmowały wypadki¹¹⁰ i wróciwszy do resursy kupieckiej, zwołali tam wszystkich członków dawnej Delegacyi i uchwalili, że odtąd sesye mają się odbywać w dawnej formie i przy dawnym składzie, że straż obywatelska ma dalej pełnić swe obowiązki, że każdy z jej członków ma być zaopatrzony w bilet z napisem „straż obywatelska” i nakoniec, że ma być wydana odezwa do mieszkańców Warszawy, wzywająca ich w imię miłości kraju do zachowania spokoju. O tych uchwałach Delegacya tegoż jeszcze dnia zawiadomiła przez swych członków J. Keniga i M. Rozena, oberpolicmajstra Rozwadowskiego, który oczywiście, po tem co mówiono w Zamku, zgodzić się na wszystko musiał.

109 Zdaje się, że w tym czasie, jeżeli nie dniu, Gorczakow pod wpływem Kotzebuego i Zabołockiego, o mało nie ogłosił w Warszawie stanu oblężenia. Pewnego wieczoru nawet, jak zapewnia N. Berg w „Russkiej Starinie” z r. 1881, który tę wiadomość miał od samego Kotzebuego, Gorczakow kazał wydrukować taką ilość egzemplarzy obwieszczenia o stanie wojennym, ilu było właścicieli domów w mieście, żeby nikt nie mógł się tłumaczyć niewiadomością nowych przepisów. Gdy atoli nazajutrz zebrali się w Zamku różni dygnitarze i generałowie dla otrzymania instrukcyi, namiestnik oznajmił, że po zastanowieniu się przyszedł do przekonania, że ogłoszenie stanu wojennego wcale nie jest potrzebne. Na to wszyscy zebrani w milczeniu się skłonili i wyszli.

110 Abramowicz wkrótce potem musiał opuścić stanowisko prezesa teatrów i wyniósł się do Łazienek, gdzie zamieszkał jako zarządzający pałacami cesarskimi.

Tymczasem usiłowania te, o których zresztą najliczniejsza sfera ludności warszawskiej, dostawiająca główny kontynges wicherzycieli, gotowych do zaburzeń ulicznych, nic nie wiedziała, nie miały przynieść żadnego pożytku. Studenci, uczniowie gimnazjum, czeladnicy i terminatorzy rzemieślniczy, mnóstwo nakoniec ludzi nieokreślonych zajęć, próżniacy i szlifibruki, którymi każde wielkie miasto jest przepelnione, zbyt zasmakowali w awanturach ulicznych, w kocich muzykach i wybijaniu szyb, by mieli za jednym razem pozbyć się tej przyjemności. Pomimo więc, że po wczorajszych nieporządkach przed teatrem i mieszkaniem Enocha, wszyscy ludzie rozumniejsi potępili je bezwzględnie, nazajutrz, we Wtorek, miały się powtórzyć takie same sceny. Już od rana pojawiały się tłumy najróżnorodniejszej zbieraniny, kierowane przez nieznanomych dowódców, przebiegały ulice z krzykami i narzędziami przeznaczonymi do odgrywania kociej muzyki. Na cmentarz Powązkowski ni ztąd ni zowąd rozpoczęła się formalna pielgrzymka.

Zebrało się mnóstwo ludzi koło grobu poległych, osypało go kwiatami i wieńcami, wśród łez kobiet, zakłęk i wymyślań na Moskali. Po południu przed mieszkaniem znieawidzonego cenzora ksiąg żydowskich a zarazem dyrektora szkoły rabinów, Tugendholda, mnóstwo żydów, podburzonych przez nieznaną rękę, zebrało się, odegrało piskliwą kocią muzykę i wybiło wszystkie szyby w oknach. Tegoż dnia miały nastąpić inne tego rodzaju objawy „pogardy publicznej”, jak mówiono, ale przecież straż obywatelska wzięła się do rzeczy czynnie, rozpuściła zbiegowiska i nie dopuściła dalszego ciągu zamierzonych awantur. Nazajutrz we Środę wprawdzie kocich muzyk już nie było, ale zato bardzo liczny tłum zebrał się przed kościołem Bernardynów i śpiewał jakąś nowo utworzoną litanią, na wzór suplikacyi, w której każda zwrotka kończyła się słowami: „od Moskali wybaw nas Panie!”

Gorczałow przerażony tem, widząc, że nawet przywrócenie Delegacyi nie wpływa na uspokojenie miasta, wobec zbliżającej się Wielkiej Środy, na którą jakoby zapowiadano nową manifestaę, postanowił uciec się jeszcze do jednego środka, który, zdawało mu się zgodnie z twierdzeniem Enocha, powinien oddziaływać na mieszkańców. Otrzymałszy dnia 25 Marca depeszę telegraficzną od cesarza, że koncesye zostały zatwierdzone i że ukaz o nich wysłany będzie nazajutrz wraz z Płatonowem i Karnickim¹¹¹, zażądał d. 26, by mu cesarz pozwolił ogłosić treść koncesyi¹¹².

111 Cesarz pisał: „Projektu Wielopolskiego nie mogę przyjąć w jego całości. Na podstawie przyjętych uchwał będzie wydany ukaz, który podpiszę i wyślę do pana jutro lub we Środę z Płatonowem i Karnickim”.

112 „Koniecznien trzeba jutro, pisał, ogłosić o utworzeniu Komisyi rządowej spraw duchownych i oświecenia publicznego i o naznaczeniu jej dyrektorem Wielopolskiego, jak również streszczony program łask. Proszę o decyzję w tej mierze”.

Gdy przysłała odpowiedź tegoż dnia zgadzająca się na to żądanie, zaraz nazajutrz ukazało się w gazetach streszczenie koncesyi, a mianowicie: że w miejsce Okręgu naukowego warszawskiego i wydziału duchownego w Komisji spraw wewnętrznych, ustanowiona zostaje Komisya rządowa wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Dyrektorem głównym prezydującym w tej Komisji mianowany Aleksander hr. Wielopolski, margrabia Myszkowski z miejscem w Radzie administracyjnej Królestwa. Postanowiona ogólna reforma szkół i utworzenie wyższych zakładów naukowych a między nimi i szkoły prawa; ustanowienie Rady stanu Królestwa, do składu której wchodzi dygnitarze duchowni i znakomici obywatele kraju; ustanowione zostają po guberniach Rady z wyborów, oraz także rady po powiatach i urzędy municypalne w mieście Warszawie i w główniejszych miastach Królestwa.

Wkrótce potem ogłoszony został sam ukaz cesarski. Zaczyna się on od zwykłej formuły, mówiącej o „ciągłej troskliwości o dobro poddanych naszych Królestwa Polskiego” i określa bliżej reformy stanowiąc, że w Radzie stanu oprócz dyrektorów Komisji rządowych, zasiadać ma także jako członek z urzędu prezes Najwyższej izby obrachunkowej. Celem przedstawienia objaśnień co do wniesionych pod rozbiór Rady stanu projektów prawa, rząd wyznaczać będzie delegatów. Co do Rad gubernialnych ukaz powiada, że zwoływane one będą raz do roku, i że dzień zebrania i czas trwania obrad, oznaczone będą w akcie zwołania. Do rad municypalnych należeć ma zarząd gospodarczy miasta, ułożenie i przedstawienie do zatwierdzenia przez rząd etatu dochodów i wydatków miasta, zewnętrzne upiększanie miasta, dozór nad miejskimi instytucjami publicznymi i t. p.

Współcześnie z ogłoszeniem tych reform, namiestnik wystąpił ze swej strony z odezwą do „mieszkańców Królestwa”, w której mówi o instytucjach nadanych przez monarchę i „nadających nowy rozwój pomyślności narodu”. „Mieszkańcy Królestwa, powiada dalej, ocenią należycie te wszystkie łaski swego monarchy, którego wspaniałomyślnych dążeń nie powstrzymały nieporządki wydarzone w Warszawie. Znając wierność poddanych swych Królestwa, odróżnił on ich od garści szkodliwych ludzi, którzy nieporządki te wywołali. Wszystkie stany odpowiedzą zaufaniu temu Jego C. K. Mości szczerą wdzięcznością, zachowaniem zupełnej spokojności i porządku. I niechaj ten dzień uroczysty stanie się nowym zadatkiem pomyślności kraju pod mądrymi i wspaniałomyślnymi rządami cesarza i króla Aleksandra II-go”.

Odezwa ta pozbawiona wszelkiej podnioslejszej myśli, usiłująca odróżnić „szkodliwych ludzi”, którzy wywołali nieporządki, od reszty kraju, w chwili gdy ten kraj jedność myśli i dążeń swoich starał się na każdym kroku zaznaczyć; nazywająca Polaków „mieszkańcami Królestwa”, jak gdyby lękała się wymówić przy-

rodzone nazwisko narodowe — w ogóle wywarła złe wrażenie. Członkowie zniesionej Delegacyi i komitetu Tow. rolniczego wpłynęli przez pośrednictwo Enocha, Karnickiego i Płatonowa na namiestnika, że ten uznał błąd w ogłoszeniu tej odezwy i postanowił wydać inną, która ukazała się d. 2 Kwietnia. Wydrukowano ją we wszystkich dziennikach i rozpowszechniono przez plakaty porozlepiane na rogach ulic. Tu już Gorczakow ośmiela się nazywać dotychczasowych „mieszkańców Królestwa” imieniem Polaków i tonem poważnym a zarazem groźnym, wzywa ich do spokoju w imię najdroższych interesów religii i narodowości. „Polacy! woła, ważne okoliczności terażniejszej chwili, skłaniają mnie do przemówienia do was raz jeszcze, słowami pokoju i rozsądku. Instytucye najlaskawiej nadane Królestwu Polskiemu przez najjaśniejszego cesarza i króla, są rękojmią, dla interesu waszego kraju, dla interesów najdroższych sercom waszym, religii i narodowości waszej. Wolą jest najj. pana, aby instytucye te wprowadzone były w życie jak najrychlej i szczerze. Dla urzeczywistnienia tego, okażcie jednozgodną chęć zachowania porządku i spokojności i chronście się od rozruchów, których rząd tolerować nie będzie i które każdy rząd ma obowiązek powściągnąć”.

I któżby uwierzył, czytając tę odezwę urzędową, wzywającą Polaków do spokoju dla dobra ich własnego kraju i ich narodowości, że stało się to wszystko w tak krótkim czasie, po niedawnych, strasznych rządach Paskiewiczowskich, po tem, gdy zdawało się, że nawet imię polskie zostało nazawsze wymazane z kart historii i życia? A jednak stało się to wszystko jakby na dowód tej prawdy, że takie narody jak polski nie umierają i umrzeć nie mogą. Wypadki warszawskie przybrały zresztą tak wielki odgłos, rozbrzmiały tak szeroko po Europie, obudziły tak ogólne współczucie dla tego nieszczęśliwego narodu, który, jak powszechnie w stylu patetycznym epoki mówiono, nie mogąc się inaczej upomnieć o swe prawa, upomina się o nie krwią swoją serdeczną, że gabinet petersburski postanowił wystąpić z aktem publicznym, któryby z jednej strony wyświetlając istotną prawdę, mocno zaćmioną przez przesadzone opisy gazeciarskie, z drugiej zawiadamiał świat o ustępstwach, jakie rząd poczynił dla Polaków. W tym celu rosyjski minister spraw zagranicznych, ks. Gorczakow, rozesłał okólnik do ambasad i misyi rosyjskich, w którym omawiając te fakta powiada, że cesarz „w zupełnem przekonaniu o swej sile i z uczuciem miłości dla swych poddanych, raczył przypisać to co się zdarzyło tylko uniesieniu, chociaż wobec ulicznych rozruchów można było wydać surowszy wyrok. Tylko z uwagi na to uniesienie i żeby dać czas uspokoić się wzburzonym umysłem, władze miejscowe nie użyły do przytłumienia środków, których miały prawo i możność użycia w obecnym wypadku”. Mówiąc następnie o reformach poczynionych w administracyi Królestwa, okólnik twierdzi, że „pomyślny skutek nowych instytucyi zależeć będzie w równym stopniu od

zaufania Królestwa Polskiego w błogich zamiarach najjaśniejszego pana i od sposobu, w jaki ono usprawiedliwi okazywane mu teraz zaufanie. Wolą najj. pana jest, ażeby wszystko przez niego nadane było prawdą; przekonaniem jego jest, że sumiennie spełnił obowiązek swój, otwierając poddanym swoim Królestwa Polskiego drogę prawnego postępu; szczerem jego życzeniem jest, aby ci prosto tą drogą postępowali. Najjaśniejszy pan silnie jest przekonany, że cel ten zostanie osiągnięty, jeżeli zamiary jego spotkają uznanie i spóldziałanie w rozsądku poddanych jego Królestwa Polskiego”.

Wszystko to jednak nie tylko nie uspokoiło miasta, ale owszem wywołało powszechne niezadowolenie. Stronnictwo rewolucyjne, kółka Akademików i uczniów szkoły sztuk pięknych, rozpowszechniły po mieście kartki litografowane, w których żądały, ażeby żałobę podwojono, aby wyrzucano na ulicę gazety zawierające ogłoszenie o koncesjach, poprzemazywane i podarte; aby wychodzono z kościoła tłumnie, gdy duchowieństwo z ambony pocznie odczytywać koncesye, aby nakoniec powstrzymano się zupełnie od uczęszczania do teatru. Kartki te w mnóstwie egzemplarzy rozbiegły się po mieście i jakkolwiek we wszystkich ludziach rozumniejszych, w Delegacji i w resursie wywołały niezadowolenie, nazywano je głupstwem, przecież tu i owdzie nie pozostały bez wpływu. Na ulicach, na chodnikach walało się mnóstwo gazet ze wzmiankowanym ogłoszeniem, pomazanych i podartych. Agitatorzy zresztą nie szczędzili w tym celu zabiegów i kosztów. We wszystkich redakcjach zamówili tysiące egzemplarzy tego numeru dziennika, w których było obwieszczenie o koncesjach i jeżeli publiczność nie bardzo chętnie zadość czyniła rozkazowi „smarkaczy”, to oni sami gorliwie go wykonywali.

Wzburzenie więc rosło, a ruch przedsięwziętczy, zawsze znaczny w Warszawie, jeszcze bardziej się przyczyniał do nadania miastu szczególnej, pełnej niepokoju fizygnomii. Ale już na scenę dziejową występowała olbrzymia, tragiczna postać Wielopolskiego i szybko zbliżała się chwila, w której mąż ten miał stać się osią główną wypadków, wielkim słońcem historycznym, w promieniach którego gasły wszystkie inne postacie, wszystkie gwiazdy polskiego nieba. Rozpoczynał się po przydługim nieco, burzliwym prologu, pierwszy akt posępnej, wstrząsającej do głębi tragedii polskiej. Przypatrzmyż się więc działalności tej atletycznej, niedźwiedziej postaci o Jowiszowej fizygnomii, o olimpijskiego boga spojrzeniu, o nachmurzonych brwiach, z pod których pioruny zdawały się błyskać; spojrzymy na te sceny straszne, które z Wielopolskiego robią nowożytnego Lira polskiego, tłukącego się wśród ciemności puszczy dziejowej, wśród dmących wichrów i wyjącej burzy.

ROZDZIAŁ VII.

Margrabia. Krwawe starcie

Wielopolski u władzy i jego przemowa w Komisji oświecenia. Wrażenie tej mowy. Drobne manifestacje. Święta wielkanocne. Dymisy. Odezwa Wielopolskiego do chłopów i jego domagania się u namiestnika. Podział miasta na cztery okręgi wojenne. Trzecie posiedzenie Wydziału obywatelskiego i jego rozwiązanie. Zaburzenia na prowincyi. Kocie muzyki i Delegacya w Radomiu. Wypadki w Puławach, Kielcach, Kaliszu i innych miastach. Ucieczka Mackiewicza z Lublina i nominacya Boduszyńskiego na gubernatora. Wypadki w gimnazjum żytomierskiem. Bebutow. Sprawa Międzyrzeczka. Mowa Wielopolskiego do duchowieństwa i żydów. Protestacya duchowieństwa. Ks. Dekert. Zniesienie Towarzystwa rolniczego. Oznajmienie Wielopolskiego. Wrażenie dekretu. Początek manifestacyi na Powązkach. Zbiegowisko przed gmachem Towarzystwa kredytowego ziemskiego i przed pałacem Zamoyskiego. Zbiegowisko przed Zamkiem. Gorczakow i lud. Noc z 7-go na 8-y Kwietnia. Nowe prawo o zbiegowiskach. Pogrzeb Stobnickiego. Lud gromadzi się na Placu zamkowym. Wystąpienia wojska i Ojrzyński. Atak żandarmów. Żyd Landau. Strzały i Nowakowski. Pięć salw. Straszne sceny. Chrulew i Wielopolski w Zamku. Telegram Gorczakowa do cesarza. Dymisy Wołowskiego. Mowa Wielopolskiego. Wypadki w Płocku. Komunikat Wielopolskiego. Okólnik Giecewicza i Gorczakowa. Zakończenie.

O powiedzieliśmy już, w jaki sposób Wielopolski dostał się do władzy, do tej upragnionej, tak długo oczekiwanej władzy, którą w samotnych rozmyślaniach ucisku trzydziestoletniego, uważał za jedyny cel swego życia. Widzieliśmy również w jaki sposób w Warszawie przyjęte zostało ogłoszenie namiestnika o koncesyach. Wprawdzie ludzie rozumniejsi sarkali na nierozsądną manifestacją z wyrzucanymi na ulicę gazetami, w których było to ogłoszenie, ale przeszkodzić jej nie mogli. Zamoyski, który jeden z najpierwszych został uwiadomiony o treści telegramu z Petersburga, wyraził się o nowych nadaniach z wielką niechęcią, dlatego jakoby, że one nie obejmowały wszystkich dawnych prowincyi polskich, i oświadczył, że żadnego stanowiska w nowym rządzie autonomicznym nie przyjmie¹¹³.

113 Lisicki (Le marquis Wielopolski, II, 173) inaczej utrzymuje. Twierdzi on, że Zamoyski zrazu bardzo przychylnie wyraził się o koncesyach, nie spodziewał się bowiem więcej, jak Rady stanu i uniwersytetu. „Będziemy więc mogli, miał mówić, pracować w szerszym

Komitet Towarzystwa rolniczego inaczej niż jego prezes patrzył na tę sprawę i Gorczakow, widząc to, pocieszał się jak mógł i donosił cesarzowi, że „wiadomość od nadesłanych łaskach dobre wrażenie wywarła na umiarkowanych”. Niestety! miał się wkrótce przekonać, jak zwodnicze były te nadzieje, jak pod wpływem gorączki rewolucyjnej ludzie najrozumnijsi tracili swój zdrowy, spokojny sąd o rzeczach. Zamoyski w parę dni potem oświadczył wyraźnie namiestnikowi, że koncesye nie są dostateczne i nie zadawalniają kraju. „Bierzcie, wołał Gorczakow, bierzcie, co wam dają, zobaczymy później, co będzie można zrobić, by was zadowolnić”.

Te rozumne, prawie że szczerym patryotyzmem polskim brzmiące słowa, nie znalazły nigdzie oddźwięku. Wydział obywatelski, otrzymawszy po zniesionej Delegacji fikcyjną władzę moralną, nie przestawał działać w dawnym, rewolucyjnym sensie. Owszem, zamiast dopomagać władzy w chwili, gdy stosunki się wyjaśniły, gdy kraj wszedł na drogę ulepszenia swej doli smutnej, gdy wszystkich, trzeba było użyć sił, gdy nakoniec było świętym obowiązkiem każdego Polaka, miłującego swą ojczyznę naprawdę, stłumienie rewolucyi, uspokojenie ruchu, owi radcowie, radzący na ratuszu warszawskim, żądają, by, z powodu zbliżających się świąt wielkanocnych, policya i żandarmi nie znajdowali się przed kościołami,

niż dotąd zakresie i z większym niż dotąd pożytkiem dla sprawy narodowej”. W parę dni dopiero potem, pod wpływem członków Komitetu Towarzystwa rolniczego zmienił zdanie.

Myśmy poszli za relacją, zawartą w rękopiśmie jednego z członków rzeczzonego Komitetu, zatytułowanym „Urywkowe zapisy”. Autor manuskryptu był obecny, kiedy Zamoyski otrzymał po raz pierwszy wiadomość o koncesyach i oto, jak o tem opowiada: „Kilku członków Komitetu zgromadziło się u prezesa Zamoyskiego, gdzieśmy się zeszli na rozmowę o bieżących wypadkach. Najstarszy syn p. Andrzeja, Władysław, przyszedł z wiadomością, że telegram z Petersburga przyniósł doniesienie o nadanych koncesyach. Wówczas p. Andrzej, wskazując na nas, powiedział: „jeżeli was zrobią policyantami, burmistrzami i t. p., powinniście przyjąć do czegokolwiek was powołają”. Na to jeden z nas odezwał się w te słowa: „ja urodziłem się na prostego żołnierza i jako prosty żołnierz pragnę służyć krajowi. Jeżeli mię zrobią policyantem, to nim będę, ale pozwól mi prezes, że go się zapytam, jakie wobec rozwijających się wypadków zajmiesz stanowisko?” Na to pan Andrzej odpowiedział: „ja zostaję w innych warunkach. Wy jesteście ludźmi prowincyi, Kongresówki, i w granicach tej prowincyi pracować winniście. Ale nie możemy być egoistami. Nie tylko o tej jednej naszej prowincyi myśleć powinniśmy; nie zapominajmy, że są dawne kraje polskie zabrane, które równie dążą do odzyskania bytu narodowego. Pamiętajcie, że przybyły do nas niedawno dwie deputacye: jedna przysłana przez obywateli litewskich, i druga składająca się z uczniów uniwersytetu kijowskiego. Obie te deputacye wypowiedziały żądanie, ażeby przy rozwijających się wypadkach, nie pominięto dawnych polskich prowincyi: Litwy, Ukrainy, Podola i Wołynia. Otóż musi być ktoś, kto by reprezentował dawną Polskę w jej historycznych granicach. Tym człowiekiem będę ja; w tym celu się zarezerwuję i żadnego urzędu przyjąć nie mogę”.

jak to zwykle bywa w Warszawie, w czasie nabożnej wędrówki w Wielki Piątek do t. z. grobów; domagali się dalej, żeby uwięzionym w cytadeli dozwolone było czytanie książek. Na to wszystko Rozwadowski, kokietujący, podobnie jak Paullucci, ulicę, zapewnił Wydział o szczerości swych uczuć, oznajmiając, że już nie słowami, ale czynem będzie się starał o tem Delegatów przekonać.

Tymczasem Wielopolski, oczekujący na rezultat swych projektów w Krakowie, uwiadomiony o koncesyach i o swej nominacji na Dyrektora Komisji oświecenia, pośpieszył do Warszawy i stanął tu dnia 24 Marca. W trzy dni potem, dnia 27, w Wielką Środę, został instalowany w Komisji wyznań i oświecenia. Rano tego dnia zebrali się wszyscy urzędnicy dotychczasowej Kuratorji, z dyrektorem swoim Leopoldem Sumińskim na czele, w pałacu Kazimierowskim, dla przedstawienia się nowemu swemu zwierzchnikowi. Koło godziny 11-tej ukazał się on nakoniec ze swą postawą ciężką, z włosami niedbale na czoło nasuniętymi, starannie wygolony prócz siwiejących już faworytów, poważny, surowy, z wyrazem dumnego skrzywienia ust, piękny w swej rozumnej twarzy, silny i potężny w swej rozrosłej, otyłej figurze. W ręku trzymał karteczkę z conceptem tego, co miał mówić. Jakoż, głosem pełnym niskiego, męskiego dźwięku, odezwał się, jak następuje:

„Panowie! witam w was współpracowników, witam urzędników nie Okręgu naukowego warszawskiego, lecz przywróconej Komisji wyznań i oświecenia. Zmiana ta nazwy głębszą zmianę rzeczy oznacza. Przez nią monarcha sprawę dla narodu najważniejszą, sprawę wiary jego i oświaty, znowu jak dawniej na łono kraju zwraca.

„Obecne zejście się nasze jako kolegów, jest pierwszym ziszczeniem reform łaskawie nam zapewnionych, a tu w nas i przez nas dokonać się mająca zmiana, jest podstawą innych ulepszeń, bo na cóż one wszystkie przydałyby się, gdybyśmy nie pracowali nad ukształceniem młodego pokolenia na obywateli zdolnych do udziału w tych poprawach?

„Praca nasza jest ważna i trudna. Reorganizacja zupełna szkół, uzupełnienie Wydziałów Szkoły głównej po latach tyłu, nie małem jest zadaniem. Aby mu z pomocą Bożą podołać, podajmy sobie ręce!”

Ta mowa, budząca tyle nadziei, mowa na wskrós i szczerze polska, na ogóle nie zrobiła wrażenia. Ogłoszona w dziennikach, przyjętą została obojętnie. Głowy i serca czem innem były zajęte, w gorączce je trawiącej za nic miano pracę wolną, trudną, pracę nad odrodzeniem kraju, nad ukształceniem młodego pokolenia. W Wielopolskim widziano Polaka solidaryzującego się z rządem rosyjskim i z ukosa na niego poglądano. Owszem zaraz znalazły się dusze tak poziome i małe, które przesłały mu kilka anonimów z pogrózkami, a „Dziennik Poznański” odzywał się o nim z przekąsem, że jest włoskim mar-

grabią a moskiewskim hrabią, że zatem nic polskiego w sobie niema. Wprawdzie, z drugiej strony pocieszyć się mógł tem, że między ludźmi rozsądnymi znalazł słowa uznania. Biskup podlaski, głośny ks. Benjamin, kapucyn, napisał do niego list pełen szczerzej przychylności. „Jest to dzieło Boga, pisał biskup, że nam w osobie JW. Pana dał naczelnika. Wszystkie duchowieństwo tego kraju, jak się spodziewam, dzieli moją radość i nadzieję, iż kościół święty katolicki w tem Królestwie znajdzie teraz opiekę i swobodę, której tak dawno pragnął”. Obaczymy wkrótce, jak ciężko się Benjamin mylił.

Oprócz biskupa podlaskiego wieszował swemu dawnemu przyjacielowi, Zygmunt Helcel z Krakowa; administrator unickiej dyecezyi Chełmskiej prosił o zwrócenie uwagi na potrzeby tego kościoła, nakoniec „Czas” krakowski pisał, że „wybór margrabiego Wielopolskiego na dyrektora głównego Komisji rządowej wyznań i oświecenia publicznego, może nam służyć za rękojmię, że reformy będą w życie wprowadzone, a z nich dla kraju prawdziwy wyniknie pożytek. Aczkolwiek dotychczas nie wiemy na jaką drogę wstąpi margrabia, sądzimy jednak, że gdyby o szczerości zamiarów rządowych nie był przekonany, nigdyby urzędu tego nie był przyjmował”. Czytając te słodko kwaskowate ostrzeżenia, że je tak nazwiemy, Gorczakow cieszył się, że kraj dobrze przyjmie Wielopolskiego, że nakoniec skończą się burze i niepokoje, które mu ostatnie dni jego starości zatruwają i zapewniał cesarza, że „wstąpienie Wielopolskiego do urzędu, wywiera bardzo dobre wrażenie”.

Tymczasem działo się zupełnie przeciwnie. Ruch wzrastał i przybierał coraz szersze, coraz niebezpieczniejsze rozmiary. O koncesjach po mieście obiegały pogłoski najróżnorodniejsze; mówiono, że je dano tylko na chwilę, że je odbiorą, że nie można wierzyć Moskałom i ich rządowi zdradzieckiemu. Matyas Rosen, znany nam już bankier i członek Delegacyi wypowiedział prawdziwie kupiecki dowcip o koncesjach, że „należy wszystko brać, ale z niczego nie kwitować”. Powtarzano sobie to zdanie, śmiano się z niego, uważano je za głęboko rozumne i dowcipne. Najrozmaitsze pojawiały się koncepta, częstokroć bardzo nierozsądne, bardzo śmieszne w swej drobiazgowości, a mimo to uważane były przez ogół, przez ulicę rozpróżnioną i rozwydrzoną, za rzeczy ogromnego znaczenia i pierwszorzędnej doniosłości pod względem patryotycznym.

Komuś przyszła myśl zarzucenia fraków jako ubioru „niewygodnego i nieprzyzwoitego”; zaraz przyjęto ten projekt z uznaniem i redakcyje pism zasypiane zostały frakami, które przeznaczano na kurtki dla instytutu moralnie zaniedbanych dzieci w Mokotowie. Rozpoczęła się prawdziwa maskarada strojów, przywdziewano kontusze, czamarki, konfederatki, ubierano się dziwacznie, częstokroć nie mając najmniejszego pojęcia o charakterze i sposobie

noszenia stroju polskiego. Ulice miasta, ożywione z powodu zbliżających się świąt, z powodu pięknej pogody wiosennej, z właściwej zresztą Warszawiankom manii spacerowania, roiły się pstroczoną dziwaczną, jaskrawymi konfederatkami, ułankami, batorówkami, Bóg wie czym zresztą. Po kościołach, w czasie tłumnego odwiedzania t. z. „grobow” przesadzano się w tych strojach; wieczorami śpiewano pieśni patryotyczne na ulicy przed kościołami, jak w Wielki Czwartek przed Bernardynami i przed kościołem św. Aleksandra; w Wielki Piątek pod figurą przed Reformatami. Po mieście obiegało tysiące pogłosek, plotek, listów bezimiennych, odezw, wierszy piętnujących mianem lotrów i zdrajców bardzo szanownych nieraz ludzi¹¹⁴.

Na szczęście, na tem się wszystko kończyło. Zapowiadana na Wielką Środę czy Czwartek manifestacja publiczna, której tak się obawiał książę namiestnik, nie przysłała do skutku; rozrzucane po mieście kartki prowokacyjne, wzywające do uroczystego, demonstracyjnego obchodu rocznicy powstania 1794 r. czytano obojętnie. Zato same święta, w których tradycja dawnej gościnności polskiej niejako się odżywia, dawały tysiące sposobności do urządzenia mnóstwa drobnych, ale wysoce charakterystycznych manifestacji. Już we Wtorek, d. 26 Marca, ukazała się w dziennikach odezwa, podpisana przez żydów: Bernarda Kohna, Hermana Meyera i Maksymiliana Fajansa, tej treści: że „Polacy wyznania mojżeszowego”, dowiedziawszy się, iż wielu z czeladzi i robotników, oczywiście chrześcijan, nie ma sobie za co sprawić świąt wielkanocnych, zebrali między sobą złp. 19.200 i tę sumę złożyli na ręce ks. kanonika Steckiego i starszych zgromadzeń cechowych, ażeby ją rozdzielili między potrzebujących. Odezwa kończy się temi słowy, które powszechny entuzjazm wywołały: „upraszamy szanownych starszych o łaskawe wyrażenie czeladzi

114 Do rzędu takich wierszy, które w tym czasie cieszyły się wielką popularnością, należy wiersz p. t. „Recepta na ocet czterech złodziei”. Przytaczamy go tu w całości:

„Wrzuć w kocioł Muchanowa, podnieś żar od spodu,
Nalej nań łez pełno biednego narodu,
Gotuj przez trzy godziny, choćby trochę dłużej;
Tu dodaj Karnickiego, co wrócił z podróży;
Znów gotuj i zbieraj brudne szumowiny,
A będą dobrą paszą dla chlewnej drużyny.
Dla tęgości koloru i dobrego smaku,
Dorzuć Abramowicza, nim zwiśnie na haku;
Jeszcze zamąć, a chceszli mieć czysty wydatek
Przydaj oświeconego gnębiciela dziątek,
Czcigodnego Gorczakowa, męża wielkiej sławy,
Bohatera z nad Czarnej i ulic Warszawy.
A gdy się płyn ustoi, ostygnie z kolei,
Będzie wyborny ocet z tych czterech złodziei”.

i robotnikom naszego życzenia, aby ta mała zapomoga tak serdecznie przez nich została przyjętą, jak serdecznie jest ofiarowaną”. Uważano tę ofiarę żydowską za objaw zbratania się dwóch ludów, za fakt wielkiej doniosłości społecznej; zato dość chłodno przyjęto wiadomość, że Gorczakow kazał z funduszków kwaterek Warszawskich, wydać 10.000 rs. i wręczyć je Towarzystwu dobroczynności na zapomogi dla biednych, pozbawionych zarobku.

W ogólności użyto teraz wszelkich sposobów, żeby manifestacyjnie okazać braterstwo, jedność i miłość wzajemną wszystkich stanów w Polsce. Dwaj studenci Akademii medycznej zaprosili jednego z zecerów „Gazety warszawskiej” na święcone do jednej z dam, imieniem, majątkiem i znaczeniem wysoko postawionej. Do d. 28 t. j. do Wielkiego Czwartku takich zaproszeń przeszło półtora tysiąca rozesłano. „Niech ten fakt osądzi, chociażby najzaciętszy wróg nasz, pisała rzeczona gazeta, może wówczas przyzna, żeśmy zachowali w sercu nie jedną dawną cnotę ojców, że tylko trzeba było chwili szczęśliwej, aby te cnoty znowu na jaw wyszły i zadały kłamstwo oszczercom naszym”. Jakoż ta, pewnego rodzaju osobliwsza manifestacja, zapowiadała się, że przyjmie rozmiary ogromne. Wszystkie domy zamożniejsze zapraszały do siebie rzemieślników, robotników, lud ubogi. Akademicy biegali po mieście, po warsztatach, fabrykach, ulicach zamieszkałych przez ludność ubogą¹¹⁵.

Do Towarzystwa dobroczynności znoszono całe kosze święconego dla rannych w d. 25 i 27 Lutego. Gdy nadeszła Wielka Niedziela, przedewszystkiem rano odbyło się wspólne święcone akademików, marymontczyków, rzemieślników i t. d. w restauracji Łaszkiewicza na ulicy Miodowej i w „Tiwoli” na Królewskiej; potem ruszono tłumnie do magnackich pałaców i mieszkań. Przyjmowali hrabstwo Stadniccy, Potoccy, Pusłowscy, Zawiszowie, Zamoyscy.

Wszędzie młodzież akademicka pełniła rolę wicegospodarzy, a panie domu i ich córki posługiwały. Ale najświetniejsze przyjęcie, które przybrało istotnie kolosalne rozmiary, było u Hermana Epsteina, prezesa kolei warszawsko-wiedeńskiej, gdzie przez ciąg czterech godzin przewinęło się przeszło 2.000 osób, jeżeli wierzyć można obliczeniom konstabli narodowych, stojących przy bramie domu dla utrzymania porządku. Głównie byli tam robotnicy fabryczni i rzemieślnicy; znalazło się nawet kilku chłopów z okolicy. Służba ugalonowana posługiwała zdziwionym takim przyjęciem i zbytkiem, jaki przy tem roztoczono, biedakom. Jeżeli się gdzie zdarzyło, że który z nich dał się słyszeć, że jego żona i dzieci nie pożywają tak wspaniałej uczy, to zmuszano go do zabierania ze stołu czego chce i zaniesienia swej rodzinie.

115 Najgorliwsi pod tym względem byli akademicy, a między nimi Paweł Landowski, który później w powstaniu zbrojnym, miał odegrać rolę historyczną.

Wśród tych przyjęć, tego ruchu tysięcy ubogiej ludności, dążącej do pałaców magnackich i nadającego miastu niezwykły, uroczysty widok, powszechną na siebie uwagę zwróciło zbliżenie się do siebie dwóch ludzi, na których wszyscy podówczas patrzyli, którzy stanowili jakoby dwa obozy, byli podobni do „stojących na swych słońcach bogów” poety: Andrzeja Zamoyskiego i Wielopolskiego. Już na nabożeństwie rezurekcyjnym w kościele archikatedralnym św. Jana, zauważono, że baldachim nad arcybiskupem nieśli obaj ci panowie. W pierwszy dzień Wielkiejnocy przybył do Zamoyskiego na święcone margrabia. „Jest zwyczajem, rzekł do gospodarza, że cała Warszawa w tym dniu do pana hrabiego z życzeniami spieszy, przychodzę więc i ja, a spodziewam się, że odtąd będziemy wspólnie dla kraju pracowali. Alleluja!” — „Alleluja!” odrzekł chłodno Zamoyski. Wybitniejsze osobistości, będące na tem zebraniu, przeszły z Wielopolskim do sąsiedniego salonu, gdzie wszyscy mówili, tylko jeden margrabia milczał. To oczywiście podobać się nie mogło, a o wizycie jego i oświadczeniu, ulica, czerwienicy, którym to nie było na rękę, którzy lękali się zbliżenia tych dwóch ludzi, rozpuścili tysiące plotek, włożyli w usta Zamoyskiego słowa, których on nie powiedział, nie mógł powiedzieć, ale które dochodząc do uszów Wielopolskiego drażnić go koniecznie musiały. W rzeczy zaś samej postąpienie margrabiego bardzo się podobało Zamoyskiemu, polectało może jego dumę i próżność. Odzywał się głośno: „nic nie chcę robić bez niego, a tym więcej przeciw niemu”. Niestety! ten zamiar zbawienny i rozumny, wobec nacisku otoczenia, wobec wypadków następnych, nie miał długiej trwałości.

Na nabożeństwach po kościołach, księża w kazaniach swoich mówili o miłości bratniej, o poświęceniu, o walce moralnej i przez dziwne w ustach księdza katolickiego zapomnienie, porównywali Polskę do ukrzyżowanego Chrystusa, a pięciu poległych do pięciu Jego ran. W Poniedziałek wielkanocny, na kazaniu znanego nam już ks. Mikulskiego, w kościółku na Powązkach znalazło się mnóstwo lutrów i żydów. Ksiądz mówił, jak wszyscy teraz, o miłości wszelkich stanów, o braterstwie i t. p. a znany nam już kaznodzieja żydowski Izaak Kramsztyk, nawoływał do odpłacania „braterstwa braterstwem, miłości miłością”. Na ulicach pełnili służbę konstable narodowi, dla których w tydzień potem, ich naczelnik, kupiec Józef Kwiatkowski, wyprawił u siebie święcone wspaniałe i zbyt kowne. Było tam, jak zwykle w takich razach, mnóstwo mówek, toastów, uścisków i całowań się co niemiara. Na Powązki, na grób poległych, tłumnie przez święta chodzono, strojono go w wieńce, kwiaty, modlono się i płakano.

Za przykładem Warszawy poszła i prowincja. Prawie wszędzie domy możniejsze przyjmowały u siebie ubogich; po wsiach dziedzice zapraszali

całe gromady na „jajko święcone”. W Piotrkowie, niejaki Erazm Malinowski, urzędnik sądowy, zaproponował w resursie miejscowej, ażeby urządzono w gmachu popijarskim, wielkie święcone na 6000 osób. Wniosek się przyjął; wezwani na radę wybitniejsi obywatele miasta, postanowili wyznaczyć na ten cel 200 rs. z funduszków propinacyjnych; szlachta okoliczna zaś zadeklarowała, że przyśle znaczną ilość okowity, piwa, wędlin, mąki i t. p. Wydelegowano z resursy przeszło dwudziestu członków, którzy podzieliwszy między siebie miasto, przebiegali je w ostatnim tygodniu i oznajmiali mieszkańcom o przyszłym wspólnym święconem, zapraszali ich na nie w imieniu ogółu i dodawali zarazem, żeby każdy z zaproszonych, jeżeli może, część swego święconego przysyłał do gmachu popijarskiego. Przesłano jednak tak mało, że musiano się uciec do pomocy funduszu wyznaczonego przez miasto. Owym dwudziestu członkom polecono przyjmować gości; uproszono takąż ilość dam. Z ambony, zaraz po rezurekcyi księcia zawiadomili nabożnych o owej uczcie wspólnej, mającej przypominać „uczty miłości” pierwszych chrześcijan i wzywali, by licznie na nie przybyli. Oczywiście mnożnej rzeszy różnych biedaków i straceńców, wieszających się po zaułkach miejskich, nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Gdy sala na pierwszym piętrze w gmachu popijarskim, odpowiednio została ozdobioną, a stoły w niej i na dziedzińcu nakryte, zbiegło się tysiące ludzi, przeważnie ze sfer rzemieślniczych i wyrobniczych. Przybywających powitał odpowiednią mową ksiądz Wojciechowski, prefekt gimnazjum miejscowego. Damy piotrkowskie usługiwały gościom; dzielono się jajkiem, mówiono o braterstwie. Lud rzucił się ku stołom i prawie w jednej chwili wszystko z nich znikło. Szczęściem, że miano zapasy, tak że można było ciągle zastawiać stoły. Uczta ta trwała od godziny 8-mej rano do zmroku. Cechy rzemieślnicze przybyły z chorągwiami; zjawiała się nieodzowna gmina żydowska z rabinem na czele, którą częstowano koszernym miodem i wódką, a nawet sprowadzono trzech kozaków, których „ugoszczono ze staropolską gościnnością i miłością odradzającego się narodu”. Za tymi kozakami przybyli i inni, tak że podobno całą ich setkę, konsystującą wtedy w Piotrkowie, nakarmiono¹¹⁶.

Następnego dnia t. j. w Poniedziałek przyjmowano żebraków i żebraczki z miasta i okolicy.

W Wilnie, Jan hr. Tyszkiewicz, marszałek powiatowy wileński, zarządził u siebie przyjęcie na święcone na 1500 osób. W tym celu osobiście jeździł po rzemieślnikach, w towarzystwie krawca Korowaja i zapraszał ich do siebie.

116 A. Giller w „Dziejach delegacyi warszawskiej” opowiada przytem, że „ajenci moskiewscy rozszerzyli wiadomość, że święcone będzie zatrute”. Nie zważano widać na to, a nade wszystko nie musiano bardzo wierzyć tej pogłosce, kiedy tak uroczyście uczutowano.

Jenerał-gubernator Nazimow, dowiedziawszy się o tem, nakazał policji, żeby nie pozwoliła na to. Jakoż przyjęcie to, które powszechną na siebie zwracało uwagę w mieście, nie przyszło do skutku.

Wśród takich to warunków, Wielopolski rozpoczął swoje rządy. Rozwiniął on zaraz ogromną, gorączkową czynność, z wyraźnym charakterem polskim, którego mimo to, nie chciano widzieć, przyjmowano obojętnie, chłodno, a częstokroć umyślnie fałszowano jego doniosłość i znaczenie. Przeniósłszy się w Wielki Czwartek, d. 28 Marca, na mieszkanie do pałacu namiestnikowskiego, zajął się przedewszystkiem utworzeniem biura, w celu szybkiego zorganizowania nowo powstającej Komisji wyznań i oświecenia publicznego, oraz oczyszczeniem urzędów, tej prawdziwej stajni augiaszowej, z różnych karyerowiczów cudzoziemskich i rosyjskich, którzy zajmowali nieraz najlepsze, najpopłatniejsze stanowiska i przyczyniali się w wielu wypadkach do utrwalenia tej nienawiści, jaką społeczeństwo polskie czuło do rządu. Przedstawiciele cenzury przyjął surowo i wypowiedział do nich te zjadliwe słowa: „widzę, że w naszym kraju więcej mażących niż piszących” i zaraz potem, d. 30 Marca, ukazało się w dziennikach ogłoszenie, że Juliusz Hignet, starszy cenzor, który pomimo, że służył w Polsce, języka jej nie znał, „dla dobra służby” został uwolniony od zajmowanych obowiązków. Pisywał on korespondencye do „Norda” brukselskiego, organu półoficyjalnego rosyjskiego, w których malował społeczeństwo polskie, w jak najgorszych barwach i zawsze z niczem nieusprawiedliwioną nienawiścią się o niem odzywał. Słusznie więc należała mu się dymisyja, była ona niejako hasłem, że „skończyły się piękne dni Aranjesu” dla wstrętnych karyerowiczów i straceniów wszelkiego rodzaju, którzy ciągnęli do Polski jak sępy na żer. Silniejsze wrażenie zrobiła dymisyja, udzielona niejakiemu Sztenderowi, Kurlandczykowi rodem, który pełnił mnóstwo dobrze płatnych urzędów. Był on członkiem Rady wychowania, wizytatorem szkół i prezesem komitetu egzaminacyjnego, a pomimo tego nie umiał ani słówka po polsku. Gdy się przedstawił Wielopolskiemu, zaczął po francuzku, a spostrzegłszy, iż margrabia udaje jakoby nie rozumiał, przemówił po niemiecku. Zapytany wreszcie, czemu nie mówi po polsku, przyznał się, że tego języka nie rozumie. „Ile pan lat służysz w Polsce?” spytał w końcu Wielopolski, a usłyszawszy, że 29 lat, rzekł: „to bardzo smutno, być tak długo wizytatorem szkół polskich i nie umieć po polsku. Odtąd inaczej być musi i dlatego rzeczą jest słuszną, byś pan wziął dymisyją”.

Wszystko to oczywiście dochodziło do wiadomości ogółu; cieszą się, że karyerowicze moskiewsko-niemieccy, jak mówiono, „wylatują”, ale swoją drogą Wielopolski sympatyj nie zyskiwał. Napróżno rozwijał ogromną czynność, konferował z urzędnikami, przyjmował różne osoby i ciała. W Wiel-

ki Piątek przedstawili mu się urzędnicy byłego wydziału wyznań w Komisji spraw wewnętrznych, który teraz przechodził pod zarząd Komisji oświecenia, dyrektorowie i profesorowie Szkoły sztuk pięknych, oraz redaktorowie pism. Przypatrywano mu się ciekawie, słuchano go jeszcze ciekawiej; dramat zaiste był niezmiernie interesujący; widzieć nagle, w kraju w ten sposób rządzonym, jak Królestwo, człowieka prywatnego, zajmującego tak wysokie, tak pierwszorzędne stanowisko u władzy, wchodzącego, jak mówi Aligier, w łono tych, w których przyszłość się wypracowuje. Ale poza pozorną pokorą i gorliwością urzędników, którzy mu się przedstawiali, taki umysł bystry jak Wielopolskiego, widział zapewne w twarzach nieufność, w oczach blask podejrzeń i niewiary. Nie zważał on jednak na to, miał nadzieję, że czynami mówiącymi głośno o jego patriotyzmie, zdoła zwyciężyć nieufność, pociągnąć ku sobie opinią; że znajdzie w sercach ten instynkt zachowawczy, który wskazuje zagrożonemu śmiercią, gdzie jest jego zbawienie i ratunek.

Teraz jednak margrabia był pełen najlepszych nadziei; były to miodowe miesiące jego władzy, tej władzy tak upragnionej, tak gorąco przez tyle lat pożądanej. Rwał się do pracy, do czynu z energią zdumiewającą i siłą. Odrazu jego potężna postać stanęła na pierwszym planie; jak soczewka skupiła wszystkie promienie. On właściwie był rządem, był wszystkim, przez swą wyższość umysłową, przez rzeźkość i wolę niezłomną. Tysiące projektów snuł po głowie, by dopomóc do odrodzenia się nieszczęśliwemu krajowi, by skrzępowane jego ciało ożywić, przywrócić mu cyrkulację swobodną krwi. Najważniejszą nateraz kwestyą było załatwienie sprawy włościańskiej i uspokojenie kraju. Co do pierwszego, wierny swym tradycjom szlacheckim, czując wstręt, nawet do wyrazu „uwłaszczenie”, chciał cały ten węzeł, zadzierzgnięty przez wieki, rozwiązywać wolno i bądź co bądź rękami szlacheckimi. W tym celu umyślił utworzyć przy Komisji spraw wewnętrznych komitet obywatelski z głosem doradczym. Do komitetu tego zawezwał najwybitniejszych członków komitetu Towarzystwa rolniczego, jak: Aleksander Jackowski, Tytus Wojciechowski, Aleksander Ostrowski, Franciszek Węgleński, Aleksander Kurtz, Klemens Krzyżtoporski i Antoni Wrotnowski. Oprócz tego powołał tam swego przyjaciela i szwagra Tomasza hr. Potockiego, Leopolda Kronenberga i nakoniec Zygmunta Wielopolskiego swego syna. Nim jednak ten komitet został uorganizowany i nim w ogóle na tem polu mogła się rozpocząć jakakolwiek działalność polityczna, należało koniecznie uspokoić chłopą, do którego zewsząd, jakeśmy to już powiedzieli, dochodziły różne odezwę, mąciły mu głowę i budziły w nim przesadzone nadzieje. W tym celu pod datą 31 Marca, margrabia zawezwał władzę duchowną, ażeby z ambon ogłosiła ludowi, że: „...działając zgodnie z rządem, obywatele kraju właściciele dóbr,

zajęli się szczerze oczynszowaniem, dotychczasową pańszczyznę zastąpić mającem. Oprócz tego wielu właścicieli oświadczyło życzenie, aby po ustanowieniu czynszów przez dobrowolną umowę między nimi a ich rolnikami, czynsze takowe mogły być raz na zawsze wykupione, które to życzenie, pod rozważę rządu o dobro wasze troskliwego, jest teraz poddane. Skoro rząd do życzenia tego przychyli się, wtedy będą mogły co do skupu być zawierane dobrowolne umowy między wami a właścicielami dóbr, z których to umów wy, za upływem lat pewnych, do własności gruntów gromadzkich przyjdziecie”.

„Co z polecenia Dyrektora głównego prezydującego w Komisji rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego, do waszej wiadomości podaje się, wzywając was, abyście z troskliwości rządu i z dobrych chęci właścicieli ziemskich korzystali i do zawarcia dobrowolnych umów naprzód o czynsze, a w swym czasie o wykup zdążyli, zachowując się spokojnie i mając ufność tak w rządzie jako i w właścicielach, wspólnie z nim waszego dobra pragnących”.

Oprócz tego Wielopolski nalegał usilnie na Gorczakowa, aby szeregiem środków energicznych starał się kraj uspokoić. W tym celu domagał się, ażeby w Warszawie i na prowincyi, gdzie się samowolnie potworzyły, rozwiązał wszędzie strażę bezpieczeństwa i Delegacye; żeby zamknięto w Warszawie na sześć tygodni resursy, które wyraźnie przybrały charakter klubów politycznych; żeby gorliwie się wzięto do wysłedzenia i ujęcia przywódców ruchu; żeby zniesiono Towarzystwo rolnicze, które w sprawie włościańskiej występowało jako rząd i nakoniec, gdyby to wszystko nie pomogło, radził ogłosić stan oblężenia na dni ośm i przez zdecydowaną i stanowczą postawę zapobiedz wszelkim niepokojom. Rady bez zaprzeczenia były dobre i zbawienne, ale trzeba było, żeby na Zamku warszawskim panował żołnierz surowy, a nie łagodny, miękki, Gorczakow. Jak zwykle wahał się on czy pójść za tą radą, czy nie; tłumaczył, że nie ma dość wojska na to, by stan wojenny mógł być ściśle wykonany, obawiał się złego wrażenia, jednym słowem nie mógł się zdecydować. Zresztą ówczesna policja warszawska, nie przedstawiała gwarancyi, że rozporządzenia władzy wyższej będą należycie spełnione. Jakkolwiek w końcu Marca zwiększono ją znacznie, bo o 400 przeszło ludzi (11 oficerów, 33 podoficerów i 367 szeregowców) odkomenderowanych z wojska¹¹⁷, mimo to była ona jak zawsze nieradna i nieczynna. Podwysocki, jeden z jej naczelników tajnych, późniejszy autor opisu wypadków warszawskich, był niezręczny i niesumienny. Doniesienia jego były albo fałszywe, albo dotyczyły drobiazgów. Czyż takie narzędzie, mogło przedstawiać jakie szanse powodzenia?

117 Zwiększenie to policji kosztowało kasę miejską przeszło 2.700 rs. miesięcznie. Oficerowie pobierali po rublu na dzień, a żołnierze po 20 kop. oprócz oczywiście życia, mieszkania, opalu, światła i t. p.

Ulegając jednakże domaganiom się Wielopolskiego, których zbawienność sama się w oczy rzucała, Górczakow zgodził się na pewne kroki. Dla lepszego dozoru podzielono miasto na cztery okręgi wojenne, pod ogólnem dowództwem generała Liprandi. W każdym z tych okręgów był osobny naczelnik wojenny, który miał pod swą władzą także cyrkuły policyjne, mieszczące się w jego obwodzie. Przeznaczono pewne oddziały wojska, które w razie manifestacji lub rozruchów winny się koncentrować w oznaczonych miejscach i przechodzić pod dowództwo odnośnego naczelnika wojennego. Później, na żądanie Wielopolskiego, przy każdym z naczelników pomieszczono urzędnika sądowego, który miał odczytywać ludowi w czasie zbiegowiska, odpowiednie przepisy prawa.

Pierwszy okrąg wojenny obejmował cyrkuły 1-szy i 2-gi do granic cytadeli i jedenasty do ulicy Trembackiej i Bednarskiej, z włączeniem pałacu Prymasowskiego, placu Teatralnego i ratusza.

Dowództwo tego okręgu miało być powierzone generałowi Chrulewowi, staremu sewastopolskiemu oficerowi, żyjącemu beczynnym w Petersburgu, kwaśnemu, niezadowolonemu żołdakowi, który pragnął działalności i którego przybycia spodziewano się lada dzień ze stolicy Rosyi.

Drugi okrąg, oddany generałowi Wiesielickiemu, obejmował cyrkuły trzeci, czwarty, piąty i szósty, oraz gmachy Banku Polskiego i plac Bankowy. Generał Mielnikow został naczelnikiem trzeciego okręgu, w skład którego wchodził cyrkuł siódmy, dziesiąty i część jedenastego. Nakoniec czwarty oddział, powierzony generałowi Merchelewiczowi, obejmował cyrkuły ósmy i dziewiąty.

Podział ten, którego tajemnica nie mogła być długo zachowaną, wywołał niezadowolenie ogólne, znamionował bowiem jakieś zamiary niebezpieczne dla agitatorów. Niezadowolenie to znalazło wyraz w Wydziale obywatelskim, który dnia 29 Marca, w Wielki Piątek, zebrał się na swoją sesję i zapytał oberpolicmajstra, co znaczy ten podział miasta? Rozwadowski odrzekł wymijająco, że w każdym cyrkułe stoją wojska w różnych miejscach pod komendą oficerów sztabowych, ludzi doświadczonych i rozumnych, którym komisarze cyrkułowi obowiązani są donosić o wszelkich zbiegowiskach. Usłyszawszy to członkowie wydziału, zażądali, żeby i im komisarze cyrkułowi donosili także o zbiegowiskach, gdyż tylko tym sposobem można będzie uniknąć niepotrzebnych i zawsze niebezpiecznych starć z wojskiem. Rozwadowski, który wiedział, że bądź co bądź dni wydziału są policzone, zgodził się na to chętnie.

Jakoż Górczakow ulegając radom Wielopolskiego zdecydował się nakoniec na rozwiązanie tego ciała dziwnego, które nie będąc rządem, przez jakiś czas miało wszystkie jego atrybucje. Wśród wzrastającego przez święta Wielkanocne wzburzenia i drobnych manifestacji, straż obywatelska, owi konsta-

ble narodowi, którzy dotąd nie przestali pełnić swych czynności, aresztowali znowu dwóch podejrzanych prowokatorów, znanego nam, raz już uwięzionego i potem wypuszczonego Władysława Krzyżanowskiego i Salisa Rozen-golda, zwanego wśród pewnych sfer motłochu warszawskiego „śpiewakiem” i oddała w ręce policji.

Śpiewy przed kościołami wciąż się odbywały; trzebaż było temu wszystkiemu raz koniec położyć. Pierwszy zatem z kolei cios padł na wydział obywatelski. Dnia 4 Kwietnia został on uwiadomiony, że czynności jego od tej chwili ustają, że może wszelako wybrać z pomiędzy siebie dwunastu członków, którzy, wprzód nim zostanie uorganizowana Rada miejska, przyrzeczona przez ukaz z d. 26 Marca, mają pełnić obowiązki tej rady pod przewodnictwem prezydenta miasta Andraulta. Nie było co robić; przystąpiono zaraz do wyborów. Do nowej rady weszli: Dominik Zieliński, Henryk Krajewski, Tytus Chałubiński, August Trzetrzewiński, Jakób Lewiński, Ksawery Szlenkier, Jakób Piotrowski, Józef Kraszewski, ks. Wyszyński, Stanisław Hiszpański, Jakób Natansohn i Beer Mayzels, czyli te same osobistości, które dotąd wchodziły w skład wszelkiego rodzaju ciał obywatelskich. Gdy jednak przedstawiono namiestnikowi listę wybranych do zatwierdzenia, ten zwrócił uwagę wydziałowi naprzód na to, że duchowieństwo katolickie w radzie jest słabo reprezentowane, bo tylko przez ks. Wyszyńskiego; a następnie, że Henryk Krajewski, jako świeżo amnestyowany z Sybiru, według istniejących przepisów, przez namiestnika nie może być powoływany do pełnienia obowiązków urzędowych. W skutek tego, włączono do listy na miejsce Krajewskiego, księdza Steckiego, mimo to jednak Gorczakow dozwolił na to, by na posiedzenia rady był zapraszany Krajewski, „gdyż, jak się wyraża protokół, przepisy o amnestyowanych nie mogą zabraniać zapraszania tego rodzaju osób przez współobywateli, czego dowodem jest, że Henryk Krajewski z wiadomością władzy, należał do składu delegacji i wydziału obywatelskiego”.

Taki miała koniec delegacja i czterdzieści dni owych „czasów polskich”, słodkie wspomnienie których długo żyło wśród ludu warszawskiego. Rozstając się ze swą władzą moralną, delegaci poraz ostatni odezwali się publicznie do „obywateli”, w tym tonie sentymentalnego patosu, który brzmi we wszystkich nieomal dokumentach tej epoki: „Przystając wypełniać swe czynności, piszą delegaci, pod względem utrzymania bezpieczeństwa publicznego, członkowie delegacji miasta Warszawy, wzywają obywateli, aby idąc ciągle raz obraną drogą, godnością swej postawy okazywali dojrzałość polityczną, do jakiej naród polski, pomimo nieprzyjaznych okoliczności dojść zdołał; aby stale trzymali się zbawienego kierunku, który tak wybitnie się objawił w pojęciu równości obywatelskich obowiązków i równości praw obywatelskich wszyst-

kich mieszkańców bez różnicy stanu i wyznania. Godność i jedność są najlepszą dla przyszłości narodu naszego rękojmią”.

Pierwsze posiedzenie nowo powstałej rady miejskiej odbyło się zaraz na-
zajutrz d. 5 Kwietnia w ratuszu, pod przewodnictwem prezydenta Andraulta.
Był to człowiek bez charakteru, syn nieprawy jenerała francuzkiego Longere-
au, urodzony w Rosyi, ale przez długi pobyt nad Wisłą zupełnie spolszczony;
że jednak był zawsze pokornem narzędziem w ręku rządu, że pędził życie
rozpustne i nieporządne, więc go nie lubiano. Znalazłszy się nagle na czele
rady obywatelskiej, która miała prawo wglądać we wszystkie prawie interesa
miejskie, był w położeniu dość kłopotliwym. Mowę, którą rozpoczął posie-
dzenie, czytał głosem drżącym, niepewnym, oddawał się w niej, jak i magistrat
cały na usługi radzie tymczasowej. Zgodził się na to, by rada odbywała swe
posiedzenia przy drzwiach otwartych, gdy jednak chciano by na blankietach
wydrukowany był tytuł: „Tymczasowa rada municypalna stołecznego miasta
Warszawy”, zawahał się co do owego przymiotnika „stołeczny” i przyzwolenie
swoje uczynił zależnem od woli namiestnika¹¹⁸.

Ten zgodził się na przywrócenie Warszawie nazwy stolicy, ale o posiedze-
niach przy otwartych drzwiach słyszeć nie chciał: „czyż nie widzisz pan, wołał
do Andraulta, że chcą klub zrobić, tak jak w resursie?” Uwaga była słuszną
i sprawiedliwą; trzeba było bowiem wszystkiego unikać w tych czasach nie-
szczęśliwych, coby dać mogło powód do jakichkolwiek zaburzeń.

Tak urządziwszy się z Warszawą, trzeba się było z kolei rzeczy zająć pro-
wincją, gdzie położenie było niemniej groźne, gdzie stan wzburzenia wzrastał
i przybierał rozmiary bardzo niebezpieczne. Co chwila do Warszawy przy-
chodziły wieści niepokojące. Wszędzie prawie tworzyły się samowolnie dele-
gacye i obejmowały w swe ręce rządu nad miastami. W Radomiu, po długich
próbach, udało się agitatorom zgromadzić d. 28 Marca w Wielki Czwartek
tłum, złożony z uczniów szkolnych, młodzieży rzemieślniczej, motłochu na-
koniec wszelkiego rodzaju, który z nastaniem zmroku, około godziny 8-mej
wieczorem, rozpoczął szereg kocich muzyk przed mieszkaniem osobistości
nielubionych w mieście. Los ten spotkał naprzód niejakiego Flisa, radcę po-
licyjnego w rządzie gubernialnym, potem komendanta żandarmów Wierni-
kowskiego, naczelnika powiatu Skirskiego, który miał smutną sławę, że przez
swą gorliwość przyczynił się do schwytania w r. 1846 księdza Ściegiennego.
Oprócz nich ulegli „sprawiedliwości ludowej”, jak mówiono wtedy, Leśkie-
wicz, naczelnik kancelaryi w gubernii i nakoniec Koźmiński, naczelnik urzędu

118 Warszawa do r. 1837 używała tytułu miasta stołecznego. W tym roku dopiero tytuł ten usunął Szypow, dyrektor Komisji spraw wewnętrznych, wielki przeciwnik autonomii Królestwa.

pocztowego. Zaraz też, korzystając z nieładu i popłochu w mieście, utworzyła się na ratuszu samowolna delegacja obywatelska, na czele której stanął za-
możny kupiec Hirosz.

W Puławach, w miejscowym instytucie panien, nie cieszącym się dobrą opinią kraju, wychowawice urządziły nabożeństwo żałobne za poległych i za-
prosiły na nie nawet publiczność lubelską, a gdy temu sprzeciwiła się przeło-
żona, pani Grothe, podniosły przeciw niej rokosz, wymówiły posłuszeństwo
i robiły co chciały.

W Kielcach, spokojnem, cichem, na pół sielskiem miasteczku, wrzała od-
dawna stłumiona agitacja podziemna, żeby pójść za przykładem Warsza-
wy i innych miejsc i czekała tylko na sposobność przyjazną do wystąpienia
czynnego. Jakoż d. 4 Kwietnia sposobność się taka znalazła. Zdarzyło się, że
ksiądz miejscowy Zajdler, jadąc z wijatykiem do chorego, przez nieostroż-
ność woźnicy najechał na dwóch pisarzy wojskowych, jak się zdaje pijanych,
z których jeden rozgniewany, rzucił butelką z atramentem, nie trafiwszy zresz-
tą księdza. Działo się to za miastem, na drodze ku Czarnowu, wsi leżącej
niedaleko Kielc. Tego też trzeba było agitatorom. Zawiadamią natychmiast
mieszkańców przez plakaty drukowane i rozlepione na rogach ulic, o „zbesz-
czczeniu świętości przez żołdaków”. Oburzenie w mieście było ogromne,
choć w gruncie rzeczy po większej części sztuczne; przed wikaryatem zebrały
się tłumy liczne, czemu sprzyjał tydzień świąteczny i piękna pogoda wiosen-
na. Na wniosek księdza Domagalskiego, znanego ze swej gorliwości religijnej
i wymowy, postanowiono w kolegiacie miejscowej odprawić solenne nabożeń-
stwo ekspijacyjne, a potem ruszyć gromadnie do magistratu i tam utworzyć
„komitet bezpieczeństwa”, któryby czuwał nad miastem. Jakoż tak się stało.
Uderzono we wszystkie dzwony, odprawiono nabożeństwo, ks. Domagal-
ski wygłosił kazanie zachęcające do spokoju i porządku, poczem zebrano się
tłumnie przed magistratem, gdzie zasiadły osobistości wybitniejsze w mieście
i rozpoczęły wybory do owego komitetu. Posiedzenie było burzliwe; żąda-
no ustąpienia wojska z miasta; wreszcie utworzono komitet wzmiankowany
pod przewodnictwem miejscowego naczelnika powiatu Michała Tańskiego.
Adwokat Łuniewski wystąpił na balkon i uwiadomił lud o rezultacie wybo-
rów. Współcześnie wygotowano dwa raporta, w których jak najczarniejszemi
kolorami odmalowano postępek pijanych pisarzy wojskowych, którzy zresztą
mogli nie wiedzieć i zapewne nie wiedzieli, że najeżdżający na nich ksiądz,
wiezie wijatyk.

Raporta te sztafetą przesłano do namiestnika i do... Andrzeja Zamoyskie-
go. Co ten ostatni miał robić z tym raportem, domysleć się trudno. Prócz tego
komitet bezpieczeństwa wydał nazajutrz odezwę drukowaną do mieszkańców

miasta, zapowiadając, że bierze porządek publiczny w swe ręce, że straż na ulicach pełnić będą delegowani komitetu, opatrzeni na kapeluszach białą kartką z napisem: „służba obywatelska”¹¹⁹.

Jakoż zaraz, policja rządowa, bardzo zresztą nieliczna, została usunięta, a po drzemających ulicach miasteczka przechadzać się poczęli konstable narodowi.

O wiele burzliwszy charakter miały rozruchy w Kaliszu. Wybuchły one d. 30 Marca, w Wielką Sobotę. Tłum, tak samo jak wszędzie, złożony z młodzieży i motłochu, udał się przedewszystkiem przed mieszkanie niepopularnego naczelnika powiatu, Jedlińskiego, byłego oficera wojsk rosyjskich, którego oskarżano głośno w mieście, że osławiony okólnik Muchanowa jak najspieszniej rozesał. Zagrano mu kocią muzykę, wybito wszystkie szyby i domagano się głośno, żeby się z miasta i powiatu wyniósł. Biedak przestraszony uciekł potajemnie z mieszkania i schronił się w gmachu kadetów. Rozochocony tłum

119 Treść tej odezwy jest następująca: „Komitet bezpieczeństwa miasta Kielc i okolicy. Ciężka zniewaga, jaka na dniu 4 Kwietnia b. r. spotkała tu kapłana, jadącego z Najświętszym Sakramentem, niepokojące wieści po okolicznych i oddalonych nawet włościach, a zapowiadające burzę krajowi, dojmujące wreszcie zaczepki w samym mieście słyszane, do głębi zraniły najtkliwsze uczucia wiary tutejszych mieszkańców i w umysłach powszechną obudziły trwogę. Spokojność stała się niepewną, poręczenie bezpieczeństwa okazało się koniecznym. Z tych powodów, za zezwoleniem władzy, zawiązano Komitet bezpieczeństwa, przez obywateli obrany, w skład którego wchodzić ma także po kilku włościach z przyległych wiosek. Celem Komitetu jest uspokoić wzburzenie umysłów, strzedz bezpieczeństwa, śledzić zaczepki i podszepty, wstrzymać niewłaściwe objawy niezadowolenia, na wypadek zażaleń skłaniać do przebaczenia i chrześcijańską serca wiązać miłością. Zadanie takie, jak ze strony naszej wymaga szczerej i ciągłej działalności, tak znowu ze strony mieszkańców konieczną jest powolność, zaufanie w Komitecie, cierpliwość i spokój. Delegowani przez Komitet pełnić będą dniem i nocą straż na ulicach miasta, opatrzeni na kapeluszach kartą z napisem; „służba obywatelska”. Służbie tej należy się poszanowanie i posłuszeństwo wszelkie. Obywatele i mieszkańcy miasta! okazaliście już podziwu godne usposobienie naówczas, gdy po zadrażnieniu najdroższych uczuć waszych poprzestaliście na modłach w świątyni, a w porządku i milczeniu do domów wróciliście waszych. Nie odmienicie pewnie postępowania swego, zwłaszcza, iż świeżo nadane krajowi ustawy, każą się spodziewać coraz pomyślniejszych odmian, zaręczenia pokoju i bezpieczeństwa w sposób odpowiedni życzeniom i potrzebom ogółu. Pojmujecie dobrze wspólny nasz obowiązek unikania drażliwych objawów, zachowania się w poważnej cichości, zacności uczuć i bratniej jedności. Prosim was o to, my bracia wasi, w imię stej wiary naszej, w imię stej miłości ojczyznej ziemi i kraj cały pragnie pokoju i bezpieczeństwa. Miejmy nadzieję w Bogu, On prawicą swoją złe skutki rozsiewanych wieści powstrzyma. Wspólnie błagaliśmy Go o to, błagajmy i dalej. Bóg wysłucha prośby wiernych Swoich. W Kielcach d. 8 Kwietnia 1861 r. (podpisy) Michał Tański, Smoleński, ks. Ćwikliński, Ludwik Krzyszkowski, ks. Domagalski, Ant. Maicki, A. Bronikowski, Jan Henigman, ks. Brudzyński, Formiński, Igelberg, Perkowski, K. Holewiński, P. Jakubowski, Antoni Szwarz, Kajetan Hołdakowski”.



„*Pierwsza ofiara*” – scena postrzelenia młodego szlachcica, ubranego w polski strój narodowy. Upadając, wypuszcza modlitewnik z rąk. Obraz jest uczczeniem pierwszych ofiar wypadków warszawskich 1861 roku, symbolem wiary i tradycji chrześcijańskiej.

udał się teraz do innych przedstawicieli władz z kocią muzyką i nieodłącznym od niej wybijaniem szyb. Los ten spotkał kapitana żandarmeryi, Bergmana; generała komory celnej Armstronga, inspektora szkół Sawina, dyrektora komory celnej w Szczypiornie, Statkowskiego i wreszcie prezesa miejscowego trybunału. Że oczywiście ta „sprawiedliwość ludowa” miała po większej części źródło w urazach prywatnych różnych osobistości, przekonywuje o tem spis osób, którym odegrano kocią muzykę. Zaraz też nazajutrz utworzyła się Delegacja miejska, której członków sam lud wybrał, złożona z 24 osób, pod prezydencją miejscowego proboszcza, ks. Kobylińskiego. Utworzono policją narodową, złożoną z kilkudziesięciu osób, która zdołała porządek we wzburzonym mieście przywrócić, do czego przyczyniła się patetyczna odezwa, jaką Delegacja do mieszkańców wydała¹²⁰.

Odtąd ciągle odbywały się nabożeństwa i śpiewy patryotyczne. Dowódca garnizonu miejscowego, generał Wronow, wobec tego wszystkiego zachowywał się z niepojętym dziś dla nas spokojem i obojętnością. Delegacja kaliska umiała sobie wyrobić wpływ szeroki, kiedy bowiem burmistrzom miasteczek okolicznych, jak: Chocz, Błaszki, Iwanowice, Opatówek, Turek i Uniejów, sprawiono kocie muzyki i powybijano szyby, ci przerażeni grożącym im niejako niebezpieczeństwem, udali się pod opiekę Delegacji kaliskiej, ta nakazała potworzenie wszędzie Delegacji obywatelskich, które przywróciły porządek.

W Kole d. 6 Kwietnia pojawiły się także kocie muzyki, wyprawiane różnym urzędnikom. Energiczny miejscowy kapitan żandarmeryi, wystąpił jednak czynnie i aresztował kilku wichrzycieli. Były zaburzenia w Koninie, Brudzewie; w Kłodawie burmistrzowi wybito okna przy odgłosie piszczącej muzyki; z Kutna naczelnik powiatu musiał uciekać. W Łowiczu, Rawie, Szadku, Sieradzu, w Zduńskiej Woli nawet potworzyły się delegacje lub komitety bezpieczeństwa publicznego i zagarniały władzę nad miastem. W ostatniem z wymienionych miast, nawet Niemcy, których tam mnóstwo mieszka, ogarnięci patryotyzmem polskim, wzięli w delegacji udział. W Włocławku, Piotrkowie, Radomsku powtarza się to samo. W Częstochowie rozeszła się pogłoska, że stał się cud, że Matka Boska miała przemówić do Syna swego, Jezusa Chrystusa: „synu mój, dopokądże krew narodu polskiego niewinnie przelewać się będzie?” Cud ten umiejętnie rozgłaszany i wyzyskany, dał powód do zwykłych kocich muzyk i koniecznej delegacji.

120 Odezwa ta brzmi: „Mieszkańcy Kalisza! Delegacja jest przekonana, że wypełnianie jej obowiązków trudne nie będzie, bo wszyscy czujecie potrzebę porządku i spokojności, wszyscy pojmujecie, że w dzisiejszym czasie przyszłość nasza zależy od zgody, jedności i poważnego spokoju, któryby świat cały o naszej dojrzałości przekonał. Kalisz d. 1 Kwietnia 1861 r.”

W ogóle cały zachodni pas kraju przybrał charakter na wskrós rewolucyjny, i agitacja tam na wielką skalę się rozwijała, obejmując sobą najdrobniejsze, najuboższe nawet miasteczka, których mieszkańcy w trosce mozolnej o byt, nie myśleli nigdy o polityce i ojczyźnie. W innych częściach kraju, zaburzenia nie przybrały rozmiarów tak wielkich i szerokich, jak w Kaliskiem i Kutnowskiem. W Mszczonowie, Mławie, Garwolinie, Maciejowicach i w wielu zapewne innych miejscach, powstawały delegacje samowolne, przy mniej lub więcej jednakowych okolicznościach.

W Lublinie, gdzie jak wiemy, najprzód po Warszawie utworzyła się, Delegacja obywatelska istniała ciągle i rozporządzała się jak władza samoistna i niezależna. Zbierała się ona codziennie w jednej z mniejszych sal resursy miejscowej na swe posiedzenia, na które znoszono wszelkie plotki i nieplotki miejskie, oraz wiadomości, otrzymane z Warszawy. Drobne jej rozporządzenia były zawsze wypełniane z największą punktualnością¹²¹. Jakkolwiek miała ona wielką przewagę nad miastem, wszelako z pewną obawą oczekiwała na zbliżające się święta wielkanocne. Ludność codzien gromadziła się po kościołach, pod figurami, na cmentarzu, gdzie duży krzyż na pamiątkę wypadków warszawskich lutowych wystawiono, urządziła procesy i śpiewała „Boże, coś Polskę” i inne pieśni. Obiegały pogłoski, że przygotowuje się kilka wielkich kocich muzyk, że nawet młodzież wychodzi w tym celu codziennie za miasto, do pobliskich krzaków i wąwozów na próby z różnymi instrumentami i prosiakami żywymi, i taką wrzawę dziką tam sprawia, że na całą okolicę ją słyszać.

Mówiono głośno, że zamierzają zagrać kocią muzykę wojsku, jego naczelnikom, kilku wybitniejszym w mieście osobistościom, a nawet gubernatorowi Mackiewiczowi. Ten oczywiście o wszystkim wiedział, i rad był, że Delegacja awantury uliczne powstrzymuje i bezpieczeństwa osób naruszać nie daje. Pew-

121 Delegacja lubelska protokółów z posiedzeń swych nie sporządzała, dlatego trudno jest powiedzieć co właściwie, przez parę tygodni swego istnienia, robiła. Według rękopiśmiennych „Notat do lat 1860—61”, prezydujący w Delegacji, którym najczęściej był adwokat Gregorowicz, zapytywał zwykle kto chce z członków przemawiać lub czytać, prosząc aby się zbytecznie nie zapalano i w ogóle uspokajająco na masy wpływno. Ponieważ dni już były coraz dłuższe, posiedzenia więc około godziny 4-tej lub 5-tej się rozpoczynały i to najczęściej w dni świąteczne, aby rzemieślników od pracy nie odrywać. Na zebrania te i kobiety licznie przybywać zaczęły. „Położenie delegatów, powiada wzmiankowany rękopism, którzy na środku sali na podwyższeniu, w czamarkach, zasiadali, trudnem bardzo się stawało, czem tę publiczność zaspokoić, która zawsze żądna była jakichś pocieszających wieści”. Z tego pokazuje się, że Delegacja lubelska nic nie robiła, bo i robić co nie miała, że utworzyła się nie z istotnej potrzeby, ale przez naśladownictwo Warszawy, że posiedzenia jej nakoniec były rodzajem polityczno-literackich zebrań, na których wygłaszano mowy i odczytywano różne referaty.

nego dnia atoli doszło do wiadomości Delegacyi, że Mackiewicz jest trochę zaniepokojony temi gotującymi się kociami muzykami i wprost obawia się, aby jego ten los nie spotkał, ta wpadła na pomysł niefortunny i wysoce nietaktowny, wybrania z pomiędzy swych członków deputacyi, złożonej z osób lepiej gubernatorowi znanych, której polecono się do niego udać z zapewnieniem, że niech się niczego nie obawia, że Delegacya czuwa i nie dopuści do żadnej awantury, mogącej zagrażać jego osobie. Oczywiście Mackiewicz rozgniewał się na ten krok nieprzyzwoity, i odpowiedział z pychą, że: „on opieki nie potrzebuje, że na żądanie może mieć 5,000 wojska, które go od zniewag, szykan i swawoli uliczników zabezpieczy”. Odpowiedź ta rozeszła się po mieście i wzbudziła szczerą chęć w agitatorach pokazania gubernatorowi, że go nawet 5,000 wojska nie obroni, tak że delegaci bardzo pilnie czuwać musieli, żeby Mackiewiczowi nie wyprawiono kociej muzyki, a nawet parokrotnie wieczorem zwrócono biegnących przed gmach rządu gubernialnego różnych chłopców z handlów, warsztatów, aptek, uczniów szkolnych i t. p. zaopatrzonych w rozmaite instrumenta piszczące.

Taki był stan rzeczy w Lublinie, stan istotnie pełen niepokoju, gdy nadeszły święta Wielkanocne. W czasie rezurekcyi baldachim nad biskupem Baranowskim niosło czterech obywateli miejskich, ubranych w kontusze i przy karabelach, co wielką sensacją na obecnych sprawiało. Święta jednak przeszły spokojnie, ale d. 2 Kwietnia gubernator Mackiewicz kategorycznie zażądał, by się Delegacya rozwiązała. Wieść o tem błyskawicznie rozeszła się po mieście i gdy o godz. 4-tej po południu delegaci udawali się do resursy, ogromny tłum, obliczany w przybliżeniu na pięć do sześciu tysięcy osób, zaległ ulicę Królewską i Krakowskie Przedmieście. Delegatów stosunkowo bardzo się niewielu zebrało, i gdy nakoniec, ogłosiwszy publicznie na sali, że Delegacya się rozwiązuje, poczęli schodzić na ulicę i stanęli na schodach przedsionka magistratu, awantury uliczne już przybrały szerokie rozmiary. Kocia muzyka, wymierzona przeciw Mackiewiczowi, narobiła piekielnego wrzasku przed gmachem rządu gubernialnego; następnie grajkowie pobiegli tłumnie przed pocztę dla wymierzenia „sprawiedliwości ludowej” nielubianemu powszechnie pocztmistrzowi Lipińskiemu, uważanemu za „ducha moskiewskiego”. Lipiński rozgniewany tą napaścią, wybiegł przed dom i począł lżyć muzykantów; kilku z nich przyskoczyło do niego i wypoliczkowało, tak że pobity ratował się tylko szybką ucieczką. Teraz dopiero pojawiło się wojsko u rogatki warszawskiej, z generałem Chruszczowem na czele. Obaczywszy to orkiestra kocia pobiegła przez ulicę Szpitalną na ulicę Panny Maryi, czyli Namiestnikowską, i spotkawszy tutaj spokojnie idącego radcę administracyi rządu gubernialnego, Hermanowicza, człowieka uczciwego i prawego, najniesłuszniej wyprawiła mu swą

serenadę i boczną uliczką wybiegła ku Bramie Krakowskiej, poszukując koniecznie innego radcy wojskowo-policyjnego tegoż rządu, także Lipińskiego. Była to osobistość mająca jak najgorszą opinią w mieście, choć był niegdyś pułkownikiem w wojsku polskim; oskarżano go, że przykładał czynną rękę do chwytania w r. 1833 emisaryuszów, którzy z Francji przedarli się do Polski, dla wywołania powstania. Lipiński widząc grożące mu niebezpieczeństwo, zdążył ukryć się u kupca Knolla, naprzeciw magistratu.

Tymczasem nadciągnął Chruszczow z wojskiem i uszykował je w długim szeregu wzdłuż ulicy Królewskiej i naprzeciw magistratu, frontem zwrócony ku Bramie Krakowskiej, pod którą zbite tłumy z orkiestrą kocią na czele stanęły wprost wojska. Część byłej Delegacji stała na stopniach przed magistratem, część rozpierchła się między tłumem, zaklinając go do rozejścia się, gdyż może nastąpić krwawe starcie. Zabiegi te na nic się nie zdały; pod wodzą swych menerów orkiestra się uszykowała, i zagrała potężny, niesłychanie wrzaskliwy hymn koci wojsku, które w milczeniu wysłuchało tej muzyki. Gdy nakoniec ucichły wrzaski piskliwe, cały tłum, łącząc awanturę uliczną z modlitwą, padł na kolana przed obrazem Matki Boskiej, na Bramie Krakowskiej umieszczonym, i począł śpiewać „Boże, coś Polskę”. Chruszczow stał, stał i patrzył; w końcu zakomenderował zwrot i pomaszerował przez Krakowskie Przedmieście do koszar, sam zapewne nie wiedząc po co z nich wyszedł i dlaczego teraz powraca, naraziwszy niepotrzebnie siebie i wojsko na zniewagę uliczną.

Po ustąpieniu wojska nic już powstrzymać nie mogło rozpasanego tłumy, wzrastającego ciągle w liczbę. Otoczono sklep i dom kupca Knolla, domagając się wydania Lipińskiego; śmielsi i zuchwalsi wdzierali się nawet do środka w zamiarze poszukiwania znienawidzonego, jak mówili, „zdrajcy”. Rozdrażnienie w tłumie było tak wielkie, że gdyby wtedy istotnie znaleziono Lipińskiego, zamordowanoby go wśród dnia i na ulicy miasta. Na szczęście, wikaryusz katedralny, ks. Mleczek, powszechnie znany i lubiany, wyszedł z tego domu i uroczyście, zaklinając się na słowo kapłańskie, zaręczył, iż „tego, kogo szukają, w domu tym niema”. Wystąpienie to uspokoiło tłumy, które jednak nie rozchodziły się. Wśród krzyków: wiwat! poczęto obnosić na rękach jakiegoś rządcę ze wsi, który przywiózł do Lublina ajenta związanego, podejrzanego o podburzanie w karczmie chłopów do rzezi szlachty; obnoszono niektórych członków byłej Delegacji, których bardziej lubiano; wybijano szyby w oknach ludzi podejrzanych, lub mających nieszczęście niepodobania się któremu z członków orkiestry kociej; w końcu nie mając już kogo obnosić, bo niektórzy ścigani tą owacyą, aż w kościele św. Ducha się chronić musieli, tłum rozbiegł się na wsze strony i do późnej nocy płała różne figle. Wieczorem po-

jedyncze gromady zebrały się w kilku miejscach, jak na placu Bernardyńskim przed figurą Matki Boskiej, przed Bramą Krakowską, przed Kapucynami i na cmentarzu, i tam pieśni patryotyczne śpiewały.

Taki miała epilog Delegacya lubelska¹²²; ale prócz niego, rozegrała się jeszcze jedna scena, prawie niepojęta, możliwa tylko w tych czasach, i świadcząca na jak słabych podstawach opierał się rząd rosyjski w kraju. Gubernator lubelski Mackiewicz, rozgniewany i przerażony kocią muzyką, jakiej musiał wysłuchać, nie zważając na żadne rady swych urzędników najbliższych, rzucił wszystko i do Warszawy wyjechał. Tu, pojawienie się jego w Zamku wywołało najprzód zdziwienie, a następnie gniew w Gorczakowie. Namiestnik począł mu wyrzucać, że śmiał wśród takiego wzburzenia Lublin opuścić, rozkazał mu powracać natychmiast, grożąc w razie przeciwnym dymisyą. Gdy jednakże Mackiewicz za nic w świecie wracać nie chciał do Lublina, namiestnik d. 7 Kwietnia, doniósł o tem cesarzowi, domagając się „dla przykładu” dymisji dla nieposłusznego a nadewszystko tchórzliwego urzędnika. Cesarz się na to zgodził i Mackiewicz został „oddalonym ze służby za samowolne opuszczenie miejsca swego urzędowania”, jak się w tonie surowym odzywa urzędowe ogłoszenie¹²³. Na jego miejsce, zaraz nazajutrz, d. 8 Kwietnia, Gorczakow mianował tymczasowo gubernatorem Boduszyńskiego, prokuratora przy trybunale lubelskim¹²⁴.

122 Zebrania jednak w resursie, zawsze tłumne i licznie nawiedzane, wciąż jednak trwały, a z nimi mówki i odczyty. Po wypadkach warszawskich d. 8 i 9 Kwietnia dopiero, zebrania te stały się mniej częste, mniej głośnie i mniej gorące.

123 Telegram brzmi: „d. 26 Marca (7 Kwietnia). Gubernator lubelski Mackiewicz, wyjechał bez pozwolenia do Warszawy. W obecnych okolicznościach przykład jest konieczny. Upraszam o pozwolenie udzielenia mu dymisji. Ks. Gorczakow”. Cesarz tegoż dnia odpowiedział na to: „gubernatora Mackiewicza dla przykładu wydalić z urzędu”.

124 Zdaje się, że wprzód sondowano opinią w Lublinie, kogoby mieć chciała swym gubernatorem. Były nawet w pewnych kołach narady i przedstawiono kilku kandydatów, najwięcej jednak za sobą głosów miał Boduszyński. Był to człowiek poważny, prawy, zasłużony i zamężny. Posiadał pod Lublinem piękny majątek Pliszczyn. Ci co go bliżej znali, zapewniali, że to człowiek zacny, trochę pedant, ale dobry Polak. Gdy dla niego nadeszła z Warszawy nominacya na gubernatora, obywatele miejscy i wybitniejsi urzędnicy sądowi poprowadzili go w tryumfie z trybunału (w rynku), przez całe miasto do rządu gubernialnego. Był przystępny, otworzył niejako na rozcież drzwi dla wszystkich interesantów, uprzejmy. Zaraz potem mianował nowego prezydenta w osobie byłego urzędnika Leopolda Wronckiego. Ten wymawiał się od posady tak drażliwej wobec niesforności ulicy i obowiązku składania codziennego raportu naczelnikowi wojennemu Chruszczowowi, ale Boduszyński potrafił go nakłonić twierdząc, że jako stary urzędnik, mogący się rozmówić po rosyjsku i francuzku, gładki i dobrze obznajmiony z administracją, mając przy sobie szwagra, świeżo powróconego z Syberyi i posiadającego przez to w mieście sympatyą, da sobie radę. Mieszkańcy obowiązali się złożyć za Wronckiego wymaganą kaucyą 1000 rubli.

W Żytomierzu, w tymże mniej więcej czasie, zaszły wypadki innego rodzaju, niemniej przeto uderzające przez swój charakter niezwykły i rewolucyjny. Jeden z uczniów gimnazjum żytomierskiego, za opuszczanie samowolne lekcji, został uchwałą rady pedagogicznej ukarany trzechdniowym aresztem. Koledzy jego, dowiedziawszy się o tem, wydelegowali z pomiędzy siebie sześciu do dyrektora gimnazjum, żądając uwolnienia więźnia, gdyż, jak mówili, „fakt ten obraża ich wszystkich”. Dyrektor oczywiście odmówił temu żądaniu, czego rezultatem było to, że klasa piąta i szósta postanowiła wcale nie uczęszczać na lekcye. Na skutek tego, dyrektor ogłosił, że jeżeli d. 8 Kwietnia uczniowie nie przybędą do klas, będzie zmuszony złożyć o tem raport władzy wyższej. Groźba ta nie przyniosła pożądanego owocu. W klasie piątej z 77 uczniów, stało się tylko 9; w szóstej z 48, sześciu. Nie było co robić, dyrektor zdał raport o wszystkim do Kijowa¹²⁵, z kąd przyszła rada, ażeby wpłynąć na rodziców za pośrednictwem miejscowych marszałków szlachty.

Środek ten oczywiście na nic się nie przydał i sprawa gimnazjalna poczęła interesować całe miasto i okolicę bardzo żywo. Nikt się nie znalazł, coby miał odwagę powiedzieć szalejącym młokosom, że ich zadaniem jest nie polityka, ale nauka. Ówczesnym kuratorem honorowym szkół w Żytomierzu, był hrabia Broel-Plater, który zdając o tej sprawie raport gubernatorowi miejscowemu, między innemi powiedział, że „w krajach ucywilizowanych, w Niemczech, Francji i Anglii, uczniowie inaczej nie postępują”. Nie dość na tem, udał on się w połowie Kwietnia do gimnazjum i witając uczniów jako „swych braci, przyjaciół, kolegów i współpracowników”, głośno mówił, że uczniowie powinni wprawdzie słuchać władzy, a jeżeli ta czasem ich obrazi, to należy to znieść w milczeniu, „gdyż w takim razie władza sama sobie ubliża”¹²⁶. Oczywiście

125 W raporcie tym, skreślonym stylem kancelaryjnej nieudolności, pisał między innemi co następuje: „postępowanie uczniów wychodzi z granic dozwolonych i nie może pozostać bez skutków, jakkolwiek przy usposobieniu obecnem umysłów tutejszego społeczeństwa polskiego, nie można ich (t. j. uczniów), jako dzieci, sądzić zbyt surowo. Znajdują się oni bowiem pod wpływem fanatyzmu Polaków tutejszych, mieszkają nie na stancyach, które zamknięto, ale wśród rodzin prywatnych polskich, gdzie ciągle słyszą rozmowy i wyrzuty, skierowane przeciw władzy i rozporządzeniom rządowym, widzą postępowanie i działalność takich osób, które ze swego stanowiska w społeczeństwie, zdawałoby się, nie powinnyby prowadzić opinii publicznej na drogę fałszywą, jak np. urządzania demonstracji politycznych pod pozorem nabożeństw kościelnych, do których wciągnięci zostali także uczniowie; dotąd mężczyźni i kobiety noszą tu żałobę i t. d. Czyż więc może być inaczej, że przy takim kierunku Polaków i dzieci ich dają się pociągać”.

126 Kurator mówił po polsku, co niesłychanie oburzało miejscowych nauczycieli Moskalli. W raportach, których kopie w zbiorach naszych posiadamy, i sprawozdaniach o tej sprawie drobnej, ale będącej niejako „signum temporis”, oburzenie to występuje nieomal w każdym słowie.

ście tego rodzaju słowa nie mogły wpłynąć na uspokojenie umysłów młodzieży; zaburzenia się wzmagaly, tak że w rezultacie w połowie Maja zamknięto dwie ostatnie klasy gimnazjum¹²⁷.

Taki w ogólności był stan prowincyi; bardzo zły, bardzo niebezpieczny i świadczący o szeroko rozgałęzionej agitacji rewolucyjnej, która jak rzeka ciągle wzbierająca, coraz większe zalewała przestrzenie i podmywała wszelki porządek w kraju. W Królestwie zwłaszcza trzeba było koniecznie temu zapobiedz, jeżeli chciano szczerze wprowadzić w wykonanie instytucje przyrządzone. Widzieliśmy, że odnośnie do prowincyi, Wielopolski radził zniesienie natychmiastowe wszędzie delegacyi i straży bezpieczeństwa powstałych samowolnie. Gorczakow na to się zgodził, i w tym celu wysłał generał-majora Bebutowa, Ormianina rodem, byłego dowódcę pułku czerkiesów, człowieka zręcznego, ażeby jeździł po miastach i delegacye znosił. Jakoż zjawiał on się wszędzie, uśmiechał, kłaniał, dziękował za utrzymanie porządku, ścisnął ręce delegatów, wdychał melancholijnie, ale delegacye i straże bezpieczeństwa rozwiązywał.

Prócz tego Gorczakow nosił się z myślą utworzenia wszędzie na prowincyi naczelników wojennych, ze stosunkowo rozległą władzą. Już w końcu Marca telegrafował o to do cesarza, i chciał nawet sprowadzić z Petersburga na jedno z takich stanowisk generała Wagnera, starego swego znajomego. Na teraz jednak rzecz ta nie przyszła do skutku; później dopiero pojawią się osławieni naczelnicy wojenni, rodzaj małych prokonsulów z tatarską domieszką i głęboko wyźłobią się w pamięci narodowej.

Wszystkie jednak te zaburzenia prowincjonalne, jakkolwiek z wielu względów bardzo niebezpieczne, były jednak niczem wobec objawów ponurego ruchu między chłopstwem, ruchu cuchnącego krwią i dziką rzezią. Widzieliśmy już sporadyczne fakta tego ruchu; w Lublinie zjawiał się rządca jakiejś wsi i przywiózł związanego ajenta, który chłopów po karczmach do rzezi namawiał. Że tacy ajenci wszędzie się znajdowali, to nie ulega kwestyi; że wyszli oni z muchanowskiej puszkii Pandory, to także jest pewne; mimo to, chłop chętnie dając ucha ich słowom, sam rozwodził się nieraz w żalach i skargach, lecz siedział spokojnie i cicho. W tym atoli czasie, w chwili gdy Wielopol-

127 Zakończenie tej sprawy jest niemniej charakterystyczne. W końcu Maja był zjazd w Żytomierzu marszałków szlachty, na którym to zjeździe postanowili oni prosić władzę, ażeby „w celach pożytku ogólnego, oraz z uwagi, ażeby na społeczeństwie nie ciążyli ludzie bez zajęcia, zwłaszcza gdy od nich można z czasem spodziewać się usług pierwszorzędných dla kraju”, otwarto znowu klasy zamknięte. Decyzja ta przedstawioną została radzie pedagogicznej, która ją prawie jednogłośnie przyjęła. W rezultacie sprawa przedstawiona do Kijowa, została rozstrzygnięta w myśli tej uchwały i w Lipcu obie klasy zostały znowu otwarte.

ski przyszedł do władzy i zamierzał rozesłać swój okólnik, zapowiadający rychłe oczynszowanie, oprócz owego wypadku lubelskiego, były jeszcze inne, zwłaszcza na Podlasiu, mające charakter o wiele poważniejszy i groźniejszy. We wsi Krasówce, leżącej na drodze od miasteczka Łomaz do Międzyrzeca, przejeżdżający kozak spędził włościan, orzących na łanie dworskim, grożąc im karami surowymi ze strony władzy, jeżeli nie przestaną robić pańszczyzny. Mimo to, gdy we dworze wytłómaczono chłopom, że pogroźki kozaka nie mają podstawy, odrabiali pańszczyznę jak przedtem. Na skargę dziedzica Szamowskiego kozak podobno został ukarany.

We wsi Sfory, w tejże okolicy, żołnierz urlopowany namawiał chłopów w karczmie, by nie robili pańszczyzny. Właściciel Sforów, książę Mirski, udał się ze skargą do naczelnika powiatu, Buczyńskiego, a gdy to nie miało skutku, odniósł się do Wielopolskiego i niebawem naczelnik powiatu dostał dymisyą. Takich faktów w różnych stronach kraju było mnóstwo; świadczyły one o tej podziemnej, głuchej agitacji, jaka wśród ludu nurtowała i jaka nakoniec przybrała szerokie rozmiary, w głośniejszą na kraj cały, mającej swój wpływ na wypadki najważniejsze tej chwili, sprawie Międzyrzeckiej.

W mieście tem, proboszcz miejscowy, ks. Kazimierz Dobrowolski, nacytawszy się zapewne różnych odezw, czy to Towarzystwa rolniczego, czy księdza administratora płockiego, Myślińskiego, na kazaniu w czasie świąt Wielkanocnych, składając swym parafianom życzenie wesołego alleluja, wspomniał zarazem o projekcie oczynszowania przez obywateli włościan, a co za tem idzie i zniesienia pańszczyzny. Słowa te padły na grunt urodzajny; wśród chłopów rozeszło się przekonanie, że pańszczyzna zniesioną została i to natychmiast. Wszystkie wsie unickie, wchodzące w skład dóbr Międzyrzeckich, w ogólnej liczbie dwudziestu siedmiu, przestały wychodzić na pańszczyznę¹²⁸. Godną uwagi rzeczą jest, że dwie wsie, zamieszkałe przez ludność katolicką, mianowicie Grabowiec i Ostrówek, nie wzięły udziału w tym, że tak powiemy, rokoszu. Oczywiście natychmiast władza miejscowa się w to wzięła, wszelkie jednak jej tłumaczenia, groźby, oraz przemowy samego proboszcza Dobrowolskiego, głównego niejako źródła tych zaburzeń, nie odniosły skutku. Chłopi z uporem zaciętym zostali przy swoim i robić pańszczyzny nie chcieli.

Sprawa wlokła się dość długo; kilku przywódców, oskarżonych o opór władzy, uwięziono, ale w Warszawie zrobiła ona najprzykrzejsze wrażenie. Wielopolski widział źródło tych zaburzeń w odezwie Towarzystwa rolniczego i księdza

128 Wsie te są następujące: Krzewica, Żabce, Tłuściec, Wólka Krzymoska, Zasiadki, Koszełki, Rogoźnica, Wysokie, Sulifów, Sawki, Turów, Worsy, Bereza, Zahajki, Drelów, Kwasówka, Pereszczówka, Witoróż, Strzyżówka, Leszczanka, Danówka, Surmacze, Szachy, Dołha, Puchacze, Sitno, Żerocin.

Myślińskiego, w mięszaniu się nakoniec niepotrzebnem do kwestyi chłopskiej duchowieństwa, czego najlepszym przykładem było wystąpienie niefortunne proboszcza międzyrzeckiego, i zdecydował się z właściwą sobie stanowczością koniec temu położyć, uderzając w Towarzystwo i w duchowieństwo. Co do pierwszego, wiemy, że jednym z warunków, pod którymi przyjął władzę, było rozwiązanie tej instytucyi, rozporządzającej się w kraju samoistnie; co do drugiego postanowił mu dać surowe napomnienie. Jak straszne skutki miały za sobą pociągnąć te dwa postanowienia Wielopolskiego, zaraz to obaczymy.

Upomnienie to miało się stać tem przykrzejszem, tem ostrzejszym i ja-skrawszych nabrać barw, że wygłaszał je Polak, katolik, człowiek uważany bądź co bądź za swego.

W dniu 2 Kwietnia, zaraz po świętach Wielkanocnych, nowemu swemu dyrektorowi, w gmachu Komisji wyznań i oświecenia, przedstawił się biskup sufragan Dekert, umyślnie wezwany przez Wielopolskiego do stolicy administrator dyecezyi unickiej chełmskiej, kapituła warszawska, akademia duchowna i przełożeni zakonów warszawskich. Margrabia wyszedł do nich ze zwykłą sobie kartką w rękę i wygłosił mowę następującą:

„Dostojny księżę biskupie, szanowni prałaci i ojcowie! W duchowieństwie tutaj obecnem rzymsko-katolickiem i unickiem, pozdrawiam dzisiaj zwiastunów pokoju. Otworzoną w społeczeństwie przed oczyma naszymi przepaść, silne ramię Opatrzności zamykać poczyna i po dniach żałości nastaje pociecha, a oby! i wesele. I gdzież teraz mniej jest powodów żalu, jak w łonie duchowieństwa? Czujecie to z nami, a po długich doświadczeniach lepiej od nas, czem was obdarzył monarcha ustanawiając osobną w kraju władzę dla spraw duchownych, i zwyczajem dawnym powołując pasterzy kraju do rady krajowej.

„Kościołowi rzymsko-katolickiemu należy się szczególna moja względność; pamiętać o tem przyjdzie mi tem łatwiej, gdy wiara katolicka jest także moją i ojców moich wiarą. Lecz tę moją życzliwość dla kościoła utrzymam na wodzy. Tak jest dostojny księżę biskupie, szanowni prałaci i ojcowie! Jestem dyrektorem władzy opiekującej się wszystkimi wyznaniem, a wyznaniem w połączeniu z oświeceniem; nie zboczę więc z toru prawdziwej tolerancji, jednego z wielkich nabytków wieku. Jestem członkiem rządu najjaśniejszego pana; nigdzie, o ile to we mnie będzie, a tem bardziej w moim zakresie, rządów żadnych w rządzie nie uznaję. Z pod ustaw postanowionych nikomu samowolnie wyłamywać się nie dam; wszakże chętnem służyć będę uchem zażaleń na ścieśnienia, a gdy je uważać będę za słuszne, wedle mocy albo im zarządę, albo wyżej do łaskawego zarządzenia poniosę. Potrzeby kościołów i osób duchownych będę miał na pieczy. Ufam waszej mądrości i umiarkowaniu, wy, szanowni panowie, dobrym moim chęciom zaufajcie”.



„Widowa... a raczej nasze rozdarte serce” – tak mówił o swojej pracy artysta. Przedstawił na ilustracji kobietę w czerni z dwójką małych dzieci w kościelnej kruchcie. Są to, jak należy sądzić, wdowa i sieroty po zabitym uczestniku Manifestacji na Placu Zamkowym w dniu 9 kwietnia 1861 r. Obraz symbolizuje wszystkie pogrążone w żałobie rodziny poległych Patriotów.

Wrażenie tej mowy, bądź co bądź niezręcznej, było niesłychane. Mówimy: niezręcznej, bo dla Polaka, przychodzącego do władzy pod rządem rosyjskim, dla Polaka zawsze przez ogół nie lubianego i podejrywanego, wreszcie dla Polaka, chcącego istotnie poprawić los ojczyzny, nie należało drażnić duchowieństwa, siły w kraju religijnym bardzo potężnej. Czegóż bowiem pragnął Wielopolski, a z nim wszyscy ludzie rozumni, przerażeni roztwierającą się pod nogami Polski przepaścią? Przedewszystkiem uspokojenia się kraju, przerwania agitacji rewolucyjnej, ciszy, któraby dozwoliła na rozwój instytucji nadanych. Tymczasem sam Wielopolski przez wystąpienie niezręczne psuł te zamiary; stojące dotąd nieco na uboczu od agitacji duchowieństwo, rzucał w ramiona tej agitacji, wyzywał je do walki, groził nawet. Wobec tego tonu surowego, traktującego duchowieństwo z wysoka, tych słów lapidarnych, ni kły i zatraçały się niektóre wysoce donośne i pocieszające dla duszy polskiej ustępy mowy. Ustępy te dotyczyły unii, którą, dotąd poniżaną i urzędownie zawsze rozdzielaną od obrządku łacińskiego, stawiał z tym ostatnim na równi; dawał niejako poznać, że weźmie ją pod opiekę swoją. Przez wyrażenie tolerancyi religijnej zapobiegał niepokojowi podnoszącemu się wśród protestantów i żydów, lękających się rządów polskich i szlacheckich. Wszystko to jednak gasło wobec groźby rzuconej w twarz duchowieństwu, wobec owych słów, że „rządów w rządzie nie uzna”. Słowa te skierowane były głównie ku Towarzystwu rolniczemu, ale właśnie dlatego, były tu, w mowie do duchowieństwa, nie na miejscu i nieodpowiednie. Gdzieindziej mierzył a gdzieindziej uderzył, że użyjemy wyrażenia trywialnego; inne znów miejsca mowy odnosiły się specjalnie do ks. Myślińskiego i jego odezwy niefortunnej¹²⁹.

Przypomina to bajkę o niedźwiedziu, który, chcąc muchę spędzić z czoła przyjaciela, uderzył go kamieniem i zabił. Tak samo zrobił Wielopolski; chcąc dać napomnienie jednemu księdzu, dał je całej klasie ludzi pewnych swej władzy, noszących w sobie wszystkie pretensje wyższości Kościoła i jego niezależności. Narażanie się więc takiej sile, wyzywanie jej do walki, było błędem i ciężko miało zaważyć nie tylko na losach Wielopolskiego, co mniejsza, ale na losach nieszczęśliwej ojczyzny polskiej, co już jest rzeczą o wiele ważniejszą. Margrabia był zanadto dobrym Polakiem i zanadto rozumnym człowiekiem,

129 Sam to Wielopolski powiada w liście do żony, cytowanym u Lisickiego: „do czego odnosiły się pewne miejsca mojej mowy, mianej do duchowieństwa, widzieliście już z urzędowego oznajmienia mego, pomieszczonego poniżej ustawy, znoszącej Towarzystwo rolnicze, Pasterz, którego tam wymienić nie chciałem, jest ks. Myśliński, administrator płocki, który położenie i duchowieństwa i moje względem rządu wielce utrudnił, jak je utrudnia uporczywa, mimo starań moich, żałoba duchowieństwa, za którą idą i uczniowie szkół. Zatamoowało to, co od początku dla ulżenia położenia duchowieństwa, gdzie wypada, przedsięwziąć zamierzyłem”.

by nie miał wiedzieć, że wygłaszając taką mowę obrazi duchowieństwo i zaszkodzi sprawie, której obronę wziął na siebie, ale pchnęła go do tego duma, pycha, pewność siebie, że rewolucją zgniecie, i nieszczęsna wreszcie mania wygłaszania mów. W tej chwili stokroćby lepiej był zrobił Wielopolski, gdyby nic nie mówił, a natomiast tylko działał. Winien był na tyle znać siebie, że przy swej żylce dziennikarskiej i adwokackiej, w mowach swych zawsze kogoś zadraśnie, zwłaszcza, jeżeli ten ktoś ośmieli się stanąć mu w poprzek. Mowa jest srebrem, a milczenie złotem, mówi mędrzec arabski; czemuż o tej maksymie dla dobra swego i Polski margrabia pamiętać nie chciał!¹³⁰

Jeżeli słowa nowego dyrektora wyznań i oświecenia wywarły wśród duchowieństwa silne oburzenie, niemniej uczuła się niemi obrażona cała ta rojna rzesza agitatorów i polityków, którzy baczną mieli zwróconą uwagę na wypadki, rozwijające się w kraju. Tego samego dnia jeszcze, choć sam tekst autentyczny mowy ogłoszony został dopiero nazajutrz w gazetach, wszyscy w Warszawie o niej wiedzieli, wszyscy ją sobie powtarzali. Klasa rzemieślnicza, która obyczajem niemieckim przepędzała wieczory po licznych piwiarniach, t. z. w Warszawie „bawaryach”, komentowała słowa margrabiego, oburzała się niemi, obrzucała go wprost mianem zdrajcy, zaprzańca, „ducha moskiewskiego”, a, przekręcając jego nazwisko, zwała go „Wieloruskim”. „Co za duma, jaka pycha! wołano — on tylko dlatego pamięta o wierze katolickiej, że jest jego i jego ojców wiarą. A cóżby dopiero było, gdyby ona nie była jego ojców wiarą?” Takimi frazesami rozdrażniano się wzajemnie i pomiatano bądź co bądź wielkim, choć wysoce niezręcznym mężem.

Rozdrażnienie to przybrało rozmiary tem szersze, że w parę dni potem, 4 Kwietnia, margrabia, przyjmując dozór bożniczy, Komitet synagogi i deputacją żydów z Pińczowa, znalazł dla nich same słówka miodowe, choć przecie wiedział dobrze, iż żydzi w ruchu rewolucyjnym warszawskim bardzo żywy brali udział. Ale umieli oni wziąć się, że tak powiemy, do niego. W chwili, gdy został dyrektorem wyznań i oświecenia, żydzi z Pińczowa przysłali mu adres pełen czołobitności i zachwyty, a d. 2 Kwietnia, w chwili, gdy gro-

130 Spasowicz w swem dziele „Żyziń i polityka Wielopolskiego”, zastanawiając się nad tą mową, powiada: „jeżeliby margrabia odniósł się do duchowieństwa zupełnie bezbarwnie, to nie byłoby powodów do narzekań, lecz mimo to spokój nie byłby się utrwalił, dlatego, że cele obu stron były różne i że duchowieństwo, poczynając od proboszczów aż do biskupów, było ze wszech stron otoczone przez rewolucjonistów i płynęło szybko, całą siłą pary w przyszłość fatalną”. Zapewne, że mogło tak być i tak nawet było, ale w każdym razie obowiązkiem patriotycznym Wielopolskiego było: nie drażnić duchowieństwa. Historia wtedy winę z jego głowy przeniosłaby na głowę duchowieństwa, a on sam, w swem własnem sumieniu byłby spokojny i mógłby sobie rzec: nie przyczyniłem się w niczem do tego, że kler polski rzucił się w objęcia rewolucji.

mił duchowieństwo katolickie, żydzi warszawscy odprawili w znaczniejszych swych synagogach nabożeństwo solenne o błogosławieństwo (Miszeberach) dla margrabiego. Dziwna rzecz! ten człowiek tak rozumny, obdarzony inteligencją tak niepospolitą, a nadewszystko charakterem tak silnym, jaki rzadko w Polsce się rodzi, został ujęty tem zbyt grabem pochlebstwem. Gdy się u niego pojawili, podał rękę nadrabinowi Mayzelsowi i, zawsze trzymając nieodłączną karteczkę przed sobą, przemówił:

„Panowie! Wdzięczny wam jestem za okazywaną mi ufność, której nowy, zaszczytny dla mnie dowód w pismach publicznych wczoraj wyczytałem.

„Dążenia wasze ku usunięciu, na drodze zawsze ściśle legalnej, rozmaitych względem was wyłączeń, życzę szczerze, aby skutek odniosły, a życzę jako zwierzchnik nad wyznaniami, którego zasadą jest zdrowa tolerancja – i jako prawnik.

„Wiadomo panom, iż jestem zwolennikiem prawodawstwa cywilnego, które od pół wieku stanowi ogniwo, naszą narodowość z cywilizacją europejską spajające. Duchowi tego kodeksu obce są ustawy wyjątkowe, obce wyłączenia przed prawem cywilnem. Nie miejcie panowie obawy, iżbym ja podzielał dzisiejszego utworu zdanie tych, którzy wam tam jakoś radzą i za warunek kładą, abyście przestali być tem, czem głównie jesteście i z drogi przemysłu handlowego, oraz z nim połączonych zajęć schodząc, zaprzęgli się do pług. Szanowne jest powołanie rolnicze, w którym i wy, abyście udział mieli, pragnę; ja sam z rzemiosła mego jestem rolnikiem, lecz rolników, moi panowie, mieliśmy zawsze podostatkiem; zbywało naszemu krajowi na poważnym, tak zwanym trzecim stanie, którego zaród przez Opatrzność w was włożony, nieuznaniem marnieje.

„Wspólnych starań dołożmy, ażeby ten zaród ożywił się i rozwinął. W tem jest społeczna wasza godność.

„Będzie to znacznie zależało od roztropności waszej i przezorności; przymioty te oddawna was cechujące, oby się stały nas wszystkich udziałem”.

Mowa taka, takie słowa miękkie, słodkie, przyjazne, uderzyć każdego musiały wobec tego, co przed paru dniami do duchowieństwa katolickiego zostało powiedziane, i tem więcej oburzyć. Zdarzyło się przytem, czy przez umyślną złośliwość dziennikarską, czy też z woli margrabiego, który w takim zestawieniu przez kontrast chciał podnieść siłę tego, co powiedział, obie mowy ukazały się jednocześnie w gazetach, i każdy, choćby najprostszy umysł musiała uderzyć ich nadzwyczajna, jaskrawa różnica¹³¹. Jeżeli to stało

131 Opowiadano sobie przytem, że po przyjęciu urzędowem, margrabia wdał się w pogawędkę z Mayzelsem w języku niemieckim. Gdy przy pożegnaniu rabin podał mu lewą rękę, Wielopolski zapytał go się: „Powiedz pan, kochany panie Mayzelsie, dlaczego mi podajesz lewą rękę. — „Wir können nicht anders machen, odrzekł rabin, wir haben doch

się z wiedzą i wolą Wielopolskiego, a prawdopodobnie tak jest, bo dzienniki drukowały jego komunikaty w miarę ich nadsyłania, to był to drugi błąd, było to wyraźne zamanifestowanie się, rzucenie rękawicy duchowieństwu, lekceważenie go zupełne.

Jakoż duchowieństwo nie pozostało dłużnym. Tego samego dnia, w którym słówkami miodowemi margrabia przemawiał do żydów i marzył o wytworzeniu z nich stanu trzeciego, ukazała się odpowiedź duchowieństwa na jego mowę, niepodpisana przez nikogo specjalnie, tylko w ogólności przez „duchowieństwo katolickie Królestwa Polskiego”¹³². Pamflet ten, napisany, jak się zdaje, przez księży: Steckiego, Wyszyńskiego i Piotra Męcińskiego, wikaryusza przy kościele św. Karola Boromeusza, w tysiącnych odpisach rozbiegł się po kraju, znajdując wszędzie poklask i admirację. Tylko w czasach tak ogólnej gorączki, takiego zaślepienia, jakie padło na oczy i na umysły wszystkich, szkodliwa ta z wielu względów protestacja mogła się powszechnie podobać.

Obrzucając błotem urzędnika Polaka, który przypominał swą postawą lepsze, dawniejsze czasy, który swą głową przewyższał wszystkich, który właściwie był teraz rządem, czyniono zadość interesom rewolucyjnym, ale nigdy interesom ojczyzny. Zato, że urzędnik ten, może zbyt szorstko, zbyt otwarcie i w niewłaściwej chwili wypowiedział kilka prawd w oczy klerowi polskiemu, protestacja głosiła rokosz otwarty, zapowiadała wprost opór.

„Wszyscy kapłani katolicy w Polsce, mówi protestacja, uważają mowę jako groźbę nie wywołaną niczem, jako zniewagę niesłusznie sobie wyrządzoną i poczytują za konieczny i święty obowiązek zaprotestować głośno przeciw temu wszystkiemu, co w niej zapoznaje (?) nasze stosunki krajowe, obraża nasze sumienia i poniża godność naszą. A najprzód cały charakter tej mowy odznacza się niezwykłą surowością, tonem stanowczym i rozkazującym, do którego nie przywykliśmy dotąd, na który nie zasłużyliśmy wcale i którego w przemowie do przedstawicieli innych wyznań religijnych w kraju nie znajdujemy zupełnie”.

Komentując ten ustęp mowy, w którym Wielopolski zapowiada, że nikomu nie dozwoli wyłamywać się z pod ustaw postanowionych, pomijając milczeniem następne zdanie, że „chętnem służyć będzie uchem zażaleń na ścieśnienia”, protest woła:

keine rechte” (Nie możemy inaczej, bo nie mamy prawej). Gra słowa „rechte”, oznaczającego rękę prawą i prawo, a zatem znacząca, „że nie mamy żadnych praw”, podobała się powszechnie Warszawie, lubującej się w takich dwuznacznikach.

132 Nie trzeba brać za jedno tej protestacji, datowanej 4 Kwietnia i bezimiennej, z protestacją niejako urzędową, podpisaną przez arcybiskupa Fijałkowskiego, która przesłana została Wielopolskiemu w kilka tygodni później, bo dopiero d. 10 Maja.

„Treść jej (mowy) wyrzuca nam jakieś wyłamywanie się z pod ustaw postanowionych, naprowadza na domysł jakichś niesnasek i nieporozumień między nami i rządem, który poprzedził pana dyrektora i takowe groźnie potępia. Tak, panie dyrektorze, tak było, niestety! ale to wyłamywanie się z pod ustaw postanowionych, to była ciężka i bolesna praca nad zniweczeniem nieszczęsnych skutków wydawanych przepisów, mających na celu demoralizacją i znikczeniem naszego narodu, a których ślady, znajdziesz, panie dyrektorze, w archiwach rządowych. Te nieporozumienia i niesnaski, to była trzydziestoletnia, krwawa walka z przemocą i usiłowaniami potęgi fizycznej, chcącej pozbawić kraj świętej wiary naszej i narodowości; aby go złać w jedną całość z narodem obcym nam religią, przeszłością, oświatą i uczuciem. Podobne zajścia są dla nas źródłem chluby i szlachetnej dumy, a zarazem zachętą do wytrwania na podobnie zagrożonym stanowisku; a wątpimy, czy masz prawo, panie dyrektorze, jako Polak i katolik, powołujący się na przodków polskich i katolickich, wyrzucać nam tę walkę i wyłamywanie się z pod ustaw ustanowionych i rzucać na nas kamieniem potępienia”. „Ustępu mowy, który nam zapowiada, że pan dyrektor nie uznasz żadnych rządów w rządzie, nie rozumiemy dobrze. Czyżby to miało znaczyć, że pan dyrektor jesteś nieprzyjacielem tych szczątków samodzielności naszej, która broni nasz kraj od zupełnej zagłady, która jedynie stawia nas w możności podjęcia i prowadzenia tej ustawicznej walki przeciw zamachom na religią i narodowość naszą? Że pan dyrektor, wypełniając widoki rządu, chciałbyś zamienić duchowną naszą zwierzchność w urzędników swojej kancelaryi, a nas w ślepe narzędzia, uległe wszechwładnej woli rządu w jakimkolwiek bądź kierunku? Panie dyrektorze! Człowiek, który przed panem dzisiejsze jego stanowisko zajmował, miał względem nas te same zamiary, ale brakowało mu odwagi do głośnego ich objawienia wobec całego kraju, wobec całego ucywilizowanego świata. Pan dyrektor dopełniasz go w tym względzie; jako Polak, katolik, wobec zmartwychwstającej naszej ojczyzny, wobec niewyschłych łez, ciekącej krwi i niezagojonych ran po trzydziestoletniej walce w obronie wszystkiego, co nam najdroższe na ziemi, przyrzekasz nam imieniem członka rządu najjaśniejszego pana, że spełnisz to, czego tamten dokonać nie mógł. Postanowienie to, jakkolwiek zgodne z widokami rządu, sprzeciwia się jednak najświętszym interesom kraju naszego, starożytnym i ukochanym tradycjom naszego rozwoju dziejowego, a czego niepodobna, abyś sam w głębi duszy swej nie uznał. Na tej drodze spotkasz, panie dyrektorze, równą walkę, równą chęć wyłamywania się z pod ustaw postanowionych, jak jego poprzednik”.

W końcu protestacya wypowiada wojnę margrabiemu:

„Z jednej strony pan, panie dyrektorze, jako potomek starożytnej rodziny polskiej, jako katolik i Polak staniesz w obronie zamiarów rządowych i cen-

tralizacyi, tak błogie wydającej owoce w ościennem państwie; z drugiej strony całe duchowieństwo polskie stanie w imię Boże do dawnej wytrwałej, choć niemej i przemocą tłumionej walki w obronie wiary, sumienia, praw i wolności naszego narodu. Zwycięstwo w ręku Boga; Jego miłosierdziu ufamy z pokorą”.

Taką była ta protestacya z wielu względów najzgubniej mająca wpłynąć na losy kraju. Ze śmiałością naganną fałszowała ona zasadnicze myśli mowy Wielopolskiego i stawiała go na równi z Muchanowem i innymi Moskałami, którzy przychodzili do Polski po to tylko, by pełnić w niej niezaszczytną rolę kata i gnębiiciela wiary, języka, wszystkiego jednym słowem, co stanowi odrębność narodową.

Protestacya duchowieństwa znalazła się wkrótce w dziennikach zagranicznych, zwłaszcza polskich. „Czas” krakowski przedrukował ją w całości, zowiąc protestacyą wszystkiego duchowieństwa katolickiego w Polsce, a „Głos”, dziennik wychodzący we Lwowie pod redakcją głośnego powieściopisarza Zygmunta Kaczkowskiego, publikując sam protest, przez niepojęte nadużycie, pomieścił pod nim nazwisko ks. Dekerta, sufragana warszawskiego, podpisującego się jakoby „w imieniu całego duchowieństwa”. Wobec tego Wielopolski, przez osobny reskrypt z d. 4 Maja, przesyłając Dekertowi odnośny numer „Głosu”, zażądał od niego wyjaśnienia. Dekert oczywiście zaprzeczył temu jak najuroczyściej¹³³.

133 Oto jak o tym fakcie mówi komunikat urzędowy Wielopolskiego, pomieszczony w dziennikach warszawskich współczesnych, przytaczając zarazem dosłownie treść odpowiedzi biskupa Dekerta:

„Warszawa dnia 10 Maja 1861 r. Dyrektor główny prezydujący w Komisji rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego, margrabia Wielopolski pomiędzy anonimami, jakie po objęciu urzędowania odbierał, otrzymał pismo w kształcie listu, datowane dnia 4 Kwietnia 1861 r. mające być odpowiedzią na przemowę dyrektora do duchowieństwa warszawskiego, mieniące się dziełem całego duchowieństwa, a niczym podpisem nie opatrzone, margrabia nie zwracał na nie większej uwagi, jak na liczne inne bezimienne utwory takiej samej wartości. Pismo to, przez ludzi złej woli po różnych miejscach kraju roznoszone, dostawszy się do zagranicznych dzienników, nazwane jest w „Czasie” krakowskim protestacyą duchowieństwa katolickiego w Polsce, a w „Głosie” lwowskim No 93 z r. b. ogłoszone z podpisem „ks. Dekert w imieniu całego duchowieństwa”. W takim stanie rzeczy, lubo niepodobnem było do wiary, aby pismo takie mogło być dziełem kapłana, uczynione zostało do J. W. J. X. biskupa Dekerta urzędowe w tej mierze zapytanie. Własnoręczną jego odpowiedź dosłownie tutaj zamieszcza się;

Biskup sufragan archi-dycezyi warszawskiej. W Warszawie d. 6 Maja 1861 r. W odpowiedzi na odezwę J. W. Dyrektora głównego reskryptem z d. 22 Kwietnia (4 Maja) r. b. za No 565, łącznie z wyciągiem z dziennika peryodycznego lwowskiego „Głos” mi wręczoną, oświadczam, iż żadnego bezimiennego listu do J. W. Dyrektora głównego nie pisałem, pisma w rzeczonyj kopii mi udzielonego nie jestem autorem, żadnej jego kopii jakoby mojego utworu nie podpisałem, a tem samem bynajmniej na to nie wpłynąłem, ażeby z udanym moim podpisem, jakoby w imieniu całego duchowieństwa w dziennikach krajowych lub zagranicznych ogłoszonym było. Z głębokiem uszanowaniem X. Jan Dekert B. S. A. W”.

Wielopolski więc miał tę satysfakcją, że w sposób nieodparty wykazywał kłamstwa, jakich się na wielką skalę dopuszczała w opisie wypadków warszawskich prasa zakordonowana polska, ale na tem się wszystko kończyło. Pożytku mu to żadnego nie przyniosło, owszem przycichłą na chwilę sprawę protestacyi duchowieństwa na nowo ożywiło, i w kraju, właśnie w skutek tego zaprzeczenia, wszyscy byli przekonani, że Dekert protestacją podpisał, i że ona jest zbiorowym aktem kleru polskiego. Owszem, zobaczymy wkrótce, jak złe skutki wywarło to zaprzeczenie urzędowe, ogłoszone po dziennikach.

Dzienniki te, jakkolwiek będące pod niezmiernie ostrą cenzurą, zajęły wyraźnie nieprzyjazne i opozycyjne względem rządu i Wielopolskiego stanowisko. „Gazeta codzienna”, zmieniawszy w dniu 3 Kwietnia tytuł swój dotychczasowy na „Gazetę polską”, co zwłaszcza na prowincyi przyjęto z wielkim aplauzem¹³⁴, usiłowała od czasu do czasu popierać margrabiego, ale brała się do rzeczy lękliwie, nieśmiało, ostrożnie, kołując zdaleka i gubiąc się w mglistych teoriach filozoficznych, przyczem, stawiając i Panu Bogu i dyabłu świeczkę, dawała surowe napomnienia Wielopolskiemu. W jednym ze swych numerów (z d. 6 Kwietnia) powiada, że „wypada podziwiać wpływ wielkich indywidualności” na kierunek spraw ludzkich, ale, że rola kierownika rzadko jest komu dana, częściej „porywa się za mały człowiek do zbyt wielkiego zadania i zgnieciony pod niem upada”. „Można wiele dokazać, pisze dalej, gdy się nie zbyt olbrzymich rzeczy pragnie i działa w sferze właściwej, gdy się dba o czyn tylko, a nie żąda samemu, czy przez miłość kraju, czy przez miłość siebie, wszystkiego dokonać; można być wielkim w swoim zakresie, a małym, gdy się za jego szranki wychyla. Dyktatura moralna w wielkich chwilach przesilenia nie daje się, lecz bierze potęgą ducha; nadana lub narzucona zawodzi, uzurpowana częściej prowadzi do celu, bo jest dowodem prawdziwej energii lub siły. Wielcy ludzie nie tworzą się *a priori*; muszą zapracować na swą wielkość i dobić się jej w pocie czoła”. Te napomnienia, wygłaszane tonem nauczycielskim, nie podobały się jednak czytelnikom. Redaktor gazety, Kraszewski, musiał się więc bronić, tłumaczyć i wołał, że go „źle zrozumiano, że jeżeli powiedział, iż śmiałość i zuchwalstwo są dowodami jenuśzu, to dodać należy, że charaktery podobne muszą czerpać swą siłę w miłości kraju, w związku z pragnieniami i potrzebami narodu; muszą się opierać na opinii i, zachowując swą niezależność w środkach, cel mieć jeden z ogółem”. Z tego oczywisty wniosek, że, ponieważ Wielopolski nie opiera się na opinii, działalność jego zatem nie może mieć znaczenia dodatniego.

Kraszewski więc nie okazał odwagi, jaką winien mieć każdy dziennikarz w Polsce, choć z tego co pisał widać, że rozumiał doskonale położenie kraju i jego potrzeby.

134 Przyczem obiegała pogłoska, która się sprawdzić nie miała, że „Gazeta Warszawska” zwać się będzie Gazetą narodową. W połowie Maja zwiększyła tylko swój format.

Wśród tego młodzieży szkolna i rzemieślnicza, dzięki pięknej porze i dzięki świątecznym tygodniom, tłumnie snuła się po ulicach i szukała tylko sposobności do wyplątania jakiegokolwiek figła Moskałom. Taka sposobność niestety! znaleźć się wkrótce miała, a na nieszczęście swoje i kraju, podał ją sam Wielopolski. Mówimy tu o rozwiązaniu Towarzystwa rolniczego. Wiemy już, że jednym z warunków, pod którymi margrabia przyjął udział w rządzie, było zniesienie tej instytucji, w rzeczy samej z wielu względów niebezpiecznej; że w Warszawie i w Petersburgu się na to zgodzono, bo rząd rosyjski zawsze jest gotów zgodzić się na to, co w jakikolwiek sposób może zaszkodzić lub dokuczyć Polakom. Górczakow jednak, człowiek uczciwy i pragnący przedewszystkiem uspokojenia kraju, jakkolwiek w zasadzie zgadzał się na rozwiązanie Towarzystwa, uznawał nawet konieczność tego kroku, z obawy jednak przed następstwami, że zwyczajnie swego odkładania ważniejszych i bardziej stanowczych zamiarów do jutra, pragnął sprawę zniesienia Towarzystwa odwlec jak najdłużej. Do nalegającego o to Wielopolskiego odzywał się: „nie mówmy o tem teraz”; mimo to jednak w końcu uległ, choć przewidywał, jakby w przeczuciu proroczem, krwawe następstwa tego kroku, które miały do reszty wstrząsnąć jego schorowanym ciałem i zawieść go do grobu.

Dlaczego jednak Wielopolski tak usilnie i tak stanowczo domagał się zniesienia Towarzystwa? Czy ono w rzeczy samej szkodę jaką przynosiło w tej chwili i w przyszłości przynieść mogło tak krajowi, jak i instytucjom świeżo mu nadanym? Czy obok niego istotnie rząd wszelki w Polsce był niemożliwy? Wielopolski, a raczej jego stronnicy utrzymywali, że tak było, że Towarzystwo przez swą organizację, swe cyrkularze, swe pretensje wreszcie odgrywało rolę jedynej legalnej władzy polskiej, było rządem w rządzie, uniemożliwiało wszelkie działanie.

Utrzymywano, i Wielopolski sam miał mieć takie przekonanie, że, w skutek różnych odezw do ludu, lud ten był do głębi wzburzony; że nie było ani dnia ani godziny do stracenia, jeżeli chciano uniknąć nowej rzezi galicyjskiej¹³⁵. Je-

135 Tak twierdzi syn margrabiego, Zygmunt, w „Liście otwartym do hr. Stanisława Tarnowskiego”, „Wobec szerzącego się, pisze on, usposobienia po kraju, w skutek postanowień i okólników różnych, które burzyły ludność wiejską, nie było ani dnia ani godziny do stracenia, a to tak dalece, że Wielopolski truchlał na myśl, że pod rządem, którego jest członkiem, chociaż z innych przyczyn, rzeź galicyjska ponowić się może. Nie był wówczas margrabia bezpośrednim zwierzchnikiem służby cywilnej w kraju, nie miał władzy nad Towarzystwem rolniczym, które podlegało Komisji spraw wewnętrznych, nie był więc panem tyle niebezpiecznego i z grubszego obrabiania ludu wiejskiego. Rozwiązanie Towarzystwa rolniczego czyniło zbyt czynnem okólniki o okólnikach, tłumaczenia tłumaczeń, i od razu umysły po wsiach uspokoiło. W przeciwnym razie, czyżby rząd mógł egzekwować tabele prestacyjne na chłopie, którego pan prawi o uwłaszczeniu? Zawieszenie de facto robocizny przymusowej byłoby wystawiło większą własność na przewrót

żeliby jednak tak było, a wiemy, że tak źle rzeczy nie stały, bo najpoważniejsze zaburzenia międzyrzeckie poza odmową robienia pańszczyzny nie biegały, to czyż dekret, znoszący Towarzystwo rolnicze, był w stanie temu zapobiedz? Czy chłop od powziętego zamiaru, chwycenia za nóż Szeli, dałby się tym dekretem powstrzymać? Czy wiedział nawet o nim, czy rozumiał go? Zaiste, nie! Większość ludu naszego, zapracowana ciężko, oglupiona uciskiem długowiecznym, nie wiedziała nawet o istnieniu Towarzystwa, a jeżeli wiedziała, to nie zdawała sobie z tego sprawy, nic ją ono nie obchodziło.

Dla zapobieżenia zaś złemu wpływowi, jaki Towarzystwo wywierać mogło na przebieg sprawy włościańskiej, w rządzie autokratycznym, jakim był rząd w Polsce, dość było jednym prostym dekretem zakazać Towarzystwu wydawania okólników i odezw, wepchnąć je napowrót w ciasne koryto swych zajęć rolniczych, z którego nigdy nie powinno było wyjść. Zniesienie wreszcie Towarzystwa zapobiegało wprawdzie wydawaniu publicznych okólników, ale nie niszczyło jego organizacji wewnętrznej, która pomimo wszystko trwała dalej i stawała się tem niebezpieczniejszą, że, nie mogąc działać otwarcie, pod kontrolą władz, działała skrycie i bez żadnej kontroli. Lekarstwo więc stało się gorszem od samej choroby; rozwiązanie Towarzystwa było błędem, strasznym w swych następstwach błędem, z wielu jeszcze innych względów. Towarzystwo bowiem od czasu wypadków Lutowych, od chwili, gdy wobec tych wypadków zajęło postawę odporną, gdy z mozołem i z widoczną niechęcią uchwalało uwłaszczenie, nie cieszyło się dobrą opinią w kraju. Napróżno wydawało okólniki, umizgało się do tej opinii, pisało adresy, podawało nawet dłoń rewolucji, rewolucja ta krzywo na nie patrzyła, i widocznem było, że szlachtę wysadza z siodła. Położenie jego było takie w tej porze, że mądry polityk byłby zostawił rzeczy swemu biegowi, byłby nawet głaskał Towarzystwo dla ostatecznego zepsucia mu opinii i byłby się powoli, bez żadnych wstrząśnięć, doczekał tej chwili, kiedy Towarzystwo samo przez się byłoby rozchwiało się pod ciężarem niepopularności. Członkowie tej instytucji, jej komitet, po dekrete zniesienia odetchnęli swobodniej i szepotali na ucho o swej wdzięczności dla Wielopolskiego, bo ich wydobyl z nieznośnego położenia, za jednym zamachem zdobył im popularność, odzyskał dobrą opinią, której oni sami nigdy nie byliby w stanie odzyskać¹³⁶.

gospodarczy. Jeszcze tydzień istnienia Towarzystwa rolniczego przy pomocy powiatowej jego organizacji byłby w owej chwili wystarczył do ubezwładnienia na długi czas surdutowej opozycji, lecz cały bieg sprawy włościańskiej, której rozwiązanie margrabia zamierzał przeprowadzić bez wstrząśnięć ekonomicznych, byłby był zwichnięty”.

136 Lisicki (Aleksander Wielopolski, I, 198), jakkolwiek broni postanowienia Wielopolskiego, sam jednak przyznaje, że zniesienie Towarzystwa największą przysługę wyrządziło jego komitetowi: „Krok ten pisze, przedsięwzięty w interesie porządku publicznego, w interesie kraju i szlachty, oddawał największą przysługę prezesowi i komitetowi, znaj-

Nie podobna przypuszczać, by tak rozumny człowiek jak Wielopolski tego wszystkiego nie widział i nie pojmował. Dlaczego jednak inaczej postąpił? Odpowiedź na to pytanie znaleźć tylko możemy w jego charakterze, w jego mściwości, w chęci dokuczenia, „dania się we znaki” tym, których nie lubiał. Wszystkie, powyżej przytoczone względy, miały dla niego drugorzędne znaczenie wobec żądzы pomstczenia się na tych, którzy go nie przyjęli za członka, którzy wszelkie jego usiłowania odrzucali, którzy mu na każdym kroku dawali uczuwać swą wyższość mniemaną. Wielopolski był to człowiek, który bądź co bądź w wielu razach kierował się namiętnościami i dla namiętności gotów był wiele, nieomal wszystko poświęcić. Te namiętności, gniew i rozdrażnienie, wzrastać w nim musiało z każdą prawie chwilą, wśród tej burzy, która koło niego szalała i szarpała go bezlitośnie. Istotnie trzeba było posiadać wielką siłę ducha, by zachować sąd spokojny o rzeczach wpośród gorączki powszechnej, jaka najzimniejsze nawet ogarniała głowy. Człowiek tak wrażliwy, jak Wielopolski, spokoju takiego nie miał i zachować go nie potrafił. W gorączce tej, drobne nieraz rzeczy nabywały rozmiarów olbrzymich, dawne urazy podnosiły głowę i domagały się pomsty, i ta pomsta, osobista uraza do Towarzystwa, niechęć do jego prezesa, pragnienie pokazania temu ostatniemu swej przewagi i znaczenia, było głównym, zasadniczym powodem zniesienia instytucji rzeczonyj. Ale człowiek, który najświętsze interesa kraju stawia na szwank dla zadośćuczynienia swej namiętności i swym prywatnym uniesieniom, nie jest ani patriotą, ani obywatelem prawdziwym i Wielopolski obywatelem w podniosłym znaczeniu tego wyrazu nie był. Szedł on wszędzie przebojem, lubiał okazywać swą siłę i znaczenie, zwłaszcza w początkach swej władzy. Wiedział on, że zniesienie Towarzystwa wywołać musi zaburzenia i w duszy oczekiwał z upragnieniem takiego skutku, co niechże mu porachowanem będzie jako usprawiedliwienie tego zgubnego kroku. Liczył bowiem na to, że, ścinając hydrze jedną głowę w osobie Towarzystwa, zetnie zarazem i drugą w osobie rewolucyj czzerwonej. Pragnął więc tego, bo przekonany był, że, dawszy naukę krwawą ulicy, kraj odrazu uspokoi i rządzić w nim będzie mógł swobodnie. Obaczmy zaraz, że się mylił, jak ciągle się mylił ten umysł namiętny, szorstki, doktrynerski, zaślepiony przez dumę i Nabuchodonozorową pychę¹³⁷. Chcąc jednak choć trochę przygotować kraj do aktu zniesienia To-

dującemu się w położeniu bez wyjścia, co w cztery oczy nie jeden z tych panów przyznawał”. Sądzi my wszelako, że interesem kraju i jego przyszłości nie było wydobywanie tych panów z położenia kłopotliwego, ale owszem mocniejsze jeszcze pogrążenie w niem, zmuszenie do wypicia piwa, którego nawarzyli. Wielopolski, rozwiązując Towarzystwo, wydobywał za nich gorące kasztany z ognia.

137 Spasowicz (p. 154) powiada, że przed zniesieniem Towarzystwa Wielopolski co do tego przedmiotu z każdym pojedynczo członkiem komitetu miał narady, i że kaźden z nich zgadzał się na konieczność rozwiązania instytucji, do której należał. Że z tym i owym

warzystwa i podburzenia przeciw niemu opinii publicznej, umówił się z Kronenbergiem, właścicielem „Gazety polskiej”, że ten wydrukuje w niej artykuł przeciw Towarzystwu. Pretekst łatwo się znalazł. W tym czasie bowiem komitet Towarzystwa rozesłał był okólnik do wszystkich swych korespondentów, ażeby przyjmowali do nauki gospodarstwa rolnego żydów, gdyż ci, według komitetu, tą jedynie drogą mogą zostać prawdziwymi obywatelami kraju¹³⁸.

Kronenberg z łatwością przekonał Kraszewskiego, człowieka niezwykle wrażliwego i entuzjastę, prócz tego nie bardzo chętnego Towarzystwu za to, że go niegdyś przebalotowało, że taki okólnik komitetu jest obrazą wymierzoną wszystkim żydom, jest zamachem na pięknie rozwijające się początki jedności narodowej. Czyż bowiem żydzi nie są już obywatelami kraju? nie daliż tego dowodów? czyż, żeby zostać obywatelem polskim, trzeba koniecznie na wsi siedzieć, wasy długie nosić i buraki sadzić? Okólnik Towarzystwa jest niczem innym jak szlachecką fanaberyą i zasługuje na surowe skarcenie. Kraszewski dał się przekonać, zapalił się i przygotował w tym duchu ognisty artykuł, który miał się ukazać w wilią dekretu o zniesieniu Towarzystwa, t. j. w Piątek, dnia 5 Kwietnia. Jakoż artykuł ten już był złożony, gdy jeden z członków redakcji, niejaki Tadeusz Wolski, szlachcic podupadły, który zawiesił się przy dzienniku dla chleba, ale zachował wszystkie swe dawne znajomości i stosunki, doniósł o przygotowującym się zamachu na dobrą sławę Towarzystwa i nawet odbitkę samego artykułu komitetowi jego złożył. Przestraszony tem komitet, co prędzej wydelegował trzech swoich członków, między którymi byli: Stawiski, autor adresu do cesarza i Adam Goltz, piszący od czasu do czasu różne, małej zresztą wartości rzeczy, ażeby udali się do Kraszewskiego i wyjednali u niego powstrzymanie druku tego artykułu. Redaktor gazety bronił się słabo, twierdził, że źle zrozumiano treść artykułu, ale w rezultacie zgodził się na żądanie delegatów i artykuł inkryminowany rozebrać kazał, unicestwiając zarazem dobry lubo małego znaczenia zamiar Wielopolskiego, który, wątpliwą jest rzeczą, czy jakikolwiek wpływ mógłby mieć na wypadki następne¹³⁹.

Tymczasem, gdy się to dzieje, margrabia zredagował dekret, znoszący Towarzystwo rolnicze, nie na posiedzeniu całej Rady administracyjnej, jak

mógł Wielopolski o tem mówić, sprzeczać się nie będziemy, ale o tem, by z całym komitetem się naradzał, nie znajdujemy wiadomości w żadnym ze źródeł drukowanych i niedrukowanych, jakie posiadamy.

138 Okólnik ten, jak zapewnia A. Giller (Historia powstania, 1, 73) został wydany pod wpływem Zamoyskiego, który przez to utracił swe znaczenie w stronnictwie umiarkowanym.

139 Kraszewski tak dalece czuł, że źle robi, iż nie chcąc się już tego dnia widzieć z Kronenbergiem, przed którym musiałby oczywiście wytłumaczyć swe postępowanie, skrył się i nie pokazywał mu się wcale. Kronenberg napróżno artykułu i jego autora szukał.

chciało prawo, ale sam, 1 gotowy już protokół, pojedynczo zwoływani do Zamku członkowie Rady, podpisywać musieli; przekonał się jednak zaraz, jak w samym rządzie niektóre osoby temu postanowieniu są przeciwne. Gorczakow wahał się z położeniem swego podpisu na odnośnej uchwale Rady administracyjnej; jak gdyby w przeczuciu widział przed oczami swej duszy nowe zaburzenia, może nową krew, która miała zatruć mu ostatki jego życia. Drzewiecki, dyrektor Komisji sprawiedliwości, wprost i stanowczo odmówił swego podpisu, raz dla tego, że dekret nie był legalnie sporządzony, a potem, że nie chciał przyjmować solidarności z aktem, który uważał za zły i zgubny dla rządu i kraju. Ten opór niespodziewany rozdrażnił i tak już mocno podrażnionego Wielopolskiego. Potrafił przekonać namiestnika, że Drzewiecki przez to stał się niemożliwym na sweni wysokim stanowisku, że jest za słaby, że szuka popularności u ulicy. Rezultatem tego było to, że Gorczakow zażądał w d. 4 Kwietnia od cesarza dymisy dla Drzewieckiego¹⁴⁰; jakoż nazajutrz, d. 5 Kwietnia, dymisyja ta została ogłoszona w gazetach, że Drzewiecki „na własną prośbę uwolniony został od obowiązków Dyrektora, a na jego miejsce powołany został naczelny prokurator 9-go departamentu Rządzącego senatu, rzeczywisty radca stanu Jan Kanty Wołowski”. Ten ostatni pochodził ze znanej w kraju ze swych zdolności rodziny frankistów, która wydała kilku znakomitych prawników i ekonomistów.

W takich warunkach, zapowiadających coraz gwałtowniejsze zawikłania i coraz silniejszy opór wszelkim zamiarom Wielopolskiego, został nakoniec ogłoszony w d. 6 Kwietnia sam dekret, znoszący Towarzystwo rolnicze.

Jako motyw tego aktu, dekret powiada, że „Towarzystwo rolnicze w Królestwie Polskiem, ustanowione w jedynym celu podniesienia rolnictwa, przez położenie, jakie w ostatnich czasach, pomimo ustawy swej przybrało, dzisiejszym okolicznościom nie jest odpowiednie”. Na miejsce rozwiązującego się Towarzystwa dekret zapowiadał, że urządzane będą w różnych miejscach Królestwa zebrania (komicye) rolnicze. Remanent kasy Towarzystwa polecał przenieść jako depozyt do Banku polskiego, dla zwrotu z prawa komu należy. Współcześnie z tym dekretem ukazało się w gazetach, jak sam Wielopolski to nazywał, „oznajmienie” jego, wymierzone głównie przeciw ks. Myślińskiemu, administratorowi dyecezyi plockiej i przeciw Towarzystwu rolniczemu. W oznajmieniu tem dyrektor Komisji wyznał i oświecenia podawał do wiadomości, że „jeden z pasterzów dyecezyi” uczynił do podwładnego sobie du-

140 W depeszy pisał: „23 Marca (4 Kwietnia). Drzewiecki w obecnych okolicznościach jest za słaby. Potrzebnym jest energiczny dyrektor sprawiedliwości. Proszę o pozwolenie nominowania na to stanowisko Wołowskiego, naczelnego prokuratora 9-o departamentu. Adresu on nie podpisał. Ks. Gorczakow”.

chowienstwa odezwę, ażeby księży, jako przewodnicy ludu, w naukach religijnych, mianowicie przy trybunale pokuty, starali się wpływać na uspokojenie umysłów, oraz na obudzenie zaufania w sprawiedliwość władz krajowych”; że odezwę tę zarządzający dyecezyą przesłał, jak wypadło, Komisji rządowej spraw wewnętrznych i duchownych. Ten sam pasterz, w kilkanaście dni później, odezwą powtórną, „dotąd przez niego rządowi na drodze właściwej nie nadesłaną”, oznajmił duchowieństwu swojemu, że szlachta na walnym swem zebraniu rolniczym w Warszawie, jednozgodnie uchwaliła świetny akt uwłaszczenia, i wezwał toż duchowieństwo, aby „odpierało krzywdę, jaką obywatelom ziemskim czynią nasi nieprzyjaciele, wmawiając, że nie szlachta, lecz rząd gruntami szlacheckimi włóścian udarował”.

„W tym samym duchu (powiada dalej oznajmienie), postępując, niektórzy plebani, pod wpływem niektórych korespondentów i członków Towarzystwa rolniczego, odczytali z ambon ludowi wiejskiemu przygotowane przez Towarzystwo rolnicze ogłoszenie, po którego już rozpoznaniu i usunięciu przez rząd jako niewłaściwe, dyrektor główny rozesłał duchowieństwu całemu do śpiesznej publikacji z ambon obwieszczenie swe z d. 19/31 Marca, stan rzeczy co do oczyszczania i stopniowego skupu czynszu ludowi wiejskiemu wedle prawdy i słuszności objaśniając. Tymczasem przez odczytywanie z ambon nieupoważnionego ogłoszenia wynikły nieporządki w niektórych gminach kraju, a mianowicie w dobrach Międzyrzec, gdzie, wedle otrzymanych urzędowych raportów, niespokojności te wszczęły się skutkiem mylnie zrozumianej odezwy Towarzystwa rolniczego, odczytanej rolnikom w pierwszy dzień Wielkiejnocy w kościele parafialnym przez miejscowego proboszcza. Od pomienionego zarządcy dyecezyi bliższe wyjaśnienia są teraz oczekiwane. Zachowując należną duchowieństwu swobodę co do spraw kościoła, oraz odróżniając postępowanie jednego zwierzchnika dyecezyi od poważnego zachowania się znacznej większości naszego duchowieństwa, władza nie będzie obojętną na niczyje przywłaszczenia w sprawach krajowych”.

Tak dekret o rozwiązaniu Towarzystwa, jak i to oznajmienie, będące ponownem i surowem napomnieniem, udzielonem ponad głowę Myślińskiego duchowieństwu polskiemu, zostało opublikowane w gazetach w d. 6 Kwietnia, t. j. w Sobotę. Było to błędem, jeżeli działano bez rozmysłu i jeżeli istotnie nie chciano wywołać nowych z tego powodu zaburzeń i manifestacji. Po Sobocie tej bowiem następowały dwa dni z rzędu świąt, to jest Niedziela i uroczystość Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny, co przy pięknej porze wiosennej, jaka stale panowała, wyprowadzało na ulice tłumy ludności i dawało agitatorom możliwość urządzenia wielkiej demonstracji. Zdaje się jednak, że tak Wielopolski, jak i wszyscy ci, którzy pragnęli ukrócenia rozruchów, tego właśnie chcieli,

by raz na zawsze przemocą i krwawą nauką, stłumić w ludzie warszawskim ochotę do nieporządków ulicznych. W zarządzie wojskowym gotowano się do tego oddawna; generał Chrulew już od kilku dni bawił w Warszawie (przybył z Petersburga dnia 2 Kwietnia) i gorliwie zajmował się wszystkim, co potrzeba dla energicznego przeciw rozruchom wystąpienia. Oprócz podziału całego miasta na części, oddane pod zawiadywanie osobnych generałów, pod ogólną komendą generała Liprandi, starego żołnierza, który należał jeszcze do szturmów do Warszawy w r. 1831 — wydano rozporządzenia co do tego, jakie punkta na wypadek alarmu mają wojska zajmować w mieście. Hasłem do alarmu miały być trzy wystrzały działowe z cytadeli i 12 rakiet wypuszczonych z Zamku; na to hasło każdy oddział wojsk, z możliwą szybkością biegnąc ulicami, oznaczonymi ściśle, żeby nie nastąpiło spotkanie jednego oddziału z drugim, winien zajmować przeznaczony dlań punkt. W samym Zamku znajdowały się stale cztery kompanie piechoty, czyli cały batalion. Oficerów pomieszczono w Sali tronowej; dwie kompanie w bibliotece i sali nad nią; jedną w oranżeryi; nakoniec czwarta nie miała kwatery wyznaczonej, lecz mieściła się, gdzie mogła. Przez jakiś czas np. zajęta była na ten cel wielka sala balowa z kolumnadą. Żołnierze w pysznych tych mieszkaniach dawnych królów polskich spali pokotem na słomie obficie rozesełanej. Służbę tę w Zamku pełniły kolejno batalion pierwszy i trzeci pułku Kostromskiego piechoty i jeden batalion pułku Symbirskiego. Tak przygotowawszy się, oczekiwano, nie bez pewnego wewnętrznego niepokoju, dalszych, strasznych niestety! następstw.

Jakoż zbliżały się one szybko. Jakkolwiek o zamiarach Wielopolskiego zniesienia Towarzystwa rolniczego wiedziano prawie powszechnie, jakkolwiek to i owo o tem przedostało się do mas, większość jednak nie chciała temu wierzyć, nie przypuszczała, by Polak mógł się targnąć na instytucyą, z takim mozołem na rządzie zdobytą, by nakoniec mogło to tak prędko, tak nagle nastąpić. Jednym słowem dekret Rady administracyjnej wywarł ogromne, piorunujące rzec można na miasto wrażenie. Wszystkich, przez szczególną niewiarę w możność takiego kroku, dekret ten uderzał jak prawie coś niespodziewanego, nagłego, jak piorun spadający z jasnego nieba. „A więc się ośmielił!” mówiono sobie, „więc zrobił to jednak!” Zamoyskiego rozwiązanie Towarzystwa najbardziej, najboleśniej dotknęło, bo instytucyę tę uważał za swoje dziecię, za podstawę reorganizacyi przyszłej kraju. Niechęć, jaką miano do Towarzystwa, podejrzenia, jakie na nie rzucano, odrazu, jak za dotknięciem laski czarodziejskiej, znikły. Wszyscy tylko teraz mówili o Towarzystwie, wszyscy się niem zajmowali, wszyscy podnosili do niezwykłych wyżyn doniosłość ciosu, jaki poniósł kraj i zbrodni, jakiej się dopuścił Wielopolski. Głośny i bardzo czytany poeta tej doby, Władysław Syrokomla, napisał wiersz na rozwiązanie

Towarzystwa rolniczego, który podłożony pod łątwą i melodyjną muzykę na tempo mazura, cieszył się wielką popularnością, śpiewany był powszechnie i Towarzystwo czynił instytucją na wskrós patryotyczną, przyczyniając się w znacznej mierze do nadania zgromadzeniu szlacheckiemu tej popularności, jakiej nigdy za życia nie miało¹⁴¹. Ludzie najspokojniejsi, najchłodniejsi unosili się, nawet przyjaciele serdeczni i wielbiciele margrabiego z pewnem oburzeniem wewnętrznem i bólem patrzyli na ten krok jego, którego pojąć ani wytłomaczyć sobie nie mogli, nie przypuszczali bowiem, by Wielopolski był zdolny swe urazy prywatne mścić publicznie i ze szkodą interesów najdroższych kraju.

141 Wiersz ten przytaczamy tu w całości:

„Nas zebranych wielu razem
Car widzieć nie życzy,
Więc rozwiązał swym ukazem
Legion rolniczy.
Przypomina twoje długi
Rycerski człowiecze!
Że żelazne twoje pługi
Czas przekuć na miecze.
Wszak młocarnie i żniwiarki
Bezczynnie nie zgniją,
Żać i młócić wrogów karki
Jest agromiją!
Gospodarka trzypolowa
Wrogom się podoba,
Łan Poznania, łan Krakowa
Wzięli Niemcy oba,
Moskwa wzięła resztę łanów
Polski, Litwy, Rusi.
Więc reforma płodozmianów
Kłuć ich w oczy musi.
Czyż już pól tych nie odbierzem?
Czyż już rady nie ma?
Złącz Łokietka z Kazimierzem.
To polskie systema.
Miecz i lemiesz w swoją kolej,
Wyborne narzędzie,
Łan zasiewaj, krwią go polej,
A pszenica będzie.
Gdy trzy łany wyrwiesz dziczy,
Gdy się kąkol wytnie
Nasz odwieczny Dom rolniczy
Znowu nam zakwitnie”.

Kowno, 10 Kwietnia 1861 r.

Zygmunt Helcel, stary przyjaciel margrabiego, którego ten ostatni wezwał do Warszawy i ofiarował mu albo stanowisko rektora mającej powstać Szkoły głównej, albo dyrektorstwo Komisji sprawiedliwości, jadąc do stolicy polskiej, w drodze, w Piotrkowie, dowiedział się o rozwiązaniu Towarzystwa rolniczego. Wiadomość ta tak nim wstrząsała, że, rezygnując ze wszelkich godności, ofiarowanych mu przez margrabiego, chciał wracać do Krakowa, „stracił bowiem wiarę nie w jego (Wielopolskiego) dobre chęci, ale w zdolność praktycznego zastosowania głębokiej, teoretycznej znajomości sztuki rządzenia”. „Polityki rozwiązania Towarzystwa rolniczego, pisał sam w parę tygodni później, zrozumieć nie mogliśmy”.

Tak więc wszyscy ludzie w kraju, jakichkolwiek bądź odcieni, stanowczo i bezwzględnie krok ten potępili, krok zdrożny, nierozumny, bo mający swe źródło w osobistym pragnieniu pomsty i w uniesieniu gniewu. Dla rewolucjonistów zaś, dla czerwieńców, dla tej licznej rzeszy agitatorów, którzy włączyli się po palącym bruku Warszawy i oczekiwali na sposobność urządzenia wielkiej manifestacji, pragnęli jej, jak kania deszczu, była to gratka jedyna. Już tego samego dnia, w którym ukazał się dekret, skazujący na śmierć Towarzystwo, wśród Nowakowskich, Szachowskich, Frankowskich i t. p. objawił się ruch ogromny.

Wszyscy „smarkacze” i niesmarkacze wołali, że trzeba publicznie cześć oddać i wdzięczność okazać zniesionemu Towarzystwu rolniczemu; że należy prezesowi jego Andrzejowi Zamoyskiemu podnieść wieniec zasługi obywatelskiej, że nakoniec trzeba uroczyście objawić zlanie się dwóch wyznań katolickiego i żydowskiego i publicznie podać rękę żydom na znak zgody, braterstwa i jedności; jednym słowem trzeba urządzić nową wielką manifestacją, nowy „koncert nad koncertami”. Układano cały program postępowania i układano tak głośno, że policja o wszystkim wiedziała; nie przedsięwzięła jednak żadnych kroków w celu zapobieżenia manifestacji, która się miała niestety! zamienić w formalną rzeź uliczną, rzeź, którą w sferach rządowych uważano za złe, ale złe konieczne, za rozcięcie ostateczne wrzodu, który się od lat tyłu zbiera, wprawia w gorączkę i w stan zapalny cały organizm polski. Policja więc nie przedsięwzięła żadnych zaradczych środków, ani też niedawno mianowani komendanci różnych okręgów miejskich, choć manifestacja przygotowywała się jawnie i głośno. Wszystkie jej szczegóły obmyślano i opracowano w ciągu nocy z 6 na 7 Kwietnia, z Soboty na Niedzielę.

Już od samego rana, 7 Kwietnia, niezwykle ruch zapanował na ulicach Warszawy, pomimo że dzień był chmurny i deszcz rzęsisty padał. Bardzo liczne tłumy, przeważnie złożone z rzemieślników i uczącej się młodzieży, ciągnęły na cmentarz Powązkowski, gdzie, jak się zdaje, według zamiaru agitatorów,

miał być początek manifestacji. W kościółku miejscowym wysłuchano nabożeństwa i wyruszono na grób pięciu poległych, ustrojony tymczasem wspaniale w rozmaite emblemata, w które ta epoka tak obfitowała, w połamane krzyże, orły i pogonie, palmy i wieńce cierniowe, kajdany i łańcuchy. Grób był literalnie zarzucony kwiatami i sztucznymi wieńcami. Odśpiewawszy „Święty Boże” i nieuniknione „Boże coś Polskę”, poczęto powoli rozchodzić się, zwiedzać cmentarz, lub przypatrywać się stojącemu batalionowi piechoty w szyku bojowym, z czterema działami po skrzydłach, na drodze ku Bielanom, co świadczy, że władza była o wszystkim jak najdokładniej uwiadomiona i rozwijała znaczne siły wojskowe, dla dania przy pierwszej lepszej sposobności krwawej nauki ludności warszawskiej. Już było koło godziny dziesiątej, i tłum nie wiedząc co robić, byłby prawdopodobnie rozszedł się zupełnie, gdyby nie ukazała się idąca z miasta, z głośnymi śpiewami, dość liczna procesya. Na jej czele postępował Nowakowski, dominując głową nad tłumem, intonując głosem donośnym pieśni i dźwigając krzyż, który według wieści, rozpowszechnionej między tłumem, miał być tym samym, jaki kozacy w d. 27 Lutego „znieważyli i złamali”. Procesya ta wyszła z kościoła Bernardynów na Krakowskim Przedmieściu i prowadzona przez Nowakowskiego, wśród pieśni patryotycznych przeciągnęła około Zamku przez całe miasto. W drodze miano spotkać trzech bernardynów, idących za interesami i zabrano ich ze sobą. „Ubrania żałobne, opowiada świadek naoczny, głowy obnażone, pomimo że deszcz ulewny padał przez całą drogę, donośny rozgłos pieśni nabożnych i litanii, nadawały tej procesyi charakter uroczysty i niezwykle wzruszający”. W takim poważnym pochodzie wkroczo na Powązki, połączono się z błądzącym tu już od paru godzin tłumem, odśpiewano „Witaj królowo nieba”, ozdobiono krzyż na mogile poległych białym orłem i samą mogilę zasypano kwiatami, poczem jeden z Bernardynów począł mówić. Dziękował za to, że się tak licznie zebrano, jakkolwiek zebranie to nazwał prywatnem (sic), kazał odmówić wieczne odpocznienie „za braci naszych poległych”. Tu w tłumie rozległy się głosy: „i za kijowskich braci”. Bernardyn powtórzył to żądanie niczem niesprawiedliwione i zachęcał do rozejścia się.

Jakoż zanosilo się na to. Tłum, który obliczają na kilka tysięcy ludzi¹⁴², nie wiedział co robić, nudził się i powoli rozchodził.

Komuś przyszła do głowy myśl urwać gałązkę zieloną z mnóstwa wieńcy, leżących na grobie pięciu ofiar, i zatknąć ją sobie za kapelusz. Zaraz wszyscy poczęli to naśladować i wnet czapki i kapelusze ustrojone były w gałęzie zielone i kwiaty. Czyn ten, nie wiadomo co mający znaczyć, nie mógł jed-

142 Manuskrypt „Kronika wypadków warszawskich przez Mieszkańca Warszawy” twierdzi, że liczba obecnych na cmentarzu dochodziła do 20.000 osób.

nak powstrzymać od powolnego, ale stałego rozchodzenia się zebranych. Na szczęście dla agitatorów, pojawiła się nowa procesya, postępująca od Warszawy. Mogła być wtedy godzina 11-sta rano. Procesya ta wystąpiła z kościoła OO. Kapucynów na ulicy Miodowej i, podobnie jak pierwsza, przeszła całe prawie miasto ze śpiewami patryotycznymi, niosąc obraz Matki Boskiej, „zełżony pałaszami i nahajkami w d. 27 Lutego” jak sobie opowiadano wśród tłumów. Odbyły się więc nowe śpiewy i wśród przyrzeczeń, że zejdą się wszyscy o godz. 4-tej po południu przed gmachem Towarzystwa kredytowego ziemskiego na ulicy Erywańskiej, gdzie się mieściło biuro Towarzystwa rolniczego i gdzie chciano temu ostatniemu „cześć oddać”, jak mówiono, poczęto się rozchodzić. W większej części wracano tłumnie, niosąc w rękach gałązki zielone i kwiaty. Wielu poszło do domów, ale większość, zwłaszcza czeladzi rzemieślniczej i różnego motłochu bezimiennego, wprost z cmentarza podążyła przed gmach Towarzystwa kredytowego.

Koło godziny 4-tej po południu przed rzeczonym gmachem poczęło gromadzić się znaczne zbiegowisko ludzi, wynoszące około dziesięciu tysięcy głów. Najwięcej nadciągnęło od strony ulicy Marszałkowskiej. Cały plac Ewangelicki, ulica Mazowiecka, Erywańska, plac Zielony i Saski, roił się od mnóstwa osób wszelkiego stanu, płci i wieku. Drugi, niemniej liczny tłum, gromadził się przed pałacem Zamoyskich na Nowym Świecie i sięgał od ulicy Świętokrzyskiej do Saskiego placu, przez który łączył się ze zbiegowiskiem przed gmachem Towarzystwa kredytowego. Usposobienie tłumy było po większej części wesołe, twarze uśmiechnięte, jak gdyby radowano się z tego co robiono. W zbiegowisku przeważały klasy rzemieślnicze i wyrobnicze, wśród których rozlegały się głośnie, rubaszne śmiechy i żarty, nieraz cuchnące zgnilizną zaułków przedmiejskich. Całość miała charakter motłochu, który, wypełznawszy ze swych nor ponurych na jasność dzienną, okazywał w całej brzydocie swe prostackie instynkta. Wiele osób miało ze sobą kwiaty, gałęzie zielone, girlandy i wieńce¹⁴³.

Drzwi wchodowe do gmachu Towarzystwa ustrojono tymi wieńcami, pozawieszano girlandy z kwiatów i zieleni, gdzie tylko można było. Na balkonie, mieszczącym się nad drzwiami, zjawiono się kilka dam, między którymi pierwsze miejsce zajmowała Rawiczowa, żona bankiera, oraz paru młodych ludzi, ze wzięcia się i ubrania należących do wyższych sfer towarzyskich i zakryli orła rosyjskiego, zawieszzonego na tymże balkonie, naprzód obrazem Matki Boskiej, a potem czarną krepą, na której wyszyty był krzyż biały. Widok ten przyjęto wśród tłumy oklaskami i okrzykami i poczęto wołać: „orła białego!

143 A. Giller (Aleksander hr. Wielopolski p. 59) oblicza tłum, zebrany przed gmachem Towarzystwa kredytowego, na sto tysięcy głów.

orła białego” Jakoż z balkonu spuszczone na sznurku wyciętego z papieru orła, chcąc go na herbie państwa zawiesić. Czy niezręcznie się do tego wzięto, czy źle przywiązano tę parodyą orła, dość, że spadł on na ziemię wśród ogólnego niezadowolenia. Między tłumem odzywały się głosy, że to zły znak dla kraju, że wszystko przepadnie, że czarny orzeł pochłonie białego. W tem komuś ze stojących na dole pod balkonem przyszła myśl, by spuszczone sznurek; jakoż tak uczyniono. Orzeł, przywiązany dobrze, wzniósł się znów w górę wśród powszechnej radości, krzyków, wiwatów i głosów: „górz Polska! niech żyje Polska! wiwat!” wśród rzucania w powietrze kapeluszy i czapek, które potem przy oklaskach tłumów zręcznie chwymano na kije. Gdy się to dzieje tutaj, gdy rozpasany motłoch głośnymi krzykami napelnia pół miasta, w Zamku niepokój był wielki.

Gorczakow po długiej niepewności i wahaniu się, wobec potrzeby chwymania się kroku stanowczego i wykonania planu od kilku dni powziętego, zdecydował się nakoniec na półśrodek. Kazał Paniutynowi, generał-gubernatorowi warszawskiemu, jechać na miejsce zbiegowiska i zobaczyć własnymi oczami, co się tam dzieje. Ponieważ generał ten cieszył się sympatyą Warszawian, był powszechnie lubiany, Gorczakow więc liczył na to, że może mu się uda namówić do rozejścia się spokojnego. Paniutyn nie bez obawy dosiadł konia i w towarzystwie jednego tylko kozaka puścił się w drogę. Przybywszy na miejsce, odpiął pałasz, oddał go kozakowi i począł wolno przeciskać się przez tłum. Na widok tak wysokiego dygnitarza, tłum utworzył szpaler, przez który przepuszczono Paniutyna, ale kozaka zatrzymano, mówiąc: „pan generał eskorty nie potrzebuje, bo my wszyscy pana generała kochamy, szanujemy jego wiek i nic mu się tu nie stanie”. Tu i owdzie rozlegały się głosy: „wiwat pan generał! wiwat!” Kozak błąd jak płótno i dygoczący ze strachu został więc wśród tłumy, z którego wysunęło się dwóch chłopców, wzięło konia za cugle i na pół nieprzytomnego jeźdźca wyprowadziło ze zbiegowiska i puściło swobodnie.

Tymczasem Paniutyn dostał się przed sam gmach Towarzystwa, przypatrzył się kwiatom, wieńcom i orłowi polskiemu. Widział on, że jego misja nie ma żadnych szans powodzenia. Żartobliwy, poufały ton, z jakim go przyjmowano, nie zapowiadał nic dobrego. Widocznym było, że władza i jej przedstawiciele nie wywierają już żadnego uroku, nie mają żadnej powagi, wobec tych mas, wyszłych ze wszelkich karbów społecznego ordynku, zuchwałych i gotowych szydzić ze wszystkiego. Mimo to stary, siwy generał postanowił spełnić dany mu rozkaz. „Co wy tu robicie moje dzieci?” zapytał nakoniec głosem miękkim, słodkim, drżącym lekko — „czego chcecie?” — „Chcemy przywrócenia Towarzystwa rolniczego”. — „A te wieńce co znaczą, z kąd je macie?” — „A to nam, panie jenerale, wszystkie prowincye polskie, Litwa, Bia-

łoruś, Wołyń, Podole i Ukraina te kwiaty przysłały, jako pamiątkę na mogiłę, według zwyczaju ojców”. - „A ten orzeł?” - „To orzeł polski, myśmy nim pokryli waszego”. - „Wszystko to moje dzieci nazywa się nieporządkiem, począł mówić Paniutyn, przeciągając lekko, z wyraźnym akcentem obcym – proszę was, jako wasz przyjaciel, życzący wam jak najlepiej, rozejdźcie się do domów, gdyż w przeciwnym razie możecie mieć mnóstwo nieprzyjemności”. Dobrze, dobrze, my się rozejdziemy, wiwat jenerał!” poczęto znów krzyżeć, rzucać czapki i kapelusze do góry.

W teże chwili, gdy Paniutyn, skończywszy swą przemowę, zabierał się do odwrotu, od strony placu Wareckiego ukazał się na ulicy Mazowieckiej nowy tłum, na czele którego paru młodych ludzi niosło ogromny transparent, na którym był umieszczony duży wieniec mirtowy z drukowanym we środku napisem: „Towarzystwu rolniczemu”. Transparent ten otaczały inne mniejsze i wszystkie skierowały się w ulicę Świętokrzyżką, a za nimi ruszył tłum, zrazu śpiewając „Pod Twoją obronę uciekamy się”, a potem zagrzmiało potężne, wstrząsające: „Jeszcze Polska nie zginęła!” Z ulicy Świętokrzyżkiej skręcono na lewo i zatrzymano się przed pałacem Zamoyskiego, w którym on mieszkał, a gdzie już od godziny przeszło znaczny tłum się znajdował. Cała, dość w tym miejscu wązka ulica, była tak napełniona ludźmi, że głowy kołysały się jak fale; część tego tłumy z wieńcami i transparentami weszła do środka, na dziedziniec pałacu, i poczęła się głośno domagać, by „pan Andrzej” wyszedł do ludu. Zamoyski, jakkolwiek był w domu, nie chciał zadość uczynić temu wezwaniu; gdy jednak krzyki się wzmacniały, wysłał na ganek sekretarza Towarzystwa rolniczego, Garbińskiego, ażeby wieniec odebrał i podziękował za niego ludowi. Ale tłum się tem nie zadowolnił; domagał on się koniecznie, by sam Zamoyski się pokazał. Z niechęcią widoczną, ze zmarszczoną brwią, wyszedł nakoniec na balkon, wityany grzmiącym okrzykiem: wiwat! - a gdy się uciszono, Zamoyski przemówił kilka słów, zaklinając, by się rozchodzono i zachowano spokojnie, dziękował za wyrażone jemu i Towarzystwu rolniczemu uczucia i miał zakończyć słowami: „mieliśmy już pięć ofiar, nasze Towarzystwo jest szóstą; nie róbnmy więcej żadnej manifestacyi i czekajmy z nadzieją w Bogu!”¹⁴⁴. Wyrzekłszy to, Zamoyski

144 Słowa te cytuję Fryderyk hr. Skarbek w swych „Dziejach Polski” (III, 206). Czy one są autentyczne, trudno wiedzieć. Wszystkie źródła, jakie mamy pod ręką, różnią się ze sobą pod tym względem. Rękopism „Mieszkańca Warszawy” wkłada w usta Zamoyskiego takie wyrazy: „na miłość Boską, panowie, zaprzestańcie tych zbiegowisk; one nietylko w niczem nie pomogą naszej sprawie, ale owszem mogą jej tylko zaszkodzić. Takim postępowaniem nie oswobodzimy ojczyzny. Europa admiruje naszą postawę, jaką od niejakiemu czasu przybraliśmy. Umiejmyż to szanować i nie psujmy sami dobrej o nas opinii. Dziękuję, serdecznie dziękuję za współczucie, jakie okazujecie Towarzystwu rolniczemu, i za pochlebną o mnie pamięć; ale jeszcze raz proszę was, panowie, rozejdźcie

skłonił się i odszedł. Teraz dopiero rozległy się znowu oklaski i krzyki: „wivat Towarzystwo rolnicze! wivat Zamoyski! niech żyje król polski, Andrzej Zamoyski!” Ktoś wołał, żeby poprowadzić pana Andrzeja w tryumfie do biura Towarzystwa, ale na szczęście nie usłuchano tej propozycji. Cały dziedzieniec, cały balkon i schody zarzucono kwiatami, wieńcami i zielenią.

Gdy się te osobliwsze i jedyne w swoim rodzaju sceny odbywały na Nowym Świecie, Paniutyn po wyprawie niefortunnej na ulicę Erywańską, powrócił do Zamku dla zdania sprawy namiestnikowi ze swej misji.

Tutaj wobec ożywionego niezmiernie na ulicach ruchu, wobec najrozmaitszych wieści, dochodzących z miasta, postanowiono nakoniec wystąpić ze siłą zbrojną. Ponieważ komenda nad okręgiem wojennym, w którego obrębie leżał Zamek, należała do generała Chrulewa, namiestnik rozkazał mu wystąpić z wojskiem na plac Zygmuntowski. Chrulew wziął dwie kompanie pułku Kostromskiego, pełniące w ów dzień służbę w Zamku i ustawił je rozwiniętym frontem, tak, że lewe ich skrzydło opierało się o kościół Bernardynów, a prawe o trzecią bramę zamkową na rogu ulicy Świętojańskiej. Na ten widok ludność, przechadzająca się dotąd gromadnie, ale nie tworząca zbiegowiska, poczęła się skupiać, zwłaszcza na ulicy Senatorskiej. Wobec tego Chrulew wyprowadził z Zamku jeszcze jedną kompanię i kazał jej oczyścić ulicę rzeczoną. Usiłowania wojska były jednak próżnymi. Lud ustępował na chodniki na chwilę, by zaraz potem znowu zając środek ulicy. Kompania wróciła znużona, nie spełniwszy swego zadania.

W tym czasie właśnie przybył Paniutyn i zaraportował namiestnikowi o tem, co się dzieje przed gmachem Towarzystwa kredytowego, co mocno Gorczakowa rozgniewało, zwłaszcza historia z orłem białym oburzyła go silnie. W skutek tego rozkazał Chrulewowi iść na ulicę Erywańską, zbiegowisko rozpędzić i owego orła zdjąć. Chrulew wziął jedną kompanię piechoty i ruszył Krakowskim Przedmieściem, poprzedzany przez kozaków, zwanych Czerkiesami i żandarmów. Jazda posuwała się długim frontem, zajmującym całą szerokość ulicy, za nią z doboszem, bębniącym głośno, i Chrulewem na czele, postępowała piechota. Lud, jak wszędzie, usuwał się na chodniki i przepusz-

się spokojnie i zachowajcie się na przyszłość tak, jak winni zachowywać się ci, którzy troszczą się o oswobodzenie wspólnej naszej ojczyzny”. Według innych, współczesnych źródeł, Zamoyski miał powiedzieć: „Dziękuję wam, mili bracia, za współczucie dla mego smutku. Cieszy nas to, żeśmy zasłużyli na waszą przychyłność. Niczem waszych trosków ukoić nie mogę, pozostawiając przyszłości chwałę dla nas (!) i zacnego narodu. Miejcie nadzieję w Bogu, zachowajcie się spokojnie. Dziękuję, dziękuję, dziękuję!” Według Gillerera (Aleksander Wielopolski p. 60) Zamoyski przemawiał tylko do deputacyi, wysłanej doń z pośród ludu, wewnątrz mieszkania, z balkonu zaś jedynie podziękował zbiegowisku „za zaszczyt sobie wyrządzony”.

czał wojsko, witając je gwizdaniem, świstem, śmiechem i szyderstwami. Na wązkiem Krakowskim Przedmieściu oczom tłumów przedstawiło się osobliwsze i możliwe tylko w tych czasach powszechnego rozpasania motłochu, widowisko. Za wojskiem, środkiem pustej ulicy, biegł jakiś garbus obdarty, typ ostatniego urwisa i hultaja, podskakując jak najpocieszniej w takt muzyki, wykrzywiając się szkaradnie, robiąc bezecne miny i szydząc wyraźnie z wojska, które przed nim postępowało. Wszystkie jego koncepta, tłum przyjmował grzmiącym śmiechem, oklaskami i okrzykami: brawo! brawo!

Chrulew przeszedł Krakowskie Przedmieście, plac Saski, ulicę Mazowiecką i znalazł się w końcu przed Towarzystwem Kredytowem, ale tu, okrom pojedynczych i spokojnych gromadek, nie zastał już manifestatorów. Orła białego także nie było. Dowiedziawszy się nakoniec od snujących się ludzi, że tłum ruszył przez ulicę Mazowiecką i Świętokrzyską do pałacu Zamoyskiego, Chrulew pociągnął tam, ale i tutaj także już nikogo nie zastał. Wszystko bowiem teraz dążyło ku Zamkowi, gdzie przed wojskiem, stojącym tam nieruchomie, poczęły się gromadzić coraz większe masy ludności. Większość oczywiście nie wiedziała wcale, po co tu przyszła; pomiędzy motłochem spozstrzegano teraz mnóstwo osób widocznie należących do wyższych sfer towarzyskich, widać było nawet kobiety strojnie przybrane. Ciągąc od pałacu Zamoyskiego, tłum przechodził koło t. z. koszar kadeckich, gdzie mieszkał Wielopolski, i chciano się tu zatrzymać, by sprawić mu kocią muzykę. Znaleźli się przecież rozumniejsi, którzy poczęli wołać: „jeszcze nie znamy margrabiego, poczekajmy co zrobi”, i ruszono dalej. W pałacu Namiestnikowskim spostrzeżono na dziedzińcu stojącą w szyku bojowym kompanią piechoty. Powitano ją krzykami, obelgami i gwizdaniem. Koło statuy Matki Boskiej na Krakowskim Przedmieściu część się zatrzymała i zaśpiewała „Bożę coś Polskę”, część poszła przed mieszkanie konsula angielskiego, który wszelako nie uczynił zadość domaganiom się ludu i na balkonie się nie ukazał; część wreszcie puściła się dalej ku Zamkowi, gdzie miały się zaraz potem rozegrać ostatnie sceny tego dramatu całodziennego.

Zbiegowisko na placu przed Zamkiem przybierało ogromne rozmiary i z każdą chwilą się zwiększało. Napróżno żandarmi chcieli odepchnąć tłum, który kołysał się, falował, cofał trochę, ale ostatecznie pozycyi swej nie opuszczał. Z tyłu zbiegowiska, na Krakowskim Przedmieściu, w pobliżu domu Malcza i stojącej tam figury Matki Boskiej, młodzież i niemłodzież utworzyła łańcuch, żeby nikogo nie przepuszczać i żeby nikt nie mógł uciec. Wśród tłumów rozlegały się głosy: „nie uciekać! mamy ginąć, to gińmy wszyscy jako niewinni i bezbronni”. Tymczasem Chrulew wrócił ze swej wyprawy bezpłodnej na ulicę Erywańską i objął znowu komendę nad wojskiem, stojącym

przed Zamkiem. Książę Gorczakow, który przyrzekł był, w dniach Lutowych, delegatom miasta, że przy pierwszym zbiegowisku sam wyjdzie na ulicę, postanowił teraz zamiaru swego dokonać. Siadł więc na konia, ubrany w płaszcz wojskowy, ze szpicrutą w ręku i w towarzystwie jenerała Kotzebue, oberpolicmajstra Rozwadowskiego i jenerał-gubernatora Paniutyna, otoczony kilku czerkiesami, wyjechał na plac od strony Zjazdu. Jego postać wysoka, chuda, szczupła, w okularach na oczach, jego szyja długa, głowa naprzód pochylona nie budziła sympatii, nie miała w sobie nic wojskowego. Siedział na koniu źle, niecierpliwie ściągał cugle, szpicrutą zabawnie poruszał lub wąsy szcecinowate gładził i całym swym zjawiskiem robił wrażenie wysoce komiczne. Wrażenie to spotęgowało się jeszcze znacznie, gdy głosem silnym, któremu usiłował nadać ton surowy, począł wołać po polsku, przeciągając szkaradnie, z wyraźnym obcym akcentem: „rozchodźcie się! rozchodźcie! idźcie spać! Do domu! do domu!” powtarzał uparcie, nerwowo poruszając szpicrutą, kręcąc się na koniu zabawnie i wyciągając swą szyję, jak żóraw. W tłumie rozległy się śmiechy i głosy: „niech książę idzie do domu, my jesteśmy w domu!” Inni wołali: „spaliśmy przez trzydzieści lat, teraz się obudziliśmy!” Zaraz też posypały się brutalne dowcipy uliczne rozkiełzanego motłochu: „wy rozchodźcie się kapuśniaki! idź stary do domu, bo zimno, kataru dostaniesz!” Każden z takich dowcipów witany był śmiechem powszechnym i oznakami uznania. „Czego chcecie?” pytał Gorczakow. „Wolności, konstytucyi, towarzystwa rolniczego, delegacyi”, odzywały się w różnych miejscach tłumy pojedyncze głosy. „Każe strzelać!” zawołał nakoniec Gorczakow. „Strzelajcie do bezbronnych, jeżeli chcecie, polegniemy chętnie jako ofiary za ojczyznę”. Byli i tacy, którzy wysuwali się naprzód, rozrywali na piersiach ubranie i wołali: „strzelajcie, mordujcie, jesteśmy gotowi!” Grzmiały dokoła śmiechy, przeciągłe gwizdanie, wrzawa wreszcie niezdecydowana, świadcząca, że przedstawiciel władzy najwyższej w kraju nie ma żadnej powagi, owszem tę powagę całkiem niepotrzebnie na szwank naraził. Do zmieszanego trochę Gorczakowa zbliżył się ks. Wyszyński i Szlenkier i chcieli mu coś przedłożyć, ale on ich słuchać nawet nie chciał.

Nie było tu co robić i Gorczakow cofnął się za szeregi wojska. Zdawałoby się, że już teraz nic innego nie pozostawało do czynienia, jak rozpędzenie zbiegowiska siłą. Dobre jednak serce namiestnika nie mogło się na ten krok zdecydować; co chwila przed jego oczami podnosiło się ponure widmo krwi przed kilku tygodniami rozlanej. Widocznie wahając się, rozkazał wreszcie Kotzebuemu i innym otaczającym go jenerałom, ażeby jeszcze raz starali się namówić lud do rozejścia. Kotzebue pojechał. Ale wszelkie jego usiłowania, przemowy, zaklęcia okazały się bezowocnymi. Śmiano się, szydzono, wymyślano, nazywano ich „kapuśniakami”, a od czasu do czasu ktoś wołał żartobli-

wie: „niech żyje generał!”, co tłum przyjmował śmiechem i oklaskami. Wobec tego generałowie cofnęli się, a Gorczakow zsiadł z konia, poszedł do siebie milczący i tu stanąwszy w oknie, przypatrywał się przez binokle całemu widowisku.

Widowisko to tymczasem przybierało charakter nieznośny, nie do wytrzymania. Wielu młodych ludzi, stojąc przed wojskiem w odległości paru zaledwie kroków, odzywali się do oficerów: „powiedzcie panowie, z łaski swej, czego wy tu stoicie? — „Zdaje się, że myśmy się was powinni o to zapytać — odpowiadali oficerowie, my byśmy tu nie stali, gdybyście nie byli wyprawiali Bóg wie jakich historii przed Towarzystwem kredytowym”. — „Ustąpcie, to i my ustąpimy”. — „Nie możemy”, mówili na to oficerowie. — „No, to i my nie możemy”. Niektórzy znowu częstowali żołnierzy papierosami, a gdy ci odmawiali, twierdząc, że nie wolno im palić w szeregu, zwracano się do oficerów ze słowami: „panie jenerale lub kapitanie, pozwól pan biednemu *soldatowi* zapalić papierosa”. Na twarzach żołnierzy znać było widoczne wzburzenie, i w głębi ich szeregów podnosił się głuchy szmer, źle wróżący w razie, jeżeli temu wojsku władza dozwoli działać orężem. Wśród tłumów uwijali się niektórzy delegaci dawniejsi, jak Szlenkier, dr Chałubiński, ks. Stecki i Karol Ruprecht, i zaklinali na wszystkie świętości, by się rozchodzono. Próżne usiłowania! Większość zebranych składała się z czeladzi rzemieślniczej, z robotników, z motłochu nakoniec, który nie znał wcale delegatów, nie wiedział nic o nich, który wreszcie żadnymi prośbami wzruszyć się nie dał, gdyż to, co się robiło na placu, było dlań zabawką, wyborną zabawką, uciechą, jakiej drugi raz w życiu żaden z nich doznać nie może. Szydzić z wojska, obrzucać wymysłami i konceptami ulicznymi władzę, wielkich tego świata, na których dotąd patrzano zdaleka i przed którymi drżano — czyż może być coś zabawniejszego? Na prośby delegatów odpowiadano śmiechem, żartami i krzykami. Słowo ojczyzna dla tych ludzi nie istniało; żadna myśl, żadne zakłęcie oddziaływać na nich nie mogło. Napróżno delegaci wysilali się; tłum stał nieruchomy i podawnemu obrzucał obelgami wojsko.

W Zamku tymczasem, koło Gorczakowa, siedzącego nieruchomie pod oknem i przypatrującego się całemu temu widowisku, w świetle otaczających go generałów oburzenie na to, co się działo, wzrastało z każdą chwilą. Zrazu lękliwie, szeptem, potem coraz głośniejsze i coraz natarczywiej nalegano na starego namiestnika, żeby rozkazał Chrulewowi rozpedzić zbiegowisko siłą, a gdyby ta nie pomogła, to kulami. Gorczakow jak zwykle wahał się długo, bił z myślami, mruzczał coś pod nosem, wreszcie wysłał adjutanta swego Meyendorfa z rozkazem do Chrulewa, żeby użył siły, a w razie konieczności rozpoczął ogień do tłumy. Chrulew miał na to odrzec Meyendorfowi: „ja i bez

tego dam sobie radę” (ja i tak sprawliu) i ruszył konno w środek zbiegowiska i rozpoczął pertraktacye, domagając się usilnie, by się rozchodzono. Na to odpowiedziano mu: „nie ustąpimy, aż wojsko ustąpi”. — „Dobrze, odrzekł Chrulew, ja się cofnę o dziesięć kroków, zróbcież i wy to samo”. Jakoż zakomenderował na wojsko i cofnął się wstecz. Lud, zwłaszcza pierwsze jego rzędy, chciały to samo uczynić, ale wobec nacisku z tyłu zbitej masy, która zapewne nie wiedziała o umowie, a choćby nawet wiedziała, to wykonać jej nie chciała, stało się to niemożliwym. Owszem, na widok cofającego się wojska rozległy się w tłumie nowe śmiechy i oklaski. Chrulew kazał żołnierzom zająć poprzednie stanowisko.

Na szczęście poczęło się robić ciemno. W chwili, gdy wojska wracały na pierwotną swoją pozycją, z tłumy wysunęło się kilkunastu młodych ludzi w konfederatkach na głowach, zbliżyło się do Chrulewa i salutując go po wojskowemu, poczęło prosić o zupełne ustąpienie wojska i dawali słowo honoru, że lud się wtedy spokojnie rozejdzie. Chrulew wysłuchał tego i korzystając zapewne z ciemności, powoli, częściowo, wycofywał wojsko do Zamku. Tłum także się rozchodził, gęsta jego dotąd masa stawała się coraz luźniejszą. Wreszcie na placu pozostały tylko pojedyncze gromadki młodzieży i chłopaków rzemieślniczych, którzy krzyczeli, że póty nie ustąpią, póki kozacy, stojący jeszcze ciągle, nie zostaną odwołani. Gdy nakoniec nawet kozaków cofnięto, reszta zbiegowiska poczęła się rozchodzić po ulicach, krzyząc: „wiwat księżę, że naszych dzieci usłuchał! wygrana! wygrana!” Młodzież w konfederatkach amarantowych, niebieskich i białych z piórkami żałobnymi, wzięwszy się pod rękę, parami przeszła przez Krakowskie Przedmieście, Saski plac, wołając: „wygrana! wygrana!” i weszła do ogrodu Saskiego, gdzie przeparadowała po alei głównej tam i z powrotem, kilka razy. Na mieście do późnej nocy był ruch ogromny, krzyki, śpiewy; zrzucano przechodniom z głowy kapelusze cylindrowe, tak, że od tej chwili przestano je nosić w Warszawie.

Tak się skończyła wielka manifestacya w d. 7 Kwietnia. Nikt nie wątpił, że jest ona dopiero wstępem do tragedyi, której najgłówniejsze akta miały się nazajutrz rozegrać. Jakoż przez całą noc po szynkach, piwiarniach i garkuchniach, tłoczyły się tłumy motłochu, a wśród nich uwijali się agitatorowie, zachęcając, by się znowu zebrano nazajutrz po południu przed Zamkiem. „Nie trzeba dawać pokoju Moskalom, mówiono — strzelać nie będą, bo im Napoleon tego zakazał. Wszak dziś nie strzelano, wszak Zabołockij oddany został pod sąd za to, że ośmielił się dać ognia. Wreszcie jeżeli będą strzelali, to ślepymi ładunkami, a gdyby nawet kto wypadkiem poległ, to miłą będzie taka śmierć za ojczyznę, i pochowany zostanie tak samo uroczyście, jak pochowano pięć ofiar”. Takimi to słowami, takimi nierozumnymi mowami zachęcano

tłum do nowej manifestacji, która niestety! nie tak się miała skończyć, jak dzisiejsza, która z komedii ulicznej miała się zmienić w krwawą tragedię. Szyunki przez całą noc były otwarte; w mieście panował wyraźny nieład i nieporządek. Tysiące wieści obiegało o wypadkach 7 Kwietnia. Zdarzyło się, że tego dnia podpułkownik sztabu jeneralnego, Jan Peicker, Kurlandczyk rodem, zastrzelił się, dręczony melancholią, w jednym z pokoi zamkowych. Stało się to o godzinie 11-tej i pół rano, to jest w chwili, gdy na placu Zygmuntowski jeszcze żadnego zbiegowiska nie było. Wieść o tej śmierci przedostała się do publiczności, a uderzając wyobraźnię swą niezwykłością, kazała szukać jej źródła w wypadkach dnia. Opowiadano więc sobie, że kiedy przed Zamkiem tłum się zebrał, namiestnik rozkazał Peickerowi rozpędzić go strzałami. Honor wojskowy jednak, mówiono, nie pozwolił dzielnemu Kurlandczykowi zabijać bezbronnych; nie spełnił więc rozkazu, za co zagrożony sądem i nazwany tchórzem, oddaliwszy się do odosobnionego pokoju, wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie. Przykry ten wypadek tak dalece miał oddziaływać na namiestnika, że nie wiedząc co robić, nie ufając już nikomu, kazał wojskom cofnąć się z placu.

Wszystko to oczywiście było plotką, choćby dla tego, że kiedy przed Zamkiem odbywała się manifestacja, Peicker od kilku godzin już nie żył¹⁴⁵. Mimo to w związek jego śmierci z wypadkami dnia tak silnie wierzono, że pewna dama, której nazwiska nie znamy, kazała wybić medal na jego cześć i na pamiątkę jego mniemanego czynu¹⁴⁶. Wszystkie te wieści, ten ruch niezwykle w mieście, te przygotowania do ponownej manifestacji napełniały serca ludzi rozumnych bólem głębokim i trwogą. Napróżno tu i owdzie usiłowano zapobiedz zamiarom agitatorów; napróżno ostrzegano, że w znacznej części te namowy pochodzą od agentów rządowych, do czego zresztą usprawiedliwione miano powody; wierzono temu i niewierzono, a nadewszystko nie chciano odstąpić od pierwotnych swoich zamiarów.

Podczas gdy się to w mieście działo, gdy wszystkie umysły wrzały, gdy do późnej nocy po różnych ulicach rozlegały się ochryple, pijackie krzyki: „wygrana! wygrana!”, w Zamku także nie spano i przygotowano się do strasznego jutrzejszego dnia. Wśród zebranych koło namiestnika jenerałów panowało

145 Akt zejścia Peickera, spisany w parafii luterskiej w Warszawie, pod No 133, wyraźnie powiada, że umarł o godz. 11 ½ w południe. Był to młody człowiek, lat 36 liczący, bezżenny. Pochowany na cmentarzu luterskim, gdzie ma pomnik i wielki głąz polny z odpowiednim napisem.

146 Medal ten ma napis z jednej strony: „za cnotliwy czyn”, z drugiej: „Jan Peyker podpułk. wojsk ross. d. 7 Kwietnia 1861, w 32 ro. życia w Warszawie”. Prócz tego mieści się na nim zwykłe tej doby godło, wieniec cierniowy, krzyż złamany i palma.

oburzenie; wszyscy czuli, że honor wojskowy został obrażony i upokorzony. Stronnictwo Kotzebuego i tych, którzy od początku ruchu domagali się surowego stłumienia manifestacji, rządów militaryjnych, podnieśli teraz głowę i żądali od namiestnika, by pomścił się dzisiejszej zniewagi, by zadość uczynił obrażonemu honorowi wojskowemu.

Rozdrażniony, rozgorączkowany namiestnik przedewszystkiem surowe dał napomnienie (wygovor) Chrulewowi, że nie wykonał rozkazu, przysłanego mu przez Meyendorfa, że nie rozpędził siłą zbiegowiska. Chrulew miał się tłumaczyć instrukcjami specjalnymi, jakie niby otrzymał w Petersburgu, jadąc do Warszawy; sądził, że powinnością jego było wyczerpać wszelkie środki, nimby się miał uciec do broni; że ostatecznie zrobił swoje, bo tłum się rozszedł. Bądź co bądź należało się na dzień jutrzejszy przygotować; należało zmyć krwią polską plamę na honorze wojskowym Moskali¹⁴⁷.

147 Są ślady bardzo poważne, wskazujące, że ajenci rządowi namawiali lud do zebrania się nazajutrz przed Zamkiem; że po szynkach poili rzemieślników. Wielu przypuszcza, że stało się to za inicjatywą tej partii, która chciała przywrócenia rządów militaryjnych, która głośno owej nocy w Zamku wołała o obrażonym honorze, i która lękając się, że manifestacja nazajutrz może nie przyjść do skutku, postanowiła ją sama wywołać. To, co tu mówimy, jest tylko przypuszczeniem, opartem na niejasnych, niepewnych danych. Na wielu faktach strasznego d. 8 Kwietnia dotąd leży tajemnica. Kiedyś może, gdy akta kancelaryi namiestnika w Warszawie zostaną opublikowane, tajemnice niektóre odsłonią się, ale wątpliwem jest bardzo, czy kiedykolwiek wyjdzie na jaw podziemne i wysoce nieuczciwe działanie niektórych generałów rosyjskich, chcących, by manifestacja d. 8 Kwietnia koniecznie przyszła do skutku. Takie działanie pozostawia tylko nikłe, niepewne ślady. Giller w zyciorysie Wielopolskiego wprost powiada (str. 61), że „Gorczałow zatelegrafował o tem zajściu (t. j. o zbiegowisku na placu Zamkowym) do Petersburga i odebrał od cara telegraficzną odpowiedź, ażeby siłą złamał opór. Wskutek carskiego rozkazu wywołano nazajutrz rozmyślnie starcie pod kolumną Zygmunta, na tymże samym placu Zamkowym”. Twierdzenie to znajduje do pewnego stopnia poparcie w zbiorze depesz, jakie wydrukowała „Russkaja Starina”. Pod datą 8 Kwietnia (27 Marca v. s.) Gorczałow pisze do cesarza: „wczoraj była wielka manifestacja z powodu rozwiązania Towarzystwa rolniczego. Wyprowadziłem wojska. Tłum długo stał na ulicach i rozszedł się. Sprawa obeszła się bez rozlewu krwi. Szczegóły wyszły jutro wieczorem przez kurjera. Ks. Gorczałow”. I to wszystko. Na depeszę tę niema żadnej odpowiedzi z Petersburga. Można więc przypuszczać, że odpowiedź, o której Giller wspomina, w rzeczy samej była, ale jej ton jest tak ostry i tak kompromitujący rząd rosyjski, że wydawcy nie ośmielili się jej pomieścić w opublikowanym zbiorze. Korespondent niemieckiej „National Ztg”, którym był jeden z rabinów żydowskich w Warszawie i pomieszczający opisy wypadków w fejetonie rzeczonyj gazety, które potem wydał w osobnej książce, p. t. „Die Vorläufer des polnischen Aufstandes” (Leipzig 1864), jeden zatem ze świadków naocznych, świadków bardzo bystrych i przenikliwych, powiada na str. 108 w tej kwestyi co następuje: „śledztwo sądowe w sprawie przeciw osobom, schwytanym w tem starciu i inne fakta, o ile doszły do wiadomości ogólnej, wykazują, że większość zgromadzonych przed Zam-

Nacisk był wielki i silny na starego namiestnika; Chrulew głośno domagał się, by mu daną została dokładna instrukcja, kiedy właściwie ma działać bronią. Pod tym względem trzeba było istotnie coś postanowić i, jak się zdaje, tejsze nocy jeszcze wezwano do Zamku Wielopolskiego, z którym Górczakow chciał przedyskutować wzmiankowaną instrukcją, a raczej nowe prawo o zbiegowiskach¹⁴⁸.

Jakoż w nocy tej, w której podobnie, jak w mitach greckich, gdzieś w ciemnościach kuto pioruny, mające w dzień jasny spaść na głowę zbuntowanych nie Tytanów, ale ludu warszawskiego, powstało owe sławne prawo o zbiegowiskach, będące dowodem wysokiego rozumu i głębokiego poczucia polskiego w Wielopolskim. Jak wiadomo, dotąd wszelkiego rodzaju przestępstwa polityczne sądziły u nas sądy wojskowe, według swych przepisów specjalnych, nikomu w kraju nieznanym, bo nigdy nieogłoszonym. Było to jedno z tych nadużyć, wołających o pomstę do nieba, jakich się rząd rosyjski u nas dopuszczał. Wielopolski, prawnik z powołania, mający to głębokie i cywilizowane poczucie, że w każdym państwie jasne i wyraźne prawo powinno być wszystkim, a nie samowola lub widzimisię ludzi, przez ustawę o zbiegowiskach kładł temu koniec, zasłaniał mieszkańców przed pochopnością na pół dzikiego żołnierstwa.

Według nowego prawa, gdy nastąpi zbiegowisko, „lub jakiegobądź nieupoważnione zebranie na ulicy lub drodze publicznej”, prezydent, burmistrz, wójt gminy lub ich zastępcy, komisarz policyi lub inny urzędnik uda się na

kiem ludzi nie miała żadnego wyobrażenia o celu swego zebrania się przed rezydencją namiestnika, że byli oni przez osobistości nieznanne w ciągu dnia karmieni i pojeni, i że ich w stanie na pół nieprzytomnym na plac Zamkowy przyprowadzono i tu pozostawiono. Każdy widział w tem agitującą rękę policyi i żandarmeryi tajnej, gdyż fanatyzm patriotyczny Polaków nie potrzebował jeszcze w onych czasach takich sztuczek. Bądź co bądź na wypadkach krwawych d. 8 Kwietnia, jak również na liczbie poległych ofiar leży zasłona, która zapewne nigdy zerwaną nie będzie”. Nie ulega wreszcie wątpliwości, że ci z pomiędzy agitatorów polskich, którzy przygotowywali na d. 8 Kwietnia manifestacją, mieli zupełnie inne cele przed sobą i o wystąpieniu tłumem przed Zamkiem nie myśleli wcale. Odsyłamy w tym względzie czytelnika do tekstu.

148 Mówimy „zdaje się”, gdyż co do tego nie posiadamy żadnych danych. Berg utrzymuje, że prawo o zbiegowiskach powstało z inicjatywy Chrulewa i bez współdziałania Wielopolskiego, w czym się oczywiście myli, gdyż takiego prawa, które wyrokowanie o przestępstwach politycznych wrywało z rąk tajnych sądów wojennych a oddawało sądom cywilnym, nie napisałby w Polsce żaden Rosyanin, żaden generał rosyjski. Zresztą co do tego niema żadnej wątpliwości. Wszystkie źródła jednoznacznie mówią, że właściwym i jedynym autorem tych przepisów jest Wielopolski, co wyraźnie widać z całej ich redakcji. Niemniej powszechnem jest u piszących o tej epoce twierdzenie, że przepisy te powstały w nocy z 7 na 8 Kwietnia, nie wcześniej i nie później. Musiał zatem Zamek komunikować się tej nocy z Wielopolskim.

miejsce zbiegowiska i przy odgłosie uderzeń w bęben wezwie zgromadzone osoby, ażeby się rozeszły. Gdyby wezwanie to nie odniosło skutku, powtórzy je jeszcze dwa razy, rozkazując przed każdym wezwaniem uderzyć w bęben. „Po ostatnim wezwaniu, gdyby zbiegowisko dalej trwało, użyta będzie siła zbrojna”. Było to wyraźne i jasne. Użycie siły nie zależało teraz od widzimi się Chrulewa lub od wahania się namiestnika; każdy wiedział, co ma czynić.

W dalszym ciągu nowe prawo na nieposłusznych naznaczało kary. Kto pomimo wezwania nie ustąpi, będzie niezwłocznie zatrzymany i do jednej z fortec w Królestwie odesłany, celem oddania go pod zawyrokowanie sądu właściwego. Przebijał się w tem szczery, polski patriota, że wbrew sądom wojennym, które skazywały przestępców politycznych na Sybir, nowe prawo za nieposłuszeństwo pierwszemu wezwaniu groziło zamknięciem w areszcie od dni ośmiu do dwudziestu; za nieposłuszeństwo drugiemu wezwaniu zamknięciem w domu poprawy od trzech do sześciu miesięcy; trzeciemu zaś od sześciu miesięcy do lat dwóch. Za opór sile zbrojnej karać miało więzieniem w jednej z fortec Królestwa od lat trzech do pięciu; tym, którzyby namawiali do nieposłuszeństwa lub oporu, groziła w dwójnasób większa kara. Wszelkie pobudzanie do zebrania się, czy to ustne, czy przez pisma lub druki przylepione albo rozdawane, ukarane będzie zamknięciem w domu poprawy od miesięcy sześciu do lat dwóch. Tej samej karze ulegnie autor pisma, litografii, druku. Roznoszący lub rozlepiający podpadnie karze od dni ośmiu do dwudziestu aresztu. Gdyby przy zbiegowisku inne przestępstwa były spełnione, to oddzielnie, w drodze prawa będą dochodzone. W czasie często ponawiających się zbiegowisk lub zaburzeń w miejscu jakim podżegacze takowych będą ujęci dla osadzenia w jednej z fortec Królestwa, celem poszukiwania na właściwej drodze prawa.

Taką była ta nowa ustawa o zbiegowiskach, którą oprócz namiestnika podpisał Wołowski, jako dyrektor Komisji sprawiedliwości i Karnicki, jako sekretarz stanu. Była ona istotnem dobrodziejstwem dla kraju, wyrwała z rąk samowoli żołnierskiej los przestępców i poddawała ich pod jurysdykcję sądów krajowych, zapowiadała erę rządów prawa, erę od trzydziestu lat nieznaną w Polsce. Z drugiej strony, grożąc karami stosunkowo dość lekkimi, nade wszystko usuwając straszne zawsze dla Polaka widmo Sybiru i tajnych sądów wojskowych, ośmielała do zaburzeń. Dla motłochu, dla mnóstwa próżniaków, włóczących się po bruku wielkiego miasta, nie wiedzących, co jutro będą jedli i gdzie głowę złożą, groźba zamknięcia w fortecy na czas dłuższy lub krótszy była niczem, była owszem zapewnieniem im egzystencji spokojnej i pewnej. Jakkolwiek ludzkość i patriotyzm dyktowały Wielopolskiemu artykuły nowego prawa, wszelako kary w niem zapowiedziane były jego słabą stroną, wielu rozzuchwalały. Chcąc dobry z niego mieć skutek, należało te kary obostrzyć.

Byłoby to zapewne przeciwne ideałom humanitarnym, ale czasy były wyjątkowe i wyjątkowe też do nich stosować należało środki; zwłaszcza, że szło tu o kraj, o przyszłość jego całą. Wobec takiego zadania i takiego celu, wszelkie inne względy mają i powinny mieć znaczenie drugorzędne.

Prawo to w Zamku nie przeszło bez żwawej dyskusji i pewnego oporu ze strony generałów, którzy czuli to dobrze, że pomimo wszystkiego nowa ustawa o zbiegowiskach ujmuje ich władzę w silne karby i nie dopuszcza żadnej samowoli. Chrulew domagał się, ażeby w artykule drugim, zakończonym słowami: „po ostatniem wezwaniu, gdyby zbiegowisko dłużej trwało, użyta będzie siła zbrojna”, w miejsce tego ostatniego wyrażenia napisano: „siła zbrojna będzie strzelała”. Ale oparto się temu, mówiąc i słusznie, że wyrażenie „użycie siły zbrojnej” zawiera w sobie wszelkie ewentualne jej zastosowanie, że może się zdarzyć, iż prosty nacisk kawalerji lub białej broni wystarczy do rozproszenia zbiegowiska; pocóż w takim razie strzelać i zabijać niepotrzebnie ludzi? Pierwotne więc wyrażenie zostało¹⁴⁹. Prócz tego zredagowano krótkie wezwanie do narodu, które natychmiast wraz z ustawą o zbiegowiskach kazano wydrukować. Chrulew tejsze nocy jeszcze zawołał do siebie adjunkta policyjnego, niejakiego Ojrzyńskiego, Polaka, pełniącego od lat 30 służbę w Zamku¹⁵⁰ i, wręczywszy mu wydrukowane na wązkim pasku papieru to wezwanie, dał instrukcją, jak się ma nazajutrz zachowywać, jeżeli nastąpi zbiegowisko, jak i kiedy wyjść z Zamku, w jakiej odległości stanąć od tłumu i kiedy odczytać mu wzmiankowane wezwanie.

Tym sposobem przez całą noc zajmowano się w Zamku królewskim przygotowaniem do strasznego dnia jutrzejszego. Pewność, że nastąpi rozlew krwi obfity, była tak wielką i tak zupełną, że przysposabiano szarpie i w braku innego materiału cięto obrusy stołowe na bandażę.

Nastąpił nakoniec ten dzień, tak pamiętny w ostatnich dziejach naszych, dzień chmurny, chłodny, posępny. Rano upadł śnieg, a chociaż później stopniał, zimno jednak było przenikliwe. Miasto ożywione było niezwykle. Policja od wczesnej godziny biegła, rozpowszechniając nową ustawę o zbiegowiskach; wydrukowane o niej plakaty przyklepiano na wszystkich rogach i widoczniejszych miejscach,

149 Berg powiada, że Chrulew później nieco, mianowicie d. 11 Lipca 1861, wręczył nowemu namiestnikowi Suchozanetowi podanie, domagające się jeszcze raz tej zmiany. Suchozanet wszelako także się na to nie zgodził.

150 Ojrzyński żył jeszcze w r. 1890. Autorowi tej pracy pokazywano w tym czasie tego staruszka, zgarbionego mocno, o fizjonomii marsowej. Pełnił on wciąż swą służbę. Bez jego wiedzy nikt nie mógł wejść do Zamku. W tym celu obok bramy od strony Zjazdu miał on osobny pokoik, gdzie stale przez cały dzień siedział. Wypadki 8 Kwietnia takie na nim niezatarte wywarły wrażenie, że, jak powiada Berg, zapamiętał dosłownie wezwanie, o którym jest mowa w tekście.

rozdawano przechodniom. Nikt ich jednak nie czytał, a jeśli czytał, to nie zwracał uwagi. W miarę posuwania się dnia po ulicach błędziły coraz większe tłumy, mnóstwo kobiet w grubej żałobie. Większość oczywiście wychodziła na miasto przez ciekawość, przez chęć dowiedzenia się, co słyhać nowego; włóczono się bez celu po ulicach, zgromadzano przy pierwszym lepszym zdarzeniu, ale ostatecznie żadne wielkie zbiegowisko się nie tworzyło, i miasto pomimo wszystkiego miało wygląd spokojny, choć ruchliwy, co wreszcie można było przypisać dniowi świątecznemu. Dopiero koło godziny 11-tej zebrał się przed figurą Matki Boskiej na Krakowskim Przedmieściu nieco znaczniejszy tłum i, zaśpiewawszy kilka pieśni patryotycznych, rozszedł się w końcu spokojnie.

Jakież właściwie na ten dzień był program agitatorów? czy istotnie chcieli oni wielkiej manifestacji przed Zamkiem? Nie! w program dnia dzisiejszego wchodziło tylko uroczyste i publiczne zbratanie się z żydami, „podanie im ręki pokoju, braterstwa i przyjaźni”. Miało się to odbyć na cmentarzu Powązkowskim i na kierkucie żydowskim. Była to, rzecz prosta, manifestacja tak dobra, jak każda inna, ale w swej zasadzie nie miała charakteru antyrządowego; miała się zresztą odbyć za miastem, zdala od niego, wśród mogił i krzyżów. Że policja o tem była uwiadomiona, świadczy ta okoliczność, iż przed rogatkami, na drodze wiodącej na cmentarz ustawiono oddział piechoty. Agitatorzy ze swej strony dołożyli wszelkich starań, żeby tej manifestacji nadać charakter uroczysty i głośny, żeby o niej całe miasto wiedziało, bo inaczej cel jej byłby chybiony. Wypadek, jak zwykle w takich razach bywa, posłużył im pod tym względem wybornie.

W tym bowiem czasie umarł w Warszawie niejaki Ksawery Stobnicki, obywatel ziemski, który niedawno wrócił z Syberji. Była to osobistość całkiem nieznana, niczem niegłośna; mimo to jednak agitatorzy postanowili skorzystać z pogrzebu, naznaczonego na godzinę 3-cią po południu, wzywając do tłumnego odprowadzenia na cmentarz „męczennika za ojczyznę”. Po rogach ulic przylepiono zwykle ogłoszenia o pogrzebie, przyczem dodano, że nieboszczyk był zesłany na Sybir i wrócił z niego za amnestją. Jakoż o godz. 3-iej po południu, przed kościołem Reformatów na ulicy Senatorskiej zebrał się ogromny, kilkunastotysięczny tłum wszelkiego rodzaju próżniaków świątecznych. Przed orszakiem pogrzebowym postępowało kilkuset młodych ludzi, trzymających się za ręce, ustrojonych w konfederatki amarantowe, niebieskie i białe z piórkami, których w żargonie warszawskim nazywano „konfederatami”¹⁵¹. Trumnę, obsypaną wieńcami, kwiatami i ozdobioną wstęgą trójkolorową, niesiono na rękach.

151 Rękopism „Kronika wypadków warszawskich” oblicza tych „konfederatów” na tysiąc blisko głów, przyczem taką daje ich charakterystykę: „analizując według systemu Lavatera rysy twarzy tych bohaterów, nie można było powziąć dodatniego przekonania o ich inteligencji”. Orszak pogrzebowy, według tegoż rękopismu, miał dosięgać 40.000.

Cały ten ogromny tłum ruszył na cmentarz Powązkowski, przeszedł spokojnie obok oddziału wojska przed rogatkami i, gdy nakoniec ciało oddano ziemi, odśpiewano niezbędne „Boże coś Polskę” i ruszono gromadnie na kierkut żydowski dla manifestacyjnego podania żydom ręki „braterstwa i przyjaźni”.

Tam, dzięki staraniom agitatorów, było już znaczne zbiegowisko żydów pod pozorem oddania czci zmarłemu przed paru laty dyrektorowi szkoły rabinów, Eisenbaumowi, który już w owych czasach miał głosić jedność wszech plemion i przepowiadał żydom, że zlanie się ich z Polakami będzie przypieczętowane krwią. Proroctwo to, prawdziwe czy wymyślone, teraz zostało rozgłoszone umyślnie, a ztąd niby powstała konieczność uroczystego uczczenia grobowca proroka. Idących z Powązek chrześcijan powitały ogromne tłumy ruchliwego, krzykliwego, żądnego widowisk żydowstwa, a rabin Kramsztyk, stojąc na niewielkiem podwyższeniu, mając nad sobą zawieszony portret Eisenbauma, miał mowę, pełną oczywiście zwykłych w tej dobie frazesów patetycznych, o braterstwie dwóch ludów i o miłości ojczyzny. Wśród rozrzewnienia sztucznego rzucano się sobie w ramiona, całowano się, zaprzysięgano miłość braterską i gotowość do wszelkich ofiar. Odśpiewano jeszcze raz wspólnie „Boże coś Polskę” i ruszono zbitą masą z powrotem do miasta, ku Zamkowi.

Tutaj tymczasem rozpoczynały się już pierwsze sceny dramatu, który się miał, niestety! tragicznie, krwawo zakończyć. Dzięki zabiegom agitatorów swojskich i nieswojskich, powoli, koło godziny 5 ½, poczęły się tłumy gromadzić na placu Zamkowym, w większości swej nie wiedząc, po co i dlaczego. Zrazu nie było więcej jak kilkaset osób, których część przechadzała się po Krakowskim Przedmieściu i widocznie rozejść się miała ochotę. Widząc to Nowakowski, który się tu znalazł, zebrał gromadę takich jak sam straceńców u figury Matki Boskiej przed domem Malcza i uklękawszy, począł swym głosem grzmiącym śpiewać hymny patryotyczne. Koło niego skupiła się znaczna liczba ludzi, reszta jak dotąd snuła się po placu Zamkowym, gromadząc się wolno, gwarząc i śmiejąc się głośno. Od strony Zjazdu, a zwłaszcza od wylotu uliczki Marienstadt, skupiło się kilkudziesięciu żebraków, ciekawe zbiegowisko kulawych i ślepych obdartusów, gdyż puszczone między nimi została, niewiadomo przez kogo, pogłoska, że rząd pieniądze zebrane na rannych d. 27 Lutego skonfiskował i że będzie je sam ks. Gorczakow ubogim rozdawał. Wśród dziadów kręciło się też mnóstwo kobiet w łachmanach, oczekując owego rozdawania pieniędzy. Agitatorzy więc obu stron nie przebierali w środkach, by zgromadzić jak najliczniejsze tłumy, mniejsza z kogo złożone, byle znaczne.

Była godzina szósta popołudniu, gdy wśród tych przechadzek, śpiewów przed Matką Boską, niecierpliwego oczekiwania dziadów na mannę złotą,

zdarzył się nagle i niespodziewanie nowy wypadek, który miał wstrząsnąć do głębi nerwy i uczucia tłumów. Od poczty, która wówczas mieściła się w obszernym gmachu na rogu ulicy Trębackiej i Krakowskiego Przedmieścia, wysunęła się karetka pocztowa, tak zwana kuryerka, jadąca do Lublina. Zrównawszy się z rozmodlonem zgromadzeniem przed figurą, pocztylion, czy z własnego, czy z cudzego natchnienia, zagrał nagle na swej trąbce: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Gdy się te dźwięki donośne i przenikliwe rozległy po ulicy, wywołały wstrząśnienie ogólne, jakby dreszcz przeszedł po tłumie. Wśród krzyków, wśród uniesienia niezwykłego, wrzawy nieopisanej, wszystko rzuciło się za karetką, bijąc oklaski pocztylionowi, dziękując mu, obdarzając go przymiotnikami najpochlebniejszymi. Wśród takiego entuzjazmu powszechnego odprowadzono karetkę aż do Zjazdu, ale tu zatrzymano się, gdyż właśnie w tej chwili poczęły z Zamku występować wojska i zagradzać drogę¹⁵².

Wojska te uszykowały się w porządku, jak zawsze i przedstawiały co do swej liczebności siłę znaczną. Piechota, złożona z 1-ej i 2-ej kompanii strzeleckiej pułku Symbirskiego¹⁵³, oraz trzech kompanii liniowych (10-ej, 11 i 12-ej) pułku Kostromskiego, ogółem około tysiąca ludzi, zajęła środek. Na skrzydłach uszykowała się jazda, składająca się z szwadronu żandarmów i stu koni kozaków kubańskich, zwanych w Warszawie czerkiesami. Zsumowawszy to razem, można śmiało rzec, że na placu Zamkowym stało wtedy około 1300 ludzi. Tak znaczne rozwinięcie sił wojennych świadczyło o stanowczych i zdecydowanych zamiarach rządu stłumienia ruchu przemocą. Lud, widząc szykujące się w milczeniu wojska, zatrzymał się w odległości niewielkiej od żołnierzy, tak samo, jak wczoraj. Liczba jego z każdą chwilą się zwiększała; zbiegowisko stawało się coraz gęstsze. Osób porządnie ubranych było stosunkowo bardzo mało: przeważnie był to motłoch, twarze odrażające, wielu było pijanych. Kobiet prawie wcale nie zauważono, gdyż kilkanaście nierządnic lub starych Megier nie mogło mieć pretensji do reprezentowania płci pięknej. Tak w tłumie, jak i w wojsku panowało poważne, zupełne milczenie, przypominające ten groźny stan przyrody, gdy skupia niejako swe siły przed mającą wkrótce wybuchnąć burzą. W posępnym tem milczeniu, unosząc się nad placem Zamkowym, kryły się pioruny.

152 Berg (str. 293) powiada, że wojska stały przed Zamkiem od rana, piechota we środku, jazda po skrzydłach. Wiadomość ta nie zgadza się ze wszystkimi innymi relacjami, jakie posiadamy. Utrzymują one jednogłośnie, że wojska ukazały się w chwili, gdy karetka pocztowa z trąbiącym starszym pocztylionem skręcała na Zjazd. Wysłanie wojsk od samego rana, gdy nic jeszcze nadzwyczajnego na ulicach się nie działo, wyglądałoby na prowokację zbyt wyraźną, niczem nie byłoby usprawiedliwionem.

153 Relacje polskie zowią ten pułk Muromskim. Idziemy za Bergiem, który pod tym względem jest najlepiej poinformowany.

Ciszę tę przerwał rozkaz Gorczakowa, poniesiony przez jego adjutanta Meyendorfa do adjunkta Ojrzyńskiego, by wystąpił na plac i odczytał przygotowane w nocy wezwanie.

Ojrzyński, wzruszony do głębi, w towarzystwie dwóch doboszów i oficera, stanął przed ludem w takiej odległości, żeby jego słowa mogły być słyszalne, kazał uderzyć w bębny, a potem głosem silnym, nieco drżącym, zawołał: „z mocy prawa i rozporządzeń władzy wzywam was, abyście się rozeszli, gdyż po bezskutecznym, trzechkrotnym wezwaniu, rozpędzeni zostaniecie siłą zbrojną”. Wysłuchano go zrazu w ciszy, potem rozległy się dzikie wrzaski, śmiech, pisk, gwizdanie, brutalne wymysły uliczne i przekleństwa. Jakkolwiek większość nie dosłyszała słów wezwania, lub ich nie zrozumiała, jednakże zdawały się one budzić w tłumie gniew niepohamowany. Wielu potrząsało kijami i z uniesieniem gorączkowym groziło nimi wojsku. Tu i owdzie podnosiły się pięście, w oczach błyskały pioruny; przekleństwa i obelgi sypały się, jak grad. Wojsko w milczeniu patrzyło na to wszystko, a po upływie dziesięciu minut zahuczały znowu bębny i Ojrzyński, przeszedłszy na inne miejsce, powtórnie wygłosił swe wezwanie do tłumu. Skutek był taki sam, jak poprzednio. Z tłumu rozszalałego, pozbawionego wszelkiego hamulca, rozległy się podawnemu dzikie wrzaski, śmiechy, gwizdanie przeraźliwe, obelgi. Upłynęło wśród wrzawy niesłuchanej jeszcze dziesięć minut i trzecie, a zatem ostatnie wezwanie Ojrzyńskiego przebrzmiało bez skutku. Po tym prologu miały się teraz rozpocząć pierwsze sceny krwawej tragedii.

Ojrzyński cofnął się do Zamku, spełniwszy swe zadanie, a Chrulew rozkazał dwóm plutonom żandarmów, sformowanym w linię półszwadronową, ruszyć naprzód klusem i naciskiem koni rozpędzić zbiegowisko. Ciężka ta jazda, w błyszczących hełmach na głowie, z brzękiem i chrzęstem zerwała się ze swego miejsca na komendę dowodzącego nią oficera i puściła się naprzód. Lud w popłochu począł się cofać na ulice: Senatorską i Podwałę, oczyścił środek placu, ale zatrzymał się w zbitych masach na trotoarach. Żandarmi, przegrodzeni od zbiegowiska rynsztokami, stanęli; konie rwały się pod nimi. Wielu z tłumów kijami je odpędzało; niektórzy chwyтали je szybko i silnie za cugle i, pociągnawszy na dół, zmuszali wystraszone zwierzęta do padnięcia na przednie nogi, co wśród motłochu wywoływało oznaki uznania i śmiechu bezmyślnego. Taka walka bezowocna jazdy z tłumem trwała z pół godziny; zbiegowisko nieustannie się zwiększało tak, że wkrótce całe Krakowskie Przedmieście, Podwałę, ulica Senatorska, Piwna, Świętojańska roiła się od olbrzymich mas skupiającej się ludności. W takim położeniu Chrulew dał rozkaz żandarmom, żeby uderzyli na tłum szablami, starając się jednak bić płazem. Ale to ostatnie zastrzeżenie było bezowocnem. Wojsko było roz-

drażnione do najwyższego stopnia; obudziły się w niem wszystkie dzikie, nieucywiliżowane instynkta żołdaka moskiewskiego. Żandarmi szarżując, rąbali z wściekłością, kogo tylko dosięgnąć mogli, i krew się polała. Ile osób w tem pierwszym starciu zginęło, trudno wiedzieć. Obie strony ogarnął szal jakiś; na twarzach osób, w zbiegowisku się znajdujących, malował się gniew, uniesienie ślepe. Rozlegały się głosy: „stać! nie uciekać! jeżeli ginąć mamy, to gińmy wszyscy razem”. Wielu padło na kolana, i wśród grzmiącego po bruku tententu koni, świstu szabel, jęków, zabrzmiał majestatyczny śpiew: „święty Boże!” Ale Bóg nie miał się ulitować nad zaślepieniem jednej i drugiej strony, bo Bóg nigdy się nad Polską nie litował. Lud, przemieniając się teraz z motłochu bezwstydnego, który wobec niebezpieczeństwa zniknął nagle, powoli przybierał począł postawę heroiczną; w masie budziło się przekonanie, że zginąć w tej chwili na bruku jest to spełnić dobrą służbę ojczyźnie.

Scena zmieniła się; tragedia nabierała cechy uroczystej. Jeden pluton żandarmów po czterykroć atakował zbiegowisko na ulicy Senatorskiej i Podwału; drugi na Krakowskim Przedmieściu dwa razy dosięgał aż przechodniego wówczas domu Roeslera¹⁵⁴, ale choć tu i owdzie ludzie padali pod strasznymi ciosami, skutku stanowczego te szarże nie miały. W tym czasie zbiegowisko zwiększyło się przez przybycie na miejsce starcia procesyi, powracającej z pogrzebu Stobnickiego.

Tłum ten, idąc z Powązek, gdy doszedł do ulicy Bielańskiej, wahał się, dokąd mu udać się należy. Rozlegać się poczęły głosy: „pod cytadelę! pod cytadelę!” Ale większość nie zgodziła się na to i ruszono pod Zamek. Na czele tej procesyi szło kilku księży z krzyżem; za nimi posuwał się lud, ugrupowany na oddziały, według kolom konfederatek. Oczywiście żandarmi na nich uderzyli; jeden z księży, niosący krzyż, zdaje się reformat czy bernardyn, uderzony szablą, upadł i krzyż ów upuścił. Widząc to młody żyd, z pomiędzy tych, którzy na kierkucie przyłączyli się do procesyi, nazwiskiem Landau, schwycił ten krzyż i podniósł go, ale cięty pałaszem, zaraz także upadł. Fakt ten, rozgłoszony przez liczne opowieści, stał się w ustach agitatorów jednym więcej dowodem braterstwa obu narodów (Polaków i żydów), „zapieczętowanego teraz, jak mówiono, krwią”. Starano się wypadkowi temu nadać jakiś osobliwszy, mistyczny charakter. „Historja świata, mówiono i pisano później, od czasu Jezusa Chrystusa nie ma równego temu wypadkowi, który pomimo całej swej rzeczywistości odrazu otoczył się urokiem jakby jakiej cudownej, średnio-wiecznej legendy”. „Godło męki Chrystusowej, godło odkupienia i zbawienia w ręku żyda, woła inne pismo z tej epoki, to najwznioślejszy wyraz tej idei

154 Dom oznaczony No 451. Od czasu przedłużenia ulicy Miodowej do Krakowskiego Przedmieścia dom ten przestał być przechodnim.

braterstwa, łączącej pod sztandarem narodowym wszystkie wyznania i klasy społeczeństwa”.

Tymczasem lud zmienił swą dotychczasową postawę bierną. Broniąc się przeciw atakowi żandarmów, bił ich kijami; kamienie wyrwane z bruku, jak grad, poczęły się sypać na napastników. — Na Podwalu dorożki i kibitka rosyjska, która się tu przypadkiem zjawiła, wywrócona, utworzyła pewien rodzaj barykady. Jakiś kozak, uderzony kamieniem, padł na miejscu trupem przed domem Bluma (No 527) na Podwalu; na ulicy Bednarskiej lud schwycił innego kozaka, Małachowa nazwiskiem, i żołnierza Fiedorowa i niemiłosiernie ich pobił. Kozak tego dnia jeszcze umarł. Z pomiędzy żandarmów raniono dwóch oficerów i dziesięciu szeregowców. Lud cofał się, by natychmiast, po ustąpieniu żandarmów, zająć dawne swe stanowisko. Była to formalna bójka, przybierająca powoli charakter bezlitosnej zaciekłości i okrucieństwa, zwłaszcza ze strony Moskali. Żandarmi gubili się w tłumie i widocznie ulegali przeważnej masie zbiegowiska.

W takim położeniu Chrulew cofnął żandarmów, a natomiast kazał się wysunąć piechocie, mianowicie jednej kompanii pułku Kostromskiego i jednej Symbirskiego. Gdy obie kompanie wyszły przed kolumnę Zygmunta, kazał im się zatrzymać i rozwinąć frontem, jednej do Podwała, drugiej do Krakowskiego Przedmieścia, i zaraz potem rozległa się komenda: „nabij broń!” W oczach tłumu żołnierze głośno, z chrzęstem stempli i odwodzonych zamków, nabijali karabiny, ale lud się nie ruszał. Ciągłe dawały się słyszeć nawoływania: „stać, nie uciekać! gińmy za ojczyznę!” Kilku oficerów wysunęło się z szeregów i poczęło głośno nalegać na zgromadzonych, by się rozeszli. „Tu niema żartów, mówili do ludu, karabiny są nabite ostrymi ładunkami”. — „Strzelajcie, odpowiadano im, mordujcie bezbronych!” Ze swej strony Chrulew wahał się; zrobił jeszcze jedną próbę, rozkazał piechocie uderzyć na zbiegowisko kolbami. Żołnierze z wybuchającą, dziką wściekłością rzucili się naprzód; bili, kaleczyli stłoczone masy i zdołali je odeprzeć na znaczną przestrzeń; ulicę Senatorską np. oczyścili aż do Miodowej, ale zaledwie się zwrócili, gdy tłum, jak fala naprzód rwąca, zajął dawne swe miejsce, krzycząc, wyjąc, rzucając kamieniami, polanami, czem kto mógł i miał, na żołnierzy.

Całemu temu straszному widowisku przypatrywał się z okna zamkowego przez binokle Gorczakow, otoczony mnóstwem jenerałów, milczący i chmurny. Chrulew podjechał do tego okna i rzekł: „każę strzelać!” Namiestnik w milczeniu skinął głową... Wśród chwilowej, grobowej ciszy, która nagle, jak gdyby przed burzą, zapanowała na placu, Chrulew dopadł do dwóch kompanii w szczupakach i rozkazał wystąpić dwom plutonom naprzód. Pluton kompanii pułku Symbirskiego rozwinął się wprost Podwała, Kostromskiego

przeciw Krakowskiemu Przedmieściu. Rozległa się komenda: „pal!” (pli!) i za-grzmiały przeciągłe strzały. Kule ze świstem, rykoszetując po bruku, padły w zbitą masę ludu. Na Podwalu wszystek tłum rzucił się na kolana, i z tysiąca piersi zabrzmiało: „święty Boże!” Zrobiło się zamieszanie nie do opisania; wielu poczęło uciekać w uliczki boczne, w bramy i na dziedzińce domów. Ciała w drganiach konwulsyjnych zaległy ulice, jęki rannych brzmiały dokoła. Rzucono się podnosić i zbierać trupy. Jakiś mężczyzna padł na rogu Podwala i ulicy Senatorskiej, podniósł się i zaczął iść, opierając się rękami o ścianę. Wyglądał straszliwie, jak bryła krwi ciekącej, a każde dotknięcie jego ręki zostawiało na murze okropne, krwawe ślady. Krzyki, wrzawa olbrzymia zapano-wała dokoła; przekleństwa: „zbóje, mordercy, kaci, Moska!” unosiły się w po-wietrzu, po którym wiatr zwijał i rozwijał chmury białego dymu prochowego.

Przeciwko zbiegowisku na ulicy Senatorskiej Chrulew kazał wystąpić kompanii 12-ej pułku Kostromskiego i przeciw ulicy Pławnej i Świętojańskiej, kompanii 11-ej tegoż pułku. W chwili gdy te oddziały nabijały broń, dał się słyszeć śpiew potężny od strony kościoła Bernardynów, i oczom zdziwionych widzów tego dramatu straszego ukazał się znaczny tłum ludzi, na czele których postępował wysoki młody człowiek z długim krzyżem w ręku. Był to Karol Nowakowski, znany nam już uczeń szkoły sztuk pięknych, który, zebrawszy koło siebie gromadę takich, jak sam, straceńców, wpadł do klasztoru Bernardynów, schwycił tam krzyż i postanowił na czele procesyi przedostać się do Zamku. W jakim celu? zapewne sam nie wiedział; był on w pewnego rodzaju ekstazie, w gorączce, która owładnęła całym tym kilkunastotysięcznym tłumem, gorączce zaprawdę niepojętej dla tych, co na to nie patrzeli. Na całym tym obszernym placu, po grzmocie strzałów, wrzawie, jękach i przekleństwach, znowu zaległa cisza ponura i złowroga, wśród której wyraźnie, donośnie rozbrzmiewał śpiew procesyi nabożnej. W Zamku, przy oknie, z którego Gorczakow i mnóstwo otaczających go generałów patrzyło na to dziwne, jedyne, niewidziane w historii widowisko, ktoś rzekł: „istni Hugonoci!” Namiestnik mruknął: „tak!...”

Tymczasem Nowakowski z procesyą posuwał się naprzód. Chrulew spostrzegł to, a pułkownik żandarmeryi Tałajewski, poznawszy Nowakowskiego, którego znał z cytadeli, zabiegł mu drogę z żandarmami i kazał go żołnierzom schwycić. Żołnierze rzucili się na Nowakowskiego, śpiewającego wciąż „święty Boże”, ale młody człowiek bronił się rozpaczliwie i doszczętnie połamał krzyż o głowy moskiewskie, zwłaszcza szeregowiec Wasil Mielnikow uległ ciężkim obrażeniom. Ledwo pięciu ludzi mogło pokonać rozgrzanego przewodcę procesyi; odnieśli go na rękach do Zamku wśród rzucań się i szarpań. Nie przestał on ani na chwilę śpiewać swej pieśni: „od ognia, głodu i Moskali, zachowaj nas Panie!” Procesya, straciwszy swego przewodnika, złączyła się z tłumem, który zalegał wciąż ulice

i obrzucał wojsko kamieniami. Chrulew po tym krótkim epizodzie z procesją rozkazał znowu strzelać. Pierwsza kompania strzelców pułku Symbirskiego i dziesiąta liniowa Kostromskiego po dwakroć dały ognia w Krakowskie Przedmieście i na ulicę Podwale, gdzie lud ciągle klęczał i śpiewał pieśni. W tym czasie na ulicy Senatorskiej ukazała się nowa procesya, na czele której postępowali Kapucyni. Dowiedziawszy się o tem, co się dzieje na placu Zamkowym, klasztor zakonników zagotował się cały. Co gorętsi klerycy i braciszkwowie postanowili ruszyć procesjonalnie na miejsce rozlewu krwi. Braciszek wysokiego wzrostu, tęgo zbudowany, jasny blondyn, Cypryanem zwany, postępował na czele. Gdy weszli na ulicę Senatorską, ksiądz Wacław Nowakowski (rodzony brat Karola), który z bibliotekarza zbiorów Świdzińskiego został kapucynem, padł na kolana i zaintonował: „święty Boże”. Ale gdy znowu, na rozkaz Chrulewa, dwunasta kompania liniowa pułku Kostromskiego poczęła strzelać w ulicę Senatorską, procesya się rozbiegła¹⁵⁵.

Salwy te, w ogólnej liczbie pięciu, powtarzały się co każdy kwadrans czasu. Po pierwszych strzałach dowódca tej kompanii, kapitan Kulczycki, Polak, wyszedł z frontu i zaraportował, że jest chorym i że nie może brać udziału w okopnej akcji, która zapewne do głębi jego duszę polską wstrząsała. Komendę po nim objął następny z rangi oficer¹⁵⁶.

Z innej strony placu druga kompania strzelców pułku Symbirskiego strzelała w ulicę Maryensztad, gdzie zgromadziło się mnóstwo żydów, wrzeszczących przeraźliwie, i gdzie dziady oczekiwały złotego deszczu od namiestnika, a powitał ich ołowiany. Jedenasta kompania pułku Kostromskiego dała ognia w ulicę Piwną. I to była ostatnia salwa tego dnia. W ogólności więc było jedenaście salw, które trwały przeszło godzinę, albowiem gdy się skończyły, to jest, gdy Chrulew nie miał do kogo strzelać, noc już była, noc ciemna i ponura, gdyż latarni nie zapalono, bo nie było ich komu zapalać, a zamknięte sklepy nie rzucały blasku na ulice. Według obrachunku urzędowego dano w ogóle 484 strzały¹⁵⁷. Jeżeli atoli tak niewielka stosunkowo ilość kul była wystrzelona,

155 Braciszek Cypryan tak się przeraził widokiem strasznych scen, których był świadkiem, że powróciwszy do klasztoru, dostał tejże nocy pomieszania zmysłów.

156 Kulczyckiemu na drugi dzień kazano podać się do dymisyi.

157 Strzały te, podług podania Berga, który je zaczerpnął z akt Chrulewa, jako naczelnika 1-go okręgu wojennego, tak się na kompanie pojedyncze rozkładają:

	strzałów	salw
1) Kompania pierwsza strzelców pułku Symbirskiego	93	2
2) Kompania druga strzelców pułku Symbirskiego	18	1
3) Kompania dziesiąta liniowa pułku Kostromskiego	188	2
4) Kompania jedenasta liniowa tegoż pułku	35	1
5) Kompania dwunasta liniowa tegoż pułku	150	5
Razem	481	11

to przecież czynić one musiały spustoszenia straszne ze względu na to, że padały w gęste, zbite masy ludzi i z odległości bardzo blizkiej. Działy się przytem sceny, rozdzierające nieraz duszę do głębi; postępowanie wojska przypominało hordy barbarzyńskie, szalejące wśród wielkiego i ucywilizowanego miasta.

Żołnierz wprawdzie był do najwyższego stopnia rozdrażniony obelgami, jakich od dwóch dni słuchać musiał, i gradem pocisków, które mu na głowę spadały; mimo to jednak zachowanie się jego było nieludzkie i dzikie, którego wina i groza cała spada tak na Gorczakowa, który na to patrzył z Zamku, jak i na Chrulewa i oficerów, którzy zezwalali na sceny wyuzdanego okrucieństwa i barbarzyństwa. Widziano, jak jeńców, schwytanych żywcem, żołnierze uprowadzali do Zamku, bijąc bezlitośnie kolbami i pięściami; jak rannych wleczono za nogi, przyczem głowy nieszczęśliwych głucho stukały o bruk; jak wielu dobijano bagnetami. Straszne obrazy, jeżeli sobie przypomnimy, że działo się to wśród wielkiego miasta, na łonie wysoko posuniętej cywilizacji i wykwintu życia¹⁵⁸.

Jeżeli atoli wojsko, uniesione gniewem i pomstą za doznane obelgi, w sposób nieludzki dawało poznać swą przewagę brutalną, to lud warszawski za-

158 O okrucieństwach wojska potworzyły się oczywiście całe legendy, które częstokroć zmieniły prawdę, lub też przesadnie ją ubarwiły. Do dziś dnia wśród ludu warszawskiego obiega mnóstwo opowiadań mniej lub więcej prawdziwych. Przy kolumnie Zygmunta, między wojsko i tłum kłęczący na Podwalu wbiegł drżący chłopczyzna w żałobie, z długimi, jasnymi włosami, najwyżej pięcioletni i z płaczem przeraźliwym wołał matki, którą zgubił w zbiegowisku. „Dzicz, opowiada naoczny świadek (Przegląd rzeczy polskich — Lipiec 1862 str. 28), byłaby go niezawodnie zakłuła, już jeden zbójca potrafił go nogą; na szczęście wysunął się ktoś z tłumy, podobno urzędnik z sądownictwa, uchwycił dziecko, i widząc, że znów broń nabijają, padł z niem na ziemię. Strzały przeszły górą. Korzystając z chwilowej przerwy, w tłum je (dziecko) uprowadził; przy następnym strzale ten sam manewr powtórzył i szczęśliwie zaniósł dziecinę do jednej kawiarni na Podwalu. W parę dni dopiero wyszukano matkę, która już rozpacziała nad stratą jedy-naka”. — „Koło Śto-Jańskiej ulicy, opowiada tenże sam świadek, dwóch oficerów nie wstydziło się pastwić, Bóg wie za co, nad niedorostkiem szewczykiem; jeden trzymał go za nogi w powietrzu, głową na dół, i czasem nią o bruk uderzał; drugi niemiłosiernie go płazem okładał. Szewczyk darł się oczywiście w niebogłosy; żołnierze uśmiechali się zdaleka na tę nową ofiarę (sic), może mniemali, że im się z prawa należy dobić ją. Nagle z okna pierwszego czy drugiego piętra, w jednym pobliskim domu, kobiety jakieś, co okrucieństwa tego znieść nie mogły, otworzywszy lufcik, zaczęły energicznie oburzać się na oprawców. Kobiety były przystojne, dobrze ubrane, z pomiędzy bogatych firanek i kształtnych doniczek z kwiatami wychylały się do nich (oficerów). Słowa ich wywarły niejakię wrazenie na niedźwiedziach i puścili dzieciaka. Pokrwawiony, zapłakany, ledwo mogąc wstać z ziemi, skoro tylko kilka kroków uszedł, zaraz zaczął śpiewać: „Jeszcze Polska nie zginęła”, grozić i wymyślać, a dopadłszy pod ręką kamienia, trafnie zdzielił nim jednego z oficerów. Dalejże w pogoń za nim, nie dognali. Kobiety na chwilę z poza łez rozśmiały się w oknie”. Takich lub tym podobnych epizodów możnaby bardzo wiele przytoczyć.

chowował się heroicznie, owszem przez szczególnie wpływ idei mistycznych, tak pospolitych w tej dobie, prawdziwie męczeńską miał postawę.

Był on podobnym do ojca Bonifacego w Anhellim, „który chciał zbawić ojczyznę modlitwą i na ocalenie kraju podawał sposób jedyny: iść i ginąć, nie broniąc się, jak męczennicy”. Szli też i ginęli, istotnie jak męczennicy. Tłumy, padające na kolana na Podwału i śpiewające starą pieśń kościelną pod gradem kul, mają wszystkie cechy heroicznego męczeństwa, ale niestety! tą drogą nie zdobywa się niepodległości, nie zdobyła jej i Polska. Bóg polski oddawna, od stu lat głuchym jest na głos bijący doń „z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej” z nizin polskich. Śmierć taka, jak ta, którą umierał na ulicach lud warszawski, była bez zaprzeczenia bohaterstwem, ale bohaterstwem bezplodnym, ofiarnością krwi bezskuteczną. W przerwach pomiędzy strzałami występowali z pomiędzy klęczących mas ludzie i zaklinali je gorąco, by się rozchodzili. Próżne jednak były ich usiłowania, próżna wymowa i błaganie; nikt się nie ruszał. Śród tłumu uwijali się nedorostki, uczniowie szkolni, młodzież nikomu nieznana, i wołali: „stać! nie uciekać!” Stano więc, a gdy zagrzmiały nowe strzały, gdy pociski czyniły szczyrby krwawe wśród rozmodlonych, gdy ten i ów słabszej natury zrywał się i począł uciekać, to ci, co przedtem radzili rozejść się, wołali: „teraz stać panowie, kiedyście się wprzód nie chcieli rozejść”. Gdy znów kto, zdjęty strachem i grozą, krzyczał: „uciekajcie!”, to chwytano go i pięścią zmuszano do pozostania i milczenia. Rannych i zabitych lud, o ile mógł, zbierał, jakkolwiek większość ich w przerwach pomiędzy strzałami wojsko porywało i ciągnęło do Zamku. Mimo to wiele trupów i ranionych lud składał w cukierni Beelego na rogu Podwała i Senatorskiej, w hotelu Europejskim, gdzie samych ranionych znalazło się szesnastu, w resursie, w szpitalu Marcinkanek na ulicy Pivnej, w szpitalu św. Rocha i Dzieciątka Jezus. Wielu tam pomimo natychmiast podawanej im pomocy lekarskiej umarło; u Marcinkanek np. skonał ów akademik, żyd Landau, który schwycił krzyż z rąk upadającego księdza. Młodzież w swych konfederatkach rozwoziła rannych w dorożkach, wywołując widokiem ciekącej krwi na ulicach dalszych zgrozę i oburzenie¹⁵⁹.

159 O zachowaniu się ranionych jeden ze świadków naocznych opowiada kilka interesujących anegdot, w tonie nieco sentymentalno-romantycznym, tak ulubionym w tym okresie: wieziono ślusarza, lat czterdziestu kilku, koło hotelu europejskiego; kula od sztucera bok mu (ślusarzowi) przeszła. Zoczywszy gromadkę osób, co mu przed cukiernią Contiego ze czcią się kłaniała, pocziwiec wyteżył ostatek sił, zdjął konfederatkę i konającym głosem zawoławszy: niech żyje Polska! zemdłał. Nazajutrz już nie żył. Do resursy przyniesiono rannego chłopczyka dwunastoletniego i złożono w przysionku na dole, gdzie stoi biust Mickiewicza. — „Boli, oj boli, ale własną ręką dwóch Moskali zabiłem”, wołało biedactwo na wpeł w gorączce, na wpeł przekonane, że się na Krakowskim

Zgroza i oburzenie nie zawsze, nie we wszystkich znajdowało ujście w modlitwie pod gradem kul, w rezygnacyi męczeńskiej. Było wielu takich, co drogo sprzedali swe życie. Oprócz nieustannych pocisków, spadających na szeregi rosyjskie, niektórzy, rzemieślnicy zwłaszcza, formalne staczali bójki z wojskiem. Widziano rzeźnika, atletycznie zbudowanego, jak, w chwili gdy go żołnierze chwyтали, wyrwał jednemu z nich karabin i tak dobrze kolbą sobie radził, że nietylko sam się oswobodził, ale jeszcze wydarł dwom kozakom szamocącego się z nimi chłopca jakiegoś i zbrojną ręką zrejterował koło Dobroczyńności na ulicę Bednarską. Byli i tacy, co w szale jakimś, z kijem lub gołemi rękami rzucali się na szeregi moskiewskie i oczywiście marnie tam ginęli, skłóci bagnetami. Jeżeli więc jedni się modlili, to drudzy chcieli walczyć,

Przedmieściu bić zaczęli naprawdę. — „Jednego w głowę, drugiego w piersi, ani drgnęli” — szeptał ciszej. Zaledwie doktor przyszedł i zaczęli go rozbierać (chłopca), energiczny zrobił giest skrwawioną rączką, zawołał: mamó! i, przechyliwszy główkę, usnął na zawsze. Wkrótce potem złożony tamże rzemieślnik, Niwiński, czując, że wkrótce skona, pożegnał się z największą przytomnością i zażądał podyktować testament. Chrapliwym, lecz wyraźnym głosem wymienił swoje nazwisko, mieszkanie matki; żałował, że choć jednego zbója na tamten świat nie wyprawił. Dwie kule w piersiach mu tkwiły. W dalszej sali na dole, obok jadalni, leżała na sofie młoda, przystojna kobieta. Przy bolesnej operacyi sondowania rany i wydobywaniu kuli z łopatki przymknęła nieco oczu i żywsze rumieńce gorączkowe wystąpiły jej na twarz. Ani syknięcia, łzy i skargi, łagodny tylko uśmiech błąkał się po ustach. Po opatrzeniu rany podnieśli ją i mieli zanieść na górę. W żaden sposób nie chciała na to zezwolić, wstała sama, wstydliwie zakrywając piersi, obiegła przytomnych rzewnem spojrzeniem i skromnie ukłoniła się. W sali tej, słabo oświetlonej, wyglądała zdaleka w białiznie swojej, jak dziewczę w białej sukience, idące poraz pierwszy do komunii lub na odpust. Zaledwie parę kroków uszła, siły jej nie starczyły; trzeba ją było wziąć na ręce, znów się żywiej zarumieniła i, otulając na sobie ubranie, przeproszała z cicha, że się tak panowie trudzą dla niej, kiedy tylu innych potrzebuje pomocy. Poczciwy doktor, co ją opatrywał i wszyscy obecni, po największej części ludzie już starsi, z niejednym wrażeniem w życiu otrzaskani, zapłakali serdecznie. Bolesnie, kiedy mężczyzna nad pokrzywdzoną, bezbronną kobietą, tylko zapłakać może. Tyle mocy nad sobą i godności w znoszeniu cierpień, szlachetności w spojrzeniu i uśmiechu anielskim, tyle mimowolnie rozdzierającego wdzięku boleści, z jakim konać musiały męczenniczki chrześcijaństwa, tylko Polka teraz pokazać może. A była to prosta, biedna dziewczyna z ludu, córka ubogiego mieszczanina z małego miasteczka, która dawniej zostawała w służbie, a potem utrzymywała się z pracy rąk własnych, z szycia. Przeniesiono ją do szpitala, niebezpieczna rana w łopatce rozjątrzyła się, dla uniknięcia gangreny trzeba było jedną pierś odjąć. Osłabiona, schorowana, nie mogła wytrzymać operacyi... W nocy wyprowadzono jej zwłoki tak, jak nieodżałowanego Zarzyckiego, Dulskiego i tylu innych ofiar rzezi, których nie pochowano w cytadeli, lub do Wisły nie wrzucono. Na nowej części cmentarza na Powązkach stoi krzyż kamienny na jej grobie z napisem: Eleonora Sieczkowska. Warszawianie nie zapominali o zamordowanych braciach i siostrach, prawie codzień licznie odwiedzając cmentarz, na ramionach krzyża tego zawieszali wieńce nieśmiertelników i klękali przy mogile męczenniczki...”

chcieli się bronić. Na ulicach, zwłaszcza dalszych, oburzenie, zgroza, gniew wzrastał w miarę odległości i tylko miękkiej, słowiańskiej naturze, nastrojowi mistycznemu umysłów zawdzięczać należy, że w mieście nie wybuchło w ów dzień powstanie¹⁶⁰. Sporadyczny ten, indywidualny opór na placu Zamkowym, jakkolwiek nie miał żadnego znaczenia donioślejszego, wyrwał jednak z szeregow rosyjskich kilkudziesięciu rannych i zabitych¹⁶¹.

Co się zaś tyczy strat z pomiędzy ludności polskiej, istotna ich cyfra jest niewiadomą. Bądź co bądź musiała ona być bardzo znaczną, ze względu na liczbę strzałów, wymienionych z blizka, kulami stożkowemi, które z karabinów gwintowanych padały z wielką siłą w gęste, zbite masy, rykoszetowały na bruku, lub przenosząc, zabijały nawet ludzi, stojących zdala od zbiegowiska. W przybliżeniu liczbę poległych można oznaczyć na dwieście przeszło osób; ranionych zaś w dwójnasób¹⁶². W samym Zamku znajdowało się 108

160 Wspomniany przez nas korespondent „National Ztng” daje pod tym względem parę uwag bardzo ciekawych. „Gdy autor niniejszego, pisze on, słyszał przez pół godziny huk ognia karabinowego, gdy ujrzał twarze pełne wzburzenia i wściekłości uciekających ze sceny krwawej, mężczyzn i kobiet, gdy rozległ się grzmot dział i sygnały rakiet, które zwoływały wojska obozujące około Warszawy, sądził, że ten lud, który uważano zawsze jako posiadający krew gorącą, w rozpaczy szalonej chwyci za broń i za noże i miasto przemieni w pole bitwy; ale przyszło mu (autorowi) zaraz na myśl, że ucisk długoletni i mistyka katolicka z dawnych Polaków zrobiła naród, pragnący męczeństwa. Fanatycznie usposobieni mężczyźni i kobiety, zrzeszeni koło krzyża, stawiali czoło bezbronne morderczym kulom, dopóki nie ulegli”.

161 Co do tego relacje rosyjskie są ze sobą niezgodne. Berg, o ile sądzić można z opowiadania dość niejasnego, stratę rosyjską oblicza na 41 ranionych lub zabitych żołnierzy i dwóch oficerów, którzy ponieśli mniej lub więcej ciężkie uszkodzenia. Podwysocki podaje tę stratę na dwóch żołnierzy zabitych i dziesięciu ranionych. Karcew w swoich pamiętnikach p. t. „Warszawa w r. 1860 i 1861” („Ruskaja Starina” z r. 1882) twierdzi, że z wojska zabito dwóch a raniono dwunastu. Gorczałow w odezwie do mieszkańców, ogłoszonej nazajutrz, mówi, że zabito dwóch żołnierzy a raniono dziesięciu; w raporcie zaś do cesarza nie zgadza się ze sobą i z Bergiem. W pierwszej depeszy, wysłanej nazajutrz, dnia 9 Kwietnia, donosi, że „naszych zabito pięciu ludzi”. Na zapytanie cesarza, tegoż samego dnia wystosowane: „czy kto z pomiędzy oficerów poległ?” odpowiedział, że nikt. W tydzień zaś potem, w depeszy: dnia 15 Kwietnia, namiestnik donosi, że „jeden kozak zabity kamieniami (jest to ten kozak, który poległ na Podwalu przed domem Bluma); jeden żołnierz, o którym mniemano, że zginął, został znaleziony w szpitalu, ciężko poraniony kamieniami. Czternastu żołnierzy skaleczono kamieniami i laskami zaopatrzonemi w gałki ołowiane; 19 żołnierzy lekko kontuzjowano kamieniami”. Według więc tej depeszy zabity był jeden, raniono ogółem 34 szeregowców.

162 Taką cyfrę podaje Berg (dwieście czelowiek sliszkom). Gorczałow w odezwie, ogłoszonej nazajutrz, powiada, że mieszkańców poległo dziesięciu, raniono stu ośmiu. W pierwszej depeszy, wysłanej do cesarza w tymże samym dniu co i odezwa, twierdzi, że „mieszkańców zabito koło dziesięciu, tyłuż raniono” (Žitielej ubito około diesiati, raniennych

zabitych, których tejże nocy jeszcze wywieziono furgonami wojskowymi do cytadeli.

Straszna rzeź, dokonana w stolicy kraju, na ludności bezbronnej, między którą było wiele kobiet i dzieci. Polegli przeważnie pochodzili ze sfer rzemieślniczych i klas niższych¹⁶³.

Zmrok już zapadał, ostatnie strzały, wymierzone w ulicę Piwną, przebrzmiały; lud powoli się rozchodził, błędząc tu i owdzie gromadkami pojedynczymi, kupiąc się w oddali od placu Zamkowego; w mieście panował szmer stłumiony, a przed Matką Boską na Krakowskim Przedmieściu garść kobiet klęcząc, śpiewała jakąś pieśń i śpiew ten co chwila się urywał¹⁶⁴, gdy Chrulew, obliczywszy w przybliżeniu cyfrę zabitych, których zebrano i zniesiono na dziedzienniec zamkowy, udał się do namiestnika dla zdania mu sprawy

stolko że). Widocznie więc starał się ukryć prawdę i ohyda rzezi budziła w nim zgrozę tajemną. Z tych jego dziesięciu zabitych szydzi też Berg w jednym ze swoich artykułów polemicznych z powodu „Zapisek”. „Kilka batalionów, pisze on, strzelało w zbite masy narodu na pięciu ulicach: Krakowskim Przedmieściu, Podwalu, Piwnej, Senatorskiej i Maryensztadzie. W aktach naczelnika 1-go albo Zamkowego okręgu Warszawy zaznaczono dokładnie ilość wystrzelonych wtedy naboju: były ich setki i rozumie się, poległy także setki. Gorczakow jednak doniósł, że „zabito wszystkiego dziesięciu ludzi i tyłuż raniono”. Czy to było dobrze? W autorach polskich, piszących o tych wypadkach, nie spotkaliśmy się nigdzie z cyfrą dokładną, której zresztą mieć nie mogli, gdyż wojsko trupów i rannych zabierało natychmiast do Zamku. Lisicki, z zadziwiającą w takim piarszu lekkomyślnością, poszedł za cyfrą, oznaczoną w odezwie Gorczakowa i twierdzi, że poległo dziesięć osób. Gdyby był zajrzał choćby tylko do spisu zabitych w d. 8 Kwietnia, spisu oczywiście arcy niedokładnego, pomieszczonego w „Pamiętce dla rodzin polskich” (I, 3), byłby się przekonał, jak kłamliwą, jak umyślnie sfalszowaną została przez namiestnika istotna liczba ofiar. Można mieć różne poglądy na historią, można na jednych rzucać cień, drugich oblewać sztucznym światłem, ale prawdy dla chwilowych tendencji nigdy i pod żadnym pozorem poświęcać nie wolno. Spasowicz, który zresztą bliżej tym przedmiotem się nie zajmował, inaczej jednak straty polskie oblicza. Utrzymuje on, nie wiemy na jakiej podstawie, że było „jedenastu zabitych na miejscu, 36 zmarło z ran, 240 ranionych”. W opisie dnia 8 Kwietnia, pomieszczonym w lwowskim „Ruchu literackim” (r. 1878), którego autor, Zygmunt Gawarecki, znajdował się wówczas na placu Zamkowym, znajdujemy wiadomość, że było około 200 zabitych a do 400 rannych, i ta cyfra wydaje nam się najprawdopodobniejszą.

163 „Pamiętka dla rodzin polskich” podaje 84 nazwiska osób poległych dnia 8 Kwietnia, z których czterdzieści sześć, a więc przeszło połowa należy do najniższych sfer społecznych. Są to czeladnicy rzemieślniczy, oficjaliści prywatni, lokaje, stróże, kucharze, dorożkarze, szwaczki, służące i t. p., z których oczywiście ogromna większość nie wiedziała, po co przysłała na plac Zamkowy i za co zginęła.

164 „Kobiety z ludu, pisał korespondent do „Journal de St. Petersburg”, okazywały największą zawziętość. Niektóre pozostały na placu aż do ostatniej chwili. Żołnierze z największą trudnością zdołali je rozpedzić”.

ze wszystkiego. Opowiedziawszy więc Gorczakowi, ile naboju wystrzelono i ile osób zabito, usłyszał nagle dziwne zapytanie: „alboż strzelano nie ślepymi ładunkami? Kto kazał?”

Chrulew na te słowa wybuchnął i rzekł ostro: „nie, wasze siatelstwo, teraz zapóźno wymawiać się i wykręcać (wiliat). Mogę się odwołać do wielu tu obecnych... A przytem strzelać w takiej chwili ślepymi nabojami mogą tylko dzieci!” Gorczakow nic na to nie odpowiedział. Chrulew był niesłychanie wzburzony, z oczów iskry mu się sypały, a wargi trzęsły, jak w febrze, i w tem wzburzeniu zawołał, że dla ostatecznego uspokojenia miasta należałoby dać sygnał na alarm. Gorczakow chmurny mruknął: „a cóż, każ pan dać sygnał!”¹⁶⁵. Nim Jednak do tego przyszło, w Zamku zjawił się Wielopolski.

Bolesna zaprawdę i tragiczna głęboko rola wypadła w ów dzień dla margrabiego. Wieczorem miał on u siebie Helcla, który na usilne nalegania Zygmunta Wielopolskiego z wielką niechęcią poszedł do jego ojca¹⁶⁶. Siedzieli właśnie przy herbacie, na której, jak się zdaje, znajdował się także Enoch, gdy doktor Chałubiński, znany nam już entuzjasta, wzburzony strasznymi scenami na placu Zamkowym, szukając ratunku wszędzie, gdzie można było, wpadł jak szalony i opowiedziawszy w krótkich słowach, co się dzieje, błagał i zaklinał margrabiego na wszystko, by jechał do Zamku dla powstrzymania dalszego krwi rozlewu. Margrabia kazał natychmiast zaprzęgać i szukać swego syna Zygmunta.

Wyjeżdżając, rzekł do Helcla: „jeżeli nie wrócę, powiesz pan mojej żonie, że spełniłem moją powinność” (Si je ne reviens pas, vous direz à ma femme, que j'ai fait mon devoir). Pomieszczono się w karecie w ten sposób, że we wnętrzu siadł margrabia, jego syn i Enoch, na koźle zaś dr. Chałubiński, w tym celu, żeby, jako osobistość popularna w mieście, zapobiedz mógł wszelkiej napaści. Sam margrabia uzbroił się w dwa rewolwery. Niebezpieczeństwo w rzeczy

165 Opis tego zdarzenia, malującego w jaskrawych barwach charakter niezdecydowany i chwiejny Gorczakowa, opieramy wyłącznie na relacji Berga, który je miał opowiedziane przez samego Chrulewa i inne obecne temu osoby.

166 Lisicki (*Le marquis Wielopolski II*, 176) powiada, że Helcel przyjechał do Warszawy „dla złożenia margrabiemu życzeń, by mu się jego zamiary powiodły” (pour le feliciter du succès de son entreprise). W istocie zaś było całkiem inaczej. Helcel, jak wiemy, jechał do Warszawy, wezwany tam przez margrabiego, który chciał staremu przyjacielowi ofiarować albo tekę sprawiedliwości, albo rektorat Szkoły głównej. Helcel jadąc, dowiedział się w Piotrkowie o zniesieniu Towarzystwa rolniczego, co tak go oburzyło, że chciał wracać do Krakowa, ale że jego rzeczy poszły już do Warszawy, musiał więc za nimi tam podążyć. Znalazł się więc w stolicy wbrew swej woli i do margrabiego iść nie chciał, uległ dopiero naleganiom Zygmunta Wielopolskiego (C. Haller: „A. Z. Helcel w Warszawie”. *Przegląd Polski* z r. 1883).

samej, wobec rozdrażnienia powszechnego, było wielkie, podróż do Zamku bardzo ryzykowna, i trzeba było liczyć tylko na szczęście, na to, że Wielopolskiego lud jeszcze nie znał i nie wiedział, jak wygląda. Mrok już padał, sklepy wszystkie pozamykane, latarnie niezapalone i tłumy ludności przerażonej, rozgorączkowanej snuło się tam i z powrotem, gdy karetą z Wielopolskim ukazała się na wężkiem Krakowskim Przedmieściu. Ponieważ dorozżki nie jeździły, więc turkot zbliżającej się karety słycać było zdaleka. Nagle rozległ się donośny, ochrypły, zadyszany głos: „trzymaj! trzymaj!” Za karetą, jadącą cwałem, biegł jakiś człowiek, rękami i kapeluszem machał. Był to niejaki Piotr Umiński, urzędnik Komisji spraw wewnętrznych, jeden z najczterwierszych patryotów tej doby, który, spostrzegłszy wyjeżdżającą karetę z pałacu Kazimierowskiego, domyślił się, że wiezie ona Wielopolskiego, więc biegł za nią krzycząc wniebogłosy. Usiłowania jego prawdopodobnie pozostałyby bezowocnymi, gdyż, jak powiadamy, karetą pędziła cwałem, gdyby na wężkiem Krakowskim Przedmieściu nie była zmuszona zwolnić biegu z powodu gęstej masy ludności, zalegającej całą ulicę. Na krzyk Umińskiego w jednej chwili rzucono się do koni, zatrzymano je, pytając: „kto jedzie?” Ktoś otworzył drzwiczki i zajrzał do wnętrza, a ztamtąd dał się słyszeć głos, że jedzie delegacja do namiestnika, aby zaprzestano strzałów¹⁶⁷.

„Nie wierzcie panowie, zawołał dobiegający Umiński, to Wielopolski jedzie”. Przedarł się przez tłum i zajrzawszy do środka, spostrzegł Enocha, któremu był znany osobiście i który mu jeszcze raz oświadczył, że jedzie do Zamku dla powstrzymania rozlewu krwi. Chałubiński ze swej strony, dając się poznać napastnikom, zaklinał się, że jak ojczyznę kocha, tak Wielopolskiego tu nie ma, że to jest delegacja do Gorczakowa, aby rzezi zaprzestał. Uwierzono tak popularnej osobistości, jaką był wyż rzeczony lekarz, i karetę puszczono, która ruszyła dalej pędem. Zbliżając się jednak do Zamku, musiano znów zwolnić biegu, kamienie ze wszystkich stron padały, szyby na szczątki prysły, a Chałubiński miał kapelusz na głowie całkiem połamany. Zamknięci w karecie, margrabia i jego towarzysze, zostali lekko pokaleczeni odłamkami szkła i kamieniami, obryzgni błotem, które także obficie rzucono. W dodatku wojsko nie chciało przepuścić karety, zatrzymano ją, otoczono piechotą i dopiero wtedy pozwolono dalej jechać, gdy strzały zupełnie ucichły¹⁶⁸. Starła

167 Gawarecki, świadek naoczny tej sceny, powiada, że zajrzał także do wnętrza karety, i „o ile to w zmroku i przez tłumy rozeznac można było, spostrzegłem jakąś wielką głębę na bryle grubych rozmiarów ciała, jak się wgniatała w kąć karety”.

168 Tak utrzymuje Berg; Lisicki zaś powiada, że Gorczakow na prośbę margrabiego kazał natychmiast zaprzestać ognia. Szczegóły, podane przez Berga, mają za sobą cechę autentyczności. Inne źródła polskie twierdzą, że Wielopolski, przybywszy do Zamku, nie mó-

się też dostać do Zamku deputacya miejska, ze Szlenkerem na czele, ale jej nie puszczono.

Tymczasem Chrulew, otrzymawszy od namiestnika powolenie na zaalarmowanie wojska, wśród ciemności coraz bardziej zalegających miasto, ciemności znacznych, bo sklepy pozamykane nie oświecały ulic, a latarnie wciąż jeszcze nie były zapalone, przytem noc była pochmurna, kazał z Zamku puścić dwanaście rakiet. Z szumem, syjąc iskrami i pękając w górze z łoskotem, błysnęły one, jak ogniste węże i popłoch straszliwy rzuciły na te tłumy, które jeszcze uparcie snuły się po placu Zamkowym i po ulicach przyległych. Co to znaczy? pytano — co to za znak? czyżby z cytadeli miano bombardować miasto? Popłoch wzmógł się jeszcze bardziej, gdy nagle, ledwie zgasły rakiety, z cytadeli, z fortu Włodzimierskiego zagrzmiały strzały działowe, ponurym echem brzmiąc w mieście i w duszach jego mieszkańców. Sześć strzałów było, a potem na ulicach, gwałtownie i szybko opuszczanych przez zbiegowisko, wśród trzasku zamykanych bram, zadudniały kopyta jazdy, pędzącej po bruku całą siłą koni. Race bowiem i strzały działowe były hasłem dla wojsk, stojących po koszarach, by zajmowały różne, przeznaczone im w mieście stanowiska. Wojska oczywiście wiedziały, co się dzieje; do zamkniętych w koszarach dochodziły głuche, zawsze przesadzone wieści. Oczekiwano też alarmu z każdą chwilą, i gdy nakoniec usłyszano grzmot dział i syczenie rakiet, wszystko zerwało się, jak huragan i pognało do nieszczęśliwego, przerażonego i wstrząsnionego do głębi miasta. Ogólna liczba wojsk, znajdujących się wówczas w biednej, krwią złanej stolicy polskiej, dochodziła do 15.000 — i cała ta masa koni i ludzi, z małym wyjątkiem, wpadła teraz w opustoszałe, jakby martwe i ciche ulice. Jaka żądza pomsty ogarniała to wojsko, jaką umiano w nich wzbudzić nienawiść do Polaków, świadczy niezwykła szybkość ich ruchów po daniu hasła alarmowego. Szwadron żandarmów, stojący w Łazienkach, zjawił się na placu Zamkowym w kwadrans po wypuszczeniu pierwszej rakiety. Siadł więc na koń, sformował się i przebiegł blisko czterowiorstową przestrzeń w stosunkowo niezmiernie krótkim czasie. Batalion pułku Oł-

wił nic, co bardzo oburzyło Chałubińskiego tak, że wyszedł z Zamku i ratował rannych na placu. Prawdopodobnie margrabia nie mówił dla tego, że ogień już ustał i właściwie nie było o co prosić namiestnika. Giller (Aleksander Wielopolski p. 62) utrzymuje, że gdy wkrótce potem przybył Szlenkier do namiestnika, i gdy nie mógł go skłonić do wydania rozkazu, ażeby strzelać wojsko przestało, zwrócił się do margrabiego, znajdującego się w orszaku Górczakowa i prosił w imię ludzkości o wstawienie się do księcia za ludem, Wielopolski ponury i chmurny, na prośbę jego (Szlenkiera) nie raczył odpowiedzieć. Relacya ta atoli nie jest prawdziwą, choćby z tego względu, że deputacya obywatelska, ze Szlenkierem na czele (według innych podań miał się w niej znajdować także Kronenberg), nie była wcale dopuszczona do Górczakowa.

nieckiego piechoty, zajmujący pałac namiestnikowski, stanął na Saskim placu wprzód, nim ostatnia rakieta zgasła nad Zamkiem. W czasie tego ruchu szalonego nakazano zapalić latarnie i płomień ich znacznie zwiększyć. Przy tym blasku niezwykłym widok pędzącej cwałem po ulicach jazdy, tętent koni, brzęk szabel, migotanie się hełmów i chorągiewek u lanc ułańskich wywierało straszne, imponujące wrażenie. Wszystko się kryło, uciekało. Świadkowie naoczni opowiadają, że najcięższe nerwy drżały. Miasto zamilkło, jak gdyby ludzie i rzeczy w nim skamieniały.

Jak tylko wojska zajęły przeznaczone dla nich miejsca, natychmiast zaczęły od siebie rozsyłać gęste i silne patrole. Kozacy, czerkiesi, ułani, żandarmi przebiegali ulice, jak szaleni, bijąc batami, tratując i mordując czasem, kogo tylko napotkali. Sześć dział, przy których kanonierzy postępowali z lontami zapalonymi, w asekuracji dwóch kompanii piechoty, przebiegło krokiem gimnastycznym Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, Aleje Jerozolimskie, Marszałkowską i Królewską ulicę. Na placu Zamkowym, Krasińskim, Saskim, Bankowym, na Nalewkach, na placu Zielonym, Trzech Krzyży, w Alei Jerozolimskiej wojsko biwakowało, rozłożywszy ognie, nadając wygląd miastu, jak gdyby szturmem wzięte zostało. Noc ponura i chmurna, domy ciemne i rzadka tylko oświetlone, pozamykane szczelnie, łuna krwawa padająca od tych ognisk tworzyła kontrasty silne, malownicze, ale pełne grozy.

Oprócz patroli, przebiegających nieustannie miasto w różnych kierunkach, liczne oddziały policji i wojska rewidować poczęły późną nocą domy, sklepy i klasztory, dla zabierania ranionych i zabitych. Ludność wydawała ich bez najmniejszego oporu, z posłuszeństwem gorączkowem, świadczącym o postrachu, jaki padł na mieszkańców. W domu Andrzeja hr. Zamoyskiego policja znalazła pięć trupów, takąż mniej więcej cyfrę w klasztorze Sakramentek, w cukierni Bellego, w domu przechodnim Roeslera, w resursie i w wielu innych miejscach. Zabierano także ranionych i wywożono do szpitali. Wielu z tego powodu zmarło, w skutek przestrawienia nagłego i zimnej nocy. Rozporządzenie to było barbarzyńskim pod każdym względem, a nadewszystko całkiem niepotrzebnym, gdyż policja zawsze miała możność zapobieżenia manifestacji, w razie jeżeliby ranny umarł. Zresztą nikt teraz nie myślał o tem; miasto było strwożone straszliwie. Rewizye po domach i zabieranie trupów i ranionych trwało przez cały następny dzień. W Zamku dla rannych, ściągniętych tam w d. 8 Kwietnia przez wojsko, urządzono szpital tymczasowy, zwłoki zaś poległych pokładzono do furgonów krytych i wywieziono, jakśmy już powiedzieli, do cytadeli.

Wśród takich wypadków przeszła noc z 8 na 9 Kwietnia, noc pełna widm i trwogi dla obu stron. Jeżeli mieszkańcy ogarnięci byli grozą i przestrawieniem

na widok okropnych gwałtów, jakich się na nich dopuszczano, gdyż policja i wojsko przybrało względem nich dawną zuchwałą postawę i traktowało ludzi najpoważniejszych, jak hultajów ostatnich, to niemniej Moskale przez całą ową noc trwożeni byli przez różne widma i przestrochy, które Makbetowej wyobraźni oficerów i żołnierzy pojawiały się, niby mara krwawa Banka polskiego. Co chwila do tego lub owego oddziału, drzemiącego przy ogniskach, przybiegał żołnierz albo patrol i donosił oficerowi, że Polacy budują na Starem mieście barykady, że tu lub tam odkryto ogromne składy broni i prochu, że przez jakieś oddalone ulice ciągnie na wojsko wielka masa ludzi uzbrojonych. Zwiększano więc patrole, wysyłano zwiady i oczywiście nic podobnego nie znajdowano. Miasto było ciche, głuche i ponure.

Nazajutrz, dnia 9 Kwietnia, fizyognomia Warszawy nie wiele się zmieniła. Warsztaty, biura, sklepy przez cały dzień pozostały zamknięte, jak gdyby lękano się rabunku, i ulice z wojskiem na nich biwakującym miały osobliwszy, jedyny w swoim rodzaju wygląd. Od samego wczesnego rana tłumy ciekawych snuć się poczęły po Krakowskim Przedmieściu, placu Zamkowym, Senatorskiej i Podwalu, oglądając miejsce katastrofy wczorajszej, przypatrując się biwakom żołnierskim, działom wymierzonym w ulice i gorejącym przy nich lontom. Patrole konne i piesze bezustanku przebiegały miasto. Ludność zachowywała się poważnie i spokojnie. Przechodzono procesjonalnie chodnikami, przypatrywano się, wzdychano, płakano czasem na widok licznych śladów rzezi wczorajszej. Tu i owdzie na bruku czerwieniała krew zaschła; cały dół domu na rogu Podwala i Senatorskiej był zbryzgany krwią, ściany zryte kulami. Inny dom na Podwalu, wystający nieco na jego środek, w którym mieściła się podówczas cerkiew grecka, a dziś prawosławna, był nadziany kulami i podziurawiony jak rzeszoto, podobnież dom, kończący od Dunaju ulicę Piwną, dom przy Bernardynach i inne. Policja ślady te zacierała, kazała tynkować mury, krew na bruku zmywać i piaskiem lub popiołem zasypywać. Wielu, patrząc na to, ścisnęło w cichości pięście, kobiety głośno płakały. Ludność była smutna, posępna i mroczna. Opowiadano sobie okropne sceny wczorajsze, tyśiące wieści najfantastyczniejszych obiegało. Mówiono, że między poległymi reprezentowane są wszystkie stany kraju, że zginął żołnierz ze straży ogniowej i góral druciarz¹⁶⁹, że wszystkie prowincje dawnej Polski złożyły swą ofiarę ze

169 Ze spisu poległych lub zmarłych z ran, pomieszczonego w „Pamiętce dla rodzin polskich”, przekonywujemy się, że na ogólną cyfrę 84 osób jest 10 akademików, studentów lub uczniów gimnazjalnych, 4 urzędników, 3 obywateli ziemskich, reszta rzemieślnicy lub ludzie nieokreślonych zajęć. Z Litwy znajdujemy zaledwie dwóch zabitych. Żołnierz straży ogniowej, o którym jest mowa w tekście, zmarły z ran w szpitalu św. Rocha i pochowany na Powązkach d. 18 Kwietnia, nazywał się Wilker Władysław.

krwi, że między zabitymi są Polacy z Królestwa, z Litwy, z Poznańskiego, Galicyi, Białorusi, Ukrainy, Prus i Kurlandyi; że są katolicy, unicy, lutrzy i żydzi, że nawet poległ jakiś mahometanin z Litwy.

O obchodzeniu się z rannymi postarzano sobie straszliwe wieści, które, jakkolwiek w większej części nieprawdziwe, znajdowały jednak usprawiedliwienie w okropnych scenach wczorajszych i w brutalnem obchodzeniu się z publicznością patroli, przebiegających ulice. Żołnierze byli poprostu rozbewstwieni; bili przechodniów, zdierali im konfederatki z głów lub oznaki żałoby. Koło południa nagromadziło się na Krakowskiem Przedmieściu takie mnóstwo ludzi, że zapełnili ulicę aż pod sam Zamek. Wtedy wystąpiła kompania piechoty i, utworzywszy szeroki front, przeszła aż do domu Mącza ulicę i oczyściła ją tym sposobem z tłumów. Jak w każdym wielkiem mieście, tak i w Warszawie znaleźli się dowcipnisie, którzy, korzystając z podatnego potemu nazwiska Chrulewa, przemieniali pierwszą głoskę na „s”, i tak go od-tąd powszechnie nazywano.

Tymczasem w Zamku zajmowano się redakcją odezwy namiestnika o wczorajszych wypadkach i ułożeniem niektórych nowych przepisów, a sam Gorczakow kreślił telegrams do cesarza. Cesarz odpowiedział, że „rozruchy wczorajsze nie dziwią go wcale, gdyż ich oczekiwał; że spodziewa się, iż porządek będzie przywrócony przy pomocy środków energicznych bez żadnych ustępstw: że jeżeli coś podobnego się powtórzy, należy w mieście ogłosić stan wojenny”. Pytał, czy między aresztowanymi znajdują się główni inicjatorowie i domagał się, by resursa była zamknięta. Na to namiestnik odpowiedział tegoż dnia co następuje: „dotąd w mieście spokojnie. Lud jest bardzo rozdrażniony, a więcej jeszcze przerażony. Obwieszczam nową ustawę przeciw zbiegowiskom. Stanu wojennego nie ogłaszam, trzymam go jako groźbę ostatnią, tem więcej, że faktycznie on istnieje. Między aresztowanymi nie ma głównych inicjatorów, ale są zuchwalcy (niet głównych zaczaszczikow, no jest nahały). Resursa sama się zamknęła i pozostanie zamkniętą”.

Wszystkich aresztowanych dnia poprzedniego, których liczba dochodziła do siedmdziesięciu osób¹⁷⁰, wysłano zaraz do Modlina, gdzie mieli być oddani pod sąd i sądzeni na podstawie prawa o zbiegowiskach.

Ponieważ prawo to mogło być dopiero d. 9 Kwietnia ogłoszone przez gazety, które w dniu poprzednim z powodu święta nie wyszły, więc nowy dyrektor sprawiedliwości, Wołowski, słuszną pozornie zrobił uwagę, że prawem tem nie mogą być sądzeni aresztowani, gdyż pierwszą zasadą każdego prawa jest to, że ono wstecz nie obowiązuje. Była to opozycja dla opozycji, boć

¹⁷⁰ Gorczakow, zmniejszając wszystko, zmniejszył i tę liczbę w telegramie do cesarza na 45 osób (wziato upornych do 45 czełowiek).

rzeczą widoczną było dla umysłu najbardziej uprzedzonego, że nowe prawo, wydzierając burzycieli z rąk wojskowych wyrokowań tajnych i oddając ich pod jurysdykcję sądów cywilnych, wyrządzało im dobrodziejstwo prawdziwe. Ze stanowiska zaś polskiego miało ono jeszcze to wielkie i nieocenione znaczenie, że na miejsce bezprawia i widzimisię pierwszego lepszego kacyka wojskowego kładło prawo. Wołowski zapewne doskonale to rozumiał, ale był rozdrażniony strasznymi wypadkami wczorajszymi, ogarniał go i upajał niezdrowy, trujący dym nienawiści do władzy, która takich czynów się dopuszczała, i w tem rozdrażnieniu, w tej gorączce, usiłował wynaleść jakikolwiek pretekst do usunięcia się z urzędu¹⁷¹. Domagał się prócz tego natarczywie, by z mocy prawa obowiązującego były spisane w księgach stanu cywilnego akta zejścia wszystkich osób poległych wczoraj. Domaganie się to zupełnie prawne i usprawiedliwione zaszczyt przynosi Wołowskiemu, ale z góry należało się tego spodziewać, że Gorczakow się na to nie zgodzi. On przeraził się okropnego wczorajszego krwi rozlewu i chciał jego rozmiary ukryć przed wszystkimi. Spisywanie zaś aktów zejścia wykazałoby jak najdokładniej olbrzymią stosunkowo cyfrę poległych.

Wobec tego Wołowski, na stanowisku Dyrektora Komisji sprawiedliwości, stawał się niewygodnym i żenującym, i Gorczakow postanowił go usunąć, a dyrektorstwo powierzyć tymczasem Wielopolskiemu, który tym sposobem łączyłby w swej osobie dwie wysokie godności w rządzie, ministra oświecenia i sprawiedliwości. Po pięciu dniach swego dyrektorstwa Wołowski został uwolniony, a jak brzmi ogłoszenie o tem urzędowe: „do innych czynności przeznaczony”¹⁷².

Wieczorem tego dnia, gdy się gazety ukazały, publiczność dowiedziała się o tem, odczytywała samą ustawę o zbiegowiskach i odezwę namiestnika do „mieszkańców Warszawy”. Odezwa ta, jak wszystkie tego rodzaju dokumenty, wychodzące z kancelaryi rosyjskich, nie odznacza się ani pięknnością formy, ani podniosłością myśli. „Tylokrotne do was odezwy moje, pisze namiestnik, nie odniosły skutku. Dzień wczorajszy was i mnie następującymi wypadkami zasmucił. W dniu onegdajszym już przez dzień cały powtarzały się tłumne manifestacye, które nawet na mój głos głuchemi pozostały”. Opisawszy następnie treściwie przebieg wypadków wczorajszych, tak kończy: „...takimi to

171 Lisicki (Le marquis Wielopolski I, 177) powiada, że Wołowski odmówił podpisania ustawy o zbiegowiskach. Jest to pomyłka, gdyż ustawę tę podpisał, domagał się tylko, by wstecz nie obowiązywała.

172 Odtąd rząd, a raczej partya wojskowa źle patrzyła na Wołowskiego. Skorzystano w jakiś czas potem z tego, że przejęto jego korespondencyą z bratem, sławnym ekonomistą, zamieszkałym w Paryżu i zesłano go w głąb Rosyi, gdzie wkrótce umarł.

czynami ludzie zaślepieni i niepoprawni zaprzętają nas w uroczystych chwilach, poświęconych pracom nad rozwinięciem instytucji, przez Najjaśniejszego cesarza i króla krajowi temu nadanych. Rada administracyjna uchwaliła względem zaburzeń postanowienie, które wam ogłaszam. Schwytych wczoraj na gorącym uczynku nie pod surowsze prawa wojenne, lecz pod skutki dzisiejszego postanowienia oddaję, a dochodzenia przeciwko nim według całej ścisłości tego postanowienia prowadzone będą.

W Imię Boga, w imię uszanowania dla monarchy, dla porządku towarzyskiego, dla prawa, dla szczęścia i honoru kraju, zaklinam was, upamiętajcie się, a jeżeli i to nowe prawo nie powstrzyma zapamiętałości tych, co was do zguby wiodą, wtedy przymuszonym się ujrzę, po zbyt długiej cierpliwości, ogłosić stan oblężenia, a wtedy dalsze nieszczęścia spadną na głowy zapamiętałych”.

Słowa te, nieudolnie wypowiedziane, nie mogły wpłynąć na umysły i nie wpłynęły też na nie wcale; owszem w ówczesnym stanie podrażnienia powszechnego, kiedy nawet ludzie najchłodniejsi wrzeli na myśl gwałtów, jakich rozbestwione żołdactwo dopuszczało się w mieście w dzień biały, mówienie o „uszanowaniu dla monarchy”, którego oskarżano o to wszystko, było pomysłem niefortunnym i irytującym.

Oprócz tych wszystkich odezw i doniesień ukazało się jeszcze w gazetach rozporządzenie oberpolicmajstra Rozwadowskiego, zabraniające jak najsurowiej noszenia lasek okutych, znajdowania się po godzinie 10-ej wieczorem na ulicach bez latarki zapalanej i nakoniec pokazywania się rannym na mieście. Rozporządzenie to, w którym tylko ostatni zakaz ma jakąkolwiek racją usprawiedliwioną, stało się powodem licznych ze strony policji nadużyć, a ze strony publiczności, zwłaszcza młodzieży, żartów i szyderstw. Aresztowano zaraz nazajutrz mnóstwo osób za laski okute, częstokroć starców zgrzybiałych¹⁷³; latarki zaś dały pretekst różnym dowcipnisiom miejskim do urządzania najrozmaitszego rodzaju żartów. Pewnego dnia np. zjawili się na ulicach pryncypalnych młodzi ludzie, niosący w dzień biały w jednej ręce ogromne latarnie z parasolem zamiast laski, a w drugiej rozkaz drukowany oberpolicmajstra. Zwykle za nimi tłumy ciekawych uliczników biegły. Żartownisie tacy dostawali się do kozy, ale karać ich surowo nie było za co, zwłaszcza, że zawsze znaleźli sposób wytłomaczenia się, więc ich po paru dniach więzienia wypuszczano.

173 Dostali się np. do cyrkułu policyjnego za nieposłuszeństwo rozporządzeniu schwytni na ulicy z kijami okutymi: Łaszczyński, gubernator warszawski; Niepokojczycki, prezes Banku polskiego i Enoch. Oczywiście wypuszczono ich zaraz i przeproszono, ale mieli tę przyjemność, że ich policjant prowadził przez ulicę i zapewne zbyt grzecznie się z nimi nie obchodził.

Nazajutrz, d. 10 Kwietnia, miasto przybrało o wiele spokojniejszą postać. Wojsko ciągle biwakowało na ulicach, powznosiło nawet na placach namioty, ale patrole zachowywały się nieco grzeczniej, to jest o tyle grzeczniej, że nie biły batami i kolbami przechodniów. Sklepy pootwierano, i Warszawa powoli przybierała swą fizyognomią dawną i ruchliwą. Tegoż dnia Wielopolski, jako nowo mianowany dyrektor Komisji sprawiedliwości, wezwał przez cyrkularz urzędników podwładnych, by mu się przedstawili.

Do przybyłych wyszedł z nieodłączną karteczką w rękę i wygłosił sławną swą mowę, jedną z najpiękniejszych i najwspanialszych, jakie kiedykolwiek powiedział. „Ocalony w krwawym niestety! starciu, teraz w nowe prawo uzbrojony porządek publiczny, mówił — w ręce wasze oddać przychodzę; waszą teraz jest rzeczą, abyśmy to dobro społeczne dzierżyli odtąd w pokoju. Porządek publiczny nie może być z dnia na dzień wyzebrywany; ma on być na sobie samym oparty, niepożyty, co chwila samego siebie pewny. Kiedy porządek jest u samowolności, płochości i nieładu na łaskawym chlebie, wtedy wszystko w narodzie nikczemnieje; źródło odwagi obywatelskiej wysycha, znika wszędzie niepodległość zdania, znika swoboda myśli”.

Zaznaczywszy następnie szereg prac, jakich dokonanie na podstawie nadanych reform leżało przed sądownictwem polskim¹⁷⁴, zakończył temi słowy, zdradzającymi, że miał pewne dane do obawy o swe życie: „życie moje jest w rękę Bożem. Chociażbym z waszą pomocą tego tylko dokonał, iżbym na podstawie nowo zapadłego prawa porządek publiczny, ten pierwszy warunek wszelkiego na drodze prawnej postępu narodowego, ubezpieczył i utrwalił, mniemam, iż dobrą o sobie dla dzieci moich pozostawiłbym pamięć”.

Słowa te, przepyszne jako utwór najwznioślejszego krasomówstwa, wywołały w publiczności prawdziwą burzę gniewu i nienawiści przeciw ich autorowi. Jakto, wołano, czyż on może się nazywać Polakiem, patriotą? czyż nie rozwiązał Towarzystwa rolniczego? czyż nie zapowiedział duchowieństwu, że

174 „Skutkiem łaskawych nadań Najjaśniejszego Pana, mówił, ważne czekają nas prace; przez usunięcie Komisji kodyfikacyjnej, reformą i uzupełnieniem prawodawstwa u siebie już zajmować się będziemy; potrzebuje jej zwłaszcza prawo kryminalne. W nowej ustawie o zbiegowiskach znać już w tem ulepszenie, iż postanowione w niej kary mają być w kraju samym, a nie indziej odsiadywane. Prac tych w całej obszerności nie będę mógł z panami dokonać; powołują mnie obowiązki stałego mojego wydziału, którego ogniwem połączenia z waszym jest wspólne zadanie utworzenia fakultetu prawnego. Zdołam jednak może przez czas naszego koleżeństwa rozpatrzyć dotychczasowe przygotowania do popraw prawodawczych i uzupełnić te przygotowania. Ku temu liczę na waszą pomoc, na udział doświadczenia sędziów, prokuratorów, obrońców, z których wielu światło i naukę poznać miałem już sposobność. Dzieła całego dopełni zapewne stały mój następcą; spodziewam się, iż mieści go w sobie własne wasze grono”.

rzządzić niem będzie surowo? czyż wreszcie nie bierze strony niecných morderców, którzy napadali i zabijali bezbronnych? Czyż to nie hańba, publicznie się odzywać, że „porządek ocalony został w krwawem starciu?” jaki porządek? więc rząd rosyjski u nas, jego gwałty, ucisk, bezprawia, despotyzm porządkiem się nazywa, a rzeź kobiet i dzieci nosi miano „krwawego starcia?”

Jednem słowem mowa ta, świetna jako dzieło krasomówcze, zaszkodziła niezmiernie wiele margrabiemu. Nawet ludzie zimni, spokojni (wprawdzie takich już teraz nie było wielu, niestety!) dziwili się i oburzali, że margrabia brał na siebie odpowiedzialność za krew przed Zamkiem rozlaną; boleli nad tem, że mąż tak wielkiego rozumu sam podkopuje sobie grunt pod nogami, sam grzebie przepaść, grożącą pochłonięciem i jego osoby i ojczyzny.

W rzeczy zaś samej Wielopolski prawdopodobnie o tem nie myślał, i przyczytna tej postawy, jaką przybrał wobec wypadków 8 Kwietnia, leży wyłącznie w jego charakterze i w jego ambicyi nienasyconej, w chęci pokazania krajowi, że on jest w rządzie wszystkim, że on jest właściwie rządem. Podjąwszy z radością rzuconą przez Wołowskiego tekę sprawiedliwości, koncentrował teraz w swem ręku dwa wydziały rządu, stawał się istotnie jego osiłą, i jeżeli nie był wszystkim, bo o to zawsze w takiej władzy, jak rosyjska, gdzie pierwszy lepszy generał ma głos decydujący, jest trudno, to przynajmniej chciał uchodzić za takiego w obliczu Polski i świata. Jego moc duszy niezwykła, upór niepokonany, ambicya nienasycona, dodawały mu zachęty do brania na swe barki potężne odpowiedzialności za wszelkie kroki rządu, choćby te kroki krwią polską były znaczone. W głębi duszy może miał odrazę do tej krwi, płamiącej bruk warszawski, do tych gwałtów, jakie się na ulicach miasta rozgrywały, do tych poruczników, przemienianych nagle w kacyków i prokonsulów na manier tatarski, ale ambicya kazała mu zamykać na to oczy, brać za wszystko na siebie odpowiedzialność, bo to, że uchodził za rząd przed krajem, za jedyne słońce władzy, łechtało mile jego dumę. Nieszczęśliwy człowiek, rozum potężny, inteligencya niezwykła i płodna, będąca jednak na służbie instynktów poziomych! nieszczęsny kraj, którym taki człowiek kierować postanowił!

Za mowę w Komisji sprawiedliwości, za zniesienie Towarzystwa rolniczego, za dzień 8 Kwietnia, posypał się też na margrabię istny grad listów bezimiennych, przepelnionych groźbami i wymyślaniem brutalnem. Wszystkie dusze małe i niskie znajdowały pewną rozkosz w tem bezkarnem obrzucaniu błotem olbrzyma, który miał swe słabości, bardzo nawet brzydkie, ale który głową swoją przerastał wszystkich ludzi ówczesnych w kraju, całą tężyzną szlachecką i nieszlachecką. Anonimy te dokuczyły mu tak, że przedstawił namiestnikowi konieczność zamknięcia poczty miejskiej; poparli go w tym względzie inni dygnitarze, którzy nie cieszyli się dobrą opinią ulicy, i którzy

także odbierali mnóstwo listów z obelgami. Jakoż w d. 11 Kwietnia poczta miejska „aż do dalszego rozporządzenia” zamkniętą została. Współcześnie policja wydała nakaz, ażeby wszystkie szynki, kawiarnie i piwiarnie, zwane „bawaryami”, były punktualnie o godzinie 8-ej wieczorem zamykane; w razie niewykonania tego rozkazu, grożono właścicielowi opieczątowaniem szynku i odebraniem konsensu, czyli prawa na utrzymywanie tego rodzaju zakładów. Wszystko to znamionowało, że rząd energicznie bierze się do rzeczy, ale tylko powierzchownie i z pozoru. Do głębi, do wnętrza tego kotła, który wrzał ciągle i kipiał, nie sięgano, i nikomu naprawdę na myśl to nawet nie przyszło.

Po mieście nie przestało tysiące obiegać wieści, w większej części kłamliwych, ale którym wówczas wierzono, powtarzano je sobie, unoszono się na myśl strasznych nadużyć i barbarzyństw, jakich dopuszczali się Moskale w dniu rzezi. Właśnie w tym czasie, d. 10 Kwietnia, o godz. 9-ej wieczorem, pochowano w cytadeli „na miejscu poświęconem”, jak się wyraża doniesienie urzędowe, koło bramy Michajłowskiej, dziewięciu mężczyzn i jedną kobietę, zabitych na placu Zamkowym. Obrzędu religijnego nad nimi dopełnił ks. Kaczanowski, kapelan naczelny wojska. Niektórzy krewni zabitych byli obecni na tym pogrzebie osobliwszym. Wszystkie trupy wrzucono do jednego dołu, oprócz niejakiego Ringa, syna bankiera, zdaje się żyda, którego pochowano oddzielnie już naprzód dla tego, a potem, że matka jego usilnie błagała, by jej pozwolono choć później przenieść zwłoki do grobu rodzinnego. Krótką wiadomość o tym pogrzebie podały gazety; i wobec tego słuszne obudziło się pytanie, co się stało z resztą zabitych, gdzie ich pogrzebano i czy ich pogrzebano?¹⁷⁵.

Od d. 8 Kwietnia bowiem rozchodziły się głuche pogłoski, ścinające krew w żyłach słuchaczy, że większą część poległych i ranionych żołdactwo rozwścieżone wrzucało do Wisły, obdarłszy ich wprzód doszczętnie. Powtarzano sobie jako fakt niezbity, że rybacy i właściciele berlinek, znajdujących się wtedy na rzece, widzieli to na własne oczy; że po kilka trupów wiązano razem, że nie zważano, czy kto jeszcze żyje lub nie, tylko wleczono i wrzucano do wody. Opowiadano sobie o jakimś rzeźniku z prowincji, który, odzyskawszy w zimnej kąpieli przytomność, zdołał się ocalić; dostał on się naprzód na

175 Poszukiwania nasze, bardzo staranne, przekonały nas, że w Zamku, jakeśmy to już powiedzieli, złożono 108 trupów, zabitych, lub zaraz po przyniesieniu tam zmarłych. Między nimi było wiele kobiet, z których jedna, wdowa po kupcu, zwracała uwagę straszną swą raną. Miała ona cały tył czaszki zerwany kulą tak, że mózg było widać. Wszystkie te ciała złożone były na odwachu, pod daszkiem, jaki się tam znajduje, i w nocy wywieziono je w furgonach wojskowych i pochowano potajemnie w rowie cytadeli. Urzędowy zaś pogrzeb 9 osób odbył się w parę dni później, widocznie dla potwierdzenia relacji namiestnika o takiej ilości zabitych.

berlinkę, a ztąd czółnem odwieziono go na Pragę. Mówiono, że w Młocinach, pod Bielanami, w Zakroczymiu i Płocku Wisła wyrzucała na łąd trupy strasznie pokaleczone¹⁷⁶.

Wieści te, bardzo naturalny wynik powszechnego wzburzenia umysłów, znajdowały wszędzie chętne i wierzące ucho, a w miarę oddalenia od Warszawy przybierały rozmiary coraz szersze i coraz nieprawdopodobniejsze. Cały kraj z chciwością chwycił wszelkie pogłoski, i groza, oburzenie przechodziło wszelkie granice. Tu i owdzie przybrało ono nawet formę czynu.

W Płocku, nazajutrz po „krwawem starciu” warszawskim, przez jeden z tych dziwnych objawów, jakie zawsze spostrzegać się dają, ilekroć stanie się fakt interesujący wszystkich, wiedzano już w zarysach niejasnych i mocno przesadzonych o wypadkach na placu Zamkowym. Na statek parowy, mający przybyć ze stolicy, tłumy oczekiwały na brzegu Wisły, pragnąc zasięgnąć bliższych wiadomości od przybywających. Wśród tych tłumów, w powszechnem wzruszeniu i przerażeniu, urodziła się nagle pogłoska, że wojsko lada chwila się zjawi i rzeź wśród zebranych zrobi. Pogłoska ta tak się rozeszła, tak ogólną znalazła wiarę, że kilku obywateli najznacniejszych udało się do gubernatora cywilnego Bońkowskiego i wyjednało od niego pozwolenie na utworzenie Delegacji obywatelskiej, mającej na celu utrzymanie porządku w mieście. Przy tej sposobności wybito okna u jednego z patronów miejscowego Trybunału, który żył w wielkiej przyjaźni z generałem Poźniakiem, dowodzącym garnizonem płockim, i tego dnia wyprawiał u siebie wieczór. Krótkie jednak było istnienie tej improwizowanej i spóźnionej nieco Delegacji; teraz nie były już takie czasy, by pozwolono na egzystencją podobnego ciała. W parę dni potem zjawił się przysłany z Warszawy generał Szepielow i Delegacją rozwiązał, resursę zamknął i zakazał procesy publicznych.

Do rozpowszechniania się tych wieści, tych jaskrawych, w większej części nieprawdziwych lub przesadzonych mocno pogłosek, przyczyniały się bardzo wiele gazety zagraniczne, tak polskie jak i obce, które, posiadając w Warsza-

176 Według wieści, dość rozpowszechnionej w Warszawie, trupów topić miano nie z Zamku, ale z cytadeli. Autor znał pewnego stolarza, który opowiadał, że zdjęty ciekawością, późną nocą udał się z Solca, gdzie mieszkał, ponad Wisłą ku Zamkowi. Przybywszy koło godz. 1-ej w okolice Maryensztadu, usłyszał liczne głosy moskiewskie, jęki, krzyki i głuchy, nieustannie powtarzający się plusk wody. Z powodu ciemnej nocy i bardzo naturalnego przestraszenia Borzęcki nie dotarł do miejsca, z którego te jęki się rozlegały, ale przekonany był i jest (jeśli dotąd żyje), że topiono w Wiśle trupów i rannych. Przekonanie to zresztą powszechnem jest do dziś dnia wśród ludności warszawskiej. W Zakroczymiu, w jakiś czas po 8 Kwietnia, Wisła w rzeczy samej wyrzuciła trupa obnażonego mężczyzny, ze złotym pierścieniem na palcu. Trup był zepsuty i uważano go ogólnie za ofiarę rzezi kwietniowej.

wie niekompetentnych, albo też ze złą wolą piszących korespondentów, Bóg wie jakie historie rozpuszczały. „Dziennik poznański” np. z najlepszą wiarą utrzymywał, że dnia 9 Kwietnia Warszawa wystawioną była na rabunek, który dopiero o godzinie 5-ej wieczorem ustał na odgłos bębna; „Czas” donosił, że wyszło rozporządzenie, nie pozwalające więcej jak stu osobom naraz wchodzić i modlić się po kościołach; inne gazety twierdziły, że na miasto nałożona została wysoka kontrybucya na utrzymanie wojska; „Breslauer Ztng” zapewniała, że z Modlina wypuszczono czterech ludzi, najbardziej skompromitowanych w manifestacji d. 8 Kwietnia, a wypuszczono dlatego, że byli agentami partii nieprzyjanej Polakom; coby to była za partya, gazeta nie objaśniała. „Journal des Debats” utrzymywał, że rano d. 8 Kwietnia wyrobownicy i rzemieślnicy warszawscy ciągnęli pomiędzy sobą losy, który z nich ma iść na śmierć. Tego rodzaju wieściami przepelnione były gazety zagraniczne, które, dostając się kontrabandą do kraju, czytane były chciwie, wierzone im zupełnie i w skutek tego przyczyniały się mocno do wzburzenia umysłów. Najniedorzeczniejsze podanie znajdowało wiarę, tak że w końcu rząd w Warszawie zmuszony został do zaprzeczania im publicznego. Ponieważ jednak nie posiadał w kraju ani organu własnego, ani też takiego, któryby gotów go był popierać, musiano z potrzeby, w braku czego lepszego, uciec się do „Gazety policyjnej”, świszka, wydawanego przez zarząd policji warszawskiej, trzymanego z obowiązku przez wszystkich właścicieli domów, mieszczącego w sobie rozporządzenia wzmiankowanej władzy i inseraty, nie czytanego wreszcie, nie mającego żadnego znaczenia politycznego i literackiego. Śmieszna więc była do pewnego stopnia polemika z najpoważniejszymi dziennikami zagranicznymi takiej „Gazety policyjnej”, ale na to nie było już rady. Poczęto więc tam pomieszczać sprostowania wieści, podawanych przez pisma zakordonowe, ale brano się do tego nie bardzo zręcznie i nie zawsze z dobrą wiarą¹⁷⁷. „Ludność miejscowa, pisała gazetka, wie dobrze, czego się trzymać pod tym względem, lecz ponieważ opisy takowe mogą się dostać na prowincyą i tam niepokoić umysły, obowiązkiem przeto jest sprostować ich mylnosc”. Sprostowania te jednak, powtarzamy, nie były zawsze czynione z dobrą wiarą. Gazetka uparcie zaprzeczała temu, żeby d. 8 Kwietnia miało poledz więcej, jak dziesięć osób. „Cyfra poległych w tym dniu, powiada, nie wynosi więcej nad dziesięć osób, jak to w ogłoszeniu urzędowem podanem zostało.

Wszyscy pogrzebani zostali według obrządku swej religii. Nie potrzebujemy dodawać, że żaden trup do Wisły wrzucony nie został. Co do rannych w tym dniu, wbrew twierdzeniu „Czasu”, wszyscy są pielęgnowani w szpita-

177 Według „Czasu” sprostowania te i zaprzeczenia miał redagować Karnicki. Podania tego sprawdzić nie mogliśmy.

lach albo na łonie rodzin, za tem idzie, że pierwsi mogą być odwiedzani przez swych krewnych i przyjaciół i że nie zbywa im na pomocy lekarskiej”. Sprostowania takie chybiały więc celu; dopuszczając się kłamstwa o takim fakcie niezaprzeczonym, jak liczba poległych d. 8 Kwietnia, „Gazeta policyjna” i co do innych zaprzeczeń, choćby opartych na prawdzie, nie wzbudzała już w nikim wiary. Nie czytano więc jej, śmiano się i szydzono z jej zaprzeczeń, a dzienniki zagraniczne, chwytając ją na gorącym uczynku kłamstwa w sprawie poległych, pytały z tryumfem: „czyż wobec tego można wierzyć zapewnieniom Gazety policyjnej?”¹⁷⁸. Środek ten, po którym można było, i słusznie, spodziewać się skutków jak najlepszych, chybił, dzięki stale przez rząd rosyjski praktykowanemu zwyczajowi ukrywania prawdy, wszystkim zresztą wiadomej.

Poza tą polemiką, bezcelową zupełnie i drażniącą tylko, gazety zagraniczne, zwłaszcza poważniejsze, nie przestały domagać się, by mocarstwa zachodnie wmięszwały się w sprawy polskie. „Daily News”, organ lorda Russel, pisał, że „reformy, jakie przed kilkoma tygodniami przyrzekł Aleksander II-gi nie-szczęśliwym Polakom, wobec ostatnich wypadków, są poprostn złudzeniem; chciano tylko zyskać na czasie i nic więcej, a dziś maska już zrzuciona, i od tej chwili zaliczamy Aleksandra II-go do rzędu tyranów i ciemieżców rodu ludzkiego. Obowiązkiem zaś każdego oświeconego narodu w Europie, każdego rządu liberalnego, będzie przeszkadzać jego okrutnym, niesprawiedliwym i barbarzyńskim zamiarom. Śmiało rzec można, że przez ostatnie wypadki rozmyślnie zrobił rozbrat z opinią publiczną w Europie, zburzył do szczeru sympatyą, jaka się objawiła przy jego wstąpieniu na tron i towarzyszyła jego działaniom dalszym. Nie dosyć na tem, oderwał on się stanowczo od państw zachodnich, a to w chwili, w której tak on, jak każdy inny despota, nie powinien się ważyć na utratę sympatyj i przyjaźni tych państw. Długo Anglia i Francja przyglądały się w milczeniu wszelkim zbrodniom politycznym, do-

178 Przyszło do tego, że dziennik „Głos”, wychodzący we Lwowie pod redakcją znakomitego powieściopisarza Kaczkowskiego, wezwał rząd rosyjski w Warszawie, ażeby zaprzeczył następującym okolicznościom: 1) że dnia 8 Kwietnia krzyż został połamany; 2) że księdza, który go niósł, zrabano; 3) że zabroniono pieśni religijnych po kościołach; 4) że zakazano wiernym odwiedzać w znacznej liczbie świątynie Boże. „Wszystkim tym kłamstwom, odpowiada „Gazeta policyjna”, jak najkategoryczniej zaprzeczamy. Co do wiadomości pod No 4, poprzednio już fałsz jej wykazaliśmy. Co się zaś tyczy krzyża, ten nie był niesiony przez księdza, ale przez znanego demagoga, który go połamał sam o głowę jednego z żołnierzy. Demagog ten został przytrzymanym i jest w Nowogorodzie osadzony. Ponieważ zaś krzyż nie był niesiony przez księdza, nie potrzebujemy dodawać, że żaden ksiądz nie został zrabany. Rząd nie zabrania po kościołach śpiewów religijnych, lecz śpiewów buntowniczych, i bez wątpienia, żaden rząd w Europie nie mógłby takowych dozwolnić”.

konywanym na narodzie polskim. Ale już minął czas postępowania karygodnego; Rosya niech będzie przekonaną, że mocarstwa zachodnie nie ścierpią, aby zbrodnie podobne się powtarzały”.

Te puste słowa, te frazesy pięknie brzmiące, ale czcze, którymi przesycono nas od stu lat, które były monetą zdawkową Europy, płaconą niedoli i łzom polskim, czytano chciwie, tłumaczono je, przepisywano i rozpowszechniano po kraju całym wszelkimi możliwymi sposobami i drogami. Bawiąca w tym czasie w Paryżu księżniczka Janina Czetwertyńska, słynna piękność i słynna fortepianistka, entuzjastka, natura romantyczna, zarzucała kraj listami, w których opowiadała słowami pełnymi przesady i kobiecej gadatliwości o wrażeńiu, jakie wypadki warszawskie robią na Francją, na Paryż, a nadewszystko na dwór Tujleryjski, budziła nadzieje, słodkie złudzenia, tak zgubne niestety! dla kraju¹⁷⁹.

179 Właśnie w tym czasie począł obiegać po kraju jeden z takich listów Czetwertyńskiej, opowiadający w tonie czułościowym i niezdrowym o przyjęciu, jakiego doznała na dworze cesarskim. „W zeszyły piątek — pisze księżniczka — wezwano nas do dworu. Wczoraj stawiłyśmy się na to zaproszenie, gromadzące niezliczone grono, do mniejszych apartamentów cesarzowej, gdzie grano komedią. W tem wybranem towarzystwie dworskiem znajdowali się ministrowie, ambasadorowie, naczelnicy główni wojska, marszałkowie, dyplomaci i wielkie damy. U drzwi powitała nas cesarzowa, a serdecznie uściskawszy obie ręce moje, dziękowała mi za książkę „Miesiąc Maryi”, którą jej imieniem księży emigrantów ofiarowałam. Przy tej książce był list, skreślony pod wrażeniem smutku ciężkiego, z prośbą o współczucie dla nas. Na ten list mój w jej oczach czytałam odpowiedź. Serdeczne słowa cesarzowej podobały mi się, okazując, ile zajmuje ją nasze nieszczęście. Książę Baciocchi usadowił nas w pierwszym rzędzie za cesarską rodziną, która zajęła niebawem swe miejsca. Księżna Klotylda serdeczne uśmiechy posłała ku mnie, gdyż córka Emanuela jest wyłaną dla nas opiekunką. Wszedł i cesarz. Ukłon jego ku mnie był pełen poważnego smutku. Oczy Kisielewa obejrzały strój mój żałobny; czułam zwróconą na siebie uwagę, a w głębi ducha nie przestawałam się myślać odnosić do Boga. Po komedii przeszliśmy do innej sali; rozmawiałam z osobami, należącymi do różnych ministerstw i krajów; każdy miał dla mnie jakieś dobre, dodające otuchy słowo. Wtem rozstał się tłum, zalegający mały salon cesarzowej, i wszedł cesarz. Koło ogromne roztoczyło się przed nim, rzucił okiem na moją stronę i, zamieniwszy słów kilka z poważną jakąś damą, wziął szklankę ponczu z tacy, niesionej przez służącego, a wzniosłszy ją, z boku uśmiechnął się do mnie, skinął powoli głową i wychylił. Ten niemy toast pełen powagi zdawał się być ofiarowanym ku spełnieniu życzeń moich. Takie toasta są w zwyczajach angielskich. Spojrzano na mnie, czy widzę tę łaskę cesarza; jam tylko skinieniem głowy zdaleka na nią odpowiedziała. Zbliżył się wtedy, a wyciągnawszy rękę, uściskał moją z ojcowskiem, że tak powiem, współczuciem. Ja byłam wzruszona jako kobieta; wobec kraju, wobec uczuć polskich, zamarły inne we mnie. Stałam uzbrojona w całą powagę ojczyzny, i jako Polka drżałam z natężenia umysłu ku temu, co mogło poprzeć sprawę narodową. Ponieważ cesarz z damami rzadko mówi, z dziewczętami nigdy, oczy wszystkich zwróciły się na mnie. Ciekawi czytali na mojem czole. To też dla tego nie chciałam, aby myślano,

Największe jednak, najpotężniejsze wrażenie wywarł Hercen, pomieściwszy w swym „Kołokole” opis wypadków 8 Kwietnia p. t. „Mater dolorosa”, którem to imieniem oznaczał Polskę. „Hańba! hańba! — woła — co za wzniosłość, co za poezya! te kobiety w żałobie, ten pocztylion grający „Jeszcze Polska nie zginęła!” ; ten widok prawdziwie średniowiecznych tłumów, klęczących u stóp Madonny, wobec dzikich zwierząt, wobec rozkiełznanych żywiołów ludowych. Czytaliście to Aleksandrze Mikołajewiczu? Takich okropności nie znajdziesz nawet w balladach Żukowskiego. Jeżeli to wszystko stało się mimo twej woli, to wykryj winnych, ukarż złoczyńców, oddaj ich pod pręgierz, albo... zdejm koronę i idź do monasteru na pokutę; dla ciebie niema już czystej sławy, ani spokojnego sumienia! Wystarczyło ci czterdzieści dni, żeby z największego cara Rosyi i oswobodziciela ludu zostać prostym katem, mordercą. Przez promienie sławy przeświecają nieraz oskarżające płamy krwi, ale sława, pokryta krwią podle przelaną, cuchnie wiecznie. Tak, podle przelaną, nie przemówiłem się wcale. Cóż innego znaczą owe ustępstwa? Kiedy Gorczakow, jak słowik, kochanek róży, nucił czule i zawodził tryle o łaskawości cara i jego

że uginam to czoło. O! wcale czułam się dumną i zdawało mi się, że najszcześniejsze narodowości są niczem w porównaniu z narodowością polską, ukoronowaną klejnotami łez męczeńskich. Łaska cesarska zawsze przyciąga dworaków: jest magnesem do osoby, na którą się zlewa. Otoczono mnie, starano się wybadać, ale ja mówiłam tylko, że zawsze uprzejmym jest dla mnie cesarz i t. d. Niebawem znalazł się koło mnie pan de Persigny; po zwykłych kadzidłach pochlebstwa, których niecierpliwie końca czekałam, rzekł mi z cicha: „pani mówiłaś do cesarza o Polsce, wszak prawda? ja to na twarzy pani wyczytałem”. — „Mówiłam, odpowiedziałam na to, i mówiłam śmiało”. — „Dobrześ pani zrobiła i nie mogę tego dość pochwalić; słowa prawdy i uczucia wielką mają moc w sobie”. — „Pan hrabia nie masz mi nic pocieszającego do powiedzenia, nie widzisz w swojej głęboko dyplomatycznej głowie końca świetnego sprawy polskiej?” Zamyślił się Persigny i spojrzął mi w oczy; w oczach moich była łza, świeżo wywołana słowami cesarza, i którą wewnętrzne wzruszenie zrodziło. Łzę widząc, łzę polską, nie mógł minister odmówić odkrycia ważnej, nader ważnej tajemnicy żądanej, i takową w zaufaniu powierzył mi. Strach, aby ten list nie był przejęty, wstrzymuje serdeczną chęć moją podzielenia z wami, bracia, tego co wiem, i rozdania między was każdego listka z mojej gałązki nadziei; przyjaźń Rosyi i Francyi już mnie nie przeraża. Niebawem bowiem Europa cała wstrząśnie się z letargu i my obudzim się dla szczęścia. I z wielkiej burzy świata wypadnie grom. Ten grom będzie wolność słowiańska od Bałtyku do morza Czarnego. Co do pism publicznych, oddają one nam największe przysługi. Pan de la Sire pisze historją Warszawy. Sławny to i wielce szanowany autor. Między senatorami tutejszymi panuje pewność o naszym przyszlęm istnieniu; prorocत्व wiele, a wszystkie niosą nam w darze obietnice radości. Co do mnie, wierzę najmocniej i najniezachwianie, przez dyplomacyą serca, iż Polska być musi. Dochodzą mnie tu czasami listy bezimienne, rzewnie pisane, które radują mnie niepomału. Bogu codziennie dziękuję, iż raczył mi dać miłość ludzką; prawda, że jeszcze niczem ojczyźnie się nie przysłużyłam, ale chęci są gorące i Bóg je widzi i t. d.”.

miłości dla narodu polskiego, to car, uśmiechając się i przyklaskując dobrodusznie narodowi, w tym samym czasie skrycie wyprawiał Chrulewa. Kto to Chrulew? czym on jest? Chrulew! dlaczego wybór padł na niego? czy on był znany ze swej biegłości w prawach polskich? czy jako dzielny administrator? czy jako mąż stanu? Nie, on znany był tylko jako generał sewastopolski. Na cóż był potrzebny znakomity wojownik do reform krajowych i miłości carskiej? I wam się zdaje tam nad Newą, że to kręctwo ciągle jest rozumem dyplomatycznym (die hohe diplomatische Kunst), wyście radzi może z tego zręcznego oszukaństwa? ... Za taki rozum dyplomatyczny w życiu prywatnym w Anglii wieszają, a we Francji lby ścinają. I tylko czterdzieści dni! Czemu ten człowiek nie umarł w dniu, w którym był ogłoszony ludowi rosyjskiemu manifest oswobodzenia?¹⁸⁰.

Słowa bez zaprzeczenia silne i piętnujące rząd rosyjski jak rozpalonem żelazem, ale tak one, jak i im podobne najgorszą przysługę wyrządziły Polsce.

Budząc przekonanie fałszywe, że świat cały zajmuje się Polską, że wcześniej czy później mocarstwa zachodnie wmięszają się w jej sprawy, zachęcały one do wytrwania na drodze opozycji i manifestacji. Jeżeli atoli ogół polski takie miał przekonanie i odpowiednio do niego postępować zamierzył, to starszyzna narodu, za jaką miała się grupa, otaczająca Zamoyskiego, jednym słowem Komitet Towarzystwa rolniczego, nie przedstawiała za rozwiązanie tego Towarzystwa potępiać Wielopolskiego. Ich nie wiele w gruncie rzeczy obchodziły wypadki 8 Kwietnia; że tam „kanalii” dali Moskale nauczkę, to dobrze zrobili, ale gniewało ich porwanie się na taką instytucją, jak Towarzystwo. Nie zapominając ani na chwilę o tem, że zniesienie tegoż im samym korzyść największą przyniosło, właśnie dla tego jak najgłośniej wyrażali swe oburzenie, pozowali na ofiary, żeby ukryć prawdę i wewnętrzną swą radość. Wobec takiego położenia rzeczy Wielopolski, usiłując prywatnie tego i owego przekonać o konieczności swego postąpienia, mówiąc do swych blizkich: „nie śpieszcie się z sądem” (ne hâtez pas vôtre jugement), uznał wszelako za stosowne wytłomaczyć się przed krajem i opinią, dlaczego rozwiązał Towarzystwo rolnicze. W tym celu, w dniu 12 Kwietnia, przesłał dziennikom warszawskim komunikat, na pół urzędowy, pełen zaiste ciekawych motywów i, właściwej prawie zawsze Wielopolskiemu, sofistyki.

„Czyn ważny rozwiązania Towarzystwa rolniczego, pisze, rozmaicie jest uważany; najzdrowiej może przez samych członków byłego Towarzystwa,

180 W innym miejscu woła do cara: „Sire, pas des réveries! Pas des réveries! straciłeś Polskę. Mogłeś stanąć na czele ruchu słowiańskiego, mogłeś wskrzesić Polskę bez kropli krwi, wolałeś austrijackie dragonady. Pas de réveries, sire! straciłeś Polskę t. j. żywą, zarżniętą może pozostać trofeem zwyciężkiego wojska waszej cesarskiej mości”.

bliższych jego ogniska, zapewne skutkiem wyrobienia zmysłu politycznego, jaki u nich widzieć się daje; inaczej zaś przez osoby, dalej od ogniska, lub za obrębem działań Towarzystwa stojące”. Zaznacza, że Towarzystwo, skutkiem nadanego mu kierunku („przez wrażony mu kierunek”), oraz skutkiem okoliczności, zajmowało się w czasach ostatnich jak najmniej rolnictwem, a natomiast stało się zgromadzeniem, popierającym cele polityczne i prawodawcze i „ztańd uważało się coraz więcej, a *de facto* słusznie poniekąd, za rodzaj reprezentacji kraju”. — „Lecz im bardziej ono podnosiło się i wyrabiało do tego *quasi* reprezentacyjnego przymiotu, tem bardziej gotowało sobie losy, jakim zgromadzenia reprezentacyjne z istoty swojej ulegają. Uwaga na zgromadzenia reprezentacyjne w krajach, gdzie instytucje publiczne najbardziej są wyrobione, okazuje nam, że rozwiązanie zgromadzeń reprezentacyjnych jest od ich istoty nieodłączne, a nawet, że doskonałość i godność ich okazuje się właśnie w ich rozwiązaniu, to jest w zrównoważeniu się z każdą nową sytuacją ciała towarzyskiego, którego są organem.

Była to sofistyka w gruncie rzeczy kłamliwa i mająca pozór szyderstwa z upadłego Towarzystwa. Towarzystwo bowiem nie było faktyczną reprezentacją kraju, a jeżeli nią zostało, zawdzięczało to tylko swej powadze moralnej; nie było parlamentem, bo jeżeli rozprawiało o kwestyi włościańskiej, to naprzód ta kwestya ściśle z rolnictwem była złączona, a potem sam rząd kazał mu się nią zajmować; nakoniec zajmowanie się to miało charakter czysto platoniczny i uchwały Towarzystwa, wyrażając tylko opinią jego większości, nie miały dla rządu mocy obowiązującej. Wszystko to wiedział Wielopolski, i porównywanie Towarzystwa do parlamentu było rodzajem żartu dotkliwego i zjadliwego. Zresztą, wołano, kaźden parlament można rozwiązać, to prawda, ale zarazem trzeba nowy zwołać, a gdzież jest to zwołanie? Obietnica jakichś komicyów rolniczych, wygłoszona niejasno i niestanowczo, nie budziła żadnego zaufania i w rzeczy samej została prózną tylko obietnicą, uchwałą na papierze, jak tyle praw i przepisów w państwie rosyjskiem.

„Towarzystwo rolnicze, pisze dalej Wielopolski, w ostatniej swej postaci było olbrzymim, chaotycznym utworem zmieszanych żywiołów, rolniczego i prawodawczego politycznego. Zdrowa organizacja instytucji kraju każe roztworzyć zamęt przez rozdział żywiołów. Element rolniczy Towarzystwa oddzielony teraz zostaje od politycznego, w liczbie mnogiej występuje w zebraniach rolniczych. W krajach zachodnich znane są takie lokalne zebrania z celem wyłącznie rolniczo-naukowym. We Francji pod nazwą *Comices Agricoles* istnieją one po departamentach, lecz kaźde z nich ma miejscowy swój obręb czynności, nie dopuszczone jest między nimi kojarzenie się w jedno centrum ogólne. Starannie przestrzegają prefekci, aby nie przekraczały swych

atrybucyi. Rząd tamtejszy nie zniósłby towarzystwa prywatnego w takim rozmiarze, iżby przewagą masy i siły, mniej albo więcej rozważnie, według woli tamowało swobodę ruchu ciał konstytuowanych, czy to administracyjnych, czy politycznych. Pierwiastek polityczny, przez Towarzystwo przybrany, odtwarza się w organizacji Rad gubernialnych i powiatowych, i w tej dopiero postaci staje się prawdziwie reprezentacyjnym, bo z wyborów idącym, co nie miało miejsca w Towarzystwie; lecz do tych Rad wchodzący, czyż nie będą po większej części byli członkowie Towarzystwa rolniczego, już nie jako tacy, lecz jako wybrani przez współobywateli z pomiędzy najczęściej członków byłego Towarzystwa?”

„Nakoniec dawne ognisko całego utworu, zawarte w byłym Komitecie i w ogólnych zebraniach w Warszawie, odnawia się uzacnione w nadanej Radzie stanu”.

„Teraz o jednym jeszcze zarzucie: mówią, że należało naprzód te wszystkie nowe instytucje w wykonanie wprowadzić, a potem dopiero Towarzystwo rolnicze rozwiązać. Wychodzi to na to samo, jak gdyby kto pod rozwiniętymi instytucjami politycznymi przezornie twierdził, iż naprzód trzeba zwołać nową izbę lub ciało prawodawcze, a potem dopiero dawne rozwiązać. Towarzystwo rolnicze nierozwiązane byłoby tamą i przeszkodą do wprowadzenia nowych instytucji; byłoby nią właśnie przez to, co w sobie wyrobiło najlepszego, przez ową silną subordynacją członków pod zwierzchni kierunek komitetu, co Towarzystwu zaraz na sam zawiązek i tworzenie się nowych instytucji zbyteczny wpływ nadawało. Towarzystwo rozwiązane staje się w tyłu znakomitych swoich członkach żywotną skarbnicą dla nowych instytucji. Że tak uważa je władza, okazało się już w powołaniu mężów zaufania do kwestyi włościańskiej przy Komisji spraw wewnętrznych, okaże się niebawnie w powołaniu mężów do udziału zdania nad organizacją Rady stanu, prawdopodobnie okaże się w składzie nowej Rady wychowania narodowego, nakoniec w składzie samej Rady stanu”.

Na tem kończył się komunikat Wielopolskiego. Napisany zwykłym margrabiemu stylem ciężkim i zawiłym, jest, jakeśmy to zauważyli, jednym sofistematem, usiłowaniem obronienia czynu, który przekonanie wewnętrzne autora potępiało. Sama ta obrona wreszcie świadczy, że Wielopolski w głębi swego sumienia czuł, że źle postąpił i usiłował szeregiem rozumowań naciągniętych obronić swój krok, nie tyle może przed ogółem, ile przed sobą samym. Że Towarzystwo stanowiło ze swą organizacją, ze swą siecią korespondentów i członków, instytucją, mogącą sparaliżować wszelkie rządy w kraju, to nie ulegało kwestyi; ale dla odjęcia mu mocy szkoderstwa były inne środki, a nadewszystko samo rozwiązanie było zawczesne. Rezultat zresztą tego postępku

pokazał najlepiej, że się Wielopolski omylił, że przez rozwiązanie Towarzystwa zamiast osłabić ruch rewolucyjny w kraju, o co pozornie szło mu niby głównie, owszem wzmocnił go jeszcze bardziej, jak tego dowodzą wypadki późniejsze.

Kiedy Wielopolski usiłował drogami pozornie legalnymi, w gruncie jednak rzeczy budzącymi większy tylko niepokój i rozdrażnienie, złamać ruch rewolucyjny, rząd rozwijał w dalszym ciągu system surowości i zakazów. Cesarz, który nakoniec otrzymał koło 13 Kwietnia, a więc w pięć blisko dni, raport szczegółowy od Gorczakowa o wypadkach warszawskich, pisał: „oby Bóg dał, żeby lekcyca wymierzona ludności warszawskiej d. 27 Marca (8 Kwietnia) odjęła jej ochotę do podobnych zbiegowisk. Żądam, ażeby przy pierwszym ich powtórzeniu stan oblężenia był ogłoszony tak w Warszawie, jak i na prowincyi”. Gorczakow zapewniał, że w razie najmniejszych rozruchów ogłosi stan wojenny, jakkolwiek sądził, że to nie nastąpi prędko, „gdyż tutaj wszystko widocznie się uspokaja”. Policja oprócz wydanych już rozporządzeń, zabraniała noszenia przy ubiorach oznak odznaczających¹⁸¹, wszelkich ubiorów niezwykłych i żałoby, noszenia kijów już nie tylko okutych, ale i z ołowianymi gałkami; kupcom jak najsurowiej polecono pochowanie z wystaw materyi żałobnych, kobietom publicznym nakazano ubierać się jaskrawo; na koniec dyrektor Komisji spraw wewnętrznych Giecewicz rozesłał pod d. 11 Kwietnia okólnik (za No 11,921/6570) do wszystkich gubernatorów. W okólniku tym poleca im usilnie, aby starali się o przywrócenie porządku, bo tylko wtedy instytucje świeżo nadane, zapewnić mogą pomyślność kraju. Nakazuje, aby gubernatorzy wpajali w urzędników przekonanie o potrzebie wykonywania ścisłego swych obowiązków; żeby ludzie nieudolni i bez energii byli z urzędów wydaleny, tym zaś, coby sprzyjali „szkodliwym zamiarom” dawać dymisyą i karać; delegacye miejskie, gdzieby jeszcze były, natychmiast rozwiązać, „porządek bowiem polegać winien na władzach rządowych, przy współdziałaniu w razie potrzeby siły zbrojnej”; że należy zamknąć resursy; wszelkie zgromadzenia przybierające charakter polityczny nie powinny być cierpiane; ludzi szkodliwych i podejrzanych należy aresztować; że wreszcie namiestnik życzy sobie, ażeby urzędnicy wpływali na mieszkańców, by ci z wojskiem w pośród nich kwaterującym żyli w zgodzie, zapewniając, że wojsko zachowa się spokojnie.

Okólnik ten, jak wszystkie okólniki rządowe w tym czasie, nie miał przynieść żadnego pożytku. Odwoływanie się do urzędników, którzy stanowili

181 We Lwowie, jeszcze dnia 5 Kwietnia, policja zabroniła: „kokard żałobnych, polskich orłów, wstążek trójkolorowych do zegarków, krawatek, kokard, fontaziów, lasek z siekierkami, buzdyganów i wszelkich oznak politycznych”.

klasę najbardziej zrewolucjonizowaną, może nie tyle w skutek przekonania wewnętrznego, ile w skutek rzetelnie polskiej uległości swym żonom, córkom i synom, było bezpłodnem.

W tej porze zwłaszcza, na skutek muzyk kocich i przestachu, jaki one wywierały i stanowiły pewnego rodzaju terroryzm, wielu urzędników, a mianowicie wyższych, zaczęło się podawać do dymisy. Przybierało to formy tak szerokie, wyglądało na pewien rodzaj spisku, że cesarz, uwiadomiony o tem, rozkazywał d. 16 Kwietnia, ażeby ogłoszono w charakterze ostrzeżenia, że „urzędnikom w Królestwie, którzyby w skutek terażniejszych okoliczności żądali uwolnienia ze służby, lub uwolnieni z niej zostali, jako na zaufanie nie zasługujący, nie udzielać pensyi emerytalnej”¹⁸².

Podczas kiedy Giecwicz, jako dyrektor Komisji spraw wewnętrznych, wzywał władze cywilne w kraju, by wszelkiemi siłami przykładały się do przywrócenia spokojności i porządku, ze swej strony Gorczakow rozesłał do wszystkich naczelników wojennych pod d. 18 Kwietnia cyrkularz tajny, mocą którego nadawał im władzę nieomal nieograniczoną, czynił z nich małych kacyków. „Uważam za stosowne wyjaśnić *Waszemu Przewoschoditelstwu*, pisał, obecny stan rzeczy i ten kierunek, którego władze rządowe winny się trzymać dla przywrócenia porządku. Główne żywioły nieporządków są następujące: b. Towarzystwo rolnicze w Królestwie, które dzieliło się na trzy odcienie. Do pierwszego i najmniejszego należą ludzie, nie pragnący w duszy przewrotów, ale popchnięci do działalności przeciw rządowej przez wpływ swych kolegów, przez ducha czasu i przez wypadki ostatnich sześciu tygodni, z których wnioskowali błędnie, że rząd jest bezsilny. Do drugiej kategorii należy nieco więcej członków, t. z. umiarkowanych, którzy, chociaż w sercu są wrogami rządu, wszelako obawiają się zaburzeń ulicznych, i lubo im się nie sprzeciwiają, to przynajmniej nie biorą w nich udziału.

Nakoniec do trzeciej i najliczniejszej kategorii należą przeważnie młodzi ludzie, którzy w nienawiści przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy, nie tylko marzą o przywróceniu Polski samoistnej w dawnych granicach (w połnom jej sostawie), ale sądzą, że nadszedł czas wzięcia się do tego, przez wywoływanie i podtrzymywanie wszelkiego rodzaju zaburzeń”.

„Drugi żywioł burzliwy istnieje w szkołach; w ogólności młodzież ucząca się jest zupełnie rozpuszczona i, korzystając z bezkarności, podnieca lud do wszelkiego rodzaju nieporządków. Prawie wszędzie działa ona pod natchnieniem agentów Mierosławskiego, którym nakazano wywoływać jak najwięcej zamieszek, w celu zmuszenia rządu do powstrzymywania tychże siłą. Myślą

182 W skutek tego obiegała po mieście pogłoska, że żydzi ofiarowali się złożyć pięć milionów złotych polskich dla urzędników, którzy dostaną za swój patriotyzm dymisyą.

Mierosławskiego jest, że im więcej będzie ofiar, tem bardziej wzrośnie nienawiść przeciw rządowi i tem pewniejszy będzie ostateczny skutek jego zamiarów”.

„Trzecim żywiołem szkodliwym jest duchowieństwo katolickie, które w ogólności z powodów religijnych jest nam wrogię, a wielu jego członków działa w duchu zwolenników Mierosławskiego. Nakoniec większa część urzędników jest albo obojętną dla rządu, albo żywi dlań uczucia nieprzyjemne. Zadanie więc teraz polega na zatarciu szkodliwych rezultatów wypadków ostatnich sześciu tygodni. Dla jego rozwiązania najspodobniejsi są naczelnicy wojenni. Działalność władz wyższych ułatwia wykonanie. Zniesienie Towarzystwa rolniczego pozbawiło jego członków tego na pół oficjalnego charakteru, jakiego używali w kraju; zwiększenie liczby wojsk w Królestwie daje możność naczelnikom wojennym powstrzymywania lub niedozwalania na nieporządki; nakoniec stłumienie siłą demonstracyi w Warszawie d. 8 Kwietnia, przyaresztowanie po niej mnóstwa osób szkodliwych i ogłoszenie nowych przepisów policyjnych, wywołało popłoch wśród inicjatorów zamieszek”.

„Lecz wszystko to na nic się nie przyda, jeżeli my nie skorzystamy z chwili i nie wytępiimy o ile można wszystkiego tego, co powoduje naruszenie porządku publicznego. W tym celu winni naczelnicy wojenni działać, jakkolwiek ostrożnie ale energicznie, nie obawiając się nawet w razie potrzeby uciekania się do użycia broni dla wypełnienia dokładnego domagań się rządu. Wszelkie zebrania w domach, mające charakter polityczny, winny być natychmiast rozpędzane. Wszelkie delegacye obywatelskie, dla zabezpieczenia porządku powstałe, winny być (a to jest stanowczą wolą cesarza) zaraz rozwiązane. Porządek w mieście ma wyłącznie utrzymywać władza policyjna przy pomocy wojska”.

„W każdym prawie miejscu jest jedna lub kilka osób, kierujących zaburzeniami; osoby te należy niezwłocznie aresztować i z papierami odsyłać do cytadeli Aleksandrowskiej, przy załączeniu powodów ich aresztowania. Co się tyczy szkół, wiadome panu są już moje życzenia i odezwy za No 1951¹⁸³. Wobec mogących powstać zaburzeń, winieneś pan wiedzieć koniecznie, którzy pomiędzy młodzieżą szkolną są kierownikami głównymi, aresztować ich i mnie o tem donieść. Oczywiście, że na całej przestrzeni kraju są drobne miejscowości, nie zajęte przez wojska, gdzie niepodobna zapobiegać zaburzeniom, ale w miastach głównych, w których znajduje się liczba dostateczna wojska (zwłaszcza w gubernialnych), żadne nieporządki nie powinny być odąd cierpiane pod osobistą pańską odpowiedzialnością”.

183 Odezwy tej wcale nie znamy.

„Proszę *Wasze Prewoschoditelstwo* wziąć pod baczną uwagę wszystko wyżej powiedziane. Nastał teraz czas i jest zupełna możność działania jakkolwiek ostrożnego, ale stanowczego. Proszę mi donieść gdzie i kiedy zostaną rozwiązane delegacje. Od gubernatorów cywilnych nie mogę oczekiwać tej energii jak od pana, i dla tego z odezwą tą zwracam się tylko do pana; zachowaj ją i *nie pokazuj nikomu*; odpowiednio do niej domagaj się od władz cywilnych należytego współdziałania. Co się tyczy duchowieństwa, otrzymasz pan wkrótce instrukcje specjalne”.

Okólnik ten jest bijącym w oczy dowodem, jak wszelka praca organizacyjna z takim rządem, jak rosyjski, jest wprost niemożliwą.

Działalność Wielopolskiego wobec tego było to snucie przędzy Penelopy, było to Syzyfowe toczenie kamienia na stromą górę legalności, z której brutalna noga pierwszego lepszego podporucznika, przemienionego nagle w prokonsula, strącała go na nowo w przepaść. Jak zwykle w rządzie rosyjskim, to, co się robiło głośno, było w zupełnej sprzeczności z tem, co nakazywano tajemnie. Kiedy bowiem z jednej strony Gorczakow zdawał się popierać Wielopolskiego, zdawał się sprzyjać jego zamiarom usunięcia rządów wojskowych, to z drugiej strony przez okólniki tajne rządy te pozostawiał przy różnych generałach i władze cywilne pozbawiał wszelkiego znaczenia. Cóż te ostatnie wobec naczelników wojennych mogły teraz znaczyć? co one mogły robić? czyż takie okólniki, dochodząc do wiadomości ogólnej (bo żadna tajemnica rządowa w tych czasach ukryć się nie mogła), nie musiały drażnić licznej rzeszy urzędniczej i nie rzucać jej w objęcia rewolucyi? Każdy sobie mówił, że z takim rządem podstępny, złym, zdradzieckim, któremu nigdy i w niczem ufać nie należy, nic zdziałać nie podobna, ani jego przyrzeczeniom wierzyć nie można.

Wszystko to więc wywierało jak najgorsze skutki. Ruch rewolucyjny, zepchnięty z ulicy, stłumiony siłą w swych objawach publicznych, miał się odtańd rozlewać pod ziemią, nurtować potajemnie i toczyć doszczętnie organizm narodowy. Że zresztą w tej chwili nawet, po nauce krwawej i okrutnej, jaką rząd rosyjski dał agitatorom na placu Zamkowym, myślano jeszcze o manifestacjach publicznych, świadczy fakt, jaki się przydarzył w d. 15 Kwietnia. W dniu tym chowano na cmentarzu luterskim niejakiego Edwarda Andrzeja Koelichena, kupca zmarłego przed paru dniami, człowieka znanego i powszechnie szanowanego w mieście. Zebrał się znaczny tłum ludzi, do którego przyłączyli się i agitatorowie, pragnący przy sposobności odwiedzić grób pułkownika Peickera, który, jakeśmy to wspomnieli, zastrzelił się d. 7 Kwietnia w Zamku i którego śmierć koniecznie chciano uważać jako następstwo jego niechęci występowania przeciw ludowi. Gdy więc znaleziono się na cmenta-

rze, tłumnie udano się na grób samobójcy, zasypano go kwiatami i wieńcami. Rezultatem tego było rozporządzenie generał-gubernatora warszawskiego Paniutyna, które się ukazało nazajutrz, d. 16 Kwietnia, zabraniające osobom obcym znajdowania się na pogrzebach, i że „odtąd przy pogrzebach tylko rodzina osoby zmarłej znajdować się może, a z każdym liczniejszym zebraniem, według przepisów postanowienia Rady administracyjnej z d. 8 Kwietnia, postąpieniem będzie”.

Takie było w ogólnych zarysach położenie Warszawy i kraju po strasznych wypadkach d. 8 Kwietnia. Wypadki te do głębi wstrząsnęły chorym i zniszczonym organizmem Gorczakowa. Jego natura miękka i łagodna, z odrazą i wstrętem patrzyła na te potoki krwi, wylanej pod jego okiem. Jeżeli krew ta, w d. 27 Lutego o wiele w mniejszej ilości wytoczona, przeraziła go tak, że gotów był do wszelkich ustępstw, że stracił przytomność, ufność i wiarę w siebie, o ileż donioślejszy i zgubniejszy wpływ na niego wyrzucić musiały wypadki kwietniowe, okropne „krwawe starcie”, jak się wyraził Wielopolski. Jakoż w rzeczy samej oddziało to tak silnie na umysł fantastyczny namiestnika, że rozchorował się, kwękał, nił w oczach i nie miał ochoty niczem się zajmować. Nocami zjawiały mu się widma czarnych kobiet, co świadczy, jak dalece rozstrojony miał umysł¹⁸⁴. Odtąd gaś powoli...

184 „Obiega także pogłoska (opowiada E. P. Karnowicz w „Istoriczeskim Wiestniku” z r. 1886), za autentyczność której oczywiście nie ręczymy, jakoby namiestnika ks. Gorczakowa odwiedziła pewnego razu tajemnicza nieznajoma w jego gabinecie, w którym w nocy słuchał czytania romansu francuskiego. Książę Gorczakow, jak wiadomo, miał wzrok nadzwyczaj krótki, był roztrągniony i z początku nie widział, ale niejako odczuł obecność w swym gabinecie zagadkowego gościa. Skoro książę bacznie przez okulary spojrzął na drzwi, spostrzegł, że tam stoi jakaś dama. Książę, odznaczający się zawsze grzecznością dla przedstawicieli płci pięknej, zerwał się śpiesznie z krzesła i z uszanowaniem uklonił się odwiedzającej go nieco późno pani, która ze swej strony zrobiła dyg głęboki. Przez głowę księcia namiestnika szybko przebiegła myśl, że, wobec ówczesnych burzliwych okoliczności w Warszawie, mogła do niego przedrzeć się jakaś energiczna patriotka polska, jeżeli nie dla dokonania zamachu na jego życie, to dla podania prośby. Książę postąpił parę kroków naprzód ku owej damie dla dowiedzenia się o przyczynach jej niewłaściwego pojawienia się bez uwiadomienia uprzedniego, ale jakże się przeraził, gdy kobieta owa nagle znikła i, według własnych słów księcia, uczuł tylko odurzający zapach grobowy i trupi. W Zamku podniósł się gwałtowny alarm, rozpoczęto poszukiwania, śledztwo, badanie straży, ale wszystko to nie doprowadziło do wyjaśnienia tajemniczego zjawiska. Pokazało się, że nikt nikogo obcego nie widział i nic nadzwyczajnego nie słyszał; wszystkie stráže były na swoich miejscach, nie spały i nie drzemały, ale czuwały”. Dotąd Karnowicz. O tych widmach opowiada także Charles de Mezade w artykule: „Une année d’agitation en Pologne” (Revue des deux mondes z r. 1862). Twierdzi on, że Gorczakow w ostatnich chwilach swego życia widział ciągle włóczące się koło niego kobiety w żalobie i miał wołać: „o! kobiety czarne, kobiety czarne! oddalcie je!”

Dla Wielopolskiego zaś teraz otwierało się obszerne pole działania. Zniósłszy Towarzystwo rolnicze, uspokoiwszy, jak się zdawało, kraj, „ocaliwszy w krwawym starciu porządek publiczny”, należało się wziąć do urzeczywistnienia oddawna zapowiadanych reform. To była najpilniejsza potrzeba chwili, to było konieczne wreszcie, jeżeli już nie dla powstrzymania rwącego potoku ruchu, bo nie wielu było ludzi, którzyby wierzyli w możliwość czegoś podobnego, ale dla pokazania tym wszystkim, ogółowi nieomal kraju całego, wątplącemu w urzeczywistnienie reform, że one są, że istnieją i nie pozostaną próżnymi na papierze przepisami. Jakoż Wielopolski wziął się do tego z czynnością gorączkową, czynnością tak olbrzymią, że mógł temu podołać tylko taki jak jego umysł i taka organizacja. W kraju nie znajdował w niczem i nigdzie pomocy i poparcia. Po ostatnich wypadkach widocznem było, jak się wszyscy odeń usuwają¹⁸⁵; zostawał sam z ogromnym Krzyżtoforowym ciężarem na barkach.

Położenie swoje i tak już rozpaczliwie psuł jeszcze co chwila przez wybryki złego humoru, przez zjadliwe i dokuczliwe koncepta, które przyjaciele usłudni roznosili po mieście, opatrzone w komentarze złośliwe przez chęć zemścić się na tych, którzy czemkolwiek względem niego zawinili, a którzy stali się właśnie teraz od niego zależnymi. Zdarzyło się, że w tym czasie, w chwili nieomal gdy został dyrektorem Komisji sprawiedliwości, przegrał jakiś proces, których zawsze mnóstwo prowadził w Trybunale kieleckim. Być może, że słuszność była po jego stronie, że sędziowie kieleccy do szal sprawiedliwości dorzucili swe uczucia patryotyczne i niechęć ku margrabiemu; wszystko to być może, nic wszelako nie usprawiedliwi jego kroku, jakiego w odpowiedzi na rezolucyą Trybunału kieleckiego się dopuścił. Jeden z sędziów, nazwiskiem Wojciech Biechoński dostał dymisyą, innych zaś dwóch przetranszłokowano gdzieindziej.

Fakt ten, acz drobny, był zanadto jaskrawym, by tak sami ukarani, jak i liczni agitatorzy i rewolucyoniści nie mieli go wyzyskać na szkodę Wielopolskiego. Rozgłoszono więc karę sędziów kieleckich po całym kraju, podniosły się krzyki i oburzenie powszechne. Oburzenie to zresztą, zarzuty, jakimi obarczano ministra, znajdowały co chwila potwierdzenie w mnóstwie innych postępów margrabięgo, dowodzących jego mściwości, jego brzydkich stron charakteru, chęci „dania się we znaki”, dowodzących nakoniec, że i ten potężny umysł

185 Lisicki (*Le marquis I*, 197) opowiada, że w tych czasach Wielopolski poszedł raz na obiad do restauracyi. Gdy go spostrzeżono, wszyscy się wynieśli do innego pokoju. Jeden tylko z jego przyjaciół, zbliżył się doń i rzekł: „dziękują panu nasze dzieci, przynajmniej uczyć się będą mogły”. - Tak, odpowiedział margrabia, ale chciałbym także ojców nauczyć pewnych rzeczy, których nie posiadają”. Autentyczność tej anegdoty wydaje nam się wątpliwą.

poczyna ulegać powszechnej gorączce, że jest rozdrażniony niesłychanie i że w tem rozdrażnieniu gotów się dopuścić czynów zgubnych w wysokim stopniu nie tylko dla siebie, ale i dla kraju.

Jakoż tak było w istocie. Obaczmy wkrótce, jak wśród prac świadczących o niezwyklej inteligencji margrabiego, wśród prac dokonywanych z cierpliwością mrówczą, benedyktyńską, pełnych szerokiego poglądu na rzeczy, szczerego patriotyzmu, myśli podniosłych i przenikliwości niepospolitej, od czasu do czasu nagle pojawiają się wybuchy rozdrażnionej ambicji, małostkowych dąsów, kobiecej, histerycznej drażliwości i gniewu. Zdawaćby się mogło, że w mężu tym były dwie natury; niekiedy brała górę natura szlachetna i wielka; niekiedy znowu pozioma, brzydka, mała... Straszny obraz takiej duszy szarpanej przez wichry namiętności, przypominającej owe jarmarczne, jaskrawe bohomyzy, na których anioł i szatan toczą bój o duszę umierającego... Ale tutaj, niestety! nie szło już o duszę margrabiego, ale o życie Polski i rzetelny syn ojczyzny, wiernie pełniący jej służbę, winien był wobec wielkiego celu, który, jak gwiazda magom wschodnim, świecił mu w oddali, zapomnieć o wszystkim małym, drobnym, poziomem. To wzniesienie się nad drobiazgi życia, nad ukłucia szpilek, niezważanie na piasek dmący w oczy, na kamienie kaleczące nogi w drodze do Betleemu, gdzie spoczywało światła odrodzenie, stanowi właśnie prawdziwą wielkość mężów historycznych. Wielopolski to wiedział, czuł dobrze, ale stworzony na szermierza, na adwokata, nie mógł nigdy i nigdzie zapomnieć o swem ja, o drobnych przeciwnościach, które każdego w życiu spotykają, a niedopiero ludzi stojących na tak wysokim stanowisku.

Przypatrzmy się więc tym pracom margrabiego i tej jego kobiecej walce z rozlicznymi drobiazgami, walce trawiącej go, jak rdza trawi żelazo i coraz większą, głębszą, kopiącej niestety! przepaść między nim i narodem.

Na podstawie wydań z lat 1892-1896
ze zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Wydawca



Graf_ika
Usługi Wydawnicze
Iwona Knechta

Opracowanie graficzne i przygotowanie do druku

Graf_ika
Usługi Wydawnicze
Iwona Knechta

przy współpracy



Gopher u.r.p. Andrzej Famielec
www.gopher-urp.pl

Sprzedaż i dystrybucja
Graf_ika Usługi Wydawnicze Iwona Knechta
tel. 660 422 919; 22 625 13 94
www.graf-ika.pl; graf_ika@wp.pl

© Copyright by Graf_ika, 2020
Wszelkie prawa zastrzeżone

zapraszamy do naszego sklepu internetowego
www.sklep.graf-ika.pl



ISBN 978-83-65602-97-8

Warszawa 2020